489

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

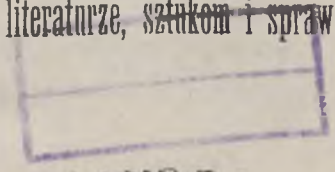
Дозволено Цензурою.
Варшава 20 Декабря 1903 года.

OGÓLNEGO ZBIORU TOM 253.

BIBLIOTEKA WARSZAWSKA.

PISMO MIESIĘCZNE,

poświęcone nauce, literaturze, sztukom i sprawom społecznym.



Rok 1904. — Tom I.

WARSZAWA.
Adres Redakcyi: ul. Krakowskie Przedmieście Nr. 5

1904.

4620. 1904. 1
II.
Biblioteka Śląska
30.000/-
X-14354
4620/II/1904
1.

Druk Józefa Sikorskiego, Warecka 14.

GDZIE ARNO PŁYNIE.

Florencyo — pani szlachetna i miła,
Wśród wzgórz toskańskich śnisz, jakożeś śniła
Przez błękit wieków w złocistej zieleni.
Po nad twą rzeką i dziś się rumieni
Niebo w różanych chmurach o zachodzie
I blaski słońca, które w górze płonie,
Zdają się cichnąć i drzemać na wodzie,
Jako w marmurze blask lub chalcedonie.

— — —

Tam, nad domami wzgórze San Miniato
Już wieczór łuną okrywa skrzydlatą,
Wielką, i ciemne w tej łunie i duże
Stoją cyprysy — Campo Santo stróże,
A kościół zda się w ognia aureoli;
Tam spokój, ludzie łzawi się nie męczą,
Nic ich nie smuci i nic ich nie boli,
Śnią purpurową uwielbieni tęczą.

— — —

A tyś ich wdzięcznie pogrzebła zaiste,
Tych, co twą prawdę i twe piękno czyste

Przez swe żywoty dłońmi pragnącemi
Stwarzali dzieła rozkoszy na ziemi:
Z ciał myśl im kwitła — kształt rodziła dusza,
Kopuły świątyń i zamek obronny
Dłoń jedna wznosi i bronz Perseusza,
Ten sam odlewa, kto kowa Madonny.

— — —

Hojnie twej ziemi rozrzucili ziarna
I rosło życie nad brzegami Arna,
A oni kładli miłość swą i wiarę
W cios wyrzeźbiony i marmury stare.
Tu przy złoconej absydzie kościoła,
Nim pędzel chwycił, długo klęczał Giotto,
Tu z brył — pod dłonią Michała Anioła
Dzień się przebudził z olbrzyma ochotą.

— — —

Rosły w żywota dzieje — dzieje woli,
Miasto cudowne rozkwitło powoli
I jest wśród ziemskich piękności jak rajem,
Gdzie się Perugin łączy z Ghirlandajem,
Gdzie Fra Beato i Sandro i Luca
Jaśnieją, jako dziwnych kwiatów twarze,
Przed progiem świątyń, gdzie w miłości szuka
Stworzenie Stwórcy i patrzy w ołtarze.

J. Przysiecki.

* *

*

I.

Sztuka a życie to dwoje; nie dziwota więc, że wiosna w poezyi tak miła i urocza, bywa u nas, z początku przynajmniej, wielce dokuczliwa. Dawniej, w kwietniu, Polak ubierał się w kożuch i siedział za piecem — a prócz tego brnął w deszcz po błocie; teraz przy kolejach, jeśli ma tylko pieniądze, czas i zdrowie po temu, a święconego najeść się nie chce koniecznie, ucieka na południe. Temu to zawdzięczać należy, że, dojechawszy zeszłego roku na Wielkanoc do Florencyi, znalazłem tam mnóstwo rodaków, mowy polskiej nasłuchałem się na mieście - nietyle wprawdzie, jak angielskiej, ale prawie tyle, jak niemieckiej lub francuskiej. A powiem szczerze, żem się tem ucieszył.

Powiadają moraliści narodowi, że Polak nie powinien z kraju wyjeżdżać, że mu nie wolno pieniędzy za granicą wydawać. Zasada ta byłaby słuszną, gdyby się nie domagała niepodobieństwa; rada byłaby dobrą, gdyby to było rzeczą dla narodu zdrową, odgraniczyć się chińskim murem od reszty świata, nie wiedzieć o tem, co się dzieje o ścianę, aż się dach nad własną głową od sąsiedniego nie zajmie pożaru. Mądrym nie jest ten, który się od nikogo niczego nauczyć nie chce; bogatym nie bywa gospodarz, który czeka, aż kupiec do chaty zajrzy, a sam się nigdy za interesem w świat nie wyprawi. Za dobrych czasów przodkowie nasi wysyłali zawsze synów za granicę, aby się w świecie opatrzyli, a domatorstwo saskie przyczyniło się nie mało do upadku Rzeczypospolitej, dając się zakorzenić domorosłemu zaślepieniu. A dziś zgoła niepodobna nam siedzieć na miejscu, kiedy cały świat się rzuca gorączkowo i wielkie nastało narodów zamieszanie. Nas najeżdżają obcy ludzie, kapitały, książki, a zjedzą nas, okłamią obałamucą z kretesem, jeśli sami nawzajem do nich zaglądać, od nich się uczyć, u nich zarabiać nie będziemy, jeśli się na miejscu nie przekonamy, kto te książki pisze, kto im wierzy, komu służą, czy prawdę mówią, czy też przypadkiem czytelnika umyślnie w błąd wprowadzić nie chcą? Jeżeli nie chcemy być głupimi, żebrakami, z domu niekiedy wyjeżdżać musimy, tylko, prawda, że, nauczywszy się rozumu, albo nabywszy pieniędzy, powinniśmy wracać do kraju, i tu całe życie pracować usilnie.

Więc ucieszyłem się, że Polacy przyjeżdżają także do Florencyi, że wszyscy, którzy o tej porze z kraju wyjechali, nie siedzą hurmą na Riwierze. Bo, powiem prawdę, mało zwykłem spotykać Po-

laków tam, gdzie się czegoś nauczyć można, a tam, gdzie można się głupio zrujnować, jak np. w Monako, tak huczno od polskiej mowy, że aż markotno, że aż się przypomina żelazny kanclerz, nasz wielki wróg, kiedy, wnosząc ustawę kolonizacyjną, zawołał w Sejmie pruskim, nam na urągowisko: „Niech jadą do Monako!“, że aż się czasem zdaje, iż Bismarck nas znał na wskróś i żeśmy go chętnie usłuchali.

Wiem, że wolno jechać po to tylko, aby wytchnąć, zagrzać się na słońcu, napatrzyć się na morze błękitne, że niejednemu odpoczynku potrzeba przedewszystkiem, a nie żadnych studyów. Ale tacy niech jadą do Abazyi, albo do Dubrownika, albo do Liwadyi wreszcie, gdzie od nas bliżej, a jeżeli już koniecznie chcą być na Riwierze, niech siedzą naprzykład w Pegli. Tylko proszę, bardzo proszę unikać okolicy Monako! Przyznaję, że tam i luźnie, że w Beaulieu morze przecudnie wzgórzami i górami objęte, wygląda tak, jakby się niebo od naszych stóp ścieliło, że trudno o ogród piękniejszy, jak w Monte Carlo. Ale to tem gorzej, bo to każe dłużej siedzieć na przeklętem wybrzeżu! A złych duchów tu pełno; w okrągłym, grubym pniu każdej palmy, zda mi się, siedzi na pokucie zaklęty duch samobójcy wisielca, który, potrząsając egzotycznym baldachimem szerokich liści, tam u góry, wspomina łakomstwo i rozpacz; a po nad brzegiem morza ulatują szepcąc nowożytne pokusy. Gdzie spojrzysz, zaprasza ciebie do życia bez duszy i Boga nowożytne bogactwo, nowożytna rozpusta; ćmią zbytkiem bajecznym, wynalazkami spogańszczałych napowrót potomków Adama, którzy po raz wtóry, tylko z większym, jak niegdyś, rozmachem, usiłują zdobyć niebo. Nie drapią się teraz pod obłoki, jak wówczas, kiedy w dziecinnej nieświadomości swojej babilońską stawiali wieżę; niebo chcą ściągnąć na ziemię, z powszedniem błotem zmieszać, kałużę jakąś stworzyć rozkoszną, w którejby ludziom tak dobrze było, że przestaliby pragnąć czego innego, nad owe błoto. Polak miękki, Polak nauczony, że zagranica mądrzejsza, pokusie oprzeć się nie zdoła; wstydzi się ojczystej biedy; widzi drugich, którzy sądzą, że się tej biedy przed cudzoziemcami zaprą, hulając bezmyślnie, naśladując każde francuskie wszeteczeństwo; słyszy o tem bajki, że ktoś przyjechał do Monte Carlo, goniąc ostatkami, zagrał podług jakiejś mądrej a niezawodnej metody, i wrócił do kraju bogaczem. Głupszym od tamtego być nie chce; pójdzie pierwszy raz do domu gry z szyku lub ciekawości; ale jak wejdzie między motłoch, przebrany we frak — zagra, i może, na swoje nieszczęście, przy pierwszej stawce wygra. A choć nawet majątku nie przetrwoni, wpadnie w wir złocony, bezmyślny, zatruty, i powróci do kraju, przywożąc z sobą całą hurmę głupich a zgubnych szatanów, przezwanych cywilizowanemi niby

a zagranicznemi przywyczkami i zachciankami; będzie odtąd myślał całe życie, że dorównał Zachodowi, kiedy nad stan i możność, modne, zachodnie głupstwa w kraju wyrabiać będzie.

Nie dobrze tacy robią, kiedy za granicę jeżdżą. Ale, równie szkodliwie siedzą w domu ci, nierównie liczniejsi, którzy chciwie pożerają każdą nowinkę w zagranicznej książce. Nie byli nigdy za granicą, a jeżeli byli, zobaczyli świata rąbek po wierzchu i w przelocie, podziwiając widną pozłotę, i biorąc ją za złoto. Nie wiedzą, kto w Anglii, albo we Francyi te nowinki wymyślił, kto je szerzy i w jakim celu to czyni? Nie wiedzą, u kogo się tam przyjmują? jaki mają skutek, jak się poważna i zdrowa część społeczeństwa wobec nich zachowuje? Jakby obce narody naprawdę poznali, nie daliby się wziąć na lichą wędkę. Jako domatorzy, wiedzą tylko, że tam na zachodzie jest postęp, za którym nam koniecznie podążyć wypada, a tego nie wiedzą, co ten postęp, a co tylko rozkład wyraża i biorą jedno za drugie; myślą koniecznie, że co nowe to i dobre, a czem jaskrawsze, bardziej paradoksalne, tem lepsze. I dalejże obce naśladować szumowiny, wmawiać w siebie i w drugich, że trzeba naprzykład dziś myśl z książki i życia wygnać, dać się unosić — nawet niewyraźnemu uczuciu, tylko wrażeniu, zachciance, marzeniu, podobnemu do marzeń pijanego, lub morfinisty. A takich domatorów, zakochanych w zagranicznych szumowinach, jest u nas po miastach coraz więcej; rozsądek chcą wygonić, jako rzecz zastarzałą, zacofaną, potępiają, jako wstecznika tego, który się pyta, czego książka chce, do czego namiętność prowadzi? A nie czują nawet wyrzutów sumienia na widok najzdolniejszych z młodzieży, którzy, upojeni haszyszem bezwolnej wrażliwości łamią się, marnują — zbyt często kończą samobójstwem.

Tak to rozprawiałem, porwany oratorskim ferworem, kiedyśmy wieczorem, po dniu, pełnym wrażeń, w kółku znajomych Polaków, siedzieli przy czarnej kawie, we Florencyi, w bawialni hotelu, postawionego na monumentalnej *Via del Proconsolo*. Przerwała moje wywody pani Helena, młoda jeszcze żona profesora prawa rzymskiego w Krakowie, bardzo rozumna i oczytana osoba, ubrana w granatowy kostium podróżny — o czem wspominam, aby się Panie za to nie gniewały, żem nie uważał na ich toaletę — a takim oto mnie przerwała zapytaniem:

— A czy to lepiej, że jeździmy po Włoszech, żeśmy tu przyjechali do Florencyi? Rozumiem, że jest rzeczą pożyteczną uczyć się za granicą, studyować zagranicą urządzenia społeczne, postępy rolnictwa, przemysłu, medycyny, albo też robić badania po bibliotekach

i muzeach, albo wreszcie robić interesa, lub brać udział w kongresach narodowych. Ale my jeździmy przecie dla rozrywki, a to rozrywka może nie ze wszystkiem bezpieczna. Przecie nie robimy tu żadnych zawodowych studyów; szukamy tylko przyjemnych wrażeń; unosimy się nad pięknościami przyrody i sztuki, w które ten szczęśliwy kraj obfituje; a chociaż zmarzniemy niekiedy — bo widzę, że taka włoska wiosna tylko w poezyi i literaturze bywa ciepłą — zapominamy o pogodzie pod wpływem wrażeń coraz piękniejszych, które następują po sobie nawałem. Nie wiem, czy to dobrze? Wróćmy do kraju, w którym podobnych piękności nie ma, albo jest bardzo mało, a wróciwszy, powinniśmy się zabrać do roboty niewdzięcznej, wśród najprzeciwniejszych warunków, jakie tylko istnieć mogą. I nie wolno nam będzie się zniechęcić miernością skutku, osiągniętego przy największem wysileniu, i owszem, powinniśmy się cieszyć, każdą drobnostką, podziwiać rzeczy, w porównaniu z tutejszemi marne, ale swoje, i to dla tego, że przecie jakiś u nas osiągnięty postęp, jakiś, choćby drobny, skutek ciężkich wysiłków okażą. Otóż pytam się, czy nam przeszkadzać nie będą włoskie wspomnienia? Czy nie będziemy ustawicznie marzyć o Tycyanach i Rafaelach, o Apeninach i zatoce neapolitańskiej? Czy nam się przykrzyć nie będzie w mieście bez pomników, albo we wsi, wśród jednostajnie płaskiej okolicy? Czy ta podróż nam hartu nie odejmie, zamiast nam dodać hartu? Czy zwłaszcza źle nie robimy, jak młodym pokazujemy Włochy?

Zbierałem myśli, aby dać odpowiedź, ale wyręczyła mnie druga dama przy naszym stoliku, tym razem w popielatv kostium ubrana, pani Róża, pięćdziesięcioletnia wdowa po zasłużonym obywatelu ziemskim z Królestwa. Była to osoba, rozumie się bardzo zacna, bo wszystkie niemal nasze panie tak są dalece do siebie zacnością podobne, że przy pobieżnej znajomości umiem je prawie tylko po kolorze od siebie odróżnić, do której to ułomności przyznają się tu w pokorze; niegdyś—znowu, jak wszystkie nasze Panie — wcale przystojna, nawet ładna, a mająca prócz tego tę osobistą właściwość, że pisywała wcale udatne wiersze i nowele, słowem, że była trochę literatką. Wydawszy obie córki za mąż, bawiła od jesieni we Włoszech, a teraz przyszła mi w pomoc, w takie oto odzywając się słowa:

— Nie podobna od człowieka żądać, aby ciągle spełniał obowiązki zawodu swego. Ludzie, to stworzenia niedoskonałe, ułomne; nietylko odpoczynku potrzebują koniecznie, ale także i rozrywki. A może i nie potrzeba tego nawet kłaść na karb ich ułomności; może to, przeciwnie, jest dowodem ich wyższości, dowodem tego, jak utyli-

taryzm nowożytny naturę ludzką ciężko krzywdzi, domagając się, aby istoty rozumne, duszą nieśmiertelną obdarzone, pracowały nakształt bezmyślnej maszyny, albo bydlęcia pociągowego, robiąc codzień i ciągle jedno i to samo, nie odwracając nigdy myśli swoich i pożądań w inną stronę, a raczej, przestając wśród jednostajnej rutyny i myśleć, i pożądać. Temu nieludzkiemu przekazaniu nowożytnego niby obowiązku nigdy się zadość stać nie może, jak długo człowiek człowiekiem będzie, a nie czemś innem. Chodzi zatem tylko o to, jakiej rozrywki poszuka? Czy takiej, która go poniży i osłabi, czy takiej, która go wzmocni i podniesie? Zdaje mi się, że czytanie pięknych rzeczy, słuchanie muzyki, podziwianie dzieł sztuki, to rozrywki, nietylko najszlachetniejsze i najbardziej godziwe, ale także najpożyteczniejsze. Radzę, aby każdy, kto tylko może, choć raz w życiu, i to za młodu, pojechał do Włoch, ale nie na to, aby spojrzeć na fizyognomię ulic miejskich i zapłacić rachunek w hotelu, tylko na to, aby się uważnie przypatrzeć dziełom tutejszej sztuki. Najpierw dozna szlachetnego używania, które potem chronić będzie od zamiłowania w rzeczach trywialnych; zamożny nie pojedzie potem do Monako, aby użyć rozrywki wśród trawiących a zgubnych wzruszeń gry hazardowej; zabawy zdrożne, na które, u nas zwłaszcza, grosza, czasu i zdrowia trwonić nie wolno, wydadzą mu się płaskiemi, głupiemi, brzydotą swoją trywialną odrażającemi; może być, że nieraz potem znowu do Włoch pojedzie, ale będzie to zawsze najmniej szkodliwą, a może i najmniej kosztowną rozrywką. Uboższy — prawda, czasem do Włoch zatęskni, ale nie pójdzie do kawiarni, aby tam czas zabijać przy plotkach i kartach, aby już gorszych miejsc nie wspominać; w chwilach, wolnych od zajęć zawodowych, będzie szukał rozrywek, któreby jego uwagę więziły, umysł zajęły, uczuciem szlachetnie wzruszyły, podobnie jak niegdyś oglądanie i ocenianie dzieł sztuki; będzie czytał rzeczy piękne, albo pouczające, albo będzie szukał rozmowy z ludźmi poczciwymi. A potem, mamy teraz wreszcie także polską sztukę, mamy oddawna polską literaturę, która dalej żyje i która się rozwija. Daleką jestem od tego, abym miała potępić cały kierunek modernistyczny, jak to czynią niektórzy, a zdaje się, że pan także. (Wymawiając te słowa, zwróciła się pani Helena do mnie z uprzejmym uśmiechem). Ale — ciągnęła dalej — nikt temu nie zaprzeczy, że zapoznanie się we Włoszech z klasyczną pięknością, może nietylko artystów i pisarzy naszych, ale także publiczność i przez to znów pośrednio artystów i pisarzy, ochronić od aberacyi i niepotrzebnych dziwactw, sprawi, że nie damy im usnąć w mierności, że popchniemy ich do tego, aby usiłowali dopiąć doskonałości. A któż takiego skutku

chętnie widzieć nie będzie? Któż się w nim istotnego i trwałego pożytku dla naszego społeczeństwa nie dopatrzy?

Trzecią, poważniejszą damą przy naszym stole, była pani Jadwiga, także wdowa, już mniej więcej sześćdziesięcioletnia. Była to bardzo majestatyczna, zawsze jeszcze piękna, bardzo w świecie obyta osoba — wielka pani, jak to powiadają, całą gębą, wyglądająca, jak królowa jaka w w swojej nieodzownie czarnej sukni. Miała wielkie dobra na Wołyniu i tam większą część życia spędzała; ale miała także pałac własny w Warszawie i znała oddawna panią Różę. Z jej też namowy i w jej towarzystwie spędzała zimę we Włoszech, po których obwoziła także swoją wnuczkę, śliczną naprawdę pannę Manię, przysłuchującą się rozmowie w milczeniu, jak na dobrze wychowaną pannę przystało.

Otóż pani Jadwiga spytała się teraz profesora, męża pani Heleny, śniadego Poznańczyka, o krótko strzyżonej, czarnej brodzie:

— Czy pan przeczytałeś książkę księdza Brykczyńskiego, której przedmiotem Fra Beato Angelico, a którą panu dałam temu dni kilka?

Profesor dał odpowiedź potwierdzającą, a pani Jadwiga pytała się dalej:

— Może to ja taka głupia, ale książka wydała mi się zajmującą i dobrą. Nieraz przeczytam chwaloną francuską rozprawę, z której się niczego więcej nie dowiem. Oprócz tego chodzi księdzu Brykczyńskiemu o rzecz żywotną, o pytanie, jak należy przyozdabiać nasze kościoły, jakby można u nas nadać to znaczenie sztuce religijnej, jakie gdzieindziej ma, albo przynajmniej miała? Proszę mi tedy wytłomaczyć, jakim to się sposobem dzieje, że o tej książce nikt nie wie. Dał mi ją ksiądz znajomy do przeczytania, ale nikt ze wszystkich innych moich znajomych nie słyszał zresztą o niej; szukano jej nawet daremnie po księgarniach.

Profesor był to człowiek zamożny, który obrał swój zawód z zamiłowania, może także z ambicyi. Zajmowały go inne sprawy, tak samo, a może nawet więcej od prawa, ale wybrał sobie prawniczą specyalność, ponieważ wiedział, że w życiu politycznem bywa rekomendacyą. Przyjął obywatelstwo austryackie i przesiedlił się do Krakowa, skoro wysokie stanowiska w Prusiech są dla Polaka niedostępne. Ale zdaje się, doznał zawodu. Poważano go w Krakowie, chętnie słuchano jego zdania, ale ubiegał się daremnie o mandat poselski do Rady Państwa, albo choćby tylko do Sejmu. Wyjeżdżając z Poznańskiego przypuszczał zapewne, że będzie austryackim ministrem, a teraz wydaje mi się malkontentem; ma widocznie wyobrażenie, że ludzie się na nim nie poznali i w skutek tego bywa często cierpkim, uszczypliwym,

choć nigdy nie powie nic takiego w czemby wiele prawdy niebyło. Tym razem taką dał odpowiedź:

— Książka księdza Brykczyńskiego z pewnością nie jest gorszą od wielu rzeczy drukowanych zagranicą, a znanych u nas. Ale pierwszą jej wadą jest to, że sądząc z tytułu, każdy mniema, iż tu chodzi o kwestyę naukową powszechnego, a nie narodowego tylko znaczenia. Takich rzeczy pisanych po polsku, u nas czytać nieprzyzwoicie, jeśli nie są tłómaczeniem, albo zbiorową publikacyą — koniecznie ilustrowaną, o której wiedzą wszyscy, że jest oczywiście kompilacyą z książek obcych i to z jaknajbardziej oklepanych, modnie jednostronnych, głębszej, oryginalnej myśli pozbawionych. Podobne do tej książki wydaje się u nas nie na to, aby je kto przeczytał, tylko jako prace habilitacyjne, albo dla *decorum* profesorskiego, aby nie mówiono, że ktoś naukowej pracy zaniechał, że się na katedrze zaniedbał. Najwyższym sukcesem, jakiego się podobna książka u nas doczekać może, jest to, że ktoś o niej recenzyę napisze. Oczywiście, że recenzent książki nie przeczyta, bo będzie recenzentem z zawodu—na to czasu niema. Bierze ją z nieprzemożonem niedowierzaniem do ręki, przerzuci kartki, i przekona się po wyglądaniu tych kartek i podziale tytułów, czy rzecz jest napisana podług tak zwanej metody, naukowej która się w Niemczech zagnieździła, a której racyą stworzenie formalnych trudności, broniących zbytniej ciżbie, a przedewszystkiem ludziom samodzielnym, dostępu do katedr, na niezliczonych niemieckich uniwersytetach. Otóż chodzi o to, aby książka mnóstwem cytatów, pomieszczonych mniejszym drukiem u dołu każdej stronnicy, udawała, że autor ma ogromne oczytanie, a dowodziła przynajmniej istotnie, że ma biurokratyczną, mrówczą cierpliwość niemieckiego bibliotekarza, przy której trudno o jakąkolwiek samodzielność myśli, co recenzentowi ręczy za to, że książkę tę, naukowem dziełem przezwać może, skoro powtarza poprostu zdania niemieckich uczonych — a przecież Niemcy mają monopol nauki! My nawet nie mamy odwagi wydać o kimś samodzielnego sądu, póki się Niemców o zdanie nie zapytamy. Recenzenci najrozumniejsi zwykle czytają tylko przedmowę książki, której światłą ocenę wydać mają. Autor, ksiądz Brykczyński w naiwności swojej, przyznaje się zaraz w przedmowie, że jego dzieło jest w głównej rzeczy przeróbką pracy p. Helbiga, który sam tylko skrócił obszerniejsze dzieło O. Beisfla, o anielskim malarzu z Fiesolè. I jakżeż mógł potem jakikolwiek recenzent o takiej wspominać książce? Pisarz bardziej, jak to u nas powiadają: naukowy, byłby oczywiście także książkę przepisał z książki, którą jakiś Niemiec wpierw z innej, już przepisanej przepisał książki; ale popierwsze niebyłby się do tego przyznał, a powtó-

re byłby oprócz przepisanej książki, przejrzał kilka podręczników głośnych do historyi sztuki, a przedewszystkiem dopiski z trzech, albo czterech dzieł o Bracie Janie z Fiesolè i byłby z nich przetłómaczył cały szereg cytatów pomieszczonych u spodu każdej stronnicy, a wytwarzających złudzenie, jakoby autor uczony przeczytał całą bibliotekę dzieł specyalnych. Tego się korporacya erudytów w Niemczech domagać musi koniecznie, bo specyaliści chcą także przejść do nieśmiertelności, a wiedzą, że skoro ich elukubracyi chyba nikt nie przeczyta, droga na błonia elizejskie idzie dla nich jedynie, przez ciasną ścieżkę dopisków, porobionych u spodu kartek również nieczytanych książek, z dokładnem podaniem nazwisk autora i wydawcy, tytułu książki i stronnicy, z której dopisek zaczerpnięto. To zresztą ma dla uczonych niemieckich takie same znaczenie jak anons, reklama i plakat dla świata przemysłowego; rzecz zatem nie jest bez praktycznej racyi, mającej nawet swoje znaczenie w powszedniej walce o chleb. Lecz u nas żadnej racyi nie ma, ale inaczej być nie może, bo małpujemy, bo chcemy pokazać, żeśmy także gęsie cywilizowane, umiejące gęgać w sposób za granicą praktykowany. Z dalszego ciągu książki księdza Brykczyńskiego można się przekonać, że był w przedmowie nadto skromnym, że wcale nie przepisywał tylko, że także myślał czasem samodzielnie, a w dodatku, prawie wszystkie obrazy Fra Angelica sam oglądał. I to właśnie najgorzej, i to go z kretesem potępia. Jakżeż śmiał? Czy nie wie, że tego nie robi żaden uczony niemiecki, który sam siebie szanuje, za dyletanta uchodzić nie chce? Czy nie wie, że ci panowie przepisują siebie nawzajem od czasów niepamiętnych, że temu zawdzięczają nawet swoją sławę średniowieczni i starsi nowożytni autorowie niemieccy, którzyby za wielkich pisarzy dotychczas uchodzić nie mogli, gdyby się znalazł bezbożnik jaki, historyk literatury, domagający się innej wolności nad wolność przeczenia chrześcijaństwu, i, gdyby porozcinał kartki w książkach, które od wieków w bibliotece leżą i sprobował stare banialuki czytać? Czy nie wiedział ksiądz Brykczyński, że gdyby profesorowie Niemieccy chcieli zaglądać do źródeł i myśleć samodzielnie, musieliby się dowiedzieć, że wiekopomne zasady, o które się oparła potęga Prus nowożytnych, tego Boga wcielonego na ziemi, są stekiem wierutnych kłamstw i wynikiem umyślnych fałszerstw i że wtedy taki profesor stałby się wstecznikiem i obskurantem, a zarazem mężem przewrotu? Pytam się, czy nie wiedział o tem Ksiądz Brykczyński, i czy zapomniał może, iż Polakowi nie wolno robić inaczej, jak Niemiec, bo jest barbarzyńcem i wtedy tylko jest człowiekiem seryo, kiedy naśladuje pokornie rzeczy wymyślone na zgubę własnego narodu!

Gdy profesor skończył tyradę, nie bez irytacyi wypowiedzianą, nastała chwila milczenia. Przerwała ją znowu pani Jadwiga, mówiąc:

— Dzisiaj spędziłam z panią Różą i z dziećmi kilka godzin w klasztorze świętego Marka, i przypatrywałam się dokładnie malowidłom Brata Jana z Fiesolè. Zygmunt unosił się niesłychanie, ja widziałam niektóre śliczne postacie, pełne najgłębszego religijnego wzruszenia, ale przeszkadzało mi coś ciągle; jednostajność mnie znużyła, wydawało mi się, że nieumiejętność starego malarza nieraz wyrażeniu jego myśli przeszkadza, że tę nieumiejętność przemilczamy tylko ze względu na to, iż malował tak dawno, wtedy jeszcze, kiedy Jagiełło u nas panował. Zygmunt temu przeczył; powiadał, że to tylko nasze oko przywykło do konwencyonalnych ruchów i rysów wprowadzanych do sztuki przez uczniów Rafaela, że teraz Rafaela już nikt nie podziwia, a taki stary Fra Angelico właśnie tem jest wielki, iż naiwnie wyraża natchnienia indywidualności swojej. Ja tego nie rozumiem. Ale proszę mi powiedzieć, co panowie myślicie o zdaniu Księdza Brykczyńskiego, że obrazy po kościołach powinny naśladować zawsze i jedynie malowidła Brata Jana z Fiesolè?

Zygmunt siedział naprzeciwko Pani Jadwigi; był to duży, niezgrabny i podobno, na swoje szczęście, bynajmniej nie przystojny blondyn. Młodzieniec ten, należał do tak zwanej arystokracyi; jego rodzina osiadła na krakowskiem Podgórzu, nie była nigdy głośną w dziejach rzeczypospolitej, a bardzo mierne posiadała majątki ziemskie; ale Zygmunt był skoligacony ze znakomitemi rodami polskiemi; był jakimś krewnym pani Jadwigi, z czego wynikało, że ją nazywał ciocią, że ona go po imieniu wołała. Skończył był dopiero co uniwersytet, zdał chwalebnie doktorat, a teraz ani sam nie wiedział co ma robić, ani nie wiedzieli tego jego rodzice. Jeździł tedy po Europie, a potem miało się pokazać, co czynić wypadnie? Był to młodzieniec bardzo poważny. Naturalnie własnego zdania jeszcze mieć nie mógł, chociaż mu, i to bardzo zdawało się, że je ma, a to dlatego, że zarzucił opinie wpojone weń przez rodziców, a przyjął na ślepo te, które wyczytał w książkach, jako tak zwane najnowsze wyniki nauki. Miał teraz zapewne coś do wypowiedzenia, ale nie odezwał się, bo jest to znowu szczęściem dla niego, że jest młodzieńcem dość nieśmiałym.

Odpowiedź wypadało widocznie dać profesorowi; to też odpowiedział:

— Nie sądzę, aby kiedykolwiek wytrawniejsi znawcy sztuki przestali Rafaela podziwiać. Był przedewszystkiem samodzielniejszym od Brata Jana, bo ten malarz, omotany tradycyą średniowieczną, w wielkiej jeszcze mierze układał swoje obrazy wedle starodaw-

nego, liturgicznego przepisu. Rafael umiał z niezrównaną sztuką wyrażać swoją szlachetną duszę artystyczną, która we wszystkiem obok prawdy dopatrywała się piękności, a obok zdrowia i olbrzymiej nawet siły, słodyczy, kiedy współczesny naprzykład Massaccio i daleko więcej umiał i daleko samodzielniej tworzył od Brata Jana. Rafael tworzył z natchnienia, nie podług szablonu, nie raz nowe wynajdywał drogi, a wszystko z przedziwną wyrażał prostotą; wygadywać może na niego ten tylko, kto wierzy katalogom i niesamodzielny, przez ucznia malowany obraz, bierze za utwór niezrównanego mistrza; a takich obrazów bywa wiele, nawet po najsławniejszych, stołecznych galeryach; nawet część fresków Rzymskich jest taką robotą naśladowców, którzy także, jak uczeni, o których przed chwilą mówiłem, do źródła, t. j. w tym wypadku do przyrody nie zaglądali, a powtarzali tylko pacierz gładko za panią matką, to jest za Rafaelem i Michałem Aniołem. Tych naśladowców, w następnem pokoleniu znów naśladowano, tak jak dziś dzieło, niby uczone, z przepisanej przepisują książki. Urobiła się zatem istotnie rutyna nieznośna, która głównie wśród religijnego zapanowała malarstwa i tę niegdyś najszlachetniejszą sztukę, w martwe zamieniła rzemiosło. Ale rada, podana przez księdza Brykczyńskiego, stanowczo na nic się nie przyda. Nie nowa to recepta; stosowano się do niej w Niemczech i we Francyi wcale powszechnie, począwszy od pierwszej połowy przeszłego stulecia i tym sposobem stworzono tylko nowy zastęp bezmyślnych, niesmacznych naśladowców, tem gorszych, że kopiowali sztukę mniej umiejętną. Brali się do tego czasem najlepsi artyści, a namalowali całe mile straszliwie nudnych fresków po kościołach i poza kościołami. Wdłuż muru maszerują, stoją i siedzą postacie na pamięć malowane, na umyślnie źle, sztywne, nieprawdziwe, nie żywe, na złotem tle nieznośnie poustawiane. I to koniec końcem, akurat tak podobne do malowideł tego brata Jana, albo dawniejszych malarzy czternastego wieku, jak Listopad podobny do Kwietnia, albo jak stara kokietka udająca naiwną, bywa podobną do podlotka. Tamci—starzy—malowali jak umieli najlepiej, a dotąd cieszą się na swoich obrazach tem, że coś nowego podpatrzyli w przyrodzie i tem samem nas także cieszą; ci—nowożytni—malują z umysłu jak umieją najgorzej; chcą być niby pobożni, a zamykają oczy na świat Boży; sami nudzą się przy tej robocie, a nas nudzą niemiłosiernie widokami nie czego innego, tylko znowu szablonu.

— Tak jest—podjęła pani Róża—chcąc wzruszać pobożnie, tak jak nas ci starzy malarze religijni istotnie wzruszają, chcąc tak jak oni zastąpić korzystnie najlepszą książkę do nabożeństwa, nie trzeba naśladować zewnętrznej strony ich utworów. Chodzi o co innego;

trzeba postaciom świętym nadać te wyrazy pobożne, które na freskach Brata Jana z Fiesolè każdego zachwycić muszą, choćby sam nawet wierzącym chrześcijaninem nie był.

— I w tem właśnie sęk—zawołał Profesor, że tego dziś nikt nie potrafił—Najmniej malarz nowożytny, który całą swoją duszę włożył w próżność osobistą i w technikę, w rzemiosło; dla którego ciekawa plama koloru, rzeczą stokroć ważniejszą od Pana Boga!

— Ależ przecie—wtrąciła Pani Jadwiga—bywają i dziś artyści pobożni.

— Bywają—odparł Profesor—to jest, bywają ludzie, którzy potrzebę religii uznają—w chrześcijaństwie szukają czasem pociechy i podpory, czasem natchnienia; i tego im za złe nie mam. Ale nikt dziś nie żyje w Chrystusie—z wyjątkiem może kilku zakonników. Całe nasze życie nie jest pełne ewangielii i żywotów świętych. O wszystkiem innem myślimy co dzień, wszystkiego innego się uczymy, wszystkiem innem zajmujemy. Postępujemy wedle wskazówek nauki świeckiej, albo świeckiego doświadczenia, kierujemy się zasadami rozsądku, honoru, uczciwości. Któż z nas powie dziś o ważnej, doniosłej, wywierającej wpływ na życie całe czynności, że trzeba jej unikać, że należy ją potępiać, ponieważ to grzech? Ktoby się tak wyraził, stałby się poprostu śmiesznym. Pobożny artysta pójdzie dziś w niedzielę do kościoła na mszę, a w piątek nie będzie jadł mięsa, aby uniknąć grzechu; życiem, we wszystkich rzeczach istotnych pokieruje, dajmy na to, w sposób nienaganny—ale dlaczego? Oto dlatego, aby nie popaść w kolizyę z kodeksem karnym i z przepisami honoru, aby dobrej u ludzi nie stracić opinii i własnego nie postradać szacunku. O grzechu, o przykazaniach Bożych, pomyśli chyba, przygotowując się do spowiedzi. A dawni ludzie mieli nieustannie na myśli Sąd Straszny i tajemnicę odkupienia. Chrystus, Matka Jego, święci byli im nieustannie w oczach duszy; ilekroć pobłądzili, zdawało im się, że Ukrzyżowany spogląda na nich wzrokiem pełnym wyrzutu, że nowym mieczem przebijają serce Boga Rodzicy, że szatani śmieją się w piekle na myśl o przyszłej swojej pastwie. A jak kto w owych wiekach postąpił chwalebnie, dziękował za to rzewnie łasce Odkupiciela i swoich świętych patronów pomocy. Wszystko wciąż przypominało religię, wszystko się robiło ze względu na religię. Prawda! modlił się malując, i wierzył, że maluje prawdę najrzeczywistszą, kiedy malował zdarzenia biblijne albo legendarne, które usiłował odgadnąć i odtworzyć jak najlepiej, ale to nie był nastrój ani wyjątkowy, ani świąteczny, tak samo jak on, mysleli, czuli wszyscy współcześni, i to ciągle—jedząc chleb, orząc rolę, szyjąc buty, radząc o rzeczypospolitej, grzesząc i czyniąc dobrze. Z tąd to się

wzięło owo głębokie uczucie religijne, które się wiąże na starych arcydziełach tak misternie z najszczerzej oddaną prawdą życiową. Dla malarza nowożytnego, najnabożniejszego, jest chrześcijaństwo rzeczą bardziej obcą, jak dla największego bezbożnika w starej Florencyi. Chcąc malować pobożnie, maluje rzeczy jak najbardziej obce życiu, obrządkowe; więc powstają nieruchome cienie, i nieruchomość liturgiczna musi starczyć za pobożny wyraz.

Pani Helena podjęła teraz rozmowę, gdy jej mąż przestał mówić:

— Przecie naprawdę religijnymi malarzami byli także w piętnastym i szesnastym wieku tylko wyjątkowi artyści; zakonnicy, jak ten właśnie Fra Beato, o którym mówimy, i w sto lat potem Fra Bartolomeo, może być, że także tak zapoznany niegdyś, a tak ubóstwiany dziś Sandro Botticelli, ale to tylko w czasie, w którym pozostawał pod wpływem kazań, nauk, życia i śmierci Savonaroli. Wyznaję, że się do niego zrazu przyzwyczaić nie mogłam, że mi się wydawał aż odrażająco dziwacznym, lecz wyznaję także, że mnie jego Madonny przyciągają teraz niewymownie, że budzą we mnie istotnie religijne wzruszenie. Ale czyż ten sam Botticelli był malarzem, nie już pobożnym ale zgoła chrześcijańskim, kiedy malował swoje nagie Wenery, albo alegorye, nad któremi tak się panowie unosicie? Czyż u innych florentyńskich albo weneckich artystów można nazwać obraz religijnym dla tego, że ma wyobrażać scenę z Pisma Świętego, albo z pobożnej legendy, lub też dlatego, że ten obraz umieszczono—mojem zdaniem bardzo niestosownie—w kościele, albo w kaplicy? Cóż mają do czynienia z religią owe krajobrazy fantastyczne, owe rozmaite nagie figury, owe pogańskie kupidynki przezwane aniołkami, owi święci Sebastyanie, święci Jany Chrzciciele i Adamy, podobni raczej do staro-greckich Apolinów i Herkulesów, i owe matki Ewy lub pokutujące Magdaleny, które się popisują nagością i wdziękami nymf leśnych, albo bogiń Olimpu? Poco ta wspaniałość marmurów, jedwabi, pozłoty, klejnotów? poco te kwiaty i drzewa i barwy świetne? poco przedewszystkiem ten popis malarskim kunsztem i świetnie przezwyciężonemi trudnościami, które doprawdy, budząc—przyznaję—podziw, odrywają tylko uwagę od modlitwy, myśl odwracają od Boga ku sobie? Czyż to wszystko nie świeckie i nie pogańskie? czy to wszystko nie spowodowało, nie usprawiedliwiło potępienia dzieł sztuki wystawianych w kościele, nie podało protestantom argumentów?

Teraz odezwał się przecie nieśmiały Zygmunt:

— Ależ pani jednym tchem potępiałaś wszelką sztukę! Czemżeby był malarz, gdyby mu nie było wolno odtwarzać tę piękność, którą odczuwa?

Pani Helena odparła:

— Nie o sztukę w ogóle teraz chodzi, tylko o jej przystosowanie do ozdoby domów Bożych, o jej stosunek do religii.

— Wszelka działalność artystyczna — wtrącił natomiast Zygmunt — skoro tylko szczerze odczuty wyraża ideał, jest czynem religijnym.

— To zdanie wyjęte z jakiejś bardzo mądrej niemieckiej książki odpowiedziała Pani Helena prawie niecierpliwie—niemieckich rozumów nie posiadłam; i nigdy się nie pomieszczą w mojej ciasnej polskiej głowie.

Nastało milczenie. Przerwałem je, mówiąc: Długoby o tem trzeba rozprawiać, o ile działalność artystyczna bywa czynem religijnym? Z pewnością nie bywa to zawsze. W nowelach Boccacia, albo w pieśniach Heinego, nie mogę się niczego dopatrzyć, coby im religijnego dodawało namaszczenia, choć nikt nie zaprzeczy, że to dzieła sztuki. Ale starych malarzy włoskich wezmę w obronę i śmiem twierdzić, że byli naprawdę religijnymi, że Ghirlandajo i Michał Anioł, że Rafael i Signorelli byli równie religijnymi malarzami, jak zakonnicy, o których Pani wspominałaś.

— A jakżeż chcesz pan tego dowieść paradoksu—spytała Pani Helena i dodała uprzejmie: Będę słuchała chętnie, bo to rzecz ciekawa.

— Czyż Pani uważasz—podjąłem—że tylko smutek i pokora bywają czynami Bogu miłemi? że tylko w każdem rozmyślaniu można Bogu służyć? Pani tego z pewnością nie powiesz, skoro wiem, że nadewszystko cenisz wytrwałą pracę. Więc stary artysta, kiedy swoją sztukę doskonalił, służył Bogu, a co więcej był przekonany, że to dla chwały Bożej. Czyż można mu zatem tego nie poczytać za zasługę, iż malując dla kościoła, chciał Bogu nieść w ofierze całą umiejętność swoją, chciał się przed Bogiem pochwalić tem, że danego sobie talentu nie zakopał, chciał jak najpiękniej dom Boży przyozdobić? Gdyby sobie postąpił inaczej, dowiódłby, że nie był naprawdę religijnym, że wszystkiego nie był gotów pobożności poświęcić, że najlepszą część swojej pracy chował dla świata, z świątyni pańskiej wykluczał, tak jak to czynią niestety nowożytni ludzie. A czyż Bóg swojej chwały nie okazał widomie pięknością barw i kształtów rozsianych po ziemi i czyż malarz, stroiąc obraz w najpiękniejsze przybory, właśnie chwały Bożej nie głosił narodom, które klęcząc pobożnie w kościele, radowały się przedsmakiem cudów niebiańskich, kiedy patrzały w obraz w nadziemską strojny piękność. A wśród wspaniałego dworu nie widziano jak na ziemi, przebiegłego mocarza, groźnego gwałtownika, goniącego za próżną chwałą, albo za zmysłową rozkoszą,

chciwego na grosz, władnącego rzeszami za pomocą trwogi i przemocy, albo kłamstwa i przekupstwa! Nie! wśród przepychu tego jaśniały pobożnym postacie świętych, którzy męczeństwo nad wszelkie ziemskie przenieśli pokusy, albo Marya swoje boskie piastowała niemowlę, przeznaczone na krzyż, dla odkupienia grzesznego świata; a nieskalana czystość i spokój, jakie na tych jaśniały twarzach, za setne starczyły kazania i modlitwy.

— Może być—powiedziała na to Pani Helena—zgodzę się ze wszystkiem; tylko tego mnie pan nie wytłómaczysz, że nagość, którą się tak chętnie popisywano, była rzeczą stosowną w kościele. Kiedy pani Róża tak wychwalała wpływ wychowawczy sztuki włoskiej, nie śmiałam się sprzeciwiać, ale pomyślałam sobie, że to chyba niekoniecznie potrzebne, aby się przyzwyczajali młodsi do ciekawego oglądania, do długiego podziwiania nagości ludzkiej, niczem nie przesłoniętej. Nie mówię już o nagich Chrystusikach; ale cóż znaczą w kościele te tłumy mężów i niewiast nagich, które się tłoczą u Signorellego w bowiecie, które namalowane ręką Michała Anioła, spadają w otchłań na owym sądzie ostatecznym w kaplicy Sykstyńskiej, gdzie nawet Chrystus Pan niema na sobie odzieży? Czyż to nie zmartwychwstanie pogaństwa zmysłowego? Czyż to nie najoczywistsza apoteoza ciała, zapoznanie majestatu duszy?

Pani Jadwiga wtrąciła tu, potakując: Nic nie mam przeciw nagości dzieci; te śliczne stworzenia jeszcze niewinniejsze bez koszuliny. Ale przyznaję się, że mnie nadzy mężczyźni, a nadewszystko nagie niewiasty na obrazach rażą, wtedy nawet, kiedy to nie są obrazy religijne. To, co jest boskiego w człowieku, na jego maluje się twarzy; więc pocóż od twarzy odwracać uwagę widza? Jak się patrzę na nagie niewiasty, malowane lub rzeźbione, wstydzę się za nie, rumienię się, że tyle oczów na nie zwrócono. To pewnie skutek wychowania; pewnie nie mam racyi, bo wszyscy znawcy sądzą inaczej, powiadają, że trzeba się na takie rzeczy innem patrzeć wzrokiem. Ale jednak, nie mogę zrozumieć, dlaczego takie właśnie postacie malowano z zamiłowaniem po kościołach?

— Wie Pani dlaczego?—zawołałem.—Otóż dlatego, że całą duszą wierzono w prawdę scen wyobrażonych, że całem sercem odczuwano ich grozę, że sądzono, iż to rzeczy święte, które się należy wiernym przypominać. Świętego Sebastyana, świętą Łucyę obnażyli kaci, dodając do męki srom i pohańbienie. I czyż wolno było wierzącemu na prawdę malarzowi ukryć przed wiernymi to, co ich udręczenie i zarazem ich zasługę wobec Boga tak niezmiernie powiększyło? Czyż wolno im było wyrazem ich twarzy nie obwieścić modlącej się rzeszy, że tak jak boleść ciała okrutna, podobnież i okrutniejszy wstyd nie

istnieje dla istotnie oddanych Bogu, w Bogu pogrążonych, a przeto wiecznie pogodnych i szczęśliwych dusz? Nie wiem, czegobyście Panie chciały? Czy należało wygnać z kościoła wyobrażenie najważniejszych tajemnic chrześcijaństwa: grzechu pierworodnego i odkupienia, dla tego, że Adam i Ewa byli nadzy w Raju, a Bóg przyszedł na świat nagim niemowlęciem, człowiekiem przyobleczonym w ciało, że Chrystusa obnażono, gdy go wbito na krzyż? Czybyście może Panie chciały, aby postacie naszych pierwszych rodziców w Raju przyoblekł malarz w jakieś za jego czasów modne i przyzwoite szaty? Czy należało nagość świętych pokutników ukryć? To chyba przed tłumem nowożytnym, który więcej w przyzwoitość, jak w świętość wierzy, który zgoła już tego nie pojmuje, iż niewinność szatą najozdobniejszą, nie rozumie tego, że ciało ludzkie, to najpiękniejsze, najdoskonalsze z widomych dzieł Bożych, że to rzecz święta, którą dopiero grzech zbezcześcił. A czyż chrześcijanin wierzy, że w dzień Sądu Strasznego, zmartwychwstanie w szatach, które mu sprawiły próżność i zbytek, albo które były widocznym znakiem jego nędzy i jego poniżenia? Nie! przenigdy nie! Wtedy król i żebrak staną zarówno nadzy w obliczu Boga i zgromadzonej na sąd ludzkości całej, a tem tylko będziemy się wówczas różnić między sobą, że grzesznemu i zmysłowemu nagość będzie na poniewierkę i poniżenie, a świętemu na chwałę i wywyższenie! Więc skoro malarz już umiał nagie ciała malować dobrze, skoro już się nie lękał tego, że dom Boży dziełem mniej udolnem zeszpeci, skoro się nazywał Signorelli albo Michał Anioł, a wierzył na prawdę, nie tylko dla obyczaju, przyzwoitości, albo ze względu na dobro publiczne — malował sąd ostateczny w całej grozie, w owej nagości, która do głębi wstrząsała sumieniem ówczesnych widzów. Prawda, cieszył się, że wolno mu harmonię cudowną ciała ludzkiego wyobrazić z najwyższym kunsztem, który niegdyś służył kłamliwym bóstwom Greków i Rzymian, a teraz mógł służyć Bogu prawdziwemu. Ależ bo wierni na te ciała ludzkie patrzali, jako na dowód najprzedniejszy wszechmocy Bożej, myśl Bożą w nich odczytywali, o sobie zapominali ze wszystkiem. Wtedy, ale tylko wtedy, każde zajęcie się sztuką jest czynnością religijną, kiedy człowieka odrywa od siebie samego, całego zamienia w oko, które widzi, ucho, które słyszy, myśl, która, rozmyślając, podziwia to, co wiecznie i nieodmiennie jest pięknem i prawdą. Poeta, albo malarz nowożytny, który przeważnie cały swój kunszt na to wysila, aby człowieka rozmarzyć wspomnieniem własnych, najbardziej ukrytych zachcianek, aby go rozkochać we własnej namiętnej ułomności, popełnia czyn, najprzeciwniejszy wszelkiej religii, najbezbożniejszy, jak się tylko pomyśleć da, bo popycha człowieka do

bezsilnej, samolubnej samotności, w której się samochcący potępi, w której piekło duszy, Bogu na złość obwoła kochankiem swoim.

Zwróciła się teraz do mnie pani Róża i przemówiła:

— Nie możesz pan opuścić sposobności, aby najnowszym prądom w sztuce i literaturze nie zrobić przytyku. Zarzuciłeś im teraz bezbożność, z tego powodu, że się człowiek dzisiejszy swoją osobą ustawicznie zajmuje. Nie przeczę, że bywa tego za wiele, że chorobliwe usposobienie wyradza się częstokroć z ciągłego szperania we wnętrznościach własnej duszy. Ale popełniasz pan może niesprawiedliwość, winiąc o to wyłącznie nasze czasy, choćby ostatnich lat sto pięćdziesiąt, owe prądy, które się poczęły w pismach Jana Jakóba Russa, które się rozwielmożniły w Europie pod potężnym wpływem Bajrona, u nas znalazły wyraz najpiękniejszy w poezyach Słowackiego, dały się za mego już życia na chwilę wyprzeć przez, przyznasz pan, bardzo jednostronny realizm i jego przesadę, naturalizm, a teraz wracają z podwojonym pędem pod postacią symbolizmu, czy też modernizmu, bo nie wiem na pewno, jak ten cały kierunek nazwać. A wracają dla tego, ponieważ odpowiadają naturze ludzkiej, właściwości duchowej, która każe się zawsze człowiekowi zająć samym sobą, której nawet potępić wcale się nie godzi, skoro pierwszem przykazaniem słusznie sławionej mądrości starogreckiej było zdanie: Poznaj siebie samego! A zgoła tego nie widzę, aby owi Włosi odrodzenia, których dzieła na równi z panem podziwiam, o sobie nie byli myśleli. Owszem, wystarcza spojrzeć na malowidła, które tu, we Florencyi, oglądać można, aby się przekonać, że zajmowali się swą osobą, i to w sposób, który nas aż razić musi. Po wszystkich kościołach i kaplicach widzimy, że nietylko ci, którzy obraz obstalowali, fresk malować kazali, ale także sam malarz, nie zapominali o sobie, swoje wizerunki stawiali obok postaci świętych, chcąc koniecznie tym sposobem swoją osobę przekazać potomności, i nie dbając o to, że siebie mieszczą tam, gdzieby się chyba aniołów, a nie grzesznych ludzi malować należało. Ghirlandajo, którego pan religijnym bardzo przezwałeś malarzem, do tego stopnia pochlebiał samolubstwu, czy też zajęciu się własną osobą u współczesnych, że trudno się domyśleć w chórze kościoła *Santa Maria Novella* tego, iż śliczne zresztą jego freski wyobrażają co innego, niż tylko grupy wspaniałych portretów ówczesnego wielkiego świata we Florencyi, a wszędzie głośna, za czasów malarza, elegantka — *La bella Simonetta*, zwraca na siebie uwagę prawie więcej od postaci świętych. I tak nie poczynał sobie w XV wieku sam jeden Ghirlandajo. Byłyśmy także dziś w owym wspaniałym, ponurym a potężnym Palazzo Riccardi, który dźwiga się wśród miasta, jakby jakaś ogromna, szara niespożyta, kwadratowa opoka, i zwiedziłyśmy da-

wną kaplicę, gdzieśmy przy świetle elektrycznem oglądały pochód trzech króli do Bethleem. Koło okna, gdzie niegdyś stał wielki ołtarz, widziałyśmy wprawdzie prześliczne grupy śpiewających aniołów, wyjętych z widzenia dziecka, które śni o niebie; ale tyle tylko rzeczy świętych namalował tu Benozzo Gozzoli, za dni naszego Warneńczyka, na całe pokolenie przed Ghirlandajem. Zresztą pokrywa ściany kawalkada ludzi, współczesnych malarzowi; widzimy same portrety osób, które tak zajęte były sobą, iż swoją postacią, swoim orszakiem chciały zastąpić podaniowych mocarzy ze Wschodu. A nam się wydaje prawie świętokradztwem, kiedy zamiast Kaspra, Melchiora i Baltazara, widzimy Paleologa, Medyceusza i patryarchę carogrodzkiego, bawiących wówczas współcześnie we Florencyi z powodu soboru, na którym układano unię obydwu kościołów i tak bardzo zajętych swoją osobą przezacną, że swoje konterfekta kazali namalować w pałacowej kaplicy, zamiast postaci świętych. I nie dość na tem; w głębi fresków namalował Gozzoli, na rozkaz Medyceuszów, ówczesnych pałacu właścicieli, rozmaite łowy i rycerskie igrzyska, dla uwiecznienia pamięci o bogactwach, gościnności i wspaniałości Medyceusza, niezapominającego zaiste o sobie, chociaż żył w tak bardzo dawnych czasach. To wszystko jest bardzo zajmujące i zabawne, a nawet śliczne, ale żeby to religijnego naprawdę ducha znamionować miało, tego jakoś pojąć nie mogę, nie mogę się dopatrzeć między tem różnicy, jak się ludzie niegdyś i jak się dziś przedewszystkiem swoją własną zajmują osobą. I owszem, zdaje mi się, że ani bankier, ani magnat dzisiejszy nie śmiałby zrobić czegoś podobnego, jak ci starzy, nie kazałby swojego oblicza, swojej rodziny, swoich zabaw i zajęć namalować w kościele, i to wśród obrazu, przeznaczonego na wyobrażenie zdarzenia z Pisma Świętego.

— Tak jest — odpowiedziałem — niktby tego dzisiaj zrobić nie śmiał, bo nikt do tego nie ma prawa; a ówcześni ludzie do tego mieli prawo. Tak, nie dziwcie się panie; nie cofam tego, co powiedziałem: mieli do tego prawo. Świętymi nie byli wcale, bardzo im daleko do tego, ale byli grzesznikami, chrześciańskimi grzesznikami, i jako tacy, rzeczywistymi członkami ciała Chrystusowego, rzeczywistymi członkami w świętych obcowaniu, i mieli takie same prawo do umieszczenia na religijnym obrazie, jak np. dusze czyścowe. A my dziś, możeśmy pod pewnym względem od tamtych ludzi lepsi, na wszelki sposób przyzwoitsi, ale z pewnością nie jesteśmy świętymi, ani grzesznikami, i tylko czasem od wielkiego dzwonu przypominamy sobie, że należymy do kościoła powszechnego. Tak dalece oddaliliśmy się od duchowego życia starych pokoleń, że nam się zdaje koniecznie, iż przodkowie kazali swoje konterfekta malować po kościołach na to,

aby o nich potomne wiedziały pokolenia, przez nowożytną próżność, w tym przypadku równie daleką od pana Cześnika i pani Cześnikowej, których nieudolny wiejski Apeles, tam u nas, na wsi, w drewnianym kościołku odmalował, klęczących przed Matką Boską, jak od Medyceuszów, lub Tornabuonich, których podobizny odtworzyli wspaniale Ghirlandajo, albo Gozzoli, na promiennych arcydziełach, przeznaczonych wyłącznie dla chwały Bożej. Nie pomyślimy nawet o tem, że gdyby o świecką próżność chodziło, nie o wieczne zbawienie, byliby ci ludzie niedorzecznie niezręczni, kiedy siebie i rodzinę swoją kazali malować, jako komparsów, jako uboczne figury, na malowidłach, poświęconych przenajświętszej Rodzinie, zwracającej na siebie oczy przedewszystkiem pobożnych i ciekawych. Nikt im nie bronił tego, aby sobie poradzili, tak, jak sobie radzono powszechnie, począwszy od reformacyi. Mogli kazać odmalować grupy portretów, wyłącznie ich osobie poświęconych, swoją „oblicznośc“ w miejscu świeckim, w pałacu, albo ratuszu, na podziw potomnych wywiesić. O tem ani pomyśleli. Człowiek najmożniejszy i najsławniejszy, był podówczas istotą zanadto marną, aby śmiał sobą zająć poświęconą Bogu sztukę, na siebie nikczemnego zwrócić uwagę pokoleń. Kazali domy Boże przyozdobić, a siebie kazali odmalować obok postaci świętych, dając tem znać, iż osoby swoje nieśli Bogu na ofiarę, ufając, że, jakkolwiek niegodnych, miłosierdziem swojem od sideł szatańskich obronić raczy. Te portrety po freskach i obrazach, to modlitwy ofiarodawców, to poniekąd prośba do widzów, aby kiedyś, po śmierci, odmówili za duszę zmarłych ofiarodawców, choć jedno Zdrowaś; to nie wywyższenie własnej osoby, tylko ofiarowanie siebie i swoich Bogu. Ci ludzie wcale nie modlili się zawsze; i owszem, bywali namiętnymi, bywali zbrodniarzami; ale drżeli z trwogi przed Panem, i tu przynajmniej, na konterfekcie, pragnęli stanąć przed obliczem Przenajświętszej Panny w pokorze i ozdobie. Rozumiał to malarz, który i siebie gdzieś pobożnie, w jakimś kącie obrazu umieścił i nadał tym postaciom wszystkim wyraz spokojnej kontemplacyi, jaki chrześcianin w każdej chwili życia mieć powinien. Najznakomitszych ludzi Florencyi i świata malowano, jako dwór Niemowlęcia, urodzonego w stajence, złożonego do żłobu, i jego Niepokalanej Matki, małżonki ubogiego cieśli. A jeśli malowano obok tego często przedziwne sceny rodzajowe, jeżeli nie broniono sobie przytem niewinnego humoru, jeśli oglądamy w kaplicy Riccardi łowy i harce rycerskie, jeśli ten sam Gozzoli niejedną scenę z życia chłopków i ludu miejskiego odtworzył, wśród opowieści biblijnych, odmalowanych na murach cmentarza w Pizie, to stało się dla tego, ponieważ pragniono, choć w miejscu modlitwy, albo odpoczynku wiecznego, poświęcić Bo-

gu całopalnie wszystkie zajęcia powszednie człowieka. Rozumiał to malarz, i dla tego nie szczędził ani kunsztu, ani pozłoty, wtedy także, kiedy malował ludzi grzesznych i sprawy, które wypełniały ich życie, dla tego to jedno spokojne, rajskie tchnienie owiało postacie święte, ludzi grzesznych i wyobrażenie zdarzeń powszednich, wszystkie te rzeczy przemieniło zarówno, wszystko przeniosło w jakiś promienny świat nadprzyrodzony, pełen cudów nieopisanych.

Kiedy skończyłem mówić, pani Jadwiga wstała z miejsca swego, dając tem znak, abyśmy się rozeszli i rzekła:

— Dziękuję Panu za to, coś Pan teraz powiedział, bo wytłómaczyłeś mi coś, nad czem nieraz rozmyślałam, dziwiąc się, dla czego te stare arcydzieła, w których pomieszano tak dziwacznie sceny i ludzi malarzowi współczesnych, ze zdarzeniami biblijnemi, robią mimo to tak dziwnie harmonijne, podniosłe i doprawdy pobożne wrażenie. A teraz życzę państwu dobrej nocy.

Wojciech Dzieduszycki.

ALFIERI.

(1749 — 1803).

Sto lat temu, pod koniec 1803 r., zmarł we Florencyi na Lungarno i złożony został obok prochów Michała Anioła i Machiawela w kościele Świętokrzyzkim Vittorio Alfieri. Setną rocznicę zgonu swego wielkiego obywatela i wieszcza temi dniami uroczyście święciły Włochy. W rodzinnem starem piemonckiem Asti odsłoniono młodzieńczy wyniosły jego posąg. Pałac jego dziedziczny obrócono na Muzeum narodowe. W mnogich pięknych i uczonych pismach odnowiono pamięć jego żywota i twórczości. W niezliczonych poważnych obchodach, na całym obszarze ziemi włoskiej z wdzięcznym pietyzmem sławiono czyste i zasłużone jego imię.

Godzi się i nam zdaleka oddać hołd przynależny szlachetnej postaci znakomitego patryoty i poety włoskiego. Choć odległe to dla nas rzeczy, przecie nieobce. Istniało zawsze szczególniejsze powinowactwo między Włochami a Polską. Między tym najdalej na Wschód wysuniętym posterunkiem wiary i kultury rzymskiej i zachodniej, a tamtem najpierwotniejszem i głównem jej ogniskiem. Z tych odległych krańców naszych zawsze, od czasów najdawniejszych, bieżono tam skwapliwie umacniać się w jednej i drugiej, rozpalać tam i zasilać swoją, niesioną w dal, pochodnię. A jakże tłumnie bieżono w jasnej dobie renesansu, kiedy najcelniejsze duchy polskie pod włoskiem odradzały się niebem, — pod tem samem niebem, gdzie znowuż w chmurnej dobie nowoczesnej najwyższe nasze poetyckie geniusze wypoczywały znużone na niewzruszonej skale Piotrowej i rzeźwiły się tchnieniem róż i wawrzynu, wykwitających z nieśmier-

telnego kapitolińskiego rumowiska. Ale i potem także i przedtem, a więc właśnie w niniejszem stuleciu XVIII, które wydało Alfierego, nie przerywała się nić duchowego powinowactwa polsko-włoskiego. Za przykładem królów Sasów, obu Augustów, tam nawróconych i kształconych, podawnemu pilnie podążano z Polski do Włoch od samego zarania aż do samego schyłku tego stulecia. Odbyli wtedy i skrzętnie opisali swoje *iter italicum* dwaj prymasi polscy, przychodzili tu w odwiedziny polscy mężowie nauki i stanu, ludzie pióra i szabli, Konarski i Staszic, Węgierski i Krasicki, Naruszewicz i Piramowicz, Wacław Rzewuski i Potocki Ignacy, pod koniec stawili się zbrojnie Kniaziewicz i Dąbrowski, wszystko zgoła co wyższe, co tęższe, tędy przeszło, tędy się otarło, stąd szacowny do domu wynosiło nabytek. Miała też kultura włoska w tym czasie mir i wzięcie w Polsce Augustowskiej i Stanisławowskiej. W lot tłoczono nad Wisłą polski przekład mądrych nauk Filangierego, nucono na salonach warszawskich wdzięczne piosnki Metastasia, owacyjnie witano melodyjnego Paësiella, kiedy w kaplicy na Zamku dyrygował swojem oratoryum, albo na scenie narodowej słuchał swoich zalotnych „Fraskatanek". I jeszcze ostatniem, niezisziczonem marzeniem starego, gasnącego Stanisława-Augusta było już tylko skołatany żywot módz zakończyć pod szczęśliwszem słońcem włoskiem.

A jednak—owe Włochy XVIII wieku, uczone, śpiewne, ponętne, jakże same w gruncie rzeczy głęboko były nieszczęśliwe. Gdyż ów olśniewający wiek oświecenia był wszak zarazem ponurym wiekiem klęski, który pod błyskotliwą powłoką zewnętrznej ogłady, postępowej myśli i rządów krył rdzenną brutalną swoją naturę, chował deprawacyę polityczną wydoskonaloną, bezlitosną, bezdenną. Takim przenikał go i napiętnował ktoś, co go znał najlepiej i najjaśniej w nim błyszczał: „to stulecie, ściek stuleci", *ce siècle, l'égout des siècles*, słowa są Voltaira. Czasy były twarde dla wszystkiego, co słabe, co niebronne, i twardem też niemiłosiernie brzemieniem zaciężyły na bezsilnych Włoszech.

Od początku XVIII wieku utrwaliły się we Włoszech obce, wrogie rządy Habsburgów, w jednym nasamprzód ośrodku lombardzkim, potem stąd coraz dalej, wzdłuż i wszerz oplątując półwysep. Wraz z Lombardyą i Mantowańskiem dostał się w ręce cesarskie Medyolan, stolica woli i myśli włoskiej, najdumniejsza ongi opoka przeciw najazdom cesarzów germańskich. Niebawem, jako owoc wojny o sukcesyę polską, dostało się domowi habsburskiemu Wielkie Księstwo Toskańskie, gdzie najczystszem brzmieniem wpada w ucho harmonijna mowa italska, a wraz z niem Florencya, stolica piękna i sztuki

włoskiej. Niedługo, a w Królestwie Neapolitańskiem, największej, najsuciej przez naturę obdarzonej połaci Włoch, zasiadła na tronie arcyksiężniczka habsburska. W opłakanym półbycie wegetowało Państwo Kościelne w dobie, kiedy papież, zmuszony stawić się w Wiedniu, chylił głowę przed urągliwą wyższością cesarza Józefa. W hucznym karnawale weneckim napróżno strach przed niechybną aneksyą austryacką odpędzała poniżona Republika Św. Marka. Drobne despocięta Parmy i Modeny, gnębiąc nielicznych swoich poddanych, kornie ulegały wiedeńskim nakazom. Całe niemal Włochy, rozdarte na zawisłe strzępy państwowe, a co gorsza, rozbite na nienawidzące się nawzajem atomy społeczne i plemienne, uginały się społem pod cudzoziemską, kulturalnie niższą, militarną i biurokratyczną przemocą austro-niemieckiego sąsiedztwa.

Osobno stało na północy Królestwo Sardyńskie. Tutaj, hartowniejsza ludność górska Piemontu w jedyne oporniejsze zespalała się jądro pod rządną i ambitną dynastyą sabaudzką. Tu była przyszłość Włoch. Ale też właśnie dlatego musiało tutaj nastąpić większe przystosowanie się do wymagań państwowości owoczesnej. Małe to, ubogie państewko, utrzymujące czterdziestotysięczną armię, wyobrażało jedyną siłę militarną włoską. Było to ponad jego możność, a stąd znowu musiało odbić się na całym nastroju życia i rządów. Sardynia owoczesna to były na swój sposób włoskie Prusy, Turyn—włoski Berlin, dom sabaudzki zapatrywał się na dom Hohenzollernów, Karol-Emanuel III, a zwłaszcza Wiktor-Amadeusz III—na Fryderyka Wielkiego. Nie było tu lekkomyślnej łatwości innych krain włoskich; była raczej jakaś osobna powaga, jakaś ponurość, właściwsza piemonckiej, niż włoskiej naturze, a właściwa też dorabiającym się dopiero państwom i dynastyom. W stosunkach politycznych i dworskich trudne zachodziły komplikacye i dziwne panowało napięcie. Z zewnątrz wisiała sąsiedzka podejrzliwość austryacka, szły niebezpieczne kuszenia francuskie. Wewnątrz domu królewskiego tkwiły głuche rozdźwięki rodzinne, przypominające spółczesny zatarg bourbońsko-orleański: wygasała panująca starsza linia sabaudzka, a czekała swojej kolei boczna linia carignańska, z „jakobińskiej księżniczki", z królewicza polskiego i Franciszki Krasińskiej, rodzicielki dynastyi dzisiejszej. Atmosfera naogół duszna i ciężka, stron ujemnych pełno: rządy patryarchalno-despotyczne a małostkowe i nieoświecone, militaryzm uciążliwy a wyczekujący i nieczynny, wysiłek bez owoców, bierność bez piękna, rygor bez chwały:—ale zawszeć, pod tem wszystkiem, tutaj i tutaj tylko tliła się iskra przeznaczeń wyzwoleńczych narodu.

Śród takich warunków zjawił się i wychował Alfieri, z nich czerpał rozliczne, bądź sprzeczne, bądź ewolucyjne czynniki swojej osobowości duchowej. Szarpać się on będzie w tem rodzimem środowisku, ciasnem, miałkiem, zatęchłem; pomstować na rządy w niem tyrańskie, dyscyplinę żołdacką, skostniałość i niewolnictwo czucia i czynu; wyrywać się stąd do nieuskromionej rozkoszy i swobody i za niemi po szerokim wędrować świecie: aż wreszcie powróci, odarty z wielu złudzeń, zgorzkniały od zawodów, ale wyniesiony ukochaniem szerszej swojej, wielkiej ojczyzny włoskiej i wiarą w jej przyszłość. Piemontczyk-arystokrata, sceptyk-republikanin, wyłuska z siebie narodowego poetę-Włocha.

Urodzony w samym środku XVIII wieku, wyszedł Alfieri z jednego z kilkudziesięciu najstarszych rodów arystokratycznych Piemontu, związanych od czasów niepamiętnych feudalną tradycyą służby wojskowej i cywilnej ze swoją dynastyą. Mimo cały swój liberalizm, z dumą lubił powoływać się na krew swoją starodawną, a nawet wywodzić się od któregoś legionaryusza rzymskiego, co już stanowiło pewną licencyę poetycką, gdyż ścisły jego rodowód, dość chyba starożytny, bo wyraźny aż do XIII wieku, dalej już zaciera się w pomroce średniowiecza. „Z rodziców — powiada o sobie — szlachetnie urodzonych, dostatnich i zacnych", niemowlęciem straciwszy ojca, w matce dobrej, kochającej, lecz wnet przez drugie małżeństwo od syna oddalonej, nie znalazł silnej opieki, jakiej wymagała przyrodzona burzliwość jego temperamentu. Oddany w młodym wieku do t. zw. Akademii turyńskiej, t. j. bursy szlacheckiej, swego czasu ponad zasługę słynnej, dokąd zdaleka się zjeżdżano i gdzie miał też, jak sam wspomina, kolegów Polaków, niczego się tu nie nauczył prócz doskonałej francuszczyzny i niezrównanej zręczności w jeździe konnej. Szlachetne konie to pierwsza odtąd, prawie szalona jego namiętność, zanim przyjdzie wolność, kobiety, poezya i Włochy. Po wyjściu z Akademii, zamożny, niezależny młodzieniec, zrażony do stosunków miejscowych i służby wojskowej lub dworskiej, dokąd powoływało go urodzenie, na los fantazyi i trafu puścił się w światy nieznane, dokąd z domowej cieśni gnała go buntownicza tęsknica. Przebiegł skrępowane Włochy, wyleciał za Alpy, przeszedł całą prawie Europę i wszędy dotkliwe zebrał rozczarowania. Zawiódł go świetny Paryż, gdzie południowe jego oko, kształcone na harmonii klasycznych linii romańskich, oburza „nikczemna i barbarzyńska" architektura, „śmieszna i uboga pompatyczność gmachów, udających pałace", „gotycyzm kościołów i wandalizm teatrów", a zwłaszcza „przebrzydłe, malowane twarze kobiece"; gdzie na przyjęciu noworocznem Ludwika XV rzymska jego dusza pieni

się na widok wzgardliwej buty królewskiej i służalczej pokory dworackiej. Jeszcze mocniej zgnębił go Berlin Fryderycyański. „Byłem prezentowany—pisze w Autobiografii—królowi Fryderykowi Wielkiemu. Nie uczułem na jego widok żadnego poruszenia podziwu ani szacunku, lecz raczej poryw zgrozy i gniewu. Król wyrzekł do mnie kilka słów pospolitych, wpatrzyłem się w niego uparcie, utkwiwszy spojrzenie prosto w jego oczy, i dziękowałem niebu, że nie kazało mi urodzić się jego niewolnikiem". Ciepłem natomiast słowem spółczucia młody podróżnik wspomina swój pobyt w starym Gdańsku: „tem mieście, dotychczas wolnem i możnem, teraz właśnie męczonem już przez złego sąsiada pruskiego, który siłą wprowadza tam zbirów swoich". Długo jeszcze się włóczył po obczyźnie w tych podwakroć odbywanych podróżach, ten szczególniejszy Child Harold *avant la lettre*: był w Szwecyi, Danii, Anglii, Holandyi, Niemczech, a wszędzie źle się działo synowi południa, — z wyjątkiem chyba jednej Hiszpanii, która go zatrzymała i zachwyciła. Tutaj, na półdzikiej a półrzymskiej ziemi iberyjskiej, szedł pieszo, ze stąpającym za nim luźno ulubionym wierzchowcem andaluzyjskim: „i dobrze nam obu było sam na sam w tych wielkich pustkowiach Aragonii, gwarzyliśmy sobie we dwoje, ...gdybym był wtedy umiał, byłbym pewno wiersze pisał bez końca, a tak szedłem poprostu, zatopiony w sobie, naprzemiany smucąc się i weseląc jednakowo bez powodu—dwie rzeczy, uważane zazwyczaj za szaleństwo i będące niem, skoro za niemi nie idzie pisanie; zaś skoro rodzą twór pisany, nazywane poezyą i będące nią". Urodzony klasyk oczywiście sam nie był świadom, jak świtały tutaj w jego czuciu pierwsze brzaski romantyzmu.

W tej swojej pielgrzymce europejskiej przeszedł także Alfieri przez nieuniknione opały sercowe. Naprzód w Holandyi zaznał pierwszego kochania i pierwszej straty, jeszcze bez zbyt ostrych rozdźwięków; potem w Londynie przebył jaskrawą tragikomedyę namiętności, ze wszystkiemi krzykliwemi akcesoryami, skandalem po gazetach, pojedynkiem nocnym w Greenparku, procesem rozwodowym przed Kings Bench, i co gorsza, ze smakiem mętów wypitych w duszy. Za powrotem do Turynu znowuż dostał się w doświadczone ręce pięknej rodaczki, skąd po ciężkiej dopiero walce wyratował siebie i wolę swoją. Wzmiankować tu wypadło choćby przelotem o tych wszystkich sentymentach, które po tylekroć, zwłaszcza w słynnych swoich Konfesyach, z takim ogniem uwiecznił poeta, a które w kraju Petrarki stanowią po dziś dzień nieodzowną ingredencyę jego legendy. Pokazują dziś jeszcze cudzoziemcowi ze sceptycznym uśmiechem uczeni

dyletanci turyńscy na placu San Carlo balkon pałacu Cambiano, gdzie opuszczona margrabina napróżno wyczekiwała zbiega; a wprost naprzeciw pokazują okno pałacu Avogadro, gdzie Alfieri, półszalony, nie racząc uciekać, a nie ufając własnej odporności wobec swego syreniego *vis-à-vis*, kazał, jak Odyseusz, mocnemi sznurami przywiązywać się do fotelu, i tak pisał pierwsze swoje tragedye. Są w tem wszystkiem zapewne obyczaje kraju i epoki; ale jest też jakaś nuta fałszywa, jakiś odcień sztuczny, graniczący prawie ze złym smakiem, a mający swe źródło w samej naturze poety, skłonnej do afektacyi, nawet wprost do pozy. Ażeby wreszcie skończyć o tej stronie sercowej, aż nazbyt natarczywie narzucającej się w żywocie Alfierego, choć naprawdę i u niego, jak dość często u ludzi piszących, skażonej przez zanadto świadomą percepcyę, oprzędywaną z lubością dokoła własnego *ja*,—wypada wspomnieć tutaj zaraz o ostatnim tego rodzaju epizodzie dozgonnym, o jego rozgłośnym, oficyalnie niejako usankcyonowanym związku z małżonką ostatniego Stuarta. Kochał się Alfieri z zasady tylko w cudzych żonach, czy to holenderskiego patrycyusza, czy angielskiego lorda, czy piemonckiego markiza, czy wreszcie pretendenta do korony brytańskiej: wyżej już nie awansował. I niepodobna twierdzić, ażeby ten ostatni epizod nie przedstawiał się w rzeczywistości daleko mniej idealnie, aniżeli go przedstawia sam poeta. Nieszczęśliwy, tułający się po Włoszech Karol-Edward, syn Klementyny Sobieskiej, prawnuk króla Jana, jeśli nawet nie był tym bohaterem, jakiego maluje lojalne szkockie pióro Walter-Scotta, nie był też napewno tym wyrzutkiem, jakiego czyni z niego nielitościwe pióro włoskiego rywala i następcy. Ani też niewierna małżonka pretendenta, która wyłącznie dla ambicyi poślubiła Stuarta już złamanego wiekiem, nieszczęściem, szukającego zapomnienia w winie, a która potem dla otrzymania separacyi wprowadzi w błąd Piusa VI, nie była bynajmniej tym ideałem, jakim wyobraża ją poeta. Widnieją po dziś dzień w Uffiziach florenckich obok siebie obadwa portrety sławnych kochanków: Alfierego ruda, pochylona, szlachetna głowa, twarz blada, wyczerpana, zorane czoło, głębokie posępne oko niebieskie, zaciśnięte piękne usta, taki, jak sam siebie żwięźle w jednym sportretował sonecie; a obok rzekoma królowa Anglii, Szkocyi, Irlandyi, czyli poprostu pani Albany, jasnooka, jasnowłosa, ładność obfita a dość pospolita, wcale nie taka, jaką w niezliczonych sonetach upiększył poeta. Był ten klasyczny związek miłosny, zdaje się, w gruncie rzeczy raczej związkiem dwóch miłości własnych: ona jego nazwiskiem podnosiła blask fikcyjnego swego królowania, głaskała jego ambicyę literacką, słuchała cierpliwie jego wierszy, przepowiadała mu nie-

śmiertelność, a po śmierci wystawiła tyleż sobie co jemu wspaniały pomnik Canovy w kościele Santa Croce i poślubiła młodego Francuza, z którym oszukiwała go za życia; on, raz na zawsze, żadnej zmazy nie chciał widzieć w tej, która wydała się godnym stałym objektem jego liryki i która w jego legendzie poetyckiej miała zostać nieodzowną Beatryczą czy Laurą. Na tem można poprzestać, zapuścić zasłonę na te nieuniknione słabości człowieka i wrócić do dziejów właściwych jego ducha.

Ze swoich dalekich zagranicznych podróży przyniósł Alfieri do domu zdobycz osobliwą a dla niego nieoszacowaną: przywiózł z Paryża kilkadziesiąt tomów poetów i prozaików włoskich, Danta, Petrarkę, Boccacia, Tassa, Machiawela. Było to dla niego istne odkrycie i przełom. Dotychczas był hrabiowskim kosmopolitycznym włóczęgą, daleko lepiej władał francuszczyzną niż językiem rodzimym, o piśmiennictwie rodzimem nie miał pojęcia. Teraz nagle poczuł brak i upokorzenie. „Zaprzysięgłem sobie, że nie będę szczędził trudu ani starań, aż nie poznam języka ojczystego, jak ktokolwiek we Włoszech". Teraz z zupełnem oddaniem się, z niewysłowioną rozkoszą, z całą impetycznością swojej natury, skąpał się, odrodził w cudnej mowie, w bogatej literaturze ojczystej. Awanturniczy panicz zrobił się najpilniejszym uczniakiem, uczył się własnego języka, zgłębiał wszelkie jego subtelności, archaizmy, odcienia, ślęczał nad słownictwem i gramatyką, rozczytywał się w pismach Cinquecenta i Trecenta, od nich dotarł do klasyków rzymskich, od tych do helleńskich, owładnął łaciną i greką. Nadzwyczajny to był wysiłek w człowieku jego stanu, wieku, a zwłaszcza jego usposobienia. Ale w tym wysiłku podtrzymywała go niezwyczajna a wysoko mierząca ambicya. Nie mogła być ona inną w ówczesnych spętanych Włoszech, jeno kulturalna, piśmiennicza, poetycka „Założyłem sobie—powiada Alfieri—zostać wielkim poetą, choćby przyszło umrzeć w tem przedsięwzięciu". Zapewne, był poniekąd błąd zasadniczy w takiem racyonalistycznem postawieniu rzeczy, w tem wyrywaniu się przez samą wolę do owych szczytów, dokąd tylko bezwłasnowolnie wynosi sam geniusz. Lecz dążenie było podniosłe, czyste i piękne. Raz obrawszy taką drogę, Alfieri tyleż z naturalnego popędu, ile przez logikę swojej ambicyi pisarskiej zwrócił się do tragedyi. Tędy popychała go przyrodzona posępność duszy. Tędy również pociągało go dumne pragnienie zostać pierwszym, jedynym. Piśmiennictwo włoskie, które wydało tyle niezrównanych arcydzieł wiersza i prozy, przecie nie posiadało wtedy ani jednej wielkiej tragedyi. „Zapytałem sam siebie:—pisze Alfieri—czemu ta boska nasza mowa, tak

męska jeszcze, silna i sroga w ustach Danta, musiałaby stawać się tak bezbarwną i mizerną w dyalogu tragicznym?" Postanowił sobie stanąć na tym wyłomie i zasłużyć sobie na pochwałę, jaką w prześlicznym sonecie odda mu później Giuseppe Parini: iżby z jego to ręki świetna Muza włoska odebrała jedyny jeszcze brakujący w jej włosach wieniec sztuki tragicznej.

Tak powstało dwadzieścia tragedyi Alfierego. Tak on został uznanym „ojcem tragedyi włoskiej". Czy nim został w istocie? Czy czasem nie było to ojcostwo bezdzietne? czyliż bowiem naprawdę wielkiej tragedyi nie brak Włochom po dziś dzień? Zadalekoby wdawać się tutaj w rozstrzyganie tych zagadnień estetycznych. Tyle pewna, że pomściła się na Alfierim sztuczność samego punktu wyjścia jego karyery piśmienniczej, tej jego wyprawy zdobywczej na Parnas, który on chciał ubiedz szturmem, jak jego przodkowie jaki zamek warowny. W dodatku, pomimo namiętnych i płodnych swoich studyów włoskich, racyonalista XVIII wieku pozostał przez całe życie pod silnym wpływem spółczesnej literatury francuskiej, a mianowicie teatru francuskiego. Wypierał się on tych wpływów, zwłaszcza odkąd pod koniec życia znienawidził śmiertelnie wszystkiego, co francuskie; odwoływał się wyłącznie do czysto klasycznego i romańskiego źródła, do wzorów starożytnych i starowłoskich. Jednak ten klasyk naprawdę nie otrząsnął się nigdy z pęt pseudoklasycyzmu; ten uczeń Horacego pozostał uczniem p. Boileau, wychowaniec Eschyla i Eurypidesa — naśladowcą Corneilla i p. Voltaira, ba, nawet Crébillona Ojca i Campistrona. Zapewne, w niejednej rzeczy odstrychnął się od Francuzów; pewne poboczne szczegóły ich dramaturgii przyniósł w ofierze własnej górnej koncepcyi o napięciu tragicznem i bohaterskiem w człowieku i sztuce; skreślił sporo ich środków konwencyonalnych, wydalił postaci podrzędne, rezonerów, przyjaciół, świadków, wzbronił długich dyskursów konającym, zaprowadził skrajną ekonomię budowy, motywów, osób, rzeczy, a zwłaszcza słowa. Tragedya, wedle jego definicyi, winna być „raptowna ile tylko dopuszcza rodzaj namiętności, prosta ile tylko zezwala możność artystyczna, okrutna ile tylko znosi natura, ognista ile tylko stać na to autora". Szczególny kładł nacisk na krótkość; chlubił się, że z zasady nie przekraczał 1,400 wierszy, a parę razy potrafił ścisnąć się prawie do 1,300. Rzecz prosta, że te wszystkie rzekome reformy, dość tanie, bo dotyczące powłoki, nie istoty, żadnego też rzetelnego nie oznaczały postępu. Zamiast jednego konwenansu podstawiał inny i niekoniecznie znośniejszy. Grecy i Rzymianie Alfierego równie są szablonowi, równie wyzuci głębszej prawdy ludzkiej i indywidualnej, równie wydarci z warunków swego

czasu i miejsca, jak wolteryańscy; tyle tylko, że zamiast pięknej, okrągłej maniery wersalskiej mają jakieś kurczowe rzuty automatów, zamiast perfumowanem powietrzem wersalskiem oddychają zupełnie *in vacuo*, w absolutnej, zimnej próżni dyalektyki namiętnościowej, i zamiast wedle wykwintnego smaku wersalskiego, są robieni na obraz i podobieństwo swego surowego włoskiego twórcy, albo raczej tego ideału mocy i grozy, jaki on w swojej osobie i twórczości pragnął wcielić i narzucić spółczesnym i potomnym. Zawisły faktycznie w swojej produkcyi od panującej dramaturgii francuskiej, Alfieri zarazem teoretycznie pozostał zupełnym niewolnikiem poetyki starożytnej. „Wieczny uczeń retoryki", spóźniony samouk, im z większym trudem dostał się do klasyków, z tem bardziej niewolniczem poszanowaniem na nich się zapatrywał, nie ważąc się nigdy, czy to pogwałcić sakramentalnej liczby pięciu aktów, czy to podnieść na seryo ręki na sakramentalne trzy jedności, czy zamiast wielkich królewskich i pańskich pośledniejsze wystawiać figury. Koniec końcem, pozostał klasykiem francuskim w najwyższym stopniu koncentracyi, i jego dwadzieścia okutych w żelazo i szczękających żelazem tragedyi, wcale dowcipnie nazwano „szwadronem kirasyerów, osłaniającym odwrót tragedyi klasycznej". Ta sroga aryergarda oddawna już znikła z oczu niepowrotnie; teatr Alfierego przeszedł do historycznych zabytków piśmiennictwa; i dziś bodaj czy ktoś jeszcze mógłby zapalić się wspomnieniem pani Ristori, jako Alfierowskiej *Mirry*, nikt już chyba pamiętać nie może pani Ledóchowskiej jako królowej Izabelli w Alfierowskim *Filipie II.*

Trafił istotnie dość wcześnie Alfieri na scenę warszawską i pewne echo znalazł w piśmiennictwie polskiem. Wystawiono u nas pół tuzina jego tragedyi: Saula, Filipa, Wirginię, Agamemnona, Antygonę. Jeszcze za Księstwa Warszawskiego Wojciech Bogusławski przełożył i piękniej zagrał *Saula*. Unosił się Osiński nad „wystawieniem tej sztuki, jednem z najdoskonalszych"; a sam tłomacz w „Uwagach nad Saulem" złożył ciepłe wspomnienie na świeżym wtedy grobie włoskiego poety, wysławiał „poetycką uroczystość stylu", zwięzłość, moc, ogień. Pochwały to pewnie nie ze wszystkiem trafne, jakkolwiek istotnie jeszcze chyba najwięcej zasługiwał na nie *Saul*, utwór daty późniejszej, zarówno odrębnością tematu z Pisma św., jak i całym miększym nastrojem wyłamujący się dodatnio z jego pseudoklasycznej maniery. Nieco później, podczas gromów napoleońskiej wyprawy do Moskwy, Feliński w swojem zaciszu wiejskiem, pomiędzy Barbarą Radziwiłłówną a Ismeną, zajął się Alfierowską *Wirginią* i swoim ciężkim przełożył ją wierszem. Zgłębił starannie przyszły

dyrektor krzemieniecki pisma tragika włoskiego, uczenie rozbierał obce o nim sądy Sismondego i Schlegla, ważył nastręczające się zarzuty suchości, cierpkości, przesady, lecz wyżej stawiał zalety, „prostotę, jasność, prowadzenie zawsze rozsądne“, a co najważniejsza, „że w moralnym względzie są to bardzo piękne dzieła“. Za Królestwa Kongresowego, jeszcze za miodowych jego miesięcy, można było na scenie narodowej wystawić *Filipa II*, ten utwór dziwny, mający istotnie coś z zaciętej i krwawej grozy starohiszpańskiej, lepiej wyczutej tu przez Włocha, niż przez Niemca, a jednak tak nieskończenie mniej zajmujący i uboższy od arcydzieła Schillera. Kajetan Koźmian, który znał *Don Carlosa*, ze smakiem wytknął słabości *Filipa*, brak majestatu w postaci królewskiej, nadmierne w niej skupienie wszelkiej ohydy, nadmierne w całej akcyi piętrzenie samych efektów okropnych, brak stopniowania, rozmaitości, umiaru. „Serce widza — pisał roztropny referendarz stanu — długo dręczone okropnemi obrazami, potrzebuje odetchnienia i spoczynku, szuka i ugląda pociechy w cnotach tej samej ludzkości, której strapiły go zbrodnie; inaczej, odrażając się od niej, odraża razem od sztuki“. Jeszcze po latach kilku, właśnie w czasie rozsrożonej literackiej wojny domowej z powodu dopiero co wydanych dwóch pierwszych tomików Mickiewicza, przypadło wystawienie w Warszawie *Agamemnona* i wojowniczym przedstawicielom obu przeciwnych obozów dało zaraz okazyę do ostrej utarczki. Znalazł się Alfieri wśród ówczesnych bojujących klasyków i romantyków warszawskich w położeniu człowieka, co siadł między dwa krzesła. Wszak miał on niezawodnie „śmiałość w składniach mniej giętkich, obok prostoty jakiś hart i tęgość, w wyrażeniach blask i częstokroć nastrzępienie“, t. j. cechy, dosłownie przyznawane przez Mickiewicza „stylowi romantycznemu“; a miał znowuż tyle najnieznośniejszych cech najsztywniejszego pseudoklasycyzmu. Z obu też stron wzięty na świadka za i przeciw, Alfieri z obu wziął cięgi i z obu pochwały; ścięto go nielitościwie w „Gazecie Warszawskiej“, ogłoszono oschłym, nudnym, bez wdzięku i czułości; w „Astrei“ impetycznie wzięto go w obronę, pokazywano tryumfalnie, jak „Melpomena Alfierego w prostej sukni greckiej, krwią tylko zbroczonej, z nagim sztyletem w ręku, jednym rzutem okropnego wejrzenia odpędza daleko od siebie romantycne zgraje, depce po ich lalkach, urąga się z ich widziadeł...“. Na ogół jednak przyjęcie i tego, i wszystkich innych dzieł Alfierego na scenie warszawskiej było oziębłe. O głębszym jego wpływie u nas wtedy nie mogło być mowy. Jeśli nawet przypadkiem cały prawie schemat jego lakonicznej *Maria Stuarda* wchłonie spełna Słowacki w zamknięciu

swego dramatu, przecież nieskończenie dalekim pozostanie od ubóstwa czucia i fantazyi Włocha; a jeśli znowu obiecuje aż w *Lilli Wenedzie* „szczebiotać Alfierego językiem“, to nasuwa jedynie przypuszczenie, że o tym twardym języku chyba żadnego nie miał pojęcia. Krasiński, który gdzieś powołuje najmocniejszą scenę z *Filipa*, pewnie lepiej mógł znać Alfierego, ale podobnież był od niego przegrodzony niewspółmiernością zbyt wielką i rdzenną. Na tem, mniej więcej, wyczerpywałyby się podobno namacalne punkty zetknięcia umysłowości polskiej z dziełem Alfierego.

Jednakowoż, cokolwiekby sądzić o stronie estetycznej w twórczości „ojca tragedyi włoskiej“, niepodobna pominąć tak donioslej w jego teatrze, tak w nim nawskroś, od początku do końca, dominującej stronie politycznej. Wszystkie prawie jego tragedye są osnute na tle czysto politycznem, poczynając od wściekłego okrzyku rozpętanego tłumu we wczesnej *Wirginii*, a kończąc na ojcobójczym czynie ostatniego *Brutusa*. Miłość tu wszędzie bądź na drugi plan usunięta, bądź zgoła wydalona na rzecz racyi stanu. W obu Brutusach, Starszym i Młodszym, zostały nawet wprost skreślone wszelkie role kobiece, sami mężowie rzymscy dopuszczeni do głosu. Dla tej samej pobudki nie masz tu nigdzie charakterów połowicznych, słabych, więc najbardziej ludzkich; zostawione same tylko dusze jednolite i silne, w złem czy w dobrem, w zbrodni despotycznej czy cnocie republikańskiej: albowiem teatr, według Alfierego, winien być przedewszystkiem „szkołą mocnych uczuć i czynów“. Winien być nią mianowicie dla Włoch owoczesnych, wydelikaconych, zniewieściałych, znikczemniałych. Dla nich to przeznacza poeta te ich własne praojcowskie wzory rzymskie; dla nich niekiedy, jak w *Sprzysiężeniu Pazzich*, *Don Garcii*, sięga do bliższych tematów florenckich z doby Lorenza de' Medici. Taka bezpośrednia intencya polityczna znalazła wyraz zwłaszcza w tych pięciu jego tragedyach, które on stawiał najwyżej, w pięciu *tragedie di libertà*: Wirginii, Pazzach, Tymoleonie, obu Brutusach. Poświęcając *Brutusa Starszego* „sławnemu i wolnemu mężowi, generałowi Waszyngtonowi“, szczęśliwym go mienił, iż mógł on swojej ojczyźnie służyć czynem, nietylko pisaniem. Zaś ostatnią tragedyę, jaką napisał, *Brutusa Młodszego*, ofiarował w prostej dedykacyi „przyszłemu Narodowi włoskiemu“.

Te słowa dedykacyi Włochom przyszłości kładł Alfieri pośrodku wzburzonego Paryża w przededniu wzięcia Bastylii, pośrodku wstępującej w nową przyszłość Francyi rewolucyjnej. Owóż tutaj najcięższe czekało go przesilenie duchowe, doszczętne wywrócenie wszystkich jego pojęć społecznych i politycznych. Karmiony i pod

tym względem na pseudoklasycyzmie republikańskim a głównie na współczesnych myślicielach francuskich, na encyklopedystach, na Roussie, oświecony arystokrata, teoretyczny wielbiciel wolności, srogi pogromca tyranii na koturnie tragicznym, lecz wyobrażający sobie, iż „rewolucye się przyrządza z esencyą różaną“, radośnie był witał pierwsze znaki wielkiego przewrotu i stylem pindarowym opiewał „Paryż Debastyliowany“. Ale kiedy niebawem jako świadek naoczny asystować musiał przy wypadkach paryskich, tak błyskawicznie postępujących naprzód a tak coraz straszliwszych, kiedy słuchał huków Konstytuanty i Legislatywy, przeciskał się na ulicach przez rozjuszone tłumy, oglądał rzeź szwajcarów królewskich, trupy na latarniach i pracującą gilotynę, wtedy cofnął się, wzdrygnął i zwątpił. Już po faktycznej detronizacyi Ludwika XVI i zaprowadzeniu Republiki francuskiej biedny ex-republikanin ateński czy rzymski, wraz ze swoją ex-królową brytańską, z niebezpieczeństwem życia ledwo zdołał się z rąk tłuszczy jakobińskiej wydostać za rogatkę paryską i granice Francyi. Opłacił swoje iluzye znaczną stratą majątkową na asygnatach francuskich oraz stratą zrabowanej pierwszéj pełnej edycyi swoich tragedyi, czego nigdy barbarzyńcom republikańskim nie zapomniał zgorszony autor. Najdotkliwszą oczywiście była jednak strata moralna, duchowa. W jego duszy ognistej i porywczej dokonała się raptowna a głęboka odmiana, w swojej części miarkującej pewnie uzasadniona i zrozumiała, lecz w swoim kierunku wstecznym wylatująca daleko poza wszelkie sprawiedliwe granice. Nadewszystko zaś z całą mściwą pasyą południowca znienawidził tych, którym zawdzięczał zburzenie swoich idealnych złudzeń, znienawidził śmiertelnie wszystek naród francuski. Dotychczas jego ataki poetyckie mierzyły bądź w wewnętrznych despotów włoskich, bądź w Austryę. W austryackiego władcę Toskanii był godził ów sonet, pełen pogardy, o podeptanej Florencyi, po której ongi chadzał Michał-Anioł, a gdzie dziś stróżuje leopoldyńskie żołdactwo. Austryackie barbarzyństwo był piętnował ów drugi, pełen goryczy, o zamknięciu słynnej Akademii *della Crusca*, czuwającej nad czystością dźwięcznej mowy włoskiej, tej najdroższej po ojcach spuścizny, wypieranej przez nikczemne narzecze panujących Gotów. Teraz natarł Alfieri z furyą na samych Francuzów. Ci pokrewni barbarzyńcy gallijscy, wszak nietylko splamili pianą demagogiczną i przelaną krwią niewinną biały marmur jego klasycznej fikcyi republikańskiej, lecz nadto ręką świętokradzczą sięgnęli po wawrzyn zdobywców świata, już przekroczyli Alpy, i pod nowym Brennusem, Bonapartem, zstępowali do równin lombardzkich i toskańskich. Tak powstał Alfierego dziwaczny

Misogallo, „Gallożerca", niby ogromna machina wojenna starożytnej konstrukcyi, niby ciężka jakaś katapulta, skąd, niby wyostrzone pociski, odłamy prozy, sonety, epigramaty, lecą na nacierających Gallów. Są tu rzeczy istotnie niepospolite; i bodaj aż w Byronowskim *Don Juanie* można odnaleźć wyraźne ślady wijącej stąd potężnej satyrycznej suggestyi. Ale jeśli istotnie do najwyższej potęgi dochodzi tutaj inwektywa poetycka Alfierego, — dochodzi tu także do skrajnej brutalności, a wreszcie — do śmieszności. Gdyż doprawdy zbyt dotkliwa była dysproporcya pomiędzy temi papierowemi strzałami z apollinowego kołczanu a piorunami gromowładcy z pod Arcole i Marengo. A jakże dotkliwy wyniknie dysonans, kiedy to — po zwycięstwie Suworowa nad Trebbią, gdzie ulegną chwilowo Francuzowi, ranny nasz Dąbrowski, — Alfieri, zapamiętały w ślepej gallożerczej nienawiści, będzie witał jak zbawców wracające do Florencyi wojska austryackie. Zabrnąwszy tak daleko w swojej kampanii antyfrancuskiej, znajdzie się on w położeniu nawskroś fałszywem, wparty do obozów właściwie zgoła sobie obcych, do wszelakiej reakcyi i koalicyi antyfrancuskiej. Tą drogą jego sława, nietyle poetycka ile właśnie sława *misogalla*, dotrze aż do dalekiego Wilna, i uczony profesor wileński, prawnik i filozof, Capelli, pośpieszy w „Dzienniku wileńskim" umieścić pierwszą jego polską apoteozę, podnosząc z naciskiem tę jego wiekopomną zasługę, iż „Alfieri niczego nie spodziewał się od Francuzów, których z gruntu lekkomyślność i niestateczność poznawał". Taka pochwała, wygłoszona w Wilnie między Austerlitzem a Jeną, kiedy wszystkiego „spodziewano się od Francuzów", bardzo była na czasie: — ale też tutaj tkwiła jedna z przyczyn tej oziębłości, jaka musiała później spotykać imię Alfierego w przeniknionej duchem francuskim i napoleońskim Warszawie Księstwa Warszawskiego i Królestwa Kongresowego.

Tak u zmierzchu życia zabłąkał się Alfieri w powikłaniach surowej rzeczywistości spółczesnej, ugrzązł w negacyi, w sprzeczności z samym sobą, z istotnem przeznaczeniem swojej ojczyzny, która wszak po upływie pół wieku właśnie z ręki francuskiej, napoleońskiej, miała wziąć odrodzenie i zjednoczenie polityczne. W starzejącym się poecie, republikaninie z zasady a arystokracie z urodzenia, klasyku w twórczości a romantyku w życiu, głębokie wystąpiły rysy i przenikliwe odezwały się zgrzyty. Rozpadła się w nim sztuczna jednolitość, zmalała sztuczna posągowość tej wspaniałej pozy, którą on przybierał jako wieszcz i jako człowiek, którą częściej, zamiast imponować, tylko niecierpliwi przy bliższem wejrzeniu, a bez której wszak obejść się może doskonale jego postać szlachetna i jego narodowe

stanowisko poetyckie. A zarazem, co główna, co najistotniejsza, nosi on wielkie znamię narodowego poety, jednego z najwcześniej uświadomionych tego swego nowożytnego narodowego posłannictwa. W owem końcowem rozbiciu wielu swoich porywów i wierzeń znalazł Alfieri tem mocniejsze ukojenie i oparcie w tem świadomszem ukochaniu ojczyzny własnej, tem ściślejszem z nią zespoleniu się, tem pełniejszem rozpłynięciu się w jej swoistej naturze i tradycyi, w jej idei wiecznej i istności realnej. Pókim był młody — mówi szczerym sonetowym wierszem syn marnotrawny, wracający do swoich rozbitek, — karciłem ciebie, Italio, nie szczędziłem ci gorzkich wyrzutów: teraz, po raz dziesiąty, bogdaj ostatni, przekraczając Alpy, przychodzę strudzone ciało pielgrzyma złożyć w Twojej miłościwej, macierzystej ziemi. Tutaj, na tej ziemi pędząc odtąd zachód żywota, obok zatrutych wybuchów żółci przeciw narodowi obcemu, najczystszym może, najpiękniejszym głosem serca przemówił do własnego, schodząc do samej treści jego przeznaczeń, kultury, nawet wiary. Wtedy to podglądnięto go przypadkiem, jak gdzieś skrycie w kościołku ustronnym, wśród prostego ludu florenckiego, przystępował do Komunii św. Wtedy, najdumniejszym lotem myśli ogarniając świetną przeszłość i nieśmiertelną przyszłość Włoch, nawoływał je do wygórowanej ambicyi narodowej i upominał się o ich prymacyalne tytuły kulturalne w powszechnym europejskim zespole. Wtedy, w śpiżowej pieśni zapowiadał niechybny „dzień, kiedy z martwych powstanie Italia“: *Giorno verrà, tornerà giorno in cui Redivivi ormai l'Itali staranno.* Te przedśmiertne jego liryki należy zaliczyć do najbardziej pociągającej, prostej i szczerej jego twórczości poetyckiej. Ukazuje się nam tutaj poeta, jak samotnie długie odbywa przechadzki, już nie gdzieś po zamorskiej obczyźnie, ale po umiłowanych kątach swoich rodzimych, jak zwolna kroczy wśród harmonijnych gmachów florenckich i toskańskiego dobrego ludu, jak wychodzi za miasto w ciszę wieczorną, pod pogodne etruskie niebo, między krzaki róż i oliwków na wzgórzach San Miniato, między gaje piniowe nad pluskającym łagodnie Arno. Takim widział go wtedy daleki gość polski, rzucony tędy przelotnym losu trafunkiem, poseł cesarza Pawła na dworze florenckim, młody ks. Adam Czartoryski, widział i opisał Alfierego, jak schorowany, znużony, pogrążony w myślach, błądzi samotnie po okolicach Florencyi, skandując swoje wiersze. Takim błąkającym się, bledszym, lecz nieodrodnym cieniem starego Danta, oglądać go będzie wyobraźnia Leopardiego; takim, w ognistych Mazziniego oczach, wyda się on „najpierwszym nowożytnym Włochem“, a w Giobertiego marzeniach apostołem „prymatu włoskiego“, odnowicielem przedniości rodzinnego geniuszu; takim, obok większych od niego,

lecz pokrewnych mu poprzedników dawniejszej doby, godne zachowa miejsce w Panteonie piśmienniczym narodu włoskiego; i takiem też u obcych, w towarzystwie pokrewnych, choć większych poetów narodowych nowożytności, z szacunkiem wspominane będzie to imię: Vittorio Alfieri.

Szymon Askenazy.

A gdy w głąb duszy wnikniemy...[1]

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

Oparty o balustradę mostu stoi Lelian.

Czwarty rok chodzi na filozofię, czwarty rok obnosi po rozpitem i rozhulanem mieście swój cyniczny uśmiech, swą twarz Cherubina o potężnej władzy duchowej, która ma w sobie coś z drobiazgowości wampira i olbrzymiej a groźnej potęgi syntetyzującej w sobie istotę życia.

Perwersya moralna, ten rozkoszny dreszcz w chwili poddawania innemu myśli samozniszczenia — ogarniała go już od dziecka.

— Skalecz się! — mówił dzieciom, sam dziecko o rozmarzonych oczach i delikatnie skrzywionych wargach — skalecz się... zobaczę, jak to cię boleć będzie...

I patrzy.

Po czarnym aksamicie Velasquezowskiej bluzy suną powoli białe rączki, wtłaczając w pierś ekstazę cudzego bolu.

— Głębiej!

Aż raz nagle:

— A gdybyś przeciął sobie żyły!

Tamten pobladł.

— Mógłbym umrzeć!...

Dziki błysk radości, tryumfu.

— A gdyby!...

---

[1]) Patrz zeszyt wrześniowy, str. 433, — październikowy, str. 16, — listopadowy, str. 240, — grudniowy str. 464.

I od tej chwili pragnienie doprowadzenia istoty żywej do konieczności rozkładu, pragnienie zostania czynem czyjejś woli.

Wieki składają się na taką Moc, jaką miał w sobie i rozwijał ten Velasquezowski chłopiec.

Zarazem rosła w nim subtelność niezwykła duchowa i rozum zaostrzał się prawie anormalnie. Intuicyą wysubtelniał go, a bystrość jego miała lotność eteru, przenikającego to, co dla innych było niezgłębioną Tajnią.

Zdolność pracowania nad sobą prawie żelazna, nadała mu bart, potrafił wywołać wizye, lecz sam nigdy niespojrzał obłędnie w ich łona. Wsłuchiwał się w cudzy jęk i spokojnie rozróżniał w nim płomienie, które kolejno gasły w lampie krzyżowanej przez niego duszy.

Równocześnie wzrosła w nim do potęgi nienawiść do wszystkiego co twórcze, rodzajne i powstające myślą skrystalizowaną w formę.

Zapragnął niszczyć nie ogień rozświecający mroki, lecz samo naczynie, które ten ogień rozniecić jest w stanie.

I zwrócił się ku najzdolniejszym, najbardziej twórczym, ku tym którzy najwięcej po sobie pozostawić mogą.

Przez lat cztery snuł się po zaplutych śliną knajpach, po redakcyach, po lupanarach i zbierał tam kwiat, padający chwilowo w błotnistą maź, kwiat królewski pełen woni i wielkich myśli.

I teraz, czeka tak na moście, aż się spełni jedno jeszcze jego dzieło, aż tam w lesie „on“ stanie się czynem woli, którą spętał i swoją uczynił.

. . . . . .

Narbut oderwał się od grupy zbitej przy biurku i niespokojnie wpatrzył się w jasny punkt migocącego w oddali telefonu.

Pod czaszką miał lód, lecz już tajało w nim niewyraźną chęcią twórczą, która była niejako środkiem jego subjektywnego talentu. Cierpieć chciał ze swej głębiny i rozsypywać całymi snopami iskier to, co w nim gorzało.

— Pisać chcę, malować...

Wzrok jego zaczął błądzić i nagle ogarnął siedzącego na oknie Leliana.

Przyszło mu na myśl, iż ten człowiek przedstawia niezupełną Duszę ludzką.

Intellekt, smak artystyczny — tak.

Brakuje trzeciej potęgi.

Moralnego zmysłu.

Narbutt zwrócił się ku Lelianowi i podrażniony, z pod brwi rzucił mu prosto w twarz.

— Nie, niemasz go.

Lelian drwiąco uśmiechnął się.

— Czego?

— Moralnego zmysłu.

— Oh! oh!... wystarcza mi to, co wymieniłeś... — a potem — skąd ci to przyszło?

Narbut chciał odpowiedzieć:

— Ta śmierć, to zgładzenie pod wpływem twej suggestyi.

Lecz Lelian przerwał mu niecierpliwie.

— Stworzyłem dzieło.

— Ty, zniszczyłeś je.

— Stworzyłem prawdziwie piękne dzieło. Nie jest ono uchwytne ani konkretne. Będzie żyło w tobie, w nich, w świecie całym. Dziś tysiąc mózgów zadrga prawdziwie pięknym nastrojem, gdy myśl o tej śmierci przeniknie dokoła. Żadne ułożenie najpiękniejszych środków, któremi ludzie posługują się do wytwarzania swych „arcydzieł“ nie da tego dreszczu i następnie tego szeregu wrażeń, jakie ja wolą swoją w ruch wprawiłem...

Narbut słuchał mimowoli ogarnięty jakąś melancholią.

— *Moral sense!...* — powtarzał machinalnie.

— Żujesz, żujesz bezużyteczne słowa!

— *Moral sense...*

— Wypluj. Na nic się nie zda.

Banda skończyła pisanie nekrologu.

Rozpierzchła się powoli. Każdy chwytał zniszczony kapelusz, ten i ów podnosił kołnierz palta, aby ukryć zmięty, niezmieniony od wczoraj kołnierzyk.

Lelian i Narbutt mierzyli się dziwnie wzrokiem.

— Chodź z nami! — wymówił wreszcie Lelian.

— Nie, pozostanę.

— Co będziesz robił?

— Pisać chcę!

Lelian zaśmiał się prześlicznym, chromatycznym śmiechem.

— Może znów artykuł taki jak wczoraj?

Narbutt pozostał bezbronny, tak go ten śmiech wysmagał bezlitośnie.

— Gdyby... — próbował jakby nabrać siły.

— Co tobie do tego? co tobie do tego? bajazzo?

Ma racyę. Zagadkę natury ludzkiej chcesz koniecznie wykopać w symetrycznie ułożonej kupie gnoju. Zostaw to... *La tristesse de tout cela...* i twojego marnego życia razem.

Umilkł i z pod przysłoniętych rzęs, patrząc prosto w twarz Narbutta, dodał:

— Ach! czemuż nie chcesz odczuć potęgi prawdziwej jednego wielkiego gestu!...

W oczy Narbutta, w ich głąb wpadło coś niepojętego. Dwie strzały, które odbiły się aż w mózgu i stamtąd przemknęły się po całym organizmie. Uczuł równocześnie jakiś niewytłómaczony brak równowagi, jakby nagłe znalezienie się na powierzchni oceanu, który nim miotać zaczynał w przestrzeni przepojonej groźnemi, strasznemi przeczuciami i trwogą.

— Nie, nie... — odparł siadając przy biurku — pozostanę. Chcę pisać. Chciałbym rozebrać dzieło Maurycego Denis. Muszę nasze społeczeństwo zmusić, aby przeżyło przyczynę i rezultat tego rodzaju twórczości.

Lelian stał teraz obok biurka.

Laską kręcił młynka.

Szafirowe oczy marzyły.

— I co ci z tego przyjdzie? Wygdaczesz się zamiast poić swą duszę pięknością dróg przez ciebie odkrytych... A potem, czy są dzisz, że na n i c h to zrobi wrażenie, że fala twej myśli poruszy w nich fale ich myśli... I *enfin* co ci z tego przyjdzie?..

Narbutt usiłował wzruszyć ramionami.

— Pomyśl, i tak cię czeka... śmierć!

Padło to słowo tuż nad głową Narbutta ciche i straszne.

— Tak, tak. Zamkną cię czy prędzej czy później w pudełku blaszanem, jak sardynkę i zaklepią łopatami. Hu! hu... *requiem aeternam...* Ksiądz zakatarzony, szum cmentarnych brzóz, cylindry świeżo odprasowane na pogrzeb i napiwki grabarzom, którzy zwalą na ciebie parę tysięcy kilo gliny, ażebyś się czasem ciałem z pod niej nie wydostał. A potem maź, ciecz lepka... to ty... kości trochę... co?

Lelian uderzył laską po nagromadzonych na biurku skryptach.

— A to? a to? ma cię to obronić może? ma to po tobie pozostać? Po co? aby inni kradli kombinacye twych myśli i później sprzedawali za swoje?

Narbutt już milczał, dwiema rękami splecionemi oczy zakrył.

— Nierozumiesz mnie... odrzucił wreszcie, ja inaczej patrzę na artystyczną twórczość!

— Mało interesujące... — zaśmiał się Lelian — objawy niedołężne po prostu i somnambuliczne. Wszystko mrzonki, któremi w szpitalach miłosierne dozorczynie wypełniają chorym przed operacyą bezsenne noce...

Narbutt nie odpowiadał nic.

Od kilku chwil zaczynał doznawać wrażenia, jakby w tym chaosie, w który wpadł, jakaś jaśń przebijała się ku niemu przez mgławicę, w którą zapadał.

Jaśń ta miała formę kobiety i od niej wybiegał ciepły promień, który powoli przybierał kształt przyjacielskiej, ukochanej dłoni.

Wyczuwał Ankę po za ścianą pokoju.

Dusza jego nagle przywoływać ją zaczęła.

I jaśń przybierała coraz więcej jej kobiecy kształt. Oczy z onyksów już płonąć zaczęły.

Ciepło i harmonia ogarniała i promieniała wprost ku niemu.

Uczuł swą młodość i życie rozlewne i mogące ująć się w kształty.

Nagle, na jego ramieniu zaciężyła dłoń.

Nie zaciężyła, ale musnęła raczej, jak skrzydło mistycznego Ra o świętych, nieprzeniknionych Tajniach.

Niemniej przywarła się raną żrącą do całej istoty, do wszystkich jej części tak fizycznych, jak i duchowych.

Lelian położył rękę na ramieniu Narcyza.

I tym jednym gestem wziął go pod władzę swoją.

Szafirowe oczy wpiły się w kark schylony, kark neurastenika.

Oczy te sondowały siłę woli i odporności swej nowej ofiary.

Cicho, bez gwaru wysuwali się jeden po drugim towarzysze Narbutta i Leliana.

Pozostały po nich obłoki dymu i niepokój, jaki zawsze ich owiewał, niepokój i melancholia bezgwiazdzistych nocy.

Narbutt uczuł straszną, bezbrzeżną rozpacz.

Zdawało mu się, iż kat piętnuje go w tej chwili rozpalonem żelazem, aby powieść go na stracenie.

Całą resztkę zanikającej woli zabrał i rzucił ją w kierunku przeświecającego ku niemu kobiecego zjawiska.

Dobra, kochana ręka, wyciągnięta i promieniejąca w oddali.

I nagle ta ręka zbliża się coraz więcej.

Narbutt powstaje niemal na jej nadejście.

Wyrywa się z piętna i z tamtej dłoni muskającej jego ramię.

Na progu pokoju zabielało.

W ramie drzwi stoi Anka.

Rękę ma wyciągniętą w kierunku Narbutta.

Kształt jej ma tę samą formę, jaką miało przed chwilą ujrzane przez Narbutta zjawisko.

Stopiło się z niem w jedno.

I płynie od niej wielki, spokojny prąd życia, równo rozdzielonego i wyczutego.

Idzie cicha i ogromnie kobieca ku tym dwom, pomiędzy którymi wiąże tragiczny węzeł niewidzialne widmo śmierci.

I gdy się zbliżyła tak, że dłoń jej spoczęła w dłoni Narbutta, spoczęła pierwsza świeża i wonna w dłoni spalonej gorączką nocy bezsennej—nastało wielkie milczenie takie, jakie się czuje przed nadejściem gromu, który ma wszystko zniszczyć lub rozwiać się w powietrzu.

Anka nie mówi nic.

Patrzy w oczy Narbutta, swym pięknym głębokim wzrokiem.

Nie słyszała nic ze słów Leliana, lecz stamtąd, z oddali uczuła konieczny, nieprzeparty mus pójścia ku Narbuttowi.

Zdawało się jej, że słyszy cichy jęk, wołanie o pomoc, że całą przestrzeń wypełniają dzwony, bijące na trwogę.

I wśród huku tych dzwonów wyczuwa Anka jeszcze syk węża, który tryumfalnie, królewsko bierze kogoś w posiadanie, pełza po kimś, piętnuje jadem.

Anka czuje, że ten ktoś jest jej blizki, jest jej konieczny, że ten ktoś dominuje nad nią i ma władzę przewodnią i czuje równocześnie, iż ten ktoś może zginąć. Doznaje uczucia ratowania drogowskazu, bez którego zabłądzi wśród czerni życiowej puszczy.

Jest więc w tem linia egoistyczna, motyw działania silny i jej własny. Tego jednak Anka na razie nie czuje, idzie i staje przed Narbuttem biała i piękna, jak kwiat, nagle na straży ręką Anioła w górę wzniesiony.

Lelian obrzuca tę postać nadeszłą zda się po smudze eteru, spojrzeniem prawie zdziwionem.

Przeczuć jej nie mógł, bo jego część duchowa miała granice przeczuć zjawiskowych, po za które nie sięgała.

Skoncentrowana i zaostrzona w pewnym punkcie, szła bez przeszkód, mających harmonię potęgi Najwyższej w formie Kobiety — Ducha.

Po raz pierwszy Lelian staje przed takim wykwitem istoty ludzkiej i natychmiast on, Duch-Destruktor, odczuwa w nim Ducha-Twórcę.

I następuje wielka, niespodziewana chwila.

W milczeniu zupełnem ściera się potęga Zniszczenia, z potęgą Twórczą, walcząc siłą ducha, bez słów, bez gestów i tylko niewidzialne skrzydła spotykają się w przestrzeni i chrzęszczą złowrogo w smugach eteru.

Zniszczenie!

Byt!

Źrenice onyksowe Anki, dwie czary pełne litosnej Piękności, rozlewające siłę życia, biorące w siebie smutek po to, aby go wychłonąć, wonią, Pięknem, melancholią wielkiego czaru umożebniającego istnienie!

I stalowe szafiry ócz Leliana, ich beznadziejna niemożliwość zgody z życiem, to trucizna zalewająca wszelkie mrówcze objawy tymczasowej pracy, chłonięcie w siebie smutków życiowych po to, aby je wychłonąć jako przeogromną rozpacz i nostalgię, spadającą lawiną na pochylone karki neurasteników.

O, te szafiry, te onyksy tych dwojga walczących w milczeniu, wśród smug eteru, w widmowej przestrzeni!

I Anka czuje, że słabnie, czuje że skrzydła jej łamią się i zwisać zaczynają bezwładnie.

Nie wie dlaczego, ale że tak jest, ma pewność.

Doznaje nagłego wyczerpania i uczucia nadzwyczajnego smutku i upokorzenia.

Lelian natomiast w tej niemej walce odczuwa ogromną swą moc i tryumfuje w apoteozie swej Siły.

Gdy ciągle milcząc wysuwa się po za drzwi redakcyi, jest spokojny, że dłoń Anki nie zmaże śladu dotknięcia, jakie ręka jego piętnem śmiertelnem wycisnęła na istocie Narbutta.

. . . . . .

A dzieje się to jedynie dla braku największego czynnika, jaki Anka ze sobą przynieść mogła.

Nie było w nadejściu jej Miłości ku Narbuttowi, niebyło Miłości kobiecej - duchowej, niebyło Miłości człowieka - kochanki, niebyło rozśpiewanego Hymnu poświęcenia i wkochania się w cierpienie i potrzebę ginącego.

Anka poszła linią egoizmu, chciała chronić tego, który był czynem jej Woli i zaczynała być pokonywaną przez siłę będącą Czynem czynu jej Woli.

Miłości nie było...

Przyszła w fałszywej szacie Samarytanki, w pozornej szacie strzegącego świątyni życia Anioła.

Pokonaną została przez Demona, który szczerze odsłaniał swe motywy i nienawidził rozkłębioną w huragan ziejący ogniem — potęgą.

Nienawiść oślepiała blaskiem.

Miłości nie było...

W eterze unosiło się widmo egoistycznych celów...

I płynęło ze strony... kobiety!

. . . . . .

Gdy Lelian wyszedł i Narbutt pozostał sam z Anką, mówili dużo i dobrze, komentowali artykuł o Stalewskim, naradzali się nad tem, co pisać dalej, aby w tym kierunku pchnąć tłumy i poddać im konieczność opamiętania się.

Lecz dziwna to była nuta, która w ich głosie drgała.

On spadał ciągle z tonu, jak aktor źle wyuczony i potem chwytał się nerwowo widm pozornej już teraz dla niego konieczności pracy.

Ona, kierowała ciągle rozmowę na wczorajszy teren, pragnąc pozbierać jeszczę i siłę i chęć, którą wczoraj jak pochodnię przez niego rozświeconą, ze sobą uniosła.

Jakby w przeczuciu jakiejś śmiertelnej niemocy, która go dotknąć miała, Anka chciała wessać się duszą w jego duszę i zebrać z niej miód i głębię.

Lecz coś przysłoniło przed nią duszę Narbutta.

Może skrzydło Demona.

Ręka o smudze z eteru przeniknąć tej zapory nie mogła.

I powoli, w to słoneczne popołudnie pomiędzy tym dwojgiem nalatywać zaczął chłodny cień.

— Napiszę... zobaczy pani! — mówił Narbutt — sama pani się przerazi. Znajdę w sobie tyle mocy, że zdruzgocę te ich solidne i wygodne chlewiki o renesansowo-Chéretowskich kolumienkach, w których żyją, karmią się i tyją...

— Tak — mówi Anka — to konieczne. — Gdybyś Pan wiedział, jak to coś pan napisał oddziałało.

— Na kogo? na tłum?

— Nie, na nich samych, na Stalewskiego naprzykład.

Narbutt wzruszył ramionami.

— Co mnie obchodzi to nadkołtuńskie plemię? Zczeznąć powinno zawalone kolumnami chlewików...

— A jednak... jeżeli on...

— Co? co?

— Jeżeli i on zrozumie.

— Nie, to niemożliwe. Taki on nie zrozumie. Obrósł błotem, sam się dobrowolnie oblepił i w tej skorupie zgnił.

— Wczoraj pan kazał mi patrzeć w duszę ludzką i jeśli dojrzę w niej ślad, iskrę czyściejszą, nie zostawiać na pastwę wichru, lecz... czynić coś dla niej...

Narbutt spojrzał na nią uważnie.

— Dostrzegłaś co w duszy Stalewskiego?

Dziwne wzruszenie ogarnęło Ankę.

Zdawało się jej, że ma wydać tajemnicę, która do tej chwili była tylko jej drogocenną własnością.

— Może!... — odparła wymijająco.

Lecz on z niedowierzaniem znów wzruszył ramionami.

— Złudzenie! chwilowe złudzenie! Zwróć się do innych. Tego zostaw, bo jest samą zgnilizną i próchnem.

Anka chciała zaprzeczyć, ale jakieś uczucie nadzwyczaj delikatnego wstydu przejęło ją całą.

Miała wrażenie, jakby ją ktoś boleśnie dotknął w jej głębokiem wierzeniu i przekonaniu, które bezwiednie rozrosło się na dnie jej duszy.

Dlaczego ma opuścić Stalewskiego? dlaczego jego właśnie?

Myśli o tamtym, biegnie za nim duszą po rozłogach i polach, na które mu iść kazałą po to, aby wniknął w siebie i w swoje czyny.

Doznaje dziwnej rozkoszy w tem gonieniu myślowem duszy Jana. Wyczuwa, jak drży ta dusza, jak się przeraża, dziwi i omdlewa z bolu i upokorzenia.

Nie, nie oderwie się od niego myślą.

Ta dusza j e s t i walka jej dowodem właśnie najczystszym jej istnienia.

Odbiegła myślą od Narbutta i pogrążyła się w tej nieznanej dla siebie ekstazie.

Nie widzi, że Narbutt w tej chwili zmienionym, osłupiałym wzrokiem patrzy przed siebie.

Po czole spływają mu krople potu, ręka z piórem bezczynnie leży na wzgardliwie porozrzucanych skryptowych świstkach.

Pochylił głowę tak nizko, iż zdawać się może, że jakiś wampir mu spadł na kark i żre, a on kurczy się pod tym bolem, od którego oswobodzić się nie może.

Kły wampira zapuszczają się daleko, przeniknęły nawskroś jego duszę i serce...

Zwątpienie, rozpacz wlewają się cienką, żrącą strugą w całą istotę Narbutta.

I gdy Anka radośnie wita nową, nieznaną ekstazę, dającą jej najsilniejszy bodziec do życia i stającą się treścią jej istnienia, obok niej Narbutt zapada w ciemnię lodową, beznadziejną, beztreściwą—on, który jest Czynem jej woli.

Taki jest — stan ich duszy.

XVI.

Do okna redakcyi zagląda ciągle jakaś jasnowłosa głowa.

Parter wysoki, więc tylko widać głowę, włosy i siwe oczy.

Ręka jakaś przylgnęła do ramy, palce czerwone, tępe, od ługu spękane.

Anka, która teraz już sama, czeka ciągle na ojca, zanurzonego w konferencyi z Wierciakiem, patrzy w to okno.

Narbutt odszedł, a raczej wybiegł, nie pożegnawszy się z nią prawie.

Powstał nagle od biurka, rozrzucił papiery i nerwowo porwawszy za kapelusz, rzucił się ku drzwiom.

Gdy go nie było, opamiętała się Anka, że egoizmem zaczerpnęła z niego wiele, nie zwróciwszy mu nic w zamian.

Lecz była to krótka, przelotna chwila.

Pogrążenie w pewnem podnieceniu dziwnem, tłómaczyło jej tę przelotność myśli, zwracającej się do źródła, skąd na nią przyszła fala umożebniająca drganie tej przedziwnej struny na harfie jej duszy.

Zdawało się jej, że spłaci należycie daninę swoją, idąc nakreśloną przez drogowskaz drogą.

Cała wpiła się w myśl o Stalewskim.

Co robi, co myśli w tej chwili.

Przed ramą okna znów zamajaczyła głowa kobiety.

Wzrok Anki padł na tę twarz niespokojną i jakby nerwami zjedzoną.

W jednej chwili, stanęła przed nią ciemnia oparem białym, mglisto rozświecona, a w niej ta głowa unosząca się i zwoje długich rąk, konwulsyjnie w górę wyciągniętych.

A potem ochrypłe zmieszane głosy, przebijające się tępym dźwiękiem przez tumany pary.

Wierciak.

Piotruśka.

Podległa niewolnica namiętności swego ciała i przewadze mężczyzny.

Ta mgła, z po za której widać było rozpaczliwe wychylanie się głowy, tworzyła rodzaj społecznego odgrodzenia Piotruśki od światła i wolnego oddechu.

Suterynowy opar nędzy, zmieszany z rozpaczliwem tchnieniem zgorączkowanych pragnień rozkoszy, jako zadośćuczynienia za wydziedziczenie paryasowe od biesiadnych stołów życia.

I te dwie ręce wyciągnięte, jakby po ratunek w topieli, na skraju obrywu, na którym już krzaki nie rosną nawet, tak wiele waliło się ciał w przepaść starganych rozpoczętą lekkomyślnie, a pozostawioną wpół drogi robotą uspołeczniania!

Te dwie ręce!

Do mnie! — wołają — tonę!

Istota ludzka. Essencya proletaryatu miasta, przepojona jego zgnilizną, niewidząca, że szafir nieba wyiskrza się gwiazdami nad czarownym bezkresem równin, a zioła leśne mają woń, jakby wywianą z anielskich szat, z anielskich rąk.

Piotruśka.

Zapadła pierś, wypukłe plecy, poddane pod razy, usta ziejące przekleństwem, lub szukające drugich ust, szmata na biodrach przeznaczonych do smutnego poczęcia w chwili bezdennego szału, graniczącego z rozpaczą istot, które niczego spodziewać się na świecie niemają prawa.

Anka patrzy na Piotruśkę i wykwita w niej — malarka.

Harmonia zamglonej postaci à la Rafaelli. Coś się przebija mętnego, strasznego, coś fatalnego, szaro-żółty ton dominuje. Łachman i szyja o szarości jednakiej, a potem te dwie ręce z koła mgły. Dalej oczy duże, a prawie błędne. Kilka plam, linij rozpływających się nędznie.

Piotruśka!

Moralny zanik godności ludzkiej, sponiewieranie szałowe, rozpłynięcie się w tajemniczych pragnieniach przedmogilnych...

Piotruśka!

Anka ma już tę wizyę duszy i pragnie ją unieść ze sobą w ściany swej pracowni, aby tam uwięzić ją w całej seryi syntez, które jej świat stanowią.

Lecz danina, jaką chce zapłacić Narbuttowi, zaczyna domagać się pewnej linii w postępowaniu Anki.

Czy wystarczy wyczuć jej duszę i unieść ją ze sobą promieniem lekkim i ledwie wyczuwalnym po to, aby z niej odtworzyć rodzaj cmentarnego pomnika na smutnym rozłogu szarości życia...

Anka rozumie dno duszy Piotruśki, człowiekiem-kobietą połączyła się kontaktem przedziwnym z drugim człowiekiem-kobietą. Czystością swego ciała, odczuła w czem tonie ta druga. Wysoka duma i miłość jej dla swej wartości, cierpieniem odzywa się echowo w sponiewieraniu tamtej Smutnej. I czuje, że powinna podejść ku tym wyciągniętym boleśnie rękom, które zdają się grozić, lecz błagać zarazem, czy niema już dla nich ratunku.

Artystyczna strona jej duszy, kłoni się i pada w pokorze przed tą stroną, która powstaje w Majestacie wielkiej miłości i z wyciągniętemi dłońmi wchodzi w mgłę osłaniającą nędzę tamtej kobiety.

Anka powoli, zbliża się do okna.

— Kogo... pani szuka?

Mglista postać Piotruśki przez chwilę niknie i powraca nieufnie, wyglądając z po za ramy okna.

— Czy pana Wierciaka?

Piotruśka z pod rozwianych włosów patrzy nieufnie na Ankę.

I nagle rzuca:

— To pani była u nas wczoraj? co?

— Ja.

Milczenie.

— Pani przyszła po niego?

— Tak...

I zaraz potem podejrzliwie:

— A bo co? czy mi to nie wolno?

Anka nieodpowiada wprost, lecz aż dławi ją chęć odnalezienia drogi, po której do tej duszy trafić można.

Czuje, iż najprostszą jest droga namiętności, lecz waha się wstąpić na nią — ona tak wyniosła i czysta.

— Owszem, wolno... nawet i słusznie.

— Pewnie, że słusznie. On mój, a ja jego, a tacy co o tem nie wiedzą, to niech się dowiedzą...

Aż wieje żarem od miłości ekskluzywnej i ślepej.

Anka pochyla się przez ramę okna.

Wzrok jej pada na rozorane literalnie pazurami ucho i szyję Piotruśki.

Rana świeża, sklejają się na niej włosy płowe, połowa jej ginie pod kołnierzykiem bluzki farbowanej widocznie aniliną.

Anka czuje całą nędzę fizyczną, sponiewieranego ciała kobiecego.

— Pani jest zraniona, pani powinna się dać opatrzeć.

Czerwony rumieniec oblewa twarz Piotruśki.

— To nic — mówi, charakterystycznym ruchem wsuwając szyję w głąb kołnierzyka — to przyschnie...

I zaraz dodaje, zdjęta wstydem:

— To kot, psia wiara, tak mnie uszlachcił...

Anka nastaje.

— Trzeba obmyć, oczyścić, paznogcie były nie czyste, może nastąpić zakażenie...

Oczy Piotruśki otwierają się szeroko.

— A no... a no... — mówi bez żadnej wyraźnej intonacyi w głosie.

— A to śmiertelne... — dorzuca Anka.

— A no... a no...

Jakby obojętność, lecz zarazem trwoga.

Anka patrzy prosto w mgławicę twarzy Piotruśki.

— Pani się śmierci nie boi?

Anka formułuje to pytanie, a przecież coś w niej budzi się niespokojnego. Lęka się odpowiedzi, jaką usłyszy.

Prymitywny to duch kołysze się przed nią na tle zieleni, skweru, prymitywny, ukryty w czeluści ziemi, żywiołowy i nieokiełzany od namiętności zmysłowej, bujno wytwórczy, ledwie potargany drobiazgową szpetotą pół-cywilizacyjnych zdobyczy.

Aż bije z tego mętu mgławego od miłości przeolbrzymiej i chłonącej w siebie istność tej kobiety.

I ona za chwilę ma zawyrokować, czy boi się zagłady swego ciała, która ma być „kresem" jej przeznaczenia.

Pada wreszcie odpowiedź.

— Owa! śmierć... ta co to wielkiego?

Łyczakowski akcent podrogatkowej ulicznicy i taki wielki, przecudny Nielęk tego, przed czem drżą mędrce świata!

Lecz Anka zapuszcza dalej sondę.

— A pana Wierciaka pani nie żal?

— Owa! jakbym miała umierać, przedtem jemu śmierć zrobię...

— Do czego to panią doprowadzi?

— Pochowają nas razem.

Zamąciła się dokoła Piotruśki mgła. Głos jej zmiękł, nie tak chrapliwie leci w przestrzeń. Miękkie kontury zaczynają rysować linie rąk, ramion, szyi.

Tylko głowa jeszcze harda i ciągle wyczekująca.

— Skoro pani umrze, powinno pani być przecież jedno — mówi Anka powoli, ciągle pełna niepokoju.

— Nie — odpowiada Piotruśka — bo jak będziemy w jednym grobie, to razem nas robaki zjedzą i razem w trawę wyrośniemy. Pani nie wie? Z trupów przecie jest trawa, a bo jakie co, może nawet jaki kwiatek... A jakże.

Sentyment, będący podstawą naszego ducha, tęsknota za czemś wonnem i pięknem, czem nam tu być nie sądzono — wszystko jest w tych słowach Piotruśki.

Anka pochyla się ku niej.

Niema już bojaźni, ani niepokoju.

Czuje, że w tej mgławicy, rozpasanej krzykami siły Wytwórczej, na dnie tkwi szalony Ból powrócenia do Jedności Istoty ludzkiej, w której zatracają się różnice płci, walczących wiecznie ze sobą, a pozostaje ta wielka, wspaniała, czysta Jedność, spokojna bezbrzeżnie i doskonała.

Zajrzała w duszę Piotruśki i z tej głębi, kilkoma słowy, wydostała najdoskonalszy kryształ, grający promieniami w jej duszy odbitemi.

. . . . . .

Spojrzenie jej padło na biurko, przy którem przed chwilą siedział Narbutt.

Cała myśl jego, przeniknęła ją prądem silnym i niezwalczonym.

— Czy wszystko już uczyniłam, co uczynić powinnam? — obrachowała się nagle Anka z surowością najwyższą.

— Z mgławicy, w której objawia się Piotruśka, wydobyłam ów kryształ, lecz czy postarałam się, aby i ona odczuła jasność jego promieni? Rozkoszuję się nim sama, zużywam jej własność, nie przypuszczając ją do tego, co mię w stan lepszy wprowadza. Zadaniem mojem, skoro zostało mi dane wniknąć w głąb tej duszy, ułatwić jej samej poznanie dokładne piękności, rozświetlającego mroki i pełnego nadziei sentymentu.

Instynktem, Anka trafia na właściwą drogę.

— Kto wie, jak będzie — mówi, patrząc w mąt źrenic Piotruśki — kto wie, czy was razem pochowają?

— Biedaki jesteśmy, to nas wrzucom do jednego dołu.

— Niezawsze. Zabójczyni nie chowa się nigdy z jej ofiarą...

— A no, a no...

I znów milczenie. W oddali turkocze dorożka.

— Lepiej pójść za mną i dać się opatrzeć — mówi wolno Anka.

Piotruśka odsuwa się od okna.

— E... bo mnie pani jeszcze gdzie zawiedzie i jeszcze mnie pani sprzeda.

Jest to tak potworne, iż pada u stóp Anki, jak złamana w powietrzu strzała.

— Nie — mówi Anka łagodnie, a nawet na jej usta uśmiech wykwita — nie, Piotrusiu, ja ci chcę dopomódz żyć, skoro masz jeszcze żyć biedoto!

— A jaka to będzie ta pomoc?

— Zobaczysz...

— Pani mi da jaką robotę?.. Tylko, że ja nie na wiele jestem zdatna... Tak się rozprożniaczyłam przy Wierciaku. Teraz to mu dobrze — wybory... pani wie... Urwała, obejrzała się dokoła, jakby lękając się, że powiedziała za wiele.

Lecz już widocznie, pomiędzy nią i Anką, wytworzył się jakiś prąd silny i więżący, bo sama teraz przypadła do okna i zapytała:

— No... to gdzie mamy iść?

I Anka znów doznała uczucia trwogi, jak wtedy, gdy Stalewski garnąć się do niej zaczął. Czy podoła? czy wie sama, gdzie tę mgławicę rozpaczną zawieść powinna.

W pokoju, gdzie Zagrodzki szeptał z Wierciakiem, zrobiło się naraz gwarniej i zaraz potem cicho, a ciężkie kroki przesuwały się przez redakcyę. To Wierciak odchodził, rzucając dokoła siebie obleśne, niepewne spojrzenie.

Szybko Anka pomknęła ku ojcu.

Siedział z głową wtłoczoną w ręce, cała postać wskazywała szalone znużenie i wyczerpanie najwyższe.

Chwilę Anka z bólem całej swej istoty ogarnęła tę postać tak odzianą dostatnio, a tak nędzną w walce ze swą pychą i z demonem ambicyi politycznej.

I znów przesunął się przed nią obraz siewcy w szarzyznie życia i odzieży, siewcy wyczerpanego rozrzucaniem na wicher bezplenny, ciężko zebranego ziarna.

Dokoła, unosiły się miazmaty, tłoczące pierś zgnilizną odzienia Wierciaka.

Przeszedł jak widmo cuchnące, zakażając powietrze i wyczerpując siły inteligentnego człowieka.

— Ojcze! — wymówiła cicho Anka, dotykając ramienia Zagrodzkiego.

Drgnął cały, lecz twarzy od rąk nie oderwał.

Przeciwnie zacisnął długie, rasowe palce, dokoła skroni.

— Co to?.. czego?..

— To ja... Anka!

Zawsze jedno.

Wieczny nerwowy przestrach, a potem obłędne wejrzenie, szeroko otwartych oczów, na których trzepoczą się boleśnie skrzydła zaczerwienionych powiek.

— Czego chcesz?

— Chciałam cię prosić ojcze, ażebyś wydał rozporządzenie...

— Notatka Stalewskiej? dobrze, połóż, pójdzie...

Cały był myślą gdzieindziej.

— Nie, nie, przeciwnie. Jeżeli Stalewska przyniesie jaką reklamę, nie każ jej umieszczać.

— Ach tak!.. dobrze, dobrze.

Niepytał o nic, widocznie pochłonięty jakąś troską wyborczą.

Drżącą ręką szukał arkusza papieru.

— Idź już, mam pisać coś ważnego.

Lecz Anka nie odchodziła. Wpatrzona w twarz ojca nerwowo odczuwała ten straszny niepokój, który nim szarpał.

— Ojcze!.. ty się zabijesz.

Powiedziała to cicho, szeptem prawie, ale on dosłyszał, pochwycił.

— Czem? czem? ..

Chciała odpowiedzieć „własną ambicyą“, lecz szablon wychowania zdławił jej słowa.

Wskazała mu tylko na całe stosy politycznych artykułów, wyznań wiary kontrkandydatów, nawoływań dzienników, za swymi „faworytami“ na te Derby nędzne, a w gruncie rzeczy tak mało pożytku istotnego dla kraju przynoszące.

— Tem — to cię zje, zabije...

Gestem wielkopańskim zaznaczył niedbale, iż przyjmuje wszystko, nawet to najgorsze.

— Trudno...

I tu Anka potknęła się o wspaniały Nielęk śmierci.

— Gardzą nią wszyscy... — pomyślała prawie przerażona.

— A potem ona się mści — jakieś echo zajękło w powietrzu i przygarnęło się ku Ance rozwiewnie, a groźnie.

XVII.

Oparta o ścianę pozwoliła Piotrusia opatrzeć Ance swą skrwawioną twarz, szyję, ręce.

Delikatnie, spokojnie, obmywała Anka różanym roztworem sublimatu, czarne głębokie bruzdy.

Zachodzące słońce słało się delikatnym kobiercem promieni pod stopy obu kobiet. Jak zwykle, szeroko otwarte okno pokoju Anki, wpuszczało światło i chłód wieczorny.

Piotruśka pozwalała opatrywać się jak pies wdzięczny, a cierpieniem znużony. Oczami snuła się dokoła ścian jasnych, biało zasłanego łóżka, nad którem na białej wstążce, zwieszała się gałęź głogu.

Ogromny krucyfiks rzeźbiony, zdjęty z trumny jakiegoś mnicha, czerniał na ścianie.

Piotruśka wzrokiem do krzyża przylgnęła i tak przy nim została.

Anka obejmowała ją całą litością swoją bezmierną. Czuła, iż zaczyna kochać tę prymitywną kobietę o narzuconej błotnej warstwie, jak kochała płótno świeże, na którem malować miała wypieszczony w duszy obraz. Piotruśka w świeżości skóry i zarysie drobnej bródki miała w sobie wdzięk dziecięcy. W Ance obudziła się myśl kto dał życie tej dziewczynie noszącej w głębi duszy ideał pośmiertnej łączności.

— Gdzie twoja matka Piotrusiu?

Gest niepewny, jakby coś się rozwiało w mgłę i potem śmiech, chichot prawie niewyraźny.

— Niewiem...

— Znałaś ją?

Piotruśka ramionami wzrusza.

— Tak... coś... pamiętam, ale nie bardzo.

I zaraz, nałogowa u takich dziewcząt, potrzeba opowiedzenia swej przeszłości.

— Bo ja byłam służącą i brałam już trzy guldeny, ale się natknęłam na Wierciaka i on mnie ze służby ściągnął i teraz z nim jestem.

— Dlaczegoż cię bije?

Z całą prostotą odpiera Piotruśka:

— Bo już tak...

— Dlaczego mu na to pozwalasz?

— A cóż bić się z nim będę? Jeszczeby mnie zabił. Wolę już tylko krzyczeć... Czasem się wystraszy i da spokój.

Anka skończyła opatrunek, lecz nie zdejmuje ręki z ramienia dziewczyny.

— Nie tak Piotruśko, nie tak — mówi — trzeba żeby Wierciak zrozumiał, że i ty jesteś człowiek i że tobą poniewierać nie można...

— Wierciak mówi, że ja nie człowiek, tylko baba.

Śmieje się całą pełnią zębów i dziąseł anemicznych, żółtawych.

— A potem — dodaje — i w pańskim stanie biją się. Co? może nie?

— Nie, Piotruśko, kobiety każą się szanować mężczyznom.

— Owa! jak święte obrazki.

— Tak. I widzisz, wtedy i mężczyzna powoli wstydzi się tego, iż jest zły i staje się lepszy. Powoli, nie zaraz, ale zawsze tak bywa...

— E! gadanie!

— Tak jednak jest Piotruśko... Pomyśl tylko, gdy wejdziesz do cichego, pięknego kościoła, to zaraz jesteś inna. Nie zrobiłabyś tam nic co jest złe, albo grzeszne. Powiedz, uderzyłabyś kogo w kościele?

— Ma się wi, że nie, ale to kościół.

— Takim kościołem możesz i ty być Piotruśko, cichym i zmuszającym Wierciaka do szacunku.

Piotruśka zamyka na chwilę oczy, jakby chciała wejść w siebie, zrozumieć dobrze to, co słyszy.

— Ale kościół, to poświęcane.

— Ciebie także Bóg poświęcił, gdy cię stworzył na obraz i podobieństwo swoje i ducha swego w ciebie tchnął.

Instynkt Anki przedziwnie kieruje jej słowami. W Piotruśce budzą się i kojarzą reminiscencye w przelocie zasłyszanych katechizmów, monotonny głos sióstr zakonnych, prowadzących ospale spowite w ciemnię sierocych sukienek dziewczęta i ten Bóg Stworzyciel, jego dech gorący, rozwiany pośród ludzi...

Zapada milczenie.

Od pól, od łąk nabrzeżnych, ciągną białe mgły. Złoto żyta nieruchome, zanurzają w sobie mleczne wstęgi. Anka przed Piotruśką, jak przed księgą, stoi zadumana i wpatrzona. Chciałaby przeniknąć wypukłe czoło, przecięte pasmem lnianych włosów, i wiedzieć, czy słowa jej drgają choć slabem echem i płyną stamtąd w głąb duszy...

I nagle zaczyna znów Piotruśka.

— Bo pani nie wie...

Urywa, lecz tylko na chwilę.

— Bo pani nie wie, że Wierciak to mnie często umyślnie zbije, żeby się potem ze mną godzić. On bardzo lubi, jak ja płaczę...

Deprawacya Leliana przeniesiona w głąb suteryny. Rozkoszowanie się czyjąś męką powolne i subtelne...

Anka za czysta, za piękna, aby to zrozumieć była w stanie.

— Tak być nie może Piotruśko. Tobie się tylko tak zdaje. Sprobuj, zobaczysz, że ja mam słuszność. Bądź dla Wierciaka takim kościołem. Oboje będziecie lepsi.

Ze smutkiem pada z ust wydziedziczonej te kilka marnych słów, które są same przez się całą tragedyą:

— Kiedy ja jemu nieślubna.

I zaraz dodaje, jakby chcąc zatrzeć to biedne, hańbiące wrażenie:

— Powiedział, że po wyborach...

W Ance aż kłębi się od rozlicznych wrażeń.

Te krótkie słowa sprowadzają do jej duszy tyle wspomnień z tego, co zwą „pożyciem“ usankcyonowanem, prawnem, że powstaje w jej umyśle chaos.

Gdzie właściwa prawda!...

Czuje jednak, że tej drugiej, tej właśnie nieślubnej, odpowiedzieć musi, aby nie przerwać nici, która zaczyna się tkać brylantami serdecznych drgnień.

— Właśnie dlatego Piotruśko, tem bardziej szanować cię powinien.

— Jakże to?

— Powinnaś go zmusić swojem postępowaniem, ażeby cię uważał za coś jeszcze świętszego, jak za swoją żonę, a gdy on tak myśleć o tobie zawsze będzie, to i do ołtarza pójdziecie...

Bruzda przecina czoło Piotruśki.

— Pani tak myśli?

— Tak Piotruśko.

Anka odstępuje od dziewczyny i z nałogu zbliża się do świeżo naciągniętego na blejtram płótna. Światło przedzachodnie złotawe,

łagodne rozlewa się cudowną jasnością dokoła. Ręka Anki błądzi, natrafia na węgiel.

Piotruśka już za nią ciągnie jak cień.

Stanęła koło stalug i patrzy na porozstawiane dokoła ścian płótna.

— Jakie to ludzie! — mówi patrząc mgławo — to nie jak ludzie, ale jakby duchy, czy co...

W Ance aż serce mocniej bić zaczyna.

— Jakby duchy!

Syntezy dusz tych istot.

I zrozumiał ją prymitywny duch przez warstwę błotną i ciemną.

— To ja tak widzę ludzi Piotruśko.

— A no.. a no...

Na kolana przypadła dziewczyna i tak ruchem prawie zwierzęcia, podpełzała ku obrazom.

— Takie dokoła nich widziadła, jak koło księżyca, albo jak słońce zapada... A każden inny... Jeden ma smutne widziadło, inny wesołe, a ten jak pajac, a ta jak w żałobie, a od tego aż złota jasność bije... A no... a no ..

Odwróciła się w dziwnym skurczu całej swej istoty.

— A mnie jak pani widzi?

Lecz Anka jej nie odpowiedziała.

Od kilku chwil, nerwowo kreśliła węglem kontury, teraz w szeregu szklaneczek z rozrobionemi farbami szukała zielonych, szarych tonów. Prędko, milcząc, w podnieceniu najwyższem wypełniała kontury szarawymi, zgniłymi tony. Całe płótno pokrywało się, jakby parą żółtawą, gęstą...

I z po za tej pary, jakby widmo zaczynała przebijać fatalna, smutna, chorobliwa głowa.

I jeszcze oprócz tej głowy, ręce, dwoje rąk rozpaczliwie wyciągniętych z po za mgły, błagających o ratunek...

Ciemnia, mgła, opar i te dwie ręce...

Piotruśka!

Cisza zaległa wielka.

Piotruśka siedziała skurczona na podłodze, jakby z bryły szarego kamienia wykuta.

Anka niepatrzyła na nią wcale.

Z siebie, z wrażeń swego ducha, czerpała wrażenie tamtego ducha.

A przecież coś musiało się wiązać w tej chwili pomiędzy temi dwiema duszami, bo gdyby Piotruśka poruszyła się nagle, lub zmieni-

ła cudem nastrój w jakim żyła—Anka uczułaby niemoc odtworzenia jedynie, opierając się na już wyczutych z Piotruśki wrażeniach.

Przez okno płynęło chłodne powietrze, coraz chłodniejsze, przesycone jakąś liliową barwą, po której włóczyły się niepewne cienie.

Coś się wkradało od wód, od pól, od łąk, zapadających w zadumę nową, przedwieczorny lęk, tęsknica, a zarazem radosne przeczucie sennego, bezbolesnego ukojenia w ciemni.

Czyjeś kroki powolne słychać było w ogródku.

Przesunęły się od furtki, znikły w głębi domu.

Wreszcie Anka położyła pędzle i usiadła na krzesełku. Miała czoło zroszone potem i była nadzwyczaj wyczerpaną. Zimno, które przenikało ją całą w chwili tworzenia swych wizyi, zmroziło ją dziś więcej niż kiedykolwiek.

Wydobycie tej rozpaczliwej istoty z fali i głębin mgły, kosztowały ją tyle wysiłków, ile by przeszła ona sama, zapadając w tę zgniłą atmosferę, w której „tamta“ żyła.

Przez tę godzinę, Anka przeżyła tragedyę całego życia Piotruśki.

Piotruśka również pobladła i okryła się potem.

Siedziała skurczona, osowiała, niepewna.

Oddychała tak lekko, iż zdawało się, że nie oddycha wcale.

Wreszcie cicho przemówiła.

— Pani mnie narysowała.

Stalugi odwrócone były tak, że Piotruśka widzieć płótna nie mogła.

— Skąd wiesz o tem? — zapytała Anka.

— Bo mi tak było, jakby ktoś ze mnie skórę ściągał i duszę wydzierał. Jak Boga kocham! O niech pani patrzy, ażem się spociła...

Anka szeroko rozwartemi źrenicami, wpatrzyła się w Piotruśkę.

— Tak ci było Piotruśko? czułaś to—zawołała prawie radośnie.

— Tak.

Cicho otwarły się drzwi pokoiku Anki.

Ktoś stanął w progu.

Lecz Anka nie dostrzegła, nie widziała nic.

Wpatrzona cała w Piotruśkę, wsłuchana w to objawienie się troistej istoty ludzkiej, oddającej ze siebie części swe składowe w wibracyi cudownej po to, aby ona, jak harfa wyczuła i za pośrednictwem tego, co ludzie zwą sztuką, na jaw wydała — była Anka

w tej chwili w tak wielkiej ekstazie radosnej, iż cała jej istota promieniała jasnością zewnętrzną.

Piotruśka tymczasem przypełzała przed płótno i uklękła przed swym wizerunkiem, a oczy jej błękitne i spłowiałe, wpiły się w tamte oczy błękitne i spłowiałe.

— To... ja... — wyrzekła wreszcie — niby w tej parze, co psiakość się po naszej suterynie włóczy... A jakże...

Pokiwała głową.

— I tak czasem ręce wyciągam bez tę parę, bo mnie tak coś chyci, żeby choć powietrza innego nabrać, innych ludzi widzieć, żeby być inakszą... Tak mnie coś dusi, coś chyci...

Umilkła.

Źrenice jej powoli zaczęły wypełniać się łzami. Ręce tuliła do piersi i tak klęczała nieruchoma, wpatrzona w siebie, w syntezę swej istoty, którą po raz pierwszy widziała.

Zdawała się boleśnie modlić przed Tą sobą, ukrzyżowaną, rozpaczliwą, smutną—przed sobą Człowiekiem, sponiewieranym w najszczytniejszem uczuciu, przepotężnej miłości — ona Kapłanka świątynna, obdarzona potęgą siły najwyższej, bo odtwarzania Twórczości, i tak nędzna, zapadła w mgłę, odgraniczona od zdobyczy ludzkich na polu umożliwienia egzystencyi, lub wczucia się prymitywnego w Piękno natury i jej blasków przeczystych.

Anka chłonęła ją wzrokiem.

I chwilę rozróżniała je obie.

Tę, żywą, klęczącą, rozmodloną łzami, przed katafalkiem własnej Nędzy. I tę drugą z zaświatów, a przecież równie żywą, utkaną z essencyi tych łez, zebraną z łkań i ze krwi spieczonej ran.

Aż powoli, obie spłynęły w jedno.

Była tylko istota sama — Piotruśka przesmutna i mglista.

W Ance drgał każdy atom i teraz odczuła, czem jest ta Siła, którą zowią ludzie... talentem.

Zrozumiała —i dusza jej mdlała z upojenia i trwogi.

Pomiędzy nią i Piotruśką, drgały rozpięte struny ich duchów.

Ona — Piotruśka, silniejsza, wyciskała swą pieczęć na strunach Anki, grała sobą, swą duszą, ciałem, istotą astralną... Anka chłonęła, przefiltrowywała ten całokształt przez siebie, przez swe ciało, duszę, istotę astralną i potem słała to wszystko w przestrzeń.

Tak, pomiędzy Piotruśką i Anką przepływał strumień eteru o sile jasności najwyższej.

I powoli, postać mężczyzny, stojąca przy drzwiach nieruchoma i milcząca, oderwała się od ściany, jakby jakąś potęgą zmuszona i weszła cicho w ten strumień przejasny, w którym hymnem tryumfu rozświetlała się szerokoskrzydła i krystaliczna Prawda i Przyczyna tego kwiatu duchowych objawień, które ludzie s z t u k ą nazywają.

(D. c. n.). Gabryela Zapolska.

Historya wynalezienia i udoskonalenia termometru.

Zatrzymałem niegdyś na chwilę czytelników przed sklepem mechanika[1]), by przyjrzeć się rozłożonym na wystawie jego przyrządom i doniosłe ich dla nauki znaczenie ocenić. Wraz z rozwojem wiedzy doskonalą się przyrządy, każdy ma własne dzieje, często długie bardzo, a z nieprzejrzanego ich mnóstwa, dla przykładu, jeden tu obieramy, niezbędny w pracowni naukowej, w fabryce, w życiu powszedniem, każdemu znany i wszystkim potrzebny. Mówimy tu o termometrze, a historya tego przyrządu, złożonego jedynie z rurki szklanej rtęcią wypełnionej, wskaże nam, ile zachodu kosztował jego wynalazek, ile pracy w wydoskonalenie jego włożono. Historya termometru niech nam posłuży za przykład tej niewyczerpanej pomysłowości i niezmordowanej działalności ludzkiej, jaka tkwi w każdym przyrządzie, choćby prostym i skromnym na pozór.

I.

W r. 515 hedżry czyli ery mahometańskiej autor arabski Alkhazini, który zresztą zgoła nie jest identyczny ze sławnym optykiem Alhazenem, napisał „księgę o wadze mądrości". Osobliwy ten tytuł nie jest bynajmniej, jakby się łatwo wydawać mogło, wyrażeniem alegorycznem; dzieło traktuje rzeczywiście o wadze, zbudowanej przez autora, który jej dla szczególnych zalet tak szumną nadał nazwę. W szczególności korzystał Alkahazini ze swej wagi do dochodzenia ciężaru właściwego różnych ciał, przyczem przekonał się, że przy

[1]) „Przed sklepem mechanika. Uwagi luźne o znaczeniu przyrządów w nauce." „Bibl. Warsz." z r. 1897, t. I.

użyciu wody rozmaitego pochodzenia ciężar właściwy ciała badanego okazuje się różnym, niewątpliwym zaś dowodem ścisłości jego robót jest to, że znana mu jest zmiana ciężaru właściwego wody ze zmianą temperatury. Przytacza, że waga jego wskazuje mniejszy ciężar wody w lecie, aniżeli w zimie, a tym sposobem, mówi, waga mądrości oceniać może ciepło wody w lecie i zimie.

Przesadni wielbiciele nauki arabskiej wnoszą stąd, że Arabowie używali wagi, jako termometru, nie ma wszakże zgoła dowodów, któreby nieuzasadniony ten domysł popierały, W istocie rzeczy początki termometru nie sięgają w przeszłość zbyt daleką, nie znajdujemy bowiem wskazówek żadnych, by o mierzeniu temperatury myślał ktokolwiek przed Galileuszem, który niewątpliwie już w końcu wieku szesnastego, a w każdym razie przed rokiem 1603, posługiwał się termometrem. Pierwszy ten termometr, albo raczej termoskop tylko, którego wynalazek niesłusznie Drebblowi przypisywano, składał się z kuli szklanej, wielkości jaja kurzego, i z przylutowanej do niej wąskiej rury; po ogrzaniu kuli zanurzano koniec otwarty rury w wodę, która tedy do pewnej wysokości rurę zapełniała i przy zmianie temperatury wznosiła się wyżej, lub opadała. Pomysł przyrządu tego nasunąć miało Galileuszowi rozpatrywanie wynalazków Herona, sam wszakże w pismach swoich o tem nie wzmiankuje. W miejsce wody użył następnie wina, podzielił nawet podobno termometr swój na stopnie, a Sanctorius, profesor medycyny w Padwie, używał już takiego „instrumentum temperamentorum“ przy badaniu chorych.

W pięćdziesiąt lat później podobnyż termometr powietrzny zbudował Otto Guericke, ale jak swemu barometrowi wodnemu, tak też i temu przyrządowi, nadał wymiary ogromne. Była to wielka kula miedziana, od której ku dołowi schodziła miedziana również rura o średnicy calowej, wznosząca się po dwukrotnem zagięciu znów wysoko w górę. Rura wypełniona była spirytusem, a na powierzchni tej cieczy pływała pusta kulka mosiężna, do której przyczepiona nitka, po przejściu przez blok, dźwigała na drugim swym końcu figurkę; ze zmianą temperatury figurka przesuwała się w górę i na dół, wskazując palcem umieszczoną na rurce podziałkę, której kreski oznaczały najwyższą, średnią i najniższą w Magdeburgu temperaturę. Kula miała barwę błękitną, pokryta była złotemi gwiazdkami i posiadała napis „Perpetuum mobile“, cały zaś przyrząd osadzony był zewnątrz domu Guerickego, na ścianie północnej, nigdy przez promienie słońca nieoświetlanej. Pomimo okazałej swej wielkości, termometr Guerickego nie był zgoła dokładniejszy, aniżeli termometr Galileusza, a wskazania jego nietylko od zmian temperatury, ale i od chwiejności ciśnienia atmosferycznego zależały; Guericke wszakże zrozumiał, że głów-

na wartość termometru na tem polega, by różne przyrządy dawały wskazania zgodne, któreby można ze sobą zestawiać i porównywać. Dla tego też starał się podziałkę swą opatrzyć w pewien punkt stały, umieszczając figurkę tak, by temperaturę średnią wskazywała w czasie pierwszych przymrozków nocnych lub szronów; osiągał to zaś w ten sposób, że z kuli termometru, która posiadała otwór zamykany kranem, póty pompą powietrze usuwał, aż figurka zatrzymała się na punkcie żądanym.

Kto zamiast powietrza do mierzenia temperatury poraz pierwszy użył rozszerzalności cieczy, tego rozstrzygnąć nie zdołano; wiadomo tylko, że już w r. 1631 lekarz Jan Rey używał termometru polegającego na rozszerzalności wody. Zasługa zaś dalszego ulepszenia takich termometrów przypada sławnej akademii doświadczeń, „academia del cimento“, istniejącej we Florencyi przez lat dziesięć, od r. 1657 do 1667, pod opieką księcia toskańskiego Ferdynanda II i brata jego Leopolda, którzy wszakże nie wahali się poświęcić tego ogniska rozkwitającej nauki, gdy za jego rozwiązanie otrzymał Leopold przyrzeczenie kapelusza kardynalskiego. Zamiast wody zabarwionej do napełnienia termometru użyli akademicy florenccy alkoholu, powyżej zaś cieczy rura była pusta i w górnym końcu lakiem zatopiona, co chroniło przyrząd od wpływu ciśnienia atmosferycznego. Był to już więc termometr istotny, podziałkę tylko miał jeszcze zupełnie dowolną; różne przyrządy posiadały różną ilość stopni między najniższą temperaturą zimową a najwyższą temperaturą letnią we Florencyi. Termometr taki zresztą istniał już w r. 1641, przed założeniem zatem akademii, i zbudowany był może według wskazówek Ferdynanda II, który był uczniem Galileusza. Do niektórych doświadczeń mieli podobno akademicy i termometr rtęciowy, a alkoholowy ich termometr dotąd się przechował.

Termometry florenckie rozpowszechniły się w Europie, a termometr użyty do pierwszych obserwacyi temperatury w Paryżu dostał się tam drogą osobliwą, przez Warszawę, za pośrednictwem królowej polskiej Maryi Ludwiki, która go wraz z innemi przyrządami otrzymała od księcia toskańskiego. Był to termometr alkoholowy, długości około decymetra, opatrzony pierścieniem do zawieszania; podziałka oznaczona była na nim przez punkty emaliowane na czarno, a każdy punkt dziesiąty emaliowany był biało. Szczegóły te wyczytano niedawno w dwu rękopisach, znalezionych w bibliotece narodowej w Paryżu; szkoda, że nie wiemy, jakiemu losowi uległy inne przyrządy, z Włoch do Polski przesłane.

Obok termometrów florenckich używane też były wówczas termometry u góry otwarte, największą wszakże trudnością było ujed-

nostajnienie podziałki. Hooke w r. 1665 zajmował się badaniami nad stałecznością temperatury topliwości lodu, o czem już zresztą wiedzieli może akademicy florenccy; stałeczność temperatury wrzenia wody poznał Huygens i w r. 1665 radził towarzystwu królewskiemu w Londynie dobierać objętości rury i naczynia w odpowiednim stosunku, stopnie zaś liczyć od punktu topliwości lodu lub od punktu wrzenia wody, w takim bowiem razie „nie trzeba będzie przesyłać termometru, by temperatury dostrzeżone można było porównywać między sobą.“ Dogodniej wszakże do tego celu dojść można było przez wprowadzenie nie jednego, ale dwóch punktów stałych, a podział taki termometrów florenckich wprowadził Dalancé w r. 1688; jako punkty stałe zalecał temperaturę topliwości masła i temperaturę topliwości lodu, albo zamiast tej ostatniej, temperaturę piwnic głębokich, odstęp zaś między punktami krańcowemi dzielił na dwadzieścia równych części. Halley sądził, że alkohol dla znaczniejszej swej rozszerzalności odpowiedniejszy jest do termometrów, aniżeli rtęć, a temperaturę jego wrzenia pragnął ustanowić, jako górny kres podziałki, której punkt najniższy odpowiadać miał temperaturze piwnic głębokich. I Newton prowadził nad ogrzewaniem ciał doświadczenia, do których służył mu termometr napełniony olejem lnianym; na termometrze tym oznaczył zerem punkt topliwości lodu, ciepło zaś krwi liczbą 12, a przy podziałce tej temperatura wrzenia wody przypadała między liczbami 33 i 34. Newton zwrócił nadto uwagę na błąd, wynikający z możliwej niejednostajności średnicy, czyli niejednakiej wszędzie średnicy rury; by wpływ ten usunąć, przez przelewanie do rury odważonych ilości rtęci, oznaczał długości odpowiadające różnym objętościom i odstępy te przyjmował za podstawę dalszego podziału.

II.

Czego wszakże dopiąć nie mogli najznakomitsi fizycy, dokonał prosty konstruktor, który wykończył wreszcie termometry dające wskazania zgodne i nazwisko swe z przyrządem tym trwale połączył. Był to Daniel Gabryel Fahrenheit, gdańszczanin z pochodzenia, a kupiec z zawodu. Zrażony niepowodzeniami w handlu, zajął się z upodobaniem fizyką i osiadł w Holandyi, gdzie utrzymywał się z wydymania szkła i budowy narzędzi fizycznych. Pierwotnie wyrabiał termometry alkoholowe, a wiadomość o nich w ówczesnem piśmie „Acta

eruditorum" polał w 1714 r. Chrystyan Wolf, przypisując uderzającą ich zgodność szczególnej właściwości użytego alkoholu. Około tegoż czasu zwrócił się Fahrenheit do budowy termometrów rtęciowych, do czego skłoniły go badania nad rozszerzalnością rtęci, dokonane przez Amontonsa. Sposób, w jaki otrzymywał zgodność swych termometrów, długo zachowywał w tajemnicy, a nawet w rozprawie, którą w r. 1727 ogłosił w „Philosophical Transactions", dokładnie postępowania swego nie wyjaśnił. Dla urządzenia podziałki umieszczał termometry najpierw w mieszaninie lodu, wody i salmiaku, co odpowiadało najsilniejszemu mrozowi srogiej zimy 1709 r.; następnie wprowadzał przyrząd do mieszaniny wody z lodem, punkt ten marznięcia oznaczał liczbą 32, a odstęp między punktem sztucznego mrozu i punktem krzepnięcia wody dzielił na 32 równe części. Dla kontroli odwoływał się jeszcze do ciepła krwi zdrowego człowieka, umieszczając termometr w jamie ustnej, i punkt ten oznaczał przez 96°. Okazuje się z tego, że nie używał jeszcze punktu wrzenia wody, jako punktu stałego, pierwotne też jego termometry do wysokości tej nie sięgają. Przy pomocy dopiero termometru rtęciowego rozpoczął badania nad punktem wrzenia i poznał, że temperatura ta bynajmniej nie jest stateczna, zależy bowiem od ciśnienia powietrza; ponieważ zaś pod ciśnieniem barometrycznem 28 cali paryskich rtęciowy jego termometr wskazywał w wodzie wrzącej 212°, przyjął więc liczbę tę, jako temperaturę wrzenia wody w warunkach normalnych. Niektórzy wszakże historycy nauki sądzą, że poprzednio już posługiwał się tą temperaturą przy podziale termometrów, ale ważny ten szczegół z sobkostwa taił. Przy doświadczeniach swych dostrzegł nadto Fahrenheit, że woda daje się w stanie ciekłym oziębić znacznie niżej zera, w chwili wszakże krzepnięcia przyjmuje temperaturę normalnie zjawisku temu właściwą.

Rozgłosem nazwiska swego dorównywający Fahrenheitowi, Antoni Ferchault de Réaumur, ustępuje mu znacznie zasługą w dziejach termometryi. Przyrządy swoje (1730 r.) napełniał alkoholem, w trzeciej części pomięszanym z wodą, umieszczał je w wodzie krzepnącej pod wpływem mięszaniny oziębiającej i szczyt alkoholu oznaczał przez 0°; następnie wprowadzał je do wody wrzącej, a odpowiadającą wysokość cieczy oznaczał liczbą 80°, poczem rurkę hermetycznie zamykał. Podział na 80 części przyjął Réaumur stąd, że jego mieszanina alkoholu z wodą, przy ogrzaniu od temperatury topliwości lodu aż do temperatury wrzenia wody, powiększała objętość swą o $^{80}/_{100}$ części, sądził więc, że tym sposobem ustali prosty stosunek między wielkością stopnia a objętością naczynia. Następnie dopiero poznał, że dostrzeżona objętość nie punktowi wrzenia wody, ale raczej

punktowi wrzenia alkoholu odpowiada, a za radą Nolleta zaczął punkt ten oznaczać liczbą 65 zamiast 80; ponieważ jednak zmiany tej nie ogłosił, a termometry wedle wskazówek jego wyrabiane rozpowszechniły się we Francyi i poza jej granicami, sprowadziło to zamęt, któremu kres położyły dopiero w r. 1772 prace Deluca. Ze względów praktycznych zatrzymał on podział Réaumura na 80°, ale wskazał dokładniejsze sposoby oznaczania punktów stałych, zamiast zaś alkoholu zalecił rtęć, ze względu, że rozszerza się bardziej jednostajnie, jest lepszym przewodnikiem ciepła i posiada mniejsze ciepło właściwe, prędzej tedy temperaturę otoczenia swego przyjmuje.

Współcześnie z Réaumurem pragnął i Delisle określić stopień, jako oznaczoną część objętości naczynia. Z doświadczeń swych wniósł, że objętość rtęci w naczyniu, przy oziębianiu od punktu wrzenia wody do punktu topliwości śniegu, ulega pozornemu zmniejszeniu o $^{150}/_{10000}$ części, podzielił więc odstęp między zasadniczemi temi punktami na 150 stopni, przyczem punkt wrzenia wody oznaczył 0°, a punkt jej krzepnięcia przez 150°.—Inną jeszcze podziałkę zastosował Ducrest w r. 1740; dostrzegłszy uderzające błędy termometrów Réaumura, chciał je poprawić przez pozostawienie powietrza nad alkoholem, a za punkty stałe przyjął temperaturę wody wrzącej oraz temperaturę piwnicy obserwatoryum paryskiego. Odstęp podzielił na 100 stopni, gdy zaś następnie przekonał się o stateczności temperatury topliwości lodu, obrał ją za punkt stały, pozostawił wszakże zero skali poprzedniej, przyczem dla wzmiankowanego punktu wypadła liczba —10,4°, skąd przedział między temperaturami kresowemi wynosił 110,4°.

Skali stustopniowej pierwszy używać miał Linneusz, który według niej mierzył temperaturę w swoim ogrodzie botanicznym. Podziałka ta wszakże związana jest z nazwiskiem Andrzeja Celsiusa, profesora astronomii w Upsali, który stustopniowy termometr rtęciowy urządził około 1740 r., oznaczając pierwotnie punkt wrzenia wody przez 0°, a punkt topliwości lodu przez 100°; wkrótce jednak za radą Strömera porządek taki odwrócił. We Francyi podziałkę tę wprodził w r. 1743 Christian, który zresztą nie zważał na zależność punktu wrzenia od stanu barometru. Na wzgląd ten należytą uwagę zwróciła dopiero w r. 1777 komisya Royal Society, do której należeli Cavendish, Maskelyne i Deluc.

III.

W ogólności zatem, dopiero w początkach drugiej połowy wieku ośmnastego termometr został ostatecznie wykończony i otrzymał używane dotąd podziałki. Szczęśliwie złożyły się okoliczności, że mógł być zbudowany i osiągnął dokładność dla przyrządu mierniczego niezbędną, zanim zmierzono wielkości, na których się on właściwie opiera, spółczynniki bowiem rozszerzalności rtęci i szkła zostały dopiero w epoce znacznie późniejszej należycie oznaczone. Przy braku tych danych, wysokości słupa rtęci w rurce termometrycznej przy różnych temperaturach oznaczyć niepodobna, dla tego też daremne były usiłowania tych, co wielkość stopnia określać chcieli przez stosunek do objętości naczynia. Zadanie uprościło się przez odkrycie zjawisk, przy których temperatura zawsze jest jednaka i niezmienna, co dało możność doboru punktów stałych i związania z niemi podziałki. Skoro zaś termometr tak wykończony znalazł się w rękach fizyków, ukazują się natychmiast pierwsze pojęcia ciepła utajonego i ciepła właściwego, świadcząc tą współczesnością właśnie, że umiejętne badanie objawów ciepła rozpocząć się mogło dopiero przy pomocy przyrządu, dozwalającego ściśle mierzyć temperaturę. Badania te wszakże, którym termometr sam dał początek, zwolna się przeciw niemu zwróciły, poddały go bowiem surowemu sądowi krytycznemu i wykryły w nim źródła niedokładności.

Krytyka termometru ropoczęła się w istocie rzeczy już oddawna, gdy daremne wysiłki Fahrenheita i innych konstruktorów pogodzenia termometru alkoholowego z rtęciowym przekonywały, że różne ciecze rozmaicie i niejednostajnie rozszerzają się pod wpływem ciepła, a drogę do usunięcia tych zawiłości wskazał Amontons w r. 1699. Badając przyrost prężności powietrza przy ogrzewaniu go do temperatury wody wrzącej, poznał, że niejednakie nawet ilości powietrza przy jednakiem ogrzaniu nabierają jednakiej prężności, bezzwłocznie też zasadę tę zastosował do budowy termometru normalnego, by wskazania innych termometrów można było do niego odnosić. W wieku ośmnastym jedynie tylko Lambert ocenił doniosłość prac Amontonsa i dalej je rozwinął, a z porównania różnych termometrów wniósł, że rozszerzalność alkoholu odstępuje znacznie od rozszerzalności powietrza i rtęci, co prowadzi za sobą konieczność poprawek przy oznaczaniu temperatury. Po ukazaniu się dzieła Lamberta „Py-

rometria", które wyszło już po jego śmierci w r. 1799, ożywione dotąd pole termometryi zaległa długotrwała cisza, z której wyrwały ją dopiero rozpoczęte w r. 1840 doświadczenia Regnaulta nad rozszerzalnością gazów i par, a następnie rtęci i szkła.

Rozległe badania Regnaulta, stanowiące dotąd wzór ścisłości doświadczalnej, dały podstawę, na której wreszcie oprzeć się mogły najnowsze udoskonalenia termometrów, przeprowadzone głównie przez wielkie instytucye miernictwu precyzyjnemu poświęcone, biuro międzynarodowe miar i wag w Paryżu, oraz instytut fizyczno-techniczny w Berlinie. Rozbierać tu nie będziemy wszystkich źródeł błędów, jakie nastręczać się mogą przy budowie i użyciu termometru, przytoczymy tylko, na czem polegają najważniejsze ulepszenia termometru rtęciowego, w ostatnich czasach wprowadzone.

IV.

Wspomnieliśmy, że Newton już zwracał uwagę na konieczność „kalibrowania" rury termometrycznej. Stopnie bowiem termometru odpowiadać winny równym objętościom, skoro zaś dzielimy go na stopnie równe pod względem długości, to podział ten w tym tylko razie jest należyty, gdy rura wszędzie jednakową posiada szerokość. Warunek ten wszakże, przy nieco znaczniejszej zwłaszcza długości rury, rzadko jest spełniany, podziałka więc zastosowana być winna do niejednostajności jej średnicy, czyli kalibru, albo też do wskazań termometru odpowiednią wprowadzić należy poprawkę. Badanie rury termometrycznej co do jej kalibru polega w ogólności na przesuwaniu wzdłuż niej oddzielonego słupka rtęci i mierzeniu długości jego w kolejnych położeniach. Jeżeli słupek ten, czyli nitka rtęci, zachowuje wszędzie długość niezmienną, świadczy to, że rura posiada w całej swej długości szerokość jednostajną, każde natomiast zwężenie jej lub rozszerzenie zdradza się natychmiat zmianą długości przesuwanego słupka. Prosta ta napozór metoda jest w istocie rzeczy żmudna, tembardziej, że każde oddzielne przesunięcie słupka i jego zmierzenie dotknięte być może błędem obserwacyjnym, cała więc robota prowadzi za sobą nagromadzenie takich błędów przypadkowych, które usunąć można jedynie przez wielokrotne powtarzanie tego postępowania ze słupkami różnej długości i skombinowanie osiągniętych rezultatów. Wiodące do celu tego rachunki przeprowadził

niegdyś Bessel, uprościł je zaś Oettingen, a w ostatnich czasach Thiessen. Taki wszakże sposób probowania rury stosować możemy dzięki tylko temu, że rtęć szkła nie wilgoci; gdyby to była ciecz przylegająca do szkła, jak woda lub alkohol, to przesuwany słupek skracałby się przez pozostawianie cząstek swych na ścianach rury. Jest to więc niewątpliwie jeden z powodów, dla których dopiero wprowadzenie rtęci umożebniło budowę dokładnych termometrów. Jakąkolwiek zresztą cieczą byłby termometr ostatecznie wypełniony, do wyprobowania w każdym razie rtęć tylko użytą być może. Przy samem odczytywaniu nawet termometru, zupełnie dokładne wskazania dawać może jedynie ciecz, która rury nie wilgoci; przy spadku przynajmniej termometru liczba wskazana przez ciecz do szkła przylegającą będzie nieco zaniska, część bowiem cieczy pozostaje do rury przyczepiona.

Do nowszych postępów, w budowie termometru osiągniętych, należy rozszerzenie granic, w których stosować go można. Pod zwykłem ciśnieniem atmosferycznem rtęć wre w temperaturze 375 C°, ale już znacznie niżej tego stopnia ulatnia się tak szybko, że nie daje wskazań rzetelnych. Ponieważ zaś już około 150° rtęć traci obojętność swą względem tlenu powietrza i łączy sie z nim chemicznie, sądzono tedy, że przestrzeń rury termometrycznej ponad rtęcią niezbędnie próżną pozostawiać należy, co sprowadzało zniżenie punktu wrzenia i zakres działalności termometru bardziej jeszcze ograniczało. Poznano wszakże, że bez żadnej ujmy dla jego dokładności można rurę ponad rtęcią zapełniać gazem obojętnym, który w żadnej temperaturze na nią nie działa. Użyto więc do tego najpierw azotu, a gdy go zaczęto wtłaczać pod ciśnieniem dochodzącem do czterech atmosfer, zdołano punkt wrzenia rtęci przesunąć znacznie w górę i otrzymano termometry, dające dokładne wskazania aż do 450°. W ostatnich czasach udało się nawet granicę tę wyżej jeszcze podnieść, a to przez zastosowanie kwasu węglanego; skorzystano mianowicie z kwasu węglanego skroplonego, który teraz w tym stanie znajduje się w handlu, a przez zapełnienie nim rury termometrycznej podniesiono ciśnienie na rtęć aż do ośmnastu atmosfer, co wydało termometry służące dobrze aż do 550°. Pomimo tak znacznego ucisku, pod jakim rtęć pozostaje, rozszerza się wszakże tak samo, jak w próżni, ciecze są bowiem zupełnie prawie nieściśliwe i najpotężniejsze nawet ciśnienie objętości ich wyraźnie nie zmniejsza.

Przez dalsze wzmaganie ciśnienia wewnątrz termometru możnaby i wyżej jeszcze punkt wrzenia rtęci podnosić, teoretycznie bowiem metoda ta miałaby kres swój dopiero w temperaturze krytycznej rtęci, to jest w temperaturze, przy której żadne już ciśnienie

w stanie ciekłym utrzymać jej nie zdoła, ale ponad pewną miarę ucisku wzmagać nie można, powodowałoby to bowiem znaczne przekształcenie naczynia. Zdołano wszakże i w inny jeszcze sposób podnieść granicę działalności termometru, bez uciekania się do ciśnień nadmiernych, a to przez zastąpienie rtęci cieczą, w wyższej jeszcze wrzącą temperaturze. Dogodną taką cieczą okazał się w szczególności stop potasu i sodu, który wre w temperaturze około 700°, krzepnie zaś przy—8°; niski punkt krzepnięcia tem się tłómaczy, że w ogólności aliaże metaliczne topią się łatwiej, aniżeli metale, z których się składają.

Termometry tak daleko sięgające są już właściwie pyrometrami, jeżeli nazwę tę utrzymamy dla przyrządów służących do mierzenia temperatur bardzo wysokich. Podziałka ich nie może być przedłużeniem jedynie skali zawartej między 0° a 100°, ale ustanowioną być musi przez odniesienie do termometru powietrznego; dogodną też pomoc daje umieszczenie kolejne przyrządu w parze różnych substancyi, których temperatura wrzenia dokładnie jest znana. Otrzymujemy stąd szereg punktów stałych, stanowiących podstawę podziałki. Zbyt znaczna długość rury termometrycznej utrudnia używanie przyrządu, a zarazem staje się źródłem błędu; pomiar bowiem temperatury dawać może rezultat dokładny w tym tylko razie, gdy wszystka rtęć w termometrze doprowadzona jest do temperatury, którą oznaczać mamy. Wzgląd ten mieć należy na uwadze i w zwykłych termometrach, gdy słup rtęci występuje ponad przestrzeń badaną, a powstającą stąd niedokładność usuwać trzeba przez odpowiednią poprawkę rachunkową, którą przy termometrach zbyt długich trudno byłoby przeprowadzić. Aby więc skrócić termometry do wysokich sięgające temperatur, można w różnych ich punktach wtrącać rozszerzenia oznaczonej objętości, chociaż w takim razie termometr mierzy temperaturę w pewnych tylko danych odstępach, stosownie do celu, jakiemu ma służyć. W każdym wszakże razie pomimo ulepszeń, jakieby jeszcze zaprowadzić się dały, kres ostateczny, do którego przydatny być może termometr rtęciowy, ma miejsce około 600°, w tej bowiem temperaturze wszelkie gatunki szkła ulegają już zmiękczeniu.

Do temperatur przypadających poniżej punktu krzepnięcia rtęci utrzymał się dawny termometr alkoholowy, wspomniane jednak już wyżej przyleganie alkoholu do szkła, wzmaga się w temperaturach nizkich i bardziej jeszcze, aniżeli w temperaturze zwykłej, dokładności jego szkodzi. Aby więc błędy te usunąć, poddano doświadczeniu różne inne ciecze pod wpływem znacznego zimna dopiero krzepnące, a poszukiwania te uwieńczone zostały skutkiem pomyślnym, bardzo bowiem korzystną cieczą termometryczną okazał się toluol,

znany już oddawna węglowodór. Zachowuje on płynność swą lepiej, niż alkohol, nie stając się tak lepkim, a ponieważ wre dopiero w temperaturze 110°, można więc na napełnionych nim termometrach oba stałe punkty oznaczać, jak na termometrze rtęciowym. Podziałka zresztą zarówno termometru alkoholowego, jak i toluolowego, ustanawianą być musi przez porównanie z termometrem gazowym, a w szczególności z wodorowym, który jest właściwym przyrządem mierniczym dla temperatur najniższych.

Mówiliśmy o konieczności unikania rur zbyt długich, ale podobnież i inne wymiary termometru przekraczać pewnej granicy nie powinny. Pomimo bowiem dobrego przewodnictwa i słabego ciepła właściwego rtęci, jednostajne ogrzanie całej jej masy, w termometrze zawartej, wymaga pewnego czasu, a gdy ilość jej jest zbyt wielka, niepodobna prawie doprowadzić jej wszędzie do jednakowej temperatury. Dlatego też termometry, w których większe odstępy między kreskami podziałki osiągają się przez użycie wielkich kulek, wskazań dokładnych dawać nie mogą. Dobre więc przyrządy posiadać muszą naczynia niewielkie, a w tak drobnym obszarze zawarta ilość rtęci niewielkim też ulega zmianom objętości, które wyraźnemi być mogą jedynie w rurach nader wąskich, włoskowatych. Do mikroskopowej wszakże prawie szerokości doprowadzony słup rtęci trudno dostrzegać się daje, tem bardziej, że i powietrze w bardzo wązkich zawarte rurach, skutkiem całkowitego odbicia światła, przybiera połysk metaliczny. Niedogodności tej zaradził szczęśliwy pomysł, polegający na przekształcaniu okrągłego otworu rury w formę szczeliny, skąd włoskowata nitka zmieniła się na wstęgę rozszerzoną, daleko lepiej widoczną. Drobny ten szczegół umożebnił więc znaczniejsze zmniejszenie wymiarów naczynia.

V.

Największą wszakże ku termometrowi nieufność wzbudziło dostrzeżone przesuwanie się stałych jego punktów, a zwłaszcza punktu topliwości lodu. Gdy wskazania różnych przyrządów okazały się niezgodne, przypisywano to pierwotnie wadliwej ich konstrukcyi, albo też błędom obserwacyi; gdy wszakże jeden i ten sam termometr poddawać zaczęto długoletniej i ścisłej obserwacyi, przekonano się, że rzeczywiście ulega z biegiem czasu zmianom, często nawet bardzo

znacznym, a których źródło tkwi w pewnej opieszałości, jaką szkło względem wpływów ciepła okazuje. Jeżeli termometr ogrzewamy od zera do pewnej temperatury dosyć wysokiej, do 100° przypuśćmy, powłoka jego szklana ulega rozszerzeniu, ale po szybkiem oziębieniu do temperatury pierwotnej nie odzyskuje natychmiast początkowej swej objętości, przez pewien czas utrzymuje się jeszcze niejaka pozostałość rozszerzenia, a stąd termometr w lodzie topniejącym okazuje teraz stan niższy, aniżeli przed ogrzaniem, rozszerzone bowiem naczynie przyjmuje część rtęci z rury. Z biegiem czasu, po dniach i miesiącach całych, przyrost ten objętości znika, a tem samem punkt topliwości lodu zwolna się podnosi. Przy powolnem oziębianiu termometru zmiany te zachodzą w obszerności mniejszej, a przez długotrwałe ogrzewanie termometru można obniżenie czyli depresyę punktu zera dalej jeszcze posunąć, ale w każdym razie istnieje granica, której już przekroczyć nie można. Jest to więc najniższy czyli najbardziej obniżony punkt zera, od którego odróżniać należy każdochwilowy czyli przechodni punkt zera; ten ostatni jest wynikiem powolnego podnoszenia się, a położenie jego zależy od czasu, jaki upłynął od ostatniego rozgrzania termometru. Trwałe rozszerzenie kulki wpływać oczywiście musi i na położenie punktu wrzenia wody. Jeżeli więc termometr ogrzany zostanie znacznie ponad 100°, punkt ten ulega wyraźnemu obniżeniu; ale już i ogrzanie do 100° wywiera wpływ podobny, lubo w słabszej mierze. Skoro zaś punkt zera doznaje obniżenia silniejszego, aniżeli punkt wrzenia wody, odstęp przeto między niemi ulega pewnemu powiększeniu.

Objawy te więc są nader zawiłe, a dopóki statecznego i powolnego podnoszenia się punktu topliwości lodu nie wyróżniono od nagłego i chwilowego jego obniżania, nie można było wydobyć żadnej prawidłowości, zmienność ta wydawała się kapryśną zupełnie. Przed kilkunastu dopiero laty, po starannych badaniach, zdołał Pernet wykazać, że ruchy punktu topliwości lodu ulegają pewnym prawom. Obniżenie tego punktu zależy od temperatury, do jakiej termometr był ogrzany, i od czasu, przez który ogrzewanie to trwało. Przy ogrzaniu sięgającem powyżej 300° obniżenie być może bardzo znaczne i dochodzi do kilku stopni; przy ogrzaniu do 100° wynosi tylko kilka dziesiątych, a przy ogrzaniu do 50° już kilka setnych części stopnia zaledwie, ale i temperatura pokojowa sprowadza wyraźne jeszcze zniżenie punktu zera. Znaczy to, że nie można wprawdzie wskazać, jak dalece w danym termometrze obniżać się może punkt jego zera, ale dla każdej temperatury, na jaką poprzednio był on wystawiony, istnieje obniżenie oznaczonej wielkości. Daje to więc możność

wprowadzania należytych poprawek i usuwania błędu, pochodzącego ze zmienności punktu topliwości lodu.

Kłopotliwe te poprawki są wszakże obecnie zupełnie zbyteczne, chwiejność tę bowiem termometru pokonały ulepszenia w wyrobie szkła. W różnych termometrach depresya punktów stałych zachodziła w stopniu bardzo różnym, a niekiedy zdarzały się termotmery od wadliwości tej zupełnie prawie wolne; na podstawie dawniejszych badań Regnaulta rozmaitość tę tłómaczono słusznie różnicami zachodzącemi w składzie chemicznym szkła, ale dokładnemi rozbiorami różnych odmian szkła, używanych na wyrób termometrów, zajął się dopiero Rudolf Weber w r. 1883. Poszukiwania te doprowadziły go do niespodzianego odkrycia, że depresya nie występuje wcale, lub też bardzo jest słaba przynajmniej, gdy szkło zawiera jedynie tylko potas lub tylko sód, nie zaś oba te metale zarazem. Szkło, warunkowi temu odpowiadające, napotykało się dawniej bardzo rzadko w technice, posiada bowiem tak wysoki stopień topliwości, że huty stosowały umyślnie mieszaninę soli potasowych i sodowych do fabrykacyi szkła, które miało być w płomieniu lampy obrabiane. Podobnie jak aliaże topią się w temperaturze niższej, aniżeli każda z ich części składowych oddzielnie, tak też i szkło potasowo-sodowe daje się łatwo obrabiać w płomieniu lampy, gdy szkło, zawierające potas lub sód wyłącznie, otrzymywać może ostateczne wykończenie w hucie tylko. W ten więc sposób tajemnica zagmatwanej zagadki rozwikłaną została i szło już jedynie o wynalezienie szkła, któreby jeden tylko metal alkaliczny w składzie swoim posiadając, miało pomimo to dostatecznie nizki stopień topliwości. Zadanie to spełnione też rzeczywiście zostało przez zakład w Jenie, utrzymywany kosztem rządu pruskiego, a technice szkła wyłącznie poświęcony; poznano tam, że przez dodatek pewnych tlenków metalicznych wolne od potasu szkło sodowe otrzymuje niższy stopień topliwości, chociaż tlenki te depresyi nie powodują. Takie więc normalne szkło jenajskie, używane obecnie na wyrób termometrów, uwolniło je od najdotkliwszego źródła błędów. Korzystnem jest także znajdujące się w handlu francuskie szkło sodowe (verre dur). Gdy w termometrach ze zwykłego szkła turyngijskiego, po ogrzaniu ich do punktu wrzenia wody, depresya zera czyniła 0,4° do 1,° w tych nowych termometrach dochodzi do 0,1°, co najwyżej. Wybitniej jeszcze ujawnia się ta różnica przy silniejszem ogrzewaniu; w termometrach ze zwykłego szkła niemieckiego lub francuskiego punkt topliwości lodu podnosił się w ciągu 48 godzin o 6° do 14°, w termometrach natomiast ze szkła jenajskiego, po dziesięciogodzinnem ich utrzymywaniu w temperaturze 300°, podwyższenie zera wynosi zaledwie 0,6° do 1°.

VI.

Niemniej znaczne trudności nastręcza jeszcze połączenie z termometrem podziałki. Termometry dawniejsze składały się z przyrządu szklanego, przytwierdzonego do płyty drewnianej, na której wycięta była skala. Na drzewie wszakże podziałkę o drobnych odstępach trudno jest nakreślić dokładnie; drzewo nadto pod wpływem wilgoci zmienia swe wymiary, czyli, jak zwykle mówimy, paczy się, dla tego też termometry takie nie mogły bynajmniej do dokładnych pomiarów służyć, nie mówiąc już o tem, że pomimo przytwierdzenia termometr w drewnianej swej oprawie zawsze na osunięcie jest narażony. Wprowadzenie skal metalowych, w miejsce drewnianych, nie zaradziło trudnościom; podziałka wprawdzie mogła być dokładniej wyrobiona i wpływ wilgoci usunięty został, natomiast powstało nowe źródło błędu z powodu znacznej rozszerzalności metali, gdy słabsza rozszerzalność drzewa pozwalała wzgląd ten pomijać. Istotnem więc udoskonaleniem było użycie na podziałkę tegoż samego materyału, z którego i termometr jest wyrobiony, to jest szkła. Skala taka posiada takiż sam spółczynnik rozszerzalności, jak rura termometryczna, dąży więc równomiernie z jej ruchami i usuwa błąd wynikający z różnicy w rozszerzalności różnych materyałów. Dokładne wskazania dawać więc może jedynie termometr o skali szklanej, ale i połączenie podziałki takiej z termometrem złączone było z pewnemi przeszkodami.

Najprostszą wydawało się rzeczą wyrycie podziałki na samej rurze termometrycznej, której też dlatego nadano grubość odpowiednią. Przez opatrzenie jej smugą szkła mlecznego uczyniono kreski i liczby łatwiej widocznemi, zwłaszcza, gdy są uczernione mięszaniną sadzy i oleju Termometr wszakże zanurzany bywa we wszelkie możliwe ciecze, kwaśne i alkaliczne, wystawiany jest na wpływ czynników atmosferycznych, powierzchnia więc jego narażona bywa na ciągłe zniszczenie, najlepsze bowiem nawet szkło nie jest zupełnie nierozpuszczalne, stąd też i podziałka staje się coraz mniej wyraźną, zanikając stopniowo. Od takiej więc zagłady należało ją uchronić, a wzór do naśladowania nasunęły znane powszechnie, tanie termometry, w Turyngii głównie wyrabiane, służące do wskazywania temperatury w kąpielach. W przyrządach tych właściwa rura termometryczna wtopiona jest w drugą rurę zewnętrzną, w którą wsuniętą

jest skala, na papierze nakreślona. Podobnąż budowę zastosowano i do termometrów naukowych, w których rurka termometryczna, wraz ze skalą na płycie szkła mlecznego wyrytą, mieści się w rurze zewnętrznej. Na płaskiej płytce podziałka drobiazgowa daje się lepiej i dokładniej urządzić, aniżeli na sklepionej ścianie samejże rury termometrycznej. Trzeba było wreszcie jeszcze podziałkę tę tak wewnątrz rury przytwierdzić, by pozostawała nieporuszoną, ulegając przy tem wespół z rurą termometryczną zmianom, od wpływu termometru zależnym. Z początku przytwierdzano ją w górnym końcu rury, ale osadzenie takie okazało się bardzo szkodliwem, przy ogrzewaniu bowiem termometru skala rozszerzała się od góry ku dołowi, gdy sama rura, u spodu przylutowana, zapełniała się rtęcią od dołu ku górze. Zupełnie należyte osadzenie skali, zapewniające jej dostateczną ruchliwość i stałą zarazem podporę, wprowadził dopiero Fuess, znany konstruktor przyrządów fizycznych. W urządzeniu tem skala wspiera się na widełkach wtopionych w dolną część rury termometrycznej; podobneż widełki obejmują skalę i w górnej jej części, tak wszakże, że pozostaje jeszcze drobny odstęp, by skala pod wpływem temperatury rozszerzać się mogła swobodnie, w odstępie zaś tym mieści się sprężyna, która skalę wciąż ku dołowi naciska. Tym więc sposobem rura i skala razem się ku górze rozszerzają i wysokość słupa rtęci dokładnie odczytać się daje.

I przy samem zresztą odczytywaniu termometru unikać należy błędu, który łatwo powstać może, jeżeli oko w kierunku ukośnym spogląda, zwłaszcza, gdy podziałka jest dosyć daleko od słupa rtęci usunięta. Paralaktyczny taki błąd powtarza się dosyć często, a ciekawą jest z tego względu anegdota o raportach nadsyłanych z pewnej syberyjskiej stacyi meteorologicznej do biura centralnego w Petersburgu. W raportach tych wysokość barometru okazywała stałe z dnia na dzień kołysanie, tak że barometr w ciągu dni po sobie idących wznosił się i opadał naprzemian. Tak prawidłowe, codzienne przeskoki zwróciły uwagę biura, a dochodzenie przyczyny wykryło, że do odczytywania barometru używani byli dwaj podoficerowie, pełniący służbę kolejno co drugi dzień, z których jeden wysokiego, a drugi nizkiego był wzrostu; podoficer wysoki spoglądał na szczyt rtęci z góry, nizki zaś z dołu, pierwszy więc podawał za nizki, drugi za wysoki stan barometru. Anegdota ta usprawiedliwia potrzebę zalecania niezbędnej przy odczytywaniu podziałek ostrożności.

Jeżeli kreski dosyć są cienkie, wprawny obserwator łatwo ocenić może dziesiątą część odstępu między niemi; ponieważ zaś na termometrach dokładnych podziałka obejmuje dziesiąte części stopnia, unikać przeto przy odczytywaniu można błędu, przechodzącego $^1/_{100}$ stopnia.

Nie należy zaś sądzić, by wszelkie te ulepszenia termometru dla pracowni jedynie naukowych znaczenie posiadały, w życiu bowiem zwyczajnem niezbędny jest także dokładny pomiar temperatury. Termometr lekarski, który daje wskazania o stopień tylko błędne, mógłby niebezpieczne powodować omyłki przy badaniu stanu chorego. Gdy zresztą idzie o ocenę nader drobnych różnic temperatury, posiada nauka inne zupełnie przyrządy; zbudowany przez Langleya bolometr wykazuje zmianę nieprzechodzącą $^1/_{100\cdot000}$ stopnia. O takich wszakże przyrządach, o innych metodach mierzenia temperatury —mówić nie będziemy; przedstawiliśmy tu historyę zwykłego termometru jedynie, by prosty ten i znany każdemu instrument zaświadczył, jak stopniowo doskonalą się przyrządy naukowe, oraz ile każdy z nich pracy i zachodu kosztuje. Ex uno disce omnes.

Stanisław Kramsztyk.

DRAMAT I OPERA.

I.

Napisano w tych czasach, mniejsza o to gdzie, że przedstawienie na scenie teatru Rozmaitości „Mocarza“ p. Stanisława Brzozowskiego, jest „datą“ dla wszystkich tych, „którym na imię dramat polski“. Dobre o sobie mniemanie, to połowa szczęścia; nie psujmy więc tego szczęścia nikomu. To takie naiwne, tak w gruncie rzeczy dla nikogo nie szkodliwe i z taką matematyczną ścisłością powtarza się z nadejściem każdego nowego pokolenia! Wszak nigdy inaczej nie przemawiała młodość, od siebie datująca koniec wszystkiego, co ją poprzedziło i początek wszystkiego co jest i będzie jej dziełem. Ponad tem, później, dzieje literatury i sztuki przechodzą do porządku dziennego; do poprzednich ogniw twórczości ludzkiej przybywa zwykle silnie za nie zaczepione następne ogniwo i łańcuch ewolucyjny twórczych myśli i uczuć wydłuża się dalej w nieprzerwanej ciągłości. Dajmy więc pokój datom, epokom i erom; a jeżeli już koniecznie mielibyśmy mówić o początkach, to powiedzmy po prostu, że pod hasłem młodej literatury rozpoczął się... sezon teatralny.

Słychać w tej chwili wszędzie to hasło, nawołujące do wniknięcia w „pogłębione życie“ i do wydobycia z tych głębin na jaw prawdziwej duszy ludzkiej, której „prawdziwość“ datować ma, naturalnie, dopiero od dzisiaj. Najgłośniej, rzecz prosta, odzywa się owo „pogłębienie“ w liryce, w której subjektywna fantazya, zabezpieczyła już sobie pod osłoną poezyi, niczem nie krępowane samowładztwo. Epicka znów twórczość, wzgardziwszy w powieści ubóstwianą niedawno „przedmiotowością“ posługuje się osobistą interwencyą twórcy, „pogłębiającego“ dusze ludzkie psychologicznemi komentarzami. Najtrudniej pod takiem hasłem tworzyć w teatrze. Teatr nowoczesny, odrzucający „życie zewnętrzne“, a nie znoszący komentarzów do „wewnętrznego“ wyparł ze sceny z jednej strony akcyę, z drugiej skasował wszelkie monologi, wszel-

kie „na stronie“ nawiasy; gdy więc chce pogłębiać, zmuszony jest ratować się, albo niedomówieniami, domyślnikami, obrachowanemi na zawodną bardzo współtwórczość widza i słuchacza, albo symbolami, które umiejętnie nawet użyte, wprowadzają najczęściej do zamierzanych „nastrojów“ nieartystyczne rozdźwięki między rzeczywistością a fikcyą. Nie idzie tu bowiem, ani o tak zwanych „Ideenträgenów“, wcielających w ludziach z jednej sztuki myśl jakąś dziejową, polityczną, filozoficzną, czy też artystyczną, rozwiniętą wśród kolizyj życiowych; ani nawet o modne do niedawna jeszcze „dramaty środowiska“, wysnute z walki osobnika z otoczeniem, ponad które jednostka dźwignęła się indywidualnie. Nie—tu chodzi o „przepastne“ dno psychologiczne najprostszych wydarzeń i sytuacyj; o to, żeby romans studenta ze szwaczką, fizyologiczne dreszcze poronionej malarki, trybuńskie zachcianki dziennikarza, wyglądały bardzo „głęboko“; a jeżeli się nie jest Ibsenem, którego figury, stąpając twardą nogą po ziemi, resztą postaci zanurzają się wysoko we mgły symboliczne, można się narazić na porównanie z owym filozofem, wołającym z pospolitego dołu, dokąd był wpadł, zapatrzywszy się w siebie: „jaki ja głęboki“!

Niełatwo tedy pogłębiać w teatrze; nie łatwo, ale ponętnie, bo „pogłębienie“, to doskonała okazya dla młodego subjektywizmu, z natury swojej nieco teatralnego i lubiącego występować na pokaz. Przyjemnie jest z pierwiastków własnego „ja“ dać swoim bohaterom podłoże „życia podziemnego“, zwłaszcza kiedy to niewiele kosztuje, kiedy nasze „ja“, ukształtowało się samo według gotowych typów literackich. Jest takich typów kilka: Ibsenowski intellektualista, odrywający się od gruntu społecznego na skrzydłach anarchicznej myśli ku indywidualnym wyżynom; „odrodzeniec“ d'Annunzia, wzdychający do nowego renesansu, do zjednoczenia w „trzeciem królestwie“ sztuki kultu klasycznego piękna z ideałami chrześciańskiej kultury; Maeterlinkowski mistyk, wyczuwający wszędzie tajemnicze związki między światem widzialnym i niewidzialnym; Tołstojowski moralista, rewolucyonizujący świat pod sztandarem ewangelicznej etyki; wreszcie Nietzscheański poeta, z rodziny Zarathustry, prorokujący „przemianowanie wartości moralnych“. Coś z tego wszystkiego, przepuszczone przez pryzmat młodego umysłu, rzuci niekiedy na scenę barwny promień i tu i owdzie wytworzy optyczne złudzenie „głębi“.

Bywają jednak wypadki, że i to się nie udaje; że w jakimś motywie życiowym, żaden ton z takiej pięciostrunnej liry nie znajduje oddźwięku. Ot, po prostu, szmat szarego życia nęci artystę do wydobycia z subtelnych odcieni tej szarzyzny żywej plastyki; a tu z obawy

przed zarzutem „mydlenia“ po powierzchni życia, trzeba „pogłębiać“ za wszelką cenę, choćby przyszło istotną plastykę poświęcić dla urojonej głębi. I wtedy to występują osobliwsze wysiłki pogłębiania w próżni, wtedy wciska się do teatru coś, co nazwałbym „pałubizmem scenicznym“.

Wyrażenie jest nowe, zarówno jak rzecz sama, datująca (wszystko teraz datuje) od powieści p. Irzykowskiego p. t. „Pałuba“. Jakkolwiek jestto „ostatni krzyk“ naszej nowoczesnej „genialności“, książkę samą, nie należącą do rozpatrywanego tu materyału z konieczności pozostawię na boku; sprobuję tylko określić ową „głębokość“, która z kartek jej zdaje się przedostawać na deski teatralne.

Do powieści p. Irzykowskiego możnaby zastosować paradoksalną definicyę „romansu doświadczalnego“, z tem tylko odróżnieniem, że Zola do swoich „doświadczeń“, dokonywanych oczywiście nie *in anima vili*, lecz na wytworach własnej fantazyi, gromadził „dokumenty“ z życia zewnętrznego i fizyologicznie operował, że się tak wyrażę, na naskórku człowieka; kiedy p. Irzykowski manipuluje „dokumentami“ zebranemi w podziemiach życia, tam, gdzie Psyche, kryje się w swojem tajemniczem królestwie, dostępnem oczom wyjątkowych tylko śmiertelników. W gruncie rzeczy różnice nie są tak wielkie, jakby się wydawało; bo odruchy „prawdziwej duszy“ w mistycznej dziedzinie nieświadomości, łudząco bywają podobne do bezwiednych potrąceń ślepego instynktu w sferze fizycznych temperamentów ludzkich; a i eksperymenty nie bardzo też od siebie odbiegają. Tu i tam są szufladki z etykietami, z których Zola brał, a w których p. Irzykowski składa to, co tamtemu wydawało się, a temu się wydaje objawem charakterystycznym; tylko złudzenie Zoli o tyle było usprawiedliwione, że objawów do szufladek dostarczały mu fakty życiowe, podlegające bądź co bądź kontroli, illuzye zaś p. Irzykowskiego biorą początek w tych suterenach psychologicznych, gdzie subjektywizm autora jest zarazem samowolnym twórcą i samozwańczym sprawdzianem „podziemnego życia“. I dla tego człowiek Zoli, produkt wytężonej syntezy, ma pozory życia nawet wtedy, gdy się porusza w kształtach potwornie wyolbrzymionego symbolu, człowiek p. Irzykowskiego, rozbierany na pierwiastki w jego laboratoryum myślowem, rozsypuje się w pył analityczny; dla tego tamten może być człowiekiem „zewnętrznym“, ale mam go plastycznie przed oczyma; ten jest może człowiekiem „głębokim“, ale go wcale nie widać.

Otóż wyznaję, że dla sceny, gdzie wszystko powinno być widać lękam się takiej psychologii doświadczalnej i podobych prób „pałubicznego“ pogłębienia człowieka. W książce może do pewnego sto-

pnia zainteresować lub choćby tylko zabawić preparat, około którego uwija się z zadowolonym uśmiechem na ustach laborant, pracujący w obnażonej przez siebie duszy ludzkiej, nad „przemianowaniem wartości psychologicznych“, wyprowadzający dowolnie czyny swego bohatera z „podziemnych“ pobudek nieświadomości, wynajdujący w duchowym jego ustroju, nieznane kombinacye przyczyn i skutków, jakby jakiś nowy systemat niemateryalnych nerwów, insynujący mu potrącenia własnego sceptycyzmu niby z niewiadomego źródła pochodzące impulsy. Ale proszę sobie wyobrazić na deskach teatralnych takiego naprzykład pana, którego jedynym tytułem do zajęcia naszej uwagi jest to, że ożeniwszy się po śmierci pierwszej żony, wątpliwej malarki, z osobą wielce praktyczną, probuje kanałami „życia podziemnego“, wprowadzić do stosunku z drugą żoną artystyczne oświetlenie z zaświata, lub na odwrót, wspomnienia pierwocin uczuciowych, poddać tą samą drogą, krytyce małżeńskiego recydywisty; proszę wyobrazić sobie usiłowania dramaturga, żeby wynaleźć coś w technice teatralnej, coby zastąpiło otwieranie i zamykanie psychologicznych szufladek i wmówić w publiczność, że bohater porusza się ponad otchłannemi suterenami duszy ludzkiej, że pod nim jest głębia! Jaką sztuczność wywołaćby musiał w teatrze taki stosunek dramaturga do stworzonych przezeń postaci, jaka chwiejność wyszłaby na jaw w postawie figur, które, zamiast pewną stopą chodzić po ziemi, wsłuchiwałyby się w echa swoich kroków w podziemiach psychologii; jaka nieszczerość zgrzytałaby w każdem wymówionem na scenie słowie, do którego głęboki komentarz pozostał w myśli autora!

II.

Przypuszczenie takie nie jest bezpodstawną hypotezą i miewa w rzeczywistości pewne uzasadnienie, o czem świadczą choćby ostatnie utwory p. Tadeusza Konczyńskiego, w których są wyraźne ślady „pałubizmu“. Nie odrazu ujawniły się one w twórczości młodego autora. Pierwszy dramat p. Konczyńskiego: „Otchłań“ zajmująco się rozgrywał między realnie odtworzonymi ludźmi, w akcyi dramatycznie napiętej wśród najzwyklejszej prozy życiowej. Inaczej już było w następnym utworze. „Kajetan Orug“ postawiony jest przez autora „Otchłani“ na głębszym niby pokładzie ideowym; cóż, kiedy chwiejność tego właśnie pokładu, zamiast pogłębić ludzi, wypadki,

sytuacye, osłabia w nich tętna życia, stawia bohaterów na jakieś symboliczne szczudła. Wyrosłe na tak niepewnym gruncie figury nadwątlone są infiltracyą tej niejasności; charakterystyka ich omdlała, falująca, ratuje się tylko od czasu do czasu kontrastami między literaturą, uprawianą przez większość bohaterów zamiast zwięzłego scenicznego dyalogu, a pewnemi rozmyślnemi jaskrawościami słów i czynów, ujawniającemi się w awanturach dość osobliwych w przedstawianej przez autora sferze, gdzie na tle kultury towarzyskiej ci i owi „plują“ na siebie... retorycznie, wszyscy niemal wymyślają sobie od „podłych“, a niektórzy rzucają się z pięściami nawet na kobiety. Wśród takich dziwnych przeciwstawień, snuje się tragedya indywidualności w zapasach z otoczeniem, która mogłaby być interesującą, gdybyśmy dobrze wiedzieli, w imię czego prowadzi się walka i czego wogóle chce bohater od życia. Probował p. Konczyński wymotywować to po za teatrem, dzieląc się z czytelnikami, w jednym z dzienników, wrażeniami z pierwszych swej sztuki przedstawień. Niewiele jednak światła przybyło z tej auto-krytyki i chorujący na „głębię“ Kajetan Orug jest po niej, jak był przed nią niejasną figurą, mętną duszą, człowiekiem szukającym po świecie myśli, której nie zgubił, bo sam niedobrze sobie zdaje z tego sprawę, czemby ona właściwie być mogła. Niewyraźny dramat ideowy splata się z rzeczywistszym nieco dramatem życiowym — bohater zaś obu ma wolę i dlatego zwycięża, opłaciwszy zwycięstwo ofiarą własnego mienia, śmiercią samobójczą kobiety pustej, samolubnej, którą kochał, a która w nim zabić próbowała ową „myśl“ zagadkową, i zerwaniem wszelkich węzłów, jakie go w stosunku ze społeczeństwem przez rodzinę i przyjaciół wiązały. Z jednakową bezwzględnością wycofał się ze spółki arystokratyczno-ziemiańskiej, wyzyskującej na swoją korzyść jego geniusz przemysłowy, odtrącił kochankę za jej spekulowanie na jego majątek, odsunął przyjaciela, potwarczo o interesowność oskarżon-go, nie oszczędził nawet ubóstwiającej go siostry, na którą od tych oszczerstw padł przez chwilę cień podejrzenia. Czy zostawszy sam cierpiał w tem osamotnieniu? Niewiadomo; bo źródłem jego woli była myśl, nie uczucie, a wszystkie czyny tej woli nosiły na sobie cechę jakiegoś zimnego intellektualizmu, nie usprawiedliwionego, jak w bohaterze, znanej czytelnikom „Biblioteki“ powieści p. Konczyńskiego, jasno określonym celem. Tamten złamał wprawdzie życie uczciwej dziewczynie, ale napisał przynajmniej poemat, z którego jest kontent; ten wybudował mnóstwo pożytecznych fabryk i każe nam tego żałować, bo byłby może w dziele poetyckiem urzeczywistnił swoją myśl.

Jaką myśl?

Rozumiemy ją, gdy idąc przez życie „śladem tęsknoty“ wyrywa się ponad życie na skrzydłach poetyckiej twórczości; mniej ją pojmujemy, kiedy Kajetan Orug przeklinając to, czego dokonał na polu praktycznem, biada nad tem, co mógł był gdzieindziej stworzyć, a czego nie stworzył. Widzimy bowiem że to, co zrobił—jest, przynosi pożytek całemu ogółowi i jemu samemu; niewiemy natomiast, co właściwie mógł spełnić, gdyby mu nieszczęsna miłość rąk nie była związała. I tak małe mamy o tem pojęcie, mimo rozproszonych w ciągu sztuki wykrzykników, że gdy w ostatniej scenie bohater wyswobodzony wreszcie ze wszystkich kajdan uczuciowych, błędnym wzrokiem w dal zapatrzony woła:

— Ty, ty?... której wzywam, której czekam; myśl moja, myśl...

czekamy także i my; czekamy nawet gdy zasłona spadła na słowa Oruga:

— To nie ona, j e s c z e nie ona...

J e s z c z e nie ona; więc nastąpi taka chwila, kiedy ona przyjdzie? A może już przyszła, mówiliśmy sobie, wybierając się na pierwsze przedstawienie „Błędnych ogni“, w przekonaniu że p. Konczyński, pisarz rozumny, wrażliwy, uzdolniony, który dróg sobie dotąd szukał, znalazł je prędzej, aniżeli Kajetan Orug, swoją myśl wymarzoną.

Nie; i tym razem publiczność wyszła pod wrażeniem niepewności — i to był jedyny „nastrój“ jaki po sobie zostawiła ostatnia sztuka p. Konczyńskiego.

Nastrój w każdym razie charakterystyczny, znamionujący poniekąd naturę twórczości, wybiegającej niewyraźnemi aspiracyami w dal, w zwyż, a zwłaszcza w głąb. Niema u p. Konczyńskiego tak błahej figury, która, w ten lub ów sposób, nie suggestyonowałaby widzowi choć na chwilę przypuszczenia, że jest c o ś poza nią, ponad nią lub pod nią; ale na falach tych aspiracyj, tak jest wszystko zawieszone w powietrzu, tego coś tak wszędzie szukać trzeba, a tak rzadko znaleźć je można, że „błędnym ogniem“ mogłaby tu być myśl autora, za którą z mozołem ugania się widz stropiony.

Kto ją piastuje: bogaty *vivеur* Rawicki, który przeniosłszy się ze wsi do Warszawy i zagrzęznąwszy po szyję w bagnisku bezdusznego użycia miewa chwile otrzeźwiającego niesmaku i sceptycznej literatury; czy żona jego, wbrew swym usposobieniom popychana przez męża w trzęsawisko i rozpaczliwie broniąca się od zatonięcia całą odporną siłą prawej natury; czy wreszcie cynik dekadent kryjący w duszy skarby uczucia, tłumionego zjadliwym śmiechem ze wszystkich i wszystkiego? Niewiadomo; bo ten złudny płomyk unosi się

to tu, to tam, zatrzymując się też przez chwilę nad głową siostry Rawickiego, czystej, pełnej cichego hartu dziewczyny, a naokoło roztacza tak niezdecydowane, migotliwe oświetlenie, że przedewszystkiem w dekoracyi dramatu widz zoryentować się nie może.

Gdzie jesteśmy? w Warszawie czy w Krakowie? Nazwy ulic ogrodów, restauracyj wskazują Warszawę; obraz filisterskiego epikureizmu rozbawionej bezmyślnie „Beocyi“ ma koloryt z palety krakowskiej; ześrodkowanie życia społecznego w salonie, ironizuje Warszawę; styl tego salonu z gwarą kawiarni („nie zrobisz tego, mówi wytworna dama do męża, boś „f u j a r a“), jest pochodzenia krakowskiego, zarówno jak krakowskiem jest wcielenie w dekadencie wyższości kultury umysłowej. Właściwie znajdujemy się w próżni, brak bowiem w tej bezimiennej przestrzeni, jakiejbądź, bodaj do kosmopolitycznego życia potrzebnej atmosfery, a próżnię wypełniają cienie, z fizyognomii i ruchów podobne do ludzi, którzy nie mają czem oddychać. Więc to może symbole, niezrozumiałe dla naszej niekulturalnej publiczności? Gdzież tam! Oplątujący te cienie dramat bardzo rzeczywisty, powiedzmy prawdę, bardzo banalny, domaga się nieodzownie ludzi żywych, ludzi z ciała i kości, do tej banalności dostrojonych. I tu właśnie najdotkliwsza słabość dramatu: że tego dostrojenia niema, że ludzie wyglądają, jakby koniecznie chcieli coś więcej powiedzieć, aniżeli mówi sama sytuacya. Sytuacya zaś jest bardzo prosta. Rozpróżniaczony utracyusz sprzykrzył sobie najprzód *paterna rura*, potem miejskie rozkosze i odwraca się znudzony nawet od tajemnej z żoną przyjaciela miłostki. Nudzi się od pierwszego podniesienia zasłony i może na wiarę uroczyście zasępionego oblicza bohatera, i pewnych jego, dających niby do myślenia, frazesów, bylibyśmy skłonni dopatrywać się czegoś na dnie tej nudy, gdyby jednocześnie trapiony *Katzenjammerem* Rawicki nie przekonywał ustawicznie własnej żony, że odtrącaną już przezeń czarę życia „w wielkim stylu“ powinna sama wychylić aż do mętów. Więc i ona pić w końcu zaczęła. Co ją do tego skłoniło? Czy naprawdę nie skalana dotąd kobieta zachwiała się pod działaniem otaczającej ją atmosfery? Ależ niema takiego pierwiastku w tej atmosferze, któryby najgłębszego nie budził w niej wstrętu; nie działają tu nawet zwykłe bakterye wiarołomstwa, bo Rawicka kocha męża, kocha całą siłą miłości szczerej, zazdrości tajonej, i krzywdy doznawanej, a kochając, zamiast układać plany odwetu, tak gorąco marzy o wydobyciu siebie i swoich z zatrutego bagniska, że nawet instynktem kobiecym nie odgadła dyskretnego, a głębokiego uczucia dekadenta. Jeżeli zaś przez chwilę słucha starczych podszeptów blagującego rozpustnika, to jedynie dzięki... zbytecznemu kieliszkowi szampana. Do tego właściwie re-

dukuje się owa „czara rozkoszy“: tragedya w życiu uczciwej kobiety zależy od wypadku z „osobnego gabinetu“, wobec czego, wyszarzany po wszystkich melodramatach efekt z dziećmi, ratującemi matkę niespodzianem na scenę wtargnięciem i epilog nieudanego samobójstwa męża wraz z idyllą pojednania, jeszcze konwencyonalniej się przedstawiają.

A jednak, nawet tej złej sztuki ryczałtem, jako nieudolnego utworu scharakteryzować nie można. Pokutuje w niej to „coś“, co ujawniając się w robocie samej, w chybionej plastyce wykonania zapędami „pałubicznego“ pogłębienia, nastręczyć by jednak mogło odmienne nieco określenie samych intencyi autora. Zdaje mi się, że z tych intencyi wytwarza się nieuchwytny, ale wyczuwalny do pewnego stopnia nastrój „powagi życia“; i kto wie czy u p. Konczyńskiego zarówno jak u młodych pisarzów, dążących z dobrą wiarą do „pogłębiania“ w literaturze i sztuce badań życiowych, nie należałoby często zamiast tej „głębi“ podstawić „powagi życia“. Różnic na pozór w tych definicyach niema: życie „głębokie“ powinnoby być „poważnem“; życie „poważne“ musi mieć swoje pogłębienia; w rzeczywistości jednak są rozmaite powagi i głębie, zwłaszcza w dzisiejszych o życiu pojęciach. Jest współczesna głębia indywidualnych we własne „ja“ samozaciekań, wydobywających z „przepastnych“ pokładów natury ludzkiej tylko to, co niedawno jeszcze nazywało się *la bête humaine*, a co teraz nosi filozoficzne miano „tajemnic pra-bytu“; jest też i nowożytna głębia życia solidarnego, sięgająca w sam rdzeń zadań społecznych i według niej określająca rolę jednostki w powszechności. Jest powaga bardzo m o d e r n e, wlokąca się za życiem jak za karawanem, z Hipokratesowym wyrazem agonii, z cmentarnemi ku śmierci westchnieniami; jest równie nowoczesna powaga, zapatrzona w wielkie cele, w wielkie idee ludzkości i wzywająca do urzeczywistnienia tych ideałów potężnem wołaniem: młodości, życia, energii, czynu! Pan Konczyński, jak mniemam, spogląda na świat pod kątem społecznym i szuka tej myśli, którąby stosunkom ludzkim dała podkład powagi życiowej; a jeżeli to wejrzenie nie odbiło się dotąd na scenie w plastycznym obrazie, to godzi się przecież zaznaczyć taką w jego twórczości dążność, która, prędzej czy później, znajdzie sobie zapewne na deskach teatralnych wymowny wyraz.

III.

A teraz przypatrzmy się „dacie dramatu polskiego“ i zobaczmy, jak na scenie wygląda „Mocarz“ p. Stanisława Brzozowskiego, przedstawiony już dawniej czytelnikom „Biblioteki“ ze strony literackiej.

Teatr potwierdził w zupełności literackie wrażenia, akcentując tylko plastyczniej momenty napięcia i omdlenia w twórczości młodego autora. Dwa akty (pierwszy i trzeci) zbudowane z dziwną intuicyą duszy teatralnej, wypełnione ludźmi żywymi, silnie na nogi postawionymi i drgające nerwem dramatycznym; jeden akt, pośredni między tamtemi, nieuleczalnie anemiczny i osłabiający tą bezkrwistością nietylko rozpęd dramatu, ale i żywotność jego idei, a nawet poniekąd charakterystykę głównego bohatera — oto sceniczny bilans „Mocarza“. Mniejsza o to, że w artystycznej kompozycyi utworu kłócą się dwa style; że nad radykalnym światkiem Walczaka unosi się duch Ibsena, a w konserwatywnym saloniku starego Mirskiego, straszy z ciemnych kątów widmo Maeterlincka. Ważniejszą od tej niejednolitości stylowej jest dotykalnie w teatrze ujawniona dysharmonia w rysunku występujących przeciw sobie zapaśników. Już sam wzgląd, że ci dwaj przeciwnicy reprezentują dwie idee, a nadto okoliczność, że ich autor ani razu nie pozostawił na scenie oko w oko, nakładały na p. Brzozowskiego tem konieczniejszy obowiązek ożywienia każdego oddzielnie jednakową siłą charakterystyki. Tymczasem w redakcyi „Przyszłości“ wszystko wre, kipi uczuciami, namiętnościami, fermentuje myślami, ideami, wybuchają temperamenty, wynurzają się charaktery, gdy w redakcyi „Ogniska rodzinnego“ tętna życia biją starczym jakimś rytmem, w nudnej atmosferze snują sę senne dusze, chwieją się kontury, bledną fizyognomie i drażniący motyw trwożnego oczekiwania na coś, co się stać musi, jęczy do nieskończoności jedną wciąż nutą, która powtarza się bez ustanku z rozpaczliwą monotonią.

Wygląda to chwilami, jak gdyby tak zamierzał autor, jak gdyby chciał przeciwstawić bezwzględnej energii radykałów sentymentalną słabość konserwatystów, a może w samych nazwach walczących ze sobą dzienników, zawrzeć wróżbę zwycięztwa reformatorskiej „przyszłości“ nad zachowawczem „ogniskiem rodzinnem“. Przy takiej intencyi, nawet czytanie Mirskiemu przez córkę sceny między

Pankracym a Henrykiem z „Nieboskiej Komedyi“ (opuszczone zresztą na scenie) byłoby tylko formą ironicznego politowania nad epigonem obrońcy okopów Ś-tej Trójcy. Na takiej jednak hypotezie długo zatrzymać się nie można. Trudno przypuścić, aby p. Brzozowski dobrowolnie obniżał swego bohatera, dając mu świadomie mdłego adwersarza, przeciwko któremu wytaczają się wielkie działa agitacyi pomfleciarkiej i inscenizuje się zbrodniczo mord dziennikarski, spełniony na ojcu przez syna. Występuje tu raczej zwykła bezsilność w kreśleniu dodatnich typów, charakteryzująca twórczość młodszych pisarzów, którą odstręcza to, co wymaga uczuciowej syntezy odcieni subtelnych, trudnych do pochwycenia, a pociąga wszystko, co się łatwo daje osiągnąć kombinacyą myślową rysów ujemnych, bijących w oczy, i frazesów paradoksalnych, bijących w uszy. Z drugiej strony w charakterystyce Walczaka widoczna jest także zaznaczona już u innych aspiracya do „pogłębiania“.

Bez tego „pogłębiania“, Walczak—to Józwowicz Sienkiewicza ewolucyjnie doprowadzony do współczesnej nam chwili. Ta sama psychologia człowieka, który działa we własnem przeświadczeniu ani źle, ani dobrze, tylko konsekwentnie, logicznie, rozumnie i zgodnie z zasadami, zdobytemi długą, mozolną, wytrwałą pracą myśli; ten sam absolutyzm działacza, uznającego w sobie siłę przez duch czasu do działania uprawnioną, usuwającego bez skrupułów każdą przeszkodę na drodze do swego celu napotkaną i w chwili stanowczej, stawiającego wszystko „na jedną kartę“; ta sama polityczna arena walki o stanowisko „mocarza“, ta sama wirtuozowska gra na strunach duszy ludzkiej, śmiertelnie w razie potrzeby szarpanych; to samo lekceważenie zbiorowego instrumentu, z dodatkiem może nowożytnej pogardy dla „trzody“.

Na czem więc właściwie owo „pogłębienie polega? Do „pałubizmu“ nie ucieka się p. Brzozowski; natomiast obrał sobie autor „Mocarza“ wdzięczniejszą nierównie drogę, wskazaną już dawniej przez Stanisława Przybyszewskiego: pogłębia, rozszczepiając figurę na dwie postaci, dopełniając Walczaka — Hildą. W ten tylko sposób wytłómaczyć można, zjawianie się na scenie tej Ibsenowsko-Nietzscheańskiej istoty, żadnym węzłem z akcyą dramatu nie związanej.

— Wszak tyś mój — mówi do Walczaka, ta druga jego duszy połowa; — bo ja, to prawie tylko ty, to dumne, potężne ty, które jest w tobie.

W Hildzie więc wciela się myśl Walczaka oderwana od wszelkiej więzi społecznej. Ta kobieta, nawołująca trybuna do szczerości z samym sobą; szydząca z frazesu o „dobro ludu“, pod którem kryje

się żądza „panowania nad duszami“; domagająca się od „mocarza“ ażeby oparł się na sobie samym i żeby po dokonanej zbrodni, spojrzał swej ofierze prosto w zastygłe oczy, mówiąc: „to jest dobre, bo ja to sprawiłem“, ta sfinksowa zagadka—to Walczak taki, jakim w duszy swojej pragnął widzieć siebie i jakim być nie może.

Dla czego nie może?

Przybyszewski odpowiedziałby na to bez ogródki, nazwawszy siłę, która łamie mocarza, „przeżytkiem moralnym“, a uosobiony w demonicznym symbolu rozpęd jego duszy ku wyzwoleniu się z więzów sumienia—Tęsknotą „do wielkich czynów“. Pan Brzozowski zostawia pytanie bez odpowiedzi. Czy jej dać nie chce, czy też wcale jej niema? To jest właśnie wątpliwość, która osłabia rysunek postaci „mocarza“ i mąci wyrazistość idei dramatu. Można nie chcieć określać swego stosunku do bohatera, jeżeli się maluje przedmiotowy, realny obraz życia; ale od chwili, kiedy do tego obrazu wchodzi idea, trzeba określić własne względem tej idei stanowisko, o ile pisarz nie chce się narazić na powierzchowny lecz łatwy do przewidzenia zarzut, że ze względów praktycznych stawia świeczkę Panu Bogu i dyabłu. Dalekim jest od mojej myśli taki zarzut; zdając jednak sprawę w tym wypadku z wrażeń wyłącznie teatralnych, winienem zaznaczyć, że nie było na przedstawieniu tak prawowiernego widza, któremuby długa końcowa scena ukorzonego Walczaka z księdzem, powracającym od zwłok młodego Mirskiego, nie wydała się tanim melodramatycznym efektem, któremuby z tego powodu nie przyszły na myśl osobliwsze wobec nowych prądów zbliżenia. Oto autor „Quo vadis“, był dość wielkim artystą, ażeby nie pozwolić sobie w dramacie „Na jedną kartę“ na łatwy efekt, użyty bez skrupułu przez pisarza z młodego pokolenia, który nie był dość „moderne“, żeby się bez tego obyć. Czy to nie charakterystyczne? My ze swej strony dodamy do refleksyi publiczności uwagę, że ten właśnie artyzm utrwalił w literaturze typ Józwowicza, który mógł dać życie Walczakowi, gdy Walczak zniknie bezpotomnie za kulisami i ani narodziny jego, ani śmierć żadną nie będą datą.

IV.

Kiedy Björnson w komedyi „Rękawiczka“, głosi przez usta narzeczonej, że mężczyzna, domagający się od przyszłej żony dziewictwa, powinien to samo przynieść jej w darze do ołtarza, — wiemy, czego chce: stawia tezę, która może nie mieć nic wspólnego z obecnym ustrojem małżeństwa, ale zakłada sobie na przyszłość oryentować życie w kierunku tej aspiracyi. Kiedy pan Wilhelm Feldmann, roztacza przed nami dramat, odgrywający się w duszy kobiety, gnębionej „cieniem“, dawnego błędu, nawet po wyznaniu, uczynionem narzeczonemu, nawet po złudnych jego zapewnieniach, „że wszystko pójdzie w niepamięć“, nie dobrze wiemy, czy znaleźliśmy się wobec odwróconego tematu o równych prawach dla obu płci rozporządzania własną osobą w dobie przedślubnej swobody, czy też mamy przed sobą poprostu psychologię wyrwanej z życia sytuacyi, którą też życie po swojemu, nie troszcząc się o żadną tezę, tragicznie rozwiązało. Począwszy od tytułu, podsuwającego widzowi przypuszczalną intencyę autora: scharakteryzowanie tragizmu sytuacyi, jako walki z „cieniem“, przemawia za tezą cały przebieg akcyi, poprowadzonej tak, żeby podniesiona w pierwszych zaraz scenach „kwestya“ rozwijała się dalej wśród odpowiednich *pro* i *contra*, ujętych w plastykę teatralną. Jest rezoner, snujący wskroś wątku dramatu nić dyalektyczną: są dyalogi, obfitujące w domyślne „za“ i „przeciw“, jest wreszcie katastrofa, samobójstwo bohaterki, tak nieartystyczne, tak niepotrzebne, że wygląda prawie jak argument, użyty w celu wywarcia na widza nacisku moralnego w zamierzonym z góry kierunku. Z drugiej strony, nie brak w dramacie drgnień, wywołanych bezpośredniem potrąceniem o nerw życia; widać ruchy podpatrzone, czuć podsłuchane akcenty afektów, namiętności, którym nie wystarcza rola świadków w procesie z życiem o ideę, i które mówią tak, jak im natura ich mówić każe. Jakież tedy wrażenia odnieść może publiczność wobec tej dwoistości w charakterze samego utworu: czy ją p. Feldmann wezwał do współczucia, czy do współrozumowania? Dramat nie daje na to wyraźnej odpowiedzi z tej samej przyczyny, z jakiej „Mocarz“ zostawia widza w wątpliwości: z braku jasnego zdefiniowania stosunku autora do przedmiotu.

Wspomniałem o rezonerze i powracam do niego, bo najprzód on to zadzierzgnął odrazu prawie bezpośrednio po podniesieniu zasłony

węzeł dramatyczny, a potem tradycya każe rezonerowi głosić bądź tak zwany „sens moralny“ dramatu, bądź światopoglądy autora, a pod tym względem dramat współczesny bywa często *vieux jeu*.

Pan Aleksander tedy, rozłączywszy się w chwili ukończenia studyów uniwersyteckich z kolegą swoim, Michałem, zjawia się w pierwszym akcie w jego domu, zaproszony na drużbę. Nie widzieli się wprawdzie długo i w innych warunkach mieliby zapewne mnóstwo przedmiotów do serdecznej gawędy; ale blizkie ożenienie Michała, który od swej Janiny dwókrotnego dostał odkosza, a przyjęty po trzeciej deklaracyi, nie posiada się z radości, zwraca naturalnie rozmowę na jedynie aktualny temat — na małżeństwo. Szczęśliwy narzeczony życzyłby oczywiście podobnego szczęścia wszystkim swoim przyjaciołom; trudno mu jednak przekonać Aleksandra, motywującego swój sceptycyzm, dziwnie w danej chwili wielomówny, obawą, aby nie trafić na kobietę „z przeszłością“; bo kto tam wie, co życie wypisało w tej „księdze, wiecznie zamkniętej“. Żeby zaś nie uchodzić za wojującego frazesami doktrynera, przytacza zdarzenie, którego parę lat temu był świadkiem i poniekąd współaktorem.

Podczas pobytu jego w jakiejś miejscowości klimatycznej, przyniesiono do zamieszkiwanego przezeń hotelu umierającego młodzieńca, ofiarę wypadku na górskiej wycieczce. Usłyszawszy mowę polską, młodzieniec oddał Aleksandrowi paczkę listów, podpisanych tylko imieniem, bez kopert, bez adresów, i fotografię dziewczęcia, prosząc nieznanego lecz współczującego mu widocznie rodaka, żeby to wszystko doręczył właścicielce, wraz ze słowami: „bądź szczęśliwą“. Słowa były ostatnie, po nich zaczęło się konanie; obarczony zaś testamentowem poleceniem, Aleksander nosi dotąd stwierdzoną dokumentami tajemnicę kobiety, której nigdy na oczy nie widział, a która, gdyby nie przypadkowy jego udział w tragedyi, mogła po „zapomnieniu“, czy też po odcierpieniu tej tragedyi, stanąć obok niego, jak każda inna, na stopniach ołtarza, z doświadczeniem, jak się z listów pokazuje, dość daleko posuniętem. Czyż więc, nie uogólniając nawet zbytecznie swych sceptycznych rozmyślań, nie ma Aleksander racyi być przynajmniej ostrożnym?

I traf, niewyczerpany twórca najefektowniejszych dramatów, dostarcza mu nietylko argumentu do tych wywodów, ale dalszego wątku tragedyi, na której początek patrzył przed laty: — we wchodzącej bowiem do pokoju narzeczonej Michała, Aleksander poznał oryginał fotograficznego portretu, autorkę namiętnych listów. Przyjaciel nie waha się wtedy ani na chwilę, zwłaszcza, że go w stanowczości podtrzymują Przybyszewski i Ibsen. Stanąwszy najprzód w roli „sumienia tego domu“, daje wprost do zrozumienia Janinie, że

nie ma prawa rozpościerać „cienia“ swej przeszłości, na szczęście człowieka, który jej bezgranicznie zaufał; potem, przybrawszy na siebie postać „chorego na idealizm narodowy“ Werlego z „Dzikiej kaczki“, rozwodzi się nad fatalnością kłamstwa, na którem oprzeć się musi całe życie stadła, jeżeli tajemnica błędu żony ogarnie je swoim cieniem. Rozmowa, dwukrotnie przerywana wejściem Michała, wybiegającego od swoich pacyentów po uśmiech narzeczonej, prowadzona jest z niezmierną zręcznością: Aleksander ujawnia w niej inwencyę oprawcy, dobierającego, jak wytrawny badacz cierpień ludzkich, coraz inne narzędzia do zadawania wyrafinowanych męczarni. Nie wymówione zostało ani jedno słowo, określające kto, gdzie, kiedy i jakie popełnił błędy; a jednak Janina czuje, że przeszłość zmartwychpowstała i wzięła ją w swoje upiorne posiadanie. Jeżeli taki miał być obowiązek przyjaźni, Aleksander mógł odejść spokojny: katownia jego przeniosła się do duszy Janiny, a dręczycielem, nie mniej okrutnym, będzie „cień“.

Cień czego, czy kogo? Cień winy, czy kochanka? Cień, padający na życie plamą, czy żałobą? Cały drugi akt waha się między temi pytaniami, nie rozjaśniwszy ich przekonywająco. Kiedy Janina, idąc za popędem swojej prawej natury, spowiada się Michałowi z całej prawdy, a zrozpaczony narzeczony przerywa jej wykrzykiem:

— Ty, ty... tyś skalana?

— Kochałam — odpowiada poprostu nieszczęśliwa, a w tym jednym wyrazie zdaje się mieścić cała teza; ten jeden wyraz może znaczyć: kochałam, więc miłości, jako winy, w twarz mi ciskać nie masz prawa; kochałam, więc nie czuję się zbrukaną uściskiem człowieka, w którego objęcia popchnęło mię wielkie uczucie. Ale ten sam wyraz znaczy już zupełnie co innego, kiedy go Janina, po nieznośnych katuszach, wymawia w czasie teraźniejszym. „Kocham go jeszcze“, — mówi do siebie, czytając zwrócone przez Aleksandra listy; kocham go zawsze w odżywających z całą siłą wspomnieniach; innego nie kochałam nigdy“ — i wtedy bohaterka z odmiennem staje przed nami obliczem. Tamta była do pewnego stopnia agitatorką, mocującą się z „cieniem“ winy i pragnącą każdy jęk zbolałej duszy, każde drgnienie targanych cierpieniem nerwów, spożytkować, jako dowód przeciwko „terroryzmowi społecznemu“; ta jest tylko kobietą, która się omyliła w ocenie swoich uczuć dla narzeczonego. I inaczej też w obu razach wygląda śmierć heroiny. Można ją poniekąd wytłómaczyć, kiedy kończy rozpaczliwe zapasy z nakazami etyki: jest wtedy klątwą, rzuconą na ów „cień“, w którym kondensuje się prawie plastycznie cały zakwestyonowany dziś stosunek obu płci; ale samobójstwo Janiny stanie się zgoła niezrozumiałem w drugiej sytuacyi, tam,

gdzie jedynem wyjściem byłyby słowa: „nie wiążmy sobie życia złudzeniem miłości; zdawało mi się, że zapomniałam, a ja pamiętam zawsze. I ty także pamiętasz w tej chwili, co gorsza, pamiętać też będziesz zawsze". Zwłaszcza, że do tych ostatnich słów sam Michał daje Janinie podstawę opowiadaniem, wzruszającem w swej naiwnej brutalności, o nocy bezsennej, spędzonej wśród widziadeł wstecznej, fizycznej zazdrości. Oboje w takim razie stanęliby na jednym poziomie uczuciowym; ani jej, ani jemu nie chodziłoby o „cień" winy, tylko o „cień" miłości — i to byłoby rozwiązanie ludzkiego dramatu. Nie jest niem tymczasem samobójstwo Janiny, nastrajające dramat na ton tendencyjny. Czy z wolą i intencyą autora? Tego nam nie wyjaśnił rezoner, który wogóle zmienił postawę już od drugiego aktu. Z prokuratora stał się... nie powiem adwokatem Janiny, — wyrażenie byłoby za silne—ale pobłażliwym filozofem, człowiekiem, przeniknionym wyrozumiałą mądrością życiową. Może stało się to z potrzeby; może wynikło z przekonania, że po wyznaniu Janiny, małżeństwo zerwać się nie da (co mogło być w pierwszej chwili pragnieniem Aleksandra); dość, że w pierwotnym gnębicielu sumienia i fanatyku bezwzględnej prawdy, dźwięczą teraz łagodniejsze nuty. Dysonansem więc nierozwiązanym muszą zabrzmieć ostatnie jego, przed spadnięciem zasłony wymówione słowa.

— Cień ją pochłonął...

Bo znów cisną się pytania: kogo, kochankę, czy bojowniczkę idei, a tylko w tym drugim wypadku mogą mieć znaczenie „sensu moralnego".

Ostatecznie wątpliwość: teza czy życie, artystycznie nie została na scenie rozstrzygnięta, ale może właśnie dla tego utrzymuje w widzu zainteresowanie od pierwszej do ostatniej sceny, popychając myśl jego po drogach, któremi pragnienia, aspiracye ludzkie, nieustannie przenikają do broniącego się od nich życia i przerabiają powoli, stopniowo jego treść. Ta zaś wędrówka myśli tem łatwiej przychodzi, że i sercu strawy nie brakuje, pod ideowym bowiem dramatem, dobrze czy źle poczętym, (jeżeli taki był wogóle zamierzony), tętni dramat uczuć pulsami życia, które choćby w tak doskonałej postaci, jak nieszczęśliwy po ludzku Michał, bronią pana Feldmanna od ryczałtowego zarzutu „literatury". Zarzut to naturalny w stosunku do pisarza, tak specyalnie zajętego studyami nad literaturą; badania bowiem w tym zakresie muszą oczywiście wycisnąć swoje piętno na twórczości dramaturga, żyjącego w świecie idei i typów literackich; w danym razie jednak, w utworze poniekąd symbolicznym (boć ów „cień", bez względu na to, co ma wyrażać, jest niewątpliwie symbo-

lem), ślady literatury w koncepcyi figur, w dyalogu scenicznym ujawniają pierwiastek poezyi, nieodłącznej od symbolizmu.

A zresztą, pan Feldmann musi być synem swojej doby, więc pogłębia; młoda zaś twórczość, jak to już widzieliśmy, częściej do głębin zstępuje po wygodnych stopniach literatury, aniżeli po okrwawionych szczeblach drabiny życiowej, częściej przez książkę wmyśla, aniżeli przez życie wczuwa się w tajemnice bytu, częściej prozą i wierszem mówi o „przepaściach“ i „bezkresach“, aniżeli drży naprawdę pod ich tchnieniem. Jeżeli więc znalazł się wśród niej ktoś, co choć na jedną chwilę powtórzył wiernem echem na scenie odgłosy życia, można mu darować „literaturę“, a „Cień“ p. Feldmanna upoważnia w pewnej mierze do nadziei, że tej literatury robionej coraz mniej będzie w jego twórczości.

V.

— Nie można żenić się ze swoją kochanką — mówił dwadzieścia lat temu Dumas młodszy, przez usta bohatera jednej ze swoich „sztuk“.

— Gdyby więcej mężczyzn żeniło się ze swemi kochankami, byłoby więcej szczęśliwych małżeństw na świecie, konkluduje p. Piotr Wolff w odegranej niedawno w teatrze Rozmaitości „Tajemnicy publicznej.“

Paradoks Dumasa nie powinien dziwić nikogo; jest takich dużo w filozofii małżeństwa autora „Damy Kameliowej“; ale aforyzm Piotra Wolffa mógł być dla publiczności niespodzianką.

Znamy wszyscy tego zbiega z „teatru niezależnego“, pamiętamy „Te które się szanuje“ i „Mężów ich córek“; odpowiadaliśmy niepowściągnionym śmiechem na ten humor, mierzący w samą treść stosunków paryskich, wydobywający z niej najbarwniejsze efekty; bawiła nas ta werwa „poufna“, że się tak wyrażę, która zdawała się echem gawędki, prowadzonej między mężczyznami przy cygarach i koniaku w prywatnej palarni; rozweselał ten dowcip nieco felietonowy, strzelający konceptami „autorskiemi“, wyraźnie dla audytoryum przeznaczonemi, wśród których nawet prawda wyglądała na plotkę, powtórzoną bez ceremonii przez kogoś, co pilnie zrana czytuje Figaro, a wieczorem w swoim klubie słucha z rozkoszą bieżą-

cych skandalików. A tu odrazu, ni stąd ni zowąd, idylla, *berquinada*; odrazu Piotr Wolff przemawia prawie, jak Alfred Capus!

Co się stało?

Po prostu minął lat dziesiątek, a przez ten czas dowiedzieliśmy się o zjawisku niezmiernie ciekawem: że ze stosunku mężczyzny z kobietą rodzą się niekiedy dzieci. Głucho było o tem dotychczas w literaturze, z czego korzystali naturalnie bohaterowie wszelkich miłosnych dramatów, zachwyceni, że im się tak bezkarnie udawało; ale wreszcie, biedactwo, o którem dotychczas nikt wiedzieć nie chciał, zakwiliło.

— *L'enfant! Tiens—c'est une idée!* — powiedział Paryż, i w oka mgnieniu dziecko zostało „ideą". Zajęła się niem prasa, nawet w F i g a r z e „coś tam o tem pisało", wobec czego teatr musiał oczywiście zabrać głos; a gdy zjawiły się „Prawa dziecka" (nazwisko autora wyszło mi z pamięci), kiedy doszło wreszcie do tego, że rozpoczęty wiek nazwano „stuleciem dziecka", jak poprzedni nazywał się „stuleciem kobiety", Piotr Wolff nie mógł dłużej milczeć i zachowawszy sobie zapewne cały zapas ironii felietonowej do rozprawy na temat „czy dziecko może istotnie w naszem stuleciu korzystać z tego, o co w poprzedniem kobieta walczyła", napisał „Tajemnicę publiczną".

Istotnym bohaterem sztuki jest dziecko młodego jurysty Henryka Jouvenel i kwiaciarki Maryi, żyjących z sobą w tak zwanem „niby małżeństwie". Chłopiec ma już kilka lat, ale o istnieniu dziecka dowiedzieli się rodzice Henryka dopiero w chwili, kiedy ułożywszy dla niego „dobrą partyę" z jakąś bogatą gąską, natrafiają na niezłomny opór syna, oświadczającego kategorycznie, że kocha Maryę i że się z nią nie rozstanie. Oburzenie w pierwszej chwili jest wielkie; ale od pierwszej też chwili na widok fotografii chłopaka, zadrgała w dziadkach struna rodzącego się dla wnuka uwielbienia. Na tej strunie gra Piotr Wolff, przez cały drugi akt, melodyę, która może dźwięczałaby za słódko, gdyby nie nuta komiczna, potrącana zawsze w porę ręką wytrawnego pisarza. Pocieszni są istotnie ci starzy Jouvenelowie, tający jedno przed drugiem odwiedziny u Maryi i pieszczoty z rozkosznym bąkiem. To jest właśnie owa „publiczna tajemnica", zakończona naturalnie prawdziwem małżeństwem młodych rodziców dzieciaka, a zakończona nie banalnie, bo sceptyczny obserwator dopełnił „sympatycznej" psychologii Jouvenelów, rysem właściwym starości, motywem egoizmu, który tyle znalazł dla siebie przyjemności w domu kwiaciarki Maryi, że może chętnie poprzestałby na *status quo* pod tym nieprawidłowym dachem, gdzie po cichu płacze nad swoją fałszywą sytuacyą kochająca kobieta. I trzeba dopiero fortelu, wymyślonego przez przyjaciela obojga kochanków, żeby oczy

dziadków zwrócić na matkę dziecka i na jej ciche łzy. Czy ten przyjaciel oddał im istotnie przysługę?—to dalsze życie pokazaćby mogło, ale tego życia nie zobaczymy. Piotr Wolff przestał już pisać do „teatru niezależnego“, nie rzuca tam na deski „zrazów życia“, a na przedmiot do wielkostołecznych *potins* miła historya tego dziecka obejdzie się nawet bez frazesów o jego „prawach“.

Przy ocenie ostatnich nabytków repertuaru oryginalnego i obcego, nie dotykałem gry artystów, sądzę bowiem że charakterystykę tej gry można w ogólnych zamknąć uwagach. Z małemi wyjątkami jedni i ci sami artyści grali w omawianych dotąd sztukach, a ze względu, że do pracy odtwórczej dawano im dość jednorodny materyał, nie mogli z niego wydobyć oryginalnie zróżniczkowanych kreacyj. Bohater „Błędnych ogni“ ma zapewne tylko minę kogoś, coby chciał coś głębszego powiedzieć, ale ta mina wystarcza, żeby go *mutatis mutandis* upodobnić z Walczakiem, który ma dużo do powiedzenia, lub z Aleksandrem, który sonduje sumienia. Wszystkim więc p. Żelazowski nadaje fizyognomię zamkniętej w sobie duszy, z której wydobywają się tylko mocne i znaczące słowa, silniej lub słabiej akcentowane i przeplatane pauzami, dającemi mniej lub więcej do myślenia. Panu Śliwickiemu przypadła w udziale specyalność dekadentów. Stworzył już dawniej doskonały typ w „Otchłani“ p. Konczyńskiego, który widocznie upodobał sobie taką figurę, bo ją powtórzył w „Błędnych ogniach“ z domieszką tajonego sentymentu, dyskretnie i artystycznie przez p. Śliwickiego podkreśloną. W „Mocarzu“, jako młody Mirski, ma p. Śliwicki zaledwie parę krótkich scen, ale umie nastroić je na ton właściwy. Sympatycznie bardzo przedstawia utalentowany artysta Henryka Jouvenela w „Tajemnicy publicznej“. Pan Frenkiel nie zadowolił się zewnętrzną oryginalnością swej roli w „Błędnych ogniach“ i grając paralityka wożonego po scenie w krześle na kółkach, uwydatnił doskonale w fizyognomii lubieżnej, w cynicznej mowie obezwładnionego satyra domyślne przyczyny paraliżu. Tem pogodniej i przyjemniej odbija od tej figury postać Jouvenela w „Tajemnicy“, tem weselej brzmi jowialny humor przepadającego za wnukiem filistra. Pan Nowicki w „Cieniu“ wzrusza szczerością i głębią cierpień narzeczonego; pan Wolski jest wybornym przyjacielem „dzikiego małżeństwa“ w Tajemnicy publicznej.

W „Błędnych ogniach“ widzieliśmy nie często ukazującą się na scenie panią Marcello-Palińską w roli Rawickiej. Jestto zawsze rasowa artystka dramatyczna z żywym temperamentem i niesłabnącą energią, dzięki której scena sztucznego upojenia „ucztą życia“ głębsze na widzach wywarła wrażenie. Pani Przybyłko-Potocka gra tam

rolę żony-ladacznicy z nadzwyczajną prostotą i prawdą. Pani Siemaszkowa wystąpiła jako Hilda w „Mocarzu“ i jako Janina w „Cieniu“. Przy odtwarzaniu postaci kobiety-demona wykombinowanej z głowy... Ibsena, inteligencya musiała być najważniejszym czynnikiem i o tej zaświadczyła artystka świetnie uwydatniając subtelnie intencye autora w kompozycyi figury, której zagadkowość podniesiona była zewnętrznie po malarsku z wrodzonym zmysłem artystycznym. Przeciwnie, w roli Janiny uczucie najgłośniej się odzywa, a szczerość jego i siła są tak wzruszające, że ów „dramat ludzki“, o którym wspominałem, wydobywa się w grze pani Siemaszkowej na pierwsze plany. Sympatyczną babcię w „Tajemnicy publicznej“ gra pani Ludowa ze zwykłą swoją wytwornością. W tej samej sztuce spotkaliśmy się z „anektowaną“ przez teatr Nowości artystką, która nigdy nie powinna była opuszczać naszej komedyi—z panią Leszczyńską. Scena z panem Wolskim w ostatnim akcie odegrana dyskretnie, z taktem, dowiodła, że utalentowana artystka jeszcze nie uległa tamtejszym wpływom; ale kto wie, co się później stać może w tej atmosferze *tinglu*!

Zaznaczmy dla ścisłości powodzenie małego Henia Majchrzyckiego, bohatera „Tajemnicy“. Zaliczono go już do genialnych dzieci U nas o geniusz tak łatwo!

VI.

Nie przerywając uwag nad aktorami, moglibyśmy krótko załatwić się z trupą francuską, która dała ostatniemi czasy kilka przedstawień na scenie teatru letniego w ogrodzie Saskim. Ale warto poświęcić tym produkcyom oddzielnie słów kilka — idzie tu bowiem o Maeterlincka, a wiemy, jaki wpływ wywiera autor „Peleasa i Melizandy“ na twórczość chwili obecnej. Nie rozgłos zatem, trochę sztuczny, występów na scenach europejskich żony Maeterlincka (Georgetty Leblanc), dobrej zresztą aktorki, skłania nas do takiej wzmianki, lecz okoliczność, że przedstawienia powinnyby z konieczności uwidoczniać cechy kierownictwa poety, które najwymowniej rzecz prosta, wcieliłby pragnęła „dusza jego duszy“, wtajemniczająca tłumy w ideały męża.

Nie zachowuję chronologii w oddaniu odebranych wrażeń, zaznaczę w nich tylko stopniowanie, związane niewątpliwie z samą istotą świata, skąd do widza przychodziły.

Najtrzeźwiej przyjąłem (i zdaje mi się, że miałbym za sobą większość widzów), utwór, który wobec poetyki Maeterlincka najsilniej powinienby suggestyonować publiczność — „Nieproszonego gościa“ (*l'Intruse*). Jak to się stało? Czy mój spokój miał tylko tę przyczynę, że „Gość“ nie był dla mnie nowością, żem go widział w Warszawie, granego przez „Miłośników sceny“. Zestawienie trupy Maeterlincka z Miłośnikami wydaje się śmiesznem, a jednak prowadzi ono pośrednią drogą do wyjaśnienia psychologii tego spokoju, nastręczając spostrzeżenie: że jakość aktorów nic tu nie stanowi. Trupa francuska składa się naturalnie z zawodowych aktorów, grających „Intruza“ z zawodową dokładnością. Ale pokazuje się, że nie ta dokładność stanowi o sile wrażenia, że nawet przeszkadza mu wszystko, co dźwiga się ponad nią w grze cokolwiek indywidualnej, że wszelka ekspresya dykcyi aktorskiej słabnie wobec niepokojącej trwogi samej sytuacyi, a słowo korzy się przed milczeniem, objawiającem tajemnice Niewyrażalnego. Czekałem więc na to objawienie, które jest ewangelią poety, i nie doczekałem się, choć wszystko do tego po teatralnemu było przygotowane.

W zaciszu domowem, około ślepego dziadka, zebrali się wieczorem wszyscy członkowie rodziny i rozmawiają obok sąsiedniego pokoju, gdzie leży matka, złożona ciężką chorobą po nieszczęśliwym połogu. W tej chwili chora śpi, więc rozmowa ma ton spokojniejszy. Lekarz powiedział niedawno, że ma się lepiej, słyszymy zatem banalną gawędę ludzi, żądnych wytchnienia i nadziei po dniach trwogi. Jeden tylko dziadek nie zdaje się ufać temu pozornemu spokojowi i czekać na *coś*, co musi przyjść niechybnie.

Maeterlinck lubi ślepców. Dusze ich są dlań ową arfą eolską, połączoną z nieskończonością niewidzialnemi strunami, z których pozaświatowe powiewy wydobywać mają akordy mistycznej poezyi. Taką duszą jest właśnie dziadek w bezimiennej rodzinie, przeczuwający zbliżanie się do łoża córki „nieproszonego gościa“ — śmierci. Uzmysłowienie tych przeczuć w drobnych, prawie nic nie znaczących faktach, jak szelest zeschłych liści w ogrodzie, zamilknięcie śpiewu słowików, migotanie słabnącego w lampie płomienia, opieranie się drzwi, których nie można domknąć, jak gdyby w nich ktoś stał, odgłos ostrzonej niewidzialną ręką kosy, krzyk dziecka, wreszcie ukazanie się siostry miłosierdzia, wymownym gestem oznajmiającej, że Intruz

uniósł swoją zdobycz — oto środki wytworzenia nastroju, oto sposoby wywołania owego *oppressio*, owego uczucia przygnębienia, dławiącego nieuchwytnem brzemieniem skondensowanej w drobiazgach tajemnicy.

Jakiż jest stosunek tych wrażeń do głoszonej przez szkołę formuły? Jakim sposobem źródłem ich ma być wewnętrzne, wizyonerskie życie duszy ślepca, skoro pewne wrażenia materyalne, zmysłowe, odczuwane są przez otaczających niewidomego? Bo nie wystarcza odgraniczenie w dyalogu świata realnego od duchowego przez kontrast przedstawicieli zdrowego rozsądku z wizyonerem; trwogę łabędzi, uciekających ze stawu, jak gdyby za czyjemś zbliżeniem, dogasanie płomienia w lampie, niedomykanie się drzwi — widzą wszyscy; przerwanie słowiczych trelów, ostrzenie kosy, kroki na schodach—słyszą wszyscy; do jakiejże kategoryi te fakty należą: do zmysłowych, czy nadzmysłowych, i jaka ich jest właściwa w sztuce rola? Na te pytania widz nie znajduje odpowiedzi w „Nieproszonym gościu", i jeżeli odczuwa jakieś wrażenie, to w niem objawiają się po prostu „stare dreszcze".

Jakie?

Oto te same, jakie wywołać może zwyczajny aktor, postawiony we wzruszającej sytuacyi i sprawiający złudzenie znakomitego artysty; te same, dzięki którym naturalna groza sytuacyi idzie na rachunek poetyckiego natchnienia autora. W całym „Intruzie" niema nic, prócz takiej sytuacyi, działającej zawsze, wszędzie i we wszelkich warunkach z jednakowem natężeniem. Katastrofa, która ma przyjść, której nadejścia jesteśmy pewni, zajmuje widza przedewszystkiem i do tego stopnia, że właściwie nikt nie zwraca na to uwagi, co się na scenie dzieje, a wszyscy śledzą właśnie owe złowróżbne objawy. Bo też na scenie nic się na prawdę nie mówi, przynajmniej nic takiego, coby w błysku jakimś odsłoniło poetę, coby choć zdaleka przypomniało poezyę np. somnambulizmu lady Macbeth. Miejmy odwagę powiedzieć, że do suggestyi użyto wrażeń czysto materyalnych: nie słowo ją wytwarza, ani jego duchowa treść, lecz fizyczne sensacye ciemności, szmerów, szelestów, brzęków, zgrzytów, krótko mówiąc — szczegóły zręcznej sceneryi. Nic innego nie robili meiningeńczycy, wystawiając bez nowej formuły starą „Matkę rodu Dobratyńskich" Grillparzera, — i tu wykazuje się cała pretensyonalność wyrzekań szkoły Maeterlincka na niemożliwość urzeczywistnienia ideałów poetycznych w zetknięciu z „brutalnemi" środkami teatru. Ciekawym coby zostało z „Intruza", gdyby nie te brutalne środ-

ki? Teatru boi się tylko Shakespeare; ale ten za to nie lęka się czytania.

Na innym biegunie wrażeń znajduje się widz wobec takich utworów, jak „Aglavaine i Selyzette“, lub jeden z ostatnich — „Joyzelle“. Tu iści się do pewnego stopnia poetyka szkoły, wyglądająca na parafrazę z tytułów Calderona i Grillparzera: „Życie snem“ i „Sen to życie“, a zamknięta w takich kilku punktach, jak: „dramat powinien suggestyonować wrażenia snu; sfera dramatu, nawskróś fikcyjna, nie jest ani snem, ani jawą, lecz znajduje się na granicach jednego i drugiej; ze snu bierze zupełny zanik warunków czasu i przestrzeni, co umożliwia ciągłe zmiany miejsc i akcyi i uwalnia od troski o rzeczywisty przeciąg trwania faktów; jawa daje dramatowi stosunek przyczyn do skutków, występujący na scenie z większą, niż w życiu konsekwencyą“. Tu w komnatach jakiegoś zamczyska, przeglądającego się romantycznie w drzemiących wodach mglistej Hollandyi i zaczerwienionego krwawą łuną zachodu, starcy wsłuchują się uchem mądrości życiowej w nieuchwytne odgłosy nieskończoności, na której progu stojąc, czekają, aż im wrota otworzy wyglądana, przeczuwana, niecofniona — Śmierć. Tu u skraju gęstego lasu, na schyłku dnia, w półświetle i półciemności zapadającego zmroku, albo w pierwszej księżycowej poświacie pogłębiającej straszną czarnością dalsze gęstwiny leśne, młodzi szukają — Miłości. Na tle nastrojowem poruszają się drobne, bezcielesne cienie, ruchami, w których nie widać siły kierowniczej, nadającej woli konsekwencyę i ciągłość. Wrażenia, odbierane przez te istoty ze świata zewnętrznego, podobne są do tkanki poplątanych nici, gdzie żaden nie panuje ład, a wszystko splata się z przypadków; rządzi zaś ich czynami tajemnicza potęga Przeznaczenia, ale nie ta moc świadoma, jednoznaczna z wewnętrzną w człowieku siłą, egzaltującą jego indywidualność, tylko jakaś filozofia rezygnacyi, oddania się we władanie wyższej, nieznanej fatalności, nadająca tym nikłym postaciom ów koloryt z samych półcieniów, który właśnie cały wdzięk ich stanowi. Na imię tej fatalności — Śmierć, i walka Miłości ze Śmiercią, to właściwa dusza cichych tragedyj, snujących się między cieniami.

Jaką w tej walce odgrywać może rolę indywidualność artystyczna pani Georgetty Leblanc? Zaznaczmy przedewszystkiem, że małżonka Maeterlincka nie ma na usługi męża-poety, nic z tego, co się *le physique de l'emploi* nazywa. Kobieta duża, z dużemi rysami, które, jeżeli nie są pochodzenia flamandzkiego, to rodzajem urody, trochę massywnej, z gruba ociosanej, do złudzenia przypominają niewieście typy holenderskich malarzów, pani Georgetta Leblanc jest z fizyognomii i postawy zjawiskiem bardzo realnem i zgoła odmiennem od

owych bladych sylwetek, niewyraźnie na szarej mgle promieniem księżyca kreślonych, których rozwiewne kontury przemykają się przez naszą wyobraźnię, żadnych w niej nie zostawiając plastycznych śladów. Tam nawet, gdzie wdzięk ślicznego uśmiechu, dźwięk metalicznego głosu idealizuje materyalne powaby wspaniałej kobiety, jest to idealizm bardziej spragniony życia, kochania, aniżeli nieskończoności, a już zgoła nie zaprzątający się myślą o śmierci. I może to jest najprostsza przyczyna odbywającego się od pewnego czasu zwrotu w twórczości Maeterlincka. *Cherchez la femme!* Od tego prawa nikt się uchylić nie potrafi — najmniej poeta.

Spojrzyjmy na tego Meleandra, bohatera uroczego poematu miłości „Aglavaina i Selyzetta". Kochają go obie kobiety. A on?

— Kiedy jestem przy tobie, — mówi do Selyzetty z odcieniem samolubnej szczerości; — myślę o niej; kiedy jestem przy niej, myśl do ciebie się wyrywa.

I chociaż ją pociesza:

— Czyż szczęście, zbudowane na cierpieniu istotki tak małej, czystej i słodkiej, jaką ty jesteś, byłoby trwałem i godnem nas?

Chociaż i Aglavaina uspokaja Selyzettę:

— Stworzymy w sobie i naokoło siebie tyle piękna, że nie będzie miejsca na smutek i nieszczęście —

Przeznaczenie się czai i puka już do furty zamkowej.

Napróżno walczą sami z sobą Meleander i Aglavaina; napróżno chcą się łudzić pozorami stosunku brata i siostry; młoda krew kipi w żyłach, zmysły przestają milczeć.

— Im bardziej będziemy walczyli, — mówi Aglavaina — tem silniej odczuwać będziemy wzbierającą w nas żądzę, która coraz gęstszą zasłoną odgrodzi nasze dusze. I najlepsze rzeczy umrą w nas od tej żądzy.

Odgaduje to instynktem nieskalanej niczem naiwności, Selyzetta i z wysokości baszty nadbrzeżnej rzuca się w objęcia śmierci. Miłość dziecka, obcująca z Nieskończonością, ustąpiła przed miłością kobiety, która da mężczyźnie, łatwo zrezygnowanemu, materyalne szczęście. Czy biedna Selyzetta przeczuwała umierając, że śmierć jej będzie nietylko wyzwoleniem dwojga zakochanych, nietylko rozwiązaniem tragedyi, ale i programem poetyckim?

A oto, jakby dalsze programu rozwinięcie:

„Sztuka moja — pisze Maeterlinck o „Joyzelli", — jest zwycięstwem woli i miłości nad Fatalnością — a Joyzella jest wciele-

niem samorzutności, życia, uroku i miłości, istotą która siłą tej woli i miłości pokonywa wszystkie przeszkody".

Przeprowadza ten program czarodziej Merlin na korzyść syna swego, Lanceora, wystawiając wybraną przez niego Joyzellę na najstraszniejsze próby, aby tylko zyskać świadectwo jej miłości „bohaterskiej, słodszej od kwiatu, miłości, która zabiera wszystko, ale oddaje więcej, niż zabiera; miłości, która się nie myli, której nic nie odstręcza, która szczęście tajemnicze, nieuchwytne, dla nikogo niewidzialne, śledzi wszędzie poprzez wszelkie formy i próby, i żeby go dosięgnąć, potrafi z uśmiechem stanąć na progu zbrodni".

Nazwałem to kilkakrotnie „programem", nie po staremu: „tezą", bo to właściwie bliższem jest „muzyki programowej", niż literackiej tezy. Uczucia, wzruszenia, wypowiadające się w „Joyzelli", są tak nierealne, że w ekspresyi słownej sprawiają niekiedy wrażenie zimnej i robionej retoryki; od chwili bowiem, kiedy dzieło dramatyczne przedmiotem i aspiracyami swemi wymyka się z warunków rzeczywistości; kiedy bohaterowie nie są umiejscowieni w ściśle oznaczonej epoce, ani wplątani w określone jakieś zdarzenie, od chwili, kiedy symboliczną swoją naturą wiążą się z wszechżyciem, gdy zwłaszcza łączy je z niem senne marzenie, fikcya — od tego momentu poezya sama zdaje się w zwątpieniu opuszczać ręce i daje się czuć brak muzyki, która jedynie potrafiłaby wyrazić Niewyrażalne. Muzyki w „Joyzelli" niema, a przesubtelnianie w niej słowa wygląda, jak jakiś reakcyjny odruch przeciwko „Monnie Vannie", gdzie „zwycięstwo miłości" przybiera ciało, krew, kształt, barwę, dając pani Georgeni Leblanc materyał do pełnej życia kreacyi. W odruchu jednak znamienniejszym jest sam żywy temat, niż oblekające go nikłe formy, wobec zaś tematu Maeterlinck wygląda jak jego Meleander kochający i Selyzettę i Aglavenę, ale poświęcający pierwszą dla drugiej. Czy poeta w swojej dalszej twórczości pozwoli umrzeć Selyzecie? Trudno to przewidzieć — zwłaszcza, że czuwa nad tem Aglavena — Leblanc; a kiedy idzie o teatr i aktorkę, pamiętajmy raz na zawsze że wszystko zależy od... roli!

VII.

W operze polskiej głucho, słychać tylko zapowiedzi: „Chopin“ Oreficego — „Marya“ Melcera... A tymczasem artyści włoscy zagarnęli wszechwładnie scenę teatru Wielkiego. Wspominam o nich, wbrew tradycyom niniejszych przeglądów teatralnych, dla tego głównie, że, dzięki obcym śpiewakom, poznaliśmy w krótkim przeciągu czasu aż dwie nowe opery: „Toskę“ Pucciniego i „Adryannę Lecouvreur“ Cilei, a ten niezwykły fakt w życiu repertuaru operowego godzien jest bądź co bądź zaznaczenia.

Przypadek zestawia ze sobą te nazwiska, — ale tylko przypadek. Jest może między dwoma kompozytorami jakaś wspólność ogólnego charakteru nowoczesnej muzyki włoskiej, niema żadnej wspólności talentu. Od czasu, kiedy *veryzm* w muzyce zawładnął sceną włoską i rozszalał się w prawdziwej orgii brzmień i napuszonego patosu, wytworzyło się jakieś dzikie pomięszanie pojęć między dynamizmem muzycznym i siłą brzmienności. „Najmłodsze Włochy“ doprowadzają do absurdu formułę Mascagniego i Leoncavalla, i źle sobie przyswoiwszy teoryę wagnerowskie, zapominają, że jeżeli istnieje prawdziwe piękno, właściwe każdej sztuce i ściśle związane z jej techniką, jest też i szczególny rodzaj brzydoty, rozpoczynający się poza odpowiedniemi granicami ekspresyi. Więc utożsamiają hałas z natężeniem ekspresyi, zupełnie jak malarze, którym się zdaje, że bachanalia tonów, źle ze sobą zespolonych, może wytworzyć barwną harmonię. I rażą w nas ustawicznem użyciem krzyków instrumentalnych wewnętrzny zmysł odcieni, wbrew prawu psychologicznemu, równie dobrze znanemu pod słońcem południa, jak wśród mgieł północy: że źródłem wrażeń naszych jest *różniczkowanie*, i że najpierwszym warunkiem wywarcia zamierzonego efektu jest właśnie kontrast effektów. Krzyczy zatem Puccini i krzyczy Cillea, tylko Puccini ma coś do powiedzenia; w krzyku Pucciniego mogą się odezwać tak tragiczne momenty, jak trzeci akt „Manon“, ostatnie sceny „Cyganeryi“ albo drugi akt „Toski“, Cillea dokazał tej sztuki, że potrafi być po wagnerowsku banalnym, że karykaturujące namiętność, wrzaskliwe unissona smyczków z trąbami, absolutnie nic nie mówią, a pusta, bez treści deklamacya nudzi fundamentalnie.

Chronologia utworów Pucciniego dość ciekawe rzuca światło na pobudliwość jego zmysłu teatralnego. „Tosca“ grana była po raz

pierwszy w Paryżu, w listopadzie 1887 r. Wkrótce potem twórczyni roli tytułowej, Sara Bernhardt, znalazła się w Rzymie, gdzie przyszły autor „Cyganeryi", podówczas bardzo młody i mało jeszcze znany kompozytor, przypatrywał się ze skromnego miejsca na galeryi sensacyjnemu dramatowi i przysiągł sobie, że na ten temat napisze operę. Co tak oddziałało na Pucciniego w tym pełnym bulwarowych jaskrawości fabrykacie Wiktoryna Sardou, trudno odgadnąć. Dość, że wrażenie musiało być silne, skoro Puccini, nie podzielając widocznie zdania krytyki francuskiej, jakoby sytuacye dramatyczne do pewnego stopnia napięte, nie znosiły muzyki, w kilkanaście lat później wystawił w Rzymie w teatrze Costanzi swoją „Toskę", już jako autor głośnych oper, w których szczery jego talent silnie był przemówił. Jakkolwiek „Tosca" z panią Darclée w Rzymie i z panią Pandolfini w Genui same tryumfy święciła, może byłaby w Warszawie wytworzyła wielu stronników przytoczonego wyżej zdania p. Pawła Flata, gdyby nie Gemma Bellincioni, artystka, która genialnem tchnieniem burzy poprostu wszelkie teoretycznie ustalone stosunki słowa do dźwięku.

Co jest istotnie i czy wogóle jest cokolwiek we frazesach Pucciniego, co odpowiada wewnętrznej tragedyi duszy, targanej najstraszniejszemi męczarniami—tego nikt nie bada w śpiewie Bellincioni: słyszy tylko rozpędzone w trwodze bicie serca, jęki niewysłowionego bólu, wołania przerażonej rozpaczy, wydzierające się z tej samej piersi, która przed chwilą falowała rozkosznie, kołysana miłosnemi rytmami, z której płynęły melodye najsłodszej liryki. Niepodobna wyobrazić sobie doskonalszego skojarzenia dźwięku, słowa, gestu, pozy w jednej tragicznej postaci, majestatycznej, jak posąg stawiający co chwilę słuchaczowi zagadkę: poezya czy muzyka? I pytanie zostaje nie roztrzygniętem,—tak silnie stoi Bellincioni na przełęczy między jedną a drugą, tak śmiało, z taką intuicyą artystyczną, patrzy tu i tam w tajemne głębie. I przypomina się mimowoli „Ogień" d'Annunzia, z tragiczną w nim walką dwóch wcieleń poezyi, która ma być wyrazem ostatniej doby twórczości. Podobnie jak bohater poematu Effrena, rozmarzony reformą teatru, tak dramat, wydobywszy już wszystko, jak mniema, ze Słowa, wyciąga ręce do Dźwięku. Słowo oddało na posługę jego twórczości skarby swej plastyki, świętość swej duszy; ale jemu to nie wystarcza, on w muzyce przeczuwa, odgaduje inne skarby, inne świętości i ku nim wyrywają się wszystkie jego energie. Wiadomo, że w „Ogniu" aktorką Foscariną jest Eleonora Duse, wobec czego nie można się obronić myśli, że jeżeli kto, jako śpiewaczka Donatella, mógłby z nią pójść w zawody—to tylko Bellincioni.

A może kiedyś przyjdzie w dramacie do jakiej wielkiej tych ideałów syntezy? Może;—tymczasem prób skojarzenia nie braknie, słyszeliśmy nawet różne w Filharmonii warszawskiej.

Więc najprzód „Manfred“ Byrona z muzyką Schumanna. Próba na estradzie o tyle nie była trudną, że o właściwym dramacie w „Manfredzie“ niema mowy. Jestto jak, wiemy wszyscy, jeden wielki monolog obznajmiający nas, jeżeli nie z całą historyą, to przynajmniej ze „stanem duszy“ bohatera w pewnej stanowczej chwili. Indywidualność Byrona przeziera przez tę maskę, na której typowemi rysami odbija się męczarnia ducha, pasującego się z zagadkami życia. Nie mamy w „Manfredzie“ żadnego, naprzód zdążającego pochodu akcyi; jesteśmy tylko świadkami zakończenia poza nami powstałej przeszłości, streszczonego w słowach: „nietrudno jest umrzeć“. Do wypowiedzenia więc takiego monologu, trudno było o odpowiedniejszego recytatora jak p. Józef Kotarbiński, dawny przedstawiciel „Manfreda“ na naszej scenie, w czasach kiedy na tę scenę wielka literatura miewała jaki taki dostęp. Artysta krakowski uwydatnił przedewszystkiem głęboką melancholię Manfreda. Na tej nucie oparte były najszczęśliwiej trzy momenty: pierwszy monolog w Alpach, męzką nacechowany boleścią; spotkanie z duchem Astarty, wypowiedziane w tonie szczerego, serdecznego liryzmu; wreszcie końcowa scena, w której artysta urągając duchom, wzniósł się do rzetelnej siły.

A muzyka?

Schuman ze swoją wybujałą fantazyą, ze swemi namiętnemi uniesieniami zdawał się być przeznaczonym do towarzyszenia Byronowi w dziele, ogniskującem w sobie najsilniej rysy indywidualne poety; jest coś pokrewnego między obu duchami, romantyczne wzloty na jedne i te same porywają ich wyżyny, tylko muzyk jeszcze z nich posępniej od twórcy poematu na nędze życia spogląda. Nic bardziej ponurego, jak uwertura do „Manfreda“; klasyczną formę tego wstępu przenika tchnienie *Weltschmerz'u* tak rozpaczliwie, że do duszy słuchacza ani promyka nadziei nie dopuszcza. Nierozpogadzają tego usposobienia ani echa natury, ani odgłosy ze świata duchów. Schumann nie posiadał, jako malarz sfer nadzmysłowych, tej powiewności, tego daru ujmowania w urocze formy mar niepochwytnych, który był udziałem Mendelssohna; Schumanna świat istot niewidzialnych wydobyty jest ze znękanej duszy ludzkiej i uzmysławia raczej żądze jej, pragnienia, aniżeli twory pogodnej wyobraźni, spokojnie unoszącej się ponad cierpieniami ludzkiemi; jest też Schumann w swoim żywiole wtedy przedewszystkiem, kiedy w tym świecie duchów ma się odzywać groza. Chóry niewidzialne wśród alpejskich szczytów, przekleństwo rzucone przez duchy bohaterowi, który je wyzwał, tragicz-

ne wogóle wywierają wrażenie. Podobną, o wiele spotęgowaną ekspressyą wstrząsa chór wstępny w państwie Arymana; obok nuty pewnej dzikości, brzmi w nim jakaś bezdenna, niczem nieukojona rozpacz. Śliczny jest skrzypcowy motyw, towarzyszący ukazaniu się ducha Astarty; ale klejnot illustracyi — to chór przy którego dźwięku Manfred ostatnie wymawia wyrazy: podnioślej, z większym majestatem nie mogło przemówić poetyczne natchnienie.

Słucham tego natchnienia zaklętego w Słowo i Dźwięk, a jednocześnie to stąd, to zowąd dolatują mię szepty: „jednak ten Byron się zestarzał“ i radbym zapytać szepczących, w czem: czy w duchu, czy w formie? Jest wielkim, największym może poetą indywidualizmu; więc cóż go oddala od modernistów, stawiających indywidualizmowi apoteozy? Jest zwiastunem pessymizmu, więc z jakiej racyi pokolenia schoppenhauerzystów, mają przez ramię spoglądać na twórcę „Kaina“, tragedyi tego, co jest typowo tragicznem w egzystencyi człowieka, rodzącego się po to, żeby cierpieć, błądzić i umrzeć? Jest poetą tak subjektywnym, że wszyscy jego bohaterowie mają zawsze jedno i to samo oblicze Byrona, w różne poprzebieranego stroje — będzież z tego formułować zarzut „zapóźnienia“ generacya, która do niebywałego wirtuozowstwa doprowadziła pyszałkowaty w literaturze egotyzm? Wchodzi w głąb siebie i wiele mówi o swoich cierpieniach; w czem-że wyprzedzili go ci, co mają pretensyę żeby cały świat interesował się każdem drgnięciem ich szpiku pacierzowego?

Pytam — i odpowiedź daje mi nuta wszechbólu, która przestawszy być pustą literacką formułą, stała się w natchnieniu poety spotęgowanem współczuciem dla wszystkiego, co cierpi, protestem przeciw wszelkiej krzywdzie, tęsknotą za prawdą i sprawiedliwością — pragnieniem ideału. Oglądam się na wszystkie strony—i widzę, że istotnie Byron się zestarzał.

Znalazł i Göthe w Filharmonii swojego komentatora w Hektorze Berliozie. Z francuzka, co prawda, trochę kuso wygląda ten Faust w przeróbce Gerarda de Nerval; ale literacką jego anemię zabarwił krwią, wypełnił nerwami, przepalił ogniem swej genialnej twórczości „francuzki Wagner“. Nie tyle tu zresztą idzie o dramat, zredukowany do charakterystyki Fausta, Małgorzaty i Mefista, po mistrzowsku w muzyce przeprowadzonej, ile o symfoniczny podkład do kapitalnego momentu, który nadał dziełu nazwę, do „Potępienia Fausta“. I tu Berlioz stoi na wyżynach. Demoniczny nastrój jego duszy odezwał się z całą potęgą w rysunku Mefista i wybuchnął piekielną grozą w słynnym „pędzie do otchłani“. „Potępienie“, omawiane już dawniej na tem miejscu, odśpiewano poraz pierwszy, po polsku,

z artystycznym udziałem panów Bandrowskiego, Jeromina i panny Frenklówny.

Trzebaż wspominać o produkcyi, w której Czajkowskiemu do jego „Symfonii patetycznej“ miała przyjść w pomoc, jako bodziec suggestyjny... ciemność? Chyba tylko dla wypowiedzenia refleksyi, że jednak dziwna jest ta „modernistyczna“ dusza, która tak pogardza życiem zewnętrznem, tak żyje tylko swoją wewnętrzną treścią, a potrzebuje najgrubszych materyalnych podniet do współtworzenia z poetą, z artystą, — potrzebuje... reżyseryi. Już w całym świecie rozkosze Natury potrafiła strywializować reżyserya; miałożby to samo czekać i Sztukę?

W. Bogusławski.

Z NIEZNANYCH TRENÓW WACŁAWA POTOCKIEGO.

Największy poeta polski XVII w., Wacław Śreniawita Potocki nie doczekał się dotąd zupełnego wydania dzieł swoich. Wielka to luka w naszej literaturze, bo należałoby zapoznać szerszy ogół czytelników ze zbyt długo zapomnianym poetą, który tak dobrze odczuł ducha swojego czasu i tak go umiał plastycznie w swoich utworach wyrazić. Dwieście już z górą lat minęło, jak przez współczesnych niedoceniany, umierał zupełnie samotny w dworku łużańskim — podgórskiej swej siedzibie, nieszczęśliwy starzec-poeta. Nieszczęśliwy nie dla braku uznania u swoich, bo o to mniej dbał Potocki, ale z powodu nieszczęść rodzinnych, jakie w ostatnich latach na niego spadały. Śmierć zawitała do jego domu i kolejno zabierała mu synów, córki, wnuki i żonę.

Ugiął się Potocki pod ciężarem tych ciosów, ale nie złamała się silna jego natura. Obdarzony niezwykłą energią do ostatniej chwili życia, nie wypuścił z ręki pióra, z pod którego snuły się coraz to nowe utwory, jedne tętniące animuszem rycerskim, dźwięczne bojowym szczękiem, drugie żartobliwe i rubaszne, inne wreszcie na tle Pisma ś. snute, pełne ascetycznej pobożności. I pisał Potocki całe foliały: pieśni religijne, wielkie poematy historyczne, romansy, nowele, wiersze przygodne, facecye, treny, a raz nawet jął się dramatu, pisząc misteryum o *Zmartwychwstaniu Pańskiem*. Utwory te pisał Potocki językiem dość czystym, jak na owe czasy, unikał makaronizmów i przesadnych wyrażeń, których wymagał od poety zepsuty smak XVII wieku. Stanowi to niezaprzeczoną zasługę Potockiego i wyższość jego nad całym szeregiem współczesnych mu pisarzy. Nie należy jednak przypuszczać, by Potocki uświadomił sobie braki we współczesnej literaturze i chciał ją zwrócić na nowe tory, kierując ją ku rodzimym pierwiastkom. Stało się to poniekąd bezwiednie, a przyczynił się tu zapewne

szczęśliwy w danym wypadku dyletantyzm naukowy Potockiego, który go uchronił od zbyt blizkiego zapoznania się z wzorami owoczesnej literatury. Bolał jednak Potocki nad tem swojem samouctwem i nie wierzył zbytnio w wartość swoich utworów. Pisał też przeważnie dla ciemnego ogółu szlacheckiego, nie rozumiejącego wyszukanych wyrażeń muzy ówczesnej. Oto jak sam się o tem wyraża w przedmowie do „Odjemku od herbów szlacheckich“:

Jąłem się wierszów pisać, nie z innej przyczyny,
Tylko żebym tłumaczył na polskie z łaciny,
Zkąd mógłby być cnoty przykład albo polityki.
Nie chciała mieć fortuna wszystkich łacinniki.

. . . . . .

Więcem przeto sowitej nie folgował pracy
Żeby mieli zabawę w łacinie prostacy.

. . . . . .

Po tych, co stało czasu, rzeczy się rozliczne,
Wprzód nabożne pisały — potem polityczne,
Historye i bajki . . . . . .

Większość tych utworów zachowała się w rękopisach; zapomniano o nich zupełnie przez długi przeciąg czasu, a niewielką tylko część ich drukiem ogłoszono. Złożyły się na to różne przyczyny. Potocki sam nie wiele drukował [1]), po jego śmierci rękopisy wpadły w ręce ludzi, którzy albo ich ocenić nie potrafili, albo wydawnictwem zająć się nie mogli. Dopiero szczęśliwe odkrycie „Wojny Chocimskiej“ i udowodnienie, że autorem jej jest Wacław Potocki, zwróciło uwagę uczonych na zapomnianego poetę. Rozpoczęły się poszukiwania, które coraz to obfitszy plon przynosiły i odkryły wreszcie całą

[1]) Za życia jego wyszły: „Poczta“ (1674), druk. w Lubomirskiego, „Wjazd Jana III na koronacyę“, „Pełna“ (1678) i „Poczet herbów“ (1696). Wkrótce po śmierci Potockiego wydano: „Argenidę“ (1697) i „Nowy Zaciąg“ (1698). W XVIII-tym wieku „Jovialitates“ (1747) i „Syloret“ (1764).

zdumiewającą ogromem, spuściznę literacką. Ogłoszenie jej drukiem byłoby bardzo pożądanem, bo oprócz wyjątkowej swej wartości filologicznej i literackiej, zawiera ona wiele materyału do historyi obyczajów w Polsce. Potocki, który w ciągu całego życia nie wychylał się ani razu poza granice kraju, do dzieł swoich czerpał natchnienie przeważnie z objawów życiowych sfery szlacheckiej, wśród której wzrósł i którą całem sercem umiłował. Obdarzony zmysłem krytycznym, widział rozwijające się wady narodowe, a kochając swój kraj i braci po mieczu i roli, ganił smutne objawy ich życia, szczególniej w ostatnich swych utworach, w których spotykamy się nieraz z poważną refleksyą i rozumną przestrogą, czy to w tonie satyrycznym, czy to w formie rubasznego żartu wypowiedzianą. Te jego uwagi tem są ciekawsze, że Potocki patrzy zawsze ze szlacheckiego punktu widzenia, a wyrażając przekonania i dążności bądź co bądź lepszej i zdrowszej połowy ówczesnego ogółu szlacheckiego, może przedstawiać nam typ dodatni szlachcica owych czasów. Słusznie więc prof. Brückner się wyraził, że Potocki „jest największym narodowym pisarzem w całej naszej dawnej literaturze... a z samych dzieł jego moglibyśmy poznać czas i ludzi, ich temperament i ogładę, wiarę i wiedzę — życie prywatne i publiczne".

Na tem tle łatwo zrozumieć, jaką doniosłość miałoby kompletne wydanie utworów Potockiego. Dziś byłoby ono daleko łatwiejsze, niż przed laty kilkunastu, w ostatniem bowiem dziesięcioleciu przybyło kilka prac o Wacławie Potockim, wyjątkowo ważnych i mających podstawowe znaczenie dla przyszłego wydawcy.

Najważniejsze w tym względzie są prace prof. Brücknera. Zasłużony profesor berlińskiego uniwersytetu kilkakrotnie zabierał głos [1]) w sprawie spuścizny literackiej Wacława Potockiego a sięgnął najgłębiej do dna duszy poety, charakteryzując jego postać w artykule, pisanym w dwóchsetną rocznicę jego zgonu [2]). Postać Potockiego występuje tu z niezwykłą wyrazistością. Na nikłym tle ówczesnej epoki pięknie zarysowuje się ten sympatyczny typ szlachcica-poety, obywatela oddanego obowiązkom rodziny i kraju — pisarza, poświęcającego ostatnie dni swego żywota umiłowanej, a tak owocnej pracy literackiej.

Prof. Brückner musiał dla tak wszechstronnego zbadania mało przedtem znanego w literaturze poety, wobec braku wydań dzieł je-

[1]) Rozprawy Wydziału Filologicznego, t. XXVII, XXIX, XXXI.
[2]) Biblioteka Warszawska, 1896, III, str. 1 — 35.

go, rozpatrzeć wszystkie pozostałe po nim rękopisy, które czas i okoliczności po najrozmaitszych bibliotekach rozproszyły. Największy zasób materyału dostarczyła Biblioteka Publiczna w Petersburgu. Tu odnalazły się całe poemata, skądinąd nieznane; w ogromnych foliałach, nieraz kilkaset stron liczących, mieściły się utwory, przedtem nawet z tytułów nieznane. Oprócz tego głównego zrębu spuścizny rękopiśmiennej po Potockim, nie mało też odnalazło się jeszcze w rękopisie dra Mizerskiego, w rękopisach Bibliotek Czartoryskich i Ossolińskich, oraz w odpisach Przyłęckiego [1]).

Wszystkie te rękopisy znalazły należytą ocenę w rozprawie, zatytułowanej: „Spuścizna rękopiśmienna Wacława Potockiego". Ta właśnie praca, wobec wszechstronnego jej wykładu, służyć będzie przyszłemu wydawcy za nić Aryadny, wśród zawiłego labiryntu, jaki przedstawia całość utworów Potockiego, będzie ona kluczem do rozwiązania wielu pytań, nasuwających się przy pierwszych pracach wydawniczych, przy rozklasyfikowaniu materyału, jako też ustaleniu tekstów. Trafne uwagi prof. Brücknera, należyte oświetlenie wielu ciemnych dotąd kwestyj, wysunięcie na czoło utworów Potockiego i uwydatnienie najwybitniejszych poematów, jest wielką zasługą. Szkoda tylko, że prof. Brückner nie przedstawił synoptycznie całego materyału i nie podał tabelki z wykazaniem wszystkich, przejrzanych przez siebie rękopisów, z wyrażeniem odmienności odpisów każdego poematu.

Pomimo tak wyczerpującej pracy prof. Brücknera i wydobycia wielu nieznanych dotąd rękopisów, nie ulega wątpliwości, że jeszcze cośkolwiek wyszukaćby się dało. Przypuszczenie to stawiamy tem śmielej, że wiemy o kilku zatraconych utworach Potockiego. Do tych należą: „Wieniec N. Maryi Panny", „Prześladowanie Kościoła Bożego", „Pieluszki Chrystusowe", „Arfa Starego z Nowym Testamentem" etc.

Te, lub inne poemata, o ile szczęśliwy traf je wykryje, powinnyby być ogłoszone dla ułatwienia pracy przyszłemu wydawcy. Wiedzeni tą myślą, podajemy tu wiadomość o odnalezionych przez nas trenach Wacława Potockiego, pisanych z racyi śmierci najmłodszego syna, Jerzego. Uzupełniają one dość liczny poczet wierszy ża-

[1]) Charakterystycznem jest, że odpisy ś. p. Przyłęckiego, przed kilkudziesięciu laty dokonane, zawierają kopie utworów, od tego czasu już zatraconych.

łobnych, pisanych dla wcześniej zmarłych dzieci: Stefana i Zofii [1]). O Jerzym żaden wiersz dotąd nie był ogłoszony. Brak ich nasuwał prof. Brücknerowi przypuszczenie, że Jerzy był dalszy sercu ojcowskiemu, niż starsze jego rodzeństwo. Z odszukanych przez nas trenów widzimy jednak, że Wacław Potocki obdarzał i Jerzego nie mniejszem przywiązaniem, którego zachwiać nie mogły ciężkie jego przewinienia i przykrości, jakie sprawiał on ojcu z powodu swego zbyt zapalczywego temperamentu.

Treny te odnaleźliśmy w rękopisie Biblioteki Ordynacyi Krasińskich, oznaczonym № 280. Jest to kodeks, zawierający na 290 karach, pisanych w połowie XVIII w., miscellanea historyczne i literackie, przeważnie mało znaczącej treści; stanowi on dalszy ciąg większego, zagubionego dziś rękopisu, o czem przekonywamy się z tytułu, zamieszczonego na pierwszej stronie: „*Mixturae pars IV per eundem, qui primo subscriptus in tomo, continuatio Anno Christi 1750*". Kto jednak zajmował się notowaniem zebranych tu rozmaitości, dojść trudno, wiemy tylko, że odpis sporządzony został w 1750 r. Po wyliczeniu taryf rozmaitych i rachunków skarbowych na str. 63, czytamy pod № 8 taki nagłówek: „*Abrys ostatniego żalu. Po ostatniej na ziemi wedle ciała radości ostatnia fala na morzu mizernego świata utrapionego ojca po Jerzym, kochanym synu, który w lat trzydzieści bez niedziel dwunastu, żałosną umorzony gorączką, żyć przestał, dopiero począwszy. Urodził się roku 1661 w Piątek, nazajutrz po święcie Bożego Ciała...* [2]) *osierocił ojca w roku sześciesiątym szostym wieku jego, syna Wacława w ósmym, córkę Ludwikę w piątym, Helenę w półroczu, spłakanemu dziadowi jałową zostawiwszy pociechę*".

Już samo zatytułowanie pozwala nam się domyślać, że mamy do czynienia z utworem Wacława Potockiego, dowody na to znajdujemy na każdym kroku w trenach, gdzie Potocki najwyraźniej mówi o sobie i o swoim synu. Nie będziemy więc tu wyliczali wszystkich tych ustępów, które czytelnik sam zauważy, powołamy się tylko na

[1]) Do tych należą: 1) „Peryody", całkowicie drukowane w wyd. 1880 r. przez p. Tuszyńskiego. 2) „Treny", drukowane przez prof. Brücknera w 27-ym t. Rozpraw Wydziału Filologicznego, 3) w „Jovialitates" kilka nagrobków na śmierć Stefana i Zofii; 4) „Smutne zabawy" w rękp. Lubieńieckiego, oprócz tego znajdujemy wiele wzmianek w innych wierszach, jak np. we wstępie do „Odjemku od herbów w Poczcie herbów" (str. 81, 129, 263, 335).

[2]) Tu następuje wiersz, odcięty przy oprawie rękopisu.

oczywistą wskazówkę w trenie VIII-ym, gdzie zrozpaczony ojciec, stojąc nad grobem syna, powiada, „że tu Potocki Jerzy — zmarły leży".

Przyjmując więc za fakt niezaprzeczony, że odnalezione przez nas wiersze wyszły z pod pióra Wacława Potockiego, zwrócić musimy uwagę na niektóre szczegóły biograficzne i daty, które dadzą się już z samego nagłówka tego utworu wywnioskować. Dowiadujemy się tutaj przedewszystkiem o dacie urodzin Jerzego, który przyszedł na świat w r. „1661 nazajutrz po święcie Bożego Ciała", t. j. 17 czerwca. Śmierć jego nastąpiła w trzydzieści lat potem „bez niedziel dwunastu", czyli w początkach kwietnia 1691 r. Dokładniej jeszcze datę tę możemy określić na podstawie VII-go trenu, gdzie wspomina Potocki:

Aż kiedy zmartwychwstawszy Chrystus grób otwiera
Wielką i długą nocą — Jerzy mój umiera.

Umarł więc Jerzy w czasie Wielkanocy 1691 r., która w tym roku wypadała w dniu 15 kwietnia. Z tych dwu wiadomości można wyprowadzić pewne wnioski o dacie urodzenia samego poety, gdyż pisze on, iż w chwili śmierci syna (t. j. 1691 r.), miał lat sześćdziesiąt sześć, czyli, że przyszedł na świat w 1625 r. Szczegół ten dosyć jest ważny, bo dotąd rok urodzenia Potockiego nie był dokładnie wiadomy. Pan Czubek, w swojej biografii, podał przypuszczalnie rok 1623, inaczej zaś obliczał tę datę prof. Brückner, opierając się na innym ustępie, gdzie poeta się wyraża:

Gdy w ostatniej starości w siedmdziesiąt lat sześci
Poczynam drugą księgę przypowieści.

Ponieważ Potocki najpóźniej mógł pisać ten ustęp w 1696 r. (rok jego śmierci), to powinien był się urodzić w 1620 r., lub wcześniej (jeżeli utwór ten pisany był przed r. 1696). Data ta jednak jest dość nieprawdopodobną, bo ojciec poety ożenił się dopiero w 1620 r. [1]),

[1]) J. Czubek: Arch. do Dziej. Lit., VIII, 242

przytem zaznaczyć musimy, że nie zawsze można wierzyć wierszowanym wyznaniom Potockiego; względy budowy wiersza, lub wprost przesada poetycka, mogą tu grać pewną rolę. Dla tego też skłonni jesteśmy do ustalenia daty 1625 r., bo wyprowadzamy ją ze słów poety, wypowiedzianych prozą, tem więcej, że wszystkie inne, podane jednocześnie szczegóły, są prawdziwe i znajdują potwierdzenie w aktach urzędowych, cytowanych przez p. Czubka [1]).

Po zacytowanym przez nas nagłówku następują treny w ilości 24-ch. Niektóre z nich liczą po kilkadziesiąt wierszy. Nie możemy więc w ciasnych ramach informacyjnego artykułu drukować ich *in extenso*, jakby tego ścisłość wydawnicza wymagała Przytem odbiegamy od porządku, zachowanego w rękopisie, chcąc przedstawić rzecz w logicznym związku [2]). I tak: wszystkie treny rozdzielamy na dwie części;

---

[1]) J. Czubek: Arch. do Dziej. Lit., VIII, 242.

[2]) Oto w krótkości treść wszystkich trenów według porządku, w rękopisie zachowanego: W trenie (I) Poeta rozwija podobieństwo życia do sztuki scenicznej, która rychło się kończy. Radości światowe długim trzeba opłakiwać smutkiem. (II) Rodzina jest jako sad. Jerzy był ostatnią jabłonią, którą burza obaliła. Jest to zapewne karą Bożą za grzechy, błaga więc poeta miłosierdzia i prosi o zbawienie. (III) Już życie jego złamane; gardząc światem, w Bogu szuka pociechy. (IV) Śmierć trojga dzieci, jest jako trzy noże w sercu ojcowskiem. Boleść mu tylko została, wszystkie zaś dary życia los zabrał. (V) Opis Wielkanocy (1691). Wiosna, natura i ludzie się cieszą — on tylko w smutku i żałobie. (VI) Rodzina była jako mur, z którego los zrzuca po kamieniu, ruina tylko pozostaje; wkrótce i poeta padnie na tę kupę gruzu, ale niechże dusza ku Bogu się wzniesie. (VII) Odjazd syna z rodziną w zapusty (1691), nadzieja ich powrotu na Wielkanoc, śmierć krzyżuje te plany. (VIII) Opis choroby Jerzego. (IX) Zalety jego umysłu i serca były dla ojca powodem zbytniej dumy. Za to go Bóg karze, odbierając ukochane dziecię. (X) Poeta porównywa siebie do konia; jak ten, brnie on w błocie grzechów. Poprzednie karania (śmierć Stefana, Zofii i żony) były niedostateczne, największą więc karę Bóg nań teraz zesłał. (XI) Nie dziękował on za łaski i dary Boże, więc Bóg mu je odbiera. (XII) Troje pozostało mu wnucząt, ale są one jako tlejące kaganki, które łatwo zgasnąć mogą. (XIII) Sam poeta jest blizki śmierci. Dzień jego życia się kończy, słońce zachodzi, ale po nocy śmierci, nastanie dzień światła wiecznego. (XIV) Wyraz rozpaczy nad śmiercią syna, który padł, „jako dąb młodociany,—jako gwiazda z nieba,—jako ptaszę z gniazda". (XV) Uroczystość Wielkiego Czwartku i przystrajanie grobu Pańskiego naprowadzają poetę na myśl, że lepiej serce oczyścić, niż groby

1-szą, w której autor mówi przeważnie o sobie i wynurza się przed czytelnikiem ze swoją rozpaczą; 2-gą w której opisuje życie syna Jerzego. Na czele zaś stawiamy dwa treny, które wprowadzają czytelnika w treść całego utworu i stanowią jakby wstęp do całego cyklu.

TREN XIII.

Już wieczór następuje, już siódmego krzyża
Lato moje dochodzi. Już się słońce zniża;
Co gorsza, że go chmura, nie czekając mroku,
Serdecznego po synu żalu skryła oku.
Choć jeszcze inszym świeci, mnie już słońce w chmurze;
Ono w morzu, a ja się w rzewnych łzach zanurzę./
Wprzód, niż zajdę pod ziemię. Jezu, zostań ze mną!
Daj miękko przespać tę noc mojej duszy ciemną,
Niech jej nie uciskają twarde grzechy w boki.
Daj, — gdy Cię pełne będą nazajutrz obłoki,
Podnieść głowę do siebie z grobowego cieniu,
[Daj] [1]. . . . . .
Nadzieję mocną, że Cię z swemi dziećmi, Panie,
W ono światła nowego — przywitam świtanie.

TREN XVI.

Żem się nazbyt na ten świat zapatrował, Panie,
Większem miał niż o duszy, o ciele staranie,
Zagasiłeś ostatnie (pokazując, że nic
Niema ziemia trwałego) światło moich zrzenie.

w atłasy ubierać. (XVI) Poeta prosi u Boga o cnoty wiary, miłości i nadziei, które mu pozwolą smutne treny „obrócić na wesołe hymny". (XVII) Czas tylko smutek ułagodzić może, lecz starość nie da mu dożyć dni wesolnych. (XVIII) Ludzie nieżyczliwi urągać mu będą, ale on ufa Bogu i Jemu w opiekę się oddaje. (XIX) Po śmierci syna, nic mu już droższego los nie odbierze. Znikomość uciech światowych tylko żal sprowadza (XX) Opis życia Jerzego na dworze królewskim i w wojsku. (XXI) Wyliczenie wnuków, którym poeta daje nauki moralne. (XXII) Życie Jerzego w rodzinie, wyjątkowe jego zalety. (XXIII) Gospodarstwo Jerzego. Rozmyślania poety nad znikomością życia ludzkiego, (XXIV) w którem wszystko, co człowiek nabędzie, utracić musi ze śmiercią.

[1]) Wiersz odcięty przy oprawie rękopisu

Zapal-że lampę w ciemnym serca mego gmachu,
Lampę miłości swojej i sądów Twych strachu,
Lampę nocnej nadziei, że z zmarłemi dziećmi
Ciebie — którego i śmierć, i żadna noc nie ćmi,
Będę chwalił na wieki — grób kinąwszy [1]) zimny!
Odpuść grzechy, a obróć na wesołe hymny
Smutne treny, któremi i te, i me dziatki
Opłakuję — nim i łez, i dni mych ostatki
Zgrzybiała starość zcedzi, lotem bieżąc chyżym.
Okryj nas, Panie Jezu, swym niewinnym krzyżem!

Te dwa treny są jakby podniosłą modlitwą, snutą na tle ostatniego nieszczęścia, jakie spotkało poetę. Zawikłany układ słów psuje nieco wrażenie, przebija tu jednak pewna siła i polot, dość rzadkie w tak późnym wieku. Nie wszystkie jednak treny są pisane w ten sposób, większość ich jest dużo słabsza. Odnajdujemy w nich tylko utyskiwania na zrządzenie losu, narzekania na gnębiącą starca samotność. Starając się wyrazić całą swoją rozpacz, Potocki coraz to nowsze kreśli w swoich trenach porównania i przenośnie; zaciemniają one wątek i czynią styl zagmatwanym i ciężkim. Najprościej wyraża się poeta w IV-ym trenie, gdzie mówi:

Ostatnie z kochających opłakuję dziatek,
Jużem hołysz na ziemi, już nie widzę, ktoby
Źrenice powiekami, — kości zawarł w groby.

I zwracając się do Boga:

Na toś mi dał oczy, — żeby łzy wylewać,
Grzeszyć, a zmarłym dzieciom treny śpiewać.

Czasami naśladuje on Kochanowskiego i zapożycza u niego całe ustępy. Jako przykład tego posłużyć może tren XVII, w którym dwa pierwsze wiersze wyjęte są z trenów na śmierć Urszulki:

[1]) Porzuciwszy.

Czasie — mówi poeta — ojcze niepamięci,
W co ani rozum człowieczy, ani trafią święci,
Wyjm ten żal z głowy, ale do takiej posługi,
Do zbycia żalu — trzeba, żeby czas był długi.
Kto siedmdziesiąt lat wieku blizko liczy sobie,
Pójdzie z żalem do grobu, jużeż nie wyskrobie (*sic*)
Jako ja nieszczęśliwy ociec, co nie tuszę,
Choćbym stu dożył, smutnych oczu nie osuszę.
Aż skoro śmierć na popiół moje ciało zetrze,
Głowa lęże, dopiero z niej troska wywietrze.

O sobie mało pisze Potocki. Jedyny tren, który zawiera więcej szczegółów z jego życia, jest XVIII-ty. Są tu wzmianki o niedotrzymanych Bogu ślubach, o głosach zawistnych, którzy ucieszą się, pewnie ze śmierci Jerzego i przypominać ją będą, jest wreszcie wzmianka, że Jerzy stanowił chlubę ojca, który wielkie o nim rokował nadzieje.

Oto jak poeta maluje swoją rozpacz po śmierci syna:

TREN XVIII.

Rzewne łzy — moja karmia [1]), potrawy — płacz wieczny
Wspomniawszy, jako młodo zginął mi syn grzeczny,
Już nie będę, kiedy czas przyszedł obiecany,
. . . . . [2])
Nie będę się witać go zobaczywszy śpieszył,
Ani z jego rozmowy pożądanej cieszył!
Urągają mi grzechy; sumienie urąga,
Cicho w sercu pytając — szpiku w kościach sięga.
Kto wie, jeśli i zazdrość, choć skrycie nie maca:
Gdzież teraz on twój Jerzy? Tak Bóg pysznych skraca!
Kazałeś [3]) nań i w domu, kazał na publice [4]),

[1]) Pokarm.
[2]) Wiersz odcięty.
[3]) Opowiadałeś.
[4]) Publiczne zgromadzenie.

Padły twoje radości, padły obietnice.
Zmierzła Bogu i ludziom — jako biczem trzaśnie,
Zbywszy go niespodzianie — twoja pycha zgaśnie.
Cóż czynić? i co mówić? Słysząc prawdę szczerą
Inszych ta kole w oczy, mnie rąbie siekierą,
Rąbie — sercu za każdym dając ranę cięciem,
Wspominając rozstanie z kochanem dziecięciem.
Nie urągajcie grzechy, nie urągaj i ty,
Strapionemu języku sercu jadowity!
Większe jest miłosierdzie Boże, niż niecnota
Wszech ludzi. I na haku wisząc, czynią wota.
Czynię i ja — wieszając ślubem serce na tym
Krzyżu moim — więcej się już nie parać [1]) światem,
Umyślnym grzechem nigdy Boga nie obrażać,
Inaczej dobroć jego — inaczej uważać
Strach sądów sprawiedliwych, bo im dłużej czeka,
Tym ciężej upornego w grzechu karze człeka.
Nie chciałeś na ołtarzu tych kłaść nieboraku
Ślubów, kładź-że je dzisiaj na żałosnym haku.
Kładłem i na ołtarzu co wiedzieć, co razy,
Alem je zawsze łamał — czym Boskie obrazy
We dwojem ściągał na się — gdy miasto pokuty,
Grałem [w] siewkę z nim aże do dzisiejszej pluty,
Gdzie przemokłszy do nici, dopiero opończe
Szukam, skoro i dzieci, i żywot mój kończę.
Wżdy któregokolwiek dnia grzechów człek przestanie,
Począwszy pobożnie żyć, pokutuje za nie,
Ciało zdepce, wypowie służbę złemu światu,
Dostąpi u Bożego łaski majestatu.
Nie urągajcie grzechy, nie pastw się językiem
Uszczypliwym zazdrości, nademną — grzesznikiem,
Nad zdeptanym robakiem, mym przykładem raczej
Kaj się, każdy dzień czas jest, w który kto obaczy.
Ufaj w Bogu duszo ma, przykład mając w Piotrze,
Płacz na grzechy, a Bóg Ci te łzy z oczu otrze.

i t. d.

---

[1]) Bawić się.

Z tego trenu, jako też z wielu innych, pisanych na temat religijnych rozmyślań, widzimy, jak potęgowała się pod wpływem ostatniego ciosu pobożność Potockiego, który, będąc z urodzenia aryaninem, stał się później tak gorliwym katolikiem. Przechodzi ona w ascetyzm, wytwarza zupełną rezygnacyę i pogodzenie się z losem. Śmierć syna przyjmuje on, jako sprawiedliwy wyrok boski za popełnione przez siebie grzechy, jako też przewinienia syna, które nazywa „głupstwami młodości". Pobłażliwość tylko rodzicielska mogła ubrać w te słowa wykroczenia Jerzego, którego gwałtowny temperament doprowadził do przejść bardzo przykrych — wreszcie do zabójstwa Rościszewskiego, swego szwagra. O tym strasznym fakcie — właściwie o trudnościach procesu, z tego powodu wynikłego — znajdujemy krótką wzmiankę w X-tym trenie:

Wspomniawszy, że Cię nie mam, mój kochany Jerzy,
Któregom krwawym potem *z rozlicznych kłopotów*
Wywiódł, w ostatku — za cię umierać był gotów,
Tu padły me nadzieje, koszty, prace, trudy,
Kiedy nie masz niedźwiedzia, więc o ziemię dudy [1]).

Często w trenach napotykamy zdania bardziej ogólne, moralizujące. Najchętniej za temat obiera poeta znikomość życia, którą najrozmaiciej uosabia. Jest więc i „biedny szkapa", smagany biczem przeznaczenia, który, do mety nim dojdzie, upada;—jest świeca tlejąca, w której wosk—ciało, knot — duszę, a światło—życie uosabiać mają, jest dąb, wichrem złamany, oraz wiele innych, mniej lub bardziej poetycznych porównań. Najbardziej obrazowem jest porównanie życia ludzkiego do sztuki scenicznej, którą śmierć przerywa (Treu I-szy). Człowiek jest tylko chwilowo występującym aktorem w tym „teatrze" życia:

Ledwie człek wnijdzie, ledwie pocznie — i połowy
Nie odprawiwszy jeszcze z swej konceptów głowy,
Aż go wleką z teatrum na żałosne mary.

. . . . . .

[1]) Przysłowie, często przez Potockiego używane.

Już się we mnie skończyła; już doszły zegary
Tej komedyi... już śmierć światowe maszkary
Zdarła. Już mi się znów twarz prawdziwa wraca,
Jako z prochu wstał człowiek, tak się w proch obraca!

Nie chcąc nużyć czytelnika zbyt długiemi obrazami, z których nie wszystkie są udatne, na tem poprzestajemy, przechodząc z kolei do trenów, opisujących życie Jerzego Potockiego. Te są ciekawsze, ze względu na zawarte w nich szczegóły biograficzne i obyczajowe.

Najwięcej szczegółów z życia Jerzego znajdujemy w XXII trenie, dla tego też podajemy go tu prawie w całości, wykreślając tylko ustępy zbyt monotonne, poświęcone tak często powtarzającym się rozmyślaniom religijnym. Z trenu tego dowiadujemy się o starannem wychowaniu, jakie otrzymał Jerzy, o wyjątkowych zaletach umysłu i serca, i o szczęśliwem pożyciu jego z żoną, Anną z Rościszewskich. Przelotnie tylko wspomina tu Potocki o niemiłych, a zawiłych procesach, które „siła czasu wzięły". Mowa tu, oczywiście, o zabójstwie Jana Rościszewskiego, o czem uprzednio już wspominaliśmy. Wyrok trybunału lubelskiego skazał wówczas Jerzego na rok i sześć tygodni ciężkiego więzienia na dnie (*in fundo*) wieży grodu krakowskiego. Unikając tej kary, zaciąga się Jerzy w szeregi wojska, gdzie go powaga hetmańska ochraniać miała od wymiaru sprawiedliwości. Jest to początek jego karyery wojskowej. Objaśniwszy w ten sposób przemilczany przez Wacława Potockiego fakt, dajemy miejsce jego słowom, opisującym życie Jerzego trochę z innej strony:

TREN XXII.

Wątpię o drugim takim, żebym się dopytał,
Coby gospodarował, wojnę służył, czytał;
Wszystko to troje było na moim znać synu:
Nie wybił mu drugiego pierwszy z głowy klinu;
Wszystkie się trzy ostały, jako w drzewie smolnym;
Koniec bowiem naukom uczyniwszy szkolnym,
Odprawiwszy lat młodych ćwiczenia przy dworze [1]),

[1]) Był dworzaninem królewskim (*aulicus cubicularius*) już 1681 r. Czubek: Arch. do dziej. liter., VIII, 277.

Jął się wszystkiego, oraz, i po szwie mu porze [1]):
Choć siła czasu wzięły choroby, publiki,
Usługi przyjacielskie i prawne intrygi,
Siła polna zabawa, gorąca i mrozu
Nie uważał; wróciwszy do domu z obozu [2]),
Nic nie rzekł nieuważnie młodym bywszy człowiekiem,
Lecz mądrą sentencyą przybił, jako ćwiekiem.
Senekę, Liwiusza, trudnego Tacyta,
Na pamięć się nauczy, nietylko przeczyta.
Widzieć pisane własną jego ręką księgi,
Co bez wielkiej w tym wieku nie było ciemięgi.
Afektem umiał rządzić, ubogim nie skąpił,
Rychlej swego, niż kogo miał skrzywdzić, ustąpił,
Gościnny, uniżony, wesoły, nabożny,
W iestach [3]), w mowach, lecz w piciu najbardziej ostrożny.
Nie widziałem podpitym nigdy, mówię śmiele,
Lub on gdzie, lub u niego byli przyjaciele.
Chociaż wszystkich uraczył, wszystkich uczęstował,
Sam się, co w gospodarzu trudna, trzeźwo chował.
. . . . . [4])
I nie tak, jak należy, przez zazdrość nadgradza.
Nie uważa: da mu kto rzecz małą, rzecz drobną,
Nietylko mile przyjął, i twarzą swobodną,
Lecz stokrotnie zawdzięczył: a im kto uboższy,
Tym miłszy, tym był jego upominek droższy.
Potrzebnego [5]) uprzedzał — zawsze mu pierwy dał,
Nim o co prosił, żeby żebraniem nie wstydał.
Taka miłość w małżeństwie bez fałszu, bez zdrady,
Że ich ludzie co znali, brali na przykłady.
Jedno serce i umysł tak ściśle spojony,
Żona bez męża, mąż nic nie czynił bez żony.
Wzajemnie się słuchali, gdy które co radzi;
Zasługi dochodziły coroczne czeladzi.

---

[1]) „Nie po szwie się porze“ — przysłowie = idzie z trudnością.
[2]) Wyprawa, 1691.
[3]) Iest = giest = ruch.
[4]) Wiersz, odcięty przy oprawie.
[5]) W znaczeniu: potrzebującego.

Jedno drugie stroiło, żadne samo siebie,
Święta zgoda we wszystkiem, jak w raju, jak w niebie.
Podejrzenia, gomonu [1]) nigdy i hałasu,
O, rzadkaż to zwierzyna w stadłach tego czasu!
Dwie lampie jednym ogniem tak gorzały zgodnie,
Że nigdy nie dokażą woskowe pochodnie,
Zawsze dzień był na serca ojcowskiego sferze,
Choć się też czasem chmura, choć się na deszcz bierze,
Zaraz się wypogodzi i mgła na dół zleci,
Skoro sobie na miłość swoich wspomni dzieci.
Długoż tego! kilka lat, póki nie umiera
Syn mój, póki sroga śmierć tych lamp nie rozdziera,
i t. d.

Piękny ten obraz idealnego życia rodzinnego, uzupełniamy jeszcze paru szczegółami z IX-go trenu. Tu unosi się ojciec nad miłosierdziem Jerzego dla biednych i nad uległością jego w dzieciństwie, podnosi te zalety z tkliwością prawdziwie kochającego ojca który rad porusza dawne wspomnienia:

W cóż ono miłosierdzie — owa dobroć szczera?
Przeciw ludziom upadłym, tedy z nim umiera.
Lubo co w księdze czytał, lubo mówił o kim
Utrapionem zawsze mu łza wypadła okiem.
Nie umiera, Bóg rzecze: „wiedzą wszyscy wierni,
Że wezmą miłosierdzie ludzie miłosierni".
Nigdy mnie nie rozgniewał ani zafrasował,
Głęboko w sercu swojem me przestrogi chował.
Dobrym twierdzę sumieniem, co dziś duszę nęka,
Od urodzenia na nim nie postała ręka
Ojcowska: pomyślenie gdyżby rad uprzedził,
Niczem go Bóg wziąwszy go (!) Ojca upośledził...

Dalszy ciąg tej opowieści o synie odnajdujemy w XX-tym trenie Są tu ustępy, z których domyślać się możemy z jego życia publicznego, skądinąd nieznanych. Czyby np. z pierwszego zdania nie wypa-

[1]) Kłótni.

dało wnioskować, że, służąc na dworze królewskim, był on pisarzem w kancelaryi pokojowej, lub może sekretarzem. Następnie, będąc w wojsku, „pióra nie zasuszył", jak się wyraża poeta, może więc w dalszym ciągu pełnił kancelaryjne powinności, lub oddawał się pracom literackim, o czem w innem miejscu wspomina Potocki. Po nadto spotykamy w tymże trenie wzmianki o bezinteresownej służbie wojskowej Jerzego, jako też o jego podczaszostwie krakowskiem; urząd ten otrzymał on od króla w 1685 roku za wstawiennictwem ojca, który chętnie ustępował swego stanowiska synowi, widząc zachwianą jego karyerę, z powodu popełnionego zabójstwa. Jest to jeszcze jeden dowód wielkiego przywiązania, jakiem Wacław Potocki obdarzał najmłodszego syna:

TREN XX.

Siedm lat królowi służył, ale nie zasuszył
Pióra, kiedy kopią drugie siedm lat kruszył.
Pod znakiem tegoż Pana z uszczerbkiem na zdrowiu
Szlacheckiej substancyi, swojej pogotowiu,
Bo i szeląga nie brał, choć się drudzy zgryźnie
Upominają, wiedząc, co winien ojczyźnie.
Cztery lata krakowskim, jako zwyczaj stary,
Podczaszym, temuż panu podawał puhary,
Jeszcze się do obozu brał na poganina,
Chcąc krew jego królowi toczyć miasto wina:
Wpadnie śmierć w przedsięwzięcie, gdy razem okrutnie
I kwiat młodości jego, i zamysły utnie.
Bóg tak chciał, moja na to zarobiła wina,
Nié masz sługi, żołnierza — królu, a ja syna!

W chwilach, wolnych od wypraw wojennych i obowiązków dworskiej służby, poświęcał się Jerzy pracy na roli: obdarzony nie mniejszą od ojca zapobiegliwością, zarządzał coraz to nowe ulepszenia we wsi Sędziszowicach, pięknym majątku w glebie proszowskiej Osiadł on tutaj zaraz po ożenieniu z Aleksandrą Rościszewską, i aż do śmierci nie przestawał rozwijać gospodarstwa na szeroką skalę.

Przyjrzyjmy się téj jego pracy, która wykazuje dosyć rozwiniętą, jak na owe czasy, kulturę rolną:

TREN XXIII.

Założył dziardyn [1]), szczepił drzew rozlicznych frukty,
Porobił z wielką pracą trudne aquedukty [2]),
Wyszlamowawszy stawy, sprawił bujne skiby,
Żeby z daru Bożego i chleb miał i ryby,
Wyprawował szkutami pszenicę na morze,
Materyą, o nowym myśląc, zwoził dworze;
Zniósłszy ze wsiów ciężary, niedłużen nikomu,
Kilkadziesiąt tysięcy u ludzi i w domu
Zostawiwszy przy wielkim szlacheckim obrzędzie,
Każdą rzecz w należytym położywszy rzędzie,
Aż go śmierć, na wszystko to zamrużywszy oczy,
Spadłszy niemiłosiernie w swoim długu troczy,
Kiedy miał żyć, kiedy miał owoc rąk swych zbierać,
Każe mu, ach! każe mu, niestety, umierać.

Dalszy ciąg tego, w całym cyklu najdłuższego, trenu, wypełniają różne sentencye moralne, poświęcone przeważnie nędzy życia ludzkiego i marnościom tego świata. Wierząc głęboko w nieśmiertelność duszy i w życie pozagrobowe, poeta dochodzi do wniosku, że szczęśliwszy jest ten, kto wcześniej umiera, bo usuwa się od przeciwności życia, w którem szczęścia znaleźć nie można, a wszelkie radości są tak bardzo znikome:

Co tu szczęściem zowiecie, jeśli nie jest grzechem,
Zabawką tylko czasu, a u śmierci — śmiechem.

Następują potem treny, opisujące chorobę i śmierć syna. Z trenu VII-go dowiadujemy się, że Jerzy bawił z rodziną u ojca w Łużnej w czasie zapust 1691 r. Ociągał się syn z wyjazdem, ale oko-

[1]) Ogród.
[2]) Drenowanie.

liczności tak się złożyły, że wyjechać musiano. Osamotniony Wacław Potocki oczekiwał powrotu dzieci na święta Wielkanocne, ale na czas ten właśnie przypadła choroba i śmierć Jerzego. Opis tej choroby (w trenie VIII-ym) jest dość prozaiczny — choroba trwała dwa tygodnie i, pomimo pieczołowitości lekarzy, zakończyła się śmiercią, pogrążając całą rodzinę w rozpaczy... I tu znowu poeta przypomina sobie wyjątkowe zalety syna, które ciągle przed oczami mu stają:

W cóż ojcowskie kochanie, grzeczność i uroda,
Nauka, męstwo, siła, wymowy swoboda,
Kwitnąca młodość? — Wszystko upadło jak w morze!

I zapożyczając wyrażenia u Wujka [1]), Potocki tren ten kończy słowami:

A ojciec co, a żona? — Skoro to obaczą,
Że, *trudno wierzgać przeciw ościeniowi* — płaczą.

Dość ładny jest opis Wielkanocy 1691 r. w trenie V-tym. Tu poeta na tle budzącej się do życia natury, na tle wesela, jakie zazwyczaj przynosi dzień Zmartwychwstania Pańskiego — maluje swój smutek i niedolę:

TREN V.

Zmartwychwstania Pańskiego Wielkanocne święto [2]),
Tryumf Jego nad śmiercią, której łamie pęto,
Grób zgwałci, następnie gdzie przy wdzięcznej wiośnie
Wszystko się obżywa [3]), co w przeszłą zimę pośnie;
Z starej sierci i bydła, i zwierze się lenią,
Ptacy pierzą, a góry i lasy zielenią,

[1]) Act. Apost., 9. 5.
[2]) 15 kwietnia, 1691 r.
[3]) Obżywić = ożywić.

Ludzie, na jakie kogo ochędóstwo stanie,
Stroją się do kościoła w Pańskie Zmartwychwstanie.
(Daj, Boże, wyleniwszy z grzechów się kożucha,
Więcej do kapłańskiego nie nosić ich ucha,
Ale, nabywszy dzisiaj cnót pobożnych sierci,
W niej czekali zabitej od Chrystusa śmierci.
Żeby, gdy ludzie wstaną do nowej ozdoby,
Z grobu w niebo zaległa śmierć puste ich groby).
Mnie tylko smutno, ja się tylko nie wesclę,
Żałośny grób synowi miasto gniazda ścielę,
. . . . . [1]
Rzewnemi łzami lejąc żal mój na papierze.
Jakoś Aaronowi, Panie, jeśli się to
Nie zda, że w uroczyste nie ubrał się święto,
Po śmierci swoich synów, odpuść, proszę, i mnie.
Że płaczę przy wesołym w kościele Twym hymnie,
Odpuść, a smutne oczy, które dziś łzy leją,
Warowną zmartwychwstania rącz otrzeć nadzieją,
Że które dziś oblewam płaczem serca krwawym,
Przywitam dzieci moje przy Twym boku prawym.

Na zakończenie podajemy tu jeszcze jeden tren, gdzie porównanie syna do zwalonej burzą jabłoni jest dość udatne i z pewnym polotem poetyczną opisane:

TREN II.

Już odkwitła jabłoń, już i owoc dorewał,
Już się go zbierać codzień gospodarz spodziewał,
Aż niespodziany wicher, spadłszy gwałtem w nocy
Uderzył ją o ziemię pospołu z owocy,
Jedna tylko gałązka [3] została jej drobna,
Doczekać się owocu rzecz to niepodobna.
Tyś ci to mój jedyny, mój kochany synu,
Jabłonią ojcowskiego pustego dziardynu [3],

---

[1]) Wiersz odcięty.

[2]) Poeta ma tu na myśli syna Jerzego, ośmioletniego Wacława.

[3]) Potocki, idąc za modą ówczesną często używa tego słowa w znaczeniu: ogród.

Ty ostatnie ze trojga wychowane dziecię,
Bo mi śmierć dwie jabłonie [1]) wytnie jeszcze w kwiecie,
Ach! czegóżem się Ociec nieszczęśliwy dożył.
. . . . . [2]),
Małego zostawiwszy w ósmym roku wnęka.
O ciężka Boska, ale sprawiedliwa ręka!
Dotąd wielkość mych grzechów wzruszała do gniewu
Boga, aż ostatniemu kazał upaść drzewu.
Rzekę, że mnie doświadcza; lecz ladaco marzę,
Dobrych tylko doświadcza, grzeszników Bóg karze.
Doświadczał cnotliwego Abrahama z Jobem,
Skarał Dawida, synów okrywszy mu grobem.
Żem niegodzien być Jobem, grzechów mych niewstydem,
Niechże będę przed Tobą, Boże mój, Dawidem!
Odpuść grzechy, utwierdź mnie w miłosierdziu swojem,
Racz obdarzyć czystego sumienia pokojem.
A te drzewa, które tu me niecnoty wytną,
Niechaj na wieki w Twoim dziardynie zakwitną.

Oprócz powyżej opisanych trenów, rękopis nasz zawiera dwa jeszcze inne wiersze Potockiego. Następują one bezpośrednio po trenach i noszą następujące tytuły: „*Trzy Śreniawy. Herbowne rzeki Kmitów* [3]) *z Potoka Potockich w województwie krakowskiem w pow. lelowskim w słone łez ojcowskich wpadające morze w Stefanie, Zofii, Jerzym, kochanych, wychowanych w nadzieję podpory starości, w młodym wieku od niemiłosiernej śmierci zabranych dzieci*“ i 2) „*Herb Morsztynowski — Leliwa, Potockich — Śreniawa.* Pierwszy z tych wierszy jest tylko obszerniejszą parafrazą Epitaphium, pomieszczo-

---

[1]) Syna Stefana i córkę Zofię.

[2]) Wiersz odcięty przy oprawie rękopisu.

[3]) W Poczcie rodów, Potocki podając spis rodzin, pieczętujących się h. Śreniawa, wymienia Kmitów, „od których Potoccy z Potoka w województwie krakowskiem, pow. lelowskim — że ich Okolski opuścił — mianuję krótko — od Kmitów idą“. Wersya ta przechowywała się widocznie tylko w rodzinie, bo w innych herbarzach o tem głucho.

nego w Poczcie herbów [1]), pomijamy go więc milczeniem. Drugi jest jednym z licznych wierszy herbowych, których tak wiele Potocki układał do swego Pocztu Herbów i Odjemku. Opisując tu połączenie h. Śreniawy i Leliwy, ma on na myśli związek swój z żoną, Katarzyną Morsztynówną, nie podaje nam jednak żadnych nowych szczegółów o żonie, o której tak rzadko kiedy wspomina w swoich utworach. Wiersz jest głównie poświęcony opłakiwaniu dzieci. Ustęp, bardziej charakterystyczny, przytaczamy:

Błądząc po pustych kątach sierocego domu,
Patrząc na rubież śmierci okrutnej pogromu,
Żałośnie wychowane wspominając syny,
Miłość zacnego zięcia i córki jedyny,
Wspominając na żonę i na wdzięczne wnuki,
W drobne zbolałe serce rozsiada się sztuki.
Cóż dalej czynić? tylko wesołe kameny
Wyrzuciwszy, nie śpiewać, dumać rzewne treny
Już ten, kogo łzy dawią, nieszczęśliwie śpiewa,
Mizernie pisze, komu płacz oczy zalewa,
Który z serca wyciska każde przypomnienie,
Patrząc po smutnej na ich konterfekty ścienie.
Jak tak ziemskie pociechy na tym świecie płacą,
Szukamy ich z frasunkiem, nabywamy z pracą,
Trzymamy je z bojaźnią, ze strachem utraty...

Opisane przez nas wiersze pochodzą z ostatniej doby życia Potockiego, gdyż pisane były między 1691 a 1696 r. Starczy umysł poety, przygnębiony nieszczęściem, nie mógł się już zdobyć na wyższy polot, dla tego też w trenach naszych mniej już daje się odczuwać ta silna werwa poetycka, tak znamienna dla poprzednich jego utworów. Treny pisane były zapewne bez myśli drukowania ich kiedykolwiek. Dla tego też brak w nich ciągłości, zdania, nieraz niedopowiedziane, urywają się, ażeby dać miejsce wyrazom rozpaczy, albo cytatom religijnym. Wiersze te najpewniej nie były pisane jednocześnie, ale w miarę, jak silniej wzbierała w sercu Potockiego żałość po stracie dzieci, w chwilach, kiedy samotność nasuwała mu myśli żałobne. Za-

[1]) Str. 82 — 83.

siadał wtedy poeta do pisania tych trenów, zapewne nie myśląc już o sławie literackiej, ale jedynie żeby ulgę przynieść zbolałemu sercu. Z tego więc punktu widzenia wybaczyć możemy usterki, które dziś, patrząc chłodnem okiem obserwatora, w ostatnich utworach poety dopatrzyć możemy.

Franciszek Pułaski.

ROZMAITOŚCI.

Z DZIEJÓW SZEKSPIRA W POLSCE.

PRZEKŁAD HAMLETA J. N. KAMIŃSKIEGO.

Z pośród licznego pocztu utworów dramatycznych, które Jan Nepomucen Kamiński tłómaczył dla sceny lwowskiej, spotykamy też przekłady dzieł Szekspira [1]), a mianowicie: „Hamleta“ i „Króla Leara“.

[1]) C. Wurzbach (Biographisches Lexicon. X Theil. Wien, 1863, str. 419) podaje w spisie niedrukowanych dzieł Kamińskiego, iż ten tłómaczył „Koryolana“ Szekspira. Tytuł sztuki, którą Kamiński rzeczywiście przełożył, ale z J. Collina, jest powodem omyłki. Tragedya Collina (grana po raz pierwszy w 1802 roku, drukowana w Wiedniu w 1804 roku) jest niezależnem opracowaniem od szekspirowskiego „Koryolana“ (por. R. Genée: Geschichte der Shakespeareschen Dramen in Deutschland, Leipzig, 1870, str. 299—300), a ukazała się na scenie lwowskiej po raz pierwszy dnia 2 kwietnia 1819 roku (Rocznik teatru polskiego we Lwowie od 1 stycznia 1822 do 1 stycznia 1823 roku, str. 13). Co do przekładu „Koryolana“ przez Kamińskiego por. L. Pietrusiński, J. N. K.: Życiorysy znakomitych ludzi (K. Wł. Wójcickiego), tom drugi, Warszawa, 1851, str. 359; H. Skimborowicz, Gazeta Warszawska, 1856, № 30, str. 6 (Literaci i artyści polscy i t. d., J. N. K.) w spisie prac pod l. 56 (W. Sowiński: Les musiciens polonais et slaves... Paris, 1857, str. 297, pod l. 56); K. Estreicher, J. N. K.: Tygodnik Illustrowany, Warszawa, 1863, № 182, str. 110, też Bibliografia XIX-go stulecia, tom pierwszy, Kraków, 1870, str. 369 i 404 (Dramatycy). Czytamy u Estreichera (Tygodnik Illustrowany), że Kamiński tłómaczył też z Szekspira „Wojnę z kobietą (Taming of the Shrew). W Bibliografii (s. XIX, tom pierwszy, str. 396, s. v. Szekspir) nie podaje Estreicher wcale tłómacza tej komedyi, a pod Kamińskim (str. 404), w wyliczeniu dzieł, które z Szekspira przekładał, spotykamy tylko „Hamleta“ i „Króla-Leara“. L. Pietrusiński i H. Skimbo-

Z tłomaczeń tych jednak tylko przekład „Hamleta“ był drukowany, drugi pozostał w rękopisie [1]).

Przekład „Hamleta“ wydrukował Kamiński w Mińkowcach na Podolu, w drukarni słynnego Jana Scibora hr. Marchockiego, herbu Ostoja („Dux et redux, na Mińkowcach, Belmoncie, Otrokowie i ogrodach przytulijskich pan“) pod tytułem:

H A M L E T

Królewicz Duński, Traiedya w 5 Aktach w Angielskim Języku przez wiekopomnego Schakespeara napisana; z Niemieckiego zaś Polskiém piórem przez Jana Nepomucena Kamińskiego Przełożona.

Następuje motto:

Co nam w przestrzeni czasu wyległo zdarzenie,
To i dowcip misternie w skąpéy stawia scenie.
Friderych Schiller.

W Minkowcach.

Drukowano 1805. Ru.

Ten tytuł mamy na karcie drugiej (str. 3), na której odwrocie (str. 4) jest spis osób. Na karcie pierwszej (str. 1) wytłoczono: „Ham-

rowicz (W. Sowiński) w spisach dzieł Kamińskiego (pod l. 36) podają, iż ten tłomaczył komedyę w trzech aktach, pod tytułem: „Wojna z kobietą“, ale autora jej nie wskazują. Rzecz z tą komedyą ma się podobnie, jak z „Koryolanem“ Collina. Kamiński tłomaczył „Wojnę z kobietą“, autorem jednak tej komedyi był nie Szekspir, ale spółka autorska: Ancelot i De Comberousse Aleksy (1793 — 1862). Podobieństwo było przyczyną omyłki Estreichera i w Tygodniku Illustrowanym, i w Bibliografii (str. 396), którą jednak poprawił jeszcze w tym samym tomie Bibliografii (tom pierwszy, str. 362 i 404), oznaczając autora „Wojny z kobietą“ De Comberousse'a i podając jej tłomacza: Kamińskiego.

[1]) Wiadomość o nim podał pierwszy L. Pietrusiński w 1851 roku (l. c., „Lear“, tragedya Shakespear'a (!) w pięciu aktach). Niezależnie od niego wymienił to tłomaczenie J. A. Kamiński w „Materyałach do monografii i historyi rodzin Kamińskich i Kamieńskich“ (tom pierwszy, Lwów, 1854 — 1856, str. 285 — w rękopismach, drukiem niewydane, są: 7. Król Lear, Tragedya w 5 aktach z Prologiem (?) przez Szekspira napisana, przetłomaczył dla sceny polskiej we Lwowie... Por. też Przegląd materyałów... tomu pierwszego, Lwów, 1856, str. 84, p. l. 18). Potem H. Skimborowicz (l. c., p. l. 53, z dodatkiem: Znana niegdyś i w Warszawie), W. Sowiński (l. c., p. l. 53) i K. Estreicher w „Postępie“ (Wiedeń, 1861, № 5, str. 95) i l. c. przypisywali ten przekład Kamińskiemu. Niewiadomo, kiedy przekład Kamińskiego wystawiono po raz pierwszy na scenie lwowskiej. Czytamy wprawdzie w „Roczniku teatru polskiego we Lwowie (od 1 stycznia 1816 do

let, Królewicz Duński", na jej odwrocie (str. 2): „Czytał Dyrektor szkół Jakób Myszkowski. Aprobuię Cywilny Gubernator Włodzimierz Czeekin". Druk ten bajecznej rzadkości, jak wogóle wszystkie druki mińkowieckie, posiada w swych zbiorach Biblioteka Jagiellońska w Krakowie pod sygnaturą: „Teatr 876". Jest to książeczka formatu ósemki (8-o min.), kart 69 (stron. 138) licząca (sygn. ark. B—I_4; w arkuszu 9-tym znaczono mylnie: zamiast I_2 jest I_4), stronicowana nader błędnie [1]), drukowana ohydnie [2]), na bibulastym papierze, z mnóstwem omyłek fatalnych (zmieniających nieraz całkowicie sens zdania). Oprawna jest w czarne (dziś rudawe) płótno, na grzbiecie wypisano liczbę: 192. Opisaliśmy i opiszemy jeszcze dokładniej ten druk mińkowiecki z tego powodu, że należy on do kategoryi niezmiernie rzadkich, a obecnie, o ile nam wiadomo, jest unikatem.

Mińkowiecki ten przekład „Hamleta" ma s w o j ą h i s t o r y ę. Przekręcano miejsce jego druku, twierdzono, że wcale nie ujrzał światła dziennego. Czas już rzecz tę ustalić i załatwić.

Pierwszy historyk literatury (jeśli tem mianem Feliksa Bentkowskiego nazwać się godzi) miał widocznie ten przekład na myśli, gdy w paragrafie pierwszym wśród tłómaczeń dzieł dramatycznych, podług imion autorów s. v. Szekspir (Shakespeare), podał: „2) Hamlet

---

1 stycznia 1817 roku)", str. 15, że 2 grudnia 1816 roku, wystawiono po raz pierwszy tragedyę: „Król Lear" (tłómacza — na str. 17 — nie podano), ale z tą datą popada w jaskrawą sprzeczność to, co podaje „Rocznik teatru polskiego" we Lwowie od 1 stycznia 1822 do 1 stycznia 1823 roku, z wyszczególnieniem nowych dzieł dramatycznych, granych w latach 1818 — 1821", ułożony przez Fr. Błotnickiego. Zanotowano tu na stronicy 36, że 29 lipca 1822 roku, na benefis Krupickiego, dano po raz pierwszy tragedyę, p. t.: „Król Lir". Komu wierzyć? Co do nas, to oświadczamy się na razie za datą wcześniejszą, gdyż, być może, że wchodzą tu w grę dwa odmienne przekłady tej tragedyi. Przekładu „Króla Leara" dokonał Kamiński nie z oryginału angielskiego (gdyż po angielsku nie umiał), ale, podobnie jak „Hamleta", z przeróbki niemieckiej, prawdopodobnie Schrödera (1778, König Lear. Trauerspiel in fünf Aufzügen, nach Shakespeare von F. L. Schröder. Hamburgisches Theater IV. Band, przedst. po raz pierwszy w Hamburgu w roku 1778 dnia 17 lipca, w Berlinie w tymże roku 30 listopada. Por. R. Genée, l. c., str. 255 — 256). Ale o tym i o innych przekładach „Króla Leara", i o jego historyi na scenie polskiej, powiemy kiedyś obszerniej i szczegółowiej.

[1]) Zamiast str. 43, wytłoczono 49 i str. 48 wcale nie wydrukowano; str. 68 i 59 przestawiono: jest 69 i 68; zamiast str. 78, wydrukowano 77; zamiast 79, wybito 78; zamiast 80, wytłoczono 78; zamiast 82, jest 80; stronicę 115 dwa razy liczbowano; zamiast 116, wydrukowano 119; zamiast 119, jest 116; zamiast 121, jest 123; stronicę 127 dwa razy liczbowano; ostatnia stronica jest znaczona jako 137, mylnie, gdyż jest 69 kart, zatem stron. 138.

[2]) W drukarni nie było czcionek z wykrzyknikami, używano w tym celu odwróconych czcionek litery: i (ı).

traiedya w 5 aktach drukowana w Machnówce(!)“ [1]). Oczywiście, ma się to odnosić do mińkowieckiego przekładu. Skąd powziął tę wiadomość i kto był autorem tego przekładu, Bentkowski nie podaje, podobnie jak J. S. Bandtkie, który w swej Historyi drukarń w Królestwie Polskiem i Wielkiem Księstwie Litewskiem [2]) s. v. Mińkowce pisze, co następuje: „M. na Podolu, dziedziczna Marchockich majętność. Dziedzic tego miasta zaprowadził tu drukarnię, w której miały wyiść (!) różne dzieła, jako to Hamlet prozą, Ustawy Cerery i inne, lecz gdy zapewne te dzieła z prywatnej drukarni w handel księgarski nie weszły, nie zdarzyło nam się ich gdzie widzieć. Nie masz ich ani w Bibliotece J. W. Ossolińskiego, ani podobno w całym Krakowie“. Że przekład mińkowiecki Hamleta „wszedł w handel księgarski“, mamy dowód w tytule i w cenie (2 złp. 20 gr.), które z katalogów księgarskich K. Estreicher wypisał [3]), że zaś „w całym Krakowie“ druku tego nie było, nic dziwnego, gdyż nabyto go dopiero później dla zbiorów Biblioteki Jagiellońskiej.

Ks. Ignacy *Hołowiński* znał mińkowiecki przekład Hamleta. Podaje o nim [4]), że drukował go w Mińkowcach na Podolu J. N. Kamiński, „ten najgłębszy badacz mowy ojczystej“, prozą z niemieckiego. Tłómaczenie to (podobnie jak Bogusławskiego) jest tak okropnie pokaleczone, że żadnego pojęcia o Szekspirze nie daje. Tyle Hołowiński.

L. *Pietrusiński* — 1851, J. A. Kamiński — 1854—1856, H. *Skimborowicz* — 1856 (W. Sowiński—1857), w swych b. obszernych opisach bibliograficznych dzieł Kamińskiego, nie czynią nawet najmniejszej wzmianki o jego przekładzie Hamleta.

Dopiero znakomity znawca dziejów teatru polskiego i świetny jego bibliograf, K. *Estreicher*, w swoim artykule *ex re* pomnika Kamińskiego [5]), podał pierwszy prawie, że Kamiński w 1805 roku wydał w Mińkowcach przekład Hamleta. Powtórzył to w „Postępie“ [6]), potem w „Tygodniku Illustrowanym“ [7]) z wiadomością, że „ta książka jest dziś niezmiernie rzadką“, także w „Encyklopedyi powszechnej“ [8]) i w „Kalendarzu illustrowanym“ [9]) J. Ungra. Mińkowiecki druk Hamleta notuje Estreicher i w „Teatrach“ [10]), podając, że był gra-

---

[1]) Historya literatury polskiej, t. I, Warszawa, 1814, str. 560.

[2]) T. II, Kraków, 1826, str. 5.

[3]) Bibliografia XIX stulecia, t. IV, Kraków, 1878, str. 440 — 441, s. v. Szekspir.

[4]) Dzieła W. Shakespeara. Przekładał Ignacy Kefaliński. T. I, Wilno, 1840. Objaśnienie, str. 210.

[5]) Kółko rodzinne, Lwów, 1860, № 43, str. 603.

[6]) Wiedeń, 1861, № 5, str. 95.

[7]) Warszawa, 1863, № 183, str. 110.

[8]) Warszawa, Orgelbrand, 1863, t. XIII, str. 834 — 835.

[9]) Na rok 1864, Dramatycy polscy, str. 25.

[10]) T. I, Kraków, 1873, str. 99.

ny w Kamieńcu w latach 1803 — 1805 przez trupę Kamińskiego, a także i w swej „Bibliografii XIX stulecia“ [1]), C. *Wurzbach* [2]), nie wiemy zupełnie, z jakiego powodu (wszak znał artykuł Estreichera w „Postępie“), zamieszcza przekład Hamleta między niedrukowanemi tłómaczeniami Kamińskiego.

Już po ukazaniu się dopiero co wyliczonych notat i rozpraw Estreichera o mińkowieckim Hamlecie (względnie o tłómaczu jego, Kamińskim), dr *Antoni J.* ogłosił swą pracę o drukarniach na kresach multańskich [3]), w której poświęcił też słów kilkanaście i tłoczni w Mińkowcach. Przystępując do wyliczenia druków, które tu światło dzienne ujrzały, podał, co następuje [4]): „Bandtkie utrzymuje, że w drukarni tej (w Mińkowcach) odbito Hamleta prozą, ale go nie widział i widzieć nie mógł, bo nie był wcale tu drukowany“. Oczywiście, twierdzenie d-ra Antoniego J., aczkolwiek kategoryczne, jest z gruntu fałszywe. W kilka lat później, gdy wyszło zbiorowe wydanie dzieł Szekspira [5]), St. *Tarnowski*, pod wpływem „miłego uczucia błogiego zaspokojenia“, że Szekspir „jest przecie“, napisał studyum „o losach Szekspira w Polsce“ [6]), i tu po raz pierwszy rozebrał krótko, ale, jak zwykle, bardzo trafnie, mińkowieckiego Hamleta [7]), na który to rozbiór przyjdzie nam się jeszcze powołać. Zdawałoby się, że już kwestya załatwiona. Tymczasem nieznany nam bliżej kryptonim *K. M.* ogłosił niedołężny artykuł p. t.: „Znajomość Szekspira w Polsce“ [8]). Utrzymuje tu p. K. M., że w 63-tomowym zbiorze teatralnym Dufour'a [9]) „miał się także znajdować dramat pod tytułem: „Hamlet“, tragedya w pięciu aktach, drukowana w Machnowie (!), jednakowoż—pisze dalej p. K. M. [10])—żadnego śladu tejże sztuki odszukać niedodobna, stąd nie można też osądzić, czy to był przekład tragedyi Szekspira, lub też innego francuskiego dra-

---

[1]) T. I, Kraków, 1870, str. 395 i 404; T. IV, Kraków, 1878, str. 440 — 441.

[2]) L. c.

[3]) Rocznik dla archeologów, numizmatyków i bibliografów polskich za rok 1870, wydany przez dra Stanisława Krzyżanowskiego. Kraków, 1873, str. 15 — 28.

[4]) Str. 23.

[5]) Dzieła dramatyczne W. Szekspira w przekładach St. Koźmiana, J. Paszkowskiego, L. Ulricha, pod redakcyą J. I. Kraszewskiego, Tom I—III. Warszawa, 1875 — 1877.

[6]) Szekspir w Polsce. „Przegląd polski“, Kraków, 1877—1878. Wiek, Warszawa, 1879—1880. Studya do historyi literatury polskiej. Wiek XIX. T. IV. Kraków, 1898, str. 101 — 314.

[7]) Przegląd polski, 1877, T. I, str. 360 — 361; Studya, T. IV, str. 113 — 115.

[8]) Nowa Reforma, Kraków, 1885, №№ 52 — 58.

[9]) Teatr polski, czyli zbiór dramm, komedyj i t. d., Warszawa, 1775 — 1806.

[10]) № 58 z dnia 12 marca 1885 roku.

matu“ (!). Mamy tu do czynienia z zależnością od Bentkowskiego, uzupełnioną przypuszczeniem własnem p. K. M., co najmniej nieumotywowanem. Rzecz, tyczącą się historyi mińkowieckiego Hamleta, kończymy na studyum znakomitego estety, Władysława *Matlakowskiego*, o Hamlecie [1]). Matlakowski rozebrał przekład Bogusławskiego, Kamińskiego tłómaczenia dostać nie mógł, wiedział o niem z Hołowińskiego, a tytuł przytoczył z „Bibliografii“ Estreichera [2]). Z powodu książki o Hamlecie Matlakowskiego, ogłosił p. Ferdynand *Hoesick* szkic pod tytułem: „Zagadkowy królewicz“ [3]). Nie podaje on tu nic nowego o przekładzie mińkowieckim, prócz kilku bardzo znanych szczegółów o Marchockim z tej przyczyny, że Hamleta drukowano w jego tłoczni.

Uporawszy się z literaturą, dotyczącą historyi wydania mińkowieckiego Hamleta, której, nawiasem powiedziawszy, on zupełnie niewart, możemy z nagromadzenia tylu szczegółów ciekawych i nieciekawych, jeden przedewszystkiem wysnuć wniosek, że druk mińkowiecki przekładu Hamleta, dokonanego przez J. N. Kamińskiego, jest bardzo rzadki, że — mówiąc bibliograficznie — do białych kruków należy. Tyle o historyi przekładu i dotyczącej go literaturze.

Przystępujemy teraz do rozbioru i oceny Hamleta mińkowieckiego. Jak już nadmieniliśmy, Kamiński przetłómaczył Hamleta z niemieckiego, co zresztą snadno z tytułu wywnioskować można, a autorem użytej niemieckiej przeróbki, jak pierwszy Estreicher podał [4]), był Fr. L. *Schröder*. Co tedy powiemy o polskim przekładzie, odnosić się będzie równie dobrze do tłómaczenia niemieckiego, tylko uwagi nad szatą językową, w którą przekład polski obleczono, tyczyć się będą, oczywiście, wyłącznie tego ostatniego. Przechodząc do właściwego rozbioru, rzucimy garść wiadomości o genezie i redakcyach przeróbki Schrödera. Tyczą się one, pośrednio wprawdzie, i nowego tłómaczenia.

W roku 1776 przedsięwziął *Schröder*, od 1769 roku współpracownik teatru w Hamburgu, podróż do Wiednia. W Pradze widział przedstawienie Hamleta w przerobieniu Heufelda, które zrobiło na nim tak wielkie wrażenie, że postanowił przyswoić je hamburskiej scenie. Postanowienia dokonał, biorąc za główną podstawę do swojej przeróbki dopiero co przytoczone przerobienie Heufelda z 1773 roku (opierające się znowu ściśle na tłómaczeniu Wielanda), które tu i ówdzie w (pierwszych aktach) poskracał i uzupełnił (w ostatnich aktach) tem, co Henfeld pominął i wyrzucił. W tej postaci ujrzał Hamlet Schrödera po raz pierwszy (w Wiedniu grano go podług Heufelda po

---

[1]) Hamlet, Kraków, 1897, str. CCCLXXXIV.

[2]) T. I, str. 440 — 441.

[3]) Biblioteka „Wieku“, tom 42-gi, Warszawa, 1897, str. 27 — 28; Szkice i opowiadania historyczno-literackie. Warszawa. 1900, str. 444 — 445.

[4]) Bibliografia XIX go stulecia, t. I, str. 395.

raz pierwszy dnia 16 stycznia 1773 roku) światło kinkietów w teatrze hamburskim, wzbudzając poklask niebywały. Było to dnia 20 września 1776 roku. Schröder wystąpił w roli ducha, Dorota Ackermann (jego siostra przyrodnia) objęła rolę Ofelii; rolę Hamleta grał, słynny z niej później, *Brockmann* [1]). Nie wspominalibyśmy tu o tych szczegółach, gdyby nie to, że grę tych aktorów miał sposobność naocznie podziwiać wielki w każdym rodzaju scenicznej sztuki artysta, jeden z najznakomitszych aktorów polskich, Kaz. *Owsiński*. Bawił on właśnie w tych latach z prymasem, Gabryelem Janem Podoskim, w podróży. Pisze o tej jego podróży W. Bogusławski, co następuje: „Najprzód Gdańsk, a później Hamburg, Berlin, Drezno, Pragę, Wiedeń, Paryż widział Owsiński. Rozmaite sceniczne widowiska utkwiły w jego umyśle, uczył się naśladować grę różnych cudzoziemskich artystów... Grający naówczas gościnne (?) role w Hamburgu Schröder niewymownie zadziwił go swoim talentem. To samo uczucie wzbudzili w nim Brockmann i Lange w Wiedniu“ [2]). Zaznaczony wpływ tych artystów na talent naszego Owsińskiego upoważnił nas do zrobienia o nich obszerniejszej wzmianki, zwłaszcza, że Owsiński zasłynął później w Polsce, jako znakomity interpretator roli Klaudyusza w Hamlecie [3]), z powodu której nawet zagraniczne dzienniki, jak „Wiener-Zeitung“ i „Pressburger-Recensent“ porównywały go z najznakomitszymi współczesnymi artystami. Wobec powiedzenia Bogusławskiego (pomijając sprzeczność, w którą popadł Bogusławski, powiadając, iż Owsiński wstąpił po powrocie 1774 roku (?) do teatru), że „niespodziewana śmierć prymasa wróciła Owsińskiego ojczyznie“ (Podoski † 1777 roku) [4]), można przypuścić, że może właśnie i Hamlet należał do liczby owych „rozmaitych widowisk, które utkwiły w umyśle Owsińskiego“ i w którym on pragnął naśladować grę cudzoziemskich artystów.

Ale wróćmy do schröderowskiego Hamleta. Jeszcze w tym samym roku (1776) zmienił Schröder przeróbkę, uzupełnił ją postacią Laertesa i sceną pierwszą (z grabarzami) aktu piątego, które to szczegóły pierwotnie był opuścił zupełnie, idąc za przerobieniem Henfelda. W tej postaci ujrzała światło dzienne pierwsza redakcya przeróbki Schrödera w 1777 roku, wychodząc pod tytułem: „Hamlet, Prinz von Dänemark. Ein Trauerspiel *in sechs Aufzügen*. Zum Behuf des Hamburgischen Theaters“. Hamburg, 1777. Schröder nie podpisał się na tej przeróbce, czego przyczyną było prawdopodobnie, jak trafnie przypuszcza R. Genée [5]), zbyt wielkie zapożyczenie się u wiedeńskiego przerabiacza, Heufelda. Nie tu miejsce na rozbiór tej redakcyi

[1]) R. Genée, l. c., 236 i następne.

[2]) Wiadomość o życiu i talencie K. O. Dzieła dramatyczne, T. I. Warszawa, 1820, str. 406 — 407.

[3]) W. Bogusławski: Dzieła, T. I, str. 413 — 414; T. IV, Warszawa, 1821, str. 159.

[4]) L. c., T. I, str. 407.

[5]) L. c., str. 237 — 238, przypisek.

przerobienia Schrödera, śpieszymy do drugiej i ostatniej redakcyi, z roku 1778, a to dla tego, że właśnie ona posłużyła Kamińskiemu do jego przekładu.

Pierwsza redakcya przeróbki Schrödera (z roku 1777) rozeszła się nader szybko. Przyjęły ją, pod wpływem niesłychanego rozgłosu, prawie wszystkie sceny niemieckie do swego repertuaru [1]). Schröder jednakże, chcąc zadość uczynić krytycznym wymaganiom, zabrał się do ponownego opracowania przeróbki i w tej zmienionej formie ogłosił ją w trzecim tomie wychodzącego pod jego redakcyą „Teatru hamburskiego“ [2]). Główną zmianą, jaką w tej redakcyi przeprowadził, jest powtórne wyrzucenie sceny z grabarzami i zamiana układu sześcio-aktowego na siedmio-aktowy.

Tyle o przeróbce Schrödera i jej dwojakiej redakcyi. Jak już napomknęliśmy, Kamiński użył do swego przekładu, do którego teraz przechodzimy, drugiej redakcyi schröderowskiego przerobienia. Zacznijmy rozbiór od spisu osób. Osoby, występujące w mińkowieckim Hamlecie, są: Król Danii; Królowa, matka Hamleta; Oldenholm, minister (Polonius); Ofelia i Laertes, córka i syn Oldenholma; Gildenstern, dworak; Gustaw (Horatio) i Bernfild (Bernardo), officyerowie z gwardyi; Elrych (Marcellus) i Francow (Francisco), żołnierze z gwardyi; Entrepreneur. Zbiorowo występują: aktorowie, dwór i straż. „Działanie“ odbywa się w Helzinger (Elsinore). Jak snadno zauważyć można, poczet osób przerzedzono znacznie. Gildensterna pozostawiono bez towarzysza Rosenkranca, pominięto dążącego na bój z Polakami Fortynbrasa, a liczbę dworaków uszczuplono wielce, opuszczając osoby: Woltymanda i Korneliusa (posłowie do stryja młodego Fortynbrasa, scena 2, akt I), Rejnalda (sługę Poloniusa, sc. 1 akt II), bliżej nieokreślonego „a gentleman“ (ze sceny 5, aktu IV) i Ozryka (scena II, akt V). Rozpatrując dalej spis osób, spostrzegamy brak: księdza, kapitana wojsk Fortynbrasowych, majtków, posłów angielskich, a co najważniejsza, dwóch klownów, grabarzy cmentarnych. Tak wielce zmniejszony poczet osób mińkowieckiego Hamleta, najzupełniej zresztą identyczny ze schröderowskim (Schröder przejął przekształcone nazwy osób z Heufelda), prowadzi mimowolnie do przypuszczenia, że tragedyę duńskiego królewicza z gruntu przerobiono, skracając ją niemiłosiernie. A przypuszczenie to staje się twierdzeniem prawdziwem i nieomylnem, gdy w owo przekładanie Kamińskiego głębiej wnikamy, przepatrując jego treść.

W przeglądzie treści podniesiemy tylko rzeczy istotne, nie zapuszczając się w obszerne podawanie osnowy pojedyńczych aktów.

Akt pierwszy (sc. 1 — 11) po porównaniu z oryginałem obejmuje tylko scenę 1 — 2 aktu I i kończy się temi słowami: „Duch

---

[1]) W Berlinie grano ją po raz pierwszy d. 7 grudnia 1777 roku, a *Brockmann*, który wystąpił tu gościnnie w roli Hamleta, wywołał tak wielką sensacyę, że w przeciągu dni ośmiu musiał wystąpić siedem razy w swej roli, t. j. w dniach 17, 18, 20, 21, 22, 23 i 24 grudnia 1777 roku.

[2]) Hamburgisches Theater, III Band, Hamburg, 1778.

ojca mojego, a do tego we zbroi“ i t. d. Z rzeczy ważniejszych opuszczono w nim całe opowiadanie o wyprawach młodego Fortynbrasa, tudzież scenę wyprawienia poselstwa duńskiego do króla Norwegii, celem poskromienia Fortynbrasa.

Akt drugi (sc. 1 — 9), w stosunku do oryginału, jest ciągiem dalszym aktu I (sc. 3—5). W akcie tym niczego, większej wagi, nie opuszczono. Kończy się słowami Hamleta: „Uspokój się, nieszczęśliwy duchu“ i t. d.

Akt trzeci (sc. 1—14) kończy się słowami króla, pogrążonego w modlitwie, którego nachodzi Hamlet z zamiarem zabicia go: „Słowa moje ulatają, myśli ciężkie, jak ołów, pozostają, a słowa bez myśli nigdy do nieba nie dochodzą“. Akt trzeci, w porównaniu z dwoma poprzednimi, zawiera daleko więcej przerobień i opuszczeń, jeśli weźmiemy pod uwagę jego stosunek do oryginału szekspirowskiego. Wyrzucono tu scenę z Rejnaldem, sługą Poloniusa, którego ten wyprawia dla zasięgnięcia wieści, czy Laertes we Francyi dobrze się prowadzi. Role Gildensterna i Rosenkranca ściągnięto w jedną, którą wygłasza Gildenstern. Opuszczono konsekwentnie powrót poselstwa z Norwegii, a scenę z aktorami, przyjście ich, deklamacyę o zabójstwie Pryama i t. d. wyrzucono całkowicie, tylko monolog Hamleta po scenie z aktorami pozostał, naturalnie, skrócony i zmieniony. Akt ten odpowiadałby mniej więcej aktowi drugiemu i scenie 1 aktu III angielskiego oryginału. Dopuścił się jednak Schröder, a za nim Kamiński, w tym akcie osobliwego przestawienia scen, którego przyczyny zupełnie pojąć nie można. Po scenach: Hamleta z Ofelią, monologu Ofelii i krótkiej rozmowie króla z Poloniusem, umieścił Schröder już w tem miejscu monolog króla (sc. 14), zatopionego w modłach, którego Hamlet, z powodu tej jego skruchy, zabić nie chce. W oryginale, scena ta następuje dopiero po odbyciu się przedstawienia morderstwa Gonzagi (akt III, sc. 3), tu zaś kończy ona akt III, pozostawiając wrażenie sytuacyi, wyrwanej z naturalnego związku i umieszczonej w nieodpowiedniem miejscu. U Heufelda podobnego przestawienia tej sceny niema. Manewr ten jest własnością Schrödera, który w pierwszej i drugiej redakcyi swej przeróbki ten układ zatrzymał. Zaznaczone tu dopiero co różnice tyczą się tylko zewnętrznego ułożenia scen, o zmianach wewnętrznych szczegółowo mówić tu niepodobna, wystarczy tylko nadmienić, że zachodzą tu opuszczenia i przestawienia nietylko zdań, ale całych ustępów.

W akcie czwartym (sc. 1 — 14) należy przedewszystkiem zauważyć, iż odpowiada on mniej więcej reszcie aktu III (sc. 2 — 4) i scenie 1 aktu IV oryginału. Z drobnych opuszczeń zauważyć warto, że po przedstawieniu morderstwa Gonzagi nie wchodzą na scenę aktorowie z fletami, ale Hamlet bierze sam flotrowers z orkiestry małego teatru i na nim uzmysławia Gildensternowi trudność wydobycia z siebie tajemnicy. Wiele ustępów przestawiono (naprzykład ustępy, tyczące się podróży Hamleta do Anglii) i skrócono, role osób podobnych charakterami uzupełniono rolami osób opuszczonych (naprzykład rolę Poloniusa w sc. 8, w której Oldenholm prosi Hamleta do królowej, dopełniono ustępami opuszczonej roli Ozryka), o ściągnięciu ról Gildensterna i Rosenkranca nadmieniliśmy już uprzednio.

Laertes (jedność czasu, do której sprowadzono całą tragedyę, jest tego przyczyną) wcale nie wyjechał do Francyi, ale, „przeciwnemi wiatry zatrzymany, znajduje się dotąd w porcie“, by wkrótce zażądać zadośćuczynienia za śmierć swojego ojca. Ale w wyliczaniu tych drobnostek przebieramy miarę. Śpieszymy do końca.

Treść końcowych scen aktu czwartego (sc. 1 — 15) podać musimy... Po zamordowaniu Oldenholma, król obawia się buntu ze strony ludu (sc. 7). Gildenstern (sc. 8) donosi o buncie, na którego czele stoi (sc. 9) Laertes, żąda od króla, którego uważa za winowajcę śmierci swego ojca, zadośćuczynienia. Król, dowodzi mu swej niewinności, gdy w tem (sc. 10) wchodzi oszalała Ofelia, ubrana fantastycznie w słomę i kwiaty. Laertes odchodzi od zmysłów, pragnie zemsty za śmierć ojca i szaleństwo siostry. Król (sc. 11), jako winnego śmierci Oldenholma, wskazuje Laertesowi Hamleta. Gildenstern (sc. 12) donosi o utonięciu Ofelii i z tego powodu prosi o przyśpieszenie wyjazdu Hamleta. Król odpowiada mu, że ma zamiar wyprawić Hamleta do Anglii, gdzię go niechybna śmierć czeka. Laertes temu się sprzeciwia. Król, zapewniwszy sobie pomoc Laertesa, postanawia wraz z nim otruć Hamleta i słowami: „puhar trucizny zemści się za znieważony majestat, za syna i brata“ — kończy tę scenę. Gildenstern oznajmia gotowemu już do podróży Hamletowi (sc. 13), że król pragnie go pojednać przed odjazdem z synem Oldenholma, Laertesem. Hamlet spowiada się przed Gustawem (sc. 14) ze swej pełnej przeczuć trwogi, i postanawia teraz dokonać zemsty na mordercy swego ojca. Król godzi Hamleta z Laertesem i wznosi toast za jego szczęśliwy powrót z Anglii (sc. 15). Hamlet jednak podanego sobie puhara, który jest zatruty, nie wychyla. Puhar ten wypija królowa, jego matka, ostrzeżona zapóźno przez króla. Hamlet odbiera z rąk królowej niedopity puhar, ale go nie wysącza do reszty, przeprasza Laertesa, który mu winy przebacza, jako syn (Oldenholma) i brat (Ofelii). Mają już pić (Hamlet zatrutym, od matki wziętym puharem), gdy w tem królowa otruta kona. Hamlet, widząc zdradę, przebija króla. Królowa w ostatniej chwili wyjawia tajemnicę zabitego męża: „Wasz król był zabójcą; on struł mego małżonka, a ta wasza królowa zezwoliła na to zabójstwo“. (Łyska się, piorun uderza, królowa pada na krzesło, obecni wzdrygają się ze zdumienia). Królowa prosi o przebaczenie syna i Duńczyków i kona. Laertes i Hamlet kończą scenę:

LAERTES.

Niebo jest sprawiedliwe! Przebacz mi, królewiczu! Byłem uczestnikiem tej szkaradności. Na zabójcy ojca mojego zawszebym się był zemścił, a za zdrajcę przeciw swemu królowi sądziłem godnym być trucizny (!!). Przebacz mi, Panie! Śmierć ojca mojego niech nie spadnie na ciebie!

HAMLET.

(Ściska go za rękę).

Ani też śmierć matki mojej na ciebie, Laertesie! Moja biedna matko! Wy, tem zdarzeniem wylęknieni przyjaciele, bądźcie świadkami między

mną i Danią okropnego wypadku! Wam jedynie pozostawiam mój honor i moje usprawiedliwienie.

Tu następuje: „Koniec tragedyi".

Zastanawiając się nad piątym aktem mińkowieckiego Hamleta, rozpatrzymy jego stosunek do szekspirowskiego oryginału. Odpowiada on scenie 2, 5 i 7 (ustępy) aktu IV, oraz scenie 2 aktu 5. Ze wszystkich aktów stoi on w najbardziej luźnym związku z oryginałem. Opuszczeń, uzupełnień i przestawień jest tu moc taka, że ograniczyć się musimy tylko do wskazania najbardziej istotnych i najważniejszych.

Przedewszystkiem czego brakuje. Scenę 4 aktu IV oryginału, w której widzimy dążącego na bój z Polakami Fortynbrasa, opuszczono zupełnie. Tylko z rozmowy Hamleta z Gustawem (sc. 1, akt V, u Schrödera), dowiadujemy się o tej wyprawie. Dyalog ten odpowiada mniej więcej monologom Hamleta, który on wygłasza po rozmowie z kapitanem wojsk Fortynbrasowych. Pominięto dalej całkowicie wyjazd Hamleta do Anglii i powrót jego (sc. 6 i ustępy ze sc. 7 aktu IV u Szekspira). Nie znajdujemy dalej wielkiej sceny z grabarzami (sc. 1 a. V u Szekspira). Ze zmian ważniejszych zanotować należy to, że o szaleństwie Ofelii donosi nie „a gentleman", ale Bernfild o śmierci Ofelii oznajmia Gildenstern (w oryginale królowa), od którego również dowiadujemy się o buncie Laertesa (w oryginale przynosi tę wiadomość „a gentleman"). Plan podstępnej śmierci Hamleta zredukowano do otrucia (w oryginale mamy pojedynek zatrutymi floretami). Brak sceny grabarzy pociągnął za sobą opuszczenie pogrzebu Ofelii i bójki Hamleta z Laertesem w grobie. Niema powrotu Fortynbrasa z wyprawy polskiej, ani tak tragicznego końca, jak u Szekspira. Ginie król i królowa, jako winowajcy. Hamlet i Laertes zostają (u Szekspira giną).

Tak wygląda u Schrödera akt V tragedyi Hamleta.

Układ tedy schröderowskiego Hamleta, w porównaniu z szekspirowskim, przedstawia się w sposób następujący:

SCHRÖDER KAMIŃSKI		SZEKSPIR
Akt 1-szy	=	Aktowi 1-mu Sc. 1 — 2.
„ 2-gi	=	„ „ „ 3 — 5.
„ 3-ci	=	„ 2-mu całemu.
„ „	=	„ 3-mu Sc. 1.
„ 4-ty	=	„ „ „ 2 — 4.
„ „	=	„ 4-mu „ 1.
„ 5-ty	=	„ 4-mu „ 2 — 5, 7 (ustępy).
„ „	=	„ 5-mu „ 2.

Dopiero co podany rozbiór mińkowieckiego Hamleta nasuwa cały szereg kwestyj i wniosków. Kilka z nich roztrząsnąć należy,

a przedewszystkiem pytanie: dla czego okrojono tak bardzo tragedyę duńskiego królewicza.

Kamiński nie zaopatrzył swego przekładu wstępem, któryby nam wyjaśnił i rozwiązał to pytanie. Znając jednak choćby tylko trochę ducha XVIII wieku, w którym przeróbka Schrödera powstała, można na nie odpowiedzieć i doskonale je wyświetlić, zwłaszcza, że przychodzą nam z pomocą uwagi innego współczesnego tłómacza Hamleta, Bogusławskiego, który przy swem przekładaniu przeważnie Schrödera miał za przewodnika. To też, dodając mało co, przytoczymy je tutaj, pewni niemal tego, że zapatrywanie wielkiego mistrza podzielał równie wielki uczeń.

„Sztuka — pisze Bogusławski — której rozciągłość potrzebuje do wystawienia najmniej pięciu godzin, która żadnych dramatycznych nie zachowując prawideł, przez uboczne, jedność osnowy zrywające zdarzenia, morduje umysł słuchacza, która wprowadzeniem na scenę nieprzyzwoitych osób i odrażających widoków, poniża godność tragedyi, sztuka nakoniec, która w rozwiązaniu swojem uchybia moralnego celu, karząc śmiercią wszystkie równie niewinne, jak i występne osoby — w oświeceńszym wieku nie mogła ani być wystawioną bez przyzwoitej poprawy, ani zupełnie zapomnianą, dla innych niezaprzeczonych piękności, jakie sam tylko geniusz Shakespearea i stworzyć i cechą nieśmiertelności mógł oznaczyć“ [1]).

Rozważa dalej Bogusławski [2]) Hamleta pod względem dramatycznym, rozbierając prawie wyczerpująco przeróbkę „wielu pięknych dzieł dramatycznych autora i nie mniej sławnego niemieckiego aktora, Schrödera“. „Zbliżył on ją — pisze Bogusławski o Schröderowskiej przeróbce Hamleta — do dramatycznych przepisów i, zachowawszy wszystkie prawdziwe jej piękności, wiele szkodzących onym uchybień nader rozsądnie poprawił. Oprócz jedności czasu, która, zaczynając się o północy jednego dnia, kończy się dopiero przed wieczorem drugiego i około 30 godzin zabiera — jedność miejsca i osnowy dokładnie są zachowane. Po opuszczeniu wyprawy Fortynbrasa, jako wcale do zdarzenia Hamletowego nienależącej, cała osnowa samym tylko losem Hamleta zajmuje słuchaczów. Ponieważ cały V akt (w którym wyjazd i powrót Hamleta, rozmowy z grabarzami i odrażające na cmentarzu sceny umieszczone były) zupełnie jest opuszczony, cztery więc pierwsze na pięć podzielone i odmienione, a do dziejów stosownem rozwiązaniem zakończone zostały. Hamlet nie oddala się z Danii, bo mu tego niedopełniona pomsta za śmierć ojca nie powinna pozwalać. Klaudyusz nie używa sposobów pozbycia się jego przez wezwanie do utarczki z Laertesem, bo skutek onego nietylko wątpliwym, ale nawet był niepodobnym. Mógł bowiem książę nie przyjąć wyzwania; mógł Laertes nie ranić książęcia; mógł nakoniec Hamlet nie wydrzeć szpady przeciwnikowi dla ranienia jego nawzajem. Za-

---

[1]) Uwagi nąd Hamletem. Dzieła dramatyczne. T. IV. Warszawa, 1821, str. 149.

[2]) L. c., str. 157 — 158.

trute wino, przy pożegnaniu wypić miane, jest daleko prostszym i pewniejszym sposobem. Przypadkowe wypicie trucizny przez królowę jest nader stosownym wynalazkiem. Królowa bowiem sama swoje karząc występki, ocala życie synowskie i w sercu jego odżywia chęć pomsty za ojca. Królewicz i Laertes, jako niewinne osoby nie giną, sama zbrodnia odnosi karę: a tak moralny cel dopełniony i trwoga słuchaczów o los Hamleta zaspokojoną została". Potem przystępuje Bogusławski do określenia charakterów działających osób, o których twierdzi, że „są zupełnie te same, jakie im Shakespeare nadał". My jednak całkowicie się na to twierdzenie nie piszemy, przynajmniej co do pojęcia istoty charakteru Hamleta. Kwestyi tej jednak tu roztrząsać nie możemy, gdyż doprowadziłaby ona nas zadaleko od obranego celu. Po przytoczeniu tych uwag Bogusławskiego, tyczących się Schröderowskiego Hamleta, przychodzi teraz nam wydać sąd o nim. By długo rzeczy nie rozciągać, powiemy krótko, co każdy sam wysnuć sobie może: Hamlet Schrödera (a za nim i Kamińskiego) jest co do t r e ś c i swojej mniej więcej t a k i s a m, jaki powstał w pomyśle Szekspira; co do istoty jednak c h a r a k t e r u, przynajmniej głównego bohatera, co do s k ł a d u, p o d z i a ł u i r o z w i ą z a n i a osnowy w c a l e o d m i e n n y.

Przy omawianiu Hamleta Schröderowskiego, nasuwa się doskonała sposobność rozprawiania *per longum et latum* o k l a s y c y z m i e f r a n c u s k i m, o gustach publiczności ówczesnej i jej smaku artystycznym, o tłómaczeniach i przeróbkach Szekspira, niemieckich i francuskich, w których kładzie się główną wagę na efekt moralny i dramatyczny, podnosi wszystko, co patetyczne, pomijając stronę psychologiczną, jej głębokość i prawdę. Ale my tego wszystkiego omawiać nie będziemy; pisał już o tem obszernie a trafnie St. Tarnowski w swem studyum o Szekspirze w Polsce.

Z kwestyj, które się nasuwają przy czytaniu Hamleta mińkowieckiego, poruszyć należy jeszcze jedną, mianowicie s t r o n ę j ę z y k o w ą p r z e k ł a d u. Rzecz tę jednak — mamy do tego dostateczne przyczyny — traktować będziemy jak najogólniej i jak najkrócej. Język tłómaczenia jest ohydny, pokaleczony tak okropnie, że ani cienia tej naszej pięknej, polskiej mowy w nim nie masz. Od germanizmów najpotworniejszych (że wymienię tylko jeden: „Hamlet bierze pożegnanie" — Abschiednehmen) roi się cały przekład.

Nowotworów i słów, użytych nieodpowiednio, spotykamy w nim mnóstwo wielkie (jak: satyrysta = satyryk, wygluzuję = wymażę, postrzegacz = stróż i t. d., Hamlet i Gustaw wołają do ducha: gadaj i t. d.). Szyk słów w zdaniu tak nieporządny, że nieraz sensu pochwycić nie można. Do tych potwornych wadliwości stylistycznych i językowych dołączono dwie inne: fatalną ortografię i jeszcze fatalniejszą korektę tekstu.

Wobec dopiero co wymienionych przywar Hamleta mińkowieckiego, orzeczenie Tarnowskiego, że drukarnia mińkowiecka wydrukowała ohydnie, na ohydnej bibule, ohydnego Hamleta, jest nietylko dowcipne, ale nadzwyczaj trafne. Aby choć w przybliżeniu podać, jak wygląda ten przekład, przytaczamy z niego słynny m o n o l o g Hamleta: *To be or not to be...* ze sceny 1 aktu III-go (u Kamińskiego scena 10 akt III-ci, str. 65 — 66):

OFELIA (czyta xiążkę). — HAMLET.

HAMLET

(sam z sobą rozmawiając).

Bydź, albo nie bydź, to iest więc pytanie. Jestże dusza szlachetnieyszą tego, który pociski i strzały nacieraiącego losu ciérpliwie znosi? albo tego, który się na przeciw tym wszystkim gromadom nędzy odważnie uzbraia, i w odporze ginie?.. umierać... spać, więcéy nic, a z tym snem zakończyć troski naszey duszy, niezliczone męki przyrodzenia, któreśmy na tym padole wygnania odziedziczyli, iest to zakończenie, któregoby sobie każdy pobożnie i skwapliwie życzyć powinien — umrzeć, spać. Spać? może też i marzyć. Otoż w tem sęk! bo coby nas za marzenia w tem śnie śmiertelnym, uszedłszy już przed wrzawą świata, zaiąć mogły, to iest godne zastanowienia. Ten to ten wzgląd: dla czego mękom życia samochcąc podlegamy. Bo któżby znosił sromotę iego, złość uciemiężyciela, pogardę wyniosłego, katusze odrzuconey miłości, opieszałą sprawiedliwość, dumę wielkich, szyderstwo cierpiącey zasługi od niegodnych, gdyby się on lada ostrem żelezdcem na wolność mógł przeprawić, ktożby pod ciężarem tak nędznego życia chciał ięczeć i niszczeć ze znoiu? Ale przeczucie czegoś po śmierci, miesza duszę i do tego nas przyprowadza: że wolemy raczey znosić przykrości życia nam wiadome, iak przechodzić do innych, których nie znamy. Tym to sposobem czyni nas sumnienie lękliwemi, tym to sposobem osłabia już sama myśl przyrodzoną moc obrzydzenia boleści i nędzy, a przez tę iedną uwagę hamuią się nayważnieysze układy w swoim biegu i uchodzą przestraszone od mety wykonania. Ale, ciszey... piękna Ofelia.

Tak wygląda monolog Hamleta (dokładnie przez nas przedrukowany) z przekładu Kamińskiego. A zaznaczyć należy, że w porównaniu z innemi miejscami, jest on jeszcze bardzo gładko przełożony. Wobec tych uwag nie piszemy się, naturalnie, na pochwały C. Wurzbacha [1], a zgadzamy się p r a w i e z u p e ł n i e z sądem K. Estreichera [2], że przekłady Kamińskiego z Szekspira, jako dokonywane z niemieckiego, nie mają wartości.

A gdy ten cały przekład Hamleta taki ohydny i nędzny, przychodzi ochota zapytać: d l a c z e g o K a m i ń s k i d r u k i e m g o o g ł o s i ł? Znać na tem tłómaczeniu grube ślady niewykończenia, jest to jakby pierwszy rzut przekładu. Te właśnie cechy ujemne, to n i e w y k o ń c z e n i e, ułatwiają nam odpowiedź. Jak wiadomo z życiorysu Kamińskiego, bawił on od 1804 do 1809 roku na Podolu rosyjskiem; przebiegł je ze swą trupą od Kamieńca do Odesy. Repertuar polski był podówczas nader szczupły, musiano go dopiero tworzyć. T w ó r c ą tego repertuaru był Kamiński; tłómaczył i przera-

---

[1]) L. c., str. 421 i 429: „Seine Uebersetzung des „Hamlet" und „König Lear"... sind wahre *Meisterwerke und Zierden* der polnischen Litteratur!".

[2]) Encyklopedya Orgelbranda, T. VIII, str. 59.

biał, czyniąc to szybko i pośpiesznie. Dowodu na to dostarcza nam uwaga na jednym z rękopisów Biblioteki teatralnej p. Ludwika Hellera [1]), którą tu dosłownie przytaczamy:

> Ponieważ to dziełko prawie w kilku godzinach przełożone, więc uprasza się p. aktorów uważać pilnie, co mówią, aby błędy, w prędkości tłómaczowi z pod pióra wypadłe, na scenie się nie odezwały. Kamiński.

Kamiński przełożył Hamleta prawdopodobnie w takich samych warunkach. Przełożył go pośpiesznie może w Kamieńcu, wystawił go tu [2]), a później, na żądanie Marchockiego, wydrukował w Mińkowcach (może go i tu grano), nie mając nawet czasu wśród nawału zajęć dyrektorskich, zająć się jego wygładzeniem stylistycznem, a cóż dopiero korektą drukarską. Przypuszczalny tedy pośpiech i ówczesne okoliczności usprawiedliwiałyby znakomicie Kamińskiego za ogłoszenie tego przekładu.

Gdy mowa o wystawieniu Hamleta na scenie, korzystamy ze sposobności, by podać daty jego wystawień (po roku 1822) we Lwowie. Grano go najpierw we Lwowie w języku niemieckim. Już w roku 1804 spotykamy się z jego wystawieniem. Aktor niemiecki, Schädler, wystąpił dnia 3 maja tegoż roku po raz pierwszy w roli Hamleta [3]). Teatr niemiecki wystawił go później, w roku 1806, dnia 11 stycznia; w 1807 roku: 11 marca, 30 maja i 17 października [4]); w 1810 roku 24 listopada [5]); w 1820 roku 18 listopada [6]). Z najwcześniejszem wystawieniem polskiem Hamleta w teatrze lwowskim, według „Roczników teatru polskiego we Lwowie“ [7]) spotykamy się w roku 1814. Grano go dnia 9 maja [8]). W 1817 roku wystawiono go 2 maja i 20 października [9]). Ale już przed rokiem 1814 widziano Hamleta na scenie teatru polskiego we Lwowie. Naprowadza nas na to ten fakt, że przy wystawieniu Hamleta w 1814 roku, nie oznaczono tej sztuki gwiazdką w „Roczniku“, która oznacza sztukę, graną po raz pierwszy. Była więc przedtem znaną. Na to zresztą dostarcza nam dowodu szczęśliwie do-

---

[1]) Sygn. A. 7. Aurora, czyli Dziecko piekła, dramma w 5 aktach z niemieckiego p. Juliusza de Soden, na polski język przez J. N. Kamińskiego przełożona w Kamieńcu 1804 roku.

[2]) K. Estreicher, Teatra, T. I, Kraków, 1873, str. 99.

[3]) Lemberger Theater - Taschenbuch f. das Jahr 1805 v. Lehmann. Lemberg, 1805.

[4]) Rękopis c. k. Biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie, № 582, sygn. 1. P. 15, Teka II.

[5]) Lemberger Theater-Verzeichniss f. das Jahr 1812 v. E. Felber, Lemberg, 1811.

[6]) Rękopis c.-k, Biblioteki uniwersyteckiej we Lwowie i t. d.

[7]) Od roku 1814 do 1817, cztery tomiki in 12-o.

[8]) Rocznik teatru polskiego we Lwowie za rok 1814, str. 11.

[9]) Rocznik teatru polskiego we Lwowie za rok 1817, str. 10 i 16.

chowany afisz teatralny Hamleta z roku 1812, który tu, dzięki uprzejmości p. Czesława Mussila, podajemy:

ZA POZWOLENIEM ZWIERZCHNOŚCI.

Dziś w Poniedziałek to iest: dnia 20-go Kwietnia 1812, w król. mieyskim uprzewileiowanym Lwowskim Teatrze

AKTOROWIE SCENY POLSKIEY

będą mieli zaszczyt dać Reprezentacyę Wielkiej Traiedyi w pięciu Aktach przez Pana Szekspir napisaney

Pod Tytułem:

HAMLET

KROLEWIC DUŃSKI.

OSOBY:

Król Duński		JP. Lipnicka
Królowa, matka Hamleta . . .		JP. Bendzowa
Hamlet		JP. Kamiński
Ofelia } Córka	Ministra Oldenholm	JP. Kamińska
Laertes } Syn		JP. Bendza
Gildensztern dworzanin		JP. Starzeski
Bernfild Officer z Gwardyi . . .		JP. Zieliński

Duch Oyca Hamleta.
Oldenholm Minister.
Gustaw, Oficyerowie z Gwardyi.
Elrych } Żołnierze.
Frencow }
Direktor Teatru. Dworzanie. Żołnierze.

Osoby wchodzące do widowiska, w pałacu Króla danego: Książe Gonzaga. Księżna iego małżonka. Lucyan brat Gonzagi.

Teatr przedstawia na przemiany: Krużganki Pałacowe. Salę Audencyonalną. Pałac ministra. Cmentarz. Teatrum w Pałacu; i t. d.

Dzieło to dane będzie z przyzwoitą sobie okazałością.

Cena iak na Polski Spektakl zwyczayna.

Początek o 7my koniec o 10.

Heute Montag den 20 April 1812, wird in der pohlniſchen Sprache aufgeführt:

H A M L E T.

Ein Trauerſpiel in 5 Aufzügen.

Nie tu miejsce na to, by rozbierać grę tych artystów, o których talencie przekazano nam dużo; przekraczałoby to ramy niniejszego szkicu, zwłaszcza, że z czasów, o których mówimy, nie posiadamy wcale żadnych recenzyj teatralnych z Hamleta, a więc rozbiór byłby tylko przypuszczeniem, wysnutem z gry w innych sztukach. Tego jednak pominąć nie możemy, że afisz przytoczony jest nader ważnym dokumentem dla dziejów sceny polskiej we Lwowie w 1812 roku. Skąpe są wiadomości o jej historyi w tym roku, dla dowodu przytoczyć wystarczy ustęp z Estreichera [1]): „W r. 1812 aktorowie polscy (we Lwowie), przed odegraniem przez niemieckich aktorów tragedyi Józefa Collina: „Bianca della Porta", uczcili wierszem pamięć tego świeżo zmarłego poety". Oto wszystko, co o istnieniu sceny polskiej we Lwowie, w roku 1812, wiadomo. Afisz ten pomnaża nasze szczupłe wiadomości o życiu sceny polskiej we Lwowie w roku 1812, na jego podstawie możemy mieć pewność, że scena polska rozwijała się samoistnie pod dzielną ręką Kamińskiego, który nie szczędził trudów i pracy, by ją na coraz wyższe kierować szczyty. Dalej przynosi nam wiadomość, nieobojętną dla dziejów Hamleta w Polsce; mamy w nim wreszcie dowód, że Hamleta wystawiano na scenie lwowskiej podług przekładu Kamińskiego [2]).

Jak już wspomnieliśmy, grano Hamleta w przekładzie Kamińskiego najwcześniej na Podolu. Aby wyczerpać, o ile możności, materyał, tyczący się dziejów tego tłómaczenia, przytaczamy na zakończenie niniejszego szkicu anegdotę, jeśli nie prawdziwą, to w każdym razie ciekawą, a nawet dość charakterystyczną, jaką Franciszek Błotnicki zapisał [3]):

---

[1]) Teatra... T. III, Kraków, 1879, str. 171 — 172, na podstawie notatki w Gazecie Lwowskiej z roku 1812, № 28, str. 230. Por. też Pepłowski St.: Teatr polski we Lwowie, Lwów, 1889, str. 63.

[2]) Hamleta wystawiono po raz pierwszy we Lwowie i na ziemiach polskich wogóle w roku 1797, według przekładu W. *Bogusławskiego*. Przekładu tego używano później na scenie warszawskiej (W. Bogusławski: Dzieła dramatyczne, T. IV, str. 169), obok tłómaczenia A. *Horodyskiego* z 1799 roku (F. Bentkowski: Historya literatury polskiej, tom pierwszy, Warszawa, 1814, str. 576). Rękopis Bogusławskiego przekładu Hamleta z roku 1797 znajduje się w Bibliotece Ordynacyi hr. Zamoyskich w Warszawie (wiadomość tę zawdzięczamy dyrektorowi K. Estreicherowi) z oryginalną notą cenzury austryackiej, a dostał się tam z biblioteki teatralnej Ignacego Werowskiego, który przesłało 4,000 sztuk teatralnych dopiero co wspomnianej bibliotece ofiarował. Katalog ich mieści się w rękopisie Biblioteki Jagiellońskiej w Krakowie pod l. 3,611 (K. 20, 8-o). Por. Notatki Żegoty Paulego: Rękopis Biblioteki Jagiellońskiej, № 5,400. Zupełnie przerobione (według Schrödera, Schlegla i t. d.) tłómaczenie Hamleta wydrukował Bogusławski w czwartym tomie swych Dzieł dramatycznych, wraz z życiorysem Szekspira i uwagami nad Hamletem (str. 5 — 159).

[3]) Rocznik teatru polskiego we Lwowie od 1 stycznia 1822 do 1 stycznia 1823 r., str. 95 — 97.

„Na Podolu — opowiada Błotnicki — w pewnem miasteczku, aktorowie, odegrawszy benefis na korzyść wspólną, tak się mocno po skończeniu widowiska dochodu podziałem skłócili, iż się pięściami obdzielać zaczęli. Straż, blizko stojąca, usłyszawszy hałas, bieży na ratunek i zastaje junaków na gorącym uczynku, w grupach najmalowniejszych. Tu się Hamlet z Laertesem trzymają za czupryny, tam Ofelia wycina trzewikiem policzki królowej, pod oknem okłada wałkiem Gildensztern Ducha zbielonego, pod piecem dusi Oldenholm suflera. — „Szto wy dielaiete"? — krzyknie ogromnym głosem sierżant wąsaty.—„My dielaiem probu",—odpowie jeden z zaciekłych zapaśników i w tem uderza w łeb pięścią swego przeciwnika. Bitwa się odnawia, lecą ławki, stołki, a stróż stoi we drzwiach, i wierząc, że to próba, śmieje się do rozpuku. Nazajutrz biega wieść po całem miasteczku, iż będzie dana sztuka, w której potyczka ma być do podziwienia. Schodzą się oficerowie, i wszystko co żyje, na widowisko, lecz sztuka się kończy, a potyczki jak niema, tak niema. Razem powstaje krzyk okropny, parter domaga się batalii. Nadaremnie przedkładają aktorowie, iż w tej sztuce żadna być nie może, ani żadna być nie miała. Krzyk nie ustaje. Aktorowie, widząc zacięty upór publiczności, chcąc nie chcąc, jęli się kułakować *da capo*, co im się tak dobrze powiodło, iż publiczność z największem odeszła zadowoleniem".

Ludwik Bernacki.

PIŚMIENNICTWO.

D-r. WOJCIECH KĘTRZYŃSKI: O powołaniu Krzyżaków przez ks. Konrada. Kraków 1903.

Utrzymuje się dotąd w historyi legenda, jakoby Konrad, książę mazowiecki, dręczony ciągłymi napadami Prusaków, którym nie potrafił się obronić, powołał do Polski zakon niemiecki, nazwany u nas powszechnie Krzyżakami. Podają historycy, jako fakt niezaprzeczony, jakoby Krzyżacy długo dali się prosić i przybyli z ratunkiem dopiero wtedy, gdy książę zrozpaczony, oddał im na własność jedną prowincyę państwa. Legenda powyższa trwa dotąd i nikt z polskich, a tem mniej z niemieckich historyków, nie zastanawiał się nad tem, czy to wszystko jest prawdą, co uczeni głoszą, skoro oddawna podawano cały szereg dokumentów w wątpliwość, skoro Perlbach, którego nikt o parcyalność posądzać nie będzie, w dwóch bardzo gruntownych rozprawach, ściśle wykazał, że istnieją rzeczywiście podrobione dokumenta, a między niemi najważniejszy przywilej krzyżacki, w którym Konrad odstępuje zakonowi całą ziemię chełmińską i całe Prusy na własność, z wszelkiemi prawami książąt udzielnych.

Nie zastanowił się jednak nikt nad sprzecznością pomiędzy tradycyą a owym podrobionym przywilejem; bo jeżeli książę Konrad Krzyżakom podarował ziemię chełmińską i Prusy, jako własność niezależną od Polski, czy było potrzeba podrabiać akt darowizny? a jeżeli zakon go podrobił, czy nie wynika z tego czynu myśl logiczna, że Konrad owych ziem nie oddał Krzyżakom bezwarunkowo i bez zastrzeżeń i że rycerzom niemieckim chodziło o zrzucenie z siebie uciążliwych warunków i o pozbawienie Konrada korzyści i zysków spodziewanych. Celem powyższej rozprawy d-ra Kętrzyńskiego ma być wyświetlenie zamiarów, które ks. Konrada spowodowały do powołania Krzyżaków i założenia rycerzy Chrystusowych. Aby celu

tego dopiąć, autor postanowił przedewszystkiem zbadać na nowo autentyczność dokumentów, odnoszących się do tej sprawy, bo pomimo cennej pracy d-ra Perlbacha, jeszcze nie wszystko jest wyświetlone.

W r. 1190 mieszczanie bremeńscy i bukowscy założyli szpital polny dla chorych Niemców. Młodą tę instytucyę przemienił Fryderyk książę szwabski, razem z innymi pielgrzymami niemieckimi, na zakon rycerski, na zakon taki, jakim byli Templaryusze i Johannici. Obowiązkiem jego miało być pielęgnowanie chorych i wspomaganie biednych; oprócz tego miał się on zajmować walką przeciw nieprzyjaciołom wiary chrześciańskiej i stawać w obronie Ziemi ś-tej i Kościoła świętego. Na czele zakonu miał stanąć mistrz z rezydencyą w Akonie. Każda nowa instytucya bywała przedmiotem powszechnej troski i życzliwości. I zakon niemiecki tego na sobie doświadczył. Obdarzyli go hojnie nietylko królowie i hrabiowie na Wschodzie, nie tylko Fryderyk król sycylijski, ale wielkie posiadłości przypadły mu przedewszystkiem w Niemczech, a mianowicie w Turyngii, Frankonii, Hesyi i Austryi. Papieże oświadczyli wyraźnie, że zakon niemiecki nie stoi pod żadnym prałatem, lecz podlega bezpośrednio stolicy apostolskiej. Tylko czysto duchowne funkcye, jak święcenie ołtarzy i kościołów, ordynacye i t. p., miały pozostać nadal przy biskupach dyecezyalnych.

W początkach XIII w. zakon posiadał już liczne dobra w Europie, lecz nie miał właściwego pola działania, gdyż Ziemia święta nie wyczerpała jego sił. W r. 1211 król węgierski, Andrzej, wszedł w układy z mistrzem wielkim o pomoc przeciw napadom Kumanów. Członków zakonu osiedlił król w r. 1211 w kraju nadborskim, określając ściśle granice nadanych mu terytoryów. W r. 1222 wystawił król Andrzej nowy przywilej dla zakonu, dodając do poprzednich ziem zamek Cruzeborg i inne terytorya aż do Dunaju. Już w r. 1225 król wyrzucił zakon ze wszystkich posiadłości im ofiarowanych i tych, pomimo upomnień papieża, zwrócić im nie chciał i nie zwrócił. Nawzajem król Andrzej skarżył się przed papieżem, że Krzyżacy nietylko, iż ziemie nieprawnie zabierali, ale usiłowali ją bronić z orężem w ręku przeciw królowi i oświadczyli mu, że wolą raczej umrzeć, niż jej ustąpić. I okazało się przytem, że nie tylko fałszowali dokumenta, ale wprost przywłaszczali sobie kopalnie soli, ponieważ sprzedaż soli była rzeczą intratną. W ogóle położenie zakonu w Siedmiogrodzie było od samego początku trudnem. Otoczony był bowiem zewsząd krajem węgierskim albo stepami zaludnionemi przez nieprzy-

jaciół wiary chrześciańskiej — przez Kumanów. Należało zatem postępować bardzo ostrożnie i roztropnie, co też z początku czyniono, zapominając następnie o niezbędnej polityce, bez której nastąpić musiała katastrofa.

Główną przyczyną powołania Krzyżaków przez księcia mazowieckiego, były Prusy, które znajdowały się między Wisłą, morzem Bałtyckiem i Litwą. Wiara chrześciańska musiała na początku XIII wieku znaczne w Prusach zrobić postępy, skoro papież w r. 1215 zamianował Krystyana biskupem pruskim. Innocenty III, interesując się żywo sprawami pruskiemi i starając się o to, aby biskup miał przyzwoite utrzymanie, odezwał się do książąt polskich z prośbą, aby wyznaczyli mu jakąś wieś, z której dochodów mógłby żyć, oraz wykupywać i wychowywać dzieci pogańskie, przeznaczone przez rodziców na śmierć. Odwołanie się Innocentego nie pozostało bez skutku. Władysław Odonicz, książę kaliski, przekazał wieś Cekowiec, dziś Ceków, ale biskup dobrodziejstwo z góry odpłacił niewdzięcznością, bo nadanie książęce natychmiast sfałszował. Za przykładem Władysława poszedł Konrad ks. mazowiecki, który biskupowi i jego następcom podawał niektóre: „possessiones et villas“, o których wspomina bulla papieska z d. 18 maja 1219 r.

Biskupstwo pruskie, założone przez poddanego polskiego i tem samem zostające pod opieką arcybiskupa gnieźnieńskiego, uważano za cząstkę polskiego terytoryum. Mając Krystyana za biskupa polskiego i chcąc go silniej przyciągnąć do państwowego organizmu, wyposażono go dobrami, jak innych biskupów, gdy pomiędzy nim a księciem Konradem przyszło do wzajemnego porozumienia. Krystyan jednakże posiadał niemało ambicyi i zapatrując się na to, co się działo w Inflanciech, marzył o państwie, na którego czele on by stał, jako biskup udzielny. Krystyan przyjął uposażenie od Konrada. Utwierdzał go może w nadziejach, ale równocześnie wpływał na papieży, aby ich dla Konrada usposobić jaknajnieżyczliwej. Wszystkie bulle wskazują, że Prusacy ani Polsce, ani ziemi chełmińskiej nie zagrażali, lecz że napady pruskie były skierowane przeciwko Prusakom nawróconym, że zatem, dotykały Polski o tyle, o ile owe kraje można było uważać za należące do Polski. Nie napady zatem były przyczyną powołania Krzyżaków, lecz Konrad z powołaniem zakonu łączył plany ambitne i zamiary daleko sięgające. Konrad za pomocą jednego z zakonów rycerskich chciał całe Prusy zdobyć dla Polski. Żeby jednak Konrad miał prosić Krzyżaków o pomoc, o tem w całym dokumencie zasadniczym niema śladu. Cesarz zatwierdził nie tylko

rzyrzeczenie Konrada co do ziemi chełmińskiej, lecz uwolnił ją od szelkiej służby, dani i zależności; zarazem przysądza całe Prusy zanowi, jako księstwo udzielne, z wszelkiemi możliwemi prawami prerogatywami. O tem wszystkiem jednak niema ani wzmianki wóch pierwszych przywilejach, noszących imię księcia Kon-

Konrad mazowiecki założył jeszcze jeden zakon, który miał to samo zadanie co Krzyżacy, a w danym razie mógł służyć do zaszachowania tamtych, gdyby się okazali hardymi i groźnymi. Zakon ten nazywają dokumenty milites Christi lub „fratres de Dobrin“ braćmi Dobrzyńskimi czyli Dobrzyńcami. Składał się naturalnie z Niemców, a być może, że mistrz jego Bruno, był nawet członkiem mieczowców inflanckich. Biskup Krystyan, który nie miał żadnego udziału w założeniu rycerzy Chrystusowych, postanowił skorzystać z tej nowej instytucyi: wprowadził ją do swego biskupstwa i wystawił rycerzom przywilej, dziś już nieistniejący, w którym za pewne wyposażenie określił ich obowiązki. Wielki mistrz Herman de Salza przedstawił jednak papieżowi darowiznę Krystyana, zarówno jak Konrada w fałszywem świetle; zapewniał bowiem papieża, że Konrad odstąpił zakonowi ziemię chełmińską i Prusy zdobyć się mające. Hermanowi doręczono przywileje już podrobione w Prusach, ale przywileje powyższe nie dość uwalniały zakon od zależności wobec księcia polskiego. Na podstawie więc podrobionej darowizny, Herman kazał wygotować w kancelaryi cesarskiej nowy przywilej, w którym udzielne i niezależne posiadanie ziemi chełmińskiej oznaczono tak ściśle, że żadna co do tego nie mogła zachodzić wątpliwość, iż dar ten nastąpił z powodu napadu Prusaków, którym Konrad obronić się nie mógł.

Z kolei rzeczy, zakon postanowił się załatwić z Krystyanem. Biskup zaś widząc, iż zakon zamierza go pozbawić długoletniej pracy i poświęcenia, udał się osobiście do Rzymu, aby pożalić się papieżowi, ale i w Rzymie natrafił na przemożny wpływ zakonu. Dano mu tam do zrozumienia, że zakon więcej znaczy i więcej zdziałać może, niż on, biskup, i że dla tego powinien się zdać na łaskę i niełaskę jego. Ostatecznie Krystyan złożył zakonowi w ofierze posiadłości, prawa i własną ambicyę. Choć Niemiec, doświadczył Krystyan na sobie tego, czego przedtem doświadczył król Andrzej. W bardzo krótkim czasie, przy pomocy książąt polskich i pomorskich, zakon stał się panem całej ziemi od Drwęcy aż do morza i zatoki Fryzyjskiej. Miał nawet tyle czasu, aby ułożyć statut dla kolonistów niemieckich, obej-

mujący dotąd słynne prawo chełmińskie. Teraz już uważał zakon stanowisko swoje za dostatecznie silne i rozpoczął szereg intryg, aby dopiąć tego, do czego dążył przywilej Fryderyka II i sfałszowane na imię Konrada dokumenty, aby sobie zapewnić Prusy, a Konrada pozbawić prowincyi, którą odstąpił Krzyżakom, zachowując sobie nad nią władzę zwierzchniczą. Można sobie wyobrazić zdziwienie Konrada, gdy się dowiedział w końcu r. 1234 o hojności swojej względem zakonu, oraz o utracie Prus, dla których pozyskania tyle czynił starań i tyle ponosił ofiar. Papież oświadczył, że na podstawie darowizny Konrada, oddał całe Prusy na własność zakonowi niemieckiemu; a nie wiadomo czy Konrad przedsiębrał w Rzymie jakiekolwiek kroki przeciw temu.

Siła atrakcyjna Zakonu była tak wielka, że nawet bracia mieczowi w Inflantach, choć posiadali już wielkie terytoryum zdobyte, połączyli się z Krzyżakami w roku 1237. Zanim jednak to nastąpiło, udało się Krzyżakom wcielić w siebie rycerzy Chrystusowych Dobrzyńskich. Pomiędzy Konradem a Zakonem przyszło jednak do zatargów, które się dla pierwszego skończyły najfatalniej. Wybrano bowiem rozjemców dla przeprowadzenia zgody, ale wybrano takich, których bezstronność była w najwyższym stopniu wątpliwa. Nieomal wszystkie dokumenty, które Krzyżacy mogli przedstawić medyatorom, były sfałszowane, lub podrobione, i nie było wśród nich ani jednego, któryby był bez zarzutu. Za pośrednictwem powyższego rozjemstwa dopięli Krzyżacy w krótkim czasie swego celu. Zabrali bowiem dobroczyńcy swemu drugą ziemię i zmusili go do zrzeczenia się wszelkich praw książęcych, do ziemi chełmińskiej i innych dóbr na Kujawach, a prócz tego do ciężkich ofiar pieniężnych. Za to, że z poświęceniem przyjął Zakon u siebie, Konrad, w przeciągu lat dziewięciu, stracił ziemię chełmińską, biskupstwo pruskie, które można było już uważać za polskie i całe Prusy. Prócz tego, wdzięczni Krzyżacy, opierając się na bulli papieskiej, nadającej im Prusy, pozbawili Polskę ziemi lubawskiej, saskiej i golędzkiej, jako dzielnic, niegdyś do Prus należących.

Zakon Krzyżacki, uzyskawszy od braci Dobrzyńskich wszystko, czego pragnął, wyrzucił ich ostatecznie ze swego grona. Zawiedzeni w swoich nadziejach, udali się Dobrzyńscy znowu pokornie do Konrada, którego haniebnie zdradzili, a ten nadał im wspaniałomyślnie w roku 1237 ziemię drohicką pomiędzy Bugiem a Nurem. Nauczony jednak doświadczeniem lat ostatnich, zaznaczył ściśle obowiązki względem siebie i Mazowsza. Posiadanie też ziemi drohickiej

i swą władzę monarszą nad nią starał się ubezpieczyć rozmaitemi zastrzeżeniami, chociaż powinienby był wiedzieć, że pismo na pergaminie nie obroni go od przewrotności niemieckiej. Gdy się Krzyżacy uwolnili od wszelkiej władzy księcia polskiego, nie byli jeszcze wolnymi od wpływów biskupa pruskiego i władz kościelnych polskich, to jest arcybiskupa gnieźnieńskiego i biskupa płockiego. Korzystając z kilkoletniej niewoli pruskiej biskupa Krystyana, opanowali Krzyżacy jego biskupstwo i usposobili papieża korzystnie dla swoich planów. Długo walczył Krystyan przeciw zgwałceniu swoich praw, nareszcie zgodził się na przyjęcie biskupstwa chełmińskiego, które mu Zakon przyznał wraz z 600 włókami ziemi.

Ale ziemia chełmińska była dotąd cząstką archidyecezyi gnieźnieńskiej, która mogła rościć pretensye nawet do wszystkich biskupów pruskich. Niebezpieczeństwo należało odwrócić, a że Zakon w Rzymie był w łaskach wielkich, przeprowadzenie sprawy nie spotkało wielkich trudności. W Rydze istniało już dawno biskupstwo, które papież teraz podnosił do godności metropolii i poddał jej między innemi ziemię chełmińską. Odtąd ta ziemia, jako oddzielne biskupstwo, należała do metropolii ryskiej, czy zaś arcybiskup gnieźnieński zezwolił na takie uszczuplenie praw swoich, o tem źródła nie podają żadnych wiadomości. Dopiero w roku 1295 wystąpił w tej sprawie Jakób Swinka, jednak bez widocznego rezultatu, a na smutny obraz ówczesnej Polski, gdzie książęta i arcybiskupi dali się łupić bez oporu, rzuca przynajmniej promień blasku energia, z jaką biskupi płoccy bronili swych praw wobec Krzyżaków, którzy i tę sprawę ostatecznie wygrali, posługując się, jak gdzieindziej, fałszerstwem i podstępem. Tak się ostatecznie skończyła sprawa ziemi chełmińskiej.

Do zajmującej opowieści historycznej dodał dr Kętrzyński rozbiór krytyczny niektórych dokumentów, wykazując z całą gruntownością i ścisłością, w jaki sposób jawny i bezwzględny dopuszczali się Krzyżacy fałszerstwa najważniejszych dokumentów. Pominę ów cały krytyczny rozbiór, jako zbyt specyalny i z natury rzeczy dla przeciętnego czytelnika nieco nużący i zawiły. Zaznaczę tylko jedną kwestyę, na którą autor logicznie i trafnie odpowiada. Jakim sposobem — pisze dr Kętrzyński — było to możliwem, aby Krzyżacy wystąpili z fałszywemi dokumentami nieomal w żywe oczy współczesnych ludzi? Rzecz ta da się łatwo wytłómaczyć. Występują wprawdzie już za Konrada i przed nim kanclerze, ale, pomimo to, nie było jeszcze żadnej kancelaryi książęcej, urządzonej na sposób za-

chodni. Wystawiano dokumenty, ale dorywczo. Nie zawsze układał je i spisywał ktoś z otoczenia książęcego, najczęściej postarał się o to obdarowany, mianowicie, gdy nim była osoba duchowna, lub zakonna. Treść dokumentu była zapewne ogólnikowo znaną licznym świadkom, ale książę nie zatrzymywał żadnej kopii, za pomocą której mógłby sprawdzić w danym razie przedłożony później dokument. Wobec takich stosunków potrzeba było tylko pewnej miary bezczelności, aby przedstawić osobom, pośredniczącym w sporach, podrobiony przywilej, i wmówić w nie, że to ów oryginał, wtedy a wtedy wystawiony, jak tego dowodzą pieczęcie, sztucznie przyprawione, albo zatwierdzenie papieskie, podstępnie uzyskane. Wobec takich argumentów cofano się, a choć miano pewne wątpliwości, nie miano żadnych przeciwdowodów i żadnej kontroli, a z drugiej strony, nie posądzano zakonów, używających sławy światowej, o krętactwo i oszustwo. Tymczasem Krzyżacy przechowywali skrzętnie, co otrzymali, i gubili zwykle to, co im nie było na rękę. Zakon miał na wszystko dowody autentyczne, a w potrzebie i podrobione, w dodatku zaś miał opiekę papieża i cesarza.

Rozprawa d-ra Kętrzyńskiego zdobywa przekonanie czytelnika głęboką znajomością przedmiotu, ściśle logiczną argumentacyą i dojrzałym sądem historyozoficznym. Studyum d-ra Kętrzyńskiego przedstawia prócz tego niezwykły interes, przeciwstawiając naiwność i niezaradność mazowiecką, chytrości i obłudzie, na każdym kroku podstępnej, Krzyżaków. Praca powyższa zasłużonego oddawna autora pozostanie w literaturze historycznej pouczającym, oraz interesującym przyczynkiem.

A. R.

„Dziennik Ludwika Szczanieckiego, pułkownika wojsk polskich". Warszawa, 1904.

Autor „Dziennika" kształcił się w Dreznie; oddawał się pilnie nauce historyi, nauk przyrodzonych, matematyki i sztuki wojennej. Robienie bronią i ćwiczenia wojenne, najmilszą zawsze były dla niego rozrywką. Studya i zamiłowania wojenne, przytoczone przez biografa, były jednak zbyt pobieżnemi, aby ze Szczanieckiego mogły uczynić oficera zawodowego. Kiedy też w 1809 r. wstąpił do szeregów

ochotniczych w Poznańskiem, nie wyróżniał się wiele od swych towarzyszów i, rzec można, jako nowicyusz rozpoczął wojskowo służbę i naukę. Gdy Szczaniecki oświadczył rodzicom, że chce wojskowo służyć krajowi, wyczytał na ich twarzach wyryte pasowanie się. Wahali się, co mu odpowiedzieć. Zaczęły im iść łzy z oczu, wyciskane przez radość, wzbudzoną tem synowskiem przedsięwzięciem, i bojaźń, wrodzoną rodzicom o swe dzieci. Nakoniec oświadczyli mu, iż zezwalają na jego życzenia. Tego samego dnia opuścił Szczaniecki dom rodziców i pojechał natychmiast do Poznania, ażeby się zameldować Wybickiemu. Wybicki polecił go generałowi Kosińskiemu, który dał Szczanieckiemu miejsce w swoim sztabie. Musiał on wynagradzać pracą doświadczenie. Trzeba było uczyć żołnierzy na posterunkach, dzień i noc objeżdżać te posterunki i ciągle odbywać inspekcye, tak, że konie zaledwie starczyły. Co moment trzeba było siadać na koń, będąc ustawicznie alarmowanym przez niewiadomość żołnierzy, nieumiejących obchodzić się z bronią.

Szczaniecki opisuje bardzo szczegółowo, jak z każdą niemal chwilą rosły szeregi ochotnicze w 1809 r. w Wielkopolsce. Dzień 11 maja był spełnieniem radości wszystkich w Poznaniu i w okolicy, bo przybył generał dywizyi, Dąbrowski, dla objęcia naczelnego dowództwa na lewym brzegu Wisły. Dąbrowski nie przyprowadzał z sobą żołnierzy, lecz postrach na nieprzyjaciela, a ochotę dla wszystkich Polaków do brania się tem prędszego do oręża. Widoczny tego skutek ujrzeli wszyscy, gdyż nieprzyjaciel, słysząc, że Dąbrowski przybył, a sądząc, że z wojskiem, zaczął się cofać od Poznania, a obywatele, tem zachęceni, tem więcej i śpieszniej posyłali wyprawy w celu powiększenia wojska. Dąbrowski pozostał czas jakiś w Poznaniu, ażeby uformować nowy korpus; przy geniuszu twórczym idzie mu to bardzo łatwo. Przednia straż owego nieistniejącego jeszcze korpusu składała się z 400 jazdy i z jednej armatk trzyfuntowej, źle montowanej, którą z ruin jakiegoś zamku wygrzebano i opatrzono kanonierami, którzy nigdy jeszcze nie słyszeli wystrzału armatniego. Strażą przednią dowodził generał Kosiński i z ową garstką ochotniczą miał się posuwać przeciwko sile 8,000 regularnego wojska austryackiego, które się wraz z 6 armatami zbliżało, pod dowództwem generała Moor. Generał Dąbrowski, w ciągu trzech tygodni pobytu w Poznaniu, uformował korpus, zdatny do wyruszenia w pole. Austryacy mniemali, że się składa z kilkunastu tysięcy regularnego wojska, które, mając na czele tak przedsiębiorczego wodza, przyprawi nieprzyjacielowi znaczne straty.

Szczaniecki opisuje najdrobniejsze ruchy i potyczki, jakie korpusowi Dąbrowskiego odbywać wypadało. Ciekawą jednakże jest charakterystyka owych świeżych wojsk, które, dopiero co zebrane, musiały pod Dąbrowskim przyjmować chrzest bojowy. Możeby kto sądził — pisze Szczaniecki — iż to wojsko, które już mil kilkadziesiąt pędzi przed sobą bitne i liczne wojsko austryackie, musi być dobrze wyćwiczone, że się go nieprzyjaciel tak obawia. Niech się więc każdy przekona, że geniusz wojskowy jest wrodzony każdemu Polakowi, który, choć niewyćwiczony, potrafił zwyciężyć wojsko stare, którego zwycięstwa zdumiewały całą Europę. W dywizyi Dąbrowskiego mało znajduje się żołnierzy, którzyby umieli więcej, jak nabić i zabić. W tem jest cała ich taktyka i manewry, aby wpaść raptem na nieprzyjaciela, pobić go i kupy się trzymać. Lecz korzyści, odnoszone z takim żołnierzem, najwięcej przypisać należy mądremu dowódzcy, generałowi Dąbrowskiemu, który, znając geniusz narodowy, umie z niego korzystać. Jego to talent, napełniając podziwieniem przestrzeń od Alpów aż do ostatniego kopca Kalabryi, dał tylokrotne dowody, że umie w mgnieniu oka uformować armię i ją zaraz na pole zwycięstwa prowadzić. Godnym jest także wzmianki ubiór tego wojska. Oprócz dwu batalionów piechoty, jeszcze nie kompletnych, opatrzonych w broń kalibrową z bagnetami, wcale nie mamy ubranego żołnierza: prawie każdy inaczej, jeden w siermiędze, drugi w sukni, jeden na terlicy, drugi na siodle, ten z uzdeczką, tamten z munsztukiem i t. d. Strzelcy piesi, którzy największą naszą siłę składają, mają wszelkiego kalibru broń: jedni gwintowane sztucery, drudzy flinty i t. p. Cała zaś nasza kawalerya, która najwięcej dokazuje, ma za całą broń pikę, czyli proporzec z chorągiewką kolorową, którą w ataku najwięcej nieprzyjacielowi szkodzi, strasząc konie. Ta kawalerya ubiorem swoim nie jest podobna ani do ułanów, ani do kozaków. To jednak wojsko, ledwo nazwisko żołnierza odbierze, już się bije i zwycięża.

Dziennik Szczanieckiego poświęca uwagę także i kampanii z 1812 r., a raczej bitwie pod Borysowem, albowiem w niej autor Dziennika uczestniczył. Szczaniecki utrzymuje, że półczwarta tysiąca samych Polaków zaatakowała przed świtem cała armia Czyczagowa, licząca 38,000 ludzi, świeżo z Turcyi przybywających. W końcu Dąbrowski musiał ustąpić przemocy, lecz wtedy dopiero, gdy po zaciętej obronie stanowiska, tyle tylko nam ludzi pozostało, że zdołaliśmy uprowadzić chorągwie i artyleryę dywizyi, zostawiając pobojowisko okryte trupami swojemi i nieprzyjacielskiemi. W Krupkach zastaliśmy marszałka Oudina, który, przejrzawszy naszą kawaleryę, znalazł

ją w najlepszym stanie ze wszystkiej, która pozostała z wielkiej armii. Użył jej też zaraz za przednią straż, udając się natychmiast ku Borysowu. Na drugi dzień kawalerya nasza wpadła na piechotę z dywizyi Lamberta, którą rozproszywszy, zabrała do 4,000 niewolnika. D. 24 listopada widzieliśmy okropne szczątki nadchodzącej wielkiej armii. Tłumy ludzi ze wszystkich pułków, gatunków broni i wszelkich narodów, w odzieniach najdziwniejszych, bez różnicy stopnia, wszystko razem pomieszane i na wszystkich twarzach ślady nędzy, głodu i doskwierności ostrego klimatu. Najdziwniejsze widowisko przedstawiały te gromady maruderów bez broni, wlokących się wielkim traktem od Moskwy. Wszyscy piechotą, tu generał, tu żołnierz prosty, tam oficer, tam dragon, lub kirasyer, a przy nim grenadyer, woltyżer, lub filizyer, znów artylerzysta, obok niego dobosz, saper, lub innej jakiej broni żołnierz. Francuzi, Polacy, Niemcy, Włosi, Hiszpanie, wszyscy razem. A wszyscy, chroniąc się od zimna, okryci najróżnorodniejszemi i najśmieszniejszemi odzieniami. Jeden w kożuchu, lub siermiędze chłopskiej, drugi w szubie sobolowej, niedźwiedziej, lisiej, lub innej, najparadniejszej, którą się może odziewał jaki kniaź, inny znów w salopie kobiecej, spodniku, lub nawet ornacie, byle się uchronić od zimna. Jeden miał kaszkiet czy szako, a drugi kaptur lub czapkę jaką obdartą. Nogi mieli niektórzy obwinięte, w braku butów, skórami baraniemi, futrem jakiem, lub perskim szalem z kaszmiru.

Cesarz, przejeżdżając koło parku polskiej artyleryi, uderzony tem, iż konie się w tak dobrym stanie znajdowały, wezwał do siebie generała Dąbrowskiego i rzekł: znane mi jest, coś uczynił, straciłeś dużo, lecz trzymałeś się, jak przystało na walecznego. Szczaniecki żołnierzy w szeregach pod bronią nie widział więcej, nad 20,000. Kolumna zaś umierająca liczyła około 80,000. Okropne to było widowisko, widząc tylu znajomych oficerów i generałów rannych, a tych zapytując o innych, otrzymywaliśmy odpowiedź: ten zginął, ten dla ran pozostał, ten wzięty w niewolę i t. p. W dzień przejścia przez Berezynę, Szczaniecki znajdował się przy generale Dąbrowskim w chwili, gdy kula przeszywszy mu rękę i rękojeść od pałasza, zraniła go w brzuch. Uprowadził tedy Szczaniecki swego rannego generała z innym adjutantem z pobojowiska w tył, złapał chirurga francuskiego, który mu ranę opatrzył.

Resztę „Dziennika“ wypełniają wspomnienia z r. 1830 — 1831. Szczaniecki jeszcze w r. 1830 stanął w Warszawie, razem z Niegolewskim i Potworowskim, z którymi zamierzał się udać do nowego rządu, jako reprezentant Polaków z Poznańskiego. Otrzymawszy

audyencyę od dyktatora Chłopickiego, usłyszeli z jego ust następujące słowa: Mam do czynienia z jednym cesarzem i nie wiem jeszcze jak z nim zakończę. Z innymi mymi sąsiadami chcę w spokoju żyć. Względem Księstwa Poznańskiego taką zachowam politykę, jak Francya względem Belgów. Na to odrzekł Szczaniecki: Generale, Belgijczyki nie są Francuzami, a nam tej krzywdy nie wyrządzisz, abyś nas za Polaków nie uważał. Nakoniec po żwawej dyskusyi oświadczył dyktator, iż jak rząd pruski będzie żądał, każe nas wszystkich wydać, co wszystkich oburzyło i z największem rozdrażnieniem reprezentanci Księstwa Poznańskiego opuścili salę. Szczaniecki 9 grudnia miał partykularną audyencyę u dyktatora, który, lubo tym razem spokojnie mówił i wyjawił powody swego poprzedniego postępowania, jednakże żadnej mu nie zrobił nadziei, aby Poznańczykom pozwolono w Królestwie osobne formować oddziały. Szczanieckiemu jednak dano do zrozumienia, aby, pomijając dyktatora, udał się wprost w Kaliskie, i tam, pod pozorem formowania powstania, zbierał Poznańczanów.

Szczaniecki udał się do Pyzdr i tu rozpoczął dzieło organizacyi. Położenie nad samą granicą Księstwa Poznańskiego było powodem, iż, pomimo straży pruskiej, codziennie więcej przechodziło landwerzystów na polską stronę, z czego można było nietylko jazdę, ale i piechotę formować. Szczaniecki rozpoczął też swoją korespondencyę, aby przyciągnąć młodzież poznańską i zebrać fundusze na organizacyę, do której sposobność najlepsza się okazywała. Po wyjeździe Szczanieckiego z Warszawy, Działyński wciąż szturmował do dyktatora, aby Poznańczanom pozwolono formować wojska. Wskutek tego pozwolił dyktator zbierać dodatkowo szwadron do pułku 2-go strzelców. Lecz fundatorom tej formacyi zdawało się, że organizacya Szczanieckiego nad granicą będzie na przeszkodzie. Wyprawili więc do niego z Warszawy doktora Marcinkowskiego, który mu oświadczył, że ma z rozporządzenia dyktatora przybyć do Warszawy i tam zająć się organizowaniem Poznańczanów. Stanąwszy w Warszawie, Szczaniecki przekonał się, iż dozwolenie dyktatora dla Poznańczanów nie było wyraźne, wystawione było tylko na imię Działyńskiego, który, obrawszy sobie oficera, rozpoczął organizacyę szwadronu dodatkowego do 2-go pułku strzelców.

Od generała Małachowskiego, regimentarza na lewym brzegu Wisły, odebrał Szczaniecki rozkaz, aby się udał do województwa kaliskiego, dla formowania pułków z dostawionych jeźdźców z dymów. Głównie Piotrków przeznaczono na miejsce działalności Szczanieckie-

go. Obywatele, którzy już wszystko najlepsze dali dla pułku ochotników, nie mieli już dosyć materyału na dokładne oporządzenie jeźdźca, i dla tego zawsze coś brakowało u dostawionego. W każdym razie, Kaliskie wystawiło trzy pułki: Dłuskiego, Szczanieckiego i Grodzickiego. Nasamprzód Szczaniecki znajdował się pod komendą generała Stryińskiego. Oto co pisze o swoim przełożonym: „Będąc naocznym świadkiem, jako podkomendny generała Stryińskiego, przekonałem się, że nigdy nie zdołał wiedzieć o poruszeniach wojsk na kilka mil przed sobą. Z mojej strony, posyłając patrole i ludzi na zwiady, dowiedziałem się, że walczy przed nami wojsko nasze. Nie mogąc jednak powziąć wiadomości dokładnej, proponowałem generałowi Stryińskiemu, aby mi pozwolił zrobić rekonesans naprzód z dwoma szwadronami, lecz z niechęcią odrzucił tę propozycyę. A przecież, jakie stąd mogły wyniknąć wypadki. Bylibyśmy się dowiedzieli, że przed nami się bije generał Dwernicki pod Stoczkiem, a łącząc się z nim, bylibyśmy owemu skrzydłu zagrozili. Na wszystkie zeznania ludzi, których generałowi sprowadzałem, a którzy przybywali do Stoczka, zdawał się być obojętnym, a przecież mimo to lękał się napaści i co noc niepotrzebnie męczył całą brygadę".

Wkrótce Szczaniecki dostał się pod komendę generała Rolanda, później pod komendę generała Chłapowskiego. D. 19 lutego (1831) brygada, do której należał pułk Szczanieckiego, była jakby bez komendanta. Co chwila kto inny rozkazy przysyłał, to generał Jagmin, to Skarżyński. Ten żądał szwadronu, ten dywizyonu, ten znowu kazał naprzód iść, ten się cofać. D. 24 lutego dostał się Szczaniecki pod komendę generała Umińskiego, jako forpocztowego komendanta. Na wszystkie strony musiał rozsyłać szwadrony na straże, tak, że często zaledwie jeden przy nim pozostał. Wkrótce po bitwie pod Grochowem, gdzie pułk Szczanieckiego niewielki przyjmował udział, dostał się on znowu pod komendę generała Chłapowskiego, a potem pod komendę generała Bukowskiego. Generał Bukowski, jako dowódzca brygady, miał się zająć zaprowadzeniem nowej musztry w pułku Szczanieckiego. Lecz te kilka dni, które na to użyto, strwoniono marnie na uczenie oficerów, jak mają salutować i jak mają defilować przed generałem. Z tego widać jasno, jakich mieliśmy generałów, którzy na Saskim Placu zapomnieli, co jest istotnego dla żołnierza w wojnie. Służąc jakiś czas pod generałem Jankowskim, dostał się nareszcie pod komendę generała Sierawskiego, który miał sobie powierzony osobny korpus, z obowiązkiem strzeżenia Wisły aż do granicy galicyjskiej. Był to sobie dobry i gorliwy Polak, lecz zanadto stary i słaby na generała. Wiele obiecywano sobie po nim i wielu do

końca w jego obronie stawało, a chcąc pokryć jego błędy, zwalali na innych winę. To wszystko, co mówiono o jego mocy charakteru i wytrwałości w stawianiu się śmiałem, najmniej się potwierdziło w czynach wojennych, gdzie słabość, niepewność i niewiadomość okazywały się w każdem działaniu. Szczaniecki utrzymuje, że był świadkiem, iż w bitwie pod Borysowem Sierawski pierwszy opuścił pułk piechoty, który się trzymał do końca pod dowództwem walecznego Małachowskiego. Już ten fakt powinien był ostrzegać, iż nie należy się wiele po Sierawskim spodziewać.

Za niefortunne potyczki pod Wronowem, a później pod Kazimierzem, krytykuje Szczaniecki Sierawskiego. Broni jednak jazdy Kaliskiej, która pomówioną była o to, że pod Wronowem nie spełniła należycie swej rycerskiej powinności. Szczaniecki twierdzi, że to szwadron Madalińskiego, z Krakusów księcia Poniatowskiego, przyłączony do pułku sandomierskiego pułkownika Łagowskiego, bez rozkazu oddalił się aż pod Piotrków. Tam zatrzymany, dopiero w kilka tygodni był zwrócony do korpusu. Madaliński miał być oddany pod sąd wojenny, lecz, jak zwykle u nas bywa, w zapomnienie puszczono podobny przykład niesubordynacyi umyślnie, gdyż ta rzecz byłaby wyjaśniła postępowanie i błędy korpusów i brygady komendantów. Najwinniejszym w tym wypadku był pułkownik Łagowski, który, będąc komendantem pułku sandomierskiego, aby pułk ten wynieść w opinii, usuwał wszystko, co mu szkodzić mogło, i winę zwalał na drugi pułk. Za owe niefortunne potyczki odwołano generała Sierawskiego, ale, zamiast go oddać pod sąd wojenny, dano mu inną komendę, bo sądzono, że dosyć mieć dobre chęci, a zdolności są niepotrzebne. Takich generałów bez liczby mnożył wódz naczelny. Zdaje się nawet, iż generał Skrzynecki miał tę słabość, iż nie chciał mieć generałów zdolnych, aby go nie zaćmili. Na miejsce Sierawskiego przysłany Dziekoński, generał z Saskiego Placu, bojaźliwy i nieposiadający zaufania publicznego. Dziekońskiego brygada przeszła po jego usunięciu, pod komendę generała Ramorino i pod tym niefortunnym oficerem wypadło Szczanieckiemu odbywać do końca kampanię 1831 roku.

Szczaniecki spisywał w swym „Dzienniku“ przeważnie to, co widział i co zdołał gruntownie sprawdzić. Ten przymiot ważny zwłaszcza u niższego oficera, nadaje jego wspomnieniom pewną doniosłość. Przedewszystkiem to, co Szczaniecki napisał o ruchu wielkopolskim w r. 1809 i o talencie organizacyjnym Dąbrowskiego, pozostanie charakterystycznem i cennem dla dziejopisarza. Jedynie

Pamiętniki generała Wybranowskiego zawierają taką masę szczegółów, odnoszących się do ruchu powstańczego w Galicyi w r. 1809. W opisie bitwy pod Borysowem dopuścił się jednak Szczaniecki poważnych pomyłek. Nie armia Czyczagowa, licząca 38,000 ludzi, walczyła pod Borysowem przeciw dywizyi Dąbrowskiego, liczącej około 3,500 żołnierzy, ale oddział generała Lamberta, liczący od 8 do 10 tysięcy z przeważającą artyleryą. Generał Lambert padł w bitwie powyższej, a generał Engelhardt został śmiertelnie ranionym. Wszyscy historycy, zarówno francuscy, jak i niemieccy, zaświadczają zgodnie, że dywizya Dąbrowskiego spełniła pod Borysowem należycie swój rycerski obowiązek, opierając się przez dzień cały trzykroć liczniejszemu nieprzyjacielowi, posiadającemu liczniejszą artyleryę, oraz znajdującemu się w daleko korzystniejszej pozycyi. Niepotrzebnie więc Szczaniecki mnożył liczbę nieprzyjaciół przez dziesięć i dopuszczał się przesady, której na usprawiedliwienie poniesionej porażki, dywizya Dąbrowskiego zupełnie nie potrzebowała.

Wspomnienia Szczanieckiego z r. 1830 — 1831, nie są także bez wartości. Zwłaszcza tam, gdzie autor „Dziennika“, wierny założeniu, opisuje fakta, w których brał udział i na które patrzył własnemi oczyma, może historyk wojskowości, a nawet historyk polityczny, odnieść jakąśkolwiek korzyść i znaleźć niejeden ciekawy a charakterystyczny szczegół. Odnosi się to przedewszystkiem do wyprawy z generałem Sierawskim, zakończonej niefortunnemi potyczkami pod Wronowem i Kazimierzem. Razi jednak czytelnika nadmierny i przesiąknięty goryczą, krytycyzm względem generalitetu polskiego, jaki znajdujemy w części „Dziennika“, odnoszącej się do roku 1831. Nietylko że Szczaniecki używa na określenie generałów polskich, niewłaściwych i lekceważących wyrażeń, ale, względem niektórych, dopuszcza się niesprawiedliwości. Generał Sierawski mógł nie posiadać zdolności strategicznych, i wina z powodu przegranej potyczki mogła niewątpliwie spadać w przeważnej części na jego barki, ale przypisywanie mu braku odwagi nie ma żadnej słusznej podstawy i powoływanie się na własne świadectwo, że Sierawski opuścił stanowisko pod Borysowem, nie będzie mogło być przyjęte za dowód. Sierawski w memoryale Dąbrowskiego, złożonym na ręce króla Murata, dla Napoleona, ma wystawione zbyt chlubne świadectwo, jako nieustraszonego męztwa oficer, aby je jakikolwiek pamiętnikarz mógł zachwiać. Dąbrowski świadczy też niedwuznacznie o zachowaniu się Sierawskiego pod Borysowem, i jeżeli Sierawski ustąpił ze stanowiska, to tylko jako ranny, i inaczej sobie owej okoliczności przedstawiać nie należy. Porażki, ponoszone pod Wronowem i Kazimierzem, spowodo-

wał Sierawski zbytnią ufnością w nieustraszone męztwo i doświadczenie młodego żołnierza. Męstwo znalazł istotnie w nowozaciężnych szeregach, ale doświadczenia nie było, i o braki powyższe rozbiły się wszelkie bohaterskie wysilenia.

Wogóle „Dziennik“ pułkownika Szczanieckiego świadczy dobrze o jego autorze. Przeziera z niego człowiek-obywatel zacny, gorąco przywiązany do swego kraju i pragnący mu służyć z zaparciem samego siebie. Szczególnego wykształcenia zawodowego, militarnego w Szczanieckim nie spotykamy. Mógł on, naturalnie, na czele pułku okazywać wiele przezorności i ostrożności, połączonej z duchem inicyatywy w nadzwyczajnych okolicznościach, ale kampania 1831 r. nie dała mu sposobności do uwydatnienia swych zdolności militarnych jakimś świetnym, wojskowym czynem. Dlategoto i jego hyperkrytyka generałów, pod któremi służył, naturalnie, krytyka *ex post* nie zawsze przekonywa i nie zawsze budzi silną wiarę w jego przenikliwość i uzdolnienie. W każdym razie „Dziennik“ pułkownika Szczanieckiego nie pozostanie bez wartości dla historyka owej epoki.

A. R.

ZORN: Die deutsche Staatssprache. Zwei Abhandlungen Berlin 1903.

Ani konstytucya cesarstwa niemieckiego, ani konstytucya królestwa pruskiego, nie zawierają żadnego przepisu, stosującego się do mowy państwowej. Również literatura niemiecka, poświęcona prawu państwowemu, prawie że wymija powyższy przedmiot. Tymczasem ostatniemi czasy był on powodem do namiętnych dyskusyi parlamentarnych. D-r Zorn, prof. uniwersytetu w Berlinie zdecydował się zatem poświęcić mu gruntowniejszą uwagę. Zdaniem powyższego uczonego, sam fakt, że poddani jednego państwa, posługują się różnemi mowami, jest dla wykonywania władzy państwowej objawem zupełnie nie pomyślnym. Z konieczności nieodzownej płynie potrzeba jednolitej mowy państwowej, nie tylko w zasadzie, ale i w zakresie pojedyńczych funkcyi państwowych. W dziedzinie wojskowości, konieczność jednej mowy państwowej nie dopuszcza nawet żadnego wyjątku; w dziedzinie zaś sądowniczej i starań o dobrobyt całego ludu, starano się i bez tego o należyte gwarancye rozwoju dla wszystkich posługujących się oną mową. W każdym razie przykład

Szwajcaryi, gdzie równouprawniono w życiu publicznem wszystkie trzy języki t. j. niemiecki, francuski i włoski, nie może dla Niemiec być decydującym. To, co się okazało znośnem dla małego państewka, jest zupełnie nieodpowiedniem dla pierwszorzędnego mocarstwa i mogłoby doprowadzić w Niemczech do przewlekania spraw publicznych, a w końcu, do anarchicznych stosunków.

Prawo państwowe niemieckie zawiera jeden charakterystyczny przepis, a mianowicie, że ci członkowie parlamentu, którzy nie zupełnie władają mową niemiecką, mogą głosy swoje odczytać, naturalnie—w języku niemieckim. Do konstytucyi pruskiej nie przecisnął się również najmniejszy szczątek dawnych umów czy przyrzeczeń, któreby powyższą konstytucyę w jakikolwiek sposób, co do użycia mowy państwowej ograniczały. Żadne patenta, czy proklamacye z dawniejszych czasów, nie mają dla konstytucyi pruskiej najmniejszego znaczenia pod względem prawnym, albowiem właśnie na ich miejscu taż konstytucya stała się głównem źródłem praw dla pruskiego ludu. Milczenie obu konstytucyi, zarówno niemieckiej jak i pruskiej w sprawie mowy państwowej, wytłomaczyć można jedynie tem przypuszczeniem, że zarówno w państwie pruskiem, jak i niemieckiem, jedną i wyłączną mową państwową jest mowa niemiecka. Powyższa zasada, była do tego stopnia, sama przez się zrozumiałą, że uważano za zbyteczne zajmować się nią w obu ustawach konstytucyjnych. Prócz tego w tymże duchu odzywa się specyalne prawo pruskie z 1876 r., przepisując, że niemiecka mowa jest wyłączną, w której załatwiają się sprawy wszystkich władz, urzędów i politycznych korporacyi. Piśmienne porozumienie się z niemi ma miejsce tylko w języku niemieckim. Podobne specyalne przepisy prawne istnieją również w cesarstwie niemieckiem.

W myśl więc powyższych przepisów, całe życie państwowe niemieckie, powinno się odtwarzać w mowie niemieckiej. Parlamentarne dyskusye winny być tak samo niemieckie, sądownictwo również, a nakoniec administracya, włącznie z oświatą publiczną, winny być podobnie niemieckie. Dodać wreszcie należy, że wszelkie urzędy gminne muszą się posługiwać jedynie mową niemiecką, a więc, w obrębie całego niemieckiego cesarstwa nie ma ani jednego urzędnika, któryby używał innej mowy, jak niemieckiej. Natomiast życie prywatne pozostawia państwo indywidualnej swobodzie, nie troszcząc się wcale o to, jakiej mowy używa jednostka w domowym, prywatnym zakresie. Ale też za to, wszystko, co tylko wchodzi w zakres publicznego życia, ulega panowaniu mowy niemieckiej. Wszystkie nazwy miast, czy miejscowości, winny być pisane po niemiecku, każdy

komunikat urzędowy, ustny czy piśmienny, winien być w języku niemieckim sformowany, wszelkie też wezwania władz, czy nadzór nad publicznemi zgromadzeniami, powinien odbywać się za pośrednictwem mowy niemieckiej.

Co się tycze ostatniego wypadku t. j. nadzoru policyjnego nad zebraniami publicznemi, to najwyższy sąd administracyjny pruski decyzyą z d. 26 września 1876 r., przyszedł do odmiennego poglądu od władz administracyjnych i od ministra spraw wewnętrznych. Sprzeczność powyższa ujawniła się powtórnie w decyzyi powyższego sądu z r. 1897, który przyznawał wprawdzie, że wyłącznym urzędowym językiem wszystkich władz jest język niemiecki, ale tego języka używać jest tylko ten obowiązany, kto pozostaje w urzędowym stosunku z władzami i potrzebuje ich pomocy, czy współdziałania. Przez nadzorowanie jednak zgromadzeń, czy zebrań publicznych, policya nie wchodzi w żaden stosunek urzędowy z zebranymi, a więc i przepisy o mowie niemieckiej nie mają w tym wypadku zastosowania. Powyższy pogląd uważa Zorn za nieuzasadniony w zupełności. Policya bowiem w interesie całego państwa ma obowiązek czuwać nad publicznemi zgromadzeniami. Chociaż prawo o zgromadzeniach mówi jedynie o upoważnieniu policyi (befugt) do nadzorowania, nikt jednak nie wątpi, że owo upoważnienie jest pełnym obowiązkiem. Policya winna się troszczyć o to, ażeby na publicznych zgromadzeniach nie stało się nic takiego, coby porządkowi, spokojowi i bezpieczeństwu państwa zagrozić mogło w jakikolwiek sposób. Obowiązkom tym może zadość uczynić dopiero wtedy, jeżeli rozumie rozprawy, które się toczą. Urzędnik niemiecki w Stargardzie np. nie jest obowiązany rozumieć inny język niż niemiecki i każde zgromadzenie publiczne jest poddane niemieckiemu, czy pruskiemu prawu, oraz takiemu samemu nadzorowi.

Ażeby nadzór był umożliwionym policyi, trzeba przedewszystkiem, ażeby rozprawy toczyły się w języku zrozumiałym dla urzędników i który jedynie znać są obowiązani. Taka też niewątpliwie była i wola prawodawcza, a największem ustępstwem mogłoby być to, że zgromadzenie używające obcej mowy, oddałoby na usługi policyjnego urzędu, przysięgłego tłomacza, któryby każdy ustęp rozpraw tłomaczył na niemiecki. W każdym razie jednak zasada główna musi tu stać niewzruszenie, że zgromadzenia publiczne wtedy tylko są dozwolone, jeżeli dają wszelką gwarancyę porządkowi państwowemu. Prawno-państwową odpowiedzialność za utrzymanie porządku, ponosi w każdym razie policya. Nie jest to jej rzeczą bynajmniej wybieranie urzędników, rozumiejących obcą mowę na zgromadzeniach

publicznych. Obowiązującym i zmuszającym przepisem (*jus cogens*) prawa jest bowiem, że wszystkie władze i urzędy mają się wyłącznie mową niemiecką posługiwać. W prawie cywilnem i procedurze cywilnej istnieją specyalne przepisy, które w wymienionych wypadkach zezwalają na używanie obcej mowy. Pa za owemi wypadkami jednak, które Zorn skrzętnie wylicza, zawsze i wszędzie w obrębie życia publicznego w cesarstwie niemieckiem obowiązuje niemiecka mowa. W wyjątkowych razach, jeżeli niemiecki urzędnik znajomością, i użyciem mowy obcej może nadać lepszy obrót sprawom urzędowym, powinien to uczynić, ale to niedaje nikomu prawa do wchodzenia w stosunek z władzami niemieckiemi za pośrednictwem obcej mowy.

Następnie prof. Zorn, zastanawia się nad obowiązkiem i to w znaczeniu ściśle prawnem władz pocztowych niemieckich. Naturalnie, że chodzi tu wyłącznie o obowiązek urzędowy władz niemieckich, wśród niemieckiego terytoryum państwowego i względem niemieckich poddanych. Uczciwy prawnik, zdaniem Zorna nie może przyjść do tego przekonania, że w obrębie niemieckiego prawa istnieje narodowość polska. Ludność mówiąca po polsku, w małym skrawku państwa niemieckiego, może ze stanowiska historycznego, etnograficznego, politycznego, mówić o swojej narodowości, lecz pod względem prawnym nie istnieje ona zupełnie. Polski lud jest tylko ilościowym odłamkiem państwowego ludu niemieckiego, na zasadzie prawa z 1870 r. takim samym, jak ludy Fryzów, Sasów, Bawarów i Szwabów. Ani przy akcie wcielenia do Prus, ani podczas przyjęcia do państwa niemieckiego, nie uczyniono Polakom, jako narodowości, żadnych ustępstw. Mowa, którą książe Radziwiłł wygłosił d. 16 lutego 1901 r. w niemieckim parlamencie, polegała na przypuszczeniu, że istnieje polski lud państwowy i polski sejm. W niemieckiej jednak reprezentacyi państwowej i w niemieckim parlamencie, mowa powyższa niema najmniejszego prawnego uzasadnienia.

Powracając do kwestyi obowiązków niemieckich władz pocztowych, Zorn zastrzega najwyraźniej, iż będzie się zastanawiał wyłącznie nad obowiązkami administracyjno-prawnemi. Niemiecka bowiem poczta państwowa nie prowadzi interesów w znaczeniu prawno-prywatnem, ale na zasadzie prawa z r. 1878 jest odrębną gałęzią administracyi państwowej, na której czele stoi odrębny, odpowiedzialny minister. Z tego właśnie powodu, że zarząd pocztowy jest zarządem państwowym, a instytucya poczty, instytucyą czysto państwową, wypływa i ta konsekwencya, że żadna czynność władz pocztowych nie może być uważana, jako prawno-prywatna umowa ja-

kiegokolwiekbądź rodzaju. Poczta musi się wyłącznie kierować temi przepisami, któremi państwo scharakteryzowało i ujęło w ścisły porządek jej funkcyonowanie. Otóż zarząd pocztowy w obrębie państwa niemieckiego, nie zna żadnych wyjątkowych przepisów na korzyść obcej mowy, a więc dla wszystkich władz pocztowych jest obowiązująca jedynie mowa niemiecka. Tem samem, wszelkie adresa listów, plakatów i przesyłek winny być czynione w języku niemieckim, a w obcej mowie pisane, winny być uważane za nie byłe. W dziedzinie administracyi bowiem, zarówno jak i we wszystkich innych, urzędnicy są obowiązani do znania i posługiwania się jedynie mową niemiecką. O ileby zarząd pocztowy chciał się oddalić od powyższej podstawy na rzecz ustępstw względem obcych języków, to jest rzeczą polityki a nie prawa. Może nawet istnieją względy przemawiające na korzyść owych ustępstw, ale w każdym razie trzeba zważyć, iż przedewszystkiem w zarządzie pocztowym, gdzie wszystko na dokładności i pośpiechu zależy, obce mowy wpłynąć mogą na przedłużenie, opóźnienie i zamieszanie w funkcyonowaniu poczty. Ostatecznie więc wszelkie adresy polskie uważać należy ze stanowiska administracyjno-prawnego za niebyłe, jeżeli polskie wskazanie miejscowości odbiega od niemieckiego.

Należy się również zastanowić nad kwestyą czy istnieją jakie wyjątkowe przepisy odnoszące się do obcej mowy w zakresie szkolnictwa, a przedewszystkiem co do udzielania nauki religii? W Prusach wszystkie szkoły publiczne są instytucyami państwowemi, bez względu na to czy stoją pod bezpośrednim zarządem państwowym, czy pod kierunkiem korporacyi samorządnych, lub komunalnych. Język wykładowy we wszystkich szkołach jest wyłącznie niemiecki a nauczyciele są urzędnikami, służba nauczycielska nawet w szkołach ludowych jest służbą publiczną, a więc pośrednio państwową. Wszelkie odstępstwa od tej kardynalnej zasady na rzecz obcej mowy, potrzebują specyalnego tytułu prawnego, a i ów tytuł prawny nosi wiekuiście charakter przekaryjny, czyli jest ustępstwem odwołalnem w każdej chwili... Wykład nauki religii, nie pozostaje pod żadnemi szczególnemi przepisami prawnemi. Jako obowiązujący przedmiot wykładu w szkołach pruskich, nauka religii nie różni się zupełnie od innych przedmiotów, jak np. pisania, czytania i rachowania, a wszystkie powyższe przedmioty, wykładane są po niemiecku. Tym, którzy się powołują na art. 24 ustawy konstytucyjnej, przepisujący, że w szkołach ludowych wykład religii pozostaje pod kierunkiem stowarzyszeń religijnych, odpowiada Zorn, że jakkolwiek wyrażenie powyższe konstytucyi nie odznacza się jasnością, nie ma jednak z językiem wykłado-

wym nic do czynienia. Kierownictwo pozostawione stowarzyszeniom religijnym, odnosi się jedynie do treści religijnych wykładów. Wprawdzie, w zasadzie, co, jako treść, podanem być ma w wykładzie religii, jakie środki pedagogiczne winny być w użyciu, jakie gwarancye od nauczycieli winny być żądane i jaki czas nauce religii poświęcony rozstrzyga formalnie państwo, za pośrednictwem swych władz szkolnych, przy współdziałaniu kościoła. Całe jednak szkolnictwo pruskie poddanem jest bez wyjątku mowie niemieckiej. Kto zna potężny wpływ czynników religijnych na życie ludu, ten musi przyznać, że istnieje ścisły związek między religią, a mową ojczystą. Ale jakiemikolwiek będą wątpliwości sumienia, nic one nie pomogą przeciwko zasadom prawa, zwłaszcza, że pod tym względem polacy zawinili dużo, nie tylko względem niemców, ale i względem niemieckich katolików.

W drugiej części swej pracy, prof. Zorn, powołując się na Madeyskiego, austryackiego pisarza(?), zastanawia się nad pytaniem, czy Prusy i państwo niemieckie, jest właściwie państwem niemieckiem? Inny austryacki pisarz Herrnritt podzielił państwa pod względem praw narodowościowych na dwa typy. Do pierwszego zalicza on te wszystkie państwa, które są narodowościowo jednolitemi, a drugi typ stanowić mają państwa o rozmaitych narodowościach. Pierwszego typu państwa, pozbawione są instytucyi prawnej narodowości, uwzględniającej przedewszystkiem mowę ojczystą. Państwo wydaje się w tym wypadku każdemu, jako politycznie zorganizowany naród, i każde kulturalne rozporządzenie państwowe, zdaje się rozwijać bezpośrednie narodowe życie. Do państw narodowościowo-jednolitych zaliczył Herrnritt jedynie: 1) Wielką Brytanię, 2) Francyę, 3) Włochy, 4) Hiszpanię, i to Brytanię mimo 2,200,000 Celtów i Francyę, mimo 1,200,000 Bretonów i Basków, a to dla tego, że owe etniczne szczątki ludności nie domagają się dla swoich gwar czy narzeczy żadnego szczególnego uwzględnienia.

Herrnritt ośmielił się wygłosić jeszcze inny pogląd, który dotkliwiej Zorna obraził; oświadczył on bowiem najwyraźniej, że państwo niemieckie należy do państw drugiego typu, o narodowościach mieszanych. Wprawdzie dla Niemiec stworzył Herrnritt kategoryę oddzielną, która powinna była cokolwiek uśmierzyć niezadowolenie Zorna, a mianowicie, oświadczył on, że państwo niemieckie opiera się na jednej głównej narodowości (Hauptnation), a Austrya opiera się na wielu narodowościach i jest typem skończonym w powyższym kierunku, wyszydzanym, jako nowy Babylon, czy też, jako wielojęzyczne monstrum i jakkolwiek Herrnritt przytoczył wiele okoli-

czności łagodzących, nie potrafił w żaden sposób zadowolnić Zorna, albowiem ostatecznie przyszedł do wniosku, że Prusy skutkiem wcielenia cząstek Królestwa Polskiego i Duńskiego należy zaliczyć do typu państw narodowościowo mieszanych. Zorn oświadcza też, że wobec rozumowania Herrnritta trudno jest niemcowi zachować krew zimną i zachowując zresztą w ogólności uznanie dla jego wywodów naukowych, występuje z twierdzeniem, niczem zresztą nieuzasadnionem, że klasyfikacya państw, z jaką Herrnritt wystąpił, jest zupełnie fałszywą.

Istnieje jeszcze druga rozprawa, z którą Zorn gorąco polemizuje. Autorem jej jest Paaltzow, a tytuł jej „Zur Polenfrage“ (Berlin 1902). Polemika obraca się tu w zaczarowanem kole interpretowania pojedyńczych przepisów i niejasnych wyrazów, czyniąc wrażenie rabulistycznego swaru pokątnych doradców. W niedalekiej przyszłości, zdając sprawę z pracy Paaltzowa, zajmę się i ową polemiką, obecnie zaś powrócę do zasad rozwijanych przez Zorna i im kilka uwag poświęcę. Że po utworzeniu cesarstwa niemieckiego, zniknęło z prawodawstwa pruskiego wszelkie uprawnienie narodowości, to nie ulega żadnej wątpliwości. Wszelkie tytuły prawne, przyznające językom obcym, a przedewszystkiem polskiemu, jakikolwiek udział w życiu publicznem, starannie i stopniowo zostały usunięte. Nie upoważnia to jednak prof. Zorna do twierdzenia, że od czasów wcielenia Królestwa Polskiego do Prus, tytuły prawne na korzyść narodowości polskiej, nie istniały zupełnie. Jeżeli prawo pruskie, dziś obowiązujące nie wie, co to jest narodowość polska, to inaczej się rzecz ma z historyą prawa państwowego pruskiego. Nie tylko kongres wiedeński zobowiązał monarchów pruskich do nadania w księstwie Poznańskiem, instytucyi reprezentacyjnych, któreby rozwojowi ducha narodowego odpowiadały, ale stan rzeczywisty w księstwie Poznańskiem od 1815 — 1831 odpowiadał powyższym warukom. Przecież istniały sejmy prowincyonalne, a mowie niemieckiej, wyznaczono podrzędne i pomocnicze w Poznańskiem stanowisko. Jakikolwiek jednak rezultat rząd pruski osiągnął w ostatnich latach i jakkolwiek prawodawstwo pruskie ostatniej chwili usunęło starannie wszelkie ślady uwzględnienia praw narodowości polskiej, to nieulega żadnej wątpliwości, że ludność polska weszła w skład monarchii pruskiej, nie jako szczątkowa resztka szczepu, czy plemienia, ale jako odłam historycznej narodowości, uposażonej odpowiedniemi instytucyami, podtrzymującemi i rozwijającemi narodowego ducha. Cokolwiekbądź mógłby przeciwko temu oświadczyć wykrętny prawnik cywilista, fakta niezaprzeczone

świadczyć będą, że choć konstytucya pruska, a następnie niemiecka przemilczała o jakiemkolwiekbądź uprawnieniu polskiej narodowości, uprawnienie powyższe istniało w specyalnych przepisach administracyjnych i powoli, oraz stopniowo usuwanem było. Przecież masowe przemienianie nazw polskich różnych miejscowości, adresy polskie na listach i wykład religii w języku niemieckim, to są wszystko wynalazki ostatnich dziesiątków lat, które nie ustają i przybierają coraz większą, napastniczą względem ludności polskiej postać.

Interpretacya, jaką Zorn zastosował względem konstytucyi pruskiej, jest tak wykrętną i przeciwną duchowi prawa państwowego, że gdyby ją przyjęto za uzasadnioną, odjęłaby powyższej konstytucyi wszelką wartość i uczyniłaby ją ciemiężycielką swobód indywidualnych.

A. R.

JULIA TERPIŁOWSKA: Przystań, powieść współczesna. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolfa. Kraków, Gebethner i S-ka. 1903. 8-o, str. 313.

Różni autorowie różnych używali sposobów, by dowieść, że nie suknia człowieka, ale i t. d., że nierówności kastowe i pieniężne między ludźmi są ohydą cywilizacyi, że życie i praca na łonie natury są najwyższem szczęściem i przeznaczeniem człowieka i t. p. Droga, którą obrała p. Terpiłowska ku odkryciu tych, oddawna już uznanych prawd, nie jest geometrycznie prosta. Owszem chodzimy tu okólnemi ścieżkami. Oto, jak się przedstawia rzecz z punktu widzenia autorki „Przystani".

Kochające się rodzeństwo, Jur i Malwa Kalinieccy, wychowywało się w dobrobycie z łaski możnej opiekunki: miało najlepszych nauczycieli; było i w Paryżu, poznało życie salonów i bulwarów, Jur nawet opalił sobie skrzydła w blasku jakiejś gwiazdy wielkiego świata, czy półświatka. Ale opiekunka umarła, a wtedy brat i siostra pozostali prawie bez środków do życia; przytem w Jurze w skutek zawodów życiowych, zaczęła się rozwijać silna neurastenia Młody, postępowy lekarz radził zamieszkać na wsi, zdala od zgiełku wielkiego. Urządzono więc sobie sielankę, jakby w myśl recepty nieśmiertelnego twórcy „Emila": Malwa kupiła niewielką kolonię

z porządną, lecz chłopską zagrodą, przybrała siebie i brata w stroje ludowe, i wzięli się oboje do własnoręcznej uprawy roli. W całej okolicy nikt prawie nie wie o ich pochodzeniu, przez długi więc czas udaje się ta maskarada, której celem jest udowodnienie potrzeby nowego typu własności ziemskiej, kilkudziesięciu-, stumorgowej kolonii, urządzonej z niemiecką praktycznością, a z zachowaniem tradycyi staropolskich. Jest to przedmiot, nadający się wybornie do artykułu społecznego lub nawet studyum z dziedziny ekonomii i statystyki; u p. Teripłowskiej przybrał się on — znowu maskarada! — w barwną szatę akcyi powieściowej.

Nazywamy tę szatę barwną w znaczeniu ogólnem, nie zaś w zastosowaniu do „Przystani“ i p. Terpiłowskiej. Niema bowiem tu nic takiego, coby celowało oryginalnością pomysłu lub czarowało wyobraźnię i serce czytelnika. Wszystko to zmierza ku temu, by postawić przed ołtarzem dwie dobrane duchem i sercem, lecz nie majątkiem i t. zw. stanowiskiem społecznem — pary.

W pobliżu Zielonej Zagrody (tak się zwała posiadłość Kalinieckich) leży wielki majątek hrabiego Wielołęckiego, a dalej jeszcze Nabrzeżany, własność rodowa Nabrzeskich. Zygmunt Nadbrzeski i Mewa Wielołęcka kochają się oddawna i są zaręczeni. Przypadek zbliżył ich do Kalinieckich, i tu zaczyna się intryga, której koniec z góry da się przewidzieć: poważnie myślący Zygmunt zaczyna postrzegać w swej pięknej narzeconej różne wady i drobne grzeszki, jak płochość, zbytnie zamiłowanie do zabaw, flirtu, wreszcie przychodzi do przekonania, że Mewa nie da szczęścia i zwraca jej pierścionek. Natomiast Malwa wyrasta w jego oczach na wcielenie wszelkich cnót i zalet, niezbędnych na towarzyszkę dozgonną żywota. Wreszcie, wszystkie trudności i przeciwieństwa kastowo-społeczno majątkowe zostały przezwyciężone, i oto mamy jedną parę.

Druga — to Jur i skromna, dobra, pobożna panienka, imieniem Klara, siostrzenica poczciwego i rozumnego proboszcza (wszyscy proboszcze we wszystkich naszych powieściach „wiejskich“ są jednakowo zacni i rozumni). Tu znaczna zachodzi przeszkoda innego rodzaju: Jur jest niedowiarkiem, a Klara powiedziała sobie, że nie wyjdzie za człowieka innych przekonań. Czekają więc oboje cudu Szawłowego, który się też szczęśliwie dokonywa: Jur z Klarą na łódce podczas burzy zostają wybawieni z groźnego niebezpieczeństwa, a pod wrażeniem tego wypadku odrodziła się istota duchowa młodzieńca.

Rzecz dziwna! tak rozsądna, jak Klara, kobieta wolała bardziej zawierzyć chwilowemu wrażeniu, które może być przelotne, niż wpływowi swej wiary i miłości, którą łatwo mogłaby pozyskać, gdyby bez wszelkich zastrzeżeń, pozbawionych prawdy i logiki życiowej, wyszła

za Jura i ostrożnie, łagodnie, jak piastunka dziecko, prowadziła jego chorą duszę ku swoim ideałom. Wogóle, postać Klary zdaje się nam sztywną, chłodną, wprost papierową i, mimo wszelkich usiłowań autorki, wprost niesympatyczną.

Wszystkie zresztą postacie dodatnie powieści grzeszą tekturowością i śmiało mogą być zaliczone do „literatury" w tem szczególnem, najnowszem znaczeniu tego wyrazu: nie tylko więc proboszcz i Klara, ale i Jur, cudownie nawrócony, i dzielna a zacna Malwa, i para staruszków, dziadek i babka Zygmunta, uosobienie cnót staropolskich i pojęć najwznioślejszych, a wreszcie i sam Zygmunt—to nie żywi ludzie, lecz manekiny, do wypowiadania poglądów autorki. A te ich rozmowy, jakże ciężkie i nudne, jakby na kongresie uczonym toczące się rozprawy: o wierze i wiedzy, o angielskich domach wychowawczych, zw. „nursery", o średniej własności ziemskiej, o nierówności stanów i t. d. Nawet Jur z Malwą w wolnych chwilach, między orką a nawożeniem, takie np. prowadzą rozprawy:

— Niby drogą bezwiednej cerebracyi? — odparł Jur żartobliwie. — Twój (!) system mogłabyś nazwać przeciwstawieniem prymitywizmu przecywilizowaniu w sferze ideologii.

— Nie trzeba tego nazywać! — zaprotestowała żywo. — Nie trzeba sztucznie układać systemów z tego, co nie jest przez człowieka mozolnie w mózgu ukutem, tylko przez Boga popędowo w duszę wlanem!

Postacie ujemne, jak płocha, kapryśna, lecz nie zepsuta jeszcze do cna Mewa; matka Zygmunta, leciwa kokietka Mimi, stary lowelas Wielołęcki lub przyszły mąż Mewy, Fryd. Grüber, syn właściciela „fabryki cukru" (po polsku mówi się: cukrowni), o wiele są lepsze, i one to ocalają honor powieści. Pozwalają one nam nawet przypuszczać, że autorka „Przystani" nie jest pozbawiona talentu i będzie pisała rzeczy dużo większej wartości literackiej, skoro otrząśnie się z uczoności i formułek ekonomiczno-społecznych, nie dających się ująć w ramy utworu beletrystycznego.

A przedewszystkiem, p. Terpiłowska powinna nauczyć się szanować język i nie kaleczyć go takimi wyrazami i zwrotami: „zrobić wizytę", „hałat", „awantażownie", „paranteza" (zam. : nawias), „ekspulzować", „ekspansywny", „kamaraderya", „obryw" (zam. jar), „z d w o m a córkami", „w kobiecem ręku", „zrobisz z niego swoją konkietę", „aliment" (zam. : pokarm, karm), „woda zaburzowała", „komersant", (zam. : przemysłowiec), „szarm" (zam. : urok, czar) i t. d.

Henryk Galle.

TADEUSZ JAROSZYŃSKI: Chimera, powieść z życia artystów. Petersburg, księgarnia K. Grendyszyńskiego. 1903. 8-o, str. 392.

Życie kolonii polskiej artystycznej w Paryżu stanowi, niezawodnie, ciekawy nader i wdzięczny przedmiot dla powieściopisarza. Wzniosłe dążenia, ciężkie borykanie się z losem, żywot nędzny a górny artystów-cyganów, co o głodzie marzą o sztuce i chwale, pracownie, akademie, kierunki, spory, prądy literackie, artystyczne i filozoficzne, tryumfy i upadki, nadzieje i zawody — oto całe bogactwo blasków, cieni i barw, które mogłyby się złożyć na obraz, żywo poruszający wyobraźnię czytelnika.

„Chimera“, powieść p. T. Jaroszyńskiego, spełnia to zadanie zaledwie w połowie. Mamy tu kilku malarzy, rzeźbiarzy, literatów, ale nie mamy życia artystów polskich w Paryżu, w całej pełni. Treść utworu polega na następującem. Młody rzeźbiarz, Witold Ordon, uzbierawszy sobie kilkaset franków, przybywa do Paryża kształcić się w swojej sztuce. Na wstępie spotyka dawnego swego przyjaciela, Antoniego Mirona, który odbiera mu pugilares z całą oszczędzoną sumką i przegrywa wszystko w domu gry; jak się bowiem okazuje, Miron jest nałogowym szulerem.

Dziwić się należy naiwności Witolda, który pozwolił się tak bezczelnie ograbić i pozostawić bez santima na obcym bruku; pozór bowiem, pod którym Miron wyłudza od przyjaciela pieniądze, jest tak niezręczny i nieprawdopodobny, że w każdym, nawet najmniej podejrzliwym człowieku, obudziłby poważne wątpliwości i obawy.

Z takiego, nie dość szczęśliwie obmyślonego zawiązku, rozwija się dalsza akcya zupełnie prawidłowo. Witold zostaje bez grosza, tuła się po Paryżu, znosi upokorzenie, nędzę, poniewierkę, nawet głód, tymczasem poznaje kilku artystów — Polaków i kilka postaci epizodycznych; z nich najciekawszą jest stary kopista, Plewiński, w którym los twardy wygasił wszystkie tlące się niegdyś iskry natchnienia; nie wydarło mu wszakże życie namiętnej tęsknoty do prawdziwej sztuki. Plewiński przedstawia tu pierwiastek mistyczny i, mimo wiedzy może autora, sensacyjny; umierając bowiem, zostawia Ordonowi jakąś tajemniczą kopertę z poleceniem oddania jej osobie wskazanej. Odtąd koperta ta przynosi nieszczęście Witoldowi, który wreszcie kiedyś, w przystępie gorączki głodowej, rzucił ją w fale

Sekwany, a kiedy przyszło opamiętanie, chciał ją ocalić, czego sam omal, że nie przepłacił życiem.

Tu powinna się była powieść skończyć, bo to, co następuje nie jest już organicznie związane z akcyą utworu. Widzimy tu bohatera po pięciu już latach, jako kamieniarza, znowu rwącego się ku sztuce, znowu upadającego, jako męża młodej malarki Julii Rigaud, wreszcie jego samobójstwo, a wszystko to mało rozwinięte i mało uzasadnione.

Nie dość na tem. Wszystkim niemal bohaterom „Chimery“ brak tych właśnie cech zasadniczych, które wyróżniają artystów od tłumu pospolitaków: niema w ich duszach ścierania się potrzeb życia z dążnościami sztuki. I jeżeli upadają, to nie dlatego bynajmniej, że są artystami, lecz dla innych zgoła powodów. Miron przegrywa swoje i cudze pieniądze nie dlatego, że w grze znajduje podnietę twórczości, lecz dzięki temu, że jest szulerem, kłamcą, łotrem bezczelym. Bonecki rozpija się, jak bydlę, nie po to, by wzbudzać w duszy nastroje twórcze, lecz poprostu z nałogu wstrętnego. Ordon marnuje się nie z zasadniczych jakichś sprzeczności życia i sztuki, lecz jedynie z lekkomyślności i braku ducha przedsiębiorczego.

I dlatego właśnie nie możemy nazwać „Chimery“ wiernym obrazem życia artystycznego. Przypuśćmy bowiem na chwilę, że artyści nasi tak żyją w Paryżu, a wtedy przyjdziemy do przekonania, że stamtąd nikt wracać nie może, a jeżeli wraca, to z duszą złamaną i skażoną. Najpospolitsze atoli fakty życiowe zaprzeczą takim zbyt pochopnym wnioskom.

Nie na głównych więc postaciach leży cała waga powieści; atuty „Chimery“, to jej figury epizodyczne, jak np. wyżej wspomniany Plewiński, doskonały, mimo pewnej dziwaczności, jak hrabia Czelepały, brzydki garbusek, obracający się w najwyższych kołach arystokratycznych Paryża, wyrocznia dobrego tonu i estetyzmu życiowego, jak wreszcie pani de Rocher, dama wielkiego świata, pełna wdzięku i... zepsucia, zmieniająca kochanków, jak tualety.

Jest tu kilka jeszcze zręcznie nakreślonych sylwetek: „mastroquet“, czyli właściciel szynkowni imieniem George, jego żona, olbrzymia Normandka, szwaczka Klara, mniemany baron Meyerdorf, cała banda szulerów i t. p.

Najlepsze zaś strony powieści, są to opisy nie tylko wnętrz pracowni, kawiarni, garkuchni, muzeów, salonów i buduarów, ale przedewszystkiem samego miasta: ulic, placów, ogrodów i bulwarów o różnych porach dnia i nocy, nocnej pustki i ruchu dziennego, jasnego południa i słotnego wieczoru. Te zaś rozdziały, gdzie Ordon włóczy się

dzień i noc po ulicach Paryża, bez dachu nad głową i bez grosza przy duszy, znajdując przytułek to na ławkach, to pod arkadami mostów — należą do najlepszych w „Chimerze“. Opisy p. Jaroszyńskiego celują stylem barwnym i plastycznym, autor umie posiłkować się efektami światła, cieniu i barwy, przenośnie jego i porównania są świeże, śmiałe i oryginalnie pomyślane.

Henryk Galle.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Nowy rok, nowe nadzieje i—mgła gęsta, nieprzenikliwa, z poza której nic jeszcze nie widać. Nie stawiamy też żadnych horoskopów, nie łudzimy się tem, że nowy rok popłynie mlekiem i miodem, że będzie lepszy, szczęśliwszy od poprzedniego. Wolno to wyrażać w życzeniach, składanych sobie wzajemnie, ale nie można stosować tego do życia, które nie jest dźwięcznym frazesem, lecz pełnym zgrzytów obrotem koła zjawisk, wywołanych przez przyczyny, sięgające nieraz w bardzo odległą przeszłość. Jeden dzień, jedna data kalendarzowa—nic tu nie stanowią. Wywołują one pewien nastrój w duszy ludzkiej, ale nie sprowadzają przełomu, nie przeobrażają faktów, nagromadzonych przez powikłany splot konjunktur społecznych, ekonomicznych i politycznych. Konjunktury te urabiają przyszłość i od ich ułożenia zależy wszystko.

Niestety, pod tym właśnie względem bilans roku ubiegłego zamknięty został niepomyślnie. Nie mamy tu na myśli położenia ogólno-światowego, ale stosunki nasze, krajowe, wewnętrzne. W roku 1903 nie znajdowały się one w stanie kwitnącym. Przemysł nasz i handel nie zdołały jeszcze zatrzeć śladów niedawnego przesilenia, a rolnictwo, podstawa naszego bytu, na wielkiej przestrzeni kraju zostało dotknięte niebywałą w swoich rozmiarach i opłakaną w skutkach klęską powodzi. Ciężki i smutny był to rok, a chociaż nie brakowało w nim momentów jaśniejszych, jak np. wystawa Miechowska i coraz wyraźniej formułowane dążenia w kierunku rozumnej pracy zbiorowej na rozmaitych polach, to jednak ogólne wrażenie pozostaje ujemne. Ucierpiało całe społeczeństwo, z ubogą ludnością wiejską i miejską na czele. Nędza rozgościła się po wsiach i po miastach. Drożyzna produktów najpierwszej potrzeby postawiła w położeniu bez wyjścia setki i tysiące rodzin, którym nawet praca nie może zapewnić utrzymania, a cóż dopiero, jeżeli pracy tej niema, co w zimowych miesiącach na bruku miejskim jest rzeczą powszednią. W ta-

kich warunkach szeroko i dobrze zorganizowana pomoc społeczna jest rzeczą konieczną. Czy jednak umieliśmy ją zorganizować?

Pytanie to nastręcza bardzo poważne wątpliwości. Hasło pomocy, rzucone przez prasę codzienną, znalazło odgłos w szerokich warstwach — to prawda, ale nie przyniosło tych owoców, jakich się spodziewano. Składki popłynęły z rozmaitych stron kraju, ale w sumie nie zebrano dotychczas nawet $^1/_{10}$ części tego, co na pokrycie wielorakich potrzeb jest konieczne. Niefortunne w pomyśle wydawnictwa „na powodzian" zawiodły i bodaj, że się już nie ukażą wcale. Ofiarność publiczna słabnie i rozstrzela się na dobre, ale inne cele, których zawsze jest pod dostatkiem — na wpisy dla uczniów, na sanatorya, na Towarzystwo dobroczynności i t. d. Nędza tymczasem nie została wcale jeszcze zażegnaną i kto wie, czy nie wybuchnie ona z całą swoją siłą na przednówku, z nadejściem wiosny, a do tej pory prawdopodobnie wszystkie środki zostaną wyczerpane. W przewidywaniu tego należałoby już dziś dbać o to, aby akcya rozpoczęta nie traciła swej ciągłości po nowym roku, przeciwnie, aby się jeszcze rozszerzała i utrwalała.

Początek tej myśli obywatelskiej dał Henryk Sienkiewicz, z którego inicyatywy odbywają się obecnie odczyty na powodzian w miastach prowincyonalnych. Rozpocząwszy od Częstochowy, skąd „poczynały się zwykle wszystkie dobre dzieła", w towarzystwie pp. Ign. Balińskiego, W. Lewickiego, i H. Radziszewskiego, autor „Krzyżaków" odwiedził już kilka główniejszych miast, jak: Piotrków, Radom i Kielce i wszędzie doznał entuzyastycznego przyjęcia. Prelegentów witano na prowincyi w podwójnym charakterze — jako obywateli, śpieszących z pomocą niedoli krajowej i — jako przybyszów z głównego ogniska umysłowego, z Warszawy, która dotąd niechętnie promienie swojego światła wysyłała na zewnątrz. Z tego też względu odczyty „na powodzian" mają także znaczenie podwójne — raz, że przyniosą rzeczywiście poważny zasiłek nieszczęśliwym, powtóre, że może potrafią przyswoić społeczeństwu samą ideę odczytów prowincyonalnych, o których już tyle mówiono, i do których nawoływano niejednokrotnie. Przełom został uczyniony, a próba wobec zapowiedzianych jeszcze dalszych seryi odczytowych, będzie o tyle kompletną, że pozwoli wnioskować o przyszłych tego rodzaju wycieczkach na prowincyę, już nie w celu filantropijnym, ale w celach czysto umysłowych, mających na widoku popularyzacyę nauki i sztuki. Tak tedy inicyatywa Sienkiewicza dorasta do znaczenia momentu zwrotnego w tej dziedzinie naszego życia.

Podobny moment mamy do zanotowania jednocześnie i w innej dziedzinie, mianowicie w dziedzinie filantropii warszawskiej.

Mamy tu na myśli świeżo założony przy wydziale wsparć W. T. D. Oddział wyszukiwania pracy ubogim, stawiający pierwsze kroki pod ideowym kierunkiem swojego wice-prezesa, ks. W. Kirchnera.

Ks. Kirchner znany jest czytelnikom naszym, jako kapłan-filantrop, którego pióro służy wytrwale od lat kilku ważnej sprawie nadania filantropii właściwego kierunku przez zastąpienie jałmużny demoralizującej i upokarzającej—pracą, podnoszącą moralnie i materyalnie liczne rzesze ubogich. Poświęciwszy cały niemal swój czas na zapoznanie się z istotą nędzy warszawskiej; zwiedziwszy wszystkie zakłady i schroniska, dające jej przytułek, jak domy noclegowe, których ciekawy opis przed kilku miesiącami podawaliśmy na tem miejscu; wędrując po zaułkach i przedmieściach, przypatrując się zblizka życiu nędzarzy i badając warunki ich bytu,—zacny kapłan doszedł do wniosku, że walka z tem złem jest nietylko konieczna, ale i możliwa. Nie zwlekając więc, przystąpił do czynu i powołany na stanowisko wice-prezesa oddziału wyszukiwania pracy z właściwym sobie temperamentem i zdolnością organizacyjną zabrał się do dzieła.

Dzieło to, acz znajdujące się dopiero w początkach, zasługuje na baczną i pilną uwagę wszystkich, dla których ta ciężka rana społeczna nie jest obojętna.

Oto, co mówi ks. Kirchner o zadaniach i celach tej pięknej instytucyi, powołanej do życia pod hasłem „zamiast jałmużny—praca.“

„Chcemy szukać pracy dla ubogich, chcemy pośredniczyć pomiędzy pracodawcami i biorącymi pracę, starać się o robotę do domu dla tych osób, które z powodu kalectwa lub też zajęć domowych, jak np. wdowy, obarczone drobnemi dziećmi—poza domem pracować nie mogą, chcemy dostarczyć ubogim rodzinom odpowiednich przyrządów do pracy, badać moralną stronę rodzin, potrzebujących zajęcia i przyczyny braku takowego; chcemy zaopiekować się ubogą rodziną, tak, żeby wynaleźć dla niej robotę i uczynić ją fizycznie i psychicznie zdolną do pracy; w rękę chcemy kłaść ludziom narzędzie, a w duszę—chęć i energię do pracy.

Potrzeba takiej instytucyi jest ogromna. Czegoś podobnego u nas, w Warszawie, jeszcze nie było.

Mamy biura pośrednictwa pracy, ale płatne i nie dla ubogich, którzy umierają z głodu i gdyby mieli grosz, to by go przedewszystkiem obrócili na kupienie chleba. Oddział nasz przenosi dobroczynność w dziedzinę pracy szeroko społecznej. Będzie to prawdzi-

wa bratnia pomoc, dająca tysiącom ludzi nietylko chwilowe załagodzenie nędzy, ale silną, stałą podporę do nowego, normalnego życia i to w sposób, który nie poniży i nie zdemoralizuje ubogiego, ale go podniesie i uszlachetni Szczególniejsze usługi może nasze biuro oddać gospodyniom domu, poszukującym praczek, pomywaczek, posługaczek i t. d., dla których rynkiem wynajmu było dotąd mieszkanie stróża.

Cośmy już zrobili? Staraliśmy się zebrać, porozumieć, zorganizować. Mamy kilka tysięcy ludzi, poszukujących najrozmaitszej pracy, już sprawdzonych i każdej chwili gotowych stanąć do apelu, najwięcej zaś wdów z licznemi dziećmi, dla których stała praca byłaby zbawieniem. Zaczęliśmy ogłaszać w pismach codziennych listę ubogich, udających się do nas z prośbą o pracę.

Co mamy zamiar zrobić w najbliższej przyszłości?

1) Otworzyć kilka biur, jako naszych filij, w najgłówniejszych punktach Warszawy.

2) Założyć kilka sal zajęć, jak pralnie, szwalnie, garkuchnie czy restauracye, w których mogliby pracować chwilowo biedni, potrzebujący pracy i tam wykształcić się i wyrobić na umiejętnych i pożytecznych pracowników i dać się poznać ze swoich zdolności i chęci do pracy.

Chcielibyśmy przytem wyzyskać wszelką dziedzinę pracy, dotąd leżącą odłogiem np. prać, szyć dla ubogich, którzy chodzą w dziurawem ubraniu i po kilka tygodni w brudnej bieliźnie, gotować dla głodnych i t. d. Musimy mieć salę, gdzieby stały maszyny, na których biedne szwaczki, nie mogące się zdobyć na własne narzędzia do pracy, miałyby sposobność szyć i w ten sposób ułatwić sobie zarobek. Przydałaby się też pralnia, w której mieszkanki wilgotnych suteren wdowy-praczki, mogłyby stale prać dla siebie i dla tych, którzy im pranie bielizny powierzą.

Będziemy też pisali prośby bezpłatnie dla ubogich do różnych instytucyi dobroczynnych.

Ze starszych, samotnych kobiet mamy zamiar wykształcić cały zastęp opiekunek dzieci i chorych, opiekunek, któreby ubogim wdowom pomagały w zarządzie domem i w zajęciu się dziećmi i w ten sposób pozwoliły im pracować korzystnie poza domem, a w razie choroby matki ubogiej, gdy ojciec pracuje w fabryce, też same posługi czyniły, co będzie z ogromną korzyścią dla podtrzymania normalnego stanu życia w biednej rodzinie. Pragnęlibyśmy także zużytkować dla swoich celów drobny handel przenośny i obnośny. Postanowiliśmy jaknajprędzej znieść się z rozmaitemi ogniskami pracy: z fa-

brykami, z towarzystwami rolniczemi i w razie potrzeby pomagać biednym do wyjazdu na prowincyę, szczególniej chłopcom i dziewczętom, których brak opieki i ulica w wielkiem mieście tak strasznie zwyradnia W Paryżu np. takie zwracanie na prowincyę ubogich, którzy na bruku wielkomiejskim rady sobie dać nie mogli—wykazało znakomite rezultaty.

O co publiczność prosimy? pyta dalej ks. Kirchner w swoim komunikacie, drukowanym w „Gońcu“ i odpowiada:

1) O szerokie poparcie--bo szerokie nasze zadanie i szeroki materyał ubóstwa. Prosimy o poparcie nas osobiste, o sprowadzanie ubogich, potrzebujących roboty, o zajęcie się paru, a choćby tylko jedną rodziną w tym celu, ażeby ją uczynić zdolną do samodzielnego zarobkowania, o radę ustną lub listowną, jaką robotę, lub gdzie można znaleść dla ubogich; o wyszukiwanie jej dla nich i dawanie nam znać, gdy będzie.

2) Prosimy o poparcie nas groszem, czy w charakterze członków stałych, płacących 7 rb. rocznie w ratach dowolnych, lub w charakterze członków czynnych i ofiarodawców. Najdrobniejsze ofiary czy to stałe, czy też jednorazowe, przyjmujemy z największem podziękowaniem.

Prosimy też o datki w naturze, o różne narzędzia do pracy, np. maszyny do szycia, wyżymaczki, żelazka do prasowania i t. p. Wszystkie ofiary i opłaty członkowskie można przesyłać albo za pośrednictwem pism, albo wprost do nas (Leszno 68) lub też dać nam znać listownie o dobrych swoich chęciach, a przesłanie kwoty pieniężnej do naszej kasy ułatwimy“.

Tyle słów ks. Kirchnera. Poświęciliśmy temu komunikatowi może zbyt dużo miejsca, ale wydaje się nam, że sprawa, której on dotyczy, jest rzeczywiście pierwszorzędnej wagi.

Nie poprzestając też na tem, co tu wydrukowano, udaliśmy się jeszcze osobiście do siedziby oddziału, ażeby na miejscu przekonać się o potrzebach i widokach instytucyi. Z rozmowy ustnej z ks. Kirchnerem wynieśliśmy wrażenie, że oddział, pod jego kierownictwem ma rozwój i przyszłość zapewnioną, naturalnie, jeżeli dozna poparcia ze strony społeczeństwa. O poparciu tem jednak nie wątpimy, a to zarówno ze względu na znajomość Warszawy, jak i ze względu na podłoże ideowe zaczętej pracy. Polecamy też gorąco sercu naszych czytelników to nowe pole do c z y n i e n i a d o b r z e.

A teraz—jedno jeszcze słowo pod adresem O d d z i a ł u. Przed niedawnym czasem poruszaliśmy na tem miejscu sprawę założenia w Warszawie b i u r a p i s a r s k i e g o, na wzór istniejących za gra-

nicą tego rodzaju instytucyi, dających chwilowy zarobek proletaryatowi inteligentnemu. Otóż zdaje się, że takie biuro pisarskie doskonale mieścić się może w ramach szerokiego programu ks. Kirchnera i że, krótko mówiąc, najodpowiedniejszą rzeczą byłoby, aby powstało ono co rychlej pod egidą Oddziału, co przy materyalnem poparciu ze strony instytucyi finansowych, przemysłowych i handlowych, dałoby się uskutecznić stosunkowo łatwo. Bliżej tego projektu nie uzasadniamy, uczyniliśmy to bowiem już poprzednio.

Na tem kończymy nasze uwagi o Oddziale wyszukiwania pracy ubogim, witając w nim instytucyę wielkiego pożytku społecznego. Oby rozpoczynający się rok dał jej możność utrwalenia się na naszym gruncie i rozwinięcia tej szerokiej działalności, która może stanowić ratunek dla tysięcy ubogich rodzin, ratunek tem potrzebniejszy, że, jak to zaznaczyliśmy na wstępie, mamy do czynienia ze skutkami, wywołanemi przez ciężką klęskę roku ubiegłego. Jedynie praca może te skutki zatrzeć i niedobory naszego bilansu ogólnego wyrównać, pracujmy więc sami i dajmy pracę innym. Tylko pod tem hasłem rozpoczynając rok nowy, możemy być pewni pomyślnych rezultatów na przyszłość.

*

* *

W ostatnich czasach rozpoczął się u nas dość ożywiony ruch na polu popularyzacyi. Obok „Poradnika dla samouków“ i „Biblioteki samokształcenia“ ukazał się cały szereg książek z rozmaitych dziedzin wiedzy, jak „Książki dla wszystkich“, wydawane przez p. Arcta, jak dodatki do tygodnika „Ziarno“, wydawnictwo lwowskiego „Związku naukowo-literackiego“ p. t. „Wiedza i życie“ i t. d. Ludzie muszą czytać, skoro tyle takich rzeczy dla nich się wydaje. Objaw to niewątpliwie pocieszający. Obecnie, do całego szeregu tych wydawnictw pojedyńczych i rozproszonych przybywają dwa nowe pisma popularno-naukowe, które pragną systematycznie pracować, każde w swoim kierunku, i krzewić światło wśród warstw jak najszerszych.

Mamy tu na myśli „Przyrodę,“ pismo tygodniowe, ilustrowane, poświęcone uprzystępnianiu wiedzy przyrodniczej z szerokiem

uwzględnieniem geografii i „Lekarza“, który postawił sobie za zadanie zapoznawać ogół z hygieną, jako podstawą medycyny dzisiejszej i dźwignią zdrowego rozwoju społecznego.

W prospekcie pierwszego z tych wydawnictw czytamy co następuje:

Przystępujemy do wydawania pisma w głębokiem przeświadczeniu, że znajomość nauk przyrodniczych jest niezbędna dla każdego, kto pragnie być istotnie wykształconym, że przeto należy ułatwiać ogółowi poznawanie i zrozumienie zjawisk przyrody, bądź to już dawniej poznanych, bądź też dopiero badanych. Wszak nikt chyba nie wątpi, że podstawą i źródłem wiedzy jest księga przyrody. Czytając z tej księgi poznajemy nietylko zjawiska, które wprawiają nas w zdumienie, ale, co ważniejsze, dowiadujemy się z niej o prawach które uczą nas mądrości, pobudzają myśl naszą do trzeźwego zdawania sobie sprawy ze stanowiska, jakie sami zajmujemy w przyrodzie. Z poznania ogromu zjawisk przyrody wypływa dla nas nauka, że powinniśmy być s k r o m n i i p o k o r n i, ale zarazem powstaje w nas poczucie własnej dostojności, do czego daje nam niezaprzeczone prawo już sama możność badania natury i przenikania jej tajników. Czerpiąc z krynicy wiedzy przyrodniczej, możemy nietylko napełniać czarę naszego ducha ideałem prawdy, ale zarazem powziąć dla tej prawdy wielką i rozumną miłość, zdobyć sobie niezarozumiały, ostrożny i trzeźwy sąd, oraz szlachetną wrażliwość uczuć. Taki oświecający i uszlachetniający wpływ mają nauki przyrodnicze nietylko na rozkwitającą dopiero duszę młodą, ale na każdą, która pragnie ciągłego doskonalenia się.

A dalej: „Kto pragnie poznać przyrodę w całym jej ogromie i zrozumieć naprawdę siebie samego, powinien poznać warunki przyrodzone własnego kraju: jego glebę i wody, klimat i właściwe mu ustroje roślinne i zwierzęce — słowem, środowisko naturalne, w którem sam wzrósł i wychował się. Dokładne badanie naszego kraju będzie nam bardzo leżało na sercu i szczęśliwi będziemy, jeżeli zdołamy wzniecić w naszych czytelnikach zamiłowanie do krajoznawstwa.“

Tak mówi redakcya, w której skład wchodzi trzydziestu kilku przyrodników polskich, dających zupełną rękojmię tego, że z zadania wywiązać się potrafią ku istotnemu pożytkowi społeczeństwa.

W myśl tego programu szerokiego i dającego pole zarówno do dociekań szczegółowych, jak i do rozważań ogólniejszych, o ile jedne i drugie zmieszczą się w ramach popularnych—w „Przyrodzie“ zamieszczane będą artykuły ze wszystkich dziedzin nauk przyrodni-

czych i geografii, opisy ludów, krajów, miast, opisy wypraw, podróży i wycieczek naukowych, wiadomości, dotyczące żeglugi napowietrznej, feljetony naukowe, przegląd postępów nauk przyrodniczych, i technicznych, sprawozdania z kongresów i zjazdów naukowych, opisy pracowni i stacyi przyrodniczych, życiorysy uczonych, wynalazców, podróżników, przegląd wydawnictw przyrodniczych, geograficznych, technologicznych, wskazówki dla podróżujących i t. d. Słowem, będzie to strawa obfita i ciekawa.

Wielce na dobie jest również drugie pismo popularno-naukowe, dwutygodnik p. t. „Lekarz".

Potrzeba pielęgnowania zdrowia, jako jedna z pierwszych i najważniejszych potrzeb ludzkich, uznana jest przez wszystkich—piszą założyciele „Lekarza". Pomimo to jednak nigdzie nie popełniamy tylu błędów, tylu wykroczeń, ile w tej właśnie dziedzinie. Wypływa to z braku dokładnego uświadomienia, z braku zasadniczych wiadomości o budowie i czynnościach naszego ustroju, o grożących nam na każdym kroku szkodliwościach, o sposobach walki z chorobą. Samouctwo nasze jest chaotyczne i obejmuje wszystkie gałęzie wiedzy z pominięciem najważniejszej bodaj— hygieny. Hygienie też w najrozleglejszym zakresie poświęcony będzie „Lekarz"—organ, który w szerokich masach społeczeństwa naszego rozpowszechniać pragnie najniezbędniejsze wiadomości z dziedziny nauki o zdrowiu i życiu. We wszystkich niemal naszych dziennikach i tygodnikach ukazują się wprawdzie artykuły poświęcone wyżej wymienionym sprawom, pomimo istotnej nieraz wartości są to jednak rzeczy luźne, niezwiązane w żadną organiczną całość. „Lekarz"—wobec tego pragnie być o g n i s k i e m, które te wszystkie promienie skupi.

Wyrazem potrzeby takiego pisma jest zresztą znaczna ilość wydawnictw podobnych zagranicą, wychodzących w setkach tysięcy egzemplarzy.—Pismo nasze—mówi w końcu prospekt nowego wydawnictwa—chce być przyjacielem każdego domu polskiego, każdej polskiej rodziny. Po plebanjach, dworach i dworkach, po miastach, miasteczkach i oddalonych od nich osadach, wszędzie wreszcie, gdzie zdrowie własne i społeczne jest troską dobrze myślących ludzi—tuszymy sobie—„Lekarz" powitany będzie z radością i zaufaniem. Z jednostek składa się społeczeństwo—pragniemy, aby naród nasz składał się z jednostek zdrowych na duchu i na ciele i wszystkie nasze trudy temu celowi poświęcić chcemy.

Są to hasła niewątpliwie piękne i szlachetne i daj Boże, aby redakcya „Lekarza" umiała je wcielić w życie. Szczerze jej tego życzymy. Dla interesujących się bliżej wydawnictwem, podajemy tu

program szczegółowy nowego pisma. Składać się ono będzie z d z i a ł ó w następujących: artykuły wstępne z zakresu hygieny, mające na celu wyjaśnienie obowiązków naszych względem własnego i publicznego zdrowia; artykuły z dziedziny anatomii, fizyologii, dyetetyki, jako naukowe podstawy pojmowania wiedzy hygienicznej; e t y o l o g i a, czyli o przyczynach najbardziej rozpowszechnionych chorób i p r o f i l a k t y k a, t. j. wskazówki, pouczające, jak chorobom tym zapobiegać należy; najnowsze odkrycia i wynalazki z zakresu medycyny i nauk przyrodniczych; lecznictwo ludowe, popularny wykład dziejów medycyny wogóle; życiorysy znakomitych lekarzy i przyrodników; r a t o w n i c t w o, czyli pierwsza pomoc w wypadkach, grożących życiu; kuchnia hygieniczna, zasady żywienia zdrowych i chorych; opis roślin lekarskich i ich hodowla; sport i gimnastyka; statystyka lekarstw i cały szereg rubryk drobnych, mających związek z celami zasadniczemi pisma.

*

* *

Sprawa braku parków w Warszawie samej i dla Warszawy, w jej okolicach—nie jest nową. Na łamach Bibl. Warszawskiej omawiano ją już niejednokrotnie rozmaitemi czasy i przy rozmaitych sposobnościach. Chętnie jednak wracamy do niej obecnie, z powodu, iż poruszono w prasie kilka nowych zupełnie projektów i to projektów szczęśliwych, mających pewne widoki na urzeczywistnienie. Nie dotykając zasadniczej strony kwestji, jako dostatecznie już i wszechstronnie wyjaśnionej, spróbujemy rzucić tu światło na ważniejsze zalety i wady tych terenów, które wysunięto na czoło, nawołując do zajęcia ich pod parki miejskie.

Przedewszystkiem więc wystąpił gorący apostoł ogrodnictwa p. Edmund Jankowski, z propozycyą założenia parku dla dzieci w lasach podwawerskich. „Dla czegóżby społeczeństwo nasze, które potrzeby swoje coraz lepiej rozumie—pisze p. Jankowski—a które pieniądze ma i na dobry cel wydać je potrafi, nie miało zakupić takiej np. Otwocczyzny, by ją zamienić na wielki i wieczysty park dla warszawskich dzieci wszelkiego stanu i wieku? Czemużby las pod stacyą

Wawrem na ten cel nie mógł posłużyć, jak to przyszło na myśl p. B. Kaetzlerowi? Kraków ma swoje Błonia i na nich boiska Jordana; Praga Czeska ma parki dla dzieci w samem mieście, a my, czyżbyśmy nie mogli zdobyć się na taki park pod miastem? Projekt to może śmiały, ale całkiem wykonalny. Nabywszy tę lub inną odpowiednio wielką przestrzeń, należałoby przy pomocy różnych specyalistów zrobić plan jej urządzenia i zużytkowania. Więc znalazłoby się dość miejsca na lasy i na polanki, trawą obsiane, na boiska do gimnastyk, i do gry w piłkę ręczną lub nożną, na kąpiele i wyścigi piesze, słowem na to wszystko, co gdzieindziej jest oddawna w użyciu, co bawiąc, ćwiczy ciało, co odświeża umysł, wlewa nową weń krzepkość i do życia ochotę. Na wykonanie tego dzieła potrzeba zapewne z paręset tysięcy rubli, ale nie odrazu, a na taki cel pewnie posypią się składki, bo jego ziszczeniem zainteresowani są wszyscy rodzice. Gdyby to marzenie przyoblekło się w szaty rzeczywistości, pozostałoby wyjednać od zarządów kolei specjalne pociągi dla młodzieży, któreby ją dowoziły i odwoziły po cenie tak nizkiej, jak ta, którą płacą dajmy na to we Francyi lub Belgii robotnicy, korzystający z pociągów specyalnych, zwanych *trains de travailleurs*. Że w takim parku powinny być postawione schroniska na wypadek deszczu, że należałoby też pomyśleć o posiłku dla młodzieży, to się rozumie samo przez się."

Tyle p. Jankowski. Nie mamy rzeczywiście nic przeciw parkowi na Otwocczyźnie. I owszem, niech tam będzie park, bo miejscowość jest zdrowa i zupełnie do tego odpowiednia. Nastręcza się jednak pytanie, czy p. Jankowski nie ma zbyt różowych nadziei tak co do „posypania się składek" na ten cel, jako też i co do wprowadzenia szybkiej i taniej komunikacyi kolejowej. W tych dwóch kierunkach musimy się zachować z pewną powściągliwością, gdyż z jednej strony wiadomo, że składki publiczne nie płyną w dostatecznej ilości nawet na cele równie doniosłe a daleko pilniejsze, z drugiej zaś—że zarządy naszych kolei, które dotąd nie zdobyły się na możliwą komunikacyę podmiejską, nie prędko zapewne potrafiłyby zaprowadzić doskonałą komunikacyę z parkiem. Ale—kto wie, jak się sprawy obrócą przy umiejętnem i gorliwem poprowadzeniu rzeczy.

Znaleźli się jednak przeciwnicy tej miejscowości, którzy jednocześnie wskazali kilka innych punktów, dla miasta niewątpliwie odpowiedniejszych, bo położonych znacznie bliżej.

Punkty te są następujące: Saska Kępa, Pole Mokotowskie, Rakowiec i Wierzbno, wreszcie Łąki Siekierskie.

Nie da się zaprzeczyć, iż parki we wszystkich tych miejscowościach byłyby bardzo pożądane i bodaj, że wielki czas myśleć o tem,

aby miasto weszło tam w posiadanie odpowiednich przestrzeni, które za lat kilka lub kilkanaście będzie niezwykle trudno nabyć ze względu na drożyznę.

Saska Kępa z chwilą przeprowadzenia trzeciego mostu, przestanie być dawną Kępą, a szybko rozparceluje się na place, których cenę spekulanci wyśrubują z pewnością do granic niemożliwych. Jeżeli więc kiedy, to dziś jeszcze możnaby ocalić jakiś szmat ziemi i założyć na nim park dla przyszłej dzielnicy, która się tam wzniesie za lat kilkadziesiąt. To samo dotyczy Wierzbna i Rakowca, po które już polip wielkomiejski wyciąga swoje ramiona i które prędzej czy później muszą być do miasta wcielone.

Inna rzecz jest z polem Mokotowskiem. Stanowi ono, jak wiadomo, własność okręgu wojskowego, nabycie go więc na własność przez miasto nastręczałoby bardzo poważne przeszkody. Ale jest inna droga. Kilka włók tego pola znajduje się w dzierżawie Towarzystwa wyścigów konnych, ktore urządziło tam swój tor, pobudowało trybuny i loże dla widzów. Jak słychać, kontrakt tej dzierżawy dobiega właśnie kresu i Towarzystwo myśli o przeniesieniu się do Rakowca. Nie pozostaje więc nic innego, jak życzyć mu szczęśliwej drogi i jednocześnie rozpocząć starania gdzie należy o wypuszczenie miastu w długoletnią dzierżawę tej samej przestrzeni. Okręg wojskowy prawdopodobnie przystałby na to, a że w warunkach dzierżawy może mu chodzić tylko o to, aby na polu nie wznoszono żadnych budynków, więc doskonale, nie naruszając żadnych przepisów, możnaby tam założyć park w rodzaju takim, jak np. Park Ujazdowski, który w ciągu krótkiego czasu, w naszych oczach, zadrzewił się i zakrzewił bardzo pięknie.

Co do Łąk Siekierkowskich, to myśl założenia tam wielkiego parku spacerowego wyszła od hr. M. P., która zamieściła w tej sprawie bardzo dobrze motywowany list w „Gazecie sportowej". Miejscowość ta jednak zupełnie odpowiednia ze względu na swoje położenie i piękny widok, który się ztamtąd otwiera na Warszawę, ma tę złą stronę, że ulega częstym zalewom Wisły i wskutek tego jest wilgotna i niezdrowa. Nie może więc być mowy o zakładaniu tam parku, którego pierwszym warunkiem jest właśnie zdrowotność. Swoją drogą nie wyklucza to możliwości, aby kiedyś, po uregulowaniu koryta Wisły, Warszawa urządziła tam sobie nawet bardzo wspaniały „lasek Siekierkowski", doskonały dla spacerów powozowych jej „eleganckiego świata".

Tak się przedstawiają wszystkie nowe projekty. Rozpatrując je kolejno, mimowoli trzeba powrócić do projektu p. Jankowskiego,

który, acz wskazuje miejscowość odległą, to jednak mającą tę wyższość nad innemi, że stosunkowo tanio dałoby się tam nabyć potrzebny obszar ziemi. Tanio zaś znaczy to samo, co prędko! Gdy bowiem miasto, obarczone tyloma wydatkami, na pokrycie których nie wystarcza nawet zaciągnięta świeżo 33-milionowa pożyczka—stanie wobec nowego, poważnego wydatku na kupno ziemi pod park na Kępie, w Rakowcu, w Wierzbnie, lub na dzierżawę pola Mokotowskiego—to niewątpliwie sprawa pójdzie w odwłokę i lata miną, zanim decyzya stanowcza zapadnie. Park tymczasem jest potrzebny i potrzebny jaknajrychlej, a tę rychłość właśnie zapewnia mimo pewnych niedogodności, na które wskazaliśmy, tylko projekt p. Jankowskiego. Inne projekty—to muzyka przyszłości.

*

* *

Kto się baczniej przygląda naszemu życiu umysłowemu doby obecnej, ten musi doznawać pewnych, bardzo poważnych obaw co do tego, czy nie jesteśmy w okresie zwyrodnienia kultury umysłowej i czy nie mamy do czynienia z jej zupełnym zanikiem w pewnych wypadkach. Nie mamy tu na myśli ogólnego „tonu“ w naszej nauce, literaturze i sztuce, bo szczegółowe rozpatrzenie tej kwestyi, która jest zbyt poważna na to, aby ją można było zmieścić w szczupłych ramach naszej notatki kronikarskiej — wymagałoby poważnego i obszernego stódyum. Chcemy tylko zwrócić uwagę na kilka faktów oddzielnych, ale bardzo jaskrawych i należących do kategoryi tych zgrzytów, które coraz częściej odzywają się publicznie. Fakty to znamienne dla naszego życia umysłowego. Co one znaczą i gdzie tkwią przyczyny, wywołujące je na powierzchnię?

Niektórzy mówią, że są to zboczenia. Dobrze. Zboczeniem można nazwać taką np. polemikę prof. K. z prof. P. która w rezultacie jest zwyczajną napaścią, brutalną i wyuzdaną. Tak, jak pisze prof. K. przy zdrowych zmysłach pisać niepodobna — więc jest to zboczenie. Ale czy do kategoryi z b o c z e ń należą również te rozmaite drobne

a liczne polemiki, w których przeciwnik stara się skórę zedrzeć z przeciwnika, zmieszać go z błotem, zdeptać jego imię naukowe, podać poniewierce jego dorobek? Czy te napaści, wymierzone nie przeciw r z e c z o m, ale przeciw o s o b o m, napaści jadowite i przypominające czasy zatrutych sztyletów i zamachów zbrodniczych po zaułkach, są także z b o c z e n i a m i, czy też jest to coś innego?

Zdaje się, że tu nie może być wątpliwości żadnej. Nie! To nie są z b o c z e n i a. Tu działa świadoma wola, tylko działa w formie niedozwolonej, z impetem barbarzyńskim, wyłamującym się całkowicie z wymagań, stawianych człowiekowi przez kulturę. Tu działa złość ludzka i działa zawiść, paraliżująca sąd objektywny i nie dopuszczająca do walki rycerskiej w szrankach, ale czatująca na przeciwnika na drogach bocznych, mało uczęszczanych.

O przykłady takiej walki nietrudno. Nie sięgamy w przeszłość i nie chcemy wydobywać ztamtąd rzeczy już zapomnianych. Bierzemy wydarzenia najświeższe.

Historyk napisał książkę. Ktoś z tej książki zdał sprawę w społeczno-naukowym tygodniku i starał się wykazać autorowi n i e n a u k o w o ś ć jego pracy w ten sposób, że zamiast całego zdania, przytoczył tylko część, która oczywiście nie mogła tłómaczyć jasno myśli. To nie krytyka, to nie polemika o prawdę naukową, to z a b a w a bardzo smutna z tego względu, że podjęta świadomie na krzywdę przeciwnika, z którym recenzent nie zgadzał się w zapatrywaniach historyozoficznych, a z którym n a u k o w o polemizować nie mógł czy nie chciał.

Inny przykład. Publicysta drukuje artykuł w jednem piśmie. Treść tego artykułu bierze „na widły“ publicysta innego organu i wydrwiwa zdanie po zdaniu, roztrząsa ku uciesze własnej myśl po myśli przeciwnika, imputując mu rzeczy i sprawy, o których mu się nie śniło. Co to jest? To także „modna zabawa“. To nowoczesna polemika, bryzgająca śliną i pianą...

Ludziom, którzy takie wycieczki podejmują, nie chodzi wcale o wyjaśnienie sprawy, o przekonanie kogoś, że się pomylił, o dowiedzenie mu tej pomyłki w spokojny, objektywny sposób. Nie. Im chodzi tylko o osobę przeciwnika, o zgnębienie tej osoby i o jej ośmieszenie.

Jest to taktyka, przypominająca „psie figle“ i wybryki żaków. taktyka niedozwolona w rzeczach i sprawach poważnych.

Jeżeli na ulicy widzimy malca, który spostrzegłszy na przechodniu eleganckie futro, podejmuje grudkę błota i ciska nią eleganckiemu panu w plecy — to postępowanie takie umiemy sobie wytłómaczyć i umiemy je właściwie nazwać. Co jednak powiedzieć o kimś,

który zupełnie podobną metodę przenosi na pole nauki i publicystyki i—ma trochę więcej lat, niż dziewięć...

Powiedzieliśmy już, że to nie jest zboczenie—jak więc to nazwać? Jak ochrzcić te wybryki?

Niema na to innego wyrazu, tylko b a r b a r z y ń s t w o — i to barbarzyństwo jaskrawe, które coraz częściej kładąc swoje piętno na rozmaitych dziedzinach naszej pracy, świadczy, że poziom kultury umysłowej obniża się u nas, że wtargnęły do niej elementy, które tam być nie powinny. Dokąd dojdziemy, jeżeli te głosy nadal rozbrzmiewać będą swobodnie na łamach niektórych pism—przewidzieć trudno, ale w każdym razie nic pomyślnego nie wyniknie z tych zapasów osobistych i porachunków osobistych, załatwianych na szerokiem tle spraw społecznych i naukowych, bo nie wyjaśnią one żadnej kwestyi i żadnej sprawy naprzód nie posuną.

Doprawdy, warto się nad tem zastanowić...

*

* *

Szkoła nauk politycznych?

Tak. Szkoła taka istnieje od roku we Lwowie i oto mamy właśnie przed sobą sprawozdanie z jej działalności za czas od października 1902 r. do września 1903.

Dla czytelników naszych nie będzie rzeczą obojętną zapoznać się bliżej z działalnością tej nowej instytucyi naukowej, zaspokajającej jedną z najpilniejszych naszych potrzeb.

Myślą przewodnią jej inicyatorów było stworzenie ogniska, które oddziaływałoby korzystnie na postęp i rozpowszechnienie nauk politycznych w społeczeństwie, a dostępnego dla wszystkich. Ognisko to zostało stworzone. Zawiązało się Towarzystwo, które śmiało, nie czekając na zdobycie trwałych podstaw materyalnych, przystąpiło do dzieła i ma już za sobą dwa k u r s y, z których korzystało kilkaset osób, mężczyzn i kobiet, garnących się do poważnych studyów naukowo-społecznych.

Kurs pierwszy trwał do końca grudnia 1902 r. i obejmował następujące wykłady:

1) Ludwik Kulczycki. — Zasady socyologii (wykładów 2, na których było ogółem osób 574).

2) Władysław Studnicki. — Zasady ekonomii politycznej (wykładów 13, osób 511).

3) Dr. Zdzisław Próchnicki. — Ogólna nauka o państwie, (wykładów 9, osób 501).

4) Ludwik Przysiecki. — Pojęcie i podział nauk społecznych wykładów 6, osób 267).

5) Prof. dr. J. G. Pawlikowski.—Teorya badań statystycznych (wykładów 7, osób 352).

Razem na 45 wykładach było 2205 osób, w tem mężczyzn 1777, kobiet 428, przeciętnie po 48 osób na wykładzie.

W kursie drugim wykładali od końca stycznia do końca marca 1903 roku:

1) Prof. dr. Eugeniusz Romer. — Geografia fizyczna ziem polskich (wykładów 8, osób 484).

2) Władysław Studnicki.— Część ogólna polityki ekonomicznej (wykładów 8, osób 328).

3) Dr. Władysław Stesłowicz.—Położenie przemysłu w Galicyi (1 wykład).

4) Dr. J. K. Steczkowski. — Przemysł naftowy w Galicyi (1 wykład).

5) Prof. dr. R. Zuber.—Ryzyko w produkcyi naftowej (1 wykład).

6) Leopold Baczewski.—Produkcya, rektyfikacya i handel spirytusem (1 wykład).

7) Maryan Małaczyński.—Produkcya i handel drzewa w Galicyi (1 wykład).

8) Prof. dr. Józef Buzek. — Emigracya zarobkowa i osadnicza (6 wykładów, osób 346).

9) Dr. Zbigniew Pazdro. — Statystyka ludności ziem polskich (wykładów 8, osób 392).

10) Władysław Studnicki.—Kwestya socyalna i socyalizm (wykładów 7, osób 299).

11) Prof. dr. J. G. Pawlikowski.— Rolnictwo w organiźmie gospodarstwa społecznego (wykładów 5, osób 226).

12. Dr. Kornel Paygert. — Przyczyny powolnego rozwoju produkcyi rolnej w Galicyi (2 wykłady, osób 134).

13) Dr. Jan Rozwadowski. — Parcelacya większej własności ziemskiej (4 wykłady, osób 138).

Ogółem w kursie drugim było na 53 wykładach osób 2603, w tem mężczyzn 2455, kobiet 148, przeciętnie po 49 osób na wykładzie.

Frekwencya ta świadczy najwymowniej o tem, jak wielką była potrzeba tej szkoły. Dalszy jej rozwój jednak zależny jest bardzo od materyalnego poparcia ze strony szerszego ogółu, dotychczas bo-

wiem szkoła utrzymywała się tylko dzięki ofiarności swoich profesorów, którzy pracowali bezinteresownie. Liczba członków Towarzystwa szkoły jest jeszcze mała, a mianowicie: członków założyciel z wkładką jednorazową 200 koron jest tylko 3, członków wspierających, którzy płacą po 20 koron rocznie—tylko 13 i członków zwyczajnych, do której to kategoryi należą przeważnie słuchacze uniwersytetu, politechniki i akademii handlowej, z wkładką roczną 4 korony — 281. Sprawozdanie kasowe wykazuje też w przychodzie skromną zaledwie kwotę 1557 koron. Trudno w takich warunkach rozwinąć się w poważny instytut naukowy.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI W KRAKOWIE.

— D. 7 listopada 1903 r. odbyło się pierwsze po wakacyach posiedzenie *Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce*, pod przewodnictwem prof. M. Sokołowskiego.

P. Cercha przedstąwił najprzód komunikat: „O najstarszych pomnikach katedry włocławskiej". Są nimi grobowcowe płyty z wapienia kanoników włocławskich: Krystyua z Bolantowa († 1400), oraz Piotra Kuczborskiego, herbu Ogończyk († 1512 r.). W katedrze zachowały się prócz tego trzy fragmenta niedających się bliżej oznaczyć grobowców, we wspomnianym murze zaś, umieszczono nadto — dzięki zabiegliwości ks. prałata Chodyńskiego — tablicę z czarnego marmuru, wyobrażającą „drogę jerozolimska", którą ś. p. Wład. Łuszczkiewicz uważał już za zaginioną.

Sekretarz przedstawił następnie dwa komunikaty, nadesłane Komisyi.

W jednym omawia p. Józef Zieliński z Łążyna srebrny lawaterz, przechowywany w skarbcu kościoła parafialnego rz.-kat. w Nieszawie nad Wisłą.

W drugim komunikacie podał p. Maryan Wawrzeniecki z Warszawy illustrowany rysunkowemi planami opis romańskiego kościoła w Gieble.

P. Chmiel przedstawił wreszcie udzielone mu przez p. d-ra Artura Benisa trzy odpisy aktów, zaczerpniętych z Metryki koronnej, a obejmujących serwitoriaty artystów.

Pierwszy z nich, z r. 1570, wydany jest dla Gabryela Domaratha, drugi z roku 1663 dla Jana Alexandrowicza, malarza lwowskiego, trzeci z r. 1677 dla Jana Flügel, malarza gdańskiego.

— Akademia na posiedzeniu walnem, które się odbyło d. 1 grud. 1903 r. uchwaliła przystąpić do wydania *Encyklopedyi Polskiej*.

Encyklopedya ta, objętości od 120—150 ark. druku, zawierać będzie w treściwem, ale ściśle naukowem przedstawieniu wszystko, co dotyczy historyi, literatury, językoznawstwa, etnografii, historyi cywilizacyi Polski, Litwy i Rusi.

Komitet redakcyjny niebawem rozpocznie swoje czynności, a samo wydawnictwo ukaże się odrazu w całości, i to prawdopodobnie najpóźniej po upływie lat pięciu. Wszyscy uczeni polscy, pracujący w odnośnych działach nauki, będą zaproszeni do współpracownictwa. Układ „Encyklopedyi“ nie będzie alfabetyczny, lecz obejmie poszczególne materye w osobnych monografiach.

NOWE KSIĄŻKI:

— Henryk Siemiradzki. Z 93-ma ilustracyami w tekście, dziesięcioma heliograwiurami, dwoma kolorowemi fac-similiami szkiców olejnych i portretem. Nakład i własność Gebethnera i Wolffa w Warszawie, 1904, str. 126, duże 4-o. P. Stanisław Lewandowski napisał ocenę działalności artystycznej Henryka Siemiradzkiego na tle epoki, w której twórca „Pochodni Nerona“ pracował. Starał się on wniknąć w dzieje rozwoju jego artystycznego, nie rozpisując się o człowieku, ale o artyście Siemiradzkim. Charakterystyka p. Lewandowskiogo, spokojna i rozważna, tu i owdzie zabarwiona polemiką z jednostronnem potępieniem twórczości Siemiradzkiego, doskonale objaśnia liczne i doskonale reprodukcye obrazów niedawno zmarłego mistrza. „Album“ to przynosi zaszczyt i firmie nakładowej i krakowskiej tłoczni W. L. Anczyca. Wyborne autotypie, liczne heliograwury arcydzieł Siemiradzkiego, mnóstwo światłodruków, odtwarzających szkice ołówkowe i świetne zwłaszcza szkice węglem, pozwalają nam wniknąć w całe bogactwo wielkiego talentu.

P. Lewandowski bardzo trafnie określił i wytłómaczył przyczyny, dla których Siemiradzki tworzył właśnie tak, jak tworzył, a nie tak, jakby sobie krytyk ten lub ów życzył. Ów tak często zarzucany „egzotyzm“ twórczości Siemiradzkiego, objaśniony jest duchową organizacyę malarza i warunkami pierwszych szkolnych wpływów. Nie obciążając „Albumu“ szczegółami biograficznymi, dał p. Lewandowski treściwy zarys najważniejszych momentów tego pracowitego i obywatelskiego żywota, który darem magnackim „Pochodni“ powołał do życia Muzeum narodowe w Krakowie. Pozostawiając kompetentnemu pióru ocenę artystyczną wydawnictwa, wyrażamy tu tylko szczere zadowolenie z tego, że ogół nasz otrzymał trwałą i cenną pamiątkę działalności Henryka Siemiradzkiego.

— „SZTUKA POLSKA“. Obok Albumu Siemiradzkiego, staje wspaniałe wydawnictwo, p. t.: „Sztuka Polska“ (ob. „Bibliografię“). Księgarnia

H. Altenberga we Lwowie powzięła bardzo trafną i bardzo obywatelską myśl: dzieła naszej sztuki w galeryach lub w zbiorach prywatnych zamknięte, uczynić własnością ogółu i za możliwie najniższą cenę uprzystępnić jak najszerszym warstwom naszego społeczeństwa. Pierwszy zeszyt tego wydawnictwa znakomicie wywiązał się z trudnego zadania. Daje on w doskonałej chromotypii Anczyca utwory Kossaka, Matejki, Grottgera i J. Malczewskiego, z objaśniającymi tekstami St. Tarnowskiego, St. Witkiewicza, Antoniewicza i Ad. Cybulskiego. Drugi zeszyt ma zawierać obrazy Axentowicza, Stanisławskiego, Tichego i Wyczółkowskiego. Jeżeli wydawnictwo znajdzie poparcie społeczeństwa — jak się należy spodziewać — księgarnia Altenberga zamierza uzupełniać je i równolegle z działem pierwszym (malarstwo), odtworzyć także dział drugi (rysunek) i trzeci (rzeźba).

Zeszyty ukazywać się mają w odstępach miesięcznych; całość będzie ukończona w grudniu r. 1904. Prenumerata roczna wynosi rb. 12. Zeszyt oddzielny rb. 1,50.

— Zasłużony kustosz zbiorów Towarzystwa Przyjaciół nauk w Poznaniu, dr Bolesław Erzepki, ogłosił tamże owoc długoletnich skrzętnych poszukiwań, liczne drobne utwory Franciszka Zabłockiego, dotąd rozproszone po niedostępnych drukach, albo ukryte w rękopisach, p. t.: „Pisma Franciszka Zabłockiego“. Wiersze i pamflety polityczne z czasu czteroletniego sejmu, drukowane dawniej jako utwory Trembeckiego, ukazują się tutaj po raz pierwszy pod nazwiskiem rzeczywistego autora, którym był Zabłocki. Po raz pierwszy wydrukował tu p. Erzepki cztery polityczne pamflety prozą. Dla zrozumienia całej epoki Stanisławowskiej jest ten tom „Pism“ Zabłockiego poprostu niezbędny. Tekst jest umiejętnie objaśniony w przypiskach i wydany według wszelkich wymagań naukowych.

KONKURSY. — Redakcya „Przeglądu Filozoficznego“, pragnąc ożywić ruch na polu naukowem, zainteresować młodzież bieżącemi kwestyami naukowemi i wciągnąć ją do warsztatu pracy naukowej, postanowiła od czasu do czasu ogłaszać konkursy prac filozoficznych na zadane tematy. Na pierwszy konkurs wybrano dwa tematy: „O przyczynowości“ i „O metodzie w etyce“. Redakcya „Przeglądu Filozoficznego“ tak objaśnia warunki konkursu:

Rozprawa „O przyczynowości“ może problemat ten traktować w jednym, lub też w kilku z tych licznych kierunków, w których bywa opracowywany. Wykluczone jest jedynie historyczne przedstawienie rozwoju samego problematu i związanych z nim poglądów. Autor może się zatem zająć rozbiorem krytycznym samego pojęcia przyczynowości, celem stwierdzenia, które cechy wchodzą w skład jego treści w obecnym stanie wiedzy; przedmiotem rozprawy może też być psychologia, bądź opisowa, bądź genetyczna pojęcia przyczynowości i przekonania o istnieniu stosunku

przyczynowego pomiędzy zjawiskami; nie mniej pożądanym będzie roztrząsanie metod, któremi posługuje się naukowe badanie, celem wykazania w konkretnych wypadkach związku przyczynowego; rozszerzając to pytanie, może autor rozpatrywać przedmiotową wartość naszych sądów o przyczynowości wogóle, co jednak i samo dla siebie może być tematem rozprawy; autor może się też zająć pytaniem, czy nie należałoby pojęcia związku przyczynowego zupełnie usunąć z badań naukowych, zastępując je pojęciem innem, np. pojęciem stałego związku, lub zależności, przyczem na szczególną uwagę zasługiwałby stosunek tych ostatnich pojęć do pojęcia związku przyczynowego.

Którą z wymienionych tutaj dla przykładu stron zagadnienia autor opracować zechce, pozostawia się jego własnemu wyborowi; wolno też obrać autorowi inną jeszcze, tutaj nie wymienioną, stronę zagadnienia. Na wszelki zaś wypadek należy rozprawę w tytule bliżej scharakteryzować, dodając pod ogólnym tytułem: „O przyczynowości“, odpowiednie określenie.

W rozprawie „O metodzie etyki“ również jest wykluczone historyczne przedstawienie rozwoju poglądów etycznych i naukowego ich traktowania. Wymaga się natomiast, aby rozprawa, wychodząc z założenia, że możliwe jest naukowe rozstrzygnięcie kwestyi trafności i mylności kryteryum etycznego, zajęła się pytaniem, na czem polega, albo powinno polegać logicznie uzasadnione przekonanie o trafności danego kryteryum. Skoro bowiem kryteryum etyczne wyraża się w sądzie, orzekającym, że postępowanie, posiadające pewne cechy, jest dodatnie w znaczeniu etycznem, przeto powstaje pytanie, czy sąd, wyrażający kryteryum etyczne, jest sam w sobie oczywisty, czy też wymaga uzasadnienia. W pierwszym wypadku należy bliżej określić charakter tej oczywistości, porównywając ją z oczywistością pewników i t. p.; w drugim wypadku należy wykazać przesłanki, z których kryteryum etyczne wypływa, jako też oznaczyć logiczny charakter rozumowania, mocą którego z owych przesłanek kryteryum, jako konkluzya wynika.

Rozprawy muszą być napisane oryginalnie i samodzielnie, z uwzględnieniem dotyczącej literatury i wymagań metody naukowej. Szczególny nacisk należy kłaść na ścisłość w rozumowaniu i na jasność w przedstawieniu rzeczy. Objętość rozpraw nie powinna przenosić czterech arkuszy druku formatu „Przeglądu Filozoficznego“. Rękopisy, pisane maszyną, zaopatrzone godłem, wraz z nazwiskiem autora w zamkniętej kopercie, należy nadesłać najdalej do dnia 15 lutego 1905 r. pod adresem: Warszawa, ul. Mokotowska № 47, Redakcya „Przeglądu Filozoficznego“.

W konkursie brać udział mogą tylko autorowie polscy.

Dwa najlepsze opracowania tematów konkursowych otrzymają nagrodę po 500 rubli, i będą drukowane w „Przeglądzie Filozoficznym“. Inne zaś prace, nienagrodzone, ale przeznaczone do druku w „Przeglądzie Filozoficznym“, otrzymają honoraryum autorskie w ilości rb. 20 od arkusza.

Skład sądu konkursowego będzie później ogłoszony.

Nagrodę pieniężną obecnego konkursu złożyli pp.: Władysław Gosiewski rb. 100; dr Rafał Radziwiłłowicz rb. 100; Stanisław Leszczyński rb. 100, prof. dr Ignacy Baranowski rb. 100, Leopold bar. Kronenberg rb. 200, prof. dr Maurycy Straszewski rb. 50, Jerzy Kurnatowski rb. 50, dr. R. Nusbaumowa rb. 50, Władysław Weryho rb. 250. *Razem rb. 1,000.*

KONKURS „PRZEGLĄDU POWSZECHNEGO“. — Miesięcznik krakowski ogłasza następujący konkurs, którego tekst zupełny tak brzmi:

W całym świecie katolickim rozpoczęły się na szerokie rozmiary przygotowania do wielkiej uroczystości ku czci Matki Bożej. D. 8 grudnia 1904 r. upływa 50 lat od chwili, w której ogłoszonym został dogmat Niepokalanego Poczęcia Najświętszej Panny Maryi.

Charakterystycznem znamieniem tych przygotowań, tak za granicą jak u nas, jest to, że bynajmniej nie zacieśniają się one do jednostkowego objawu czci religijnej, ale chcą nadto zostawić trwały ślad w różnych kierunkach życia publicznego, w życiu społecznem, w nauce i t. d.

W tym duchu chciałaby Redakcya „Przeglądu Powszechnego“ do obchodu tej uroczystej chwili, w swoim zakresie, przyczynić się. Chcielibyśmy spowodować ogłoszeniem konkursu, literackiego, ażeby nowa a trwała pamiątka czci Matki Bożej w naszym kraju, czci w narodzie tak powszechnej i z tyloma faktami dziejowymi związanej, pozostała, z okazyi tej uroczystości, w skarbcu naszej literatury.

Pewne powody przemawiają za tem, aby z różnych dziedzin twórczości umysłowej, wybrać ku temu celowi dziedzinę literatury pięknej. Będzie to przedłużeniem tej wielkiej tradycyi naszego piśmiennictwa, która zaczyna się pierwszym zabytkiem naszym „Bogurodzicą“, przesnuwa się jak nić złota przez wszystkie epoki, przez utwory największych naszych mistrzów, Mickiewicza, Słowackiego, Krasińskiego, Sienkiewicza (epos obrony Jasnogórskiej tak silnie odnowiła w pamięci ogółu obecna rocznica Kordeckiego), aż po najnowsze czasy, przez utwory Rydla i Wyspiańskiego.

W zakresie literatury pięknej nie zacieśniamy się naszym konkursem do żadnego określonego rodzaju, przyjmujemy wszystkie rodzaje i formy tak zwanej belletrystyki, czy będzie to rodzaj powieściowy, czy utwór poetyczny, czy dramatyczny.

Treścią tego utworu, albo przynajmniej głównym jego motywem, ma być temat, związany z postacią Najświętszej Panny, a związany jakkolwiek, czy z Jej życiem, działalnością, znaczeniem, czy z Jej wpływem na losy Kościoła, narodów i jednostek, czy z objawami Jej kultu... i t. d.

Prócz talentu, który jest rozstrzygającym warunkiem, stawiamy drugi, niezbędny, z samej natury tematu już płynący, warunek: zgodność w pojęciach i uczuciach z zasadami katolicyzmu.

Co do rozmiarów, wymaganą przez konkurs granicę stanowi pół arkusza druku (288 wierszy druku). Granicę wyższą zostawiamy do woli autorów, ażeby nie krępować twórczości.

Nagrody konkursu są dwie: najlepszy utwór otrzyma w nagrodę 1,000 koron, następny pod względem wartości 500 koron. Pozostające wybitne utwory zostaną chlubną wzmianką odznaczone.

W wypadkach, tekstem niniejszym nieokreślonych, rozstrzygnięcie zależy od sądu konkursowego.

Redakcya zastrzega sobie prawo pierwszego druku utworów nagrodzonych i odznaczonych, za co zapłaci autorom zwykłe swoje honoraryum.

Sąd konkursowy składają pp.: Julian Klaczko, Kazimierz Morawski, Józef Kallenbach, Antoni Mazanowski i ks. Jan Pawelski T. J. Gdyby się okazało, że liczbę członków sądu należy powiększyć, uczyni to Redakcya „Przeglądu Powszechnego“ w porozumieniu z członkami sądu konkursowego.

Czas konkursu kończy się z dniem 15 września 1904 roku. Wynik będzie ogłoszony w pierwszych dniach grudnia 1904 r., w grudniowym zeszycie „Przeglądu Powszechnego“.

Rękopisy, zaopatrzone godłem, wraz z zamkniętą kopertą, temże godłem naznaczoną, w której mieścić się ma karta z nazwiskiem i dokładnym adresem autora, należy nadsyłać pod adresem: Redakcya „Przeglądu Powszechnego, Kraków, Grodzka 43.

Wszystkie pisma uprzejmie upraszamy o powtórzenie niniejszej odezwy.

Redakcya „Przeglądu Powszechnego“.

BIBLIOGRAFIA.

FILOZOFIA.

Przegląd Filozoficzny. Rok VI. Zeszyt IV. *Treść*: Dr J. Kodisowa: Znaczenie kulturalne filozofii czystego doświadczenia. — Stanisław Brzozowski: Co to jest filozofia? — Dr Antoni Złotnicki: Istota filozofii. — Dr K. Krauz: Wiek złoty, stan natury i rozwój w sprzecznościach. — Przegląd krytyczny: Dr Z. Skórski: Pogląd Wundta na istotę sądu. — Przegląd naukowy: Dr R. Nusbaumowa: Teorya mechaniczna w świetle krytyki Stalla. — Przegląd systematów współczesnych: Lafcadio Hearu: Nirwana. — Autoreferaty: W. M. Kozłowski; Zasady przyrodoznawstwa w świetle teoryi poznania; Tegoż: Z haseł umysłowości współczesnej; Tegoż: Dekadentyzm współczesny i jego filozofia; Dr J. Kodisowa: Studya filozoficzne; J. N. Szuman: Materya ze stanowiska filozoficznego. — Sprawozdania.

F. Tönnies; Tomasz Hobbes. Życie jego i nauka. Przełożyła z niemieckiego L. Karpińska. Warszawa. Skład główny w księg. E. Wende i Sp. str. 283 + VII (1903). Wydawnictwo „Przeglądu Filozoficznego". Cena rb. 1 kp. 20.

NAUKI PRZYRODNICZE. — ROLNICTWO.

Józef Nusbaum, prof. uniw. lwow.: Podręcznik zoologii dla młodzieży od lat 10 do 14. Z 283 rysunkami w tekście. Wydanie drugie, poprawione i uzupełnione. Kraków. Nakł. Gebethnera i Sp., 1904.

Wład. Piasecki: Chmielarstwo. Podręcznik do użytku właścicieli chmielników i chmielarzy. Warszawa. 1903. Dodatek bezpłatny do „Gazety Rolniczej", str. 63.

Prace Sekcyi Rolnej w pierwszem półroczu 1903 r. (Dod. bezpł. do „Gazety Rolniczej". Warszawa. 1903, str. 194.

Z Filozofii Nauk Przyrodniczych. Sześć wykładów... prof. Jagiell. Wszechnicy (Rudzkiego, Witkowskiego, Natansona, Marchlewskiego, Garbowskiego i Straszewskiego) wydał i przedmową opatrzył dr Maurycy Straszewski. Warszawa, 1904, E. Wende i Sp. Str. XVI + 151.

Dochód z rozprzedaży niniejszej książki przeznacza się na założenie przyrodniczo-dydaktycznego muzeum im. Kopernika w Krakowie. Dary na ten sam cel można nadsyłać pod adresem Instytutu fizycznego w Krakowie, ul. św. Anny № 6.

Dr Ed. Toulouse i dr Z. Marchand: Mózg i jego czynności. Z 52 rysunkami w tekście. Z oryg. franc. przełożyła R. Nusbaumowa. Lwów. Nakładem księgarni H. Altenberga. Warszawa, E. Wende i Sp. 1904, str. 148. Cena kop. 60.

HISTORYA.

Józef Kard. Hergenröther: Historya powszechna Kościoła Katolickiego. Tom XV. Warszawa, 1903. (Od rewolucyi francuskiej aż do czasów dzisiejszych. 1789 — 1885). Str. VIII + 198 + Notatki bibliograficzne.

Rozprawy Akademii Umiejętności. Wydział Historyczno-Filozoficzny. Serya II. Tom XXI. W Krakowie, 1903, str. 340. *Treść*: 1. O. Balzer: Przyczynki do historyi źródeł prawa polskiego (1—151). 2. S. Kętrzyński: Ze studyów nad Gerwazym z Tilbury (152—189). 3. F. Bujak: O średniowiecznych mapach żeglarskich (z dwiema mapami) (190 — 264). 4. S. Zakrzewski: Ossyak i Wilten, Przyczynek do poznania związków dynastycznych Bolesława Śmiałego (265 — 340).

DZIEJE OŚWIATY. — KRYTYKA. — FILOLOGIA. SZTUKI PIĘKNE.

Archiwum do Dziejów Literatury i Oświaty w Polsce. Tom X. Kraków. Nakł. Akad. Umiej. 1904, str. 631. *Treść*: Dr R. Abicht: Życiorys Andrzeja Zbylitowskiego. — Dr Z. Celichowski. Polskie indeksy książek zakazanych. — Dr Antoni Karbowiak: Protokóły procesu X. Andrz. Czarnkowskiego z 1549 i 1550 r. — Tenże: Wizyta szkół gimnazyalnych w czterech departamentach Księstwa Warszawskiego w r. 1810. — Dr Ant. Kurpiel: Pięć listów Łuk. Górnickiego do M. K. Radziwiłła. — R. Plenkiewicz: Akta sądowe z w. XVI, użyte jako materyał do życiorysu J. Kochanowskiego. — J. Twardowski: Wizyta jeneralna szkół i zakładów edukacyjnych w gub. Mińskiej, odbyta w r. 1819.

Aleksander Brückner: Facecye Polskie z r. 1624. Kraków, nakł. Akad. Umiej, (Bibl. Pis. Pol., № 47), 1903, str. 202.

Tenże: Co nowego, Zbiór anegdot polskich z r. 1649. Kraków, 1903, str. 107. (Bibl. Pis. Pol., № 48).

Jan Karłowicz; Słownik Gwar Polskich. T. III. *L* do *O*. Kraków. Nakł. Akad. Umiej., 1903, str. 502.

Mikołaj Rey: Spólne narzekanie na niedbałość naszę. (Dokończenie „Żywota człowieka poczciwego"). Warszawa. Bibl. Dz. Wybor., № 308, str. 159.

Rozprawy Akad. Um. Wydział Filologiczny. Serya II. T. XXIII. Kraków, 1904, str. 397. *Treść*: 1. Józef Tretiak: Juliusz Słowacki. Historya ducha poety i jej odbicie w poezyi, Część I i II (1 — 291). — 2. Al. Brückner: Przyczynki do słownictwa polskiego (292 — 397).

Warszawska siedmioklasowa Szkoła Handlowa. Sprawozdanie za pierwsze dwa lata jej działalności (1900 — 1902), str. 351 + 4 nlb. + Plany i tablice.

Stanisław Witkiewicz: Aleksander Gierymski. Lwów. Nakł. Tow. Wydawn. Warszawa. Księgarnia S. Sadowskiego, 1903, str. 191.

Franciszek Zabłocki: Pisma. (Ody. — Pasterki. — Satyry. — Wiersze rozmaite. — Pamflety polityczne wierszem i prozą. — Przekłady i naśladowania. — Urywek różnych komedyj). Zebrał i wydał dr Bolesław Erzepki. Poznań, 1903, str. VIII + 400.

Sztuka Polska. Malarstwo. Zeszyt I. Jan Matejko: Zygmunt Stary, słuchający „Zygmunta", Tekst prof. St. *Tarnowskiego.* — Juliusz Kossak: Przeprawa rotmistrza pancernego przez Dniestr. Tekst Stan. *Witkiewicza.* — Artur Grottger: Portret Narzeczonej. Tekst prof. J. B. *Antoniewicza.* — Jacek Malczewski: Nieznana nuta. Tekst Ad. Ł. *Cybulskiego.* — Nakładem księgarni H. Altenberga we Lwowie. Warszawa. Skład w księgarni E. Wende i Sp. Wszelkie prawa zastrzeżone. Prenumerata roczna rb. 12. Półroczna rb. 6. Zeszyt oddzielny rb. 1 kp. 50.

POEZYA. — POWIEŚCI.

Czesław Jankowski: Młoda Polska w pieśni. Wybór celniejszych poezyi ostatniej doby. Wydanie drugie (przerobione, powiększone, dopełnione). Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1903. str. 430 + V.

Jerome K. Jerome: Dziennik wycieczki do Oberammergau. Przekład z ang Emilii Węclawskiej. Warszawa, 1903. Str. 151. Bibl. Dz. Wyb. № 307.

Marya Konopnicka: Drobiazgi z podróżnej teki. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1903, str. 196. (Gospa Regina — Drobiazgi włoskie.—Po drodze. — Sonety Prowansalskie. — Urbs Avinionensis.—U Felibrow. — Kartki Prowansalskie. — Na Alyscamps).

Henryk Sienkiewicz: Majakanvartia y. m. Kertomuksia. Gelsingissä (1903), str. 180. Przekład fiński pani Maila *Talvio* następujących utworów: Pojdźmy za nim. — Latarnik.—Janko Muzykant. —Jamioł.—Stary sługa. — Z pamiętnika poznańskiego nauczyciela.

Henryk Skirmuntt: Poezye. Warszawa. Gebethner i Wolff, 1903, str. 88.

Aleksander Smaczniński: Ze wspomnień. V. I. (Ze wspomnień. —Smutne a prawdziwe. — Ojciec. — W lesie.—Pierwsza książka.—Żebrak wioskowy), str, 301. Tom II. (Premiówka. — Pod strzechę. — Jeden z tych, o których nikt nie wie. — Zadosyćuczynienie.— Legenda). Warszawa, 1903. Skład główny w księgarni Jana Fiszera, Nowy Świat 9.

Karolina Świetla: Ostatnia pani Głogowska. Powieść z drugiej połowy XVIII stulecia. Przekład M. Cz, Przewóskiej. Warszawa, 1903. Bibl. Dz. Wybor., № 309, str. 68.

Witold Szyszło: W krainie Hesperyd. (Wyspy Kanaryjskie i Madera). Warszawa, 1904, str. 328 + IV. (Liczne illustracye w tekście). Nakł. Autora. Gebetner i Wolff.

SPRAWY SPOŁECZNE.

Stanisław Cieszkowski: Kwestye drażliwe i niedrażliwe w oświetleniu idealisty. Warszawa, 1904, str. 87.

X. Biskup K. Niedziałkowski: Snopek kąkolu. Warszawa, 1903, str. 129.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

Wyszedł z druku zesz. 6 t. VI Herbarza Polskiego, wydawanego przez Adama Bonieckiego, zawierający nazwiska od „Gołeccy" do „Gordziałkowscy".

Ukazał się zesz. 184 Słownika Geograficznego, zawierający dopełnienia od nazwy: „Rukszyszki" do „Szczuki". Z większych opracowań mieszczą się: „Ruś Czerwona", „Sokal". „Sołtanówka", „Sosnowiec", „Suwałki".

Rocznik Akademii Umiejętności w Krakowie. Rok 1902/3. Kraków, 1903, str. 175 + 8 tablic.

Sprawozdanie Czytelni akademickiej we Lwowie za rok administracyjny 1902/3. Lwów. Nakł. Towarzystwa, str. 114.

„Maryawita". Dwutygodnik dogmatyczno-ascetyczny ilustrowany. № 1. Rok I. Kielce. Seminaryum. 1903, str. 48. Pod redakcyą X. Winc. Bogackiego.

DLA DZIECI I MŁODZIEŻY. – ROZMAITOŚCI.

Jadwiga Chrząszczewska: O tem, co się niegdyś działo. Opowiadania z historyi polskiej. I. Wydanie illustrowane. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1904, str. 146. Karton.

C. Niewiadomska: W kółku rodzinnem. Powieść dla młodzieży z ryciną K. Górskiego. Warszawa, Nakład Gebethnera i Wolffa, 1904, str. 191. (Karton.).

Mieczysław Rościszewski: Pani domu. Skarbiec porad praktycznych dla Polek wszelkich stanów. Dzieło, opracowane na podstawie licznych źródeł swojskich i obcych. Warszawa. Nakł. księg. A. G. Dubowskiego, Marszałkowska 91, 1904, str. VII + 392. Cena rb. 1 kp. 70.

DYSKUSYA.

Z odpowiedzi d-ra A. Karbowiaka (B. W., grudzień), przekonywam się z ubolewaniem, że mą recenzyę (B. W., wrzesień) jego studyum o „Szkole pruskiej“, jakkolwiek nacechowaną szczerem dla Szan. Autora uznaniem, wziął sobie jednak Autor bardzo do serca, ze względu na zawarte w niej jedną i drugą uwagę krytyczną. Okazuje się mianowicie z odpowiedzi d-ra K., że pracę swoją, traktowaną przeze mnie, jako szkic dziejowy, autor uważa raczej za przygodną rzecz publicystyczną i że niesłusznie posądziłem go o zajęcie się dziejami szkolnictwa pruskiego na ziemiach polskich, gdyż tego w studyum jego „być nie miało i faktycznie niema“.

Wprawdzie dr K. zapowiadał w samej pracy *quaestionis*, iż w niej „uwzględnia najważniejsze momenta dziejowe“, oraz opiera się na „faktach i dokumentach“; wprawdzie właśnie szczere uznanie, żywione przeze mnie dla dotychczasowej działalności naukowej Autora, nakazywało mi i tę jego pracę traktować poważnie, a tem samem właściwie skłoniło do zwrócenia na nią uwagi czytelników B. W. Skoro jednak sam Szan. Autor jest zdania, iż w tym wypadku pracę jego przeceniłem, nie mogę oczywiście w zasadzie nic przeciw temu mieć do nadmienienia. Wobec nieporozumienia tego rodzaju. zbytecznem byłoby ponowne podkreślenie niewielu poczynionych przeze mnie pojedyńczych uwag krytycznych, gdyż przez Autora została zakwestyonowana nietyle ich ścisłość, ile raczej samo ich zastosowanie do jego pracy, jak się okazuje, nie naukowej, lecz publicystycznej. Ograniczam się przeto do podniesienia jednego tylko punktu ogólniejszego znaczenia, t. j. zbyt jednostronnego, mojem zdaniem, poglądu Autora na szkolnictwo pruskie, w ziemiach polskich. Twierdzę mianowicie, że, bez względu na pobudki aktualności, przy ocenie tych konkretnych zjawisk z przed stulecia, czy to badacz, czy nawet publicysta, powinien stać na czysto objektywnem stanowisku ściśle **porównawczem**, a więc ocenę ówczesnego szkolnictwa pruskiego uwarunkować przez porównawcze uwzględnienie stosunków w innych dzielnicach. Muiemam, że zbyt bezwględny sąd Autora, uległby pewnym modyfikacyom, gdyby był zechciał trzymać się tej nieodzownej zasady metodycznej. Nie wchodząc na tem miejscu w żadne bliższe szczegóły, kładę parę, pierwszych z brzega świadectw, lepiej, być może, myśl moją ilustrujących.

W raporcie Izby edukacyjnej Ks. Warszawskiego z r. 1808 (z archiwum okręgu naukowego warszawskiego, pod. przez p. H. Konica), czytamy. „Należy oddać sprawiedliwość rządowi pruskiemu, że władzę swą i moc nie chciał opierać na nieświadomości podległego sobie narodu. Przeciwnie, oświecenie wszystkich klas było zadaniem jego polityki, chociaż uważał ją za środek do osiągnięcia celów, wrogich naszej narodowości". Rząd pruski nie żałował również funduszów na cele oświatowe. W raporcie powyższym czytamy dalej: „Ogólny dochód, jaki fundusze edukacyjne (pojezuickie) dawały, wynosił kwotę złp. 923,217. Z tego źródła na ziemie pruskie wypadła tylko kwota złp. 363,555. Rząd pruski dodał w etacie do tej sumy złp. 359,813 gr. 23., a nadto przeznaczył na cele oświaty czwartą część rocznych dochodów z probostw. Wreszcie, w dwóch departamentach: bydgoskim i białostockim, w których funduszów pojezuickich nie było wcale, cały ciężar wychowania ponosił skarb pruski".

Prof. Chmielowski pisze: „Wysoko ukształcony minister stanu Voss, i przyjaźnie dla Polaków usposobieni pedagogowie niemieccy, dbali przedewszystkiem o to, ażeby młodzież szkolna odnosiła istotny pożytek z udzielanych sobie nauk i nie marnowała czasu na mechaniczne zapamiętywanie wiadomości w języku niezrozumiałym. To też zgodnie z tym głównym celem, wobec którego cel germanizacyjny usuwał się na plan dalszy, urządzono wykład w szkołach, i starano się przygotować zdolnych pedagogów, poczynając od szkół elementarnych". Tradycye Komisyi edukacyjnej i zasady pedagogiczne pruskie wpłynęły, jak twierdzi prof. Chmielowski, na ożywienie w Prusach południowych i nowo-wschodnich, a następnie w Księstwie Warszawskiem i Kongresówce zamiłowania studyów wychowawczych i rozbudzenia gorącej chęci przyłożenia się do dzieła oświaty krajowej.

System szkolny pruski niewątpliwie był wrogi naszej narodowości i niezmiernie dla niej szkodliwy i niebezpieczny. O to sporu chyba być nie może. Chodzi jednak o to, ażeby w ocenie tego systemu zachować właściwą miarę p o r ó w n a w c z ą; ażeby zarazem obok jego dążności politycznej, dla nas wrogiej, rozpoznać całkiem trzeźwo i bezstronnie jego wartość techniczno-wychowawczą, posiadającą swoje wysokie zalety i właśnie dla tego zbiegającą się z kulturalną inicyatywą naszej Komisyi edukacyjnej, aczkolwiek, rzecz prosta, dążącej w całkiem odmiennym, bo narodowym kierunku politycznym. Zresztą, te wszystkie ważne kwestye zasadnicze nie nadają się oczywiście do traktowania, w drodze polemicznej; to też, pozostawiając Szan. Autorowi uzasadnienie jego w tej mierze opinii w pracy już nie publicystycznej, ale naukowej, rezerwuję sobie udowodnienie mego odmiennego poglądu w ścisłych granicach przygotowywanej monografii o „Departamencie białostockim".

Co się tyczy wreszcie uczynionych mi przez d-ra K. zarzutów, jakobym miał „lekceważyć i obniżać wielkie zasługi tych, którzy dali pracę i kapitały na pomnikowe wydawnictwo warszawskie „Materyałów i opracowań, dotyczących wyższych zakładów naukowych w Polsce", jakobym pragnął „pouczyć Autora", siebie zaś zarekomendować, jako „gruntownego" krytyka i t, p., — to sądzę, że chyba nawet nie mam potrzeby oczyszczać

się z tak przykrych zarzutów wobec czytelników B. W., którym moja recenzya jest znana, i którzy w niej nie mogli wyczytać nic innego, jak tylko dowód istotnego zainteresowania recenzenta dla pożytecznej, interesującej, aczkolwiek niedość kompletnej i nieco jednostronnej pracy d-ra K.

Henryk Mościcki.

Na tem dyskusyę niniejszą na szpaltach naszych zamykamy.

Redakcya.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA
ADAM hr. KRASIŃSKI.

Z HISTORYI STANÓW GALICYJSKICH.

I.

Sejm stanowy, którym Austrya po pierwszym rozbiorze Rzeczypospolitej uszczęśliwiła „rewindykowaną“ Galicyę, ta instytucya, stanowiąca już wtedy anachronizm w dziedzicznych prowincyach państwa, karykaturalna w całym swoim ustroju, zwłaszcza na gruncie galicyjskim, z niezagłuszonem jeszcze echem dawnych sejmików, skazana od pierwszej chwili na bardzo rzadko odgrywaną rolę potulnej, polityczno-dekoracyjnej asystencyi dla gubernatorów lwowskich miał w całej swojej działalności jedną tylko chwilę rozgłośną, prawdziwie historyczną, gdy w r. 1848 członkowie jego, uniesieni wstrząsającym całą Austryą prądem wolnościowym, na zaproszenie gubernatora Franciszka hr. Stadiona, odpowiedzieli abdykacyą w lapidarnej uchwale, albo raczej w jednomyślnym okrzyku: niema sejmu! *) Po za tą chwilą z historyi galicyjskich Stanów, ze stanowiska interesu politycznego, zasługują jeszcze na wspomnienie niektóre momenty, nie z samej działalności, lecz z długiego, za kulisami sejmu rozegranego procesu organizacyi i reorganizacyi, jako następstwa wypadków i przejść wypełniających cały okres czasu od zaboru Galicyi do ustalenia się stosunków po kongresie wiedeńskim. Zbiegał się więc ten proces z szybko po sobie następującymi przewrotami europejskimi, wśród których granice posiadłości polskich w trzech mocarstwach rozbiorczych ciągle się chwiały. Wśród tych przewrotów granice rewindykowanej Galicyi przedewszystkiem ulegały zmianom, które wraz z ich przyczynami wojennemi odbijały się silnie na owym procesie organizacyi i reorganizacyi Stanów galicyjskich tak w Wiedniu, jak we Lwowie, w sposób rzucający światło na konstelacyę stosunków i na nastrój społeczeństwa polskiego w Galicyi i po za Galicyą, a poniekąd nawet, mianowicie w r. 1815, na stosunki mocarstw rozbiorowych.

*) *Biblioteka Warszawska* z r. 1901 — tom III str. 105 — 137 i 411—446 (szkic: „*Epilog Stanów Galicyjskich*“).

Co do składu sejmu stanowego, opierającego się nie na wyborze, lecz na stanowisku społecznem i opłacaniu minimum podatkowego, oraz co do jego zakresu działania, streszczającego się w „najpokorniejszem“ słuchaniu postulatów rządowych, które stanowiły rozkaz apodyktyczny, i na „najuniżeńszem“ lub „najpokorniejszem“ przedstawieniu życzeń adresowych, poprzednio przez przewodniczącego gubernatora za dopuszczalne uznanych—odsyłamy czytelnika do powołanego wyżej szkicu.

Wtłoczenie krewkiego aż do granic swawoli, ale gromem rozbiorowym w apatyę polityczną pogrążonego organizmu polskiego, w te cia sno przykrojone ramy konstytucyi stanowej — dokonane zostało za rządów cesarzowej Maryi Teresy, w trzy lata po zajęciu Galicyi, bez ostentacyjnych akcesoryów ważnego aktu politycznego, lecz niejako w formie aktu administracyjnego, mającego, jako naturalna konsekwencya aneksyi, zrównać Galicyę z innemi prowincyami monarchii, albo raczej wcisnąć ją na konstytucyjne łoże Prokrusta ówczesnej Austryi.

Cesarz Józef II zaraz po objęciu rządów (1782), skierował swoją gorączkę reformatorską także na mizerną konstytucyę stanową Galicyi, oczywiście nie z dążności do zwolnienia pęt włożonych życiu politycznemu, nawet nie z jakimkolwiek celem zasadniczego znaczenia. Chodziło tylko o pewne, małoznaczne zmiany, co do udziału duchowieństwa w kierunku cokolwiek ścieśniającym ten udział. Za to jednak ogłoszenie tej drobnej zmiany we Lwowie, odbyło się w taki sposób pompatyczny, jak gdyby chodziło o jaki wiekopomny akt konstytucyjny.

Cesarz Józef II, którego rządy tak dotkliwie zaciężyły na Galicyi naporem germanizacyjnym, uciskiem podatkowym i bezwzględnością reformatorską w zakresie stosunków kościelnych, liczył na wrażliwość temperamentu polskiego na formy i zaraz na wstępie swoich rządów (1781) uderzył w tę stronę, tworząc w Wiedniu osobną galicyjską gwardyę szlachecką, która nie stanowiła oddziału siły zbrojnej państwa, lecz korpusik dekoracyjny, przeznaczony do popisywania się swoją zewnętrzną okazałością przy uroczystościach dworskich. Na czele tej gwardyi postawił generała ziem podolskich Adama ks. Czartoryskiego i przepisał jej osobny uniform, w którym kontuszowe reminiscencye łączyły się z dodatkami, obliczonymi, według konceptu austryackiego, na żądzę teatralnej sensacyi u wiedeńczyków, tak skłonnych do gapienia się przy każdej uroczystości dworskiej, nawet przy takiej drobnej okazyi, jak codzienna zmiana straży wojskowej u bramy cesarskiego pałacu. Nie zawiodły cesarza Józefa II rachuby co do wiedeńczyków, którzy do syta nagapili się zaraz przy

pierwszem wystąpieniu szlacheckiej gwardyi galicyjskiej w jej roli dekoratorskiej. Za to co do społeczeństwa polskiego w Galicyi, cesarz od pierwszej chwili nie mógł wątpić o tem, że przerachował się na lekceważącem traktowaniu jego charakteru narodowego, że mimo jego okrzyczanej płochości, świadomość godności narodowej i pamięć wielkiej przeszłości zbyt jest głęboką, aby takie efektowne drobiazgi sprawić miały pożądane wrażenie.

Ktoby się tego spodziewał, że dziś, w 120 lat po tym fakcie, wśród stosunków zupełnie odmiennych, znajdzie się polski historyk 10-letniej zaledwie egzystencyi szlacheckiej gwardyi galicyjskiej, ubolewający nad tem, że społeczeństwo polskie w Galicyi nie poszło od razu na lep tego Józefińskiego umizgu, utrzymujący nawet, że był to błąd polityczny, który pozwolił zmarnieć dobrej sposobności do zdobycia dla Galicyi takiej pozycyi w monarchii habsburgskiej, jaką Węgrzy zajmują! „Gdyby nasi wpływowi przodkowie mieli zmysł polityczny — tak opiewa ta dziwna reprymenda historyczna — gdyby byli umieli pogodzić się z losem i owładnąć ówczesne przychylne nam i przyjazne usposobienie, gwardya galicyjska stałaby do dzisiaj pod bronią w Wiedniu, a kraj nasz zyskałby już wówczas te same prawa i przywileje, co Węgry“. *)

---

*) *Józef Wawel-Louis*: *Okruszyny historyczne*, zebrane po dawnych aktach, archiwach i dziennikach—Kraków 1898 (str. 5—6).

Autor ten, którego rachunek z krytyką historyczną, poniekąd w zaległość popadł, w czasie swojego urzędowania przy najwyższym trybunale sądowym i kasacyjnym w Wiedniu; zbierał, z wszelkiego uznania godną skrzętnością w zbiorach archiwalnych i w bibliotece nadwornej, materyały nieznane, do pierwszego okresu rządów austryackich w Galicyi. Z zebranego materyału powstał cały szereg szkiców, cennych głównie dla zawartości swojej. W opracowaniu zebranego materyału Wawel-Louis kierował się dziwną skłonnością do wydobywania i podnoszenia wszystkiego, co uchodzić może za jaśniejszy promień, w tej, tak z resztą ponurej, dobie dziejowej. W tej skłonności swojej — mówimy o skłonności, wykluczając próżną żądzę oryginalności—posunął się Wawel-Louis nieraz tak daleko, że w przeciwieństwie do obrazów, skreślonych o tej dobie zgodnie przez innych historyków, a nawet wprzeciwieństwie do współczesnych pamiętnikarzy (np. Fr. Karpińskiego), daje wprost do zrozumienia, że w tych obrazach prawda historyczna jest zamglona uprzedzeniami, że mianowicie więcej na ówczesnem społeczeństwie polskiem, niż na rządzie ciąży wina długiej rozterki. Czy Wawel-Louis patrzał na wszystko pod kątem dzisiejszego tak odmiennego systemu rządowego w Galicyi i wskutek tego już w przeszłości wyszukać pragnął jego zawiązki,

Jak na uniformie galicyjskiej gwardyi szlacheckiej nie żałowano sobie w Wiedniu kolorowych i złocistych sznurów, szlif, wypustek, pasów i t. p., tak przy pompatycznej instalacyi Stanów poświęcono tyle prochu na salwy i tyle butelek na galowe biesiady, jak gdyby chodziło o zapisanie tej uroczystości nietylko głęboko w pamięci uczestników uraczonych, lecz w ogóle w tradycyi przyszłych pokoleń. Gdybyśmy szczegółowy opis tych uroczystości znaleźli w jakim współczesnym pamiętniku, położylibyśmy go na karb naiwnego zachwytu świadka, który olśniony niewidzianą dotąd paradą, a może i przy tem dobrze uraczony, nie myślał już o niczem więcej, ani o przeszłości, ani o przyszłości. Ale mamy przed sobą wydobyty przez założyciela biblioteki Ossolińskich z archiwum wiedeńskiego oryginał relacyi przez ówczesnego gubernatora galicyjskiego hr. Brigido d. 18 wrze-

---

czy przy przygodnem tylko badaniu z amatorstwa, a nie z planu umiejętnie zakreślonego, przypadek nasuwał mu pod rękę tylko same rzeczy, dogadzające tej skłonności, czy wreszcie, co może najwięcej zbliża się do prawdy, obie przyczyny złożyły się na taki rezultat—tego domysłem rozstrzygać ani chcemy, ani możemy. Tego jednak pominąć niepodobna, że taką metodą przy nierównie większym, wprost nawet wybitnym, talencie pisarskim i sprycie kombinacyjnym, niehamowanym ani zbytkiem dobrej wiary, ani skrupulatnością naukową, inny (niemiecki) historyk biurokratycznego autoramentu, Maurycy hr. Sala, zdołał nawet dzieje krwawych wypadków galicyjskich z r. 1846, przedstawić w jasnem dla rządu austryackiego świetle. Przygodne tylko badania archiwalne w Wiedniu, snać nie zawiodły Wawela-Louisa do tajników kancelaryi nadwornej, zkąd wprawdzie historycy *à la* Sala mogą także wydobywać potrzebny dla swojej tendencyi materyał, zkąd jednak historyk polski, nie zdoła przy najlepszej chęci wysnuć węzła łączącego dzisiejszy system rządowy Austryi, w Galicyi, z postępowaniem jej pierwszych po aneksyi urzędników, zwłaszcza w dziale politycznej administracyi. Cząstkę materyału, ten dział objaśniającego, posiada Zakład Ossolińskich we Lwowie, w oryginalnych aktach i odpisach, dzięki jego założycielowi i jego wpływowemu stanowisku, w Wiedniu zdobytych (Rps. Nr. 525 w dwóch wielkich tomach), a już z tego materyału przekonać się można, że nawet w Wiedniu, gdy za czasów Leopolda II odbywały się poufne konferencye nad konstytucyjnymi dezyderatami szlachty galicyjskiej (1790), uznano system reprezentowany w Galicyi przez pierwszych urzędników-przybłędów, za główne źródło panującego niezadowolenia.

Z niewyzyskanych dotąd w zupełności aktów tego rękopisu Zakładu Ossolińskich, głównie czerpany był materyał do niniejszego szkicu. (Przyp. autora).

śnia 1782 r., bezpośrednio do cesarza Józefa II wystosowanej. Zasługuje ona na przytoczenie w całości, chociażby tylko jako *curiosum* nieobojętne dla charakterystyki tych czasów.

„Plac przed kościołem po-jezuickim—pisze hr. Brigido—zajęły z trzech stron, oprócz batalionów lwowskiej załogi, dwa umyślnie na tę uroczystość sprowadzone oddziały szwoleżerów, a z czwartej strony placu ustawiło się mieszczaństwo w grupach cechowych ze sztandarami. Przed kościołem stała także część załogi. Pierwszy sekretarz gubernialny Feldhofer i sekretarz prezydyalny Wenger jechali w jednym powozie naprzód z dokumentem przywileju stanowego, za nimi wszyscy radcy gubernialni i fiscus królewski, a w końcu ja sam w sześciokonnej karecie, dokoła trzech stron placu przez wojsko obsadzonych aż pod kościół, zkąd naprzeciw mnie wyszli dwaj komisarze i zgromadzona szlachta. Poprzedzony przez personel gubernialny, udałem się przed wielki ołtarz, zasłonięty od góry do dołu czerwonym adamaszkiem z herbem Galicyi w środku. Ściany kościoła były także osłonięte taką samą materyą ze złotymi bortami. Po prawej stronie wielkiego ołtarza, ustawiony był tron, obity czerwonym aksamitem ze złotymi bortami. Pod tronem stał tak samo ozdobiony fotel, a u góry zawieszony był portret cesarski. W środku kościoła przed wielkim ołtarzem, stał na podniesieniu pokrytem czerwoną materyą adamaszkową, stół, takąż materyą pokryty, z krzesłem dla mnie. Po lewej stronie na boku stał drugi stół dla królewskiego fiscusa i obu sekretarzy. Na chórze powyżej organów umieszczony był orzeł cesarski, a podłoga była całkowicie tapetami wyłożona.

„Szlachta narodowa zajęła miejsca w kościele bez różnicy, chór i boczne miejsca były przeznaczone dla innej szlachty obojga płci, gości cywilnych i wojskowych oraz dla honoracyorów wszelkiego rodzaju, którzy bardzo licznie pośpieszyli na tę uroczystość i przez straże, ustawione u wszystkich drzwi, wpuszczani byli do kościoła, o ile to bez obawy przykrego ścisku możliwem było. Na przeznaczonym dla mnie stole złożono przywileje stanowe, a gdy zajęłem krzesło dla mnie ustawione, fiscus i obaj sekretarze stanęli przy drugim stole. W krótkości przedstawiłem szlachcie dobrodziejstwo, jakie na nią z zaprowadzenia Stanów spływa, a potem kazałem pierwszemu sekretarzowi Feldhoferowi odczytać głośno przywilej. Po nim fiscus odczytał głośno i dobitnie treść przysięgi, złożyć się mającej, a sekretarz prezydyalny Wenger przypomnienie, że zgromadzona szlachta ma trzy palce do góry podnieść i za mną powtarzać formułę przysięgi, którą też potem wygłosiłem i którą za mną wszyscy powtórzyli. Teraz ozwała się pierwsza salwa karabinowa, dana przez wojsko pod kościołem ustawione, a zarazem salwa z dział na wałach. Potem wy-

głosiłem krótką przemowę, na którą imieniem całej szlachty odpowiedział łaciński arcybiskup Kicki, dobrze ułożonem podziękowaniem. Po tej mowie szlachta w całym komplecie udała się do kościoła katedralnego, dokąd i ja udałem się w takiem samem otoczeniu i w takim samym porządku, jak do kościoła pojezuickiego. Podczas podniesienia ozwała się druga salwa karabinowa i działowa, a gdy arcybiskup Kicki zaintonował „Te Deum“, dano trzecią salwę.

„Po skończonem nabożeństwie w ten sam sposób odjechałem do mojego mieszkania, gdzie odbył się obiad dla znakomitszych osób ze szlachty, dla biskupów, szefów samodzielnych urzędów, generałów i oficerów sztabowych, razem około 40 osób. Podczas obiadu trzy razy t. j. przy toastach na pomyślność Najjaśniejszego Pana, najdostojniejszego domu cesarskiego i Stanów, zagrzmiało 44 dział wśród wesołego odgłosu podwójnego chóru trąb i kotłów. Na przyjęcie szlachty wynajęto dom Korytowskich, w którym zastawiono sześć stołów dwa po 60 a cztery po 20 nakryć. Wieczorem odbyła się u mnie kolacya na 40—50 osób, a potem w domu Korytowskich bezpłatna redu-ta, na którą szlachta, radcy i oficerowie mieli wstęp wolny, a inni znamienitsi urzędnicy nie szlacheckiego pochodzenia, członkowie magistratu i mieszczaństwo za biletami. Pokoje piętrowe, w których znajdowała się muzyka, były na tańce przeznaczone, a na dole podawano każdemu chłodniki, zimne potrawy i wino.

„Następnego dnia, 12 września, były u mnie znowu, obiad i kolacya, a w domu Korytowskich zastawiono powtórnie sześć stołów na 200 osób, dnia 13 września oprócz obiadów urządziłem wieczorem przyjęcie, na którem przybywających ugościłem chłodnikami różnego rodzaju.

„Dnia 14 września odbyło się pierwsze zgromadzenie Stanów, na którem wybrano deputatów do wydziału, sekretarza stanowego i archiwaryusza. Potem były obiady, u mnie i w domu Korytowskich, a wieczorem spalone zostały, przez umyślnie na tę uroczystość sprowadzonego, wiedeńskiego pirotechnika Stuwera, ognie sztuczne, którym wszyscy przypatrywać się mogli. Dla dam i szlachty urządzono osobną galeryę, z której wygodniej można było oglądać to przedstawienie. Wreszcie 15 września po obiadach, danych tak samo, jak poprzednio, i po kolacyi u mnie, zakończono pięciodniowe uroczystości ponowną, bezpłatną redutą. Proszonym na obiady członkom Stanów i reszcie szlachty oraz oficerom sztabowym, rozdałem u siebie, każdemu własnoręcznie, a w domu Korytowskich przez komisarzy przy każdym stole posadzonych, małe złote i duże oraz mniejsze srebrne monety pamiątkowe. Tylko znakomitsi magnaci i szefowie otrzymali duże, złote medaliony“.

Końcowy punkt całego programu przyjęć gubernatorskich, bezpłatna reduta, stanowił niejako symboliczny finał tej maskarady konstytucyjnej, która byłaby kompletna, gdyby w powyższej relacyi hr. Brigida znajdawał się jeszcze ustęp o tłumach ludności, witających entuzyastycznemi okrzykami rządowych i stanowych matadorów za każdem ich pompatycznem pojawieniem się na ulicy. Niema jednak takiego ustępu w relacyi gubernatorskiej, czego zapewne nie należy położyć na karb zapomnienia lub skromnej dyskrecyi. Hr. Brigido był nadto poważnym, a do tego i prawym, żeby to chciał wprost zmyśleć dla przypodobania się swojemu monarsze, chociaż podczas festynów gubernatorskich, zwłaszcza podczas obliczonych na rozweselenie pospólstwa, pewnie nie obeszło się bez tłumu gapiów, w których bez kontroli wmówić można było wezbrane uczucia lojalności i zachwytu dynastycznego. Hr. Brigido był w ogóle wstrzemięźliwym w opisywaniu hałaśliwych uroczystości stanowych, z czego jak niemniej z innych szczegółów, mianowicie ze znacznych wydatków, oczywiście ze skarbu państwa pokrytych, i z wysłania pirotechnika wiedeńskiego do Lwowa, wnosić można, że był nie autorem, lecz tylko ścisłym wykonawcą, podyktowanego mu w Wiedniu programu festynowego.

W inny jednak sposób, za pomysłem i wpływem hr. Brigida, skompletowana została cała ta maskarada konstytucyjna. Grono członków zebrania stanowego, prędzej na własny rachunek niż z jego upoważnienia, wystosowało do cesarza Józefa II, zaraz po zakończeniu uroczystości instalacyjnych, adres dziękczynny, pełen uwielbienia dla monarchy, tak samo, jak pełną przesady była cała ta uroczystość. Historyk upatrujący w utworzeniu galicyjskiej gwardyi szlacheckiej dla parady dworskiej w Wiedniu, ujawnienie dążności do wyniesienia Galicyi na równe Węgrom stanowisko konstytucyjne, mógłby snadnie w tym adresie znaleźć dowód, że także i w ówczesnym nastroju szlachty polskiej w Galicyi, przebłysła świadomość tej dążności, wraz z pełnem zaufaniem do przyszłych rządów Austryi w Galicyi. Oto brzmienie tego adresu, napisanego po francusku, a podpisanego przez Andrzeja hr. Zamoyskiego, Ignacego hr. Cetnera, Antoniego hr. Krasickiego, Michała Wielhorskiego, Józefa Bratkowskiego i Samuela Lewickiego:

„Od czasu przejścia pod rządy dostojnej dynastyi austryackiej aż do tej chwili szlachta Galicyi i Lodomeryi nie mogła jej złożyć innych dowodów swojego oddania i przywiązania, jak tylko swoją powolnością, uległością i ślepem posłuszeństwem (*l'obéissance la plus aveugle*). Wprawdzie nagła zmiana rządu, z początku przeraziła umysły ludności zawsze bardzo przejętej, a nawet zentuzyazmowanej swoją wolnością, wprawdzie pierwsze rozporządzenia wzbudziły

w niej pewną trwogę, a nawet przestrach paniczny, co stanowi naturalny i nieunikniony skutek wszelkiej nowości, następstwa jednak zaczęły rychło rozpraszać obawy i odsłaniać realne korzyści, które stanowczo zapewnia rząd uważający za swoją podstawę, dyrektywę i cel dobro każdej jednostki i szczęście całego kraju. Odkąd naród poznał Waszą Cesarską Mość, odkąd spostrzegł, że jego monarcha chce wysłuchać życzliwie i bez różnicy wszystkich swoich poddanych oraz przyjmować dobrotliwie ich zażalenia, odkąd naród uczuł skutek ojcowskiej troskliwości W. C. M. w sprawie monopolu soli, wszystkie jego obawy znikły, a w ich miejsce wstąpiła nadzieja najlepsza. W końcu ustanowienie Stanów przekonało nas, że bez predylekcyi dla dawnych poddanych, W. C. M. korzyści nowych poddanych zalicza do swoich najszczerszych zajęć. Zapewniając uszczęśliwienie wszystkim klasom ludności W. C. M. daje poznać całemu światu, że nie chce mieć niewolników w żadnym kraju swoim. Czyż można sobie wyobrazić motyw silniejszy, aby przywiązać nas wszystkich węzłami nierozerwalnemi do naszej ojczyzny i do naszego monarchy? Hasło monarchy, który zaznacza początek rządów swoich aktami ludzkości, szlachetności i podniosłości ducha, może tylko podniecić gorliwość każdego poddanego, a wzbudzając w nim cześć, miłość i zaufanie tak go nastroić, aby niezawodnie stał się zarówno wiernym poddanym, jak i pożytecznym obywatelem. Uznajemy wszystkie te korzyści. Przejęci najżywszą i najszczerszą wdzięcznością ośmielamy się prosić W. C. M. o pozwolenie, aby przynajmniej dwaj nasi współobywatele mogli bez kosztów dla Stanów zanieść do stóp tronu nasze serca przepełnione miłością, wiernością, przywiązaniem i najzupełniejszem poświęceniem. Ogłoszenie przywilejów zawartych w ostatnim dyplomie, stanowić będzie w naszych annałach epokę na zawsze pamiętną. Pragniemy tego, aby akt ten, uwydatniający tak dobrze w naszych oczach podniosłość duchową W. C. M. i wnoszący fundamenta dla szczęśliwości nowego ludu W. C. M., został wydrukowany i opublikowany całemu narodowi w tym celu, aby każdy mógł nieustannie żywić w sercu swojem obowiązki wierności i pobudki wdzięczności."

Jakiż to smutny obraz zgnębienia, upadku na duchu, jednem słowem, zupełnej prostracyi, przedstawia się w tym adresie! O biedzie i potrzebach kraju niema ani słówka, a gęstą mgłą frazeologii adresowej osłonięto lakoniczną tylko wzmiankę o pierwszych rozporządzeniach rządu austryackiego w Galicyi, które wzbudziły „pewną trwogę, a nawet przestrach paniczny" i zaraz potem autorowie adresu, jak gdyby okazać chcieli, że ten przestrach, jeszcze ich nie opuścił w chwili pisania adresu, nazywają to wszystko tylko

„naturalnym i nieuniknionym skutkiem wszelkiej nowości i rozpływają się w uwielbianiu całego postępowania Józefa II. Wprost już na śmieszność zakrawa ostatni ustęp, gdzie, jakby o jaką wielką łaskę, autorowie adresu proszą o pozwolenie, aby dwaj współobywatele mogli własnym kosztem pojechać do Wiednia i powtórzyć u stóp tronu całą w adresie zawartą frazeologię dziękczynną. Co stanowi obowiązek każdego rządu w ogóle, t. j. jak najszersza publikacya wszystkich ustaw i rozporządzeń, a tem więcej takich aktów konstytucyjnych, jakim wrzekomo był nowy dyplom stanowy, to w adresie przedstawione jest jako pragnienie, którego spełnienie miałoby oczywiście być poczytane za nowy dowód monarszej łaskawości i w konsekwencyi może za pretekst do—nowego adresu dziękczynnego.

W kilka lat później świeży prąd polityczny, który z sejmu warszawskiego, przygotowującego konstytucyę majową, mimo czujności kordonowej dostał się do Galicyi, jakby cudowną siłą pokrzepił i ożywił ducha publicznego w całem polskiem społeczeństwie Galicyi. Z innego jeszcze powodu sytuacya uległa tutaj zupełnej zmianie. Do następcy zmarłego Józefa II, do cesarza Leopolda II, którego wstąpienie na tron, poprzedziły wielką otuchę wzbudzające wiadomości o zapowiadającym się nowym systemie rządów, pospieszyła do Wiednia już bez poprzedniego błagania o pozwolenie i nie na własną rękę, lecz za zgodą całego obywatelstwa polskiego, nowa deputacya galicyjska z nowym adresem albo raczej memoryałem i z projektem nowej konstytucyi dla Galicyi, projektem szczegółowo opracowanym, oryginalnym i zupełnie odmiennym od szablonu stanowego, reklamującym dla Galicyi stanowisko odrębne, pod niejednym względem wybitniejsze od tego, jakie w monarchii Węgry zajmowały. Jakże odmiennie od adresu brzmi memoryał wręczony w 1790 r. cesarzowi Leopoldowi II, a podpisany przez Stanisława ks. Jabłonowskiego, Mikołaja hr. Potockiego, Józefa Maxymiliana hr. Ossolińskiego, Jana hr. Bąkowskiego, Piotra Zabilskiego i Jana Batowskiego.

Dla zaznaczenia wielce charakterystycznego kontrastu między poprzednim a tym nowym adresem, przytoczymy tutaj tylko urywkowe ustępy, które stanowią formalne *desaveu* tego wszystkiego, co przedtem o rządach austryackich wypowiedziano w adresie józefińskim, które zatem jako tym razem szczere wynurzenie, uważać należy za wierny wyraz opinii całego obywatelstwa o całem dotychczasowem postępowaniu rządów austryackich w Galicyi.

„Bez przesady można powiedzieć—mówi nowy adres—że Galicya, która dawniej Wisłą, Bugiem i Sanem wywoziła wielką część swoich produktów na targi nad Baltykiem, popadła obecnie w zależność od sąsiadów, nawet co do warunków egzystencyi, a pozbawiona

zupełnie handlu wywozowego sprowadza artykuły żywności z Polski, inne przedmioty zaś potrzebne do codziennego życia z innych prowincyi monarchii, wskutek czego znany jej jest tylko najgorszy rodzaj handlu, t.j. handel przywozowy. Rolnictwo, ta silna podstawa bogactwa krajowego w państwie, a jedyne źródło bogactwa w kraju rolniczym, zupełnie upadło w Galicyi. Jej ludność zmniejsza się widocznie z dnia na dzień, pieniądz odpływa z niej ku zagranicy, odsetki od kapitału idą w górę, wartość dóbr spada, a z tych, co w chwili rewindykacyi uchodzili za majętnych, dziś zaledwie niektórzy dobrze się mają. Kapitaliści, którzy pragnęli zostać właścicielami ziemskimi, zaraz po nabyciu majątków ziemskich znaleźli się wobec grozy bankructwa. Wysokość podatków przewyższa czysty dochód opodatkowanych, a ciężary pośrednie pozbawiają ich nawet tego, co jest do życia potrzebnem. Wszystko jest obłożone ciężarami, nie wyjmując kapitałów ulokowanych po za krajem pod osłoną innego rządu. Narodowość polska unicestwiona, zamiast być częścią integralną monarchii, stała się poddaną narodu panującego. Obywatel usunięty od wszelkiej funkcyi w administracyi, stał się obcym we własnej ojczyźnie, nie może ani dostąpić zaszczytu służenia krajowi, ani znaleść sposobu dopełnienia najwyższych obowiązków wobec kraju i swojego monarchy. Nie wiele braknie, żeby interesa prywatne, tak samo jak publiczne, dostały się w ręce obcych przez zaprowadzenie w trybunałach sądowych języka, którego nie z własnej winy nie znamy. Stany są tylko cieniem, przedstawiającym faktycznie unicestwioną narodowość, a wskutek błędnej organizacyi nie są nawet w stanie u stóp tronu wyrazić żalów i zwątpienia całego narodu... Wolność naturalna i obywatelska, prawa nienaruszalne człowieka i obywatela, są skrępowane więzami wielu przepisów, które bądź to temu, kto w kraju rodzinnym popadł w niełaskę uniemożliwiają szukanie lepszego losu po za jego granicami i opuszczenie społeczeństwa, w którem czuje się nieszczęśliwym, bądź krępują właściciela w rozporządzeniu mieniem, zdobytem w pocie czoła. Nawet notorycznie nieposzlakowani ludzie drżą na myśl prawa karnego, gdyż błędy, uchybienia i przestępstwa są pomieszane ze zbrodniami i dotknięte takim samym rodzajem kary, wcale nieustopniowanej według głosu opinii. W stosunkach domowych nie istnieje już ta łączność interesów, która niegdyś wzmacniała węzły rodzinne. Dziedzic widzi w włościaninie człowieka ciągnącego korzyści z jego strat, a włościanin upojony jest nadzieją, że zabierze resztę uprawnień dziedzica. Ów węzeł władzy, który utrzymywał wszystkich poddanych, jednych przez drugich, w zawisłości od władzy najwyższej, za pomocą którego szef ustroju politycznego silnie oddziaływał nawet na klasy naj-

więcej od centru akcyi oddalone, został zerwany. Niemniej smutnem jest to, że zaufanie, mające łączyć członków państwa z rządem, zostało od chwili, gdy on nie dopełnił wielu zobowiązań zaciągniętych wobec poszczególnych obywateli, tak zachwiane, iż nawet najkorzystniejsze jego propozycye przyjmowane są z nieufnością. Ustawy dawne pozostają bez mocy, a ponieważ nowe nie są wcale zastosowane do fizycznych i moralnych potrzeb kraju, ani nie zostały dotąd pod innymi względami skrupulatnie ze stosunkami rozważane; gdy za jednym zamachem obalono dawne urządzenia; jak wiele przyczyniać się musi do dowolności niższych organów brak ścisłości w rozporządzeniach, mnogość zakazów rozmaitych i niestałość systemów! Najlojalniejszy obywatel nie zdoła uniknąć tego, żeby się nie stał winnym jakiego przekroczenia. Władza wykonawcza nie jest wprawdzie dość silną, aby utrzymać w mocy ustawę szkodliwą dla całego kraju, ale aż nadto jest silną, gdy chodzi o jej przeparcie na udręczenie jednostki. Jest to niewątpliwie najsmutniejsze położenie społeczeństwa, jeżeli ustawa, mająca jak tarcza zasłaniać spokojnego obywatela, zostaje przeciw niemu skierowana, jakby broń zaczepna, jeżeli urzędnicy powołani do wykonania najwyższej woli, przez interpretacyę ustaw uzurpują dla siebie niejako władzę ustawodawczą, gdy wreszcie sami urzędnicy mogą nadto jeszcze zaostrzać surowość rozporządzeń dokuczliwością osobistych charakterów. To też w takim stanie rzeczy, istotnie jesteśmy wystawieni na despotyzm urzędników cyrkularnych i wydani na pastwę tłumu komisarzy. Nawet sądownictwo powiększa brzemię ciężarów. Nie rozwija ono dostatecznej siły, aby zabezpieczyć własność i wolność obywateli, aby osłaniać i bronić niewinnych. Przemożna w kraju jurysdykcya polityczna przygniata powagę sądownictwa... Nasze dolegliwości wzrastają nieustannie, a sprawa pańszczyzniana doprowadziła je do szczytu... Taki jest smutny, ale prawdziwy obraz naszego położenia. Tylko mądrość Waszej Cesarskiej Mości może ustrzedz wiernych poddanych od ruiny grożącej z anarchii, której na pastwę jesteśmy oddani."

O galicyjskim projekcie konstytucyjnym z r. 1790, o obradach prowadzonych w tej sprawie w najwyższej warowni biurokratyzmu austryackiego, w kancelaryi nadwornej, częściowo i chwilowo przy udziale deputatów galicyjskich i o upadku projektu, z przedwczesnym zgonem cesarza Leopolda II, posiadamy monografię wyczerpującą co do żądań sformułowanych w poszczególnych punktach projektu.[1]) Czy-

[1]) Prof. dr Stanisław Starzyński: Projekt galicyjskiej konstytucyi 1790 r. Charta Leopoldina—Lwów, 1893 r.

telnika, chcącego poznać w całości ten bardzo ciekawy akt polityczny z doby porozbiorowej, musimy odesłać do tej monografii. Tutaj zaznaczymy tylko, że dzisiejsze pokolenie polityczne, które tak wiele rozprawia o planie wyodrębnienia Galicyi, a nie zdobyło się jeszcze dotąd na pozytywny, w szczegółowem sformułowaniu postulatów i sposobu ich wykonania, wykończony projekt, powinno być oględne i pobłażliwe w wydawaniu sądów o tym akcie z przed 115 lat, mianowicie o jego nieskładności, do pewnego stopnia nawet naiwności ze stanowiska postulatów, które dzisiejsza nauka o państwie stawia co do stosunku władzy ustawodawczej do wykonawczej i t. p. Zresztą w całkowitą wykonalność tego projektu nie wierzyli zapewne sami twórcy. W każdym razie jednak mogli spodziewać się, że życzliwym dla Galicyi intencyom cesarza Leopolda II dostarczyli pożądanego substratu do takiego unormowania ustroju konstytucyjnego tej prowincyi, jakie w danych warunkach najlepiej odpowiedziałoby tak narodowym aspiracyom społeczeństwa polskiego, jak i interesowi państwa pod względem utrwalenia rządów w najświeższym nabytku terytoryalnym.

Akcya deputatów galicyjskich w Wiedniu, ożywiła nadzwyczajnie polityczne życie w ówczesnem społeczeństwie polskiem Galicyi. Pozawiązywały się pod okiem dość liberalnie na cały ten ruch patrzącego gubernatora hr. Brigida, komitety obywatelskie w stolicy i w kraju, toczyły się na nich ożywione obrady i prowadzona była między ich członkami obfita korespondencya, jednem słowem rozbudziło się chwilowo takie życie polityczne, jakiego nie było jeszcze w Galicyi od chwili jej przyłączenia do Austryi, jakiego nie można było nawet oczekiwać po martwocie józefińskiego okresu, kiedy to „powolna, uległa i ślepo posłuszna“ szlachta streszczała swoje adresowe dezyderaty w błagalnej prośbie o—opublikowanie dyplomu stanowego! Z pism i listów przechowanych z tej doby, w rękopiśmiennych zbiorach lwowskiego Zakładu Ossolińskich, powziąć można nawet korzystne wyobrażenie o rozbudzonym, za wpływem jednoczesnej akcyi sejmu czteroletniego, zmyśle politycznym w nowowstępujących na widownię działaczach publicznych. Z wielką ostrożnością np. rozbierana jest poruszona wówczas, nietylko w kraju lecz także i w Węgrzech myśl, aby z tytułu rewindykacyjnego wysnuć żądanie przyłączenia Galicyi do królestwa węgierskiego. Późniejsze wypadki, nie mówiąc już o najświeższych, wykazały słuszność tej ostrożności i nieufności.

Deputaci galicyjscy w Wiedniu trafnie ocenili potęgę biurokracyi i dla tego z największą usilnością dążyli do tego, aby ona nie stanęła między nimi a cesarzem Leopoldem II, z którego ust na au-

dycncyi usłyszeli wiele oświadczeń zachęcających. Z drugiej strony znowu, biurokracya, opierająca całą potęgę swoją na odgrodzeniu murem chińskim poddanych od monarchy, widziała, że gdyby co do Galicyi powiódł się zamach na tę podstawę jej wszechmocy, to z poniesionej klęski, albo wcale, albo nie rychło mogłaby się podźwignąć. Gdy cesarz zdawał się być skłonnym do uwzględnienia życzeń deputatów, aby dwaj z ich grona pozostali w Wiedniu i uczestniczyli w obradach komisyjnych kancelaryi nadwornej nad wniesionym projektem konstytucyjnym, jędza biurokratyczna rzuciła się z całą zaciekłością przeciw temu żądaniu. W ówczesnych protokółach wiedeńskiej kancelaryi nadwornej mieści się zjadliwe oświadczenie w tej mierze. Komisya uznaje w tem oświadczeniu „usunięcie galicyjskich deputatów od wszelkiego dalszego wpływu na załatwienie spraw krajowych, rzeczą jaknajdobitniejszej konieczności i jak najwyższej wagi“ i tak mówi dalej: „Niemożna sobie wystawić nic więcej poniżającego dla tronu, nic zgubniejszego, jako przykład dla innych prowincyi, jak samo wejście w rozprawę z deputatami galicyjskimi w sposób formalny... Propozycye ich są tego rodzaju, że dziwić się należy, iż one w ogóle powstać mogły... Naród jest spokojny i spokojnie oczekuje decyzyi Waszej Cesarskiej Mości o przyszłej konstytucyi krajowej. Przyjmie ją też z uczuciem wdzięczności i uległości, jeżeli tylko rozmyślnie nie zostanie przeszkoda w tej mierze postawiona. A dopuszczenie deputatów do obrad, niezawodnie wywołałoby ten skutek zgubny. Już w pierwszej chwili, zanim jeszcze co w znanej sprawie postanowiono, gdy dopiero toczyły się rozmowy między referentem galicyjskim a hr. Ossolińskim, korespondencya deputatów z różnemi osobami w Galicyi sprowadziła nieprzyjemności. Raz obiegała po kraju lista urzędników, których oddalenia deputaci wyjednać mieli, a z których wielu zaniepokojonych o swoją przyszłą egzystencyę, popadło w bezczynność w służbie, drugi raz znowu rozsiewano inne baśnie, zawsze obliczone na rozluźnienie węzłów posłuszeństwa. Czegoż dopiero możnaby oczekiwać po legalnej interwencyi deputatów w obradach kancelaryi nadwornej? Każda poczta rozwozić będzie wiadomości o ich patryotycznej walce z ministerstwem. Wskutek tego wszystkie głowy na nowo się rozgorączkują, wzrośnie nieufność szlachty wobec rządu, a wreszcie według naturalnej dyspozycyi u ludzi, których oczekiwanie zwrócono w naprężeniu ku rzeczom nadzwyczajnym, uwaga powszechna zwróci się nie na przyznane, lecz na odrzucone żądania“.

Zaniepokojonej biurokracyi przyszły w pomoc wypadki dziejowego znaczenia: przedwczesny zgon cesarza Leopolda II, po dwuletniem zaledwie panowaniu, i zwrot niepomyślny konstytucyjno-rege-

neracyjnej akcyi sejmu warszawskiego. Z cesarzem Leopoldem II poszły do grobu nadzieje i szanse, że Galicya otrzyma jeżeli nie konstytucyę w zakroju, jaki jej deputaci lwowscy zakreślili, to przynajmniej w najgorszym razie takie udoskonalenie ustroju stanowego, aby społeczeństwu polskiemu dane były warunki normalnego życia i rozwoju pod względem narodowym i ekonomicznym. Cesarz Leopold II, żywił dobre intencye dla Galicyi, a nadto liczył się z tem, że akcya sejmu czteroletniego mogłaby w danym razie zachwiać rządy austryackie w Galicyi. W jego następcy, cesarzu Franciszku I, motyw pierwszy był wykluczony, a motyw drugi, wobec wypadków, jakie się za kordonem rozgrywać zaczęły, wychodził z rachuby politycznej. Nadto od zachodu zachmurzył się widnokrąg, tak, że w przewidywaniu wielkiej i długiej zawieruchy wojennej, uwaga dotąd na sprawy wewnętrzne zwrócona, zupełnie osłabnąć musiała.

Rozwiały się wszystkie nadzieje Galicyi łączone z projektem konstytucyjnym z r. 1790, ale całkiem na marne nie poszła ta akcya. Związana genetycznie z akcyą sejmu czteroletniego, stanowiła ona, jak to już zaznaczyliśmy, ożywczy prąd polityczny, który omdlewające w dusznej atmosferze józefińskiego okresu społeczeństwo polskie w Galicyi, pokrzepił w poczuciu narodowem i wzmocnił w świadomości i energii sił, a tem samem zahartował do znoszenia dalszych przejść i dolegliwości.

II.

Po cesarzu skłonnym i zdolnym do traktowania spraw konstytucyjnych z szerszego widnokręgu politycznego, wstąpił na tron Habsburgów cesarz, który formalną czuł odrazę już nietylko do treści, lecz nawet do samego brzmienia wyrazu: konstytucya. Lekarz przyboczny cesarza Franciszka I, br. Stifft, opowiadał — a opowiadanie to dosłownie zapisali współcześni pamiętnikarze—że gdy raz w rozmowie z cesarzem podnosił jego zdrowie i w ogóle silną konstytucyę organizmu, usłyszał z ust cesarskich te słowa, wypowiedziane z pewną indygnacyą: „Co też pan mówisz! Jesteśmy starzy znajomi i dobrze z sobą, ale panie Stifft, tego słowa niechcę nigdy od ciebie słyszeć. Mów pan, że mam wytrwałą naturę, albo — niech już i tak będzie — dobrą kompleksyę, ale dobrej konstytucyi nigdzie niema. Żadnej konstytucyi nie mam i nigdy jej mieć nie będę".

Po cesarzu, uczuwającym niemile nieznośne więzy biurokratycznej metody rządów i jej zapory na każdym kroku, a tem samem skłonnym do liberalnego wyemancypowania się z tradycyjnej martwoty, zasiadł na tronie austryackim monarcha, który w tej metodzie był rozmiłowany. Cesarz Franciszek I, z wielką pasyą zagrzebywał się w aktach, jak skostniały biurokrata i nie mając świadomości, jak dalece opóźnia tem tok spraw i jak wiele tem szkody państwu i interesowanym poddanym wyrządza, chełpił się swoją drobiazgową pracowitością biurokratyczną; mówił często, wprawdzie żartobliwie, ale z pewnym odcieniem dumy, że mógłby być bardzo użytecznym hofratem".

Dla cesarza-hofrata nawet bez tych wypadków, które, jak powiedzieliśmy, ubiły galicyjski projekt konstytucyjny, nie miałby on żadnego znaczenia. Cesarz-hofrat byłby się nawet chętnie obszedł bez kusych Stanów kreacyi józefińskiej, gdyby chodziło było tylko o sam interes Galicyi. Nie było to jednak rzeczą obojętną dla państwa, żeby jedna tylko Galicya, pomiędzy wszystkiemi prowincyami, miała być Stanów pozbawiona. Mogłoby to bowiem było uchodzić za stan odrębności w tem znaczeniu, że Austrya nie ustaliła się jeszcze w najmłodszej prowincyi swojej i jest chwiejną co do sposobu rządzenia. Takiego pojmowania rzeczy nie należało nawet z pozorów dopuścić w porze tak burzliwej, gdy zmienne koleje wojenne miały się tak silnie odbijać na granicach państwa, zwłaszcza na granicach posiadłości polskich.

Brak sejmu stanowego, albo raczej brak wydziału stanowego, jako jego stale urzędującego organu wykonawczego, który sejm z łona swojego za zatwierdzeniem cesarskiem na sześć lat wybierać miał a do którego nielicznych i niedoniosłych atrybucyi, należało także „najuniżeńsze" czy „najposłuszniejsze" odpowiadanie na zapytania gubernialne co do zamierzonych w Wiedniu nowych projektów lub urządzeń—uczuwały niejednokrotnie władze centralne, niezłomne w szablonowej metodzie traktowania kwestyi tego rodzaju, a tem samem przywiązujące wagę nawet do takiej niejako dekoracyjnej instytucyi. Wydziały te mogły być piątem kołem u wozu, ale nic to nie znaczyło, jeżeli biurokracya przyzwyczaiła się do — jazdy wozem o pięciu kołach!

Kiedy z innych prowincyi otrzymywano na zawołanie takie opinie wydziałów stanowych i na nich dało się oprzeć fikcyę biurokratyczną, że się posiada substrat potrzebny do wszechstronnego uwzględnienia stosunków i potrzeb każdego kraju, z Galicyi nie można było wydobyć takiego materyału. A właśnie dla utrzymania fikcyi powyższej, materyał galicyjski był najpotrzebniejszy w takich razach z te-

go powodu, że referent bez popełnienia krzyczącego absurdu, nie mógł co do Galicyi, jako najmłodszej prowincyi państwa, wysnuwać tak samo, jak to, co do innych prowincyi byłoby możliwem, analogii z reszty materyału, np. z operatu czeskiego lub styryjskiego. Trzeba więc było polegać na samej relacyi gubernatora, a ponieważ w pierwszym okresie rządów austryackich w Galicyi gubernatorowie często się zmieniali i jako zupełnie obcy krajowi nie łatwo i nie prędko zdołali się oryentować, przeto relacye ich opóźniały się i stanowiły kruchą podstawę.

Kiedy w r. 1802 rząd centralny pod naciskiem wszystkich tych okoliczności, zamierzył wreszcie zwołać galicyjski sejm stanowy, głównie dla wyboru wydziału stanowego, pokazało się, że zastosowanie patentu józefińskiego z r. 1782, wydanego dla ówczesnej z pierwszego podziału Polski, przyznanej Austryi—Galicyi, do prowincyi powiększonej nabytkami nowemi z trzeciego podziału, nie da się przeprowadzić, bez poprzedniego rozwiązania niektórych kwestyi wątpliwych, albo raczej bez wydania nowego dyplomu stanowego. Toczyły się nad tem obrady w kancelaryi nadwornej, a ponieważ zdania wypowiedziane w tej mierze przez gubernatora galicyjskiego i przez członków tej kancelaryi, nie były zgodne, przeto przedłożono rzecz całą do decyzyi cesarzowi, który na samym akcie takie napisał postanowienie: „Kancelarya nadworna ma mi najpóźniej do ośmiu dni oznajmić, czy nie byłoby to najstosowniejsze wyjście, jeżelibym zastrzegł sobie wskazanie sześciu deputatów wydziału po części z wschodniej, po części z zachodniej Galicyi i ustanowił ich z dożywotnią funkcyą. Jeżeliby przeciw takiemu postępowaniu przemawiały ważne względy, należy mi je dokładnie przedstawić".

Z tej decyzyi cesarskiej jasno się okazuje, że najpierw cała konstytucya stanowa uważana była nawet tam, zkąd wyszła, za czczą tylko formę, skoro najważniejsza atrybucya sejmu stanowego, wybór deputatów wydziałowych, mogła być tak łatwo zignorowana; że powtóre, w ciągu kilku lat zaginął już na dworze wiedeńskim wszelki ślad rokowań, wywołanych życzliwemi dla Galicyi dyspozycyami cesarza Leopolda II, skoro cesarz Franciszek I, zamierzał wcale nie oglądać się na to, jakie wrażenie sprawi w społeczeństwie polskiem takie doraźne zeskamotowanie nawet tej, dotąd posiadanej odrobiny konstytucyi czy iluzyi konstytucyjnej.

Kancelarya nadworna, odpowiadając na polecenie cesarskie nad wszelkie spodziewanie zajęła stanowisko odporne, uznając niestosowność takiej nominacyi deputatów, jaką cesarz wybór ich przez sejm zastąpić zamierzał. Był to niezawodnie dowód przewagi skrupułów nad powolnością biurokatyczną dla skinień monarszych, ale nie skru-

pułów konstytucyjnych, ani skrupułów podyktowanych względami na opinię i interesa społeczeństwa polskiego. Kancelarya nadworna uginała się zawsze pod ciężarem tylu skrupułów czysto biurokratycznej natury, że na takie, jak powyższe, już w jej sumieniu absolutnie miejsca nie było. W jej obecnych deliberacyach przeważył ten wzgląd formalistyczny, że przedewszystkiem należy nowym dyplomem rozciągnąć józefińską konstytucyę stanową na zachodnią Galicyę, świeżo do państwa przyłączoną, a dopiero potem, po formie zwołać sejm i pomyśleć o wyborze stałego wydziału. Skoro zaś raz stanęło na tem, że ma być wydany nowy dyplom, powstała zaraz dalsza kwestya, czy i jak w nowym dyplomie zmienić należy niektóre postanowienia dawnego. Na ten temat zawiązano korespondencyę z gubernatorem galicyjskim i po wysłuchaniu jego opinii rozpoczęto dalsze deliberacye. Wlokły się one całe lato a ich rezultat archiwalny łącznie z ciągłą w tym czasie korespondencyą z gubernatorem galicyjskim, stanowi monumentalny okaz ociężałości biurokracyi austryackiej. Cesarz Franciszek I nie tylko nie starał się przełamać jej szybką decyzyę, lecz owszem sam niejako zachęcający przykład dawał swoją notoryczną skłonnością do zaprzątania się drobiazgowymi szczegółami, kosztem omijanych, lub ciągle odraczanych ważniejszych kwestyi.

W rozwlekłych obradach osobno do tej sprawy ustanowionej komisyi kancelaryi nadwornej nie chodziło oczywiście o to, jak należy uzupełnić lub zmienić józefińską konstytucyę stanową w tym celu, aby ona ile możności odpowiadała parlamentarnym tradycyom i aspiracyom społeczeństwa nowo nabytej prowincyi, lecz o to, aby zwiększoną Galicyę w jaknajprostszy sposób i w jak najkrótszej drodze wcisnąć niewolniczo w kusy szablon konstytucyjny, dziedzicznych krajów monarchii. Szeroko omawiano w tych obradach sposób, w jaki nowy galicyjski sejm ma być złożony. Postanowienie dyplomu józefińskiego, że o prawie zasiadania szlachty w sejmie, rozstrzyga cenzus podatkowy (75 złr. podatku dominikalnego), wydało się obradującym niepodobném do utrzymania w mocy, gdyż w takim razie nie byłoby w całym kraju sali tak przestronnej, aby w niej zasiąść mogli wszyscy uprawnieni ze wschodniej i zachodniej Galicyi. Musiała się zatem nie z dobrej woli, lecz siłą konieczności wyłonić myśl, żeby uprawniona do sejmowania szlachta wybierała z każdego obwodu po kilku członków ze swojego grona, ale zaraz odezwał się zarzut, że podobne zjazdy wyborcze szlachty, przypominałyby dawne sejmiki polskie. Widmo sejmików wystarczyło, żeby myśl tę uznano niewykonalną. A do tego i sama idea wyborów zastraszać musiała skostniałych biurokratów. Zaczęło się zatem przemyśliwanie nad biurokra-

tycznymi sposobami takiego określenia cenzusu podatkowego, aby on bez wyborów mógł wystarczać za tytuł do zasiadania w sejmie, bez obawy, że zbyt wielu będzie powołanych do sejmowania.

Wszystkim tym, lata trwającym deliberacyom i korespondencyom informacyjnym, kres położyła katastrofa wojenna z r. 1809, po której Galicya austryacka tak się skurczyła, że kancelarya nadworna mogła ochłonąć z obawy—o brak sali na pomieszczenie sejmu stanowego! Teraz już łatwiejszem stało się przystosowanie dyplomu józefińskiego do nowej, skurczonej Galicyi, ale na Europę i Austryę spadła wkrótce potem znowu, taka zawierucha wojenna, że wszystkie sprawy wewnętrzne musiały zejść na plan ostatni.

Dopiero w r. 1815 weszła w Wiedniu znowu na porządek dzienny sprawa konstytucyi galicyjskiej, ale już wśród zupełnie zmienionej sytuacyi. W dobie tych wielkich wypadków dziejowych, które poprzedziły kongres wiedeński, rozszerzył się także widnokrąg polityczny austryackich mężów stanu w tej sprawie, a nadto, zamysły cesarza Aleksandra I, co do utworzenia Królestwa Polskiego, obudziły niepokój. To też już w początku r. 1815 ówczesny gubernator galicyjski hr. Goess, z własnej inicyatywy wystąpił z memoryalem, w którym przedstawiając swoje pomysły co do załatwienia tak długo przewlekanej galicyjskiej sprawy konstytucyjnej, nazwał dotychczasową politykę rządu w Galicyi „małymi środkami w porównaniu z wielkim celem“. Cel ten bowiem „polega nie na samem tylko przestrzeganiu porządku i spokoju, lecz głównie na tem, aby ta wielka i ważna część składowa monarchii austryackiej, została z nią jaknajściślej połączona i nierozerwalnymi węzłami, wśród możliwych wypadków w przyszłości, zjednoczona“.

Hr. Goess posiadał zmysł polityczny i miał wcale jasny pogląd na sytuacyę. To też w memoryale swoim, trafnie zwrócił uwagę rządu wiedeńskiego na fakt, że w danej chwili po upadku Napoleona i wśród zachodów kongresu około rekonstrukcyi zachwianego w całej Europie ustroju stosunków państwowych i międzynarodowych, Austryi nadarza się, jak nigdy przedtem, dobra sposobność do trwałego pozyskania sympatyi Polaków i ustalenia swojego panowania w Galicyi. Dopóki świeciła gwiazda Napoleona, urok jego imienia i historyczne sympatye Polaków dla Francyi, zwracały ku niej wszystkie myśli, uczucia i nadzieje narodu. „Chociaż—pisze dalej hr. Goess—wśród zmienionych stosunków Rosya obecnie stara się objąć rolę Francyi i przybrać pozory państwa opiekuńczego z myślą wskrzeszenia Polski, to jednak z codziennej obserwacyi i nadchodzących relacyi, już dziś stwierdzić to można, że nigdy nie zostanie wzbudzone w Polakach, tak stałe i ofiarne zaufanie, jak dotąd dla Francyi i ce-

sarza Napoleona, jakby ono prawdopodobnie znowu odżyło w razie rozbudzenia nowej nadziei. Można powiedzieć, że i teraz jeszcze cesarz Napoleon posiada nierównie więcej serdecznych zwolenników, aniżeli cesarz Aleksander... Chodzi tedy przedewszystkiem o to, aby dzisiejszą chwilę odpowiednio wyzyskać, a przynajmniej nie pozostać w tyle za interesowanemi państwami sąsiedniemi". To też hr. Goessowi wydaje się to „ważnem, aby przynajmniej zamiar wydania i wykonania konstytucyi w Galicyi, objawiony został ze strony rządu austrackiego prędzej, aniżeli Rosya i Prusy uczynią to w swoich ziemiach polskich, wskutek czego zabiegi Austryi wydawałyby się tylko naśladownictwem sąsiednich mocarstw".

Przestrogę, że Austrya w postępowaniu wobec Polaków nie powinna pozostać w tyle za Rosyą i Prusami powtarza jeszcze raz hr. Goess w swoim memoryale, dodając, że byłoby pożądanem wziąć zamiary tych państw „pod uwagę i starać się, aby do nich zastosowane były dyspozycye austryackie co do Galicyi, przynajmniej pod względem formy. Formy bowiem wywierają w ogóle wpływ na ducha polskiego narodu, który do zewnętrznej formy przywiązuje wielkie znaczenie i daje się zadowolić nazwami i pozorami często łatwiej aniżeli rzeczywiście przyznanemi prawami i dobrodziejstwami, jeżeli tylko przestrzega się przytem ściśle sprawiedliwości i postępowania nie obrażającego poczucia honoru". Ta, nie pozbawiona uprzedzeń, charakterystyka społeczeństwa polskiego, powtarza się jeszcze i później. Nazywa bowiem hr. Goess naród polski wprost „płochym i lekkomyślnym, choć zarazem żywym i intellektualnie uposażonym".

Hr. Goess miał na myśli jakiś rodzaj „reprezentacyi narodowej", gdyż używa tej nazwy, zaleca uwzględnienie uczuć i w ogóle właściwości charakteru społeczeństwa polskiego, w którym, „przywiązanie do narodowości stanowi rys najwybitniejszy", a w końcu zaznacza, że plan „przekształcenia Polaków w krótkim czasie na Niemców i gorliwych patryotów austryackich, byłby czczem a nawet niebezpiecznem urojeniem". Należy najpierw przywiązać Polaków do Austryi tak, aby nie oglądali się na inne części Polski po za Galicyą, a potem dopiero będzie można pozyskać w nich takich dobrych poddanych austryackich, jakimi są poddani innych narodowości od wieków z monarchią austryacką połączonych.

Projektu konstytucyjnego delegacyi galicyjskiej z r. 1790 hr. Goess nie myślał wznowić, chociaż po ogólnych wstępnych uwagach memoryału wniosek taki wydawałby się naturalnym i chociaż sądząc z całego tonu tego memoryału, pewnie nie podzielał wszystkich wątpliwości, w swoim czasie przez kancelaryę nadworną przeciw temu projektowi podniesionych. Chodziło jednak o to, żeby z jednej strony

Austrya nie zaangażowała się wobec Polaków zanadto, a z drugiej strony jeszcze przed ogłoszeniem urządzeń konstytucyjnych dla ziem polskich pod berłem pruskiem i rosyjskiem zamanifestowała swoje intencye dla Galicyi, w sposób, zapobiegający wyprzedzeniu jej przez ewentualne, petersburskie i berlińskie zabiegi o pozyskanie sympatyi polskich.

Zaproponował tedy hr. Goess, aby, skoro kongres wiedeński zamknie swoje obrady nad sprawami polskiemi i dokona „nowej arondacyi“ Galicyi, cesarz Franciszek objawił to wyraźnie, że zamyśla „nadać krajowi temu konstytucyę, odpowiadającą jego stosunkom i potrzebom“, a tymczasem poleca zwołanie ciała reprezentacyjnego, wybranego w tym celu, w sposób prowizorycznie *ad hoc* oznaczać się mający. Wybory te proponował hr. Goess w ten sposób przeprowadzić, aby każdy właściciel dóbr dominikalnych, z krajowej szlachty, opłacający najmniej 150 złr. podatku z posiadłości swojej, przesłał właściwemu staroście spis 24 obywateli z równą kwalifikacyą podatkową, jako kandydatów do tego ciała reprezentacyjnego. Starostowie mieli wszystkie te spisy przedłożyć gubernium, któremu, przy udziale ośmiu w tym celu umyślnie dobranych najznakomitszych obywateli (3 z duchowieństwa, 4 ze szlachty i jednego z honorowego mieszczaństwa) przypadałoby niejako zadanie krajowej komisyi wyborczej, t. j. obliczanie wszystkich głosów. Na podstawie tego obliczenia miała odejść do Wiednia propozycya z 108 kandydatami (po 6 na każdy z 18 obwodów), na których padła największa liczba głosów.

Cały ten oryginalny proceder wyborczy nie dawał pewnej rękojmi, że do reprezentacyi dostaną się istotnie najpopularniejsi obywatele, gdyż gubernator nie zapomniał o zastrzeżeniach, któreby w danym razie umożliwiły władzy, eliminowanie osobistości niemiłych dla rządu. W każdym razie jednak już i taki wybór stanowiłby był wielki postęp, wobec pierwotnej organizacyi sejmu stanowego, w którego skład wchodzili obywatele nie z wyboru, lecz z samego tytułu podatkowego do sejmowania powołani. Tem więcej uderza ten postęp, że oprócz owych 108 wybranych, właścicieli dóbr dominikalnych, w nowym sejmie, według wniosku hr. Goessa, zasiąść mieli nadto jeszcze, także z wyboru, reprezentanci miast z ludnością powyżej 5,000, duchowieństwa, korporacyi duchownych i naukowych, wreszcie kupiectwa miast główniejszych (Lwowa, Brodów i Białej). O sposobie wybierania reprezentantów tej drugiej kategoryi, niema w memoryale bliższych wskazówek. Wszyscy ci wybrańcy stanowić mieli według słów hr. Goessa „pierwszą galicyjską reprezentacyę narodo-

wą z takiemi prawami i obowiązkami, jakie cesarz zakreślić miał dopiero na osobny, w tej mierze przedstawić się mający, wniosek".

Hr. Goess pragnął szczerze pozyskać sfery rządowe w Wiedniu dla swojego projektu i wiele sobie po nim obiecywał. Przebija to z końcowej uwagi: „Zalecone tutaj — mówi — kroki przygotowawcze co do Galicyjskiej konstytucyi czyli reprezentacyi narodowej, już same dla siebie odwróciłyby w sposób nadzwyczaj korzystny, uwagę społeczeństwa galicyjskiego od stosunków zewnętrznych ku wewnętrznym krajowym interesom. Pragnienie uczestnictwa w liberalnych konstytucyach, ziemiom polskim pod panowaniem pruskiem i rossyjskiem nadać się mających, zostałoby zrównoważone przez oczekiwanie zapowiedzianej dla Galicyi konstytucyi, a Austrya zyskałaby dość czasu, aby stosownie do okoliczności danej chwili i własnych zasad, zaprowadzić lub zmodyfikować konstytucye państw sąsiednich."

Tak seryo i gorliwie pojmował hr. Goess interes Austryi w przelicytowaniu lub przynajmniej dorównaniu Prusom i Rosyi w zabiegach około pozyskania sympatyi polskich, że równocześnie zalecał cały szereg środków administracyjnych, do tego celu zmierzających, mianowicie powoływanie znakomitych obywateli na stanowiska radców przy urzędach obwodowych i sędziów pokoju, zawiązanie towarzystwa rolniczego, poskromienie dowolności władz cywilnych i wojskowych, szerokie zastosowanie amnestyi do obywateli skompromitowanych w wypadkach świeżo zamkniętej burzliwej doby wojennej, wreszcie nakłonienie cesarza do odwiedzenia Galicyi.

Du sublime au ridicule il n'ya q'un pas! Dotąd hr. Goess przemawiał, jako mąż stanu z szerszym poglądem na rzeczy, nagle odezwała się w nim żyłka biurokraty i popchnęła go do owego fatalnego kroku, który, według francuskiego przysłowia, wiedzie do ośmieszenia. Między środkami bowiem, które miałyby zjednać społeczeństwo polskie w Galicyi dla Austryi, zaleca także, i to z naciskiem — zaprowadzenie uniformu stanowego! Hr. Goess tak tę swoją propozycyę zaleca, jak gdyby szlachta polska w Galicyi marzyła tylko o rychłej zamianie, przestronnych i barwnych strojów narodowych, na obcisłe i kuse fraki austryacko stanowe.

Gubernator hr. Goess, pisał swój memoryał przed sfinalizowaniem traktatowych stypulacyi kongresu wiedeńskiego w sprawie polskiej. Patrzał na sytuacyę ze zbyt odległego punktu obserwacyjnego, ze Lwowa, nie połączonego w tych czasach z Wiedniem ani drutem telegraficzno-telefonicznym ani nawet szyną kolejową. Nie mógł więc ani widzieć na własne oczy, ani w porę dowiadywać się, jak za kulisami kongresowemi, układają się pomysły i plany dyplomatów w sprawie polskiej. Kombinował więc na własną rękę tak, jak mu stosunki

wskazywać się zdawały, a widząc rozbudzone oczekiwanie w społeczeństwie polskiem, sądził, że państwa rozbiorcze będą musiały współzawodniczyć w jednaniu sobie sympatyi polskich.

Memoryał hr. Goessa nadszedł do Wiednia w chwili, gdy jeszcze nie rozegrał się ostatni akt dramatu napoleońskiego, ale uczestnicy kongresu już nie wątpili, że Napoleon po powrocie z Elby nie zdoła zebrać sił potrzebnych do dłuższego niepokojenia zwycięskiej koalicyi. Sprawa polska była już rozstrzygnięta tak, że cesarz Franciszek mógł być spokojny o swoje posiadłości polskie i wcale nie myślał o takiem współzawodnictwie, jakie mu zalecał hr. Goess, co do jednania sobie Polaków. To też od razu skierował memoryał jego na manowce biurokratyczne, t.j. oddał go kancelaryi nadwornej, zapewne z poleceniem, aby się wcale nie oglądała na rozwinięte w nim pomysły polityczne, lecz tylko ułożyła projekt wznowienia dawnej konstytucyi stanowej w nowo odgraniczonej prowincyi galicyjskiej. Że takie polecenie wyjść musiało od cesarza, tego domyślać się każe sposób, w jaki referenci kancelaryi narodowej wzięli się do dzieła. Żaden z nich bowiem ani słówkiem nie wspomniał o potrzebie wyprzedzania lub prześcigania Rosyi i Prus w nadaniu Polakom konstytucyjnych gwarancyi narodowego życia i rozwoju, a wszyscy natomiast rozpisywali się na jedną nutę, zupełnie tak, jak gdyby mieli dać odpowiedź na pytanie z góry postawione i ułożyć szczegóły wykonania nakazu z góry otrzymanego.

Zaczęła się znowu tak rozwlekła i czcza pisanina na ten temat, że naprawdę podziwiać należy tych nieprześcignionych w swoim kunszcie biurokratów, którzy w tej tak doniosłej i gorącej dla Europy chwili, wśród przekształcania się państw i stosunków europejskich, spisywali o tej stosunkowo małej wagi sprawie bez opamiętania całe folianty z flegmą i spokojem pozazdroszczenia godnym. O memoryale hr. Goessa rozpisał się najpierw sam kanclerz ówczesny nadworny, hr. Lazansky, o jego pokaźnym referacie szeroko wypowiedział swoją opinię sam najwyższy szef kancelaryi nadwornej, hr. Ugarte, a cesarz Franciszek otrzymawszy cały stos aktów wydał decyzyę, że mają jeszcze dalej o tem pisać, najpierw prezydent gubernialny we Lwowie, br. Hauer, który po odwołanym hr. Goessie objął ster rządów krajowych, a potem galicyjski referent kancelaryi nadwornej, Widmann. Pisano więc jeszcze niemal dwa lata, rosła cała góra aktów, z pod której wreszcie w r. 1817 wyleźć miała drobna myszka owej karykaturalnej konstytucyi stanowej, która dopiero epilogiem swoim w r. 1848 zapisała się z historyczną trwałością w pamięci społeczeństwa polskiego.

A o czemże tak zapamiętale pisano? Najpierw bardzo szeroko o tem, jak ma opiewać tytuł pisma z cesarską decyzyą, czy przywilej, czy reskrypt, potem czy można, ewentualnie czy należy przyznać Stanom galicyjskim mundury w innych prowincyach zaprowadzone, wreszcie jaką płacę pobierać mają członkowie i urzędnicy wydziału stanowego i t. d.—słowem rozpisywano się szeroko i rozwlekle o mnóstwie drobnych i podrzędnych szczegółów, a kwestye politycznej doniosłości, podniesione w memoryale hr. Goessa, nie wyjmując nawet kwestyi zakresu działania sejmu stanowego, pozostały na boku nietknięte albo tylko mimochodem i zlekka poruszone, jako już milcząco ubite, albo raczej niegodne nawet merytorycznego rozpatrzenia.

Jest to rzecz godna uwagi, że w miarę, jak bieg wypadków, mianowicie podpisanie traktatów wiedeńskich, poręczających Polakom we wszystkich dzielnicach instytucye narodowego życia i rozwoju, a jeszcze więcej ustanowienie Królestwa Polskiego, wzbudzać musiały w społeczeństwie polskiem Galicyi coraz większe oczekiwania, iż Austrya chociaż już nie wyprzedzi, ani nie prześcignie Prus i Rosyi, to przynajmniej nie pozostanie w tyle za niemi, co do dopełnienia stypulacyi traktatowych, sprawa konstytucyjna Galicyi w swojej ciężkiej wędrówce od Ananasza do Kaifasza biurokratycznego w Wiedniu coraz dalej odbiegała od impulsu danego jej w memoryale gubernatora hr. Goessa. W r. 1816 w referatach kancelaryi nadwornej sprawa ta postawiona została już bez wszelkich ogródek na tem stanowisku, jakie jej wytknął cesarz Józef II w r. 1782, wprowadzając w życie sejm stanowy. Nie było już tedy mowy o jakiemś odmiennem traktowaniu Galicyi pod tym względem; nowo projektowana konstytucya stanowa miała niezbędnemi dla zmiany stosunków, a małoznaczącemi modyfikacyami, stanowić tylko wznowienie kreacyi józefińskiej, więc stać się niejako klamrą, przytwierdzającą silniej nową prowincyę do całości państwowej.

Tak postawiona została sprawa w rozstrzygającym końcowym referacie galicyjskiego referenta kancelaryi nadwornej, Widmanna, który już tylko mimochodem dla ostatecznego ubicia projektu hr. Goessa dodał takie charakterystyczne uwagi: „Traktat z 3 maja 1815 r. pozostawia kontrahentom wolne ręce co do nadania swoim dzielnicom polskim takiej konstytucyi, jaką sami za stosowną uznają. Jeżeliby Austrya zamiast zrobić najodpowiedniejszy dla siebie użytek z tego postanowienia traktatowego, zechciała naśladować przykłady zagranicy lub nadać Galicyi konstytucyę, odbiegającą w ważnych punktach od tej, jaką dotąd posiadała, albo od tej, jaką w innych niemieckich prowincyach zaprowadzono, to zmianę przypisywanoby nie dobroci monarchy, lecz tajnym układom z dworami w Petersburgu

i Berlinie, a stąd wynikłby niewłaściwy wpływ na nastrój umysłów w społeczeństwie polskiem... Rosya dopiero teraz nabyła tę część Księstwa Warszawskiego, która obecnie nosi nazwę Królestwa Polskiego, a objęła ją ze stanu wprost rewolucyjnego. Zupełne zlanie z państwem rossyjskiem było niewykonalne. Musiała tedy Rosya nadać krajowi konstytucyę, któraby zadowoliła wszystkie klasy ludności, poprzednio do reprezentacyi uprawnione. Jednakże zawahała się rozszerzyć tę konstytucyę na prowincye, które się jej w poprzednich podziałach Polski dostały. Przykład Rosyi nie może zachęcać Austryi, lecz raczej powinien powstrzymać ją od tego, aby miała zaprowadzać szerszą reprezentacyę w prowincyi, którą już przeszło 40 lat posiada, i w której wielka masa ludności nie jest do tego przygotowana. Wreszcie nawet przy nadto daleko sięgających przyrzeczeniach dwór rosyjski mniej ryzykuje, aniżeli dwór austryacki, gdyż od pierwszego dworu nie oczekują takiej ścisłości w dopełnieniu przyrzeczeń tego rodzaju, jako od drugiego dworu."

Cesarz Franciszek, rozpatrzywszy wszystkie elaboraty referentów kancelaryi nadwornej taką, na akcie zapisał decyzyę: „Ponieważ chcę Królestwo Galicyi postawić co do przyznanych korzyści na równi z innemi prowincyami niemieckiemi, przeto nadać chcę także i temu Królestwu konstytucyę stanową według tego, co przez ś. p. cesarza Józefa II w r. 1782 przyznane zostało, z potrzebnemi obecnie zmianami i modyfikacyami. Ta stanowa konstytucya ma być ogłoszona osobnym reskryptem, który tak samo, jak w moich prowincyach niemieckich należy wydać w niemieckim języku z dodaniem tłómaczenia na język łaciński." Stanęła tedy Galicya już oficyalnie i formalnie na równi z prowincyami niemieckiemi, czego dotąd tak wyraźnie nawet cesarz Józef II wypowiedziać nie chciał. A stało się to—rzecz godna uwagi—właśnie po tym kongresie, który na pozór tak zabezpieczył dzielnicom polskim warunki narodowego życia i rozwoju.

W kilka miesięcy po powyższej decyzyi cesarza Franciszka ogłoszony został reskrypt konstytucyjny, wskrzeszający józefińską kreacyę pseudokonstytucyjną ze zmianami nic nieznaczącemi. *Pro foro externo* konstytucya z r. 1817 uchodzić miała za akt lojalnego zastosowania się do stypulacyi kongresu wiedeńskiego, a w rzeczywistości była aktem zignorowania tych stypulacyi. Cesarz Franciszek był zbyt ostrożny, żeby postąpił w ten sposób nie upewniwszy się poprzednio, że z tego powodu nie popadnie bynajmniej w nieporozumienie z państwami współinteresowanemi co do postępowania wobec Polaków. Pewności takiej nie wzbudzały oczywiście kongresowe *verba scripta*, lecz zapewne ważniejsze dlań, chociaż niewyjawione na ze-

wnątrz, zapewnienia poufne w czasie kongresu. Snać dobrze o tem wiedziano w kancelaryi nadwornej, skoro referent galicyjski Widmann bez zastrzeżeń tak charakterystyczne wypowiedział uwagi o problematycznej stałości sytuacyi konstytucyjnej w Królestwie Polskiem. W słowach jego, powyżej przytoczonych, mieści się niemal prorocze twierdzenie, że cała ta kreacya kongresu wiedeńskiego nie posiada żadnej rękojmi trwałości. Widmann sam nie byłby się odważył puścić z referatem swoim na flukta wysokiej polityki i stawiać dalekie horoskopy, jeżeliby nie miał dobrych informacyi ze sfer wtajemniczonych we wszystko, co na kongresie wiedeńskim po za jawnością traktatową omawiano w sferach dyplomatycznych w formie bliższych lub dalszych planów, zwierzeń i przewidywań. Wszakżeż taki biurokrata, zasklepiony w ciasnym obrębie spraw administracyjnych, nie mógł duchem dywinacyjnym odgadnąć tego, czego wówczas najprzenikliwsi nawet politycy przewidzieć nie mogli, t.j. wypadków, które zaszły w kilkanaście lat później i umożliwiły przerzucenie na samych tylko Polaków całej winy za zwichnięcie dzieła kongresowego.

Dr. Bronisław Łoziński.

A gdy w głąb duszy wnikniemy...[1]

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XVIII.

Anka doznała uczucia, jakby to wpłynięcie obcego nie było ani bolesne, ani natrętne, lecz prawie konieczne i z góry przeznaczone.

Przeniosła swój wzrok z Piotruśki na Stalewskiego, lecz równocześnie zdawało się jej, że widzi ich oboje. Ją przez jego postać, bo dziwnie nie cielesnym, nie ludzkim wydał się jej w tej chwili ten człowiek.

Cichy był i zmieniony.

W ręku trzymał kilka purpurowych maków, które powiędły i płatki swe tuliły do siebie w agonii, rozpaczy pełnej. Ale w oczach miał Stalewski całe rozmarzenie dalekich pól złotych od zbóż i cienistą melancholię przeczuć przedwieczornych.

Smutek dziwny, szlachetny, aż płynął z jego schylonej postaci.

Wszedł ni to cień, zwątpienia pełen, i Anka zrozumiała, że tam droga przez łany zbóż była mu Golgotą, i że ten obrachunek ze sobą był szczery i straszny. Nigdy Stalewski jeszcze nie wszedł na próg jej pokoju. Zwykle drwił z jej prerafaelickiej pracowni i sposób tworzenia Anki, nie wiadomo dlaczego, nazwał plamami.

Nie rozumiał, nie wiedział – dziś sam wszedł w promień duchowy, i oto stał przed nią z całą tragicznością poszarpanej swej pajacowskiej szaty, przez którą przeświecała już prawda jego zdręczonej i doprowadzonej do szpetoty malarza „cenionego“ — duszy.

---

[1]) Patrz zeszyt wrześniowy, str. 433, — październikowy, str. 16, — listopadowy, str. 240, — grudniowy str. 464 (1903); styczniowy, str. 37.

Wpił się wzrokiem w widmo Piotruśki, i zdawało się, że z tą minutą przetwarza się, chłonie w siebie Siłę i Ekstazę Anki, on za słaby jeszcze, aby módz wydobyć ze siebie cud twórczości i syntezę choćby siebie samego. Już nie ten banalny, zdatny do użytku i ozdoby płaskiej estetyki tygodników rodzinnych, lecz jeszcze żaden w krainie prawdy, nie mogący uchylić wrót, poza któremi wyczuwał ołtarze, nieznane i rozpłomienione ogniami o królewskich, rubinowych wiewach.

Anka nie przerywała tej ciszy, mającej w sobie coś nieledwie świętego i zdającej się owijać jakąś nieprzeniknioną a dobroczynną mgłą tę drobną we Wszechświecie przestrzeń, w której dokonywały się wspaniałe i potężne cuda.

— Przyszedł w godzinie samopoznania i męki — pomyślała — przyszedł ku mnie...

Myśl ta przejęła ją niewypowiedzianem szczęściem, którego na razie zrozumieć nie mogła.

Czuła tylko, że była mu rada, ona, która zawsze bała się jego nadejścia do jej zacisznego kąta, i czuła przed niem pewną odrazę.

I dla tego królewską chęcią wspaniałości zupełnej przejęło ją jego zapytanie.

— A tamte?

Wskazał na płótna tajemnicze, odwrócone do ściany, znaczące się szkieletami blejtramów. Anka cicho, hieratycznym swym krokiem sunąc za sobą długi zwój białych szat, powstała i jęła odwracać płótna wizyami ku oczom Stalewskiego.

Cały szereg ich rozwinął się wstęgą odczuć przedziwnych i ech duchowych.

Stalewski znów wzrokiem się w nie wpił i dokoła ust poczęły mu przewijać się całe szeregi widocznie walczących w jego istocie wrażeń. Były chwile, w których widocznie chciał coś jakby zarzucić, jakby po dawnemu płasko skrytykować, lecz już przejmował go wstyd, już nie mógł wyrzucić steku zdań, które dawniej swem Credem mienił.

Na straży tych widm stała biała postać Anki, milcząca i nieruchoma.

Była ona Archaniołem korowodu tych dusz i sama zdawała się otaczać całą poświatą wielkiej swej jasności wewnętrznego życia.

I jakby echo tej poświaty, odezwał się głos Stalewskiego:

— To ich wewnętrzna istota?

— Tak — odparła cicho Anka — ta druga i trzecia warstwa, której nie widzimy, a przecież czujemy, bo one są właściwie rdzeniem naszej istoty.

Stalewski znów patrzył w milczeniu.

Do Anki cicho przysunęła się Piotruśka, którą przyjście obcego człowieka zupełnie wytrąciło z poprzedniej ekstazy.

Dotknęła ręki Anki.

— Czy to Pani — pan? — wyszeptała.

Anka spojrzała na nią z podziwem.

— Jakto? mój... pan?

— A no... a no...

Dalej się nie tłómaczyła ta wielka Rozkochana, tylko badawczo patrzyła to na Stalewskiego, to na Ankę.

— Bo tak sobie pomyślałam — zaczęła znowu szeptem — że choć ten pan ma siwe włosy, to można się w nim kochać.

Słowo to padło fatalne i straszne w biel tych ścian, przed te wizye nieruchome, w tę duchową atmosferę pracy i czystej twórczości.

Anka doznała, jakby pchnięcia nożem w serce. Był to ból czysto fizyczny i równocześnie drżenie całej jej astralnej istoty.

— Kochać?

Jak? Czy w rozłamie ciała i ducha, czy równocześnie całą istotą pełną i nierozdzielną?

Nie śmiała oczu podnieść na Stalewskiego.

Słowo Piotruśki zgrzytnęło dysonansem w jasną pogodę i ciszę budzącego się ducha.

Ale zarazem dysonans ten miał w sobie jakiś rozkoszny tragizm, całe światy do tej chwili dla Anki nieznane i tajemnicą zakryte...

Opanowała się całą siłą woli, na jaką ją stać było.

— Nie, Piotruśko — ten pan ma żonę.

Lecz Piotruśka nie odpowiedziała ani słowa, tylko swe szare, rozmarzone oczy utkwiła uparcie w źrenice Anki i mąciła niemi czystość tamtych źrenic.

— A no...

Anka czuła, że teraz Piotruśka może zajrzeć jej po swojemu w głąb duszy, więc szybko zatuliła się w skrzydła swej duchowej siły.

— Nie... nie... idź już, Piotrusiu. I pamiętaj, co ci mówiłam o Wierciaku. Rozmyśl się, zastanów... Przyjdź tu znów, opatrzę ci rany.

— Dobrze...

Cicho, spokojnie, wysunęła się Piotruśka za drzwi pracowni.

Lecz po niej pozostało rozwiane w przestrzeni to wielkie, przeogromne słowo miłości, tryumfalne, niezwalczone, rozbrzmiewające

siłą Wszechwiekową w szmerze drzew, barwach kwiatów, ryku lwa i cichym pogwarze ptaków, a przedewszystkiem w bólach, rozpaczach, jękach i rozkoszy — ludzi.

XIX.

Od płócien Anki oderwał się powoli Stalewski i spojrzał na stojącą na ich straży dziewczynę.

Wydała mu się piękną dziwnie, tak piękną, jak nie widział jej nigdy, i jak nie widział w tej jaśni Piękności żadnej kobiety.

Promieniała cała w jakimś nimbie tęczowym i biło od niej ciepłem, przytulnem dla serca a ducha podnoszącem.

Twarz jej miała delikatność linij niezrównaną, a wdzięk ten rysów okwitał czarem wyrazu w harmonię najwyższą.

I cała była w liniach, w tonach, w wyrazie, w rozduchowieniu — piękna, piękna, piękna!

Te resztki niewiary, jaką miał Stalewski do jej Dzieła, rozwiewać się zaczęły pod wpływem tej piękności.

Ona była piękna, tak nieludzko piękna, więc i to, co było jej dziełem, to jest essencyą jej Piękności, musiało być pięknem.

Stalewski jednak jeszcze nie rozumiał, czuł, ale nie rozumiał. Stał na progu świątyni, nie miał siły, aby wejść do niej sam i spojrzeć w oczy Prawdzie.

Jakby bezsilny, a przecież pragnący tej Prawdy, zwrócił się ku Ance.

— Proszę, powiedz, wytłómacz...

Było to dla niej niespodziane, bo działo się to tak szybko, z taką dziwną energią faktów, iż przejął ją lęk, czy ta przemiana trwałe zapuszcza korzenie, czy nie jest to pył kwiatów, podmuchami wichru rzucony.

Z jakiemś rozrzewnieniem dziwnem wyciągnęła ręce ku temu człowiekowi, który się garnął ku niej z pokorą dziecka.

Odegnała w tej chwili precz od siebie szept Piotruśki i rozwiała dokoła białość srebrną swych skrzydeł twórczych.

Pochyliła je liliami ku duchowi Stalewskiego i powiedziała mu: — pójdź! powiodę cię w dalekie przestworza, dla ciebie leżące odłogiem, boś szedł do tej chwili cieniem, a Prawda lśni złotą jasnością czystych i prostych dróg.

Dokoła nich drżały lekko ostatnie pokłosia słonecznych, dziennych blasków.

We wstędze rzeki srebrzyły się i czerwieniały, jakby łuska krwawa, łzami rosy oblana.

Kępa wierzb na brzegu, pękiem gałęzi wykwitła, mdlała w tych krwawych poblaskach, które u jej stóp strzałami się rozsypywały.

I cicho było, coraz ciszej, jakby zmrok stropu wchłaniał w siebie pogwar i rozszumienie dzienne.

Dusza przyrody jedna, a tak rozliczna, jak noc gwiaździsta, wyłaniała się coraz czyściejsza, coraz prawdziwsza, zrzucając ze siebie jaskrawość dziennych ślubów słonecznych i tryumfów świetlanych.

Błękit nieba topniał w liliowe tony i tylko złoto u skrajów widnokręgu łagodne było i nadziei pełne.

Ku tej Duszy wielkiej, czystej i nieskalanej, jak do części tworu, najbardziej zbliżonego do Twórcy, powiodła Stalewskiego Anka.

Delikatnym gestem przyzwała go ku otwartemu oknu i w ten omdlewający czar wieczornej chwili osnuła.

A gdy stanął naprzeciw niej, taki piękny, taki zmieniony i pobladły pod koroną swych srebrnych włosów, Anka poczuła, iż wyrywa się ku niemu z jej piersi, jakby prąd tajemniczy, to samo, co płynęło ku niej z duszy Narbuta, gdy tam, w redakcyi, w poświacie miesięcznej, on dawał jej ze siebie to, co było lepsze, i co jej duszę w krainę czynu wprowadziło.

. . . . . .

XX.

Rozpoczęła się walka.

W białej, eleganckiej willi nadbrzeżnej, do niedawna jeszcze będącej przedmiotem zachwytu filistrów i ideałem rodzinnego życia, jakie wytworzyć może „dobrze odczute posłannictwo artysty“ — rozegrywał się dramat.

Stalewski z całem zaparciem się znosił to, co mu los obecnie przynosił.

Było w tej nagle zbudzonej w nim wrażliwości wewnętrznej coś prawie nienaturalnego, tak silną była reakcya, jaką nosił teraz w so-

bie. Robił wrażenie człowieka, który, nie umiejąc pływać, rzuca się w najsilniejszy wir z tem rozpaczliwem przeświadczeniem, iż jakoś wypłynie i potrafi zwalczyć trudności.

Z obrachunku z samym sobą, jaki zrobił po odczytaniu artykułu Narbuta, pozostało mu wrażenie strasznego upokorzenia i bolu. Gdy tak szedł bezkresną równiną pól, to, co dokonał do tej chwili, wydało mu się rzeczywiście marne i żadne. Nie miał przed sobą żadnego wielkiego dzieła, nie zrobił nigdy nic takiego, przed czem ludzie stają, milcząc, jakby porażeni ogromem duchowej potęgi, w dziele tem zawartej. Ślepe wyławianie efektów natury i przenoszenie ich, a raczej przedrzeźnianie na „kawałku ścierki", jak mówił Narbut, przedstawiło mu się rodzajem roboty małpiej i napełniło go strachem.

— Poszli naprzód, ja wlokę się za nimi uparcie, jak ciura... — myślał, ocierając pot z czoła.

Ogarnął wzrokiem niezmierzone przestrzenie pól i łąk, szmaragdowe i złote, jasne i olbrzymie.

Czy to możliwe odtworzyć, skopiować?.. Chyba na paletę ściągnąć słońce i trawę żywą rozłożyć... Jakże tak?... Rzeczywiście... jakże...

Stanął zmieszany, jakby na rozstaju.

— Więc rzucić, nie malować... chyba.

Tęsknicą wielką znów ogarnął pola i łąki. Mimo swego kołtuńskiego pojęcia sztuki, kochał to, co starał się zacieśnić i przygasić na „ścierkach" swych dzieł.

I dziwną mocą te pola, te łąki, ta ich słoneczność i szmaragd wydały mu się teraz całe melancholią powleczone, smutne i jakby w mgłę rozpadające.

— Jakie smutne — pomyślał — zupełnie inne, niż przed chwilą.

Przypomniały mu się słynne „Sterty" Monneta.

Zastanowił się.

Parę stert widzianych i odtworzonych przez artystę w rozmaitych oświetleniach i porach dnia.

Czyż tylko w porach dnia i światłach? Czy nie było tam coś więcej z własnego nastroju duchowego artysty? Te „Sterty" raz przedstawiały się jasne, wesołe, na drugim obrazie, w tem samem niemal świetle, były melancholią owiane, a złoto słoneczne zdawało się odblaskiem gromnic, płonących przy katafalku.

Tak, stanowczo było to samo wrażenie i w nim w tej chwili. Gdy żegnał się niejako z możnością pracy dawnej, a na rozstaju nie wyczuwał jeszcze nowej ścieżki, po której iść pragnął — te łąki, te pola, posłuszne modele o podatnych i chętnych łonach, zdawały mu się oddalać, jakby żałobą za nim zdjęte.

Kto wie, czy nie był to właśnie łącznik jego odczuć z Monnetem, kto wie!

Tak mu się to niejasno po umyśle przewinęło, lecz odsunął tę myśl od siebie, jako wrażenie czysto osobistej natury.

— Nie... — pomyślał — nie tędy droga!..

I znów zaczął iść przed siebie, targając się w rozpaczy i smutku. Zdawało mu się, iż jest pustką straszną, beznadziejną, że w tym chaosie nowoczesnej twórczości, on nie ma nic do powiedzenia, że jest smutnem sercem, które powinno być wyrzucone za nawias.

I nagle, jakby porażony tą myślą, zatrzymał się i runął w falę żyta, runął twarzą w źdźbła, które rozstąpiły się pod jego ciężarem i zaszumiały mową srebrną, rozlewającą się w dalekie kręgi.

Za nawias!..

Nie to społeczeństwo „arcykołtunów", które ceni wysoko oleodrukowe tematy i zachwyca się scenami genrowemi z pobłażliwem wzruszeniem, nie ten odłam, a właściwie nie ta większość będzie zawsze za nim, i mieć będzie dla niego uznanie, oklask i pewną ilość pieniędzy, lecz ci i n n i?

Tych „innych" odczuwa on, widzi ich, choć tak mało ma z nimi styczności. Zamknięty to klan — odosobniona kapliczka, wyniosła i niedostępna. Jakiś tłum odwracających swe arystokratyczne profile od „uznanych" dzieł, tłum zapatrzony w dal, nieskończoność, oświetlony kryształowemi lampami własnych, rozmodlonych w tęczę duchów.

On wiedział, kim są właściwie ci, których wzgardliwie wyszydzał z obojętnością dobrze nasyconego motołka.

Podchwytywał ich słabości, ich chwile powrotu pomiędzy „ludzi", ich alkoholizm, nocne włóczęgi, długość włosów, wygodne płaszcze i zwłaszcza Erotyzm... ten rozwichrzony, rozpieszczony Erotyzm.

Zdawał się zapominać o własnej, rozwichrzonej młodości o rozpuście monachijskich ateliers, gdzie fotografie modelek w uściskach szkieletów były uznawane, jako szczyt dowcipu i wykwint artyzmu.

Nie pamiętał niemieckich knajp i nocnych włóczęg, nie pamiętał własnych krawatów, wiązanych sztucznie, i czubów, które mu na szpilce rozgrzanej kręciła z włosów jakaś Mitzi, albo inny „akt" rozbydlęcony.

On brał tylko „wierzchnią warstwę" tych innych, tych „młodych", którzy z taką pychą plunęli mu wreszcie w oczy i o ziemię cisnęli.

I co było najstraszniejsze, to to, że on czuł, iż to pchnięcie ich nie było zemstą, ani odwetem za jego pogardę, z jaką koło nich przechodził, wyniosły w swej sztuce i odzieży, ściśle dopasowanej do kroju i wymagań wszystkich porządnych ludzi.

Nie, to nie była zemsta, to nie była owa chęć — „*ôtes toi de la pour que je m'y mette*“ — wieczysta walka o byt, spychanie się z zajętego wygodnie stanowiska.

To był krzyk, protest, pewna ochrona ludzkości przed szpetotą jarmarcznych szyldów bezcelowych, i dla niego tylko wygodnych. To Duch, którego panowanie przyszło nareszcie, z poszumem skrzydeł wzbijał się na wyżyny.

To było w słowach Narbutta — nie co innego.

. . . . . .

I Stalewski uczuł się nagle mały, nędzny, drobny — żaden.

Ta willa, ta pracownia, te stosy grzecznych recenzyi, te komisye, ferujące wyroki o zakupnie obrazów, komisye, którym przewodniczył, te bankiety, toasty, mowy — to wszystko wydało mu się nędzą fatalną i bolesną.

Nie podniósł głowy od ziemi, na którą upadł, a przecież na karku swoim czuł ten mierny bagaż, ten dorobek swego życia, który mu przypadł jakby marą i gnieść go zaczął.

Po co to uczynił — myślał — po co szedłem tą ścieżką, dlaczego zamykam oczy, dlaczego nie chciałem widzieć nic z ewolucyi, która się dokoła mnie odbywała?

Chciał znaleźć wytłómaczenie. Dawne frazesy cisnęły się dokoła niego.

— Małpiarstwo, naśladowanie prądów zachodu.

Czuł jednak, że to gmach sztuczny. Jeśli prąd sztuki powiał z Anglii i przeszedł całą Europę, dlaczego miał ominąć i nasz kraj, i naszą sztukę?

Lecz prąd ten wiał widocznie na wyżynach, do niego dochodził echem...

Poświęcał się.

Dla kogo?

Dla żony, dla dzieci, dla utrzymania godnego stanowiska między ludźmi.

Ambicya na czas zapłaconego mieszkania, sprowadzenia węgla w większej ilości na zimę, szumiącej tafty pod suknię żony, możność

dania większej składki w miejsce powinszowań noworocznych, a dalej wyprowadzenie synów „na ludzi", z których jeden może się dostać do prokuratoryi, drugi...

Myśl się urywa i znów tylko w mózgu pracuje jedno słowo:

— Pajac! pajac!..

Tak — poświęcenie.

Lecz zdaleka, z poszumem lekko rozkołysanego żyta, przetykanego koralem maków i szafirem bławatków, płynie ku niemu jakiś głos kobiecy.

To Anka czyta, oparta o ramę okna, Ruskina:

„Ludzie nie są stworzeni na to, aby dla siebie umierali, lecz na to, aby umacniali się i upiększali wzajemnie...".

Stalewski przypomina sobie tę chwilę, kiedy to on siedział przy rajzbrecie, kończąc na gwałt jakąś allegoryę przygodną, obstalowaną przez jakieś wydawnictwo ilustrowane.

Oczy miał czerwone, krwią zaszłe, ręka mu drżała. Pochylony jednak przy lampie, rysował wytrwale. Potrzebował pieniędzy na „Boże Narodzenie". Allegorya miała być zapłacona natychmiast. Rano Stalewska przedstawiła mu spis świątecznych rachunków. Długi jadłospis wigilijny, na którą to „wyżerkę" należało zaprosić kilka osób wpływowych, a samotnie, bez rodziny, chodzących. Dalej, należało pomyśleć o choince i artystycznej szopce, o której mówiliby długo w mieście. Fotografie takiej szopki umieściłoby się w ilustracyach, a to może zrobić „dobrze". Dalej prezenta i dla dzieci, i dla tych „wpływowych", którzy będą na wilii, potem przyjęcia świąteczne...

Tak, to wszystko, jak cienka szpicruta, podnieca rzekomo twórczość Stalewskiego. Aby godnie przepędzić święta, potrzeba kilkuset guldenów, a składa się tak, że kasa pusta, bo sportretowani nie śpieszą z zapłatą, sądząc z pozorów, iż „mistrz" nie czeka tak dalece na pieniądze.

Czerwone oczy, ręka drżąca, palce prawie skurczone, niezliczona ilość szkiców do jednej „alegorycznej" rączki.

Tak, ten kark schylony i to wszystko razem — to poświęcenie.

Taki musi być nastrój ogólny, bo oto Anka od kilku chwil patrzy na niego i nagle z książki ciemno oprawnej, którą przyniosła ze sobą, czyta jeden krótki frazes:

„Ludzie nie są stworzeni na to...".

Głos jej przelata falą nad głową Stalewskiego. Nie rozumie jej słów, lecz je mimowoli zabiera w swoją istotę. Bo oto teraz, w poszumie kłosów gdy w poświęceniu chciał znaleźć usprawiedliwienie

swego zastoju i uporu, te słowa Ruskina, przez usta Anki wypowiedziane, wróciły i stały się dlań zrozumiałemi.

Powoli oderwał twarz od ziemi, od tych stłoczonych kłosów, na które tak padł rozpacznie, lecz nie powstawał, nie chciał wrócić do rzeczywistości. Zaszyty w złoto żyta, z szafirem niebios ponad źrenicami, czuł się odgrodzony od świata, i po raz pierwszy sam ze sobą i swojem sumieniem. W kieszeni kurtki czuł dziennik z artykułem Narbutta, lecz nie czytał go więcej.

Z nadzwyczajnem okrucieństwem wbiły się słowa młodzika w jego umysł.

Pamiętał każdy zwrot, a im był brutalniejszy, tem lepiej go pamiętał.

I leżał tak, obracając w ranach swych ostrze noża, płacząc krwią duszy, która nagle wypłynęła ku niemu z kaźni, w którą ją wepchnął.

Stanęła przed nim naga, pleśnią porosła, nie chcąc odziać się w pstrą szatę karyery. Wspaniałym gestem odtrąciła także łachman poświęcenia, w który ją udrapować pragnął.

— To, co dawałeś twym dzieciom kosztem moim, złe jest i marne, a przez nich samych kiedyś będzie wyśmiane i przeklęte. Odziewałeś je suto w strojne sukienki i kładłeś im, jak piętno, chomonta twej błazeńskiej sławy. Stokroć lepiej było dać im skromną, ubogą sukienkę, a zamiast rozdzwonionego chomonta, położyć na nie piętno wyższości twej w pojmowaniu i tworzeniu Piękna.

Tak mówi, tak wionie wichrem rozpacznym ku Stalewskiemu jego Dusza.

I rozpoczyna się jego Golgota zbyt wcześnie, a tem straszniejsza, iż ten człowiek ma jeszcze w sobie siłę twórczą i zaczyna się szamotać tą siłą z taką rozpaczą, iż nieledwie znieść to wszystko jest w stanie.

— Więc cóż teraz? co?

Ustępstwo?.. sprobować się z „nimi“, pokazać im, że i on...

Nie kończy tej śmiałej myśli, sformułować całej nie śmie.

Sprobować...

Pot mu czoło zrosił.

Czuje się na rozstaju. Dokoła niego ścieżki powikłane, niezrozumiałe.

Zaczyna przypominać sobie całą siłą niektóre „nowatorstwa“ Grymas wykrzywia mu usta, przywykł tak im urągać, że nie czuje ich wcale. A przecież to ma być Prawda!

— Nie wiem, nie wiem — myśli — czuję, że dusza moja się krwawi, że nie powlecze się dawnym torem, a przecież nie wiem, gdzie mam iść, nie wiem nic...

W życie wzrasta szum, niepokój przedwieczorny. Coś brzęczy chórem w tercyach, potem akordami coraz ciszej się rozlewa. Od stropu, od błękitu, płynie ukojenie i senność przedwczesna. Natura roztacza swe nocne opony i zagarnia w nie poszum, niepokój, oznaki życiowego rozkwitu...

— Nie wyjść więcej z tej fali żytniej, zaginąć tu... nie widzieć nic!

Po raz pierwszy Stalewski pragnie gorąco i szczerze Zniknięcia z pogwarnej platformy, na której z takim wdziękiem i temperamentem rozwiewał poły swej sławy i tużurka, obowiązującego na *fixach*, których był ozdobą, a czasem treścią.

Lecz nieubłaganie upływa czas.

Golgota pozostaje sobą nawet i w liliowem świetle wieczoru.

Biały, blady księżyc, krajem wystąpił z głębokości pobielałego szafiru.

I zatrzymał na sobie źrenice Stalewskiego.

Miłą mu była ta nieśmiałość i niepewność tam, w górze. Lękał się brutalnego, purpurowego widoku krwawo zachodzącego słońca. Wiedział, czuł, iż tam, na skraju horyzontu, rozwiała się ta rubinowa, strzelista tragedya zachodu, i widmo słoneczne, skrzące brylantami, ściele się po rżysku.

Lecz on zeszył się w tę część horyzontu, która była nieśmiałej melancholii pełna.

— Tak, jak moja dusza... — pomyślał ze smutkiem.

I cała jego walka roztopiła się w bezbrzeżnej, przesmutnej melancholii. Coś szlachetnego było w tym smutku cichym i pełnym godności. Jakaś pokora dziwna ujarzmionej nagle i zranionej duszy...

I takim przywlókł się Stalewski pod próg Anki, takim stanął przed jej obrazami, a potem zwrócił się ku niej z pytaniem w oczach, z pytaniem w ustach.

— Powiedz!.. wytłómacz!.

XXI.

Powiedziała, wytłómaczyła.

Otworzyła swą duszę jak kwiat rzadki i piękny, aby on przeniknął jej barwę i napoił się wonią.

Najlepszą obrała drogę.

Porzuciła ton mentora.

Nie mówiła mu: rób to, idź tam, lecz królewskim, hojnym gestem wykazała przed nim swoje Piękno i rezultaty, do których doszła.

Słuchał ją wtulony w cień, słuchał milczący, z drgającemi usty. Słowa jej, dźwięk jej głosu rozwiewny, delikatny, miały w sobie ten melancholijny wdzięk liliowego zachodu, który mu był miły. Nic nie rozdrażniało jego ran, nie lecząc, nie przypominało mu jego bolu.

Tylko wchodził powoli w mistyczną sferę, zupełnie inną, jak do tej chwili, i rozpoczynał wędrówkę wśród gwiazd, cicho płonących dobroczynnym blaskiem.

Anka gwiazdę taką zdawała się nieść w wysoko podniesionych dłoniach i rozświecać nią szlaki. Światło było pewne, spokojne, przenikające siłą. Nie migotało, nie oślepiało sztucznością pochodni. Żaden wicher nie mógł zgasić tej gwiazdy. Stalewski zaczynał to rozumieć. I zaczynał również nie czuć się tak samotnym na bezdrożach poplątanych ścieżek.

Przed nim szedł już biały, ciągnący go za sobą cień.

Urok głosu Anki kojarzył się dziwnie z urokiem treści jej słów.

Była chwila, iż w tej ciszy rozdźwięczał się tylko głos i Stalewski zatracił głąb i znaczenie myśli.

— Jak słodko! — myślał, przenikając przez fale głosu ku postaci, lekko zaznaczonej jasną mgłą wśród mroków wieczornych.

— Tak... ona musi być w prawdzie i musi byś sama prawdą! Słodycz czysta i dziwna płynie od niej i przenika mnie całego...

W willi na dole zapanował ruch.

Na ogródek wyszły służące i zaczęły rozświecać pstre japońskie latarki.

Tu i owdzie zakołysały się pomarańczowe światełka. Od okien padały jasne smugi na wygracowane aleje i senne po trawnikach kwiaty.

To widocznie Stalewska rozświecała całą willę, aby nie dać nikomu poznać, iż artykuł Narbutta dotknął ich w czemkolwiek.

Pstre, jaskrawe *quand même* ubrało willę w łachman pajaca.

Ta kobieta z całym uporem pragnęła wykazać, iż na cal Stalewski nie zejdzie z obranej drogi.

Anka drgnęła cała pod wpływem tych brutalnych, rozkołysanych światełek.

Były takie małe, takie śmieszne, takie papierowe, poklejone gdzieś na tandecie wiedeńskiej, przedrzeźniające uroczy kraj laki i motyli, kraj, rozdzwoniony pięknem drobiazgowych, cichutkich dusz.

Lecz prędko się powściągnęła, widząc, iż Stalewski, zasłuchany, nie zdawał się zwracać uwagi na ten mizerny protest małodusznej kobiety.

I znów popłynął głos Anki, i zajaśniała gwiazda jej piękna, wzniesiona wysoko po nad rozległy łan, na którym wykwitł cały ogród jej duchowych zdobyczy.

Wewnętrzna warstwa życia, tak na pozór subtelna, pajęczo delikatna, zwalczała w tej chwili zwycięsko zewnętrzność codzienną, wykutą z uporu i złośliwości w zastoju pogrążonej istoty.

— Patrzę w głąb duszy... i widzę ją w poświacie jej piękna. Bo dusze ludzkie, pomimo wszystkiego, co się o nich mówi, są piękne. Trzeba tylko umieć odróżnić ich piękno prowizoryczne od piękna rzeczywistego, odsunąć plewę i sięgnąć do samej głębi często krwią ociekniętej, po prawdziwą słodycz, właściwą duszy ludzkiej... Jest ona rozmaitą... tak, jak rozmaite są objawy żywotności duchowej, i właśnie jej jakość zależy może od tych objawów, które się pierwsze myśli naszej nastręczają. I z tego tkam istotę człowieka...

Nagle na dole rozhuczał się fortepian.

Stalewska, w muślinowym peniuarze, grała Erlkönига z zapałem histerycznym, i szum, huk torturowanych klawiszy płynął razem z jaskrawemi blaskami na ciche grzędy narcyzów i aksamit bratków.

Anka urwała swe słowa i dziwny uśmiech wykwitł na jej ustach.

Stalewski teraz drgnął cały, widocznie rozżalony głównie tem, iż dyssonans brutalny przerwał czar pięknej chwili.

— Pójdę, nakażę ciszę... — szepnął przez zęby.

Lecz Anka zatrzymała go powolnym gestem:

— Nie! — wyrzekła — jeżeli pan chcesz wyczuwać tę najgłębszą warstwę w duszach ludzkich, musisz nauczyć się sam panować nad swoją. A przedewszystkiem zniszczyć w sobie odruchy gniewu. Zastąpić je można smutkiem, zrozumiawszy, ile siły szlachetnej w tym smutku zaczerpnąć można.

Ręka jej, przez chwilę wzniesiona w przestrzeni, bielała, jak kwiat mistyczny na tle czarnej kolumny.

Stalewski wpatrzył się w tę rękę, wsłuchał się w te słowa:

— Zastąpić je można smutkiem...

Ależ on już wyczuł właśnie taki smutek wśród fal zbożowych.

Mógł więc tylko do niego powrócić.

Cofnął się w tę warstwę spokojnej i kojącej melancholii i nagle uczuł ukojenie wielkie.

— A potem możemy porozumieć się milczeniem i ciszą wewnętrznych istot. Tak się zapatrzą i zamodlą w świątynię swych własnych pragnień i celów, że najsilniejszy pedał nie zdoła w nie taranem uderzyć.

Te słowa już słyszy Stalewski jak przez mgłę, jak w poszumie zbożowych fal. Kwitną dokoła niego jakieś przedziwne kwiaty o ludzkich twarzach. I coś po tych grzędach się snuje. Lecz nie rozumie wyraźnie, jakiś smukły cień, osłonięty i liliowo piękny.

Stalewski wtula się coraz więcej w s w o j ą ciszę i rzeczywiście odgranicza się od świata. Tylko na straży tej nieśmiało wznoszącej się Świątyni, dźwigającej się z gruzów obstalunków i szablonu, stoi Anka cicha i milcząca, uważna i w głąb świątynną wpatrzona.

I zdaje się jej, że tam, wśród kolumn, migotać zaczyna jakieś światełko, mogące rozpłomienić się w żar przedziwnej, niezrównanej piękności.

. . . . . .

Przez serce jej, przez umysł jej fala płynie... płynie...

Skrzydłami rozpostarta u kolumn świątynnych, dusza jego samotna spowiada się Bogu. Stokroć mniej winna od wszystkich niewinnych... Jednak omdlewa z trwogi i czeka u progu...

I myśl Anki płynie... płynie...

. . . . . .

Jakaś grupa ludzi posuwa się zwolna od lasu ku willi.

Kilka latarni w ręku, za nimi cicho wóz sunie.

Wóz ten ma na grzbiecie coś na kształt trumny.

Coś, co w ciemności staje się jeszcze bardziej ciemnem, tajemniczem, groźnem, rozpaczliwem.

Nie kształtem swoim, nie czernią powierzchni, ale zawartością, która w tej czerni jest tak silną i potężną, że aż przeświecać się na zewnątrz zdaje.

Smugi świetlane, jak wstęgi karawanu, płyną od wozu, od grzbietu jego, ciągną się, nikną, znów plamami występują i znów się łączą, potem rozbiegają w miryady drżących światełek. To wszystko ciągnie się od wozu, który pełza wśród drogi od lasu, a za nim idzie garstka ludzi, jakby znudzonych, zmęczonych tą nocną wyprawą.

Leniwo kołyszą się w ich rękach latarnie, leniwo stawiają kroki.

Oni nie widzą świetlanych smug, które płyną z żałobnego wozu. Gorliwie strzegą światła swych blaszanych latarni i te im wzrok przysłaniają.

Oni tych smug nie widzą...

Gdyby im kto powiedział: „idźcie wolniej, nie popędzajcie koni, patrzcie, tam wlecze się i drży jeszcze część tego trupa, którego porwaliście po oględzinach policyjnych i lekarskich, z takim animuszem atletów, na bary, ci ludzie roześmieliby się grubiańsko, a kto wie, może serdecznym śmiechem.

Bo oni widzą tylko światła latarni, które, polakierowano właśnie świeżo na ciemno-zielono i wprawiono w nie nowe szyby.

Bo *to* się widzi.

A *Tamto* się wyczuwa.

. . . . . .

I dlatego Anka z okna swego wyczuwa tę smugę świetlaną, ciągnącą się od wozu aż hen, po las, po ten smutny, bezsłoneczny las.

Po drodze wlecze się ta smuga, śpieszy, rozprasza się i gubi cząsteczki drżące, jakby krew brylantową.

Jest ona sto razy tragiczniejsza, niż ten sam Trup stężały już i zamknięty tak szczelnie w czarnem pudle, przywartem do grzbietu wozu. Bo w niej, w tej świetlanej części samobójcy, tkwi jeszcze życie, a może właśnie sama istota i przyczyna życia.

Lecz bez mistycznego połączenia, bez tej nigdy nieprześwieconej Tajemnicy, i ono, i to światło, przestaje być światłem i motorem życia ciała, z którem stanowiło taką dziwną, taką, grozą przejmującą, jedność.

Po drodze, po źdźbłach trawy, po krzaczkach, po kamieniach, rozwłóczą się gorące, wyiskrzone blaski.

Czy zgasną?

Czy rozwieją się w nicość?

Czy wchłonie je w siebie inna istota ludzka, roślinna? Czy może stanie się duszą jakiejś, napozór martwej rzeczy, która z taką jednak potęgą w życie się nam wprasza?

A może w tę noc letnią, czarowną, rozgwieżdżoną, zabiera ją w tchnieniu swojem człowiek-mężczyzna, człowiek-kobieta, i w pocałunku miłosnym, w ekstazie twórczej, w chwili Cudu, przekaże dziecku, którego poczęcie ze śmierci początek weźmie.

Może...

Anka tego nie wie, Anka tego zrozumieć nie może, tego zresztą nikt ani wiedzieć, ani zrozumieć nie może, ale ona czuje, że przed nią odsłania się, jakby część najwyższego misteryum, wobec którego omdlewamy z bolu nieświadomości i trwogi.

Wóz sunie teraz wzdłuż krat ogrodowych. Światło japońskich lampionów, kołysanych wiatrem, ślizga się po nim tęczowemi plamami.

W tem świetle szafirowem, zielonem, purpurowem, występuje brutalnie zniszczenie smutnego wozu — te deski, zbite w budę bezkształtną.

Coś na wzór karawanu, coś jakby buda miejskiego rakarza.

I na tem plamy tęczowe, jakby drogie kamienie padły i drżały, padły i nikły, niby królewska dłoń sypnęła klejnotów garść, aby upiększyć nędzę tego schowku.

U kraty przylegla służąca, pilnująca lampionów, aby nie pogasły.

— Kogóż tam wieziecie? — pyta ciekawie, wtłaczając twarz pomiędzy sztachety.

— A takiego znów z lasu, co miał życia dosyć!! — odpowiada chrapliwy głos z poza wozu.

Służąca uderza w dłonie z pewną manierą.

— Boziu! Boziu!.. — mówi — to straszne, znowu się jakieś zabiło?

Po chwili dodaje:

— A młody?

— Dla panny za młody...

I śmiech rozwłóczy się dokoła budy, która już znika w cieniu, podczas gdy plamy tęczowe drżą i tańczą na ziemi, na kamieniach, na krzakach przydrożnych.

Stalewski przechyla się z okna i patrzy za znikającym wozem.

— Oto... życie!.. — mówi wreszcie z rozpaczliwą, bezdenną melancholią.

Anka patrzy w przeciwną stronę i wyczuwa tę smugę świetlaną, ukochaną, nadziei pełną.

— Oto życie!.. — powtarza, a głos jej brzmi tryumfem, radością, i jest jasnym, ciepłym, drgającym, tak, jakby z tych rozproszonych, brylantowych cząstek ku niej się coś wzbijać zaczynało.

XXII.

W kilka dni później zakotłowało się w mieście, zawrzało, zahuczało.

Poruszyło się całe błoto od dołu z zaciętością niezwykłą.

Szary dzień ubarwiły setki plakatów wyborczych. Purpurowe, krwawe, pomarańczowe, jak one lampiony Stalewskiej.

Cała ludzka śmieszna, mała pycha, to coś, każące wyłazić na spróchniałą drabinkę, to *coś*, co rozpierało pierś Napoleona i pana radcy miejskiego z małego miasteczka, spadło jak sęp, jak hyena rozskrzydlona, i wyło, kłóciło, dobywało z serc ludzkich zdumiewające objawy małości i podłoty.

— Obywatele! Wyborcy!..

A dalej:

— Jedynym kandydatem demokratycznym i t. d.

Przypomina to formą i treścią „Prawdziwy, jedyny, uniwersalny płyn Jana Kwizdy".

I te zręczne insynuacye...

I te łuki śliny, wyrzucanej w stronę kontrkandydata.

W takiej chwili sądzić można, iż całe społeczeństwo galicyjskie składa się z samych zdeklarowanych łotrów, będących równocześnie zbawcami kraju.

Wyziera z każdego rogu ulicy pycha osobista i chęć utrzymania się na cal *wyżej*...

Krzesło w sali źle oświeconej, prawo wygdakania się w tej lub owej kwestyi—zadowolenie z przeczytania w dziennikach „na interpelacyę radcy"...

I obojętne, senne głosowanie za prowodyrem, a nadewszystko chęć pozowania dla galeryi.

To już najumiarkowańsza hydra polityczna, to pragnienie rządzenia miastem i oponowania przeciw „pozycyom budżetu“. To już żądza wichrzenia w pewnej przestrzeni, obramowanej kamienicami, w których zgromadziły się całe stada ludzi. Reprezentacya przy odsłanianiu pomników, spacer po błocie w stroju twarzowym za trumną ironicznie na te rzeczy zapatrującego się nieboszczyka, możność rozpierania się przy biurku, gdy przychodzi jakiś petent i mówi z pokorą: „pan radca, panu radcy, panem radcą“.

Anka dnia tego wstaje wcześnie i, odziawszy się, biegnie do redakcyi.

Ona wie, że ojciec przeżywa dziś jeden dzień, w którym koncentruje się znów całe jego życie. Ona czuje, co się tam dzieje w tej biednej pychą duszy.

Ona wie także, iż będzie to jeden więcej sromotny upadek, i że Zagrodzki „nie przejdzie“, pomimo, iż ów dziennik, w którym go tak popierają, rozwinął bardzo ładną i bardzo dobrze pomyślaną agitacyę.

Anka wie, że jest bezsilną, że nic nie poradzi na ów upadek, że nawet jej obecność będzie przez ojca niedostrzeżona, ale ta nić, która ją wiąże tak silnie z tym ojcem, będącym dla niej tak mało „ojcem“, ciągnie ją ku niemu.

— Pójdę, będę przy nim!..

Przypomina sobie, iż dzień przed tem widziała go strasznie wybladłym i zdenerwowanym, jak biegł przez ulicę, potrącany przez ludzi, nawoływany przez fiakrów, z oczyma, płonącymi niezwykłym gorączkowym ogniem.

Stawał na rogach ulic, czytał plakaty wyborcze, które pewnie umiał na pamięć, poił się obelgami, które czerniały, porozwieszane jak sztandary, i siekły go rózgami zarzutów, a potem znów wpadał w hypnozę przed własnem „wyznaniem wiary“, który podawał jego „komitet“—na innych płachtach, naklejonych w pośpiechu, a zdzieranych szybko przez kontrkandydatów. Niepodobna było pochwycić nawet tragiczności wyrazu twarzy tego starca, biegającego tak z rogu ulicy na drugi róg, bladego, z ustami silnie zaciętemi.

Jak zawsze, elegancki, nieposzlakowanie ubrany, wielki pan w każdym calu, przerażał tą elegancyą zgalwanizowanego trupa.

Ance ścisnęło się serce wielkim, fizycznym bolem:

— Jak ona go żre ta chimera, którą tak starannie, jak lampę kryształową, w swej duszy pieści! Jak ona go żre!..

W redakcyi pootwierano wszystkie drzwi na rozcież.

Całe stosy śmieci, papierów zalegały podłogę.

Z racyi wyborów nie zamiatano.

I tak się dziś naśmieci „hyenami“ i rozmaitym innym „narodem“

Przed redakcyą szereg dwukonnych fiakrów czeka na rozkazy i rozwozi po mieście agitatorów i wyborców.

Każdy fiakier, wynajęty przez dziennik na cały dzień, ma na piersi kokardę błękitną.

Gdy agitator, lub ktokolwiek, potrzebujący fiakra w agitacyjnych celach, spotka taki powóz na mieście, ma prawo wsiąść do niego i jeździć gdzie chce i do kogo zapragnie.

Cały dzień widać po mieście jeżdżących Wierciaków, a fiakry z błękitnemi kokardami śmieją się i bawią z wysokości kozłów.

Naczelny redaktor, człowiek chory, sangwinik, z fioletowemi plamami na twarzy, podobnej do maski Ibsena, dobywa resztek sił i głosu, drepcąc po zaśmieconych pokojach redakcyjnych.

Telefon jęczy ciągle i przeraźliwie.

Przy nim szasta się sekretarz redakcyi, traktujący sprawę wyborów elegancko i z humorem.

Co chwila otwierają za pomocą świderka, pożyczonego od stolarza, butelki Pale Ale. Kanapki z kawiorem znikają, jak w czeluściach piekła. Jakieś gromady nigdy nie zjawiających się w redakcyi ludzi przeciągają przez lokal i po ich odejściu taca kanapek próżna, butelki Pale Ale — próżne.

Fiakry turkocą, odjeżdżają, zajeżdżają...

Po schodach dudnią ciężkie buty.

W sieni słychać szepty, wykrzykniki, rozkazy...

Sekretarz z wytworną uprzejmością przyjmuje Wierciaka, który spocony, ochrypły, nie umyty, z krawatką, przekręconą na nabrzmiałej szyi, wpada co chwila do redakcyi i każe wywoływać redaktorów kolejno.

Gorączka, żar panuje dokoła.

W bramie tłoczą się i krzyżują rozmaite indywidua. Koło fiakrów podrygują dzieci. Jakaś sługa zawyrokowała, że to musi być wesele, ale jakiegoś wdowca albo i rozwodnika, bo fiakry „na niebiesko".

Usłyszał to sekretarz, wyjrzał, zobaczył, że dziewczyna ładna, i z wdziękiem podał jej przez okno bułeczkę z kawiorem.

W tej właśnie chwili wchodziła Anka do redakcyi.

Ten postępek młodego, wesołego chłopca zasłonił jej na chwilę całą bezdeń gorączkowej głupoty, jaka rozprzestrzeniła się tutaj, biorąc do pomocy ambicyę, doprowadzoną do szału.

— A, paniusia!.. śliczna panna Anna będzie z nami agitować... a ot, jeszcze jedna bułeczka.

I z tym samym uprzejmym gestem, z jakim przed chwilą traktował służącą, rzucił się sekretarz ku Ance z tacką, na której czerniła się ostatnia kanapka.

— Dziękuję panu! — odparła Anka, uśmiechając się mimowolnie — niech to pan zachowa dla rzeczywistego agitatora.

Lecz ruchliwy sekretarz już był przy drzwiach, już szeptał z jakąś grupą podejrzanych indywiduów i wąchając nieznacznie klapę od kurtki, naperfumowaną Vera Violettą, prowadził oną grupę do ostatniego pokoju.

Tam bowiem wrzał najsilniejszy ruch i tam była kuźnia wyborów.

Przez okno, wychodzące na dziedziniec, konferowano z bandami „hyen", cisnącemi się dokoła niewielkiego skweru. Szary dzień bez promienia słońca, ciężki i duszny, tłoczył mózgi przedburzową siłą. W powietrzu drżały całe smugi elektrycznej potęgi i przenikały nawskroś ciała ludzkie. Z gromad, stojących pod oknem, biły kłęby woni alkoholu, potu, machorki i starej odzieży,..

Z ich twarzy, z ich oczów ukośnych, ust, dziwnym grymasem na bok ściągniętych, aż biło obleśnym fałszem, przyczajeniem się i umiejętnością wyzysku chwili, tak podatnej do wykorzystania ludzkich namiętności.

Z okien oficyny, otaczającej dokoła dziedziniec, przyglądali się lokatorowie, kobiety z dziećmi na ręku, sługi, przechylone przez wywieszone dywany, lub kołdry, i ze spokojem i pewną ociężałością śledzili ten kłąb ludzi, cisnący się ku redakcyi, ziejący gwarem, gorączką i niepokojem.

Wesołe wrażenie, które Anka odniosła przez spotkanie na progu grzecznego sekretarzyka, zatarło się zupełnie, gdy zaczęła błądzić po pokojach, szukając ojca. Potykała się co chwila o ludzi roznamiętnionych, rozkrzyczanych, knujących, liczących, nienawidzących, pełnych jadu i chęci zabicia moralnie bliźniego.

— Co tam? co tam? — pytał naczelny redaktor, któremu czterdzieści stopni gorączki zdawało się dodawać skrzydeł, niosących go nad rozszalałem miastem.

— Jeszcze nic pewnego... zdaje się jednak, że dobrze!..

— Ol.. może się pan czego napije, potem proszę brać fiakra i pod ratusz.

— Dziękuję, pić nie będę, lecz...

Nagle wpada ktoś brodaty w kapeluszu, zsuniętym z czoła.

— Żydzi, żydzi bruździą...

Konsternacya.

A potem krzyk:

— To nie może być!

— Tak jest.

— Kahał za nami.

— Nieprawda

I po redakcyi całej leci szumem wzburzenia:

— Kahał bruździ!.. Kahał odstępuje!..

W jednej chwili zbijają się grupy — szepty, narady.

— Ten ma wpływy...

— Bierzcie fiakrów!

— Psia krew, nie ma ani jednego.

— Pędźcie na róg, bierzcie pierwszego lepszego!

— Obiecał...

— Kto mu wierzyć może?

— Pozwólcie... jakże?..

— Cicho, nie gadać, działać!..

Sekretarz wpada, prowadząc jakieś trzy indywidua.

— Jest dwanaście głosów, ale chcą...

Szeptem wymienia cyfrę.

— Dać, dać!.. — woła naczelny redaktor, macając się co chwila pod lewą pachę, gdzie tkwi od rana termometr.

Anka wreszcie ośmiela się zapytać jednego ze znajomych redaktorów, piszącego *quand même* kronikę do wieczornego numeru.

— Gdzie mój ojciec?

— Nie wiem.

Do redakcyi wnoszą coś cichaczem. Zaczynają to coś oglądać w kącie. To transparent z twarzą Zagrodzkiego, przygotowany w razie wyboru. Olbrzymia głowa, dziwna, straszna, z doskonale zachowanym wyrazem tragicznego niepokoju. Oczy wybladłe, błędne.

Wszyscy się zachwycają.

— Doskonały!

— Jak żywy!..

— W którem umieścimy oknie?

— W środkowem... resztę okien obwiesimy lampionami... oto są!

W jednej chwili, jak stado motyli, w rękach zaczynają fruwać lampiony rozciągane, jak potworne harmonijki. Ktoś zapalił wewnątrz świeczkę. Smutno zapłonęła pomarańczowa plama z posianymi na niej szafirowymi zygzakami.

— Zgasić... zgasić... schować!..

W stos, na stół, pomiędzy całe masy dzienników porannych rzucono lampiony i transparent.

Padł całą długością i zesunął się połową ze stołu, świecąc z daleka bielą brody, włosów i cery twarzy Zagrodzkiego.

I znów: „żydzi, żydzi, kahał!..“.

Anka nagle widzi w kącie wciśniętego Narbutta.

Jest zmieniony, prawie siny, smutny, nie pijany. Siedzi nad jakąś książką, z której machinalnie robi notatki. Widać jednak, że ta praca jest mu obojętna, jak obojętną mu jest gorączka i wrzawa, przepełniająca redakcyę.

Jest koło niego jakiś abstrakcyjny krąg, który nie dozwala zbliżyć się i przerwać mu tego odosobnienia, wyniosłego i arystokratycznego.

Anka to czuje, czuje jednak zarazem, że gdyby wniknęła w siebie i skoncentrowała swe siły moralne, mogłaby znaleźć na tyle mocy, aby przejść to koło i znaleźć się wspólnie z Narbuttem w tej sferze, w jakiej on teraz przebywa. Lecz na to trzeba chcieć.

A Anka nie może, czy nie chce.

W Narbucie widzi swego przewodnika, widzi tego, który jest od niej *wyżej*, który ją pociągnął za sobą, więc tylko patrzy w jego stronę z wdzięcznością.

Nitka przywiązania, która ogarnęła ją owej pamiętnej nocy, gdy wróciła z redakcyi, wykwita .. wdzięcznością. Brak w niej tej przytulności, która stanowi podstawę wielkiego uczucia, brak w niej tych ramion rozwartych, w które chroni się istotę słabszą i przez to więcej ukochaną.

Anka chciałaby spotkać wzrok Narbutta, chciałaby mu wypowiedzieć swemi źrenicami, że idzie za jego radą, że już nawet zbiera plon, chciałaby zaczerpnąć w jego spojrzeniu siłę i moc na dalszą drogę, lecz Narbutt siedzi, zapatrzony w jakąś dal mistyczną, którą on tylko rozumie, i ma wygląd człowieka, przed którym otwarły się nagle drzwi grobowe, w którym lata całe spoczywała pusta, przygotowana na przyjęcie trumna. Otwarły się też drzwi i wionęło strasznym, grobowym zapachem.

Zakołysała się w niem rozniecona mozolnie lampa mądrości życiowej.

I gasnąć zaczyna.

Na dnie trumny tymczasem rozświetla się jakieś inne, dziwne światło.

To—zdaje się widzieć Narbuta i to światło odbija się w jego źrenicach strasznym, tajemniczym blaskiem.

. . . . . .

W ostatnim pokoju, na zwykłem miejscu, przy biurku, siedzi Zagrodzki.

Siedzi tak, jak zwykle, nie zdjąwszy jasnego palta, siedzi i pisze.

Właściwie jednak nie pisze, tylko kreśli zygzaki po papierze drżącą od zdenerwowania ręką. Nie pozwolili mu wyjść na ulicę i słaniać się przed afiszami. Zresztą, on sam już dzisiaj czuje całą niewłaściwość podobnego postępowania. Jak lalka, jak bożek z Taiti, siedzi w swym fotelu, a dokoła niego wre cały ruch, cała robota wyborcza, prowadzona bynajmniej nie dla jego wartości osobistej, lecz dla zupełnie pokątnych celów.

Czuł to wybornie, dziwnie bowiem wysubtelnił się w nim w ostatnich czasach ten zmysł odgadywania istotnej sytuacyi, w jakiej się znajdował. Starał się jednak od czasu do czasu brać niby udział w tym ruchu, który dokoła niego wirował—wstawał, rzucał przez drzwi pytania, lecz czuł, czuł to wybornie, iż jest manekinem, którego wyśrubowano na wyżyny.

I co było najstraszniejsze, to właśnie dla tego, że był... manekinem.

Nikt sobie, zda się, nie zdawał sprawy, co czuł w tej chwili ten cicho siedzący manekin, najwygodniejszy kandydat dla „partyi". Jemu zaś zdawało się, że ktoś powoli, z całą świadomością, zdziera z niego odzież, i że wystawiają go na jakieś urągowisko całej masy, która tylko czyha, aby rzucić się na niego i siec go urągowiskiem i lodem plwocin, pełnych zatrutego jadu.

Przed nim, nad mapą Galicyi i Lodomeryi, żółtą i od much upstrzoną, obok szafki, w której drzemie kilka tomów rozmaitych encyklopedyi (źródła przygodne wiedzy reporterskiej), okrągła tarcza zegara nieubłaganie macha ramionami wskazówek, ciągłe zataczając koła.

Zagrodzki mimowoli na ten zegar spogląda. Sprzągł z nim swe istnienie, gorączkę swego zwycięstwa lub porażki.

Każde posunięcie wskazówki, to szmat dnia, w którym on tak krwawi swą duszę pod dumne chłosty ją wlokąc.

I chciałby chwilami, aby ten dzień straszny, ten dzień niemiłosierny, skończył się jak najprędzej, to znów chciałby klęknąć przed tą tarczą zegaru, i on, starzec siwowłosy, zamiatać białą brodą proch ziemi w błaganiu kornem powolnego obrotu wskazówek.

Bo przez ten czas nazwisko jego może więcej razy, może jeszcze więcej razy pojawić się w sali wyborczej.

Jego nazwisko!

Tych kilka liter... tam... w sali ratuszowej. Niosą je setki ludzi po tych zbłoconych schodach, mają je na ustach setki ludzi, mrowiących się dokoła ratusza.

I znów Zagrodzki prostuje z dumą kark pochylony. Ambicya go przepaja całego, owiewa słodkiem kadzidłem. On przecież jest kimś, skoro jego nazwisko...

Nagle drzwi się uchylają.

Wsuwa się przez nie Anka i równocześnie słyszy zmieszane głosy:

— Żydzi... żydzi zdradzają...

Zagrodzki blednie jeszcze więcej i wstaje z za swego fotelu, jakby podcięty szpicrutą.

Żydzi?

Ależ zawarli przecież sojusz bardzo ścisły i mieli iść ręka w rękę. Obiecano im, w razie poparcia, pewne także ustępstwa. Tajemnica wielka, lecz pewna. I teraz zdradzają!

Pot mu płynie z czoła.

Wstaje i kieruje się ku drzwiom.

Po drodze spotyka Ankę.

— Ach! to ty!..

— Ja, ojcze!

Dziewczyna bierze rękę starca, niesie ją do ust. Czuje, iż jest zimna, jak lód.

— Ach, ojcze, ojcze!.. ty jesteś chory, zlituj się!..

Odsuwa ją, patrząc we drzwi błyszczącemi oczyma.

— Słyszysz... żydzi zdradzają!..

Dochodzi sztywnym krokiem, otwiera je i wchodzi nagle w wir, hałas, ścisk.

Anka pozostaje sama.

I patrzy na ten fotel pusty, na to biurko, nad którem pochyla się całe dnie postać jej ojca, i nagle wykwita przed nią cały łan zasianych zbożem pól, i łąk zielonych, i lasów, w zimie bogatych w srebrną, ciężką okiść, i lip wonnych, i akacyi, na trawnikach rozkwitłych w czerwonem, czarującem słońcu.

Ta wieś cicha, uroków pełna, a w niej..

Z pod baldachimu dębów żółknących, wśród lasu, szlakiem wrzosów różowych, duch jej się wysuwa, płynie w kryształ przestworza, bez przestrzeni, czasu. Drży, jak harfa eolska, i w mgłę się rozsnuwa.

W mgłę, wznoszącą się ponad łąkami i całą przeświecona srebrem księżyca.

Wieś!.. ot wieś rodzinna!..

. . . . . .

Drzwi skrzypnęły.

Powraca Zagrodzki.

Białemi, jak wosk śnieżny, rękami — szarpie, gładzi, to znów szarpie brodę.

— W ostatniej chwili zawodzą!.. — mówi cichym, drżącym głosem.

Podchodzi do biurka, przewraca na niem bez celu książki, papiery...

Anka patrzy na niego i razem z nim dąży wzrokiem za zegarem który bez litości posuwa swe wskazówki ciągle naprzód.

Z pod baldachimu dębów...

I tam płynie czas, lecz jakże inaczej!

Szlakiem wrzosów różowych...

I tam mija życie, lecz człowiek je sam odmierza, nasyciwszy się niem, jak wonią kwiatu.

Ojcze! ojcze!..

Spogląda na nią, jakby sobie przypominał z ciężkością, jakby jej poznać nie mógł.

Nagle błysk całej skoncentrowanej siły.

— Ty znasz rabinowę?

Anka doznaje chwilowego przestrachu.

— Mówiłaś mi przecież, że byłaś kiedyś na urządzanej przez nią wencie. Przypomnij sobie, posłałem cię wtedy z redakcyi... pisałaś sprawozdanie...

— Ach!.. żonę rabina.

— Tak, tak!.. Otóż, siadaj do fiakra, jedź natychmiast do nich, do mieszkania i proś, aby rabin wpłynął na kahał, żeby żydzi głosowali za mną. Rozumiesz!..

— Ależ ojcze...

— Czy tego dla swego ojca zrobić nie chcesz?

Drży cały, pochwycił ją za ramiona, jest tuż przy niej, patrzy prosto w jej oczy swemi choremi, mętnemi oczami.

— Jedź, jedź! — prosi.

I gdy Anka ma tak przy sobie blizko tę biedną, smutną nędzę, tę przeżartą przez siebie samą istotę ludzką, z której ona powstała, ogarnia ją tak wielkie wzruszenie, taki smutek, iż nie umie oprzeć się tej prośbie.

— Dobrze, ojcze!.. pójdę! — mówi cicho.

(D. c. n.). Gabryela Zapolska.

Władysław Syrokomla.

(1823—1862).

Dziwić się, zaprawdę, wypadnie ubóstwu literatury o lirniku litewskim, jeżeli uprzytomnimy sobie to wielkie i serdeczne uznanie, które niegdyś uzyskała pieśń jego. Na gorąco puścił Kraszewski w świat zbiór swoich wspomnień i rozmyślań o Syrokomli, książkę, skupiającą właściwie życiorysowy materyał tylko. Pomimo jednak braku pierwiastku syntetycznego, spotykane tu luźne rozbiory utworów poety stały się niejako kanonem poglądów na twórczość autora „Dęboroga". W r. 1872 ukazało się znakomicie zredagowane przez Wincentego Korotyńskiego zbiorowe wydanie poezyj Syrokomli. Wydanie to dało powód do szkicu Tyszyńskiego, zamieszczonego wśród jego „Wizerunków" (praca ta zresztą wizerunkiem zgoła nie jest) i do obszerniejszej rozprawy Wł. Spasowicza, która z kolei oddziałała na wygłaszane o Syrokomli sądy, a, zdaniem Chmielowskiego, ma pozór mowy oskarżycielskiej. Później już, jeżeli pominiemy rzeczy, które w czasopismach zatonęły (np. pracę Suryna w „Tygod. Illustr.", 1897 r.) i z konieczności ułamkowe rozdziały w kursach literatury (najlepszy obszerny ustęp u Króla i Nitowskiego), mamy do zapisania oprócz „nieśmiałego" i pobieżnego szkicu W. Z. Kościałkowskiej, tylko najnowszą pracę T. Pini'ego. Na tę ostatnią jednak w znacznym stopniu oddziałał jej popularyzatorski charakter. Wydając książeczkę dla ludu (w „Bibliotece Macierzy Polskiej"), autor starał się oblec myśl swą w formę możliwie przystępną; dbał też wielce o to, by uniknąć zarzutu drażnienia namiętności klasowych, i oto dziełko jego stało się obszerną, czasem nawet rozwlekłą, a mało krytyczną parafrazą rzeczy znanych, w eufemizmy wszelkiego rodzaju obfitującą, czy tam, gdzie demokratyzm poety

wydawał mu się zbyt jaskrawym, czy też tam, gdzie mówićby wypadło o miłosnych a nieulegalizowanych stosunkach Kondratowicza.

Spostrzegamy, iż postać słowika nadniemeńskiego nie nęciła oczu późniejszego pokolenia. Dlaczego? Był epigonem, polot jego natchnienia nie był wysoki, szata poetycka u niego nietylko skromna, ale codzienna i zaniedbana cokolwiek... Są przecież i inne przyczyny braku zajęcia się poezyą Syrokomli — ze strony badaczów przynajmniej. Winc. Korotyński w przedmowie do zbiorowego wydania „Poezyj“ zapowiada, iż w ostatnich tomach znajdzie się miejsce na korespondencyę poety. Obietnicy tej aż dotąd zadość się nie stało. Najelementarniejsze daty w ubogiem w zewnętrzne wypadki życiu pieśniarza, nie są często ustalone. Oto np., po pięciu latach nauki szkolnej w Nieświeżu i Nowogródku, miał poeta w przeciągu lat siedmiu, między rokiem 1836 a 1842, pozostawać przy ojcu na wsi w roli pomocnika jego przy gospodarstwie. Daty te wziął Kraszewski u Skimborowicza, najwcześniejszego żywotopisarza Syrokomli, lecz, podług innych, kres ten kurczy się znacznie. Inny szczegół. Po ożenieniu się swem, Kondratowicz osiada w Załuczu, gdzie właśnie zastajemy na dzierżawie ojca poety. Kraszewski, przypuszczając, iż rodzice nadal pozostali w Załuczu, wysnuwa ztąd wniosek, iż syn pilnował więcej pióra, niż roli, że w gospodarce wyręczało go stare oko p. Aleksandra i t. d. To, co u Kraszewskiego jest tylko prawdopodobną hypotezą, to u p. Pini'ego jest już sprawdzonym faktem. Prawda, niedługo to trwało, bo już coś we trzy lata — według zapewnienia autora — ojciec Syrokomli t a k s i ę p o s t a r z a ł, że zaprzestał trudnić się gospodarką... Tak się tworzą legendy. Inna legenda Tyszyńskiemu zawdzięcza swój byt. Autor „Wizerunków“ utrzymuje, że pierwsze utwory Syrokomli były tłómaczeniem wypisów rosyjskich, lecz za podstawę posłużył mu widocznie ten zwrot przedmowy W. Korotyńskiego, w którym ten przypomina, jak niegdyś Syrokomla „nieudolne wierszyki snował z t e m a t ó w, w a ł ę s a j ą c y c h s i ę p o w y p i s a c h s z k o l n y c h“. Od lat najwcześniejszych przerzućmy się do schylkowych. Fatalny na nie wpływ wywarła miłość, o której to chyba tylko wiemy, że przedmiotem namiętnego uczucia była kobieta zamężna. Winc. Korotyński, przyja-

ciel Syrokomli i świadek ostatnich lat i miesięcy jego życia, opowiedział niegdyś [1]) w „Obrazach z Pobrzeża Niemna“ dzieje nieostrożnego wyskoku, które zaprowadziły poetę do więzienia, i dodał, że uwolnienie swe Kondratowicz zawdzięczał staraniom, czynionym u gen.-gub. Nazimowa, przez A. H. Kirkora i d-ra Titiusa. Tymczasem na jednym z egzemplarzy „Tygodnika Powszechnego“ znalazła się notatka, ręką d-ra Titiusa nakreślona: „Kirkor nie widywał gen. gubernatora Nazimowa. Widywał go zaś dr Titius...“ [2]).

Po dawnemu, głównem źródłem, z którego możemy zaczerpnąć pewniejszych wiadomości o życiu i twórczości poety, jest książka Kraszewskiego; do tej, kilka lat temu, przybyło ciekawe dziełko: „Syrokomla o sobie“, wydane i objaśnieniem uzupełnione przez p. Władysława Korotyńskiego. Ale cóż? i te źródła dają powód do niepewności i bałamuctw w szczegółach. W autobiografii swej np. [3]) poeta wcale nie wspomina o Nowogródku, gdzie miał kończyć piątą klasę, Był więc w Nowogródku, czy nie był? Pierwsze drukowane utwory Syrokomli w „Athenaeum“ były to, według Kraszewskiego, „Napoleonista“ i „Trzy gwiazdki“ [4]). Tymczasem wcześniej się tam pono dostały powiastki: „Rywale“, Stary kawaler“ i gawęda: „Pocztylion“ [5]). Sprawdzić nie mogliśmy, gdyż nie mieliśmy w ręku roczników „Athenaeum“. Inny, jaskrawszy przykład. Kraszewski przytacza obszerne wyjątki z listu, pisanego przez Kondratowicza 13 stycznia 1849 r. Wzmiankuje w nim poeta o gawędzie, przesyłanej do „Athenaeum“. Kraszewski dodaje w nawiasie: „O Mojkowskim, z podań klasztoru łuckiego ks. Trynitarzy“. Wzmiankowana jednak gawęda („Żebrak-fundator“), drukowana w „Athenaeum“ w r. 1851, ma datę: 7 grudnia 1850 r., a powstała (według przypisku samego Kondratowicza) z opowiadań Kraszewskiego „podczas pamiętnej dla nas

---

[1]) „Tygodnik powszechny“ z r. 1884.

[2]) Szczegół powyższy, obok innych, zawdzięczam uprzejmości p. Lucyana Uziębły, i za miły obowiązek sobie poczytuję wyrazić mu niniejszem swoją wdzięczność.

[3]) W książce: „Syrokomla o sobie“.

[4]) W r. 1846.

[5]) W r. 1844.

bytności w Hubinie w lipcu 1850 r." Bałamuctwo widoczne. Albo data listu zmylona, albo połączono w całość urywki dwu różnych listów, albo wreszcie, co najprawdopodobniejsze, pamięć zawiodła Kraszewskiego, i mowa była zgoła nie o Mojkowskim, lecz np. o „Grabarzu", podznaczonym: 13 stycz. 1849, i w tymże roku w „Athenaeum" drukowanym. Drobiazgi te świadczą, że co chwila rzekomy fakt okazuje się błędem lub legendą. Ponad to wszystko jednak uczuwać się dają inne, dotkliwsze braki. Syrokomla był samoukiem, systematycznej szkoły nie znał. Dla ludzi tak sobie i swemu przemysłowi pozostawionych, zdanych na los pierwszej spotkanej książki, dla ludzi takich chwilowe, dorywcze wpływy i tchnienia szerszego świata mają znaczenie doniosłe, a tem znaczniejsze, o ile pewien osobnik mniej zgromadził materyału, o ile mniej miał możności przetrawić go, w swą treść duchową wcielić. Jakaś myśl rzucona, parę godzin rozmowy ze sławnym przyjacielem, poruszają duszę samotnika do głębi, rzucają ziarna fermentu, znajdującego slaby opór w zbyt mało wyrobionych i skrystalizowanych przekonaniach. Lecz o rzeczach tych, tak olbrzymiej nieraz doniosłości dla wewnętrznych dziejów poety — nie wiemy nic, albo prawie nic. Pisze kiedyś Syrokomla do Kraszewskiego o gorących rozprawach, które wraz ze złotem młodzieży akademickiej rozbrzmiewać zaczęły pośród ścian jego chaty... Jacy to byli goście? Jakiego rodzaju były rozmowy? Albo po przeniesieniu się swem do Wilna, pieśniarz nasz upada pod „żądłem komarowych plotek". Rozżalenie poety było tak wielkie, że świat mu na długo pociemniał. I znowu — jakie to były stronnictwa, czy koterye w ówczesnym Wilnie, które poeta chciał pogodzić, a z tak nieszczególnym, jak się pokazało, skutkiem? Jaka była wogóle atmosfera na Litwie, a specyalnie w grodzie Gedyminowym? Odgłosy sporów ideowych pozostawiły ślad swój w piśmiennictwie, ale literatura w owe czasy zwykła była ujmować stosunki realne pod kątem filozofii idealistycznej i trzeba pilnie zazierać poza wiersze, by jako tako odcyfrować hieroglificzne ogólniki. Za przykład wskazać można piekącą sprawę włościańską. Czy możnaby z drukowanego słowa (z „Athenaeum" np.). powziąć wyobrażenie, do jakiego stopnia zagadnienie to roznamiętniało żywsze umysły? Wśród wcześniejszych utworów Syrokomli

istnieje żarliwa apostrofa do browarów (gorzelni). Być może, jest to osad jakiej rozprawy ustnej, jakiej napaści na szlachtę, która z tego źródła zyski swe ciągnęła?.. Słowem, nie posiadamy dokładnej znajomości tych nurtów, które ciągnęły spodem, a tylko ubocznie i często przygodnie, istnienie swe na zewnątrz objawiały. Więc jakkolwiek ogólne linie poglądów naszych na stanowisko Syrokomli w dziejach poezyi polskiej są już nakreślone, nie mamy jeszcze możności wycieniować wizerunku pieśniarza. Zdajemy też sobie sprawę z tego, że i niniejszy szkic, związany (acz luźnie cokolwiek) z czterdziestą rocznicą śmierci lirnika litewskiego, i z osiemdziesiątą jego urodzin, musi posiadać znamiona, co najmniej, tymczasowości.

I.

DZIECIŃSTWO.

Ludwik (Władysław Franciszek) Kondratowicz (herbu Syrokomla) urodził się 17/29 września 1823 r. we wsi Smolkowie w gub. Mińskiej, pow. Bobrujskim („Niech żyje nasza bracia i mój Mińsk rodzony“ — woła poeta w jednym z toastów swych podczas przejazdu przez Mińsk w r. 1856). Wyszedł on z tej samej, co Mickiewicz, rzeszy drobnoszlacheckiej, i jak wieszcz litewski, z pokolenia, które się już wzniosło na wyższy stopień inteligencyi, zamożności i stanowiska towarzyskiego, tworząc spodni pokład warstwy, która zajęła w społeczeństwie miejsce stanu średniego (wiejskiego przeważnie), a po przekształceniu dawnych stosunków, poczęła żyć życiem samoistnem, nie zaprzęgając się do rydwanu polityki możnych domów, boć i polityka tu istnieć przestała. Zresztą, co do rodziców Ludwika (Aleksandra i Wiktoryi ze Złotkowskich), ani ich stanowisko towarzyskie nie było zbyt wysokie, ani zamożność zbyt wielka. Aleksander Kondratowicz, dawniej komornik, czyli geometra, w chwili przyjścia na świat Ludwika, jadł razowy chleb ubogiego dzierżawcy, a po wieloletniej tułaczce z miejsca na miejsce, zyskał tyle, że „gdzieś daleko od Niemna wybrzeży, wziął starą chatę i gruntu półwłocze“, jak czytamy o Łagodzie w „Kęsie chleba“, i musiał bodaj własną ręką pług prowadzić. Kłania się i zabiega o łaski urzędników zarządu dóbr pora-

dziwiłłowskich w Nieświeżu, by młodego Ludwika na pisarczyka wzięto. Ale, jakkolwiek kawał chleba nie był dostatni, dostarczała go praca własna, a niezależna. Inteligencya skromnego dzierżawcy była wyższą nad jego stan. Wychowaniec szkół pijarskich, człowiek oczytany, posiadał sporo wiadomości historycznych, chętnie też zapuszczał się w rozprawy, a gdy zadomowionemu brakło sprawności polemicznej, skwapliwie „wyzywał na piórko", kończył spór na piśmie. Książka tedy w rodzinie Kondratowicza była poufałym przyjacielem. Z takiej warstwy wyszedł nasz lirnik i w takiem otoczeniu upływały mu dziecinne i młodzieńcze lata.

Ani pochodzenie, ani otoczenie domowe nie pozostały bez wpływu na kształtowanie się uczuć i wyobrażeń Ludwika. Już najwcześniejsze oddziaływania zwracały się w tym kierunku, w jakim później miała się rozwijać poezya jego, w kierunku umiarkowanego demokratyzmu szlacheckiego. Zapewne, życie to późniejsze spotęgować miało w Syrokomli poczucie braterstwa ze skromnym mieszkańcem „zaścianka Podkowy"; życie to sprawiło, iż pomimo wrodzonej miękkości usposobienia, poeta rzadko powstrzymywał się od sarkazmu, ilekroć oko jego przenosiło się z ubogiego dworku na wspaniały dach siedziby pańskiej. Bądź co bądź atoli, poczucie chudopacholstwa dostarczało trwałej podstawy nastrojowi temu już we wnętrznych pokładach duszy, budziło przy lada sposobności pewien odruch, coś niby ów okrzyk pogardliwy Bohatyrowiczów Orzeszkowej: „hrabiowie!". Mówimy, rozumie się, nie o jakiejś zawiści samolubnej, do czego autor nie był zdolny, jak to widać z osobistych stosunków jego np. z E. Tyszkiewiczem, z Puzyninową i t. d., lecz o pewnem zabarwieniu uczuciowem jego sądów, o odruchach sympatyi dla rzeszy prostaczej, sympatyi, przeradzającej się w czujną, podejrzliwą nieufność względem tych, co zwykli wyniośle na prostaków spoglądać.

Współczucie Syrokomli obejmowało nietylko brać zaściankową, lecz i chłopów pańszczyźnianych, z których pracy korzystał Aleksander Kondratowicz, korzystał później i sam Ludwik. Jakie były w tym względzie wrażenia przyszłego poety? Przy osobistej styczności z podwładnymi, przy ciągłej a nieustannej walce sprzecznych interesów, kiedy jedna strona używa przymusu, druga odeń się uchyla, najłatwiej rodzą się i utrwalają obustronne niechęci i pogarda, wytwarzają się t. zw. ekonomskie pojęcia i ekonomski stosunek, na który pisarze zachowawczy, czy to Rzewuski, czy Ig. Chodźko, czy nawet Kraszewski czasami, zwalali całą winę ucisku, znoszonego przez lud. Jakim był stosunek Aleksandra Kondratowicza do ludności wiejskiej? Musimy tu zaufać synowskiemu sercu poety, który w „Kęsie chleba"

przedstawił swego ojca w osobie Łagody. Znamienna już jest sama nazwa, nasuwająca wyobrażenie człowieka skromnego, cichego, łagodnego. Takim też on występuje w poemacie, takim się on ukaże w świetle serdecznych wspomnień o nim drużyny wiejskiej. Ba, nawet ów wizerunek ojca Syrokomli, prawda, że zewnętrzny tylko, który kreśli nam we wspomnieniach Rodziewicz [1]), utrwalić tylko może powzięte wyobrażenie o charakterze starego Łagody. Jeden tylko chyba sprzeczny rys spotykamy w posiadanych przez nas skąpych szczegółach, to doraźna kara, którą ojciec wymierzył niedorostkowi na sianie, gdy zastał go zaczytanym w W. Skocie, zamiast tego, coby miał pilne dawać baczenie na robotników. Dostało się synowi w chwili gniewu od porywczej ręki ojca, mogło dostawać się i innym, zależnym. Ale powolny i miękki charakter syna, na zasadzie, iż niedaleko pada jabłko od jabłoni, pozwala nam wyrozumować, że i jabłoń sama nie posiadała zbyt twardego pnia. Zbierając w jedno te wszystkie przypuszczenia i wnioski, możemy domyślać się, że zachowanie się starego Kondratowicza z włościanami, jeżeli nie zawsze i nie koniecznie było sentymentalne, zbliżało się wszakże nieco do tyle sławionych ideałów patryarchalnych. Właściwości charakteru, z natury zgoła nieokrutnego, poczucie sprawiedliwości w wymaganiach i w ocenie wypełnianych robót, okrasa życzliwości w codziennem obcowaniu — wszystko to łagodziło pewnie ciężkie strony stosunku poddańczego. Słowa wyniosłe i pogardliwe nie obijały się tu o uszy dziecka; do serca dziecięcego, wraz z niemi, nie spływała trucizna. I oto we wszystkich wspomnieniach Kondratowicza, o ile one weszły w skład jego tworów poetyckich, spotykamy ciekawy szczegół towarzyskiego i przyjacielskiego stosunku między paniczem, ubogim co prawda, lecz zawsze paniczem, a wiejskiemi chłopakami. Przypomni się tu każdemu niewątpliwie jeden z najpiękniejszych epizodów „Dęboroga“ — nocleg na pastwisku; przypomną się też marzenia chłopięce w „Szkolnych latach“:

Już do wakacyj tylko zostało
Cztery tygodnie, aż serce skacze!
W domu zielono, w domu przestronno,
Ojca zobaczę, wioskę zobaczę,
Z wiejskimi chłopcy pohasam konno...

---

[1]) W przypisach do książki Kraszewskiego. Rodziewicz był urzędnikiem zarządu dóbr poradziwiłłowskich ks. Wittgensteina.

Tu bezpośrednio potrącamy o inne zjawisko, które również nie pozostało bez wpływu na kierunek i koloryt twórczości—poufałe obcowanie z przyrodą... na szerokich rozłogach pól dniem, na pastwisku w lesie nocą, nad oparami pokrytą rzeczułką, o wczesnej, porannej godzinie... Poufałe, mówimy, obcowanie z przyrodą, bo nie na przystojnej przechadzce, lecz w różnych objawach powszedniego jej bytu, i dla tego, że wrażenia te łączą się z najrozmaitszemi dziecinnego żywota chwilami. „Urodziłem się na błotnistem Polesiu", wspomina poeta w swojej autobiografii, dla Antoniego Marcinkowskiego (Alb. Gryfa Nowosielskiego) napisanej. Smolkowa wszakże pamiętać nie mógł, gdyż rodzice jego, niebawem po jego przyjściu na świat, przenieśli się do również poleskiej wsi Jaśkowice, i pierwsze niejasne wspomnienia z tą właśnie miejscowością były związane:

Smutny kraju Polesia! znajomyś mi nieco.
Mglisto twoje wspomnienia z dzieciństwa mi świecą.
Snują mi się niekiedy, jakby senne mary,
Nieprzemierzone okiem trzęsawisk obszary,
Lasy ciemne i gęste, jak gdyby jaskinie,
Rzeka, co między łozą a sitowiem płynie.

. . . . . .

I ta cisza powietrzna, rzadko przerywana
Ostrym krzykiem żórawia, klekotem bociana...

Trzebaby zresztą odczytać całą tę przygrywkę do „Ułasa", by uprzytomnić sobie, jak świeżych barw dostarczały poecie te mgliste wspomnienia, odświeżone wprawdzie w podróży do Hubina (do Kraszewskiego) w r. 1850, i utrwalone wtedy w wierszu:

W bagnie, piasku i borze
Przy jeziora odnodze,
Siedzi wioska w pokorze,
Jako żebrak przy drodze...

W Jaśkowicach przebywał Ludwik do trzeciego roku życia, w tym czasie bowiem rodzice przekoczowali do Kudzinowicz pod Nieświeżem. Wyraźniejsze też były od poleskich wrażenia nadniemeń-

skich okolic. Jeżeli poezya przyrody u Syrokomli była i być musiała owocem lat dojrzalszych, to przecież najwcześniejsze wrażenia stały się pryzmatem, przez który poeta oglądał rodzinne niebo i ziemię, a wspomnienia te nadawały odtwarzanym obrazom nieodparty dla serca czar:

Tajemny jakiś urok w mych oczach owiewa
Żółte Polesia piaski i ponure drzewa...

Wraz z powietrzem, takie pierś dziecięca wciągała w siebie wrażenia, a te nieznacznie wsiąkały w duszę i kształtowały ją.

Lecz obok tych nieświadomych oddziaływań otoczenia, położyć trzeba i celowe. W domu rodzicielskim rzucono w serce przyszłego poety pierwsze zarody religijności, nie egzaltowanej wprawdzie, lecz stałej towarzyszki żywota, zarody, które później utrwaliła szkoła, a duchowa atmosfera doby i środowiska wzmacniała i rozwijała. Czytać się uczył na „Złotym Ołtarzyku". W domu też nauczył się kochać książki. W księgozbiorze ojca, zapewne niezbyt obfitym, znalazł jednak dziesięć tomów dzieł Krasickiego, które już w szóstym roku zdołał zedrzeć na szmaty, tak się w nie gorliwie wczytywał. Niektóre urywkowe wiadomości, zdobyte przygodnie przez młodocianego argonautę (dyalogi Lucyana, Plutarcha bohaterowie), sprawiły, iż później, w szkołach, poufalej się zbliżał do osób i zdarzeń historycznych. Rozumie się, okoliczność ta, iż ojciec był człowiekiem inteligentnym i wstrętu do bibuły nie miał, była tylko sprzyjającą. Gorliwe studya małego Ludwika nad Myszeidą, czy Osyanem, świadczą przedewszystkiem, iż w chłopcu objawiał się wrodzony popęd do obcowania z tworami wyobraźni, do obcowania z ludźmi, widzianymi przez pryzmat drukowanego słowa. „Od dziecka czytałem z ochotą, czytałem samopas, czytałem w chwilach lekcyj i w chwilach rozrywki, i tak przywykłem bez porządku, ale z oddaniem się, kształcić sam siebie". Tak oto w synu przeobraził się nałóg ojca do dysput. W pisaniu mniejsza była widocznie pilność i zdatność Ludwika, gdyż nie ominęła przyszłego poety zwykła w owych czasach zachęta: linia. Przykry ten przypadek, spowodowany był literą B w r. 1833. W tym też roku zaczęła się szkolna nauka u kks. Dominikanów w Nieświeżu. Według świadectw poety, ukończył on piątą klasę w r. 1837. W opowieści o „Urodzonym Janie Dęborogu" bohater wstępuje odrazu do klasy drugiej. „Ojciec wesoły, że nam w jednej chwili koszt całoroczny i honor ocalał". Jeżeli tak było z małym Ludwikiem, to właśnie mię-

dzy 1833 a 1837 r. [1]) był czas na cztery klasy, od drugiej do piątej. Szkoła Dominikańska była, zdaje się, w tym czasie zwinięta. Podanie każe Kondratowiczowi piątą klasę w Nowogródku kończyć. Kraszewski, niezbyt zresztą ufając swej pamięci, z opowiadań samego poety, zamiast Nowogródka, podaje protestancką szkołę w Słucku, gdzie wykłady były polskie. „Uparcie zda mi się, iżem to z jego własnych ust słyszał“ — dodaje. W osnowie tych upartych wspomnień ukrywa się zapewne fakt opowiadania Syrokomli o pobycie w innej jeszcze szkole klasztornej w Nieświeżu. Sam poeta zresztą pisze o sobie: „do 1839 r. uczyłem się z obowiązku“, wynikałoby stąd, że rok szkolny 1838/9 spędził poeta w Nowogródku, w szkole powiatowej. Czy powtórnie w klasie V-ej? Może to zależało od różnicy programów, wymagań i t. p. Przyznawano Ludwikowi w szkole zdolności dobre, ale pilność małą. Mimo to stopnie miewał bardzo dobre i celujące (język polski i niemiecki), i tylko z matematyki miernym zadowolić się musiał. Nieźle uczyli Dominikanie, jeżeli wiadomości, nabyte w szkole, uzdolniły poetę do pracy literackiej. Obok łaciny, przydała mu się i literatura polska. W „Szkolnych czasach Dęboroga“ wspomina, jak na publicznym popisie deklamował sielankę Szymonowicza. Główną wszelako zasługą księży wychowawców był ich życzliwy, ojcowski stosunek względem poruczonej ich opiece młodzieży. Nic to, że uciekano się do dyscypliny, jeżeli „szkolne czasy“ nie stawały się we wspomnieniu męką i udręczeniem, lecz łzę rozrzewnienia wyciskały, a na usta wywoływały pełne czci, dziękczynne słowa. Wychowanie było, oczywiście, ściśle religijne; jednak, acz wdrażano młodzież do pobożności, pozostawiono wiekowi dziecięcemu dość swobody. Sprzyjała temu i zewnętrzna okoliczność, gdyż „szkoła była w klasztorze, a kwatery w mieście“.

---

[1]) Druh Syrokomli a wydawca pism jego, Winc. Korotyński podaje datę pobytu u ks. Dominikanów: od 5 września 1833 do 30 listopada 1835 r. Czy to błąd korektorski?

II.

NIEŚWIEŻ (1840—1844).

Wiemy już, że do r. 1839 młody Ludwik uczył się „z obowiązku". Zaczął wtedy zaledwie siedemnasty rok. W pobliżu nie było już szkół, w których możnaby było przeciągnąć naukę, nie obciążając zbytnio mieszka ubogiego dzierżawcy. Młodzieniec wrócił do domu, a domem tym był obecnie dworek w Marchaczewszczyźnie, należącej do dóbr ks. Wittgensteina. Tu go miała spotkać owa dotkliwa kara na sianie za studya w nieodpowiednim czasie nad Walter Scottem. Snać wiernym pozostał swemu zwyczajowi chwytania książki w chwilach rozrywki, czy pracy. Tu też i w tym samym 1839 r. odbył, jak pisze, paroksyzm swej pierwszej miłości. Przedmiotem jej była wiejska dziewczyna. Wogóle serce miał dość wrażliwe, a i sam umiał wzbudzać sympatyczne odruchy: „nie był bez maleńkich powodzeń". Tylko, że jak we wspomnianym paroksyzmie, tak i w innych wypadkach, historye uczuciowe „napastowały" wprawdzie poetę, „ale nigdy w sposób, z któregobym się rumienił" — dodaje.

Pokusy wiejskie zresztą ustały, gdyż pobyt dorastającego młodzieniaszka w Marchaczewszczyznie nie trwał zbyt długo. Już w jesieni 1840 r. ojciec umieścił go w biurze zarządu dóbr ordynacyi radziwiłłowskiej w Nieświeżu. Co do daty, sam poeta dwukrotnie powiada o sobie: „od r. 1840 do 1844 pracowałem jako kancelista". Pobyt w Nieświeżu (trzechletni z górą) w roku „osiemsetnym czterdziestym, pierwszym, drugim, trzecim" (jak czytamy w jednym z przygodnych wierszów) był dla poety okolicznością, ze wszech miar ważną. Czegokolwiek i jakkolwiek uczyli go przed paru laty Dominikanie, były to nabytki wieku, który biernie przyswaja ofiarowany sobie pokarm. Nie był ci Kondratowicz i obecnie dojrzałym, sięgał jednak już, bądź co bądź, okresu dojrzewania, sięgał wieku, w którym świta już przed młodzieńcem świąteczny poranek życia świadomego, przełomowe lata nauki akademickiej, lata, nadające często kierunek na całą przyszłość, bo — „młodość jest rzeźbiarką, co wykuwa żywot cały". Dla Syrokomli uniwersytetem było środowisko ludzi inteligentnych i piśmiennictwem żywo interesujących się. Samouka spotkał tu możliwie najwzględniejszy i najłaskawszy dla niego los, i w czasie, kiedy

wiadomości szkolne nie mogły jeszcze doszczętnie wywietrzeć. W Marchaczewszczyznie zaś otwierała się przed nim perspektywa luźnego tylko czytania powieściowego, okolicznościowych wierszyków i może osłabionej na pokusy odporności.

Pełnomocnik ks. Wittgensteina, Adolf Dobrowolski, współpracownik niegdyś Karola Sienkiewicza w Puławach, utrzymywał w byłej rezydencyi Radziwiłłów życie towarzyskie i umysłowe. W otoczeniu swem miewał wychowańców wszechnicy dorpackiej i charkowskiej. Były książki, sprowadzano czasopisma. „W tej epoce — wyznaje poeta — począłem stale czytywać książki polskie i francuskie, i oznajamiać się systematycznie z biegiem tych literatur. Była to... chwila dyktatury „Tygodnika“ (Petersburskiego), a oddać mu trzeba sprawiedliwość, że w tamte chwile był on pełen ruchu“. Zawierał młody kancelista bliższą znajomość nietylko z nowszą i bieżącą literaturą, lecz i z dawną. Opowiadają o nim, że prawie nie rozstawał się z egzemplarzem dzieł Kochanowskiego. Nie wyobrażajmy sobie jednak, iż to systematyczne do pewnego stopnia samokształcenie pociągało za sobą wytężoną pracę, całonocne czuwania i t. p. rzeczy. „Życie koleżeńskie, uczuciowe, obowiązkowe, pożerało mnie“ — powiada, gdyż i „wtedy, jak dotąd, więcej lubiłem życie, objawiające się krwią, niż atramentem“. Szkolna adnotacya: „zdolności dobre, pilność mała“ — sprawdzała się i w tej dobie. Według wspomnień kolegów biurowych, młody kancelista nie tyle czytał, ile przerzucał pożyczoną sobie książkę (a w dodatku nigdy jej w porządku nie zwrócił). Zastanawiało jednak to, że w rozmowie z kimś o tejże książce wyrażał się tak, jakby po najstaranniejszem jéj przestudyowaniu. Na skupienie się w sobie przyjdzie czas za lat kilka, kiedy na długo zamknie się w swej samotni załuczańskiej. Obecnie, o drobnych nawet sprawach powszednich (zmiana bielizny, kąpiel i t. p.) musiał sobie przypominać kartkami, nad łóżkiem zawieszonemi.

Tak tedy pochłaniały młodzieńca „życie koleżeńskie, uczuciowe, obowiązkowe“. Każda z tych kategoryi pozostawiła mniej lub więcej wyraźny ślad na pierwocinach działalności poetyckiej i pisarskiej Kondratowicza. Co do „obowiązkowej“ przedewszystkiem, los zdarzył, iż nawet w zajęciach biurowych przypadła mu w udziale praca literackiej poniekąd natury. Istniał zwyczaj, iż na podaniach osób interesowanych, przeglądający je urzędnik musiał nadpisywać wyciąg treści, ułatwiający Dobrowolskiemu wejrzenie w sprawę. Streszczenia, przez Kondratowicza dokonywane, wyróżniły go dodatnio z pośród grona kolegów. Gdy tedy powiatowy sąd słucki zażądał z archiwum Radziwiłłowskiego akt zamku kopylskiego, zadanie zregestrowania akt owych polecono właśnie naszemu poecie. Wertując stare

papierzyska, młodzieniec zwracał uwagę przedewszystkiem na drobne rysy obyczajowe, które mu następnie dostarczyły barw i materyału dla pierwszych jego gawęd. „Nieraz ciszę biurową przerywał głośny i nagły śmiech Kondratowicza, po którym następowało opowiadanie o jakiejś zabawnej scenie z życia kopylan“ — pisze jeden z byłych kolegów poety.

Na wiosnę 1844 r., w ostatnich zatem tygodniach pobytu Kondratowicza w Nieświeżu, polecono mu inną pracę tego rodzaju, gdy Michał Baliński prosił Dobrowolskiego o wiadomości historyczne, dotyczące Nieświeża, dla wydawanej właśnie „Starożytnej Polski“. Dla ułatwienia pracy otworzono poecie wstęp do archiwum miejskiego i do archiwum Radziwiłłowskiego; przydały się też i dawniejsze szperania. Zaprawiał się w ten sposób do pracy nad źródłami przyszły autor „Literatury polskiej“. Notatka Kondratowicza była drukowana później (zdaje się w 1847 r.) w III-cim tomie „Starożytnej Polski“.

„Życie koleżeńskie“ i towarzyskie dostarczyło treści i pobudki do pierwszych utworów wierszowanych, nikłych samych przez się, ale ciekawych ze względu, iż otwierały zawód poetycki naszego „lirnika wioskowego“. Wśród starszych w biurze kolegów Kondratowicza spotykamy Michała Kątkowskiego, późniejszego autora satyr obyczajowych: „Gawędy z Ambrożewiczem“, i Rajmunda Baranowskiego, niedoszłego lekarza. Pierwszy z nich, stojący wyżej w hierarchii biurowej, otaczał młodzieńca opieką, a bawiąc się okolicznościowemi i żartobliwemi wierszykami, stał się dla Syrokomli zachęcającym przykładem. „On mi niegdyś dał przykład, jak grać na bardonie“ — wyznał później poeta. Co do Baranowskiego, ten odznaczał się oryginalnem, dziwacznem niekiedy zachowaniem się i sknerstwem, co czyniło go celem żartów, nawet dokuczań (czasem niezbyt wybrednych), zwłaszcza ze strony Ludwika. Pierwsze też próby pióra Syrokomli służyć miały ku udręczeniu nieszczęsnego Baranowskiego. „Dałem szpryngla na Parnas przez grzbiet Rajmundowy“. Stało się to w r. 1842. Ze szczupłego pocztu utworów wierszowanych, pochodzących z najbliższych trzech lat, wszystkie prawie należą do tej kategoryi wierszyków żartobliwych i okolicznościowych, rymowanych dość łatwo, bez wielkiej troski o wykwintność, lub poprawność stylu. Pokarmem dla wybryków humoru stają się drobne śmieszności osób: sposób ich wyrażania się i t. p. Korzysta często początkujący nasz rymopis z obcej formy, trawestując pieśń Child Harolda (w wierszu „Do połamanej gitary“), lub ustępy z „Dziadów“ („Z pałaców, sterczących dumnie...“). Istnieje przekonanie, że nauka literatury szła

u Dominikanów klasycznym torem, mistrzem zaś w tym zwrocie był Euz. Słowacki i że Kondratowicz w pierwszych tworach szedł za klasycznymi wzorami, gdyż innych nie znał, „Dziady“ zaś na razie do parodyi go tylko pobudzały. („Z pałaców...“ itd.) Zdaje się jednak, iż wnioski te idą zadaleko, gdyż w pierwocinach Syrokomli nie podobna dostrzedz przełomu w upodobaniach i smaku. Prądy romantyczne nie były już nowością, w najrozmaitszych swych objawach przenikały ówczesną atmosferę i dotykały poetę od dzieciństwa, jakkolwiek tułały się jeszcze, zwłaszcza w szkole, tradycye klasyczne. W szkole tej przecież „ks. Rusak“ czytywał wychowańcom sielanki i ballady Żukowskiego, „Ks. Niemiec“ zaś wywoływał: „a teraz, panowie, kto balladę z Göthego na pamięć mi powie?“.

Skądinąd wiemy, iż pod strzechę dworku w Marchaczewszczyznie zabłądziły tomiki W. Scotta. W najwcześniejszych dwu wierszach Kondratowicza występuje wprawdzie aparat mitologiczny, ale wynikało to już z założenia: wierszokleta wileński, Krysztalewicz, pisze do Rajm. Baranowskiego z pól Elizejskich, że tam rzeki płyną herbatą i t. d. Lecz w tym samym roku sparodyowana pieśń Ch. Harolda dostarcza dowodu, że dzieła Mickiewicza nie były już wtedy obce poecie, trawestacya zaś ujawniła tylko skłonność do żartu, lecz w stronę romantyzmu skierowana nie była.

Żeby zakończyć listę „wybryków, dosyć głośnych w okolicy“ (jak się wyraża poeta), nadmienimy, że „życie uczuciowe“ w poezyi Syrokomli z czasów Nieświeskich słaby tylko znalazło wyraz. Wiersze, tu należące, utrzymane są, jak i inne, w tonie żartobliwym, z wyjątkiem czułostkowych „Snów“ (sny mogą być nieskromne, więc poeta nie chce śnić o jakiejś panience — chyba po spowiedzi) i równie słabego wiersza „Do P. Pauliny Mitraszewskiej“, która niebawem stała się jego żoną.

Otóż i jesteśmy u kresu pobytu poety w Nieświeżu. Co do ożenienia się jego istnieje legenda, jakoby rozmiłowany w kim innym, a doznawszy odmowy, szukał przywiązania u pierwszej spotkanej osoby, i oświadczył się szesnastoletniej pannie Mitraszewskiej. Nie podejmujemy się rozstrzygać, o ile podanie to jest prawdziwe. W poezyi przynajmniej nie został żaden widoczny ślad tego przejścia. Jakkolwiek tam było, 16 kwietnia 1844 r. na kobiercu ślubnym stanęli: p. Ludwik, któremu do pełnoletności brakło jeszcze kilka miesięcy, i dozgonna jego odtąd towarzyszka. P. Adolf Dobrowolski, krewny i opiekun ubogiej panny Pauliny, ofiarował panu młodemu w upominku kilka tomów „Historyi literatury polskiej“ Wiszniewskiego i po-

darunkiem tym uszczęśliwił go nieskończenie. Świadczy to zarówno o literackich upodobaniach poety, jak o lekkim bagażu, z którym młoda para rozpoczynała swą wędrówkę życiową.

III.

W ZAŁUCZU (1844—1852). — PIERWSZE KROKI POETYCKIE. — PRACA NAD PRZEKŁADAMI I NAD DZIEJAMI LITERATURY POLSKIEJ.

Względy atoli pełnomocnika Wittgensteinów miały prawdopodobnie cokolwiek większą wartość, niżeli cena dzieła kilkotomowego, ułatwiły bowiem pierwsze kroki poecie. Natychmiast po ślubie przenosi się on na dzierżawę do Załucza nad Niemnem, folwarku, należącego do Ordynacyi; ustąpił synowi Załucza p. Aleksander Kondratowicz, obejmując niedaleką Tulonkę, również wchodzącą w skład dóbr poradziwiłłowskich. Folwark nie był zbyt rozległy, jeśli można go było zadzierżawić, nie wkładając ani grosza. Jakie były dostatki w domku załuczańskim, świadczy np. ten fakt, że samowar ukazywał się u p. posesora od wielkiego święta. A że tenutę trzeba było, bądź co bądź, płacić, że „na niwach piaszczystych po większej części nieurodzaj“, że poeta, jak sam wyznaje, gospodarstwa nie lubił, a większą część czasu swego oddawał zajęciom literackim, i że wreszcie w stosunkach pańszczyźnianych „znać pasowanie się z interesami materyalnemi“, rachunki zaś wykazały znaczny niedobór robocizny inwentarzowej — nie dziw, iż wioszczyna nadniemeńska nie posłużyła za pierwszy stopień fortuny, i że trzeba było wreszcie przyjść do smutnego wniosku, iż „poetyczne Załucze chleba nie daje“. Był to „kęs chleba“, który już nie wystarczał od chwili, gdy powiększyły się obowiązki.

Skądinąd i prace literackie szwankować musiały, jeśli co chwila trzeba było odrywać się do spraw gospodarskich, jeżeli tuż obok skromnej pracowni poety, rozlegały się hałasy izby czeladnej. W okolicy poprzedziła jego przybycie sława „wierszoklety“—i sławie tej długi spłacać musiał. Więc często spotykamy u niego wiersze, opiewające „oczy błękitne“ i inne, to znów wywdzięcza się żartobliwą parodyą ody Horacyusza za „obiad piątkowy“. Jednocześnie

przecież zaczyna się i prawdziwa twórczość, nie ze względu na jej doskonałość, lecz że staje się wyrazem rzetelnego uczucia, lecz, że twórczości tej towarzyszy wiara poety w swe powołanie:

Piosnko moja! w tobie tylko
Co niebieskie oddam Niebu,
W tobie przetrwam może chwilką
Dzień mej śmierci i pogrzebu.

Takie nadzieje żywi Syrokomla już w 1845 r. Pierwszym akordem są tu „Wspomnienia z Nieświeża", szereg sonetów, będących wdzięcznym oddźwiękiem „Sonetów krymskich". Urywek „Nad Niemnem" jest próbą skrystalenia nowych wrażeń. Współcześnie może z „Wspomnieniami", bo w kwietniu 1844 r., rzucił pieśniarz na papier swego „Pocztyliona", ową pierwszą gawędą swoją, tegoż roku drukowaną w „Athenaeum" Kraszewskiego, a zaleconą w ogłoszeniu księgarskiem Glücksberga, jako „ś l i c z n y wierszyk". Przygodna ta pochwała spowodowała wylew nieopisanej radości u młodego poety i wzbudziła w nim ufność w swe siły. Echa tej radości słyszymy w słowach piosnki: „w tobie przetrwam może chwilką dzień mej śmierci i pogrzebu". Niektóre utwory tego czasu, jak „Słodycz marzeń" z r. 1844, lub o rok późniejsze „Dumanie poety", mają za pozorny cel — wydrwić natchnienie poetyckie: „wlazł na gruszkę, rwał pietruszkę, o jak słodka cebula", lub: „i w wieszczym kałamarzu wieszczy nas umoczył, i dumał, dumał, dumał, aż... spać się położył". Ale w tych wybrykach dobrego humoru wyczuwać się daje, jak poeta usiłuje pokryć żartem rozrzewnienie, wzbierające mu w sercu.

Obok poezyi, nikłej jeszcze, uprawiać poeta zaczyna i powieść; nawet dwa obrazki: „Rywale" i „Stary kawaler", drukowało, zdaje się, „Athenaeum" w r. 1844. Poza tem jednak spotkało autora niepowodzenie. Kraszewski zwraca mu (w r. 1845) powiastki: „Al. Turski" i „P. St. Leszczyński". U wydawcy „Athenaeum", Glücksberga, zastrzegły: „Powieści Wład. Syrokomli". Przygotowany do druku w r. 1846 zbiorek rymów, także pozostał w rękopisie. Sporadycznie tylko i rzadko ukazywały się w „Athenaeum" wiersze Syrokomli w ciągu pierwszych trzech lat. Kilka rzeczy drukowały pisma zbiorowe: „Ondyna Druskienickich źródeł" i „Gwiazda" Zenona Fisza. Z tej

strony wlęc nie było wielkiej zachęty. Popęd ku działalności twórczej znalazł wówczas inne ujście, jedynie, zda się, możliwe w warunkach, w których znajdował się Syrokomla. Idąc za swym przewodnikiem, Wiszniewskim, wpadł na myśl przekładu na polski dzieł polsko-łacińskich poetów (Janicki, Sarbiewski, Klonowicz i t. d.). Gorączkowo też rzucił się do urzeczywistnienia tego pomysłu. W wyznaniach swych pisze Marcinkowskiemu, że od r. 1846 wszedł w stosunki literackie. Stało się to właśnie za sprawą owych przekładów. Kraszewski otworzył dla nich gościnnie łamy „Athenaeum", zawiązała się w tym przedmiocie gorliwa korespondencya. Przedsięwzięcie doszło do wiadomości ogółu, gdyż Kondratowicz ogłosił w „Tygodniku Petersburskim" (w r. 1846) wezwanie do zbiorowego wykonania pracy. Dały się słyszeć publicznie głosy, dotyczące zamierzonego dzieła (M. Grabowskiego). Praca pochłaniała Syrokomlę coraz bardziej, więc i twórczość oryginalna szwankować musiała. Z r. 1848 mamy np. zaledwie cztery liryczne utwory, a z tych trzy okolicznościowe. Borykać się wypadło autorowi z różnemi trudnościami. Nie miał pod ręką biblioteki, dotkliwie uczuwać się dawała niedostateczność wiadomości historycznych i filologicznych. To też tłómacz w zabawne nieraz wpada nieścisłości, narażając się w ten sposób na przykre zarzuty surowych swych sędziów. Wynik pracy był wszelako taki, iż przed szerszą publicznością otworzył się wstęp do ukrytych przed nią wpierw skarbów rodzimej literatury, a co do wartości tłómaczeń, to, zdaniem znakomitego znawcy dawnego naszego piśmiennictwa, Al. Brücknera, są one głębsze, poetyczniejsze i żywsze, niżeli same oryginały humanistyczne. Zewnętrzne powodzenie nie dopisało jednak istotnej zasłudze. Marzenie o zbiorowej pracy urzeczywistniło się tylko w cząstce bardzo drobnej, trochę z winy poety, który w wezwaniu swem nie zastrzegł, co bierze na siebie, a co dla innych pozostawia. Środków na wydanie miała dostarczyć prenumerata, która szła bardzo ociężale. Skończyło się na tem, że poeta własnym kosztem wydał (w r. 1848) jeden tomik w trzystu egzemplarzach. Później wydawnictwo wzięła na siebie firma J. Zawadzkiego. Bądź co bądź, przekłady oddały rzetelną przysługę poecie. Przez nie uzyskał on prawo obywatelstwa, jako literat i odtąd wydawcy zwracają się do niego z propozycyami. Niebawem (od r. 1850) zasiądzie poeta do pracy nad „Dziejami literatury polskiej", w której szedł za M. Wiszniewskim, gdyż na samodzielną budowę nie starczyło mu ani materyałów, ani też nie uzdolniły go do niej studya samodzielne. Okrasą dzieła stały się własne przekłady autora z poetów łacińskich.

Jeżeli praca nad przyodzianiem humanistów w szatę polską ułatwiła Kondratowiczowi stosunki jego ze światem wydawniczym, nie mniej oddziałała ona i na twórczość oryginalną, mianowicie na wybór pomysłów, na historyczny często koloryt utworów. Powtóre, jak to zwykle bywa, tłómacz torował drogę poecie pod względem stylowym. Co do tego ostatniego punktu atoli, trzeba poczynić zastrzeżenia. Syrokomla odznaczał się nadzwyczajną łatwością rymowania. Z tego źródła wypływała wielka moc wierszy okolicznościowych, któremi sypał na wszystkie strony, a które jakościowego dorobku poety nie podwyższają ani o włos. Tak było w pierwszych chwilach wystąpienia jego na widownię, i tak pozostało aż do ostatniej niemal godziny, aż do owego wiersza, którym dogorywający poeta wypraszał się u jakiejś panny od udręczeń:

Sąsiadeczko, nie bij w kławisz,
Bo tem chłopców nie zabawisz,
A chorego i sąsiada,
Rznąć po uszach nie wypada.

Z biegiem czasu, oczywiście, pióro Syrokomli stało się pewniejszem, ale nigdy styl jego nie nabrał zwięzłości i wytworności. I wogóle twórczość poety bardzo wcześnie przybrała te znamiona, które już odtąd aż do końca będą ją odznaczały. Rozwija się ona równolegle z usiłowaniem spolszczenia dzieł Janickich i Sarbiewskich, chociaż ta ostatnia praca pierwszą wprost mechanicznie na bok usuwa. Tak np. już w 1846 r. gotowe były do druku najpiękniejsze ustępy „Dęboroga“ i nic wyższego w tym względzie Syrokomla później nie napisał. Wtedy już powstawały „Gawędy“, którym poeta zawdzięczał swój rozgłos, wtedy wyraziły się bardzo dobitnie i społeczne tendencye jego muzy, i cechy osobiste temperamentu: rzewność uczucia, miłość przyrody i t. p. Wypadnie więc nam zastanowić się obecnie, czemu pieśń Syrokomli tak rychło osiągnęła ten stopień skrystalenia się, po nad który już wznieść się nie mogła, czy nie umiała.

IV.

POEZYA SYROKOMLI A ROMANTYZM. — WYOBRAŹNIA LIRNIKA WIOSKOWEGO.

Przedewszystkiem ustalić trzeba związek poezyi Syrokomli z jej wzorami. Odrazu myśl nasza zwraca się ku Mickiewiczowi. Trudno znaleźć u naszego lirnika najdrobniejszy choćby ślad, jakiś odruch nieznaczny, wywołany poezyą Słowackiego, czy Krasińskiego. Możnaby powątpiewać, czy ich znał, a jeżeli znał, to z pewnością bardzo niedostatecznie. Natomiast zależność od Mickiewicza bije w oczy. W wierszu do Feliksa i Antoniego Pietkiewiczów, przyjaciół i sąsiadów z niedalekiego „Żukowego Borku“, czytamy, jak wspólnie „z księgą Adama w ręku“ błądzili nad Niemnem, „i s a m i, jak latorośl krzewiąca się wcześnie, niekształtne, lecz ogniste składaliśmy pieśnie“, (wiersz pochodzi z d. 15 maja 1846 r.; Ant. Pietkiewiczowi miał być poświęcony ów zbiorek rymów, który pozostał w rękopisie). W słowach powyższych znajdujemy stwierdzenie poddańczego stosunku naszego lirnika względem ducha potężniejszego. „Sonety krymskie“ nadały koloryt swój „Wspomnieniom z Nieświeża“, a te uważać musimy za pierwszą rzeczywistą przygrywkę do pieśni, co miała wypłynąć z piersi nadniemeńskiego śpiewaka. „Konrad Wallenrod“ dostarczył głównie barw do najobszerniejszego utworu Syrokomli: „Margiera“, który miał być bohaterskim eposem Litwy. Dźwięki hymnów tegoż „Wallenroda“, lub uroczysta i męska nuta wspaniałego „Wstępu“ do poematu i t. p. raz po raz odzywają się, czy to w pobożnej pieśni zakonników w „Błogosławionym Sadoku“, czy w żywym takcie rapsodu o „Córze Piastów“ i t. p. W stylu nawet, owym stylu zaniedbanym, potrącamy niejednokrotnie o szczegóły, co do których pochodzenia niczyja pamięć wątpliwości mieć nie będzie. „Lecz może mi powiecie, żem skończył zbyt skoro? U nas się kochankowie tak prędko nie biorą“? („Córa Piastów“). Czyż to nie parafraza owego „Niemcy, wy pewnie myślicie...“? Albo: „Oto są grzechy kmiecego żywota“ („Wielki Czwartek“). Możnaby pomyśleć, iż nadewszystko „Wallenroda“ Syrokomla kochał i umiał go na pamięć. „Bo łagodne spojrzenie, bo oblicze młode, piękniejsze niźli kwiaty, słodsze nad jagodę“. „Wszystko ci zagram z szczerej ochoty — wszystko, krom je-

dnej, jednej piosenki". Ta bliższa, w pojedyńczych i określonych szczegółach dająca się oznaczyć od twórcy „Pana Tadeusza" zależność, jest tylko jednym z objawów ogólnego faktu, że natchnienia Syrokomli płynęły romantycznem łożyskiem. I swoisty patryotyzm prowincyonalny, i zwracanie się twórczości w kierunku etnograficznym nieco, w kierunku chaty i dworku szlacheckiego, i to umiłowanie swojskich tematów, łagodne a sztuczne cokolwiek oświetlenie obyczaju ludowego, świadome użycie za materyał pierwiastków takich, jak wyobraźnia, przesądy, wierzenia ciżby wiejskiej, lub zaściankowej, jak skrysztalona już w piosnce twórczość ludowa — to wszystko każe nam uprzytomnić sobie i „Dziady", i „Ballady" Mickiewicza, i piosnkę Bohdana, a choćby „Wiesława" Brodzińskiego. Uczyniliśmy wzmiankę o patryotyzmie prowincyonalnym. Dla Mickiewicza Litwa była ojczyzną, Zaleski czuł się kozakiem, a Ukraina była dlań matką; tak Gosławski cichutko nucił; „Gdyby orłem być, lot sokoli mieć... skrzydłem orlem, lub sokolem, unosić się nad Podolem, tamtem życiem żyć...". Podobnież Syrokomla czuje się nadewszystko Litwinem. I ulubiona forma naszego poety pozostaje w ścisłym związku z kształtami, przez romantyzm używanemi. Mówimy o „gawędzie". Jak wiadomo, jest to opowiadanie o rzeczach zwykłych i codziennych, utrzymane w tonie potocznej rozmowy i nie skrępowane zewnętrznemi ramami, lub jakiemikolwiek innemi ściślejszemi wymaganiami formy. Twórcą rodzaju i nazwy był Wincenty Pol. A przecie słuszne jest zdanie Tyszyńskiego, iż bezpośrednim wzorem dla Syrokomli był romantyczny kształt ballady. Pierwsza gawęda Kondratowicza, „Pocztylion", jest taką gminną opowieścią, jak „Rybka", lub „Świteź". „Trzy gwiazdki" (marzec, 1846 r.), wydać się mogą wprost parafrazą (za rozwlekłą może) „Romantyczności". Gdy starzec, widząc spadające gwiazdy, biada, że synów jego spotkało nieszczęście na wojnie, pan, śmiejąc się, pożycza słów u mędrca ze szkiełkiem w oku: „wstydź się wierzyć w te d u b y, c o p l e c i e p r o s t o t a". „To fosfor, albo gazy — p r ó ż n o g ł u p c y b r e d z ą, gwiazdy o twoich synach... nic a nic nie wiedzą". Pierwiastek cudowności spotykamy stale w pierwszych gawędach (a i w późniejszych gęsto), czy to w legendzie o „Błogosławionym Sadoku", czy w „Zaścianku Podkowa", czy w „Kęsie chleba". Istnieje ten pierwiastek, acz ukryty, i w „Pocztylionie". Na pozór dzieją się tu rzeczy tylko zwykłe, rozwiązanie jest wynikiem naturalnego zbiegu okoliczności. Pocztylion nie chciał słyszeć wołania o pomoc wśród zawiei, śpieszno mu było do kochanki swojej. Wypadek zdarzył, iż tą wołającą była właśnie jego dziewczyna. Lecz

w tem następstwie złego czynu, który był sam dla siebie karą, widomy jest palec Boży. Podobnież się stało w „Żebraku-fundatorze“, w „Żebraku z rzemiosła“, w opowiadaniu o „Chwale Bożej i królewskiej“, gdzie „Pan Bóg przeinacza: On podarek bogacza swemu chwalcy przeznacza“. Zaznaczmy również, iż w „Pocztylionie“ poeta zachowuje nawet właściwy balladzie kształt zwrotkowy. Krępującego atoli warunku tego pozbył się rychło, a interwencya sił kierowniczych, kierująca biegiem naturalnych — na pierwszy rzut oka — wypadków, również nie była u poety zjawiskiem stałym, jak to sprawdzić możemy np. na „Dyferencyi“ z r. 1846. Poezya Syrokomli była tedy romantyczną, ale bez wulkanicznych uczuć i podniebnych wzlotów; był to romantyzm, ale nie znający wyjątkowych, lub złożonych stanów duszy, romantyzm, mocno trzymający się ziemi, czerpiący swe soki nie z jej głębi, lecz z powierzchni. Jako materyał do twórczości brało się to, co leżało najbliżej, tuż pod ręką. Co umiem nakreślić? — pytał siebie poeta już na schyłku swego niezbyt długiego żywota:

Zawsze wyjdzie z pod ręki lub litewska chatka,
Lub kościołek wioskowy, lub dworek litewski ..

. . . . . .

A w środku, wyobrażam, że mieszka lud cichy,
Parobczaki, dziewczęta, starce siwobrode...

Poeta stwierdza w tych słowach kierunek swych natchnień, swoje ukochanie ludu, stwierdza pobudki twórczości, spoczywające w widnej na skraju widnokręgu chatce, lub kościołku wiejskim; ale zarazem wyznaje, iż obrazy, w które miały wcielać się natchnienia i wewnętrzne poruszenia serca, są odbiciem rzeczy blizkich i zwykłych. Dykcya, zabarwiona pewnym sentymentalizmem, rzadko wznosi się nad poziom gawędziarski, nie skrzy się oryginalnemi i śmiałemi zwrotami, lub przenośniami. Co do wizerunku uczuć i charakteru osób, jest w tem zawsze coś ogólnikowego, nie dostrzegamy sympatyi jasnowidzącej. Pomysły i sytuacye powtarzają się w wielu utworach. Zarówno w „Zaścianku Podkowa“, jak w „Kęsie chleba“, klątwa złego czynu wsiąka w martwe rzeczy, których odtąd tknąć nie wolno pod grozą piorunu; zarówno „Stare wrota“, jak „Nocleg hetmański“, osnute są na motywie zbrodni, wynikającej z lekkomyśl-

ności, z zaniedbania szlachetnych nauk, w młodości otrzymanych; zarówno w „Chwale Bożej i królewskiej“, jak i w „Żebraku z rzemiosła“—„Bóg przeinacza...“... Tam chwalca królewski, porywając białą bułkę u poczciwego dziada, pozbawia się złota, zapieczonego w przeznaczonym dla niego czarnym chlebie; ówdzie modlitwa: „Niech Pan Bóg dopomaga“ choćby złym zamiarom — zwraca się przeciw niepoczciwemu, gdyż, według modlitwy jego, szczęściło się złodziejom, co go okradali. I tak bez końca. Wszystko to świadczy, że wyobraźnia Syrokomli nie była ani zbyt lotna, ani silna, ani zasobna, karmiła się jednostajnemi wrażeniami, i od tych zostawała w zupełnej zależności, gdyż znamieniem swem miała odtwórczość, nie twórczość samorzutną. Trzymając się mocno ziemi, zyskała względy krytyków okresu pozytywistycznego (Spasowicz, W. Kościałkowska) i miano realistycznej, wszelako w istotnem słowa znaczeniu realistyczną nie była, nie wydawała obrazów, któreby zwracały uwagę wypukłością szczegółów i wyrazistością barw. Pokost sentymentalizmu i ogólnikowości sprawiał, iż zarysy przedmiotów zachodziły na siebie, zacierając się wzajemnie i wytwarzając zamglone wizerunki, jak w oku krótkowidza.

Rozważając sprawę z innego stanowiska, powiedzieć możemy, że, zaniechawszy górnych swych jazd i zniżając się do gawędy, romantyzm jego jakby umyślnie się przystosowywał do widnokręgów pojęciowych i uczuciowych tej mnogiej ciżby, która swego słowika tak szczerze pokochać miała, z którą połączyły go tak liczne i serdeczne węzły sympatyi, jak to się wogóle rzadko zdarza. Prostota wewnętrzna natchnień i skromność szaty nie były, rozumie się, główną i wyłączną przyczyną spójni między pieśniarzem a słuchaczami jego, lecz były niewątpliwie, jej warunkiem. Głównej przyczyny poszukiwalibyśmy przedewszystkiem w kochającym człowieku, lecz, by „bracia z nad Wilii i bracia z nad Niemna“ drżenia tego serca wyczuć mogli, trzeba mu było właśnie tej szaty codziennej, trzeba było tych obrazów, odtwarzających znane widoki i urok im nadających, tych barw, każdemu oku zwykłych I Syrokomla był świadom tego, gdzie spoczywa tajemnica czaru, zniewalająca mu miłość braci. Żegnając się z Załuczem i pisząc swą pierwszą „dedykacyę gawęd gminnych Litwinom“, serdecznie zapraszał ich na przyjacielską rozmowę:

Niechże kto teraz drzwi na klucz zatrzaśnie,
Aby snadź jaki panek, czy półpanek,
Nie przyszedł wyśmiać naszych pogadanek.

U nas, wiadomo, domowa czeladka,
Wiersz od siekiery, robota niegładka...

. . . . . .

. . . . . .

Łatwiej to z wami wywinąć się księdze,
Bracia w kapocie i bracia w siermiędze!
Gmin nieuczony łatwiej się pozwoli
Podkraść, wysłuchać, czy mu serce boli...

. . . . . .

Pierś przezroczysta, widmo jak na dłoni,
Na sercu grają uczucia otwarte!
Łatwoż je schwycić i przenieść na kartę,
A potem w kółku tych samych słuchaczy,
Któż niedołężnej piosnce nie przebaczy?

. . . . . .

Wiadomo już nam, że w r. 1846 Syrokomla wygotował był zbiorek rymów do druku, rymów, co prawda, wartości dość skromnej; wiemy również, iż od tego czasu poczyna się bardziej ożywiona działalność Kondratowicza — poetycka i literacka. Rozglądając się w jej plonach, a kładąc za kres rok 1852 (ostatni rok pobytu w Załuczu), spostrzegamy, że ilościowa przewaga zostaje po stronie epickich gawęd w porównaniu z lirycznemi piosenkami. Różnica ta byłaby jeszcze bardziej uderzająca, gdybyśmy usunęli rzeczy okolicznościowe, jak wierszowane odpowiedzi, żarty i t. p., do których stosunki towarzyskie były pobudką, wszelkie madrygały do oczu błękitnych, lub czarnych i t. d. Z gawęd jest tu „Dęboróg", fundament sławy poetyckiej Kondratowicza, jest nieoceniona „Lalka", a obok niej „Hetman polny", jest pierwszy zarys znakomitego „Ułasa" (Czartowy bród"). Lecz z utworów drugiej kategoryi, w pamięci ogółu zapisał się trwalej zaledwie jeden. Wprawdzie jest to „Lirnik wioskowy". Poezye, które miały być najbezpośredniejszym wylewem duszy — poezye te albo są igraszką, objawem wesołości, nie przekraczając nigdy poziomu zwykłej zabawy towarzyskiej, albo znowu odznaczają się zbyt łzawym sentymentalizmem. Jedne zrzadka tylko miewają zakrój satyryczny; drugie nie budzą silnych odruchów uczucia. Ten nastrój, raz pogodny, kiedyindziej łzawy, w odosobnieniu wydaje zazwyczaj

rzeczy mało cenne, i pewnie w mniemaniu samego poety nie zasługujące często na miano rzetelnej poezyi. Dopiero w „Gawędach“ (niektórych przynajmniej) zaznaczone pierwiastki kojarzą się harmonijnie: dopiero wtedy powstają rzeczy piękne, arcydzieła prawie, o ile poezya Syrokomli posiadała moc wydawania arcydzieł.

A. Drogoszewski.

Naczelnicy ziemscy w kraju północno-zachodnim.

Instytucya naczelników ziemskich, powołana do życia w d. (12) 24 lipca 1889 r., wprowadzona początkowo jedynie tylko w guberniach centralnych, z biegiem czasu rozszerzoną została i na inne prowincye Cesarstwa. Na mocy późniejszych praw i rozporządzeń, instytucyę tę rozciągnięto pomiędzy innemi i na gubernie, wchodzące w skład kraju północno-zachodniego, najpierw (od dnia 14 stycznia 1902 r.) na gubernie: Witebską, Mohylewską i Mińską, później (od d. 14 grudnia zeszłego roku) — na gubernie: Kowieńską, Wileńską i Grodzieńską, należące, jak wiadomo, do generał-gubernatora wileńskiego.

Przedewszystkiem zauważyć należy, że instytucya naczelników ziemskich nie ma nic wspólnego, prócz nazwy, z instytucyą ziemstw. W osobie naczelnika ziemskiego, mianowanego z ramienia rządu, prawodawca połączył niejako funkcye dawnego sędziego pokoju i mirowego pośrednika, czyli komisarza do spraw włościańskich; natomiast ziemstwa powiatowe i gubernialne, są to wszechstanowe instytucye autonomiczne, pochodzące z wyborów ludności miejscowej z trzech kuryi stanowych, a mające powierzony sobie cały zarząd wewnętrzny gospodarki lokalnej w danej jednostce terytoryalnej, a więc w powiecie i gubernii. Co więcej, wprowadzenie nowych władz administracyjno-sądowych do gubernij centralnych, korzystających z obszernego samorządu ziemskiego na mocy ustawy 1864 r., wywołało konieczność gruntownej rewizyi tej ustawy dla odpowiedniego jej przystosowania do nowych zasad, wprowadzonych przez prawo z r. 1884 o naczelnikach ziemskich.

Duchowym ojcem instytucyi naczelników ziemskich, inicyatorem reformy, po części nawet głównym redaktorem nowej ustawy, był ówczesny minister spraw wewnętrznych, hr. Dymitr Tołstoj, dawny oberprokurator Synodu i minister oświaty, ten sam mąż stanu, który,

trzydzieści kilka lat temu, powołał do życia współczesny system szkolnictwa w państwie rosyjskiem. Powołany do steru rządu w pierwszych latach panowania Aleksandra III (po upadku hr. Lorys Melikowa i hr. Milutina), wniósł hr. Tołstoj do ówczesnej, elektrycznością nasyconej, atmosfery państwowej, niezwykły zasób żelaznej energii i nieugiętą siłę woli. I z jakiegobądź punktu widzenia zapatrywać się będziemy na działalność tego męża stanu, to w każdym razie nie ulega kwestyi, że hr. Dymitr Tołstoj dobrze wiedział, czego chciał, i do tego, czego chciał, dążył z niezmordowaną wytrwałością i godną podziwu konsekwencyą.

Radykalna, wywołana uwłaszczeniem włościan, zmiana stosunków ekonomicznych w połączeniu z uprzemysłowieniem kraju, dotychczas czysto rolniczego, nie mogła pozostać bez wpływu na nowe ukształtowanie się pojęć i wyobrażeń. Nowy porządek rzeczy musiał z konieczności odbić się przedewszystkiem na włościanach.

Włościanin w Cesarstwie otrzymał wolność i ziemię, ale zarówno jedno, jak i drugie, w zakresie niezupełnym i nieostatecznym. Osobiste prawa włościanina ogranicza jego przynależność do gminy stanowej, z której wyjście utrudnia mu szereg przepisów, ziemię zaś posiada nie tytułem dziedzictwa, czyli własności indywidualnej, ale— w guberniach wielkorosyjskich tytułem własności gromadzkiej — w guberniach zaś zachodnich tytułem udziału we własności rodowej.

W guberniach wielkorosyjskich do r. 1861 poddani użytkowali z ziemi dziedzica całą gromadą, ilość ziemi, przypadającą na każde gospodarstwo włościańskie określała zwykle sama gromada, za podatki, należne od włościan, odpowiadał przed państwem dziedzic, który, opłaciwszy takowe, ściągał je następnie z podwładnej sobie gromady. W interesie więc tejże gromady leżał słuszny i sprawiedliwy rozkład użytkowania z ziemi. Idąc w tym samym kierunku ustawy o urządzeniu włościan, wprowadziły gromadzkie władanie ziemią tam, gdzie przed r. 1861 istniało wspólne użytkowanie z ziemi dziedzica. W zamian za otrzymaną na własność ziemię, gromada, nie zaś poszczególni jej członkowie, została dłużnikiem skarbu, z tytułu pozostałej do spłacenia sumy indemnizacyjnej, a również przyjęła na siebie, wobec fisku, odpowiedzialność majątkową za wszystkich swoich członków z tytułu wszelkich podatków i opłat rządowych. Dlatego też wielkorosyjski „mir“ tworzy stanową jednostkę administracyjną, związaną integralnie solidarną odpowiedzialnością za ciężary państwowe, a z tego charakteru gromady włościańskiej w guberniach centralnych wypływa, że posiada ona niejako prawa zwierzchnicze nad swemi członkami, którzy nawet nie mogą z niej wystąpić bez zgody całej gromady.

Rzecz oczywista, że podniesienie wartości ziemi przez racyonalną jej uprawę, względnie nawet najmniejsza zmiana systemu gospodarki, jest rzeczą wprost niemożebną, albowiem wszelkie usiłowania jednostki muszą się zawsze rozbić o bierny opór konserwatywnej większości. Prowadzi to więc przedewszystkiem do zaniku wszelkiej inicyatywy gospodarczej wśród włościan; zresztą „mir" ma prawo przy peryodycznie powtarzających się podziałach ziemi odebrać każdemu włościaninowi przypadłą na niego parcelę i oddać ją komu innemu. Solidarna odpowiedzialność gromady za ciężary państwowe zapewnia wprawdzie skarbowi możność szybkiej i energicznej egzekucyi podatków, związuje mu natomiast ręce w razie konieczności poczynienia pewnych ulg wskutek klęsk żywiołowych, gdyż w takim razie na równi z ubogim, dotkniętym przez wypadki losowe, z dobrodziejstwa rządowego korzystałby też bogaty i zamożny włościanin.

Niewykończoność, powiedzmy nawet wprost, połowiczność reform, przeprowadzonych w Cesarstwie, w pierwszym okresie panowania cesarza Aleksandra II, w szczególności zaś niewykończoność reformy agrarnej, która, w myśl twórców ustawy o rozrządzeniu włościan miała być z biegiem czasu rozwijaną i uzupełnianą, w miarę stopniowej ewolucyi warunków ekonomicznych, musiała wywrzeć poważny wpływ na nowe ukształtowanie się stosunków wiejskich. Nieuzupełniane w dalszym ciągu ustawodawstwo włościańskie z r. 1861 nie zdołało przystosować szerokich mas ludowych do warunków współczesnego rozwoju ekonomicznego; świadczy o tem upadek dobrobytu ludności wiejskiej w guberniach najurodzajniejszych i zwiększające się stale wychodźtwo z miejscowości, gdzie o przeludnieniu, a więc i o małorolności, mowy być nie może. Zarówno w zastoju kultury rolnej, skrępowanej zresztą wspólnością posiadania ziemi, jak i w gospodarce autonomicznych gmin włościańskich, odbiła się cała nieudolność społeczna nowego stanu, powołanego do samodzielnego życia przez ustawy o urządzeniu włościan. Nieudolność tę stwierdził wyraźnie Ukaz imienny do Senatu rządzącego z d. 12 lipca 1889 r. „Zwróciwszy uwagę na przeszkody, utrudniające wzrost dobrobytu ludności miejskiej", prawodawca uznał za stosowne zaznaczyć, że „jednym z głównych powodów tego niepomyślnego objawu jest brak zbliżonej do ludu silnej władzy państwowej, którąby łączyła opiekę nad ludnością wiejską z obowiązkiem obrony dobrych obyczajów, porządku i bezpieczeństwa publicznego, tudzież praw osób prywatnych w osadach wiejskich".

W myśl prawa o naczelnikach ziemskich z d. 24 (12) lipca 1889 r., każdy powiat dzieli się na odpowiednią ilość rewirów ziemskich; do składu tych rewirów nie należą jednak miasta gubernialne i po-

wiatowe, oraz miasta, osady i miasteczka, wskazane w rejestrze specyalnym, ułożonym za wspólnem porozumieniem się ministrów skarbu, spraw wewnętrznych i sprawiedliwości. Bądź co bądź i w tych miejscowościach nawet, do naczelników ziemskich należy kierownictwo nad urządzeniami gruntowemi włościan, oraz nadzór nad sądami włościańskiemi, gdyż, z chwilą ogłoszenia ustawy, naczelnicy ziemscy przejmują wszystkie funkcye, sprawowane dawniej przez t. zw. mirowych pośredników, czyli komisarzy włościańskich, których urzędy znoszą się jednocześnie. W każdym rewirze ziemskim funkcyonuje rewirowy naczelnik ziemski, ilość rewirów w powiecie określa się w drodze prawodawczej.

Naczelników ziemskich mianuje na przedstawienie miejscowego gubernatora minister spraw wewnętrznych, przyczem ustawa 1889 r. ogranicza dość znacznie obowiązujące przepisy o służbie cywilnej, określając ściśle warunki, wymagane od kandydatów do tych urzędów. W zasadzie więc naczelnikami ziemskimi mogą być mianowani tylko obywatele miejscowi, zapisani do księgi szlacheckiej danej gubernii, w wieku przynajmniej lat 25, posiadający wykształcenie wyższe i stosowny, niezbyt wysoki zresztą cenzus majątkowy. Pierwszeństwo do zajęcia stanowiska naczelnika ziemskiego mają przedewszystkiem te osoby, które, w ciągu lat trzech, piastowały godność powiatowego marszałka szlachty, tudzież szlachcice miejscowi, którzy w ciągu lat trzech w swojej gubernii pełnili obowiązki mirowego pośrednika, sędziego pokoju, lub stałego członka komisyi do spraw włościańskich.

Tym sposobem, w przeciwstawieniu do ogólnych zasad systemu biurokratycznego, prawodawca w tym wypadku pragnął nadać dominujące znaczenie żywiołowi miejscowemu, powierzając mu zarząd lokalny danej gubernii, co tem więcej zasługuje na podkreślenie, że kierownik tego zarządu, t. j. gubernator, w myśl obowiązujących przepisów, winien być względem swojej gubernii człowiekiem obcym, a więc nie posiadać w niej majątku nieruchomego. Ale zasada ta, aczkolwiek słuszna i sprawiedliwa, nie została przeprowadzona w całej swej rozciągłości. Przy samem układaniu ustawy 1889 r., nasunęła się wątpliwość co do tego, jak postąpić należy w tym wypadku, jeśli w danej gubernii z tych, lub innych przyczyn, nie znajdzie się wśród żywiołu miejscowego potrzebna ilość kandydatów, odpowiadających wskazanym powyżej warunkom. Postanowiono przeto, że na stanowiska naczelników ziemskich gubernator może przedstawiać ministrowi spraw wewnętrznych i szlachciców z innych powiatów i gubernij, posiadających bądź wyższe, względnie nawet średnie wykształcenie, bądź odpowiedni cenzus majątkowy, albo służbowy. Gdy-

by jednak nie można było znaleźć i takich kandydatów, minister spraw wewnętrznych ma prawo mianować naczelników ziemskich z pomiędzy osób wszystkich stanów, bez względu na stopień wykształcenia i cenzus majątkowy.

Dla tego też przy wprowadzaniu naczelników ziemskich do gubernii zachodnich skomplikowane przepisy ustawy normalnej zastąpiono powołaniem się na ogólne przepisy o nominacyi urzędników zarządu cywilnego. „Naczelnicy ziemscy w guberniach: Witebskiej, Mohylewskiej i Mińskiej, mianowani są przez ministra spraw wewnętrznych na przedstawienie gubernatorów z pomiędzy osób, które skończyły nauki w wyższych, lub średnich zakładach naukowych, lub zdały odpowiedni egzamin na mocy ogólnych przepisów o mianowaniu urzędników, „przyczem“ w braku nawet takich kandydatów, posady mogą być obejmowane przez osoby, nie posiadające powyższych kwalifikacyj, ale które, według zdania ministra spraw wewnętrznych, godne są tego urzędu i posiadają dostateczną znajomość rzeczy dla spełnienia swych obowiązków“. Przy wprowadzeniu naczelników ziemskich do gubernij: Kowieńskiej, Wileńskiej i Grodzieńskiej, prawo nominacyi nowych administratorów zostało powierzonem generał-gubernatorowi wileńskiemu, co, o ile wiadomo, związane jest z zapowiedzianym przez sekretarza stanu Plewego projektem decentralizacyi zarządu cywilnego w państwie rosyjskiem.

Atrybucye naczelników ziemskich są trojakie: administracyjne, policyjne i sądowe.

Naczelnicy ziemscy sprawują wszystkie funkcye, dotyczące zawiadywania i urządzenia gruntowego włościan, które dotychczas pełnili w Cesarstwie t. zw. pośrednicy mirowi, czyli komisarze włościańscy. Jako tacy, mają oni nadzór zwierzchni nad wszelkiemi instytucyami włościańskiemi, oraz prawo rewizyi tych instytucyj z własnej inicyatywy, lub na zlecenie gubernatora, albo urzędu gubernialnego. Jednocześnie w guberniach centralnych sprawują naczelnicy ziemscy obowiązki stałego członka komisyi do spraw włościańskich, dotyczące wykupu nadań gruntowych przez włościan, którzy przed d. 1 stycznia 1882 r. nie załatwili swego stosunku do obywateli i dawnych dziedziców.

Niezależnie od obowiązków komisarzy włościańskich, sprawują naczelnicy ziemscy funkcye policyjne. Funkcye te mają zakres bardzo szeroki i obejmują prawie wszystkie strony życia zarówno publicznego, jak i prywatnego gmin wiejskich. W myśl ustawy 1889 r., naczelnik ziemski winien mieć staranie o dobrobycie i rozwoju moralnym włościan swego rewiru w sprawach, dotyczących stanu włościańskiego. Przysługuje mu prawo rozpatrywania wszystkich uchwał gro-

madzkich i gminnych, może zawieszać, w razie potrzeby, ich wykonanie, przedstawiając je, wraz ze swoją opinią, do decyzyi zjazdu powiatowego, lub komisyi gubernialnej. Skargi włościan, nieprawidłowo obranych na urzędy gromadzkie i gminne i wszelkie skargi na urzędników gromadzkich i gminnych, podlegają decyzyi naczelników ziemskich, którzy mają też prawo usuwać własną władzą nie zasługujących na zaufanie pisarzy gromadzkich i gminnych. W dalszym ciągu naczelnik ziemski winien mieć baczność na stan funduszów gmin włościańskich, do niego też należy zatwierdzenie uchwał gminnych i wydatkowanie tych funduszów na potrzeby gminne. Do naczelnika ziemskiego należy również nadzór nad towarzystwami i kasami zaliczkowemi, kasami wzajemnej pomocy, bankami wiejskiemi i wogóle nad wszelkiemi włościańskiemi instytucyami kredytowemi w obrębie danego rewiru. Wreszcie, naczelnik ziemski sprawuje kontrolę nad opiekami, ustanowionemi nad osobą i mieniem małoletnich sierot włościańskich, oraz rozstrzyga skargi na działalność tych opiek. Jako organ policyi miejscowej, wykonywa on przytem decyzye i rozporządzenia urzędu gubernialnego w sprawach administracyjnych, a w razie nieobecności sprawnika (naczelnika powiatu), albo komisarza policyi, ma nadzór nad działalnością wójtów i sołtysów pod względem zabezpieczenia porządku, spokoju i bezpieczeństwa publicznego, oraz zapobieżenia zbrodniom i występkom. W tych razach naczelnik ziemski obejmuje kierownictwo zarówno nad wójtami i sołtysami, jak i nad strażnikami policyi powiatowej. W razie niewykonania przez osoby, podlegające zarządom włościańskim, prawnych rozporządzeń naczelnika ziemskiego, ma on prawo, bez wszelkiej procedury formalnej, skazywać winnego na areszt do trzech dni, albo karę pieniężną do sześciu rubli, o czem jednak, w każdym wypadku, ma być spisany protokół. W razie drobnych przewinień służbowych urzędników gminnych, może zastosować do nich napomnienie, naganę, karę pieniężną do pięciu rubli, albo też areszt do siedmiu dni. W razie wykroczeń ważniejszych, ma prawo zawiesić ich w urzędowaniu, występując jednocześnie do powiatowego zjazdu z wnioskiem o usunięcie winnych z posad, względnie nawet — oddanie ich pod sąd.

Wreszcie po trzecie, naczelnicy ziemscy w obrębie swoich rewirów spełniają funkcye sędziów pokoju, przyczem znoszą się dawni sędziowie pokoju, powołani do życia przez organizacyę sądową 20 listopada 1864 r., a pochodzący z wyborów ziemstwa, lub korporacyi miejskich. Kompetencya naczelników ziemskich w sprawach sądowych wskazaną jest w specyalnych przepisach o postępowaniu sądowem, dołączonych do właściwej ustawy o naczelnikach ziemskich. Odpowia-

da ona zarówno w sprawach cywilnych, jak i w sprawach karnych, mniej więcej kompetencyi dawnych sędziów pokoju, przyczem zaznaczyć należy, iż wyroki w sprawach, wypływających z umowy najmu robotników wiejskich, podlegają rygorowi egzekucyi tymczasowej.

Oprócz naczelników ziemskich, funkcyonuje w każdym powiecie jeszcze t. zw. powiatowy członek sądu okręgowego. Do kompetencyi powiatowego członka sądu okręgowego należą wszystkie sprawy cywilne i karne, które, na mocy ustaw sądowych, podlegały kompetencyi sędziów pokoju, a nie podległy obecnie kompetencyi naczelników ziemskich i sędziów miejskich, tudzież wszystkie sprawy postępowania incydentalnego. Apelacya od jego wyroków idzie do sądu okręgowego, który, w danym wypadku, pełni funkcye dawnego zjazdu sędziów pokoju.

Natomiast od wyroków naczelników ziemskich stronom przysługuje apelacya, lub kasacya do akcyi sądowej zjazdu powiatowego. W skład tej sekcyi wchodzą: powiatowy marszałek szlachty jako prezes, powiatowy członek sądu okręgowego, pełniący niejako funkcye dawnego stałego członka zjazdu sędziów pokoju i honorowi sędziowie pokoju, sędziowie miejscy i naczelnicy ziemscy, podług ułożonych spisów kolejnych. Do tegoż zjazdu powiatowego mogą być podawane również skargi na opieszałość postępowania, na decyzye o zabezpieczeniu powództwa i egzekucyi tymczasowej, wreszcie na nieprzyjęcie powództwa, skargi, lub apelacyi. Od wyroków zjazdów powiatowych stronom przysługuje kasacya do komisyi gubernialnej, w której skład wchodzą: gubernator, jako przewodniczący, gubernialny marszałek szlachty, wicegubernator, prokurator sądu okręgowego, dwóch członków stałych, wreszcie prezes sądu okręgowego, lub jeden z jego członków. Wyrok komisyi gubernialnej jest ostateczny, lecz gdyby minister sprawiedliwości uznał, iż komisya gubernialna w sprawie sądowej wyraźnie odstąpiła od należytej interpretacyi prawa, wówczas sprawa przechodzi do senatu na połączonej sesyi pierwszego i cywilnego, lub karnego departamentu kasacyjnego.

Tym sposobem, zamiast dawnej, prostej, nieskomplikowanej organizacyi sądowej (sąd pokoju, zjazd sędziów pokoju i senat) ustawa 1889 r. wprowadza złożony i pogmatwany system trybunałów mieszanych, a więc w charakterze pierwszej instancyi sąd naczelnika ziemskiego, sędziego miejskiego, lub powiatowego członka sądu okręgowego, w charakterze instancyi apelacyjnej — zjazd powiatowy, lub sąd okręgowy, w charakterze instancyi kasacyjnej—zjazd powiatowy i komisyę gubernialną, wreszcie w charakterze instancyi rewizyjnej połączone departamenty Senatu, pierwszy i kasacyjne. Ale, co ważniejsza, w ustawie tej znajdujemy zupełne pomięszanie władzy admi-

nistracyjnej i władzy sądowej. Pełniący funkcye sądowe naczelnik ziemski, jest jednocześnie urzędnikiem ministeryum spraw wewnętrznych, zależnym bezpośrednio od gubernatora, w zjeździe powiatowym prezyduje miejscowy marszałek szlachty, a w komisyi gubernialnej, obradującej pod przewodnictwem gubernatora, zasiada zaledwie jeden sądownik, to jest prezes, lub członek sądu okręgowego, gdyż prokurator stawia tylko wnioski i nie bierze udziału w decydowaniu spraw.

Pomieszanie takie stanie się tem widoczniejszem, skoro weźmiemy pod uwagę, że zarówno zjazdy powiatowe, jak i komisye gubernialne, poza funkcyami sądowemi spełniają czynności czysto administracyjne. W skład akcyi administracyjnej zjazdu powiatowego wchodzą pod przewodnictwem miejscowego marszałka szlachty wszyscy naczelnicy ziemscy i sprawnik, czyli naczelnik powiatu. Zjazd powiatowy pełni wszystkie funkcye dawnego zjazdu pośredników mirowych, czyli komisarzy włościańskich, a więc przedewszystkiem apelacye na decyzye naczelników ziemskich, z wyjątkiem tych spraw, w których apelować należy do komisyj gubernialnych. Od wszystkich niestanowczych decyzyj zjazdu powiatowego, służy w przeciągu dni trzydziestu od daty obwieszczenia, skarga do komisyi gubernialnej. Jednocześnie stanowi zjazd powiatowy instytucyę apelacyjną dla wszystkich nieostatecznych wyroków włościańskich sądów gminnych.

Komisya gubernialna, do której składu przy załatwianiu spraw administracyjnych wchodzą zamiast prezesa sądu okręgowego, zarządzający izby skarbowej i dóbr państwa—spełnia wszystkie funkcye dawnych gubernialnych komisyi do spraw włościańskich. W komisyi tej koncentruje się również zwierzchni nadzór nad działalnością naczelników ziemskich w gubernii, tudzież zjazdów powiatowych, których decyzye nieostateczne mogą być zaskarżone do komisyi gubernialnej w drodze apelacyi. Decyzye komisyj gubernialnych w sprawach administracyjnych, z wyjątkiem spraw o urządzenie gruntów włościańskich, są uważane za stanowcze i muszą być niezwłocznie wykonane. Natomiast od decyzyj nieostatecznych przysługuje w ciągu dni trzydziestu możność odwołania się do Senatu. Wreszcie komisyi gubernialnej przysługuje prawo zwrócenia się do Senatu z prośbą o uchylenie ostatecznych decyzyj naczelników ziemskich, o ile dotyczą one spraw, niepodlegających ich kompetencyi, lub, jeśli w danym wypadku dopuszczono się nadużycia, albo też wyraźniej, obrazy prawa.

Jedną z wad każdego biurokratycznego systemu rządzenia jest pewne wyobcowanie rządzących z pomiędzy rządzonych, wyobcowanie, po-

ciągające za sobą nieznajomość stosunków miejscowych, niezdawanie sobie sprawy z miejscowych potrzeb, w części nawet wprost ignorowanie właściwych aspiracyi społeczeństwa w danej chwili. Instytucya naczelników ziemskich, wytwarzając na miejscu organy władzy, bezpośrednio do ludności zbliżone, może z czasem odegrać rolę pepiniery przyszłych administratorów, zdających sobie sprawę z wielu potrzeb społecznych, których dziś w obłokach rutyny i wśród nawału korespondencyi papierowej, nie zdoła dojrzeć wzrok najbystrzejszy.

Zaznaczyć też należy, że instytucya, mająca odegrać rolę pepiniery przyszłych administratorów, winna być opartą na zasadach ścisłej legalności, z wyłączeniem wszystkich wpływów postronnych. I pod tym względem zasługują na uwagę słowa, wypowiedziane przez generał-gubernatora wileńskiego, ks. Swiatopołk-Mirskiego i przez gubernatora wileńskiego, hr. Pahlena, do obejmujących swe urzędowanie naczelników ziemskich gubernii wileńskiej, wzywające nowych urzędników do kierowania się zasadami nieugiętej sprawiedliwości, bez względu na to, czy będą mieli do czynienia z włościaninem, czy z obywatelem ziemskim.

W guberniach centralnych, korzystających, jak wiadomo, z samorządu ziemskiego i miejskiego, mianowani z ramienia rządu naczelnicy ziemscy zastąpili dawnych wybieralnych sędziów pokoju, powoływanych z elekcyi rad miejskich i autonomicznych władz gubernialnych. Tam więc oczywiście przeprowadzenie reformy 1889 r. równało się utracie jednej z dawnych placówek społecznych. Ale w guberniach zachodnich zaprowadzenie instytucyi naczelników ziemskich nie pociągnie za sobą tych następstw, jakie się dały zauważyć w guberniach wielkorosyjskich, ponieważ kraj północno-zachodni nie korzysta z samorządu ziemskiego i urzędy sędziów pokoju były w nim dotychczas obsadzane w drodze nominacyi. A że dla objęcia stanowiska sędziego pokoju, prawo obowiązujące nie wymaga bynajmniej wyższego fachowego wykształcenia, przeto, pod względem cenzusu umysłowego, wymaganego od przyszłych działaczy na polu sądownictwa gminnego, nowa reforma nie wprowadza żadnej zmiany. I pod tym względem powtórzyć należy tylko to, co już poprzednio powiedzianem zostało: na miejsce prostej, nieskomplikowanej organizacyi trzech instancyi (sąd pokoju, zjazd sędziów pokoju i senat), nowa reforma wprowadza skomplikowany system potrójnych sądów pierwszej instancyi, dwóch instancyj apelacyjnych, dwóch instancyj kasacyjnych i jednej instancyi rewizyjnej, nie mówiąc już o samej zasadzie połączenia władzy sądowej z władzą administracyjną i ściśle policyjną.

Pozostają jeszcze do rozpatrzenia funkcye administracyjne, jakie wkłada prawodawca na nowe organy silnej władzy państwowej na wsi. I tu przedewszystkiem wypada zaznaczyć zupełnie niezależnie od uzasadnionego punktu widzenia, z jakiego wykształcony pracownik-fachowiec na instytucyę naczelników ziemskich zapatrywać się musi, że w życiu społecznem gubernij zachodnich istnieje cała kategorya doniosłych zadań praktycznych, których rozwiązanie w jak najszybszym przeciągu czasu byłoby nader pożądane. Prawidłowy rozwój życia społecznego na Litwie wymaga przedewszystkiem uporządkowania stosunków agrarnych. W guberniach zachodnich uwłaszczenie włościan, zainicyowane w 1857 r. przez samą szlachtę litewską [1]), przeprowadzonem zostało na podstawie obowiązkowego wykupu indywidualnego, co znaczy, że każda chata włościańska otrzymała przypadający na nią nadział tytułem własności zupełnej. Tym sposobem każdy z wciągniętych do t. zw. spisu rodzinnego, ma prawo żądać swego udziału w nadziale, a skutkiem licznego rozrodzenia się rodzin włościańskich dziś w wielu wypadkach wprost już dojść nie można, do kogo właściwie pierwotny nadział należy. Po drugie, za czasów reformy włościańskiej 1861 r. wygon, pastwiska i wszelkiego rodzaju nieużytki zostały nadane na własność całej gromadzie, i dziś faktycznie stanowią wspólną własność gminną. Uporządkowanie chaotycznej nieokreśloności dzisiejszego stanu własności u włościan, nastąpić może wprawdzie nieinaczej, jak na drodze prawodawczej, w każdym jednak razie inicyatywa oznajomionych ze stosunkami miejscowemi organów rządowych, zbliżonych do ludu, a obdarzonych tak wielkiem zaufaniem władzy, jak naczelnicy ziemscy, mogłaby w wielu wypadkach przyczynić się skutecznie do usunięcia niejednej bolączki życia miejscowego. Dość wskazać chociażby na kwestyę skomasowania gruntów włościańskich, tak, aby każdy włościanin posiadał swój nadział w jednym kawałku, zamiast, jak to się zazwyczaj dziś dzieje, w kilkunastu, lub nawet kilkudziesięciu, w obrębie kilku wiorst kwadratowych, lub na kwestyę ścisłego uregulowania serwitutów państwowych, których szkodliwość dla gospodarstw włościańskich została już chyba dostatecznie stwierdzoną, a także na kwestyę

[1]) Przy przedstawieniu deputatów od szlachty Cesarstwa w d. 21 lutego 1860 r. cesarz Aleksander II zaczął swoją przemowę od słów: „Panowiel zacznę od tego, że podziękuję przedstawicielom trzech litewskich gubernij za przykład, który dały całej Rossyi". Por. też Najwyższy Ukaz do general-gubernatora wileńskiego z d. 20 listopada 1857 r.

zniesienia szachownic pomiędzy obszarami dworskiemi i gruntami włościańskiemi, albowiem przymusowe uregulowanie tych kwestyj, wobec olbrzymich kosztów, jakie pociągnęłaby za sobą reforma na tem polu, a także wobec warunków miejscowych, zdaje się być niewykonalne, przynajmniej w bliższej przyszłości.

Wreszcie, nie ulega wątpliwości, że wobec nizkiego stanu kultury i oświaty wśród ludu w stosunkach rodzinnych, panuje zazwyczaj przemoc, siła pięści i bachanalia samowoli. Prawa, dotyczące włościan, jak się wyraził słusznie jeden z badaczów tej kwestyi, porosły nieprzebytym lasem orzeczeń senatu, ministeryalnych okólników, cyrkularzy gubernatorów i wskazówek rządów gubernialnych. Dzięki temu, oryginalny tekst prawa nie zawsze bywa stosowany, a istniejące prywatne podręczniki dla urzędów włościańskich (Goremykina i Sawicza) zawierają materyał przeważnie chaotyczny i nieuporządkowany. Włościanin pogrążony w ciemnocie i dzięki swej ciemnocie pozbawiony możności bronienia swych praw wrodzonych i nabytych, zatraca zupełnie wszelkie poczucie legalności. Przywłaszczenie ziemi, niszczenie granic, samowolne spasanie pól i łąk, defraudacye i kradzieże leśne, są na porządku dziennym zarówno względem dworu, jak i pomiędzy włościanami. Więc już samo wejrzenie zblizka w tę otchłań ciemnoty, nędzy i występku ze strony władzy, która, w myśl prawa, „powinna mieć pieczę nad dobrobytem i rozwojem moralnym włościan", może okazać się bardzo korzystnem, tem bardziej, że władzę taką stworzyła dopiero ustawa o naczelnikach ziemskich.

Zdaje się, że na tem polu uwidoczni się najwyraźniej w blizkiej przyszłości działalność nowych władz administracyjno-sądowych, zaprowadzonych obecnie już na całym obszarze kraju północno-zachodniego.

B. Z. Bouffall.

GDZIE ARNO PŁYNIE.[1]

GDZIE ARNO PŁYNIE.[1]

II.

Cudna była nazajutrz pogoda. Spotkaliśmy się tedy popołudniu w *Cassine*, w owym prześlicznym podmiejskim lasku nad Arnem. Pozostawiwszy fiakry w pobliżu modnej traktyerni, a unikając ludzi i pyłu, sprawianego na głównej drodze przez eleganckie ekwipaże, pędzące za sobą szybkim kłusem, jakby się bawiły w gęsiora, poszliśmy nad rzekę. Pani Helena i pani Róża przechadzały się nad brzegiem, reszta zaś towarzystwa pomieściła się na ławce i używała wiosny i pięknego widoku. Kraj nasz przypominały nam słowiki, wyśpiewujące afekta, jakie im ptasie rozegrzały serduszka i niespełna jeszcze rozwinięte, stare dęby, które widzieliśmy gęsto ustawione gajem, skorośmy tylko w tył albo w bok spojrzeli. Rzeka tu także była jakaś swojska, nie większa od Wisły koło Krakowa, może raczej nieco mniejsza, nieujęta murami, ani groblami z wikliny, płynęła swobodnie, pozostawiając u brzegów odkryte rąbki piasku lub żwiru, wśród których wyrastały wiesiołki o dużem, żółtem kwieciu. W mieście, pomiędzy kamienicami i pałacami, wyrastającemi wprost z wody, pod łukami odwiecznych kamiennych mostów, zdobnych w posągi, albo dziwacznie zabudowanych ruderą małych domków, bywa Arno zazwyczaj żółty i mętny; tu, na wsi, w dzień słońcem rozpromieniony odbijało się niebo pogodne tak wyraźnie w ledwo podmuchem wietrzyku pomarszczonej wodzie, że aż rzeka pobłękitniała, że aż nasze górskie przypominała strumienie. Ale ludność, która się przesuwała po przed nami, silna, śniada, wesoła i dziwnie ożywiona, ale tem bardziej widok rozlegający się po za rzeką—świadczyły o tem wyraźnie, żeśmy daleko od kraju, nie gdzie indziej tylko w owej Toskanii, w której się obudziła na nowo cywilizacya europejska, wpierw, nakształt

---

[1]) Patrz zeszyt styczniowy, str. 1.

zaczarowanej królewnej w bajce, zaklęta w sen tysiącletni, marzący o cudach niebieskich i niepodobnych do wiary przygodach ziemskich rycerzy. Tam za wodą wznosiły się piękne góry, o wyraźnie oddzielnych, osobistych prawie kształtach, na których piętrzyły się sady, otaczające pałacyki, kościoły, klasztory, monumentalne a z rzadka rozsiane. Wśród nadzwyczajnie przejrzystego powietrza, widać było wyraźnie, w wielkiem nawet oddaleniu szczegóły, któreby się u nas w jakiś niewyraźny, rozmarzony wid błękitnawy zlały.. Każda nietylko góra, lecz także każdy budynek, każde drzewo, występowały, jako całość osobna, wyraźna, od sąsiednich budynków i drzew należytym odstępem odgraniczona; i to wzmagało jeszcze wyrazistość wszystkich szczegółów rozległego krajobrazu. Piękność przyrody, która się nam jawiła, nie była, jak na północy, pogrążona w jakiemś nieuchwytnem, romantycznem marzeniu; i owszem, była jasną, jak rozum przenikliwy anioła. Nie domyślaliśmy się cudów; oglądaliśmy cuda, jakby namacalne. Krajobraz ten był klasyczny, który się niczego domyślać nie każe, a wszystko wypowiada, który wyobraźni nie podrażnia, ale ją nasyca i uspokaja. Tylko tam, gdzie taką jest przyroda, może być prawdziwa, nie konwencyonalna sztuka istotnie i doskonale klasyczną i bywa nią zawsze, ilekroć bywa szczerą. U nas bywa wprost przeciwnie i dlatego nam nie wolno próbować tego, czemu nasza przez tęsknotę rozkołysana dusza nie podoła. Należy nam Włochów i Greków poznać i podziwiać; powinniśmy myśli swojej jasności i jedności dodać, obcując z klasyczną sztuką i poezyą. Naśladować nam nie wolno, ani Włochów, ani Greków, ani w ogóle nikogo! Winniśmy się tylko pilnie u starszych uczyć narodów; żyć możemy i działać skutecznie, pod tym tylko warunkiem, że pozostaniemy sami sobą.

Pokazało się, że śliczna panna Mania milczała tylko ze strachu przed pobożnym pozytywizmem pani Heleny, bo skoro się ta ostatnia niewiasta oddaliła, wzięła udział w rozmowie. Teraz wyrwał się jej wykrzyknik:

— Jakżeż tu pięknie! Jakżeż tu uroczo! Jakżeż jestem szczęśliwa, że bawię we Florencyi! Jestem w jakiemś ciągłem, spokojnem uniesieniu. Zdaje mi się, że wszystko tu jest jakąś uroczystą a przecież radosną muzyką, nie tyle dostrzeganą przez zmysły, ile bezpośrednio przez duszę. I ja stałam się cząstką tej harmonii. Cała moja istota jest nutą w niewysłowienie pięknym hymnie.

— Czy przypadkiem — wtrącił profesor — przyczyną tych uniesień, nie są: młodość, wiosna, świeże powietrze i śpiew słowików?

— Nie, z pewnością nie—odparła Mania—tak być nie może. Bo młodą przecież jestem zawsze, a wiosna bywa wszędzie; i prawda,

wszędzie cieszę się wówczas, a jednak w zupełnie inny sposób. A potem ta radość nie przystąpiła do mnie, dopiero tu, w ogrodzie, nie odstępuje odemnie od chwili, w której się we Florencyi naprawdę rozpatrzyłam. Pierwszego dnia nie rozumiałam Florencyi; wydawała mi się nawet surową, ponurą; spodziewałam się, sądząc po nazwie, miasta kwiatów, a zastałam miasto wielkich głazów. Ale teraz ulegam ciągle jednemu, dziwnie błogiemu zachwytowi, bez względu na to, czy jestem na świeżem powietrzu i nad rzeką, czy też wśród ciasnej ulicy, otoczonej kolosalnemi, ponuremi pałacami, ulegam temu uczuciu tak samo we wnętrzu ogromnej, nagiej, a tak dziwnie modlitewnej katedry, jak w galeryach, w których oko z arcydzieła przechodzi na arcydzieło drugie.

— Tak jest—potwierdziła pani Jadwiga—wszystko tu, jak może nigdzie na świecie, zlane w jedną, piękną całość. Okolica cała, gmachy, posągi, obrazy a nawet ci ludzie, jednolitą całość tworzą Kiedy siedzę tu, mam wrażenie trudne do opisania, że oglądam dalej arcydzieła tutejszych starych mistrzów, na których postacie zaczęły się raptem ruszać—chodzą i rozmawiają—a kiedy wrócę do miasta i siądę przed obrazem w galeryi, albo przed jednym ze starych fresków, w jakimś kościele, albo refektarzu, będzie mi się zdawało, że to żywa Florencya została unieruchomiona na wieki, czarodziejskiem zaklęciem, jak zamek Popiela w rapsodzie Słowackiego Patrzcie się państwo, otwórzcie oczy i spojrzyjcie tylko i powiedzcie mi, czy te góry i drzewa nie wyglądają, jak krajobraz, tworzący tło starego florentyńskiego malowidła? czy te dwie kobiety nie wyszły z fresku Ghirlandaja? czy nie Massacio odmalował tego młodzieńca, który tam stanął nad Arnem i patrzy w wodę? Czy nie Luca della Robbia modelował te dzieci, które się tam w piasku bawią?

Tłómacząc, podjąłem: — Sądzę, żeś pani teraz sama podała klucz do wrażeń, których doznajemy tu wszyscy. Jedność przedziwną Florencyi stworzyła stara, florentyńska sztuka. Owi starzy artyści spoglądali nieustannie na żywą przyrodę, na tę, którą widzieli przed sobą, na ten sam krajobraz, który teraz oglądamy, na ten sam lud, który się teraz nad rzeką przechadza, a którego charakterystyczne typy i ruchy nie mogły się przecie zmienić w ciągu marnych półtysiąca lat — chwilki nie znaczącej nic, w życiu wszechświata. Tak dalece szukano wyłącznie prawdy—że w połowie piętnastego wieku nastało w sztuce włoskiej panowanie bezwzględnego realizmu, trwające przez całe jedno pokolenie, nad którem przetrwało berło malarstwa, w Lombardii Montegna, tu w Toskanie Pio de la Francesca. I ci ludzie, którzy nie naśladowali niczego, oprócz dzieła Bożego, przyrody, ci ludzie, którzy nie znali żadnego niby doskonałego szablonu, żadnego konwencyo-

nalnego ideału, szukając tylko prawdy, dokonali tego cudu, że cały ten kraj i cały ten lud w swoją przedziwną sztukę wcielili, w świat ideału przenieśli, że kto się na ich dzieła napatrzył, ten musi widzianą potem rzeczywistość w sztukę wcielić. Dzięki tym tutejszym starym artystom, nieskrzywionym przez tradycye akademickie, stało się, że tu, na przekór reszcie świata, że tu powiadam, wyjątkowo sztuka i rzeczywistość to nie dwoje—to jedność nierozdzielna; sztuka tak dalece była prawdą, że się prawda stała sztuką. Dziś dość powszechną modą, powstałą najpierw w Anglii, a naśladowaną u nas bezmyślnie, jak my bezmyślnie naśladować umiemy, jest udawanie starych Florentynów, tem niedorzeczniejsze u nas, że praktykowane nie raz przez ludzi, którzy ani sztuki, ani przyrody tutejszej z widzenia nie znają. Z tego małpiarstwa bywa ten skutek, że kopiują błędy jakiegoś malarza, nie posiadając jego zalet. Kto koniecznie chce malować na wzór Florentynów, niech się tu osiedli, niech się w tutejszą przyrodę wpatruje sumiennie i szczerze, zapomniawszy o późniejszych konwenansach i o wszystkich kruczkach i zabawkach technicznych, a jeśli ma talent, dopnie celu. Ale lepiej stokroć zrobi ten, kto w kraju pozostawszy, nasz krajobraz i nasze typy ukocha, zrozumie, zespoli się z niemi i dla naszego narodu zrobi to samo, co oni zrobili dla Włoch, tego samego dokaże dla nas w malarstwie, czego dokazał już w poezyi Mickiewicz, gdy napisał Pana Tadeusza.

Nie wiem, czy świeże powietrze, czy może przykład panny Mani, ośmielił także Zygmunta, wmięszał się bowiem teraz do rozmowy uwagą:

— Wczoraj wykładałeś nam pan obszernie, że tutejsi artyści byli na wskroś i wyłącznie religijni; teraz wychwalasz pan znowu ich realizm. Proszę mi wytłómaczyć, jak mam te dwie rzeczy z sobą pogodzić?

Odpowiedziałem: — Widzę że pan jesteś na wskroś synem czasów, w istocie swojej obcych wszelkiej religii, czego najlepszym dowodem to, że także osoby bardzo pobożne, bywają pańskiego zdania, nie zdając sobie z tego sprawy, że skoro żądają od sztuki religijnej, aby samą nieprawdę wyobrażała, prawdy unikała, samą chyba religię zaliczają do rzeczy konwencyonalnych, do symbolów bajecznych, w których ani iskra prawdy rzeczywistej nie tkwi. Tak jak prawdziwie wielka sztuka życie wciela w siebie a siebie w życie, tak samo religijność istotnie czuje się rzeczywistością, całą rzeczywistość przenika. Za czasów, w których Florencya kwitła, religia, sztuka i życie tworzyły nierozdzielną, współistotną trójcę, a sztuka tem samem była naprawdę religijną, że do obrazów kościelnych, całą przyrodę, najpowszedniejsze, życiowe wcielała zdarzenia.

Zygmunt nie dał się teraz zbić z tropu, a podejmując dyskusyę, tak przemówił dalej:

— Pan trwasz konsekwentnie przy stanowisku zajętem wczoraj. Przyznaję. Ale przyznasz pan nawzajem, że pogląd pański na odrodzenie, nie zgadza się z poglądem przyjętym powszechnie przez naukę. Chciałbym się dowiedzieć bliżej, co pana powoduje do odrzucenia powszechnej prawie opinii; bo dotąd myślałem, że wielką i niespożytą zasługą czasów odrodzenia jest to, że świat wpatrzony dotąd wyłącznie w dogmata, poddany ślepo przez kościół ustanowionym powagom, do których dość dziwacznie także poganina Arystotelesa zaliczono, otrząsł się z więzów nałożonych nań przez zbyt wyłączny nacisk, położony na samą tylko religię, przy zupełnem życia zapoznaniu. W czternastym wieku narody Europy, a na ich czele Włosi, przetarły sobie oczy; miały znów odwagę patrzeć się na świat jaki był, ośmieliły się czytać w autorach klasycznych to, co u nich stało i tem samem wskrzesiły myśl, rozbudziły na nowo zmysł dla prawdy, uśpionej przez lat tysiąc, pod wyłącznem panowaniem duchowieństwa. Ludzie nie zwykli renesansu za to chwalić, że był religijnym; przeciwnie to mu za wielką poczytują zasługę, że przestał być wyłącznie religijnym, że przestał się zajmować jedynie zbawieniem duszy i sprawami niezbadanemi tamtego świata, nieba nie dającego się uzmysłowić i okropnego piekła, do którego większa część rodzaju ludzkiego miała na ohydne, zmysłowe męki zestąpić. Zasługą największą renesansu jest to, że zwrócił nareszcie uwagę rodzaju ludzkiego na sprawy tego świata, od których dziejowe losy pokoleń jedynie naprawdę zależą, które zbadać, na których przebieg mniej lub więcej poszczególny jedynie wpływ wywrzeć możemy. Renesans przywrócił prawa zapoznanemu przez wieki ciału, jego piękności i jego potrzebom; po tysiącleciu jednostronnej wszechwładzy ducha, pojętego wyłącznie ze stanowiska religijnego, po jednostronnem panowaniu religijnego tylko życia i religijnej wyłącznie, a zatem ciasnej i spaczonej cywilizacyi, przywrócił renesans równowagę; nie zaprzeczył religii bynajmniej; owszem, uszanował jej prawa, uznał, że ona także, w swojej sferze jest niezbędnie rodzajowi ludzkiemu potrzebną i w tem nie przeczę, że ludzie renesansowi byli wyżsi od niektórych dzisiejszych zaślepieńców bezwyznaniowych, dla których maszyna i pieniądz jedynym Bogiem. Ale zakreślono w czternastym i piętnastym wieku osobną dziedzinę dla religii, podczas gdy władała wpierw nad wszystkiemi; i za to się renesans chwali, i to sprawiło, że stolica ówczesnego ruchu umysłowego, Florencya, mogła się stać tak doskonale, tak harmonijnie piękną. Była doskonałym wyrazem uzyskanej na jedną chwilę dziejową równowagi, a czasy o których mówimy, dla tego wydają nam

się słusznie nieporównanemi, ponieważ czasy dawniejsze tej równowagi nie znały, a późniejsze tę równowagę znów zatraciły; ponieważ średnie wieki znały tylko ducha, a czasy nowożytne myślały zanadto wiele o ciele tylko. Wszelako, sztuka renesansowa nie dlatego nam się podoba, że była niby to religijną, tylko dlatego, że nawet do kościelnych obrazów, śmieli świeccy na wskroś mistrze wnieść wyobrażenie świeckiej prawdy, którą rozpoznawali z chłopięcym zapałem, przygotowując późniejszy, męski, europejskich narodów wiek, zajęty systematycznym już, a zatem naukowym, nie artystycznym tylko i zawsze fantastycznym prawdy badaniem.

Zygmunt skończył. Spytałem się go zatem:

— Ale pan przecie przyznajesz, że za renesansu było więcej religii niż dziś? Że sztuka odrodzenia była bardziej religijną od tej, którą teraz po wystawach oglądamy, gdzie płaski, bezmyślny realizm, fotograficzne u jednych oddawanie rzeczy najpowszedniejszych, a trywialnych przez to, że je oderwano od jedności z wszechświatem, z duszą ludzką, z Bogiem — sąsiaduje z utworami nieokiełznanego u drugich widzimisię, goniącego za dziwactwem, ponieważ nie masz ideału, do któregoby artysta dążyć mógł z przekonania, o którymby mógł się spodziewać, że przemówi do gawiedzi przezwanej P. T. publicznością.

— Ja tego nie wiem — odparł Zygmunt — są ludzie zaślepieni, którzy żadnej religii nie chcą, którzy religii każdej w żywe oczy przeczą, choć w gruncie rzeczy swoją odrębną, rewolucyjną, socyalistyczną albo anarchistyczną religię mają i są nawet do niej tak fanatycznie przywiązani, że brakiem tolerancyi równają się ze starymi inkwizytorami. Niereligijnym był chyba czas jakiś, wiek ośmnasty. W wieku dziewiętnastym, a zwłaszcza za czasów naszych, jest religii bardzo wiele, i zdaje mi się, że jest jej nierównie więcej, niż za renesansu. Tylko to religia nowa, znana za dawnych czasów, może tylko wyjątkowym ludziom, mistykom katolickim albo protestanckim. Nie jest to religia narzucona przez obcą powagę, tylko wiara, którą każdy wysnuwa z głębi własnego ducha; pogląd na świat, na życie, na przeznaczenie człowieka i ludzkości, oparty na ideale we własnej duszy wypiastowanym; słowem religia podmiotowa, na której stoi pogląd na świat podmiotowy; a taka religia i taki pogląd na świat są o tyle więcej warte od dawniejszych przedmiotowych, o ile ideał z siebie wyczuty bywa lepiej zrozumianym od narzuconego przez obcą powagę o ile się więcej w swoją, jak w obcą wierzy wiarę. Tej religii początki dniały zapewne już u towarzyszy świętego Franciszka z Assyżu; jej rozpowszechnienie jednak stało się dopiero możliwem od czasów reformacyi, a romantyka i dzisiejszy symbolizm stały się jej wymo-

wnym artystycznym i literackim wyrazem, o tyle religijniejszym od kierunków władających w sztuce za renesansu, o ile samodzielna szczerość jest prawdziwszą i potężniejszą od posłusznie przyjętego szablonu, z którego usiłowano się jednak nieustannie wyłamać, wprowadzając wszędzie siłą mocą naśladowanie świeckiej prawdy, choć jej wyobrażenie kłóciło się na zabój z tem, co miało niby być przedmiotem malowidła.

— Proszę mi powiedzieć—podjęła pani Jadwiga—co znaczy religia podmiotowa i przedmiotowa, podmiotowy i przedmiotowy pogląd na świat i kierunek w sztuce? O tem gada Zygmunt ustawicznie. Słyszałam także nieraz, jak o tem mówili młodzi ludzie, zwłaszcza ci, którzy z Niemiec wracali—albo także starzy panowie, którzy chwalili Goethego i Mickiewicza, za to, że to poeci przedmiotowi, a ganili Szylera i Słowackiego za zbytnią podmiotowość. Teraz uważam, że się moda zmieniła; wszyscy prawie młodzi, wszyscy moderniści i symboliści, a nawet pani Róża, którą bardzo podziwiam i szanuję, wynoszą podmiotowość, przedmiotowość potępiają. Ale ja tego wszystkiego nic a nic nie rozumiem, poprostu tych słów nie rozumiem. Uczono mnie, za lat dziecinnych, co to w gramatyce: przedmiot, podmiot i orzeczenie, ale i tego nawet, jak w ogóle gramatyki, nigdy dobrze rozumieć nie mogłam, choć dzięki Bogu umiem się jakoś po polsku wyrazić. Lecz nikt mi nawet nie sprobował wytłómaczyć, co to owa podmiotowość i przedmiotowość, o których mądrzy ludzie rozprawiają.

Chciałem odpowiedzieć, ale rzecz podjął profesor i rzekł:

— Pan Zygmunt używa wprawdzie polskich wyrazów, ale niemniej przeto mówi po niemiecku i po niemiecku mówili z panią wszyscy ci, starzy czy młodzi, którzy o podmiotowości i przedmiotowości gadali. Pozbyliśmy się zwyczaju, tak powszechnego niegdyś u wykształconych, nieustannego paplania między sobą po francuzku i bywamy nawet z tego powodu dumni. Nie ma czem się chwalić, chyba o tyle o ile chwalebnem bywa zaniechanie najgłupszego w świecie przyzwyczajenia, a korzyść osiągnięta nie jest nadto wielką, a raczej bywa dotąd — prawie żadną; bo używanie macierzystej mowy, w cywilizowanej rozmowie jest tylko środkiem do celu, otworzeniem ramy, w której obraz się zmieścić może. Obrazem jest rodzimy, ojczysty a niezapożyczony u obcych, ani do naszej natury, ani do naszego położenia nie zastosowany pogląd na ten i tamten świat. Gadając obcym językiem, musieliśmy, chcąc nie chcąc, myśleć obcą myślą a zatem w sposób śmieszny, niedorzeczny, szkodliwy. Gadając po polsku, powinniśmy także myśleć po polsku, ale dopóki tego nie czynimy, na nic się to polskie nie przyda gadanie, w mowę się nie zmieni; gadaniem papuziem, nie mową godną istot rozumnych, pozostaną wszy-

stkie nasze wykrzykniki o przywiązaniu do kraju i do obyczaju praojców, o poświęceniu i miłości bez granic; małpiarstwem pospolitem pozostanie nasze postępowanie, a nie zamieni się nigdy na ludzkie czyny; ani swego przeznaczenia, ani swego położenia rozumieć nie będziemy; głowę będziemy sobie ciągle rozbijali o jakiś mur, nieustannie będziemy, na podobieństwo ćmy nocnej, lecieli w ogień, na własne zatracenie. A tymczasem ciąży na nas ciągle to przekleństwo, że nasze panie czytają i myślą, a zatem czują nawet po francuzku, a mężczyźni uczą się wszystkiego od niemców i myślą po niemiecku. Owo gadanie o przedmiotowości i podmiotowości, jest zatem gadaniem niemieckiem, które się na polskie nawet przełożyć nie da. Była niegdyś szkoła niemiecka, która domagała się w sztuce przedmiotowości—w interesie dyscypliny pruskiej, i jej nauki, co powtarzali u nas uczeni, jako dogmata przyjęte na wiarę niemieckiego, niedościgłego rozumu. Teraz zmienił się wiatr; aby się módz obronić przed socyalizmem, mogącym na gruncie monarchii pruskiej jeszcze straszliwszą karność zaprowadzić, bywa podmiotowość w Niemczech protegowaną a trzeba przyznać, że to przynajmniej z istoty protestantyzmu niemieckiego konsekwentnie wynika. My jesteśmy katolickim narodem; potrzebujemy przedewszystkiem społecznej łączności, opartej na zasadach przez całe społeczeństwo wspólnie wyznawanych a zgodnych z żelazną rzeczywistością. Owa podmiotowość zatem niemiecka, to co Niemcy nazywają idealizmem, jest dla nas najśmiertelniejszą trucizną. Mniejsza o to! Nam tej trucizny koniecznie zażyć potrzeba, skoro jej Niemcy zażywają, jako lekarstwa—jako antydotum przeciw innej, groźniejszej truciznie. Więc pan Zygmunt mówi o podmiotowości i o religii podmiotowej. Nie mam mu tego za złe, bo jest pod wpływem najnowszych niemieckich książek. Zdaje mi się, że nie chybię, gdy powiem, iż oto teraz niedawno przeczytał książkę wydaną przez germanina wściekłego, Niemca pochodzącego z angielskiej rodziny, pana Chamberleina. Ta książka nosząca tytuł: „Podstawy dziewiętnastego wieku“ jest najchaotyczniejszym, a zatem najlepszym, wyrazem podmiotowego chaosu, jaki teraz zapanował w protestanckich i liberalnych głowach niemieckich; podobała się w Niemczech niezmiernie; jest wyrazem chwili; czytają wszyscy tę książkę, czyta ją cesarz Wilhelm ze szczególniejszą admiracyą. Czytają Chamberleina także niektórzy Polacy — i to niestety najlepsi, najwykształceńsi i gadają potem o podmiotowości i o religii podmiotowej – może będą niezadługo gadać z równym zapałem o kwadraturze koła.

Zygmunt słuchał tej tyrady niecierpliwie; rumienił się, gryzł usta; szanował jednak powagę profesora, bo był to młodzieniec nau-

czony wszystkie szanować powagi — począwszy od Sofoklesa i świętego Tomasza — a zakończywszy na Zoli i Prudonie. Więc nieśmiałość wzięła nad wszystkiem górę i Zygmunt milczał.

Pani Jadwiga do niego tedy zwróciła się z uśmiechem, chcąc go wybawić z kłopotu i spytała się:

— Może ty Zygmuncie wytłómaczysz mi przynajmniej, co ty rozumiesz pod podmiotowością i religią podmiotową? Bom ciekawa

Zygmunt zmięszał się jeszcze gorzej. Wahał się, namyślał przez chwilę, a wreszcie powiedział:

— To tak nie da się powiedzieć. To trzeba odczuć, to się łatwo i krótko wytłómaczyć nie da.

Profesor podjął znowu:

— Pan Zygmunt zdaje mi się, że sam nie rozumiał znaczenia używanych przez siebie wyrazów, bo gdyby rozumiał, nie chwaliłby religii podmiotowej. Za złe tego jeszcze żadną miarą brać nie można, bo natura niemieckiego języka sprawiła to, że uczeni Niemcy i literaci tego narodu używają nieustannie z szumem, hukiem i naciskiem wyrazów, które zrozumieć trudno, których większa część poetów i myślicieli germańskich, używa nie rozumiejąc. Do tych wyrazów zaliczam podmiotowość i przedmiotowość. Wcale nie idzie za tem, żeby to były dźwięki pozbawione znaczenia. Mam to przekonanie, że kto gada o podmiotowej religii, gada o niczem, albo przynajmniej o rzeczy podobnej naprzykład do zielonego smutku albo do owalnej rozpaczy, o których wiadomości musimy chyba u modernistycznych zaciągać poetów. Ale sens prosty słów „podmiotowość“ i „przedmiotowość“ spróbuję podać, pokaże się przytem tylko, że używają ich ludzie, na niemieckim sosie wychowani, w sposób zazwyczaj kompletnie niedorzeczny. Podmiot znaczy w niemieckiej filozofii tyle co ja, co moja szanowna i wielce ukochana osoba; przedmiot, to reszta świata, to prawda i rzeczywistość, z którą mam do czynienia. Przedmiotowy pogląd na świat, to zaglądanie prawdzie w oczy; podmiotowy zaś pogląd, to wmawianie w siebie, że prawda nie jest prawdą, skoro mnie nie dogadza. Don Kiszot, skoro pragnął koniecznie sławy z bajecznych awantur, miał podmiotowy pogląd na wiatraki, gdy uwierzył, że to olbrzymy i dzięki temu przekonaniu stłukł się porządnie; finansista pragnący za każdą cenę zysku, ma podmiotowy pogląd na świat, kiedy zaprzeczy istnieniu uczciwości, a dzięki temu zrobi może majątek, ale będzie nikczemnikiem i plagą społeczną; prosty zbrodniarz będzie podmiotowo lekceważył istnienie prawa karnego, policyi i sądów, więc dostanie się do więzienia i może na szubienicę. Z tego wynika, że religią podmiotową jest brak religii. Kto ma ze wszystkiem podmiotową religię, ten wierzy, że prawdy nie ma wcale, nie

zawisłej od jego zachcianek; wmawia w siebie, że to czego on pragnie jest prawdą, dlatego, że on tego pragnie; z siebie samego czyni Boga— i skoro musi się liczyć z rzeczywistością materyalnego świata, przeczy tylko prawdom moralnym, o ile jemu się nie podobają, zamienia się w uosobienie poczwarnie ogromnego samolubstwa. Prusacy jako naród, jako państwo, wyznają dawno podmiotową religię; dawno przez usta myślicieli i nawet kaznodziei protestanckich głoszą, że są Bogiem w dziejach wcielonym, a cnotą i prawem przezywają to wszystko, co swoim dogadza. Dotąd jednak Prusak swoje osobiste przekonania poddawał ubóstwionej racyi stanu; jeśli każdy zechce mieć osobistą religię podmiotową, prędzej czy później, ale niezawodnie wszyscy będą się musieli zaprzepaścić, mimo olbrzymich od dwustu lat nagromadzonych materyalnych i intelektualnych zasobów. Zwykle człowiek wyznający podmiotową niby religię, do tych ostatecznych nie dojdzie konsekwencyi; ale wtedy nie o wiele będzie lepiej, bo w nic na prawdę nie będzie wierzył, a zamieni tylko w przedmiot jakiejś sceptycznej adoracyi, tęsknoty swoje, a Bogiem przezywać będzie ideał osobiście powzięty, o którym będzie przekonany, że nigdzie nie istnieje. Z takiego człowieka nie będzie wprawdzie zbój zdolny każde rozsadzić społeczeństwo, ale będzie niedołężny marzyciel — i społeczeństwo, w któremby się sami tacy ludzie znaleźli, umarłoby wkrótce na sentymentalne mdłości. Najsilniejszemu „podmiotowość" nie wyjdzie na zdrowie; wystrzegajmy-że się jej pilnie, jako niemieckiej zarazy, którąby nas od razu powalić musiała!

W chwili, w której profesor kończył, zbliżyły się do nas pani Helena i pani Róża i zaproponowały, abyśmy piechotą na późny, hotelowy obiad do miasta wracali. Na to zgodziliśmy się od razu i rozmawialiśmy dalej, idąc brzegiem rzeki. Ale, jak to w takich razach bywa zazwyczaj, jedni poszli naprzód, drudzy pozostali trochę w tyle, boć przecie trudno iść frontem w siedmioro. Więc pani Jadwiga z panną Manią i panią Heleną wysunęły się na czoło, a myśmy z profesorem i panią Różą pozostali nieco w tyle, tworząc tym sposobem drugą, bardziej literacką trójkę. W straży tylnej szedł Zygmunt, sam jeden i zamyślony, ale choć postępował za nami, był dość blizko, aby wyraźnie naszą słyszeć rozmowę, aby się do niej wmięszać, gdyby go ochota zebrała.

Profesor lubił własnych słuchać wywodów, a był w sztosie mówienia. Więc nie zważał na to, że poniekąd innych miał teraz słuchaczy, a odstępując tylko na krok jeden od treści dopiero zakończonych wywodów, w ten oto sposób, zwróciwszy się do mnie, przemówił:

— Lubię być szczerym, więc powiem panu, że się nie zgadzam we wszystkiem z pańskiem zdaniem o renesansie. Że owe czasy były

bardziej religijnemi, czy też mniej niereligijnemi od teraźniejszych, to pewne; o tem nie ma nawet co dyskutować, a chyba i pan Zygmunt na to się zgodzi. Religia—po łacinie *religio* znaczy tyle co związek. Dzisiaj pomiędzy ludźmi nie ma innego związku nad wspólny interes, albo posłuszeństwo wspólnym prawom, narzuconym przez moc państwa zewnętrzną. Zresztą każdy myśli o sobie, dba sam o siebie, ma swoje osobiste opinje, które przeciwstawia śmiało opinji wszystkich innych ludzi. Bywają ludzie religijni, religii w społeczeństwie—a oczywiście także w sztuce — nie ma wcale; religijnym bywa ten tylko, który podaną przez minione stulecia religię przyjmuje, jako zasadę, od której mu odstąpić nie wolno, jako prawdę, w którą mu wątpić nie wolno. Religijnym bywa jeszcze ten, który czemuś moc boską przypisuje i zatem mieni to być swoim obowiązkiem, aby się dogmatowi uznanemu przez siebie poddał ślepo, nie rozumując, nie słuchając rozumowań przeciwnych, choćby pozornie przekonujących. Człowiek religijny nie wierzy zmysłom, nie wierzy własnemu doświadczeniu, tem bardziej nie wierzy obcemu doświadczeniu, przezwanemu nauką, ilekroć mu się wyda że to doświadczenie stoi w sprzeczności z dogmatem, a zatem z jego Bogiem; zgoła już nie zważa na to, co mu się chce, czego mu się nie chce — na swoje usposobienie, na swoje szczęście osobiste, na wszystko co Niemiec jego podmiotowością nazwie — jeśli to się w czemkolwiek sprzeciwia obowiązkowi nałożonemu przez religię. Zatem człowiek religijny, o ile jest religijny, bywa stanowczy, nawet bezwzględny, gotów do największych poświęceń—nie waha się, nie namyśla w sprawach pozostających w związku z religią i bywa jedyną potęgą zdolną się mierzyć z bezwzględnym egoizmem człowieka albo korporacyi, które w środkach nie przebierając, przed żadną nie cofając się zbrodnią, do swoich samolubnych dążą celów. Już nawet fragment starej religii, wyrwany z całości, a niekonsekwentnie przez nowożytnego człowieka w sumieniu przechowany—jak naprzykład tak marna przecie i niedostateczna religia honoru, wystarcza, aby w pewnych wypadkach dać człowiekowi niespożytą siłę, uchronić go od nikczemności. Ale, jeśli ktoś ma religię dla siebie, choć sam jej nie mieni być wcale opinią, jedną prawdą dla wszystkich obowiązującą — religia ta bywa dla społeczeństwa tylko jego indywidualnem zdaniem, jego osobistem przekonaniem, jego opinią, a społeczeństwa, które prawodawstwo swoje najbardziej do ducha naszych czasów — na dobre i złe — przystosowały — społeczeństwa republikańskie nowego świata takiej religii poręczają tylko jedno — tolerancyę — słowo trącące grzechem za czasów religijnych naprawdę.

— Ależ, panie! — zawołała pani Róża, przerywając — czy pana przypadkiem zamiłowanie w paradoksach za daleko nie uniosło? Przecież pan twierdzić nie będziesz, że prawdziwa, że oświecona religia każe sumienie bliźniego prześladować? Nie mogę przypuszczać, abyś pan chciał nasze czasy za to potępiać, iż wywiesiły na sztandarze swoim szlachetną zasadę tolerancyi!

Profesor odparł:

— Nikogo i niczego nie potępiam i nie chwalę. Nie wiem, czy lepszą rzeczą dawne stosy dla kacerzy, czy dzisiejsza wolność publicznego bezczeszczenia wszelkiej religii i wszelkiej moralności. Może być, że jako człowiek nowożytny i podmiotowy powinienem twierdzić, że wszystko na świecie zarówno dyabła warte, z wyjątkiem snu i zapomnienia! Twierdzę tylko stanowczo, że tolerancya musi się społeczeństwu istotnie religijnemu wydać pobłażliwością, której pobłażać trudno, przyznaniem wolności występkowi — brakiem miłości bliźniego, narażeniem współobywateli na największe nieszczęście, bo wydaniem ich na pastwę gniewu Bożego. Nam trudno wmyślić się w wieki religijne, bo podstawą naszego wychowania jest przykazanie: Badaj, roztrząsaj, wyrabiaj w sobie osobiste przekonania. A podstawą wychowania religijnego jest rozkaz nie cierpiący wyjątku: Wierz! Ale pani cenisz i wielu u nas ceni religijne przekonania — a przynajmniej zasady moralności lub honoru, które dzieciom wpajamy, co do których krytyki nie dopuszczamy; a to wszystko są rzeczy, których nowożytny człowiek ani nie wymyślił, ani w retorcie nie znalazł; to wszystko zabytki po wiekach religijnych, wykluczających krytykę i dyskusyę; to stare graty przekazane nam przez przodków, nie modne wcale, tak zastarzałe, że się same dziwią, jakim się sposobem do dwudziestego wieku przedostały, a jednak—słusznie podobno—drogie nam nad wszystko—tak jak bywa drogą pamięć matki. Oto przyznaję, że za renesansu wpływ dawnych wieków religijnych był nierównie potężniejszy, niż dziś, że wtedy istniało jeszcze społeczeństwo religijne i że przeto istotnie religijne namaszczenie sztuki było jeszcze możliwem. Ale muszę zrobić zastrzeżenie i poniekąd przyznać słuszność panu Zygmuntowi. Niereligijność jest znamieniem charakterystycznem dla renesansu; przeciwnie, czasy odrodzenia tem są znamienne, że w nich uczyniono wyłom w powszechnem panowaniu religii. Zapoznawszy się ze starożytnością, zaczęto podziwiać mądrość pogańską, rozmaite opinie przeciwstawiać dogmatowi. Nawet kościół, nawet papiestwo, olśnione świetnością klasycznej starożytności, dały się pociągnąć przez prąd czasów, opiekowały się humanistami, same się bawiły w humanizm; tak więc wątpienie i przeczenie zaczęły podkopywać religię, umysł ludzki zwrócił się ku samodzielnemu badaniu

i roztrząsaniu. Poczynające się odstępstwo od religii, oto charakterystyczne znamię renesansu.

Podczas ostatniej przemowy profesora, zbliżył się był Zygmunt, teraz wyrównał się z nami i znowu ośmielony, w te odezwał się słowa:

— Przecież nie można na żaden sposób powiedzieć, że sztuka renesansowa była wyłącznie religijną. Nawet portrety współczesnych nie koniecznie mieszczono tylko po obrazach kościelnych, malowano portrety samodzielne, a całe sale pałacowe pokrywano czasem freskami wyobrażającemi wyłącznie konterfekty książąt i sceny z życia dworskiego, jak to uczynił Montegna w Mantui, jak to czyniono także w Ferrarze. A potem, któż może zapoznać znaczenie malarstwa wprost pogańskiego, mitologicznego, które się poczęło już w drugiej połowie piętnastego wieku, a które zajęło w wieku szesnastym stanowisko równorzędne z malarstwem chrześcijańskiem. Tu, we Florencyi, podziwiamy dzieła Botticellego, na których odczuł bogów Homera, jak nikt przed nim i nikt po nim, potrafił nadać świeży, bezpośredni urok postaciom Afrodyty niesłonej przez fale i wiatry, w pierwszy dzień swego wiośnianego żywota i Pallady, wieńczącej Centaura; a po wszystkich muzeach świata pełno scen mitologicznych, malowanych przez Tycyana i Corregia; nawet w Watykanie oglądamy w tej samej komnacie, pośród nieśmiertelnych arcydzieł Rafaela, obok Chrystusa i dworu niebieskiego, Apollina i Parnas; a to sąsiedztwo sprawia, że patrząc na nie wątpimy w ogóle, aby ludzie ówcześni religijnymi byli. W Chrystusa i Apollina, w niebo i Parnas, wierzyć równocześnie na żaden sposób nie mogli; jedno i drugie — a to w papieskim pałacu, z jednakowem zamiłowaniem, równie przedziwnym kunsztem, chcieli i umieli odmalować. Więc podejrzenie się nasuwa, że ani w jedno, ani w drugie nie wierzyli.

Teraz ja znów podjąłem rozmowę, chcąc na argument odpowiedzieć poważny. Rzekłem:

— Najpierw przyznasz pan, że obrazy treści świeckiej lub zgoła mitologicznej, stanowią w sztuce renesansu wyjątek równie rzadki, jak po dzisiejszych wystawach obrazy treści religijnej, i stały się trochę liczniejszemi dopiero z chwilą kiedy kościół przestraszony przez reformacyę, odgraniczył się od życia, religię zamknął w murach świątyni, przeląkł się tak swobodnej mistyki, jak i tak samodzielnej twórczości, zamiast ludzi czynnych a wierzących, chciał mieć ostrożnych dewotów; wszystko, co świeckie, wygnał nietylko ze sztuki religijnej, ale z życia duchowego chrześcijan, a tem samem siebie z życia powszedniego, świeckiego wykluczył. Skoro malarz musiał się trzymać dekorum pobożnego w obrazach treści religijnej, skoro swoją wyobraźnię musiał okiełznać, ilekroć malował dla kościoła, szukał przed-

miotów zgoła świeckich, w którychby się mógł poruszać swobodnie; każdy też katolik szukał podobnież po za murami świątyni zgoła świeckich zajęć, w którychby mógł swoje wypróbować siły. Nie inaczej postępowali protestanci i rodzaj ludzki stał się świeckim na wskroś, czasy społecznej religijności przeminęły. Prawdą jest, że współcześnie z renesansem, gotował się szturm generalny na religijne życie europejskich narodów, ale to nie było wcale renesansem; to było kiełkowaniem reformacyi, w którem przewodziły narody germańskie, a po części słowiańskie, kiedy renesans był przedewszystkiem dziełem romańskich narodów. Nie podkopywał on katolicyzmu i owszem był jego tryumfem, jego dojrzałym owocem. Odrodzenie było czynem narodów romańskich, które przetrawiwszy wreszcie barbarzyńskich najeźdźców całą cywilizacyę klasyczną w swoje wcieliły chrześcijaństwo. Jeśli Rafael odmalował obok nieba chrześcijańskiego Parnas pogański, a w dodatku, jeszcze w szkole Ateńskiej, dzieje pogańskiej filozofii, chciał tem tylko wyrazić myśl renesansu przewodnią, że po zupełnym Chrystusa tryumfie, poezya i nauka świata mogły mu służyć i same przytem mogły się rozwijać swobodnie.

— Ależ—rzekł na to Zygmunt, napierając coraz śmielej—przecież pisarze, którzy nie mieli nic do czynienia z gotującą się reformacyą, przeczyli za renesansu i to tu we Włoszech, chrześcijaństwu i w ogóle zasadom wszelkiej pozytywnej religii. Jawili się sceptycy bezwzględni, albo śmiali materyaliści. Literatura włoska od początku zajęła stanowisko hierarchii kościelnej wrogie; już Dante papieżom złorzeczy, już Boccacio kpi nielitościwie ze wszystkich księży i zakonników, a późniejsi humaniści, pod bokiem papieży, dążą otwarcie do przywrócenia pogaństwa. Pomponiusz Latus mianował się w Rzymie arcykapłanem Jowisza a Buonacorsi, czyli Kallimach, zanim osiadł w Polsce, uknuł w mieście wiecznem spisek, którego celem ostatecznym było urzędowe przywrócenie pogańskiej Romy, a obalenie papiestwa i katolicyzmu.

Odpowiedziałem:

— Wszystko to prawda, ale prawda i to także, że w tem wszystkiem nic nie było nowego, że sceptycy i materyaliści istnieli przez cały ciąg średnich wieków i wykładali nawet swoje poglądy na uniwersytetach, stojących pod najściślejszym nadzorem duchowieństwa, że pogańskie tradycye tlały nieustannie tu we Włoszech, gdzieś pod popiołem i że w czasach dawniejszych prób złamania potęgi papieskiej i przywrócenia republikańskiej Romy, pełno tajemniczych kultów i magicznych sekt, które trzymały się dawnego pogaństwa, przyobleczonego w mistycznie panteistyczne formy, że cała ludowa literatura średniowieczna drwi z duchowieństwa, że wreszcie Dante,

mimo złorzeczenia papieżom, jest nie mniej przeto na wskroś wierzącym katolikiem. Ja znowu, ze swej strony, śmiałbym się sprzeciwić panu profesorowi, gdybym przypuszczał, że czasy religijne i nie religijne chce od siebie oddzielić martwą ścianą, ale znając jego naukę, tego nie przypuszczam. I dzisiaj jest jednak na świecie religijności istotnej sporo, a w tak zwanych wiekach wiary, było bezbożności równie wiele; ludzie wątpili nieraz, a pobłażano nawet wątpieniu uczonych i literatów, domagając się od nich tylko, aby swoje sceptyczne, czy też materyalistyczne nauki podawali w formie przyzwoitej, dodając do argumentów swoich na końcu ustną dla powagi dogmatów rewerencyę—a prócz tego karano wszelkie podżeganie przeciw hierarchicznemu porządkowi społecznemu. Jednak, trwam przy tem, że średnie wieki i renesans były w przeciwieństwie do czasów nowożytnych i dzisiejszych epoką religijną—bo wtenczas całe społeczeństwo wyznawało głośno wspólną wiarę, a wątpienie pobłażano, pod tym tylko warunkiem aby nie było natarczywem, aby się odzywało wstydliwie, półsłówkami; dziś przeciwnie, religijność bywa tolerowaną, a głośno przezywają jedynie zbawczym warunkiem postępu, krytykę i zwątpienie. Wyjątki od prawdziwej religijności bywały za renesansu--prawda! Ale życie publiczne, legalne, i życie liczniejszych społeczeństw bywało religijnem na wskroś, nie tylko w Rzymie, lecz także po rzeczachpospolitych, jak Wenecya, Florencya i Siena, gdzie było wprost wyrazem przeważnego usposobienia mieszkańców, i po większych monarchiach, jak Medyolan i Neapol, gdzie dwór musiał się liczyć z przekonaniami mnogiego narodu. Sam wspomniałeś, panie Zygmuncie, o dworach pomniejszych w Ferarze i Mantui, gdy chciałeś dać przykład świeckiego zgoła kierunku sztuki. Miałeś pan słuszność, że wskazałeś dwory tyranistek, które gwałcąc wszelkie uświęcone prawa, narzucały się miastu i powiatowi, dawały przykład uwieńczonego powodzeniem bezprawia i wskutek tego — do pewnej miary — wynosiły się także ponad bezwzględne panowanie religii; zamiast świętych, siebie kazały portretować malarzom—zamiast Boga siebie kazały opiewać poetom.

Tu wtrąciła się pani Róża napowrót do naszej rozmowy, mówiąc:

— Teraz potrąciłeś pan o powód, dla którego mnie wierzyć niepodobna w istotną pobożność renesansu. Patrząc na malowidła, kościoły, posągi, zdaje mi się istotnie, że ówczesne pokolenia w niebo wpatrzone, ztamtąd wprost nabierały natchnienia. Ale kiedy czytam o tem, co się za renesansu we Włoszech działo, o niesłychanych zbrodniach kondotyerów i tyranistek, o rozpuście jaka panowała bezwstydnie wszędzie, a nawet dokoła papieskiej stolicy, przychodzę do prze-

konania, że ówcześni ludzie, ani natchnionymi, ani wierzącymi wcale nie byli, że miejsce religii zajmowała misterna sztuka, że ci Włosi dawni posiadali poprostu tylko najlepszą w świecie szkołę artyzmu, zapomocą której umieli zarówno tworzyć niezrównane dzieła niebiańskiej sztuki i popełniać najmisterniejsze zbrodnie, kłamać, truć, mordować w sposób, który nas w osłupienie wprowadza, podawać arcywzory śmiałego a świętokradzkiego występku, wobec których, rzekłabym prawie, że zbrodnie Rzymskich Cezarów, niedość artystycznie wykończone, wydają się niezgrabną brutalnością ogromnych dzieci, prędzej godną przebaczenia. Nie mieści mi się w głowie, aby tak wyrafinowane bezeceństwa mogły były istnieć w istotnie religijnej epoce.

Teraz znowu profesor pośpieszył mi z odsieczą, mówiąc:

— Myśmy, proszę pani, wszyscy bardzo niebezpieczne figury, i gdyby nie było organizacyi społecznej, prawa i policyi, w jakiejkolwiek, choćby najpierwotniejszej postaci, życie pomiędzy ludźmi byłoby sprawą tak niebezpieczną, że temu, komu życie i zdrowie miłe, radziłbym uciekać w las i szukać schronienia bezpiecznego pomiędzy wilkami i niedźwiedziami. Gdyby nie strach przed niepokonaną mocą społeczeństwa—kto wie, czy tych kilku wieśniaków, którzy tam pod drzewem rozmawiają, nie zwróciłoby się przeciw nam, aby nas zamordować i zabrać nasze pieniądze. Każdy człowiek to szczególniejsza mikstura uczuć dobrych i złych; rozchodzi się o to, czy przy tej lub owej sposobności miłość wrodzona do bliźniego okaże się silniejszą lub słabszą od miłości własnej? A jeśli ktoś ma przekonania albo zasady, rozchodzi się o to, jak silna do niego przystąpi pokusa? Różnie to u różnych bywa, ale bardzo mało jest ludzi, którzyby nie ulegli pokusie jakiejś; popełnią wreszcie zbrodnię, aby ukraść królestwo niebieskie, jeśli by to tylko było rzeczą możliwą, a cała sztuka rządzenia społeczeństwem zależy na tem, aby motywa mogące porwać do zbrodni osłabiać grozą prawa skutecznie działającego. Za dawnych czasów organizacya policyi i sądów była słabsza, brakło także w znacznej mierze owej broni, którą daje w ręce społeczeństwu reputacya człowieka, rozchodząca się dziś szybko po świecie, dochodząca do wiadomości wszystkich, przestrzegająca wszystkich przed jawnym mordercą, zbójem albo wiarołomcą. Więc ze zbrodni w stylu średnich wieków, albo renesansu, wynika tak jawna szkoda, że dla człowieka—będącego spełna przy rozumie, pokusa do niej jest nadzwyczaj mała. Zgoła już duchowny dygnitarz byłby dziś waryatem, gdyby jawne dawał zgorszenie, wśród społeczeństwa, w którem tylu jest niechętnych kościołowi. Ludzie dawni, za wieków wiary, bynajmniej gorszymi od nas nie byli, słabszego sumienia nie mieli; ale, że zbrodnia

potrzebowała być tylko zuchwałą, aby ujść bezkarnie, przeto zupełnie rozumni ludzie popełniali nieraz zbrodnie, a tłómaczyli się nawet sami przed sobą, nie bez pewnej słuszności tem, czem się dziś tłómamaczą państwa i narody, ile razy jawną popełnią niegodziwość, a mianowicie tem, że kto nie będzie młotem, wnet się stać musi kowadłem. Także i duchowny, tak jak dziś, nie lękał się jawnego zgorszenia, dlatego właśnie, że czasy były religijne i że godność kościelna zapewniała szacunek, choćby nawet dygnitarz był znany, jako człowiek nikczemny. Religia swoją powagą i grozą swoich przekonań, zastępowała w znacznej mierze dzisiejszą moc zorganizowanego społeczeństwa; sama jedna hamowała swawolę, kładła granicę występkowi. Od dzisiejszych praw i od trwogi przed opinią publiczną, była groza religijna nierównie słabszą, gdy chodziło o popełnienie jawnej zbrodni; była natomiast nierównie skuteczniejszą, gdzie chodziło o zapobieżenie skrytemu, misternemu występkowi, hipokryzyi przebiegłej, nielitościwemu wyzyskowi legalnemu, za pomocą których ludzie dziś także pożerają się nawzajem, jak głodne szczury zamknięte do wspólnej klatki. A to, że czasy religijne, było na każdym kroku widodomem; najbezecniejszy zresztą, najzuchwalszy i najpotężniejszy zbrodniarz, a nawet człowiek głoszący teoretycznie zasady sceptycyzmu, albo materyalizmu ateistycznego, musiał okazywać ścisłe posłuszeństwo dla przekazań kościelnych, choćby najuciążliwszych, tak jak dziś każdy musi, na ulicy przynajmniej, przepisów policyjnych przestrzegać. Cezar Borgia, który zajechawszy gdzie w odwiedziny mordował z zimną krwią gospodarza, jego żonę i dzieci, chodził do kościoła, spowiadał się, a z tem ukrywał się pilnie, że czasem postów i suchedni nie obchodził. Najzatwardzialsi wrogowie polityczni papieży lękali się klątwy, jak ognia niebieskiego, a choć za życia urągali czasem Bogu, błagali ze łzami w oku o rozgrzeszenie, kiedy nastała obawa zgonu. Rozkoszne miasto oddawało się wyuzdanej zabawie, przerywanej domową, morderczą wojną, w której najdziksza zgrzytała nienawiść. Wtem mnich kaznodzieja zjawiał się na rynku i groził karą niebieską za grzechy nagromadzone; i patrz! owi przebiegli kupcy, bezwzględni politycy i sceptyczni uczeni, owe panie, zapominające o wierze małżeńskiej i owe jawnogrzesznice piękne a wykształcone, wszystko to, co dotąd czas dzieliło swobodnie między modlitwą a misternym grzechem, śpieszy słuchać bosego żebraka w mniszej sukmanie, tłoczy się na bruku dokoła kazalnicy, pospołu z rzemieślnikami prostymi i chłopami z okolicy. Na głos kaznodziei wszystko płacze, szlocha, drży na myśl sądu; niewiasty zrzucają z siebie jedwabie i klejnoty i palą na stosie grzeszną ozdobę; mężczyźni znoszą skarby swoje na budowę kościołów, szkół, szpitali, albo na

wsparcie ubogim; rozkoszne przed chwilą miasto posypuje głowę popiołem, ubiera się we włosiennicę, pości, biczuje się, boso odbywa procesye, na ubłaganie gniewu Bożego. Prawda, zapał ten pobożny przeminie, skoro kaznodzieja odejdzie i życie dawne, grzeszne, rozpocznie się na nowo, bo natura ciągnie wilka do lasu, a człowieka do występku. Ale pobyt mnicha nie pozostał bez śladu; poczet młodzieńców i dzieci wszelkiego stanu wstąpił do klasztoru, a z ofiar złożonych stanęły kościoły, szkoły, szpitale, albo istniejące ustroiły się w cuda sztuki. Słowem, powstała taka oto Florencya, wtedy, kiedy zachodziło słońce wszechwładnej religii, a wschodziły już zorze czasów świeckich, nie na wierze, ale na rozumie i osobistem przekonaniu opartych.

— Tak jest—odezwała się na to pani Róża—z tego co czytałam o owych czasach wiem, że tak, nie inaczej wyglądał renesans we Włoszech—a może także w całej Europie. Ale w tem wszystkiem znamion istotnie religijnych czasów dopatrzyć się nie potrafię. To, co panowie nazywacie religią, chyba chrześcijaństwem wcale nie było; to zabobon i bałwochwalstwo. Trwoga przed klątwą papieską doprawdy istoty religii nie stanowi; nie stanowi jej także przestrach, spowodowany głoszeniem proroctw o grożącej miastu albo krajowi zagładzie, ani ta wielka łatwowierność, z jaką wierzono każdemu nowemu prorokowi, choć się groźby każdego poprzedniego okazały płonnemi. Zaniechano na chwilę zwyczajnych występków, chwytano się nerwowo pokuty, aby się ze łzami w oczach u Pana Boga od doczesnej kary wyprosić, albo usiłowano naiwnie datkami pieniężnemi niebiosa przekupić. Za grzechy doczesne, za istotną, srogą, podstępną albo lubieżną niegodziwość, obawiano się przedewszystkiem doczesnej, ziemskiej a dotkliwej kary; przepraszano Pana Boga i Świętych Pańskich, ilekroć jakiś mnich wizyoner katastrofą straszliwą zagroził, a skoro kara nie nadeszła, myślano, że takie przeprosiny zawsze będą skutecznemi i powracano do dawnych występków. Lękano się także straszliwie kar wiecznych, ale wierzono, że pilnowanie zewnętrznych obrządków, przed temi karami skutecznie człowieka ochroni: więc na obrządki kładziono nacisk przeważny, dbając bardzo mało o życie chrześcijańskie. Księdza bano się, jako potężnego czarodzieja, mogącego do nieba wpuścić, albo z nieba wykluczyć i księdza, a mianowicie dygnitarza kościelnego, otaczano czcią, choć wiedziano o postępkach jego najbardziej niegodziwych. To wszystko, powiadam, zabobon, nie religia! Religią prawdziwą nazywam miłość dla Boga i bliźniego, wstrzymującą od występku, rodzącą życie dla bliźniego i społeczeństwa pożyteczne i tem samem zgodne z wolą Bożą.

— Oj Pani, Pani moja!—zawołałem—bądźmy ostrożni z tem przeciwstawianiem tego, co nazywamy prawdziwą religią, temu, co mienimy być czemś innem! Prawdziwa religijność jest wszędzie tam, gdzie jest wiara niezachwiana w świat nadprzyrodzony, który nami właśnie i rządzi, podług praw objawionych i któremuśmy winni posłuszeństwo bezwzględne. Gdziekolwiek taka istnieje wiara, człowiek przez nią bywa wsparty i wzmocniony; przestaje się wahać i namyślać ustawicznie, przestaje materyalne interesa ponad wszystko inne wywyższać, mniej się samym sobą zajmuje, a tem samem bywa szczęśliwszy; gotów jest do całopalnych poświęceń, a tem samem bywa potężniejszy i społecznie i jako jednostka. Mimo religii, każdy prawie człowiek będzie popadał w występek, przemożony chwilową, samolubną pokusą, a znajdą się nikczemnicy, którzy świadomie trwać będą w grzechu ustawicznym. Bez religii nie masz już grzechu, ale nie masz także ani pokuty, ani świętości, ani przekonań moralnych, zostaje samolubstwo, własne rozważające cele; społeczeństwo rozsypuje się w piasek, a każdy człowiek pogrążony w myśli o samym sobie, goni za szczęściem, którego dla tego nie znajdzie, że go szuka samolubnie, i każdy człowiek, choć się żadnego niby piekła nie boi, już za życia w piekle pozostaje ustawicznie, pożerany przez ogień wieczny, nigdy nie ugaszonych osobistych zachcianek, pogrążony w ciemności zewnętrznej, w której dostrzedz tego nie może, poco świat istnieje i poco sam żyje na świecie? Taki musi być wpływ religijności i braku religii; to wpływ niezmiernie doniosły; ale jak nie zmienia biegu zewnętrznej przyrody, za pomocą ustawicznych cudów, tak samo nie przeistacza natury indywidualnej ludzi i społeczeństw i wszystkiego na jedną nie przerobi modłę. Zatem ludzie prawdziwie religijni pozostaną ludźmi, wcale zresztą do siebie niepodobnymi; ich usposobienie, stopień i rodzaj ich oświaty, a wreszcie wpływ otoczenia, sprawią, że bardzo rozmaicie będą religię pojmowali i praktykowali, ale byle na prawdę wierzyli, będą tą wiarą wzmocnieni. Jeśli są chrześcijanami, będą zawsze wiedzieć o obowiązku miłości bliźniego. Nie wolno ludziom, którzy przykazania kościelne często przekraczają, twierdzić, że ci, którzy do ich przestrzegania wielką przywiązują wagę, obowiązków czynnej miłości nie uznają. Ludzie nowożytni, do tego bywają skłonni, może głównie na to, aby w siebie i w drugich wmówić, że ich oziębłość religijna, nawet pod względem religijnym, więcej warta od dawnej gorliwości. Religja naszych chłopów polskich dotąd bywa zupełnie podobną do religii dawnych pokoleń, a wykształcony, który prawie nigdy, ani o Bogu, ani o tamtym świecie nie pomyśli, chociaż siebie szczerze chrześcijaninem, a nawet może katolikiem być mieni, rusza ramionami, kiedy widzi, że chłop pije, kłamie, a cza-

sem kradnie, choć przytem skrupulatnie świąt i postów przestrzega. Zapominając o tem, że wśród względnego przynajmniej dostatku, przemożnym dla biedaka pokusom wcale nie ulega, wykształcony ma siebie za lepszego, mimo to, a może nawet właśnie dla tego, że o przykazaniach kościelnych prawie zawsze zapomina, i twierdzi, że u chłopa jest tylko zabobon, jest bałwochwalstwo, a religii prawdziwej niema. Spadnie jednak na chłopa nieszczęście, a wtedy ów wykształcony pyszałek ujrzy u chłopa objawy istotnie głębokich religijnych przekonań, moc rezygnacyi i gotowość do poświęcenia, które wykształconego zawstydzą. Sądzimy drzewo po owocach. Owi starzy ludzie, którym Pani jesteś gotowa prawdziwej odmówić religii, potrafili tedy oto Florencyę stworzyć, my tego nie potrafimy, mimo naszego bogactwa stokroć większego, mimo naszej oświaty — mimo, to, że dziś każde prawie większe miasto prowincyonalne ma więcej ludności i nierównie więcej zasobów od starej Florencyi. Z tego wnioskować należy, kto więcej wart, czyja religijność więcej siły dodawała pokoleniom?

III.

Rozmawiając, wyszliśmy już byli dawno z ogrodu do miasta na Lungarno, *quai* florentyńskie, ciągnące się wdłuż rzeki. Po prawej tedy ręce mieliśmy rzekę, a za rzeką dalszą, z daleka widzianą dzielnicę miasta, z kopułami kilku kościołów, ponad którą wznosiły się zielone góry w głębi; po lewicy naszej ciągnął się rząd pałaców i hoteli, pobudowanych z elegancką a poważną toskańską prostotą i mnóstwo wykwintnych sklepów. Niektóre z wystaw sklepowych nawet dla nas mężczyzn były zajmujące, bo najrozmaitsze dzieła sztuki wystawiono za oknami; były to przeważnie, poczęści bardzo ładne, kopie malowanych i rzeźbionych arcydzieł Florencyi, ale tu i owdzie znajdowały się rozmaite, ciekawe starożytności, oryginalne stare rzeźby i obrazy. Dla pań przedmiot zajęcia był znacznie większy, bo takie czysto damskie sprawy, rozmaite przystroje, materye i nawet klejnoty, pociągały ku sobie, a wszystko to było w tak dobrym guście, że musiało się nawet brzydszej podobać połowie rodzaju ludzkiego. Więc Panie nasze stanęły przed sklepami sztorcem, zdawać się mogło, że nawet trąba archanioła obwołującego sąd ostateczny, nie łatwoby je z poprzed tych szyb odwołałała. To naturalnie rozmo-

wie koniec położyło. My, nieczuli mężczyźni, przypatrywaliśmy się jednak przez jakiś czas sklepom nie bez zajęcia; potem z grzeczności, potem nie mogliśmy już wytrzymać i stanęliśmy bliżej rzeki, paląc cygarety i spoglądając na zegarki. Bo pewnem już było, że dzięki tym wystawom, Polacy na obiad się spóźnią, tak, jak się zawsze i wszędzie spóźniają. Tym razem miała być mniejsza jak w innych wypadkach szkoda, ale zawsze wstyd, bo inni goście w hotelu gotowi tego nie pojąć, że część męska naszej kompanii nie przez żadną niedbałość się spóźniła, ani przez obowiązków lekceważenie, tylko przez powinne a rycerskie dla płci pięknej posłuszeństwo.

Nareszcie pani Jadwiga obejrzała się, zobaczyła nasz wyraz i naszą postawę, a że to była Pani bardzo miłosierna i wcale łaskawa, więc rzekła:

— A widzicie panowie; nudzicie się, niecierpliwicie, patrzycie na zegarki i z jednej nogi przechodzicie na drugą, dla tego, że my się przypatrujemy temu, co nas zajmuje; a nam każecie godzinami siedzieć po muzeach, które was zajmują. Inną miarą mierzycie, a inną chcecie, aby wam mierzono!

Zauważyłem nieśmiało, że dawno czas na obiad, a ta moja uwaga ten skutek osiągnęła, że Panie kazały nam wracać do hotelu. Same jeszcze miały zamiar wejść do sklepów i kilka sprawunków niezbędnych porobić, inny kapelusz przyczepić do kokardy panny Mani, kupić jakiś garnuszek na pamiątkę dla siostrzenicy brata stryjecznego cioci, wujcia pani Róży, i inne równie doniosłe spełnić obowiązki, na których wypełnieniu, jak nam Sarmatom dobrze wiadomo, świat stoi. Dotąd odbywał się tylko rekonesans; teraz dopiero miały nasze Panie do właściwych operacyi wojennych przystąpić, a to potrwać miało — długo! Zatem otrzymaliśmy od Pań pozwolenie a raczej rozkaz wyraźny, ąbyśmy dłużej nie czekali, i ze względu na nasze znudzenie nie kładli niepotrzebnej tamy poważnemu zajęciu arcydoniosłemi sprawami stanu. Panie powiadały, że same już trafią do hotelu, a mogliśmy temu wierzyć, dzięki niepospolitemu zmysłowi oryentacyjnemu, którego dowody dawała panna Mania, o której się przekonałem, że nawet fiakrowi umiała nazwę naszego hotelu powiedzieć, choć była niezawodnie bardzo dobrze, a zatem zupełnie niepraktycznie wychowaną panienką.

Pani Jadwiga tedy, pani Róża i panna Mania zabawiały się dalej sprawunkami; pani Helena zaś, jako osoba akuratna, co jej się bardzo chwali, puściła się w dalszą pieszą drogę do hotelu, wraz z mężem, zemną i Zygmuntem. Zapomniałem o powadze, we wszystkiem nienagannej pani profesorowej, a może spowodował moje słowa żartobli-

wy sposób, w który nam pani Jadwiga urlop dała. Dość, że tak oto przemówiłem:

— Zdaje mi się, że powszechnie Ewę, prababkę rodzaju ludzkiego, krzywdzą, przypuszczając, iż zrobiła głupstwo, gdy nakłoniła męża do grzechu pierworodnego. Sądzę, że pani Ewa była zupełnie świadomą skutków, które zjedzenie owocu zakazanego na jej stadło sprowadzi, że działała po dojrzałym namyśle i że nigdy swego uczynku nie żałowała. Wyobraźcie sobie tylko państwo, że w Raju nie było ani jednego sklepu, że tam i o sprawunkach zupełnie mowy nie było, i powiedzcie mi, czy w tych warunkach niewiasta porządna w Raju wytrzymać mogła? Że Adam był uparty, że dobrowolnie z Raju się wynieść nie chciał, nie mając jeszcze doświadczenia i nie wiedząc jeszcze o tem, że jedynie na posłuszeństwie ślepem w obec żony człowiek porządny dobrze wyjść może—przeto pani Ewa musiała użyć podstępu; politycznym i krytym sztychem dążyła do dopięcia swoich celów; Adama złudziła ułudą wiedzy, poznania, do grzechu pierworodnego namówiła i tym sposobem z Raju wydostała się w świat, w którym przynajmniej kiedyś, ku przyszłych niewiast pożytkowi, sklepy powstać mogły. Dla tego teologowie dawni przezywali czasem upadek pierwszych rodziców „szczęsną winą“, *felix culpa*, ponieważ bez niego nie byłoby sklepów, ani tramwajów, ani kolei, ani telegrafu, ani elektrycznego oświetlenia i cywilizacyi, do której śmy dziś tak przywiązani, z której śmy tacy dumni.

Pani Helena odpowiedziała poważnie:

— Panowie nigdy naszych zajęć niewieścich na seryo brać nie chcecie i żartujecie sobie zawsze z nas, kiedy nasz obowiązek spełniamy. Nie jestem bynajmniej zwolenniczką emancypacyi kobiet i sądzę, że stosunek, jaki się u europejskich narodów pomiędzy kobietą a mężczyzną wyrobił, że obyczajowy podział zajęć, jest rzeczą wynikłą z natury rzeczy, z różnicy sił i usposobień. Kobiety, które chcą zamienić stanowisko żony i matki na udział w zawodach męskich, nietylko narażają rodzinę na zagładę a społeczeństwo na rozkład, ale gotowe wystawić płeć swoją na walkę, w której uledz musi. One to ze względnego Raju niewieściej nieświadomości chcą wyjść do ziemi opustoszałej, na której dojdą wprawdzie do głębszej znajomości tego co złe, a co dobre, ale na której spotka ich mało dobrego, a niezmiernie wiele złego. To jednak nie przeszkadza temu, że mnie to niecierpliwi gdy słyszę, jak mężczyźni sobie dworują z naszych zajęć. Czy myślicie panowie przypadkiem, że kiedy kupujemy drobiazgi, robimy to dla zabawy? Chodzimy do sklepu, tak jak pilnujemy kuchni, śpiżarni i porządku w domu, jak tysiąc drobnych a uciążliwych pańszczyzn odbywamy w izbie dziecinnej, pewne, żeśmy do tych zadań

od was zdolniejsze, że dla nas te małe, a nieustanne kłopoty, są mniej wstrętne, jak dla was; ale wierzajcie, że wolałybyśmy się przechadzać z przyjaciółmi albo z rozumnymi ludźmi rozmawiać, czytać, słuchać muzyki, albo przypatrywać się obrazom. Ale ciekaweśmy, cobyście wy, panowie wszechświata, powiedzieli, gdybyście w domu zastali nieporządek, brud, zły obiad, potłuczone naczynia, dzieci nieumyte i żonę nieubraną? Aby tego nie było, musimy przecie także chodzić po sklepach, znać się na drobiazgach, które tam sprzedają, i naturalnie nabyć pewnego zamiłowania do tego, na czem się znamy. To nawet, co bierzecie za naszą zabawę, robienie wizyt i przyjmowanie gości, jest dla wieku starszych przynajmniej kobiet, spełnieniem bardzo uciążliwego obowiązku; męczymy się i nudzimy, uśmiechamy się i marnujemy czas, aby dla was i dla dzieci waszych utrzymywać stosunki z ludźmi, aby wam pozyskać przyjaciół, a co najmniej, aby wam nie robić nieprzyjaciół. Jeśli tamte panie poszły dla znajomych drobne kupować pamiątki, to na to, aby wciąż ten sam spełnić obowiązek; bo chociaż nie mają już mężów, mają dzieci i o stosunki towarzyskie tych dzieci dbać muszą. Panowie jesteście często wyborni! Narzekacie na nasze kłopoty, bez którychbyście się ani przez chwilę obejść nie mogli, tak jak wygadujecie na cywilizacyę nowożytną, narzekając na pracę zmateryalizowanego świata, przeciwstawiając jej jakieś niby dobre, dawne, piękne czasy. A wiecie doskonale, że gdyby nie było skrzętnej a zapobiegliwej pracy nowożytnych narodów, nie moglibyście nawet tu byli przyjechać do Florencyi, gdzie tak wspaniale z góry na dzisiejszą spoglądacie pracę. Chciałabym widzieć, jakby się to któremu z was podobało, gdyby się owe dobre, dawne czasy wróciły? gdybyście musieli mieszkać w zapadłej wsi, do której wieść o szerokim świecie raz na rok przywiózłby kwestarz lub kupiec, albo wśród stęchłych ulic niebrukowanego, w nocy nieoświeconego, co roku prawie zarazą jakąś nawiedzonego miasta? Nie było poczty, nie było gazet, nie było teatru, nie było prawie książek; a nieśmiejcie się panowie, jeśli dodam, że nie było nawet kawy i herbaty, bo o te drobiazgi dbacie nie mało, mimo wyniosłości waszego umysłu górnego. Drogi dla przejazdów nie było wcale; u nas chyba w zimie tylko można się było wybrać w drogę saniami, zresztą pieszo lub konno, a to po bezdrożach, na których nie było porządnego noclegu, a o bezpieczeństwie ani mowy. Nawet w domu u siebie, człowiek lękał się ustawicznie napadu, żył jakby załoga fortecy w czasie wojny. Roje złodziei i żebraków włóczyły się po drogach, roznosząc zarazę, wystawiając na widok publiczny, najwstrętniejsze choroby, które dziś znikły, chwała Bogu, z oblicza ziemi, a przynajmniej z Europy. Co kilka lat nawiedzała okolicę każdą

okropna klęska głodu, a czarne, żywe kościotrupy błagały nadaremnie o jałmużnę; dzieci, niewiasty i mężowie umierali dosłownie głodową śmiercią i trupami swoimi zawalali wsie i miasta, trupów nie było komu chować, a z ich rozkładu stawała dziewica morowa, by nieść przestrach, zbrodnię i opustoszenie w okolice przez głód nienawiedzone. Gromady zbójów zrozpaczonych przeciągały po kraju, depcząc po boskiem i ludzkiem prawie. Serce twardniało, sumienie usypiało; najpobożniejszy, najszlachetniejszy dopuszczał się okrócieństw na myśl, o których, krew nam się ścina. Brr! okropne to były te wasze dobre, piękne, stary czasy! Nie życzę Panom, abyście się doczekali ich powrotu!

Właśnie w chwili, w której pani Helena kończyła swoją tyradę, spowodowaną moim niewczesnym żartem, mogło się zdawać, że owe dawne czasy zmartwychwstały w istocie, że na nie patrzymy żywemi oczyma. Zaszliśmy bowiem na *Piazza della Signoria*. Po naszej lewicy stały ogromne, czarne łuki olbrzymiego niegdyś rzeczypospolitej florentyńskiej odwachu, zwanego *Loggia dei Lanzi*, w którym dziś i już od wieków wielu, zamiast pancernych knechtów najemnych, uzbrojonych w długie włócznie, ustawiono przedziwne, patyną czasu pokryte, posągi z marmuru i ze śpiżu. Po prawicy wznosił się ciosowy, szczerbaty zamek, jakby z bajki średniowiecznej wyjęty, ratusz starożytny Florencyi, *Palazzo Vecchio*. Mogło się zdawać, że to gmach z szorstkiej, szarej wykuty opoki, a dziwne niby tajemnice wyglądały z mnogich, małych, czarnych, po części nieregularnie ustawionych, sklepionych okienek, niby z niezliczonych oczu wieczystego olbrzyma. Smukła, a jednak dziwnie jakoś potężna i hartowna wieża, wystrzeliwała ze strzelnic u góry, groziła miastu, wskazując niebo, a u jej szczytu był zawieszony pod obłokami, jakby drugi mały, ale zawsze groźny i szczerbaty zameczek. Przed nami rozciągał się plac nieregularny, wybrukowany ogromnemi płytami ciosu, szary, szaremi, wielkiemi, staremi domami otoczony. Na placu roili się obok siebie ludzie żywi i bóstwa jakieś pogańskie, dziwacznie i tym razem nie pięknie znowu ze śpiżu i marmuru wykonane, ale widocznie nie dzisiejsze w brzydocie swojej fantastycznej. Wrażenia wskrzeszonych średnich wieków nie mogły nawet zatrzeć grupy przechodniów przebranych w nowożytne szaty, i turystów, zajętych więcej tem, co w Baedekarze przeczytają, niż tem co widzieć mogli i powinni. Fiakry ustawione koło monumentalnej fontanny, wyglądały jak chrząszcze, które zleciały z kądeś i siadły pośród ogromnych kamieni. Nawet wozy, szyny i druty tramwajowe nie mogły na siebie odwrócić uwagi. Przeszłość zapadła wołała na

nas wielkim głosem: Ja tu jestem jeszcze, ja tu w mocy swojej trwam niezmiennie!

Taki to zjawił się przed nami widok, gdy opuściwszy wpierw brzegi Arnu, zaszliśmy do końca renesansowych arkad pałacu *dei Uffici*, w którym się mieści słynna galerya obrazów. Chocieśmy ten widok co dzień widywali, padły w tej chwili na te bruki i mury, tak pięknie rudawe promienie wieczornego słońca, żeśmy przed placem stanęli, jakby wryci z podziwu.

Dopiero po chwili milczenia odezwał się Zygmunt, wołając:

— Prawda, Florencyi takiej nie zdołają stworzyć dzisiejsze pokolenia; ale stworzyły inne rzeczy większe, lepsze, bodaj czy nie piękniejsze, a z pewnością z istotnym duchem chrześcijaństwa zgodniejsze, od tych cudów, od tych wspaniałych murów, od tych obrazów i posągów, które Florencyę tworzą. Panowanie ducha nad materyą, człowieka nad ziemią dopiero wiek dziewiętnasty utwierdził na prawdę; on nas dopiero z upokarzającej wybawił niewoli, w której ludzkość pozostawała niegdyś, zrośnięta z ziemią, zawisła od każdego podmuchu pogody. Głód stał się w krajach cywilizowanych niepodobieństwem, zarazę zdołano zakląć, powstrzymać, zwalczyć. Dziwaśmy sprawili, o których wyobraźnia naszych przodków ledwo w bajce marzyć śmiała; z Krakowa do Włoch możemy się przenieść w czasie nierównie krótszym od tego, którego potrzebował niegdyś król jegomość, aby się przenieść z Warszawy do Krakowa, albo do Lublina; na każdym niemal kroku spotykamy ludzi, którzy nie raz, ale po kilka razy świat objechali do koła, a dla zamożniejszych kraje Europy stały się tem, czem były niegdyś okoliczne powiaty; nawet dla chłopa rzeczą to zwyczajną pojechać po za ogromne morza do Ameryki i powrócić ztamtąd, przywożąc dla rodziny dostatek. Dziś wieczór dowiemy się o tem, co się w południe stało, gdzieś aż w Chinach, lub na przylądku Dobrej Nadziei, a na dziwo świata dwóch ludzi może z sobą bezpośrednio na odległość kilkuset mil rozmawiać, tak, że przestrzeń znikła niby i musimy spojrzeć na mapę geograficzną, aby sobie zdać sprawę z istnienia rzeczywistych odległości. Nawet czas możemy, jakby powstrzymać w biegu; doprowadziliśmy do tego, że słyszymy głos wymówiony przed laty, że widzimy ruchy tłumu, jaki się gdzieś, kiedyś zgromadził, choć to już rzeczy dawno przeszłe. I to wszystko tak spowszedniało, żeśmy się już od dawna przestali temu dziwić; z obojętnością dowiadujemy się o tem, że można zajrzeć do wnętrza żywego ciała ludzkiego, że jakiś tam uczony ślepym każe widzieć, głuchym słyszeć, a ja obawiam się prawie śmieszności, gdy o tem wszystkiem mówię. A jednak, czy sobie zdajemy sprawę z tego, ile cierpienia ludzkiego, ile okropnej nędzy

wskutek tego ubyło, o ile dzisiejsze pokolenie od dawnych mniej nieszczęśliwe? Gdybyśmy sobie sprawę z tego zdawali, możebyśmy z mniejszym zapałem czasy dawne wychwalali. A jeśli chodzi o zadziwiające pomniki naszej pracy, potrzebujemy tylko oczy otworzyć, aby je wszędzie oglądać. Zabawiamy się w podziw niezmierny kiedy w kampanii Rzymskiej patrzymy na przerwane łuki starorzymskich wodociągów, albo kiedy nam pokażą pod Neapolem marny tunelik, który jakiś Rzymianin kazał wybić w skale Pauzylipu. A czem że to w porównaniu z dziełami dzisiejszemi, jeśli nie dziecinną zabawką? Czemże budowa Koloseum albo kościoła świętego Pawła w porównaniu, choćby tylko z siecią kolei, którą każdy kraj pokryto? Piramidy egipskie, to robota przedwiecznych mrówek, przed którą gębę otwieramy z podziwem, tylko z bezmyślności i z odziedziczonego przyzwyczajenia. A jeśli chodzi o piękność dla oka, to trzeba się chyba z umysłu stać niesprawiedliwym, aby tej piękności nie przyznać niejednemu dziełu dzisiejszego inżyniera: mostom zawieszonym zuchwale nad górskiemi przepaściami, albo nad wielkiemi odnogami morskiemi, których fale daremnie niespożytej ludzkiej grożą budowie, albo murowaniu imponującemu, po którym pociągi pędzą, drą się na najwyższe szczyty Alp, przemykając piorunem po łukach stokroć zuchwalszych od łuków rzymskiego wodociągu, albo nawet średniowiecznej katedry. Dobry uczynek, pożytek istotny, a nie już wcale uczynny dla bliźniego, łączy się dziś z wytworzeniem piękności. Zabrano się do uzdrowienia miast, chciano dzieciom ubogim darować zieloność i świeże powietrze, rozsadzić ciasne więzienia krętych a stęchłych ulic, wśród których niezliczone pokolenia wiodły żywot największego godny politowania—i oto patrzcie! Stworzono prześliczne nowożytne stolice, w których być może że żaden gmach nie bywa tak doskonale pięknym, jak starożytne pomniki, ale w których oko ogromne odrazu obejmuje perspektywy, zdobne nie tylko murami, ale także zielonemi murawami, kłębami rozłożystych drzew, wodą po basenach pięknie murowanych i, gdzie tylko można, widokiem płynącej rzeki. Cały lud może używać pałacowych ogrodów, jakich nie posiadali niegdyś najpotężniejsi książęta. A kiedy nowożytna technika, nocą, w nowożytnej stolicy różnorodne światła swoje zapali; kiedy światło elektryczne wygląda z okien kamienic, z traktyerni ogromną szybą oszklonych i z bogatych w świecidła wystaw sklepowych, a promienie gazowe, lub białe światła Auera rozświecają niezliczone latarnie długim rzędem po ulicach rozstawione, powstaje iluminacya, o jakiej niegdyś nie marzono, choćby nawet przy koronacyi króla Francyi i Nawary. A dodajmy do tego ruchome światła, które się przesuwają, popod ogromnemi kamienicami i ślicznemi kłębami

stołecznych parków i bulwarów; tam mknie jeszcze kłusem, staroświecki już pojazd, ciągniony przez przedpotopowe niemal zwierzęta, zwane końmi, a latarki powozowe, świecą się, niby świętojańskie robaczki, niby skromne gwiazdeczki, które zestąpiwszy z nieba, wprost po nad ziemią ulatują. To iskierki tylko; a inne iskry plączą się dziwacznie po nocy, sprawiając, że ziemia przedstawia widok ciekawszy od gwiaździstego nieba u góry; to etylinowe lampeczki przyczepione do rowerów kolarzy. Lecz oto, mknie przez ulicę jakiś grom; automobil przeleciał i zapłonął ognistem okiem. Ale nie dość na tem! Nie jeden księżyc, nieskończone w zaczarowanem mieście płoną księżyce, od których prawdziwego księżyca na niebie czasem niepodobna odróżnić. Jedne, to elektryczne globy, zawieszone u wejścia wielkich hoteli i te same jedne stoją nieruchomie. Ale inne i to różnobarwne przesuwają się po ulicach, przyczepione do tych zaczarowanych niby wozów, które bez koni, mkną wśród miasta, po szynach, nieustannie. A niechże wielka rzeka płynie przez stolicę, jak Dunaj w Peszcie, albo Elba w Dreźnie, niech odbija w swojem zwierciadle tysiączne światła miejskie i inne jeszcze, niezliczone światła na łódkach, łodziach i parowcach przesuwających się po wodzie, a widok powstanie tak czarodziejski, że od niego oderwać się nie można!

Profesor, który swoją drogą słuchał wywodów Zygmunta, a swoją drogą przypatrywał się z rozkoszą ustawionemu przed starożytną, czarną lodżyą, śpiżowemu posągowi Perseusza, smukłemu arcydziełu Benvenuta Cellini'ego—teraz parsknął niecierpliwie:

— Oczywiście—zawołał—nie potrzeba nam wszystkich madonn Rafaela i wszystkich Wener Tycyana, skoro mamy tanie olejodruki wszystkie posągi pójdą w kąt w obec odlewów gipsowych i galwanoplastyki; sztuki Szekspira i Kalderona pobite na nic przez wystawę na balecie, a ten plac i plac św. Marka w Wenecyi ważą wodę, gdy je porównamy z dekoracyą papandeklową w Wielkiej Operze! Daj mi pan pokój z tem oklepanem gadaniem, przynajmniej tu, we Florencyi, i to jeszcze na *Piazza della Signoria!* I tak wściekam się na widok tak zwanego postępu, z którego te Italiany tak bardzo dumne! Wydaje mi się że się uwzięli, aby swoją przeszłość dla pożytku turystów forestyerów zmumifikować, tej przeszłości się wyprzeć, zakładać same akademie dla wyrabiania masła, zgrzytem funikularnych kolei zagłuszyć wspomnienia przeszłości, Danta i Tassa przełożyć na prozę albo ich wiersze drukować na afiszach, aby nimi zareklamować woskowe zapałki. Nigdy żaden naród tak się nie zawziął, aby się swojej pozbyć natury. Byli to żebracy; była tu ruina; trawa rosła po brukach Italii, ale jednak Italia Italią była, siedzibą wspomnień wielkich,

ojczyzną istotnego piękna. Nikt się z Włochami w tem mierzyć nie mógł, czem się Włosi zajmowali; każdy o Włoszech myślał tylko, jako o ojczyźnie sztuk, i wobec tego, Włochy, choć źle rządzone, choć pokrajane na różne państewka, choć podległe Austryakom, liczyły się, nawet w upadku swoim i ubóstwie, bezsprzecznie do pierwszych narodów na ziemi. Każdy wykształcony człowiek uczył się po włosku, czytał włoskich poetów, uczył się ich wierszy na pamięć, a po przepełnionych teatrach stołecznych, dawali włoscy aktorowie, cały rok, włoskie przedstawienia. Czem że są Włochy dziś? Wbrew wszystkim tradycyom tych wspaniałych miast, z których każde osobną stolicą, stworzyły jednolite państwo, cieszą się, że Wenecya i Florencya ulegają parweniuszowskiej władzy potomka hrabiów Piemontu, bawią się niby w militarne mocarstwo, zawierają niby przymierza, mają nawet niby kolonie i umieją doskonale, i to już nie niby, przegrywać bitwy z napoły dzikiemi narodami. Brawo, nie ma co mówić, brawo! Chcą się także bawić w przemysł, w handel, usiłują się ekonomicznie podźwignąć, urządzają u siebie zmowy socyalistycznych robotników i wcale przyzwoite anarchistyczne rozruchy, a doprowadziły do tego, że choć chromając i z daleka postępują w ślady Anglików i Niemców i są niby to cywilizowanym narodem, ale gdzieś, jeśli nie całkiem u szarego końca, to z pewnością gdzieś dopiero w drugim rzędzie. Do pierwszych narodów świata, chyba nikt dzisiejszych Włochów nie zaliczy; degradacya oczywista stała się dla nich słuszną karą za to, że się własnej istoty zaparli, że się obcym kłaniają bogom, protestanckiej cywilizacyi, angielskiemu industryalizmowi, niemieckiej nauce. Po włosku nie umie już chyba po za Włochami nikt, co najwięcej potrafi w traktyerni włoskiego miasta powiedzieć: *Date mi una cotoletta milanese*! O nowej włoskiej książce, o nowym włoskim obrazie ledwie słychać na szerokim świecie. Na tutejszych wystawach dzieł sztuki królują Anglicy i Francuzi, a w tutejszych teatrach dają Hamleta i Makbeta—albo—o zgrozo! fuszerują haniebnie Wagnera, a Włoch, niby uczony, tem się chwali, że w niemieckich książkach oczytany, że się trzyma niemieckich metod naukowych. Nawet dyrektora wspaniałego zresztą akwaryum w Neapolu sprowadzili sobie aż gdzieś z Ukrainy! Dawni nauczyciele Europy poszli do angielskiej, czy też do niemieckiej szkoły, i tam obchodzą się z nimi, jako z żakami; że się własnej duszy zaparli, więc omal, że Węgier od nich więcej nie znaczy w nowożytnym świecie; powiadam: Węgier! I w obliczu takiego upokorzenia tego tak wielkiego niegdyś narodu, takiego sponiewierania niezrównanej jego przeszłości, śmiesz mi pan jeszcze tu, w obliczu tego Perseusza, czasy nowożytne i nowożytny po-

stęp wychwalać? Przepraszam pana, ale muszę powiedzieć szczerze, że tego słuchać nie mogę.

Nieśmiały Zygmunt przyjmował całą tę perorę z winną pokorą i aby pokryć swoje zmięszanie, przypatrywał się przez lornetkę starorzymskiemu, marmurowemu posągowi barbarzyńskiej branki, zwanej pospolicie Tusneldą, ustawionemu w głębi lodżyi, daleko po za Perseuszem. Ale za to na twarzy pani Heleny malowało się wyraźnie zniecierpliwienie, widocznie nie zgadzała się z tem, co jej mąż mówił. To też nie poskąpiła nam swojego zdania i skoro profesor skończył, w takie odezwała się słowa, wprost do męża zwrócone:

— Byłabym naprawdę oburzoną, gdybym ciebie nie znała i nie wiedziała, że masz o każdej sprawie dwa zdania, wprost sobie przeciwne, które wygłaszasz na przemian, *par esprit de contradiction*. Raz bywasz obrońcą, zapalonym szermierzem nowożytnego postępu, to znów potępiasz stanowczo nasze czasy, a gdy ci niekonsekwencyę zarzucam, odpowiadasz aforyzmem, że wszystko na świecie bywa względne, miewa dobrą i złą stronę. Ja znów jestem konsekwentną i logiczną; taka to już moja natura! U mnie białe jest zawsze białem, czarne czarnem. Trwam przy tem, że zajęcie sztukami pięknemi, jest conajwięcej dozwoloną rozrywką, ani od życia praktycznego odrywać nie powinno, ani nie usprawiedliwia niesłusznych sądów o poważnej życia potrzebie i o istotnych zadaniach człowieka; a skoro nasze czasy nie równie lepiej od dawniejszych liczą się z tą potrzebą i spełniają te zadania, dokonano w nich istotnego, ogromnego postępu. Grzeszą postępowcy z zawodu i zawołania, kiedy postęp ubóstwiając, twierdzą, że sprowadzą raj na ziemię, bo religia i rozum świadczą temu zgodnie, że życie ziemskie musi zawsze pozostać pasmem cierpień, że zasługę tylko cierpieniem okupić można. Jeżeli się grzech pierworodny słusznie nazywa „szczęsną winą", jakeście to panowie przed chwilą mówili, to nie dla tego, że nowożytne umożliwił wynalazki, tylko mówiąc na seryo, dlatego, że sprowadzając na ziemię cierpienie, umożliwił istnienie cnoty i nabycie zasługi, najwyższych dóbr człowieka. Nie godzi się Włochów za to ganić, że obliczywszy się z prądem czasów, rozumnie pracują około dobra swojej ojczyzny, że nie chcieli, aby była zabytkiem tylko i zabawką, zapragnęli, aby wzięła udział w życiu nowożytnych narodów, w pracy, którą jawna wola Boża, widoczne zrządzenie Opatrzności naszym wskazało pokoleniom. Nie raz w ciągu naszej podróży poświadczałeś temu, jaki ogromny postęp został dokonany we Włoszech, od czasu jakeś ten kraj pierwszy raz, dzieckiem prawie będąc, oglądał. Podziwiałeś gromadzące się w Medyolanie i w Genui bogactwo, Wenecyę i Florencyę dźwigające się z ruiny, zmniejszoną ilość żebraków, olbrzymie prace podjęte ze

skutkiem, około ulepszenia komunikacyi, osuszenia bagien, uzdrowienia kraju, zwalczania malaryi. Chwaliłeś rząd dzisiejszy włoski za to, że potrafił poskromić rozboje na wsi, dzieci włóczące się po ulicach zapędzić do szkoły, a ubolewając nad walką z kościołem, mówiłeś jednak, że tu dowodzą taktu i umiarkowania, którego nie mają wśród walk religijnych i partyjnych, ani Francuzi ani Niemcy, i jako przykład, przytaczałeś okoliczność, że choć na papierze zniesiono klasztory, dopuszczono się tylko gdzie niegdzie istotnego mnichów rozpędzenia i rażącej przemiany kościołów klasztornych na rodzaj muzeów, do których mężczyźni wchodzą w kapeluszu; po największej części nie tylko istniejących konwentów nie nagabywano, ale ze środków municypalnych subwencyonowano ich szkoły, nowe fundacye, sumptem rodziny królewskiej czyniono. A teraz, po tych pochwałach dla pracy, rozumu i umiarkowania, mam uwierzyć potępieniu tego wszystkiego, co się tu od lat pięćdziesięciu stało? Nie mogę uwierzyć; wiem owszem, że Włosi dobrze zrobili, gdy zerwali z tradycyą, choćby najświetniejszą, ale przestarzałą, jeśli ta tradycya na nic się już nie przyda, w czasach, w których, dzięki Bogu, szlachta wiejska czy miejska już nie stanowi narodu, a zadaniem społeczeństwa przestało być tej szlachty przyozdobienie, troska o to aby się malowniczo ubierała, pięknie bawiła, wspaniale mieszkała i dla swojej chwały więcej, niż dla pożytku wiernych, wspaniałe po miastach budowała kościoły, pozostawiając często całe powiaty na wsi, bez księdza, bez sakramentów, bez duchowej i świeckiej nauki. Śmiejesz się z Włochów, że poszli do anglików i niemców uczyć się, jak żaki. Skoro te narody kroczą dziś na czele postępu, dobrze zrobili Włosi, a nam pójść za Włochów przykładem — nie dawniejszych, tylko dzisiejszych i pójść do tej samej szkoły, nie pytając się, czy nauka twarda, czy nauczyciel niesympatyczny, tylko pamiętając, że jeśli się nie nauczymy systematycznej, rozumnej i skrzętnej pracy, że jeśli nie przestaniemy być narodów „pawiem i papugą“ i nie staniemy się trzeźwymi, nowożytnymi robotnikami, zginąć musimy i zginiemy. I to się także Włochom chwali, i to godne naśladowania, że zrzucili pychę z serca; widząc, że nie mogą być pierwszymi, na drodze która jedynie daje bogactwo, to jest, za dni naszych, zdrowie społeczne i potęgę, zadawalają się drugiem miejscem i pracują cierpliwie, byle żyć. Doprawdy, byłabym szczęśliwą i tybyś dziękował Bogu, gdybyśmy choć tym Włochom sprostać mogli, pracą skrzętną i pożyteczną! Nie wołajmy, że nowożytnej cywilizacyi o samą czczą i grzeszną chodzi mamonę. Grzeszył bogacz starych arystokratycznych społeczeństw, kiedy przez samą tylko próżność gromadził pieniądze; dzisiejsze bogacenie się społeczeństw, wśród badań i trudów, jest zasługą wobec

Boga i ludzi. Nauka rozświeca tajemnice Bożej przyrody, na to, aby nędzę wygnać z oblicza ziemi, aby mnogie rzesze powołać do duchowego także życia, a nagromadzone skarby dają społeczeństwu zwartość i siłę, która bywa także rękojmią moralnego postępu. Dzisiaj stały się niemożliwemi nie tylko fantastyczne zbrodnie, dawnych Bordżyów i Wiskontich, ale nawet występki i gwałty, które jeszcze temu sto lat nikogo nie raziły; samowole panów wobec poddanych, które tylko śmiech w naszych przodkach budziły, wywołałyby dziś od jednego do drugiego końca Europy jeden wielki okrzyk oburzenia; sprzedajność wszystkich urzędów, niedawno temu sama przez się rozumiała się, a gdy jej dziś ślad najmniejszy dostrzegą, trzęsą się ze zgorszenia narody. Przed pół wiekiem Anglicy wygłodzili z cynicznym spokojem połowę ludności Irlandyi, a dziś postęp moralny najcywilizowańszego może na świecie narodu zniewala parlament angielski do tego, aby Irlandczyków obdzielił ziemią, skonfiskowaną niegdyś ich przodkom, a dziś wykupioną przez skarb angielski, kosztem miliardów.

Gdy pani Helena w ten sposób swoich przekonań broniła, nadeszły tamte trzy panie z naszego towarzystwa i zatrzymały się koło nas, i przysłuchiwały się ostatniej części wywodów małżonki profesora. Gdy zaś umilkła, odezwała się pani Jadwiga, mówiąc:

— To ładnie, moi państwo! Poszliście naprzód, aby się na obiad w hotelu nie spóźnić, a tu stoicie przed lodżyą i dyskutujecie! To nic nie szkodzi, rada jestem, że nie ja spóźnieniu będę winna, że się tym posągom lepiej przypatrzeć mogę i że słyszę obronę czasów nowszych. Jak byłam młodą, wszyscy, z którymi miałam do czynienia, wierzyli w postęp, jakby w jaką ewangielię, a jeśli kto przestrzegał, że wiara w konieczny postęp, jest zaprzeczeniem wolności ludzkiej, że z postępu utworzono sobie rodzaj pogańskiego bóstwa, któremu się nie godzi bałwochwalczej czci oddawać, miano takiego oponenta za obskuranta i zacofańca, niecierpliwiono się jego zdaniem i kiedy mówił podśmiechywano się i ruszano niecierpliwie ramionami. A panowała w ówczesnem pokoleniu jakaś dziwnie podniosła radość, z powodu tej powszechnej wiary w konieczny postęp, w zbliżanie się czasów, wśród których zapanują powszechne szczęście i sprawiedliwość niczem nie zamącona. I ja naturalnie powszechną wiarę dzieliłam, byłam szczęśliwą i dumną z tego powodu, że się narodziłam w stuleciu lepszem od wszystkich minionych. Że jednak teraz sama mniej optymistycznie w świat i przyszłość patrzę, nie dziwota, bom stara a starość zwykła, wskutek nauki długiego doświadczenia, na doczesne przynajmniej sprawy z bardzo małą spoglądać otuchą. Widziałam zanadto wiele niegodziwości i nawet zbrodni, dokonanych w imię rze-

komego postępu, byłam zanadto często tego świadkiem, jak ludzie najcięższe, krwawe nawet ofiary ponosili na to, aby szalbierze z ich poświęcenia korzyść odnieśli, samych siebie zbogacili, najszlachetniejszych haseł dla najnikczemniejszych celów nadużyli, byłam świadkiem zbyt wielu marnych waśni i skrzywionych zamiarów, abym mogła zachować młodą wiarę. Ale to mnie nieraz do reszty zniechęca i wprost przygnębia, że teraz słyszę dokoła siebie same prawie złowrogie krakanie, same złorzeczenia naszym czasom i tak zwanemu postępowi. Powiadają mi ludzie, że jedynym skutkiem pracy ostatnich kilku stuleci, było zniszczenie wszystkich szlachetniejszych poglądów u człowieka, skoszlawienie, zmateryalizowanie społeczeństwa i natury ludzkiej. Mnóstwo na to rozumnych przytaczają dowodów, twierdzą, że w średnich wiekach chłop był zamożniejszy, czeladnik bardziej godności ludzkiej świadom; że teraz, kosztem zbogacenia niektórych, pogrążono ogół w stan niegodny człowieka, w proletaryat niepewny jutra, pozbawiony domu i rodziny; że żadna niewola nie była cięższa od niegodnej człowieka, nieustannej pracy dzisiejszego robotnika fabrycznego, wykonującego w stęchłej atmosferze, cały dzień i całą noc, jeden tylko ruch mechaniczny. W ten sposób traci zdolność myślenia i czucia po ludzku, nawet zdolność modlenia się; musi stać się pastwą dzikiej rozpusty i namiętności ślepych, wiodących do rozstroju społecznego i koniecznego upadku cywilizacyi. Nie o wiele lepszą ma być dola klas średnich, które w ustawicznej walce o byt, nie mogą nawet bez lekkomyślności zakładać rodziny, nie są w stanie wychowywać dzieci. Większość kobiet po miastach nie może doznać szczęścia domowego, musi prowadzić życie przeciwne przeznaczeniu niewiast, a jeśli się domagają tak zwanego równouprawnienia, to wcale nie przez rozkosz, owszem z największym smutkiem i śmiertelną rezygnacyą, a to dla tego tylko, ponieważ inaczej, bez współudziału w męskiej pracy, musiałyby wybierać między hańbą a śmiercią głodową. Chłop jest dotąd mniej nieszczęśliwym; ale agitator, dzienniczek radykalny, broszurka ludowa i agent emigracyjny bałamucą go, buntują go przeciw najznośniejszemu przecież losowi, jaki jemu przypada w udziale; zdzierają mu niebo z przed głowy i nie spoczną, póki go nie wydrą ze wsi spokojnej i nie zrobią z niego niebezpiecznego włóczęgę, albo nieszczęśliwego fabrycznego robotnika. Drobne mieszczaństwo, zupełnie zrujnowane konkurencyą wielkiego kapitału i wielkich przedsiębiorstw, znika z oblicza ziemi, a niebawem rolnictwo zamorskie sprowadzi podobno ruinę na ziemian Europy, wyludni nasze wsie, wyda stary świat na spustoszenie. Nad tem wszystkiem, mimo gadania o równości obywatelskiej, demokracyi, a nawet wszechmocy ludu, wznosi się tak samo, jak niegdyś, garstka

nieliczna wybrańców losu; tylko, miejsce królów zajmują miliarderzy, miejsce szlachty ich urzędnicy, albo mniejsi kapitaliści, którzy jednak znowu milionami rozporządzają. Dawniej zdobywano stanowisko w społeczeństwie naczelne, za pomocą wojennego męztwa, politycznej zasługi, narażając życie, poświęcając szczęście. Teraz jedyną drogą do znaczenia, gromadzenie bogactw samolubne, łakomstwo podstępne i wojujące kłamstwem. Więc kłamstwo przebiegłe a nikczemne nad naszemi zapanowało czasami, i wszystkiemu krzywe nadało imiona. Wrzeszczy, że pracuje dla oświaty, że oświata to najwyższe dobro; ziemię szkołami osadza gęsto. Jednak ta oświata to dopiero ciemnota; to zabawianie się formułkami bez treści, to łamanie charakterów i samodzielnej myśli, to niszczenie ideałów dawnych i zdolności do powzięcia ideału, to zbezczeszczenie rozumu ludzkiego ciasnotą utylitarnych specyalności. Uczony dzisiejszy, powiadają ludzie poważni, to tylko rzemieślnik, nie widzący nic prócz swojego bardzo trudnego rzemiosła. Mnóstwo się takich nasłuchałam wywodów i nie wiem, jak na nie mam odpowiedzieć; więc wdzięczna jestem każdemu, kto się podejmie tych naszych czasów bronić.

Pani Róża westchnęła i rzekła:

— Ci, którzy tak bardzo nasze czasy potępiają i cywilizacyi nowożytnej złorzeczą, mają chyba i wzrok i pamięć krótką. Spytałabym się ich, kiedy były te wieki złote, do których wzdychają? Z pewnością nie powiedzą, że w pierwszej połowie minionego stulecia, albo w wieku osiemnastym, to jest w czasach, o których mają wyraźne wyobrażenie. Prawie wszystko to, na co dziś utyskujemy, istniało i wówczas, a jeśli nie, to zastąpiło stan rzeczy gorszy, bardziej uciążliwy dla ludu tak miejskiego jak i wiejskiego, bardziej upokarzający dla klas średnich, mniej aktualny dla klas panujących. Nikt nie powie, że temu lat pięćdziesiąt, albo sto, było więcej oświaty, albo, że oświata była lepsza, że w życiu społeczeństwa było mniej prozy, więcej dążenia do ideału, że wówczas czy to oświeceni, czy też prostacy mieli łatwiejszy zarobek, cieszyli się większym dobrobytem, że mniej samolubstwa i demoralizacyi było u klas panujących. Nikt już zgoła ówczesnych politycznych i społecznych instytucyi, nad dzisiejsze nie będzie wynosił, bo wszyscy wiedzą doskonale, ile było ucisku i niesprawiedliwości, jak mało litości, o ile brutalniejszemi były nawet klasy oświecone, wiele było nadużyć i niezaradności, których usunięcie konieczne było dziełem ostatnich pokoleń. Więc kto sobie jakieś minione, złote wieki chwali, ten sięga chyba do średnich wieków, tak jak się temu lat sto i także za renesansu oglądano za starożytnością, jako za rajem utraconym. Tych czasów nie znamy, więc możemy je ubierać we wszystkie przystroje najbujniejszej wyobraźni. Ale łatwo się

przekonać, że tak bardzo pięknie i miło w średnich wiekach nie było, bo istnieją jeszcze na kuli ziemskiej kraje, w których średnie wieki trwają dotąd, a tam po rajsku wcale nie wygląda. Aby się o tem przekonać, wystarcza pojechać do Persyi naprzykład, albo do Afganistanu, lub nawet w Europie do Albanii; a jeżeli kto szuka koniecznie kraju chrześcijańskiego, niech się wybierze do Abissynii, albo choćby do hiszpańskich rzeczypospolitych południowej Afryki. Tam wszędzie przechowało się żywcem to, o czem marzymy, to co tak pięknie w romantycznej wygląda poezyi; w życiu przeciwnie, nie tylko bardzo niepięknie, ale także okropnie prozaicznie. Zastanie tam wszędzie panowanie zbójów i złodziei, bez śladu wykształcenia, samolubnych naiwnie a bezczelnie, i gotowych do wszelkiego okrucieństwa. Prócz tych lotrów rządzących, zastanie tylko gmin, pozbawiony poczucia godności własnej, ukrywający swój dostatek, jeśli ma dostatek jaki taki, drżący niewolniczo przed samowolą, nabożny wprawdzie, ale dla tego, że się boi, że ma religię za środek magiczny nabycia materyalnych dostatków. Wśród tych chwastów zakwitnie czasami mistyk, poeta, subtelny filozof, albo prawdziwy artysta, i tak bywało w średnich wiekach także; a my patrząc na kwiaty, które się same jedne do naszych rąk przedostały, zapominamy o chwastach, bo chcemy o nich zapomnieć. Nie! Ja wierzę w postęp i dobrodziejstwa cywilizacyi, a kto im przeczy, ten naumyślnie ślepy, albo ten przesadza sobie doniosłość biedy dnia dzisiejszego, ponieważ jej oto teraz doznaje. W tem, co pani Jadwiga nam wyrecytowała, jest dużo prawdy; powiem nawet, że wszystko jest prawdą; tylko że to wszystko, albo nędze od natury ludzkiej nieodłączne, albo zło, które się wśród naszej cywilizacyi poczyna, które jej grozi, przed którem trzeba z naciskiem przestrzegać, o którem wolno nawet mówić z przesadą, aby zawczasu zaradzono, niebezpieczeństwo grożące odwrócono, na dzień jutrzejszy dalszy postęp, lepsze warunki bytu dla rodzaju ludzkiego zgotowano.

Rozmawiając weszliśmy do środka lodżyi i przypatrywaliśmy się bliżej posągom; słońce bowiem zaszło już i z bliska tylko widać było zupełnie wyraźnie marmury. Profesor oparł się teraz o postument grupy Jana z Bononii, wyobrażającej porwanie Sabinek i przemówił:

— Wiem, że się mojej żonie narażę, mówiąc znowu, że wszystko względne. Nie myślę temu przeczyć, że pod niejednym względem nasze dzisiejsze czasy lepsze od wszystkich wieków minionych, ale tego nie mogę przenieść, kiedy kto naszą prozaiczną cywilizacyę wynosi ponad czasy renesansu, albo naprzykład, ponad czasy rozkwitu starożytnych rzeczypospolitych greckich. To są rzeczy, których po-

równywać nie wolno. Kto chce na jedną wagę kłaść dzisiejszą cywilizacyę i dzisiejszy postęp, a na drugą czasy artystycznego rozkwitu, ten mi przypomina jegomościa, któryby porównał wspaniały jakiś poemat, opiewający niezrównanym wierszem tragiczne przygody, z bardzo dobrą książką o sadzeniu kartofli albo o szczepieniu ospy. Może słusznie powiedzieć, że nic praktycznego z poematem począć nie można, że się ten poemat nikomu, przy żadnej rozsądnej robocie na nic nie przyda i że niktby się chyba niechciał znaleść w położeniu bohaterów natchnionej pieśni, co więcej, że unikalibyśmy ich towarzystwa, gdybyśmy się z nimi gdzie w życiu rzeczywistem na prawdę spotkać mieli. Z drugiej strony każdy przyzna, że rzecz o sadzeniu kartofli może przynieść społeczeństwu wcale znakomity pożytek ekonomiczny, przyczynić się do wzbogacenia kraju i do pożywienia coraz liczniejszej ludności; że szczepienie ospy jest wielkiem dobrodziejstwem dla rodzaju ludzkiego, zapobiegającem przerażającej niegdyś śmiertelności dzieci i wielu niezmiernie dolegliwym cierpieniom. Mimo to śmiesznym się wyda, kto owe praktyczne rozprawy zechce porównywać z Konradem Walenrodem i sadzeniu kartofli większą przyzna wartość. Bez pracy żyć nie można, a cywilizacya nowożytna, zajęta poprawianiem warunków życia powszedniego, ma swoją intelektualną wartość, swoje bardzo doniosłe znaczenie dziejowe i co więcej swoją godność moralną, rzekłbym nawet religijną. Tylko niech mi nikt tego nie mówi, że to czasy artystyczne, że Włochom z niemi do twarzy! Jeśli jest prawdą, że ktoś chce, aby mu się w dwudziestym i może jeszcze w dwudziestym pierwszym i drugim wieku powodziło, ten musi się nastroić do dzisiejszej cywilizacyi—i temu przeczyć nie myślę, bo to zbyt oczywiste, bo to prawdą jest także, że tym czasom będą przewodziły ludy germańskie i protestanckie, że kto chce, aby mu się wiodło, musi się stać choć trochę Niemcem albo Anglikiem i koniecznie protestantem—i gotówem powiedzieć, że Poznańczycy i Czesi postępują bardzo nierozsądnie, samym sobie szkodzą, jeśli się nie chcą dać zgermanizować. Bo ta cała dzisiejsza cywilizacya, którą państwo tak chwalicie, a której potęgę i wartość ja także uznaję, ma charakter zupełnie i wyłącznie germański i protestancki, jest nieodrodną córą ducha protestanckiego i w tym jedynie duchu czerpie swoje siły żywotne. Przeto, narody romańskie i katolickie muszą się swojego dziejowego starszeństwa zrzec i mogą tylko podrzędny brać udział w życiu dzisiejszem, stąpając kulawo w ślady protestantów, zostając czasem daleko w tyle, lub przesadzając czasem konwulsyjnie i karykaturalnie to, co Anglicy i Niemcy, robią słusznie, bo tak im wypada. Dla Włoch zatem czasy dzisiejsze są z konieczności czasami poniżenia i upadku, chociaż przyznaję, że ra-

dzą sobie jako tako, lepiej nawet od Francuzów, i że gotowe Francyę ubiedz i wyprzedzić. Dla narodów Słowiańskich także niema co myśleć o pierwszorzędnej roli. Muszą czekać cierpliwie, aż może jakieś inne czasy nastaną, a teraz biedę przezimować, naśladując Niemców, jak się da. Jeśli jakie plemię słowiańskie chce koniecznie, dziś już wyjść na czoło dziejów, niech się wynarodowi. Radzę mu to stanowczo. Może sobie język swój zachować, jako gwarę ludową, paplanie salonowe albo nawet parlamentarne, ale nie wolno mu z tego języka robić naczynia poważnej myśli albo nauki, nie wolno mu marzyć o samoistnej literaturze; niech się uczy po niemiecku, a ręczę mu za to, że wychodzące w jego języku dzieła, niby oryginalne, jeżeli nie będą tłómaczeniem, będą niesamodzielną przeróbką książek niemieckich. Przedewszystkiem niech się taki naród stanie jak najprędzej protestanckim; niech nie omieszka porzucenia wiary przodków, a przyjęcia niemieckich bogów. Bo jak protestantyzmu nie przyjmie, zostanie rychło bez żadnej religii, tak jak mnóstwo Włochów i Francuzów żadnej religii nie ma. Czy takiemu narodowi, który się tak postępowo wyrodzi i który się ducha swego dla szybkich sukcesów wyprze, warto będzie żyć, jako naród osobno i być echem cudzych myśli i czynów — to inne pytanie, to rzecz gustu i o tem rozprawiać nie chcę!

Pani Róża, wysłuchawszy profesora, zawołała mimowolnie:

— Ależ nierozumiem, dlaczego pan stajesz się echem wszystkich krzyków nibyto liberalnych, które wołają, że katolicyzm z postępem nie da się pogodzić, i domagają się przeto wytępienia katolicyzmu, dla dobra ludzkości? Nie raz łamałam sobie głowę nad powodem tego tak pospolitego twierdzenia, które napotykamy w tylu książkach, także u nas, niestety, rozpowszechnionych, a nie mogąc rozsądnego znaleść powodu, doszłam do przekonania, że pochodzi ze złej woli, albo z religijnego protestanckiego fanatyzmu. Nauce katolicyzm żadnej przecie nie stawia zapory; zakonnicy katoliccy uprawiają zaszczytnie i z wielkiem powodzeniem wszystkie na świecie nauki i bywają często poważnymi rzecznikami najśmielszych naukowych hipotez. Szkolnictwo ludowe najdawniej i najwyżej jest rozwinięte, w niektórych katolickich krajach, jak naprzykład w Tyrolu i w Westfalii. Chybaby ktoś twierdził, że większa ilość świąt katolickich stawia nieprzemożoną zaporę rozwojowi przemysłu. Ale to argument zupełnie niepoważny. Widzimy bowiem, że Żydzi, którzy obchodzą podwójną ilość świąt, wyprzedzili inne warstwy społeczeństwa, właśnie pod względem ekonomicznym; najbogatszym zaś narodem są Anglicy, a Anglicy świątkują w niedzielę, ze ścisłością zresztą nigdzie nieznaną, a oprócz tego zamykają sklepy, warsztaty i fa-

bryki już w sobotę w południe, tak że jest w Anglii dni nieroboczych więcej niż w jakimkolwiek kraju katolickim. Doświadczenie zdawałoby się raczej za tem przemawiać, że najprędzej bogaci się naród, który najściślej odpoczynku niedzielnego przestrzega i który się bierze potem do powszedniej pracy, z tem większą energią i powagą.

— Ale—odparł profesor - przyznasz pani, że doświadczenie i temu świadczy, aż nadto oczywiście, że narody i państwa protestanckie wzięły stanowczo górę nad katolickiemi, w tym właśnie czasie, w którym to, co nazywamy cywilizacyą nowożytną—w przeciwieństwie do renesansu—rozwinęło się najpotężniej. I podejmuję się rzecz wytłómaczyć, kilkoma zdaniami. Ale przedewszystkiem radzę wracajmy do hotelu, bo nie z winy sprawunków, tylko zdaje się poprostu z winy przyrodzonej naszemu plemieniu nieakuratności, przyjdziemy na obiad świece gasić.

Istotnie, zmrok zapadł już, na *Piazza della Signoria* pozapalano gazowe latarnie; ostatni czas był w drogę do hotelu. Poszliśmy zatem za radą profesora, ale szliśmy dość powoli, przez wspaniałe, monumentalne, lubo wąskie i kręte ulice, po olbrzymich płytach niezrównanego, florentyńskiego bruku, bo profesor wykładał nam podrodze, to co zaraz powtórzę z pamięci, a ostatnie słowo jego wywodów zamarło mu na ustach wtedy dopiero, kiedyśmy przed hotelową bramą stanęli i dowiedzieli się, że już wprawdzie wszyscy po obiedzie, ale że dla nas jeszcze się jedzenie znajdzie.

Więc tak oto uzasadniał profesor swoje zdanie o związku protestantyzmu z cywilizacyą dzisiejszą i przemożnym dziś duchem germańskim:

— Nie trzeba tego chyba dowodzić, że protestantyzm jest rzeczą zgodną z duchem narodów germańskich, skoro reformacya pozyskała dla siebie większość u wszystkich narodów tego plemienia, a zresztą nigdzie. Co więcej Germanie, tak Niemcy, jak i Anglicy, dopóki byli katolikami, nie przyszli do zupełnej świadomości narodowej; w sztukach, naukach i literaturze naśladowali Romanów, tak jak dziś Romanie wszędzie Germanów naśladują. Dawniej gotycką architekturę i staroniderlandzkie malarstwo przytaczano, jako samodzielne wytwory ducha germańskiego, za czasów jeszcze katolickich; ale dziś wiemy doskonale, że styl gotycki był rodem z Francyi, że jego arcydzieł szukać należy we Francyi, albo w Hiszpanii —że o ile znajdują się w Niemczech, bywają dziełem francuskich budowniczych, a przekonujemy się z dniem każdym, że staroniderlandzcy artyści— z wyjątkiem jednego, jedynego Niemca Memlinga, używali języka francuskiego, jako mowy ojczystej, byli francuzami na usługach burgundzkiego, a zatem znów francuskiego dworu. Formy społeczne

i państwowe średniowiecznych Niemiec i średniowiecznej Anglii były kopiami włoskich i francuskich urządzeń; w Anglii klasy oświecone mówiły i pisały wprost po francusku, w Niemczech poeci rycerscy francuskie poematy tłómaczyli, najwyższą wreszcie ambicyą królów niemieckich było zostać cesarzami rzymskimi i osiadłszy we Włoszech, przerobić się na włochów; Angielscy zaś królowie byli poprostu francuzami, cénili sobie najbardziej swoje francuskie posiadłości, o ich rozszerzenie przedewszystkiem dbali. Dopiero protestantyzm przyniósł tym narodom samodzielną literaturę i filozofię, umożliwił im prowadzenie istotnie narodowej polityki, dał im duszę. Przeto nie dziw, że błogosławią reformacyi, katolicyzmowi złorzeczą, a cztery wieki protestantyzmu nadało ich myślom i czynom, ich pismom i całej ich cywilizacyi kierunek stanowczy. Że ten kierunek doprowadził do industryalizmu i konstytucyonalizmu nowożytnego, to aż nadto jawne, skoro wzorów do tych prądów dziejowych, dziś zwycięskich, nikt nigdzie indziej, jak u germańskich a protestanckich narodów szukać nie będzie. Więc dowód na doświadczeniu oparty podałem już w zupełności, a Anglik empiryk poprzestałby na tem i kazałby milczyć. Niemcowi toby nie wystarczyło, domagałby się jeszcze rozumowego powodu, czy też tłómaczenia. Myśmy na niemieckim a nie na angielskim sosie wychowani; więc aby państwu zadość uczynić, sprobuję jeszcze, w kilku słowach racyonalną podać faktu przyczynę. Na to wystarczy się spytać, czem się zasadniczo, czem właściwie pretestantyzm od katolicyzmu różni? Doprawdy, że nie subtelnemi, a dla ogółu wiernych zupełnie niezrozumiałemi sporami o łaskę i zasługę, o wolną wolę i predestynacyę, albo o sposób, w którym Chrystus w Przenajświętszym przebywa Sakramencie. Różnicy w dwóch jedynie rzeczach szukać trzeba, w zapatrywaniu na powagę, na autorytet kościoła i w zapatrywaniu na cudowność. Protestanci nie uznają naprawdę duchownej władzy, o tyle pozostają religijnymi i chrześcijanami, o ile wierzą w nieomylność objawienia zawartego w księgach starego i nowego zakonu; ale niema dla nich nieomylnej władzy nauczającej, ani u soboru powszechnego, jak tego chce kościół wschodni, ani u papieża, jak to głosi kościół zachodni. Każdy protestant ma owszem nie tylko prawo, ale nawet obowiązek sam sobie pismo święte tłómaczyć, a nikomu niepodległa nauka teologów protestanckich może, gdy jej się to słusznem wyda, odrzucać ustępy Pisma, jako interpolacye, albo całe księgi, jako apokryfy. Ztąd wielkie znaczenie krytycznych badań i świeckiej nauki—bo przecież tam, gdzie niema właściwego duchowieństwa, wszelka nauka świecką być musi; ztąd także śmiałość naukowych dociekań, przekonanie, że żaden rezultat badań nie może być religii przeciwnym, skoro wolno

z Pisma świętego wykreślić wszystko, coby się temu wnioskowi sprzeciwiać mogło. To już różnica pomiędy protestantyzmem a prawowiernością starą niezmiernie ważna; ważniejszą staje się w obec tego, że reformacya potępiła, jako zabobon i bałwochwalstwo, wiarę w nieustającą moc cudu, trwającą w kościele katolickim, zaprzeczyła skuteczności praktyk pobożnych, processyi, pielgrzymek, postów, pokuty, nawet dobrych uczynków, mających na celu ulżenie nędzy ludzkiej; zaprzeczyła podobnież temu, aby ktokolwiek z ludzi posiadał moc rozgrzeszania, aby istniało obcowanie jakiekolwiek między świętymi w niebie a grzesznikami na ziemi; treścią nabożeństwa uczyniła głównie słuchanie kazania napominającego do spełniania powszednich, życiowych obowiązków chrześcijanina; kazała święta i kościoły obedrzeć ze wszelkiej ozdoby, aby tym pewniej zapobiedz powrotowi wiary w cuda i orędownictwo świętych. Więc narody protestanckie, u których nauka czytania i pisania stała się pierwszym obowiązkiem dla wiernych, mogących się tylko w Piśmie świętem doczytać zbawienia, narody protestanckie powiadam, pchnięte przez religię swoją na drogę skrzętnych a śmiałych i krytycznych dociekań naukowych, nabrały dodatkowo trzeźwego i zimno praktycznego usposobienia, nauczyły się mienić stratą czasu mistyczne uniesienia i artystyczne zamiłowania katolików, naukę skierowały ku celom praktycznym, śmiało swoje przerabiały społeczeństwo, śmielej podbijały naturę i tym sposobem nowożytną mogły wytworzyć cywilizacyę i zachować przytem w całości nawskróś religijny charakter powszedniego życia. W dawnym katolicyzmie każdą czynność ziemską uświęcano obrządkiem i wiarą w cud nadprzyrodzony; a w protestantyzmie życie przyrodzone, ekonomicznie skrzętne, skłonne do świeckich badań i dociekań, robocze, ziemskie, stało się zarazem jedynym obrządkiem religijnym. I to dodaje, mianowicie dzisiejszym Anglosaksonom, niepospolitej siły w życiu praktycznem, z którego myśl o Bogu nigdy nie bywa wygnaną, nawet kiedy Anglik albo Amerykanin nad własnem pracuje wzbogaceniem, pamięta, że tem samem całe chrześcijańskie bogaci społeczeństwo; to dodaje wielkiego bodźca niemieckiej nauce, uprawianej z obowiązku religijnego. Katolikowi zdaje się często, że jego obowiązkiem jest powierzone sobie dzieci i lud cały chronić od wpływów materyalistycznych cywilizacyi nowożytnej, utrzymywać w świętej nieświadomości złego, a jakkolwiek domaga się pracy, a chwali, oszczędność, mniema, że bliźnim najwyższą czyni usługę, ucząc ich pokory, cierpliwości, poddania pod wolę Bożą, że zasłuży sobie na zbawienie ten, co majątek rozdaje na jałmużnę, sprawy świeckie dla praktyk religijnych zaniedbuje. Protestant służy Bogu, badając, broniąc swojej samoistności ludzkiej, bogacąc siebie i rodzinę; a gdy,

jako chrześcijanin miłujący bliźniego, usiłuje go zaprowadzić na drogę nakazaną przez Boga, każe mu się uczyć i pracować skutecznie, ułatwia mu naukę i pracę ekonomiczną. I jakżeż tu mają narody katolickie sprostać protestanckim w dziełach nowożytnej cywilizacyi? O ile religijnymi są katolicy, o tyle muszą małą przypisywać wagę temu, co protestant mieni być religijnym także obowiązkiem; a o ile ludzie w narodach katolickich rzucają się do nauki krytycznej i pracy wytwórczej, które przewagę protestantów i ich ogromne powodzenia sprawiły, conajmniej zapominają o religii, i łatwo stają w przeciwieństwie do niej, bywają ateuszami i wszelkiej religii wrogami. A że człowiek bez religii jest człowiekiem pozbawionym najsilniejszej w życiu podpory, przeto tacy katolicy, w cywilizacyi nowożytnej zakochani, żadną miarą religijnym i praktycznym zarazem protestantom nie sprostają. Czyście panie zrozumiały?

— Chciałabym to z panem jeszcze nieraz przedyskutować i przekonać pana, że się pan mylisz — rzekła Pani Róża, przechodząc już próg hotelu.

Wojciech Dzieduszycki.

Max Nordau.

Max Nordau należy do postaci współczesnych, dobrze znanych z imienia przynajmniej, naszemu ogółowi. Od chwili wydania rozgłośnych „*Kłamstw konwencyonalnych*“ zaczęto się z nim liczyć wszędzie, jako z pisarzem nie banalnym, który ma coś do powiedzenia; inne wielkie jego dzieło p. t. „*Zwyrodnienie*“ (Entartung) ustaliło jego chwałę, bal nawet pozyskało, wśród piszących u nas o rozmaitych wypaczeniach i zboczeniach cywilizacyi schyłkowej (*fin de siècle*), zwolenników entuzyastycznych, którzy czerpiąc zeń pełną garścią... nie podają źródła, które dostarczyło im tylu nowych argumentów, tyle mniej zużytych sposobów, piętnowania i zwalczania niemiłych objawów „dekadencyi“ naszych czasów.

Nie jeden podziwiał energię jego myśli, szeroką podstawę naukową wywodów, krytykę śmiałą i bezwzględną niektórych stron kultury współczesnej, bądź też jej rozmaitych, zdrożnych objawów w dziedzinie literatury i sztuki. Jako nieubłagany pogromca t. zw. „modernizmu“, bez ceremonii obchodzący się z rozmaitymi „pseudo-geniuszami“, dogodził on wielu umysłom, których gorszyły bądź gniewały rozmaite mistyfikacye literacko artystyczne. Ci, którym nie wystarczały oburzenia odruchowe, gołosłowne wyrazy antypatyi, odwoływali się do prac i poglądów M. Nordau'a, gdzie to wszystko miało być w naukowy sposób zniweczone i zdemaskowane. Właśnie, ta nadzwyczajna naukowość Nordau'a, jego naukowy kąt widzenia, w połączeniu ze stanowczem, rozstrzygającem w ostatniej instancyi, traktowaniem spraw literatury i sztuki, najwięcej imponowały czytelnikom. Twierdzenie w ogóle silniej przemawia do umysłu ludzkiego—zwłaszcza, gdy wchodzą w grę częściej względy etyczne—niż negacya; otóż Nordau podwójnie twierdził, że tak powiem, gdyż wszelkie dowodzenia swoje wspierał nauką, zasłaniał się zawsze jej powagą, jej bezinteresownością. Urok ztąd szedł duży. Nordau nigdy nie budził wątpliwości w czytelnikach swoich, na wszystko miał odpowiedź gotową, dowód

naukowy, na wszystko miał nazwę określoną, tajemnic nie uznawał i nie znał, nic nie pozostawiał bez zadawalającego wyjaśnienia.

Głęboki krytyk francuzki Rémy de Gourmont, szykanował niegdyś zjadliwie krytyków, dumnych z tego, że „nie rozumieją“ wielu objawów życia twórczego. M. Nordau do tej kategoryi krytyków nie należy, on, przeciwnie, wszystko rozumie, najzawilsze procesy twórcze ujmuje w formuły zwięzłe, ułatwiające ich zrozumienie; on trudności żadnych nie zna, skromnego nigdy nie udaje, owszem, pyszni się zawsze tem, że obejmuje wszystko, rozcina wszelkie węzły gordyjskie i nie cofa się przed sfinksem. Jedni są przekonani o wyższości swojej, gdy mogą znacząco powiedzieć: „tego nie rozumiem“, dając tem do myślenia, iż rzecz jest tak błaha, że w niej niewiele jest do rozumienia; Nordau wyższość swoją upatruje w tym darze rozumienia wszystkiego, podkreślając tem również błahość wielu spraw i rzeczy, nad któremi zbytecznie biedzą się umysły ludzkie. Jak tu nie uznać podobnie cennych przymiotów, jak: pewność siebie, umiejętność wyjaśniania wszystkiego, składania na wszystko dowodów niezbitych. To też ludzie uznają je w autorze „Zwyrodnienia“, nie widząc częstokroć tego, że idą one u niego w parze z temi wszystkiemi, któremi się wyróżniał nieśmiertelny p. Homais, „uczony“ aptekarz z powieści Flauberta, albo Sienkiewiczowski Zołzikiewicz, dla którego dusza jest... parą i basta! Nordau pozbawiony jest naiwnej łatwowierności pierwszego, do drugiego jednak zbliża go pyszałkostwo aroganckie i zaufane w sobie, niesmaczne i nieskromne stawianie siebie po nad wszystko i wszystkich. Podobne usposobienie wytwarza mała i bezkrytyczna wiedza, tem dziwniej więc spotkać się z niemi u człowieka, któremu niepodobna odmówić ani wiedzy rozległej, ani zdolności krytycznych.

Mam przed sobą świeżą książkę M. Nordau'a, p. t. „Widziani z zewnątrz“—szkic krytyki naukowej i filozoficznej, dotyczącej głośniejszych autorów Francyi współczesnej (w tłómaczeniu francuskiem wydana w „Bibliotece filozofii współczesnej“ p. t. „*Vus du dehors*“ *essai de critique scientifique et philosophique* etc.), która zawiera w sobie dostateczną ilość dowodów na to, co wyżej zostało powiedziane o jej autorze; dla uzupełnienia wszakże charakterystyki odwołuję się do dawniejszych prac Nordau'a.

Bardzo ciekawą jest teorya M. Nordau'a o talencie i geniuszu, rozwinięta w pracy naukowej p. t. „Psycho-fizyologia geniuszu i talentu“.

Talentów autor nie uznaje zupełnie, nie istnieją one dla niego, gdyż nie mają jakiegoś osobliwego podścieliska anatomicznego, nie

polegają na szczególniejszym rozwoju ośrodków mózgowych. Każdy człowiek normalny, podług Nordau'a, ma w sobie to wszystko, co jest niezbędnem dla wykonywania wielu czynności, w sposób, który zazwyczaj nazywamy „utalentowanym". Dość jest po to oddać się wyłącznie danej czynności,—jest to sprawa pilności, systematycznego ćwiczenia i sprzyjających warunków. Z każdego dziecka przeciętnego, zupełnie zdrowego, można zrobić wszystko, co się podoba, gdy się je wychowuje i ćwiczy racyonalnie, dostatecznie, długo i surowo. W ten sposób można, bez stosowania selekcyi uprzedniej, wytwarzać całe armie tego, co się żywnie podoba: artystów, pisarzy, mówców, uczonych etc... Wszyscy mniej więcej będą sobie równi, wszyscy jednakowo utalentowani.

Marzeniom podobnym oddawał się niegdyś wielki utopista Fourrier, ten jednak nie miał pretensyi do naukowości; Nordau zaś, który wciąż się nauką zasłania, wykracza przeciwko niej co chwila. Naprzód bierze fikcyę za rzeczywistość, uznając najogólniejszą abstrakcyę—jakiegoś jednorodnego „człowieka normalnego"; następnie idzie wbrew wszystkim teoryom przyrodniczym o wychowaniu, zalecającym psychologiczne traktowanie jednostek, uwzględniające ich odrębne właściwości, nie zaś mechaniczne, jak tego chce Nordau, wychodząc z tego grubego założenia, iż wszyscy są jednakowo zdolni do wszystkiego; wreszcie wyrzeka się nauki, nie liczy się bowiem z teoryą dziedziczności, co też upoważnia go do twierdzenia, że wystarcza systematyczne ćwiczenie, by z jednakowego wszędzie materyału (tabula rasa) wytwarzać podobne zawsze rzeczy. Nie wierzę—powiada Nordau—w talent, jako w coś uprzednio wytworzonego (*préformé*) w organizmie, dlatego nie mogę wierzyć w jego dziedziczność. Wiara, słowem, uprzedzenie osobiste, jest najwyższym trybunałem naukowym Nordau'a.

Nikt nie będzie przeczył ważności systematycznego ćwiczenia, długiego wysiłku, tam gdzie chodzi o rozwój i wydoskonalenie tej lub owej czynności ludzkiej; powierzchowna wszakże obserwacya faktów, wystarcza, by się przekonać, że nawet w wypadkach, w których uzdolnienia specyalne nie grają wybitnej roli, jak np. w nauce rzemiosł, wysiłek systematyczny, lepsze wydaje rezultaty tam, gdzie natrafia na „coś uprzednio wytworzonego" w jednostce, na istniejące już w organizmie skłonności i uzdolnienia do pewnych kategoryi czynności. Cóż mówić dopiero o tych wszystkich wypadkach, w których o dobroci i sprawności pracy ludzkiej stanowi indywidualność, to, co daną jednostkę wyróżnia z masy podobnych, istniejących w tych samych warunkach i oddanych jednakowym czynnościom.

Nordau nie liczy się wcale z rzeczywistością, gdzie trudno nieraz oznaczyć ściśle granice między tem, co nazywamy talentem a geniuszem, nie uwzględnia on subtelnych przejść od talentu do geniuszu, stopniowania w napięciu władz twórczych; dla niego talent oddzielony jest przepaścią od geniuszu, co najwyżej uznaje on geniuszów fałszywych, coś pośredniego między pierwszym a drugim. Miano geniuszu stosuje Nordau do tych wyjątkowo uzdolnionych jednostek, które są wynalazcami prawd nowych, co posuwają naprzód poznanie ludzkie. Nie mówiąc o zwyczajnej zręczności, która nabywa się przez ćwiczenie rozmaitych władz, nawet najniepospolitsze objawy działalności w dziedzinie uczuciowo-wzruszeniowej, nie stanowią o genialności. Geniusz, podług Nordau'a, opiera się wyłącznie na doskonałości wyjątkowej wyższych ośrodków mózgowych, najbardziej właściwych człowiekowi, wyróżniających go od innych kręgowców. Rozum (zdolność sądu) i wola — oto w ostatecznej analizie władze, których współdziałanie wynosi człowieka po nad zwierzę; rozwój ich wyjątkowo potężny, stwarza geniusz i stawia go po nad człowiekiem zwyczajnym. A więc, to tylko za sprawą rozumu i woli, nie zaś czego innego geniusz jest geniuszem.

Tak pojętemu geniuszowi, pozwala Nordau, wbrew znanym swoim humanitarnym aspiracyom, być nawet pewnego rodzaju potworem, upośledzonym na punkcie czucia, uczucia i wzruszeń wyższych; geniusz taki nie zna potrzeb piękna i miłości, nie może być uczuciowym, dla tego, że umysł jego uwolniony jest zupełnie od wszelkich ciemnych stanów, od nawpół-świadomych lub bezwiednych ruchów duszy. Jego potężne ośrodki wyższe, przekształcają wszelkie wrażenia na wyobrażenia jasne i wywodzą z nich pojęcia jaknajzupełniej świadome. Widzimy, że i tu Nordau bierze idealny wytwór własnej wyobraźni za rzeczywistość, gdyż geniusz tego rodzaju byłby tylko doskonałym automatem, mechanizmem, pozbawionym sprężyn samorzutnego życia, słowem czemś, co by było obojętnie doskonałem, czemś bez oryginalności, bez inicyatywy, zdolnem chyba do powtarzania myśli i aktów cudzych, nie do stworzenia nowych, przez nikogo przedtem nie danych. To wszystko bowiem płynie w człowieku razem z potężną falą uczuć i wzruszeń, wstrząśnień bezwiednych i instyktowych, powstaje za sprawą procesów nie tylko myślowych. Zresztą zależność tych ostatnich, od wszelkich t. zw. niższych, jest dostatecznie sprawdzona przez psycho-fizyologię; od nich, kto wie, czy nie wychodzą owe impulsy i natchnienia genialne; one w każdym razie biorą znaczny udział w wykształceniu się indywidualności, czegoś odrębnego od masy przeciętnej, słowem tego, bez czego genialność jest niezrozumiałą.

Nordau nie dba wcale o to, że są rozmaite rodzaje geniuszów (woli, myśli, uczuć, zmysłów) i wzrok swój zatrzymuje na jednym tylko, uznając go za prawdziwy. Mniejsza o osobiste upodobania Nordau'a, gdyby nie wnioski, jakie ztąd wywodzi, gdyby nie następstwa tych upodobań.

Ponieważ geniusz jest rozumem i wolą w niezwykłym stopniu doskonałości, ponieważ — rozumuje Nordau — działalność jego polega na wytwarzaniu nowych wyobrażeń i urzeczywistnianiu ich, co mamy począć z geniuszami wzruszeniowymi, z poetami, artystami i t. p.? Czy można zgodzić się na to, żeby artyści i poeci mogli być geniuszami? podług Nordaua prawa ich do genialności są bardzo wątpliwe. Parę przykładów najlepiej zdadzą sprawę z zapatrywań Nordau'a. Nazywają niekiedy geniuszami artystów tej miary, co Liszt, Makart, Dawison (artysta dramatyczny); podług Nordau'a jest to tak samo słuszne, jakbyśmy nazywali genialnym, człowieka nadzwyczajnej sprawności mięśniowej. W trzech przytoczonych wypadkach chodzi o szczególniejszą doskonałość ośrodków niższych, które nie są wyłącznem dostojeństwem człowieka i nie stanowią o jego wyższości nad innemi ustrojami. Gra na fortepianie jest wytworem ruchów palców ręki i ramienia, oraz pewnych podniet mózgowych,, które stanowią o ich jakości. Koordynacya tych ruchów, zależy od szczególniejszego rozwoju odpowiednich ośrodków, nie są one jednak specyficznie ludzkiemi, gdyż w doskonałym stopniu spotykają się np. u małp, stąd też Liszt i t. p. wirtuozi nie mają prawa rościć pretensyi do genialności. Tak, mniej więcej, dowodzi Nordau, zapytując w końcu naiwnie: co by się stało z człowiekiem, który posiada usposobienia organiczne podobne Lisztowi, gdyby się narodził przed wynalezieniem fortepianu?

Nie tylko wirtuozi, ale nawet kompozytorowie, tacy jak Beethoven, nie należą do kategoryi geniuszów prawdziwych, gdyż działalność ich polega na automatycznej czynności ośrodków, czysto wzruszeniowej, zatem niższej od czynności myślowej. Z malarzami jest zupełnie tak samo, gdyż proste poczucie barw, t. j. przyjemność, jakiej człowiek doświadcza wobec pięknych kolorów, nie jest czemś wyjątkowem i stawia go na równi ze sroką, pawiem albo aktynją. Malarstwo prócz tego nie możewyrażać procesów umysłowych zbyt zróżniczkowanych, tylko bardzo ogólnikowe. Nordau ma pretensyę do niego, że nie potrafi wyrazić takiej np. idei: „jestem niezadowolony z powodu obranego zawodu i sposobu spędzenia 10 lat życia swego“, jeno uczucie bardzo ogólne „jestem niezadowolony“... Z tych też powodów Makart i inni wyższego typu malarze, także stoją po za genialnością.

Z artystą dramatycznym można się załatwić daleko prędzej, tu bowiem doskonałość czynności, polega na władzy naśladownictwa i oddziaływaniu wyobrażeń umysłowych na ruchy, ruchów zaś na wyobrażenia.

Wszystko to słowem, jest albo wynikiem automatyzmu, albo sprawnością osiąganą przez organizmy niższe od człowieka, a dla tego nie daje rezultatów, mających prawo nazywać się genialnymi.

Nordau, jak widzimy, zawsze pomija rzecz najważniejszą: indywidualność, taką lub inną jakość duszy twórczej, to od czego zależy również genialność, co sprawia, że z dwóch artystów, o jednakowej sprawności odpowiednich ośrodków, ten będzie większy, genialniejszy, którego indywidualność będzie bogatszą, zasobniejszą w treść uczuciowo-wzruszeniową, zarówno jak i myślową. Nordau przytem kładzie wciąż nacisk na automatyzm życia umysłowo-wzruszeniowego, jako na cechę jego niższości; jeżeli jednak o to chodzi, to i procesy myślowe, ich doskonałość formalna, stoi w zależności od stopnia automatyzmu. Sprawność, potęga myślenia, jest tak samo darem, czemś uprzednio utworzonem w organizmie, jak doskonałość czynności zmysłowych, bądź wzruszeniowych, nie można więc o jednem mówić, jako o osobliwszej zasłudze, dającej prawo do genialności, o drugiem zaś jako o czemś, co tego prawa nie daje. Zresztą wyniki tych wszystkich rodzajów doskonałości ludzkiej, w tym lub owym kierunku, dopiero razem wzięte, stanowią całość kultury ludzkiej; kto jej lepiej służy, kto doskonalej współdziała w jej wytwarzaniu, w zwiększaniu jej skarbów, ten zdobywa prawa do genialności, bez względu na to, czy czynności, któremi się wyróżnia, zależne są od niższych bądź wyższych procesów fizyologicznych. Fizyologiczne kryteryum, przyjęte przez Nordau'a do określenia pojęcia geniuszu, nie jest zbyt szczęśliwe i dostateczne; o wiele słuszniejszem jest kryteryum socyologiczne, moralne, przyjęte np. przez myśliciela francuskiego, M. Guyau, z tem wszystkiem jednak mało się liczy hyper-naukowy pogromca geniuszów artystycznych.

Jeżeli Nordau ma jeszcze niejakie wątpliwości, co do tego, czy artyści i poeci mają prawo do genialności, to już jaknajmniej ich doznaje, gdy chodzi o zakwalifikowanie większości ich do domu obłąkanych, albo do zakładów przestępców kryminalnych.

O tem wymownie świadczy dwutomowa praca jego, p. t. „Zwyrodnienie".

O tem czy sam M. Nordau ma prawo do tytułu „geniusza", jako badacz w dziedzinie literatury i sztuki, odkrywający tam dla myśli ludzkiej nowe horyzonty, nieznane i płodne prawdy, można się prze-

konać z paru pierwszych kartek tego głośnego dzieła. Pojęcie zwyrodnienia, rozwinięte przez prof. Lombroso w jego pracach antropologiczno-kryminalnych, zastosował tu Nordau do dziedziny literacko-artystycznej. Zwyrodnieni—powiada na wstępie autor—nie zawsze są kryminalistami, anarchistami bądź obłąkańcami zdeklarowanymi; są oni bardzo często autorami i artystami. Ci ostatni posiadają takie same cechy intelektualne—a bardzo często także cielesne—jak i członkowie rodziny antropologicznej, którzy zaspakajają swoje instynkty chorobliwe za pomocą dynamitu i t. p., zamiast zaspakajać je piórem bądź pędzlem.

Po tak obiecującej przygrywce następuje dokładna analiza wybitniejszych objawów życia literacko-artystycznego ostatnich czasów, która prowadzi autora do wykrycia tej prawdy, że znakomici jego przedstawiciele są dotknięci typowem zwyrodnieniem. Z badań Nordau'a okazuje się, że tak samo, jak pospolici kryminaliści, obłąkańcy i t. p., wyróżniają się oni brakiem zmysłu moralnego i zanikiem poczucia prawa, następnie niezdolnością czynu, słabą możnością wysiłku systematycznego i skłonnością do marzycielstwa jałowego, wreszcie, niezwykłym stopniem wrażliwości i szałem wątpienia, nie mówiąc już o wszelkiego rodzaju anormalnościach ustrojowych i zaburzeniach funkcyonalnych. Ponieważ wszelkie te i t. p. stygmaty, cechy i właściwości są typowe dla histeryków, neurasteników, szaleńców, bądź pospolitych zbrodniarzy, stąd też wniosek, że artyści i literaci, których dzieła ujawniają powyższe skłonności i usposobienia, należą do jednej z nimi rodziny antropologicznej.

Wnioskiem następnym jest, że dzieła tego rodzaju twórców, jako owoc histeryi, neurastenii, bądź innych form zwyrodnienia, są pozbawione wartości, nie mają w sobie nic takiego, coby zasługiwało na podziw i szacunek, że ci, co im ulegają, co się niemi entuzyazmują, są ofiarami złośliwych mistyfikatorów, albo sami należą do rodziny zwyrodnionych.

Jak niespodziewane widnokręgi odsłania metoda Nordau'a, jego krytyka psychiatryczna twórczości współczesnej i jej przedstawicieli, przekonywa nas choćby ten fakt, że wszyscy inicyatorzy i przodownicy wielkich prądów i kierunków literacko-artystycznych drugiej połowy XIX w. znaleźli się w tej kategoryi zwyrodnionych, a twórczość ich potraktowana została, jako objaw uwstecznienia, upadku i wykoślawienia władz twórczych. Stygmatem beznadziejnego zwyrodnienia zostało napiętnowane wszystko i wszyscy: prerafaelici angielscy i teoretyk ich J. Ruskin, symboliści i mistycy, naturaliści i poeci ze szkoły „Parnasu", nietzscheaniści i zwolennicy akcyi społecz-

nej, opartej na prostych zasadach ewangielii—Ibsen, Tołstoj, Zola, R. Wagner i t. p., słowem najwięksi twórcy lat ostatnich, najpotężniejsi wynalazcy w dziedzinie sztuki i literatury, najżywotniejsze prądy i usposobienia, najpłodniejsze idee estetyczne, to wszystko bez czego nie byłoby ruchu i życia literacko-artystycznego, nie byłoby dzieł mocnych, wzruszających masy ogółu czytającego, suggestionujących człowieczeństwu moc uczuć subtelnych i głębokich, myśli niepospolitych, ujętych w formy nieznikomego piękna.

Osobliwszem tu jest to, że Nordau'a nic nie potrafiło zjednać że dla wszystkich, dla niepodobnych do siebie, wręcz przeciwnych sobie objawów, jest on jednakowo nieubłaganym. Prerafaelici narazili się mu dla tego, że ważną rolę w malarstwie przyznają idei, podczas gdy ten rodzaj sztuki, powinien podług N., głównie przemawiać do zmysłu wzroku; symbolistów nie uznaje i zestawia ich z głuptakami urodzonymi, dlatego, że w ich marzeniach poetyckich za wiele jest niewyraźności; parnasistów—dla tego właśnie, że są zbyt wyraźni, że za wiele przywiązują znaczenia do formy zewnętrznej. Twórczość Tołstoja niepodoba mu się dla tego, że jest „mistyczną“, zależną od nadmiernej zdolności wzruszania się, co, jak wiadomo, jest niezbitym dowodem zwyrodnienia; na Zolę gniewa się Nordau za to, że nie jest on prawdziwym naturalistą, ale także „mistykiem“ *sui generis*. Sztuka R. Wagnera jest odbiciem takich zasadniczych cech i usposobień jego umysłowej organizacyi, jak: obłęd prześladowczy, manja wielkości, mistycyzm, skłonność do buntu anarchistycznego, niespójność myślenia, wreszcie nadmierna wzruszeniowość, powleczona barwą erotomańsko-religijną. Ibsen, mniej więcej, tem samem się odznacza, Tołstoj jest bojaźliwym erotomanem, dla tego więc szuka ratunku w objęciach ascetyzmu i ma głuchą urazę do kobiety—podobnym jest P. Verlaine i t. d. W dodatku, wszystko co prawią nam ci twórcy o ideale, wszelkie ich niepokoje moralne, pragnienia lepszej przyszłości, przywoływanie „nowych myśli i form nowych“,—wszystko to podług Nordau'a jest oczywistą blagą, majaczeniem umysłów osłabionych i niesfornych, dusz uwstecznionych, zdziczałych i nieuspołecznionych, albo—co najwyżej—nadwątlonych neurastenią, histerycznych, a stąd niespokojnych, targanych wieczyście zwątpieniami, bojaźliwych i przesądnych. Gdy się wejdzie w ten las zarzutów, oskarżeń i inwektyw, gdy się rozejrzy w tej masie materyału klinicznego, zgromadzonego po to, by na każdym z głośniejszych twórców doby ostatniej, wycisnąć niezgładzone znamię zwyrodnienia moralnego i somatycznego, doprawdy żałuje się wprost tego, że sam M. Nordau nie jest dotknięty jakimś stygmatem degeneracyi, np. szałem

wątpienia, który by go mógł chronić od tylu nonsensów i bredni widocznych, a przynajmniej ustrzedz od zbyt hojnego szafowania tytułami: manjaków, głuptaków, erotomanów, anarchistów, histeryków, i t. p., któremi, bez zastanowienia, bez cienia wątpliwości, gwoli doktrynie pseudo-naukowej, do której naciąga całą rzeczywistość—rozrzuca na prawo i na lewo.

Ale z Nordau'em sprawa nie łatwa! On każdemu odpowiada wyniośle i pobłażliwie zarazem: możecie się wszyscy łudzić i uwodzić świetnymi pozorami twórczości współczesnej, nam jednak, lekarzom, łudzić się nie wolno, nas też pozory te nie wyprowadzą w pole...

Za wiele trzeba byłoby miejsca i czasu na to, by wykazać całą moc błędów faktycznych i teoretycznych, na których wsparte są wywody Nordau'a, poglądy jego upatrujące w najprawowitszych objawach twórczych, znamiona zwyrodnienia. Z wielu zwracam uwagę na to choćby, iż przymioty, bez których niezrozumiałą jest wprost twórczość literacka i artystyczna, jak np. wysoki stopień wrażliwości, wielka zdolność wzruszania się, uważane są przez Nordau'a, jako coś, co obniża i hańbi poniekąd twórczość ludzką; że to, co jest normalnem dla twórczości poetyckiej jak np., potężna wyobraźnia, jest dla niego najczęściej dowodem osłabienia myśli, niezdolnością logicznego kojarzenia wyobrażeń i t. p. Nie mówię już o niezgodności życia niektórych twórców, jak Wagner np., z tem wszystkiem, co im zarzuca, z temi domniemalnemi właściwościami ich organizacyi, odbijającemi się jakoby w ich dziełach. Pomijam również fałszywą metodę utożsamiania bezwzględnego życia twórcy z dziełem jego, gdyż dzieło to niezawsze ma odzwierciedlać, to czem on jest w swojej istocie, a zresztą odbija tysiące rzeczy i stosunków stojących po za nim. Z widocznych sprzeczności, w jakich się plącze Nordau, tyranizowany własną doktryną, wskażę następującą: jednym z głównych, znamiennych stygmatów zwyrodnienia jest, podług Nordau'a, niezdolność przystosowywania się do otoczenia, stąd buntowniczość i brak instynktów społecznych wielu twórców. Bardzo pięknie! tymczasem dowiadujemy się z pracy Nordau'a, poświęconej psychofizyologii genjuszu, że jedyny, uznany przez autora, rodzaj geniuszu (woli i rozumu), jest—i powinien być, pod karą utraty własnej oryginalności—mało skłonnym do godzenia się na myśli i opinie innych, więc swego otoczenia, słowem, że się odznacza słabą zdolnością przystosowywania się. Można zatem, podług Nordau'a, być zwyrodnionym i dawać ludzkości prawdy nowe, posuwające naprzód rozwój myśli ludzkiej; o tem niewątpiliśmy, znając tych wszystkich, kogo Nordau umieścił w kategoryi zwyrodnionych, nie godzi się to wszakże, z tem wszyst-

kiem czem obarcza ich sumienie, co widzi w ich ustroju, zarówno jak i ze sposobem traktowania ich twórczości... Sposób ten zmienia się nieco w świeżej pracy Nordau'a, poświęconej wyłącznie literaturze francuskiej; mniej tu psychologii i antropologii kryminalnej, atmosfera nie jest tak szpitalno-poprawczą, w sądach jednak autora te same wady, ta sama pośpieszność, a niekiedy powierzchowność i płytkość, jak poprzednio. W książce „Widziani z zewnątrz", Nordau nie pakuje wprawdzie wszystkich do więzienia bądź do domu obłąkanych, stara się za to, przybierając rozmaite pozy, raz pobłażliwości, znów inny wzgardy i oburzenia, niekiedy szyderstwa i wyniosłości ironicznej wykazywać wszelkie uchybienia, popełnione przez kilkunastu autorów francuskich, względem logiki, zdrowego sensu, moralności, wreszcie względem estetyki oraz zadań obowiązków autorskich i t. p. Zresztą jest zawsze jednakowo oryginalnym, jednakowo paradoksalnym, stanowczym i rzutkim w poglądach swoich. Dwa wstępne szkice—jeden poświęcony charakterystyce Balzac'a, drugi Michelet'owi—pomimo ich pretensyonalność, która trąci „manią wielkości", są dość zdawkowem powtarzaniem rzeczy doskonale znanych, mianowicie, że Balzac, podobnie jak Szekspir i t. p. twórcy, nie jest ani realistą ani naturalistą, w powszedniem tego rozumieniu, gdyż cała twórczość jego polega na cudownem odgadywaniu i niezwykłej intuicyi, które sprawiają, iż utwory jego dają wrażenie rzeczywistości, chociaż nie mają z nią nic wspólnego. Że Balzac wciąż czerpał z głębi duszy swojej, że stwarzał postaci utworów swoich wewnątrz siebie, że świat rzeczywisty przerabiał i przekształcał w sobie—o tem wszyscy wiedzą; żeby jednak absolutnie był oderwany od rzeczywistości otaczającej, jak tego chce Nordau, o tem można wątpić. Twierdzenie, iż Balzac był „lunatykiem", dzieckiem bezwiednem, śniącem wciąż wśród życia rzeczywistego, prowadzi Nordau'a do wniosku, że w sprawie twórczości poetyckiej, obserwacya zewnętrzna—niema najmniejszego znaczenia. Oto jest logika uczonego: raz domaga się od twórczości, żeby była w zgodzie z prawami życia rzeczywistego, żeby się na niej wspierała, znów innym razem jaknajspokojniej twierdzi, że to wszystko jest do niczego i może twórców nie zobowiązywać.

Michelet prócz tego, że jest wizyonerem, — o czem wiedzieliśmy—jest jeszcze, zdaniem N., ojcem „szowinistyczno-nacyonalistycznego" kierunku w historyografii francuskiej... To jest niewątpliwie wielkie odkrycie, w obec tego choćby, że znakomici znawcy Micheleta, jak np. G. Monod (t. studyum Monod'a p. t. „Michelet et l'Italie", drukowane w „Rivista d'Italia", w kwietniu 1903 r.),

twierdzą, że należał on do tych, którzy w każdym narodzie, odnajdują kogoś lub coś, jakiegoś człowieka wielkiego, lub stronę dodatnią, po to, żeby módz zbratać się, z najbardziej obcemi sobie społeczeństwami.

Tak się przedstawia oryginalność i ścisłość poszukiwań Nordau'a, a oto próbka bystrości jego uogólnień. W studyum o A. Dumas'ie (synie), dowodzi, że psychologia pisarza dramatycznego i dyktatora (władcy-despoty) jest prawie jedna i ta sama. Ich stosunek do masy, do tłumu, nad którym chcą panować, jest zupełnie identyczny. Muszą oni używać jednakowych sposobów suggestyi, żeby trzymać masy w ryzach, pod swoim urokiem. Mniejsza o podobnie naciągnięte zestawienie, porównania nie zawsze są brane poważnie, używamy ich często bowiem ze względów stylowych, dla lepszego uwypuklenia rzeczy niezbyt wyraźnych. Na porównaniu wszakże Nordau nie poprzestaje i faktami dowodzi słuszności poglądu swego. W Napoleonie Wielkim, powiada, tak samo, jak w Juliuszu Cezarze, Cola di Rienzi, Cromwelu i t. p., tkwił „człowiek teatru"; nie było sprawą przypadku, jeno odezwaniem się głębokich, bezwiednych instynktów, to, że Napoleon w młodości napisał tragedyę, że Talma był jego ulubieńcem, że podczas pożaru Moskwy zajmował się regulaminem „Komedyi francuskiej". Takie są dowody tożsamości psychologii wielkich zdobywców i autorów dramatycznych. Prościej było zacząć od tego, że w każdym człowieku tkwi: „Commediante! Tragediante!"— nie tylko w Napoleonie — wszak to prababki nasze wiedziały o tem, że „życie jest sceną, my zaś—aktorami i t. p." O wiele nowszą jest druga strona zagadnienia, mianowicie, że, w każdym autorze dramatycznym tkwi uzurpator, tyran i zdobywca. Na to jednak, prócz wolnych żartów Nordau'a, dowodów nie znajdujemy w jego książce.

Krytyka J. Lemaître'a jest wprost fantastyczną, pozwalającą wątpić nietylko o kwalifikacyach na badacza naukowego, ale wprost o dobrej wierze autora.

Poddawszy surowemu rozbiorowi znaną sztukę Lemaître'a p. t. „L'Aînée" (Starsza), Nordau dochodzi do wniosku, że autor jej jest podżegaczem tłumów do nienawiści plemiennej.... dla tego, że w sztuce występuje pastor o nazwisku niemieckiem. Zarzuca mu, prócz tego, zamiar zohydzenia protestantyzmu, dla tego, że ów pastor jest hipokrytą, pragnie córki swoje korzystnie powydawać za mąż, gra na giełdzie i t. p. Zarzuty podobne są wprost wyssane z palca, gdyż w sztuce Lemaître'a, który jeżeli miał jakąś tendencyę, to zupełnie inną — ani śladu nie znajdujemy czegoś takiego, co by mogło być podstawą dla nich i obudzić w krytyku podejrzenie tej natury. Nordau jednak w podejrzenia się nie bawi, on zawsze twierdzi, jest nie-

omylnym, w tym wypadku dla tego, że Lemaître, od paru lat, oddaje się propagandzie „szowinistyczno nacyonalistycznej“ — a zatem musi nienawidzieć cudzoziemców i protestantów. O ile wiem, sztuka „L'Ainée“ została napisana w tym czasie, kiedy autor jej akcyą „nacyonalistyczną“, jeszcze wcale się nie zajmował; po drugie, ów pastor nie jest niemcem lecz szwajcarem; wreszcie Lemaître chciał w niej wykazać, między innemi, jak życie rodzinne, jego troski i kłopoty, obniżają nieraz wartość moralną osób, które powinny z urzędu poniekąd świecić przykładem cnót etc. Za t. zw. „nacyonalizm“ gromi Nordau wielu innych autorów francuskich. Rostand w „Orlątku“ stworzył „pieśń nad pieśniami“ szowinizmu francuskiego, szowinistą również jest Barrès w powieści „Wykorzenieni“; tymczasem, nawet podług samego Nordau'a, utwór Rostanda jest nieszkodliwą zabawką, czemś godziwie przypominającem narodowi chwałę przeszłości, Barrès zaś walczy w powieści swojej z duchem kosmopolityzmu, z tem, co zwyradnia ludzi pod względem narodowym. Zarzuty „szowinizmu“ są tem dziwniejsze w ustach Nordau'a, że on sam nazywa siebie wciąż „żydem nieprzejednanym“—czemu, jako przywódcy syonizmu, wcale się nie dziwimy—pomimo, że wciąż innych nawraca na szczytny humanitaryzm i ideały miłości ogólno ludzkiej.

Nie skończyłbym, gdybym chciał wyliczyć wszystkie naciągania i uprzedzenia, wszystkie mimowolne i dobrowolne fałszerstwa rzeczywistości, popełniane przez Nordau'a. Bałamutność sądów i opinii jego jest tak duża, że niepodobna nawet zdać sobie sprawy z tego, czy ma on w ogóle jakieś wyraźne poglądy estetyczne.

Domaga się on od twórczości artystycznej, by posuwała naprzód poznanie ludzkie i nie obrażała naszego poczucia rzeczywistości, znów kiedyindziej gniewa się na nią, gdy ona stara się zadość uczynić jednemu i drugiemu, gdy zbyt wielkiem odznacza się poczuciem stosunków realnych (krytyki G. de Maupassant'a, A. France'a i t. p. innych). Drwi i z wysoka traktuje twórczość fantastyczną, przemawiającą głównie do wyobraźni, co mu nie przeszkadza kwestyonować prawa twórców do poruszania zagadnień moralnych i krytykowania złych urządzeń społecznych, gdyż, podług niego, nie jest to sprawą artysty, lecz filozofa (krytyki, poświęcone dramatom Brieux, Hervieux i t. p.), chce nawet zrazić autorów, którzy usiłują za pomocą konkretnych zdarzeń i wypadków dać nam odczuć doniosłość niektórych problematów społecznych, a to dla tego, że, jak twierdzi, nieszczęście określonej ilości istot żywych, przedstawione choćby z największą potęgą artystyczną, nie da najsłabszego nawet wyobrażenia,

o tym rzeczywistym dramacie ludzkości, który rządzi nieubłaganie temi wszystkiemi zjawiskami odosobnionemi. Pragnie słowem wciąż sztuki głębokiej, poważnej, nie tej, która bawi, rozmarza, przemawia do tych władz natury ludzkiej, które ją utrzymują na niższym poziomie życia zwierzęcego,—a przytem nie pozwala jej urzeczywistniać poważniejszych aspiracyi, za pomocą tych środków, jakie leżą w granicach jej możności.

Nadewszystko jednak umie Nordau gromić pisarzy współczesnych za ich bezwstyd w przedstawianiu stosunków erotycznych, za nadmiar w ogóle erotyzmu w ich twórczości, za obojętne, bądź ironiczne, wydobywanie na jaw wszelkich znieprawień życia ludzkiego; na tym punkcie jest on nieubłagany i byle drobiazg, byle swawola i płochość niegroźna, nie nadwerężająca zasad moralnych, przejmuje go oburzeniem, tem dziwniej więc wygląda jego wyrozumiałość dla O. Mirbeau, jednego z najbardziej bezużytecznych i reklamujących się pornografów, którego talent—w istocie duży—uznaje i ceni... Te rysy, charakteryzujące Nordau'a, jako krytyka, nie tak by się uwydatniały i wysuwały na plan pierwszy, przy ocenie jego działalności, gdyby nie to, iż każda praca jego ostrzega czytelnika w tytule, iż należy do rodzaju „krytyki naukowej i filozoficznej", — gdyby nie wyniosłe pretensye autora do reprezentowania nauki czystej i sprawiedliwej, nieskażonej żadnem uprzedzeniem, bądź lekkomyślnością, niezachwianej w swej logice, zdala stojącej od szarlatanizmu, niezależnej i prawej. Niestety! pretensye podobne nie dobrze są usprawiedliwione. Z nauki wprawdzie czerpie Nordau teorye, poglądy i fakty, ale posiłkuje się niemi na własne ryzyko, często w sposób taki, do jakiego go ona wcale nieupoważnia. Rzeczy niedostatecznie zbadane, teorye niesprawdzone, chwyta Nordau w lot i puszcza w obieg, jako prawdę bezwzględną, na której można polegać; na źdźbełkach prawdy, wznosi konstrukcye dowolne, których fasady tylko noszą godła i szyldy nauki, wnętrze zaś wypełnione jest treścią subjektywną, złożoną z fikcyi, uprzedzeń i namiętności, należących wyłącznie do samego autora, zależnych od jego kaprysu. Przesadę, paradoksalność, tendencyjność własną, przemyca Nordau pod płaszczykiem nauki, zaopatruje w jej stempel, żeby to wszystko znalazło chętniejszych nabywców, wśród ogółu mającego zaufanie do niej, oczekującego ztamtąd wskazówek i rad, zmniejszających niepewność i zwątpienie.

Powadze nauki, jak widzieliśmy, uchybia bardzo często, co zaś do czytelnika, to zamiast stawiać go na stanowisku, wyższem względ-

dem twórczości ludzkiej, zamiast podnosić stopień jego krytycyzmu, wszczepia weń skłonność do sądów tanich i ogólnikowych, dostarczając mu formułek gotowych, jaskrawych i efektownych, upoważniających go do rozprawiania się, z najzawilszemi i najtrudniejszemi zagadnieniami twórczemi, w sposób gruby, jednostronny i płytki.

Wł. Jabłonowski.

Echa z wystawy heraldycznej w Mitawie.

Sekcya kurlandzkiego Towarzystwa naukowego (*Gesellschaft für Literatur und Kunst*) poświęcona genealogii, heraldyce i sfragistyce—pragnąc uświetnić jubileusz swego 10-letniego istnienia—urządziła w Mitawie w nowo wzniesionym gmachu kurlandzkiego Muzeum Prowincyonalnego, w y s t a w ę h e r a l d y c z n ą, którą w dniu 30-ym października otwarto.

Dzięki poważnym pracom mężów naukowo wykształconych, zaprzestała już od lat wielu heraldyka służyć wyłącznie za pole do bezmyślnych, bezkrytycznych popisów pyszałkowego dyletantyzmu na cześć i chwałę zaimprowizowanych częstokroć praszczurów.

Po przezwyciężeniu dawnych, nieraz dobrze uzasadnionych uprzedzeń do tej gałęzi wiedzy, uznano ją w ostatniej ćwierci ubiegłego stulecia za nader pożyteczną i zaufania godną naukę pomocniczą do badania zarówno dziejów krajowych, jako i historyi sztuki.[1])

Zaznaczyć także należy, że w rozwijającym się potężnie przemyśle artystycznym, daje się coraz częściej dostrzedz dążenie do umiejętnego badania motywów heraldycznych. To też nic dziwnego, że, w ciągu ostatnich lat 25-ciu, heraldyka i sfragistyka występowały już nie tylko na wystawach historycznych, wystawach starożytności oraz przemysłu artystycznego, ale poczęto urządzać na Zachodzie wystawy poświęcone wyłącznie heraldyce. Pierwszą z nich była, jak wielu czytelnikom wiadomo, wystawa heraldyczna wiedeńska z roku 1878; drugą—takaż wystawa berlińska z roku 1882; trzecią zaś wy-

---

[1]) Dzisiaj już niema potrzeby szeroko rozwodzić się nad tem, że każdy ślad, pozostawiony przez przeszłość, jest dla nas źródłem do jej bliższego poznania. Stare zbroje, stare monety, stare pieczęcie i t. d., już niejednokrotnie posłużyły do zdobycia głębszej znajomości epok dziejowych, ich stylów i t. d.

stawę przedmiotów heraldycznych uorganizowano również w Berlinie w r. 1894 z niezwykłym przepychem.

Nie ulega wątpliwości, że wszystkie te wystawy przyczyniły się niepomału do zaznajomienia szerszych kół z bogatym dziejowym i prawdziwie wzorowym materyałem heraldycznym, nadto zaś rozszerzyły zrozumienie właściwej treści tej nieco zdyskredytowanej gałęzi wiedzy ludzkiej.

Dobrą też usługę oddają wystawy heraldyczne tym wszystkim pracownikom, co z nich wynoszą pożytek praktyczny, a więc: artystom malarzom, rzeźbiarzom, snycerzom, budowniczym, rytownikom, litografom, złotnikom, introligatorom i t. d.; stałą zaś i długotrwałą wartość takich wystaw, stanowią przedewszystkiem ich katalogi, w których dokładnie bywa oznaczony cały ogrom, skrzętnie na nich nagromadzonych materyałów heraldycznych i sfragistycznych. Dla tego więc żałować należy, że wielu krajowych posiadaczy cennych przedmiotów z dziedziny heraldyki i sfragistyki, nie raczyło uwzględnić odezw i próśb komitetu wystawowego o wzięcie udziału w pouczającej wystawie heraldycznej mitawskiej, pierwszej w graniacach państwa.

Natomiast zagranica wielki i żywy wzięła w niej udział.

Nie brakło wystawców ani z Wiednia, ani z Berlina, Hanoweru, Hamburga, Lipska, Gietyngi, Hejdelberga, Norymbergii, Monachium a nawet z Szwajcaryi i z Czech.

Z firm krajowych napotykaliśmy na tej wystawie, obok kilku miejscowych mitawskich, także: ryskie, rewelskie i jurjewskie. Dostrzegliśmy również parę nazwisk wystawców prywatnych z Petersburga, a kilkanaście z prowincyi nadbałtyckich.

Licznych dokumentów heraldycznych dostarczyły archiwa krajowe prywatne, a przedewszystkiem archiwa rycerstwa kurlandzkiego z Mitawy i inflackiego z Rygi, estońskiego z Rewla i ozylijskiego z Arensburga. Innych przedmiotów najrozmaitszych, a odnoszących się do tejże gałęzi wiedzy, nagromadzono z odwiecznych zakrystyi i muzeów miast głównych nadbałtyckich.

Katalog wystawy wylicza numerów 2318, z których nie mało składa się z kilku, kilkunastu a nawet kilkudziesięciu okazów. Całość świadczy o cywilizacyjnem i kulturalnem znaczeniu nietylko dawnych Inflant i Kurlandyi, ale i dawnej Rzpltej polskiej, z której imieniem spotykamy się tutaj dosyć często.

Postarajmy się zdać czytelnikom w ogólnych zarysach sprawę z wrażenia, jakie ta prowincyonalna wystawa heraldyczna wywiera i oznaczyć charakter, jaki w szczegółach przedstawia.

I.

Pomijając wspaniałe makaty z ratusza rewelskiego, na których, obok mniejszego herbu Rewla jaśnieje wytkany ozdobnie nad nim napis „*Anno 1547-mo*“ [1]), pomijając całe szeregi tarcz z herbami miast związku hanzeatyckiego, do którego, jak wiadomo, należały także główne miasta nadbaltyckie, pomijając poukładane w panoplie chorągwie cechowe i dawnych gwardyi miejskich, wystawionych przeważnie w celach dekoracyjnych—zatrzymujemy się w drugiej komnacie od wejścia.

Zwraca tu najpierw uwagę widza niezmiernie bogaty zbiór zmniejszonych hełmów rycerskich ze wszelkich epok. Wykonane są artystycznie ze stali. Za wzór do nich służyła słynna kolekcya D-ra H. Magerfelsa, złożona z samych oryginałów, a która przed czternastu laty rozpierzchła się po całym świecie, gdyż po nagłym zgonie znanego zarówno w Europie jak w Ameryce właściciela-zbieracza, została zlicytowaną w latach 1888 i 1889.

Wystawcą tego cennego zbioru, znanego powszechnie zagranicą, jest szambelan B. baron Münchhausen, obywatel prowincyi Hanowerskiej, który go już niejednokrotnie dawał oglądać na wystawach zagranicznych.

W zbiorze tym nie brak żadnego rodzaju hełmu, począwszy od najmniejszych, jakie były w użyciu w wieku X, a kończąc na polskich hełmach jazdy skrzydlatej, na widok których zdaje się widzowi polskiemu, że przez salę przeciąga tajemniczy łopot tych orlich skrzydeł, który w swoim czasie szedł przez pola Chocimu, Kirchholmu i Kluszyna i oparł się o wzgórza Kahlenberga pod Wiedniem.

Z 36-iu hełmów, tworzących cenną kolekcyę szambelana Münchhausena, wymieniamy: hełm z X stulecia typu „*bacinet*“ (oznaczony

---

[1]) Jedna z tych odwiecznych, wybornie zachowanych makat, przedstawia, obok herbów miasta Rewla, scenę biblijną, a mianowicie sąd Salomonowy; druga, obok takichże herbów, wzory liściaste wielkiej piękności. Dzienniki miejscowe błędnie je zowią gobelinami, gdyż te ostatnie (wraz ze słynnymi braćmi „*les frères Gobelin*“) zjawiły się o 120 lat później, w ostatniej ćwierci XVII stulecia, za panowania Ludwika XIV.

w katalogu numerum 1-szym), hełmy z wieku XII typu „*heaume*“ (numera 11—12), hełmy z wieków XII—XIII typu „*chapeau d'armes*“ albo „*de fer*“ (numera 14—20) hełm typu „*cabasset*“ z końca XVI stulecia (numer 21) i hełmy najbardziej znanego typu „*morion*“ z XV i XVI stulecia. Pochodzące z wieku XVI są ozdobione przepiękną rzeźbą renesansową.

A figurują na tej wystawie i całe zbroje, wyroby XVI i XVII stulecia, okazy nader ciekawe i pouczające. Jeden z olbrzymich hełmów typu „*morion*“ zdobi orzeł dwugłowy cesarstwa rzymsko-niemieckiego. Jest i kilka misiurek oryginalnych z wieku XVI. Dostarczyło na ich wystawę kurlandzkie Muzeum Prowincyonalne. W tymże rzędzie komnat zastanawia widza polskiego wystawa zbiorowa rzadkich druków heraldycznych, nadesłanych z Monachium ze znanego powszechnie antykwaryatu Ludwika Rosenthala Spotykamy tu pomiędzy innymi tabelę genealogiczną przodka polskiego rodu Plater-Zyberków, Imć pana Jana Fryderyka na Wiszlingu Zyberka z roku 1602. Zdobi ją 16 herbów jego antenatów.

Nie brak tu i rękopisów heraldycznych. Wystawiła je Biblioteka Rycerstwa Kurlandzkiego, a pomiędzy nimi dostrzegamy i berby rodów polskich.

Nader ciekawemi są herbarze rękopiśmienne mieszczan nadbałtyckich, że tylko przytoczę herbarz ryskiego cechu szklarzy, przedstawiający aż 221 herbów mieszczańskich starannie koloryzowanych.

Z całej setki wystawionych dyplomów szlacheckich, zaznaczamy kilka polskich, a mianowicie:

1. Dokument pergaminowy z przewieszoną na nim wspaniałą pieczęcią państwową, wydany na tytuł barona w Warszawie dnia 30 kwietnia 1572 r. przez króla polskiego Zygmunta Augusta Janowi Taubemu, przodkowi rodu kwitnącego i obecnie nietylko w królestwie, ale i w zachodnich oraz południowo-zachodnich guberniach cesarstwa. Pięknie wykonany herb Taubów zdobi ten cenny pergamin.[1])

---

[1]) Linia niemiecka tegoż roku otrzymała tytuł baronów niemal o sto lat później i istnieje tylko w Estonii. To nadanie tytułu linii niemieckiej

2 Dyplom z dnia 12 lutego 1588 roku, w którym król Zygmunt III zatwierdza w Krakowie szlachectwo braci Skodeyskich, uszlachconych już z dnia 16 maja 1372 r. przez króla Ludwika.

3. Dyplom na szlachectwo, wydany d. 2 stycznia 1591 r. w Warszawie powszechnie znanemu przyjacielowi Jana Zamoyskiego, ryskiemu syndykowi miejskiemu Dawidowi Hilchenowi, który, jak ogólnie wiadomo, był zawsze wiernym królowi i Rzpltej, pracował usilnie dla dobra kraju i miasta, słowem, był ozdobą swego czasu, a mimo to zmuszony był walczyć przez całe życie z ciężkiemi kolejami losu. On to w r. 1588 wyjednał u rady miejskiej założenie pierwszej drukarni w Rydze i szeregiem prac literackich, w języku łacińskim zyskał sobie sławę europejską. On w roku 1599 ułożył inflanckie prawo krajowe, on w tymże roku 1599 głównym był czynnikiem przy dokonywanej wtenczas słynnej rewizyi dóbr inflanckich. Mimo to wszystko, wiele lat upłynęło, zanim zasługi tego zacnego męża, należycie przez krajowców i Rzpltę ocenione zostały. W roku 1599 magistrat miasta Rygi wysłał Hilchena na sejm walny do Warszawy, by na nim przedstawił kościelne sprawy miasta i wyjednał, ażeby dla ogólnego spokoju polecono OO. jezuitom nie w mieście, ale na zamku zamieszkać, co też Hilchen szczęśliwie dokonał. Jezuici nie spełnili rozporządzenia królewskiego i w tym samym roku Hilchen wraz z burmistrzem Ecke znowu pojechał do Warszawy. Tam bronił interesów miasta i tłómaczył znaczenie reskryptu Stefana Batorego o wprowadzeniu jezuitów. Król wziął stronę zakonu i tak źle przyjął wystąpienie deputatów, że zagroził Hilchenowi więzieniem. Jan Zamoyski złagodził gniew króla, wyrok jednak przeciwny pierwszemu utrzymany został. Przyjaźń Zamoyskiego sprawiła, że Zygmunt III, nietylko urazy darował, ale jeszcze w dniu 2 stycznia 1591 roku Dawida, Jana i Tomasza braci Hilchenów podniósł do godności szlacheckiej wraz z ich potomstwem.

Oglądany przez nas na wystawie heraldycznej w Mitawie dyplom sążnisty pergaminowy, opowiada o zasługach poniesionych dla króla i Rzpltej, wzmiankuje o podróżach z polskimi magnatami dla

---

Taubów figuruje także na wystawie heraldycznej pod № 150. Jest to dokument pergaminowy, wydany Bernardowi Taubemu przez królowę szwedzką Krystynę, w d. 14 lutego 1652 r., ze wspaniale wykonanym herbem i przewieszoną wielką państwową pieczęcią w pokrywie drewnianej. Dyplom ten wystawiło Archiwum Rycerskie Estonii; wystawcą zaś dyplomu linii polskiej z r. 1572 jest Archiwum Rycerstwa Kurlandzkiego.

dokonania rewizyi dóbr inflanckich, mówi o obszernych wiadomościach, okazanych nietylko w publicznych dysputach, ale i w działalności, podnosi odwagę, poczciwość i mądrość syndyka, jakich nieprzeparte dawał dowody w chwilach, kiedy zdołał powściągnąć lud wzburzony przeciw Polakom i duchowieństwu katolickiemu w Rydze.[1]) Dyplom ten zdobi polski herb Jelita, w jaskrawych barwach i złotem starannie wykonany. Zamoyski oczywiście przypuścił Hilchenów do własnego herbu. Na hełmie tylko, zamiast dawnego Saryuszów kozła, umieszczono dla różnicy ogon pawi.

Nieopodal opisanych tu dyplomów, mieści się niezmiernie bogata biblioteka heraldyczna, w której jest mnóstwo dzieł polskich lub przez Polaków skreślonych, jak to: herbarze Paprockiego i Niesieckiego, Heraldyka Wielądka i t. d. Jest nawet dzieło francuskie Emeryka Czapskiego p. t. „*Catalogue de la collection des médailles et monnaies polonaises*“, wydane w Petersburgu, Paryżu i Krakowie w latach 1871—1891.

Z innych tu wystawionych stu kilkudziesięciu dzieł i czasopism tejże treści heraldycznej, zaznaczamy jeszcze herbarz drukowany w języku japońskim w podłużnej 8-ce na papierze ryżowym, oraz „herby japońskie“ wydane w Berlinie przez Langego w roku bieżącym 1903 pod tytułem: „*Ostasiatische Studien.*

---

[1]) Działo się to w czasie słynnych zaburzeń kalendarzowych w Rydze, o których rozpisaliśmy się w „Wielkiej Encyklopedyi Ilustrowanej“, wspomniawszy i o tem, że pierwszy kalendarz otrzymała Ryga w r. 1565, i że był on drukowany w Amsterdamie, gdyż pierwszą drukarnię założono tu dopiero w r. 1588, za staraniem Hilchena. Zważywszy, że do głównych znamion kultury przez samych Niemców zaliczane bywają powszechnie kalendarze i drukarnie, zważywszy także, że oba te znamiona kultury pojawiły się w Rydze za panowania tutaj królów polskich, Zygmunta Augusta i Zygmunta III — wypływa stąd oczywiście wniosek, iż tutejsi kulturtregerzy, tak dumni ze swojej kultury zachodniej, otrzymali ją właściwie dopiero przez cywilizacyjny wpływ Polski, którego atoli dostatecznie cenić nie umieli, jeśli się opierali wprowadzeniu tu za króla Stefana Batorego poprawnego gregoryańskiego kalendarza, za którym obecnie, po 318 leciech, nadaremnie tęsknić poczęli.

II.

Jeszcze bardziej ciekawym jest dział sfragistyczny na tej wystawie heraldycznej, a są tu najrzadsze i najciekawsze dokumenty, gdyż niepodobna oddzielić od nich ani jednej z przewieszonych pieczęci, stanowiących istne skarby sfragistyczne.

Najstarsze dokumenty ryskie z pierwszej ćwierci wieku XIII główne tu zajmują miejsce. Pod numerami 327 i 328 wystawiono dwa pergaminy całkiem pożółkłe, z których pierwszy odznacza się przewieszonemi na nim pieczęciami legata *a latere* papieża Honoryusza III, biskupa Wilhelma z Modeny, założyciela Rygi biskupa Alberta I, biskupa Semigalskiego Lamberta, proboszcza katedry ryskiej Jana, oraz najdawniejszą pieczęcią miasta Rygi, okoloną nadzwyczaj dziwnym napisem: „*Sigillum burgencium* (sic!) *in Riga manentium*". W tym dokumencie, wydanym w grudniu 1225 roku, załatwia legat papieski Wilhelm jakiś spór graniczny. Drugi z przytoczonych pergaminów nosi datę 17 marca 1226 r. Załatwia w nim tenże biskup Wilhelm z Modeny takiż spór graniczny pomiędzy założycielem Rygi, panującym biskupem Albertem I, mistrzem Kawalerów Mieczowych Volguinem, Opatem Dyamenckim i miastem Rygą. Czerwone jedwabne sznury, na jakich są przewieszone te liczne pieczęcie, zachowały swą barwę przez lat 677 aż po dzień dzisiejszy.

Najstarszym z wystawionych tu dokumentów biskupstwa kurońskiego jest zżółkły pergamin, na którym tenże słynny legat papieski w dniu 21 lutego 1245 roku zaświadcza w mieście Lugdunie, daną już poprzednio deklaracyę, iż nowo założone biskupstwo kurońskie stanowi cząstkę Prus Wschodnich, że przeto dwie części obszarów ziemnych biskupstwa mają należeć do zakonu krzyżackiego.

Obok tego najstarszego dokumentu dawnej Kuronii, wystawiono pod numerem 332 oryginalną bullę papieża Aleksandra IV, wydaną w Viterbo d. 16 października 1257 r. Zatwierdza w niej Stolica Apostolska wspomniane powyżej oświadczenie biskupa Wilhelma z Modeny z r. 1245. Jest to jedyna bulla papieska, przechowana dotąd w oryginale w krajach nadbałtyckich w zupełnej całości wraz z przewieszoną na niej olbrzymią ołowianą pieczęcią, i dlatego bywa nazywana po niemiecku „*die Bleibulle*".

Pomijam ze dwadzieścia ciekawych pergaminów z wieku XIII XIV (№№ 333—350), a zatrzymuję się nad ugodą, zawartą 12 stycznia

1434 roku pomiędzy kurońskim panującym biskupem Janem a kapitułą arcybiskupstwa ryskiego w celu załatwienia dawnych sporów o kurlandzki zamek *Doudangen*, którego dokładny widok przedstawia karta 65 olbrzymiej księgi łacińskiej „*Terra Mariana*“, ofiarowanej przez katolików nadbałtyckich Ojcu Świętemu Leonowi XIII w roku 1889, ku uczczeniu jego lubileuszu kapłaństwa z r. 1888, a której zmniejszona reprodukcya świeżo ogłoszoną została przez ryski zakład sztuk graficznych Aleksandra Grosseta[1]). Dokument ten pergaminowy zastanawia każdego widza wybornem przechowaniem aż ośmiu na nim przewieszonych ciekawych pieczęci, a mianowicie: pieczęci ówczesnego arcybiskupa ryskiego, biskupa kurońskiego, kapituł ryskiej i kurońskiej, marszałka krzyżacko-inflanckiego zakonu (a późniejszego landmistrza) Franciszka *de Kerskorff*, komtura rewelskiego, proboszcza tumu dorpackiego, oraz słynnego w dziejach inflanckich Engelberta *Tyzenhauza*. Cenny ten pergamin stanowi własność kurlandzkiego Muzeum prowincyonalnego.

Z wieku XV przytaczam wspaniałą pieczęć znanego z przewrotności, iście krzyżackiej, landmistrza inflanckich krzyżaków, Bernarda Borcha, wiszącą przy dokumencie z r. 1478, obok pieczęci komturów: felińskiego, rewelskiego, goldynskiego, maryenburskiego i kilkunastu innych dygnitarzy inflancko-krzyżackich, zanoszących wspólnie skargę do kuryi rzymskiej na ryskiego arcybiskupa Sylwestra. Dokument oczywiście nie był wysłany do Rzymu, jeśli pozostał tu w kraju, a Bernard Borch, jak wiadomo, w tymże właśnie czasie wziął arcybiskupa Sylwestra do niewoli i więził go do samej śmierci w zamku Kokenhuzie.

Jeszcze większa liczba dobrze zachowanych pieczęci wisi tu przy dokumencie z d. 20 marca 1523 roku, w którym wasale arcybiskupa ryskiego podejmują wspólną akcyę przeciw przemocy możnowładczych w owym czasie rodów *Tyzenhauzów i Rozenów*. Pomiędzy pieczęciami tych energicznych wasalów arcybiskupa figurują dwie Platerowskie; jedna rycerza Fryderyka Platera, ówczesnego wójta zamku Kokenhuzy, a druga Jana Platera, dziedzica Platerowskiej Indrycy, położonej w późniejszem księstwie i województwie inflanckiem, nad Dźwiną i rzeczką Indrycą[2]).

---

[1]) Te udatne, lubo znacznie zmniejszone, reprodukcye księgi „*Terra Mariana*“, zdobiły również wystawę heraldyczną z powodu stu kilkudziesięciu herbów i pieczęci najrozmaitszych, które do ilustracyi pojedyńczych kart tej księgi użyte zostały.

[2]) Obacz: „Słownik geograficzny ziem polskich“, t. III, str. 277.

Z dalszych kilkudziesięciu nader cennych dokumentów z wieku XVI, zajmują tu najbardziej publiczność kurlandzką i polską:

1) Słynna *provisio ducalis* (pacta subjectionis), wydana przez króla polskiego Zygmunta Augusta w Wilnie dnia 20-go listopada 1561 r. Tym aktem król polski nadaje ostatniemu landmistrzowi zakonu inflanckiego Gotardowi Ketlerowi i jego potomkom, jako wasalom Polski, tytuł książęcy i dziedziczne rządy w nowo utworzonem przez tegoż króla księstwie Kurlandyi i Semigalii, nadto nadaje samemu Gotardowi namiestniczą władzę w całych Inflantach, szlachcie zaś rycerskiej wszelkie swobody, jakich tylko zapragnąć mogła. Przyświecał tu oczywiście niedawny przykład Prus. Ten sam tytuł, godność, oznaki i przywileje, które przed kilku dziesiątkami lat były dane wielkiemu mistrzowi pruskiemu, Albertowi, otrzymał teraz landmistrz inflancki, Gotard. „Inflanczycy — jak się wyraża w tym dokumencie król Zygmunt August — z państwem naszem nakształt ziem pruskich złączyli się i inkorporowali," a między postulatami szlachty, uznanymi i przyjętymi przez króla, znajduje się i ten: „żeby szlachta rycerska inflancko-kurlandzka do wszystkich prerogatyw, praw i wolności, któremi się polska szlachta zaszczyca, tym sposobem, jak prusacy, była przypuszczoną." Mieli więc ex-krzyżacy i szlachta rycerska, która odtąd dzieli się na inflancką i kurlandzką, zażywać największej wolności pod słońcem, bo zatrzymując dawne przywileje, wywalczone na panujących biskupach i hermistrzach krzyżacko-inflanckich, zachowując przedewszystkiem wszelkie dotychczasowe właściwości i zupełną odrębność, niemieckie prawo i niemieckie władze, — pozyskali odrazu wszystkie wiekowym trudem zdobyte wolności i swobody szlachty polskiej.

To też nie dziw, że ten tak ważny dla nich pergamin, własnoręcznym podpisem królewskim i królewską pieczęcią opatrzony, z wielką troskliwością Kurlandczycy aż po dzień dzisiejszy przechowali.

2. Wraz z nim przechowali oni dokument (oznaczony na tej wystawie heraldycznej numerem 394), wydany przez nowo-kreowanego księcia Gotarda w dniu 7 marca 1562 roku w Rydze rycerstwu kurlandzkiemu, a w którym nowy książę obiecuje uroczyście utrzymać wszelkie prawa i swobody rycerstwa w obrębie całego księstwa Kurlandyi i Semigalii. Przechowali także pergamin Zygmunta Augusta, datowany z Lublina d. 3-go sierpnia 1569 r. o wcieleniu Kurlandyi do Rzpltej polskiej, skutkiem dokonania unii Litwy z Polską. Na nim podpis Zygmunta Augusta i przewieszona wspaniała pieczęć królewska.

3. Nie mniej wspaniała pieczęć wielka zdobi dokument króla Stefana Batorego, wydany z obozu pod Pskowem w dniu 28-go listopada 1581 r. Zatwierdza w nim bohaterski król wszystkie przywileje, wydane rycerstwu kurlandzkiemu przez Gotarda Kettlera.

4. Ciekawym też jest pergamin tegoż króla polskiego, oznaczony w dziale sfragistycznym wystawy numerem 403-m, w którym to dokumencie, wydanym w Warszawie d. 28-go lutego 1585 roku, król Stefan zatwierdza Konrada Taubego w posiadaniu licznych dóbr jego inflanckich. Pieczęć przytwierdzona węzłem, ukręconym z czerwono-niebiesko-żółto-białych sznurków jedwabnych.

Tylko tyle o pieczęciach z wieku XVI, których liczny szereg tu wystawiono wraz z nieodłącznymi dokumentami.

Z wieku XVII przytaczamy:

1. Pieczęć wielką Polski i Litwy, przytwierdzoną zielono-niebieskimi, żółtawo-czerwonymi i karmazynowymi jedwabnymi sznurami do datowanego z Krakowa w dniu 8-go czerwca 1605 roku pergaminu, w którym król polski Zygmunt III zwraca Podczaszemu Dorpackiemu, Konradowi Taubemu, wszystkie jego dobra inflanckie. Pergamin ten stanowi własność ryskiego Towarzystwa starożytności „*Alterthumsgesellschaft.*“ Takaż pieczęć zdobi przywilej Zygmunta III z d. 12-go kwietnia 1615 roku, zatwierdzający prawa i swobody rycerstwa kurlandzkiego. Ten ostatni dokument wystawiło tu archiwum kurlandzkie „*Das Kurländische Landesarchiv.*“

2. Zatwierdzenie przywilejów rycerstwa Piltyńskiego przez króla polskiego Władysława IV, podpisano w Krakowie 14-go marca 1633 roku. Pergamin wspaniały, pieczęć polska i litewska w poważnych pokrywach żelaznych.

Niepodobna wyliczać wszystkich wystawionych tutaj ciekawych pieczęci przy dokumentach z XVII stulecia. Wszelako wymienić muszę traktat handlowy, zawarty w Westminsterze pomiędzy O. Kromwellem a genialnym kurlandzkim księciem Jakóbem w dniu 17 lipca 1657 roku. Ten traktat najbardziej zastanawia widzów olbrzymią pieczęcią państwową angielską, na nim srebrnemi i białemi jedwabnemi sznurami okazale przewieszoną. Pieczęć ta, z żółtego wosku, z odciśniętym na niej wyraźnie portretem Oliwera Kromwella na dzielnym rumaku, wybornie się przechowała lubo niema żadnej pokrywy.

Pięknie się także przedstawia wydany d. 9-go listopada 1669 r. w Krakowie przez króla polskiego Michała Korybuta Wiśniowieckiego przywilej miastu kurlandzkiemu, Gol-

dyndze, w którem najchętniej zwykł przebywać genialny lennik Rzpltej polskiej, Jakób książę Kurlandyi i Semigalii, zawierający traktaty handlowe nietylko z Oliwerem Kromwellem, ale z Francyą, Hiszpanią, Rzpltą wenecką i wielu innemi państwami. Książę ten, utalentowany i ambitny, lubo tylko lennik polski, wyrobił sobie wysokie stanowisko w Europie, uczynił Kurlandyę krajem zamożnym i kwitnącym, a nawet zdobył poważne stanowisko w rzędzie państw morskich, wybudowawszy flotę, złożoną z 15 nieuzbrojonych i 44 uzbrojonych okrętów, z których każdy dźwigał na sobie kilkadziesiąt dział, nadto zaś 60 okrętów handlowych i wiele pomniejszych statków. Nie narażając siebie i swych poddanych na groźne niebezpieczeństwo wątpliwych zawsze wojen, nietylko zyskał wielkie skarby, lecz także zjednał sobie niemały rozgłos i szeroką sławę, bo stał się twórcą rozgłośnego handlu morskiego na północy. Handel ten prowadził z dalekimi lądami, przewożąc płody obcych części świata do wszystkich portów europejskich, i na odwrót, zawożąc daleko towary i produkty rodzinne, sprowadzając z najrozmaitszych stron zdolnych fabrykantów, dając im w Księstwie Kurlandzkiem szerokie pole do pracy i zarobek sowity.

Zawarłszy korzystne i dogodne dla siebie traktaty z Francyą i Anglią, Rzpltą wenecką i Hiszpanią, dostarczać mógł ten lennik Rzpltej polskiej obcym krajom własnego i litewskiego zboża po nierównie tańszych cenach, aniżeli opanowana przez Szwedów Ryga, której wysokie cła współzawodniczyć z nim nie pozwalały. Te nader ważne przedsiębiorstwa handlowe ułatwiały mu kolonie, założone na wybrzeżach Gwinei, na wyspie św. Andrzeja i na Tobago, jednej z najpiękniejszych wysp między małemi Antyllami, nazywanej rajem ziemskim. Pragnąc rozporządzać większemi zasobami surowych płodów, nietylko od Szwecyi zakupił znaczne dobra na Pomorzu, lecz nadto od rządu duńskiego kopalnie żelaza w Norwegii i ostatecznie tyle na tem polu dokazał, że mógł zaopatrywać w wojenne potrzeby wielkie mocarstwa europejskie, Francyę i Anglię.

Nie podobna wyliczać wystawionych tutaj trzydziestu kilku ciekawych pieczęci i dokumentów z XVIII stulecia[1]). Pomiędzy

---

[1]) Nie brakło na tej wystawie i odcisków pieczęci najrozmaitszych głów koronowanych, zarówno żyjących, jak nieżyjących. Nadesłali je naj-

niemi dostrzegłem dawną pieczęć miasta Birż, na której przedstawiona chorągiew z orłem czarnym Radziwiłłowskim, jaki wystawca uważał mylnie za białego orła polskiego i pod numerem 457 oznaczył go jako takiego. W tymże oddziale tej ciekawej wystawy heraldycznej mamy dowód wyraźny, jak bardzo dbał zawsze zarząd miejski Birż Radziwiłłowskich o zachowanie cechy niemieckiej. Uderza tu bowiem widza pomiędzy wystawionemi całemi secinami t. zw. „*Geburtsbriefe*," czyli świadectwami rodu, nieoznaczony osobnym numerem w katalogu pergamin z wiszącą u dołu olbrzymią pieczęcią w pokrywie drewnianej, wydany Janowi Jerzemu Deryngowi przez radę miejską birżańską d. 5-go marca 1782 r., a uderza głównie dla tego, że to świadectwo nie po polsku, lecz w języku niemieckim wydane.

Rada miejska Birż Radziwiłłowskich korzystała oczywiście aż do końca swego istnienia z nadanego temu miastu już przez króla Zygmunta Augusta prawa magdeburskiego, które następnie przywilejem Zygmunta III z r. 1589 uroczyście zatwierdzone zostało. Dlatego oficyalnie występuje ona zawsze po niemiecku, tytułując siebie: „*Rath der königlichen privilegirten hochfürstlichen Radziwillschen Stadt Birsen.*"

Tylko o parę numerów dalej dostrzegłem odcisk dawnej pieczęci miasta Wilna przy dokumencie z r. 1777. Przedstawia ona św. Krzysztofa z Dzieciątkiem Jezus, a przytwierdzoną jest do dokumentu wstążeczką niebieską.

Nader zajmującym wydał mi się tutaj zbiór galwanoplastycznych odcisków całych setek najrzadszych pieczęci panujących biskupów i arcybiskupów ryskich, biskupów lealskich, dorpackich, kurońskich, piltyńskich, orylijskich i rewelskich, ułożony w chronologicznym porządku, począwszy od roku 1224, a kończąc na roku 1554.

---

słynniejsi rytownicy Wiednia, Berlina i t. d. Wspaniałe złote pokrywy przy licznych pergaminach wiszące, zawierały olbrzymie odciski rosyjskich pieczęci państwowych. Dyplomy te odznaczały się pięknem wykonaniem na nich czterdziestu herbów, tworzących obramowanie każdej strony dokumentu pergaminowego, zatwierdzającego dawne przywileje tych prowincyj przez cesarzy Aleksandra I, Mikołaja I i Aleksandra II.

Nie mniej bogatym w tejże kolekcyi galwanoplastyk, jest zbiór pieczęci hermistrzów zakonu krzyżacko-inflanckiego i licznych komturów i wójtów krzyżackich, wodzących rej po zamkach i miastach zakonnych.

Inspektor gimnazyum realnego ryskiego, pan Karol Moltig, jako autor dzieła pod tytułem: „*Geschichte der Stadt Riga*," przysłał na tę wystawę cały zbiór galwanoplastycznych odcisków pieczęci tego miasta z epok najrozmaitszych i kształtów najróżnorodniejszych. I ten zbiór zasługiwał na uwagę, bo był istotnie pouczającym. W tymże oddziale ułożono, w porządku alfabetycznym, paręset odcisków galwanoplastycznych pieczęci (prywatnych) rodów miejscowych z czasu pomiędzy rokiem 1229 a 1557. Pomiędzy niemi wielka liczba takich, które obecnie są już rodami zupełnie polskiemi.

Nie brak tu i zbioru pieczątek z herbami już to artystycznie wykonanemi na kamieniu, już też nieudolnie rżniętemi na metalu. Obok nich umieszczono odciski tychże pieczęci. Są tam nietylko szlacheckie, ale i mieszczańskie w znacznej liczbie. Pomiędzy szlacheckiemi dostrzegłem także herby polskie na krwawnikach pięknie wyrżnięte, a mianowicie herby: A b d a n k, G o z d a w a, N a ł ę c z i R a d w a n.

Nieco dalej umieszczono niezwykle bogaty zbiór pieczęci dawnych urzędów ziemskich, grodzkich, miejskich, a nawet cechowych z epok najrozmaitszych. Z samej Z i e m i P i l t y ń s k i e j (z którą to nazwą spotykamy się co chwila w dziełach naszych źródłowych, jak „*Volumina legum*," „kodeks dyplomatyczny D o g i e ł a," „T e k a P o d o s k i e g o") figuruje ich tutaj długi szereg [1]). Jest w tym zbiorze także pieczęć z Tyszkiewiczowskiej obecnie P o ł ą g i, a wyrżnięty na niej napis polski w tych słowach: „P i e c z ę ć s ą d o w a h r a b s t w a P o ł ą g o w s k i e g o." Pochodzi ta pieczęć oczywiście z czasów, kiedy Połąga stanowiła dziedzictwo Wincentego Potockiego, otrzymane drogą wiana po jego drugiej żonie, Helenie z Massalskich księżnie de Ligne, a więc z pierwszych lat w. XIX.

Wiele osób nadesłało na tę heraldyczną wystawę bogate zbiory odcisków najrozmaitszych pieczęci prywatnych, nad któremi rozwodzić się niepodobna. Dla tego więc przechodzę do działu numizmatów.

---

[1]) O ziemi Piltyńskiej ogłosiła „Biblioteka Warszawska" w r. 1884 obszerne studyum p. t.: „Piltyń i archiwum piltyńskie". Obacz „Bibl. Warsz.", ogólnego zbioru t. 173, str. 169 — 193 i 429 — 440.

III.

Nie mniej imponującym, niż dział sfragistyczny wystawy heraldycznej mitawskiej jest jej dział numizmatyczny. Zawiera on tak pełny komplet monet z czasów arcybiskupów ryskich, panujących biskupów dorpackich, ozylijskich i t. d., oraz hermistrzów zakonu inflanckiego, o jakim dotąd ani się marzyło żadnemu z licznych numizmatyków krajowych.

To też na uzupełnienie tej zaokrąglonej całości złożyły się niemal wszystkie zbiory numizmatyczne miast nadbałtyckich. Już sama Ryga dostarczyła aż trzech unikatów, a mianowicie: talara Gotarda Kettlera z r. 1576, odbijanego z herbami Polski i Litwy, oraz cyfrą księcia Gotarda, trzygroszówki z r. 1586 z wyrazistem popiersiem Gotarda, a także podwójnego dukata, wybitego w r. 1764, z popiersiem urodziwego faworyta Anny, księżnej kurlandzkiej, a następnie cesarzowej rosyjskiej, Jana Ernesta Birona (właściwie Bührena), który, aczkolwiek był dosyć nizkiego pochodzenia, wielką w dziejach Kurlandyi odegrał rolę, a przez pewien czas takież zajmował stanowisko w Rosyi, jakie już od r. 1886 objął w Bawaryi ks. Luitpold.

Godzi się więc dotknąć tu, choć w krótkich słowach, jego niezwykle burzliwej przeszłości, którą wiele okazów tej wystawy heraldycznej najżywiej przypomina.

Wpadłszy w oko księżnie Annie, wdowie po młodym księciu Fryderyku Wilhelmie (o którym niżej), został młody Ernest wysłany za granicę dla odbycia studyów prawno-politycznych w uniwersytecie królewieckim, skąd za burdy studenckie niebawem relegowany, przyjął w Mitawie skromne miejsce sekretarza przy boku księżnej Anny; następnie zaś, wpadłszy w jeszcze większe u niej łaski, mianowany został jej przybocznym kamerjunkrem. A gdy w styczniu r. 1730 umarł nagle Piotr II i Anna wezwaną została na tron rosyjski, tenże urodziwy młodzieniec, Bühren, zajął w Mitawie wpływowe miejsce posła cesarzowej i równocześnie otrzymał tytuł oberhofmajstra Dworu rosyjskiego, skutkiem czego cesarz rzymsko-niemiecki, Karol VI, uważał za stosowne przysłać mu dyplom hrabiowski, w którym go

Bironem nazywa, a król August II, Sas, ozdobił go orderem Orła Białego, rycerstwo zaś kurlandzkie przyjęło do swego indygenatu, co mu dało prawo nabywania dóbr szlacheckich w Kurlandyi. Gdy zaś w d. 4 maja r. 1737 umarł w Gdańsku książę kurlandzki, Ferdynand Kettler, pismo cesarzowej Anny do najwyższych radców Kurlandyi wystarczyło do zwołania na d. 24 czerwca tegoż roku t. zw. „bratniej konferencyi“, na której hr. Ernest Biron jednogłośnie obrany został na księcia Kurlandyi i Semigalii. Biron, jakkolwiek złożył natychmiast w ręce swojej dobrodziejki urząd oberhofmajstra jej Dworu, jako niezgodny z pozycyą samodzielnego księcia — pozostał wszakże i dalej przybocznym doradcą tejże Monarchini, która mu darowała liczne swe kurlandzkie dobra i posiadłości. Że zaś zwykle musiał przebywać w Petersburgu u boku swej dobrodziejki, wystarano się dlań od króla polskiego, formalnego pozwolenia „módz rządzić księstwem kurlandzkiem z nadnewskiej stolicy“.

To też niezwykłą była potęga tego nowokreowanego lennego książątka, a ze śmiercią cesarzowej Anny (17 paźdz. 1740 r.) nietylko nie osłabła ona, ale raczej się podwoiła. Cesarzowa bowiem przeznaczyła następstwo po sobie synowi swej siostrzenicy, Anny Leopoldówny, W. księciu Iwanowi, w czasie małoletności którego Biron miał być regentem całego cesarstwa rosyjskiego. Lecz tylko przez jeden miesiąc cieszył się on tą nieograniczoną władzą. Antagonista jego, hr. Münnich, zdołał zaopatrzyć się w pełnomocnictwo, mocą którego w nocy z 19 na 20 listopada r. 1740 zaaresztował regenta wraz z całą jego rodziną. Aresztowanych odesłano niebawem do twierdzy Szlisselburskiej, a stamtąd, po nader krótkiej indagacyi, w której im zdradę stanu zarzucano, wyprawieni zostali do mieściny Pełym na Syberyę, matkę zaś małoletniego Iwana, wielką księżnę Annę Leopoldównę, ogłoszono regentką cesarstwa [1]). Ta niebawem objawiła Kurlandczykom, że Ernest Biron przestał być ich księciem. W niemałym kłopocie był przeto król August III, któremu Rosya takowem postępowaniem aż nadto wyraźnie pokazała, kto właściwie kreował księcia Birona, będącego przecie oficyalnie przyznanym len-

[1]) Źródła niemieckie nazywają stale matkę małoletniego Iwana IV-go, Anną Karłówną, rosyjskie zaś dają jej nie mniej stale nazwę Anny Leopoldówny, co zapewne stąd pochodzi, że ojciec księżnej Anny, „Herzog Carl Leopold“, nosił dwa imiona, z których pierwsze Niemcom, a drugie Rosyanom bardziej przypadło do smaku.

nikiem Rzpltej polskiej. Wszystko było w ciągłej niepewności, gdy nagle nastąpiła nowa zmiana w nadnewskiej stolicy. D. 6 grudnia 1741 r. wstąpiła tam na tron Elżbieta i manifestem, niezwłocznie wydanym, unieważniła wszelkie rozporządzenia byłego rządu, Birona zaś odwołała z Syberyi i osadziła go nad brzegiem Wołgi w Jarosławiu, skutkiem czego księstwo kurlandzkie i semigalskie w ciągu lat kilkunastu, t. j. aż do r. 1758, pozostawało bez żadnego księcia, a następnie widziało zdumione w r. 1763 w ciągu czterech miesięcy jednocześnie aż dwóch książąt Kurlandyi i Semigalii na swoim tronie książęcym — księcia Karola Saskiego i tegoż Ernesta Birona, cała zaś szlachta kurlandzka dzieliła się na zwolenników Karola (*Caroliner*) i Birona (*Ernestiner*), którzy nietylko ustnie, ale i w ogłoszonych drukiem broszurach, zarzucali sobie zdradę wzajemnie. Ze śmiercią króla polskiego, Augusta III (5 paźdz. 1763 r.) zmieniła się znacznie konstelacya polityczna mocarstw północnych, co, naturalnie, przyczyniło się do utwierdzenia Birona na tronie kurlandzkim. Katarzyna II w sierpniu 1764 r. odwiedziła go osobiście w Mitawie, a ze wstąpieniem na tron Stanisława Augusta weszło nowe słońce dla E. Birona, którego powtórne rządy w księstwie kurlandzkiem przypomina na tej pouczającej wystawie heraldycznej, ów rzadki dzisiaj dukat podwójny, wybity na upamiętnienie bytności Katarzyny II w Mitawie i wzmocnienie tronu Bironowego.

Do niemniej rzadkich monet zaliczają znawcy wystawiony tu pod № 1,063 dukat z r. 1646, ozdobiony popiersiem znanego już czytelnikom ze swej genialnej działalności księcia Jakóba Kettlera. Na odwrotnej stronie tego ciekawego dukata z w. XVII, widnieje orzeł polski i pogoń litewska. Nas Polaków interesowały także monety kurlandzkie wybijane w czasie panowania królewicza polskiego, księcia Karola Saskiego (1758 — 1763). Przedstawiają one wierny portret tego księcia, a na stronie odwrotnej orła i pogoń.

Pomiędzy tu wystawionemi licznemi monetami miasta Rygi, aż 5 rozmaitych nosi z jednej strony: portret Stefana Batorego w królewskiej koronie, ze strony zaś odwrotnej ówczesny herb Rygi, tak, jak go widzimy oddanym w dolnej hali Sukiennic krakowskich.

W bogatym zbiorze medali wystawiono tu pomiędzy innemi medal z 16 stulecia z portretem księżniczki Anny kurlandzkiej, córki ukochanej ks. Gotarda Kettlera, a małżonki księcia Alberta Radziwiłła, oraz medal z wieku XVIII, wybity przez Jana Holcbaukra w Warszawie, na pamiątkę subsydyów pieniężnych, ofiarowanych przez wierne księstwo kurlandzkie w r. 1744 Rzpltej polskiej, jako swej lennej Pani.

Dostrzegłem w tymże zbiorze medal z XIX stulecia, odnoszący się do znanej osobistości polskiej, do założyciela muzeum numizmatycznego w Krakowie, Emeryka Czapskiego i jego małżonki z domu Meyendorff. Medal ten został wybity w r. 1879 ku uczczeniu uroczystości srebrnego wesela Emerykostwa Czapskich. Przedstawia on połączone herby Czapskich i Meyendorffów oraz datę uroczystości.

Do tego oddziału przyłączono wystawę dzieł, odnoszących się do tej gałęzi wiedzy, jak np. wydana w r. 1695 w Amsterdamie księga francuska p. t.: „*La science des médailles*“ i wiele innych Tu też widzimy rzadkie dzieło łacińskie Jana Fryderyka hr. Sapiehy, wydane w Kolonii w r. 1730 p. t.: „*Adnotationes historicae de origine ordinis Equitum Aquilae Albae*“, tudzież ogłoszoną w Berlinie księgę Vossberga p. t.: „*Siegel des Mittelalters von Polen, Litauen, Pommern und Preussen*“, i nakoniec wydaną pod moim osobistym kierunkiem przez Eustachego Tyszkiewicza w r 1871 w Rydze: „*Sammlung von Medaillen welche sich auf die Republik Polen beziehen und von 1772—1855 geprägt worden sind*“, oraz nieskończoną liczbę monografij o rodach najrozmaitszych, począwszy od najstarszych, a kończąc na najnowszych.

Oprócz tego wystawiono w dziale ksiąg, mających związek pośredni z literaturą genealogiczną, cały szereg dzieł przez Polaków kreślonych, jak np.:

1) Dogiela „*Codex diplomaticus*“, tom V-y, wydany w Wilnie 1754 roku.

2) Marcelego Janeckiego „*Handbuch des Preussischen Adels*“ (Berlin, 2 tomy z r. 1892 i 1893).

3) Tegoż autora „*Preussens Schwertadel 1871—1896 ein genealogisches Handbuch*“ (Berlin 1897 r.).

4) Działyńskiego „*Collectanea vitam resque gestas J. Zamoyscii illustr.*“ (Poznań 1861 r.).

5) „*Lites ac res gestas inter Polones ordinemque Crucifcrorum*“ tomów trzy, wydanych 1855 r. w Poznaniu.

6) Piekosińskiego „Rycerstwo polskie wieków średnich“, tomów dwa, Kraków 1896 r.

7) Żernickiego - Szeligi E. „*Der polnische Adel*“ (Hamburg, 1900 r.).

Nieopodal dostrzegamy w dziale „Literatury genealogicznej“ nader charakterystyczne druki weselne pod zbiorowym tytułem: „*Rigasche Hochzeitscarmina*“ (wystawione tu pod numerem 1662). Na tych niezdarnych wierszyskach mieszczan ryskich, uderzają każdego nazwiska, mające obecnie bardzo ustalone stanowiska w tak zwanych kołach arystokratycznych nad Baltykiem.

Zauważyłem, że tym wszystkim rodom mieszczańskim, przy ich uszlachceniu, dodano zgłoskę *n*, która, w przekonaniu Niemców, dodaje nazwiskom pewnej dźwięczności. Jako bijące przykłady, przytaczam pieśń weselną, p. t.:

„*Fünfstimmiger Braut - Tanz auff das Hochzeitliche Ehr - und Freudenfest des Herrn Johannes Oetting und der Jungfer Catharine Dunte*“

i drugą takiejże treści, a której tytuł:

„*Das Beste in Riga auf des Herrn Brever mit der Jungfer Catharina Reuter Hochzeitfreude, entdecket von Christiano Bornmann*“.

Wymienione wyżej nazwiska pisują się obecnie: von *Oettingen*, von *Dunten*, von *Brevern* i von *Reutern*. Zbiór ten, nader ciekawy, dawnych druków weselnych, mieszczan ryskich, wystawił tutaj zarząd Ryskiej Biblioteki miejskiej, przechowujący go staranie pomiędzy *unikatami*.

Przechodzę z kolei do działu przemysłu artystycznego, stojącego w związku z heraldyką.

IV.

Dział przedmiotów, stojących w związku z heraldyką, a wykonanych artystycznie, z metalu, drzewa, gliny, szkła, kości słoniowej, skóry, kartonu, papieru i t. p., liczył mnóstwo wystawców zagranicznych i nie mało krajowych.

Do tegoż działu włączono ordery najrozmaitsze, pomiędzy któremi nie brakło i polskich „*Orła białego*“ oraz „*Virtuti militari*“.

U widzów kurlandzkich wywoływał najrzewniejsze wspomnienia widok jedynego orderu kurlandzkiego „*Ordre de la reconnaissance*“,

co go był ustanowił „*in memoriam recuperatae Curlandiae*“, książę *Fryderyk Wilhelm Kettler* (urodz. 1692 † 1711 r.) wyrastający dopiero z lat pacholęcych.

Order ten dzisiaj tak rzadki, nie przeżył pono założyciela, którego szlachetność i poświęcenie się dla kraju, dotąd bywają podziwiane. Ukochał on pierwszą, gorącą miłością, księżniczkę Karolinę z Wolffenbüttel, a mimo to pożegnał się z marzeniami osobistego szczęścia dla dobra kraju (którego stan istotnie był rozpaczliwym) i zadając gwałt swemu sercu, ożenił się w 19 roku życia z rosyjską księżniczką Anną. Wiadomo wszakże, jak nieszczęśliwie skończył się ten związek.

Obrzęd zaślubin odbył się na dworze nadnewskim z całą okazałością w dniu 23 listopada 1710 r. Odtąd następował bankiet po bankiecie, a na każdym z nich wino lało się strumieniami. Młodziuchny książę nie przywykły do wybryków i libacyj popadł w chorobę. Chory już wyruszywszy w drogę, na początku stycznia następnego roku, dostał gwałtownej gorączki na pierwszej stacyi, oddalonej o mil 6 od Petersburga. Mimo to, pragnąc jak najprędzej powrócić do ojczyzny, już nazajutrz ruszył dalej; zaledwie jednak dojechał do następnej stacyi, tak go siły opuściły, że się położył, aby już nigdy nie powstać! Wyzionął ducha 21 stycznia 1711 r., zanim mógł ziścić nadzieje Kurlandyi i zebrać owoce poniesionej dla kraju ofiary. Kształt ustanowionego przez niego orderu *de la reconnaissance*, krzyż biały emaliowany o ośmiu narożnych gałeczkach złotych, w środku herb Kurlandyi z napisem u wierzchu: „*pour les honnêtes gens*“. Noszono go na czerwonej wstędze o brzeżkach srebrnych. Na mitawskiej wystawie heraldycznej występował ten biały kruk pod nr. 1772-m.

W pobliżu orderów wszelkich krajów europejskich i niektórych azyatyckich, rozłożono w panoplie zdobną w herby *broń ręczną i palną* (rusznice z hakami i bez haków, muszkiety o krzosowych zamkach i rurkach przeważnie ośmiobocznych, osadzonych w łożach ozdobnie kością słoniową lub perłową macicą inkrustowanych, rusznice skałkowe, których rurki obracają się około osi, krucice o rurkach ośmiobocznych, ku wylotowi na płask rozszerzonych), *broń sieczną* najrozmaitszą (pałasze, szable, karabele, kordelasy, miecze regimentarskie) a nawet *armatę* bronzową z r. 1673, ozdobioną herbem rodu Sakenów.

Pomijam cenne przedmioty metalowe lub rzeźbione z drzewa, opatrzone w herby, a więc puhary, roztruchany, kubki, zastawy srebrne stołowe, meble, skarbnice, sepety, sepeciki, witraże dawne i nowe w stylach najrozmaitszych, oryginalne i kopiowane (pomiędzy nimi

10 starodawnych, oryginalnych, nadesłanych na tę wystawę aż z Szwajcaryi), szkła i kryształy, majoliki najróżnorodniejsze i t. d., a wspomnę o bogato złoconym pucharze szklanym z przepięknie wyrżniętym herbem królewicza polskiego *Karola Saskiego*, jedynego księcia Kurlandyi i Semigalii, co miał prawo zasiadania na tronie obok króla Rzpltej i dawania tam swego doradczego głosu w sprawach dotyczących Polski, władcę powszechnie kochanego, który lubo nie długo, ale dzielnie rządził księstwem kurlandzkiem, a następnie ożenił się z rodowitą Polką, staroś-ianką Franciszką Krasińską. [1])

Dział ten wystawy stanowił główne pole do popisu dla wystawców zagranicznych, zwłaszcza z Szwajcaryi, z Czech, Austryi i Niemiec. Przygotowali oni w swych zagranicznych pracowniach niezliczoną moc przedmiotów najrozmaitszych, a zwłaszcza szkieł (szklanic, kielichów, pucharów i t. d.) z pięknie wykonanymi herbami: Behrów, Felkerzambów, Firksów, Fitinghofów, Keyzerlingów, Klopmanów, Korffów, Ludyngshau-ów-Wolffów, Manteufflów, Medemów, Offenbergów, Osten-Sakenów, Pahlenów, Rahdenów, Roppów, Ukskullów, Ungern-Sternbergów etc, a które przez zwiedzających

[1]) Franciszka Krasińska, córka Stanisława Krasińskiego, starosty nowomiejskiego (nowo-korczyńskiego) i Anieli z Humieckich, wojewodzianki podolskiej, poślubiła w r. 1760 królewicza Karola, księcia kurlandzkiego. Po śmierci rodziców i po obiorze na tron polski Stanisława Augusta, opuszczona chwilowo przez małżonka, przemieszkiwała w Warszawie, Krakowie, Częstochowie lub Opolu Śląskim. Pilnie i czynnie zajmowała się sprawami Konfederacyi Barskiej, z których powodzeniem łączyła nadzieję wyniesienia na tron polski swego męża. Wreszcie, na wezwanie małżonka, wyjechała do Saksonii, i przebywała naprzemian w Elsterwerdzie i Dreznie. Sejm polski 1776 r. opatrzył ją, jako małżonkę królewicza, znacznym dochodem. Żywot swój zakończyła w Dreznie w r. 1796. Córka jej, Marya, wyszła za Karola de Carignan, księcia Sabaudyi. Na tle życia tej królewiczowej polskiej, która przebyła cały swój żywot w nieustannych walkach z losem, osnuła Klementyna z Tańskich Hoffmanowa zajmującą powieść p. t.: „Dziennik Franciszki Krasińskiej w ostatnich latach panowania Augusta III pisany“. Wspominają o tej królewiczowej polskiej szczegółowo: Eustachy Tyszkiewicz w książce p. t.: „Źródła do dziejów Kurlandyi i Semigalii“ (Kraków, 1870), i Kazimierz Pułaski w pracy: „Z życia księżnej kurońskiej“ (Warszawa, 1890), do której są dodane: „Listy Franciszki z Krasińskich księżnej Kurońskiej do Adama Krasińskiego, biskupa kamienieckiego“ (1769 — 1772). Wspomina i wielu innych autorów polskich o tej interesującej, ale jeszcze niedość dokładnie znanej postaci.

wystawę po wielkiej części istotnie nabywane zostają, gdyż co chwila spotyka się tam napis: „sprzedane!“ Były atoli w tymże dziale i takie przedmioty, których nabyć nie było można za żadną cenę, że tylko przytoczę zbiór kafel zielonych z XV stulecia z pięknemi ornamentacyami figuralnemi, jakie zdobiły u dołu herby dawnych panujących biskupów kurońskich i piltyńskich, porcelanę saską wystawioną przez Keyzerlingów, na której widniały wszędzie herby ostatnich książąt kurlandzkich, całą etażerę pełną sprzętów szklanych, porcelanowych i majolikowych, uzyskaną na tę heraldyczną wystawę z pałacu ordynackiego Manteufflów z Katzdangen, a także liczne herbami ozdobione porcelany ze zbiorów Roppów, Liwenów i innych zamożnych domów kurlandzkich.

Pomiędzy wyrobami ze skóry odznaczyły się wytwornym smakiem i artystycznem wykonaniem wspaniałe mozaiki skórzane słynnego mistrza-introligatora ryskiego, Haffelberga, zwłaszcza wystawiony przez niego herb Klopmanów, wykonany w różnobarwnej mozaice, do której tylko użyto skóry. Rozmiary herbu były: 60×40 centymetrów. Nie mniej imponowała widzom wykonana w pracowni tegoż mistrza-introligatora olbrzymia głowa łosia otoczona wieńcem dębowym (herb miasta Mitawy), a rżnięta ze skóry niefarbowanej. To arcydzieło zostało nabyte przez komitet wystawy za stokilkadziesiąt rubli i będzie użyte do teki z fotografiami wielkich rozmiarów a przedstawiającemi osobliwości mitawskiej wystawy heraldycznej. Tę cenną tekę składa komitet w hołdzie Jego C. W. Wielkiemu księciu Włodzimierzowi Aleksandrowiczowi, jako honorowemu prezesowi tej wystawy.

W dziale wyrobów kartonowych, introligatorów zagranicznych, odznaczały się kasety o niezliczonej liczbie wyłożonych aksamitem maluczkich płaskich szufladek, przeznaczonych na zbiory numizmatyczne. Kasety te, a także praktyczne pudła na zbiory sfragistyczne, wystawił zakład Teodora Schrötera z Lipska. Nie brakło tu i pudeł na biblioteczne kartki katalogu najnowszego systemu, a nawet na zbiory pocztówek. Był bowiem na tej wystawie i dział pocztówek heraldycznych, zarówno krajowych, jak zagranicznych. Pomiędzy zagranicznemi odznaczały się zbiory pocztówek heraldycznych Karola Oeringa z Monachium, Bachofena z Wiednia, O. Rojka z Berlina i Pawła Kohl'a z Chemnitz; krajowych zaś dostarczyły firmy Kluge'go z Rewla i Hübnera z Mitawy.

Estońskie Muzeum prowincyonalne nadesłało kilkanaście herbów rodowych landmistrzów Zakonu krzyżacko-inflanckiego, wykonanych, przed paruset laty, barwami akwarelowemi na papierze,

a ryski związek „Czarnogłowców“ (*Schwarzhaupter*)[1]) dostarczył kilkunastu herbów mieszczan ryskich, wykonanych również na papierze, ale tylko tuszem.

W tymże dziale wystawiono kilkadziesiąt dawnych i nowszych drzew i tabeli genealogicznych (*les 16 quartiers*) ozdobionych już to 8-miu, już 16-tu, 32 a nawet 64-ma herbami przodków po mieczu i kądzieli, wykonanymi najczęściej bardzo artystycznie, a więc już z tego względu należących do działu heraldyki w zastosowaniu do sztuki i przemysłu artystycznego.

Ciekawą była tabela tylko 16 herbami ozdobiona, a wykonana dla Fryderyka Jerzego Medema, dzierżawcy dóbr Rekowo na Białej Rusi, a syna Ottona Madema, dziedzica dóbr Liepen i Prawingen w księstwie kurlandzkiem i Semigalskiem. Wykonaną była w XVIII stuleciu. Takąż tabelę 16 przodków Gotarda Budberga, wykonaną w r. 1700, zdobiły herby Zyberków, Fitinghofów, Plattenbergów, Hatzfeldów, Manteufflów, Denhoffów i Korffów, odmalowanych na płótnie farbami olejnemi, srebrem i złotem. Kurlandzkie archiwum rycerskie wystawiło w tymże dziale pergamin z wieku XVIII z herbami 16-tu przodków Mikołaja Manteuffla, dziedzica dóbr Essern, Tingern, Iwen i Lambertshof; pomiędzy tymi herbami wyróżniały się pięknem wykonaniem herby Platerów, Rozenów, Tyzenhauzów, Grothusów, Korffów i Firksów. Wystawiono też uzyskaną z ordynacyi Manteufflów tabelę nader oryginalną, wykonaną w XVII stuleciu, w której wszystkie herby wyrobione są ze srebra *en repoussée* i połączone pięknie wyrzeźbionemi gałęziami dębowemi. Całość rozpięta na ogromnej ta-

---

[1]) To możne stowarzyszenie, sięgające wieków, nosi dotąd nazwę odwieczną „Schwarzhaupter“ (czarnogłowców), bo herb stowarzyszenia mieści w sobie głowę św. Maurycego, który, jako rodem z Etyopii, bywa wyobrażany w postaci murzyna. Związek ten składają mieszczanie bezżenni, posiadający własność nieruchomą w mieście. Takie stowarzyszenia „Czarnogłowców“ istniały od wielu stuleci w Rydze, w Dorpacie i innych miastach hanzeatyckich, lubo nad Baltykiem przetrwały tylko w Rewlu i Rydze aż do dni naszych. O potędze tego mieszczańskiego związku w dawnej Rydze będzie mógł powziąć czytelnik niejakie wyobrażenie, dowiadując się, że niegdyś własnym kosztem kazał odlewać wspaniałe działa dla obrony miasta. Niektóre z nich, zdobne w płaskorzeźby (a dotąd przechowane w muzeum ryskiem) są tak wykwintnie odrobione, że wobec nich działa tegoczesne wywierają wrażenie wytworu najzupełniej barbarzyńskiego.

blicy szkarłatnem suknem opiętej. Tablica ta służyć miała niegdyś za epitafium, umieszczone w jednym z kościołów kurlandzkich.

A były w tymże dziale wystawione całe szeregi prawdziwych epitafiów, z powodu umieszczonych na nich ozdób heraldycznych. Te które nie dały się ruszyć z miejsca, wystawiono w dokładnych rysunkach lub zdjęciach fotograficznych.[1]) Pomiędzy innemi dostrzegłem tu wizerunek pomnika grobowego Jana Andrzeja Patrycego Nideckiego, biskupa Wendeńskiego (w latach 1583—1587), o którym tak piękne dzieło napisał profesor wszechnicy Jagiellońskiej D-r Kazimierz Morawski. Były tu także wystawione podobizny kamieni grobowych syndyka ryskiego Gotarda Wellinga i rajcy Jana Tastyusza, którzy wierność swą dla Rzpltej polskiej życiem przepłacili w czasie tak zwanych zaburzeń kalendarzowych w Rydze, do których przyłączył się jeszcze ruch mieszczaństwa przeciw radzie miejskiej. Ten ostatni silnie się rozwinął, wywołując wiele okrucieństw za czasów namiestnictwa księcia Jerzego Radziwiłła, którego stanowisko stawało się tutaj coraz cięższem. Gdy pierwsza gwałtowna burza ucichła, obadwa stronnictwa (mieszczaństwo i rada miejska) oskarżyły siebie wzajemnie przed królem Stefanem Batorym, który rozstrzygnął, że rada miejska ma zostać na swem dawnem stanowisku. Atoli znany demagog Marcin Gize zdołał wzniecić niechęć mieszczaństwa przeciw dwom członkom rady miejskiej—Tastyuszowi i Wellingowi. Wzięło ich mieszczaństwo na torturę i zmusiło do uczynienia zeznań, żądanych przez rozjuszone pospólstwo. Pomimo zaklęć i śmiałej obrony burmistrza, stronnictwo przeciwne przystąpiło niebawem do wydania wyroku śmierci na obu obwinionych, z których pierwszy Tastyusz, na rynku ryskim stracony został publicznie d. 27 czerwca 1586 r., a drugi Welling w d. 1 lipca tegoż roku.

Brakło w zbiorze epitafiów, znanej już z innych wystaw dokładnej kopii epitafium jednego z przodków polskiej gałęzi Brunnowów Mikołaja Brunnowa (dziedzica dóbr Pahzen i Islitz w Kurlandyi), przechowanej w ordynacyi Schöppingków w Bornesmünde. Epitafium to z wieku XVII (otoczone 16 pięknie z drzewa rzeźbionemi barwami i złotem pokrytemi herbami, wytwarzającemi zarazem tabe-

[1]) Za pomocą sztuki fotograficznej oddano tu także chorągiew cechową miasta Hildesheim, ozdobioną aż 35-ma herbami cechowemi. Chorągiew ta ma pochodzić z w. XVI, a jej reprodukcyę fotograficzną oznaczono numerem 2,241 na tej wystawie.

lę genealogiczną, wykonaną z artyzmem roku 1677), znajduje się po dzień dzisiejszy dobrze zachowane w kościele parafialnym w Bowsku.

Tylko tyle o epitafiach, których tu wystawiono nieskończoną liczbę z czasów dawnych i nowszych, już to w oryginale, już to za pomocą zdjęć fotograficznych.

Najobfitszą była wystawa najróżnorodniejszych „*Ex libris*“, na których figurują zwykle herby i ozdoby heraldyczne. W jednej z komnat wystawiono nawet osobny zbiór ksiąg temu pozornie błahemu przedmiotowi wyłącznie poświęcony, a tworzący oddział cały pod nazwą: „*Die Ex libris-Literatur*“.

I nic to dziwnego, gdyż owe „*Ex libris*“ stanowiły w Mitawie osobną część wielkiej wystawy heraldycznej, podzielonej na trzy główne działy:

1. Heraldyka, sfragistyka i genealogia w znaczeniu naukowem i historycznem.
2. Heraldyka, sfragistyka i genealogia w zastosowaniu do sztuki i przemysłu artystycznego, i
3. *Ex libris*.

Najsłabszą stroną tej wystawy była strona dekoracyjna, na czem zresztą wartość naukowa całości nic zgoła nie traciła. Zastanawiać wszakże musiała widzów, bardziej wykształconych, ta okoliczność, że niewybredni sprawozdawcy dosyć nieudolnie na ogół redagowanych dzienników nadbałtyckich, właśnie tą stroną dekoracyjną pouczającej i nader udatnej wystawy heraldycznej mitawskiej tak dalece zdawali się być olśnieni, że niemal wyłącznie jej opisami łamy odnośnych dzienników pozapełniali.

Najbardziej im zaimponowały liczne chorągwie dekoracyjne, nadesłane na sprzedaż z berlińskiego zakładu Besserta i Nettelbekka z nieudolnie na nich wykonanymi herbami Felkerzambów, Hahnów, Liwenów, Manteufflów, Roppów, Stakelbergów, Ungern-Sternbergów i Wranglów. Była to zwykła spekulacya wystawców ogół mało obchodząca, a dla której w ten sposób usiłowano zrobić reklamę. Niemniej ochoczo rozpisywały się miejscowe niemieckie

dzienniki o wykonanych na prędce *a tempera* czterech szkicach niezbyt wielkich rozmiarów, przedstawiać mających turnieje pomiędzy rycerzami, na których dalmatykach i rzędach końskich jaśniały herby miejscowych rodów szlacheckich. Kartony te, umieszczone na ścianach sal, oczywiście w celach wyłącznie dekoracyjnych, jako i długie szeregi w tenże sposób i w tymże celu na prędce skleconych herbów miast dawnych hanzeatyckich, nie odznaczały się zgoła ani dobrym smakiem, ani nowym pomysłem dekoracyjnym.

Natomiast makaty z ratusza rewelskiego, wykonane w roku 1547, z wytkanym na nich herbem „*Danebrog*“, zarówno jak sztandar z r. 1758 z herbem królewicza polskiego Karola Saskiego, księcia Kurlandyi i Semigalii, z pięknym monogramem tego sympatycznego władcy, umieszczonym artystycznie na odwrotnej stronie dobrze zachowanego sztandaru—zasługiwały istotnie na zaznaczenie.

Kończąc to pobieżne sprawozdanie, wyznać musimy, że wystawa heraldyczna mitawska była nader pouczającą, bo dla każdego, co pragnął odnieść z niej korzyść, przedstawiała oczywiście wielką moc materyału naukowego. To też należy się najszczersze uznanie dla prezesa Sekcyi heraldyczno-sfragistycznej kurlandzkiego Towarzystwa naukowego, Aleksandra br. Rahdena, iście niezmordowanego pracownika w tej gałęzi wiedzy—że urządzając pouczającą wystawę mitawską, upamiętnił w sposób najodpowiedniejszy jubileusz dziesięcioletniego istnienia „Sekcyi“, której dzielnie przewodniczy od dnia jej założenia.

Gustaw Manteuffel.

PIŚMIENNICTWO.

ALEKSANDER KRAUSHAR. Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk. Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. Czterolecie drugie 1820—1824. (Warszawa 1904).

Epoka drugiego czterolecia Towarzystwa Przyjaciół Nauk należy, zdaniem autora, do ważniejszych. U schyłku pomienionego okresu przenosi się ono do nowego, wspaniałego gmachu. W nowym przybytku cichej a owocnej pracy i wiedzy, gromadzi Towarzystwo cenne skarby pamiątek ojczystych, wzbogaca zbiory biblioteczne, numizmatyczne, archeologiczne i przyrodnicze ofiarnością całego kraju i jako symbol nieśmiertelności wiedzy i ducha ludzkiego, kładzie przed frontonem gmachu podwaliny do posągu nieśmiertelnego Kopernika. W życiu wewnętrznem Towarzystwa, pod wpływem równomiernego rozwoju młodego uniwersytetu królewskiego ujawnia się duch energii i dążność do zrównania się w dziedzinie odkryć i wynalazków naukowych, jak również w sferze twórczości literackiej, z postępującą coraz dalej i coraz bujniej umysłowością europejską. Roczniki Towarzystwa nie wypełniają się już całkiem numizmatyką, występują w nich po raz pierwszy nazwiska: Brodzińskich, Skarbków, Skrodzkich i Milego, mężów, którzy zaznaczyli swą działalność naukową pracami, nie pozbawionemi do dziś dnia wartości trwałej. Z umiłowaniem obraca się kronikarz owych czasów w gronie mężów, noszących nazwiska: Staszicow, Niemcewiczów, Lelewelów, Bentkowskich, Bandtków, Chodakowskich, Rakowieckich, Surowieckich i tylu innych, przysłuchuje się ich mowom, utrwalonym w notatkach protokółów posiedzeń, odczytuje ich poważne, głębokie, pełne miłości dla spraw naukowych referaty i przenosi się myślą do sali posiedzeń, w której rozbrzmiewały hasła, nawołujące społeczeństwo do pracy, do rządności, do opiekowania się dolą ludu, do pielęgnowania ideałów, miłości rzeczy i spraw ojczystych.

Posiedzenie majowe w r. 1820 wypełniła ciekawa sprawa rodowodu Kopernika, poruszona we Francyi i w Anglii, z powodu fałszerstwa, jakiego się usiłował dopuścić pewien pruski medalier oznaczeniem w wydawnictwie Zbioru medali znakomitych uczonych europejskich, Duranda, iż Kopernik z pochodzenia swego był Niemcem i jako taki, na medalu był wyobrażony i podpisany. W r. 1819 bawili w Paryżu dwaj młodzi polscy uczeni, Krzyżanowski i Karczewski, którzy dowiedziawszy się o takiem fałszerstwie, zwrócili się do Duranda z naglącem przedstawieniem, by oddał prawdzie sprawiedliwość należną i pruski medal Kopernikowy, ze zbioru wycofawszy, zastąpił medalem polskim, do czego potrzebnego funduszu sami byli gotowi dostarczyć. Durand uczynił owej prośbie zadosyć i polecił wybić medal na cześć Kopernika inny, z napisem właściwym, którego odbicie z bronzu Krzyżanowski nadesłał właśnie w maju Towarzystwu, z opisem całego wypadku, podanym w języku angielskim do pisma, w Dublinie podówczas wychodzącego (Liberalista).

Jednocześnie z usiłowaniami patryotów skierowanemi za granicą w obronie narodowości Kopernika, w obliczu Europy, w Warszawie dawno już dojrzewał plan wyboru najodpowiedniejszego miejsca dla pomnika wielkiego astronoma. Duszą owego projektu był Staszic. On to powziął zamiar umieszczenia owego pomnika przed gmachem nowym Towarzystwa, jako symbol wiedzy polskiej z ubiegłych wieków, upostaciowany w osobie jednego z najznakomitszych uczonych, jakich ludzkość kiedykolwiek wydala i jakim się chlubić miała prawo. Chodziło tylko o wykonanie owego pomnika w sposób zamierzonemu wielkiemu celowi najodpowiedniejszy. W tej mierze badawczy umysł Staszica powziął inicyatywę szczęśliwą do czego traf wyjątkowy podał mu pierwszą pobudkę. W owym właśnie czasie, Rząd krajowy, mając przyzwolenie Cesarza Aleksandra I, powziął zamiar wystawienia posągu księciu Józefowi Poniatowskiemu, na placu Saskim, w pośrodku, w miejscu na planie Warszawy Coriota oznaczonem. Do wykonania owego posągu powołano sławnego rzeźbiarza duńskiego Thorwaldsena, znanego dobrze polskiemu społeczeństwu. Kiedy bowiem w r. 1812 po ogłoszeniu w Warszawie konfederacyi generalnej, sejm zamierzył upamiętnić słowa Napoleona, zwrócono się do Thorwaldsena z prośbą o wykonanie Karyatyd, któreby podtrzymywały tablicę marmurową z wykutemi słowami Napoleona. Zanim jednak artysta dzieło to wykończył, nastąpiła katastrofa i karyatydy pozostały bez nabywców. Zakupił je następnie rząd duński dla umieszczenia po bokach tronu na Christiansborgu. Staszicowi wybór Thorwaldsena wydał się najwłaściwszym dla wykonania posągu Kopernika. Towarzystwo przyswoiło sobie myśl powyższą i szło

tylko o to, czy Thorwaldsen podejmie się kierunku tej roboty i wiele całe dzieło kosztować będzie? Przybycie Thorwaldsena do Warszawy opóźnionem zostało, a tymczasem składki na pomnik wpływały.

W 1820 r. w łonie Towarzystwa ujawniło się także pewne rozniamiętnienie i rozgoryczenie wywołane reskryptami o cenzurze z 1819 r. Reskrypta powyższe, kontrasygnowane przez ministra Stanisława Potockiego i Staszica, stały się źródłem niesnasek wewnętrznych i inwektyw, miotanych przeciw owym dygnitarzom przez opozycyę. Wśród Towarzystwa Przyjaciół Nauk, Staszic, Stanisław Potocki, Linde, Koźmian, Woronicz, Prażmowski, byli za cenzurą, zaś Niemcewicz, Lelewel, Krysiński, przeciw niej. Mimo to wewnętrzna gospodarka Towarzystwa szła trybem najnormalniejszym. W zaciszu swego mieszkania mógł Niemcewicz dogryzać Staszicowi jako mężowi stanu i miotać na niego na kartach swego pamiętnika srogie inwektywy. W obrębie gmachu na Kanoniach stawał się innym i innym stawał się dla niego Staszic, jako prezes grona naukowego. W rzędzie tych, którzy nie skąpili hołdów wielkiemu, pełnemu ofiarności obywatelowi, a których to hołdów wyrazem miał się stać niezadługo adres uznania, opatrzony podpisami wszystkich członków, na pierwszem miejscu bywał zawsze Niemcewicz.

W tymże roku, namiestnik Zajączek oświadczył Staszicowi, iż dawny dom Towarzystwa na Kanoniach może być kupiony przez rząd na użytek dworu królewskiego, coby ułatwiło wystawienie nowego gmachu, na który udzielonąby została pożyczka skarbowa. Staszic porozumiał się z kolegami, przyjął propozycyę i postanowił zażądać za dom 200,000 zł. p. W d. 28 września 1820 r. o godz. 2½ po południu na placu Akademicznym, w pobliżu św. Krzyża w Warszawie, zebrało się w komplecie grono członków Tow. Przyj. Nauk, gdzie Prezes Staszic założył kamień węgielny pod budowę nowego gmachu Towarzystwa. Godna jest uwagi ta okoliczność, że o tym ważnym fakcie ani jedno z pism ówczesnych nie uczyniło wzmianki. We wrześniu przybył do Warszawy Thorwaldsen. Towarzystwo zawarło z nim umowę, mocą której kawaler Thorwaldsen zobowiązał się ukończyć model żądany w przeciągu 1½ roku za wynagrodzeniem 2000 dukatów. Na uiszczenie należności słynnemu rzeźbiarzowi posiadało Towarzystwo niezbędny fundusz, lecz nie miało takowego na zapłacenie bronzu do odlania statui, na marmur potrzebny na podstawę i na opłacenie transportu z Rzymu do Warszawy. Na opłacenie tych wszystkich kosztów Staszic ofiarował ze swego majątku sto tysięcy, w tym celu aby mąż wielki Kopernik, cześć dla siebie od swoich ziomków otrzymał i zabezpieczony został od sąsiadów naszych, chcących go za swego ziomka przywłaszczyć sobie. Towarzystwo zapomniaw-

szy o wszelkich urazach politycznych, postanowiło oceniać Staszica wyłącznie, jako dobroczyńcę i kierownika swojego, wyrażając mu swoje uczucia na piśmie.

W r. 1821 zalecono do wyboru na członka Towarzystwa Fryderyka Skarbka, młodego uczonego, który właśnie w r. 1820 wydał w dwóch tomach „Gospodarstwa narodowego elementarne zasady“ i od 1818 r. wykładał ekonomię polityczną w uniwersytecie warszawskim. Skarbek odebrawszy wychowanie w liceum warszawskiem, wyjechał do Paryża na studya w kolegium tamecznem i zanim w licznych utworach literatury powieściowej i dramatycznej dał się poznać jako umysł wytworny, wrażliwy na piękno estetyczne, zasłynął pracami naukowemi, drukowanemi w Pamiętniku Warszawskim, które nań uwagę Towarzystwa zwróciły. Mniej życzliwą dla młodego profesora uniwersytetu okazała się arystokracya miejscowa, a nawet własny teść Skarbka. Uważali oni, że przyjęciem godności „bakałarza“ poniżył hrabiowską koronę. Na szczęście, innego przekonania była rozsądna małżonka młodego uczonego. Skarbek i Brodziński, który także został członkiem Towarzystwa, reprezentowali żywioł rewolucyjny w owem uczonem gronie; wprawdzie uosabiali oni ów pierwiastek nie w znaczeniu wywrotowem, politycznem, lecz w znaczeniu aspiracyi do wprowadzenia żywiołów zachowawczych Towarzystwa na drogę postępu, inicyatywy energiczniejszej, zgodniejszej i z rozwojem pojęć ogólniejszych społeczeństw zachodnich i z aspiracyami młodzieży dojrzalszej.

Skarbek podniósł w pierwszym swym głosie znaczenie Towarzystwa, jako Rzeczypospolitej, której kardynalnem zadaniem jest oświecanie ludzkości sprawiedliwem postępowaniem, prawdą w naukach i dociekaniach naukowych a władzą przewodnią i kierowniczą— mądrości. Na takim szemacie zamierzył Skarbek osnuć pierwszą swoją przemowę na zgromadzeniu publicznem, ale nie przewidział, że większość członków, a głównie Staszic, nie zgodzi się na takie, nieco konwentem francuskim trącące zasady. Na posiedzeniu d. 28 marca, gdy Skarbek czytał pierwszy rozdział swej rozprawy: O wpływie administracyi na oświecenie publiczne, będącej częścią obszernego dzieła, które właśnie w tym roku miało się ukazać w dwóch tomach p. t.: Gospodarstwo naukowe zastosowane, czyli nauka administracyi, ks. Staszic wynurzył opinię, iż należy z rozprawy Skarbka wykreślić ustępy zbyt śmiałe „we względzie politycznym“. Na wniosek ten obecni zgodzili się. Nie będzie bez interesu dla pokolenia żyjącego rzucić okiem na owe zakazane przez cenzurę Staszica z przed 80 laty ustępy, by się przekonać, że z takimi frazesami, jakich hr. Skarbkowi podówczas wygłosić nie dozwolono, dziś niemal codziennie

w pismach peryodycznych spotkać się można, bez obawy zakłócenia nimi porządku publicznego. Mówiąc o Rzeczypospolitej naukowej, podnosi Skarbek jej zalety w słowach: „nie dumna potęgą i świetnością ani chciwa władzy, szerzy ona rządy swoje tam tylko, gdzie oświaty potrzeba i gdzie jej ustawom oświecona ludność się poddaje. Nie lęka się ona ani napadu licznych hord obskurantów, ani zabiegów zwolenników ciemnoty, silniejsza nad władzę, która mocarstwa obala lub znosi, utrzymuje się i rośnie w znaczeniu i powadze, wśród walk namiętności ludzkich, wśród zaburzeń i zagłady państw i narodów i t. d.“ Oprócz pewnej górnolotności stylu, niepodobna w powyższych inkryminowanych frazesach, dopatrzeć się jakichś tendencyi szkodliwych, antipaństwowych. Lecz w epoce ogólnej reakcyi europejskiej, tego rodzaju opinje mogły być w rzeczy samej „nie na miejscu“ i przeciw nim to właśnie była skierowana Staszicowa cenzura.

Poruszona inicyatywą kanclerza Rumiancowa sprawa wydawnictwa Kodeksu Dogiela otrzymała w początkach maja 1821 r. nowy impuls w skutek ofiarowania materyalnej pomocy przez Waleryana hr. Krasińskiego, jedynego w rodzie Krasińskich wyznawcy kalwińskiej wiary. Staszic zawiązał z kanclerzem korespondencyę a Rumiancow wyraził listownie nadzieję, że zbiór Dogiela przekaże potomności pamiątkę dyplomatycznych układów dawnego Królestwa Polskiego, „auquel moi même, je m'honore d'appartenir par l'indigenat accordé a feu mon père“. W tymże roku członkowie Towarzystwa ujrzeli medal srebrny przesłany Fryderykowi Skarbkowi przez Towarzystwo Umiejętności w Haarlem za rozprawę uwieńczoną, na temat: „Czy wielka ilość ubogich, stawających się ciężarem niektórych państw europejskich, może być słusznie przypisana ludności przewyższającej możność jej utrzymania i, gdyby tak było, podać sposoby najlepsze i najzgodniejsze z zasadą moralności i zdrowej polityki, zaradzające dalszemu postępowaniu ludności, ażeby środki do utrzymania życia wystarczały dla wszystkich mieszkańców“.

Pracowicie i pożytecznie przeszedł Towarzystwu r. 1822 a 5 października 1823 r. zgromadzili się członkowie po raz pierwszy w nowym domu na Krakowskiem Przedmieściu. Inauguracya odbyła się bez żadnych wyjątkowych festynów i biesiad. Nie lubił Staszic manifestacyi hałaśliwych. Dla poważnych mężów nauki wszelki blichtr i pozory były rzeczą podrzędną. Unikali oni tak dobrze rozgłosu, że w dniu otwarcia nowego gmachu nie znajdujemy żadnej zgoła reporterskiej notatki w pismach czasowych ówczesnych. Gmach był stawiany przez utalentowanego Corazziego i stał się prawdziwą ozdobą miasta, a sale w nim przyozdobiono pamiątkami, które członkom Towarzystwa przypominały przeszłość i zachęcały ich do naukowej

pracy. Na roku 1823 kończy autor tom powyższy, a więc lat ośm pozostaje jeszcze do opisania. Istotnie w ciągu czterolecia drugiego które autor sumiennie opisał, działalność naukowa Towarzystwa wypełniała i rozszerzyła się na rozmaite dziedziny. W kierunku przyrodniczym zabłysnął Skrodzki, Dybek, Malcz, wśród wynalazców spotykamy się z dawnymi znajomymi: Sternem, Milem, nie wspominając już o historykach literatury, historykach politycznych, prawnikach lub ekonomistach. Dzieje Tow. Przyj. Nauk przedstawione w łączności z całym ruchem naukowym i politycznym krajowym, dają nam poczucie ówczesnej cywilizacyjnej atmosfery i rzucają na powyższą dobę światło bardzo cenne i pouczające.

Do dziejów czterolecia drugiego zakradło się parę drobnych opuszczeń, które rzetelnej wartości dzieła nie przynoszą ujmy. Pierwszem opuszczeniem jest brak w wyliczeniu prac Surowieckiego: Projektu oswobodzenia włościan, który został przez niego wydrukowanym w przededniu opublikowania Konstytucyi Księztwa Warszawskiego. Projekt powyższy idzie dalej w kierunku emancypacyjnym niż konstytucya w artykule 4 i dekreta Księcia Warszawskiego. Daje on też świadectwo trwałe i znakomite nie tylko umysłowi, ale charakterowi obywatelskiemu Surowieckiego. Wymieniając prace Aloizego Biernackiego, agronoma, autor opuścił również najwcześniejszą i najważniejszą ze wszystkich, p. t.: „O zamianie zaciągów na daniny zbożowe lub pieniądze“ (Wrocław, 1808). Biernacki pojmował, że zniesienie poddaństwa w Księztwie Warszawskiem było jednym z najważniejszych ówczesnych wypadków, wzywał obywatelstwo ziemskie do uszczęśliwienia swych włościan i ostrzegał, że bez ich skutecznego przyczynienia się, wsie, do których fantazya poetów wzdycha, będą u nas długo jeszcze siedliskiem nędzy, niewiadomości i najwyższej obojętności moralnej, nie tylko na dobro publiczne, ale nawet i na szczęście osobiste. Prócz tego Biernacki nie tylko broszurą swoją przyczynił się do podniesienia stanu rolnictwa w rodzinnym kraju. Za czasów bowiem Księztwa założył we własnej wiosce, Sulisławicach pod Kaliszem, szkołę rolniczą i ta funkcyonowała pożytecznie przez czas jakiś.

A. R.

GENERAŁ SZILDER. Cesarz Mikołaj I. Jego żywot i panowanie. Tom I. (z 252 ilustracyami, 1903).

Literatura historyczna rosyjska wzbogaconą została w roku bieżącym poważną pracą generała Szildera, pod powyżej przytoczonym tytułem. Autorowi nie było danem doczekać się wydania tomu pierwszego, swego obszernego dzieła, poświęconego panowaniu Mikołaja I. Przed śmiercią wydrukował jednakże w „Ruskoj Starinie“ wyjątki ze swej pracy p. t.: „Cesarz Mikołaj I i Polska“, z których to swego czasu zdawałem sprawę w łamach Biblioteki Warszawskiej. Tom I poświęcony żywotowi i panowaniu Mikołaja I, odznacza się temi samemi cennemi przymiotami, co i poprzednie dzieła Szildera, poświęcone panowaniu Pawła i Aleksandra I. Niezmierne bogactwo materyału, opowieść łatwa i zajmująca, rozumowanie proste, przekonywające, poczucie sprawiedliwości żywe, wolne od wszelkich tendencyi, gości tak samo w tomie I, traktującym o Mikołaju I, jak gościło dawniej w pracach o Pawle i Aleksandrze I. Spotykamy się tak samo w tegorocznem wydawnictwie z dawnym przepychem wydawniczym, a jeżeli do tego dodamy, że sprawy i stosunki polsko-rosyjskie, traktuje Szilder z dawną bezstronnością i poczuciem sprawiedliwości, to chyba będzie dostatecznem, ażeby ostatnie dzieło tego pisarza zainteresowało nasze społeczeństwo.

Szilder skreślił żywot Mikołaja I nadzwyczaj szczegółowy i rozpoczynający się od kolebki. Przy jego narodzinach w r. 1796 wyjątkowo nie znajdowała się babka, Katarzyna II, ale za to później poświęcała mu szczególną troskliwość i uwagę. W korespondencyi z Grimmem nadmieniała nieustannie o jakichś nadzwyczajnościach, które w malcu odkrywała. Imponowało to babce, że wnuk objawił wczesny gust do kaszki, że wszystkim śmiało w oczy patrzył, jednem słowem, znać było, że ów malec podbił serce babki i stał się dla niej wnukiem, pełnym nadzwyczajnej cudowności. Jedną z pierwszych nianiek-guwernantek była szkotka Lyon, która dziwnym zbiegiem okoliczności, znalazła się w Warszawie w r. 1794. Powstanie uliczne skierowane przeciwko Igelströmowi i wojskom rosyjskim nabawiło ją śmiertelnej trwogi i przyprawiło o czasową utratę wolności. Opowiadając małemu chłopczykowi o straszliwych przejściach, których była świadkiem, zaszczepiła ona w dziecinnym umyśle niechęć, uprzedzenie, jeżeli nie nienawiść do Polaków. Cesarz Mikołaj później niejednokrotnie powtarzał, że nie mógł się nigdy oswobodzić od wrażeń,

jakie na nim owe opowiadania miss Lyon sprawiły, choć jej samej nic złego się nie stało i wyszła cało, zarówno na ciele jak i na umyśle.

Wykształcenie odebrał W. Ks. Mikołaj nadzwyczaj staranne. Matka przewidując, że przyjdzie mu prawdopodobnie odegrać w Rossyi nadzwyczajną rolę nie pozwalała na najmniejsze zaniedbanie pod względem wychowania i wykształcenia i zapobiegała temu troskliwie, aby jednostronnie nie zajmowano młodzieńca wojskowością. W. Książęta Mikołaj wraz z Michałem oddawali się prawie wyłącznie bawieniu w żołnierzy i wyobrażali sobie że rubaszność i gruba natura jest nieodłączna od tego zawodu. Matka starała się wcześnie o to, ażeby owe młodzieńcze wyobrażenia nie pozostawiły jakiegoś niekorzystnego wpływu na ich charakter, zwłaszcza, że owe dziecinne bawienie się w żołnierzy dość często kończyło się niepożądanem starciem armii dziecinno-nieprzyjacielskich. Młody Mikołaj, ukończył nasamprzód tak zwane kursa gimnazyalne i w pracy objawiał dość staranności i poczucia obowiązku. Po ich ukończeniu musiał wysłuchać kursu uniwersyteckiego nauk i w epoce swego kształcenia się objawiał jedynie zdecydowany wstręt do łaciny, który go i później nie opuścił. Już jako Cesarz, wszystkie łacińskie książki z biblioteki w Ermitażu kazał usunąć, twierdząc, że są one jedynie niepożytecznym balastem.

W r. 1812 Mikołaj pragnął wstąpić do wojska i wziąć udział w narodowej wojnie przeciwko najeźdzcy. Matka zbyła chłodno jego prośbę, objaśniając go przy tej sposobności, że czekają go inne zadania w przyszłości. Niezaspokojony w swych patryotycznych aspiracyach, Mikołaj, zwrócił się z gorącą prośbą do swego starszego brata, cesarza Aleksandra; ten oszczędzając ambicye młodzieńcze, wytłómaczył mu zręcznie, że jeszcze czas właściwy nie nadszedł, ale wkrótce może odpowiedni moment nadejdzie. Mikołaj okazał bratu posłuszeństwo, ale wojna 1812 r. nie przestała go żywo zajmować. Założył się on z jedną z księżniczek o jednego rubla srebrem, że zanim się skończy rok 1812 ani jeden nieprzyjaciel nie pozostanie na obszarze Rossyi. Naturalnie, rubel wygrany, został mu uroczyście wypłaconym i stanowił dla niego wspaniałe trofeum w braku rzeczywistych, których mu osiągnąć niepozwolono.

W r. 1814, W. Ks. Mikołaj i Michał wyjechali za granicę, pod opieką sumienną i troskliwą generała Lamsdorfa. W Paryżu natrafili na czas, w którym rosyjskie mundury nie wzbudzały sympatycznego uczucia. Zwiedzając dom inwalidów, W. Ks. Mikołaj zapytał jednego z okaleczałych-inwalidów, gdzie otrzymał owe liczne blizny, które pokrywają jego ciało. Zapytany odpowiedział, że pod Berezyną urządzili go tak kozacy, ale nie pozostał im dłużnym, upa lli

razem z nim na śniegu, tylko że on powstał i przywlókł się do Francyi jako inwalida. Gdy Mikołaj opowiedział swą przygodną rozmowę z owym weteranem, cesarzowi Aleksandrowi, tenże zapragnął go zobaczyć i zakomunikował mu wiadomość, że właśnie pozwolił wszystkim jeńcom francuskim w Rosyi powrócić do swego rodzinnego kraju. Weteran ucieszył się bardzo z tej wiadomości, ale radził cesarzowi, aby o swem postanowieniu zawiadomił Napoleona, to otrzyma od niego stosowne podziękowanie. Zdumiony cesarz objaśnił weterana, że dzięki głównie jego wpływom, Burboni znajdują się na tronie Francyi, czem wywołał z jego strony bolesne narzekania, że obdarzył Francyę królem, który nie potrafi wsiąść na koń i że ostatecznie Francya nie może istnieć bez Napoleona. W r. 1815 wracając do Petersburga W. X. Mikołaj, zjechał się z cesarzem Aleksandrem w Berlinie i tam na obiedzie galowym obaj monarchowie oznajmili uroczyście współbiesiadnikom o nastąpionych zaręczynach W. K. Mikołaja z Karoliną, córką Fryderyka Wilhelma III. Ślub wszelakoż odbył się dopiero w 1817 r., a oblubienicę do Rossyi przeprowadzał ojciec w towarzystwie księcia Wilhelma, późniejszego cesarza Wilhelma I. Do orszaku weselnego dodano generała Natzmera, którego sekretnem zadaniem było zebrać jaknajdokładniejsze wiadomości o stanie wojsk i fortyfikacyi rosyjskich. Natzmer dał bardzo pochlebne świadectwo materyałowi żołnierskiemu, jaki posiadała armia rosyjska, co się jednak tycze generalitetu, to w nim dostrzegł poważne braki a o talencie i doświadczeniu Dybicza wcale nie nabrał nadzwyczajnych wyobrażeń.

W r. 1820 zaszła wielka zmiana w życiu W. X. Konstantego. Rozwód jego z pierwszą małżonką został nareszcie w rodzinie cesarskiej postanowiony i cesarzewicz, jak tylko go otrzymał, wziął w zamku królewskim w Warszawie ślub z hrabianką Grudzińską, najprzód w prawosławnym, a potem w katolickim kościele w obecności czterech świadków, generałów Kuruty, Albrechta, Knorringa i Bagawuta. Oblubienica otrzymała od cesarza tytuł księżnej Łowickiej z predykatem Jej Światłości i wkrótce po ślubie wszyscy dostrzegli, że lew został najkompletniej poskromiony przez gołębicę. Ślub jednakże cesarzewicza z Polką i katoliczką, wpłynął na powzięcie przezeń stanowczego zamiaru wyrzeczenia się tronu na korzyść W. X. Mikołaja. Cesarzewicz zwierzał się niejednokrotnie z podobnych projektów w przyszłości W. X. Michałowi. Wszyscy jednakże, których do tajemnicy dopuszczał, nie ufali bardzo stanowczości cesarzewicza i zdawało im się, że w danej chwili jeszcze się rozmyśli. Gdy jednak ślub nastąpił, cesarzewiczowi zdawało się, że stracił prawo do zaufania narodu i że małżonka stanowić będzie wiekui-

stą przeszkodę do tronu. Przeprowadziwszy też korrespondencyę z cesarzem Aleksandrem I, przesłał na jego ręce akt zrzeczenia się tronu na rzecz Mikołaja w r. 1822. Cesarz postanowił akt ten pozostawić w tajemnicy. Wiedział o nim książe Wilhelm pruski, książe Oranii, Karamzin i kilka urzędowych osobistości, ale najlepszym dowodem, iż go trzymano w tajemnicy, jest to, że nie wiedział o nim Dybicz, który był w wielkich łaskach u cesarza Aleksandra. Akt zrzeczenia się tronu dano jednak w odpisach do przechowania Filaretowi, metropolicie moskiewskiemu, a w Petersburgu przechowała odpis rada państwa, senat i świątobliwy synod.

W r. 1824 W. X. Mikołaj był użyty przez króla pruskiego, swego teścia za rodzaj pośrednika do cesarza Aleksandra. Na dworze Berlińskim stały się wówczas dwa wypadki, które mocno poruszyły opinię miejscową. Fryderyk Wilhelm III ożenił się z hr. Harrach, katoliczką, której nadał tytuł księżnej Lignitz i hrabiny Hohenzollern. Jakkolwiek śluby królewskie były tylko morganatycznemi i nie zagrażały w niczem sukcessyi tronu, to jednakże ze względu na to, iż oblubienica była katoliczką, sfery dworskie zostały mocno zaniepokojone i starały się odwieść króla od zamiaru. Fryderyk Wilhelm III polecił Mikołajowi I aby uprzedził dobrze cesarza Aleksandra względem swych zaślubin i to też W. Księciu udało się w zupełności. Drugi wypadek był jednak drażliwszej natury. Książe Wilhelm zakochał się w księżniczce Elżbiecie Radziwiłłównie i pragnął ją, jako osobę równego rodu (Ebenbürtig) pojąć w małżeństwo. Ponieważ późniejszy Fryderyk Wilhelm IV nie miał potomstwa, a więc Prussom, groził ten złowróżbny wypadek, że królową pruską mogła zostać w niedalekiej przyszłości polka i katoliczka. Postanowiono też na dworze pruskim poruszyć wszystko, aby podobną kombinacyę matrimonialną uniemożliwić. Tem bardziej trzeba było energicznie działać, gdyż na dworze pruskim istniało poważne stronnictwo, sprzyjające księżniczce Radziwiłłównie. Zdaje się nawet, że sam król nie bardzo był niechętnym podobnemu związkowi, a najpoważniejsi historycy prawa państwowego i prywatnego niemieckiego (Eichhorn) oświadczyli się za równorodnością Radziwiłłów z Hohenzollernami. W przeszłości mieli oni też wyraźne dowody na to, że zarzutu nierównorodności, Radziwiłłom, nie stawiano. Hohenzollern wziął dawniej Radziwiłłównę za prawowitą a nie morganatyczną małżonkę, tak samo jak i Radziwiłł pannę Hohenzollern. Dopiero późniejsze ustawy domu królewskiego pruskiego obostrzyły warunki równorodności w małżeństwie i skutkiem tego uznano związek księcia Wilhelma, z Elizą Radziwiłłówną za niemożliwy. Król pruski sprobował jeszcze jednego środka, ażeby księcia Wilhelma prze-

konać o swej wyrozumiałości i dobrych chęciach względem niego. Prosił on cesarza Aleksandra, ażeby on adoptował księżniczkę Radziwiłłównę. Cesarz Aleksander odmówił królowi pruskiemu żądanej adoptacyi, ale zdaje się, nawet gdyby się zgodził na uczynioną propozycyę nie byłby sporu ostatecznie załagodził, istniała bowiem szkoła prawników niemieckich, która utrzymywała, że adoptacya nie może zastąpić warunków naturalnych, czyli innemi słowy mówiąc, że księżniczka Eliza nie może w żaden sposób zostać królową pruską.

W r. 1825, podczas bytności swojej w Warszawie, cesarz Aleksander wynurzył się przed cesarzewiczem z zamiarami połączenia prowincyi dawniej do państwa polskiego należących z Królestwem Polskiem. Zamiary powyższe mają swoją osobną historyę, która została uwzględnioną w dziele Szildera Aleksandrowi I poświęconem. Że cesarz Aleksander I, nosił się istotnie z podobną myślą dowodzą tego mowy, któremi sejmy Królestwa otwierał, a zwłaszcza pierwszy w r. 1818. Urzeczywistnienie obietnic, odkładane zawsze na przyszłość, zdradzało jednak pewną chwiejność w postanowieniach cesarskich. Aleksander przeczuwał, że opinia narodu rosyjskiego będzie stanowczo przeciwną podobnemu połączeniu i Karamzin niedwuznacznie już to swemu monarsze wypowiedział. Naród rosyjski podzielał bezwiednie przekonanie Katarzyny II, która na propozycyę Herzberga, aby przyjęła tytuł królowej polskiej, odpowiedziała, że nigdy tego uczynić nie może, albowiem nie zajęła ani piędzi ziemi polskiej, tylko dzielnice rdzennie ruskie i litewskie, które zachowały zawsze swoją odrębność i samodzielność od polskich. Przez czas pewien zamiar połączenia prowincyi litewsko-ruskich z Królestwem Polskiem osłabł w cesarzu Aleksandrze. Miało to miejsce około 1820 r. ale podczas ostatniego swego pobytu w Warszawie, Aleksander I, zadowolony z przebiegu sejmu, kilkakrotnie dał poznać cesarzewiczowi, że pragnie dawne projekta urzeczywistnić, i w tym celu nadał korpusowi litewskiemu, barwy i hafty wojska polskiego. Cesarzewicz świadcząc później przed cesarzem Mikołajem I o powyższych rozmowach, dodawał nawet, że odbywały się one niekiedy w przytomności wyższych dygnitarzy cywilnych i wojskowych, tak, że nie były one wcale tajemnicą dla polskiego społeczeństwa.

Aleksander I, w ostatnich latach swego życia, powiadomiony był dokładnie o tajnych spiskach nurtujących w wojsku, a nawet w gwardyi rosyjskiej i dążących do niejasnych i nieokreślonych reform politycznych i społecznych. Cesarz Aleksander silnie był rozgoryczony i zniechęcony powyższemi objawami i niejednokrotnie objawiał zamiar cofnięcia się do życia prywatnego, przyczem zacisze wioskowe gdzieś nad Renem przedstawiało dla niego szczególny

urok. Zanim jednak którykolwiek z zamiarów Aleksandra, zdołał się przyoblec w rzeczywistość, nastąpiła śmierć cesarza w Taganrogu w 1825 r. W Petersburgu W. X. Mikołaj, nie chcąc nic wiedzieć o aktach abdykacyi, utrzymywanych w tajemnicy, złożył natychmiast przysięgę na wierność cesarzewiczowi, a co więcej, usilnie namawiał radę państwa, ażeby bezwłocznie postępowała jego śladami. To samo co W. X. Mikołaj, uczynił generał Miłoradowicz z garnizonem Petersburga, a ponieważ, jak się ów generał wyrażał „60,000 bagnetów siedziało u niego w kieszeni“ zdawało się, że nikt się powyższemu przykładowi nie oprze i wszyscy bez wyjątku złożą przysięgę na wierność cesarzewiczowi. Zwłaszcza rozumowanie Miłoradowicza, które podzielał W. X. Mikołaj, było proste i łudzące. Ustawy zasadnicze, zdaniem Miłoradowicza, wskazywały wyraźnie kto po śmierci Aleksandra ma zostać cesarzem. Temu więc bezwłocznie należało złożyć przysięgę na wierność, nieturbując się o to, czy są w tajemniczy sposób przechowane jakieś dokumenta, zmieniające porządek sukcesyjny. Naprzód elementarny obowiązek, a później będzie dość czasu na odszukanie dokumentów i zastanowienie się: co czynić wypada.

Rada państwa, senat, synod, to jest wszystkie instytucye cesarstwa, które miały przechowane w odpisach dokumenta zrzeczenia się cesarzewicza, sankcyonowane przez Aleksandra I, zwlekały ze złożeniem przysięgi. Chciały one zyskać na czasie i doczekać się ze strony cesarzewicza, stanowczego oświadczenia, któreby rozwiązało wszelkie wątpliwości i wyjaśniło skomplikowaną sytuacyę. Przytem wszystkie powyższe instytucye miały za sobą niewątpliwy zwyczaj prawny. Do przysięgi na wierność monarsze, przystępowały wszystkie instytucye cywilne i wojskowe, nie wtedy, gdy się im to zdawało stosownem, ale wówczas, gdy manifestem zostały przez nowego cesarza wezwane. Otóż w tym wypadku cesarzewicz nie wezwał ich do złożenia sobie przysięgi na wierność ale wprost przeciwnie, powoławszy się na dawne zrzeczenie, oświadczył najkategoryczniej, że brata swego Mikołaja uważa za cesarza i jemu też łącznie z wojskami polskiemi złożył przysięgę na wierność. Stanowczość cesarzewicza wpłynęła korzystnie na społeczeństwo petersburskie, a przedewszystkiem na władze państwowe i wojsko. Zanim jednakże W. X. Mikołaj zdołał ująć ster państwa w swe dłonie, wybuchnął spisek Dekabrystów, który szybko stłumiony został, energicznem wystąpieniem Mikołaja, kilkakrotnie życie swoje wystawiającego na poważne niebezpieczeństwo. Przebieg walk ulicznych, organizacyę samego spisku i główniejsze postacie dekabrystów, scharakteryzował generał Szilder gruntownie i wybornie. Cesarzewicz łudził się nadzieją, że

wojska polskie pozostały wolnemi od wszelkiego udziału w spisku, pokazało się niestety, że tak nie było, ale w każdym razie udział powyższy był podrzędny i cesarzewicz nie przestawał dowodzić swojemu bratu, że polakom zupełnie o co innego chodzi, choćby należeli nawet pozornie do jakichkolwiekbądź spisków. U nich jedynie na myśli jest sprawa „nationalitè“ i tylko w jej imieniu gotowi są spiskować do nieskończoności.

Szilder skreślił zaledwie pierwszy rok panowania Mikołaja I, a więc załatwił się w pełni jedynie z Dekabrystami. Autor odtworzył nam całe zachowanie się spiskowców przed sądem i opisał szczegółowo kaźń, jaka ich spotkała. Monarcha okazał się niewątpliwie dla nich surowym, ale uwzględniał sumiennie wszelkie okoliczności łagodzące i widocznem było, że pragnie być przedewszystkiem sprawiedliwym. Zaraz po wstąpieniu na tron Mikołaj I, rozpoczął korrespondencyę z cesarzewiczem, aby mu wyjaśnić, jakie stanowisko zajmie w sprawie polsko-rosyjskiej. Cesarz pragnął kwestyę postawić jasno, otwarcie, aby z dziedziny polityki usunąć wszelkie nieokreślone i nieujęte nadzieje. Aleksander I, niedomówionemi obietnicami podtrzymywał w polakach nadzieję połączenia litewsko-ruskich dzielnic z Królestwem Polskiem, ale czując niechęć, jaką społeczeństwo rosyjskie żywi dla powyższej kombinacyi politycznej, nigdy nie pomyślał na seryo o jej urzeczywistnieniu. Mikołaj I, tej niepewności i chwiejności w monarszych przekonaniach, chciał raz na zawsze tamę położyć. Nieokreślone i nie ujęte obietnice poprzednika, nieobowiązywały go do niczego. Wskrzeszone Królestwo Polskie, z jego organizacyą państwową i stosunkiem do Rosyi, przyjmował, jako porządek prawno-polityczny, pozostawiony mu przez Aleksandra I i gotów był go z całą lojalnością zachować i utrzymać. Do pewnego stopnia przyrzekał Mikołaj I być zarazem Rosyaninem i Polakiem, ale po za granicami Królestwa Polskiego zapominał o swoim polskim charakterze i pragnął, ażeby polacy nie liczyli w tym kierunku na żadne ustępstwo. Cesarz Mikołaj przeczuwał, że taką lojalnością nie zdobędzie sobie popularności wśród mieszkańców Królestwa, ale też w gruncie rzeczy nie dbał o nią wcale, a nawet nie wiele sobie robił z nienawiści za to, że nie spełniał życzeń narodowych polskich, byle tylko przyznano mu, że stoi na gruncie obowiązującego prawa państwowego i jest sprawiedliwym. W owej korrespondencyi, która przez długi czas była tajemnicą stanu, Cesarzewicz stał po stronie poglądów Aleksandra I i przekonywał cesarza Mikołaja I, że polacy mają pewne prawo oczekiwać po nim spełnienia obietnic poprzednika. Faktycznie jednak cesarzewicz oddawał polakom nienajlepsze usługi. Nikt w Królestwie nie domyślał się, że kraj ma takie-

go rzecznika w najważniejszej i najdonioślejszej sprawie narodowej, wszyscy natomiast byli przekonani, że samoistność Królestwa jest mocno zagrożona i że cesarzewicz może jedynie doradzać swemu bratu zniesienie rządów konstytucyjnych w Królestwie. Cesarza Mikołaja I obchodziły żywo sprawy Królestwa Polskiego. Śmierć księcia namiestnika Zajączka odczuł głęboko i nazwał ją „une perte irréparable", która go bardzo zasmuciła. Zajączek, zdaniem Szildera, należał do tych nielicznych mężów stanu polskich, którzy wytrwali wiernie w pragnieniu zbliżenia się do Rosyi i w chęci zgodnego, pokojowego z nią pożycia.

Z 252 illustracyi, zdobiących Tom I-szy świetnego owego wydawnictwa, tylko jedna przypomina, że Mikołaj I był zarazem koronowanym królem polskim i że panował nad państwem wskrzeszonem przez swego poprzednika. Illustracyą ową jest podobizna, dość nawet szczęśliwa, księżnej Łowickiej. Zresztą spotykamy pustkę, a przecież należałoby sobie przypomnieć, że książe Zajączek był namiestnikiem cesarza Mikołaja I i że nie ubliżonoby w niczem wydawnictwu zamieszczając podobiznę generała, który w Thiersa dziele Konsulatowi i Cesarstwu poświęconem, figuruje w rzędzie tych, którym pod Berezyną wielka armia zawdzięczała ocalenie swego honoru i istnienia. Nie posuwam dalej moich wymagań, stwierdzam jedynie fakt, że podobne pomijanie spraw Królestwa Polskiego nie daje pełnego obrazu żywota i panowania cesarza Mikołaja. Z źródeł polskich poznał Szilder dwie prace: 1) pamiętniki generała Kołaczkowskiego i 2) pracę Lisickiego, Wielopolskiemu poświęconą. Zdaje się, że wiedzy historycznej odnoszącej się do owej epoki, nie należało na tak skąpem źródle ograniczać. Po za tem jednak, spotykamy się w Tomie 1-szym ostatniej pracy generała Szildera, z tą samą wyrozumiałością i sprawiedliwością w sądzie, oraz przedmiotowością w badaniu stosunków rosyjsko-polskich, co i w pracach poprzednich. W tem dziele, zarówno jak i w poprzednich, panuje poszanowanie historycznej prawdy i żadna jednostronna tendencya, czy stronnicza namiętność nie znalazła do niego przystępu. W zamian za tak cenne przymioty, prace generała Szildera zdobędą sobie uznanie i po za granicami rosyjskiemi, a przedwczesny jego zgon wywoła żal nie tylko w łonie rosyjskiego społeczeństwa. W postaci generała Szildera straciła literatura historyczna rosyjska, męża sprawiedliwego, badacza gruntownego i sumiennego.

A. R.

JÓZEF WIŚNIOWSKI: Współczesna liryka polska. (Sprawozdanie dyr. gimn. w Jaśle, r. 1993).

Autor zastrzega się z góry, że nie chodziło mu o wyczerpanie materyału; wobec sprzecznych sądów o dzisiejszej sztuce, pragnął „rozpatrzeć się gruntownie i beznamiętnie“ w najistotniejszych przejawach jej i przyczynić się do rozświetlenia tych przejawów. Na samym końcu swej pracy wyznaje, że sumiennie przetrawił utwory wszystkich współczesnych poetów, korzystał ze wszystkich prac w tej materyi u nas ogłoszonych, głównie zaś „ze znakomitego dzieła“ Ign. Matuszewskiego: „Słowacki i nowa sztuka,“ które mu najwięcej pomogło do „zsyntetyzowania odniesionych wrażeń.“ Rozprawę swą, wcale obszerną, bo na 61 stronach druku zwykłej ósemki, podzielił na dwie części: w pierwszej przeprowadza genealogyę modernizmu, uważając Asnyka za pomost między naturalizmem a modernizmem, czyli neoromantyzmem, następnie wymienia różne objawy modernizmu, jak okkultyzm, spirytyzm, buddyzm, satanizm, różne cechy, jak beznadziejny pessymizm, pragnienie nirwany, ból, wizyonerstwo, subiektywizm i indywidualizm, subtelność, uduchowienie, głębię psychiczną, kult piękna, przerafinowanie chorobliwe i monotonne, anormalność, sztuczność i ekscentryczne wyodrębnienie się od tłumu, rozbrat z etyką i czynnikiem społecznym; dalej nastrojowość, symbolizm; zachwyca się wirtuozowstwem formy, porównuje modernizm z romantyzmem, usiłuje oczyścić najnowszą poezyę z zarzutu kosmopolityzmu, wreszcie wymienia długi szereg obcych nazwisk: Baudelaire'a, Belgijczyków, Wagnera, Shelleya, Poë, Nowalisa, Böcklina, praerafaelitów, Ruskina, Nietzsche'go i t. d., oświadczając: „Z wszystkich tych źródeł piliśmy pełną piersią“—ale stanęliśmy na własnym gruncie.

Cała ta część grzeszy brakiem ścisłości w definiowaniu, powierzchowną ogólnikowością i niemal zupełnie bezkrytycznym entuzjazmem dla modernizmu. To żadna zdobycz, że modernizm wyłonił się, jako konieczna reakcya z naturalizmu; lecz jak się wyłaniał, śród jakich walk i wpływów, jakim ulegał i ulega przemianom i hasłom? Odpowiedź na te pytania, jasna i wyczerpująca, byłaby zasługą znaczną, ale wymagała gruntownego i pracowitego obeznania się z całem piśmiennictwem naszem i obcem ostatnich lat 20. Epiteta dodane do Asnyka: „wulkaniczny, kipiący, królewski, kryształowy, górny, bujny, mistyczny“ i t. d. — to próżna gadanina, podobnie jak

owe „zioła, egzotyczne kwiaty, trawy, liany, skowronki, słowiki, orły i plejady kanarków," które autor widzi na naszym Parnasie. Jeżeli chodziło o oczyszczenie modernistów z zarzutu, że pogrążyli się w „pessymizm wprost beznadziejny," że pragną nirwany, że są znużeni, znudzeni i rozpieszczeni: to takiem oczyszczeniem nie jest odwołanie się na ból „nad wszystkiem" załamujący ręce i dziwne twierdzenie autora, że przez ten ból „nad wszystkiem załamujący ręce" ta poezya „jest taka droga i czysta." Należało owe bóle poddać krytycznej analizie i wykazać, że nie są one skarlałe, niedołężne, zblazowane, że nie wypłynęły z nikczemnego zabójstwa ducha, któremu przez nadużycia moralne i fizyczne obcięło się skrzydła uczuć mocnych i mężnych. Są bóle pod względem estetycznym wstrętne.

„Wszyscy młodzi — pisze autor — to wizyonerzy, wpatrzeni w mistyczne jakieś potęgi. D l a t e g o nie trzebaby mieć duszy, aby takiej poezyi nie odczuć i nie ukochać." Ależ można odczuć, a nie ukochać! Wizyonerstwo zaś i mistycyzm nie uzasadniają pretensyi do panowania nad sercami ludzkiemi. Serca ludzkie zdobywają tylko ci, którzy czują i cierpią z ludźmi i do tego wizyonerstwa nie potrzeba. Nie wyjaśnia autor stosunku poezyi modernistycznej do realnego świata zjawisk: raz mówi o jej „zupełnem niemal zamknięciu oczu na rzeczywistość konkretną," drugi raz twierdzi, że najnowsza sztuka „nie zrywa z obserwacyą realistyczną." Zarzut kosmopolityzmu, czyniony modernistom, nazywa „zupełnie niesłusznym," a popiera swoje twierdzenie śmiesznem w swej nadętej wyniosłości zdaniu: „Uskrzydlony mistycyzm jest zbyt wyniosły, by miał zawierać pakt z przyziemnym światem!" Przyznajemy się, że dla nas, prostaków, ten pityjskim tonem wygłoszony argument wydaje się... naiwnym. Szkoda, że porównanie modernizmu z romantyzmem wypadło tak pobieżnie, mogło bowiem być pouczającem; za błąd również trzeba uważać, że ustęp o źródłach obcych nie znalazł organicznego związku z wyłuszczeniem genezy modernizmu.

Część drugą rozprawy, znacznie słabszą jeszcze, poświęca autor wyliczeniu całego szeregu najnowszych naszych poetów. Dzieli ich wszystkich na fantastyczne grupy i zaopatruje szeregami ogólnikowych epitetów. A więc do grupy „N a s t a r ą n u t ę" należą: poważny Faleński, „czysty, jak łza," Gomulicki, wdzięczny, miękki i bardzo „przyjemnie kołyszący" Or—ot, typowy epigon romantyzmu K. Gliński, bezwybuchowy Cz. Jankowski, „zbyt wielki realista, by olśnić lub zachwycić" St. Rossowski, zbliżający się do młodych St. J. Wierzbicki, nieczuły na nowe kierunki L. Rydel, wycyzelowany parnasista K. Górski i t. d. W grupie „Q u i a m a n t" wymienieni: kobieta-Tyrteusz M. Konopnicka, żywiołowy i rozpęta-

ny Fr. H. Nowicki, namiętnego temperamentu i wichrowy A. Niemojewski, „silny gigant-duch, syn ziemi, wielki nad wielkie, potężny“ i t. d. Jan Kasprowicz; śpiewak podkarpackiej ziemi, Orkan. W grupie: „K r u k p e s s y m i z m u. E v o e B a c c h e!“ znalazł się—rzecz szczególna—tylko Przerwa-Tetmajer. Nie brak zato „C z c i c i e l i p i ę k n a.“ Na czele Miriam, zaopatrzony całą armią epitetów, jak „prosty, świetlany, czasem wzniosły, poważny, głęboki, czasem blady, mało porywający, pełen rozwagi, erudyt, pełen smaku, nieporównany wirtuoz, analityk, refleksyonista, chłodny czasem i t. d., i t. d. Antoni Lange, wirtuoz, oddający nastroje niejasne, nieuchwytne, symboliczne, mgliste, miękkie, sielskie, idylliczne; czasem wątpiący, czasem ufający, tęskny, podniosły, marzycielski i t. d. Jerzy Żuławski, „urodzony“ pesymista, „prawdziwy“ panteista, „wielki“ refleksyonista, „zbyt mało“ liryczny, a jednak „ogromny“ entuzyasta, „zbyt patosowy,“ ale „zawsze“ twórca niepospolity... Zofia Jankowska, „nieujęta,“ „nieuchwytna,“ mglista, wytworna, melancholijna, kołysząca, upajająca, odurzająca, oszałamiająca. Ludwik Szczepański, który byłby podobny do trubadura, gdyby nie „zgrzyt;“ ten zaś „zgrzyt“ świadczyłby o przesycie i znużeniu, gdyby nie „energiczne nie!“ Tu zaliczeni także: „mgławicowy fantasta-symbolik“ Jellenta, „wirtuoz zawsze zdala od ziemi i jej praw“ Brzozowski, „krytyk-impresyonista, nirwany pragnący“ Stem Komornicka, która „pragnie i gardzi,“ najbardziej zaś pragnie „zrzucić pęta ciała,“ a ponieważ „biedna“ nie może, więc „błądzi;“ „znużone i blade dziecię wieku,“ bolesny i nieuleczalny Perzyński; cierpiący na przeczulicę nerwów, w czarnej rozpaczy pogrążony, „typowy“ indywidualista, mglisty, chaotyczny, czasem ciemny, ale „miły,“ gdy się uśmiechnie, Mirandolla; odznaczająca się „pulsacyą krwi“ Zawistowska; wirtuoz i nastrojowiec pełen melancholii Dębski, „łkająca trochę gorzko,“ z „bezsilną“ duszą—Wolska; melancholii pełen nastrojowiec, wirtuoz, także z „bezsilną“ duszą Wyrzykowski; mistyczny Wolski; „wrażliwy“ nastrojowiec — Lieder; niezbyt lotny nastrojowiec — Szukiewicz; „czysty“ nastrojowiec—Pietrzycki; „poeta-dziecko“—Zbierzchowski; „wesoły“ nastrojowiec—Adamowicz; „zatopiona w mgłach“—Ostrowska; „płaczący rzewnie“—Łada.

Rzecz dziwna, że najczęściej powtarzają się przymiotniki: mglisty, ciemny, łzawy, oderwany od ziemi, gardzący życiem—ale zawsze w znaczeniu najwyższych pochwał. Gdyby one były prawdziwe, to byłoby i dla nich i dla społeczeństwa pożyteczne -- odprawić te „mgliste,“ „płaczące“ i „pragnące nirwany“ dzieciątka do pracy w pocie czoła, aby przestały tak kwilić nad sobą, a nabyły więcej hartu, oraz wiary w sens życia. Sądzimy jednak, że autor w naj-

lepszej myśli przeholował i nie wyświadczył żadnej usługi uwielbianym poetom. Dalszą etyką jest D e k a d e n t y z m: tu mieści się Przybyszewski, który wszystkie grzechy swej poezyi, nawet kosmopolityzm, okupił czarującem arcydziełem „Nad morzem:“ tu należy także Sterling, Pieńkowski i Lewandowski. Wreszcie pod napisem M o c znajdujemy Daniłowskiego, Staffa i Micińskiego. Na końcu, już bez etykiety, z domyślną chyba „P i ł a t w c r e d o“ — Edward Porębowicz!

M. Mazanowski.

El (KAZIMIERZ LASKOWSKI). Melodye, Warszawa, Gebetgner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1903, 12° str. 200, cena rb. 1.

Znanym jest piosenkarzem p. Laskowski i lubionym. Podoba się nuta śpiewna, raz tęskna, to znowu dziarska i zadzierżysta jego piosenek; podoba się łagodny półcień tęsknoty, podzwaniającej niekiedy w jego śpiewkach; chwyta za serce gorąca miłość ludu, którego rytmikę, obrazowanie, mowę nawet potrafi El tak doskonale naśladować. A przedewszystkiem wprowadza w podziw nadzwyczajna, wprost niebywała łatwość wierszowania. To jest właśnie jeden z najcelniejszych przymiotów Ela, ale to jest zarazem jego wada.

Nieraz też błahe są przedmioty piosenek „miejskich“, brukowych. Już bo El mieszczuchem nigdy nie zostanie! urodził się na wsi, wśród ludu, który, jak mówi, był jego „jedynem kochaniem“ i tam w karczmie, w zawisistej czapce baraniej i w tym pasie z kółeczkami czuje się jak u siebie, ale na „miastowego“ w krótkim spencerku i czapeczce z daszkiem nie zdał się wcale. Zostawiłby to lepiej takim łykom, jak Or-Ot, jak Gomulicki, których też w znacznej mierze naśladuje, jak w wierszykach, niezbyt udatnych, o expodsędku, o studencie-prawniku, o dwu szewcach, Rochu i Marku, o zabawach tanecznych w różnych lokalach jakiejś kamienicy warszawskiej.

Nie światowy to człowiek i damom łakoci wierszowanych rzucać nie umie, jak Asnyk, którego tu sobie obrał za mistrza; utwory jego erotyczne za mało mają czaru poezyi, aby opromienić to, co jest brzydkie, za mało też siły namiętności, coby nam kazała zapomnieć o brzydocie! A niech no zacznie stylizować te dusery, gotów przerazić spokojną warszawiankę takimi zwrotami, jak „podrobionych uczuć czek“, lub „twych źrenic kapitele“.

Ale to darmo! El „szlifibrukiem“ ani bawidamkiem salonowym nigdy nie zostanie! Jego dziedzina to pola szerokie, potoki srebrzyste, chaty niskie i zgrzebne odzienie. Nic to, że jego Lore-Ley kąpie się raz na rok, a myje raz w tygodniu, a od przodownicy Marysi w żniwa pot ciecze po gorsecie—tu te efekty naturalistyczne są zupełnie na miejscu. I tu dopiero El jest w swoim żywiole, i tu talent jego jaśnieje prawdziwie. Słuchaćby tylko jego piosenek, oto pierwszą z brzegu.

Za orle skrzydła
Sławy mgłę!
Za ugwiażdżone tło rozbrzasków!
Nie dałbym jednej
Grudki! nie!
Rodzinnych piasków!

Albo tej innej, tak przedziwnej w swojej melodyjności:

Chcesz piosenek mych, dziewczyno!
Mych piosnek chcesz?
Oczkiem swem skrzesz!
Popłyną!
Że choć garścią bierz
Malino!
Że choć garścią bierz!
Zerknij ładnie z pod fartuszka
Aż do serca wskróś!
A zaśpiewam coś do uszka!
Tylko zerknij z pod fartuszka,
Aż wgłąb serca! wskroś!

Ale więcej ich jest; nie sposób wszystkich przytoczyć. Musiałoby się tylko pod każdą piosenkę melodyę podłożyć, a poszłaby po rosie.

Sympatyczny talent p. Laskowskiego, tak żywo przypominający naszych „lirników“ i „teorbanistów romantycznych, rozwijałby się o wiele pomyślniej i o wiele piękniejsze dawałby owoce, gdyby rymowanie—nie przychodziło mu z taką łatwością. A co będzie, jeśli prócz nuty nic nie zostanie ni dla serca, ni dla wyobraźni? Powinien autor „Piosenek“ gorąco wziąć do serca tę starożytnych Rzymian przestrogę: *non multa sed multum*, nie wiele, ale dobrze. P. Laskowski nadużywa łatwości wierszowania, czaruje nią słuchaczy, nie troszcząc się nieraz, by wartość piosenki godna była formy. On zawsze

i wszędzie, w każdej okoliczności życia gotów rymować, niema przedmiotu, któryby nie potrafił przyodziać w skoczną nutę krakowiaka; nic nie jest za błahe, za małe, za prozaiczne dla jego skrzypicy. O czem kto inny napisze sążnisty artykuł wstępny, lub wabny lekkością stylu felieton, to u Ela składa się niby samo od niechcenia w dźwięczne rysy i układa się symetrycznie w rytm kujawiaka. Wierzymy chętnie, że gdyby p. Laskowski pisał wierszem notatnik terminowy w „Kuryerze“ lub ceny targowe i cedułę, czytalibyśmy z przyjemnością, bo te śpiewki byłyby tak melodyjne!

Czy na Nowy Rok, czy na adwent, czy na Zaduszki lub na Boże Narodzenie, czy z powodu jakiegoś balu dobroczynnego, czy też nadchodzącej „fatalnej czternastki“, El zawsze ma gotową piosenkę. Imieniny Prusa nadejdą, czy staremu Kostrzewskiemu wypadnie coś przyjemnego powiedzieć, czy wreszcie zdarzy się jubileusz Konopnickiej, El zawsze ma w zanadrzu piosenkę. A zawsze zgrabną, i miłą, i śpiewną. Ale często bez treści.

Henryk Galle.

WACŁAW GĄSIOROWSKI. Rok 1809, powieść historyczna z epoki napoleońskiej, tom I i II, Lwów, nakładem „Słowa Polskiego“, 1903. 8 o, str. 364 i 268.

Utwory napoleońskie p. Gąsiorowskiego, roszczą sobie pretensye do miana wielkich obrazów doniosłych wypadków historycznych; pretensya to niczem nieuzasadniona. Powieści bowiem historyczne autora „Pigularza“ możemy uważać jedynie za mniej więcej udatne ilustracye ważniejszych momentów epopei napoleońskiej. I pod tym względem „Rok 1809“ w niczem nie odrodził się od swoich poprzedników: „Huraganu“, Kajetana Stuarta“ i „Rapsodów napoleońskich“. Talent p. Gąsiorowskiego wcale tu nie postąpił, owszem, najwidoczniej wyczerpał się doszczętnie już w „Huraganie“, bo w niniejszej powieści nie dał nic takiego, czegoby w tamtych utworach nie było. A więc akcyę zmyśloną, osnuwającą się, jak tam, około jakiegoś bohaterskiego młodzieńca, jak w „Huraganie“ Gotartowskiego, pełną przygód nadzwyczajnych i niebezpiecznych; a więc obok tego tło dziejowe, wielkie wypadki owoczesne, Raszyn, wkroczenie Austryaków do Warszawy,

zajęcie Galicyi przez wojska polskie, wreszcie bitwę pod Wagram, gdzie Polacy, pozostający pod rozkazami Napoleona, walczyli przeciw Polakom z szeregów austryackich. I na tem się kończy. Ostatniego aktu tej tragedyi dziejowej, któryby stanowił właściwe rozwiązanie powieści, przyłączenia Galicyi do Księstwa Warszawskiego niema tu wcale. Powieść więc nie kończy się, ale urywa. Wogóle budowa utworu bardzo niedołężna. Z początku rzecz zaciekawia; zawiązek jest dość zręczny, akcya toczy się wartko, coraz szersze zatacza kręgi, ale wyczerpuje się już w końcu drugiego tomu. Dalsze więc przygody bohatera są już piętrzeniem nadzwyczajności i niespodzianych efektów, luźnie związanych. I tu jednak akcya nie wyczerpuje się, bo koniec powieści pozostawia nas w niepewności co do dalszych losów bohatera. Mogła się więc powieść skończyć o tom wcześniej, lub o dwa tomy później, dowolnie.

Przytem dwa pierwiastki zasadnicze utworu: akcya dziejowa i akcya zmyślona, nie są związane dość zręcznie, wielkie wypadki historyczne wydają się dowolnie doczepionymi do intrygi, a traktowane rozwlekle i drobiazgowo, stanowczo wychodzą po za ramę koniecznego tła dziejowego, przyćmiewają swoim ogromem i bohatera i jego losy.

Gdybyż jeszcze te wypadki były odtworzone artystycznie! Obrazy dziejowe p. Gąsiorowskiego posiadają jeden tylko warunek twórczości, żywość, ale brak im zupełnie niezbędnej malowniczości. Te bitwy, których tyle we wszystkich tych powieściach napoleońskich, tak płaskie i bezbarwne, a wszystkie do siebie podobne, a żadna z nich nie czaruje wyobraźni, nie uplastycznia wypadków dziejowych.

Wreszcie, postacie epizodyczne są tu kubek w kubek te same, co w „Huraganie“: stare wiarusy, ze złotem sercem, tubalnym głosem, siarczystem przekleństwem na ustach, o nieustraszonej odwadze i rubaszności obrazowej. To już poprostu przerasta w manierę.

„Rok 1809“, jak i „Huragan“, czyta się mimo to wszystko z zajęciem, bo sam przedmiot jest tak świetny i tak drogi każdemu sercu.

Henryk Galle.

MARYA KONOPNICKA: Na jagody! Książeczka leśna. Warszawa. Nakładem J. Lisowskiej.

Literatura dla dzieci, na ogół biorąc, jest u nas rozwinięta dość słabo. Przyczyna tego wiąże się niewątpliwie ze znamiennym dla naszych stosunków faktem uchylania się wszystkich wybitniejszych talentów pisarskich od tej pracy, uważanej za niewdzięczną. Nie przesądzam w tej chwili, o ile to jest słuszne, lub nie. Zaznaczam jedynie, ze wybitni poeci i wybitni powieściopisarze nie zniżają u nas swej twórczości do poziomu świata dziecięcego, a jeżeli to robią, to niezmiernie rzadko. Takim rzadkim wyjątkiem wśród grona pisarzy współczesnych jest Marya Konopnicka, która w bogatym dorobku swoim, obok arcydzieł takich, jak „Pan Balcer w Brazylii“ i ostatnie utwory włoskie z cyklu „Italia“, ma cały szereg drobnych książeczek, pisanych specyalnie dla dzieci.

Może to, że poetka jest kobietą i matką, pozwala jej rozumieć i kochać świat dziecięcy lepiej od innych, może zaś tylko prawdziwy i przedziwny jej talent, obejmujący wszystko, i na tem polu bez trudu odbywa pochód zwycięski, dość, że utwory Konopnickiej dla dzieci wysunęły się od lat kilku na czoło naszej literatury „gwiazdkowej“, i budzą za każdem ukazaniem się swojem szczere zadowolenie rodziców i — naturalnie — ogromny zachwyt wśród dzieci.

Konopnicka, jak mało kto, umie do nich przemawiać, umie im opowiadać, umie wejść w ich światek i wspólnie z niemi oglądać tam rozmaite dziwy, tłómacząc je przystępnie i właściwie. A czyni to wszystko przy pomocy pięknego, potoczystego wiersza, który płynie z pod jej pióra z niezmierną łatwością.

Oto jak poetka zaczyna swoją „Książeczkę leśną“:

„Tuż nad Bugiem, z lewej strony, stoi wielki bór zielony. Noc go kryje skrzydłem kruczem, świt otwiera srebrnym kluczem, a zachodu łuna złota, zatrzaskuje jasne wrota. Nikt wam tego nie opowie, moje panie i panowie jakie tam ogromne drzewa, ile ptaszyn na nich śpiewa, jakie kwiatów cudne rody, jakie modre w strugach wody, jak dąb w szumach z wichrem gada, jakie bajki opowiada“ itd.

Tak równo, gładko i pięknie, toczy się cała opowieść, mająca za temat przygody małego Janka, który wybrał się do boru po jagody i tam spotkał „króla jagodowego“, Krasnoludka, który mu państwo swoje pokazał, zapoznał go z królewiętami i wtajemniczył w cuda boru.

Cała rzecz, doskonale utrzymana w tonie, robi wrażenie niezmiernie miłe, co, w połączeniu z udatnemi i starannie wykonanemi ilustracyami, składa się na całość wprost wyjątkowo ładną. Mimowoli też nasuwa się pod pióro uwaga, że tak właśnie należy pisać i wydawać książki dla dzieci, o ile mają one odpowiadać swojemu celowi, t. j. łączyć piękne z pożytecznem, kształcić smak dobry i rozwijać umysł.

Z. D.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Czytelnicy nasi pamiętają niewątpliwie to, co przed kilku miesiącami pisaliśmy na tem miejscu o stosunku prasy warszawskiej do prowincyi. Ostrym naszym uwagom ówczesnym nie zaprzeczono z żadnej strony, co poniekąd stanowić może dowód bardzo pocieszającego faktu, że prasa poczuwała się do winy w tym względzie. Czy tak było istotnie? tego nie przesądzamy, z niekłamaną jednak radością notujemy obudzenie się w dziennikarstwie warszawskiem świadomości potrzeby poważnego, publicystycznego traktowania spraw prowincyonalnych, świadomości, która wieje z ogłoszonej w pierwszych dniach stycznia r. b. ankiety „Kuryera Warszawskiego". Z artykułu, poświęconego przez redakcyę tej sprawie, dowiadujemy się, że „Kuryer Warszawski", celem lepszego poznania potrzeb prowincyi, organizuje szeroką akcyę wywiadowczą.

Warszawa — czytamy w zapowiedzi ankiety — koncentruje całą niemal uwagę publicystyki i kół, chętnych do podejmowania pracy społecznej, oraz wszystkie nasze wysiłki kulturalne. Wskutek tego Warszawa poniekąd dostraja się, zarówno w postaci zewnętrznej, jak swemi instytucyami, do poziomu wielkich miast europejskich. Co innego prowincya. Miasta gubernialne i powiatowe pozbawione są bruków, światła, kanalizacji, wody, dobrej komunikacyi, czystych hotelów, tanich kąpieli, szpitalów, przytułków, ochron, służby zdrowia. Miasteczka zaś toną w błocie i ciemnościach, mają wodę zatrutą, domy na poły zrujnowane, dachy dziurawe, okna powybijane, ulice, rojące się od krów i świń, rynki zagnojone. Produkty spożywcze są sprzedawane w obrzydłych sklepach, straganv stoją na nawozie, pieczywo, wygniecione rękami setek spożywców, piekarnie, urządzone razem z sypialniami, łaźnie zakażone, kąpiele, oblazłe robactwem, mięso o podejrzanem pochodzeniu, piwo skwaśniałe, mleko niepewne, pomoc lekarska w ręku felczerów i owczarzów, szpitalów brak, ochronek brak, przytułki na cmentarzach, cmentarze w środku miasta i t. d. Na tem tle rojowisko ludności niechlujnej, bladej

i wynędzniałej, zacofanej i ciemnej, do której niema przystępu żadna chęć uczynienia życia lżejszem, jaśniejszem i bardziej ludzkiem.

Tak wygląda prowincya miejska.

A wieś?

Wieś ma pozory lepsze, ale treść taką samą. I tu brak elementarnych instytucyj kulturalnych, ekonomicznych i fachowych, i tu zacofanie ukazuje swoje straszne oblicze.

W tak opłakanych warunkach istnienia inteligencya usycha; ludzie, pragnący wygodniejszego życia, unikają prowincyi, reszta zaś pogrąża się w apatycznem, mechanicznem zarobkowaniu, nie widząc żadnych sposobów polepszenia położenia.

W ostatnich kilku latach widzimy jednak znamiona pewnej reakcyi przeciw obecnemu stanowi rzeczy. Najpierw ruszyły się inteligentne żywioły wiejskie, mówiąc prościej—rolnicy. Jęli się oni bardzo energicznie, z uznania godną sprawnością, do zakładania spółek rolniczych i handlowych stowarzyszeń współdzielczych. W instytucyach tych rozwinęli dzielną akcyę, mającą na celu podniesienie fachowe i ekonomiczne swego zawodu. Z wielką czujnością strzegli swego obowiązku podnoszenia wytwórczości krajowej, wysyłając delegatów na zjazdy ogólniejsze, badając stosunki rolnicze w krajach o wyższej kulturze, informując sfery miarodajne o potrzebach wsi. I włościanie nie pozostali za tym ruchem zbyt daleko w tyle. Rozwija tię wśród nich i wykształcenie zawodowe, i popęd do pracy współkowej, mającej na uwadze wzrost wypłodności ziemi, ułatwienia handlowe i rozszerzenie pojęć o racyonalnej gospodarce. Nawet na obszernem polu oświaty, komunikacyj i instytucyj humanitarnych szerzą się dowody, że wieś nasza pragnie podnieść swój stopień cywilizacyjny i potrzeby swe w sposób wyższy zaspakajać. Co się tyczy większych miast prowincyonalnych, nie czynią one tyle, ile powinny, niemniej wszakże i tam znać pewien ruch. Łódź, Płock, Częstochowa, Lublin, Radom i inne podejmują cały szereg robót publicznych, że wymienimy np. oświetlenie i kanalizacyę, organizują instytucye kredytowe, starają się o rozwój instytucyj społecznych.

Wymowny wyraz temu obudzeniu się inteligencyi prowincyonalnej dał odbyty w kwietniu r. ub. zjazd hygieniczny, który zgromadził bardzo znaczną liczbę członków Tow. hygienicznego z pośród lekarzy i inżenierów, aptekarzy, ziemian i innych. Referaty były celowe i pełne treści, zupełnie pozbawione cech przygodności, a narady ujawniły czujność członków zjazdu na potrzeby prowincyi, oraz dokładną ich znajomość.

Można tedy śmiało powiedzieć, że stoimy teraz w obliczu bardzo poważnych zagadnień, obchodzących teraźniejsze i przyszłe pokolenia w najwyższym stopniu. Oceniając to, redakcya „Kuryera Warszawskiego“ przyznaje w imieniu publicystyki polskiej, że nie zawsze jest ona w możności należycie spełnić ciążące na niej zadania informacyjno-doradcze, zwłaszcza, kiedy chodzi o aktualne sprawy bieżące.

„Brak poważnych sił współpracowniczych na prowincyi, trudność zebrania materyałów statystycznych, pewna zamkniętość prowincyonalnych ruchów społecznych, oddalenie od wielu okolic kraju—te i tym podobne przyczyny sprawiają, że o życiu prowincyonalnem dochodzą nas tylko wiadomości ułamkowe i przeważnie z fali powierzchownej zebrane. Wewnętrzna treść tego życia i jego ruch istotny, tak samo, jak świeży, na gorącym uczynku schwytany rozwój stosunków, usuwają się często z pod naszej uwagi—zaznacza redakcya „Kuryera“ i oświadcza, że, pragnąc temu zaradzić „umyśliła zetknąć się osobiście z życiem prowincyi“.

Jestto postanowienie zupełnie zgodne z tem, do czego doszliśmy omawiając tę sprawę przed kilku miesiącami w naszej „Kronice“ i dlatego prawdziwie nas cieszy fakt, że ten postulat, nietylko znalazł odgłos, ale w tak krótkim stosunkowo przeciągu czasu ma widoki na urzeczywistnienie.

Zobaczmy teraz, jak redakcya „Kuryera“ zamierza zabrać się do rzeczy?

„W ciągu roku bieżącego—czytamy w dalszym ciągu artykułu „Czego potrzebuje prowincya?“—do wszystkich większych miast w Królestwie, jak gubernialne oraz przemysłowe (Łódź, Częstochowa, Sosnowiec i inne) będziemy wysyłali kolejno specyalnych delegatów, którzy bezpośrednio, z ust głównych przedstawicieli życia gospodarczego, społecznego i umysłowego miejscowego zaczerpną dane i informacye o stanie i potrzebach bieżących miasta i okolicy Przedstawiciel rolników powie nam o potrzebach rolnictwa, przedstawiciel instytucyi kredytowej—o potrzebach kredytowych, lekarz i aptekarz — o hygienie, inżynier i przemysłowiec — o komunikacyach, duchowieństwo i inteligencya miejscowa—o moralności, rzemieślnik—o rzemiośle i t. d. W ten sposób liczymy na to, że dowiemy się z ust najkompetentniejszych i najbardziej zainteresowanych żywej, bezpośredniej prawdy.

Każdy z delegatów naszych, po powrocie z wycieczki swojej, zda z niej sprawę przed czytelnikami „Kuryera“ w jednym referacie, aby całość miejscowych potrzeb oraz ich współzależność uwidoczniły się łatwo i wyraźnie. Spodziewamy się, że wywiady naszych dele-

gatów, którzy, nie potrzebujemy chyba nadmieniać, kierować się będą zupełną bezstronnością, spotkają się z życzliwem poparciem inteligencyi miejscowej, a w ten sposób będzie załatwiona cząstka ciążącego na nas obowiązku publicystycznego i spełniona cząstka informacyjnej pracy publicznej, bez której żadna szersza akcya społeczna udać się nie może".

Na pierwszy ogień ankiety wybrano Łódź, jako miasto „wielkie i rozwijające się energicznie, a ciążące swym wpływem i znaczeniem na naszem gospodarstwie ekonomicznem". Później pójść mają kolejno: Lublin, Radom, Kalisz, Kielce, Siedlce, Płock, Łomża, Piotrków, Suwałki oraz Częstochowa, Sosnowice, Pabjanice i t. d. „Nadto—dodaje „Kuryer"—gdyby się w toku pracy okazało, że ta lub inna okolica, ze względu na postępujący ruch życiowy lub, przeciwnie, ze względu na szczególne zaniedbanie, wymaga zwrócenia na nią uwagi publicznej, nie zawahamy się, bez względu na połączone z tem koszta i trudy, wydelegować tam naszego współpracownika, aby rzeczy zbadał i o nich w „Kuryerze" zdał sprawę.

Tak się przedstawia w zarysach projekt „Kuryera". Szczegóły będą się kwalifikowały do omówienia dopiero po próbie praktycznej, która, jak to zaznaczono powyżej, ma być dokonana na Łodzi. Do tego też czasu wstrzymujemy się z oceną taktyki, proponowanej przez inicyatorów tej ciekawej, niewątpliwie pouczającej, ważnej i pilnej ankiety.

Trudno jednak nie podkreślić, że sama myśl jest wyśmienitą i że umiejętne jej wcielanie w życie może się okazać w skutkach swoich bardzo doniosłe. Oczywiście, wszystko zależy od wykonania. Dobrze jest atoli, że wykonania tego podejmuje się pismo tak zasobne w środki materyalne, jak „Kuryer", pismo, dla którego ani wybór odpowiednich współpracowników, ani pokrycie bądź co bądź znacznych kosztów z ich wysyłaniem na prowincyę związanych, nie stanowi trudności. Kładziemy na to nacisk dlatego, że, o ile wywiady mają istotnie sięgać do gruntu kwestyi, a unikać, tak znamiennej dla naszej publicystyki współczesnej, powierzchowności w ocenie wszelkich faktów i zjawisk życia, czy to społecznego, czy ekonomicznego, o tyle—wywiady te nie mogą być dorywczemi. Napisać referat o potrzebach Piotrkowa, dajmy na to, lub Suwałk, to nie znaczy pojechać tam na kilkanaście godzin, rozpytać się jednego, drugiego i trzeciego obywatela o to i o owo, zjeść obiad w restauracyi i wypić kieliszek szampana za „powodzenie i rozkwit prowincyi", ale to znaczy wysłać tam inteligentnego i wytrawnego publicystę najmniej na tydzień, do dwóch tygodni czasu, dać mu możność rozpatrzenia się w stosunkach miejscowych, ogarnięcia ich i zbadania nie za pośred-

nictwem obcesowo i po dziennikarsku prowadzonej rozmowy wywiadowczej, poczynającej się od stereotypowego pytania: jakie jest pańskie zdanie o tem? ale za pomocą poważnych rozpraw nie tylko z ludźmi, zajmującymi naczelne stanowisko, lecz i z obywatelami, którzy znają potrzeby swego miasta, powiatu, gubernii z bezpośredniego zetknięcia się z życiem, z przedstawicielami tego życia w rozmaitych dziedzinach. Słowem — potrzeba tu „studyować“ — a studya zawsze dużo kosztują.

Z przytoczonego programu ankiety wynika wszakże, że redakcya „Kurjera“ zdaje sobie z tego sprawę i że nie będzie szczędziła zachodu, starań i kosztów, aby należycie z zadania się wywiązać. Przedwczesne też wydają nam się wszelkie w tym względzie wątpliwości, głoszone przez niektóre pisma prowincyonalne. Owszem, dyskusya w tej mierze jest pożądana i konieczna, ale należy zaczekać na wyniki. Z obietnicy i zapowiedzi nie sądzi się jeszcze faktu. Czekajmy więc cierpliwie.

* *
*

Ze strony dobrze obznajmionej ze sprawami Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego otrzymujemy następujące objaśnienie:

W kronice miesięcznej grudniowego zeszytu „Biblioteki Warszawskiej“ (str. 615) była omawiana sprawa projektu reorganizacyi Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego. Rzecz sama, oparta na artykule p. H. W., ogłoszonym w „Gazecie Polskiej“, zawiera wiele trafnych uwag i wniosków; poprzedzona jest przecież wstępem, z którego czytelnik łatwo może przyjść do przekonania, że projekt reorganizacyi, na zniesieniu Dyrekcyj Szczegółowych oparty, wyszedł od władz Tow Kredyt. Ziemskiego i że losy jego wyłącznie od tychże władz zależą.

Tak bynajmniej nie jest.

Możemy zapewnić,—a staraliśmy się zebrać w tej mierze dokładne informacye,—że w gronie członków władz naczelnych Tow. Kred. Ziemsk. nie ma nikogo, ktoby nie był głęboko przeświadczony, że wprowadzenie jakichkolwiek zmian w organizacyi Towarzystwa, jest obecnie bardzo nie na czasie.

Wszak w roku zeszłym Towarzystwo zyskało prawo udzielania pożyczek dodatkowych na podstawie nowych przepisów taksowych

o podwyższonej taryfie. Wyczerpane kilkoletnim nieurodzajem i spadkiem cen gospodarstwa rolne znalazły się w wielkiej potrzebie nowego zasilenia kapitałem. Mnóstwo też stowarzyszonych występuje z żądaniem nowych taks i pożyczek dodatkowych. Wytężona praca około zadosyćuczynienia tym żądaniom zatrudnia wszystkie siły w Towarzystwie pracujące.

Dyrekcye Szczegółowe i Dyrekcya Główna zawalone są robotą. Wprowadzenie jakichkolwiek zmian w ustroju Towarzystwa, a cóż dopiero tak daleko idących, jak te, któreby wynikły ze zniesienia Dyrekcyj Szczegółowych, musiałoby oczywiście zatamować całą tę czynność. Byłoby to klęską dla stowarzyszonych, a dla wielu z nich—usuwaniem ostatniej deski ratunku.

Już ta jedna okoliczność musiałaby powstrzymać każdego z członków władz T. K. Z. od występowania z projektem reorganizacyi. A są przecież i inne względy, że przytoczymy choćby tylko znaną wrażliwość giełd, krajowych i zagranicznych, na wszelkie zmiany w ustroju instytucyj, których walory pojawiają się na rynkach pieniężnych. Obawiać się należy, że w epoce przyśpieszonej i silnie zwiększonej emisyi listów zastawnych T. K. Z., reorganizacya tegoż wpłynęłaby niepomyślnie na kurs jego listów zastawnych, powodując dotkliwą stratę dla stowarzyszonych.

O tem wszystkiem wiedzą dobrze członkowie władz T. K. Z., którzy, sami będąc stowarzyszonymi, mają te same co oni interesa i powołani są do tego, aby interesów tych bronić.

Zapewnić też możemy, że omawiany obecnie w prasie projekt reorganizacyi, ani w łonie władz T. K. Z. nie powstał, ani przez żadnego z członków tych władz zapoczątkowany nie był. A jeżeli ogólne zebrania Dyrekcyi Głównej i Komitetu Towarzystwa wezwały w sierpniu czynną obecnie delegacyę do sprawy projektu zmian w ustroju władz Towarzystwa, było to wynikiem polecenia p. Ministra Finansów.

Praca delegacyi, o której mowa, jest bardzo trudna i obszerna wymaga ona wszechstronnego a gruntownego wystudyowania przedmiotu, przyczem, rzecz prosta, pożytek i dogodność stowarzyszonych przedewszystkiem brane być muszą pod uwagę.

Jakie będą ostateczne wyniki prac delegacyi, przewidzieć obecnie trudno. To tylko pewna, że ostateczna decyzya w tym przedmiocie zależeć będzie nie od władz Tow. Kred. Ziem., ale od władz centralnych i instytucyj prawodawczych państwa Rosyjskiego.

* * *

Świat prawniczy francuski przygotowuje się w roku bieżącym do święcenia setnej rocznicy „Kodeksu Napoleona". Zbytecznem byłoby przypominać tutaj, jak wielką rolę kodeks ten odegrał we Francyi i w całej Europie i jaką dziś jeszcze odgrywa. Dość powiedzieć, że to jakby nowożytne *Pandecta*, na których, jak na zrębie, opierają się prawodawstwa teraźniejsze i na których opierać się będą—przyszłe.

To gotujące się „święto prawnicze" obchodzi nas bardzo blizko z tego względu, że za cztery lata i u nas Kodeks Napoleona doczeka się setnej rocznicy swego wprowadzenia (1808—1908). Czy rocznicę tę uczcimy?

Uczynić to należałoby i w tym właśnie duchu przemawia jeden z najpoważniejszych prawników naszych, mecenas p. Karol Dunin, nawołując na łamach „Gazety Warszawskiej" ogół sił prawniczych polskich do poparcia projektu, który powstał w gronie osób, skupionych dokoła redakcyi „Gazety Sądowej":

„Postanowiono zorganizować wydawnictwo zbiorowe prac, Kodeksowi Napoleona poświęconych. Rzecz jasna, że ani forma, ani rozmiary tego wydawnictwa dziś jeszcze przewidzieć się nie dają, zależeć to bowiem będzie głównie od dobrej woli prawników, do której się niniejszem odwołujemy. Na początek obmyśliliśmy pewną sumę tematów, których opracowanie w całości lub w części, przez pojedyńcze osoby lub zbiorowo, uważamy za potrzebne. Samo się przez się rozumie, że tematy te nie wyczerpują wszystkiego, co byłoby pożądane, i dlatego nie powinny one krępować autorów. Każda praca, choć w nich nie przewidziana, byle tylko pod ogólny plan podpadała, będzie z wdzięcznością do wydawnictwa przyjęta. Tematy zaś, o których mowa, są następujące:

1) Opracowanie zbiorowemi siłami komentarza do kodeksu Napoleona.

2) Historya kodeksu Napoleona u nas, a mianowicie dzieje jego wprowadzenia oraz zmiany, jakim z biegiem czasu uległ.

3) Historya kodeksu Napoleona we Francyi, a ile to możliwe i w innych krajach, w których obowiązywał.

4) Bibliografia kodeksu Napoleona we Francyi, a ile to możliwe i w innych krajach.

5) Zestawienie przepisów dawnego prawa polskiego, oraz praw obcych, które na terytoryum Królestwa Polskiego obowiązywały, z zasadami Kodeksu Napoleona.

6) Porównanie Kodeksu Napoleona z nowszemi prawodawstwami obcemi, oraz projektami do praw (rosyjski, węgierski, szwajcarski).

7) Jurysprudencya do Kodeksu Napoleona u nas z zaznaczeniem ważniejszych różnic między nią a francuską.

8) Wpływ Kodeksu Napoleona na stan społeczny i ekonomiczny kraju.

9) O zasadach ogólnych Kodeksu Napoleona.

10) Porównanie obowiązującego u nas kodeksu handlowego z przepisami tego kodeksu w tym kształcie, w jakim obecnie obowiązują one we Francyi".

Jak się dowiadujemy z dalszej treści cytowanego artykułu, niektóre z tych tematów znalazły już ochotników, co jednak nie przeszkadza w wolności wyboru obszerniejszemu kołu pracowników, gdyż prace mogą być dokonywane siłami zbiorowemi. Między innemi prof. Holewiński, najznakomitszy nasz cywilista, przyobiecał opracować wstęp historyczny do wykładu kodeksu.

Pragnący uczestniczyć w tej pamiątkowej i zarazem pomnikowej pracy proszeni są o zawiadomienie redakcyi „Gazety Sądowej" (ulica Włodzimierska № 14), jaki obierają sobie temat.

Nie wątpimy, że prawnicy nasi, rozumiejąc doniosłość chwili, tudzież pożytek, płynący z opracowania powyższych tematów, nie będą obojętni na wezwanie p. Dunina i przyczynią się do zapewnienia wydawnictwu jaknajwiększej powagi i wartości naukowej.

Czasu jest dużo, idzie więc tylko o dobrą wolę.

* * *

Niedawno pisaliśmy na tem miejscu o działalności Towarzystwa dla popierania nauki polskiej we Lwowie. Obecnie powracamy do tej niezwykle potrzebnej i pożytecznej instytucyi z powodu doniosłego projektu, z jakim zarząd jej wystąpił. Projekt ten — to zakładanie bibliotek prowincyonalnych po znaczniejszych miastach Galicyi, jak Tarnów, Rzeszów, Przemyśl, Tarnopol, Stanisławów, Kołomyja, których ludność sięga 30—40 tysięcy.

Odezwa, podpisana przez profesorów Antoniego Małeckiego i Oswalda Balzera, tudzież przez p. Przemysława Dąbkowskiego, jako sekretarza Towarzystwa, tak uzasadnia tę piękną i obywatelską myśl:

„Biblioteki są warunkiem utrzymania i rozwoju naukowości w danej miejscowości, i co ważniejsza jeszcze, warunkiem podniesienia poziomu umysłowego całych, szerokich kół inteligencyi, jaka się w miejscowościach tych gromadzi. Na ogół biorąc, są biblioteki publiczne źródłem i ogniskiem, a zarazem rozsadnikiem kultury i cywilizacyi. To też zagranicą, z trafnem zrozumieniem doniosłości tej sprawy, biblioteki publiczne utrzymywane są nietylko w stolicach państw i krajów, ale także w pomniejszych miastach departamentowych, kantonalnych, obwodowych i t. p.—u nas pod tym względem wszystko jeszcze pozostaje do zrobienia".

W uznaniu tej potrzeby Towarzystwo podjęło myśl stopniowego urządzenia i zakładania bibliotek prowincyonalnych, a zdając sobie sprawę z całej powagi tego przedsięwzięcia i z wielkich kosztów, które powolne nawet jego urzeczywistnienie za sobą pociągnie, zwraca się o pomoc do społeczeństwa w następujących słowach:

„Towarzystwo dla popierania nauki polskiej postanowiło wziąć inicyatywę w gromadzeniu materyału książkowego dla przyszłych bibliotek prowincyonalnych i odwołuje się niniejszem do poczucia obywatelskiego wszystkich, do poparcia całego społeczeństwa, upraszając o nadsyłanie na swe ręce darów w książkach i innych przedmiotach bibliotecznych. Zwraca się tedy do instytucyi i towarzystw naukowych, do redakcyj czasopism i dzienników, do księgarzy, wydawców, nakładców i autorów, z usilną prośbą o nadsyłanie ogłoszonych już lub później ogłaszać się mających druków i publikacyj; zwraca

się wreszcie do wszystkich z prośbą o datki w książkach, jakiemi rozporządzają, a które pragnęliby przeznaczyć na cel powyżej wskazany.

I niema rodzaju książki czy wydawnictwa, któreby się do naszego zbioru nie przydały: czy to publikacye zbiorowe, czy encyklopedye, czy słowniki, czy zbiory praw lub wykazy statystyczne, roczniki pism czasowych czy dzienników, książki ściśle naukowe lub popularne, podręczniki systematyczne lub monografie, utwory belletrystyczne jakiejkolwiek treści, podręczniki szkolne dawniejsze i nowsze, książki dla młodzieży, sprawozdania z działalności rozmaitych instytucyj, broszury jakiejkolwiek treści, nawet pisma ulotne i t. p. Ze względu, że mamy na myśli założenie większej ilości bibliotek, przeto, o ile to jest rzeczą możliwą, dary większej ilości egzemplarzy (6—8) tego samego dzieła byłyby nam ze wszechmiar pożądane. Obok druków przyjmować też będziemy z wdzięcznością, przeznaczając je dla tego samego celu, dary w innych przedmiotach, gromadzonych zazwyczaj w bibliotekach, jak: atlasy i mapy geograficzne, rękopisy, dokumenty, stare pieczęcie, monety, modele, sztychy i t. p.

Wszelkie przedmioty, nadsyłane do naszego zbioru, będą inwentaryzowane; wiadomość o otrzymanych darach podawać będziemy corocznie w sprawozdaniach T-wa, o ile to zaś będzie możliwe, także w krótszych odstępach czasu za pośrednictwem dzienników.

Na żądanie przesyłamy osobom, zajmującym się bliżej tą sprawą, obszerny memoryał, wyjaśniający szczegółowo potrzebę zakładania bibliotek prowincyonalnych, oraz środki, do urzeczywistnienia tego celu zmierzające.

Przeświadczeni o wielkiej doniosłości sprawy, ufni, że przy dobrej woli i wytrwałości wytknięty cel da się urzeczywistnić, zwracamy się raz jeszcze z usilną i gorącą prośbą o wszechstronne poparcie naszych usiłowań".

Przesyłki adresować należy: Lwów, archiwum Bernardyńskie.

* *
*

W naszem życiu ekonomicznem coraz śmielej i głośniej rozlega się hasło kooperacyi. Nie jest to hasło nowe i na zachodzie oddawna już wydało ono owoce bardzo doniosłe, u nas wszakże ruch koopera-

cyjny, acz datuje się od dość dawna, nie poczynił jeszcze wielkich postępów i w ostatnich dopiero latach wszedł na drogę prawidłowego rozwoju. Obecnie jesteśmy więc jakby w chwili przełomowej, która wysuwa na czoło kwestyj bieżących pytanie: co już na polu kooperaczi zrobiono, co zaś do zrobienia pozostało?

Na pierwszą część tego pytania otrzymaliśmy już poniekąd odpowiedź od obradującej niedawno „Komisyi kooperacyjnej", powołanej przez Zarząd Warszawskiego Towarzystwa popierania przemysłu i handlu do rozpatrzenia zagadnień, związanych z rozpowszechnieniem u nas idei współdzielczości, na zasadzie odpowiedzi na rozesłane w tej materyi kwestyonaryusze do przedstawicieli wszystkich instytucyj tej kategoryi w kraju. Wyrażono tam również szereg bardzo interesujących postulatów na przyszłość. Dowiedzieliśmy się np., że na 53 stowarzyszenia pożyczkowo-oszczędnościowe, funkcyonujące obecnie w kraju, tylko trzy: w Ostrowcu, w Klimontowie i w Ostrowiu korzystają z prawa rozciągania swej działalności poza obręb miast, w których mają swoją siedzibę, inne zaś mają teren działania ściśle ograniczony, co tamuje ich rozwój, wobec czego należy stanowczo dążyć do zniesienia tych ograniczeń.

Rozprawy te, ze wszechmiar ciekawe, znane są zresztą z obszernych i wyczerpujących sprawozdań dziennikarskich — nie będziemy więc rozwodzili się nad niemi. Pragniemy natomiast, korzystając ze sposobności i z ogólnego zainteresowania się ruchem współdzielczym, zapoznać czytelników z pokrewną dziedziną życia ekonomicznego w Galicyi, która na tem polu osiągnęła już rezultaty bardzo poważne. Czynimy to zaś w tym celu, aby z jednej strony dostarczyć trochę materyału porównawczego, z drugiej—wskazać na pewne znamienne cechy stowarzyszeń tamtejszych. I jedno i drugie powinno być przez nas uwzględnione, może to nam bowiem wskazać drogi właściwe odrazu i uchroni od pomyłek i doświadczeń na własną rękę w przyszłości.

Z ostatniego „Rocznika statystycznego stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych w Galicyi" dowiadujemy się, że od roku 1873, t. j. od wprowadzenia w życie ustawy normalnej o stowarzyszeniach, zarejestrowano tam w sądzie handlowym stowarzyszeń: kredytowych 1009, inych 262, razem 1271, z tego w roku 1902 istniało: kredytowych 846, innych 118, razem 964. Są to cyfry bardzo pokaźne i świadczą, że ruch współdzielczy nietylko przyjął się zupełnie na gruncie galicyjskim, ale znakomicie zdołał się już rozkrzewić. Zobaczmy teraz, jak te stowarzyszenia przedstawiają się pod względem swojej siły ekohomicznej. Z pracowicie poczynionych zestawień statystycznych dowiadujemy się, co następuje:

Liczba członków wynosiła z końcem roku 1902 u stowarzyszeń kredytowych wogóle 478,954, zaś u wytwórczych i handlowych 9,352.

Udziały członków wynoszą: u stowarzyszeń kredytowych wogóle 24,635,225 koron, u stowarzyszeń wytwórczych i handlowych 2,751,332 kor., w przecięciu zaś przypada na jedno stowarzyszenie kredytowe 32,000 kor., a na jednego członka 51 kor., na jedno zaś stowarzyszenie wytwórcze i handlowe—32,000 i 294 kor. na jednego członka.

Tu należy zwrócić uwagę na fakt charakterystyczny. Do istniejącego we Lwowie związku stowarzyszeń należy tylko 140 stow. kredytowych i 27 wytwórczych—pozostałe dzielą się pomiędzy a) patronat dla spółek oszczędności i pożyczek syst. Raiffeisena przy wydziale krajowym; b) *Ruski sojuz* (związek) *kredytowy*, która skupia wokoło siebie stowarzyszenia ruskie, udziela im kredytu, względnie wyjednywa go w Banku Krajowym i wykonywa nad niemi kontrolę i c) Powszechny związek, na własnej pomocy opartych galicyjskich stowarzyszeń zarobkowych i gospodarczych. Są to przeważnie stowarzyszenia żydowskie, z których wiele nadto stoi poza obrębem tej organizacyi.

Co do bliższych szczegółów, które zawiera w tym kierunku omawiany rocznik statystyczny, to godzi się zwrócić uwagę na fakt następujący: na ogólną liczbę 679 stowarzyszeń kredytowych systemu Schulzego, jest wyznaniowo-żydowskich 440, czyli prawie $^2/_3$. Geograficzne ich rozmieszczenie wskazuje, że ilość ich w pewnej okolicy stoi w prostym stosunku do ubóstwa i nizkiej kultury ludności wiejskiej. Tak np. w Stanisławowie jest ich 20, w Kołomyi 11, w Przemyślu 11, w powiecie Kosowskim 12, w małych miasteczkach, jak Podhajce, Husiatyn, Skała, Gliniany—po 6—8. Rozsiedliły się więc one głównie w najuboższych, wschodnich powiatach.

Uczyniwszy tę dygresyę, która nam pomoże w następstwie do należytego oświetlenia pewnych cyfr, powracamy do przedmiotu.

Uderzy nas zaraz pierwsze porównanie stowarzyszeń, należących do związku lwowskiego z nienależącemi do tej organizacyi. Mianowicie, mieliśmy cyfry ogólne udziałów członków w stowarzyszeniach. Otóż dla stowarzyszeń związkowych cała ta rzecz wygląda nieco inaczej. Kapitał udziałowy w 140 stow. kredytowych, należących do związku, wzięty osobno, sięga 10,600,000 kor., a zatem na jedno stowarzyszenie przeciętnie wypada 70,000 kor., zaś na 1 członka tylko 49 kor. Przejdźmy jednak do dalszych pozycyj.

Fundusz rezerwowy wynosi u stowarzyszeń kredytowych 8,000,000 kor., u innych 500,000 kor., z tego u stowarzyszeń związkowych *4 miliony*. W stowarzyszeniach związkowych wytwórczych i handlowych wynosi on $1^1/_2$ mil. kor.

Tu może najjaskrawiej występuje różnica pomiędzy gospodarką stowarzyszeń należących do związku, a stojących poza jego obrębem. Tamtym—nie zależy na rezerwie.

Idźmy jeszcze dalej.

Kapitał własny stowarzyszeń kredytowych wynosi razem 33 mil. kor., czyli przeciętnie wypada na jedno stowarzyszenie 43,000 kor., a na jednego członka 69 kor. Kapitał własny zaś stow. kredyt. związkowych wynosi 13½ mil. kor. czyli przeciętnie na jedno stowarzyszenie 97,000 kor., a na jednego członka 64 kor.

Wkładki oszczędności u towarzystw kredytowych przedstawiają sumę 94 mil. kor., czyli w przecięciu wypada na jedno stowarzyszenie wkładek 123,000 kor. Wkładki oszczędnościowe u stow. związkowych wynoszą 44 mil. kor., a przeciętna na jedno stowarzyszenie wynosi 310,000 kor.

ponad	1,000,000 kor.	miało składek	9	tow. związk. a	4	niezwiązk.
„	500,000—1 mil.	„	16	„	12	„
„	200,000—500,000	„	42	„	31	„
„	100,000—200,000	„	20	„	61	„
„	50,000—100,000	„	20	„	84	„
„	10,000— 50,000	„	26	„	170	„
	niżej 10,000	„	5	„	51	„

Nie trzeba dodawać, że zestawienie to jest bardzo pouczające.

Inne długi towarzystw kredytowych wynoszą ogólną sumę 25 mil. kor. (w tem związkowe 8 mil.). Cały kapitał obcy w towarzystwach kredytowych wynosił ogółem 119 mil. kor., u związkowych 52 mil., a u wytwórczych i handlowych 8 mil. kor. Stosunek tego kapitału do własnego przedstawił się u towarzystw kredytowych wogóle, jak 3,49 : 1 (u związkowych jak 3,09 : 1).

Stan pożyczek, udzielanych przez towarzystwa kredytowe, nie biorąc w rachunek tych, które nie nadesłały zamknięć, wynosił ogółem 138 mil. kor. Stan pożyczek u stow. związkowych wynosi 58½ mil. kor. Stan kredytów, przez inne stowarzyszenia udzielonych, wynosi 4 mil. kor.

Suma kredytu udzielonego wynosi ogółem 210 mil. kor., w tem stowarzyszenia związkowe udzieliły pożyczek 87 mil. kor.

Zapas towarów u stow. wytwórczych i handlowych wynosi 3 mil. kor. i urósł u stow. związkowych o 45%.

Sprzedaż towarów i produktów wynosi wogóle 9 mil. kor., w czem u związkowych stow. 7 mil. kor.

Czysty zysk u ogółu stowarzyszeń kredytowych wynosi 2 mil. kor., zaś u związkowych stowarzyszeń 788,500. Czysty zysk stanowi ogółem 1,18%, a u związkowych 1,16% kapitału obrotowego.

Wysokość zaś dywidendy od udziałów wskazuje następująca tabelka:

Nie wykazało wcale zysku	5	stow. związk.	a 79	niezwiązkowych
1% dywidendy udzieliło	—	„	1	„
od 2—4% „	12	„	21	„
od 4—5% „	22	„	35	„
od 5—6% „	47	„	60	„
od 6—8% „	29	„	73	„
od 8—10% „	6	„	44	„
ponad 10% „	—	„	2	„
żadnej dyw. nie wykazało	19	„	114	„
nie nadesłało bilansów	—	„	85	„

Czysty zysk innych kategoryj stowarzyszeń wynosi 304,000 kor., z tego na stow. związkowe przypada 138,490 kor.

Stopa procentowa od wkładek oszczędności i na rachunek bieżący u stowarzyszeń kredytowych związkowych mieści się w granicach 3—6%, u stowarzyszeń niezwiązkowych w granicach 3—8%.

Stopa procentowa od pożyczek, członkom udzielanych, jest bardzo rozmaita, w stowarzyszeniach związkowych waha się ona między 7%—8% i tylko w 6 wypadkach przekracza tę normę, mianowicie 3 stow. pobierają $8\frac{1}{2}$% i 3 pobierają 9%, w stowarzyszeniach zaś niezwiązkowych wysokość jej dochodzi do 12, mianowicie 36 stowarzyszeń pobiera 9%, 49 stow.—10%, 5 stow.—11% i 3 stow.—12%.

Tak się przedstawia w ogólnym zarysie ruch na polu kooperacyi ekonomicznej w Galicyi. Jeżeli się baczniej w cyfrach przytoczonych powyżej rozejrzymy, to spostrzeżemy łatwo, że dobre jego strony polegają na zdrowej gospodarce, nad którą czuwa związek, złe—na zbytniem rozkrzewieniu się stowarzyszeń żydowskich, które wyłamują się z pod wszelkiej kontroli, a są najczęściej stowarzyszeniami kilku bogatych jednostek, które pod postacią fikcyjnie lokowanych oszczędności obracają swojemi kapitałami i, jak to widzieliśmy, mają po 9 i 10% od nich. Objaw to bardzo smutny. Tem jaśniej jednak na tem tle zarysowuje się pożyteczna działalność związku stowarzyszeń, instytucyi, która i u nas jaknajrychlej powstać powinna, a za której utworzeniem wypowiadała się także i komisya Towarzystwa popierania przemysłu i handlu. Tylko bowiem jednolity ustrój i wytrawna kontrola mogą ruchowi współdzielczemu zapewnić zdrowe formy rozwoju na przyszłość.

* * *

Mamy przed sobą odezwę istniejącej przy Warszawskiem Towarzystwie muzycznem sekcyi im. Moniuszki. W odezwie tej jest mowa o tem, co uczyniono dotychczas dla utrwalenia pamięci „mistrza pieśni polskiej". Na szczególniejsze podniesienie zasługuje tu powzięta przed dwoma laty uchwała utworzenia przy Towarzystwie muzycznem stypendyum szkolnego dla potomków Moniuszki, łącznie z nagrodami konkursowemi jego imienia dla muzyków polskich.

W tym celu Warszawskie Towarzystwo muzyczne aktem darowizny z d. 23 maja 1902 r ofiarowało czysty dochód z przedsięwziętych wydawnictw utworów muzycznych zmarłego kompozytora, w wysokości nie przenoszącej 10,000 rb. na utworzenie funduszu, od którego procent przeznacza się na wypłatę stypendyum i nagród konkursowych imienia St. Moniuszki.

Na te nagrody konkursowe przeznaczają się wszelkiego rodzaju środki, powstałe: a) z niewydatkowanego w którymbądź roku stypendyum; b) wskutek pozbawienia stypendysty prawa do otrzymania oszczędności zarówno z powodu pozostawienia go na rok drugi w tej samej klasie lub na tym samym kursie, jakoteż z powodu nieukończenia przez niego zakładu naukowego wyższego; c) z dochodu od wylosowanych papierów procentowych, w których przechowywa się fundusz stypendyalny; d) z ofiar dobrowolnych członków Towarzystwa muzycznego Warszawskiego na powiększenie funduszu imienia St. Moniuszki i e) z innych, nieprzewidzianych dochodów funduszu.

Przy określeniu prawa pierwszeństwa kompozytorów do otrzymania nagrody konkursowej imienia Moniuszki, utwory muzyczne co do charakteru swego grupują się w następującym porządku: symfoniczne, kameralne, religijne, operowe, kantaty i pieśni jednogłosowe i wielogłosowe. Teksty utworów religijnych winny być polskie lub łacińskie, zaś teksty innych utworów wyłącznie polskie. Bliższe warunki podziału, wysokości i sposobu wypłaty nagród konkursowych, w każdym oddzielnym wypadku, określa i ogłasza komitet Tow. muzycznego. Wysokość jednej nagrody konkursowej nie powinna przewyższać 1,000 rb.

Gdyby Warszawskie Towarzystwo muzyczne istnieć przestało, w takim razie powinno przelać cały ten fundusz, zgodnie ze swą ustawą, przed zwinięciem Towarzystwa, razem z aktami i wszelkiemi rachunkami—innej, odpowiedniej instytucyi muzycznej polskiej w Warszawie, z warunkiem ścisłego przestrzegania i wykonania wszystkich powyżej wyszczególnionych przepisów.

Obok tego funduszu, w odezwie omówiono drugą jeszcze ważną sprawę, mianowicie sprawę budowy grobu dla Moniuszki na cmentarzu Powązkowskim.

Dowiadujemy się, że magistrat miasta Warszawy w odezwie na imię Towarzystwa z dnia 22 września 1903 roku udzielił przychylnej decyzyi na kupno placu na cmentarzu Powązkowskim dla wybudowania na nim grobu dla Moniuszki. „Za zgodą piśmienną wszystkich jego dzieci—cytujemy—sekcya starała się, aby nowy grób mógł stanąć w miejscu, dostępnem dla pragnących odwiedzać miejsce spoczynku genialnego pieśniarza, o ile możności w bliskości kościoła. Jakoż przy łaskawem poparciu i życzliwości osób, wpływających na przebieg starań, nabyty został na imię Towarzystwa muzycznego plac w oddziale 9, rzędzie 3, №№ 68, 69, 70 oznaczony, przy głównej alei cmentarza, z tyłu kościoła. Jestto istotnie miejsce najlepsze, jakie wynaleźć się dało w tej części, dla wybudowania grobu z pomnikiem, mającego stanowić całość poważną, arystyczną

W grobie tym, zgodnie z życzeniem rodziny, spoczną obok zwłok mistrza i zwłoki oddanej mu za życia najwierniejszej towarzyszki i żony ś. p. Aleksandry Moniuszkowej. Sekcya żywi głęboką ufność, że wśród tysiąców wielbicieli muzy Moniuszkowskiej znajdą się tacy, którzy dopomogą jej staraniom o uzyskanie środków na budowę grobu i pomnika. Oczywiście, nie może być mowy o stawianiu kosztownego mauzoleum, na jakie Moniuszko zasłużył sobie, ale czego sekcya podjąć się nie może, mając dużo jeszcze innych ważnych potrzeb. Pragnie jedynie, aby grób miał, jak wyżej powiedziano, wygląd poważny, artystyczny. W tych granicach sekcya ogranicza potrzebny na to fundusz do rubli 5,000".

Tyle słów odezwy. Polecamy obie te sprawy gorąco uwadze naszych czytelników.

* * *

I jeszcze jedna odezwa.

Nadesłał nam ją z daleka „Komitet założenia polskiej akademii artystycznej w Rzymie", zawiązany pod prezydencyą znanego rzeźbiarza, p. Tadeusza Rygiera.

Czytamy tam, co następuje:

„Wybitnie zaznaczający się ostatniemi czasy ruch artystyczny w społeczeństwie polskiem chlubnie świadczy o silnym rozwoju najmłodszego pokolenia. Młodzież nasza, w zwartym szeregu, z zapałem wdziera się po stromej, ciernistej drodze sztuki, pragnąc przebojem dopiąć jej szczytów. By rozwinąć i wysubtelnić ideał piękna, dąży ku środowiskom zachodniej kultury, gdzie kształci się w trudzie i znoju—czasem „o chłodzie i głodzie". Marzeniem artystów całego świata jest najstarsze i najpotężniejsze ognisko piękna — Rzym. Wieczne miasto, od dwóch tysięcy lat dzierżące berło sztuki, jest nietylko wielkim skarbcem arcydzieł ludzkiego geniuszu, ale poniekąd gorącą kuźnią talentów, zewsząd idących ku złocistym jego murom— ożywczą krynicą natchnień dla budzących i przeradzających się duchów artyzmu. Odczuły to i zrozumiały ludy romańskie, a po nich germańskie, bo niosąc pomoc spragnionym Rzymu artystom swoim, założyły własne akademie, w których miejsca są najwyższą nagrodą, tęsknotą serc młodych. I te akademie już obchodzą uroczyście stuletnie rocznice swego istnienia — i są dobrą opatrznością rodaków. Tylko my—polacy—nie mamy tam własnej świątyni.

Ale czas i na nas przychodzi. W łonie rzymskiej kolonii polskiej ta myśl się zrodziła i to ma się urzeczywistnić. Związało się grono ludzi, jednem pragnieniem przejęte, jedną ideą spojone—i dąży do ściśle wytkniętego celu, a tym celem: Polska akademia artystyczna w Rzymie.

Akademia, w najszerszem pojęciu tego wyrazu, wyposażona w następujące instytucye:

1) Bezpłatny pensyonat dla utalentowanych artystów.
2) Wzorowe pracownie z wszelkiemi środkami do studyów.
3) Wieczorna sala rysunkowa t. zw. sala aktu akademickiego.
4) Doborowa biblioteka dzieł z zakresu sztuki i archeologii.
5) Czytelnia pism polskich i zagranicznych.

6) Sala zebrań dla ziomków, przebywających stale lub czasowo w Rzymie.

Oto myśl, od kilku lat błąkająca się wśród rzymskiej kolonii polskiej—teraz wybije godzina czynu. W imię świętych praw sztuki zwracamy się do opatrzności serc bratnich! Wszelkie dary, wielkie czy małe, zbliżą nas do ideału, co tchnieniem odrodzenia spływa ku nam z kopuły Piotrowej".

Po tem górnem wezwaniu następuje wyjaśnienie, że ofiarodawcy, którzy złożyli 10,000 rubli, otrzymują tytuł członka założyciela i biust, umieszczony w sali zebrań Akademii. Ofiarodawcy, którzy złożyli 1,000 rubli, otrzymują tytuł członka honorowego i będą imiennie umieszczeni na tablicy pamiątkowej w sali zebrań Akademii. Wszyscy inni ofiarodawcy z tytułem członków rzeczywistych będą wpisani do pamiątkowej księgi Akademii.

Kto pragnie zatem i może—niech popiera tę myśl śmiałą.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

— PAMIĘTNIK LITERACKI, czasopismo kwartalne, poświęcone historyi i krytyce literatury polskiej, rozwija się doskonale pod staranną redakcyą pp. Gubrynowicza i Porębowicza. Czwarty zeszyt drugiego rocznika zawiera ciekawą rozprawę Bron. Gubrynowicza: „Romans w Polsce za czasów Stanisława Augusta“ i W. Bruchnalskiego studyum historyczno-literackie p. t.: „Mickiewicz — Niemcewicz“. W „Materyałach“ znajdujemy nieznany wiersz Słowackiego, ogłoszony przez Czubka i „Albumy Delfiny Potockiej“ przez Tad. Piniego. Obfity jest dział „*Notat*“. Wśród „Recenzyj i Sprawozdań“ zwraca uwagę obszerna recenzya dzieła Creizenacha: „Geschichte des neueren Dramas“, Przegląd prac najnowszych o Słowackim, recenzye dzieł Feldmana i Grabowskiego, przez Chmielowskiego i w. in.

Zdawałoby się, że czasopismo, oddane wyłącznie sprawom literatury naszej, w którem dział historyczny i krytyczny reprezentują takie nazwiska, jak: Brückner, Chmielowski, Chrzanowski, X. Fijałek, W. Hahn, Pini, Czubek, Dobrzycki, Porębowicz — powinno cieszyć się powszechnem poparciem inteligentnego ogółu, zwłaszcza wobec bardzo przystępnej ceny. Ze smutkiem prawdziwym dowiadujemy się, że „*Pamiętnik Literacki*“ ma np. w całej Warszawie zaledwie 50 (wyraźnie: pięćdziesięciu) prenumeratorów, i że egzystencyą swą zawdzięcza obecnie ofiarności szlachetnej kilku osób dobrej woli i obywatelskiego serca.

Narzekamy nieraz — i słusznie, na brak zdrowej myśli krytycznej u nas, na to, że publiczność idzie na lep powierzchownych, felietonowych pochwał lub nagan, ale skoro są organy fachowe krytyki historycznej, lub literackiej, jak „Kwartalnik Historyczny“, lub „Pamiętnik Literacki“ — to, zamiast otoczyć je trwałą opieką, pozwalamy tym pismom zanikać, lub więdnąć, dla braku poparcia. A przecież wydatek sześciu rubli na rok cały nie zmniejszyłby chyba frekwencyi Filharmonii, Opery — i Bristolu.

— „KSIĄŻKA“, miesięcznik, poświęcony krytyce i bibliografii polskiej, podaje w ostatnim numerze zeszłorocznym bardzo ciekawy przegląd piśmiennictwa polskiego za trzyletni okres istnienia pisma. Charakterystykę piśmiennictwa filozoficznego dają: Ad. Mahrburg, matematycznego S. Dickstein, astronomii M. Ernst, fizyki S. Kramsztyk, chemii K. Jabłczyński, geologii J. Lewiński, nauk antropologicznych L. Krzywicki, Dzieje języka i literatury polskiej za r. 1901 — 1903 omawia A. Brückner, Historyą Polski St. Suchecki, Prawo S. Posner, Ekonomię społeczną St. A. Kempner, Socyologią H. Krauz, Medycynę i hygienę dr M. Jakowski, Poezyę W. Gostomski, Powieść polską H. Galle, Literaturę dramatyczną Wł. Bukowiński, Literaturę tłómaczoną Wł. Jabłonowski.

Z zamierzonego programu brakło tylko pięciu artykułów: o biologii, historyi powszechnej, pedagogice, piśmiennictwie ludowem i czasopismach. Ale to, cośmy już otrzymali, jest bardzo ciekawe i pouczające. Myśl „Książki“ skreślenia takich obrachunków działalności na różnych polach nauk należy powitać z wielkiem uznaniem i wdzięcznością.

BIBLIOGRAFIA.

ARCHEOLOGIA. — LUDOZNAWSTWO.

Stanisław Ciszewski: Ognisko. Studyum etnologiczne. Kraków. Nakł. Akad. Umiej., 1903, Warszawa, Gebethner i Wolff, str. VII + 238. Cena rb. 2,50.

Witold Schreiber; Twórcy Bogów. Z tajemnic i wierzeń ludów pierwotnych. Z 78 ilustracyami w tekście. Lwów. Nakł. Księgarni Polskiej B. Połonieckiego. Warszawa, E. Wende i S-ka. 1904, str. 358.

Świątowit. Rocznik, poświęcony archeologii przeddziejowej i badaniom pierwotnej kultury polskiej i słowiańskiej, wydawany przez Erazma Majewskiego. T. V, 1904. 506 ilustracyi w tekście i XI tablic. Warszawa. Skład główny w księgarni J. Fiszera, 1904. Cena rb. 2,50. Str. 109 + (113 — 268).

Wisła. Miesięcznik, poświęcony krajoznawstwu i ludoznawstwu. 1903. Listopad — Grudzień. Warszawa. Księgarnia J. Fiszera. *Treść zeszytu 6-go*: Józef Grajnert: Notatki o wsi Topoli (powiat Łęczycki); Ignacy Sadkowski: Szlachta drobna w powiatach Płońskim i Płockim; Aleksandra Rumelówna: Z mili kwadratowej obszaru nad rzeczką Kosówką; Maryan Wawrzeniecki: Budownictwo i zdobnictwo ludowe (z rysunkami); Wandalin Szukiewicz: Krzyże zdobne w gub. Wileńskiej (z 4-ma tablicami); Stanisław Ptaszycki: Powieść u nas przed laty

trzystu; Dr Franciszek Krček: Na marginesie „Księgi przysłów“ S. Adalberga; Witowt: Baśni z pow. Radzyńskiego. — Poszukiwania: Pojęcia prawne ludu. Przyczynek Józefa Nakoniecznego; XVII. Sobótka (R. Orezykowski); XX. Szwedzi, Tatarzy, Turcy (A. Rumelówna). — Sprawozdania i krytyka: Przegląd książek.

NAUKI ŚCISŁE. — PRZYRODA.

Dr Ludwik Bruner: Zasady chemii. Kraków. Nakł. D. E. Friedleina. Warszawa. E. Wende i Sp., 1903, str. 162 + 2 tablice + 2 nlb.

S. Dickstein: Wiadomości matematyczne. T. VII. Zeszyt 5 — 6. *Treść*: S. Dickstein: Jan Joachim Livet (1783 — 1712); P. Duhem: Ewolucya mechaniki — ciąg dalszy (przekład). III. Teorya mechaniczna ciepła i elektryczności; M. T. Huber: Z teoryi zgięcia belki prostokątnej na podstawie „prawa potęgowego“; R. Merecki: Cykl słoneczny S. Newcomba. — Miscellanea. — Przegląd literatury. — Bibliografia. — Kronika. — R. Merecki: Z obserwatoryum im. Jędrzejewicza w Warszawie.

Dr Adam Langie; Popularna hygiena wzroku. Z przedmową prof. *Galęzowskiego*. Kraków. D. E. Friedlein. Warszawa. E. Wende i Sp. 1903. Str. 212.

H. A. Lorentz: Poglądy i teorye fizyki współczesnej. (Ruchy widoczne i niewidoczne). Szeregi odczytów. Z upoważnienia autora przełożył dr St. *Tołłoczko*, doc. Uniw. Jagieł. Warszawa. Nakład księg. E. Wende i Sp. 1904. Str. 288.

A. Seignette: Zwierzęta epok ubiegłych. Przełożył Jan *Lewiński*. Z 167 rycinami w tekście. Warszawa. Nakł. E. Wende i S-ka. 1904. Str. 134.

Dr A. Sempołowski: Wynik prac i doświadczeń (1902 — 1903) przez Stacyę doświadczalną w Sobieszynie. Warszawa, 1903, str. 196. Trzy fototypie.

Józef Słowikowski, magister nauk matem.-fiz., inżynier: Znaczenie figur Kopernika i Keplera w przyrodzie, nauce i technice. Tablic XVI z kolorowemi figurami. Warszawa. Skład główny w księgarni E. Wende i Sp., 1903, str. XII + 125.

PEDAGOGIA.

Ellen Key: Stulecie dziecka. Przekład Izy Moszczeńskiej. Nakł. Księgarni Naukowej, str. VIII + 228.

Janina Mortkowiczowa: Wychowanie estetyczne. Warszawa, 1904, G. Centnerszwer i S-ka, str. 74.

EKONOMIA POLITYCZNA. — SPRAWY SPOŁECZNE.

Sł. A. Kempner: Józef Supiński. Notatki z powodu setnej rocznicy urodzin. Warszawa. Nakł. księg. E. Wende i Sp. Cena 30 kp., str. 16.

Stefan Kozłowski: Zasady kooperacyi wobec naszych Spółek i Stowarzyszeń. Kielce, 1904. str. 33 + II.

Hans Leuss: Z więzienia pruskiego. W przekładzie i z przedmową Włodzim. *Trampczyńskiego*. Warszawa, 1904, (Bibl. Dz. Wybor.), str. 151.

Władysław Żukowski: Przesilenie w przemyśle żelaznym. Warszawa, 1903. Skład główny w księg. E. Wende i Sp., str. 54.

HISTORYA. — HISTORYA LITERATURY.

L. Gumplowicz: Psychologia dziejopisarstwa. Odbitka z „Krytyki", 1903. Kraków. Nakł. Redakcyi. 1903, str. 29. Warszawa, E. Wende i Spółka.

Waleryan Krasiński: Zarys dziejów powstania i upadku Reformacyi w Polsce. Tłóm. z angielskiego. Wydał Jul. *Bursche*. I Pastor Warszawski. T. II, cz. I. Warszawa. Nakł. „Zwiastuna Ewangelicznego". 1904. Skład główny w księg. W. Mietkego, str. VI + 252.

Ks. Piotr Skarga: Kazania sejmowe. Z przedmową Ignacego Chrzanowskiego. T. I. Str. 136 + 230. Warszawa, 1903. „Biblioteka dzieł chrześciańskich". Grudzień, 1903. Administracya w księgarni Gebethnera i Wolffa.

Helena Witkowska: Historya ustroju Polski w zasysiu w trzech częściach. Warszawa. 1904. Skład gł. w Księgarni Naukowej, str. II + 164 + II.

POEZYA. — POWIEŚCI.

Wilh. Feldmann: Wybór „Młodej Polski". Wydanie drugie. Kraków. Nakł. D. E. Friedleina. Warszawa. E. Wende i Sp. 1903, str. VIII + 382.

Maxym Gorkij: Chan i jego syn. — Dwudziestu sześciu i jedno. — Zaubrina.—Przyjaciele.—Na stepach.—Dwaj złodzieje.—O Dyable.—Przekład Stan. *Miłkowskiego*. Kraków. D. E. Friedlein. Warszawa. E. Warszawa. E. Wende i Sp., 1903, str. 96.

K. M. Górski: Wierszem. 1885 — 1893. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1904, str. 147.

Zygm. Kaczkowski: Olbrachtowi rycerze. Powieść z przedmową W. Jabłonowskiego. Warszawa. 1904. „Bibl. dz. wybor.", № 310—312, str. 187 + 159 + 176.

Józef Dunin-Karwicki: Z moich wspomnień. T. IV, str. XI + 252: Warszawa. Nakład A. G. Dubowskiego. Marszałkowska, 91. Cena rb. kop. 50.

Maciej hr. Łubieński: Ironia pozorów. Powieść. Warszawa. Jan Fiszer. 104, str. 427.

L. Michaud D'Humiac. Wielkie Legendy ludzkości. Przekład Cecylii *Walewskiej*. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1904. Bezpłatny dodatek dla prenumeratorów „Tygod. Illustr.". Biblioteka „Tygodn. Illustr.", № 1. str. 156.

Ada Negri: Niedola. Burze. Przekład M. *Konopnickiej*. Wydanie drugie. Warszawa. 1904, Nakł. Gebethnera i Wolffa, str. 216.

William Ritter: Le cycle de la Nationalité. Fillette Slovaque. Roman. Paris, Société du Mercure de France. MCMIII. Str. 349.

L. Rygier: Hańba dusz. Powieść. Teodor Paprocki i S-ka. Nowy Świat, № 37, 1904.

Stefan Żeromski: Popioły. Powieść z końca XVIII i początku XIX wieku. Warszawa. Nakł. Gebethnera i Wolffa, 1904. Tom I, str. 383. Tom II, str. 406, Tom III, str. 396.

SZTUKA.

Kazimierz Mokłowski: Sztuka ludowa w Polsce. Część I. Dzieje mieszkań ludowych. Część II. Zabytki sztuki ludowej. Lwów. Nakł. księgarni H. Altenberga 1903, str. nlb. 10 + 552. — 374 rycin w tekście.

Dr Stanisław Tomkowicz: Style w architekturze kościelnej (szczególnie w byłej Polsce). Odbit. z „Encyklop. Kościel.“. Warszawa. 1903. Str. 51. Druk Fr. Czerwińskiego, Krak. Przedm. 2.

SZTUKA POLSKA, Malarstwo. Drugi zeszyt tego wspaniałego wydawnictwa zawiera: 1) Axentowicza: Studyum portretowe (tekst M. Olszewskiego); 2) Jana Stanisławskiego: Lato (tekst J. Kleczyńskiego); 3) Tichy'ego: Pogrzeb (tekst W. Mitarskiego); 4) L. Wyczółkowskiego: prof. Rydygier (tekst Ad. Cybulskiego). Skład w księgarni E. Wende i Sp. Prenumerata roczna rb. 12. Zeszyt rb. 1,50.

WYDAWNICTWA PERYODYCZNE.

Wyszedł z druku zeszyt VIII, t. 6 „Herbarza Polskiego“, wydawanego przez Adama Bonieckiego, zawierający nazwiska od „Górscy“ do „Gośliccy“.

Lekarz. Pismo popularno-lekarskie, poświęcone hygienie i t. d. Rok I, № 1, Str. 24. Redaktor J. Brunner.

Listek. Miesięcznik, poświęcony miłośnikom kart pocztowych illustrowanych. Redaktor Albin Jurewicz.

Rzemieślnik polski. Kalendarz na r. 1904. Cena kop. 40. Skład główny w drukarni W. Maślankiewicza. ul. Jerozolimska № 21, str. XXIV + 268 35.

Wieczory Rodzinne rozpoczęły rok dwudziesty piąty istnienia. № 1 r. b. zawiera naczelny wiersz Deotymy, artykuł przyrodniczy Edmunda Jankowskiego, powieść historyczną z czasów Krzywoustego „Psie pole“ Trąmpczyńskiego, oraz krótki szkic historyi pisma p. t „XXV“. W dodatku dla mniejszych dzieci na wyróżnienie zasługuje dalszy ciąg opowiadań z historyi naszej pióra Zofii Bukowiekiej.

Poradnik językowy, miesięcznik, poświęcony poprawności języka, wydawany pod redakcyą Romana Zawilińskiego, rozpoczyna rok czwarty istnienia. Nie zmieniając w zasadzie programu, przed trzema laty nakreślonego, i w toku tych lat trzech rozwijanego, dąży Redakcya do

ulepszenia wszystkich działów „Poradnika“ i możliwego powiększenia jego objętości w miarę nagromadzenia się materyału. W tym celu zaprosiła do stałego współpracownictwa prof. A. A. Kryńskiego z Warszawy, prof. d-ra Stanisława Dobrzyckiego z Fryburga (szwajcarskiego) i prof. A. Passendorfera ze Lwowa i starać się będzie: 1) o rozszerzenie odpowiedzi na zadawane pytania, 2) o ożywienie „Roztrząsań“, 3) o dopełnienie „Połosia“ przez uwydatnienie nietylko błędów, ale i nowych o pięknych wyrazów i zwrotów, użytych przez autorów, 4) o sprawozdania treściwe z najnowszych zdobyczy naukowych w dziedzinie językoznawstwa polskiego, wreszcie 5) o poruszenie pytań, związanych z pisownią polską, a wnikających głęboko w istotę języka. Podejmie również rewizyę językową książek szkolnych w miarę przygotowanego materyału.

Warunki prenumeraty niezmienione, a niesłychanie niskie, powinnyby niejednego zachęcić do przedpłaty; dotąd uzyskał wydawca zaledwie tyle, że pokrywa koszta wydawnictwa. Przedpłata (Księg. E. Wendego) na rok cały wynosi w Warszawie rb. 1 kp. 50 (z przesyłką pocztową rb. 1,80).

SPROSTOWANIE.

W zeszycie styczniowym „Biblioteki“ na str. 2 w wierszu drugim od góry, zamiast: „Stwarzali dzieła rozkoszy na ziemi“, czytać należy: „stwarzali w dziełach rozkoszy na ziemi“.

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA
ADAM hr. KRASIŃSKI

HERBERT SPENCER
i jego systemat filozofii syntetycznej.

I.
CHARAKTER FILOZOFII ANGIELSKIEJ.

Filozofia angielska od pierwszych początków swego rozwoju miała charakter przeważnie empiryczny, zgodnie z nastrojem umysłowym narodu. Potrzeby życia praktycznego, obserwacya danych szczegółowych warunków bytu, miały dla najwybitniejszych umysłów angielskich zawsze znaczenie daleko większe, niż dyalektyka racyonalna, lub ogólniki metafizyczne, które odpowiadały bardziej usposobieniu umysłowemu francuzów i niemców, począwszy od Kartezyusza i Leibniza. Świadczy o tem już w wieku XIII Rogier Bakon, pierwszy sumienny badacz przyrody, przeciwnik „subtelności scholastycznych", wygłaszający wiekopomne żądanie: „Sine experientia nihil sufficienter sciri potest". Świadczy o tem również w wieku XVII jego znakomity imiennik Franciszek Bakon Werulamski, twórca nowoczesnej metody indukcyjnej, dla którego wiedza miała znaczenie głównie, jako środek rozszerzający władzę człowieka nad przyrodą. Wszyscy inni pierwszorzędni filozofowie angielscy od owych czasów aż do naszych, jak: Hobbes, Locke, Hume, Dugald Stewart, Bentham, James i John Stuart Millowie, Aleks. Bain i inni, rozwijali swe poglądy w tym kierunku empirycznym i praktycznym, stosując zasadę badań szczegółowych i indukcyi do całego bogactwa najrozliczniejszych objawów życia umysłowego.

Rzecz naturalna, że i Herbert Spencer, jako prawy syn swego narodu, rozwijał się sam a następnie i swoją filozofię, w tymże, przeważnie empirycznym i życiowym kierunku, kładąc główny nacisk w swych poglądach na gruntowny rozbiór faktycznych danych wiedzy ludzkiej. Z tem wszystkiem jednak, ani jego poprzednicy, ani

on sam, nie mogli się rozprószyć myślowo w chaosie zjawisk szczegółowych, lecz musieli się wznieść do pewnych uogólnień, obejmujących zjawiska, a więc i posiłkować się pewną dyalektyką racyonalną i dojść do pewnych pojęć metafizycznych. To konieczne dopełnienie empiryzmu czynnikami racyonalnemi, świata zjawiskowego pojęciami metafizycznemi co do jego istotnego, bytowego charakteru, uwydatnia się tedy i w filozofii angielskiej. Ale sposób połączenia tych dwóch składowych czynników wiedzy ludzkiej, przy przyznaniu pierwszeństwa zjawiskom szczegółowym; sposób owego dopełnienia empiryzmu przez racyonalizm i jego wyniki, jest różnym u różnych myślicieli angielskich i staje się przez to rysem, znamionującym ich indywidualny nastrój umysłowy przy wspólnym duchu narodowym, który w nich się przejawia.

Bliższe rozpatrzenie się w filozofii angielskiej, wykazuje wprawdzie, że wszyscy wymienieni jej przedstawiciele, pozostają o ile tylko mogą, w zakresie świata zjawiskowego i codziennych objawów życia; a najwyższe uogólnienia, niezbędne dla szerszego poglądu na świat, albo pozostawiają w sceptycznem zawieszeniu, albo też przekazują religii, wytwarzając przez to sprzeczny w sobie dualizm między wiarą i wiedzą. Pomimo to, niektórzy wśród tych myślicieli wznoszą się bardzo wysoko w swych uogólnieniach i pojęciach metafizycznych, i nie ograniczają się tylko, jak większość to czyni, uogólnieniami, obejmującemi co najwyżej zjawiska psychiczne i ustrój społeczny człowieka. Pierwsze miejsce zajmują w tym względzie Fr. Bakon i Hume, a do nich, jako wznoszący się najwyżej, jako wytwarzający wśród filozofów angielskich najszerszy i najpełniejszy pogląd na świat, przyłącza się Herbert Spencer.

Bakon pierwszy objął całokształt wiedzy ludzkiej w programacie do swego niedokończonego dzieła: *Instauratio magna*. W dziele tem zamierzał dać nie tylko pogląd krytyczny na stan ówczesny wszystkich nauk, na cały nawet *globus intellectualis*, ale nadto poddać rozbiorowi metodę badań naukowych, i wreszcie wyłożyć samodzielnie zasadniczą treść każdej z nauk. Dla urzeczywistnienia tego ostatniego celu przedstawił encyklopedyczny zarys nauk szczegółowych, dzieląc je według trzech zdolności umysłu, przez niego przyjętych, na *historyę*, naturalną i społeczną, będącą objawem pamięci ludzkiej, na *poezyę*, zaliczoną przez niego także do nauk, jako wytwór *wyobraźni*, i wreszcie na *filozofię*, będącą wynikiem działalności *rozumu*. Przedmiotami zaś filozofii są według niego, *Bóg, przyroda i człowiek*.

Mamy tedy tutaj pełne objęcie wiedzy ludzkiej, całkowity pogląd na wszystko, co wpada w jej zakres. Ale odnośnie do Boga, już Bakon czyni zastrzeżenie, że filozofia doprowadzić może człowieka do

uznania jedynie istnienia Boga; wszelkie zaś bliższe określenie jego istoty, oraz jego stosunku do człowieka, leży za obrębem badań rozumu ludzkiego, a więc filozofii, jako nauki, i należy w zupełności do religii, jest przedmiotem wiary, która też w tym względzie nie podlega żadnym ograniczeniom ze strony nauki.

Z tego stanowiska starał się Bakon uzasadnić ów dualizm między wiarą religijną i nauką, który aż dotąd charakteryzuje filozofię angielską. Według tego dualizmu, religia i nauka nie mają nic zgoła wspólnego. Zgoda między niemi osiągniętą być może, już według zdania Bakona, jedynie wtedy, gdy nauka nie będzie się zajmowała przedmiotami religii, bo to doprowadza zawsze do niewiary, oraz, gdy religia nie będzie się wtrącała w badania naukowe, gdyż to staje się przyczyną mrzonek i fałszów, sprzecznych z nauką. Wierzyć należy, co każe religia, ale i uznawać zarazem wyniki badań naukowych.

Jeżeli Bakon pierwszy w filozofii angielskiej doszedł do ogólnego objęcia przedmiotów wiedzy ludzkiej, odróżniając je od wiary religijnej, to Hume wzniósł się najwyżej w rozbiorze samej wiedzy, poznania ludzkiego, jako czynności podmiotowej umysłu, dążącej do przyswojenia sobie owych przedmiotów. Zbadanie źródeł pojęć ludzkich, oraz określenie wzajemnego do siebie stosunku podmiotowych i przedmiotowych czynników wiedzy—oto najogólniejsze zadania filozofii, które Hume wysunął na pierwszy plan i które następnie stały się punktem wyjścia dla krytycyzmu Kanta. W tym duchu Hume już poddaje rozbiorowi takie powszechne pojęcia metafizyczne, jak przyczynowość i substancya. A chociaż jego psychologiczne wyjaśnienie tych pojęć i wogóle poznania ludzkiego, jako wyniku prostego nawyknienia, nie jest zadawalającem, to jednak sama dążność do wniknięcia w ostateczne podstawy filozofii, oraz rozbiór jej najwyższych uogólnień, wznosi Hume'a po nad większość pozostałych przedstawicieli filozofii angielskiej aż do Spencera, gdyż wszyscy oni nie przekraczali zazwyczaj dość szczupłego zakresu badań na polu bądź psychologii, bądź indukcyjnej metodologii, bądź wreszcie kwestyj społecznych. Oni to, wskutek jednostronnej specyalizacyi tych badań, utorowali drogę owym nowszym, a wielce ciasnym poglądom na filozofię, według których, nie tylko przyrodoznawstwo, ale i psychologia, logika, etyka, socyologia, mają całkowicie leżeć za obrębem filozofii, pozbawionej wskutek tego wszelkiej samodzielnej treści poznawczej. Hume, przeciwnie, rozumiał, że wszystkie te nauki opierają się na pewnych ogólnych przed-założeniach poznawczych, których zbadanie stanowiąc przedmiot filozofii, nadaje wynikom owych nauk odrębny charakter, pomimo największej empirycznej specyalizacyi. Przy wszelkiej tedy skłonności do empiryzmu, przy wszelkiem uznaniu

świata zjawiskowego za jedyny przedmiot wiedzy ludzkiej, Hume wyrobił sobie szerokie pojęcie o zadaniach poznawczych filozofii i przyczynił się wielce do bliższego wyjaśnienia tych zadań.

W kierunku zaznaczonym przez Bakona i Hume'a rozwinął i Spencer swoją filozofię. Ale przewyższył on tych swoich poprzedników pod niejednym względem, tak, że już dzisiaj uznanym zostaje coraz bardziej nie tylko za największego filozofa angielskiego naszych czasów, lecz zarazem za największego filozofa, jakiego dotąd w ogóle wydał naród angielski.

Z Bakonem jednoczy Spencera dążność do systematycznego objęcia całego obszaru przedmiotów wiedzy ludzkiej; z Hume'm łączy go usiłowanie sprowadzenia tej wiedzy do pewnych, najogólniejszych czynników, zdolnych wyjaśnić nieskończone bogactwo materyału empirycznego i szczegółowych zjawisk świata. Ale gdy pomysły Bakona co do rozwinięcia całokształtu wiedzy ludzkiej, pozostały fragmentem niedokończonym i ujawniały nadto wady wewnętrzne, wypływające nietylko ze stanu nauk w wieku XVII, lecz i z braku należytego zrozumienia rzetelnych wyników wiedzy nowoczesnej, to Spencer rozwinął swój systemat filozofii syntetycznej w całej pełni i objął w nim ostateczne wyniki badań specyalnych, zgodnie z istotnym stanem nauk w drugiej połowie XIX wieku. Jeżeli zaś Hume w swych poglądach na pierwsze zasady poznania, nie wyzwolił się z pod jednostronnego wpływu sceptycyzmu sensualistycznego, charakteryzującego drugą połowę wieku XVIII i wskutek tego nie dotarł do ogólniejszego na świat poglądu—to Spencer, pozostając wprawdzie również w ciasnych granicach empiryzmu, przeważnie umysłowego, wytworzył jednak jednolity pogląd na świat zjawiskowy, sprowadzając do pewnych, najogólniejszych czynników, mających objaśnić rozwój, zarówno świata jako całości, jak i wszystkich jego szczegółowych objawów. W ten sposób Herbert Spencer prześcignął daleko Bakona i Hume'a i stał się niewątpliwie najpełniejszym wyrazem filozofii angielskiej po chwilę obecną.

Filozofia Spencera zasługuje tedy na szczególną uwagę ze strony wszystkich, komu postęp filozofii leży na sercu. Podział pracy umysłowej, a zatem i pracy najwyższych zagadnień wiedzy ludzkiej, uwydatnia się w różnych filozofiach o charakterze narodowym, Francuzów, Niemców, Anglików, Polaków. Warto tedy zdać sobie sprawę krytyczną, z zaznaczonego, dziejowego rozwoju filozofii angielskiej, a mianowicie z jej ostatecznego i najwyższego wykwitu w systemacie filozofii syntetycznej Spencera.

II.

ŻYCIE I PRACE SPENCERA.

Nie tylko ogólny charakter filozofii Spencera, ale i całe życie jego, wraz z jego rozwojem umysłowym, jest na wskróś typowem angielskiem. Kiedy w Niemczech, a poczęści i we Francyi, filozofię uprawiali głównie urzędowi jej przedstawiciele na uniwersytetach, w Anglii, przeciwnie, najwydatniejsi filozofowie należeli do różnych zawodów praktycznych i stali się filozofami niezależnie od swych zawodów. Głośna zasada: docendo discimus, nauczając innych sami się uczymy, nie ma zastosowania do większości myślicieli angielskich, bo oni nie tą drogą dochodzili do wyrobienia swej filozofii, lecz przeważnie drogą praktyczną, życiową. Nie nauka książkowa, lecz zastanowienie się nad objawami życia, w rozlicznych jego formach, było zazwyczaj punktem wyjścia i głównym współczynnikiem ich pracy myślowej i doprowadzało ich do filozofii. Ani Bakon, ani Hobbes, Locke, Hume, Bentham, ani Millowie, nie byli profesorami filozofii, jak Wolff, Kant, Fichte, Schelling, Hegel, lecz czynni byli w różnych zawodach życia praktycznego i przy jego udziale wznosili się do ogólnego na świat poglądu.

Toż samo uwydatnia się w życiu i rozwoju umysłowym Spencera. Urodził się w dniu 27 kwietnia 1820 r. w Derby, jednem z większych miast rozległego płaskowzgórza środkowej Anglii. Ojciec jego był nauczycielem szkoły miejskiej, a ze swych religijnych przekonań należał do metodystów, owego odłamu kościoła anglikańskiego, który od czasów Wesley'a na wzór braci czeskich pielęgnuje serdeczną religijność oraz jaknajwiększą prostotę w obrządkach kościelnych.

Pierwsze wychowanie i nauki pobierał młody Herbert w mieście rodzinnem wśród warunków skromnych, pod bezpośredniem kierownictwem ojca, który był bardzo dobrym pedagogiem, uznającym za główny cel wychowania, nie zbogacenie umysłu młodzieży suchą wiedzą, lecz wyrobienie charakteru etycznego. Opowiadają, że Spencer był chłopcem wątłym, nie odznaczał się wyższemi zdolnościami; że był niechętnym do nauki, nerwowym i krnąbrnym.

Od trzynastego roku życia oddanym został do stryja, duchownego anglikańskiego, proboszcza wiejskiego w pobliżu miasta Bath. On uczył chłopca głównie języków starożytnych i chciał go swoim ko-

sztem wysłać na uniwersytet w Cambridge. Chłopiec jednak po trzechletniej nauce, nie przyjął tego dobrodziejstwa, jak się zdaje z braku zamiłowania do języków starożytnych. Najwięcej lubił matematykę. To też w 16 roku życia poświęcił się pracy w zawodzie technicznym. Już w rok później otrzymuje stanowisko przy jednej z londyńskich kolei żelaznych, początkowo jako pomocnik inżyniera, a następnie jako inżynier. Na tem stanowisku pozostaje przez dłuższy szereg lat.

Dopiero po dziesięcioletniej działalności praktycznej, podczas której jednak dużo pracował nad swem wyższem wykształceniem, odzywa się w nim zdolność pisarska i od r. 1848 do 1853 widzimy go na stanowisku współredaktora czasopisma *Economist*, w którem wygłaszał dość radykalne poglądy.

Od prac ekonomicznych przechodzi Spencer coraz bardziej na szersze pole badań socyologicznych, aż wreszcie przez pośrednictwo psychologii, wznosi się na wyżyny ogólnego filozoficznego poglądu na świat i wiedzę ludzką. Postęp ten zaznaczają naprzód liczne artykuły, jakie pisywał do *Westminster Review* i *Quarterly Review*, następnie opracowanie i dopełnienie artykułów z *Ekonomisty*, w osobnem dziele *Statyki socyalnej* (*Social Statics*, 1850); dalej pierwsze wydanie *Psychologii* (*Principles of Psychology*, 1855); wreszcie zbiór studyów naukowych, politycznych i spekulatywnych, opracowanych na tle artykułów, zamieszczonych poprzednio we wspomnianych czasopismach (*Essays Scientific, Political and speculative*, 1858 i nast., przekład polski p. t. *Szkice filozoficzne*, 1883). Tu, jako zawierające pierwsze zawiązki filozofii Spencera, zasługują na uwagę rozprawy: *The Development Hypothesis* (z r. 1852), *The Genesis of Science* (1854), *Progress, its Law and Cause* (1857) i inne.

W tym okresie czasu Spencer żył głównie z pióra, a że prowadził żywot skromny i rozważny, jak przystało na człowieka praktycznego i ekonomistę, więc dorobił się nawet pewnego zasobu materyalnego. Wkrótce jednak, bo już w r. 1860, powziął myśl wydania wielkiego, dziesięciotomowego dzieła, p. t. *Systemat filozofii syntetycznej* (*System of Synthetic philosophy*), mającego na szerszą skalę obejmować całość jego poglądu na wiedzę ludzką i świat. Prospekt tego dzieła, ogłoszony w tym roku, zaznaczył jego główne części składowe, począwszy od rozbioru pierwszych zasad wiedzy ludzkiej, a przechodząc następnie, na podstawie biologii i psychologii, do badania różnorodnych form życia społecznego i do wykładu zasad etyki.

Zarówno opracowanie, jak i wydanie tego projektowanego dzieła, wymagało znacznego nakładu środków materyalnych, których jednak Spencer nie posiadał w dostatecznej mierze. To też pierwszy

tom tego dzieła wyszedł dopiero w dwa lata po prospekcie, p. t. *First Principles* (*Pierwsze zasady*, przekład J. K. Potockiego, 1888); dwa dalsze tomy: *Zasady biologii* (*Principles of Biology*), wyszły dopiero od r. 1864 do 1867. Nowe zaś opracowanie *Psychologii*, wcielone do tego dzieła, jako tomy 4-y i 5-y, Spencer był w stanie ogłosić dopiero 1870—1872 roku.

Wyczerpawszy swe środki na to wydawnictwo, dla którego nie mógł znaleźć nakładcy, a które się nie opłacało, Spencer byłby zmuszony przerwać pracę nad tem dziełem i powrócić do zajęć dziennikarskich, gdyby nie znaczna pomoc pieniężna, którą trzykrotnie otrzymał od swych zwolenników w Ameryce, zawsze w czasie, gdy mu brak było własnych środków. O swych kłopotach wydawniczych mówi sam Spencer dość obszernie w książce *Various Fragments*, 1900, str. 18 i nast. Dowiadujemy się tu, że *Statyki socyalnej* sprzedał w ciągu lat 14 tylko 750 egz., *Psychologii*, 1-go wyd. po 12 latach tylko 650 egz. Ta sprzedaż naturalnie kosztów pokrywać nie mogła; przeciwnie, po 15 latach okazało się, że na swych wydawnictwach stracił przeszło 1200 funtów (około 12,000 rb.), a to go zbliżało do ruiny materyalnej, gdyż w tej sumie mieścił się też skromny kapitalik, jaki po stryju odziedziczył. Z późniejszych rachunków okazuje się, że do r. 1877 wydał na swe książki 2968 funtów, z których wróciło się ze sprzedaży tylko 608 funtów.

Wspomniana pomoc z Ameryki zabezpieczyła jednak niespodzianie stronę materyalną wydawnictwa, a choć teraz często zdrowie, zawsze wątłe, niedopisywało filozofowi, to jednak i te przeszkody przezwyciężał z nadzwyczajną energią, stosując ściśle zasady hygieniczne do swych zajęć i prac. W ten sposób doprowadził wreszcie do końca swe wielkie dzieło w r. 1896, ogłaszając trzy tomy *Zasad Socyologii* (*Principles of Socyology*, 1876—1896, przełożone po części przez J. K. Potockiego i J. Steckiego, 1891 i nast.), oraz dwa tomy *Zasad Etyki* (*Principles of Ethics*, 1892 i 1893), poprzedzone *Danemi Etyki* (*Data of Ethics*, 1879, przekład J. Karłowicza, 1884). Z wydaniem Socyologii ustalał się coraz bardziej rozgłos imienia Spencera, a dzieła jego znalazły też od tego czasu coraz liczniejszych czytelników.

Równolegle z opracowaniem i wydaniem swego *Systematu filozofii syntetycznej*, któremu poświęcił trzydzieści sześć lat swego żywota, Spencer ogłaszał i inne prace, jako zastosowanie, lub rozwinięcie głównych zasad swej filozofii. Tu należą głównie: *Education, intellectual, moral and physical*, 1861 (przekład H. Wernica), *Classification of the Sciences*, 1864 (rozprawa zamieszczona też w późniejszych wydaniach *Szkiców filozoficznych*), *Study of Sociology*, 1873 (przekład

H. Goldberga), *The Man versus the State*, 1884, *The factors of organic Evolution*, 1887, *The Inadequancy of Natural Selection*, 1893 i inne.

W ostatnich dwudziestu latach mnożyły się też nowe wydania głównych części *Systematu filozofii syntetycznej*, i tak: *Pierwszych zasad*, 6-e wyd., 1900, *Zasad Biologii*, 5-e dopełnione wyd., 1898, *Zasad Psychologii*, 3-e wyd., 1890, *Zasad socyologii*, 1-o tomu 3-e wyd., 1885, 2-o tomu 2-e wyd., 1885, *Danc Etyki*, 5-e wyd., 1888. Rzecz o wychowaniu wyszła w 6-m wyd. 1900 r. Pobieżne swe prace, rozrzucone po pismach, Spencer sam zebrał i wydał w książkach: *Various Fragments*, 1900, oraz *Facts and Comments*, 1902. Nadto istnieją liczne przekłady tych dzieł na języki: niemiecki, francuski, włoski, hiszpański, duński, szwedzki, nowogrecki, rosyjski oraz polski.

Co do tych ostatnich przekładów, zaznaczonych powyżej, zauważyć winienem, że o nich nie znalazłem żadnej wzmianki w sprawozdaniach angielskich, tak licznych z powodu śmierci Spencera, choć o przekładach na wszystkie inne wspomniane wyżej języki, mówiono z pewnem zadowoleniem. To też zdziwiony byłem, gdy przy pogrzebie Spencera, przyjaciel jego, autor prac filozoficznych, p. Leonard Courtney, znający dobrze Warszawę i interesujący się naszem życiem umysłowem, zapytał mnie, czy też istnieją przekłady dzieł Spencera na język polski? Naturalnie, dałem mu w tym względzie odpowiednie wyjaśnienia. Ale ta niewiadomość i owo przemilczenie w pismach o przekładach polskich, dały mi wiele do myślenia, aż wreszcie dotarłem do przyczyny tego przykrego faktu. Jest nią niewątpliwie ta okoliczność, że w Bibliotece Muzeum Brytańskiego, nie ma ani jednego egzemplarza polskiego przekładu dzieł Spencera, że zatem w katalogach tej Biblioteki, pod nazwiskiem Spencera, nie ma śladu o istnieniu takich przekładów.

Kto wie, jakie doniosłe znaczenie ma ten olbrzymi księgozbiór dla pracy naukowej Anglików; kto choć raz widział te setki osób pracujących codziennie, wśród iście angielskiego komfortu, w Czytelni tej Biblioteki, ten zrozumie, że każdy autor artykułu o Spencerze, pragnący wiedzieć, co też obcy o nim sądzą, tutaj zasięga swych informacyj. A że o przekładach polskich nie znajduje wzmianki, więc też dla niego wcale nie istnieją. Że ich niema, w tem znowu winić nie można Zarządu, bo przecież byłoby dziwnem żądanie, aby wydawano pieniądze na wszystkie istniejące przekłady angielskich autorów, skoro same ich dzieła oryginalne są tu przystępne dla każdego. To też przekłady na inne wymienione języki istnieją w Bibliotece i w katalogach jedynie dla tego, że wydawcy uznali za właściwe nadesłać przekłady dzieł Spencera, jako dowód wdzięczności, jeśli nie samemu autorowi, to przynajmniej owej Instytucyi narodowej, która skupia

w sobie całe życie umysłowe Anglików. Godziłoby się, aby i u nas nie zapomniano o takich prostych wymaganiach międzynarodowej kurtuazyi, choćby we własnym interesie. Czy i na to jesteśmy za ubodzy materyalnie, i za opieszali moralnie?

O charakterze osobistym i życiu domowem Spencera wiele można zaczerpnąć wiadomości, nawet anegdot, z pism czasowych, a jeszcze więcej od jego przyjaciół. Zresztą istnieją już obecnie dobre monografie z życiorysami filozofa, jak: *W. H. Hudson: An Introduction to the Philosophy of H. Spencer. With a biographical Sketch.* 1895. *H. Macpherson: Herbert Spencer, The Man and his Work.* 1900. Przekład pracy niemieckiej *O. Gauppa* o Spencerze, wydał „Przegląd Filozoficzny",

Spencer prowadził żywot bezżenny. Przyczyną tego nie był jakiś szczególny wstręt do kobiet, lecz brak odpowiednich środków materyalnych w młodości, a później nawyknienie do życia klubowego i towarzystwa męskiego. Zresztą, przez dłuższy czas posiadał własne domostwo, gdy mu owdowiała matka gospodarstwem zarządzała. Stosunek syna do niej był bardzo serdeczny, tak, że dziś mówią, iż nie było kobiety, którą by bardziej kochał nad matkę. Brak życia rodzinnego zastępowało mu liczne grono przyjaciół, oraz klub uczonych, przy ulicy Pall Mall, noszący nazwę „*Atheneum*". Do tego klubu uczęszczał przez długie lata prawie codziennie, a nie byłby Anglikiem, gdyby nie lubił rozlicznych gier i sportów. Jak najchętniej grywał w bilard i tennisa, w szachy i wista. Nadto przy nadarzającej się sposobności wiosłował dobrze. Prócz tego zajmował się w domu i praktycznemi zajęciami w miarę potrzeby, np. introligatorstwem. Już wyjście na świat „Statyki socyalnej" zjednało mu takich przyjaciół jak Huxley, Lewes, Georg Eliot (Marya Evans), a później przyłączyli się do nich najznakomitsi przedstawiciele świata umysłowego Anglii, z epoki królowej Wiktoryi. Więc Darwin, który go nazywał „naszym wielkim filozofem", dalej John Stuart Mill, choć o 14 lat od niego starszy; Tyndall; znakomity podróżnik i botanik, dyrektor ogrodu botanicznego w Kew, Hooker; pierwszorzędny chirurg, który w swoim czasie leczył Napoleona III, H. Thompson; R. Garnett, znany poeta i dyrektor Brytańskiego Muzeum; Fr. Galton, podróżnik, prezes Instytutu antropologicznego; H. C. Bastian, autor dzieła o Darwinizmie; M. Foster, członek parlamentu i wydawca pamiętników naukowych Huxley'a; John Morley, wydawca dzieł Emersona, autor monografii o Roussie, a głośny w chwili obecnej autor życia Gladstona, wreszcie wspomniany wyżej L. Courtney, autor biografii Milla i Etyki w duchu Kanta.

W częstem, niemal codziennem obcowaniu z tymi i z wieloma innymi znakomitymi uczonymi, wytwarzała się atmosfera umysłowa dla prac filozoficznych Spencera. Opowiadają, iż ten stosunkowo bardzo mało czasu poświęcał na czytanie prac obcych, a jednak podziwiać należy nader szeroki zakres jego wiedzy naukowej. Otóż, rozwiązania tej sprzeczności szukać należy w powyższych stosunkach osobistych filozofa. Czem dla innych są dzieła naukowe, tem dla niego było żywe słowo najznakomitszych przyrodników, antropologów i literatów swego czasu, oraz wiadomości od nich bezpośrednio czerpane. Może to źródło nie było tak ścisłem w szczegółach, jak samo badanie odnośnych dzieł, ale okazało się wystarczającem dla owych szerokich uogólnień, które charakteryzują filozofię Spencera. Zresztą, w niektórych pracach korzystał bezpośrednio z pomocy takich przyrodników, jak Huxley i Hooker, którzy przeglądali w rękopisach jego *Pierwsze zasady* i *Biologię*.

Jednym z najwybitniejszych rysów charakteru Spencera, jest zupełna, indywidualna niezależność, bezwzględna samodzielność własnego sądu. Wprawdzie wiele poglądów i idei, które napotykamy w jego filozofii, nie są jego własnością, lecz dostały mu się w spadku po poprzednikach; ale poglądy te, zaczerpnąwszy sam bezpośrednio u źródła ich, przetrawił bez niczyjej pomocy w zupełności, tak, iż stały się jego duchową własnością: więc też je wygłaszał i bronił jako samodzielnego dorobku własnego ducha.

Ten samodzielny indywidualizm pozostawał w związku z samouctwem Spencera, które doprowadziło go do przekonania, że w gruncie rzeczy, wszystko, czem jest umysłowo i czem świat obdarza, samemu sobie niemal zawdzięcza. Był on pod tym względem jednym z pierwszorzędnych przedstawicieli owych „self made men", których nie brak rasie anglosaskiej. Mając to na uwadze, nie zdziwimy się, że nie chciał być niczem innem, czem był sam przez się, że zatem też nikomu innemu nic zawdzięczać nie chciał. Więc nie przyjmował żadnych tytułów honorowych, lub odznaczeń. Uniwersytety angielskie zaliczały go do grona swych doktorów honorowych, towarzystwa wybierały go na członka, królowa Wiktorya pragnęła go obdarzyć odznakami za zasługi naukowe, podobnież i cesarz niemiecki ofiarował mu order „Pour le mérite". Lecz Spencer odpowiadał na wszystkie te honory stanowczą odmową, choć ją zawsze grzecznie i skromnie motywował. Krytyka urzędowych przedstawicieli, zarówno filozofii, jak i nauk specyalnych, zarzucała mu niejednokrotnie samouctwo, wykazywała mu pewne braki, bądź znajomości dziejów filozofii, bądź należytego uwzględnienia najnowszych wyników nauk specyalnych.

Ztąd nie chciał przyjmować żadnego zgoła urzędowego charakteru, aby wraz z przyjęciem uznania nie sankcyonować pośrednio zarzutów, pochodzących z tego samego źródła.

W przeciągu długich lat mieszkał Spencer na zachodzie Londynu przy Leinster square, zkąd miał blizko do ogrodów Kensingtońskich, oraz do największego parku londyńskiego, Hyde Park, a ztąd niedaleko do klubu. Korzystał też sowicie z tego sąsiedztwa, odbywając długie spacery po tych olbrzymich parkach. Później przeniósł się na północ do S-t John's Wood; ale i tu miał w blizkości Regent Park, oraz wspaniały ogród zoologiczny. Z powodu nadwątlonego wyczerpującą pracą zdrowia, zamieszkał na ostatnie lata życia na południu Anglii, w wielkiem miejscu kąpielowem Brightonie. Tu też umarł w ośmdziesiątym czwartym roku życia, d. 8 grudnia 1903 r.

Stosownie do przedśmiertnego życzenia filozofa, zwłoki jego przewieziono d. 14 grudnia t. r. do Londynu i tu spalono w krematoryum Golden Green, poczem urnę z popiołami, bez wszelkiego ceremoniału kościelnego, lub oznak żałoby, wstawiono do grobu marmurowego na cmentarzu High Gate. Mowę pogrzebową nad zwłokami wygłosił, zgodnie z życzeniem zmarłego, wspomniany wyżej przyjaciel jego, Leonard Courtney, charakteryzując z całym przedmiotowym spokojem osobistość i filozofię Spencera. Jedyną oznaką żywszego uznania przy pogrzebie, była ofiara 1,000 funtów (10000 rb.) ze strony młodego uczonego indyanina, S. Krishnawarmy, na utworzenie katedry przy uniwersytecie Oksfordzkim, w celu propagowania poglądów znakomitego filozofa. Testamentem zapisał Spencer swoją bibliotekę Brytańskiemu Muzeum, a dochody ze swych dzieł rozdzielił pomiędzy różne towarzystwa naukowe. Bliższych krewnych po sobie nie zostawił.

III.

PIERWSZE ZASADY FILOZOFII SPENCERA.

Zasadnicze podstawy swych poglądów filozoficznych wyłożył Spencer we wspomnianym 1-m tomie swego *Systematu filozofii syntetycznej* p. t. *Pierwsze zasady*. Książka ta obejmuje właściwie trzy składowe części, pełnego naukowego systematu filozofii, jako to: Wstęp do filozofii z encyklopedyą nauk filozoficznych, Logikę jako teoryę poznania, wreszcie Metafizykę, jako naukę o bycie, rzeczywi-

stości w ogóle. Spencer z natury rzeczy nie mógł pominąć zagadnień, wpadających w zakres tych zasadniczych nauk filozofii (co do ich treści i zadań zob. mój *Wstęp krytyczny do filozofii*, wyd. 3-e, str. 61 i nast.). Musiał on wyrobić sobie pewne pojęcie o istocie filozofii i jej stosunku do innych nauk, musiał zdać sobie sprawę z zasad poznania ludzkiego, które od czasów Platona i Arystotelesa stanowi przedmiot badań naukowych, objętych nazwami początkowo dyalektyki, później logiki, a dziś zazwyczaj teoryi lub krytyki poznania. Wreszcie musiał Spencer dojść do pewnych poglądów na to, co nazywał bytem, rzeczywistością przedmiotową, a więc do pewnych najwyższych pojęć metafizycznych, choć zakres tego rodzaju badań, zgodnie z wynikami swej teoryi poznania, ograniczył do minimum. Na wszystkie tedy pytania, stanowiące treść tych trzech nauk zasadniczej filozofii, daje Spencer odpowiedzi z zajętego przez siebie stanowiska. Przypatrzmy się bliżej tym odpowiedziom oraz drodze, którą Spencer do nich dochodził.

Za punkt wyjścia swych badań nie bierze Spencer dziejów filozofii, ani określenia jej istoty i zadań, ani wreszcie krytycznego rozbioru samego poznania, lecz uznaje bezpośrednio, że istnieją dla świadomości ludzkiej, dwie różne zupełnie dziedziny życia umysłowego: dziedzina niepoznawalna i poznawalna. O tamtej wiemy tylko, że jest, ale nic więcej o niej dociec nie możemy; ta zaś przedstawia właściwy przedmiot naszych badań. Zgodnie z tym zasadniczym faktem, przyjętym bez poprzedniego rozbioru ani istoty, ani środków ludzkiego poznania, a więc empirycznie i dogmatycznie, Spencer rozdziela wspomnianą książkę na dwie główne części, z których pierwsza traktuje o niepoznawalnem (the Unknowable), a druga o warunkach i prawach poznawalnego.

Idea niepoznawalnego wyrobiła się u Spencera na podstawie sceptycyzmu Hume'a, krytycyzmu Kanta, oraz odmian, jakim te poglądy podlegały w angielskiej filozofii, w osobie szczególniej Hamiltona i Mansela. Hume był bezwzględnym subjektywistą i sceptykiem. Więc wszelka przedmiotowość leżała dla niego zupełnie po za obrębem wiedzy. Nawet czy *istnieje*, nie możemy powiedzieć stanowczo, bo i to pojęcie istnienia czegoskolwiek, jest wytworem podmiotowym, bez istotnej, niezależnej od nas przedmiotowości. Kant poddawał ten dualizm poznawczy krytycznemu rozbiorowi. Ale nie przezwyciężył go, lecz sprowadził do dwóch przeciwnych form poznawczych, z których jedna ma charakter niejako przyrodzonej organizacyi umysłu, a priori, a druga zaznacza treść, zaczerpniętą ze świata zewnętrznego, a posteriori, lecz przerobioną według owych form apriorycznych. Ztąd do istoty zjawisk, po za nami istniejącej, czyli

rzeczy samej w sobie, według Kanta, poznać nigdy nie możemy. Rzecz sama w sobie dostępną jest dla nas tylko jako zjawisko, urobione według form naszego umysłu. Wszelkie poznanie ludzkie, choćby najbardziej przedmiotowe, dotyczy jedynie świata zjawiskowego i pozostawać winno w jego granicach.

Przekroczenie tych granic pociąga za sobą sprzeczności, antynomie, których rozum ludzki na tem polu usunąć nie jest w stanie. Tę ostatnią myśl W. Hamilton sformułował w ten sposób, że tylko treść względna dostępną jest dla poznania ludzkiego; wszystko zaś, co ma charakter bezwzględności, leży po za obrębem poznania i jest tylko pojęciem negacyjnem, zaznaczającem ograniczoność naszej pojętności. H. L. Mansel podziela to zdanie, ale dodaje, że wszelka filozofia, pragnąca wniknąć w czynnik bewzględny istnienia, zamiast go uznać wiarą, doprowadza do ateizmu, gdyż filozofia taka, stawia na najwyższy plan świadomość ludzką i po za nią wyjść nie może.

Niepoznawalne Spencera jest dalszem rozwinięciem powyższych poglądów. Jest ono w jego pojęciu czynnikiem bezwzględnym bytu, absolutem, pewną pierwotną potęgą (power). wszelkiego realnego bytu. Samo istnienie takiego absolutu nie podlega wątpliwości. Uznanie względności wszelkich zjawisk świata, doprowadza bezpośrednio do uznania czynnika bezwzględnego, gdyż w przeciwnym razie nie byłoby owej względności, i same zjawiska byłyby bezwzględnemi, czem jednak nie są. A więc wątpić nie można, że istnieje absolut. On również nie jest tylko pojęciem negacyjnem, jak twierdził Hamilton, lecz jest czynnikiem realnym, leżącym po za wszelką względnością. Ale ponieważ poznanie ludzkie, może mieć za podmiot jedynie treść względną, dającą podstawę do porównań i uogólnień, przeto ów realnie istniejący absolut jest w zupełności niepoznawalnym dla nas; o nim zgoła żadnego pojęcia wytworzyć sobie nie możemy.

To pojęcie niepoznawalnego daje Spencerowi pochop do rozbioru wzajemnego do siebie stosunku wiary i wiedzy, religii i nauki. Według niego, nie ma pomiędzy temi objawami umysłowego życia człowieka, istotnej sprzeczności. Przeciwnie, one się wzajemnie dopełniają i dochodzą do wspólnego wyniku, jeżeli tylko uwzględnimy ich ogólny, zasadniczy charakter, a nie przemijające, zmienne ich objawy.

Istota religii polega na wierze w istnienie tajemniczego czynnika wszechbytu, na uznaniu misteryum. Szczegółowe religie usiłują wprawdzie wniknąć w to misteryum i dać człowiekowi przybliżone pojęcie o niem. Ale im wyższego stopnia rozwoju dosięga religia, przechodząc od fetyszyzmu i uosobień mitologicznych do pojęć ogólnych, tem szczerzej uznaje niepoznawalność ostatecznego czynnika bytu,

tem bardziej wyzwala się od wszelkiego pojęcia, niepojętego absolutu. Dochodzimy do jego uznania na podstawie nieokreślonej świadomości o ostatecznej istocie wszechrzeczy, której atoli bliżej sformułować nie jesteśmy w stanie. Okazuje się bowiem, że bliższe określenie absolutu, możliwe jest tylko w związku z danym światem zjawiskowym. W tym względzie istnieją trzy możliwe poglądy: albo sam świat uznaje się za absolut, co doprowadza do ateizmu; albo świat staje się bezpośrednim objawem absolutu, jak twierdzi panteizm; albo wreszcie świat jest utworem absolutu, jak uczy teizm. Wszystkie te poglądy nie dają się jednak bez wewnętrznej sprzeczności konsekwentnie przeprowadzić, więc pozostają niezrozumiałemi i wykazują wzajemnie swoje braki zasadnicze. A więc żaden nie może być przyjętym, a umysł ludzki ograniczyć się musi ostatecznie uznaniem, że misteryum absolutu i jego stosunku do świata jest nierozwiązalnem.

Otóż, do tego samego wyniku doprowadza, według Spencera, i nauka na każdym kroku. Wychodząc z danych świata zjawiskowego, w którym wszystko jest wzajemnie uwarunkowanem, badanie naukowe dochodzi do pewnych, najogólniejszych pojęć zasadniczych, jak: przestrzeń, czas, ruch, siła, materya, dalej czucie, świadomość, jako jednia podmiotu i przedmiotu i t. p. Ostateczne zaś określenie istoty tych czynników, okazuje się niemożliwem ze stanowiska naukowego, bo wikła umysł ludzki w nierozwiązalne sprzeczności. Wszystkie te czynniki sprowadzają się do pojęcia bytu, istnienia. Ale czem ten byt, to istnienie jest samo w sobie, tego żadną miarą dociec nie możemy. Znamy jedynie zjawiska świata, widzimy ich zależność od pewnych czynników bezwzględnych bytu — ale zależności tej ani pojąć, ani zbadać nie jesteśmy zdolni. Wogóle wzajemny do siebie stosunek świata i pozaświatowego absolutu leży zupełnie po za obrębem naszej pojętności.

To też z tego stanowiska nauka nie sprzeciwia się religii, lecz ją stwierdza. Nauka nie rozstrzyga wprawdzie kwestyi, czy absolut jest osobą, Bogiem, ale też jej nie zaprzecza; przeciwnie, może uznać, że jest czemś wyższem nad osobowość, podobnie, jak nasza inteligencya i wola, przewyższają mechanizm martwej przyrody. Nauka pozostawia tedy pole otwarte dla wiary i religii, ale nie podejmuje się rozwiązania jej zagadnień.

Nie mamy w niniejszej pracy zamiaru, poddawać poglądów Spencera wszechstronnemu krytycznemu rozbiorowi. Cel nasz jest przeważnie sprawozdawczy. Pomimo to, nie możemy się wstrzymać od kilku uwag krytycznych, dotyczących samego pojęcia niepoznawalnego w filozofii Spencera. Przedewszystkiem należy jednak zauwa-

żyć odnośnie do tego pojęcia to, co się tyczy Kantowskiego pojęcia niepoznawalnej rzeczy samej w sobie, mianowicie, że przyznanie istnienia absolutu już samo przez się jest pewnem poznaniem jego. Widział to jasno Hume i dla tego, wraz z zaprzeczeniem poznawalności absolutu, dochodził do zupełnego sceptycyzmu. Przecież istnienia jakiejś rzeczy nie możemy przyznać bez odpowiednych do tego danych. Jeżeli zaś mamy pewne dane do uznania, wraz ze Spencerem istnienia absolutu, to należy sobie koniecznie przedłożyć pytanie, czy te dane nie wystarczają zarazem do pewnego bliższego określenia jego zasadniczych własności? Realne istnienie nie jest abstrakcyą, lecz ujawnia się zawsze w pewnych, konkretnych, szczegółowych objawach, a te przecież stanowią podstawę do bardziej szczegółowego określenia rzeczy, uznanej za istniejącą. W każdym razie, poruszone tu zagadnienie narzuca się bezpośrednio myśli i domaga się rozwiązania. Tymczasem, zagadnienie to wcale dla Spencera nie istnieje, co świadczy o zbyt dogmatycznym nastroju jego umysłu, pozostającym w ścisłym związku z jego empiryzmem.

Nadto widoczną jest rzeczą, że Spencer nie rozróżnia należycie *niepoznanego* od *niepoznawalnego*. To, co jeszcze nie jest poznanem, może być jednak poznawalnem, może z czasem, przy postępie wiedzy, stać się przedmiotem poznania. Właściwie, prosty fakt, że poznanie nasze jest ograniczonem, że wiele, bardzo wiele, pozostaje nam jeszcze do poznania, Spencer przyjmuje za podstawę do swego pojęcia niepoznawalnego. Brak w jego filozofii krytyki poznania, usprawiedliwiającej należycie jego pogląd na granice ludzkiej pojętności. Za mało w tym względzie skorzystał z Kanta, za mało dążył do uzasadnienia swej niechęci do głębszych badań nad ostatecznemi zasadami wiary ludzkiej i nad wyjaśnieniem naszych pojęć o tem, co należy nazwać realnem, bytującem, a więc naszych pojęć metafizycznych.

W zaznaczony powyżej sposób załatwił się tedy Spencer bez głębszych dociekań, z zasadniczemi zagadnieniami krytyki poznania. Druga część, znacznie obszerniejsza, jego dzieła o *Pierwszych zasadach*, przechodzi już na pole świata zjawiskowego, jako przedmiotu bezpośrednio dostępnego dla naszego poznania i dotyczy głównie zagadnień, wpadających w zakres *Wstępu do filozofii* i *metafizyki*.

Dwie są dziedziny życia umysłowego, mające, według Spencera, za przedmiot badanie i poznanie dostępnego dla nas świata zjawiskowego; dziedzinami temi są *filozofia* i *nauki specyalne*. To też należy zająć się przedewszystkiem określeniem ich zadań z ich wzajemnego do siebie stosunku.

Przy określeniu filozofii zasługuje na szczególną uwagę udział czynnika *syntezy* w sposobie myślenia i badaniach filozoficznych Spen-

cera. Swoją filozofię nazywa on, jak widzieliśmy, *syntetyczną*, więc można przewidzieć, że od bliższego pojęcia samej syntezy, zależy też cały jego systemat filozoficzny. Jaką syntezę ma tedy Spencer na oku?

Zgodnie ze swem stanowiskiem poznawczem, biorącem za podstawę swych badań dany empirycznie świat zjawiskowy, jasną jest rzeczą, że przedewszystkiem ma na oku syntezę filozoficzną szczegółowych badań zjawisk tego świata. A że badania te stanowią przedmiot nauk specyalnych, przeto synteza ostatecznych wyników tych nauk, stanowi główną treść filozofii Spencera. Z tem też zgadza się jego określenie filozofii w stosunku do nauk specyalnych, nazywanych przez niego często poprostu nauką. „Poznanie niższego stopnia, mówi, jest poznaniem nieuogólnionem wcale; nauka jest poznaniem uogólnionem w szczególności, filozofia jest poznaniem zupełnie uogólnionem". To, co nauki specyalne dobywają za pomocą uogólnień, dotyczących odnośnych przedmiotów ich badania, to filozofia powinna objąć syntecznie i przez to dojść do „zupełnie zjednoczonej wiedzy (completely unified knowledge)".

Takie określenie filozofii zbliża się pod niejednym względem do określenia Augusta Comte'a, który w filozofii pozytywnej nie widział właściwie nic innego, jeno encyklopedyczne streszczenie wyników nauk specyalnych. Z drugiej jednak strony miał Spencer zupełną słuszność, gdy zaprotestował jak najusilniej przeciwko zaliczaniu go do szkoły pozytywistów w duchu Comte'a. Już pogląd Spencera na istotę i zadania filozofii, wyodrębnia go od pozytywistów, gdyż filozofia ma według niego swój własny, samodzielny przedmiot badania, i nie jest tylko streszczeniem wyników nauk specyalnych. Tym jej przedmiotem są właściwie owe najwyższe uogólnienia, wynoszące się po nad uogólnienia nauk specyalnych i doprowadzające wiedzę ludzką do syntetycznej jedni. Filozofia wprawdzie i według Spencera czerpie swój materyał z nauk specyalnych, ale najwyższe jej uogólnienia nie są bezpośrednio dane w naukach specyalnych, lecz są wynikiem odrębnych dociekań i okazują się nawet owocnemi, odwrotnie przy badaniach specyalnych, jako czynniki, wyjaśniające ich materyał szczegółowy. Synteza filozoficzna jest tedy dla Spencera, samodzielnym dorobkiem umysłu, dorobkiem, którego bynajmniej nie wyczerpuje proste zestawienie wyników nauk specyalnych, jak twierdzi pozytywizm.

Prócz tak pojętej syntezy, napotykamy w filozofii Spencera tu i owdzie poglądy, świadczące o tem, że odczuwał on potrzebę syntezy filozoficznej i pod innemi względami, mianowicie jako współczynnika metody badań filozoficznych. Tak np. wypowiada on nieraz wyraźnie myśl, że najrozliczniejsze systemata i teorye filozofii, na pozór nawet

sprzeczne ze sobą, zawierają w sobie jeszcze czynniki prawdy, jako objawy pewnych potrzeb i dążności umysłu ludzkiego, zasługujących na uwzględnienie. Prawda najogólniejsza, najwyższa, powinna tedy objąć syntetycznie wszystkie takie poglądy, wyrównać ich sprzeczności i doprowadzić je do wspólnego mianownika. W tym duchu, odnośnie do określenia istoty i zadań filozofii, wyraźnie zaznacza, że pogląd Niemców na filozofię, zbyt rozległy, obejmujący ontologię, i pogląd Anglików, zbyt ciasny, sprowadzający całą filozofię właściwie tylko do filozofii przyrody, zawierają w sobie czynniki prawdy, które doprowadzają do pełniejszego, syntetycznego poglądu, zaznaczonego wyżej a wyrównywającego te jednostronności. Podobnież przy rozbiorze pojęć ducha i materyi, Spencer w końcu swych *Pierwszych zasad*, wypowiada przekonanie, że przeciwstawność tych pojęć nie odpowiada istotnej prawdzie, która obejmuje ducha i materyę, jako współczynniki jednego w sobie bytu, niepoznawalnego jednak, jak widzieliśmy, co do swej właściwej istoty.

Pomimo takiego, dość częstego spożytkowania czynnika syntezy, Spencer, nie zajmując się wogóle rozbiorem metody badań filozoficznych, nie zdawał sobie też sprawy z metodologicznego znaczenia syntezy, lecz posiłkował się nią tylko sporadycznie, przypadkowo, że tak powiem, bezwiednie. Tymczasem, kwestya metody badań filozoficznych, tak jest zasadniczo ważną, że bez jej należytego rozbioru, żaden systemat filozofii nie może być uznany za wszechstronnie rozwinięty i pełny. Rozbiór tego zadania, a w szczególności też syntezy, jako czynnika metodologicznego, z uwzględnieniem poglądów Spencera, podaję w swym *Wstępie do filozofii*, str. 560 i nast., więc też tutaj nad tym przedmiotem dłużej się nie zatrzymuję.

Od określenia filozofii, przechodzi Spencer do przedstawienia zasadniczych danych filozofii, jako podstaw jej dalszego rozwoju. Dane te wylicza dość dogmatycznie, przy pomocy wprawdzie filozoficznej refleksyi, ale bez bliższego ich uzasadnienia i rozbioru. Sprowadzają się one, według niego, przedewszystkiem do faktu, że posiadamy świadomość, rozróżniającą zjawiska ze stanowiska ich podobieństwa do siebie lub niepodobieństwa, czyli różnicy (likeness and unlikness or difference). W świecie zjawiskowym mamy do czynienia jedynie z manifestacyami, podlegającemi temu rozróżnieniu. Zjawiska podobne do siebie jednoczymy, uogólniamy i przeciwstawiamy im niepodobne.

Najpierwotniejszym objawem takiego rozróżnienia, a następnie i uogólnienia, jest przeciwstawność wśród zjawisk naszego życia wewnętrznego, między stanami umysłu *wyrazistemi*, *żywemi* i stanami

słabemi, przytłumionemi (vivid and faint manifestations). Pierwsze są stanami pierwotnemi, oryginalnemi i przyjmują dla naszej świadomości charakter przedmiotów zewnętrznych, wogóle świata przedmiotowego. Drugie zaś wypływają z działania pamięci, wyobraźni, wogóle ideozacyi i są tylko kopiami tamtych. One to stanowią naszą subjektywną jaźń, którą światu przedmiotowemu przeciwstawiamy. Cała dalsza wiedza ludzka, opiera się, według Spencera, na tem zasadniczem rozróżnieniu i przejawia się w całym rozwoju życia umysłowego.

Mimochodem zaznaczamy tu, że Spencer przejął powyższe rozróżnienie od swych poprzedników, począwszy od Locke'a i Hume'a i sam nie zadaje sobie wcale pytania, dla czego to na nasze pojęcie świata zewnętrznego, mają się składać wyłącznie wrażenia żywe, wyraziste, oryginalne, a na naszą subjektywną świadomość, jedynie wrażenia słabe, przytłumione, o charakterze kopij. Faktycznie przekonać się przecież można łatwo, że i do świata przedmiotowego odnoszą się często wrażenia słabe, wątłe, lub też będące kopiami poprzednio doznanych. W skład zaś jaźni wchodzą nieraz wrażenia bardzo wyraziste, żywe, pierwotne, przyczyniające się do rozwoju osobistej świadomości. Czyż wogóle takie chwiejne, nieokreślone rozróżnienie wrażeń żywych i słabych, może dać ścisłą podstawę do wyjaśnienia różnicy między światem przedmiotowym i jaźnią? Czy tu nie odgrywa ważniejszej daleko roli różnica między *akcyą* przedmiotową, biernie przejmowaną, a *reakcyą*, świadczącą o samodzielnej, czynnej sile, przeciwstawiającej się działaniu zewnętrznemu i urabiającej wyniki tego działania na swój ład, podmiotowy, subjektywny? W każdym razie, kwestyi tak zasadniczej nie można pozostawić bez bliższego rozbioru, jak to Spencer czyni.

Na podstawie powyższych pierwotnych „danych" filozofii, określa Spencer szereg dalszych pojęć zasadniczych, mających charakter metafizyczny, bo dotyczą bytu w ogóle, lecz przedstawianych jako wyniki prostej refleksyi nad empirycznie danemi faktami. Należą tu mianowicie pojęcia, naprzód *rzeczywistości*, a następnie *przestrzeni* i *czasu*, *materyi* i *ruchu*, wreszcie *siły*. Pogląd na te pojęcia daje Spencerowi podstawę do całego dalszego rozwoju filozofii syntetycznej.

Rzeczywistością nazywa Spencer to, co przyjmuje charakter stałości w naszej świadomości. A że na taką stałość składają się najrozliczniejsze, szczegółowe czynniki, zależne wzajemnie od siebie i znajdujące się do siebie w rozlicznych, choć stałych stosunkach, więc rzeczywistość przyjmuje dla nas z natury rzeczy rozliczne formy. Formy te przedstawiają się nam przedewszystkiem, bądź jako współistnienie zjawisk, bądź jako ich następstwo po sobie. Rozpatrując te

formy abstrakcyjnie, same w sobie, dochodzimy do pojęć *przestrzeni* i *czasu*. Jeżeli zaś zwracamy zarazem uwagę na konkretne zjawiska, wypełniające te formy, natenczas wytwarzają się w naszym umyśle pojęcia *materyi* i *ruchu*. Każde konkretne zjawisko, zajmujące pewne miejsce w przestrzeni, oraz pewną chwilę w szeregu czasowym, ma za swój podkład materyę i objawia się jako pewien ruch. Skoro jednak w dalszym pochodzie naszych dociekań zdajemy sobie sprawę z przyczyn zjawisk, okazuje się, że wszystkie powyższe pojęcia dają się sprowadzić do jednego wspólnego, jako ich głównego czynnika, a mianowicie do pojęcia *siły*. Przestrzeń i czas są właściwie tylko warunkami dla przejawu siły, a materya i ruch są jej bezpośredniemi manifestacyami, czyli objawami.

Cały świat zjawiskowy, jak w ogóle cała treść naszej zmysłowej wrażliwości, składa się, według Spencera, z samych tylko wrażeń siły, które ostatecznie wyłaniają się, jako względne skutki i objawy owej bezwzględnej przyczyny, objętej pojęciem niepoznawalnego absolutu. Wszelkie tedy dalsze badanie świata zjawiskowego, łączy się jak najściślej z pojęciem siły i z prawami, które się ujawniają w jej działaniu.

Do praw, wynikających z rozbioru objawów siły, należy przedewszystkiem, jako najwyższe w tym zakresie, prawo zachowania czyli stałości (persistence) siły. Z niego wypływają wszystkie inne prawa, oraz wszelkie czynniki, zdolne doprowadzić do wyjaśnienia zjawisk świata. Wraz z prawem zachowania siły, ujawnia się bezpośrednio prawo stałości we wzajemnem uwarunkowaniu się i w stosunkach objawów siły, czyli w ogóle stała, niezmienna prawidłowość w przebiegu zjawisk świata.

Wszystkie jednak prawa, złączone z pojęciem siły, mają, według Spencera, charakter analityczny i same przez się nie doprowadzają do jednolitego, syntetycznego poglądu na świat i jego zjawiska. Do tego niezbędnem jest prawo, wykazujące związek pomiędzy zjawiskami, a szczególniej pomiędzy ich czynnikami składowemi, jakiemi są materya i ruch. Oto te czynniki podlegają bezustannej zmianie, a owe prawo syntetyczne, powinno określić faktyczne podstawy tych zmian. Ujawniają się one w dwóch zasadniczych procesach świata zjawiskowego, nazwanych przez Spencera *rozwojem* (evolution) i *rozkładem* (dissolution). Każde zjawisko w czasowym swym poglądzie przebywa te dwa procesa, które określić można jako przejście, bądź ze stanu nieokreślonego i niewidzialnego rozłożenia w stan skoncentrowany, widzialny i coraz bardziej określony; bądź też odwrotnie z takiego stanu widzialnej i określonej koncentracyi w stan niewidzialnego i nieokreślonego rozłożenia.

Przy dalszym rozbiorze tych procesów, Spencer określa rozwój jako *integracyą* materyi, t. j. jako przejście ze stanu jednorodności (homogeneous) w stan zjednoczonej różnorodności (heterogeneous). Przejście to pociąga za sobą zawsze odpowiednie rozszerzenie zakresu ruchu (dissipation), oraz dyfferencyacyą szczegółowych funkcyj danej całości. Rozkład natomiast przedstawia mu się jako *disintegracya*, czyli rozwiązanie łączności pierwiastków. Wynikiem rozwoju jest równowaga wchodzących w grę czynników. Ale ponieważ przy osiągnięciu równowagi siły, jestestwa rozwijające się podlegają neutralizacyi, przeto naturalnym skutkiem owego ostatniego momentu rozwoju, jest przemoc sił zewnętrznych, doprowadzająca do rozkładu, który trwa tak długo, póki nowe siły koncentracyjne nie wywołają nowego rozwoju. W ten sposób powstaje, podług Spencera, pewien rytm, zarówno w pochodzie szczegółowych zjawisk, jak w procesie wszechświatowym, daje nam możność bliższego wyjaśnienia faktycznych dziejów, tak świata w ogóle, jak i dziejów ziemi, życia organicznego, ludzkości, oraz jej wytworów społecznych.

To też tylko ze stanowiska tych procesów, rozwoju i rozkładu, można, według Spencera, objąć całość świata i dojść do syntetycznego poglądu na jego zjawiska. Dla tego też cały dalszy pochód swych poszukiwań filozoficznych, opiera Spencer na tych procesach i z ich punktu widzenia poddaje rozbiorowi szczegółowy materyał wiedzy empirycznej.

Powyższe określenia rozwoju i rozkładu urobiły się w umyśle Spencera tylko stopniowo. W *Statyce socyalnej* z r. 1850, jest on jeszcze zwolennikiem celowości w rozwoju, szczególniej stosunków społecznych. Za przykładem angielskiego moralisty XVIII wieku, W. Paley'a, dowodzi on tutaj, że Stwórca miał na celu szczęśliwość w rozwoju istot żywych. Ale już w pracy o *Hipotezach rozwoju* z r. 1852, występuje przeciwko teoryi stworzenia świata i celów Stwórcy i przejmuje się ideą *rozwoju* wszechświata. Okazuje się tu, że odnośne teorye, szczególniej Lamarcka, nie były mu obce. Atoli w pracy tej nie określa jeszcze bliżej własnego poglądu na współczynniki rozwoju wszechświatowego. Dopiero w rozprawie o *Postępie i jego rozwoju* z r. 1857, powołuje się na pogląd znakomitego przyrodnika Baera, który przejście ze stanów jednorodności do różnorodności, uznawał za istotę rozwoju życia organicznego. Z tych danych dochodzi Spencer następnie do wyrobienia swego pojęcia integracyi i disintegracyi, jako głównych czynników rozwoju i rozkładu i wyjaśnia ten proces w związku z prawem zachowania siły. W ten sposób zasadniczy pogląd na ewolucyę był już zupełnie wyrobionym w umyśle Spencera, nim się w r. 1859 pojawiło znakomite dzieło Darwina

o *Powstawaniu gatunków*. Z tem wszystkiem i ono przyczyniło się niewątpliwie do uznania przez Spencera ewolucyi za zasadnicze prawo świata zjawiskowego. Na wszechstronnem zaś zastosowaniu i konsekwentnem przeprowadzeniu tego prawa ewolucyi, polega cała szczegółowa treść filozofii syntetycznej angielskiego myśliciela.

IV.

BIOLOGIA I PSYCHOLOGIA SPENCERA.

Zasadniczego prawa rozwoju i rozkładu, nie stosuje Spencer szczegółowo do przyrody nieorganicznej. Wprawdzie już w *Pierwszych zasadach* ilustruje swe ogólne wywody, często danemi zaczerpniętemi z zakresu kosmologii i geologii, podobnież w swych *Zasadach biologii*, uwzględnia dane z zakresu chemii i fizyki. Ale pomimo to, systematycznie rozwiniętego poglądu na proces świata nieorganicznego, a w szczególności na czynniki rozwoju i rozkładu, ujawniające się w tym procesie, nie napotykamy w dziełach Spencera. Cały jego systemat, po wyłożonej wyżej części ogólnej, obejmuje tylko szczegółowy wykład biologii i psychologii, oraz socyologii i etyki.

Co za przyczyna tego braku? Spencer sam przyznaje się do niego, mówiąc, że z logicznego toku rzeczy, należało po *Pierwszych zasadach*, zająć się zastosowaniem zasady ewolucyi do nieorganicznej przyrody, ale dodaje, że ten wielki dział opuścił po części dla tego, że programat jego systematu syntetycznej filozofii i tak jest zbyt rozległy, poczęści zaś dla tego, że wyjaśnienie przyrody organicznej, ma daleko bezpośredniejszą doniosłość.

Nie wydaje mi się, aby te przyczyny usprawiedliwiały należycie pominięcie nieorganicznej przyrody, tem bardziej, że Spencer według swych *Pierwszych zasad*, miał na celu wykazać, że najwyższe objawy świata są ewolucyjnym wytworem najpierwotniejszych jego pierwiastków, t. j. siły w formach materyi i ruchu, czynnych według prawa zachowania siły; pragnął tedy zmechanizować, o ile można, prawo ewolucyi. Przecież poprostu powiedział, że jak geologia jest tylko dalszym ciągiem i częścią astronomii, tak znowu biologia jest dalszym ciągiem i częścią geologii. Ale właśnie w celu konsekwentnego przeprowadzenia takiego poglądu, należało koniecznie zająć się rozbiorem pierwotnego czynnika wszechświatowego i z jego faktycznie danych

własności, przy pomocy owych zasad, wyjaśnić powstanie ustroju kosmicznego, jako podstawy wszelkich szczegółowych objawów życia. Łatwiej niewątpliwie stosować zasadę ewolucyi do gotowej już „materyi organicznej“, aniżeli wykazać, jakiemi drogami nieorganiczna materya się zorganizowała przy pomocy samych praw mechaniki; jakim sposobem stała się zawiązkiem życia, a z czasem nawet dopełniła prawo zachowania siły nowem prawem ideologicznem, przystosowania czynników wewnętrznych do warunków zewnętrznych i zachowania czynników najodpowiedniejszych (survival of the fittest).

To też chyba nie miniemy się z prawdą, gdy powiemy, iż główną przyczyną, że Spencer w badaniach swoich przeskoczył tę dziedzinę przyrody nieorganicznej, były trudności, jakie napotykał we wszechstronnem przeprowadzeniu swych pierwszych zasad właśnie na tem polu. Konieczność sprowadzenia nietylko wszelkich późniejszych objawów przyrody, ale nawet samych współczynników ewolucyi, do pewnych własności pierwotnej siły kosmicznej, byłaby go, prędzej czy później, zmusiła do dalszego rozbioru samej idei ewolucyi, może i do dopełnienia jej nowemi, bardziej racyonalnemi czynnikami.

Bo w samej rzeczy, czy mamy prawo powiedzieć na podstawie faktycznych danych, że ewolucya sama przez się jest czynnikiem twórczym wszechświata, zdolnym obdarzać pierwotną materyę kosmiczną jakiemiś nowemi własnościami, których początkowo wcale nie posiadała? Czyby to nie zbliżało się do dogmatu o tworzeniu czegoś z niczego? Okazuje się tedy, że proste empiryczne pojęcie procesu wszechświatowego, nie dopuszcza żadnych bezwzględnych nowości twórczych, lecz wszystko, a więc i samą ewolucyę, zmuszone jest wyprowadzić z pierwotnych własności owego czynnika, który się w świecie rozwija, bez względu na to, jakim mianem ten czynnik oznaczymy, czy go nazwiemy materyą pierwotną, czy ogólnikowo przyrodą, czy substancyą, czy według panteizmu samym Bogiem, czy wreszcie według Spencera Niepoznawalnem. Oderwijmy się od tych i tym podobnych nazw, a trzymajmy się rzeczy, i to znowu nie *rzeczy samej w sobie*, niepoznawalnej w duchu, czy Kanta, czy Spencera, lecz rzeczy faktycznie danej, według zdania i tych myślicieli dla nas dostępnej, a więc pozostańmy zupełnie w zakresie świata zjawiskowego. Czyż właśnie w tym zakresie nie musimy wyznać, że ostateczne wyniki procesu wszechświatowego, nie mogą zawierać w sobie nic bezwzględnie nowego, spadającego, że tak powiem, z nieba, bez związku z poprzedniemi danemi warunkami rozwoju? Takie zaś *empiryczne* pojęcie ewolucyi, czyż nie doprowadza do przekonania, że widoczne i ujawnione własności naturalnych wytworów ewolucyi, nie są żadną

bezwzględną nowością, lecz istniały już pierwotnie, tylko w sposób utajony, w samym czynniku, podlegającym rozwojowi?

Jeżeli tedy w procesie ewolucyjnym przyrody, napotykamy życie i myśl, jako najwyraźniejsze, faktycznie dane objawy tego procesu, to czyż pierwotny czynnik, będący podstawą całego rozwoju, może być pojmowany jako martwy i bezmyślny? Jakie motywa mogą skłonić badacza do wyłączenia tych zasadniczych własności życia i myśli z pierwotnego czynnika świata, skoro one właśnie stanowią najwspanialszy objaw rozwoju? Powołanie się w tym względzie na niepoznawalność pierwotnego czynnika świata, jest w gruncie rzeczy tylko wybiegiem, zastosowanym do czynnika życia i myśli, a usuwanym bez skrupułu, ale i bez należytej racyi, gdy idzie o uznanie martwego i bezmyślnego czynnika świata, t. j. siły, określanej fizycznie w formach materyi i ruchu.

Skoro naturaliści, a wraz z nimi i Spencer, przyjmują taki czynnik za punkt wyjścia do wyjaśnienia całego bogactwa objawów życia i myśli, to na jakiej zasadzie mogą się powołać na jego niepoznawalność wobec myślicieli, uznających życie i myśl za równie pierwotne własności owego rozwijającego się czynnika, t. j. za własności, które nie dają się wyprowadzić z martwej i bezmyślnej materyi, przypuszczając nawet miliardy lat poprzednich rozwoju, t. j. najrozliczniejszych odmian metafizycznych.

Otóż, Spencer wolał pominąć całą dziedzinę świata nieorganicznego i wprost przystąpić do wykładu swego poglądu na „materyę organiczną“, aby nie być zniewolonym do rozbioru istotnych własności pierwotnego czynnika ewolucyi i wskutek tego zapewne odstąpić od jego pojęcia w duchu tradycyi sensualistycznego naturalizmu. Widzieliśmy przecie powyżej, że sam Spencer posiada pewne syntetyczne pojęcie bytu, absolutu, obejmujące ducha i materyą w swej jedni. Ale tego pojęcia nie uwzględnia należycie w rozwoju swych poglądów, lecz przy wyjaśnieniu zjawisk świata, pozostaje na stanowisku jednostronnego naturalizmu *).

Wykład *biologii*, albo raczej samych tylko *zasad* biologii, rozpoczyna Spencer rozbiorem materyi organicznej, oraz działania sił na nią, jako też jej przeciwdziałania w stosunku do sił (akcya i reakcya).

*) Ponieważ nie mogę na tem miejscu rozwinąć wszechstronnie powyższych uwag, zmuszony jestem powołać się znowu, dla czytelników interesujących się tem zagadnieniem, na mój *Wstęp do filozofii*, gdzie w rozdziale o rozwoju filozofii (str. 661 i nast.), poddaję krytycznemu rozbiorowi pojęcie rozwoju wogóle u Hegla, Comte'a i Spencera.

Życie, ujawniające się w materyi organicznej, Spencer przyjmuje tedy jako dany fakt i stara się tylko dojść do jego najogólniejszego określenia, jako podstawy do wyjaśnienia jego szczegółowych objawów. Najkrótsza, i zarazem najogólniejsza definicya życia, daje się, według niego, sprowadzić do zdania: życie, jest to ciągłe przystosowanie się wewnętrznych stosunków do stosunków zewnętrznych (the, continuous adjustment of internal relations to external relations). Przez wewnętrzne stosunki należy tu rozumieć pewne kombinacye zmian, dokonywających się w materyi organicznej, bądź jednocześnie, bądź w następstwie czasowem; zewnętrzne zaś stosunki oznaczają współistnienie, lub następstwo sił zewnętrznych, oddziaływających na materyę organiczną. W świecie nieorganicznym niema tej przeciwstawności. Siły zewnętrzne wywołują tu bezpośrednio skutki, działając nawzajem na siebie, ale nie powodują reakcyi wtórnej, jak w organizmie, który, ulegając zmianom w jednym momencie, przygotowywa się do reakcyi na ponowne działanie sił zewnętrznych. Życie jest właśnie wynikiem wzajemnego na siebie oddziaływania i związku (correspondence) tych dwóch czynników, wewnętrznego i zewnętrznego, a w szczególności przygotowania się czynnika wewnętrznego do stosunków zewnętrznych.

Stosownie do stopnia wzajemnego scharakteryzowania zaznaczonych czynników, życie przyjmuje różne formy. Rozwój, ewolucya tych form życia, przedstawia szereg stopniowo coraz bardziej zharmonizowanego związku między czynnikiem wewnętrznym i zewnętrznym.

Od pierwszych zawiązków życia ujawnia się w każdej istocie żywej dążność do takiego, możliwie pełnego przystosowania wewnętrznych czynników swego bytu do danych warunków zewnętrznych. W miarę wszechstronniejszego urzeczywistnienia tego celu, a więc w miarę dokonywających się w tym kierunku zmian w funkcyach i ustroju, dana istota nabiera więcej sił żywotnych i przeciwstawia się tem skuteczniej siłom zewnętrznym, spożytkowując je coraz lepiej dla swego istnienia i rozwoju. Istoty, przystosowane należycie do zewnętrznych warunków, posiadają tedy większą żywotność i przekazują je swym potomkom, podczas gdy istoty nienależycie przystosowane, bądź giną bez potomstwa, bądź też wydają potomstwo coraz mniej zdolne do życia, więc skazane prędzej czy później na zagładę. A że nadto wraz z temi czynnikami przystosowania i dziedziczności, działa wciąż powszechne prawo integracyi i disintegracyi, całkowania i różniczkowania zjawisk, więc ewolucya organiczna ujawnia się w ten sposób wydaniem coraz rozmaitszych, a zarazem coraz pełniejszych i doskonalszych objawów życia.

Na podstawie tych ogólnych pojęć o życiu organicznem i jego rozwoju, wyjaśnionych przy pomocy całego odnośnego materyału przyrodniczego, przechodzi Spencer następnie do szczegółowego rozbioru faktów ewolucyi pod względem morfologicznym i fizyologicznym i zamyka wreszcie biologią wykładem praw rozmnażania się organizmów (Laws of multiplication).

W morfologii usiłuje przedstawić teoryę form organicznych, począwszy od pierwszych zawiązków życia, roślin i zwierząt, aż do form najbardziej skomplikowanych. Zasadniczą tendencyą wszelkich w tym względzie wywodów, jest udowodnienie, że nieskończone odmiany, jakie wykazuje morfologia w ustroju życia organicznego, a mianowicie odmiany, jakim podlega jednostka morfologiczna, komórka, są bezpośrednim wynikiem działania owych najogólniejszych czynników prawa ewolucyi, o których była mowa powyżej.

Prawda, że sam celowy postęp wszystkich odmian ewolucyjnych, jako całość, nie zostaje przez Spencera należycie dotkniętym, a tem mniej wyjaśnionym, dla zaznaczonych już powodów. Pomimo to, nie ulega wątpliwości, że w licznych szczegółach, dotyczących wytworów morfologicznych życia organicznego, Spencer rzuca nowe światło, wskutek zastosowania do nich swego zasadniczego poglądu na współczynniki ewolucyi. I tu ujawnia się jedna z największych zasług tego myśliciela, polegająca na tem, że faktyczne dane nauk przyrodniczych, wyjaśnia z ogólnego filozoficznego punktu widzenia, przy pomocy ścisłego, choć może czasem zbyt ciasnego określenia zasadniczych czynników wszelkich szczegółowych zjawisk danego rodzaju.

Toż samo powiedzieć należy, o części fizyologicznej jego biologii. Tu uwagę swoją myśliciel ześrodkowywa na procesach, dokonywających się w samych ustrojach organicznych. Ale i tutaj idzie mu głównie o wykazanie, że procesa te podlegają najrozliczniejszym zmianom wskutek działania owych współczynników prawa ewolucyi. Dyferencyacya, różniczkowanie funkcyj organicznych, a mianowicie fizyologicznych jednostek, daleko więcej skomplikowanych, niż morfologiczne, pociąga za sobą i odpowiednie zmiany w ustroju organizmu; wytwarza stopniowo nowe narządy, organa, które ze swej strony przy pomocy całkowania, stają się podstawą dla dalszego rozwoju rozlicznych czynności organizmu.

W ten sposób tłómaczą się, według Spencera, takie zasadnicze i coraz pełniejsze objawy życia organicznego, jak odżywianie, wzrost, ruch coraz swobodniejszy, wreszcie odrodzenie i wzmożenie jednostek organicznych, jako całostek. Przystosowanie tych ogólnych zasad do szczegółowych wyników nowszych badań na polu fizyologii, stanowi

również pouczającą i doniosłą pod względem naukowym treść tego działu biologii. Zatrzymanie się atoli na tych szczegółach rozszerzyłoby zbytnio rozmiary niniejszego sprawozdania i nadto wymagałoby wyjaśnień, wpadających już zupełnie w zakres fizyologii, jako nauki specyalnej, a różniących się od filozoficznego sformułowania jej zasad ogólnych. Więc przechodzimy do ostatniej części biologii, mającej za przedmiot prawo rozmnażania się organizmów.

Ewolucya indywidualna, t. j. proces indywidualizacyi, czyli wytwarzania się nowych jednostek, jest według Spencera, procesem integracyi, całkowania. Każda nowa jednostka organiczna, jest dedukcyą, wynikającą z czynników, przynależnych do jednej lub dwóch poprzednio istniejących jednostek. Jeżeli temu procesowi indywidualizacyi przeciwstawiamy warunki, wśród których on się dokonywa, t. j. warunki genetyczne, czyli płodności, natenczas okazuje się, że pomiędzy temi czynnikami istnieje konieczny antagonizm, t. j. im wyższy szczebel zajmuje jednostka, jako jednostka, pod względem biologicznym, tem mniejsza jest jej płodność i odwrotnie. Jest to znana nam już przeciwstawność integracyi i dyferencyacyi, jako czynników ewolucyi. Mniejsza płodność człowieka w porównaniu z większością zwierząt, zostaje w związku z wysokim rozwojem jego systematu nerwowego. Podobny antagonizm istnieje pomiędzy wzrostem organizmu i jego płciową lub bezpłciową płodnością.

Te, na pozór dość proste stosunki na polu rozmnażania się jednostek, komplikują się w wysokim stopniu u człowieka. To też wykazanie prawa ewolucyi zaludnienia ziemi jest zadaniem wielce trudnem. Pomimo to Spencer podejmuje się wyjaśnienia tego prawa choć w sposób przybliżony. Ludzie, stojący na niższej stopie rozwoju, mnożą się bardziej, niż kulturalni. Więc pierwotnie ludzkość rozmnażała się daleko prędzej, podobnież i każdy naród w stanie pierwotnym. Ale ten proces dyferencyacyi w rozmnażaniu, wywołuje w swych skutkach przeciwny proces indywidualnej integracyi. Im bowiem większe objawia się zaludnienie, przybliżające się do przeludnienia, tem warunki życia są trudniejsze, a trudność ta, wyrabia tem bardziej indywidualność, gdyż emulacya między jednostkami zmusza je do udoskonalenia tych funkcyj i organów, które wynikają z przystosowania się do utrudnionych warunków bytu. Ten proces zaś pociąga za sobą znowu zmniejszenie płodności, więc wyrównywa poprzedni czynnik, a może się nawet stać groźnym dla bytu narodów, ras ludzkości. Ztąd wynika potrzeba odnalezienia środków, zdolnych harmonizować w sposób należyty wszystkie współczynniki rozwoju ludzkiego, zarówno indywidualnego, jak i rasowego. Ale takie oddziaływanie na przyszły rozwój człowieka,

przez celowe przygotowywanie jego potrzeb do zewnętrznych warunków bytu, wpada już w zakres zagadnień socyologicznych. Przejście zaś od biologii do socyologii, stanowi *psychologię*.

Psychologia jest u Spencera tylko dalszym ciągiem biologii, rozbioru objawów i ewolucyi życia wogóle. Jak nie można określić przejścia od nieorganicznej przyrody do organicznej, tak również niepodobna odnaleźć ścisłej granicy między objawami fizyologicznemi i psychicznemi. Pomimo to mówi Spencer jak najwyraźniej o „substancyi ducha czyli umysłu“ (substance of mind) i uznaje jej *istnienie*, jako stałego, wewnętrznego czynnika, powodującego w swym stosunku do zewnętrznego otoczenia, wszelkie zmiany psychiczne. Ale sama ta substancya duchowa znowu, nie jest poznawalna dla nas, podobnie, jak chemia nie doprowadza do poznania samej materyi. W jednym i drugim wypadku ograniczyć się musimy badaniem odnośnych zjawisk i określeniem ich wzajemnego do siebie stosunku. I tutaj, jak w ogóle odnośnie do ostatecznej zasady wszechbytu, Spencer nie spostrzega, że uznanie *istnienia* takiej duchowej substancyi, już jest pewnem jej poznaniem, gdyż to istnienie narzuca się nam, więc i jemu, jedynie na podstawie faktycznych danych, ujawniających jej zasadnicze własności. Atoli i tutaj wygodniej zasłonić się parawanem agnostycyzmu, niż poddać dalszemu rozbiorowi owe faktyczne dane, zmuszające do uznania istnienia osobnej substancyi psychicznej i jej działania. Więc też o niej, prócz tej krótkiej wzmianki, nic więcej nie słyszymy.

Na polu psychologii, jako nauki empirycznej, mamy tylko do czynienia z *czuciami* (według terminologii Spencera: *feelings*) i ze stosunkami (relations) istniejącemi między niemi. Każde czucie stanowi psychiczną całostkę (unit), wchodzącą w skład życia psychicznego jednostki, a przy wyższym rozwoju w skład jej świadomości. Każda całostka psychiczna ma charakter uderzenia nerwowego (nervous shock), wywołanego przez odpowiednie zmiany molekularne w systemacie nerwowym. Różnica pomiędzy czuciami jest wynikiem różnej integracyi owych pierwotnych całostek psychicznych. Czucia, wywołane wskutek zmian centralnych, Spencer nazywa *wzruszeniami* (emotions), wywołane zaś peryferycznie stają się *wrażeniami* (sensations). Nadto czucia przyjmują rozliczny charakter, w miarę tego, czy się kojarzą ze sobą w formie współistnienia, lub też następstwa czasowego. Kojarzenie to ujawnia się w zasadniczem prawie asocyacyi zjawisk psychicznych, które Spencer tak formułuje: „Każde czucie i każdy związek czuć w teraźniejszości kojarzy się z podobnem czuciem lub związkiem, doznanym w przeszłości“. Prawo to, oraz czynniki prawa ewolucyi, stanowią ostateczne zasady, przy których

pomocy Spencer usiłuje wyjaśnić całe bogactwo życia psychicznego, począwszy od jego pierwotnych objawów, aż do najbardziej skomplikowanych w świadomości ludzkiej.

Wskutek uznania prawa kojarzenia za czynnik zasadniczy życia umysłowego, Spencer rozwija dalej psychologię asocyacyi angielskich myślicieli, począwszy od Locke'a. Ale dopełniając działanie prawa asocyacyi, czynnikami ewolucyi, a mianowicie celowem przystosowaniem wewnętrznej treści umysłu, do danych warunków zewnętrznych, odejmuje on nauce swych poprzedników charakter mechanicznej bierności i zaznacza, obok kojarzenia idei, samoistną akcyę czynnika psychicznego, oraz jej bezpośredni udział w rozwoju objawów psychicznych. Jestto postęp bardzo doniosły, sprowadzający badanie psychologiczne i w Anglii na nowe tory, w przeciwstawności do skostniałej rutyny, w kierunku ciasnych objawów asocyacyi, które nie są zdolne wyjaśnić wyższych dążności umysłu na polu estetycznem, poznawczem i moralnem.

Szczegółowy wykład zasad psychologii, Spencer dzieli na dwie główne części, które nazywa *psychologią przedmiotową* i *podmiotową*.

Pierwsza ma za zadanie wykazać związek ewolucyi życia organicznego i jego form z rozwojem psychicznym; druga natomiast poddaje szczegółowemu rozbiorowi same zjawiska życia psychicznego, i w celu ich wyjaśnienia sprowadza je do odpowiednich zasad ogólnych.

Z określenia powyższych dwóch części psychologii wynika, że pierwsza bada objawy psychiczne tylko dodatkowo, do porównawczej anatomii i fizyologii życia organicznego. Każdy wyższy szczebel w rozwoju organizmów, ujawnia się stopniowo, wskutek działania praw ewolucyi, odpowiednio wyższemi objawami psychicznemi, tak pod względem różniczkowania, jak i całkowania owych składowych czynników. Więc, począwszy od prostych odruchów, widzimy, jak się wytwarzają instynkta, rozliczne wrażenia zmysłowe, aż wreszcie, wskutek komplikacyi warunków zewnętrznych i odpowiedniego całkowania czynników wewnętrznych, powstają samoistne jednostki organiczne z odpowiednim organem centralnym, ześrodkowującym w sobie ich życie wewnętrzne, przy pomocy indywidualnej świadomości. Automatyzm pierwotnych objawów życia wewnętrznego ustępuje wtedy coraz bardziej celowej działalności rozumu i woli, przy których udziale człowiek korzysta z narządów, wstrzymujących bezpośredni przebieg procesów fizyologicznych, aby samodzielnie urzeczywistnić wymagania wyższych wytworów życia psychicznego. I tutaj napotykamy u Spencera cały szereg wielce zajmu-

jących faktycznych zestawień, wyjaśniających bliżej jego pogląd na paralelizm rozwoju organicznego z psychicznym.

Psychologia subjektywna stanowi właściwą, czystą psychologię w systemacie filozofii Spencera. Poddaje ona rozbiorowi świadomość, jako centralny objaw i ostateczny wytwór rozwoju psychicznego. Rozbiór ten ma na celu wykazanie, że całe życie umysłowe, szczególniej człowieka, z całą mnogością i rozmaitością owych objawów, jest procesem, ujawniającym różniczkowanie i całkowanie rozlicznych stanów świadomości.

Na powyższem tle zasadniczem, rozwija Spencer szczegółowo zaznaczone wyżej współczynniki ewolucyi psychicznej i dochodzi do wyników, określających jego ogólne poglądy na stosunek człowieka, jako podmiotu, do pozostałego świata, jako przedmiotu jego działalności umysłowej. Nie wdając się tu bliżej w ten szczegółowy wykład psychologii Spencera, zaznaczymy tylko, że owe ogólne wnioski z badań na tem polu, dotyczą głównie najwyższych zagadnień wiedzy ludzkiej i mają na celu zastąpić choć w części brak osobnej teoryi poznania, czyli logiki krytycznej w systemacie tego myśliciela. Prócz potrąconych już w tym kierunku poglądów, zawartych w *Pierwszych zasadach*, a tutaj powtórzonych, zasługuje na szczególną uwagę, pod względem swej doniosłości filozoficznej, to, co Spencer ze stanowiska psychologicznego mówi o apriorycznych, czyli przyrodzonych czynnikach poznania ludzkiego, oraz o najwyższem kryteryum czyli sprawdzianie prawdy.

Wraz z Kantem przyznaje Spencer, że istnieją w umyśle naszym pewne czynniki pierwotne, które a priori stosujemy do wszelkich danych empirycznych, urabiając je według wymagań tych czynników. Są to owe wyobrażenia przestrzeni i czasu, oraz kategorye rozsądku i idee rozumu. Ale te czynniki apryoryczne są dla Spencera apryorycznemi jedynie u jednostek wyżej rozwiniętych pod względem umysłowym, jako wynik poprzedniej, długiej ewolucyi psychicznej, odziedziczonej po przodkach. Pierwotnie atoli i te czynniki wytwarzały się w umysłach drogą empiryczną, a mianowicie na podstawie wyszukiwania podobieństwa i różnic między zjawiskami. Tylko z czasem, nagromadzone powoli doświadczenia przyjmują formę stałą i przechodzą wraz z bardziej skomplikowanym mózgiem na późniejsze pokolenia. Pogląd ten jest pewnem syntetycznem wyrównaniem jednostronnych poglądów racyonalizmu i empiryzmu, wykazującem, że Spencer, pomimo tradycyj empirycznych, zmuszony był, na podstawie faktycznie danej w chwili obecnej organizacyi umysłu, uznać doniosłość racyonalizmu, szczególniej w tej formie, jaką mu nadał krytycyzm Kanta. To też wyniki jego przyswaja sobie, choć z zaznaczo-

nem zastrzeżeniem, pozostającem w związku z jego teoryą ewolucyi.

Tenże sam czynnik syntetyczny uwydatnia się w poglądzie Spencera na sprawdzian prawdy. Nie zadawala się on pod tym względem zasadą empiryzmu, że dane doświadczenia są jedyną podstawą poznania prawdy. Są one i według niego niezbędne, lecz nie wystarczają dla ostatecznego rozwiązania zagadnień wiedzy ludzkiej. Dopełnione one być winny racyonalnym rozbiorem owych danych doświadczenia, w celu wykazania, że sprzeczność z przedłożonym poglądem nie jest możliwa. Więc prawo tożsamości i sprzeczności, będące zasadą racyonalnej logiki, jest i dla Spencera ostatecznym sprawdzianem wszelkich poglądów, wyjaśniających materyał empiryczny naszej wiedzy. Tylko o tyle, o ile wykazać możemy, że inne wyjaśnienia przy obecnym stanie wiedzy nie są możliwe, mamy prawo powiedzieć, że nasze wyjaśnienie jest prawdą, naturalnie w granicach dostępnych wogóle dla umysłu ludzkiego.

V.

SOCYOLOGIA I ETYKA SPENCERA.

Socyologia ma, według Spencera, za przedmiot naukę o społeczeństwie i jego ewolucyi, a zatem jego wzrost, ustrój, funkcye i wytwory. Zasadniczą jej podstawę stanowi dany w psychologii rozbiór uczuć (sentiments), szczególniej sympatyi, oraz uczuć egoistycznych, ego-altruistycznych i altruistycznych. Uczucia te w stopniowym swym rozwoju, wśród zmiennych warunków zewnętrznego bytu, wytwarzają społeczeństwo z całym bogactwem najrozliczniejszych stosunków życiowych między ludźmi. Już wśród niższych form życia organicznego, napotykamy wprawdzie skupienia (aggregats), przypominające ustrój społeczny, jak u pszczół, os i mrówek, ale to nie są właściwe skupienia społeczne, bo nie są zjednoczeniem jednostek, podobnych do siebie pod względem swych zdolności, a przytem niezależnych, lecz zjednoczeniem potomków jednej matki. Zawiązki prawdziwie społecznych formacyj, występują dopiero u wyższych kręgowców, jak np. u wron, bobrów i t. p., lecz w całej pełni formacye te rozwijają się wśród ludzi. To też socyologia zajmuje się głównie społeczeństwem ludzkiem.

Porównywając formacye społeczne z formacyami organicznemi, Spencer dochodzi do wniosku, że społeczeństwo jest także pewnego rodzaju organizmem; staje tedy po stronie tych socyologów, którzy, począwszy już od Platona, a w angielskiej filozofii od Hobbesa, rozpatrują społeczeństwo na podstawie analogii z organizmem i dowodzą, że jest ono żywym ustrojem, podlegającym w swym zakresie podobnym prawom bytu i rozwoju, jak ustrój organiczny. Ponieważ jednak istnieją pewne ważne różnice między temi formacyami, przeto Spencer uznaje społeczeństwo nie wprost za wytwór organiczny, lecz za formacyę *nad organiczną* (super-organic), która obejmuje wprawdzie czynniki nieorganiczne, lecz ujawnia zarazem nowe wyższe momenta ewolucyi, przekraczające bezpośredni zakres rozwoju zwykłych organizmów.

Wobec tak postawionego zagadnienia, bliższe określenie zarówno podobieństwa, jak i różnic społeczeństwa w porównaniu z organizmem, ma dla socyologii Spencera znaczenie zasadnicze. Podobieństwo ujawnia się według niego, głównie w czterech następujących momentach: 1) społeczeństwo rośnie, podobnie jak zwykły organizm; z małych pierwotnie zawiązków, rozwija się tu i tam wielka masa, często aż do 10,000 razy większa; 2) zawiązki pierwotnie nieforemne, bez struktury (structureless), dochodzą, dzięki zaznaczonym czynnikom ewolucyi, do wielkiej złożoności; 3) części składowe ustroju, pierwiastkowo biernie zależne od działających na nie sił, stają się wskutek rozwoju coraz samodzielniejszemi; wreszcie 4) społeczeństwo, jako całość, podobnie jak i gatunek w formacyach organicznych, jest niezależnem od jednostki i przeżywa ją. Ale z tem podobieństwem łączą się i ważne różnice w nad-organicznych formacyach społecznych. Różnice te dają się sprowadzić do następujących głównych momentów: 1) społeczeństwo nie posiada zewnętrznej, widzialnej i dotykalnej formy, jak zwykły organizm; 2) społeczeństwo nie tworzy jednej, wewnętrznie zespojonej masy, odpowiadającej ciału organicznemu; 3) składowe części społeczeństwa nie zajmują w niem stałego niezmiennego miejsca, jak części zwykłego organizmu, lecz mają swobodę ruchu i dochodzą do wielkiej samodzielności; wreszcie, różnica najważniejsza, 4) czucie zwykłego organizmu ześrodkowywa się w pewnych specyalnych organach, gdy tymczasem w społeczeństwie wszystkie części składowe obdarzone są czuciem.

Pomimo powyższych różnic, ewolucya społeczna, czyli nad-organiczna, jest jednak, według Spencera, dalszym ciągiem rozwoju zwykłego życia organicznego, a same te różnice przedstawiają się, jako naturalne wytwory powszechnego, coraz wyższego postępu rozwojowego, wskutek nieprzerwanego działania prawa ewolucyi i jego

współczynników. Ztąd to i formacye społeczne mogą być, według Spencera, należycie zrozumiane i wyjaśnione, jedynie z zajętego przez niego stanowiska ewolucyjnego. Socyologia ma właśnie za zadanie, wykazać szczegółowo powstawanie tych nad-organicznych formacyj, jako wytworów dalszej ewolucyi życia organicznego.

Wśród wszystkich części swego systematu filozofii syntetycznej, Spencer opracował socyologię najobszerniej, najbardziej wyczerpująco. Prócz wspomnianych już trzech tomów *Zasad socyologii*, oraz *Wstępu* do niej, wydał on wspólnie z Duncanem, Scheppingem i Collierem ośm części „Socyologii opisowej“ (Descriptive Sociology) i pozostawił po sobie w rękopisie dalsze części tego olbrzymiego zbioru materyałów i tablic, mających wykazać, na jak szerokich podstawach faktycznych oparł swoje teorye. Rzecz naturalna, że po zaznaczonych wyżej ogólnych zasadach socyologii Spencera, możemy tu tylko pobieżnie dotknąć ich szczegółowego rozwoju.

Najpierwotniejszą jednostkę społeczną, przedstawia, według Spencera, *rodzina*, jako wytwór łączności płciowej. Od niej zależy byt i rozwój gatunku, a uspołecznienie, mianowicie ludzi i powstawanie coraz pełniejszych i bogatszych form życia społecznego, znajduje się w bezpośrednim związku z rozwojem stosunków płciowych. Za najwyższy wytwór stopniowej ewolucyi tych stosunków, uznaje Spencer monogamię oraz urządzenia i życie domowe, oparte na niej. Ona to rozwija głównie owe uczucia intelektualnej i moralnej sympatyi, które są niezbędnym warunkiem wszelkiego postępu życia społecznego.

Rozliczne typy i ustroje nad-organicznej ewolucyi, mogą być klasyfikowane z rozlicznych punktów widzenia. Najprzód ze stanowiska ich złożoności, mogą być proste, złożone, podwójnie, potrójnie złożone i t. d. Stopnie te zależą naturalnie zarazem od rozwoju funkcyj społecznych danego ustroju; im szerzej i rozmaiciej różniczkują się te funkcye, ujawniające kooperacyę składowych czynników ustroju, tem on jest bardziej skomplikowanym i staje na wyższym szczeblu rozwoju. Wszystkie te stopnie występują na jaw, wskutek ewolucyi, która z pierwotnej rodziny wytwarza w końcu szeroko i bogato uorganizowane państwo.

Z innego punktu widzenia przedstawiają się nam dwie przejściowe, lecz równie powszechne formy ustrojów społecznych, mianowicie przeważnie *wojenny* i przeważnie *przemysłowy* (predominantly militant or predominantly industrial). Pierwszy jest pierwotniejszym i przyczyniał się najbardziej do wewnętrznej konsolidacyi ustrojów społecznych, do ich zjednoczenia, gdy wódz gromady, broniącej się od

napadu nieprzyjaciół, lub podejmującej napad, staje się z natury rzeczy głową ustroju społecznego i w czasie pokoju. Zasadniczym charakterem takich ustrojów jest możliwie większa centralizacya wszystkich funkcyj społecznych oraz zależność, jeśli można, bezwzględna wszystkich części składowych ustroju od jego głowy. Ta forma zbliża się bardziej jeszcze do typu zwykłego organizmu, w którym systemat nerwowy, reprezentuje również bezwzględną jednię wszystkich funkcyj i części składowych danego ustroju. Nadto kierunek działania i rozwoju takich ustrojów społecznych, jest przeważnie zewnętrzny, ma na oku jego rozszerzenie, z zaniedbaniem potrzeb wewnętrznych społeczeństwa i jego członków.

Wskutek dalszej ewolucyi rozwija się atoli wśród odpowiednich warunków zewnętrznych, działalność przemysłowa członków społeczeństwa, a z nią idzie w parze coraz większa ich samodzielność w stosunku do czynników centralnych ustroju. Doprowadza to do nowego typu, w którym strona wewnętrzna życia społecznego, zaczyna górować nad zewnętrzną, przy wszelkiem jednak przystosowaniu się do przedmiotowo danych warunków bytu. Przemysł rozwija się należycie tylko na podstawie dobrowolnej kooperacyi członków społeczeństwa, tylko przy swobodzie indywidualnej działalności i niekrępowanej wymianie wzajemnych usług między chlebodawcami i robotnikami, kupcem i kupującym, rzemieślnikiem i odbiorcą jego wytworów. To też typ przemysłowy dąży przedewszystkiem do rozwoju wewnętrznych stosunków, do decentralizacyi, w celu nadania jednostkom możliwie wielkiej inicyatywy i samodzielności w życiu społecznem.

Jeżeli, jak się okazało, ustrój społeczny, jako wytwór ewolucyi nadorganicznej, różni się od zwykłego organizmu tem, że nie ma jednostkowego centralnego czucia, lecz czucie umiejscowia w samoistnych jednostkach, to z tego wynika, że w tym kierunku ujawnia się prawdziwy postęp społeczny. W zwykłym organizmie części istnieją dla całości, bo bez niej nie mają ani znaczenia, ani samoistnego bytu. Odwrotnie, w nadorganicznej formacyi społecznej, całość istnieje dla swych części składowych, dla jednostek, gdyż one tylko mają realne znaczenie i w nich tylko ześrodkowywa się życie społeczne. Typ przemysłowy ustroju społecznego zmierza do takiego właśnie celu; a przeświadczenie o tem doprowadza Spencera na polu życiowych zagadnień socyologii do skrajnego *indywidualizmu*, oraz do teoryi manchesterskiej laissez-faire, laissez-aller. Z tego wynika, że państwo i jego rządy Spencer pragnie zredukować do minimum, a natomiast całe życie społeczne i jego rozwój, oprzeć na inicyatywie jednostek i ich działalności. To też osobistość jednostkową, rozwiniętą

o ile można wewnętrznie, uznaje Spencer za najwyższy wytwór rozwoju socyalnego, a więc i w ogóle całej dotychczasowej ewolucyi.

Typ przemysłowy nie przedstawia, według Spencera, ostatecznego kresu nadorganicznej ewolucyi. Przemysł ma zawsze jeszcze charakter zewnętrzny, materyalny, w porównaniu z potrzebami umysłowemi jednostki uspołecznionej. Jej życie wewnętrzne, duchowe, domaga się również wszechstronniejszego rozwoju i możliwie jednego uwzględnienia. Według przekonania Spencera, ewolucya socyalna w tym kierunku wytworzy w przyszłości nowy typ ustroju społecznego, w którym czynniki organizacyi militarnej, oraz wytwory swobodnej przemysłowości, nie będą miały na celu samego tylko materyalnego dobrobytu jednostek, lecz wyższe czynności życia umysłowego na polu sztuki, nauki i umoralnienia. Ale jest to zadanie, może dość jeszcze dalekiej przyszłości, nad której ukształtowaniem filozof angielski, empiryk i realista, bliżej się nie zastanawia.

W powyższych ramach ewolucyi, poddaje Spencer szczegółowemu rozbiorowi całe bogactwo wewnętrznej treści życia społecznego oraz zewnętrznych warunków jego rozwoju. Więc traktuje obszernie o stosunkach rodzinnych i domowych, o małżeństwie, o stanowisku i znaczeniu społecznem mężczyzn, kobiet i dzieci, dalej o ceremoniale towarzyskim, ujawniającym się w podarkach, wizytach, tytułach, w ubraniu, ozdobach i t. p., następnie mówi obszernie o instytucyach politycznych, o formach ustroju państwowego, o władzy prawodawczej, wykonawczej i sądowej, o reprezentacyi społecznej i t. d. wreszcie przechodzi do rozbioru instytucyj kościelnych, przyczem naturalnie rozwija swe poglądy na religię.

Początkiem religii jest, według Spencera, cześć dla przodków i umarłych. Z czasem stają się oni, w wyobraźni ludzi pierwotnych, bogami. Obawa zaś przed nimi wytwarza rozliczne ceremonie religijne. Wiarę w nieśmiertelność duszy sprowadza do widoku cieniów, echa w górach i tym podobnych objawów, wywołujących myśl o naszem podwójnem istnieniu. Stan kapłański łączył się pierwotnie ze stanem lekarskim i przybrał samodzielne znaczenie tylko wskutek różniczkowania czynności około dobra ciała i duszy ludzi. Rozwój pojęć religijnych przyczyniał się naturalnie także do wyodrębnienia kasty kapłańskiej i nadał jej w końcu znaczenie górujące w ustroju społecznym. Ztąd wynikła w nowszych czasach wielce doniosła kwestya o stosunku kościoła do państwa, którą Spencer szczegółowo rozpatruje. Dochodzi on do wniosku, że ostatecznie, wskutek rozwoju

typu przemysłowego, a z nim i indywidualności, kościół staje się tylko jednym wśród wielu innych objawów kooperacyi społecznej, poddanym na równi z pozostałemi, tym samym prawom ogólnym.

Pomimo wszystkich tych, w gruncie rzeczy, dość antireligijnie brzmiących zdań, Spencer i na tem polu dochodzi do pewnego syntetycznego wyrównania swego naturalizmu z głębszem pojęciem religii. W duchu mianowicie zaznaczonego powyżej agnostycyzmu, przyznaje on, że objawy poczucia religijnego i jego rozwój, sprowadzić się dają ostatecznie do działania owej niepoznawalnej przyczyny wszechrzeczy, którą każda religia ma na oku. To też ewolucya poczucia religijnego wyzwala je wprawdzie coraz bardziej z form antropomorfizmu, ale nie osłabia bynajmniej jego wielkiej doniosłości w rozwoju społecznym.

Koroną całego systematu filozofii syntetycznej Spencera, albo raczej ostatniem słowem ewolucyjnego poglądu na świat, jest jego *etyka*. Łączy się ona bezpośrednio z jego zaznaczonym w tej chwili indywidualizmem społecznym. Jeżeli indywidualna osobistość jest ostateczną podstawą życia społecznego i najwyższym celem jego dalszego rozwoju, to należy koniecznie poddać szczegółowemu rozbiorowi jej samodzielne działanie w stosunku do ustroju społecznego. I to właśnie stanowi treść etyki. Poglądy etyczne Spencera można sprowadzić do następujących głównych zdań.

Wszelkie postępowanie, nie tylko człowieka, ale i wyżej uorganizowanych zwierząt, polega na przystosowaniu działania do pewnego celu. Ewolucya postępowania ujawnia się coraz większem, a więc i skuteczniejszem, przystosowaniem działania do celu. Postępowanie nazywamy *dobrem* lub *złem*, stosownie do tego, czy jest dobrze lub źle przystosowane do odpowiednich celów. Dwa zaś są cele zasadnicze, które ma na oku postępowanie każdej jednostki: wzrost, przedłużenie i rozwój życia samego działającego przedmiotu, oraz życie gatunku, do którego należy. Ponieważ cele te wypływają z natury rzeczy, z danych czynników wewnętrznych i warunków zewnętrznych działania w ogóle, przeto postęp ewolucyjny na tem polu zmierza z konieczności do wyrównania tych dwóch celów, tak, aby każdy z nich mógł być osiągniętym bez szkody dla drugiego. Ztąd wynika, że jeżeli dobrem nazwiemy działanie przystosowane czy do samozachowania jednostki, czy do zachowania gatunku, to za *najlepsze* uznamy takie działanie, które zbliża się do urzeczywistnienia zarazem największej pełni życia (totality of life) jednostki działającej, oraz jej potomstwa i jej bliźnich. Owa pełnia zaś życia, o której tu się mówi, łączy się zawsze z pewnym nadmiarem (surplus) przyjemnych uczuć

nad nieprzyjemnemi, gdyż uczucia przyjemne, jak pokazuje psychologia, wzmacniają siły żywotne, nieprzyjemne zaś je osłabiają. Do tego tedy celu zmierza też ostatecznie wszelkie działanie jednostki, tak w jednym, jak w drugim kierunku.

W związku z powyższemi poglądami pozostaje kwestya o wzajemnym do siebie stosunku *egoizmu* i *altruizmu* na polu etyki. Spencer usiłuje usunąć antagonizm pomiędzy temi dwoma objawami działania ludzkiego przy pomocy ewolucyi. Przyznaje on wprawdzie, że w gruncie rzeczy, zarówno egoizm, jak altruizm, tkwią już w najpierwotniejszych formach życiowego rozwoju. Nadto podnosi niezbędność uczuć altruistycznych dla prawidłowego rozwoju społeczeństwa. Pomimo to, ostatecznie altruizm, nawet ofiara z własnego życia dla dobra innych, przyjmuje u niego w istocie charakter egoistyczny, gdyż ma być skutkiem zadowolenia, jakie sprawia taka ofiarność. Różnica między takim *altruistycznym egoizmem*, a egoizmem jednostronnym, polega według Spencera, jedynie na tem, że dzięki ewolucyi a w szczególności dzięki działaniu dziedziczności, uczucia altruistyczne w jednostce uspołecznionej stają się drugą naturą i działają z tą samą bezpośredniością, jak egoistyczne, wskutek czego czynniki egoistyczne działań altruistycznych nie dochodzą do jasnej świadomości osoby działającej. Nie trudno spostrzedz, że takie wyjaśnienie altruizmu jest dość wymuszonem i uznanem być musi jedynie za koncesyę dla egoistycznych i utylitarnych teoryj naturalizmu, w których kierunku rozwija się cała etyka Spencera.

Nie mniej doniosłą kwestyę etyczną, ściśle związaną z owemi dwoma przeciwległemi celami działania ludzkiego, jest kwestya *poczucia moralnego*, jako czynnika wewnętrznego, przeciwstawiającego się faktycznie jednostronnemu rozwojowi indywidualnej samowoli i egoizmu. Teorya tak zwanego intuicyonalizmu, uznaje poczucie moralne za czynnik pierwotny, będący źródłem i duszą prawidłowego rozwoju etycznych dążności człowieka, więc nie mogący być uznany dopiero za wytwór tego rozwoju. Tej teoryi przeciwstawia się popularny naturalizm i empiryzm, dowodzący, że poczucie moralne jest wynikiem zewnętrznych bodźców, działających na człowieka, i wpajających w niego stopniowo, dzięki znanym czynnikom ewolucyi, przeświadczenie o pewnych zadaniach i obowiązkach moralnych. Spencer rozwiązuje antagonizm między temi poglądami, z tego samego stanowiska, z którego rozpatrywał w psychologii czynniki apriorycznе i empiryczne poznania ludzkiego. Poczucie moralne, pierwotnie i według Spencera wywiązało się przy pomocy zewnętrznego doświadczenia, przyczem pożytek i dobro ogółu stanowią najgłówniejszy

czynnik. Z czasem atoli doświadczenia poprzednich pokoleń w tym kierunku, wdrożone w szczegóły siłą zewnętrznych warunków, złączyły się z organizacyą mózgu i wskutek tego mają u człowieka kulturalnego doniosłość intuicyjną.

W ten sposób, dzięki ewolucyi, miał powstać ów imperatyw kategoryczny Kanta, ów rozkaz poczucia moralnego, który bądź co bądź i według Spencera jest zasadniczą sprężyną wszelkich dążeń człowieka do sumiennego spełnienia swych obowiązków dla dobra powszechnego. Autorytet czyli sankcya tego rodzaju uczuć moralnych, oraz zaufanie do nich, polega, według Spencera, na tem, że i w teraźniejszości okazuje się zazwyczaj faktycznie, że owe nabytki poprzednich pokoleń, wyrażające się w bezpośredniem poczuciu moralnem, są trafniejszemi kierownikami w kolizyach życiowych i pociągają za sobą większą korzyść, aniżeli uległość dla chwilowych popędów jednostki.

Z powyższego okazuje się, że i na polu etyki Spencer dopełnia empiryzm czynnikami racyonalnemi, choć stopniowo tylko rozwijającemi się. Ale owa pełnia życia, zarówno indywidualnego, jak społecznego, sprowadza się u niego również głównie do pojęcia *korzyści*, w duchu utylitaryzmu filozofii angielskiej. W imię jednak owych dopełnień, sam Spencer określa swój utylitaryzm, jako *racyonalny*, i tym dodatkowym czynnikiem przeciwstawia się jednostronnemu egoizmowi i indywidualnej samowoli, torując drogę etyce, odpowiadającej bardziej ideałom moralnym rodu ludzkiego. Dzięki tym racyonalnym czynnikom owej etyki, Spencer sam we wszystkich kwestyach życiowych, ekonomii, polityki i t. p. zajął stanowisko szlachetnego humanizmu, broniącego zawsze i wszędzie uciśnionych, upośledzonych od losu, wskutek anomalij w rozwoju społecznym. A chociaż krytyk znalazłby zapewne nie jedno do nadmienienia, zarówno przeciwko zasadom etyki Spencera, jak i przeciwko ich praktycznemu zastosowaniu, to jednak uznać musi wielki postęp, jakiego on i na tem polu dokonał, w porównaniu ze swymi poprzednikami, szczególniej w zakresie filozofii angielskiej.

VI.

SPENCER I FILOZOFIA PRZYSZŁOŚCI.

Powyższy przegląd filozofii Spencera, choć dość pobieżny w porównaniu z bogactwem szczegółowych danych, rozwiniętym w jego dziełach, uwydatnia jednak w ramach tej pracy, wedle możności, najważniejsze momenta jego poglądu na świat i życie. Wystarcza to w każdym razie do bliższego określenia jego stanowiska i znaczenia w dziejowym pochodzie filozofii, o ile pochód ten dokonywa się przed naszemi oczami.

Systemat Spencera, — jak to zaznaczono już na wstępie — jest niewątpliwie najpełniejszym wyrazem filozofii angielskiej, ostatecznym wykwitem empirycznych i życiowych dążności tej filozofii. Wśród współczesnych nam myślicieli, co do pełności i szczegółowego urobienia poglądu na świat, można obok niego postawić jedynie, we Francyi Fouillée'go, a w Niemczech Wundta. Myśmy dotąd nie wyszli w tym względzie po za zakres prac przygotowawczych, oraz ogólnych rzutów dla filozofii przyszłości. Wspomnieni zaś trzej pierwszorzędni myśliciele chwili obecnej, skupiają w sobie cały dobytek tegoczesnej wiedzy i korzystają z niego, aby się przybliżyć do rozwiązania najwyższych zagadnień filozofii. Ich porównawcza charakterystyka, choć w rysach najogólniejszych, przyczyni się najlepiej do ostatecznego określenia doniosłości Spencera dla postępu filozofii w przyszłości.

Pomiędzy wspomnianymi przedstawicielami trzech narodów, stojących na wyżynach kultury umysłowej, wiele jest rysów wspólnych, wypływających z ducha czasu i z kierunku badań wiedzy nowoczesnej. Pomimo przeważnie racyonalistycznego nastroju Fouillée'go, metafizycznych dążności Wundta i empirycznych tradycyj Spencera, wspólnym rysem ich poglądów na świat, jest *realizm naturalistyczny*, uznający przyrodę za jedyną treść wszechbytu, dostępną dla myśli ludzkiej. Jest to zupełnie zrozumiały wynik olbrzymiego postępu przyrodoznawstwa nowszych czasów, postępu, który zaćmił zupełnie poprzedni rozwój idealistycznej filozofii, opartej na faktach życia

umysłowego, i sprowadził pojęcie realności do danych świata zmysłowego, więc do zewnętrznej przyrody. To też punktem wyjścia dla filozofii każdego z tych myślicieli jest przyroda fizyczna, pojmowana ogółem w duchu wyników nowoczesnego przyrodoznawstwa.

W ścisłym związku z tym kierunkiem myśli, pozostaje i szczegółowe pojęcie rozwoju, ewolucyonizmu, w poglądach na świat zarówno Fouillé'ego, jak Wundta i Spencera. Każdy z nich uznaje ewolucyę, pojmowaną znowu przyrodniczo, za najważniejszy czynnik procesu wszechświatowego, a wspólnie z naturalistycznem pojęciem rozwoju, ujawnia się u każdego z nich tendencya wyjaśnienia wyższych, najpełniejszych wytworów rozwoju u czynników niższych, najprostszych, zbliżonych wedle możności do przyrodniczego pojęcia materyi, siły, ruchu, energii. Z tego stanowiska powiedzieć można, że filozofia tych myślicieli sprowadza się właściwie tylko do jednego z dawnych działów filozofii, t. j. do *filozofii przyrody*. W samej rzeczy, pozostałe współczynniki ogólnego na świat poglądu, jak Bóg w stosunku do świata, lub duch ludzki w swym dziejowym rozwoju, z ideałami, estetycznym, poznawczym i moralnym (uczucie, myślenie i wola) rozpatrywane są przez tych myślicieli ze stanowiska przyrodniczego, jako momenta ewolucyi fizycznej, więc jako części składowe poglądu filozoficznego na przyrodę, uznaną za jedynie realną treść istnienia.

Wspólnie atoli z tym naturalistycznym czynnikiem myśli współczesnej, ujawnia się zarówno u Spencera, jak u Fouillée'go i Wundta nowy, niezmiernie doniosły czynnik, dopełniający, z większą lub mniejszą świadomością, jednostronne poglądy fizycznego realizmu i zaznaczający wyraźnie pewien zwrot ku idealizmowi. A chociaż czynnik ten nie nabiera jeszcze należytej samoistności, lecz znajduje się pod bezpośrednim uciskiem naturalistycznego realizmu i występuje na jaw tylko w jego formach i terminach, to jednak nadaje on filozofii każdego z tych myślicieli odcień idealistyczny. Dzięki temu czynnikowi, każdy ze wspomnianych myślicieli wyzwala się zupełnie z objęć materyalizmu, który poprzednio był panującym w świadomości powszechnej, jako uznany za jedynie możliwy pogląd na świat w duchu nowoczesnego przyrodoznawstwa. Okazało się, że realizm przyrodniczy nie sprzeciwia się bynajmniej zasaduiczo idealizmowi, że otwiera szerokie pole dla syntetycznych poglądów idealnego realizmu.

Fouillée jednoczy ze swym naturalizmem racyonalizm Platona, jego zasady o ideach. Idea staje się dla niego *siłą*, poruszającą świat,

będącą niejako duszą jego procesu rozwojowego (idée force). Dzięki jej działaniu, wśród czynników fizycznego determinizmu, wytwarza się swoboda, wolność, samoistność duchowa, łącząca w końcu nawet rozproszone twory świata astronomicznego, w jeden harmonijny ustrój społeczny. Wundt znowu dąży do syntetycznego zespolenia swych pojęć naturalistycznych z czynnikami idealistycznej metafizyki i uznaje ostatecznie przyrodę zmysłową, ulegającą prawom mechanicznym, tylko za powłokę zewnętrzną, poza którą ukrywa się życie duchowe. Co zaś do Spencera, to widzieliśmy, że przy całym swym empiryzmie przyrodniczym i jednostronnym fenomenalizmie, dochodzi on jednak do najwyższego pojęcia Absolutu, Istoty bytu, a chociaż ją nazywa Niepoznawalnem, to jednak przy jej pomocy sam odsłania szeroką perspektywę dla poglądów idealistycznych, nawet dla wiary religijnej.

Okazuje się tedy w sposób przekonywający, że w świadomości tych trzech pierwszorzędnych przedstawicieli myśli współczesnej, rozwinęło się silne przeświadczenie o potrzebie dopełnienia zmysłowego realizmu, opartego na pojęciu przyrody fizycznej, czynnikami, zaczerpniętemi z wewnętrznego życia ducha, a więc wznawiającemi dziejowy rozwój idealizmu. Objaw ten jest tem donioślejszym, że każdy z tych myślicieli urabiał swe poglądy na podstawie odrębnej tradycyi umysłowej, właściwej duchowi narodowemu, Francuzów, Niemców i Anglików. A pomimo, że każdy z nich wchłonął w siebie wyniki przyrodoznawstwa (Wundt jest przecie sam pierwszorzędnym badaczem na tem polu), to jednak nie mogą się zadowolić temi wynikami, lecz, znagleni głębszemi potrzebami ducha, przekraczają granice świata fizycznego i wznoszą tęskne spojrzenia ku światu wyższemu i jego treścią rozszerzają swój widnokrąg przyrodniczy. Jesteśmy tedy świadkami wielce doniosłego momentu w dziejach filozofii, momentu, wskazującego wyraźnie drogę jej dalszego postępu na przyszłość.

Prawdziwa filozofia syntetyczna, o której Spencer w głębiach swego ducha myślał, a którą urzeczywistnił jedynie w zakresie tradycyi empirycznego naturalizmu, musi mieć na oku wzajemne harmonijne zespolenie owych dwóch zasadniczych czynników, tak bytu wogóle, jak i bytu i życia ludzkiego, czynnika zewnętrznego, zmysłowego, doprowadzonego do pojęcia przyrody fizycznej, materyi, i czynnika wewnętrznego, umysłowego, znajdującego swój wyraz w pojęciu ducha. Abstrakcyjne rozerwanie tych dwóch składowych czynników jednego w sobie wszechbytu, doprowadza do połowicznych poglądów, sprzecznych z faktycznie danemi objawami życia powszech-

nego. Idealistyczna filozofia, szczególniej Hegla, rozpatrująca wszechświat ze stanowiska rozwoju idei bezwzględnej, nadała abstrakcyjnemu pojęciu ducha, znaczenie górujące, choć obok niego nie mogła pominąć przedmiotowego czynnika przyrody zmysłowej; upadła jednak z chwilą, gdy ten czynnik wystąpił na pierwszy plan i gdy z jego punktu widzenia usiłowano zrozumieć świat i jego objawy. Zaznaczone zaś systemata filozoficzne: Fouillé'ego, Wundta i Spencera są najwyższym i zarazem ostatecznym wytworem przyrodniczego poglądu na świat. Okazuje się jednak, że głębsze rozwinięcie i tego poglądu, nawet dla myślicieli, przejętych na wskróś duchem przyrodoznawstwa, jest niemożliwem bez uwzględnienia podmiotowej, idealnej strony bytu, działającej niemniej potężnie, jak przedmiotowa, w ustroju i rozwoju samej przyrody.

Sprowadzenie tych dwóch współczynników bytu do ogólnego mianownika, na podstawie krytycznego rozbioru pojęć ducha i materii oraz dziejowego rozwoju idealizmu i realizmu — oto zadanie przyszłości. Postęp filozofii możliwy jest jedynie w tym kierunku myśli. Wszystkie wydatniejsze objawy współczesnej filozofii łączą się bezpośrednio z tym kierunkiem i przyczyniają się do jego bliższego wyświetlenia. Nowo-kantyzm i tak zwana filozofia naukowa, które obok zaznaczonych dążności naturalistycznych, zajmują najbardziej umysły naszych czasów, mają znaczenie jedynie jako badania przygotowawcze do ścisłego określenia powyższego zasadniczego zagadnienia przyszłości. Poza pracą w tym kierunku, często nawet mimowolną, wszystkie, tak zwane „szkoły" filozoficzne chwili obecnej, mają znaczenie drugorzędne i nie przyjmują czynnego udziału w istotnym postępie myśli filozoficznej. To też wkrótce w dziejach filozofii będą miały znaczenie tylko archiwalne.

Prawda, nie można zaprzeczyć, że naturalizm, nawet bardziej jednostronny, niż go Spencer rozwinął, znajduje dziś jeszcze dość wielu zwolenników. U nas szczególniej jest on zawsze jeszcze popularnym, pod wpływem samouctwa filozoficznego i powierzchownego dyletantyzmu. Ale dni jego są policzone wobec zwrotu ku idealizmowi, nie tylko takiego empiryka i realisty jak Spencer, i takich myślicieli jak Fouillé'e i Wundt, lecz i najznakomitszych przyrodników ostatniej doby. Skoro jednak, dzięki wielkim zdobyczom przyrodoznawstwa, mowy być nie może o powrocie do bezwzględnego idealizmu Hegla — choć i takie usiłowania uwydatniają się w nowszych czasach, szczególniej w Ameryce — przeto szukanie drogi w kierunku idealizmu stanie się wnet koniecznością dziejową dla filozofii. Może

wtedy i dążności filozofii polskiej wywalczą sobie odpowiednie uznanie. W każdym razie powiedzieć należy, że głębsze studyum filozofii syntetycznej Spencera, naprowadza na liczne, bardzo pouczające dane, potwierdzające na każdym kroku przekonanie o niezbędności dalszego rozwoju filozofii w zaznaczonym kierunku.

Henryk Struve.

A gdy w głąb duszy wnikniemy...[1]

POWIEŚĆ WSPÓŁCZESNA.

XXIII.

Dużo złota, boazerya, złote parawany, złoty stół, na którym złoci się ogromna, wyniosła lampa.

W złoconych żardinierkach szerokie liście palm i innych roślin. Portyery ciężkie, aksamitne, zwisają ku ziemi, jakby przytłoczone własnem bogactwem i przepychem.

Na spotkanie Anki wychodzi sama rabinowa, nizka, chuda, siwa kobieta, grzeczna i uprzejma.

— Czem mogę pani służyć?

Ance głos więźnie w gardle.

Przyjechała tym fiakrem o błękitnej kokardzie, przyjechała, pełna litości, nad żebrzącemi oczami ojca. Ustąpiła, i sama weszła w koło już nie trosk drobnych codziennych, ale po prostu sprzeciwów temu, co ludzie, bardziej uduchowieni, mądrością życia zowią.

I teraz czuje się nagle nędzna i śmieszna wobec pytających, czarnych oczów rabinowych, oczów gazelli, którą nagle z pustynnych równin zbudzono i przed niemiłą jej a nieznaną postacią Sfinksa zatrzymano na uwięzi.

— Kto pani? nie znam cię... czego przychodzisz mącić nam spokój? — zdawały się mówić te oczy semitki.

Spokój tu był rzeczywiście wielki.

Ciężki spokój ludzi, którzy uprawiają ezoteryzm, wyciskając z niego złocenie namiotu, rozpiętego w przedsionku kolumn świątyni.

W oddali słychać było tylko senne gamy, stłumione fałdami portyer.

---

[1]) Patrz zeszyt wrześniowy, str. 433; — październikowy, str. 16; — listopadowy, str. 240;—grudniowy str. 464 (1903);—styczniowy, str. 37; — lutowy, str. 226.

I jeszcze z doniczek palm, świeżo podlanych, ociekała woda, spadając ciężkiemi kroplami na porozstawiane po ziemi talerze.

Anka czuje, iż odpowiedzieć musi.

— Jestem Zagrodzka...

— Nie przypominam sobie...

Rabinowa stoi ciągle, jakby wyczekiwała już odejścia Anki.

— Miałam przyjemność widzieć panią na bazarze biednych izraelickich dziewcząt — mówi Anka i sama się dziwi sobie, że ten głos jest taki wpół senny i zupełnie odmienny od jej rzeczywistego głosu. To nie ona chyba, nie ona.

— A...

— Potem napisałam artykuł, wyręczyłam ojca.

Twarz rabinowej zmienia się nagle, jakby jakieś kolorowe światło oświeciło ją od wewnątrz sztucznym blaskiem ogromnej uprzejmości.

— Ach!.. tak... tak... bardzo pani byłam wdzięczna. Proszę, niech pani siada..

Anka zajmuje miejsce na aksamitnym, twardym fotelu, nieprzytulnym, niemiłym.

— Więc?..

Pytanie gazelli nie schodzi z ócz rabinowej. Ona wie, że Ankę musiał pod ten złocisty namiot, gdzie koczują na światowej przestrzeni dzieci Izraela, zagnać jakiś interes.

— Więc?..

Anka zbiera resztki rozpraszających się sił.

— Od ojca przychodzę...

Urywa, patrzy na ogromne róże, pokrywające dywan podłogi krwawemi plamami.

Czeka pomocy, czuje, że tonie w jakiemś bagnie, na którem rozsiadły się rozdęte pychą i ambicyą ropuchy.

Te ropuchy o rozlatarnionych sztucznie ślepiach, trzymają się na powierzchni znakomicie — ona tonie.

— Mój ojciec kandyduje...

— A...

Już nic więcej nie może Anka wymówić, nad te marne słowa.

I w tej chwili zdaje się jej, że skoro tu przyszła i skoro jej myśl ubiera się w dźwięki jej głosu, to i ona sama musi mieć w sobie coś z tego obłoconego amalgamatu, na którym rodzą się i rozwijają pyszne, ambicyą polityki nadziane, ropuchy.

I znów zapanowuje milczenie, przerywane tylko sennym jękiem gam i spadaniem ciężkich kropel wody na fajansowe talerze, porozstawiane troskliwie na lśniącej posadzce.

. . . . . .

— Z pod baldachimu dębów żółknących wśród lasu... Szlakiem wrzosów różowych duch mój się wysuwa..

To myśli druga warstwa Anki, myśli pomimo wszystko i dąży, snuje się skrajami lasów, z których sypie się złoty liść dębów na różowy ogród wrzosów.

A po nad wrzosami drżą złotem i srebrem osiki.

Przeczysty lazur nieba otulił las. Drogą mknie szary zając, cień puszysty — przeleciał, nie dotykając piasku.

Rozstąpiły się wrzosy, pochłonęły cień, pokryły rdzawą różowością swych kwiatów ciche stworzonko, noszące, zda się, na sobie swą strwożoną duszę.

— Płynie w kryształ przestworza, bez przestrzeni czasu, drży, jak harfa eolska i w mgłę się rozsnuwa...

To spłynięcie się z przyrodą, ta chwilowa esencya prawdziwego uspokojenia, to zatracenie swej cząstkowości, stanowiącej tragedyę naszego istnienia w ogromie bezmiernej Jedności.

To przychodzi na nią, opada ją, przepaja, pomimo otoczenia, pomimo poniżenia, z jakiem tu weszła.

— Drży, jak harfa eolska...

. . . . . .

Lecz rabinowa udaje teraz, że nie rozumie.

— Czem mogę pani służyć?

Nabrała pewnej ostrości tonu, wyprostowała się. Przypomina sobie, że raz, gdy jej mąż był silnie atakowany przez prasę z powodu jakichś nieprawidłowości w sprawach metrykalnych, udała się z prośbą o względność do Zagrodzkiego. Przyrzekł — nie dotrzymał. Dla czego ona teraz ma cokolwiek przyrzekać?

Pod złoconym namiotem koczującego Izraela, w ciepłej atmosferze palm, sączących wodę z wysokości żardinierek, przebiega żar nienawiści i tajonego żalu.

— Pani ojciec dziś kandyduje? — pyta wreszcie, wyczuwając w ciszy to żądanie Anki, rozpięte, jak mgła w przestrzeni.

— Tak, i polecił mi być u pani...

— Cóż ja mogę?

— Pani może wpłynąć na męża swego, aby ten znów użył swej przewagi nad kahałem... Nie wiem, ale tak ojciec mówił...

I słowa, i głos, wszystko staje się dla Anki coraz bardziej obce.

— Ja wątpię... ja nie wiem... — tłómaczy się rabinowa — mąż mój dał sobie słowo nie mieszać się do wyborów... zresztą...

Wstaje.

Tafta pod suknią szeleści dziwnie, posuwa się ten szelest po krwawych różach dywanu, ku ciężkim fałdom portyery.

— Izydor!.. proszę cię na chwilę.

Wyniosła postać, o czarnych oczach, zupełnie podobnych do oczów żony. Ręka biała, dziwnie delikatna, wyciąga się ku Ance.

— Panna Zagrodzka... wiem, słyszałem z mojej kancelaryi, gdzie pracowałem. Ale moja żona powiedziała prawdę. Usunąłem się od polityki. Nam, duchownym, nie mieszać się w to, co gubi Galicyę. Jesteśmy bezsilni, aby powstrzymać, więc choć milcząc protestujemy.

Lecz Anka czuje, że tu nie przeszedł ten duch mądrości i uspokojenia, który każe ludziom wejść na wyniosłość krużganku, i stamtąd patrzeć przez mgłę łez i przebaczenia na harce konwulsyjne dokoła kości, rzuconej między dziwne, rozżarte namiętnością i pychą, dusze ludzkie. Nie, ten duch uspokojenia nie wszedł pod namiot złocisty i nie wionął na palmy, skarłowaciałe w niezuajomości pustynnego piasku.

Tu wiało obojętnością musową, zdawkową, konwenansową chęcią wytłómaczenia się z niechęci niesienia pomocy tam, gdzie nie wskazywał interes i korzyść całej rasy.

— Ojciec jednak i cała redakcya twierdzą, że kilka słów ze strony pana...

Rabin rozkłada ręce.

— Dałem słowo .. sobie... żonie.

Lecz nagle odzywa się dość słodko głos rabinowej:

— No... Izydor... ten jeden raz....

— A potem sama mi wyrzucać będziesz. Zresztą, ja właściwie nie mam żadnego wpływu. Oni robią, co chcą.

Coraz goręcej w pokoju, dusza Anki omdlewa od tego zwleczenia ją z krużganku świątyni pomiędzy hordę gryzących się o szmat ociekłego ścierwa — dusz.

— Może jednak... zechce pan zatelefonować...

Widzi przed sobą nagle z całą dziwną wyrazistością wybladłą twarz ojca, tam, na pręgierzu przed biurkiem, jego oczy dziwne, szklane, straszne.

I obok niego, jak cień, szary siewca, który idzie, idzie, rozsypuje swe życie bez celu na ugor, na którem nic zejść nie może, nie śmie.

— Ha... zatelefonować mogę... ale...

Rabin znika.

— On zatelefonuje... — uspokaja Ankę rabinowa.

Lecz ona już nawet tego nie słyszy.

Wie, że spełniła to, co przeciętny człowiek nazwałby wypełnieniem obowiązku dobrej, przywiązanej córki. Teraz odzyskuje wolność i może z niej skorzystać...

Wychodzi szybko z pod fałd ciężkich portyer i wydostaje się na ulicę.

W pył, w kurz, w stęchliznę nagromadzonych ciał, kamieni, przekonań, podłości i kłamstw.

Zostawia fiakra z błękitną kokardą, wdzięczącą się na zatłuszczonem odzieniu woźnicy i szybko biegnie ku strudze słońca, która przecina ulicę.

— Na chwilę w jasność, w światło!..

W fałdach swych szat, zda się, zabrała senny jęk gam i miarowy łoskot opadającej ze złoconych żardinierek wody.

Pot jej wystąpił na czoło, wlecze się koło swej duszy, którą pragnie napoić esencyą światła i ciepła. Zimno jej, przeszła cięższą chwilę, niż nawet na pozór zdawać się mogło.

— To się nazywa... obowiązek myśli.

A jednak jest pewna rozkosz w przebyciu takich chwil, nawskróś bolesnych. Odczuwa się później silniej to, co przyjmowaliśmy, jako stan obojętny. Przez porównanie wyradza się ocenienie szczęścia, które mamy w sobie...

Tak myśli Anka.

— Och!.. zobaczyć coś pięknego... odpocząć!..

Podnosi oczy.

Obok niej niewysoki murek, a z niego wyrasta krata.

Dalej, kościołek nie duży, blado-żółty, cofnięty w głąb, ze ścieżką fiiz wyszklonych, prowadzących do nowych, jasnych drzwi, zamkniętych szczelnie o tej porze dnia.

Słowem, obraz banalny, zwykły, ciszy i odpoczynku, jakby świątecznego.

Lecz, na lewo trochę, na tle jasnej ściany kościołka, jakby czarowne zjawisko lekkie, niebywałe przejrzyste i słodkie.

To włoska akacya kwitnie liliowemi kiściami kwiatów, które rozwiewnie, jasno opadają wśród blado-zielonych, drobniejszych liści. I nic nie zdoła oddać wdzięku tego smukłego drzewka, nic nie zdoła odtworzyć czaru liliowej barwy, jakby pozbieranej z tonów włoskiego nieba o spokojnym nadmorskim zachodzie.

Jest to niewinny wdzięk rozigranych fałdów lekkich szat kobiecych i blask Adryatyku, gdy z szafiru przechodzi w błękit i kona w rubinie refleksów słonecznych.

Z tego bukietu akacyowych kwiatów płynie niezwykłe, delikatne Piękno rzeczy przeczystych, dowodów, iż człowiek dziełami swojemi nędzny i smutny i drobny, zapracowany robak, wobec jednego liliowego kwiatka, podanego mu wśród deszczu zielonych, drżących listków.

Anka miłośnie obejmuje wzrokiem akacyę, pieści ją, tuli, chłonie duszą całą. Spożywa ją, jak chleb ze stołu magnata natury, i pije, jak znużony ptak kryniczne srebro strumienia.

I ogarnia ją wielka pociecha.

Jest to przeświadczenie, iż w niej samej tkwi ta solidna, silna, niemal wrośnięta w nią istota jej szczęścia. Źródło, odradzające w niej szlachetną rozkosz łączenia się z najczyściejszą częścią duszy Wszechświata, bije w niej z mocą źródeł wieczystych, ukrytych wśród ciemni puszcz nieprzejrzanych. Gdy zamąci je jakiś niespodziewany powiew wichru, niosącego śmiertelne, zgniłe wonie z poza rozpadających się w bagno światów, to tylko zmącony jeden krąg, nic więcej.

Reszta, dalsze kręgi srebrne, czyste, przezrocze, pełne chłodu orzeźwiającego i nieśmiertelnej potęgi.

— Tak — myśli Anka — mogę znów wrócić do stojących wód, ziejących zatrutemi gazami rozszalałej pychy.

— Mam bowiem w sobie świeżość dni jasnych.

— Seledyn liści, fiolet kwiecia.

— I całe dobro i piękno ludzkiej duszy, skąpanej w prądzie pierwotnego swego bytu.

— I spokój mój własny, równy i czysty, ponad którym wieją wichry, druzgocące niepokojem całe tłumy.

— A po nad moim spokojem szaleją, i nie dotykają go nawet krajem łopocących swych skrzydeł, z których ocieka błoto i czasem łzy krwawe..

— Duch mój bowiem zrodził się z wielkiej, bezkresnej rezygnacyi, którą mają w sobie rozpostarte złotemi skrzydłami smutne zachody słońc nad rżyskami równin.

— Tuli się w cień i czeka na Objawienie Prawdy wieczystej, nie słysząc, nie widząc odruchów konwulsyjnego miotania się istot, żyjących treścią pierwszej warstwy, w której tak łatwo lęgną się ropuchy.

Więc wrócę do nich, do ludzi.

. . . . . .

Wróciła do redakcyi, przebijając się z trudnością przez coraz większe gromady ludzi, otaczających dom redakcyjny.

W redakcyi jednak samej gorączka trochę osłabła. Znużeni, zmęczeni, tulili się redaktorowie i ich adherenci do biurek, do sof, do krzeseł. Anka przeszła mimo, szukając oczyma Narbutta. Nie było go.

Odczuła jakby zawód, jakby pustkę nagłą.

Gdy był przy niej, nie zwracała się ku niemu; gdy znikł, czuła pustkę.

Zagrodzki siedział ciągle na swojem krześle. Wziął tylko na kolana cylinder i laskę, tak, jakby gotował się do wyjścia.

Ale wyjść nie miał zamiaru, ani siły. Drżał teraz cały, dwie czerwone plamy wystąpiły mu na policzki.

Gdy Anka weszła, spojrzał na nią szklanym wzrokiem.

I znów zdawał się ją nie poznawać.

— Byłam u rabina.

— A... po co? po co?

— Wszakże mnie tam sam posłałeś... chciałeś, aby wpłynął na kahał.

— Tak... tak...

Zdawało się, że ktoś pocisnął jakąś ukrytą sprężynę.

— I cóż? i cóż?..

— Telefonował.

— Słyszałaś, co telefonował?

— Nie.

— To źle, trzeba było kazać przy sobie telefonować... im nigdy wierzyć nie można.

W redakcyi, która zaczynała wpadać w martwotę, zrobił się jakiś ruch.

— Zobacz... co tam... ja nie mogę.

Z trudnością chciał powstać. Czepiał się biurka, ręce mu drżały bezustannie.

Anka ku drzwiom podeszła.

Z wytworną grzecznością wprowadzał sekretarz jakiegoś pana, zalęknionego i trochę pokornego.

— Oto... ten pan ma j e d e n głos, chciałby go oddać!..

— Proszę... proszę... weź pan fiakra i zawieź pana wyborcę na ratusz.

— Służę panu dobrodziejowi.

Za chwilę mignęła pod oknami redakcyi błękitna kokarda.

Dwukonne lando wiozło „jeden głos“ i lśniący cylinder pana sekretarza.

Widocznie już robiono ostatnie wysiłki, a każdego wyborcę witano z honorem i niezwykłą uprzejmością.

Anka zamknęła drzwi i do ojca się zwróciła.

— Ojcze! — wyrzekła łagodnie — jesteś chory, widocznie nie jadłeś dziś nic jeszcze.

— Nie mogę... nie mogę...

— Napij się choć herbaty, zjedz cokolwiek... — prosi, przejęta troską poczciwą o to nędzne ciało, które pycha nerwowa tak gnębi.

Lecz on wstrząsa ciągle głową.

— Nie mogę... nie mogę...

Oczy szklane, straszne, śledzą z wysiłkiem wskazówki ze ara.

— Niedługo... niedługo... — szepce ledwie dosłyszalnym głosem.

Anka zarządza przyniesienie herbaty, sama nalewa, podaje cukier i z ciepłym wdziękiem skłania ojca do przełknięcia kilku kropel ciepłego napoju.

W redakcyi już niema prawie nikogo.

Rozchodzą się wszyscy powoli, oczekując wieczoru.

I całe miasto zamiera stopniowo, kolejno, jakby wyczerpane, jakby starało się nabrać tchu do ostatniej walki.

U żłobów pełnych, i mniej pełnych, istoty ludzkie ładują w swe ciała paliwo, potrzebne do podniesienia stopnia energii, którą wyładują na cel tak drobny i żaden, że stałby się śmieszny, gdyby w gruncie nie był tak tragiczny.

Powoli następuje martwota zupełna.

Telefon przestaje szarpać się i rzucać. W dalszych pokojach bosy chłopak leniwie zbiera w rozłożone na posadzce „Figaro“ śmiecie i okruszyny kanapek, korki i niedopałki cygar.

— Połóż się, ojcze — prosi Anka — odpocznij.

Lecz on nie chce zejść z zajętego stanowiska.

— Nie mogę!

Uparł się.

Siedzi ciągle z cylindrem i laską na kolanach, jakby się gotował do jakiegoś efektownego wyjścia na świat, przed którym ukrył się pod temi ścianami.

Anka wie, że teraz będzie spokój względny przez godzinę. I w oczach jej duszy staje znów druga postać, szamocąca się w tej chwili w szalonem cierpieniu wielkiego zbudzenia.

To Stalewski.

Pozostawiła go, śpiesząc do ojca, pozostawiła własnym siłom które są jeszcze bardzo biedne i bardzo słabe.

— Pójdę, może mu jestem potrzebna, może w tej chwili stoi znów na rozstaju i zwraca się ku dawnym ścieżkom.

Pójdę!

I przyznać się nie chce, nie śmie, że rwie ją w tamtą stronę coś niewytłomaczonego, coś bardzo artystycznego, i zarazem ogromna, serdeczna tęsknota.

— Pójdę!

Jak cień, szybko, lekko, jeszcze z wizyą akacyi liliowej w oczach, biegnie Anka w stronę willi Stalewskich.

XXIV.

Willa zdaje się tonąć w jakimś oparze złocistym, tok słońca pada na nią snopami promieni.

Anka otwiera bramkę i wsuwa się do ogródka.

— Gdzie pan? — pyta pochylonej nad grządkami narcyzów służącej.

Lecz z głębi altanki, oplecionej dzikiem winem, wydobywa się głos:

— Mąż mój maluje portret!

Nic więcej, tylko tych słów kilka.

Lecz jest w nich nadzwyczajna intonacya, rodzaj tryumfu, rozkaz — wszystko.

Anka chwileczkę czuje dziwne zmieszanie.

— Więc mimo wszystko, powrócił na dawną ścieżkę — myśli z bolem.

Lecz wzrok jej pada na willę, na drobne postacie dzieci, bawiące się w złotych plamach słonecznych, przeciekających przez gałęzie

drzewa, na ten cały ciężar, wlokący się u stóp tego człowieka, i ogarnia ją wielkie uczucie litości.

— Galernik! — myśli, kierując się zwolna ku domowi.

Wschodki, prowadzące do drzwi wejściowych, mają półkolisty zakręt. Ze stopni widać, co się dzieje wewnątrz pracowni.

Na fotelu siedzi dama, dekoltowana w czarnej, aksamitnej sukni, obrzucona klasycznem futrem z niebieskich lisów.

Uczesana, a raczej wyczesana sumiennie, wysoko, z włosami lśniącymi, w uszach ma duże butony brylantowe, starannie na tę uroczystość wyczyszczone irchą i szczoteczką. Siedzi, jakby z ręką opartą na fotelu. Na palcach lśni tęcza pierścionków. Palce krótkie i płaskie, są za krótkie na ich mnogość U pasa zwisa wachlarz z piór strusich. Na ustach igra bezmyślny uśmiech. Całość ma coś z pawia, coś ze służącej, niosącej feretron na uroczystej procesyi.

Tło, z purpurowej starej makaty, bynajmniej nie harmonizuje z tą, przez fryzyera uczesaną, głową. Makata domaga się profilu bladego, o delikatnych liniach, rzęsów długich, opuszczonych na oczy, jakby w niemem oczekiwaniu na objawienie wielkiej tajemnicy. I szyja długa, łabędzia, wygięta białą linią, winna się odciąć na tle purpury.

Przed nią, poza stalugą, Anka wyczuwa mękę Stalewskiego.

Jakby wywołany jej myślą, wychyla się z poza obrazu.

Jest bardzo blady i zmęczony. Postarzał się w tej pracy. Oczy podsiniałe, usta niemal zamkły, twarz wyciągnięta. Smutnym, zakłopotanym uśmiechem wita Ankę.

— Ja... zaraz... przestanę... — mówi, jakby usprawiedliwiając się.

Lecz ona, litości nad jego męką duchową pełna, przechyla się przez poręcz schodów.

— Przeciwnie... maluj pan dalej... proszę!..

Wpatruje się teraz w damę i myśli.

— Przecież z niej możnaby wydostać pierwiastek j e j d u s z y. Tak, lecz czy ona chciałaby zobaczyć się taką, jaką jest w istocie. Odrzuci obraz, zniszczy go...

Cofa się Anka do przedsionka i powoli wchodzi do swego pokoju.

Natychmiast słyszy, iż Stalewski żegna się ze swym modelem. Dama pozostaje sama w pracowni, dla zmienienia toalety. W przedpokoju robi się ruch, pokojówka biegnie do pomocy, niańka z ogród-

ka każe podjeżdżać czekającemu zamkniętemu landu. Stalewska wychodzi z altany i kieruje się ku domowi.

Anka rzuca się na łóżko, kryje twarz w poduszki i chwilę leży tak bez ruchu, wyczerpana, chcąc nabrać siły do dalszej walki, do przejść, jakie ją czekają.

Otacza ją i dławi ta drobnostkowość życia. Nie jej własna, lecz tych, którzy stanęli przed nią z duszą swoją, a ona, naprowadzona na tą ścieżkę przez Narbutta, w duszę tę ich wniknęła.

Ojciec, Stalewski, Piotruśka i tyle, tyle innych. Cały korowód ludzi czynnych, zaplątanych w koła, roztoczone przez bieg istnienia. Nietylko oni, ale ich czyny, i to wszystko tłoczy się ku niej, czegoś żąda, domaga się, każe zająć się, zapomnieć o sobie...

A tu, na dnie jej własnej duszy, jakiś zamęt niezrozumiały, niejasny. Coś, jakby brak równości w tem zajęciu się głębią tych wszystkich dusz. Jedno zwłaszcza przeważa i zaczyna wyciągać ku niej rozmodlone ręce...

Przenika ją dreszcz.

Czuje, iż ktoś jest obok niej, iż ktoś patrzy na nią w tej chwili błagalnie i przez taflę łez.

Walczy ze sobą, aby nie podnieść głowy, nie spotkać tego wzroku.

A przecież oprzeć się nie jest w stanie.

Podniosła głowę.

Obok niej stoi Stalewski. Złożył ręce, jak do modlitwy, jakby ją chciał przebłagać za tamto odstępstwo. Ona bezwiednie ku niemu wyciąga serdeczne i dobre ręce.

— Za co? za co? — pyta.

— Zgrzeszyłem, wróciłem do dawnego. To już ostatnie... więcej nie będę...

Ona czuje wielką radość, niepomna już na ową przyczynę katorgi, w której się ten duch obraca.

— Tak... tak... — mówi radośnie.

On siada na nizkiem krzesełku, prawie u jej stóp.

— Całe noce, całe dnie myślę nad słowami pani. Z chaosu wyłania mi się jasność coraz doskonalsza. Chwilami zdaje mi się, że rozumiem, że wiem, że już czuję. Ciężkie mam jeszcze skrzydła, ale one mi się rozwiną...

Błękitem ócz zmęczonych, biednych, wpatruje się w Ankę.

— I nie gardzić mną!.. nie gardzić!..

A potem dodaje:

— I nie opuszczać!..

To garnięcie się ku niej z taką wiarą przejmuje ją serdecznem rozrzewnieniem.

— Nie! nie, nie opuszczę! — odpowiada, a głos jej ma nadzwyczajną miękość przeogromnej, kobiecej dobroci.

Jakiż on zmieniony, jaki wielki w tem upokorzeniu, z którem przychodzi ku niej tak szczerze i prosto.

Nie przeczuwała w nim nawet tej wielkości charakteru. Golgotą wszedł na szczyt, na który wznieść się może dusza twórcza. Spojrzał na siebie i na dzieło swoje. Ocenił je nie w chwili rozłamu, kryjąc w sobie to, co mu się brutalnie przed oczy rzuciło, lecz z tej godziny bolu wyszedł ogromnie jasny moralną siłą odczucia swej dotychczasowej nicości.

I do rąk jej się tuli teraz, bo jego dusza była w istocie rzeczy tkliwa i trwożna. Stąd to wzruszenie, jakie ich oboje przejęło, jakby jednym prądem. W tym pokoiku małym i biednym, ci dwoje przeżywali najwspanialszą, magnacką chwilę swego życia. Łączyli się w łagodnem wzruszeniu dusz, a myśli ich dążyły ku sobie najszlachetniejszemi liniami uczuć. Wierzenie głębokie i zaufanie, z którem on szedł ku niej, pragnąc idee, przepajające jego ducha, zamienić w czyn, nabierało światła, rozjaśniającego przestrzeń, w której z początku niepewnie i lękliwie obracać się zdawali. Teraz w tem świetle intencye zaczynały dążyć ku wyżynie czynów i czuć było w tem siłę wielką, nieprzepartą, która zdruzgoce raczej wszystko na drodze, a nie zatrzyma się w pochodzie ku prawdzie i słońcu.

— Mam myśl... — mówi Stalewski — mam myśl, zdaje się, dobrą... lecz lękam się...

— Czego?

— Wyśmieją, wydrwią. Powiedzą: Porwał się nie na swoje dzieło! naśladuje nas!.. Tego się lękam.

Wstał i szybko zaczął chodzić po pokoju.

— Naśladować ich nie potrzebuję! Mam to samo w duszy, co oni.. Tylko... tylko. .

Urwał, załamał ręce, bruzda przecięła mu czoło.

— Powiedzą, żem... s t a r y!

Słowo to padło jak kamień, nagle z poza okna rzucony, i zatrzęsły się prawie od niego ściany willi.

— Za stary!..

Bolesny uśmiech skrzywił mu usta. Anka w krasie swej młodości, pełna wybuchów pierwocin artyzmu, odczuła z całą siłą i wrażliwością ten tragiczny krzyk, odsuwanego za nawias artysty.

— Za stary!..

— A przecież — podjął znowu Stalewski — nie jestem stary, bo to, co wyrzuciłem z mej twórczości, to były przecież... plewy!.. Ziarno pozostało nagromadzone i zdolne do wydania kwiatu. Ja czuję, ja wiem, że mógłbym z tego ziarna wybujać wspaniałością najwyższą...

Twarz mu pokrył rumieniec. Szkliwo oczów smutnych zmieniło się w rozjarzenie jakieś dziwne i tryskające siłą.

— Więcej mam właśnie od nich możności zrozumienia piękna, bo przez te dni kilka przeżyłem całe moje długie życie, a to liczy się za szkołę duszy, o jakiej oni, te dzieci, nie mają pojęcia. Smutek? Co oni wiedzą ze stanów duszy? Zgadują, zbierają z nas wspanialsze uczucia i nastroje, bo młodzież płacze, ale ich łzy nie sięgają dna, spływają jak rosa... Nasze łzy ciężą, spadają... my wiemy, co smutek, my wiemy, co ból, co rozpacz, co tęsknota. My wiemy, co są szlachetniejsze stany duszy, nie intuicyą, jak oni! nie z drugiej ręki, nie od nas i przez filtr naszych wrażeń, lecz przetrawione przez nas samych, nas s t a r y c h, w bolu całego życia spławione i ochrzczone naszymi zawodami i męką!..

Stanął przed płótnami Anki i patrzył na nie przez chwilę.

— Nie mówię tego o tobie, Anko! — zaczął znowu — na taki, jak twój, duch, złożyła się nie wiwisekcya twego życia, ale wieki całe, bo ty żyjesz w Objawieniu i, jak sama mówisz, na krużganku stanęłaś, skąd na szczyt niedaleko... ale ci inni, ci pyszni, ci m ł o d z i, którzy nie żyją falą spokojną, ale burzliwemi pląsy roztańczonej żywiołowej potęgi! Wrażliwi są... stąd większa łatwość i podatność do odtwarzania tego, co pęd życia niesie...

— Wrażliwi są...

— Tak — myślała Anka — on ma słuszność. Ażeby zrozumieć nastrój jakiejś chwili, trzeba już tę chwilę przez seryę momentów podobnych przeżyć...

— Gdy nas ogarnia ból, wywołany przez jakieś cierpienie... — zaczyna znów Stalewski — czyż wtedy jedynie cierpimy tym jednym bolem? Nie, jakby na dany znak przez żałosne dzwony powstają w nas w s z y s t k i e przeżyte cierpienia. I przeżywamy je ponownie, ale z coraz większą siłą bolu... Tylko...

Anka siedzi zapatrzona, zasłuchana.

— Mów! mów!

— Tylko im silniejszy ból, tem szlachetniejszą przybiera formę, czyni nas więcej zbliżonymi do czystości kryształu, przez który promienie wrażeń rozkładają się w tęczę. Czy nie tak, Anko?

Zamiast odpowiedzi, Anka spogląda na Stalewskiego radośnie. Teraz już ona, stojąc na straży świątyni, przeczuwa chwilę, w której

rozpadną się wrota i jasność ogarnie ich oboje, unosząc w świat prawdziwego Piękna. W oczach jej Stalewski czuje, rozumie tę słodką radość, która ją ogarnia.

— Czy sądziłaś, Anko — pyta jakimś cichym, stłumionym głosem — że we mnie nic już niema? nic?

— Nie — odpowiada Anka — tylko dusza pana była taką mgłą błyskotliwą pokryta, że sił nie miałam, aby przez te pstre łachmany wniknąć w jej głąb.

— Skąd jednak teraz tę siłę wzięłaś?

Przez oczy Anki przesuwa się jakaś dziwna, mglista postać.

Coś ma z kształtów Narbutta, promienniejsza jest jednak i tak bardzo delikatna.

— Zaczerpnęłam ją nawzajem z innej, już zbudzonej i uświadomionej duszy.

— To Narbutt! — pada nagle z ust Stalewskiego, czyniąc na Ankę wstrząsające wrażenie.

Porywa się z miejsca.

— Skąd pan wiesz, że to on?

— Nie wiem... ale czuję, że on w tej chwili przemknął się pomiędzy nami.

I są tak oboje pewni, że nikt inny nie był tą f o r m ą delikatną i rozwiewną, która naciskiem swych myśli wywołała cały szereg dziejących się obecnie między niemi faktów, że Stalewski nie czeka potwierdzenia. Anka nie potwierdza. Narbutt jest pomiędzy niemi, żyje, rozprasza się mgłą swej niejawnej istoty w ich słowach, stanach ich duszy, i w tem, co dalej czynią.

— Tyś pierwszy mi rzucił słowo s t a r y — szepcze Stalewski ku widmowej potędze — lecz tyś sam zdjął tylko szablon pocisku, jakim bezlitośnie szarpiecie swe dłonie. Mów: za mało wrażliwy, mów: ślepy, głuchy, lecz nie mów nigdy: za stary! Bo wzamian odrzucić ci mogę: tyś... z a m ł o d y... więc także jeszcze ślepy i głuchy!..

Anka stoi strwożona.

Czuje, że jest teraz łącznikiem między nimi dwoma, ona, która nie należy do żadnego z tych żrących się wzajemnie światów, ona, która ma stworzony sama przez siebie świat z promiennych kół jej własnego ezoteryzmu i kultu Piękna. Lecz tych dwóch wzajemnie, zamiast tworzyć harmonię, ranią się i drą swą siłę na strzępy. W duszy Stalewskiego Anka dostrzega teraz na dnie całe łany kwiatów świeżych, gotowych do rozwinięcia, tkanych klejnotami kielichów. Z miłością radosną zwraca się ku nim i ma tylko jedno pragnienie, aby te kwiaty zajaśniały jak najszybciej, rozsypując dokoła brylan-

towe blaski długo w przechowaniu więziennem stygnących klejnotów.

Lęka się teraz, czy brutalność Narbutta nie skazi delikatności tych kwiatów, które nagle z pod powierzchni bagnistej, na której rozsiadły się ropuchy świecącego samolubstwa, wydobywają się ku słońcu, ku zjawie życia.

I pragną być blaskiem w smudze świetlanej.

I pragną być jednym tonem w harmonii Piękna.

I pragną być wstęgą kolistą, opasującą cały łan cierpień szlachetnych.

I pragną być same takiem cierpieniem, w którem dusza ludzka uczy się kochać, konać i przebaczać własnemu ciału, że się ku niej wznieść nie jest w stanie.

Bo z ciała tego uniesie piękność linij, barwę i rozkosz omdleń i łez cichych.

Ciału pożyczy swych skrzydeł i nauczy je być pięknem w cichym spokoju sennego kwiatu.

. . . . . .

Pomiędzy wizyę groźną i bezlitośną Narbutta a Stalewskiego, weszła Anka ze słodyczą swoją.

— On błądzi — wyrzekła — on nie wie... przekonaj go pan, iż, chcąc dla dobra Piękna poświęcić ciebie, szedł błędną drogą, naucz go, że w tobie kwitną całe łany nieznanych im kwiatów o tak potężnych blaskach i woni, że ich młode, nieukształtowane dusze, potęgi takiej mieć nie będą w stanie!..

Po twarzy Stalewskiego przebiegły płomienie.

— Chcę, pragnę... ale mnie zgniotą, nie dopuszczą!..

Anka czuje, iż Stalewski ma słuszaość.

Barami przywarli do siebie z taką siłą, iż rozerwać ich łańcucha nic nie jest w stanie. Otoczyli ołtarz Piękna duchowego i bronią dostępu. Krzyczą wielkim głosem: my! my!..

Dokoła nich kilku im podobnych porusza miarowo kadzielnice, pełne upajającego dymu.

A oni wołają prawie epileptycznie: my! my!..

Tak!

O tem wie Anka.

Lecz wie także, iż przed nią rozstąpią się szeregi, bo ona tam ma swoje miejsce, którego, choć nie zajmuje, żyjąc swojem życiem, to

przecież ona jest „młodą“, i jako taka, już młodością swoją do nich należy.

— Chciałbym—mówi Stalewski, a ręce tylko kurczowo załamuje, jakby ogromną męką wewnętrzną zdjęty — chciałbym... jeżeli nie dla siebie, to dla innych... dla tych, którzy tak, jak ja, dostali policzek starości, a mają w piersiach skarby całe i lękają się... i nie śmią...

. . . . . .

Skrzydłami rozpostarta u progów świątynnych, dusza jego samotna spowiada się Bogu. Stokroć razy mniej winna od wszystkich niewinnych. A jednak omdlewa z trwogi i czeka u progu...

To słyszy Anka, słyszy i widzi tę duszę rozskrzydloną całą w poświecie drgających, cudownych blasków, leżącą na stopniach świątyni.

A przed nią tłum zwarty woła w pysze.

W uniesieniu

W bezwzględności.

W bezlitości.

W szale.

— Myl.. myl..

Przez umysł Anki przesuwa się dziwna myśl. Chwilę z nią walczy, ale chwilę tylko. Bo choć to projekt czynu, złożonego z kłamstwa, oszustwa i podstępu, lecz cel jest jasny i dobry, a ku celowi oczy Anki są zwrócone. I zarumieniona, szczęśliwa, zbliża się ku Stalewskiemu.

— Panie Janie .. — mówi szybko — posłuchaj mnie pan... namaluj twój obraz, to dzieło, które musisz stworzyć, ażebyś sam się przekonał, kim jesteś w istocie...

— Tak... tak... — mówi Stalewski — muszę! w ten sposób zerwę ten strupieszały całun, który dźwigam na sobie! przekonam się... bo chwilami jeszcze omdlewam z trwogi... zdaje mi się, że nie mam sił...

Muszę! muszę!..

— Tak... i dla tego, aby znów jakaś brutalna dłoń nie rzuciła na ciebie szyderstwem i lekceważeniem, pan wystawisz swój obraz pod mojem nazwiskiem...

— Pod twojem nazwiskiem, Anko?

— Tak, na krótki przeciąg czasu, na dzień, na dwa... Dokąd nie wzniesie się hymn uwielbienia: tylko młodość! młodość mogła wydać takie silne tchnienie!..

Twarz Stalewskiego rozjaśniła się przeogromną, szaloną radością.

— Tybyś chciała, Anko? ty się na to zgodzisz?..

— Tak... proszę! weź pan moje imię, czyń z niem, co zechcesz... proszę!..

Ręce ku niej wyciągnął.

— Jakaś ty dobra... jakaś ty dobra!

Cała twarz mu jaśniała i biła aż młodością. Oczy błyszczały przezroczem szafirów. Od srebrnych włosów biła jakby jasna otęcz. Był młody, silny, pełen wiary.

— Tak! tak... ukorzą się przed dziełem, porwą je w ramiona, nosić będą, jak arkę, jak cenną amforę, pełną najrzadszego wina... Poić się niem będą i wołać: to nasze!.. to wykwitło z naszych łanów, z czarnych pól, z naszych jaźni!.. A potem, potem...

— Potem — kończy Anka — przyjdzie chwila nieoczekiwana. moje imię opadnie w cień i ukażesz się pan takim, jak jesteś, jakim cię wydobyłam z pleśni mojem skromnem, ubogiem pragnieniem. Nastąpi krzyk zemsty za podejście, lecz dzieło pozostanie w swym tryumfie wielkie i nieobalone!

Ręce ich złączyły się.

Uczucie, rwące ku górze ich serca, ogarnęło ich olbrzymią mocą. Zdawało im się, że stopy ich nie dotykają ziemi. Tonęli wzajemnie w swych źrenicach. Nietylko wiara przepajała ich całych, ale Nadzieja lekko i subtelnie wionęła ku nim, jakby esencya ich myśli. Odcięli się niejako od zewnętrznego świata na chwil kilka w natężeniu najszlachetniejszych, cichych pragnień.

Melancholia życia była od nich daleko. Rozpłynęli się cali w radosnej stronie istnienia.

Mądrość życiowa ustąpiła miejsca płomiennemu porywowi wyobraźni.

Byli młodzi oboje i dusze ich nie znały różnicy przeżytych lat.

Jednako rozpostartemi skrzydłami zawiśli w kryształowem przestworzu.

Po wschodkach dały się słyszeć ciche, jakby skradające się kroki i szelest sukni.

— Panno Anko!.. — zaskrzeczał głos Stalewskiej.

Drgnęli oboje.

Zbudzili się.

Jakieś uczucie niesmaku i szablonowej trwogi ogarnęło jego serce.

Anka wolno podeszła do drzwi.

Otworzyła je szeroko.

Stalewska mogła odrazu dostrzedz męża.

Zmrużyła oczy, przygryzła wargi.

— Pani tu jeszcze? — spytała.

— Tak.

— To dziwne. Sądziłam, że pani już w redakcyi, i przyszłam prawie pewna, że panią nie zastanę.

Czuć było kłamstwo w jej syczącym głosie.

— Tembardziej... że pani powinna może być teraz przy ojcu...

Bawić się zaczęła brelokami, które dzwoniły, jakby błazeński hymn tryumfalny.

— Bo ojciec pani przy wyborach przepadł... — dokończyła napozór obojętnie.

Anka porwała za kapelusz i pośpiesznie ubierać się zaczęła.

— Co pani chce... każdy z nas ma swoje chwile, w których go motłoch nazwie... pajacem!.. — zabrzmiało w ślad za nią, gdy zbiegała po wschodach.

XXV.

Szybko biegła Anka w stronę redakcyi.

Przeszła most, który zdawał się drżeć i pulsować jakiemś dziwnem, wewnętrznem życiem. Nie zdawała sobie widocznie sprawy, zajęta rozmową ze Stalewskim, ile czasu minęło od chwili jej powrotu do domu. Słońce zapadło zupełnie, czarne chmury wisiały groźnie nad miastem i zdawały się obniżać z każdą chwilą. Coraz cięższą była ta sekundowa walka płuc ludzkich, a oddech i pot, osrebrzył Ance skronie.

Posępność ciężka, dławiąca, zalegała miasto. Mrówki ludzkie, zamknięte w cytadeli swych murów, dusiły się i szalały w rozprężeniu nerwów, na które biły fale krwi. Gdzieniegdzie już płonęły światła niepewne, i jakby zamiast blasku, mrok w siebie chłonące.

Anka starała się całą siłą nie poddawać wrażeniu tego zgnębienia, bo czuła, iż będzie musiała mieć tyle mocy, iż ta moc właśnie musi przejść niejako z jej duszy w duszę jej ojca, startego na proch swą polityczną porażką.

Co robił w tej chwili ten nieszczęśliwy starzec?

Co się z nim dziać musiało?

Już poza mostem Anka odrazu wtargnęła w to rozpasanie drobnych ludzkich tryumfów i porażek. To, co płynęło z góry, to przytłaczające i groźne, rozścielało się i rozwłóczyło po ziemi w duszach i sercach ludzkich. Nie było przebaczenia u tych, którzy brutalną nogą stanęli na gardle powalonych. Z pola bitwy, gdzie „bohaterowie" nadziewają na miecze, jak na rożny, po kilku swych braci—człowiek przenosi ten „rożen" mieczowy i zastosowuje do wszystkich swych czynów. Upajany od dziecka fałszywem winem tryumfów krwiożerczych, wyobraźnią brodzący po polach, zasłanych trupami, nie mogąc urządzać „bohaterskich jatek", całą tę krwiożerczość wtłacza sobie w duszę.

I potem galopuje tryumfalnie, kierując rumaka swej brutalności tam, gdzie kryje się w cień zwyciężony moralnie jego współzawodnik. Kopytami zajeżdża prosto w twarz pobladłą, dzidą godzi w serce, które kurczy się bolem porażki. Na hełmie wyobraźni powiewa pióropusz dumnego upojenia. Zwyciężyłem, więc dalej na cmentarz cudzych złudzeń!

Rozorać mogiły, rozerwać wieka trumien, oplwać tych, którzy, zdjęci nagłą nieśmiałością zwyciężonych, w cień ukryć się pragną. Nie dać im spokoju za to, że śmieli przez chwil parę wzniecać niepokój o udanie się zamysłów.

Vae victis!

Anka rozumie i wyczuwa duszę rzeczy martwych, rozumie, czemu drżał taką dziką radością most, jakby odbicie drżących nerwów, cisnących się „stronnictw". To samo drżenie przejęło bruk, fale powietrza, płomienie gazu, płonącego na rynku.

W tłumach słychać tylko nazwisko „wybranego", brodzi się po masie afiszów, plakatów pozdzieranych i porzucanych dokoła ratusza. Czepiają się sukni Anki ostrością zastygłego kleju, szeleszczą razem z tem tryumfalnem nazwiskiem, które rozdyma się, jak pęcherz, przez dzieci nadymany. Śmieszne, głupie, małomiasteczkowe drobiazgi zalewają powodzią całe miasto i zajmują pewną seryę chwil ludzkiego istnienia. Kiedyś odbiją się echem w jakichś czynach, które przejmą zdumieniem swej przedpotopowej martwoty, posuwający się szlakiem udoskonalenia wał ludzkiego ducha.

Bezmyślnie, prawie bezwłasnowolnie targa się w odruchach radosnych ludzka tłuszcza. Zbiorowe ciało, nażarte i cuchnące, często szpetne, rzadko piękne w swych liniach. Wylegli z domostw i dają folgę swej wesołości, rozciągając muskuły twarzy, wydając okrzyki. Tu i owdzie przemykają się ludzie, którzy wyzwolili się z tych ścieżek, i patrzą poza głowy tłumu, troszczącego się o „świecznik", złatany z połamanych kawałków szmelcu, wyciągniętych z ognia namię-

tności karlich i pyłem przysypanych. Do nich, do tych „wyzwolonych“ pragnęłaby się przyłączyć Anka, lecz musi brać niejako udział w tych ruchach większości, szalonej prawie od pijaństwa, rozpolitykowania się bez uzd i bez względów. To pijaństwo dozwolone, przepisane i usankcyonowane, wydawało się nawet niejednemu wypełnieniem moralnego obowiązku. Snując się w tłumie około ratusza, ciesząc się z bełkotania jednego i tego samego nazwiska człowieka, który wywiesił płachtę „programu“, większą i silniej zredagowaną, niż inni, taki niejeden rósł w dumę i pychę. Zdawało mu się, że zbawia kraj, że podnosi i dźwiga na swych ramionach ginące instytucye, i że to dla niego zaczynają płonąć w niektórych oknach te świece „sześć na funt“, oprawne w butelki i podzielone na połowę.

Grupy takich osobników zbierały się teraz, ujmowały pod ręce i zagłębiały w ulice, krzycząc i śpiewając. Dlaczego krzyczeli, dlaczego śpiewali, nie wiedzieli sami. Było im to obojętne. Chcieli tylko krzyczeć i podrzucać od czasu do czasu kapelusze. Wołali: „niech żyje!“, a potem: „hańba!“, tym samym tonem ludzi, nie bardzo przytomnych.

Opadające coraz niżej ciężkie, ołowiane chmury, gniotły ich mózgi i utrudniały oddech. Zdenerwowanie wzrastało. Każdy człowiek zdawał się wydzielać ze siebie snopy elektryczności. W oddali odzywał się głuchy huk grzmotu. Odpowiadały mu z ulic wrzaski, przeciągające wśród tłumu. Wreszcie mignęła pierwsza błyskawica i w niej zamigotał gwiazdą krzyż na katedralnym kościele. Tłumy powiały rękami ku niebu i zaczęły błąkać się wśród kamienic, obijając się o słupy latarń, o mury domów.

Z głuchym łomotem zasuwały się żelazne żaluzye sklepów. Kupcy z pośpiechem mrówek oddzielali swe ubogie mienie od zdenerwowania tłumu. Już kilkakrotnie rozległy się złowrogie szurnięcia parasolem, lub laską po drzwiach sklepowych, lub ścianie. Radość z odniesionego tryumfu mogła zakończyć się dźwiękiem bitych szyb i wyrywanych z bruku kamieni.

Anka nie szła już teraz, lecz biegła w kierunku redakcyi.

Pusto było i głucho na ulicy i na placyku. Okna redakcyjne były zupełnie ciemne. Nie płonęło żadne światełko. Lecz Anka nie dała się uwieść tej ułudzie.

Czuła, wiedziała, że w tej ciemni jest jej ojciec zwyciężony z duszą, potarganą na ostatnie strzępy.

Szybko otwarła drzwi od sieni i wtargnęła do środka. Gdy zamykała drzwi, posłyszała odgłos grzmotu. Wicher wyrywał jej z rąk drzwi. Zatrzasnęła je przemocą. Przebiegła puste pokoje. Środkowy,

oświetlony był latarnią uliczną. Drgnęła cała. Ukazała się jej głowa ojca, zwieszona ku ziemi. Tragiczna, blada, dogorywająca...

Straszna była w nieruchomości maski pośmiertnej, zastygłej i fatalnej.

Lecz szybko Anka opamiętała się.

To był transparent z portretem ojca, który przygotowano na wypadek tryumfu.

To on dogorywał, jakby przygwożdżony do katafalku redakcyjnego stołu, a dokoła niego walały się japońskie lampiony zdeptane i w pośpiechu na ziemię zrzucone.

Nikogo w redakcyi. Wszyscy wobec porażki umknęli, zamykając się w swoich norach.

Anka weszła cicho do pokoju, gdzie stało biurko jej ojca...

Pewna była, że go tam zastanie.

I był tam rzeczywiście.

. . . . . .

Ukośne światło latarni rzucało na niego promień żółtawy i jakby pyłem wypełniony.

Siedział nieruchomy przy biurku, ubrany w swe jasne, eleganckie palto.

Trzymał na kolanach cylinder i laskę, na rękach miał rękawiczki.

Wyglądał, jakby za chwilę miał wstać i wyjść na ulicę.

Ciągle czekał tak na coś nieruchomy, zimny, dziwne zjawisko człowieka, który olbrzymim ciosem mienił dla siebie to, co ledwie muśnięciem skrzydeł mogło przesunąć się przez jego istnienie. Ze swą twarzą spokojną, z wachlarzem białej brody, miał pozór mędrca, który posiadł najwyższą Prawdę i zrozumiał, w czem leży treść życia.

Był on jednak jak świątynia zamknięta, cicha, o murach, wzniesionych z głazów, którym wody górskie piękny kształt nadały. Świątynia ta była zamknięta i na jej odrzwiach krwawiły się maki senne pieczęci.

Wewnątrz bowiem spełniono zbrodnię, zbezczeszczono stopnie ołtarza, na którym płonęła Doskonałość prymitywnej duszy czystej, pełnej majestatu. Dopuszczono wewnątrz całą hordę usankcyonowanych ludzkich błazeństw, które z łamańcami sztuk klownowskich wdarły się do ołtarza. Biel duchową, dziwnie czystą i zdolną do

przetworzenia się w słoneczną zjawiskowość, nerwowe palce błazeństw porwały na strzępy i cała Dostojność, wyjątkowa nawet, przetworzyła się powoli w rozwichrzone cząstki, tańczące w takt łamańców błaznującej hordy.

Nagle potęga przeznaczenia, ta, która miesza się w sprawy wielkie i wzniosłe, wygnała całą kohortę z owej świątyni znieważonej.

I powstały milczące mury, wzniesione ze złomów, którym pęd strumieni wiekowych faktów nadał wspaniałe kształty, lecz na odrzwiach czerwieniały krwawą melancholią senne maki wielkich, niezłomnych pieczęci.

. . . . . .

— Ojcze!.. — wyszeptała Anka, dotykając lekko ramienia Zagrodzkiego.

Nie poruszył się nawet.

Ciągle na coś czekał.

— Ojcze!.. może pójdziesz stąd! wróćmy do domu!

W tej chwili uczuła całą nędzę tych słów.

Do jakiego domu?

Czy do tego wązkiego numeru hotelowego, po którym chodził niedawno, rzucając się w nim, jak zwierzę w klatce zbyt ciasnej.

Ten przygodny szałas, zbudowany wypadkowo w morzu innych schronisk, nie był mu d o m e m, który mógłby uspokoić i utulić tragedyę jego życia.

I on to uczuł, bo poruszył się niecierpliwie i cicho wybełkotał:

— Gdzie?.. gdzie?..

Nie wiedziała, co mu odpowiedzieć.

Ach! w noc tę parną, cichy rozłóg ich wsi i senny trawnik, na którym rozkłada się kwieciem białej, uroczej akacyi.

I dom jasny, z którego okien wylewa się struga światła, przyćmionego lekką koronką czysto wypranych firanek.

I ławeczki na ganku, przytulne i ciche, na których ktoś zostawił gałązki rezedy i parę bratków, stulonych w pokornej, wieczornej modlitwie...

I cała ta cisza łąk, pól, cmentarzy, zarosłych puchem mleczów i lasów, pełnych paproci, kryjących w sobie ametysty dzwonków...

Tam był... dom.

Ich... dom.

Są naprzeciw siebie teraz, w tej miejskiej mordowni, pełni smutku, nie wiedząc, gdzie iść po spokój i wytchnienie.

Błyskawica przecięła pokój.

Anka w tej błyskawicy dostrzegła, że ojciec, mocą nałogu, utkwił oczy w tarczę zegara, który, nienakręcony, iść przestał.

W ślad za błyskawicą, głuchy grzmot przeleciał, jakby nad dachami domów. Wicher zaszumiał i giąć zaczął drzewka na skwerze. Rozjęczały się cichym poszeptem targanych mocą przeznaczeń istnień.

W takt ich skarg wionęły smugami światła latarń i dosięgły kątów zaciemnionych, redakcyjnych izb.

Groza przedburzy, groza, miastom właściwa, pełna nieuchwytnych drżeń cielsk domów i gmachów, ziejąca nagromadzonym żarem, pełzała i wspinała się ku czarnym kłębom chmur, rozpętanych, rozwichrzonych nad drżącemi szczytami domostw i wież.

Wtem, od strony miasta, wtłoczył się w ciasną uliczkę, prowadzącą na skwer, kłąb ludzkich ciał. I zdało się, że to jedna z chmur spadła na bruk i bieży po nim zdradnie i cicho. Ludzie szli prawie w milczeniu, a było ich tylu, że w mgnieniu oka zapełnili placyk i zaroili trawniki. Niektórzy biegli pędem, i ci, którzy przybywali, tłoczyli pierwsze rzędy niepohamowaną siłą.

Anka, która nagle spojrzała w okna, w świetle nowej błyskawicy dostrzegła ten milczący tłum, mnożący się z szybkością cudu.

W pierwszej chwili sądziła, że to hallucynacya. Lecz dostrzegł już ich Zagrodzki, i jak na sprężynie, zwrócił się twarzą ku oknu. Coś, jakby błysk radości przesunął się po jego twarzy. Nie wstał jednak, tylko zwrócił się prosto ku oknu, i na tłum, po którym wicher szalał, patrzył.

Trwoga straszna przejęła Ankę.

Chwyciła ramię ojca:

— Ojcze! odsuń się od okna! chodź w głąb pokoju.

Lecz on, jakby w zachwycie, powtarzał cicho:

— Przyszli... protestują...

I czekał.

Nagle tłum zaszemrał, zakołysał się, jak drzewa, jak płomienie, i z tego szmeru wytrysły straszne, przeciągłe gwizdy. Były to szarpnięcia duszy tak bezlitosne, iż zdawało się, iż ktoś kosą ścina cały legion modlących się dzieci. Gwizdy wywołały echa. I rozpęta-

ła się przeraźliwa orgia ludzkiej podłoty. Wycie wilków, szakali, hyen, dławionego zająca, świsty halnych wichrów, kotów rozszalałych, gwizdy i nawoływania zaskoczonych policyantów, śmiech demonów, łaskotanych pazurami wiedźm—wszystko to łączyło się w ryk, który okrążył plac i wpadł do wnętrza redakcyi, waląc prosto w trupio bladą twarz Zagrodzkiego:

— Hańba!...

— Pereat!...

— Precz z nim!..

Lecz on nie rozumiał. Siedział jeszcze ciągle, patrzył, i tylko powieki mu szybko drgać poczęły, jakby te wszystkie wyjące głosy rozsiekły się rózgami po jego źrenicach.

Anka rzuciła się ku niemu.

— Ojcze!.. usuń się!.. błagam...

Mignęła błyskawica, oświecając błękitnym, przejasnym blaskiem twarz Zagrodzkiego.

— Ol.. siedzi tam... jest...

— Huzia!

— Ksy! ksy!

— Hańba!..

I gwizd, i krzyk, i wycie straszne... a razem z tem ludzkiem rozpętaniem grzmot przeciągły, walący skałami w bezdenne przepaście wszechświata.

Anka bezsilnie czepiała się rąk ojca.

— Ojcze! ulituj się!.. cofnij się od okna!

I nagle kamień pada, jeden, niewielki kamień, i krzyk ochrypłego głosu:

— Hamaj kiciu!..

Śmiech okropny, rozpasany, wstrząsający.

Kamień uderzył Zagrodzkiego w ramię.

Było to, jakby ocknienie.

Zagrodzki zrozumiał.

Powstał, wyprostował się, poruszył ustami, jakby chciał coś przemówić, lecz nowa błyskawica oświetliła go całego, a tuż pod oknem wyciągały się ręce rozswawolone, straszne, czarne jak gałęzie wierzb przeklętych, nagle w noc burzliwą wyrosłych.

Anka siłą wdarła się ku oknu i zatrzasnęła je podwójnie, a nadto spuściła roletę. W innych pokojach okna były zamknięte. Uczyniwszy to, porwała ojca pod rękę i wyprowadziła z pokoju. Dał się

prowadzić, jak dziecko. Pod oknami rozwyła się tłuszcza, szalejąc z radości.

— Kocia muzyka... co?.. — wyszeptał Zagrodzki.

To słowo drobne i żadne wpadło w tę tragiczną chwilę, jako doskonała synteza uczuć tłumu, który miotał się poza oknami...

Anka podprowadziła ojca do szezlongu, który stał w kącie większego pokoju i ukryty był poza szafą, odwróconą frontem ku oknu. Wiedziała, że tam będzie bezpieczny.

— Połóż się, ojcze, odpocznij!

Drżał cały, jak w febrze. Upadł na szezlong i zatknął uszy rękami. Konwulsyjny ruch jego pleców wskazywał, że szarpały nim nerwowe łkania. Był tak nędzny i nieszczęśliwy w tej swojej niemocy, iż Ance, klęczącej przy nim, serce szarpało się na strzępy.

Tłuszcza wyła jeszcze, lecz sił już jej nie stało. Znudzili się widocznie i zapragnęli nowego żeru. Sądzili, że znajdą redakcyę w komplecie i że „zabawa będzie szersza". Tymczasem zamknięte okna, ciemność, ta jedna sylwetka bladego starca i potem mignięcie kobiety, zamykającej okna, to było niewiele dla zgłodniałej wrażeń tłuszczy. Przytem deszcz zaczął padać dużemi kroplami, a doleciały wieści, iż szybkiemi kroki biegnie „policya", więc tłum zaczynał rozpierzchać się, nagle ostudzony i niejako do przytomności doprowadzony.

. . . . . .

W redakcyi klęczała wciąż Anka przy ojcu, wsłuchując się teraz w jego oddech, który huk grzmotów głuszył co chwila.

Burza rozpętała się nad miastem i rozświetlała co chwila jego nocną nędzę i tłoczącą się w murach tragiczność codziennych zdarzeń.

Zagrodzki leżał teraz odwrócony na wznak, a u nóg jego walał się porzucony cylinder i wypuszczona z rąk laska. Głowa jego zesunęła się ku ziemi, pomimo, iż Anka usiłowała nadać mu inną pozycyę. I w świetle błyskawic przybrał on ten sam wyraz, tę samą straszną, trupią maskę, jaką miał na porzuconym w drugim kącie sali transparencie, tak, że Anka z drżeniem trwogi, graniczącem z szaleństwem, chwilami już ich obu rozróżnić nie mogła.

Obie te twarze były jednako blade, jednako nieruchome, pochylone ku ziemi, zwisające bezwładnie.

Błyskawice migotały po niebie błękitnemi blaski, jakby ktoś w noc zaduszną zapalał i gasił gromnice, a huk gromu nie wywoływał ani drgnienia w szeroko rozwartych, szklanych, dziwnych źrenicach.

(D. c n.). GABRYELA ZAPOLSKA.

Władysław Syrokomla.[1]

(1823—1862).

V.

LIRYCZNE I EPICZNE PIERWIASTKI W ORGANIZACYI POETYCKIEJ SYROKOMLI.

Dla czego liryka naszego poety — w pierwszym okresie przynajmniej — nie stoi na tej samej wysokości, co epika? W jaki sposób radość i smutek kojarzyły się w żywej osobistości?

Zbierając tu i owdzie rozrzucone rysy, zawarte czy to we wspomnieniach współczesnych, czy w wyznaniach, złożonych mimowolnie przez poetę w utworach, możemy uczynić niejakie wnioski z charakteru poezyi o charakterze człowieka, i zdołamy powziąć, jak się zdaje, choć określone wyobrażenie o temperamencie poety. I znowu staje przed nami postać ojca Ludwika, postać Łagody z „Kęsu chleba“, której sobowtórem stawał się syn nietylko wtedy, gdy, onieśmielony, powtarzał wszystkie ruchy staruszka, jak to było przy pierwszem ukazaniu się w biurze nieświeskiem. Widzimy przed sobą człowieka „łagodnego“, choć żywszego może w ruchach, niż ojciec. Usposobienie to spokojne, do namiętnych wybuchów nie zdolne, w odruchach natychmiastowych powściągliwe. Natura miękka, pożądająca atmosfery przyjaznej, pogodnie uśmiechniętych twarzy, życzliwych uśmiechów, uścisków serdecznych. Z nielicznych erotycznych poezyj odgadnąć łatwo, jak i w tym zakresie serce poety łaknęło dobrej, współczującej i oddanej duszy kobiecej. W atmosferze uczuć przyjaznych, ciepłemi wzruszanej powiewami, łagodnemi błyskami prześwietlanej, rozwijała się dusza poety, jak płatek kwietny na słońcu, i sama pro-

[1]) Patrz zeszyt lutowy, str. 252.

mieniować poczynała ciepłem i wesołością, której zasoby były niemal niewyczerpane. Stąd tyle szczerym humorem okraszonych wierszy pochodziło. Natomiast każde szorstkie dotknięcie, każde obniżenie stopnia temperatury w otoczeniu, już wywierało przygniatający wpływ, na iście czułkową naturę poety. Stąd i w jego publicznej działalności łatwo było dotknąć go boleśnie, nie z powodu wygórowanej ambicyi, lecz wskutek właśnie tych właściwości usposobienia, które staraliśmy się określić. Jeszcze nie sprawdziwszy na sobie, iż słowo musi mieć swą odwrotną a bolesną stronę, już przepowiada przyszłemu poecie:

Twe czoło — w wieniec cierni ustroją,
I zelżą ciebie hańbą sromotną,
I w twoje piersi kamieniem grzmotną [1]).

Zapewne, było w tem trochę zwykłej pozy romantycznej. „Jam tych przysmaków nie kosztował prawie“ — wyznaje w rok później Kraszewskiemu — „lecz z góry nie smakuję w tej cudnej potrawie“. „Dobrze ci tak, poeto!“ — mówi z goryczą:

Na co było, na co
Stroić lube twe dziecię, jak gminny pajaco?
Uczucie, to skarb serca, pielęgnuj go w ciszy...

Rada, niemożliwa do wykonania. Nie dlatego nawet, że nieprzeparty pociąg do pióra przemożnie władał poetą, że „sam proces pisania“ uśmiechem rozjaśniał mu oczy, ale że była to natura, najzupełniej nie umiejąca sobie wystarczać. Widok ludzkich twarzy, dźwięk ludzkiego głosu, podział myśli i uczucia z bliźnimi — było to wszystko dla Syrokomli, najniezbędniejszą duchową potrzebą. „Gdy nie piszę, to w domu nie siedzę“ — wyznawał. Materyału na samotnika, obcującego z sobą i z myślą swoją, materyału na filozofa, zadumanego nad przeznaczeniem ludzkości, czy społeczeństwa, nad zagadką bytu, lub kolejami serc ludzkich — materyału na to wszystko nie było w nim ani krzty. Ta nieumiejętność oparcia się na sobie, ta potrzeba czerpania siły z sympatycznego zetknięcia się z duszą bliźniego, jak zobaczymy później, miała nawet zgubne dla poety skutki...

---

[1]) Wiersz pochodzi z r. 1847.

Szukać ludzi musiał. A szedł do nich nie z zimną wolą spostrzegacza, lecz z sercem czułem i dobrem. Miłość i życzliwość, które uczuwał względem braci, te uczucia, któremi żył, z których pieśni swoje wysnuł, nie były zresztą pożerającemi istotę jego namiętnościami, nie stawały się nienasyconą ciekawością głębin duszy, w której poeta nie zechce pozostawić niezbadanym najtajniejszego zakątka. W naturze uzdolnienia tego i uczuciowości tej było oddziaływanie na rzeczy blizkie, widoczne, te, co to w „przezroczystej piersi“ grają jak na dłoni, i przejrzeć się dają odrazu. Stąd wynikały konsekwencye w dwu kierunkach. Usposobienie do żartu, zdolność upatrywania śmiesznej strony w ludziach, w stosunkach, najczęściej zatrzymywały się na powierzchownych przywarach tej, czy innej osoby. Niekiedy i zjawiska ogólniejszej natury, wywoływały uśmiech, gorzki zwykle, na usta naszego lirnika. Okoliczność podobną wskazuje, niedość wyraźny zresztą, wiersz: „Browary“, entuzyastyczny wielce, bo przecież „stąd się przemysł, oświata, wesołość rozbiega“. Zwłaszcza charakterystyczny jest upominek: „Niewinnej duszyczce“, pierwowzór późniejszego „nagrobka obywatelowi“. Ale na sarkazm z trudnością Syrokomla się zdobywał, żal przemagał w nim zawsze nienawiść do złego. Szyderstwo nie było bronią, dobraną do ręki rzewnego lirnika. Na lirze jego brzmieć raczej miała smętna nuta. Lecz znowu i w tym przeciwnym kierunku znać było, że dusza poety zamało przestaje sama z sobą, zamało sobie wystarcza, że jej wewnętrzne życie nie jest dość urozmaicone i bogate. Zbyt łatwo roztkliwia się nad sobą, a treść jej natchnień wypełnia dość nieokreślony żal za jakimś światem rajskiej pogody, w którymby można było serdecznie uścisnąć rękę bratu i siostrze. Dla usposobienia tego, pogodnego i rzewnego zarazem, nie znajdującego wszelako w rzeczywistości zadośćuczynienia wymaganiom serca, dla wyobraźni tej, co nie wyrywała się śmiałym lotem w przyszłość, a nie miała dość mocy, by rozwijać z siebie wizye światów, do których wciąż tęskniła, dla tego usposobienia i dla wyobraźni tej jedna dziedzina była przyrodzoną ojczyzną, to idealizacya przeszłości (osobistej) we wspomnieniu. Istotnie, najczystsze klejnoty pieśni Syrokomli, to te właśnie, w których mgłą opalową mieni się w łzach skąpana, rzewnym uśmiechem prześwietlona, tęskna poezya wspomnień dziecięcych. Stąd wypłynęły całkowicie „Szkolne czasy“, a w znacznym stopniu i „Dęboróg“; tym samym tchem jest owiany „Ułas“. Cała treść „Jana Cmentarnika“, to tęsknota do rodzinnej wioski, tęsknota, którą tak odczuć umiał poeta. W „Kęsie chleba“, kiedy jego kącik nadniemeński w mgłę się owinął, wówczas z piersi jego wymknęły się dźwięki, za serce chwytające:

W dni moje młode, w dni moje szczęśliwe,
I jam uprawiał nadniemeńską niwę...

. . . . . .

Tameczne łąki znam po aromacie,
Wodę tameczną po smaku odgadnę,
Inszego ptactwa śpiew mię nie omami,
Znam, jak skowronek, jak tam słowik śpiewa;
Poznam po szumie nadniemeńskie drzewa,
I wiatr tameczny rozpoznam płucami.

Dziwna napozór sprzeczność zachodziła między sejmikowo-szlacheckiem usposobieniem Syrokomli, potrzebującego wokoło siebie, jak powietrza do oddechu, gwaru głosów ludzkich, a zimnem, sztywnem zachowaniem się jego, ilekroć znalazł się wśród liczniejszego grona ludzi, choćby życzliwych, ale dalszych. Sprzeczność atoli tylko pozorna. Rozwiązanie jej spoczywa w kardynalnym pierwiastku natury poety, w potrzebie ciepła serdecznego, a więc atmosfery zupełnie poufałej. Z drugiej strony musimy tu powołać się na pewien rys charakteru, o którym jeszcze nie wspominaliśmy. Spowiadając się przed Marcinkowskim, wyznaje mu: „Przy charakterze p o w o l n y m, r o z w a ż n y m, n i e ś m i a ł y m, zachowałem jednak niepodległość umysłu“. I dalej: „o wszystkiem dopóty nie mam żadnego zdania, dopóki nie wyrobię własnego... Oto klucz do kontrastów mojego charakteru, upartego i słabego zarazem“. Skorzystamy z tego klucza. Umysł Syrokomli był równie powolnym i nieśmiałym, jak charakter. Praca wewnętrzna odbywała się w nim, rozumie się, i dla tego mógł, jak to o nim mówiono, zaledwie przerzucać książkę, a mówić o niej, jakby po najuważniejszem przestudyowaniu. Przecież on, samouk, nie został pisarzem prowentowym, lub zadomowionym szlachetką z aspiracyami do uczoności, lecz dostojnym obywatelem Rzeczypospolitej literackiej, ba, w pewnych chwilach sięgał nawet ręką po berło poety narodowego. Ale owa praca wewnętrzna była „rozważna“, pierwiastku błyskawiczności w niej nie było. To znamię dziedziczne. Wszak i ojciec jego, zapalony zwolennik dysput, zwykle je kończył propozycyą: „wyzywam pana na piórko“. I ojciec, i syn, mieli pod tym względem usposobienie gabinetowe. Nic w nim nie było iskrzącego, wybuchowego. Szermierki językowej prowadzićby nie umiał, gdyż nie ogarniał natychmiast myślą arsenału środków przeciwnika, a i u sie-

bie odpowiedniej broni nie umiałby odszukać. „Ze mnie żaden dyalektyk“ — przyznawał się Kraszewskiemu. Nowe rzeczy, lub z nowej ukazujące się strony (a tak z nim, samotnikiem, często zdarzać się mogło), wprost przygnębiający wywierały wpływ, zwłaszcza, jeżeli należało reagować na nie natychmiast, bez zwłoki. Grał tu swoją rolę i ów charakter „nieśmiały“, mało stanowczy i rzutki, i wielkie zadomowienie, brak przyzwyczajenia do obcowania z ludźmi, coraz to innej miary umysłowej i towarzyskiej. I oto, gdy odwiedza go młódź uniwersytecka, zapewne ludzie blizcy i serdeczni, jego przecież „boli głowa od krzyków postępowych“. Zapewne „krzyki“ owe odskakiwały od wyobrażeń, z któremi się spoufalił, bądź uznając je za swoje, bądź odrzucając; określonego natomiast stanowiska względem „krzyków“ zająć nie umiał. Potrzebował czasu, by poglądy jakieś uporządkować i ocenić, jedne odepchnąć, inne znowu połączyć z najwewnętrzniejszemi swemi przekonaniami i dążeniami. Podobnież w Wilnie, kiedy wpadł pomiędzy „ortodoksalnych“ i „postępowych“, jakkolwiek doznał sympatycznego przyjęcia [1]), uskarża się jednak gorzko na niesnaski i swary stronnicze. „Dzięki mojej milczącej figurze, spokojnie wysłuchiwałem wszystkiego i jezuickim uśmiechem zdawałem się potakiwać... Mój Boże! czyż to nie wolno szukać prawdy... bez należenia do stronnictwa?.. Którą wybrać... kiedy obie ufności mojej nie posiadają?“. W owej milczącej figurze rozpoznamy z łatwością tę samą postać, której kilka miesięcy przed tem Kraszewski nie mógł u siebie, w Hubinie, rozruszać, tę samą, co w czasie podróży swych do Warszawy, lub w Poznańskie, usuwała się od owacyj w zacisze, a wielbicieli zrażała chłodem i przymusem... Któżby mógł rozpoznać w tej zimnej i sztywnej postaci człowieka o sercu złotem a miękkiem, jak rzadko...: „nie chwaląc się mówię, iż nie słowy, ale czynem cieszę się i boleję radościami i klęskami ludzkości...“! Ktoby mógł odgadnąć, iż rzewna pieśń lirnika nie była sztuczną grą, lecz najistotniejszym wylewem duszy? Skądinąd jednak wiemy, jak dłoń poety skwapliwie wyciągała się do uścisku; wiemy, że cisza wiejska była jego losem, ale nie koniecznością jego natury, że „gdy nie pisał, w domu nie siedział“; wiemy, jak częstym był gościem u najbliższych swych sąsiadów w Zacierzewiu i Październycach, i jak często uboga chata rozbrzmiewała przyjacielskiemi głosami. Gdy zaś nie było czem łaskawych na poetę przyjąć, szła na sprzedaż jaka ćwiartka zboża...

---

[1]) Było to w r. 1851, gdy już się ukazały „Przekłady“ i I-szy tom „Literatury.

Lecz to było towarzystwo, w którem się mógł obracać zupełnie swobodnie, w którem nikt mu nie imponował niezwykłością poglądów, nikt nie nastawał na natychmiastowy „wybór“ tej, czy innej, ortodoksalnej, lub postępowej prawdy. A przy wrodzonej sobie życzliwości dla ludzi, w poczuciu swego braterstwa z bracią kapotową, — przypominamy tu, cośmy powiedzieli na wstępie o pochodzeniu Kondratowicza — nietylko nie uchylał się od niej, owszem, całem sercem ją witał u progu swego domu. Opowiadają, że właśnie braciom kapotowym zawdzięcza poeta ocalenie swego „Dęboroga“. Gdy w jakiemś zniechęceniu rzucił rękopis do kominka, jeden z obecnych, Symonowicz, wydobył go szybko z ognia, a reszta gości zniewoliła autora, by utwór swój zachował. Takich oto ludzi znał, takich kochał, wśród nich chętnie wyobraźnią swą przebywał, ich zwyczaje i obyczaje z miłością odtwarzał, ich niezłomne myśli i uczucia, przesądy i uprzedzenia, w dzieła swe wcielał. Wyższy nad nich umysłem, a sercem blizki, umie spojrzeć na ich skromne życie z dwojakiego stanowiska. Uśmiecha się odrobinę pobłażliwie i od niechcenia, a mimo to przez uśmiech nieraz prześwieca łza.

I oto dla czego, zdaniem naszem, w utworach tego kroju, co gawędy, szczęśliwie się kojarzyły dwa zasadnicze pierwiastki organizacyi duchowej Syrokomli. Wyobraźnia obracała się swobodnie w kole przedmiotów, z któremi była spoufalona, a kierunek twórczości znajdował, jakby moralną sankcyę w etnograficzno-romantycznych dążnościach ówczesnej literatury.

Stosunek poety do ludu właściwego, siermiężnego, nie jest już tak duchowo blizki, jak względem braci w kapocie, pokrewny jednak bądź co bądź. I w jednym, i w drugim wypadku wchodziły w grę, oprócz wymienionych już czynników, silnie rozwinięte w Syrokomli poczucie sprawiedliwości i miłości względem upośledzonych, lub krzywdzonych. Co tu było własnością samego poety, o ile był zależnym od pewnych prądów umysłowych ówczesnej atmosfery duchowej?

VI.

STANOWISKO SYROKOMLI WOBEC WSPÓŁCZESNYCH MU KIERUNKÓW UMYSŁOWYCH. — LUD W POEZYI KONDRATOWICZA.

Przypominamy sobie, jak Syrokomla gorzko się uskarża na to, iż musi wybierać między prawdą jednego a drugiego stronnictwa. Jakież to prawdy? „Jedni z krzyżem w ręku do piekła odsyłają wszelki racyonalizm, wszelkie szperanie wiedzy nazywają głośno i uroczyście czynami szatańskiej pychy; drudzy z wyrazami postępu i braterstwa na ustach, plwają na wiarę, na tradycyę ojców, na wszystko drogie i święte... ich miłość ludzkości z pogardą traktuje, i przeszłość, i narodowość. Ci wołają pobożnie: kościół, powaga, tradycya, pokora! Owi: Ewangelia! braterstwo! rozum! duch wieku! Chrystus na wszystkich ustach, ale Chrystusowej miłości ku ludziom, jak mi Bóg miły, nie postrzegłem". W krytyce tego stanu rzeczy, Syrokomla, zgodnie ze swem usposobieniem, łaknącem arkadyjskiej atmosfery, natychmiast przechodzi na pole osobistych stosunków. Ludzie ci nie mają w sercu miłości Chrystusowej, gdyż „wzajemnie się obmawiają i czernią". „Chrystus na wszystkich ustach...". Chwila, kiedy te słowa się pisały [1]), była epoką dyktatury „Tygodnika Petersburskiego" i Henryka Rzewuskiego z jednej strony, z drugiej — zaciętej opozycyi młodych postępowców, którzy za organ swój obrali Gwiazdę kijowską. W imię religii „Tygodnik" potępiał samą zasadę postępu i dążeń do ulepszeń w stósunkach społecznych, a ortodoksalność swą posuwał do tego stopnia, iż, zdaniem jego, „pierwszy warunek lekarza nietyle nauki anatomiczne, patologiczne, kliniczne, ile pobożność". Gwiaździści natomiast, biorąc w obronę potępioną ideę, jako zasadę nadewszystko chrześcijańską, zarzucali drwiąco Rzewuskiemu, iż zapewne bardzo kocha włościan, swych poddanych, gdyż nigdy o nich nie wspomina, wiadomo zaś, że, „co się kocha szczerze, o tem najmniej się mówi... Dla kochanka przedmiot jego miłości, jest rzeczą świętą, nietykalną". Lecz o rzeczach, które nie są świętością, o rzeczach sobie obojętnych i obcych,

[1]) Styczeń, 1851 r.

człowiek rad rozprawiać, jak hr. Rzewuski o dziełach filozofów niemieckich! Pomijając osobiste wycieczki, widzimy, jak u postępowców ówczesnych zagadnienia metafizyczne kojarzyły się ze sprawami społecznemi, najspecyalniej z myślą o położeniu włościan „Ci, co mówią wam, że chrystyanizm umarł—kłamią! i ci, co mówią, że chrystyanizm żyje — kłamią także! Chrystus usypia dotąd w duchu naszym, ale rychło snać się obudzi“ — pisał Albert Gryf (Antoni Marcinkowski), główny „Gwiazdy“ filar. Obudzi się Chrystus w nas, kiedy zasady nauki jego wejdą w krew i życie społeczeństwa, kiedy w stosunkach współżycia gromadzkiego ujawnią się nakazy sprawiedliwości i miłości. Były to takie same myśli, w duchu Hegla poczęte (o ideach, urzeczywistniających w pochodzie dziejowym ludzkości), a do wierzeń chrześcijańskich przystosowane, jak gdzieindziej poglądy, w systemacie Cieszkowskiego złożone, lub przeobrażające się w „Psalmy“ Krasińskiego, w doktryny Towiańczyków. „Duch ludzki powoli, stopniowo, w miarę kształcenia się swego, rozważa, przyjmuje i wciela w siebie każdy rys chrystyanizmu, a z tego względu historya cywilizacyi właściwie zwać się może historyą wcielenia idei chrystyanizmu w istność ludzką“ [1]). „Cała treść dziejów już była w nauce Chrystusa... Życie to, jak organiczna siła, rozwija się z własnych principiów... Takim jest chrystyanizm, pojęty jako idea żywotna, treściwa, wieczna, jako życie ludzkie, dążące do osiągnięcia wyższych celów, jako postęp do moralności chrześcijańskiej...“ [2]). Jak widzimy, słusznie utrzymywał Syrokomla, iż „Chrystus był na ustach wszystkich, i tych, co zalecali pobożność, jako wyższy kurs medycyny, i na ustach tych, co marzyli o postępie, o udoskonaleniu stosunków społecznych i tych, co chcieli wiary żywej, nie martwej, nie usprawiedliwiającej ciemne strony życia. Zapewne, ciekawą byłoby rzeczą spojrzeć, jak się to w owe czasy schodziło z tych filozoficznych szczytów, jak w najbliższem otoczeniu Syrokomli w Wilnie, czy gdzieindziej górne idee przystosowywały się do realnych zagadnień chwili bieżącej. Wyraziściejby się nam przedstawiły wówczas odruchy Syrokomli („zimno i nielitościwie profanują to, co jak eucharystya w *sanctum sanctorum* duszy z cześcią pielęgnować się powinno“), odruchy, wywołane prawdopodobnie nietylko tą okolicznością, iż „wzajemnie się obmawiają, czernią“. Musimy wszelako zadowolić się urywkowemi wiadomościami. Nie było mowy o tem, iżby Syrokomla mógł

[1]) „Gwiazda“, r. 1848, str. 193.

[2]) Ibid., str. 195.

przylgnąć do reakcyjnej bigoteryi „Tygodnika“. Nie zgadzałoby się to z usposobieniem poety, od wszelkich zaciekań się dalekim. Z rozrzewnieniem wspomina księży Dominikanów, iż pod ich opieką „...człowiek na wszystko poglądał z pobożna, i wiedział na pamięć, gdzie prawda i wiara... i pewny swej prawdy, nie troszczył się wiele, w sobotę jadł z postem, a święcił niedzielę“. Ten post w sobotę, ale zarazem i „święcenie niedzieli“, pobożność i wiara, nie krępująca swobody, nie ciężąca nad ruchami — były niejako kardynalną zasadą i późniejszej religijności Kondratowicza. Zwracano niejednokrotnie uwagę na brak mistycyzmu w utworach poety, na okoliczność, iż on wyłącznie z estetycznej strony traktuje obrazy uroczystych chwil kościelnych. Był to także jeden z pierwiastków ukochania wszystkiego, co swojskością tchnęło. W wyobrażeniu jego miłość dla wiary ojców nie miała stawać się kajdanami dla ducha. „Z krzyżem w ręku, woła oburzony, do piekieł odsyłają wszelki racyonalizm, wszelkie szperania wiedzy nazywają głośno i uroczyście czynami szatańskiej pychy“. A potrącając o „nowinki“ w XVI wieku i o „piorun klątwy“ na ustach dostojników kościelnych, woła: „nad klątwą jest Pan Bóg, co patrzy zdaleka“:

O prymasie Dzierzgowski! patrz na twą owczarnię,
Patrzaj na tych żniwiarzy, kosarzy, oraczy,
I z gnieźnieńskiej stolicy pobłogosław raczéj,
Niech miecz klątew pasterskich jeszcze w pochwie drzemie,
Gdy Pan Bóg swojej klątwy nie spuścił na ziemię.

Ale skądinąd pojęcie chrześcijaństwa, jako idei rozwijającej się, urzeczywistniającej się dopiero w czasie, nie zamkniętej w skończony system prawd nieruchomych, i pojęcie to zawierało w sobie pewne rysy, niezupełnie przystające do wyobrażeń, które zrosły się z umysłem i sercem Syrokomli. „Naprzeciw temu pojęciu (chrześcijaństwa dynamicznego) występuje pojęcie chrystyanizmu, jako nauki określonej, spełniającej się niejako na zewnątrz życia ludzkości“ — pisała „Gwiazda“. Dla Syrokomli właśnie religia była „nauką określoną“. Idee czynnego chrześcijaństwa prowadziły nieraz do rozróżnień między wiarą a „hierarchią“. Nie wdawał się w to nasz poeta, strzegł się — wobec siebie i swych słuchaczy — nawet pozorów nieprawomyślności. Kreśląc z widoczną sympatyą artystyczną postać Orzechowskiego, wkłada mu w usta te słowa:

Bóg rzucił w piersi moje gorejącą głownię,
Gdy czytam, to namiętnie, modlę się—gwałtownie...

Zastrzega się jednak, by za napaści Orzechowskiego na Kościół, pobożny czytelnik,

Nie rzucał kamieńmi na głowę poety,
Co przytacza wyrazy, lecz ich sam nie chwali.
Nie mierzmy nowych czasów wedle starej skali...
. . . . . .

Warto zaznaczyć, iż wskutek nalegań swych wileńskich przyjaciół, autor zaniechał śliskiego pod względem prawomyślności tematu, i w ten sposób „Kanonik przemyski“ pozostał fragmentem; a nie mamy powodu żałować, iż tak się stało.

Wróćmy atoli do rzeczy. Otóż w poglądach lewicy ówczesnej zbyt może jaskrawo uwydatniła się niechęć względem różnych „przydatków“ i „nierozumu barbarzyńskich czasów“, iżby to nie miało stać się dla poety niepokojącym pierwiastkiem: Później wprawdzie Kondratowicz uskarżać się będzie na stan „wyrozumowanej niewiary“. Czy jednak mówiąc to, miał na myśli właśnie wyobrażenia swoje religijne? To pytanie wcale nierozstrzygnięte. Bądź co bądź, dla umysłu tak usposobionego, co i klątw słyszeć nie chciał, i nie mógł znieść spokojnie, że „plwają na wiarę, na tradycyę ojców“, dla umysłu takiego każde odchylenie się na prawo, czy na lewo, każde zachwianie równowagi, ustalonej przez wiarę pogodną i prostą, było już udręczeniem i wywoływało odruch namiętny:

Lecz nie wiesz, mały, rój mędrców liczny
Poważnie burzy, w co wierzyć trzeba,
I pragnie z gruzów starego nieba
Zmurować wszechświat filozoficzny.

Jak dostrzegliśmy już, w religijno-metafizycznych sporach ówczesnych stronnictw, tkwił dość wyraźny podkład społeczny. Poza hierarchią kościelną, o którą niby wyłącznie chodziło, dla oka wal-

czących widne było ustosunkowanie pewnych żywiołów i sił życia gromadzkiego. I w tym względzie stanowisko poety było środkowe, jakkolwiek widocznie przechylał się ku lewej stronie. „Ciebie pokochałem w r. 1846 za twój pobieżny artykuł w „Roczniku Literackim", a potem, za szlachetne, energiczne i pełne taktu wystąpienie w „Gwiezdzie" — pisał Marcinkowskiemu. Nie mógł on żadną miarą uwierzyć w przyrodzone przewodnictwo uprzywilejowanych rodów, on, który się czuł synem jednej ze spodnich warstw narodu, co w nim właśnie jakby doszła do samopoczucia i do samowiedzy, do uznania samoistności swej. I nie mógł uwierzyć w podstawową harmonię stosunków ludzkich, on, który wszystkich ludzi chciał widzieć braćmi, a najwyższe świadectwo braterstwa tego widział w ofierze, na Kalwaryi spełnionej:

Szedłeś nawiedzić Twoją czeladkę,
Ziemską dziewicę wziąłeś za matkę,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Bóg ukochał nędzarzów ziemi.

. . . . . .
. . . . . .

Leczyłeś chorych w solimskim mieście,
Wskrzesiłeś syna smutnej niewieście,
Aby zaświadczyć przed potomnemi,
Że Bóg ukochał nędzarzów ziemi.
Lecz hardzi mędrcy w swej synagodze
Twojej nauki zlękli się srodze
I zawrzeszczeli: Zgroza! ohyda!
Sieje zgorszenie ów syn Dawida.
On chce porównać gmin i bogaczy,
Porównać mędrców i lud prostaczy.
Biada nam możnym! . . . . [1])

Nie mniej silne są odpowiedne ustępy w „Dęborogu", w których znowu prześwieca ta myśl, iż jeśli człowiek „spojon żywo z niebem i ziemią w jedno ogniwo", to właśnie dla tego, iżby tu, na ziemi, człowiek dla człowieka był bratem. Ks. definitor tłómaczy, jak to:

---

[1]) „Do Boga", w r. 1848.

Bóg się do ludzkiej postaci zniża,
By nas uzacnił, podniósł ku sobie,
A u nas szlachcic — jasne wielmoże,
Rad, że mu herby dała ojczyzna...
Bóg został człekiem, a on nie może,
Kmiotków za bliźnich swoich nie przyzna;
Wstyd mu z wieśniaki bawić pospołu,
Hańba z rolnikiem siadać do stołu.
Gdy hardy panek w zbytkach swawoli,
Za jeden puhar starego wina
Głodna i chłodna chłopska rodzina
Na rokby miała chleba i soli,
Za jedno słówko w najmniejszej rzeczy
Pany się waśnią, idą na noże;
Wieśniak pod chłostą jęknąć nie może,
Bo nie dla niego honor człowieczy!

Taki był u c z u c i o w y stosunek Syrokomli do pewnych objawów życia współczesnego. Jakie stąd wyciągał konsekwencye i jak daleko one sięgały? Jak się w jego rozumieniu układał całokształt wysiłków świadomych, skierowanych do usunięcia tego, co odczuwał, jako krzywdę? Możemy uważać za pewne, że samotnicza myśl poety nie wiele znalazła punktów wytycznych, którychby stale trzymać się mogła. Pierwotnie wpada on na dość niewinne rojenia o arkadyjskim stanie, w którymby wszelkie przeciwieństwa towarzyskie usunąć się dały. Gdyby był mocarzem, wydawałby siedem razy na tydzień „tańcującą herbatę dla całej ludzkości“.

Patrzę, jak siedzą przy mej herbacie
I pan, i rolnik za panie bracie.
Patrzę, jak bratnim zwarci przymierzem,
Chiński mandaryn z Żydem kuśnierzem.
. . . . . .
Przemienił tony smyczek artysty
I zagrzmiał mazur . . . .

Patrzajcie, jaka para dobrana!
Młoda żniwiarka i syn sułtana...

Raźny parobczak odrzuca szyję,
I obok księżnej hołubca bije...
. . . . . .

Pisało się to w r. 1846. I wszystko dobrze, i wszyscy są na swoich miejscach, tylko gdy przyjdzie wieczór, pląsają w parze „młoda żniwiarka i syn sułtana". A w kilka lat potem, już w Wilnie, parafrazując wciąż jeszcze mitycznego Bakę, głosi:

Choćby Zoil wlazł na wieżę,
Ducha wieku nie on strzeże:
Nie krytyka
Świat pomyka,
Lecz wielkiego dłoń Sternika
. . . . . .
A majtków tłuszcza
W żadnej godzinie,
Nie wie, gdzie płynie.
Człek, Zoilu, Boże chłopię,
Jutra pługiem nie wykopie:
Świata budowy
Nie z naszej głowy
. . . . . .
My w dziele Bożem
Mało pomożem...

Nie mówmy o świata budowie. Przed Syrokomlą, jak przed każdym umysłem w tej dobie, stawało realne zagadnienie: sprawa włościańska. Rozstrzygał ją po swojemu: uczuciem. Ks. definitor nakaże synowi Dęboroga pracować pospołu z czeladzią, by się przekonał w ten sposób, że „równi sobie wszyscy ludzie, czy kto ma herb, czy niema — braciaśmy poprostu".

A szlachcic, co *ma dzierżeć lud Boży pod władzą*,
Gdy sam pozna w rolnictwie i róże, i osty,
Nie będzie się tak lekko porywał do chłosty;
A gdy razem z czeladzią swą sochę zaprzęże,
Równiejsze będą skiby... 33

Ze słów takich wnosićby należało, że stosunki wzajemne złożyłyby się nie najgorzej, gdyby pan pamiętał, iż ma pod władzą swą ludzi, nie bydlęta, gdyby lekko do chłosty się nie porywał, i gdyby miał pieczę o potrzebach materyalnych i duchowych czeladzi swojej. Podobnież w „Lalce“ dziewczynka obiecuje sobie:

Już ja kiedy wyrosnę i mieć będę zboże,
Póki się cała wioska chlebem nie nasyci,
Nigdy się spać nie położę.

Spotykamy też znany już nam argument: „w obrazku Pan Jezus się dowie, co dla zgłodniałej rzeszy chleb i rybę łamie“. Podobnie w epilogu „Dęboroga“ autor z goryczą dodaje, że oto od czasu opowiedzianych przez Jana Dęboroga zdarzeń, już się wszystko na Litwie zmieniło:

Szlachta na całej Litwie jest bracią swej włości,
Ochrania ją od głodu, od zimna srogości.

Wśród nauk ks. definitora jest jeszcze jedna, której pominąć niepodobna:

. . na zgubę rolnictwa — szlachta od waszeci
Kładzie pieczęć niewoli na czoła swych kmieci,
. . . . póty u nas będzie nędza i golizna,
Póki bliźni bliźniego za brata nie przyzna.

Jestto widocznie oddźwięk tych mniemań, iż wolność chłopów jest nietylko wymaganiem sprawiedliwości i wyrazem konieczności dziejowej, lecz i warunkiem ekonomicznego postępu. Urywek powyższy był w druku opuszczony, może z uwagi na to, że zbyt jaskrawe zdania w sprawie włościańskiej nie nadawały się podówczas do ujawnienia publicznego.

Teoretycznie tedy przekonania poety w omawianym przedmiocie nie ustaliły się jeszcze we wcześniejszym okresie twórczości. I o wiele później, pisząc „Wiejskich polityków“ (w r. 1858), po „wy-

studyowaniu", jak się wyraził w liście do Chęcińskiego, będących na dobie zagadnień, przestrzega przed zbyt pochopnym rozcinaniem węzła. W perspektywie widział zawsze swobodę ludu, ale przygotować ją trzeba było stopniowo. Widocznie uległ poeta oddziaływaniom swego otoczenia. W ostatniej jednak chwili uczucie przeważyło, i wtedy z piersi swej wyrzucił te ogniste, nigdy nie zapomniane słowa, które jak policzek cisnął „ojcom" swego kraju:

O, wstyd mi Wilna, nie chcę być Litwinem!
I hańba mojej herbowej pieczęci!

Bo uczucie u Syrokomli było najwyższym trybunałem. Przecięcie węzła gordyjskiego w kierunku zupełnego usamowolnienia włościan dogadzało wszystkim najwewnętrzniejszym potrzebom jego serca, a że potrzeby te nie były jeno frazesem, dowodzi fantastyczny, ze względu na zupełny brak gotówki, zamiar nabycia zaścianka Pawłokowszczyzny (bez poddanych). Miał z włóki gruntu uczynić fermę angielską. Uśmiechamy się na to, właśnie też poeta miał po temu kwalifikacye! Ale jednym z argumentów jego było: „gospodarzyłbym bez ucisku ludu Bożego". Słowa te pochodzą z r. 1850, kiedy się może wykończał „Dęboróg". Tak poezya i życie dla Syrokomli były jednością. Rozstrzygając wszelako uczuciem w demokratycznym duchu ważne zagadnienia bytu towarzyskiego, w myśli swojej nie wytworzył jednak idealnego układu pożądanych a głęboko sięgających przeobrażeń społecznych; wobec systematów skończonych, które się naraz przed nim ukazywały, zatrzymywał się często w niepewności. Wówczas to zapytywał: „Co jest biało? co czarno? co prosto? co krzywo?".

Gdy ludzkość bolejąca zgodzić się nie może,
Co jest fałsz? a co prawda? co szpetne, co piękne?
Człek załamuje ręce: o Boże mój, Boże!
Co mi trzeba podeptać, a przed czem uklęknę?
Bogdaj to szkolna wiara i nadzieja szkolna...

Od jakich to „krzyków postępowych" bolała go głowa? Mogły to być najśmielsze rojenia o całkowitej przebudowie tych gmachów, w których ludzkość zamieszkała, bo nie zapominajmy, że nie nazbyt oddaliliśmy się od przełomowego 1848 roku. Albo zwróćmy uwagę

na bliższe zjawiska. W r. 1846 ukazał się „Jordan“ Antoniego Sowy i głośnem odbił się echem w kole odpowiednio usposobionych głów. Punkt wyjścia Sowy był ten sam, co wielu innych umysłów tej doby. Przyszła epoka miała być wcieleniem dążności chrześcijańskiej w społeczne kształty. Oryginalność jednak poglądów Żeligowskiego polegała na szczególnem nagięciu romantycznej idealizacyi ludu do zasad demokratycznych. Według Chmielowskiego, był to pierwotny zarys chłopomanii:

Kto myśl ludu wypiastuje,
Pośród domu, sioła, miasta.
Na wzór króla-chłopa Piasta,
Kto się duchem z ludem stopi,
Przejrzy dziejów w nim koleje,
Po królewsku kto się zchłopi,
I po chłopsku skrólewszczeje;
Zedrze z życia kir grobowy
I rozpocznie żywot nowy,
Życie swoje walką zrobi,
Swoich, bratnich ułomności,
Ten się tylko usposobi
Do kościoła wejść przyszłości.

Syrokomla znajdował się w osobistych stosunkach z autorem „Jordanu“. A gdy ten rozpoczął swą wędrówkę na północ, zatroszczył się nasz poeta o drukowanie ustępów z poematu Sowy: „On, ona, oni“, jakkolwiek tendencya utworu, przeciw instytucyi bezżeństwa duchownych skierowana, nie mogła mu być sympatyczną. „Jordan“ poznał Syrokomla niewątpliwie natychmiast po ukazaniu się tego poematu, a wiersz: „O sercu, skąd biją arterye żywota“ (t. j. o gorzelniach) był zapewne oddźwiękiem wyrzutu, uczynionego przez Żeligowskiego szlachcie, że lud rozpaja: „Bogom ambrozyę gotują w browarach, a smołę dyabłom pędzą z swego lasu“ [1]). Jest rzeczą wielce prawdopodobną, że to właśnie „Jordan“ stał się dla Kondratowicza środkiem krystalących się z rozczynu, własnych poety przekonań i sympatyj. Tylko znowuż idea odrodzenia całości drogą roz-

[1]) Data „Jordanu“ — rok 1846, jest również datą wiersza Syrokomli.

woju pierwiastków, drzemiących w duchu ludu („kto myśl ludu wypiastuje... kto się duchem z ludem stopi..."), nie weszła nigdy w przekonanie Syrokomli; była dlań i zbyt nieokreśloną, i zbyt skrajną. On te rzeczy brał po prostu. Jego Korsak zrzuca z siebie skórę szlachecką, a pracą i sercem dorabia się tego, iż chłop za syna go swego uznaje — ale to była pokuta za podeptanie nakazów sprawiedliwości, to było stwierdzenie naczelnej zasady — braterstwo ludzi. O jakimś historyozoficznym symbolu niema mowy. Nie w innej też myśli każe ksiądz definitor synowi urodzonego Dęboroga zabawiać się sierpem i kosą, lub „w zakrystyi wyręczać kulawego dziada". Od zasady braterstwa i wspólnej pracy, od uszanowania godności człowieka w bliźnim, jest pewna odległość do wymaganego przez Jordana „królewskiego" chłopienia się i wznoszenia w ten sposób Kościoła przyszłości. Wiarą poety było—jeżeli można mówić wogóle o jakimś wyrozumowanym systemacie — wiarą jego było raczej podniesienie ludu przez oświatę i wolność na wyższy stopień uspołecznienia.

Oceniając stanowisko poety względem prądu postępowego, uznać musimy, że w dążeniach swych demokratycznych osamotnionym nie był. Przebiegające atmosferę ówczesną powiewy, docierały do samotni jego, pozostawiając ślady na wrażliwem sercu poety, i nadając pewien kierunek jego myślom. Wpływy owe nie były systematyczne i krzyżowały się z oddziaływaniami, które od najwcześniejszych chwil świadomego życia układały się w system niespójnych wyobrażeń, upodobań, nałogów pojęciowych i uczuciowych. To też żadna teorya nie zyskała w Syrokomli szermierza tej, lub owej bezwzględnej prawdy, lecz raczej służyła za podnietę, wyzwalającą drzemiące w jego duszy odruchy na niedolę i krzywdę ludzką, a jak to staraliśmy się uprawdopodobnić, już pierwsze dziecinne wrażenia zarodków tych nietylko nie tłumiły, owszem, utworzyły żywiące i wzmacniające je podłoże. I to właśnie samoistne poczucie sprawiedliwości, ta samoistna miłość dla ludzi, znalazły swój wyraz w poezyi Syrokomli; one właśnie łagodnym opromieniały światłem i powszednie sceny z życia ciżby szaraczkowej i siermiężnej, i wyjątkowe jakie zdarzenia, lub wzruszenia duszy. Widok krzywdy wywołał natychmiastowy namiętny wybuch, lecz ten niebawem roztapiał się w żalu. Zasadniczym motywem jest nietyle społeczna niesprawiedliwość, ile to iście chrześcijańskie upominanie się o podeptaną godność ludzką czy w chłopie, czy w zagonowcu: było to raczej odwoływanie się do prywatnych niejako uczuć tych, co mogli „dzierżeć lud boży pod władzą", a obowiązanych do wyrozumiałości i opieki, niżeli uobywatelnienie w poezyi pewnej siły społecznej:

Ja kochanek spokoju, trwożę się i bledną,
Kiedy burza zawyje, kiedy grzmot zatrzaska,
Rozedrą się w źrenicach moje oczy biedne,
Gdy w chmurze błyskawiczna zamży się przepaska!
Mnież się modlić o grzmoty? . . . . . .

Tak skarżył się skowronek 1 kwietnia 1854 r. w Załuczu. Prawda, iż zakończył rezygnacyą:

O, jeżeli wam zimę zakończyć sądzono,
Pośpieszcie czarne chmury i ogniste burze!

„Słów jego świętych" — wracamy znów do księdza definitora — nie zaćmi

Żadna nienawiść lub dzikość sroga;
W oczach — *do braci prośba za braćmi*,
Albo za ludźmi prośba do Boga.
Ani przeklina, ani się dąsa,
Lecz z płaczem przyszłość stawi przed oczy.

A ze zwykłym sobie optymizmem, poeta dodaje:

Szlachta coś mruczy, najeża wąsa,
Lecz do spowiedzi hurmem się tłoczy.

Nadmieniliśmy już, że ze względu na stosunek swój do „braci w kapocie", poezya Syrokomli jest niby samowiedzą owej warstwy, jest głośnem upomnieniem się zagonowca o swe prawa jednostki ludzkiej. Lecz gdy mamy na uwadze lud siermiężny — powtórzymy to raz jeszcze — poezya Syrokomli nie jest uobywatelnieniem pewnej siły społecznej, ujawnieniem się jej dążeń, potrzeb, wymagań. To po prostu wstawiennictwo za maluczkimi do możnych. Stąd pewien patryarchalny koloryt tej poezyi. Każdem niemal dziełem chciałby poeta przekonać słuchaczy, że chłop zdolny jest do ludzkich uczuć, że tak samo, jak szlachcic, kocha, nienawidzi, tęskni, doznaje radości

lub bolu, a nadewszystko, iż zdolny jest do uczuć nieosobistych, a wdzięcznością płaci za dobroć, za uznanie w nim człowieka. Chodyka całe życie pokutuje za chwilę wściekłości i uniesienia. Nie jest zbójem. Ułas poświęca się w obcej sobie sprawie. Wiejska gromada składa pieniądze, by ocalić majątek od licytacyi i zachować sobie nadal swego pana („Politycy wiejscy"). Janko Cmentarnik trzydzieści lat pielęgnuje swego pana-przyjaciela, a w rodzinnej wiosce tylko z rówieśnikami na mogiłach rozmawia, bo któż inny jego tęsknotę zrozumie? Kto żyć może myślą w tej krainie, którą pan jego i dowódca przed nim otworzył, i w której wspólnie przez długie lata przebywali?

Czy roztapiając się wraz z Jankiem Cmentarnikiem w tęsknocie, lub śledząc koleje Ułasa, miał poeta wyraźny zamiar nauczania swych słuchaczy? Chyba, że nie. Wyobraźnia jego tylko znajdowała dla siebie, jakby zadośćuczynienie, obracając się w kole podobnych przedmiotów, serce zaś w sposób zupełnie naturalny widziało w człowieku człowieka.

Widziałem prace ludu, pasterskie i rolne,
Dzieliłem jego trudy i prace mozolne,
Zabiegłem w jego serce *przeznać duch człowieczy*...

mówi o sobie pod maską autora „Flisa" („Zgon Acerna"). Żywe, od wszelkich teoryi niezależne, wszechobecne uczucie braterstwa, jest najistotniejszą, zasadniczą treścią natchnień Syrokomli, jest ich wiecznie bijącem, ożywczem źródłem. I to było indywidualną, we własnym duchu wypracowaną zdobyczą i własnością poety, i jest wyżynowym punktem, do którego wzniosła się jego poezya. To wreszcie określa stanowisko historyczne pieśni Kondratowicza w rozwoju poezyi polskiej i w dziejach umysłowości społeczeństwa naszego.

Przedmiotowo znajomość życia duchowego gromady wioskowej, nie stała na równi z sympatyami, któremi pieśń poety oddychała. Można to uznać bez ogródki, że Syrokomla bliższy był duchowo zagonowcowi, niż chłopu. Z tamtym umie pogwarzyć jego językiem, umie odczuć butne poczucie niezależności („Trędzlowe"), umie nawet podzielić z nim jego przesądy, jego wstręt do wszelkich „niemieckich" wymysłów i obawę zdrady względem ziemi karmicielki (Gawędy o „Garści pszennej", o „Zabłockim i mydle"). Życie chłopskie jest natomiast u niego zawsze zabarwione pewną fałszywą, sentymentalną idealizacyą. Sposób myślenia i czucia, tryb wyrażania się

razi dzisiejsze ucho swą sztucznością, nieświadomem może usiłowaniem upiększenia, złagodzenia szorstkich, a niesympatycznych zwykle form dlatego, że nie potrafimy myślą i uczuciem przenieść się na stanowisko, odmienne naszemu. Dość wspomnieć tu „Wielki Czwartek“ (z r. 1856), w którym występują nie rzeczywiści wieśniacy i nie realni nawet ludzie, lecz jakieś mary bezcielesne, w romantyczno-sielankowym obracające się świecie i romantyczno-sielankowym ulegające prawom. Młody grajek, zastawszy swą dziewczynę w wesołem gronie, zauważył, iż mu wiary nie dochowała, więc ucieka gdzieś za lasy i bory, i tam w szaleństwie życia dokonywa. Lekkomyślna dziewczyna tak się spowiada ze swych grzechów przed drugim zabójcą Szymona, przed tym, który zrozpaczonemu kieliszek podsunął:

Młody parobczak, syn strzelca z pod gaju,
Chłopiec wesoły, piśmienny, bogaty,
Często a gęsto miewał we zwyczaju
Do mego dziadka zachodzić do chaty.

. . . . . .

O niczem mówić nie lubił poważnie,
Ale z nim śmiać się tak było wesoło...

Dość usłyszeć tę skargę wiejskiej dziewczyny: „o niczem mówić nie lubił poważnie“, by już z nieufnością wysłuchiwać dalszych jej zwierzeń. Syrokomla nie kochał Szymona takim, jakim był, lecz jakim go sobie wymarzył, do sztucznej podnosząc go wysokości. Znamienny jest pod tym względem wcześniejszy wiersz: „Pogrzeb rolnika“ [1]).

Jak szczerze jest zdumiony i zmartwiony poeta, że w uczuciach cisnącej się za trumną gromady, zbyt mało jest bezinteresownej żałości:

A jednak ja przechodzień, co patrzę zdaleka,
Czuję, jak się krew moja pod sercem zapieka,
Jak mię pot zimny opływa:
To nie po tobie płaczą — o! im tylko szkoda,
Że zakrzepła na zawsze twoja ręka młoda
Do sianokosu i żniwa.

---

[1]) Z roku 1851.

Jakże inaczej wyglądać będzie pogrzeb u Konopnickiej („W dolinie Skawy“)! Jak odmiennie przedstawia się ten sam temat u jednego ze współczesnych poetów:

Była ona młodziuteńka, Była ona śliczniuteńka
I rzuciła nas,
Była ona robotnica, Była ona pomocnica,
Odeszła nie w czas.

*

* *

Była ona czyste złoto, Pomagała nam z ochotą,
Teraz oto idą żniwa, Wstańże matko nieszczęśliwa,
Wydobądź twój sierp,
Stare kości chyl, nieboże, Młoda córka nie pomoże,
Bóg tak chciał: więc cierp.

*

* *

W naszym sadzie był kwiatek,
A nie rozkwitł — oj!
Zazdrościła każda z matek
Krążył chłopców rój —
A my płótno przędli, tkali, Na wyprawę gotowali
I czekali, aż do chaty, Jasny miesiąc przyjdzie w swaty
Jasny miesiąc sam . . . [1])

Sztuczny koloryt obrazów wiejskich Syrokomli, był zauważony i przez współczesnych. Karcono go ostro za „fałszowanie barwy“, w tej rzekomo myśli uskuteczniane, że „grzechu siedlisko jest li tylko w żywocie innych stanów“ [2]). Podkreślano skwapliwie uwagi w rodzaju marzeń chłopskich

O lepszym świecie, gdzie kmiotkowie sami,
Gdzie ani *dworu*, ni gospody niema.

---

[1]) W. Raczyński.
[2]) Siemieński: „Kilka rysów...“.

Jego „do braci prośbę za braćmi“ wytykano, jako „pochlebianie“ ludowi, jako „stwarzanie“ demokratycznej literatury, „aby nią smagać klasy historyczne“, pomawiano poetę o dyletantyzm, o obserwowanie świata wioskowego z okien pańskiego dworu. To tylko uszło jakoś uwagi, iż poeta, jakkolwiek osobiście stykał się z owym światem, i właśnie na gruncie, na którym sprzeczność interesów mogła prowadzić łatwo do nieporozumień, umiał jednak zachować swój sielankowy sposób patrzenia, i marzeniem jego na zawsze zostać miało:

Niechby serdeczna ciżba wieśniacza
Była mi rada, gdy ją odwiedzę...

I uszło też uwagi to jasnowidzenie serca, że

Trzeba zasłużyć, nim ufność się zyska,
Współczucie bywa współczucia zapłatą...

Więc

. . . . . chłopska gromada
Sercem ze szlachtą dzieli się nierada,
Wie, żeśmy o nich nie wiele ciekawi.

Z sympatyi dla chłopskiej gromady, wskutek ulegania ogólnemu prądowi romantycznemu, z upodobania wreszcie do wszystkiego, co swojskie, pochodzi jeszcze jeden pierwiastek w twórczości Syrokomli — pieśń ludowa (litewska i białoruska). Wpływ motywów ludowych nie sięga zresztą głębiej, ogranicza się do parafrazy kilkunastu piosnek, parafrazy niekiedy bardzo blizkiej, jak to wykazał p. Zdziarski w badaniach o „Pierwiastku ludowym“. Dla przykładu wspomnimy o najbardziej może znanym „Kruku“. Nie zawsze oko poety rozróżnić umiało, co jest bezpośrednim wylewem duszy chłopskiej, a co tylko przystosowaniem się do gustu pańskiego:

Bór nasz wysoki nad wszystkie bory,
Dwór nasz bogaty nad wszystkie dwory
Na naszym panu strój złotolity,
Na pani perły i aksamity...

---

[1]) Pieśń żniwiarska.

Znamienną to jest rzeczą, że gdy lirnik nasz nastrajał swą lirę na nutę piosnki, zasłyszanej z ust ciżby wiejskiej, i wtedy mu świeci „w oczach do braci prośba za braćmi“. W imionniku St. Moniuszki zapisuje w d. 18 grudnia 1849 r. te słowa:

Cześć tobie, pieśniarzu! harmonie śpiewacze
Rozniosą braterstwo — jak cudem.
O, kto raz przy piosnce ludowej zapłacze,
Przestanie się pastwić nad ludem!
Litwini ulegną pieśniowej potędze,
Zbliżą się z rodzinną szczerotą,
I Litwin we złocie, i Litwin w siermiędze,
W braterskich uściskach się splotą!

Błogosławieni, którzy wierzą!

A. Drogoszewski.

PRZEMYSŁ DOMOWY U WŁOŚCIAN.

W 1900-ym roku redakcya ludowej „Gazety świątecznej“ urządziła pomiędzy czytelnikami swymi wywiad, dotyczący wyżywienia włościan, aby się przekonać, w jakim stopniu jest ono wystarczającem. Z pośród zagród włościańskich wtedy zbadanych, zwróciła na siebie jego uwagę osada we wsi Parzno, gminy Kluki, powiatu Piotrkowskiego, składająca się z 13-tu morgów gruntu ornego i 3-ch morgów łąki, z prawem pasania bydła i zbierania opału na 1,800 morgach dworskich gruntów i lasów. Utrzymuje się na niej rodzina, złożona z 9½ osób (licząc dziecko za ½ osoby). Dorośli chodzą na robotę do dworu, i tłuką szaber na szosie. Całe bez wyjątku mleko od pięciu krów dojnych w tej osadzie, przerabia się na masło, które sprzedaje się do miasta. Niezmiernie niskie normy dziennego pożywienia mieszkańca tej osady są następujące:

zboża w ziarnie gramów	91
kartofli „ „	1,965
grochu „ „	4
mleka (samej maślanki)	85

Pożywienie to, po rozłożeniu na części składowe, wykazuje:

białka 50, tłuszczu 6, węglowodanów 472 gramów, gdy tymczasem do tego, aby pożywienie było dostatecznem potrzeba:

białka 100, tłuszczu 50, węglowodanów 400 gramów. Okazuje się zatem, że ludzie ci żyją głównie, jeżeli nie wyłącznie, kartoflami.

Włościan takich jest w kraju mnóstwo, niezawodnie większość. Brak najpotrzebniejszych części w ich pożywieniu szkodliwie wpływa na budowę ich i siły, wskutek czego procent niezdolnych do wojska jest w Królestwie Polskiem niezwykle wielki. Będąc przez liche pożywienie zwątleni, podejmują się oni bardzo niechętnie robót

akordowych, w których korzyść osiąga się jedynie dzięki natężeniu w robocie. W ogólności w polu pracują oni nietęgo, gdy tymczasem ciż sami ludzie, w Ameryce Północnej, przy dobrem pożywieniu, uważani są za najlepszych robotników.

Tenże sam wywiad wykazał u jednego z włościan wsi Żarnowica, gminy Bogusławice, tegoż samego powiatu Piotrkowskiego, przy 10-ciu członkach rodziny, 20 morgach gruntu ornego i 3-ch morgach łąki, bez służebności, przewyborne pożywienie, składające się:

Z białka 159, tłuszczu 54, węglowodanów 845 gramów, przy jedynem zajęciu rolnictwem. Nawet przy mniejszej przestrzeni gruntu, osada we wsi Lesiniec, gminy Grabica, również powiatu Piotrkowskiego, mająca 15 morgów gruntu bez łąki, lecz z jedną morgą lasu, otrzymaną w zamian za służebność, posiadająca 2 krowy, dostarcza rodzinie włościańskiej, złożonej z 9-iu osób, pożywienie zupełnie wystarczające, a mianowicie: białka 128, tłuszczu 47, węglowodanów 752 gramów, na co wychodzi dziennie 441 gram. ziarna, 13 grochu, 57 mięsa, 847 mleka i kartofli 1915 gramów. Lecz właściciel tej osady, oprócz gospodarstwa rolnego, zajmuje się jeszcze stolarstwem i mularstwem. Zestawienie trzech tych gospodarstw, przytoczonych w pracy Konrada Prószyńskiego: „Jak się żywimy“ (Warszawa, 1901 roku) bardzo jest nauczającem. Wnioski, nieściągające się wprost do przemysłu domowego, zamieszczamy w odsyłaczu.[1])

Co się zaś tyczy przedmiotu, jakim się tu zajmujemy, zwrócić musimy uwagę na to, że właściciel osady w Lesińcu, zarabia oprócz gospodarstwa jeszcze stolarstwem i mularstwem, gdy tymczasem klucki włościanin siedzi przez zimę z całą rodziną z założonemi rę-

[1]) Obie osady których mieszkańcy żywią się dostatnio: Żarnowicka i Lesiniecka wolne są od szachownicy i niekorzystają ze służebności, gdy tymczasem wieś Parzno ma grunt bardzo porozrzucany, z gospodarstwem zaś swojem przystosowuje się do użytkowania ze służebności, skutkiem czego w lecie krowy pozostawiają nawóz na cudzem pastwisku, w zimie zaś dla wyprodukowania nawozu nie mają wystarczającej paszy. W rozpatrywanej przez nas kluckiej osadzie na pożywienie włościanina idzie z nabiału tylko maślanka, dlatego, że od 5-ciu krów otrzymuje się w lecie najwyżej 5, w zimie 2½ litry mleka na dobę, i tę jeszcze niesłychanie skąpą ilość, włościanin musi dla chleba powszedniego sprzedawać przerobioną na masło do miasta. Całe urządzenie tej osady nie może iść w porównanie z osadą Lesiniecką, mającą grunta zwarte i nieposiadającą służebności, która chociaż łąk niema wcale, jednakże otrzymuje od swoich 2-ch krów po 10 litrów mleka dziennie.

kami. Takich włościan, pozbawionych przedsiębierczości, znajduje się w kraju bardzo wielu. Z ułożonego przez zarządzającego Izbą Skarbową kielecką p. Szpilewa, bardzo zajmującego zestawienia statystycznego, dotyczącego warunków ekonomicznych włościan gmin: Zajączków, pow. Kieleckiego i Pinczów, pow. Pinczowskiego, okazuje się, że z 21 wsi gminy Zajączków, obejmujących 4709 morgów ogólnej przestrzeni, w jednej tylko wsi Gnieździsku, obejmującej 1,700 morgów włościanie zajmują się wyrabianiem gontów, wozów i kół. Włościanie 13-tu wsi gminy Pinczów, domowym przemysłem nie zajmują się wcale. Takie wsie napotyka się na każdym kroku.

Ogromne znaczenie, jakie przypisujemy dodatkowemu zajęciu u włościan, usprawiedliwia się okolicznością, że gospodarstwo włościańskie z naturalnego, zaopatrującego się własną pracą w narzędzia produkcyi, i dostarczającego właścicielowi wszystkich prawie przedmiotów jego potrzeby, przemieniło się stopniowo na kapitalistyczne, wymagające nakładów, oraz zaspokojenia wielu potrzeb z gotowego grosza. Dlatego też, z wyjątkiem włościan, znajdujących się w warunkach szczególnie dogodnych, (jak np. osada Żarnowicka, władająca 20 morgami bardzo dobrej ziemi, posiadająca 3 morgi łąki, wolna od szachownicy i bez służebności) inni dochodzą do dobrobytu, dopomagając sobie oprócz rolnictwa, pobocznemi zarobkami. Szczególniej nauczającem pod tym względem jest sporządzone przez p. Stanisława Chełchowskiego, obecnie prezesa Sekcyi Rolnej Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu sprawozdanie z gospodarstw wzorowych włościańskich. Jeden z najzamożniejszych i najlepszych w kraju gospodarzy-włościan, Szymon Zaręba ze wsi Zakrzewo, gminy Czarne, powiatu Lipnowskiego, syn rodziców niezamożnych, zaczął od wyrabiania prostych mebli, z biegiem czasu z zebranych oszczędności wziął grunt w dzierżawę, został potem właścicielem osady 6-cio morgowej, i nakoniec, po dokupieniu jeszcze dwóch osad, włada obecnie przestrzenią 22 morgów, zaopatrzoną obficie w inwentarze. Godnem jest uwagi, że 19-letni syn Zaręby zajmuje się tkactwem, wyuczywszy się tego rzemiosła w stanisławowskich warsztatach wzorowych, założonych przez powyżej powołaną Sekcyę, i wyrabia ręczniki, obrusy, serwety i płótno, ze swojej i cudzej przędzy. Trzy zaś córki Zaręby wyszły za mąż za włościan, którzy obok rolnictwa zajmują się rzemiosłami. Jeden z nich, chociaż jest także właścicielem 22-u morgów, zarabia jednak kołodziejstwem.

Włościanin Piotr Żak, we wsi Leszczyny, gminy Urzędów, powiatu Janowskiego, posiadając osadę, przestrzeni 21 morgów ciągnie dochód z introligatorstwa. Żona jego zarabia kra-

wiectwem. Rzemiosła przynoszą mu gotowizną 46 rubli rocznie i dają mu środki wystarczające na opędzenie kosztów najmu i służby.

Włościanin Ignacy Kobuz, we wsi Koziołki, powiatu Kozienickiego, w chwilach wolnych od rolnictwa zajmuje się stolarstwem i tokarstwem, chociaż jest ławnikiem sądowym.

U włościanina Feliksa Kazimierskiego we wsi Chuzny, gminy Dąbków, powiatu Łowickiego, żona i dzieci wyrabiają przeszło 200 łokci płótna i wełniaki na własną potrzebę. Synowie zajmują się ogrodnictwem i pszczelnictwem.

Syn włościanina Woźnickiego z Woli Grodziskiej, powiatu Błońskiego, właściciela osady 11 morgowej, dzierżawiącego prócz tego 20 morgów gruntu, skończywszy kurs szkółki wiejskiej, uczy się w Warszawie ślusarstwa, córka uczy się krawiectwa.

Powyżej wymienionych włościan nie wybieraliśmy z pośród innych, ale przytoczyliśmy po kolei wszystkich bez wyjątku nagrodzonych za wzorowe gospodarstwo i przekonaliśmy się, że ci ludzie, godni największego szacunku, nie poprzestają na samem tylko rolnictwie, lecz zarabiają oprócz tego rzemiosłem, co szczególniej ważnem jest w początku ich karyery. Toż samo zauważyć mogliśmy wyżej, przy cieszącej się dobrobytem osadzie w Lesińcu.

Gdybyśmy temu zjawisku przypisywać chcieli samo tylko znaczenie materyalne, stałoby się ono dla nas niezrozumiałem, z powodu, że sumka kilkudziesięciu rubli rocznie, wobec ogromnego rozrodzenia każdej prawie rodziny włościańskiej, chociaż ma pewną doniosłość, nie może mieć jednak rozstrzygającego znaczenia. Powyżej wzmiankowane rozrodzenie jest rzeczywiście zastanawiającem. Licząc dziecko za $^1/_2$ człowieka okazało się:

Na osadzie w Żarnowicy	$10^1/_2$ osób
„ „ „ Lesińcu	9 „
„ „ „ Klukach	$9^1/_2$ „
„ „ u Szym. Zaręby i 1 służąca	5 „
„ „ u Piotra Żaka i 2 służących	5 „
„ „ u Ignacego Kobuza i 1 służący	7 „

Na osadzie u Feliksa Kazimierskiego 6 osób
i 2-ch służących
„ „ „ Mateusza Woźnickiego 6 „

Ażeby wyżywić z małego szmatka ziemi tak dużą rodzinę z domownikami, i jeszcze z oszczędności przysparzać sobie gruntu, do tego potrzeba energii nadzwyczajnej. I jeżeli, zgłębiając rzecz uważnie, musimy uznać istnienie związku pomiędzy zarobkiem pobocznym, a dobrobytem włościanina, to mniejszą tylko część tego działania wypadnie przypisać zarobkom pieniężnym.

Wpływ nauki rzemiosła na rozwinięcie umysłowe włościanina, znaczenie ma już większe, ale w najgłówniejszej i najistotniejszej treści, powodzenie zawdzięcza się przyzwyczajeniu do ciągłej pracy, do umiejętności korzystania z jej owoców i wywiązującej się z tych czynników energii, sumie zalet, objętych poczuciem zamiłowania do pracy, które zatraca się zwykle u włościan, oddających się podczas zimy bezczynności, gdyż próżniactwo obezwładnia człowieka, a wdraża go do przywar i złych nałogów. Zdaniem socyologów, jednej z najgłówniejszych przyczyn rozstroju ekonomicznego Hiszpanii szukać należy w okoliczności, że w czasie nieznośnych upałów letnich wszystkie klasy ludności oddają się tam z konieczności przymusowemu lenistwu. Przeciwnie zaś, według świadectw wiarogodnych, w tych miejscowościach Galicyi, gdzie zakwitł przemysł domowy, bardzo widocznie poprawiła się moralność.

Jeżeli wyprowadzimy linię prostą od południowo-wschodniego krańca gub. Lubelskiej do południowego załamka Permskiej, to na całej ogromnej przestrzeni na północ od tej linii, ujrzymy w zimie nieprzeliczone mrowie ludu, oddającego się przemysłowi domowemu. Toż samo napotkamy w Czechach, Szlązku i wogóle w Austryi i w mocniejszym stopniu w Skandynawii. Objaw ten tłómaczy się nietylko ostrym klimatem tych krain, przy którym nie może włościanin wyżywić się z małego szmatka ziemi, lecz tem głównie, że dla pilnego, niebogatego i oszczędnego człowieka, marnowanie czasu przez długie wieczory zimowe, jest wprost nie do zniesienia. Według świadectwa historyków, lud wiejski w Królestwie Polskiem oddawał się dawnemi czasy z wielkiem powodzeniem przemysłowi domowemu. Lecz

w ciągu ostatnich dwóch stuleci umiejętność jego i przyzwyczajenie do tej pracy, w znacznej części zanikły. Pomimo tego jednak i dzisiaj jeszcze zjawiają się miejscami ślady dawnych zajęć, te więc wymagają niezbędnie wzmocnienia i podtrzymania, gdyż ogromna większość ludności włościańskiej krajowej znajduje się z powodu niedostatku, w położeniu źle żywiących się włościan kluckich.

Uczone badania doktora Kaczkowskiego dowiodły, że na osadzie, nie dosięgającej 10-ciu morgów średniego gruntu, włościanin bez pobocznego zarobku, rzadko kiedy może najadać się dosyta. Według naszego przekonania dopiero od 15-tu morgów przestrzeni rozpoczyna się prawdopodobieństwo zamożności włościanina. Tymczasem według wiadomości zamieszczonych w XIII Zeszycie Prac Warszawskiego Komitetu Statystycznego, z ogólnej liczby 717,257 osad włościańskich i 74,609 małomiasteczkowych—426,671 włościańskich i 64,294 małomiasteczkowych, nie dosięgają przestrzenią 15-tu morgów. Zatem 62% osad, przedstawiających najmniej 3 miliony ludności, potrzebują koniecznie pobocznego dochodu, którego ani fabryki, ani większe gospodarstwa w ilości dostatecznej dostarczyć nie mogą. Włościanie z własnego natchnienia okazują gorącą chęć przyswojenia sobie techniki przemysłu domowego. Tak np. włościanie powiatu Łowickiego i Nieszawskiego, dowiedziawszy się, że przemysłem tym opiekuje się Sekcya Rolna Warszawskiego Oddziału Towarzystwa Popierania Przemysłu i Handlu, zwrócili się do niej z prośbą o delegowanie do nich na ich koszt instruktora tkactwa. Należy spodziewać się, że tak, lub owak, wcześniej lub później, główna masa tutejszego włościaństwa weźmie się do przemysłu domowego, gdyż ogromne mnóstwo tych, którzy nie mogą lub nie chcą szukać zarobku w Niemczech, koniecznie potrzebuje dodatkowego dochodu. W tej sprawie trzeba im dopomódz, trzeba ich przygotować technicznie, trzeba im dać kierunek, trzeba zasłonić ich od wyzysku pośredników i faktorów i zapewnić gospodarczą niezależność.

Biorąc się do tej sprawy, należy poznać właściwości, jakiemi odznacza się tegoczesny przemysł domowy, zbadać niebezpieczne jego strony, określić wymagania i warunki powodzenia.

Przemysł domowy jest wytwórczością rzemieślniczą, w kółku domowem, w mieszkaniu własnem, albo w przyległem doń pomieszczeniu. Tem jednak różni się od rzemiosła, że nie liczy wcale na spożywcę miejscowego, ale wyrabia towar hurtem na zamówienie fabryk, domów handlowych, lub pośredników prywatnych, lub też bez zamówienia, licząc na wyprzedaż na jarmarkach, albo przez roznosicieli. Przez wytwórczość hurtową, przemysł domowy zbliża się do produkcyi fabrycznej, od której różni się szczupłością kapitału, oraz brakiem maszyn i warsztatów, dzięki którym fabryki wyrabiać mogą towar taniej, lepiej i jednostajniej. Podobieństwo domowego przemysłu do fabryki znajduje się w niemożności liczenia się z gustem i wymaganiami pojedyńczego nabywcy i wypływającej stąd konieczności stosowania się do przeciętnych wymagań ogółu. Z tych zasadniczych cech przemysłu domowego wynika, że powstawaniu jego szczególniej sprzyjały czasy, kiedy przemysł fabryczny znajdował się dopiero w zawiązku. Wtedy to przemysł drobny zakorzenił się w Niemczech, a zapewne i w Rosyi. Lecz w Niemczech z biegiem czasu razem z olbrzymim wzrostem przemysłu fabrycznego, przemysł drobny współzawodnicząc z nim, znalazł się, pomimo największych wysiłków, w położeniu przeważnie bardzo smutnem, a przedewszystkiem stracił wszelki związek i łączność z rolnictwem. Oddający się przemysłowi domowemu w Niemczech, pracując zwykle w całym składzie rodziny po 16 godzin dziennie, ledwie zarobić sobie mogą na lichą strawę kartoflaną.

Jednakże opłakanego położenia większości drobnych przemysłowców w Niemczech, nie można przypisywać samemu tylko istnieniu fabryk. Przeciwnie, jak okazują dokładne badania, były inne czynniki, które nietylko doprowadziły ich do nędzy, ale prócz tego jeszcze oddziałały nader ujemnie na dobroć ich wyrobu. Byli to mianowicie: pośrednicy — faktorzy.

Według rodzaju zajęcia i sposobu nabycia materyału, oraz spieniężania gotowego wyrobu, istnieją cztery odmiany przemysłu domowego. Do pierwszej należy *przemysł domowy ludowy*, dodatkowe zajęcie robotnika lub włościanina w domu własnym, przede-

wszystkiem na własną potrzebę, na sprzedaż zaś po części tylko, o ile produkcya okaże się w nadmiarze; do drugiej odmiany należy właściwy przemysł drobny domowy, robota na własne ryzyko, na zbyt miejscowy i na sprzedaż na targach i jarmarkach; do trzeciej zalicza się przemysł domowy fabryczny t. j. produkcya na wielką skalę z materyału własnego, lub dostarczonego przez fabrykę, z wydaniem gotowego wyrobu fabrykantowi lub kupcowi,; do czwartej wreszcie: przemysł domowy z wynajmu, jest to robota od sztuki z materyału dostarczanego przez faktora (tak zwanego przez lud majsterka), któremu się oddaje towar gotowy. Ostatnia z tych odmian bierze początek w przemyśle domowym, zarówno drobnym, jakoteż fabrycznym, i jest poniekąd ich zwyrodnieniem. Łatwo zauważyć, że stawia ona pracownika w bezwarunkowej zależności od faktora i zamiast dawać mu dostatek, przyprawia go o nędzę. Od chwili gdy pracownik pozostał coś faktorowi dłużny, już zginął, bo obliczają mu w dwójnasób materyał surowy i licho płacą za wyrób, tak że nigdy nie zdoła on wydobyć się na wolność. Co się tyczy w szczególności przemysłu domowego fabrycznego, to w tej postaci uważa się przemysł domowy w Europie Zachodniej, mianowicie zaś w Niemczech, Francyi, Anglii, za jeden z rodzajów produkcyi kapitalistycznej, przy którym robotnicy pracują w mieszkaniach własnych, lub warsztatach, produkcyą zaś kieruje przedsiębiorca, którego nazywają w Niemczech: Verleger (nakładca) Ten wskazuje kierunek i wymiary produkcyi i rozdaje zamówienia. Wobec producentów ubogich i zgoła pozbawionych spójni współdzielczej, góruje on nad nimi znajomością rynku, i umiejętnością zarządzania zbytem towarów, obok kapitału, niezbędnego dla nabycia materyałów surowych i dla korzystnej sprzedaży wyrobów.

Ten rodzaj przemysłu domowego istnieje głównie w miastach. Nazwę fabrycznego nadał mu kongres międzynarodowy statystyczny w Peszcie. Chociaż poświęcająca się mu ludność ze wszech miar zasługuje na opiekę i pomoc, jednakże systemat gorszym jest i mniej korzystnym dla robotnika od prostego fabrycznego porządku, przy którym robotnicy pracują zbiorowemi siłami pod wspólnym dachem. Przemysł domowy fabryczny bardzo jest upowszechniony w miastach i miasteczkach w okolicach Łodzi, a ludność, która mu się oddaje, daleką jest od dobrobytu.

Nie można zaprzeczyć jednak, że o ile fabryki rządzą się sprawiedliwem wyrachowaniem, o tyle robota na bezpośredni obstalunek może być bardzo korzystną dla włościan. W okolicach Radom-

ska, gdzie znajdują się dwie fabryki mebli giętych, jedna Toneta, druga Kona, włościanie mają dobry zarobek na wyplataniu krzeseł. W tym wypadku wszystko zależy tyleż od sumienności fabrykanta, od współzawodnictwa fabryk, ile od tego, ażeby fabryka główną robotę wykonywała sama, a oddawała na zewnątrz jedynie tylko uzupełniającą część roboty i zachowywała stosunek, o ile być może najbardziej bezpośredni z pracownikami domowymi. O ile zaś fabryka istnieje tylko z imienia i kompletuje swój zapas towarowy jedynie tylko gotowemi wyrobami przemysłu domowego, o tyle pracownicy ulegają gwałtownemu naciskowi, aby oddawać pracę swoją za bezcen i na wypadek przełomu handlowego wpadają w położenie bez wyjścia, gdyż spekulant, który skupuje u nich zwykle towar za pośrednictwem faktorów, rzuca ich bez żadnego skrupułu na pastwę losu. Takiem jest położenie tkaczy domowych w miastach i miasteczkach: Łodzi, Pabianicach, Zelowie, Bełchatowie, Aleksandrowie, Konstantynowie gub. Piotrkowskiej, również jak w Zduńskiej Woli i innych gub. Kaliskiej. Pracują oni na spekulantów, którzy się tu przenieśli z Cesarstwa i chcą uchodzić w Łodzi za fabrykantów, chociaż fabryk wcale nie posiadają. Jedynie rozumna współdzielczość może w tych okolicznościach wydźwignąć pracowników domowych z matni, w jakiej się znajdują. Z takiego stanu rzeczy wynika, że o ile bezpośredni stosunek pracownika domowego z fabryką może być znośny, szczególniej jeżeli nie dostarcza gotowego towaru, lecz skutkiem przyjętego przez fabrykę podziału pracy, dopełnia tylko pewnej, określonej części roboty fabrycznej, o tyle nabywanie przez faktora od pracownika domowego, gotowego towaru obok dostarczania mu surowego materyału, należy uważać za zgubną dla pracownika domowego postać wytwórczości, wyłączającą stopniowo wpływ fabryki i pozostawiającą jedynie, oko w oko naprzeciw siebie, bezbronnych pracowników domowych i wyzyskujących pośredników.

Co się tyczy drobnego przemysłu domowego w znaczeniu właściwem, i współzawodnictwa jego wyrobów z fabrycznemi, wcale nie jest dowiedzionem, aby przemysłowiec domowy, doskonale znający swoje rzemiosło, który obrał sobie trafnie rodzaj produkcyi, nie mógł się oprzeć konkurencyi fabrycznej. Techniczne szkoły przemysłu drobnego, zakładane z wielkiem staraniem i powodzeniem w Bawaryi, a zwłaszcza w Austryi, dowodzą, że rządy tych krajów najdoskonalej stanu rzeczy świadome, nie straciły wiary w żywotność przemysłu domowego.

I my u siebie również możemy przytoczyć przykład, że w bliskiem sąsiedztwie Łodzi, stanowiącej ogromne środowisko przemysłowe

tkacze ze Zduńskiej Woli mają specyalność wyrobu pewnego rodzaju materyi wełnianej: „Adrian“, którą według ogólnego zdania trudno byłoby fabrykom naśladować. Mianowicie, materya ta, z cienkiej i delikatnej przędzy, wymaga nadzwyczajnie dokładnej roboty, jaka nie może być wykonana na warsztacie fabrycznym, mechanicznym, a jedynie tylko na ręcznym, w czem tkacze Zduńskowolscy celują. Gdy pomimo tego, pogrążeni w nędzy, znajdują się oni w kleszczach u wyzyskiwaczy, okazuje się, że nie tyle konkurencya fabryk, ile zależność od pośredników, zgubną jest dla pracowników domowych. Zresztą wyroby przemysłu domowego mogą zawsze współzawodniczyć z fabrycznemi swoistością i narodowemi cechami smaku.

Następnie, w interesie pośrednika leży, ażeby wyrób przemysłu domowego mógł być puszczony w obieg jaknajtaniej, gdyż cena przystępna wzmaga i ożywia zapotrzebowanie. Z tego powodu pośrednicy nalegają na przemysłowców domowych nie tyle o dobrą, ile o tanią robotę. Według świadectwa członka Centralnego Oddziału Towarzystwa Popierania Rosyjskiego Przemysłu i Handlu, pana Biełowa, doprowadzili oni pracowników domowych w Tule, przez natarczywe żądania obniżenia ceny, do wyrabiania luf u broni palnej, najprzód z grubej, potem z cienkiej blachy, czem wciąż jeszcze zadawalniali się pośrednicy, i dopiero wtedy odmówili przyjęcia towaru, kiedy pracownicy zaczęli robić lufy—drewniane. Tym to sposobem stosunki z pośrednikami doprowadzają stopniowo przemysłowców domowych do pogorszenia wyrobów i do zatracenia umiejętności. O moralności niema co i mówić, gdyż dla nieszczęśliwych pracowników domowych tulskich, doprowadzonych do rozpaczy, pojęcie cudzej własności nie istnieje.

Lecz pozostawiając na stronie tę odmianę przemysłu domowego, przejdziemy do ludowego przemysłu drobnego u włościan, który jest przedmiotem pracy niniejszej i który, pewni jesteśmy, że ma wszelkie warunki bytu, zajmując włościanom skutecznie, stracone chwile pory zimowej. Ma on przed sobą ogromne i bardzo pożyteczne zadanie: zaspokojenia własnych potrzeb włościańskich, co wcale nie wyklucza możności zainteresowania wyższych klas ludności przez dóbry smak i narodowe cechy wyrobów—tak, że tę postać przemysłu domowego należy uważać za bezwarunkowo korzystną dla włościan, z czego wynika, że rozwój przemysłu włościańskiego na zdrowych podstawach, z dbałością i znajomością rzeczy, zaliczamy do bardzo doniosłych obowiązków społecznych.

Nie może być żadnej co do tego wątpliwości, że włościanie, tracący stopniowo zamożność przez działy spadkowe, zaczną uciekać się

z własnego popędu po dodatkowy zarobek do przemysłu domowego, zwłaszcza, że Niemcy i Anglicy starają się uniknąć napływu polskich wychodźców, oraz, że pod pozorem ich ciemnoty i ubóstwa, nawet Ameryka Północna odpycha ich od siebie. Wskutek tych okoliczności odpływ nadmiaru polskich włościan zagranicę bezwarunkowo zeszczupleje, a wtedy, po zamknięciu wszystkich pobocznych źródeł dochodu, pozostanie przemysł domowy, jako jedyny dla nich możliwy zarobek dodatkowy.

Lecz jeżeli przemysł ten pozostawiony będzie własnemu losowi, to wobec obojętności rządu i społeczeństwa, z domowego włościańskiego może on się zamienić na domowy fabryczny. Tego uniknąć i temu zapobiedz jest jednem z głównych zadań szkicu niniejszego. Dużo może dopomódz powodzeniu trafny wybór rzemiosła. Im mniej ono jest zdolne do przyjęcia postaci fabrycznej, tem pewniejsze będą warunki utrzymania go w czystym, ludowym zakresie. Tu trzeba zaliczyć koszykarstwo. Co do tkactwa, to chociaż w Niemczech spółzawodnicząc z fabrykami, szybko ono zdąża do upadku, u nas jednak wobec ogromnie licznej ludności włościańskiej i małomiejskiej, której potrzeby wymagają zaspokojenia, tkactwo domowe, zwłaszcza wełniane, ma jeszcze na długie lata mocny grunt pod nogami. Oczywistem więc jest, że im bliżej poznamy zarówno korzystne i pożyteczne, jakoteż niebezpieczne strony przemysłu domowego, tem prędzej nabędziemy przekonania, że nadanie mu pośród włościan właściwego kierunku, jest bardzo trudnym i bardzo ważnym obowiązkiem społecznym. Usiłowania w tym kierunku zasługują ze wszech miar na poparcie i chętną pomoc rządową.

Skoro zaś już raz powziętym zostanie zamiar czynnego zajęcia się przemysłem domowym, to przy obecnem upowszechnieniu wyrobów fabrycznych, pierwszem staraniem być powinno podźwignięcie umiejętności tam, gdzie do pewnego stopnia już istnieje i pobudzenie jej do życia w tych miejscowościach, gdzie przemysł domowy ma być na nowo zaprowadzonym. Sekcya Rolna Warszawska powziąwszy zamiar odrodzenia przemysłu drobnego, a zwłaszcza domowego, w Królestwie Polskiem, wybrała w tym celu delegacyę i przeznaczyła jej bardzo skromne środki. Delegacya zaprosiła z Galicyi na instruktorów, wychowańców tamtejszych bardzo dobrych szkół przemysłowych (tkackich, ceramicznych i koszykarskich), urządzonych specyalnie dla domowego przemysłu i założyła wzorowe warsztaty tkackie w Stanisławowie gub. Warszawskiej i w Myszyńcu gub. Łomżyńskiej. Ci włościanie, którzy w tych warsztatach nauczyli się tkac-

twa, sami następnie zostawali instruktorami, i zapraszano ich do wszystkich okolic kraju. Dla powiększenia liczby instruktorów delegacya, na sekcyę przemysłu domowego przemianowana, wysyłała do Galicyi przez kilka lat z rzędu na kursy tkactwa i garncarstwa domowego, stypendystów z pośród włościan i mieszczan, którzy skończyli należycie szkoły elementarne. Wzorowe warsztaty w Stanisławowie dla tkactwa, i w Serocku dla koszykarstwa, zaopatrzone w udoskonalone narzędzia i przybory, dały rezultaty wyborne, pozyskały rozgłos w kraju i we wszystkich jego okolicach mają swoich wychowańców. Przytem zauważyć należy, że włościanie Królestwa nadzwyczajnie prędko i dobrze przejmują dawane im nauki. Na nieszczęście, warsztatom tym dla braku środków zagraża zwinięcie. Trzeba jednak mieć nadzieję, że rząd, oceniając prawdziwe usługi, jakie oddają włościanom te warsztaty, nie odmówi pieniężnego dla nich zasiłku za pośrednictwem Warszawskiej Sekcyi ludowej przemysłu drobnego. Z tą pomocą będzie mogła Sekcya powierzać zwierzchni nadzór nad warsztatami Towarzystwom rolniczym.

Nie dość jeszcze tego. Ażeby przemysł domowy przyniósł pożytek włościanom, trzeba ochronić ich od zgubnego wyzysku pośredników i faktorów czego znów niepodobna osiągnąć inaczej, jak jedynie dostarczając pracownikom kredytu odpowiedniego obok ułatwienia im organizacyi zawodowej. Bez kapitału zakładowego nie mogą oni wybiegać się od lichwy. Próbkę tego zniewolenia i poddaństwa, jakiemu podlegają przemysłowcy domowi, pozbawieni wszelkiego wzajemnego związku i pozostawieni własnemu losowi, przedstawiają koszykarze z okolic Warszawy, nie mogący się oprzeć nieustającej zmowie przekupniów i pogrążeni w nędzy.

Skutkiem tego, na pierwszy plan wysuwa się pytanie, jak zaopatrzyć przemysłowców domowych w dogodny kredyt na konieczne nakłady, obok zaprowadzenia należytego współdzielczego zarządu. Jest to szczególniej ważnem u włościan, ponieważ zadłużenie prowadzi u nich do opuszczenia się w gospodarstwie, kończy się zaś ruiną.

Tylko należycie obmyślany kredyt może to sprawić, że przemysłowiec domowy będzie mógł sam dla siebie nabywać materyał surowy, i pod względem sprzedaży będzie o tyle zabezpieczony, że nie będzie potrzebował ulegać przymusowi faktorów.

Według doświadczenia Sekcyi ludowej Warsz. Oddziału Towarzystwa Popierania Ros. Przemysłu i Handlu, środki niezbędne dla przemysłowca domowego do samoistnej produkcyi, dosięgają przy płó-

ciennictwie i wielu innych przedsięwzięciach, najmniej potrójnej wartości materyału surowego na jedną sztukę towaru. Mianowicie, trzeba zapłacić za materyał znajdujący się na warsztacie, również, jak i za ten, z którego wyrobiony jest towar oddany w komis na sprzedaż, i wreszcie za ten, który jest przygotowany do wzięcia na warsztat po skończeniu sztuki znajdującej się w robocie. Jeżeli przędza i przybory na jedną sztukę płótna kosztowały 10—15 rubli, to przemysłowcowi domowemu potrzebny był kredyt około 45 rubli. Ile razy Sekcya zmuszoną była dla braku pieniędzy poskąpić zaliczenia, tyle razy zjawiały się zakłócenia i przerwy w robocie.

Przypuszczenie, że w gub. Królestwa Polskiego kasy gminne mogą zastąpić włościanom wszelki inny rodzaj kredytu, byłoby bardzo przedwczesne. W ogóle kasom tym przypisuje się przesadzone znaczenie, co postaramy się wyjaśnić.

Według XVII Zeszytu Prac Warszawskiego Komitetu Statystycznego w r. 1899 przestrzeń gruntów włościańskich w gub. Królestwa Polskiego wynosiła 5,031,220 diesiatyn, czyli 9,817,635 morgów, dodając co najmniej 96,000 diesiatin, czyli 187,328 morgów nabytych przez włościan po rok 1902-gi—uczyni to razem 10,004,963 morg. Wartość przecięciowa morga ziemi według nadzwyczaj umiarkowanego szacunku Towarzystwa Kredytowego Ziemskiego w Królestwie Polskiem, wynosi w tym kraju 43 rb. 65 kop.[1]), co daje bardzo skromne oszacowanie gruntów włościańskich na 438,666,349 rubli. To znaczy, że 24 miliony kredytu wydawane rocznie przez wszystkie razem wzięte kasy gminne w Król. Pol. stanowią w stosunku do 438 milionów rubli wartości gruntów włościańskich zaledwie 5½ procent, i jeżeli nawet uwzględnić, że pożyczki kas gminnych nie mogą być wydawane na grunty nabyte przy pomocy banku włościańskiego, to i wtedy jeszcze zadłużenie w nich samych tylko gruntów ukazowych nie przeniesie 6%.

Jeżeli zaś zwrócimy uwagę na to, że własność ziemska włościańska w Królestwie, jako osobista, mogłaby bezpiecznie wytrzymać kredyt dosięgający połowy jej wartości, to okaże się, że kredyt dostarczony przez kasy gminne nie dosięga nawet dziewiątej części tej wysokości, jaką mogłyby wytrzymywać bezpiecznie grunty włościańskie w Królestwie Polskiem, nietylko bez szkody, ale z wielostron-

[1]) Obecnie świeżo podniesiono ten szacunek.

ną dla stanu włościańskiego i ogólnego bogactwa narodowego korzyścią.

Kasy te mają w swoich urządzeniach niektóre wadliwości, z których przytaczamy najgłówniejsze.

1-o Że suma wkładów pieniężnych nie może przewyższać sumy pożyczek, skutkiem czego interesanci nie mogą mieć tej pewności, że oszczędności ich będą każdego czasu do kasy przyjęte.

2-o Że termin zwrotu wkładów pieniężnych zależnym jest od napływu gotowizny do kasy.

3-o Że odpowiedzialność osób stojących u steru kas (wójtów gminnych i pisarzy) po wielu wypadkach niesumienności, nie wzbudza zaufania.

4-o Że z kredytu korzystały mogą jedynie włościanie osiedli, gdy tymczasem i bezrolni mogą zasługiwać na kredyt.

Jeżeli kasy gminne będą i nadal korzystały z bezpośredniej opieki rządu, to bezwątpienia znajdą się dla nich środki naprawy, ale okoliczność ta bynajmniej nie przeszkadza temu, że dla włościan pragnących oddać się drobnemu domowemu przemysłowi bez porównania korzystniejszym będzie kredyt innego rodzaju. Mianowicie, z uwagi na warunki, jakie wynikają z samej istoty drobnego przemysłu, odpowiednim dla nich będzie kredyt w s p ó ł d z i e l c z y, któryby nietylko wydawał pożyczki, ale też zwłaszcza obsługiwał wspólne przedsięwzięcie, załatwiając zachodzące przy niem potrzeby.

Nie mówiąc już o środkach materyalnych, z tych potrzeb n a j p i e r w s z ą jest dokładne zbadanie gdzie i jakiemi drogami zaopatrywać się w odpowiednie materyały, narzędzia i przybory. Warszawska Sekcya ludowa od samego swego zawiązku nabywała dla swoich tkaczy przędzę finlandzką i równocześnie przy życzliwej pomocy ministerium rolnictwa i dóbr państwa, sprowadziła od Pskowskiego Towarzystwa Hodowców lnu znaczną ilość siemienia lnianego dla rozdania pomiędzy włościan całego kraju. Oba te działania uwieńczone zostały powodzeniem, albowiem wyroby tkactwa domowego prowadzonego przez Sekcyę, wytrzymywały konkurencyę i znalazły sobie zbyt łatwy i korzystny, dzięki zaś zmianie nasienia włókno lniane z niego otrzymane wykazało znaczne polepszenie w porównaniu z dawnem. Nie może być najmniejszej co do tego wątpliwości, że sami włościanie bez należytych wskazówek nie mogliby znaleść surowego materyału posiadającego te zalety, ani też nie umieliby zawiązać odległych stosunków handlowych, a zatem nie mogliby osiągnąć takiego powodzenia. D r u g ą p o t r z e b ą jest umiejętne urządze-

nie sprzedaży, odszukiwanie punktów zbytu i dogadzanie gustom bliższych i dalszych rynków w sposobie obrobienia towaru. Pewność i ciągłość zbytu, są istotnym warunkiem powodzenia, ten zaś osiągnąć jest zanadto trudno dla pojedyńczych odosobnionych włościan. Warszawska Sekcya ludowa korzystała w początkach z usług Warszawskiego współdzielczego bazaru rzemieślniczego. Po zwinięciu bazaru zjawiły się dla zbytu wielkie trudności, które tylko w części pokonać zdołano. I pod względem sprzedaży zatem włościanie potrzebują zespolenia i kierownictwa.

Do potrzeb tych nadaje się zupełnie wzorowa Ustawa spółek pożyczkowo-oszczędnościowych, zatwierdzona przez p. ministra finansów w dniu 13 kwietnia 1896 roku. Mianowicie, artykuł 6-ty Ustawy dozwala takim spółkom zajmować się pośrednictwem w nabywaniu materyałów surowych dla członków, oraz w sprzedaży ich wyrobów. Te to są właśnie dwa główne zadania, od których pomyślnego załatwienia zależy powodzenie domowego drobnego przemysłu. Zadaniom tym słusznie przypisuje Ustawa wyjątkową doniosłość, skoro w art. 72 wymaga zatwierdzenia Ministra dla warunków prowadzenia pośrednictwa.

Lecz pomimo tego, że ludność wiejska wnosiła u nas prośby o zezwolenie zawiązywania spółek pożyczkowo-oszczędnościowych, nie udzielano jej dotychczas na to upoważnienia. Upoważnienie takie uzyskiwała w gub. Królestwa Polskiego jedynie tylko ludność miast i miasteczek. Taki tryb postępowania do najwyższego stopnia sprzyja interesom przekupniów, pozbawiając ludność wiejską możności opierania się lichwie. Z tego powodu możemy wyrazić jedynie gorące życzenie, ażeby pole działalności spółek pożyczkowo-oszczędnościowych, urządzonych według Ustawy ministeryalnej rozszerzyło się na wieś, tak jak to było przyobiecanem w N-rze 25 Gońca Finansów za r. 1895.

W szczegółach swoich, Ustawa może zawsze po uprzedniem zezwoleniu Władzy, zastosować się do swoistych potrzeb poszczególnych miejscowości, gdyż stanowi ona tylko rusztowanie, po za którem wznieść się może najdoskonalej cała szczegółowo opracowana budowa współdzielczości.

Z liczby tych szczegółów, na pierwszem miejscu dla ludowego i drobnego przemysłu postawić należy nieodzowną potrzebę współdziałania sił społecznych w ich kierownictwie, przynajmniej w początkach, ponieważ dla uzdolnienia do tego samychże włościan, potrzebnemi są: dłuższy czas i doświadczenie.

Co się tyczy kierowania spółkami, przytoczymy dla wiadomości wyjątek z Ustawy Szwedzkiego Towarzystwa Przemysłu Domowego z r. 1899-go.

1. Towarzystwo urządza w Stockholmie nieustającą wystawę wyrobów, dostarczonych przez pracowników domowych na sprzedaż, i uznanych przez Komitet Wystawy za zasługujące na przyjęcie, stara się również otworzyć drogi zbytu dla drobnego przemysłu.

2. Kupuje modele dawniejsze i nowe, i rozpowszechnia je wedle możności.

3. Udziela swego pośrednictwa dla zamówień robót i modeli.

4. Dopomaga Towarzystwom Rolniczym do urządzania wystaw prowincyonalnych.

Członkowie płacą umiarkowaną składkę roczną po 2 ruble.

Towarzystwem rządzi Rada, złożona z 9 członków, w liczbie których znajdować się mają obowiązkowo trzy kobiety. Rada obowiązaną jest posiadać w różnych miejscowościach komisyonerów dla wykonywania zleceń.

W tem Towarzystwie ogniskuje się zatem opieka wyższych klas społecznych nad przemysłem domowym, i zdaje się zupełnie stosownem i celowi odpowiedniem, aby na zarządzających kasami pożyczkowo-oszczędnościowemi dla przemysłu domowego zapraszano jego członków. Bardzo podobnem do tego jest urządzenie stowarzyszenia kobiecego dla popierania przemysłu domowego w Peszcie, do którego należy cała arystokracya węgierska, a które przyniosło korzyści wielkie i niewątpliwe.

W zakończeniu powyższych wywodów następujące środki zdają się najwłaściwszemi dla odrodzenia i podtrzymania przemysłu domowego u włościan naszych:

1. Zaprowadzenie w szkołach elementarnych wiejskich nauczania slojdu (uzręcznienia) w robotach z tektury i drzewa, a dla dziewcząt szycia i haftu. Stopniowe wprowadzanie slojdu żelaznego.

2. Pomoc i zachęta do otwierania domów pracy, z warsztatami dla dzieci w wieku od 7-miu do 14-tu lat.

3, Pomoc i zachęta w postaci zasiłków dla szkół włościańskich rolnictwa i przemysłu domowego.

4. Pomoc w zaprowadzaniu stałych i przenośnych warsztatów wzorowych dla dorosłych, pod kierunkiem doświadczonych i umiejętnych instruktorów.

5. Pomoc dla kształcenia zdolnych osobistości z ludu na instruktorów przemysłu domowego, w najlepszych zagranicznych szkołach technicznych do tego przeznaczonych.

6. Dopomaganie do wysyłania od czasu do czasu najzdolniejszych instruktorów zagranicę dla zaznajomienia ich z najnowszemi metodami nauczania i techniki w przemyśle domowym.

7. Posiłkowanie w nabywaniu modeli i upowszechnianiu ich pomiędzy ludem.

8. Popieranie czasowych prowincyonalnych wystaw przemysłu domowego z wydawaniem nagród dla wystawców i warsztatów.

9. Pomoc ku założeniu stałej wystawy wyrobów wzorowych przemysłu domowego w Królestwie Polskiem, z udziałem osób dokładnie z tą sprawą obeznanych.

10. Zezwolenie na zawiązanie w Warszawie Towarzystwa dla popierania Przemysłu Domowego w Królestwie Polskiem, z celem przewodniczenia technicznej i gospodarczej działalności pracowników zwłaszcza zaś obrony ich przed lichwą. Dopomaganie działalności tego Towarzystwa za pomocą zasiłków.

11. Upoważnienie ludności wiejskiej do zawiązywania spółek pożyczkowo-oszczędnościowych, według Ustawy normalnej 1896 roku, oraz do powoływania dla przewodniczenia tym spółkom osób wybranych z pośród członków rzeczonego powyżej Towarzystwa.

12. Zezwolenie włościanom, oddającym się przemysłowi domowemu, na zakładanie spółek współdzielczych.

13. Udzielanie ulg na kolejach żelaznych dla przewozu wyrobów przemysłu domowego, zwłaszcza na wystawy i z wystaw.

14. Wydawanie zasiłków w naturze, w kształcie materyału z lasów rządowych, łóz wierzby koszykarskiej, siemienia lnianego i konopnego, z ulgowemi warunkami spłaty, o ile ta będzie żądaną.

Niema najmniejszej wątpliwości, że z czasem, gdy przemysł domowy włościański nauczy się dogadzać gustom publiczności, i da jej coś nowego, swoistego, odskakującego od fabrycznego szablonu, potrafi on wtedy zająć ogół, który nawzajem żywo zainteresuje się jego losami. Zainteresowanie to jest nadzwyczaj potrzebne dla lepszego załatwienia jednej z najpierwszych potrzeb krajowych, zasadzającej się na dobrobycie włościan. Dla tego też wszystko, co bę-

dzie uczynione przez rząd i społeczeństwo dla wyuczenia ich rzemiosł i techniki, potrzebnych dla przemysłu domowego, dla ułatwienia im nabycia materyałów surowych i spieniężenia wyrobów bez udziału przekupniów, wzbudzając u włościan wiarę w przemysł domowy, a zarazem chęć przyłożenia doń pracy—stanie się dla nich z czasem pomocną dźwignią pod względem materyalnym i moralnym.

Józef Jeziorański.

Literatura niemiecka w r. 1903.

Rozpoczynając przegląd literatury jednego narodu na przestrzeni jednego roku, należy sobie uprzytomnić, jakie są jego cele, jakie także korzyści. Z tych ostatnich, jedna dla każdego jest oczywistą: oto, rozpatrując utwory piśmiennictwa najnowszej doby, nie bezpośrednio i natychmiast po ich ogłoszeniu, lecz po upływie pewnego, krótkiego jednak czasu, łączymy świeżość uczucia z rozwagą sądu; dość blizcy bowiem jesteśmy danego zjawiska, by na własnych nerwach doznać jego siły, dość dalecy, by zdać sobie chłodno sprawę z jego składników i jego wartości. Dawniej rok był odległością śmiesznie małą, nawet odstęp pokolenia nie wystarczał, dzisiaj z jednej strony zmysł obserwacyjny i oryentacyjny tak się zaostrzył, z drugiej fala ogólnegożycia tak szybko toczy się, że doprawdy, chociaż paradoksem się wyda, stwierdzić trzeba, że książka, która przetrwała rok cały, bądź co bądź okazała już tem samem pewną zdolność przetrwania dziesiątka lat, może i więcej. Ale, pamiętając o tej korzyści rocznych przeglądów literackich, zazwyczaj nie mamy na uwadze innej, niewątpliwie donioślejszej, aczkolwiek ukrytej. Biorąc do ręki dzieło, ogłoszone przed kilkunastoma miesiącami, mamy już do czynienia nietylko z niem samem. Znamy już głosy krytyki, znamy liczbę wydań książkowych, przy dramatach ilość przedstawień teatralnych, przy powieściach statystyczne daty wypożyczalni, jednem słowem: przyjęcie, jakiego ta książka w rozmaitych kołach społeczeństwa doznała. Moment to obojętny, może nawet bałamucący raczej, niż pouczający, dla tego, kto chce rozprawy tylko pomiędzy tą książką, a swoim własnym sądem krytycznym. Moment to niesłychanie ważny dla tego, kto poza indywidualną opinią uznaje w książce każdej, złej czy dobrej, mądrej czy głupiej, czynnik kulturalny i społeczny, dodatni lub ujemny, lecz zawsze godny zanotowania. I to zarówno w dziedzinie wyłącznie artystycznej, jak i w zakresie społecznym. Wobec dzisiejszej indywidualizacyi w sztuce, sam fakt pojawienia się dzieła w stylu np. skrajnie symbolistycznym, nie dowodzi jeszcze bynajmniej, aby ów kierunek

był panującym, a nawet tylko przez szczupłą garstkę tolerowanym; tak samo skromne znaczenie posiada samo istnienie np. powieści oskarżającej bądź cały ogół, bądź szczegółowe jego części i stany. Natomiast, jeśli wiemy, że ten dramat symboliczny cieszył się bezustannie na szerokim obszarze kraju powodzeniem scenicznem a tamta — powieść oskarżająca była przez publiczność rozchwytywaną, przez poważną prasę roztrząsaną, jeśli to wiemy, znamy artystyczny gust całego narodowego środowiska, znamy jego polityczne, etyczne, społeczne położenie. A tak przegląd literatury—tu, jak i w dalszym ciągu mówimy tylko o literaturze pięknej — dorzuca wiele do przeglądu narodu i społeczeństwa.

Niemieckie zaś społeczeństwo znać winniśmy, musimy. Zazwyczaj w prasie, idącej za powierzchownemi zapatrywaniami mas, rozprawy i artykuły o pewnym narodzie i rozmaitych objawach jego życia, ukazują się wtedy, gdy stosunki z owym krajem są przyjazne; gdy są złe i wrogie, przestaje się o tym kraju pisać. Błąd to szkodliwy, bo właśnie tego, z kim walczę, tego, kto mnie zgnębić chce, powinienem do szpiku kości przeniknąć, tak, by żaden jego atom nie był mi tajnym. A tak przedmiotowo, tak chłodno i bystro powinienem go badać, by każdy kąt jego duszy ujawnił się przedemną w właściwem, prawdziwem świetle, bo, jak tam niedokładność, tak tu błąd, zwłaszcza na złudzeniu oparty, może gorzko trzebaby w stanowczej chwili odpokutować. Że zaś, jeśli o niemieckie społeczeństwo chodzi, literatura piękna może takie informacyjne oddać przysługi, gdy obok samych dzieł uwzględnimy i ich przyjęcie u N i e m c ó w, to pewna; bo jeśli która, to ona próżną jest obecnie wszelkiej eteryczności, ściśle jest z życiem związaną. Prawda, że szczęśliwy zbieg okoliczności sprawił, iż właśnie w ubiegłym roku ten związek literatury z życiem ogromnie silnie, wprost niebywale się zaznaczył.

I oto możemy określić już obecne zadanie: pokazać literaturę piękną w Niemczech w r. 1903, a za jej pośrednictwem i stan dzisiejszy niemieckiego społeczeństwa, oczywiście, o ile to w literackim przeglądzie i w szczupłych rozmiarach jest dopuszczalnem. Stąd dzieła, które przeszły niepostrzeżenie, przez ogół niemieckiego społeczeństwa, ani nie ukochane, ani nie znienawidzone, nie przygarnięte i nie odepchnięte — te i w niniejszem sprawozdaniu nie wiele zajmą miejsca, bo do naszego przedsięwzięcia chyba tylko negatywnych dostarczą argumentów; natomiast całe światło rzucimy na utwory, które niemiecki ogół przyjął z gorącą namiętnością, przychylną, czy wrogą.

* * *

Dwutygodnik berliński: „Echo Literackie“, wydawany z niezwykłą staranuością i wszechstronnością, rozsyła rok rocznie do stu kilkudziesięciu wybitniejszych wypożyczalni, rozproszonych po całych Niemczech, zapytanie, które książki cieszyły się wśród tamtejszej publiczności największą popularnością. Są to bardzo ciekawe i pouczające daty, albowiem w ojczyźnie Schillera i Goethego i dzisiaj jeszcze nie wiele książek się kupuje, i zaspakaja się literackie pragnienia wypożyczaniem książek, które też taki przedsiębiorca niekiedy w znacznej liczbie egzemplarzy posiada. Otóż ogłoszone w pierwszym styczniowym zeszycie odpowiedzi za rok 1903 wykazują, że najpoczytniejszemi były następujące powieści: *Jena czy Sedan?* Beyerleina, *Listy, które go nie doszły*, pióra zrazu anonimowego, jak się później dowiedziano, pani Heyking, Freussena: *Jörn Uhl* i inne dzieła, T. Manna: *Buddenbrooks*, wreszcie pani Viebig: *O Janie Młynarzu*, z autorów zaś, prócz powyżej wymienionych, do najbardziej popularnych należał jeszcze baron Ompteda. Tegoroczna ankieta różniła się tem od dawniejszych, że po raz pierwszy ani pomiędzy dziełami, ani pośród autorów nie było przedstawiciela obczyzny, podczas gdy w r. 1900 w szeregu sześciu najpoczytniejszych pisarzów byli Zola i Tołstoj, w r. 1901 i następnym zagranicę reprezentował jeden Sienkiewicz z *Quo vadis?* Niewątpliwie brak cudzoziemskiego nazwiska dowodzi, że społeczeństwo niemieckie i w sferze literatury nacyonalizuje się. Charakterystycznem jest, że repertuar teatralny, z natury rzeczy bardziej międzynarodowy, bo obliczony przecież nietylko na tubylczą ludność, a poza tem zwracający się do sfer wszechstronniej oświeconych, niż „ubodzy duchem“ klienci wypożyczalni, otóż znaczącem jest, że i teatr w ostatnich czasach — jak to poniżej dokładniej się okaże — staje się bardziej narodowym. Ostrzedz jednak należy i tutaj przed przesadą w sądzie: jeśli w r. 1903 pomiędzy najpoczytniejszemi książkami nie było żadnego tłómaczenia, to zauważyć trzeba, że istotnie powieść zagraniczna w owym okresie nie wydała ani jednego dzieła, zdolnego zdobyć sobie światową sławę, jak to było dawniej np. z Tołstoja „Zmartwychwstaniem“, lub Sienkiewicza „Quo vadis“?

Jakież są więc owe ulubione powieści niemieckiego ogółu z roku 1903? W ich spisie uderza przedewszystkiem absolutny brak powie-

ści historycznej. Nietylko na liście pięciu najbardziej rozchwytywanych w całych Niemczech książek, niema ani jednego romansu z niemieckiej przeszłości, lecz we wszyskich 107 wypożyczalniach, które odpowiedziały na kwestyonaryusz berlińskiego pisma, nie było ani jednej, gdzieby publiczność tego towaru pragnęła. Objaw to wymowny, dziwny przedewszystkiem dla nas, którzy rok rocznie tyle nowych historycznych powieści wydajemy, a jednak wciąż jeszcze za mało ich widocznie mamy do zaspokojenia łaknących treści historycznej. Dodać zaś trzeba, że nasi sąsiedzi takich dzieł dzisiaj ani czytać nie chcą, ani nie tworzą, co zresztą jedno z drugiem ściśle jest związane. Polak, zapytany o autorów drukujących teraz nowe romanse historyczne, bez trudu na poczekaniu wymieni ich sześciu, nawet cały tuzin; Niemiec, chociaż przecież jego literatura szerszem płynie korytem, nie wiem, czy do dwóch dociągnie, bo ostatecznie prócz Feliksa Dahna, nikt w tym rodzaju ani trochę nie jest głośny. Ten szanowny pan zaś, profesor uniwersytetu wrocławskiego, w wolnych chwilach bardziej namiętny publicysta, nb. jeden z najzagorzalszych „obrońców Marchii wschodniej“, niż utalentowany powieściopisarz, jest zabytkiem zamierzchłej epoki, a chociaż płodzi wciąż nowe romanse z germańskiego i niemieckiego średniowiecza, chociaż stały jego lipski nakładca posłusznie je wydaje, to czyta go... młodzież szkolna na „lekturę domową“, ale jako żywo nie ogół, mogący wybierać to, co mu się podoba, odrzucać to, co go nudzi. Czy tej obojętności dla narodowo-historycznego romansu tylko brak znakomitego pisarza jest przyczyną? Nie; znając literaturę i społeczeństwo niemieckie, wie się, że tej apatyi nie pokonałby nawet taki Sienkiewicz, podczas gdy u nas nawet licha powieść historyczna znajdzie wielu wdzięcznych czytelników dlatego tylko, że nam o przeszłości opowiada. Przyczyny tkwią głębiej i jest ich dwie: Niemcy żyją świetną teraźniejszością i dumnemi snami o przyszłości; przeszłość, pogodna czy chmurna, mało już ich obchodzi, z wyjątkiem, powtarzamy, młodzieży szkolnej. A obok tego momentu jest i drugi, nie mniej ważny: powieść historyczna prawie zawsze żyje miłością, nie nienawiścią, zapałem, nie krytyką, entuzyazmem, nie chłodem. Niemiec zaś, chociaż na zewnątrz taki dumny, w gruncie serca i mózgu skłonniejszym jest do oskarżenia, nagany, nawet zrzędzenia, niż do apoteozy. Z tem uczuciem nie napisze się, nie polubi się powieści historycznej, napisze się natomiast i polubi współczesną powieść oskarżającą.

Takiem gniewnem „J'accuse“ jest „Jena czy Sedan?“, książka, górująca rozgłosem nad wszystkiemi powieściami, jakie wydał w Niemczech rok 1903.

Wyznajmy otwarcie, że szalony rozgłos tego dzieła, które do końca roku rozeszło się w stu tysiącach egzemplarzy, nie zupełnie jest zrozumiałym. Tłómaczyć go nie można walorem nazwiska autora, bo p. Franciszek Adam Beyerlein nikomu przedtem nie był znany, a szczerze mówiąc, i po tej książce nie jest osobistością, budzącą większą ciekawość. Wolno domyślać się, że pierwszą przyczyną hałasu, jaki wnet około tej powieści powstał, był wyrafinowanie efektowny tytuł: „Jena czy Sedan“ — w historyi to nazwy dwóch pól bitwy, jednej nieszczęśliwej, drugiej zwycięskiej dla Niemców, w duszy Niemca to drugie jaśnieje złotemi głoskami, grzmi fanfarą tryumfu nad „dziedzicznym wrogiem“, wzbija się ku niebu szelestem sztandarów, które już, już mają zaszumieć nad odnowionym tronem Ottonów i Hohenstaufów — gdy przed czterema głoskami napoleońskiego pogromu, czoło Niemca chyli się ku ziemi, nie w pokorze, ale we wstydzie, nie w poddaniu się dopustowi Bożemu, ale we wściekłej złości. Zemsty za Jenę wołał Niemiec więcej, niż przez pół wieku, zemsty nie za klęskę, zadaną ręką wroga, lecz za własne upodlenie i za czasów tej bitwy i za następujących po niej dni. Zemsty wołał, by zatrzeć w sercu wspomnienie tamtej ohydy — i doczekał się zemsty w Sedanie, a upojony własną mocą, sądził, że już tylko Sedany mogą być jego losem, a Jena nigdy się nie powtórzy. Aż oto przychodzi człowiek, nie obcy, ale swój, i śmie pytać: Jena czy Sedan? śmie przypuszczać, że jednak Jena jest możliwą, ta Jena, którą Niemiec z głowy już sobie prawie wybił. Taki napis — zwłaszcza widniejąc na barwnej okładce w narodowych kolorach czerwono-biało-czarnym — musiał działać na masy i na tych, którzy w szanownym patryotyzmie uczuli na widok tych słów ból i zaniepokojenie, i na tych, którzy, wietrząc sensacyę, chcieli zmarniałe nerwy podniecić cudzym kosztem — a jednych i drugich tylu jest w Niemczech!

Wczytawszy się w książkę, widzi się, że pytajnik, nęcący w jej tytule, jedynie tylko do pełnienia tej właśnie funkcyi jest potrzebny; autor bowiem nie zostawia kwestyi otworem, lecz wprost powiada: Jena nie Sedan, klęska nie zwycięstwo czeka Niemcy na wypadek przyszłej wojny. Motywuje to tylko militarnemi argumentami, w czem jest pierwszy zasadniczy błąd jego wywodów, dziwnym zbiegiem okoliczności przez niemiecką krytykę, o ile wiemy, niedostrzeżony. Historya uczy przecież, że Jena nie była skutkiem wad samego tylko wojska pruskiego, a tak samo Sedan i wszystko, co w r. 1870/71 (wszak Sedan jest tylko symbolem całego pasma wypadków) zaszło, nie było zasługą wyłącznie militarną. Ograniczając się więc do jednostronnej argumentacyi, w tych granicach Beyerlein jest wprost idealnie wyczerpującym: jego książka jest — *sit venia verbo*—

epopeją dzisiejszego niemieckiego militaryzmu. Bądź metodą artystyczną, t. j. za pomocą akcyi i charakterów romansu, bądź drogą teoretycznych, rezonerskich wywodów, autor odtwarza obecny stan armii niemieckiej w obrębie wszystkich rang i stopni, od najwyższych dowódzców aż do prostych szeregowców. Ćwiczenia na podwórzu koszar i wielkie letnie manewry, życie w szkołach wojskowych i w kantynach, wszystko to odtworzone ze ścisłością niekiedy aż męczącą, z mnogością szczegółów aż przygnębiającą. Tylko obraz to smutny, epopeja zamieniona w oskarżenie. Dzisiejszy militaryzm niemiecki to — zdaniem Beyerleina — bezduszny i bezcelowy mechanizm, oparty na czczych formułkach i marnych pozorach, zabijający istotną zdolność bojową na rzecz niewolniczej sprawności w paradach i manewrach, które, miasto być szkołą wojny, stały się bezcelowym a olbrzymiemi ofiarami w ludziach i mieniu żywiącym się popisem. W dwóch nadewszystko postaciach uwydatnił autor oskarżającą tendencyę dzieła: kapitan Güntz, dzielny oficer i znakomity teoretyk w kwestyach artyleryi, po długiem wahaniu występuje ze służby, przekonawszy się dostatecznie o zabójczej szkodliwości dzisiejszego systemu i niemożliwości usunięcia go; szeregowiec Vogt zaś, bardzo porządny i pojętny rekrut, marnuje się, na całe życie dostawszy się do więzienia za postępek, spowodowany wyzywającem zachowaniem się młodego a niemądrego oficera. Pierwszy przykład mniej przekonywa, bo Güntz porzuca oficerstwo dopiero wtedy, gdy pewna fabryka broni ofiarowuje mu daleko korzystniejsze warunki pieniężne; drugi natomiast działa istotnie silnie: tyle głupoty, złości i kaprysu składa się na unieszczęśliwienie biednego rekruta. Myśl występuje tem dobitniej, że ojciec Vogta, dotąd wiernie i gorąco trzymający się stronnictwa konserwatywnego i rządowego, dotknięty krzywdą syna równie namiętnie, w imię socyalistycznych teraz zasad agituje, a tym sposobem militaryzm przedstawiony jest jako ojciec socyalizmu. Dodajmy dla dokładności, że w obfitej fabule obok tych dwóch centrów akcyi, są jeszcze dwa dalsze: bardzo chybione w osobie porucznika Reimersa, który w intencyi autora zabija się, jako druga ofiara dzisiejszego stanu niemieckiego wojska, a w rzeczywistości kończy tak dla tego, że pewna choroba nie pozwala mu ani na dalsze miłostki z nieszczęśliwą histeryczką a wiarołomną żoną jego przełożonego, ani na małżeństwo z czystą i uroczą córką pułkownika — i doskonała, o wybitnym talencie świadcząca, tragedya wachmistrza Heimerta. Ten brutalny, zmysłowy człowiek, oszukujący chorą żonę dla jej zdrowej i silnej siostry, po śmierci tamtej żeniący się z ową dziewczyną, wnet ofiara jej zdrady a morderca jej kochanka, ścigany wizyami aż do strasznego samobójstwa — to opowieść sama przez się wystarczająca do stwo-

rzenia romansu, wstrząsająca i niejednokrotnie najwspanialsze wzory skandynawskich i rosyjskich realistów chlubnie przypominająca. Ona jedna dowodzi, że p. Beyerlein (którego zresztą na innem miejscu poznamy, jako autora dramatycznego) ma szczery i niepospolity talent.

Nie mamy kompetencyi do oceniania fachowej militarnej strony powieści, która zapewne i niemieckich czytelników nie przekonała, lecz porwała. Tyle śmiemy twierdzić, że wiele z braków, czy wad niemieckiego militaryzmu wynika z długoletniego zastoju, jakim pokojowe lata bądź co bądź są dla każdej armii. Ale mniejsza o to, dość, że Beyerlein tę armię swego narodu i państwa bezwzględnie potępił, a ogół tamtejszy akt potępienia w stu tysiącach egzemplarzy zakupił i w ten sposób włączył do... narodowego archiwum. W pismach fachowych tu i owdzie probowano zbić oskarżenie (np. w broszurce o bardzo rozumnym tytule: *Ani Jena ani Sedan*), z prasy, będącej wykładnikiem popularnych przekonań, nie pojawił się protest. Co więcej, naród niemiecki, jakby rozkochawszy się w oskarżeniu, rozchwytywał inną jeszcze książkę, przeciw dzisiejszemu militaryzmowi niemieckiemu zwróconą, Fryca von der Kyrburg romans: *Z małego garnizonu*. Od dłuższego zastanowienia się nad tą pozycyą przeszłorocznej bibliografii uwalnia nas na szczęście rozgłos, jaki ta marna książka osiągnęła na szpaltach dzienników. Z chwilą, gdy przekonano się, że pod pseudonimem o feudalnem brzmieniu ukrywa się oficer w czynnej służbie Bilse, że stosunki, jakie opisuje, odpowiadają rzeczywistości w małem granicznem miasteczku alzackiem Forbach, kiedy wreszcie sąd wojenny autora wezwał przed swój trybunał i oczywiście winnym ogłosił — wtedy rzecz ze sfery literackiej przeniosła się całkowicie w dziedzinę dziennikarskiej aktualności. Co prawda, literatury w tej książce było i tak bardzo mało, raczej zupełnie nic, a książka godna jest zapamiętania jedynie jako latorośl, wyrosła na gruncie, który i daleko poważniejsze dzieło Beyerleina wydał. I Bilse — prawda, że bez porównania nieudolniej—przedstawia degeneracyę militaryzmu niemieckiego, jako podnietę socyalnej demokracyi, dając jednak zamiast pełnego obrazu, ułamkowy wizerunek zepsucia codziennego życia oficerów i czczości pijackiego środowiska kasynowego.

Obie te powieści w swej oskarżającej tendencyi nie są odosobnione, jedynie wstręt przed grzebaniem w obcym śmietniku, powstrzymuje nas od wyliczenia wielu innych powieści niemieckich z r. 1903—potępiających upadek i zepsucie tego lub owego stanu, szczególnie ze sfery owych „wyższych dziesięciu tysięcy“, które każdem społeczeństwem rządzą. Jeden tylko jeszcze romans należy z szarego tła uwydatnić, tak dla wybitnej, artystycznej wartości, jak i ze względu na to, że zawiera krytykę tyle znaczącego w Niemczech świata pastorskiego.

a chociaż nie dorównał sukcesem, militarnym romansom Beyerleina i Bilsego, był jednak gorliwie i chętnie czytany. To *pastor Klughammer* ogłoszony w r. 1903 przez Wilhelma H e g e l e r a, zajmującego od kilku lat poczestne miejsce w szeregu drugorzędnych powieściopisarzów. Jako powieść, bardzo zajmująca historya o pastorze, który, żyjąc od lat dziecinnych w nieprzyjaźni z bratem, zabija go w chwili, gdy ten chce mu zabrać żonę, gruby ów tom cennym jest przedewszystkiem, jako ilustracya rozdwojenia, panującego w protestanckiej hierarchii, a pośrednio i w całej religijności Niemiec. Z jednej strony staje surowa, nie znająca zmiłowania, doktryna staro-protestancka, z pojęciem Boga, jako groźnego i nieubłaganego mściciela wszelkich win, a człowieka, jako stworzenia nawskroś zepsutego i zdolnego do poprawy jedynie drogą wyrzeczenia się wszelkiej radości i uciechy tego świata — z drugiej literalny neoprotestantyzm, humanitarny aż do folgowania wszystkim i wszystkiemu, postępowy aż do odrzucania wiary w niektóre dogmaty, dawniej powszechnie przez wyznawców Lutra za przedmiot wiary uważane. Hegeler trzyma stronę liberalnych pastorów, ortodoksyjnym zarzuca krętactwo, intrygowanie i fałsz, niecofający się przed oszczerstwem; lecz bezstronny czytelnik, patrząc na ponurą czarność jednych, nie łatwo wierzy w anielską prawość drugich, zwłaszcza, że po obu stronach walka o dusze członków gminy przybiera wprost oburzające cechy konkurencyjnego współzawodnictwa handlarzów. Tak więc i stan pastorski, obok wojskowego najwybitniejszy, może w tym kraju najbardziej „niemiecki“, z kampanii r. 1903 nie wyszedł obronną ręką.

*

* *

Wszędzie zatem tylko duch zatruty narodu niemieckiego, wszędzie obraz zgnilizny moralnej i społecznej, ohyda, obnażana nie wiadomo, czy bardziej w uczuciu oburzenia zgorzkniałego patryoty, czy z wściekłą pasyą ptaka, co własne kala gniazdo? Więc w takim razie narody nienawidzące, lub przynajmniej nielubiące Niemców — a do nich chyba wszystkie dzisiaj na całym świecie należą — mogą się cieszyć po cichu, doznawać tego uczucia, które jeden Niemiec tylko wyraził w słowie: *Schadenfreude*? Bo przecież naród spróchniały od stóp do głów może jeszcze jakiś czas świecić fosforycznym blaskiem, ale w przyszłości rozsypie się na proch. Więc tak?

Wniosek byłby pośpiesznym i nieuzasadnionym, a jeśli Niemcom niemiłym, to dla innych ludów gorszym, bo szkodliwym, zważywszy, jak zgubnem jest niedocenianie wroga. Od takiej, za uczuciem, nie za rozumem idącej powierzchowności, ustrzeże nas znowu rzut oka na literaturę r. 1903. Tuż po powieści Beyerleina, jako najpopularniejszej, wymieniły zapytane wypożyczalnie książek *Jörn Uhla* Gustawa Freussena. Nie należy on, ściśle biorąc, do produkcyi ubiegłego roku, bo na księgarskie pułki dostał się jeszcze z początkiem r. 1902, a jednak niepodobna go tu milczeniem zbyć dla tego, że jest ogromnie ważnym i aktualnym dokumentem do poznania wzajemnych stosunków literatury i społeczeństwa w Niemczech w r. 1903. Olbrzymie powodzenie, jakie miał zaraz po ogłoszeniu dla mas, jest tem charakterystyczniejszem, że nie krytycy narzucili je społeczeństwu, lecz przeciwnie, ogół dopiero, powieść, przez fachowe koła prawie chłodno przyjętą, powszechnym plebiscytem za narodowe arcydzieło obwieścił; autora, aż do tego czasu skromnego pastora gdzieś w zapadłym kącie Schleswig-Holsteinu, za wielkiego poetę okrzyknął, i rozebrawszy pomiędzy siebie sto pięćdziesiąt tysięcy (!) egzemplarzów, ukochał z „Jörn Uhlem“ i poprzednie romanse autora, przez ówczesną krytykę całkiem zlekceważone. I dzisiaj niema domu niemieckiego — o ile on istotnie niemieckim jest — gdzieby „Jörn Uhl“ nie był prawie na równi z Biblią czytany. Jasnem więc jest, że ten fakt coś mówi, a zbadać jego znaczenie — oto w tej chwili nasze zadanie.

Książka to duża rozmiarami, ciężka wagą, czasem nawet uciążliwa w czytaniu. Miłośnik kategoryj literackich wsunąłby ją w szufladkę t. zw. *Bildungsromane*, przedstawiających rozwój duchowy bohatera od dzieciństwa zazwyczaj aż do starości. Rodzaj to w Niemczech i rozpowszechniony, i ulubiony, jak przystało na naród *der Dichter und Denker*. *Parcival* średniowiecznego pieśniarza Wolframa von Eschenbach jest jego poetyckim prototypem, Goethego *Wilhelm Meister* zrodził całe pokolenie podobnych, szczególnie w grupie romantyków (Novalis, Tieck i in.), a potem aż do najnowszej doby nigdy ich nie brakło. U nas ich bardzo mało, zapewne dlatego, że nie lubimy skojarzenia się poezyi z dydaktycznością, co właśnie Niemcom, z natury bardzo poważnym, podoba się. I taki dydaktyczny *Bildungsroman* o tendencyi aż dziwnie patryarchalnej i moralizatorskiej, budzi zachwyt pokolenia, zrodzonego z końcem XIX wieku! Kochaj Boga, wierz w siebie, pracuj niezmordowanie — oto słowa z tej książki, w niemiecki świat idące. Jörn (Jerzy) Uhl, holsztyńskie dziecko chłopskie, wzrasta bez matki u boku ojca, marnującego w karczmie mienie, i starszych braci, równie lekkomyślnych. Cichy i wytrwały, zamknięty w sobie, ma ambicyę: chce, jako najmłodszy

z rodzeństwa, a więc bez gruntu, uczyć się w mieście, zostać landratem. Próba się nie udaje, chłopak dalej nad sobą pracuje, lecz gdy widzi gospodarstwo z winy ojca i braci, chylące się ku ruinie, budzi się w niem pragnienie ratowania rodzinnej schedy: książki idą w kąt, czasem tylko ulubiony cyrkiel i luneta zajmują w wolnej chwili parobczaka, który w powszedni dzień od świtu do nocy sam jeden pracuje na roli, przy domu. W wojnie francusko-niemieckiej ranny pod Gravelotte, wraca do domu i dalej pracuje, jeszcze żmudniej, bo hulanki ojca i braci kosztują coraz więcej. Już dom i rola obdłużone ponad wartość, wierzyciel widzi jedynie nadzieję odzyskania pieniędzy w tem, aby Jörn objął całe gospodarstwo, braci precz oddalił, zostawiwszy tylko sparaliżowanego ojca. Uhl pracuje jeszcze bardziej, długi powoli już spłacać zaczyna, żeni się z serdeczną ale ubogą dziewczyną i jest szczęśliwy, całkiem szczęśliwy, gdy zostaje ojcem zdrowego chłopaka. Nagle spada jedno nieszczęście po drugiem: żona umiera, plaga myszy polnych niszczy do szczętu zasiewy, a gdy zmiana pogody zaczyna gubić szkodliwe zwierzęta, piorun zapala domostwo Uhla, pali się wszystko, ojciec, wyratowany z ognia, umiera... Jörn znajduje przytułek u krewnego matki. I znowu po latach jest lepiej: Jörn, bezdomny, nie wstydzi się w tym wieku być studentem, studyuje inżynieryę, żeni się z panną, którą znał od dzieciństwa, nie śmiejąc jednak patrzeć ku niej, bo ona z wyższej pochodzi sfery. I oboje są szczęśliwi, chociaż ślady przebytych nieszczęść i mozołów widoczne są w surowej powadze Uhla.

Artystyczny sąd wyrazi się o książce Freussena—z drobnemi zastrzeżeniami — jak najpochlebniej. Jest to wspaniała epopeja niemieckiego chłopa z bogatą rozmaitością postaci, od powszednich pijaków wiejskich, aż do mistycznych piastunek, z szeroką skalą nastroju, od szarości codziennego życia aż do łuny morderczej walki dwóch narodów. Wieje tu tchnienie wsi, tchnienie świeże i orzeźwiające, a dzięki usunięciu wszelkich religijnych, czy narodowych antagonizmów, tchnienie sympatyczne i dla obcego czytelnika. Nietylko ludzie tu żyją, żyją i zwierzęta domowe, i drzewa, pachnie ojczysty zagon, nawet płomień, niszczący strzechę, żywym jest i blizkim, w obrazowaniu i stylu naiwny realizm przenika się wzajemnie z mistycznym symbolizmem.

Dla nas, którzy w niemieckiej literaturze szukamy duszy niemieckiego narodu, „Jörn Uhl“ będzie ważnem pouczeniem i przestrogą. Mówi on i jego szalona popularność, że nie cały naród jest tam zepsutym, że są w nim zdrowe pierwiastki niemieckie, ale nie zachłanne, pracowite i pobożne, przedsiębiorcze a nie uparte. Holsztyńską ziemię zamieszkuje Jörn Uhl, bo tam, w tych północnych krai-

nach, zachowała się dawna jędrność i siła narodu, i to zarówno pomiędzy chłopstwem, jak i w sferze pastorskiej i nauczycielskiej inteligencyi, wreszcie obywatelstwa wiejskiego, owych junkrów, których opinię pruscy ich bracia tak bardzo w sądzie Europy poniżyli. A przytem, ileż szczegółowych rysów ciekawych dopatrzy się uważny czytelnik. Ot, choćby ten: Jörn Uhl porzuca dziedzictwo przodków, a po latach, doszedłszy do dostatku, patrzy wstecz na dawniejsze uparte trzymanie się rodzinnej gleby, jako na... błąd, tak wyraźnie: błąd. Jakżeż inna jest dusza polskiego chłopa!..

W chłopie dzisiaj siła i zdrowie niemieckiego narodu; wieśniak jest dzisiaj jedyną częścią tamtejszego społeczeństwa, nie zarażoną i nie nadpsutą. Znakomity krytyk niemiecki, Adolf Bartels, pisząc o nowszej literaturze, podkreśla, że od r. 1870 ma się w Niemczech niejako dwa społeczeństwa: jedno „nowoczesne“ (modern), złożone z rozmaitych części składowych, przechodzące europejskie choroby kultury i czasu, i drugie, związane jeszcze z Niemcami z przed r. 1870, żyjące po części w skostniałych formach życiowych, lecz w posiadaniu wyratowanych niektórych starych, idealnych dóbr. Dodajmy od siebie, że gdy tamte, pierwsze coraz bardziej rośnie i coraz wstrętniejszy przybiera wygląd, drugie maleje w zakresie t. zw. inteligencyi, robi się coraz nieznośniej filisterskiem, ograniczonem, poziomem, ale za to miłem, silnem i zdrowem jest we włościańskim stanie. Sami Niemcy poczynają sobie z tego zdawać sprawę, skąd pochodzi owo umiłowanie wieśniaka, owa „chłopomania“ — że użyjemy utartego u nas wyrażenia — tem tylko różniąca się od polskiej, że, wolna od sentymentalizmu, wypływa z jednej strony z realistycznego *credo*, z drugiej z etyczno-społecznych pobudek. „Chłopomania“ literacka stworzyła obecną „sztukę rodzimą“, w której wielu widzi odrodzenie i poezyi, i narodu, spowodowała olbrzymi rozgłos „Jörn Uhla“ i innych powieści Freussena, oraz *Jana Młynarza* (Vom Müller-Hannes) pani Klary Viebig.

Po raz drugi już autorka opowiadań z życia polskich wieśniaków, o których względnej bezstronności mieliśmy już sposobność w „Bibliotece“ mowić, po raz drugi staje w pierwszym szeregu powieściopisarzów: czem w ubiegłym roku dla szerokich kół był „Jan Młynarz“, tem w r. 1900 była *Babska wieś*, świetny produkt realizmu. W ostatniej powieści motyw zasadniczy nowością nie nęci: bogaty chłop, w gruncie rzeczy dobry, czasem nawet aż zanadto dobry, lecz przytem z szaloną pasyą popisywania się tem bogactwem i jeszcze gorszym nałogiem pijaństwa. Z tą zadziwiającą plastyką, która jest najistotniejszą cechą jej talentu, autorka przedstawia Jana w kar-

zmie, wśród chłopstwa, które pije na jego koszt, ale też za to głośno go wychwala, a jeszcze gorliwiej wyśmiewa jego wroga, Laufelda, starego sknerę. A jak potem lecą z kieszeni młynarza talary, jeden za drugim, w tłum dzieciaków, ot, tylko dla tego, że Hannesa bawi skłębiona masa ciał i gorączkowa innych gonitwa za groszem, którym on, on jeden, pogardzać może, bo go ma tyle! Wnet jest gorzej: Jan, zdrowa, sękowata natura chłopska, dostaje przypadkiem za zonę miłą, poczciwą, nawet niebrzydką, lecz nad miarę cichą i słabą kobietę. Ona go kocha, ale jeszcze bardziej się go boi, a już o kierowaniu mężem ani myśleć nie śmie. Do tego trzeba nieszczęścia, że zamiast upragnionego syna, rodzi się córka, a potem już długo nic więcej, aż wreszcie syn, lecz syn, w godzinę po urodzeniu martwy... Wnet idzie za nim matka, przedwcześnie zwiędła. Hannes teraz już pije, aby zapomnieć, aby się oszołomić... Robota we młynie coraz gorzej idzie, bo się nad rzeką usadowili inni, pracowitsi młynarze, i do nich wszyscy ze zbożem idą. I tak zdąża się szybkim krokiem ku katastrofie. Po pulsujących życiem scenach świetności Jana, nie mniej działają wyraziste obrazy jego upadku, haniebnego opuszczenia rodzinnej zagrody, zafantowanej wraz ze wszystkiemi sprzętami. A potem następuje uspokojenie. Jan, oślepły w skutek hulaszczego życia, cichnie, lecz żyje w nim dawna miłość młyna. I widzi się go idącego po omacku z nędznej chałupy, będącej jego obecnem mieszkaniem, ku opuszczonemu młynowi; idzie zrazu sam, potem ręką córki prowadzony. W tej zwłaszcza scenie jest tak przejmujący majestat smutku, że nie wiele piękniejszych kart wydała najnowsza powieść niemiecka. Koniec romansu jest bardzo charakterystycznym. Jan i Laufeld, niegdyś rywale i wrogowie, siedzą razem na przyzbie; pogodziło ich nieszczęście, bo wyrodny syn czyha tylko na śmierć ojca i schedę po nim. I w tej chwili budzi się w młynarzu dawna duma, dawna chęć tryumfu nad sknerą: nie pamięta o nędzy, nie martwi się już brakiem syna, tylko wobec tego ojca wyrodnego jedynaka pyszni się, że ma wprawdzie córkę, ale „jaką"!

Tej głębokiej narodowej treści, jaką ma „Jörn Uhl", powieść pani Viebig nie posiada, równa tamtej jedynie jako utwór artystyczny. Jej wielkie powodzenie dowodzi wspomnianej już powyżej „chłopomanii" dzisiejszego społeczeństwa, nadto zaś w granicach kwestyi literackich świadczy, w łączności z wieloma innemi zjawiskami, że w Niemczech na całej niemal linii zwyciężył ostatecznie realizm. Z łatwością możnaby wymienić długi szereg innych popularnych w r. 1903 powieści tego samego ducha. Lecz, scharakteryzowawszy jeden egzemplarz tego typu, przejść możemy do innych, roz-

głośnych powieściowych nowości tego okresu, tem się od omawianych dotychczas różniących, że mieszczą się zupełniej w sferze czysto literackich fenomenów.

*

* *

W ankiecie „Echa Literackiego“ *Listy, które go nie doszły*, zajmowały obok „Jena czy Sedan? i „Jörn Uhla“ pierwsze miejsce wśród książek rozchwytywanych przez klientów niemieckich wypożyczalni w r. 1903. Być może, że pierwotnie rozgłos w znacznej mierze był skutkiem drażniącej ciekawość, bezimienności tej książki. Dopiero bowiem w parę miesięcy później, jako autorka zdeklarowała się pani baronowa Elżbieta von *Heyking*, wnuczka sławnego romantyka Achima von Arnim, w drugiem małżeństwie żona niemieckiego posła dawniej w Pekinie, obecnie w Meksyku, podobno nie pozbawiona talentu malarskiego, a i w poezyi sił próbująca, we francuskim zbiorze wierszy „Fleurs de Lassitude.“ Z tych wszystkich dat najważniejsze są dwie: pokrewieństwo z romantykiem i małżeństwo z posłem w Chinach rezydującym. Z tych dwóch pierwiastków wypłynęły „Listy, które go nie doszły“.

Trzeba mówić ogólnie o „książce,“ żadna bowiem inna dokładniejsza nazwa nie byłaby zupełnie słuszną. Ani to powieść, ani opis podróży, ani pamiętnik, ani dzieło polityczne, a zarazem potroszkę ma się tu wszystko, od romansu do polityki. Są to listy, które nie doszły adresata, listy pisane przez jedną osobę do drugiej, przebywającej w Chinach, w czasie pamiętnych wypadków w r. 1900. Powoli, w ciągu korespondencyi dowiadujemy się bliższych szczegółów o tych obu osobach Oto listy pisze kobieta, córka niezamożnych właścicieli ziemi w Marchii Brandenburskiej, wydana dla bytu za mąż za człowieka, o którym tyle tylko się dowiadujemy, że wśród korespondencyi umiera w szpitalu obłąkanych. Adresatem listów zaś jest jakiś młody człowiek, żyjący od dłuższego czasu w Chinach i wśród tamtejszej europejskiej kolonii, zażywający słusznie dużego szacunku. Poznali się oboje, ona bowiem podróżowała z bratem, zmuszonym do tego handlowym zawodem, poznali się i przylgnęli do siebie, chociaż—jak wnosić wolno z tonu listów—do wyznania miłości pomiędzy nimi nie przyszło, a pozornie była to tylko wzajemna przyjaźń, szacunek i pokrewieństwo myśli. On został w Chinach, ona pojechała z bratem do Ameryki; pierwsze listy

wysyła z Vancouver, potem z Nowego-Yorku, a po krótkim pobycie w Europie, w Berlinie i w rodzinnem Garzinie, powtórnie do Ameryki przybywa. Listy datowane są w obrębie roku od sierpnia 1899. do tego samego miesiąca następnego roku, a nie przerywa ich ani jedna odpowiedź adresata. Zrazu sprawia to olbrzymia odległość Chin od Ameryki, potem przyczyną jest zamknięcie cudzoziemców w Pekinie i oblegnie ich przez rozszalałą dzicz „bokserów“. Kończy się korespondencya z chwilą, gdy pisząca te listy otrzymuje pewną wiadomość o zamordowaniu jej przyjaciela przez Chińczyków; w ostatnim ustępie jej brat donosi, że siostra rychło potem z żalu umarła, on zaś jej listy leżące długo na poczcie w Szangaju, w obec tego, że adresat zamkniętym był w Pekinie—po pewnem wahaniu oddaje w ręce ogółu.

Oto zewnętrzne kontury osnowy książki. Zważywszy, że od początku i osobisty stosunek tych dwojga osób i ich psychologiczny wizerunek z rozmysłu nie chce i nie może opanować czytelnika (o przyjacielu np. nie wiemy prawie nic), mamy tu niezwykłe zjawisko, że punkt ciężkości książki z woli autora leży niejako poza książką, jest w Chinach, o których tylko pośrednio się dowiadujemy. Zjawisko jest niezwykłe, prawie nienaturalne i zasadniczo nie można mu oszczędzać zarzutu sztuczności. W praktyce sztuczka nie zawadzi, nawet ona to zapewne książkę tak sławną zrobiła. Czytelnik bowiem właśnie dlatego, że uwagę jego wyzywa nie to, co się z piszącą listy dzieje, lecz to, co z adresatem, daleko będącym, a otoczonym przez to mgłą tajemniczą, czytelnik właśnie dlatego jest w nerwowem napięciu i razem z biedną kobietą sam niecierpliwie oczekuje wiadomości z Chin, razem z nią trwoży się po każdej złej wieści, razem z nią pociesza się każdą lepszą. A że serce czytelnika tak równo drga z sercem piszącej listy, to już nie sztuczka, ale rzetelna sztuka, dowód istotnego talentu autorki książki. Sztuka tem większa, że—jak powiedzieliśmy—ów adresat, jako osobistość jest dla nas ilością niewiadomą, a z drugiej strony losy całej gromadki Europejczyków w Pekinie zamkniętej, są nam przecież doskonale znane z dziennikarskich telegramów gorących miesięcy 1900 r.

Na tę sztukę składają się dwa czynniki: poezya i rozum. Pierwsza daje książce prawo do zaliczenia się w poczet utworów literatury pięknej, drugi rozstrzyga o jej niepośledniej politycznej i publicystycznej wartości. Poezyi jest dużo na tych kartach; przepojone nią są te tęskne westchnienia do dalekiego kochanka, te ciche skargi na własną niedolę, te nieśmiałe marzenia promiennej przyszłości u boku ukochanego, te ponure słowa rozpaczy wreszcie po jego stracie. Jak wspaniałą jest np. chwila, gdy podróżująca na statku po morzu dale-

kiej północy widzi wysoko na skale olbrzymiego białego niedźwiedzia trzymającego w łapach kości ostatniego zwierzęcia, którego w pustyni znalazł i pożarł. Ogląda się w około, jakby chciał powiedzieć: „Teraz jestem jedynowładzcą świata". Ale oto otwiera się czarna woda i wyłania się z niej potwór o cielsku węża, płetwach ryby a czerwonej grzywie konia morskiego, u mokrego pyska wisi mu trawa morska i resztki małych ryb—ostatnie, które jeszcze w morzu znalazł i pożarł. I jego także zielono szkliste ślepia zdają się mówić: „Teraz jestem sam jeden panem świata." Ale oto spostrzegły się ola: olbrzymi biały niedźwiedź i potwór morski. Płetwy smagają fale, łapy tkwią pazurami w skale. Jeszcze oba są syte, ale już mierzą się wrogiemi spojrzeniami, jako przyszłe wrogi. Cały świat pozbawiły ludności i spotykają się teraz w pustyni do ostatniego boju. Ten rozstrzygnie, kto pozostanie panem świata! Kobieta, która to w liście zamieszcza, miała talent malarski, jeżeli tak obrazy malowała, jak je pisała, ludzkość powinnaby po niej posiadać arcydzieła!

Rozum niemniej ważnym jest tej książki czynnikiem. Autorka posiada i bystrość i wytrawność sądu. Prawda, że w r. 1903 łatwiej było wydawać sąd o wypadkach r. 1900, niż wtedy oceniać tych ludzi a wypadki przewidzieć, lecz i tak rozproszone po książce spostrzeżenia i uwagi budzą zajęcie i przytakiwanie. Nieopatrzność dyplomatów, lekceważących sobie Chiny i Chińczyków, wyzyskiwanie tamtejszej ludności przez Europejczyków nietylko chciwych zysku, lecz co gorsze, nie mogących się go doczekać, a nie chcących go w godziwych granicach utrzymać, zbrodnicza spekulacya jednych, a lekkomyślne uganianie się za bezużytecznemi koncesyami innych; obdarowywanie Chińczyków na gwałt wszelkiemi istotnemi i rzekomemi zdobyczami cywilizacyi dla egoistycznych interesów europejskiego handlu z jednej strony, a niemądra fikcya o Chińczyku, jako barbarzyńcy z drugiej—oto spostrzeżenia, nadające książce przewagę politycznego rozumu. One sprawiają, że jeśli wszystkie inne, poprzednio omawiane powieści, nieraz wybitniejsze od tej, należą ostatecznie tylko do niemieckiej literatury, ta ma prawo wstępu do skarbca wszechświatowego piśmiennictwa.

Międzynarodowa to książka, ale jeszcze nie zupełnie nie niemiecka. Szukając pomiędzy wybitnemi powieściami niemieckiemi w r. 1903 takiej, któraby nic z narodowym gruntem nie miała wspólnego, znajdziemy tylko jedną taką, a ta znowu — charakterystyczne!— w spisie ulubieńców popularnych wypożyczalni świeci nieobecnością. Zaszedł tu wprost przeciwny wypadek niż z *Jörn Uhlem* Freussena: tam wezbrana fala ogółu porwała garstkę opierających się mu krytyków, tu napróżno codzienne, i tygodniowe i miesięczne pisma powta-

rzały: Henryka Mauna Boginie są arcydziełem. *Misera plebs* okrzykowi nie zawtórowała. I nic dziwnego, bo w tym trzytomowym romansie niemieckiego ducha jest chyba tyle, co owej scharakteryzowanej przez Bartelsa „nowoczesnej“ części niemieckiego narodu, to jest nic. Wyjąwszy krytyków, z natury i ćwiczenia zdolnych pojmować najskrajniejsze przeciwieństwa, nie można sobie pomyśleć człowieka ogarniającego równocześnie tą samą serdeczną miłością *Jörn Uhla* i *Boginie*.

A jednak książka ta istotnie godna poznania. Stoi przedewszystkiem osobą bohaterki, księżny Violanty Assy. Gdzieś nad Adryatykiem wznosi się stare zamczysko książąt Assy, wywodzących swój ród od północnych bogów Azów. W zamierzchłych czasach protoplastą rodziny był Björn Jeruside, przybyły z północy do pewnego miasta nad morzem liguryjskiem. Widząc, że go siłą nie zdobędzie posłał sługi do biskupa z oznajmieniem, że jest przyjacielem, chce się dać ochrzcić i spocząć w grobie w katedrze, bo czuje się śmiertelnie chorym. Chrześcianie uwierzyli mu. Żałobny orszak zaniósł trumnę ze zwłokami do kościoła. Wtedy Björn wyskoczył z trumny, z pod płaszczów drużyny błysnęły miecze, rozpoczęła się szalona rzeź łatwowiernych jagniąt. Ale wódz nie zaznał szczęścia, bo się dowiedział, że miasto, które z ziemią zrównał, nie Rzymem było, ale mizerną Luccą, a on przecież na pogrom Romy z dalekiej Skandynawii wyruszył. W rozpaczy tułał się orężnie po świecie, aż zginął; jak? może pod razami skrytobójców, może wśród świętokradzkiego napadu na jaki kościół, a może przy łupieniu jakiego kurnika lub w rowie przydrożnym lub niewidzialnie przez swych praojców, boskich Azów wniebowzięty? Godni takiego przodka byli potomkowie: nieustraszeni awanturnicy, namiętni kochankowie, mistyczni krzyżowcy, cyniczni swawolnicy. Jeden z nich np. Pierluigi d'Assy prowadził miłosno-dyplomatyczne intrygi na dworach w Turynie, Warszawie, Wiedniu i Neapolu. Królowa polska była dla niego łaskawą a on dla niej zgładził ze świata pięciu szlachciców, sam prawie na śmierć porąbany.

Ostatnią z tego rodu jest Violanta. Dzieckiem zostaje żoną starego wuja, po jego śmierci zachowawszy dziedzictwo ma niezliczone miliony. Z niemi, czysta a przemyślna jak bogini Diana, rozbija namioty w stolicy królestwa Dalmacyi, podległej królowi Mikołajowi. Geografia i polityka oczywiście zamiarowo fantastyczna, lecz mimo to w obrazie nawpół barbarzyńskiej ludności tego kraju jest duży zasób obserwacyi, widocznie na miejscu, w bałkańskich państwach, ludach i dworach czerpany. Jeszcze więcej podziwu budzi malowniczość i artystyczna plastyka tego tła, z którego w imponują-

cej piękności wykwita, jak egzotyczna roślina księżna Assy. Nudzi się i z nudów lituje się nad dalmatyńcami, chce ich uwolnić od jarzma obcego króla, posługuje się ku temu celowi agitatorem Pavicem, w swej naiwności uważającym się za pana i kierownika księżnej. Fantazyi tego wymyślonego powstania, poświęcony jest pierwszy tom, noszący napis „Diana". Z masy figur dwie groteskowo wydobywają się z tła: markiz San Bacco, Don Kichote wszelkich rewolucyi nie mogący spokojnie usiedzieć, gdy o „wolności" jest mowa i Rustschuk, żyd „kilkakrotnie ochrzczony", przewyborny typ międzynarodowego polityka—finansisty. Powstanie jednak sromotnie marnieje, księżna ledwo z życiem uchodzi, w Wenecyi odtrąca od siebie myśl o politycznem działaniu, rzuca się w objęcia sztuki, w pałacu nad lagunami, gromadzi genialne rzeźby michelangeleskowej artystki Propercyi i—międzynarodowych szarlatanów sztuki i miłości: to „Minerva", druga część trylogii. W ostatniej: „Venus", księżna nie znalazłszy szczęścia ani w polityce, ani w sztuce, szuka go w szalonych orgiach miłości, od ognistej namiętności, dochodzącej do bezprzytomnego, nadludzkiego wyuzdania. Olśniewająca jaskrawość kolorytu dwóch pierwszych części, tutaj przemienia się w oszołomiające skłębienie się nagich ciał, dyszących nieokiełzanem, a nigdy nie zaspokojonem pragnieniem rozkoszy, przechodzącej wytrzymałość ludzkich nerwów. Koniec tych orgii smutny, niemal za smutny, za cichy i bierny. Księżna leży śmiertelnie chora, wyczerpana niezliczonemi uściskami miłosnemi. Na chwilę przed zgonem, w gorączkowem majaczeniu widzi przed sobą długi korowód przodków... ona, ostatnia z ich rodu, skupiająca w sobie wszystkie ich namiętności, teraz wolna od nich, wyższa od nich...

I czyż ta powieść mogła dostąpić popularności *Jörn Uhla*? Jak swego czasu *Lucinde* Fryderyka Schlegla lub *Ardinghello* Heinsego—z wielu względów jej literackie prototypy, tak i *Boginie* prócz niemieckiego nazwiska autora, nie mają w sobie ani krzty niemieckości Bucha z nich żar prozaicznych poematów d'Annunzia, a tego romańskiego poety Niemcy nie rozumieją: zbyt są zdrowi, za mało kulturalni.

* *

*

W powieści spoczywa „sensacyjność" literatury niemieckiej w r. 1903. Bo te kilka dzieł omówionych tutaj, to oczywiście zale-

dwie drobna część wybitnych w tym okresie romansów. Gdybyśmy do nich dodali nawet utwory Omptedy, Roseggera, Maryi Ebner-Eschenbach, Gabryeli Reuter i in.—to i wtedy jeszcze nie wyczerpalibyśmy przedmiotu. Lecz nie o to tu przecież chodzi, ale o ogólną charakterystykę, a tej w możliwości granicach dokonaliśmy w sferze literatury powieściowej.

Dzieł dramatycznych z r. 1903—a właściwie z drugiej jego połowy, bo w pierwszej ani jedno znakomitsze nie ukazało się—układać w grupy czy kategorye nie można; owszem, chcąc odtworzyć rozmaitość teatralnego sezonu, wypadnie rozmyślnie przeskakiwać z motywu na motyw, zmieniać nastroje i style. Robiąc według znanego niemieckiego przysłowia, „z konieczności cnotę", w alfabetycznym porządku autorów przedstawimy najwalniejsze nowości dramatyczne, ciesząc się, że wynikła stąd zmienność tonów da wyobrażenie o niejednolitości dzisiejszej literatury dramatycznej w przeciwieństwie do daleko karniejszej powieści.

Na początku spotykamy Franciszka Adama Beyerleina tak dobrze znanego już autora *Jena czy Sedan*. Czem ta powieść była w swoim rodzaju, tem *Capstrzyk* jest w zakresie dramatu: największym do tej pory sukcesem teatralnym tego okresu. I tu wojskowe środowisko, tylko w dramacie oczywiście nie szeroko, epicznie ale zwięźle i koncentracyjnie pokazane życie koszarowe oficerów i żołnierzy niemieckich, oraz wzajemne ich stosunki. Tu i tam tendencya oskarżająca: w powieści zmiażdżenie całego systemu militarnego, w dramacie krytyka nieuczciwości i niehonorowości niemieckich oficerów. W obu razach publiczność stanęła po stronie autora, dowodząc tem może, nie koniecznie prawdziwości zarzutów, lecz napewne własnego upodobania w przysłuchiwaniu się takim zarzutom. Wachmistrz Volkhardt, wzorowy, przez wszystkich przełożonych, wyjątkowo ceniony podoficer, ma jedyną córkę Klarcię, dziewczynę piękną i dobrą, tylko nieco lekkomyślną. Nie bacząc na zgubne skutki, utrzymuje ona, uczciwy zresztą stosunek, z porucznikiem von Lauffen, w tych samych koszarach zamieszkałym. Ojciec może to i spostrzega, ale naturalnie niema odwagi żądać od porucznika tłómaczenia, tembardziej, że to syn ukochanego niegdyś generała, który mu w wojnie francuskiej życie ocalił. Lecz gdy ze szkoły podoficerów wraca Helbig, jego przybrane dziecko, zakochany po uszy w Klarci, Volkhardt na seryo myśli o pożenieniu młodych. Dziewczyna ani słyszeć o tem nie chce i zamiast do ślubu z Helbigiem idzie na schadzkę z Lauffenem. Na to wpada podejrzliwy narzeczony, przychodzi do sprzeczki między podoficerem a porucznikiem, pierwszy otrzymuje cięcie szablą, co gorsza, staje się winnym czynnego porwania się na przełożonego. Przed sądem wojskowym Lauffen i Helbig milczą

o przyczynie zajścia, ten z miłości dla narzeczonej, której czci nie chce z hańbić, tamten z tchórzostwa. Zgłasza się jednak, jako świadek, Klarcia i wyznaje wszystko. Jak się sąd na to zapatruje, nie wiemy, bo autor czysto mechanicznie w tej chwili trzeci akt kończy. W ostatnim Lauffen czuje wyrzuty sumienia: zniesławił dziewczynę, co gorsza, ojcu jej, wzorowemu żołnierzowi i człowiekowi, taki wstyd na stare lata zadał. Ale co robić dalej? jak naprawić błąd? Ożenić się z Klarcią? Gdyby tu był tylko teść, dałoby się od biedy znieść, ale ewentualność spowinowacenia z jakim kominiarzem... Nie; nie ma o czem myśleć. W tem przychodzi stary Volkhardt i—żąda pojedynku z uwodzicielem córki. Porucznik go nie przyjmuje: oficer przecież z wachmistrzem bić się nie może. Wtedy zhańbiony ojciec, który już w sali sądowej o mało co na Lauffena się nie porwał, mierzy do niego z pistoletu. Lecz w tej chwili ręka mu opada: „Nie mogę! On jest przecież moim porucznikiem! Nie mogę! Zanadto jestem tchórzem!“ Zamiast uwodziciela, zabija uwiedzioną.

O szalonem powodzeniu zadecydowało owo środowisko i tendencya tak miła w epoce „Małego garnizonu“. Krytyk, wyłącznie artystyczny, zgani kłopotliwe przerwanie trzeciego aktu, w czwartym potknie się o te słowa Volkhardta: „Nie mogę! On jest przecież moim porucznikiem!“ Oceniając rzecz z wyłącznie teatralnego punktu widzenia i tej scenie jednak nie odmówi wyrazistości i siły. Może nawet zabawić się w proroka: jak Odoardo (w *Emilii Galotti* Lessinga), Muzykus Miller (w *Intrydze i miłości* Schillera) Meister Anton (w *Maryi Magdalenie* Hebbla)—tak wachmistrz Volkhardt przejdzie do galeryi ojców uwiedzionych dziewczyn, a jego słowa długo jeszcze będą powtarzane.[1])

Mając na względzie tę literaturę, która niemiecką jest nietylko w swym języku, ale i w charakterze—nie możemy długo zatrzymywać się nad czteroaktową sztuką Ludwika F u l d y p t. *Novella d' Andrea*, chociaż przypuszczamy przeszczepienie tego utworu na grunt polskiego teatru. Nie niemiecki to dramat, lecz fuldowski, w ulubionym przez poetę stylu renesansowym, tak wdzięcznie wystę-

---

[1]) Nawiasowo stwierdzamy, że panującej dzisiaj złośliwej passyi ośmieszania Polaków, Beyerlein w obu dziełach: w powieści i dramacie daje folgę: tam najgłupszym rekrutem jest Polak Inosławski, w *Capstrzyku* jeszcze drastyczniejszą rolę odgrywa Wojciech Michałek, foryś porucznika Lauffena. Raz psuje to nawet dramatyczny nastrój, mianowicie w scenie sądu, gdzie dziwaczne polsko-niemieckie przesłuchiwanie Michałka musi wywołać wesołość, w tej chwili przez autora bynajmniej nie zamierzoną. *Przyp. aut.*

pującym w poprzednim dziele: „Bliźniaczych siostrach“. Tym razem chodzi o motyw zbliżony do „Nawojki“ p. Stanisława Rossowskiego: dziewczyna, studyująca naukę na uniwersytecie w Bolonii. Fulda chciał uniknąć zarzutu, że daje tylko dekoracyjną i kostiumową sztukę i dlatego dążył do pogłębienia osnowy nie bez wpływu wzoru, jaki Grillparzer pozostawił w dramacie o Safonie: Novella d'Andrea, podziwiana dla uczoności, chce także szczęścia, jako kobieta, chce szczęścia w miłości. Ale Giovanni da Sangiongio, aczkolwiek sam też biegły w prawie, kocha nie doktora w spódnicy, lecz rozstrzepaną Bettinę, zwyczajną siostrę niezwykłej Novelli tak, jak niegdyś Faon, przez wielką Safonę pożądany, tęsknił za skromną jej służebną dziewką Mellitą. Perypetye tego dramatu, aż do końca bardzo zajmujące, chociaż prawda, że ostatecznie czcze. Przedewszystkiem ten miły, nieposzlakowanie piękny w formie dramat renesansowy, daje wyobrażenie o Fuldzie, nie o literaturze niemieckiej i nie o niemieckiem społeczeństwie. Charakterystycznem jest, że powodzenie miał jedynie w Wiedniu, tej stolicy państwa Habsburgów, w ostatnich czasach, tem uparciej powtarzającej: jam niemieckie miasto, im bardziej niemieckiem być przestaje.

Niemieckimi natomiast są nawskroś Halbe i Hauptmann. Pierwszy przyjaznych w nas uczuć budzić nie może, wszak jego „Młodość“ a bardziej jeszcze „Matka ziemia“, to dowody polonofobii, za którą niczem innem, jak nienawiścią płacić nie można. Lecz nie wyrzekając się tego usposobienia, musimy w poecie uznać jednak ważny dokument do psychologii narodu niemieckiego. W ostatnim dziele, w „Rzece“, spotkamy go na szlakach najżywotniejszego obecnie kierunku literatury niemieckiej tej „sztuki rodzimej“, która w powieści wydała popularnego w r. 1903 *Jörn Uhla* Freussena i *Jana Młynarza* Klary Viebig. Autor czerpie soki z rodzinnej gleby, wschodnich dzierżaw państwa pruskiego, a roślina tym razem tem zdrowsza, że wykarmiła ją tylko miłość, bez współudziału nienawiści i jest to pierwszy dramat Halbego, w którym nie ma na szczęście imienia polskiego, niema zatem i polonofobii, chociaż rzecz dzieje się nad polską rzeką. Co więcej, Wisła jest właściwie bohaterką sztuki, pojęta bardzo poetycznie i bardzo głęboko, z tą elementarną poezyą i głębią, jaką ma np. u Ibsena morze.

Wisła kocha ludzi, zamieszkujących jej brzegi, ale świadoma swej siły i majestatu, bez litości karze tego, kto jej siłę lekceważy, majestat narusza. W rodzinie Doornów jest od kilku pokoleń piecza nad rzeką, nad jej groblami i tamami, obrona przed jej wylewami i krami. I słusznie: bo domostwo Doornów zbudowane tak, że rozhukany żywioł wodny jemu najprzód straszliwie może się dać

we znaki. Szczęścia w rodzinie Doornów nie ma, starszy Piotr ma wszystko, lecz ma i robaka sumienia za to, że ukrywszy testament ojca, zagarnął całą schedę ojcowską, krzywdząc młodszych braci, oni zaś, Henryk i Jakób, którym ojciec za życia obiecywał dużą część dziedzictwa, teraz pozbawieni schedy, czują krzywdę, tłumią żal do starszego brata. Zwłaszcza Jakób; Henryk bowiem skończył przynajmniej szkoły, jest inżynierem przy regulacyi rzek, gdy najmłodszy, nie posyłany do szkół, ma na zawsze być sługą brata. Goryczy dosyć już byłoby. Pomnaża ją kobieta. Renata jest dzisiaj żoną Piotra, niegdyś jednak starał się o nią biedniejszy, co prawda, Henryk, a Jakób w chorobliwych nawpół i nawpół dziecinnych marzeniach także o niej myśli. Renata nie zna radości: miała dzieci, Wisła je zabrała. Jak się to stało, nie wie ani ona, ani mąż; Piotr mówi, że rzeka wyciągnęła po nie mściwe ręce, w dzieciach karząc go za krzywdy jej zadane przez zbudowanie tam i grobli, za krzywdy braciom zadane przez zagarnięcie całej schedy. Renata o tem nie wiedziała, aż Piotr złamany ciosem, aby sobie ulżyć, wyznał jej zbrodnię, obciążając jej sumienie współwiną w tajemnicy.

Z tych czynników, tak żywo przypominających skandynawskiego mistrza, lecz w opracowaniu zupełnie indywidualnych, buduje Halbe dramat. Jego szczegóły, mógłby jedynie bardzo drobiazgowy rozbiór odsłonić, a na to miejsca tu nie starczy. Trzeba się ograniczyć do podania po scharakteryzowaniu początku—końca tragedyi. Wytwarza się ona w chwili, gdy młodsi bracia dowiadują się o zatajeniu testamentu; cicha dotychczas walka pomiędzy nimi, a krzywdzicielem wybucha z żywiołową potęgą, której wtóruje zgroza oczekiwanego niechybnie wylewu Wisły, pod parciem lutowych zatorów. Jakób walczy z Piotrem do upadłego, rozrywa tamę, aby rozhukaną rzekę puścić na rolę, bezprawnie przez brata posiadaną. Starszy brat spieszy bronić mienia, a w dramatycznej walce giną obaj. Zostaje tylko Renata i Henryk. Ich końcowy dyalog jest bardzo charakterystyczny.

H e n r y k. Piotr padł za nas wszystkich Renato! Piotr ocalił tamę i ziemię.

R e n a t a (cicho). A Jakób?

H e n r y k. On był ofiarą! Kto ma odwagę ogłosić go winnym?

R e n a t a, złamana, cicho łka.

Katastrofa wspaniała, o ile dotyczy Piotra i Jakóba, nie zadowala odnośnie do Renaty i Henryka. Poza osłoną głębokich rezultatów, kryje się czczość nic nie mówiącego frazesu. Lecz jeśli krytyka

artystyczna wytknąć musi nieudolność autora, w rozwiązaniu postawionego po ibsenowsku zasadniczego problemu, to nam dramat Halbego znowu część niemieckiej duszy odsłania. A podobną cenę ma także i najnowszy utwór Hauptmanna *Róża Bernd*[1]). Ziemię nad Wisłą i Łabą zastępuje tutaj rodzinny Śląsk, a akcya i charakterystyka wybitnych postaci dostarcza wielu przyczynków do poznania tamtejszego ludu niemieckiego. Szczególnie religijne wierzenia i usposobienie protestanckiej ludności, kontrast liberalnych i cyników z pietystami i pobożnisiami, narysowuje się bardzo dokładnie. Po za tem i środowiskiem śląskiem i wykonaniem, *Róża Bernd* łączy się z dawniejszym *Woźnicą Henschlem*, z całego już dość długiego szeregu hauptmanowskich dramatów niewątpliwie najbardziej stylowym, bo najkonsekwentniejszym w obranym przez siebie stylu. Podobieństwo sięga nawet szczegółowych motywów. Jak woźnica, mając żonę schorzałą, wystawiony był na pokusy, widząc w domu zdrową dziewkę i ostatecznie rychło po śmierci tamtej z Hanną się ożenił, tak w pierwszej scenie ostatniego dramatu widzimy Krzysztofa Flamma, żonatego z chorą i cichą kobietą, pokryjomu utrzymującego stosunek ze zdrową i silną Różą, ubogą dziewczyną. Że tak nie godzi się postępować, że ta zdrada małżeńska jest złem, o tem ani Flamm, ani autor jednem słowem nie wspominają. Miłość zmysłowa pojęta jako prawo natury. Dobrze, ale przykrym a zupełnie niepotrzebnym jest dodatek, przypominający niedostrzegany, co prawda, dla wielu szczegół z *Hanusi*, gdzie poeta rzuca podejrzenie na niebeszczkę Matternową, jakoby biedne dziecko było owocem jej miłości po za małżeństwem i nie z mężem. Tutaj nieraz mówi się o tem, że Róża była serdeczną towarzyszką jedynego dziecka Flammów, ku ogromnej boleści obojga rodziców przedwcześnie zmarłego: ile razy pan lub pani Flamm spojrzą na nią, przypominają sobie Kurta. Skombinujmy to z erotycznym, czysto zmysłowym stosunkiem Flamma i Róży, a otrzymamy moment nieznośny i to wynikły nie z konieczności, lecz poprostu z pseudo-naturalistycznego kaprysu poety.

---

[1]) Ponadto w styczniowym zeszycie z r. 1904, lecz jeszcze w połowie grudnia 1903, ogłoszonym, odmłodzonego miesięcznika *Die neue Rundschau*, znajduje się niesłychanie ciekawy fragment dramatycznego poematu Hauptmanna p. t.: *Pieśń pasterzów*, z r. 1898, z owych czasów wahań się duszy poety, których wyrazem był współczesny *Zatopiony dzwon*. Jako nienależącego do literatury r. 1903, nie możemy tego auto-psychicznego poematu tutaj rozbierać, polecamy go jednak wszystkim, pragnącym wniknąć w dzieje rozwoju duszy Hauptmanna. (P. a.).

Razi to tem bardziej, że zresztą *Róża*, jak *Woźnica*, jest paradygmatem czystego realizmu. Stąd pochodzi zwięzłość i prostota akcyi. Oto jej zrąb: Kochając Flamma, dziewczyna musi się bronić przed natarczywością mechanika Streckmanna, łakomego na każdą ładną kobietę, i przed cichemi, nieśmiałemi konkurami Augusta Keila, pracowitego i zamożnego introligatora, przez starego Bernda popieranego: obaj bowiem w żarliwej pobożności i zelotyzmie protestanckim przypadają sobie do smaku. Podły Streckmann, podpatrzywszy schadzkę Róży i Flamma, grozi, że zdradzi ją przed ojcem i narzeczonym, chyba, że dziewczyna swem ciałem za milczenie zapłaci. Róża zrozpaczona oddaje mu się, a potem, nękana okropnemi myślami, przyśpiesza małżeństwo z Keilem, byle znaleźć spokój. Zanim to jednak stać się może, tryumfujący Streckmann w sprzeczce z Augustem i starym Berndem chełpi się z powodzenia u kobiet, rzuca na Różę podejrzenie, w bójce wybija introligatorowi oko. Proces—nie o uszkodzenie ciała, bo pokorny August przebacza, ale o oszczerstwo, bo stary Bernd niesławy nie znosi. Przed sądem Róża krzywoprzysięga, że Streckmann kłamie (chociaż, jak twierdzą niemieccy prawnicy, samo dopuszczenie jej do przysięgi jest w tym wypadku przepisami kodeksu zabronionem i niedopuszczalnem), wnet jednak wina jej wychodzi na jaw, wszyscy ją przyznają, nawet Flamm dotknięty tem, że nietylko jemu się oddała. Rodzi się dziecko—czyje? Flamma czy Streckmanna? niewiadomo — które zrozpaczona matka dusi, a potem w szaleństwie żandarmowi się wydaje. Ojciec przeklina ją, tylko Keil ma słowa litości: „Ta dziewczyna, co ona musiała przecierpieć!“... Koniec trochę melodramatyczny, lecz bardzo rozumnie chroniący poetę przed zarzutem tendencyjności: wyśmiewany i niesympatycznie nakreślony zelant Keil nie ciska kamieni na nieszczęśliwą, jak towarzysz jego modłów, stary Bernd, ale ma dla niej wyrozumienie i przebaczenie na równi z panią Flamm, żyjącą etyką, nie katechizmem [1]).

---

[1]) Firma dr J. Marchlewski i S-ka, o której wydawnictwach na innem miejscu obszerniej mówimy, wydała *Różę Bernd*, w polskim przekładzie Jana Kasprowicza. Tłómaczenie wierne, bardzo polskie (z jednym wyjątkiem rażącego germanizmu), język jędrny, niekiedy tylko w wyrażeniach zbyt drastyczny i brutalny. Sztuka w Krakowie, mimo na ogół dobrej gry, miała powodzenie tylko w skromnych granicach dla tego właśnie, że jest tak bardzo niemiecko-protestancką w osnowie, realistyczną (nie efektownie naturalistyczną!) w stylu. (P. a.).

Alfabetyczny porządek autorów do realistycznego dramatu, głęboko w niemieckim i protestanckim gruncie tkwiącego, *Róży Bernd* przybliża sztukę, przenoszącą czytelnika i widza w zamierzchłą przeszłość, do obcego kraju. A jednak *Elektrze* Hugona von Hofmannsthala musi się przyznać nietylko indywidualny walor, jak było np. z *Boginiami* Henryka Mauna. Owszem, jest to może jedyne wybitne dzieło niemieckiej literatury pięknej z r. 1903, którego przeszczepienie na polski grunt nie napotkałoby na żadne inne przeszkody, po nad te, z któremi ma do walczenia w ojczyznie poety. *Elektra* owa ma znaczenie ani nie narodowo-niemieckie, ani nie indywidualistyczne, lecz międzynarodowe, ogólno światowe, bo jest objawem prądu słabego może i przez wielu wprost ignorowanego, niemniej jednak istniejącego tak dobrze w Niemczech, jak we Francyi, jak wreszcie w Polsce. Przypadek zdarzył, że właśnie polska poezya wydała niemal równocześnie z *Elektrą* Hofmannsthala dzieło tego samego ducha i stylu: *Achilleis* Stanisława Wyspiańskiego. Oba utwory są symptomami renesansu, któremu chronologicznie — po humanizmie i po epoce Winkelmanna—należy się numer trzeci, a duchowo przydomek... histerycznego. Sofokles stopiony z poetyczną, ale chorobliwą romantyką Henryka Kleista (*Kasia z Heilbronnu i Penthesilea*) z mistyczną nastrojowością dawniejszego Maeterlincka, z rozhukaną żywiołowością duszy zamkniętej w dekadenckiem ciele u d'Annunzia (*Umarłe miasto*), wreszcie z suggestyjnym czarem mowy Hofmannsthala—oto jego *Elektra*, w Berlinie podobno cudownie w tytułowej roli grana, w czytaniu niemniej dziwacznie piękna, jak np. Wyspiańskiego illustracye do pierwszej księgi *Iliady*.

Sztuka oczywiście poklasku mas nie zyskała, ale poeta też zapewne nie pragnie ich, nie dba o nie. Za to przypuszczam, że ponowna klęska, jaka dotknęła Hermanna Sudermanna, była dla niego przykrą niespodzianką. Gdyby tu chodziło tylko o zepchnięty z repertuaru po kilku przedstawieniach dramat, nie mielibyśmy wcale powodu urządzać mu pogrzebu w polskiem piśmie. Lecz przyczyny klęski są tak ciekawe, tak wiele o usposobieniu dzisiejszego społeczeństwa niemieckiego mówią!

Przedewszystkiem matematycznym jest pewnikiem, że jeśli kiedy, to w r. 1903 właśnie Sudermann chciał zwycięztwa Z końcem poprzedniego roku stoczył ową sławną batalię z niemieckimi krytykami, wykazując im czarno na białem, jakiemu „zdziczeniu“ ulegli. Argumentów użył dużo, lecz ostatecznie ten jeden tylko szedł mu z serca i przekonania: niemiecka krytyka teatralna zwyrodniała, bo

kilka ostatnich moich dramatów zganiła. Zaczepieni odpowiedzieli z miejsca: ależ te dramaty były liche. Po takiej wymianie zdań Sudermann miał dwie drogi na przyszłość: albo nie pisać odtąd nic, albo lepiej napisać dramat, któryby i publiczność i, co ważniejsza, owa krytyka, za dobry uznać musiała. Trzeba więc popłynąć raz z prądem, dać coś, co drastycznie mówiąc, będzie wyjęte z ust publiczności i ogółu. I dał *Przewrotowca Sokratesa*, dał satyrę na zbankrutowany liberalizm, wiedząc, że dzisiaj szyderstwo na ten temat popłaca, dał je w okraszeniu motywów i dowcipów z *Simplicissimusa*, tego popularnego monachijskiego czasopisma humorystycznego. Przerachował się...

Gdzieś w małej mieścinie, na dalekim wschodzie państwa niemieckiego, żyją niedobitki wolnomyślnych bojowników r. 1848, trzymających wysoko spłowiały sztandar ówczesnego liberalizmu, przez związkowe rządy prześladowanego i zwalczanego. Żyją w śmiesznej ułudzie, że są niebezpiecznymi dla panującego stanu rzeczy, przewrotowcami, którym należy gromadzić się w tajemnicy przed landratem i każdej chwili być gotowym do męczeństwa. Środowisko znakomicie zaobserwowane, o komizmie nie pozbawionym głębszego podkładu. Dotąd więc jest wszystko dobrze. Ale w kreacyi naczelnika tego oczywiście dobrodusznie przez rozumniejszą władzę tolerowanego, rzekomo „tajnego związku, w postaci t. zw. przewrotowcy Sokratesa“, dentysty Alberta Hartmeyera, autor nie stanął na wysokości zadania, bo nie umiał, czy nie chciał, zdać sobie jasno sprawy z tego, jakim ma być ten nowoczesny Don Quichote. Smutnym czy śmiesznym, tragicznym czy komicznym, czy i tym i tamtym potrosze? Otóż u Sudermanna jest wahanie się, nie jednolitość lub synteza, prawie tchórzliwe oglądanie się na wszystkie strony po zebranych widzach, by i tym się przypodobać i tamtym nie narazić. W kłopocie, autor ucieka się do trywialności; trywialnym jest np. cały „konflikt“: Albert Hartmeyer ma syna, również dentystę, ale lepiej z nowszą techniką wyrywania zębów oznajomionego, a więc ku zgorszeniu ojca liczniejszą klientelą pacyentów obdarzonego. Prawda, jakie to wzniosłe? Ale to nic wobec ostatecznego konfliktu: stary Hartmeyer dotknięty jest do żywego w swych przekonaniach, bo syn jego przyjął wezwanie do dworu książęcego, gdzie ma wyrwać ząb... psu, czego stary naturalnie nie mógł zrobić, nie chcąc zadać kłamu szczytnym republikańskim i liberalnym zasadom z r. 1848! Prawda, jakie to wzniosłe? A gdy landrat w końcu zirytowany przystępuje do rozwiązania „tajnego“ .klubu, jeden z jego członków ukrywa archiwum, gdzie? w łóżku kelnerki, którą wszyscy „przewrotowcy“ wieczorami

i nieco później odwiedzali... zapewne, by i niemieckie „dziewice“ jednać dla świętej sprawy. Prawda, jakie to zabawne?! Najzabawniejszem, co prawda, jest niepowodzenie tego dramatu. Niewątpliwie znaczną jego część trzeba przyjąć na rachunek artystycznych niedomagań utworu, lecz śmiemy twierdzić, że publiczność odepchnęła rzecz, kierując się instynktowo, czy świadomie i innemi, narodowo-politycznemi pobudkami. Oto Sudermann przerachował się, sądząc, że *już* można drwić w Niemczech z liberalizmu. Trupem on, ale jeszcze niepogrzebanym, jeszcze niezapomnianym, drwić można z niego po cichu, nie głośno i publicznie. *Et hoc meminisse juvabit.*

Simplicissimus zbałamucił Sudermana i na nic się potem biednemu autorowi nie przydało wypieranie się w broszurce chęci ośmieszania ideałów r. 1848. Z obozu głośnego monachijskiego pisma humorystycznego wyszedł jednak cały poczet ogromnie popularnych pisarzów. Żałujemy, że Ludwik Thoma w r. 1903 nie wystawił żadnego dramatu, bo byłaby sposobność pomówienia o najwierniejszym przedstawicielu tego typu. Mamy za to Franka Wedekinda, bez wątpienia jednego z najbardziej indywidualnych pisarzów obecnej doby. Wobec tego, że chociaż w r. 1903 przedstawiono kilka jego dramatów (*Markiz von Keith*, *Erdgeist*, *Tak iem jest życie*, *Puszka Pandory*), żaden z nich tego roku po raz pierwszy w druku się nie ukazał; ze względu zresztą, że przy Wedekindzie nie o poszczególne jego dzieła, lecz o indywidualność autora chodzi—jej tylko kilka słów poświęcimy.

Nie łatwo jednak pisać o Wedekindzie, bo ma się tu do czynienia z tysiącem niejednokrotnie sprzecznych pierwiastków. W samej już formie i technice dramatycznej, reminiscencye z czasów niedołęstwa sztuki teatralnej, z okresu szopek i maryonetek, łączą się tu dziwacznie z wykwitem, niemal przerafinowanym modernizmu; olśniewająca błyskotliwość i zręczność w prowadzeniu akcyi z rozczulającą naiwnością, czy karygodną nieudolnością. A w treści? niepełny anarchizm ducha, cynizm czy *moral insanity*, z patryarchalnością na wpół filisterską, na wpół szanowną i — czystą.

*

* *

Lecz, przeszedłszy w ten sposób najwybitniejsze zjawiska literackie r. 1903 z zakresu powieści i dramatu, słyszymy zwrócone do sprawozdawcy pytanie: a gdzie poezya? czyżby jej wcale w r. 1903 nie było? Naturalnie, że była. Falke, Liliencron i Dehmel, ta trójca najznakomitszych obecnie poetów, tworzyła wiersze, jak w poprzednich latach, z drugiego szeregu miły Hugo Salus, nieobliczalny Arno Holz, gromadzili koło siebie garstkę słuchaczów, lecz głośniejszem było jedno tylko dzieło: Ryszarda Dehmela *Dwoje ludzi*, romans w romanzach! Autor, przywódza prawdziwej, nie pozującej na ten epitet schyłkowej liryki niemieckiej, stworzył tu dzieło, które odrzucić można, lecz zlekceważyć nie podobna. Fabuła banalna, jakby umyślnie zaczerpnięta z literatury pokojówek: Luz wykrada jakiemuś księciu Leę, czy też ucieka z nią nawet i kradzieży aktów nie zapominając. To punkt wyjścia erotyków, dziwnie dwoma szlakami idących: rozbujałej zmysłowości, przypominający kult Pryapa w starożytności, i męczącej, w przepastnych głębiach się nurzającej, po niebotycznych szczytach bujającej myśli. Słusznie cytowano przy tem dziele i Rodina i Sâr Péladana... Koniec: zlanie się uczucia miłości z ukochaniem świata, zidentyfikowanie „ja“ z wszechświatem, daje książce prawo do nazwy wszechludzkiego poematu. W formie znowu nęcące pomieszanie trywialności z mistycyzmem.

*

* *

Od czasów Goethego i romantyków literatura niemiecka była zbiornikiem, w którym się gromadziło wszystko, co Europa wydaje godnego przekładu na obcy język. I dziś tak jest, mimo że w innych dziedzinach życia narodowego Niemcy tak są jednostronni i zachłanni. Nikt nie zaprzeczy, że droga do sławy literackiej obecnie przez Niemcy przechodzi, przypominamy np. fakty z najnowszych dziejów: Niemcy zrobili popularnym Multatuli'ego, Bernarda Shawa, drogą na Berlin szedł także Gorki na sceny europejskie.

Rok 1903 i tutaj się zaznaczył: z rosyjskich pisarzów i dzieł Gorkiego *Schronisko nocne*, Andrejewa nazwisko, dzięki Niemcom, dostąpiły rozgłosu. Z innych narodów w owym okresie czasu, przedewszystkiem Oskarem Wilde'm zaopiekowali się Niemcy, jego dramatami *Salome* i *Kobieta bez znaczenia*, jego nowelistyczną książką *Drzewo granatowe*. Niemcom przypisać należy sławę *Listów miłosnych angielskiego dziewczęcia*, anonimowej książki, w Anglii. będącej wprost sensacyą, u nas, niestety, zupełnie nieznanej.

Szczególnie jednak obchodzi nas stanowisko, jakie literatura polska zajęła w Niemczech w r. 1903. Wyniki badań są bardzo zajmujące i dowodzą, że hakatyzm żyje równocześnie z ciekawością do polskiej literatury. Berlińska firma Ottona Jankego, dzierżąca prym w wydawaniu polakożerczych romansów, zarazem najwięcej przyczynia się do spopularyzowania w Niemczech, w tanich książkach, Sienkiewicza, nawet *Krzyżaków*. A oto spis autorów polskich, których powieści i nowele ukazały się w r. 1903 w niemieckiem tłómaczeniu (nb. uwzględniamy tu jedynie książki, nie czasopisma): Dygasiński, Jeske-Choiński, Konopnicka, Neuwert-Nowaczyński, Orzeszkowa, Przybyszewski, Rodziewiczówna, Sienkiewicz, Sieroszewski, Szymański, Tetmajer, Weyssenhoff, Żeromski. Spis dość długi i ostatecznie nie tak źle wybrany. Z zestawienia różnych dat wnioskujemy, że największem powodzeniem cieszą się w Niemczech powieści historyczne polskie i z zakresu t. z. „sztuki rodzimej", a pozwalamy sobie tłómaczom przedewszystkiem te ostatnie zalecić (np. *Anastazya* Orzeszkowej stanowczo miałaby w Niemczech powodzenie). „Modernizm" polski Niemcom jakoś nie imponuje, np. Przybyszewskiego cztery dramaty pod ogólnym tytułem: *Taniec miłości i śmierci*, przeszły w niemieckim przekładzie prawie niepostrzeżenie. Jako *curiosum* notujemy, że jedyną polską premierą w niemieckich teatrach w r. 1903, która doszła do naszej wiadomości, była... jednoaktówka Michała Bałuckiego: *Von der Käthe* (czy to *O Józię?*), odegrana 17 grudnia w Norymberdze, lecz bez powodzenia.

Rok 1903 w sferze polsko-niemieckich stosunków literackich pod pewnym względem stanowić będzie epokę. Powstała w Monachium poważna firma nakładowa: „Dr J. Marchlewski i S-ka", przez umiejętnego Polaka kierowana, nietylko daje gwarancyę starannego wyboru autorów i tłómaczów (wydała dotąd Dygasińskiego, Sieroszewskiego, Szymańskiego i Żeromskiego), lecz w braku konwencyi literackiej pomiędzy Rosyą a innemi państwami, zabezpiecza materyalne prawa polskich pisarzów poddanych rosyjskich, wydając ich dzieła

w pierwszych wydaniach, którym w ten sposób udziela ochrony niemieckiego kodeksu.

Tak więc, jeśli w przyszłość literatury niemieckiej patrzyć będziemy z ciekawością, co przyniesie, to o losy polskiej literatury w Niemczech spokojniejsi dziś możemy być, niż kiedykolwiek.

Dr Józef Flach.

SEN.

I.

Pierwsze próby wytłómaczenia snu na podstawie fizyologicznej podjęte zostały dopiero w drugiej połowie ubiegłego stulecia. Przedtem zajmowano się niemal wyłącznie marzeniami sennemi, które dzięki swej tajemniczości już w czasach najdawniejszych podniecały ciekawość i wyobraźnię ludzką i dla umysłów niekrytycznych do dziś dnia stanowią niewyczerpane źródło fantastycznych baśni i przesądów. Naiwna psychologia ludów pierwotnych i dzikich w widziadłach sennych upatrywała wydarzenia życia rzeczywistego, przypisywała wartość realną przedmiotom i istotom wyśnionym. Jako następstwo tej wiary prostaczej, niezbędne dla pogodzenia sprzeczności, psychologia ta przyjąć musiała połączenie w człowieku dwóch istot różnych i niezależnych od siebie. Podczas snu jedna istota pozostaje w spoczynku, druga oddala się, przedsiębierze dalekie wędrówki, walczy z dzikiemi zwierzętami i nieprzyjaciółmi, wreszcie w chwili obudzenia powraca do ciała śpiącego. Mieszkańcy Nowej Zelandyi utrzymują, że we śnie duch opuszcza ciało, że sny są to przedmioty, widziane przezeń w czasie wędrówek. Ten sam pogląd spotykamy wśród Indyan północno-amerykańskich, Grenlandczyków, Karenów, Tagalów, Dajaków i wielu innych plemion, stojących na niższych szczeblach kultury. Malajczycy nie budzą śpiącego z obawy, żeby nie zaszkodzić ciału, opuszczonemu przez ducha. Możemy zatem przypuszczać, że pierwotny realistyczny sposób pojmowania marzeń i widziadeł sennych narzucił człowiekowi pojęcie duszy niezależnej od ciała, przybranej jednak w umyśle dzikiego w grubą szatę materyalizmu. W następstwie teorya ta, wsparta na oddziaływaniu innych doświadczeń życiowych, staje się materyałem, z którego wyrastają wierzenia religijne, wiara w życie pozagrobowe, w nieśmiertelność duszy (Tylor).

Obok wiary w rzeczywistość marzeń sennych, zaznacza się wyraźna dążność do symbolicznego ich pojmowania. Sny uważane są

jako znaki, zsyłane przez zmarłych dawniej przodków, bogów, demonów, geniuszów, którzy czuwają nad losami ludzi, udzielają śpiącym wskazówek, ostrzegają przed grożącem im niebezpieczeństwem, zachęcają do spełnienia tych lub innych czynów. Yrokezi w postępowaniu życiowem stosują się do nakazów, otrzymywanych we śnie. Malagasi zachowują się z religijną czcią względem snów, uważając je za objawienie dobrego demona. Podobne wierzenia widzimy wśród Kafrów, Tahityjczyków, Zulusów [1]). Wiara w symboliczne i prorocze znaczenie marzeń sennych wspólną jest prawie wszystkim narodom starożytnym: Egipcyanom, Persom, Chaldejom i Żydom. Zoroaster, pisząc Zend-Avesta, znajdował się pod wpływem natchnienia, zesłanego we śnie. Historya Starego Testamentu świadczy, że Pan Bóg ukazywał się w czasie snu ludziom, przez Siebie wybranym, rozmawiał z nimi i pouczał, co mają czynić. Znane są wszystkim symboliczne sny Jakóba, Józefa, Faraona.

Tego rodzaju pojęcia, przystosowane do ogólnego charakteru wierzeń religijnych, odnajdujemy również w świecie klasycznym. W starożytnej Grecyi wznoszono do Merkurego modły z prośbą o zsyłanie snów dobrych, szczęśliwych. W świątyniach Isis i Serapis proszono bogów o współczucie i litość, jeżeli sen przykry zwiastował nieszczęście. Nie dziw więc, że, wobec rozpowszechnionej wiary w oddziaływanie snów na życie ludzkie, zawodowi ich tłómacze (ὀνειρόπολοι, ὀνειροσκόποι) cieszyli się wielką popularnością i poważaniem wśród wszystkich warstw społeczeństwa greckiego. Zabobonne wierzenia, głęboko zakorzenione wśród gminu, znalazły oddźwięk w poezyi i filozofii. W legendach Homera bohaterowie czerpią pobudki do czynów w marzeniach sennych, przez Zeusa zsyłanych. Takim jest sen Agamemnona w drugiej księdze Iliady. Bogini Atena ukazuje się śpiącemu Telemakowi i nakazuje powrót pod strzechę rodzinną (Odysseja). Poeta Hezjod nazywa sny dziećmi nocy, zamieszkującemi ponure otchłanie państwa podziemnego, Eurypides—synami ziemi i czarno uskrzydlonymi duchami.

Nawet filozofia nie zdołała rozwiać tej mgły tajemniczości i mistycyzmu, w jaką sen został spowity w poezyi i wierzeniach gminu. Porphyriusz uważa sen, jako dzieło dobrego geniusza, który odsłania ludziom tajemnicze i nienawistne zamiary złych duchów. Pythagoras przypisuje marzenia senne oddziaływaniu unoszących się w powietrzu duchów i geniuszów. Zbliżone pojęcia, różniące się tylko

---

[1]) Herbert Spencer: Zasady socyologii, tłóm. Potocki. Warszawa, 1889. Tom I, str. 131.

w szczegółach, znajdujemy u Heraklita, Diogenesa z Apolonii, Stoików, w pewnym również stopniu u Sokratesa i Platona. Nawet Arystoteles nie zdołał wyzwolić się z pęt mistycyzmu, jakkolwiek pierwszy z filozofów greckich usiłował wytoczyć mu walkę. Mimo odrzucenia wielu przesądów i baśni, mimo krytycznego oświetlenia pewnych faktów, uznał w powstawaniu marzeń sennych pierwiastek boskości. Najsłynniejszy lekarz starożytności Hippokrates, który w pismach swoich pozostawił wiele trafnych spostrzeżeń i uwag o zachowaniu się ustroju ludzkiego w czasie snu, sądził również, że marzenia senne pochodzą od bogów [1]).

Rzymianie, jak świadczy ich poezya, literatura, historya, byli pod tym względem wyznawcami pojęć, przekazanych im w spuściznie przez Greków. Sny, uważane początkowo, jako wskazówki istot wyższych, nadziemskich, kierowały czynami wybitnych działaczy politycznych. Znakomity lekarz rzymski, Galen (ur. 131 r. po Chr.), mimo rozległej wiedzy i olbrzymich zasług na polu medycyny, wierzył w znaczenie snów symboliczne i prorocze. I wiara ta przetrwała niemal do połowy XIX stulecia. Odnajdujemy ją w Historyi Nowego Testamentu, w pismach ojców Kościoła, w dziełach znakomitych lekarzy, myślicieli i filozofów. Paracelsus, słynny lekarz czasów średniowiecznych (ur. w r. 1493), wypowiada pogląd mistyczny, że w czasie snu nadziemska część duszy, żądna wrażeń nowych i podniosłych, wznosi się ku gwiazdom.

Rzecz jasna, że w miarę ewolucyi umysłowej, forma tych poglądów ulega zmianie pod wpływem innych kierunków myśli ludzkiej, kształtuje się odpowiednio do uznawanego w pewnej chwili ogólnego światopoglądu. Oddziaływanie bogów, geniuszów, demonów, aniołów, nawet Boga, pojmowanego w duchu chrześcijanizmu, stopniowo odpada. Natomiast wyłaniają się spekulacye teoretyczne, które wyrastają na gruncie panujących w różnych czasach systematów filozoficznych. Na dnie tych spekulacyj kryje się jednak wiara, będąca echem z ubiegłej przeszłości. Jest nią trudne do zwalczenia przekonanie wewnętrzne, że dusza ludzka jest siedliskiem sił utajonych, głęboko ukrytych, posiadających jakąś moc nadprzyrodzoną. Siły te, skrępowane więzami ciała, ujawniają swoją moc i potęgę w czasie snu, będącego wyzwoleniem ich stanu czynnego. Wówczas występu-

[1]) Szczegółowy wykład poglądów na sen znajdzie czytelnik w dziele Paul'a Radestock'a: Schlaf und Traum. Leipzig, 1879 i R. Pfaff'a: Das Traumleben und seine Deutung nach den Principien der Araber, Perser, Griechen, Inder und Aegypter. Leipzig, 1868.

ją na widownię zjawiska, które zdają się naigrawać ze świadectwa zmysłów i zdrowego rozsądku. Jeszcze w XIX wieku Schelling, znany idealista-filozof głosi, że podczas snu duch ludzki wyzwala się z więzów cielesnych i w marzeniach sennych odsłania treść swojej istoty wewnętrznej. W stanie tym dusza nabywa zdolności odgadywania rzeczy utajonych i przyszłych. Pogląd Schelling'a rozwijali dalej z pewnemi zmianami Fichte, Schubert, w stopniu słabszym Scherner i Volkelt. Widzimy zatem, że teorya snów przybrała szatę nieco odmienną, niemniej jednak mistyczną, a wraz z tem utrzymała i nawet rozwinęła do śmiesznej przesady dawną wiarę w znaczenie snów symboliczne, prorocze (np. Scherner). W mniemaniu symbolistów marzenia senne są najszlachetniejszą, najczystszą cząstką naszego ducha; ujawniają doskonałość największą z powodu zerwania wszelkich ze światem rzeczywistym stosunków.

Dalej myśl ludzka poczyna się rozdwajać na dwa rozbieżne, nic wspólnego nie mające kierunki. Z jednej strony, jako spuścizna po mistycznej spekulacyi filozofów, powstają mrzonki spirytystyczne, teorje o oddziaływaniu telepatycznem i jasnowidzeniu. Tę dążność do nadnaturalności podsycają nadto przesądy i zabobony, przekazane przez wiarę poprzednich pokoleń i zakorzenione głęboko w umysłach ludu prostego i niewykształconego. Z drugiej zaś strony, wyłania się dążność do rozwiązania odwiecznej zagadki na drodze krytycznego, naukowego myślenia.

Rozwój nauk przyrodniczych, udoskonalone metody badania, ogólny kierunek mechanistycznego pojmowania spraw fizyologicznych—zwróciły myśli i dążenia badaczów na nowe zupełnie tory. Zrozumiano, że sen jest tylko jedną z licznych funkcyj ustroju zwierzęcego, że jako zjawisko fizyologiczne musi być wynikiem współdziałania sił fizykochemicznych, ustrojowi właściwych, że każde usiłowanie, podejmowane w celu wyjaśnienia tej tajemniczej sprawy, winno opierać się na doświadczeniu i ścisłem spostrzeganiu faktów. Tłómaczenie zaś marzeń sennych, zamiast odwoływać się do utajonych sił nadnaturalnych, winno być ściśle związane z poznaniem praw, rządzących światem zjawisk duchowych podczas stanu czuwania, i procesów mózgowych, będących ich podłożem anatomofizyologicznem. Atoli właściwa ludzkiemu umysłowi chęć sięgania wzrokiem poza granice, nakreślone faktami, sprawiła, że nawet prace naukowe nie są wolne od przymieszek spekulatywnej natury. Uwydatnia się to w pochopie do pośpiesznego stawiania teoryj, z których każda, mimo skąpego materyału faktycznego, pragnie rozwikłać sprawę całkowicie, pragnie wyjaśnić mechanizm i bezpośrednią przyczynę snu, i w tym celu zatacza kręgi o wiele szersze, niż pozwalają fakty. Punktem wyjścia

badań odnośnych są najczęściej analogie, pojęcia, przeszczepiane z innych działów fizyologii ludzkiego i zwierzęcego ustroju. Stąd też każdego, interesującego się bliżej tą sprawą, uderzyć musi nieodpowiedniość pomiędzy ubóstwem materyału faktycznego i względnie dużą liczbą przeróżnych hypotez. Nic więc dziwnego, że hypotezy te grzeszą brakiem dostatecznego uzasadnienia, że nie są w stanie wyjaśnić większości zjawisk i faktów, w dziedzinie snu spostrzeganych. W fizyologii ludzkiego ustroju niema chyba ani jednego zagadnienia, które mogłoby się poszczycić równie wielką liczbą pozbawionych wszelkiej podstawy faktycznej hypotez. Stoimy wobec zagadki, której rozwiązanie należy do przyszłych dociekań i badań.

II.

Już powierzchowna obserwacya poucza, że sen jest pierwszorzędną potrzebą każdej istoty żyjącej, jest niejako odpoczynkiem, odnową materyałów i sił, zużytych podczas pracy dziennej, w stanie czuwania. W rzędzie licznych funkcyj, zmierzających do utrzymania równowagi życiowej każdego ustroju, sen zajmuje miejsce niezwykle ważne, ważniejsze nawet od funkcyi żywienia się. Nader wymowne w tym względzie są doświadczenia Maryi Manasein[1]), których wyniki zostały przedstawione na międzynarodowym zjeździe lekarskim w Rzymie w 1894 r. Młode 3—4 miesięczne szczenięta, pozbawione snu w ciągu 5 dni, skazane były na niechybną zagładę mimo ogrzewania i doskonałego karmienia. Z 10 szczeniąt, użytych do doświadczeń, cztery zginęły śmiercią po upływie 4—6 dni. Pozostałych najtroskliwsza nawet pielęgnacya nie mogła utrzymać przy życiu. Mniej zabójczym dla zwierząt jest wpływ kilkunastodniowego głodzenia. Zwierzęta, pozbawione pokarmu w ciągu 20 dni, mimo olbrzymiego wychudzenia, mogły być jeszcze uratowane od grożącej im śmierci. Manaseina dodaje, że ogólny stan zwierzęcia jest cięższy po 5 dniach bezsenności, niż po 15 dniach głodu. U zwierząt, snu pozba-

[1]) M. M. Manaseina: Son kak tret' żizni czełowieka, 1892, str. 42. Szczegółowy opis tych doświadczeń podany jest również w dziele G. v. Bunge'go: Lehrbuch der Physiologie des Menschen. Leipzig, 1901. Bd. I. str. 242.

wionych, występuje cały szereg zaburzeń. Już w drugim dniu doświadczenia, temperatura ciała obniża się o 0,5—0,9° C. Liczba czerwonych ciałek krwi w jednym milimetrze sześciennym zmniejsza się o połowę. Na sekcyi znajdowano przepełnienie białemi ciałkami krwi przestrzeni limfatycznych w mózgu oraz mniejsze lub większe wynaczynienia w istocie szarej.

Rzecz jasna, stosowanie wniosków, otrzymanych z doświadczeń na zwierzętach, do człowieka—wymaga licznych zastrzeżeń i omówień. W każdym jednak razie, opierając się na analogii, jaka zachodzi pomiędzy organizmem ludzkim i zwierzęcym, z drugiej zaś strony na faktach z dziedziny patologii, przyznać musimy, że i w życiu człowieka sen odgrywa pierwszorzędną rolę, że każde poważniejsze zakłócenie tej funkcyi musi odbić się niekorzystnie na zdrowiu, obniżyć sprawność życiową ustroju. Do szkodliwych następstw bezsenności, spotykanych często w praktyce lekarskiej, zaliczyć można wychudzenie, niedokrwistość, utratę łaknienia, bóle głowy, silny rozstrój nerwowy, który przy sprzyjających okolicznościach doprowadzić może do wybuchu choroby umysłowej. Dr. Hammond opisuje przypadek, w którym nastąpiła śmierć chorego skutkiem dziewięciodniowej bezsenności. Tak szybka śmierć nasuwa jednak pewne wątpliwości i czyni prawdopodobnym współudział innej jeszcze sprawy chorobowej. W każdym razie jest rzeczą pewną, że człowiek, zupełnie snu pozbawiony, nie może się utrzymać przy życiu. Niepodobna tylko określić bliżej czasu, po jakim śmierć może nastąpić. W starożytnych Chinach istniał podobno zwyczaj karania przestępców powolną śmiercią, osiąganą na drodze sztucznej bezsenności. Bunge podaje fakt, zaczerpnięty z dzieła Winslow'a, w którym skazany na bezsenność zbrodniarz zmarł po 19 dniach męczarni.

Widzimy zatem, że sen jest niezbędnym warunkiem życia, jest konieczną potrzebą człowieka i zwierząt. Posuwając się w uogólnieniu jeszcze nieco wyżej, niektórzy biologowie twierdzą, że potrzebie tej podlega nie tylko cały świat zwierzęcy, ale nawet roślinny. Wiadomo, że pewne rośliny i kwiaty, np. akacye, mimozy, poczynają o zmierzchu stulać swe listki, zbliżać je wzajemnie ku sobie. Dopiero pierwsze promienie słońca budzą je z uśpienia. Stąd też, zdaniem biologów, sen jest powszechnem zjawiskiem życia, powstałem skutkiem przystosowania się istot żyjących do warunków nocy [1]).

---

[1]) Prof. Józef Nusbaum: Z zagadnień biologii i filozofii przyrody. Lwów, 1899.

Stopień zaspakajania potrzeby snu, jest różnym na różnych szczeblach drabiny zwierzęcej. Zmienną jest przedewszystkiem długość snu czyli czas jego trwania, oraz głębokość, czujność. Oceniając znaczenie snu dla ustroju, należy zawsze pamiętać o tych dwóch jego właściwościach. Tutaj wyłania się przed nami zagadnienie niezmiernie ciekawe i do rozwiązania trudne. Mianowicie, powstaje pytanie, na czem polega różnica snu człowieka i zwierząt, jakie jest wzajemne ustosunkowanie głębokości i długości snu wśród istot, stojących na różnych szczeblach filogenetycznego rozwoju, czy istnieje bliższy związek pomiędzy organizacyą psychofizyczną i właściwościami snu danego zwierzęcia. Z góry przewidzieć można, że odpowiedź na powyższe pytania, wobec dzisiejszego stanu nauki, nie będzie zadawalającą i ścisłą. Badanie zwierząt połączone jest z dużemi trudnościami technicznej natury. O głębokości ich snu, zamiast miary i ścisłych obliczeń, które znalazły już zastosowanie w odpowiednich doświadczeniach na ludziach, rozstrzyga ogólne wrażenie, jakie sprawia zachowanie się śpiącego zwierzęcia. Zauważono bowiem oddawna, że niektóre zwierzęta podczas snu, bez żadnej widocznej przyczyny, wykonują pewne ruchy, jako to: poruszają łapami, głową, drżą na całem ciele, stroszą uszy, szczerzą zęby, wydają ciche, niewyraźne głosy, będące słabem odtworzeniem dźwięków, właściwych im podczas stanu czuwania. Śpiące ptaki wodne poruszają nieraz nogami w taki sposób, jak gdyby zamierzały pływać (Bennet). Wczesną wiosną różne gatunki ptaków, z główką pod skrzydło schowaną, wydają we śnie dźwięki ciche, pozbawione melodyi. Spostrzegano je nawet u słowików. Przykre skomlenie psów śpiących znane jest powszechnie. U młodych cieląt widziano ruchy warg, przypominające ssanie. Konie parskają i ujawniają żywe ruchy mimiczne. Ten niepokój zwierząt śpiących uważany jest przez wielu badaczy (np. przez Burdach'a, Sanctis'a) za niewątpliwą oznakę marzeń sennych, za wyraz zewnętrzny odtwarzanych w ich umyśle obrazów i wzruszeń. Inni znowu badacze, pragnący życie duchowe zwierząt zamknąć w ramach nieco węższych, upatrują w nim zjawisko natury fizyologicznej, odruchowej. Nie przesądzając na razie tej kwestyi, możemy przyjąć, że niepokój ten znajduje się w stosunku odwrotnym do stopnia głębokości snu. To znaczy, że sen, przerywany ruchami lub dźwiękami, musi być lżejszy, powierzchowniejszy od snu spokojnego. W zachowaniu się śpiącego zwierzęcia mamy więc poniekąd miarę, na której podstawie możemy sobie wytworzyć ogólne pojęcie o charakterze snu. Pewne wskazówki w tym kierunku daje nam również rodzaj, a właściwie natężenie podniety, zastosowanej w celu obudzenia śpiącego zwierzęcia. Jasnem jest bowiem, że pies, budzący się

pod wpływem najlżejszego szelestu, spać musi lżej, czujniej od takiego zwierzęcia, na które w tym celu oddziałać musi podnieta silniejsza np. krzyk lub głośne wołanie. Niżej poznamy specyalne metody, oparte na powyższej zasadzie i służące do określenia głębokości snu człowieka. Systematyczne ich stosowanie u zwierząt, nasuwałoby olbrzymie trudności i, o ile mi wiadomo, dotychczas przez nikogo nie zostało podjęte. Dlatego też sądy nasze o głębokości snu zwierząt mogą posiadać jedynie wartość względną. Nadto w badaniach odnośnych zaznaczyć należy pewną trudność w doborze odpowiedniego materyału. Badacze nie zawsze mają możność dokonywania spostrzeżeń lub doświadczeń na własną rękę. Często zmuszeni są poprzestawać na świadectwie osób innych, które przez czas dłuższy stykały się bezpośrednio z życiem zwierząt, na odpowiedziach, udzielanych za pośrednictwem kwestyonaryuszów przez myśliwych, hodowców, właścicieli menażeryi i kierowników ogrodów zoologicznych.

Z licznych faktów, tą drogą zebranych, ograniczę się na przytoczeniu kilku najważniejszych. Wszyscy badacze zgadzają się jednomyślnie, że na sen zwierząt wywierają wpływ olbrzymi czynniki atmosferyczne, fizyologiczne, a nawet psychiczne. Każde niemal zwierzę okazuje dziwną wrażliwość na wszelkie zmiany barometrycznego ciśnienia. W mniemaniu starożytnych Greków jeż obdarzony był zdolnością odgadywania pogody. Wpływ ten ujawnia się w postaci snu lekkiego, ustawicznie przerywanego ruchami, dźwiękami i niepokojem ogólnym. Zjawisko to zauważono podczas nocy, poprzedzających deszcz lub burzę. Ptaki wodne np. poruszają się żywo i wydają dosyć głośne okrzyki. Dzikie zwierzęta, które w warunkach zwykłych śpią dosyć spokojnie, podczas niepogody ustawicznie zrywają się ze snu. Pewien niepokój okazują również konie i psy.

Z pośród czynników fizyologicznych, które oddziaływają w tym samym kierunku, zaznaczyć należy wpływ rui, czyli okresu zaspakajania popędu płciowego. Zwiększona ogólnie wrażliwość zwierzęcia, czyni sen jego lekkim, powierzchownym. Zauważono również ujemny wpływ stanów chorobowych i niezaspokojonego uczucia głodu. O znaczeniu czynników psychicznych świadczy kilka spostrzeżeń, zebranych przez profesora psychiatryi w Rzymie S. Sanctis'a [1]) i dotyczących psów myśliwskich. Polowanie np., jako czynnik, skupiający czasowo całą działalność duchową zwierzęcia, wywołuje sen lekki i niespokojny. Zachowanie się psa śpiącego przybiera wówczas formę

[1]) Dr. Sante de Sanctis: Die Träume. Halle, 1901, str. 33. Tłóm. z włoskiego Dr. Schmidt.

wzruszenia, zależnego od odtwarzania wrażeń, podczas dnia odebranych. Pies przetrawia je nadal i marzy. Mamy tu poniekąd zjawisko podobne do powierzchownego snu człowieka, którego stan duchowy w ciągu dnia ulegał wzruszeniom i wysiłkom myślowym.

Przykłady powyższe wykazują, że głębokość snu zwierząt zależną jest od wpływu rozmaitych czynników. W rzeczywistości liczba ich musi być o wiele większa, że wymienię znaczenie klimatu, otoczenia, zwyczajów zwierzęcia, środków, przy których pomocy zdobywa ono pożywienie, wreszcie większej lub mniejszej zdolności przystosowania się do warunków zewnętrznych. Ponieważ niektóre z tych czynników oddziaływają stale, w szeregu pokoleń, możemy zatem przypuszczać, że biorą one znaczny udział w kształtowaniu się potrzeby snu i w formie jej zaspakajania. Tutaj zapewne tkwi źródło poważnych różnic, jakie pod tym względem zachodzą wśród różnych gatunków zwierząt.

A priori należałoby się spodziewać, że zwierzęta muszą spać czujniej od człowieka, ponieważ okoliczność ta zapewnia im możność utrzymania się przy życiu w walce o byt. Zawczasu zbudzone mogą szukać ratunku w ucieczce przed wrogiem lub przyjąć pozycyę obronną. Człowiek, obdarzony wyższą inteligencyą, stawia namioty, szałasy, schroniska, buduje domy mieszkalne, w których czuje się mniej narażonym na niebezpieczeństwa, grożące mu z pośród otoczenia i z większą swobodą zażywa wywczasu. Odpowiednio do zwiększonej głębokości snu, czas jego trwania może być skrócony. U zwierząt winniśmy spostrzegać zjawisko odwrotne: sen lekki, często przerywany, który powinienby być dłuższym dla zapewnienia ustrojowi należytego wytchnienia. I istotnie niektóre fakty zdają się przemawiać na korzyść tego przypuszczenia. Wiadomo powszechnie, że pewne zwierzęta, np. psy, śpią bardzo długo, lecz niezmiernie czujnie. Sen człowieka przecięciowo jest dwa razy krótszy, lecz o wiele głębszy. Według dowcipnego objaśnienia Bunge'go, odwieczna przyjaźń człowieka i psa, będąca jakby odmianą współżycia (symbiozy), ma swoją przyczynę w skreślonych przed chwilą właściwościach snu obojga tych istot. Człowiek, śpiący snem względnie głębokim, narażony był na napaści dzikich zwierząt i wrogów. Pies, budzący się pod wpływem najlżejszego szelestu, szczekaniem ostrzegał swego przyjaciela o grożącem mu niebezpieczeństwie. Na podstawie tych faktów odnosimy wrażenie, że długość snu i jego głębokość w pewnych przypadkach znajdują się do siebie w stosunku odwrotnym. Byłoby jednak błędem uogólniać ten wniosek i rozciągać go na wszystkie istoty żyjące. U wielu bowiem gatunków zwierząt spostrzegamy połączenie snu krótkiego i lekkiego zarazem. Dziwnie małą np. jest potrzeba

snu ptaków (Brehm). Z odpowiedzi, udzielonych Sanctis'owi, wynika, że konie, trzymane w stadninach i niezajęte pracą, sypiają tylko 6 godzin na dobę. Pod względem głębokości sen ich jest lepszy, aniżeli człowieka. Ryby, według badań Beer'a, posiadają przeciwnie sen długi i głęboki. Z zestawienia licznych faktów wypływa, że sen człowieka jest stosunkowo najgłębszy, lżejsze stopnie snu właściwe są zwierzętom przeżuwającym, najlżejsze — mięsożernym i domowym. Szersze jednak nogólnienia o wzajemnem ustosunkowaniu długości i głębokości snu, oraz o zależności jego od organizacyi psychologicznej zwierzęcia na podstawie dotychczasowych badań, były przedwczesne. Należy się spodziewać, że dopiero bliższe zainteresowanie się życiem zwierząt zdoła nieco tę sprawę wyjaśnić.

Ale nawet w granicach życia ludzkiego, stopień potrzeby snu nie jest wielkością stałą. Ulega on zmianom pod względem głębokości i długości, zależnie od wieku, kultury, inteligencyi, znużenia, stanów chorobowych i wielu innych, bliżej nie zbadanych czynników. Niemowlę śpi prawie ciągle, jedynie przez 2—3 godziny na dobę zmysły jego stoją otworem dla wrażeń świata zewnętrznego. Dziecko jednoroczne przesypia większą część swego życia, czuwa zaledwie 6 godzin na dobę. Nadto sen jego jest bardzo głęboki. Często zdarzało mi się badać dzieci kilkumiesięczne, dotykać zimnemi rękami, przewracać z boku na bok, nie przerywając ich snu. Z wiekiem długość snu wybitnie się zmniejsza. Człowiek dorosły, cieszący się zdrowiem, sypia przecięciowo od 6 do 8 godzin na dobę, co w ogólnym rachunku stanowi niemal trzecią część całego życia. Opowiadają, że Humboldt, Kant, Goethe, Szyller, a więc ludzie, których życie ześrodkowywało się w pracy duchowej, sypiali bardzo mało. Napoleon I zadawalał się często 4-ma godzinami nocnego spoczynku. Stosunkowo najmniej sypiają ludzie starsi, w wieku około lat 60. W okresie późniejszym, wraz z upadkiem władz umysłowych i przewagą życia roślinnego, potrzeba snu zaczyna się zwiększać; człowiek stary, na schyłku swego życia, staje się podobnym do dziecka. Spostrzeżenia te, zaczerpnięte z codziennej praktyki, zdają się prowadzić do wniosku, że długość snu znajduje się w stosunku odwrotnym do natężenia życia duchowego i inteligencyi, pojmowanej w szerszem znaczeniu. Potwierdzają to również spostrzeżenia, dotyczące ludów dzikich i stojących na niższych szczeblach kultury. Ludy te poświęcają nocnemu spoczynkowi daleko więcej czasu, niż mieszkańcy krajów o wyższej kulturze i prócz tego posiadają niezmierną łatwość zasypiania wśród najniekorzystniejszych warunków. W myśl tego, co powiedziano wyżej, można sądzić, że sen ich jest czujniejszy, lżejszy od naszego.

Człowiek dorosły sypia, jak rzekliśmy, około 6—8 godzin na dobę. W czasie tym głębokość snu ulega stałym i nader ciekawym wahaniom, opisanym po raz pierwszy przez Kohlschütter'a. Stopień głębokości snu mierzono siłą dźwięku, który budził śpiącego. Analogiczne badania, prowadzone w dalszym ciągu przez Mönninghoff'a, Piesbergen'a i Michelson'a [1]), dały niemal jednomyślne wyniki. Badania były uskuteczniane przy pomocy kulek metalowych, które z rozmaitej wysokości spadały na postawioną u wezgłowia śpiącego płytkę metalową. W ten sposób otrzymano krzywą, która graficznie wyobrażała zachowanie się głębokości snu w różnych momentach czasu od chwili zaśnięcia. Podług Michelsona, krzywa głębokości snu w ciągu pierwszych kilkunastu minut przebiega zupełnie nizko, później szybko się wznosi i osiąga maximum wysokości po upływie 45 minut. W tem położeniu pozostaje mniej, niż $^1/_2$ godziny, następnie szybko, później coraz wolniej opuszcza się ku dołowi, zbliżając się do linii poziomej. Innemi słowy, sen człowieka jest najgłębszy przy końcu pierwszej godziny od chwili zaśnięcia, później staje się coraz bardziej powierzchownym.

Metoda Kohlschütter'a nie jest wolną od kilku zarzutów. Przedewszystkiem zwrócono uwagę na to, że podczas snu funkcya ośrodków słuchu nie u wszystkich ludzi zostaje upośledzoną w jednakowy sposób, że mniejszy lub większy stopień zawieszenia tej funkcyi, nie może być równoznaczny z głębokością snu ogólnego, który jest zawieszeniem funkcyi wszystkich ośrodków zmysłowych. Tylko oddziaływanie na wszystkie narządy zmysłowe śpiącego mogłoby zapewnić badaniom rękojmię ścisłości. Takie jednak doświadczenie, możliwe w teoryi, wobec olbrzymich trudności technicznych, w praktyce przeprowadzić się nie da. Przed kilku laty (1900 r.) badacz włoski, Lambranzi, w celu określenia głębokości snu, usiłował połączyć oddziaływanie bodźców dźwiękowych, wzrokowych i węchowych. Te ostatnie, z powodu rezultatów ujemnych zmuszony był wkrótce odrzucić. W doświadczeniach tych posługiwał się przyrządem dźwiękowym Kohlschüttera i 20 świecami, umieszczonemi na ruchomej płycie stołu. Zapalając je stopniowo w coraz większej liczbie, otrzymał wreszcie światło, które budziło śpiącego. W każdem doświadczeniu Lambranzi określał dwie krzywe, jedną przy oddziaływaniu bodźców słuchowych i wzrokowych zosobna, drugą przy wzajemnem ich połączeniu. Pojedyncze zastosowanie bodźców, dało wyniki bardzo podobne do po-

[1]) E. Michelson. „Untersuchungen über die Tiefe das Schlafes. Diss. Dorpat, 1891."

danej już przez nas krzywej Michelsona. Głębokość snu początkowo szybko wzrasta i dochodzi do maximum w pierwszej połowie drugiej godziny od czasu zaśnięcia. Później sen staje się lekkim i od godziny 2 do 5 zachowuje poziom jednakowo niski. Około godziny 6-ej występuje na krzywej nowe wzniesienie ze spadkiem początkowo szybkim, później coraz wolniejszym. Wzniesienie to, odpowiadające pogłębieniu snu w godzinach rannych, zostało uwydatnione już poprzednio w krzywej Mönninghoff'a i Piesbergen'a: I rzeczywiście wielu ludzi utrzymuje, że tylko sen nad ranem zapewnia im prawdziwe wytchnienie. Zdaniem Bunge'go, to drugie wzniesienie na krzywej—cechuje sen ludzi nerwowych *(Neurastheniker curve)*.

Przy jednoczesnem zastosowaniu bodźców dźwiękowych i świetlnych, Lambranzi zauważył, że obudzenie występuje szybciej, niż przy oddziaływaniu na pojedyńczy zmysł wzroku lub słuchu. Absolutna wysokość krzywej, odpowiadająca głębokości snu, staje się wówczas znacznie mniejszą. Możemy więc przypuszczać, że zastosowanie podniet na wszystkie zmysły śpiącego, zmieniłoby jeszcze więcej wysokość i charakter krzywej.

Inni badacze, jak np. Czerny, Sanctis, posługiwali się bodźcami innego rodzaju. Pierwszy, określając głębokość snu u dzieci, stosował różnej siły prąd faradyczny, Sanctis zaś oddziaływał na zmysł dotyku i bólu. Badania te jednak nie zostały doprowadzone do końca.

Z drugiej jednak strony zaznaczyć muszę, że zasada, na której wspierają się powyższe sposoby określania głębokości snu, nie może być uważana za bezwzględnie słuszną. Forel[1]) zauważył, że niektóre podniety, względnie nawet silne, lecz często się powtarzające (np. bicie zegara ściennego), nie budzą śpiącego, podczas gdy podniety słabsze, lecz mające bliższy związek z jego całą umysłowością, natychmiast przerywają sen. Matka, śpiąca przy dziecku, zachowuje się obojętnie względem turkotu wozów lub gwaru rozmowy, lecz najmniejsze poruszenie i westchnienie dziecka, budzi ją z uśpienia. W dziele Höffding'a znajdujemy przykład, w którym oficer marynarki, śpiący wśród głośnego gwaru, zerwał się natychmiast, skoro wyszeptano wyraz „sygnał." Jeżeli sen nastąpił pod wpływem działania stałej rytmicznej podniety, raptowna przerwa w jej oddziaływaniu może grać rolę bodźca, budzącego ze snu. W podróży koleją najczęściej budzi nas z uśpienia zatrzymywanie się pociągu na stacyach.

---

[1]) Dr August Forel. „Der Hypnotismus und die suggestive Psychotherapie. Stuttgart, 1902, IV Aufl., str. 54.

Nagłe powstrzymanie turkotu kół młyńskich powoduje szybkie przebudzenie się młynarza. Przykłady te wykazują, że w akcie obudzenia, oprócz fizycznej siły bodźca, rozstrzyga nadto jego wartość psychiczna, jego stosunek do myśli i interesów, które ożywiały działalność człowieka przed zapadnięciem w sen, podczas stanu czuwania.

Jakkolwiek zarzut ten nie jest pozbawiony słuszności, to jednak przyznać musimy, że w większości przypadków jedynym miernikiem głębokości snu może być tylko siła bodźców, zastosowanych w celu obudzenia śpiącego. Tylko liczyć się tu trzeba z wieloma czynnikami, których dla braku miejsca bliżej omawiać nie mogę, a które w najwyższym stopniu utrudniają prowadzenie doświadczeń. Ztąd też badania te niezmiernie mozolne i trudne, osiągają rezultat najwięcej do prawdy zbliżony, nie roszcząc bynajmniej pretensyi do bezwzględnej pewności.

Większość badaczów przyznaje, że użycie umiarkowanych dawek alkoholu, zalecanych czasem przez lekarzy, wpływa na zmniejszenie głębokości snu. Sen, pozornie głęboki, występujący po użyciu większej ilości alkoholu, jako następstwo zatrucia ustroju, jest objawem nawskroś patologicznym, szkodliwym. To też usiłowania, podjęte w celu zupełnego wyparcia alkoholu z codziennego użycia, znajdują poparcie w badaniach nad snem.

W kierunku wprost przeciwnym, oddziaływa znużenie fizyczne. Jakkolwiek sprawa ta nie była przedmiotem systematycznego i ścisłego badania podług wskazanych dopiero co metod, to jednak wniosek ten nasuwa obserwacya codzienna. Łatwo się przekonać, że ludzie, zażywający dużo ruchu lub pracujący fizycznie, śpią głębiej od tych, którzy spędzają czas w odmiennych warunkach. Żołnierze, wyczerpani trudami wojny, uciążliwych pochodów, zapadają często w sen tak głęboki, że ani świst kul, ani huk armat nie może wyrwać ich z uśpienia. Ztąd też jednym z dzielniejszych środków w leczeniu bezsenności jest ruch na świeżem powietrzu lub praca fizyczna w granicach, zakreślonych przez naturę chorego osobnika. Indywidualność ma w tym wypadku dosyć duże znaczenie. Wiadomo bowiem, że silne znużenie fizyczne u ludzi słabych, wrażliwych — może nawet wywołać bezsenność.

Znużenie umysłowe jest bezwzględnie szkodliwe, czyni sen powierzchownym, lekkim, ustawicznie przerywanym. Myśl, wytężona przez czas dłuższy w pewnym kierunku, przykuwa zanadto uwagę i spędza sen z powiek. Nawet już po zaśnięciu, myśl ta nurtuje dalej w świadomości naszej i, przyoblekając się w szatę marzeń sennych, niepokoi, dręczy i co chwila nas budzi. Sądzę, że w skargach chorych na bezsenność tkwi, co najmniej, złudzenie lub nieporozumienie.

Najczęściej mamy tu do czynienia nie z brakiem snu, lecz ze snem niezmiernie powierzchownym, często przerywanym, w którym wrażenia zewnętrzne dopływają do umysłu śpiącego i przeplatają się z właściwemi marzeniami sennemi. Sen taki spotykamy najczęściej wśród ludzi, dotkniętych cierpieniami nerwowemi i umysłowemi. Zbytecznem prawie dodawać, że sen tak powierzchowny nie daje należytego wypoczynku i wznowienia sił, zużytych podczas pracy dziennej. Ponieważ o użyteczności snu dla ustroju stanowi odpowiedni stopień jego głębokości, otwiera się przeto nowa i rozległa dziedzina badań, ważnych pod względem praktycznym. Mianowicie, byłoby pożądane ścisłe określenie wpływu licznych czynników, którym człowiek stale w życiu codziennem ulega, dokładne zbadanie, o ile każdy z nich oddziaływa na głębokość snu w kierunku dodatnim lub ujemnym. Wskazówki, stąd otrzymane, wzbogaciłyby zasób wiedzy, mającej na celu ochronę zdrowia ludzkiego.

III.

Na podstawie własnego doświadczenia każdy zapewne się zgodzi, że sen występuje najłatwiej po usunięciu podniet, które wskutek oddziaływania na narządy zmysłowe, mogłyby zatrzymywać na sobie uwagę umysłu i pobudzać go do pracy w jakimkolwiek kierunku. Przy powolnem zasypianiu zdarza się często, że drobne wrażenie, np. jakiś odgłos daleki, przywraca do życia niknącą już samowiedzę i oddala chwilę zaśnięcia. Ztąd też ciemność, cisza, brak wrażeń węchowych, smakowych, umiarkowana temperatura powietrza, nie sprawiająca ani uczucia gorąca, ani zimna, — oto warunki, sprzyjające powstawaniu snu. A więc gasimy światło, zamykamy oczy, żeby je uchronić od wrażeń wzrokowych, wyciągamy swobodnie członki, usiłując przybrać pozycyę, która uniemożliwiałaby powstawanie przykrych czuć mięśniowych. Niektórzy badacze posuwają się nawet zbyt daleko, twierdząc, że nieustanny dopływ wrażeń zewnętrznych warunkuje stan czuwania, podczas gdy usunięcie ich powoduje sen. Za dowód służy zwykle bardzo ciekawy przypadek, opisany przez znanego klinicystę Strümpell'a. Rzecz dotyczyła 15-letniego chłopca, dotkniętego znieczuleniem histerycznem wszystkich narządów zmysłowych, oprócz jednego oka i ucha. Strümpell zauważył, że po zawieszeniu funkcyi obydwóch tych zmysłów, wskutek zawiązania oka lub zatkania ucha, innemi słowy, po zerwaniu wszystkich stosunków ze światem zewnętrznym, chłopiec zapadał natychmiast w sen głęboki i długi. Wobec znieczulenia ogólnego, chłopca tego można było wyj-

mować z pościeli, kłaść na zimnej podłodze, kłuć, szczypać, wstrząsać, nie przerywając bynajmniej jego snu. Jedynie silniejsze podrażnienie ocalonego oka i ucha mogło obudzić śpiącego. Dwa podobne przypadki ogłosił również Ziemssen. Błędnem jednak będzie wysnuwanie ztąd wniosku, że usunięcie wszelkich podrażnień i bodźców, sprowadza sen w ogólności. Przedewszystkiem, człowiek zdrowy nie może dojść do tak absolutnego zerwania łączności ze światem, jak to było w przypadku Strümpell'a. Do świadomości zasypiającego człowieka zawsze dopływają słabe wrażenia dotykowe, zależne od zetknięcia skóry z pościelą, odzieżą, słabe wrażenia mięśniowe, zależne od ułożenia członków, nie mówiąc już o przypadkowych wrażeniach dźwiękowych lub organicznych. Niezupełne ich uświadomienie, jest następstwem osłabienia lub odwrócenia uwagi. Powtóre, mówiliśmy już wyżej, że po większem znużeniu fizycznem, sen może nastąpić mimo oddziaływania licznych i względnie nawet silnych podniet. Przypadek Strumpell'a dowodzi tylko, że usunięcie podrażnień zmysłowych zajmuje miejsce bardzo ważne w rzędzie czynników, warunkujących powstawanie snu. Wpływ tego czynnika wzrasta zapewne u ludów, stojących na niższych szczeblach kultury i u zwierząt. Heubel [1]) np. usiłował wykazać, że powstrzymanie dopływu wrażeń wzrokowych i dźwiękowych, wywołuje sen ptaków i żab.

Wyjątek z ogólnego prawidła stanowią podniety jednostajne, rytmiczne, miarowe, posiadające nadto słabe natężenie. Wrażenia ztąd odbierane, zwłaszcza jeżeli świadomość już do nich przywykła, nie zatrzymują na sobie uwagi umysłu, nie zakłócają swobodnego biegu wyobrażeń, który cechuje okres zasypiania. Miarowe tykanie zegara ściennego, jednostajny szmer morza lub drzew, wiatrem poruszanych, głuchy turkot kół młyńskich, monotonne, łagodne dźwięki muzyki, wszystko to rozprasza uwagę, sprowadza pewne ukojenia umysłu i kołysze do snu. W przypadku Boerhave'a woda, spływająca kroplami na miedzianą płytę, wyleczyła z bezsenności chorego.

Ogólne uwagi o znaczeniu podrażnień w sprawie powstawania snu, dotyczą również wrażeń organicznych, które biorą początek w narządach ustroju. Bicie serca, silniejszy ruch robaczkowy kiszek, utrudniony oddech, ból, słowem, każde uczucie przykre, mające przyczynę w cierpieniu pewnego narządu, przykuwa ku sobie uwagę, wzmaga samowiedzę i rozprasza sen. W tym samym kierunku oddziaływają również wzruszenia, np. uczucie gniewu, rozpaczy, radości i każda wytężona praca umysłowa. Słowem, zahamowanie uwagi

[1]) Cyt. w dziele Radestock'a: „Schlaf und Traum," str. 280.

przez usunięcie wszelkich wrażeń, wzruszeń i wysiłków myślowych— oto zasadniczy warunek powstawania snu.

Niezaprzeczenie jedną z najczęstszych przyczyn bezsenności jest zwątpienie, obawa, że sen nie nastąpi. Obawa ta u osobników wrażliwych przybrać może charakter stałej i nader szkodliwej autosuggestyi. Czasami już po zmrużeniu powiek i zaniku samowiedzy, najniespodziewaniej wkrada się do umysłu chęć samoobserwacyi, chęć zdania sobie sprawy z postępu zasypiania, wreszcie zwątpienie o możności ponownego zaśnięcia. Myśli te niepokoją nas, dręczą i istotnie snu pozbawiają. Zwalczyć wówczas bezsenność można jedynie na drodze oddziaływania psychicznego. Fakt ten nie jest jednak dostatecznie oceniany w praktyce lekarskiej. U wielu osób ważną rolę w akcie zasypiania gra przyzwyczajenie, np. udawanie się na spoczynek o ściśle określonej godzinie, przyjęcie odpowiedniej pozycyi, rodzaj pościeli, ustawienie łóżka i t. d. Zmiana warunków, jak to np. dzieje się w podróży, może powodować krótkotrwałą bezsenność.

Wielu autorów, między innymi Manaseina, sądzi, że niezbędnym warunkiem snu jest pewien stopień anemii mózgu, że ujemny wpływ wielu czynników, sprowadzających bezsenność, zależy od przekrwienia naczyń mózgowych. Psychofizyologia doświadczalna, szeregiem licznych badań udowodniła, że każdej nawet najprostszej pracy duchowej towarzyszy zwiększony chwilowo przypływ krwi do mózgu. Niezmiernie ciekawe i nauczające w tej mierze doświadczenia wykonał badacz włoski, Mosso[1]) Jeden z osobników, przez niego badanych, miał skutkiem uderzenia cegłą, w środku czoła otwór, wielkości pięciocentymowej monety, przez który widać było mózg tętniący Mosso przytwierdzał do czoła chorego przyrząd, który przy pomocy pióra kreślił na uczernionym sadzą cylindrze linie, odpowiadające ruchom mózgu. W czasie czuwania pióro kreśliło nierówne linie, faliste, różniące się wysokością, kształtem i zależne od tętnienia mózgu W miarę występowania snu, odpowiednio do zmniejszonych ruchów mózgu, fale stawały się rzadsze, mniejsze, odstępy między niemi dłuższe. Ostatecznie badany zasypiał. Najmniejszy jednak szmer, jaki powstawał dokoła, odgłos kroków dalekich, cichy szept rozmowy—wszystko to, nie przerywając snu, sprowadzało natychmiastową zmianę w krążeniu krwi, zwiększało objętość mózgu i wysokość fal piórem przyrządu kreślonych. Fakt ten, wraz z całym szeregiem innych doświadczeń, wykonanych przez Mosso, wykazał, że podczas

[1]) A. Mosso. „Strach." Tłóm. z włoskiego, 1891, str. 83.

snu następuje mniejszy lub większy stopień anemii mózgowej, że przy najsłabszem nawet podrażnieniu, z którego świadomość nie daje sobie wcale sprawy, krew obficiej do mózgu przypływa. Jeżeli więc tak błahej przyczynie towarzyszą zmiany w krążeniu krwi, to cóż dopiero powiedzieć o natężonej pracy duchowej, gdy mnóstwo wyobrażeń tłoczy się gwałtem do naszego umysłu, o silnych stanach uczuciowych, głęboko opanowujących świadomość. Stany te sprowadzać muszą dosyć silne przekrwienie mózgu, które utrudnia powstawanie snu. Durham sądzi, że silniejsze stopnie znużenia umysłowego mogą nawet powodować czasowe paralityczne rozszerzenie naczyń krwionośnych (Manaseina). W nowszych czasach fakt anemii mózgowej podczas snu został stwierdzony badaniami Howell'a (1897 [1]), który przy pomocy pletysmografu wykazał zwiększenie się w śnie objętości ręki. Zjawisko to, zależne od obfitszego dopływu krwi do naczyń ręki, świadczy pośrednio o mniejszem, niż w stanie czuwania, napełnieniu naczyń mózgowych.

Naodwrót sądzić można, że wszystkie czynniki, które zmniejszają ilość krwi, krążącej w mózgu, usposabiają do snu. Zapewne każdy doświadczył na sobie, że po sutym obiedzie występuje nieraz trudna do pohamowania senność. Otóż Durham dowiódł doświadczalnie, że spożycie większej ilości pokarmów, zwiększając dopływ krwi do naczyń żołądka, powoduje jednocześnie bladość mózgu i skurcz jego naczyń. Senność, właściwa ludziom anemicznym w położeniu pionowem, zmniejsza się w pozycyi poziomej. W pierwszym przypadku, dzięki słabemu napięciu naczyń, krew zatrzymuje się w większej ilości w narządach jamy brzusznej i w dolnych kończynach. Przy zmianie pozycyi i nizkiem ułożeniu głowy krew obficiej przypływa do mózgu. Fakty te upoważniają do wniosku, że małokrwistość mózgu jest jednym z wielu czynników, uspasabiających do snu. Zarzucona dzisiaj teorya cyrkulacyjna mylnie tłómaczyła wpływ tego czynnika i w zwężeniu naczyń mózgowych widziała rozwiązanie całej zagadki o pochodzeniu i przyczynie snu.

IV.

Na wstępie staraliśmy się wykazać, jak olbrzymie znaczenie posiada sen w życiu człowieka i zwierząt. Żeby jednak wpływ ten lepiej zrozumieć, należy jeszcze rozważyć na czem polegają zjawiska,

[1]) Cyt. w dziele Bunge'go.

które podczas snu występują, i co je wyróżnia od zjawisk, jakie zachodzą podczas stanu czuwania. Widzieliśmy już, że zasypiając, człowiek usiłuje przybrać położenie możliwie wygodne, zwolnić napięcie mięśni do minimum. W czasie snu członki spoczywają bezczynnie, zachowując nieraz idealny, prawie martwy spokój. Od czasu do czasu występują słabe poruszenia, bądź zależne od wrażeń zewnętrznych i organicznych, bądź od marzeń sennych. A zatem sen jest przedewszystkiem odpoczynkiem mięśni ruchu dowolnego, które w stanie czuwania narażone są na ciągłą pracę. Ruchy oddechowe stają się spokojniejsze, rzadsze i głębsze. Czynność przepony u mężczyzn słabnie. Wydech, krótszy od wdechu, następuje po nim bezpośrednio. Później dopiero zauważyć się daje dłuższa pauza oddechowa. Ilość wdechanego powietrza z 7 litrów na minutę spada nieraz do 1 litra (Mosso, Manaseina). Podług ścisłych obliczeń Pettenkoffer'a, zmniejsza się ilość wydzielanego dwutlenka węgla, natomiast większą jest ilość pochłanianego tlenu. Czynność serca staje się wolniejszą. Naczynia krwionośne na powierzchni ciała rozszerzają się, obniża się ciśnienie krwi i ciepłota ciała. Ruchy robaczkowe żołądka i kiszek stają się wolniejsze. Słabnie wydzielanie soków trawiennych, śliny, łez, moczu. Podczas kataru zmniejsza się nawet wydzielina z błony śluzowej nosa i występuje przykre uczucie suchości. Źrenice są zwężone, gałki oczne zwrócone ku wewnątrz i ku górze. W głębokim śnie, jak dowodzą doświadczenia Tarchanowa na szczeniętach, giną nawet odruchy. Ogólna przemiana materyi ulega zmniejszeniu. Słowem, występuje ograniczenie funkcyi wszystkich narządów, ogólne zwolnienie tętna życiowego, warunkujące wypoczynek ustroju.

Jaki udział w tej sprawie bierze ośrodkowy układ nerwowy, z którego funkcyą związana jest nasza działalność duchowa — oto pytanie, na które postaramy się w krótkości odpowiedzieć. Podane wyżej doświadczenia Mosso wykazały, że podczas snu powierzchnia mózgu blednie skutkiem zwężenia naczyń i zmniejszonego dopływu krwi, że objętość mózgu nieznacznie się zmniejsza. Fakty te były stwierdzone również przez Durhama i Tarchanowa licznemi badaniami na zwierzętach, którym usuwano kawałki kości czaszkowych i obnażano mózg dla ułatwienia doświadczeń. Tarchanow nadto zauważył, że we śnie kora mózgu przestaje oddziaływać na bodźce elektryczne, które w czasie czuwania wywołują ściśle określone ruchy kończyn. Prócz tego doświadczenie codzienne uczy, że mózg staje się również mniej pobudliwym dla podrażnień, płynących z otoczenia za pośrednictwem zmysłów. Podniety zewnętrzne, o ile nie osiągną dostatecznego natężenia, żeby przywrócić śpiącemu świadomość, nie budzą odpo-

wiednich procesów psychicznych. Dopływając niewątpliwie do właściwych ośrodków, podrażnienia te napotykają odmienne warunki bytu i stają się materyałem dla innych, niż na jawie wytworów. Powstają z nich złudzenia, iluzye, przybierające w wyobraźni śpiącego fantastyczną postać marzeń i widziadeł. Słowem, czynności, właściwe korze mózgowej podczas stanu czuwania, zostają we śnie stłumione, zawieszone, a wraz z tem giną procesy spostrzegania i logicznego rozumowania, myślenia, znikają uczucia i nieskończone troski życia codziennego, zamierają pożądania i chęci, krótko mówiąc, ginie wszystko to, co w zespoleniu składa się na różnobarwne, lecz harmonijne życie świadomości. Jednak pozorna ta nicość, którą poeci przyrównali do śmierci, jest w pewnym stopniu złudzeniem naszego umysłu. W rzeczywistości funkcya mózgu, aczkolwiek ulega głębokiemu upośledzeniu, a nawet spaczeniu, w zupełności nie ginie.

Liczny szereg faktów z dziedziny fizyologii i z codziennej praktyki dowodzi, że pomijając już ogólne kierownictwo nad funkcyami wszystkich narządów wewnętrznych, w mózgu podczas snu odbywać się jeszcze musi jakaś praca utajona, niedostępna bezpośrednio dla naszego poznania. Jest to ta praca nieświadoma, którą Höffding trafnie przyrównał do pracy podmorskiej korali. Te ostatnie spostrzegamy dopiero wówczas, gdy z głębin wynurzą się ponad poziom morza. Komórki mózgowe, wprawione w ruch podczas stanu czuwania, snują dalej swą pracę po za obrębem woli i świadomości śpiącego. Dopiero przebudzenie ujawnia rezultat tej pracy utajonej. Idea, długo i mozolnie poszukiwana w pamięci, najniespodziewaniej może wyłonić się w śnie. W tej nieświadomej pracy mózgu szukać należy tajemniczego źródła natchnień, którym podobno ulegali podczas snu Condillac, Voltaire, Franklin, Coleridge, Goethe i inni. Nie inaczej wytłómaczyć można ową zmianę, jaką spostrzegamy codziennie po przebudzeniu się w naszej indywidualności psychicznej. Postanowienia i zamiary, które przed snem wydawały się nam najodpowiedniejsze, najłatwiej wiodące do celu, nad ranem zaczynają budzić wątpliwość, zdumienie, a nawet śmiech. Przysłowiowa świeżość myśli nad ranem, to nietylko następstwo wypoczynku układu nerwowego, ale często bardzo rezultat jego cichej pracy.

Z pośród wielu innych faktów pokrewnych, przypomnę możność budzenia się o ściśle oznaczonej godzinie, oraz budzenia się pod wpływem bodźców słabych, lecz związanych bezpośrednio z umysłowością śpiącego. Zjawiska te, świadczące o utajonej pracy mózgu, pogrążonego we śnie, nie wyczerpują jeszcze jego całkowitej funkcyi. Na gruzach zwykłej świadomości wyrasta we śnie nowy świat duchowy w treści wynaturzony, w formie niezmiernie barwny — świat ma-

rzeń i widziadeł sennych. Bliższą ich charakterystyką zajmę się w dalszym ciągu pracy niniejszej. Na razie pragnąłbym rozważyć kwestyę, która już w czasach najdawniejszych nasuwała się umysłom ludzkim i rozmaicie była rozstrzyganą, mianowicie, chciałbym odpowiedzieć na pytanie, czy możliwy jest sen bez marzeń. Pytanie to łączyło się ściśle z zagadnieniem ogólniejszej natury, z poglądami na ciągłą istność duchową. Zdaniem wielu filozofów, że wymienię Kartezyusza, Leibnitz'a, Schelling'a, Herbart'a, duch, zawsze myślący, nie może ulegać przerwom w swem istnieniu. Pogląd przeciwny byłby absurdem, dla Kartezyusza równoznacznym z przyjęciem światła, które nie świeci, lub ciepła, które nie grzeje. Pozorną nicość snu wypełniają marzenia senne, będące w teoryi Schelling'a najczystszą treścią naszego ducha.

W czasach późniejszych, kiedy poznano fakt utraty świadomości przy wstrząśnieniach i chorobach mózgu, zaczęła przeważać myśl, że sen bez marzeń jest nietylko możliwy, ale nawet bardzo prawdopodobny. Przypuszczenie takie było nader pożądane dla materyalistów w rodzaju Büchner'a, który zapatrywał się na sen, jako na zniszczenie duszy. Z drugiej zaś strony mniemanie to potwierdzały świadectwa wielu osób, jakoby we śnie nie ulegających marzeniom. Lessing podobno przez całe życie nie miał ani jednego marzenia sennego. To samo mówią o Neronie. W dziełach, poświęconych psychologii, utarło się zdanie, że marzenia są właściwe okresom snu lekkiego, powierzchownego, podczas gdy sen głęboki wolny jest od marzeń (Ziehen, Wundt, Liébeault). Jeden z autorów francuskich, Goblot [1]), dowodzi, że wszystkie marzenia senne, o których zachowujemy pamięć, występują wyłącznie w krótkich chwilach okresu przejściowego od snu do stanu czuwania. Słowem, spór o marzenia senne odżył w nauce nanowo, tylko w odmiennej postaci. Z wielu stron słusznie zarzucano, że spostrzeżenia i wskazówki pojedyńczych osób nie mogą w tym względzie rozstrzygać, ponieważ marzenia senne niezmiernie szybko znikają z pamięci. Czasami po przebudzeniu się nie możemy w żaden sposób przypomnieć sobie treści marzenia, o którem świadomość nasza zachowała tylko niewyraźne, mgliste poczucie. Najpierw po pewnym czasie, pod wpływem przypadkowego faktu lub skojarzenia, wyłania się w umyśle obraz, długo i napróżno szukany. Niektórzy ludzie zapominają wszystkie sny swoje; mówią, śpiewają lub płaczą we śnie, nie zachowując o tem najmniejszego wspomnienia

---

[1]) E. Goblot: Le souvenir des rêves. „Revue philosophique." 1896, № 9, str. 288.

słowem, marzenia, przez nas zapamiętane, stanowią małą cząstkę snów naszych, których większość ulatnia się z pamięci nazawsze. Forel pisze, że ilekroć był podczas snu zbudzony, zawsze uchwycić mógł jakiś obraz, będący ostatnim ogniwem długiego łańcucha wyobrażeń. Jeżeli treść tego marzenia nie została natychmiast zanotowaną, wspomnienie o niem ginęło bezpowrotnie. Dlatego też Forel sądzi, że we śnie wszyscy ludzie ulegają marzeniom. Próbowano nawet sprawę tę rozwiązać na drodze doświadczalnej. Vaschide [1]) wykonał 500 doświadczeń na osobnikach najrozmaitszego wieku, usposobienia i stanu zdrowia. Obserwacyi dokonywano podczas nocy. Od czasu do czasu budzono śpiących i zapytywano, jaką była treść marzeń. Głębokość snu była określaną przy pomocy sposobu Kohlschütter'a. Badania te wykazały, że istotnie niema snu bez marzeń, że występują one nawet w okresach snu najgłębszego. Powtóre, Vaschide uwydatnił zdumiewającą zależność i związek wzajemny marzeń w poszczególnych momentach snu. Można kilkakrotnie obudzić śpiącego, nie przerywając zupełnie wątku jego marzeń. Wreszcie Vaschide wykazał ścisłą zależność treści marzeń sennych od stopnia głębokości snu. Marzenia snu głębokiego mają zwykle za przedmiot wydarzenia bardzo odległe, czasy dawno przeżyte, szczęśliwe chwile wieku młodocianego. Przeciwnie, marzenia snu lekkiego czerpią swą treść z faktów najbliższych, z wydarzeń, jakie zaszły podczas dni ostatnich lub przed chwilą zaśnięcia. To samo spostrzeżenie uczynili na drodze samoobserwacyi Bunge i A. Pilcz [2]). A więc w pierwszych godzinach nocy śnią się nam wydarzenia bardziej oddalone w czasie; nad ranem, przeciwnie — najbliższe. Zdaniem Pilcz'a, sen głęboki, pozbawiony marzeń, świadczy o głębokiem zaburzeniu inteligencyi i utracie pamięci. Fakty te nie są pozbawione praktycznego znaczenia. Wynika z nich bowiem, że charakter i treść marzeń sennych posiadać może znaczenie środka dyagnostycznego dla określenia głębokości snu i dla oceny pożytku, jaki on człowiekowi przynosi. Atoli fakty te nie zostały jeszcze ustalone w nauce i wymagają sprawdzenia drogą nowych doświadczeń i badań.

Nadto nadmienić muszę, że prace doświadczalne Vaschide'a, rozwiązujące problemat o istnieniu marzeń w znaczeniu dodatniem, mają jeszcze do zwalczenia następującą trudność. Można zarzucić, że marzenia występują właściwie nie podczas snu samego, lecz w okresie przejściowym do stanu czuwania. Odnosząc je wstecz, ulegamy

---

[1]) „Wszechświat," 1903, N 36.

[2]) A. Pilcz, „Annales médico-psychologiques." 1899, № 1.

niejako złudzeniu. Króciutka chwila budzenia się wystarcza, żeby przed oczami naszej wyobraźni przesunęło się nieskończenie długie pasmo obrazów. Kwestya ta ma znaczenie więcej teoretyczne i rzeczywiście na drodze doświadczalnej rozwiązać się nie da. Okoliczność ta jednak nie zmienia postaci rzeczy i nie zmniejsza wartości badań Vaschide'a, o ile one pod innemi względami zyskają rękojmię pewności. Bo gdyby nawet marzenia senne występowały jedynie w okresie przejściowym od snu do stanu czuwania, to zmuszeni byliby śmy przyjąć, że okres ten pod względem psychicznym kształtuje się inaczej we śnie powierzchownym i inaczej w głębokim. Pośrednio przychodzi nam tu na pomoc fakt somnambulizmu, w którym śpiący wstają z łóżka, chodzą po pokoju, prowadzą dalej czynności, podczas dnia rozpoczęte, a czasami nawet przedsiębiorą długie i niebezpieczne wędrówki. Zjawisko to, mające niewątpliwie odpowiedni podkład psychiczny, występuje prawie zawsze w głębokich okresach snu i po przebudzeniu nie pozostawia najmniejszego wspomnienia.

Streszczając nasze wywody, widzimy, że w czasie snu mózg nie zaprzestaje całkowicie swej funkcyi. Z jednej strony odbywa się w nim czynność utajona, nie posiadająca odpowiedniego równoważnika psychicznego, z drugiej zaś—praca więcej złożona, której rezultaty ujawniają się w postaci marzeń i widziadeł sennych. Mimo to jednak sen jest najlepszym dla naszego umysłu wytchnieniem. Brak w nim bowiem sprężyn, które, ożywiając naszą działalność duchową podczas stanu czuwania, najwięcej nasz mózg wyczerpują. To też, jeżeli porównamy natężenie funkcyi wszystkich narządów w obydwóch tych stanach, przyjdziemy do przekonania, że oprócz układu mięśniowego, funkcya żadnego narządu nie ulega we śnie tak głębokiej zmianie, takiemu upośledzeniu i ograniczeniu, jak funkcya naszego mózgu. Z tego stanowiska sen jest przedewszystkiem wypoczynkiem mózgu i mięśni.

V.

Obecnie stajemy w obliczu najtrudniejszego pytania, które nauce o śnie pozostaje jeszcze do zwalczenia. Pytanie to dotyczy istoty snu i jego bezpośredniej przyczyny. Odpowiedzi uczonych, ujmowane w formę licznych hypotez, o których charakterze ogólnym mówiłem na wstępie, nie są w stanie dać nam należytego wyjaśnienia

tego tajemniczego zjawiska. Dla tego też nie będę wyliczał wszystkich poglądów, istniejących w nauce, ograniczę się na przytoczeniu kilku najważniejszych.

Codzienna obserwacya uczy, że sen jest odpoczynkiem, zapewniającym każdemu ustrojowi wzmożenie sił, wyczerpanych podczas pracy dziennej. Stąd już krok jeden do połączenia związkiem przyczynowym dwóch zjawisk, stale i okresowo następujących po sobie: pracy dziennej czyli znużenia i snu. Istotnie pojęcie to stało się podwaliną większości hypotez, upatrujących przyczynę snu we wpływach chemicznych, tylko tłómaczenie tego pojęcia przybierało w języku fizyologii najrozmaitsze postaci. Jakiś czas sądzono, że uczucie zmęczenia, ociężałość członków, poprzedzające sen, powstają wskutek nagromadzenia się w ustroju dwutlenku węgla (CO_2). Podrażnienie kory mózgowej, lub, jak twierdzili inni, swoistego, chociaż niewykrytego ośrodka, ma sprowadzać sen, w czasie którego następuje wzmożone wydzielanie nagromadzonego gazu. Mniemaniu temu zadały kłam wspomniane już badania Pettenkoffer'a oraz spostrzeżenia, stwierdzające olbrzymią różnicę pomiędzy klinicznym obrazem zatrucia dwutlenkiem węgla i zachowaniem się śpiącego człowieka.

Myśl, że bezpośrednią przyczyną snu są wytwory przemiany materyi, nagromadzone w ustroju podczas pracy dziennej, uwydatnia się nadto w całym szeregu hypotez. Podług Preyer'a, tę domniemaną zależność, pierwszy Durham (1860) starał się uzasadnić w sposób naukowy. Dalej myśl tę rozwija Obersteiner (1871) i Binz (1874), który utrzymuje, że wchodzą tu w grę kwaśne produkty przemiany materyi, porażające korę mózgu na drodze chemicznej. Pewien krok naprzód stanowi teorya Preyer'a [1]), która powstawanie snu czyni zależnem nie tylko od wpływów chemicznych, ale i od usunięcia podrażnień zewnętrznych i organicznych. Zdaniem Preyer'a, w stanie czuwania, mózg, rdzeń i mięśnie wytwarzają pewne substancye chemiczne, których nagromadzenie się w ustroju sprowadza uczucie znużenia i senność. Należy tu kwas mlekowy i kreatyna. Substancye te ulegają utlenieniu dopiero w stanie zupełnego spoczynku, czyli snu, ponieważ wówczas pochłaniają całą ilość tlenu, jaką ustrój otrzymuje z powietrza. Innemi słowy, zadanie tlenu podczas snu jest odmienne niż podczas czuwania. Zostaje on zużytkowanym nie dla czynności mięśniowej, nie dla procesów, będących fizyologicznem podło-

[1]) W. Preyer. Schlaf. „Real-Encyclopädie" 1899. Tom 17. str. 529.

żeń pracy duchowej świadomej, lecz dla zobojętnienia wytworów znużenia. Tkanka mózgowa, pozbawiona w ten sposób tlenu, przy jednoczesnem braku podrażnień zewnętrznych, zapada w sen. Preyer w celu poparcia swojej teoryi, wykonał liczny szereg doświadczeń na zwierzętach i ludziach. Wprowadzał im do żołądka lub zastrzykiwał pod skórę kwas mlekowy i mleczan sodu, starannie usuwał wszelkie podniety zewnętrzne i sprowadzał tym sposobem sen [1]). Atoli badania późniejsze nad własnościami kwasu mlekowego nie potwierdziły przypuszczeń Preyer'a (Meyer, Erler, Fischer). Inni znowu badacze opierając się na analogii, jaka zachodzi pomiędzy snem naturalnym i sztucznym, występującym pod wpływem środków narkotycznych (opium, chloral, chloroform), przypisują własności nasenne substancyom, wytwarzanym w ustroju podczas stanu czuwania. Na analogię tę zwrócił uwagę Purkinje, szerzej zaś myśl tę rozwinął Errera [2]). Autor ten na posiedzeniu Towarzystwa Antropologicznego w Brukselli w 1895 r. wygłosił odczyt, w którym określił sen, jako samozatrucie fizyologiczne. Pracy dziennej towarzyszą liczne przeobrażenia chemiczne, których ostatecznym wytworem są t. zw. leukomainy. Przedostając się na drodze krwiobiegu do ośrodków mózgowych, zanieczyszczają je, i, dzięki własnościom narkotycznym, sprowadzają uczucie znużenia i sen. Podczas dnia przeważa sprawa wytwarzania się tych substancyj, podczas snu sprawa utleniania, niszczenia i wydzielania z ustroju.

Wszystkie powyższe teorye zasługują na liczne zarzuty. Jeżeli bezpośrednią przyczyną snu miałoby być nagromadzenie się wytworów przemiany materyi, to wówczas ustosunkowanie się stanu czuwania i snu musiałoby posiadać charakter ściśle określonego mechanizmu. Tymczasem liczne spostrzeżenia dowodzą, że człowiek, śpiący snem bardzo głębokim, może być obudzony każdej chwili pod wpływem silniejszego bodźca, np. uderzenia, krzyku, jaskrawego światła. Powtóre, spotykamy dosyć często ludzi, którzy po dobrem wyspaniu się i wypoczęciu, innemi słowy, po zobojętnieniu lub wydzieleniu wy-

---

[2]) Pod wpływem teoryi Preyer'a wykonano szereg badań w klinice prof. Korczyńskiego w Krakowie. Rezultatem ich była praca dr. J. Waszaka p. t.: Mleczan sodu, jako środek nasenny. 1876.

[3]) Leo Errera. Sur le mécanisme du sommeil. Bruxelles 1895. Praca ta jest uzasadnieniem poglądów, wypowiedzianych przez tego autora w r. 1886 w rozprawie p. t.: Pourquoi dormons nous?

tworów znużenia, mogą zasypiać na nowo. Nie wyjaśniając mechanizmu i bezpośredniej przyczyny, teorye chemiczne określają tylko ogólny warunek powstawania snu, wskazują niejako na jego fizyologiczną konieczność. Zapewne, że układ nerwowy nuży się i wyczerpuje, tak, jak np. wyczerpuje się mięsień, tracąc zdolność dalszego kurczenia się, że pracy tej towarzyszą przeobrażenia chemiczne, których rodzaju dzisiaj nie umiemy określić. Serce odpoczywa w stanie każdego rozkurczu, mięsień — w stanie spoczynku, mózg — we śnie. Jednakże pogląd ten nie wyjaśnia całkowicie sprawy, nie tłómaczy powstawania snu w każdym poszczególnym przypadku. Wiadomo bowiem, że niektórzy ludzie mogą zasypiać dowolnie, że właśnie znużenie umysłowe najczęściej rozprasza sen i sprowadza bezsenność, podczas gdy spokój duchowy, wolny od wysiłków i wzruszeń, zapewnia ludziom sen głęboki i zdrowy. W wielu razach uczucie znużenia, wyczerpanie, senność, są to stany niezależne od siebie. Wreszcie nadmienić należy, że owe substancye nasenne, wytwarzane w ustroju wskutek znużenia, mimo ciągłych poszukiwań, dotychczas nie zostały wykryte.

Słowem, wszystkie teorye chemiczne nie dają się pogodzić z wieloma faktami, spostrzeganymi codziennie w praktyce życiowej i nie tłómaczą w sposób zadawalający ani istoty snu, ani jego bezpośredniej przyczyny. Omówiłem je szerzej dla tego, że przez długi czas teorye te cieszyły się największem uznaniem i do dziś dnia mają swoich wyznawców.

Około połowy zeszłego stulecia zjawiła się w nauce teorya słynnego w dziejach histologii mózgu badacza Purkinie'ego, który powstawanie snu usiłował wytłómaczyć na drodze anatomicznej. Purkinje sądził, że podczas snu zostaje przerwane przewodnictwo pomiędzy ośrodkami półkól mózgowych i pozostałą częścią mózgu. W ostatnich czasach myśl ta odżyła nanowo, dzięki bliższemu poznaniu budowy układu nerwowego. Według nowszych poglądów cały układ nerwowy składa się z mnóstwa samodzielnych jednostek t. zw. neuronów, połączonych wzajemnie w ten sposób, że zakończenia jednego neuronu w postaci delikatnych włókienek oplatają zakończenia neuronu sąsiedniego. Otóż M. Duval, profesor histologii w Paryżu w 1895 r. wyraził przypuszczenie, że włókienka te posiadają zdolność kurczenia się, co pociąga za sobą oddalenie się wzajemne zakończeń neuronów. Powstająca stąd przerwa uniemożliwia funkcyę przewodnictwa i sprowadza sen. Hypoteza Duval'a, której zwolennikiem jest Bunge, ma niezwykle słabe uzasadnienie faktyczne. Przedewszyst-

kiem zdolność kurczenia się włókienek nerwowych nie została dotychczas wcale dowiedzioną. Najnowsze zaś badania Stefanowskiej z 1900 r. przeczą najzupełniej zapatrywaniom Duval'a. Powtóre, zasadniczym brakiem tej teoryi jest pominięcie pierwotnej przyczyny domniemanych zmian morfologicznych. Dlatego też Nusbaum, uważając wszelkie próby wytłómaczenia snu ze stanowiska fizyologii za niedostateczne i jałowe, pragnie rozświetlić tę sprawę na drodze rodowej, filogenetycznej. Po rozpatrzeniu całego szeregu jestestw organicznych, począwszy od wymoczków, kończąc na człowieku, Nusbaum przychodzi do wniosku, że wszystkie istoty żyjące obdarzone są zdolnością czasowego zawieszania niektórych przejawów życiowych. Zdolność ta wytworzyła się stopniowo, jako konieczne następstwo przystosowania się istot żyjących do wpływów i warunków zewnętrznych. Odmiennym warunkom dnia i nocy odpowiadają dwa stany odmienne: stan czuwania i snu. Przyznać trzeba, że pogląd Nusbauma, oświetlając nasze zagadnienie z tak odrębnego punktu widzenia, niewiele pomaga do lepszego zrozumienia zajmującej nas sprawy. Niewątpliwie całe życie ludzkie w niezliczonych jego przejawach cielesnych, duchowych, społecznych jest nieskończenie długiem pasmem oddziaływań i przystosowań człowieka do człowieka i do otaczającej go natury ożywionej i martwej. Mimo jednak stwierdzenia tego faktu, w każdym poszczególnym wypadku pozostaną jeszcze do wytłómaczenia istota i mechanizm tego przystosowania, sprężyny, przy pomocy których ono się urzeczywistnia, drogi, jakiemi kroczy.

Oprócz teoryi chemicznych, anatomicznych—istnieją jeszcze inne, które objąć można mianem dynamicznych. Z pośród znanych mi lepiej autorów, zaliczyć tu mogę Wundt'a, Forel'a i Oscara Vogt'a. Podług Wundt'a[1]) czynnikiem, usposabiającym do snu, jest znużenie i osłabienie uwagi, bezpośrednią zaś jego przyczynę stanowi zawieszenie funkcyi ośrodków, będących siedliskiem apercepcyi. Zjawiska, które podczas snu występują, dowodzą, że z ośrodków tych rozchodzą się wpływy hamujące, które ogarniają cały układ mózgordzeniowy i powodują obniżenie właściwych mu funkcyi.[2]) Następstwem wpływów hamujących jest mniejsze natężenie czynności na-

[1]) W. Wundt. Grundz. d. Physiol. Psychologie 1893 II Bd. IV Aufl. str. 534. Hypnotismus und Suggestion. Leipzig. 1892 str. 56 i Grundriss der Psychologie. Leipzig 1896, str. 323.

[2]) Zbliżony do tego pogląd znajdujemy w dziele prof. N. Cybulskiego, p. t. Fizyologia człowieka 1891, str. 833.

rządów wewnętrznych, zwolnienie oddechania, krążenia krwi i ograniczenia funkcyi wydzielniczych, zmniejszenie pobudliwości odruchowej. Wyrazem psychicznym zahamowania ośrodków kory mózgowej jest zawieszenie przejawów, właściwych naszej świadomości podczas stanu czuwania. W dalszym ciągu, jako zjawisko wtórne, ujawnia się zasada t. zw. wyrównania (compensation) funkcyi, którego istota polega na wzajemnem oddziaływaniu ośrodków—neurodynamicznem i naczynioruchowem. Część energii utajonej, nagromadzonej w pewnym ośrodku wskutek zahamowania jego funkcyi, dzięki licznym połączeniom nerwowym spływa do innych ośrodków i wzmaga nadzwyczajnie siłę występujących tu przypadkowo pobudzeń. Wpływ ten potęguje jeszcze oddziaływanie naczynioruchowe. Zwężenie naczyń krwionośnych, towarzyszące zahamowaniu funkcyi w jednem miejscu kory, pociąga za sobą zastępcze ich rozszerzenie w innym ośrodku, zwiększony chwilowo przypływ krwi do niego i wzmożenie pobudliwości. Tym sposobem pojedyńcze ośrodki, zasilane energią, spływającą z pogrążonego w bezczynności mózgu, snują dalej swą pracę. Tylko wyraz psychiczny tej pracy, wobec zahamowanego wpływu apercepcyi, jest różny od przejawów duchowych na jawie. Rezultatem jej, zamiast procesów spostrzegania i logicznego myślenia, jest fantastyczny świat marzeń. Jak widzimy, teorya Wundt'a jest konsekwentnym wynikiem zasadniczych postulatów jego psychofizyologii i już dlatego budzić może pewne wątpliwości. Tajemnica bowiem zdolności do apercepcyi, która zostaje we śnie zawieszoną, była i jest dotychczas przedmiotem częstych napaści ze strony licznych psychologów (np. Ziehen). Powtóre, zasada wtórnego wyrównania funkcyi jest pomysłem hypotetycznym, sztucznie dostrojonym do niewielkiej liczby faktów. W całej tej teoryi najwięcej prawdopodobieństwa posiada przypuszczenie, które upatruje przyczynę snu we wpływach hamujących. Nie zostało jednak wyjaśnione, jakie czynniki wywołują bezpośrednio to zahamowanie ośrodków kory mózgowej.

Punktem wyjścia poglądów Forel'a są badania z dziedziny hypnozy. Po bliższem rozważeniu warunków zasypiania w obydwóch tych stanach, Forel przychodzi do wniosku, że mechanizm występowania snu zwykłego i hypnotycznego, jest niemal jednakowy i polega na oddziaływaniu suggestyjnem. Pokrewną, lecz szerzej rozwiniętą i opartą na podstawie fizyologicznej jest teorya Oscara Vogta [1]).

---

[1]) Oscar Vogt. Zur Kenntniss des Wesens und der psychologischen Bedeutung des Hypnotismus. Zeitschrift für Hypnotismus 1895—96. Leipzig.

Zostały w niej uwzględnione wszystkie czynniki, które w akcie zasypiania odgrywać mogą jakąkolwiek rolę. Zdaniem Vogta istnieją w mózgu swoiste ośrodki odruchowe, których pobudzenie dąży do wyzwolenia całego szeregu procesów neuro-dynamicznych, warunkujących powstawanie snu. Przedewszystkiem należy tutaj ośrodek odruchowy dla skurczu mięśnia okrężnego powiek i zamknięcie oczów, następnie ośrodek naczynioruchowy, którego podrażnienie sprowadza zwężenie naczyń mózgowych, niezbędne dla powstania snu. Różne czynniki psychiczne, np. widok sypialni, ziewającego człowieka, zdjęcie odzieży, przybranie odpowiedniej pozycyi, pewna godzina, wreszcie myśl o śnie, wszystko to na drodze kojarzenia, oddziaływa na wyżej wspomniane ośrodki, powoduje zamknięcie oczów i zwężenie naczyń mózgowych. Oddziaływanie to jednak może zachodzić tylko przy pewnych warunkach, które powstają dzięki wpływom neurodynamicznym. Jeżeli pobudliwość kory mózgowej zmniejsza się skutkiem znużenia, wówczas wszystkie prądy, dopływające do niej ustawicznie z zewnątrz, na zasadzie działania neurodynamicznego, kierują się natychmiast ku swoistym ośrodkom odruchowym i potęgują ich funkcye. W warunkach zwykłych, podczas pracy duchowej, przy skupieniu uwagi na pewnym przedmiocie, pobudzenie tych ośrodków przemija bez śladu. Nie będę przytaczał wielu innych szczegółów dowcipnej teoryi Vogta, który ze stanowiska neurodynamiki usiłuje wytłómaczyć wszystkie zjawiska, w dziedzinie snu spostrzegane. Zasługą Vogta jest zwrócenie uwagi na udział wielu różnorodnych czynników, pomijanych zwykle w poprzednich teoryach, oraz chęć nadania im jednolitej fizyologicznej podstawy. Niestety, postulaty neurodynamiki Vogta są tylko przypuszczeniami, które nie mogą być stwierdzone faktycznie i muszą być uważane za wytwór podmiotowy, nie pozbawiony spekulatywnej przymieszki.

W szkicu tym starałem się podać charakterystykę najważniejszych teoryj snu. W rzeczywistości liczba ich jest znacznie większa, że wspomnę o teoryach Verworn'a, Pilcz'a, P. Janet'a. Uważam jednak za zbyteczne tutaj je omawiać, ponieważ żadna z nich nie jest dostatecznie uzasadnioną i opartą na danych naukowych, faktycznie stwierdzonych, i żadna nie jest w stanie wyjaśnić tego tajemniczego zjawiska. Prawda zdaje się spoczywać w tym punkcie, w którym zbiegają się wszystkie te teorye, bez względu na liczne, zachodzące między niemi różnice. Otóż wszyscy niemal badacze przyznają, że sen jest wynikiem jakiejś zmiany, powstającej w korze mózgowej. Przypuszczać można, że niektóre wyżej przytoczone czynniki, jako to:

nagromadzenie się produktów przemiany materyi, usunięcie podniet, wpływy psychiczne (Vogt) mogą oddziaływać na korę mózgową i usposabiać do powstania tej zmiany swoistej. Bliższe określenie, czy zmiana ta jest natury chemicznej, morfologicznej, czy też dynamicznej, należy do przyszłych dociekań i badań.

Dr. Karol Rozenfeld.

POGADANKA O SZTUCE.

KILKA SŁÓW O STOSUNKU SPOŁECZEŃSTWA DO SZTUKI.

Dotykając tematu takiego jak *sztuka*, nie w jej oderwanem pojęciu, lecz jako żywy, bezpośredni i ściśle związany z całością objaw życia naszego, nie można nie wyczuć mnóstwa fałszywych tonów, co chwila podsuwających się na każdym kroku.

Ta plątanina pojęć, a zwłaszcza frazesów, utrudnia niesłychanie porozumienie się wśród tych, co by na prawdę chcieli rozumieć innych i być rozumianymi z kolei.

Mózgi niemieckie, wymyśliwszy cały ów skomplikowany swój system estetyczny, działały w dobrej wierze, i, dodam, nawet ze względnie dobrym skutkiem, jeżeli zważymy, iż takie ujęcie przedmiotu odpowiadało widocznie naturze myślenia głów niemieckich. Natomiast niezdarne często, a zawsze doraźne i przypadkowe urywki frazesów na nasz grunt przekolportowane, wprowadziły zamęt tem większy, że na gruncie owym nie było jeszcze ni wytkniętych punktów, ni ustalonej trądycyi sztuki, bezpośrednio z łona narodu powstałej.

Ileż papieru i czasu zmarnowano nad rozwiązaniem niemożliwego i zbytecznego zresztą pytania: Co to jest sztuka?—natomiast jasne i wyraźne kwestye: czem dzisiejsza sztuka jest dla nas, i w jakim my do niej pozostajemy stosunku, do tej pory nie są ani rozstrzygnięte, ani nawet wyraźnie i jasno postawione. Bez rozstrzygnięcia zaś tych kwestyi, choćby nawet w formie ogólnej i płynnej, nie może być mowy, ani o jasnym i sformułowanym sądzie krytycznym naszej dzisiejszej twórczości, ani też o istotnej duchowej wspólności między duszą zbiorową narodu a jego sztuką.

Oczywiście takiej kwestyi nie rozstrzyga się w jednym albo nawet kilku artykułach, lecz przez stałe dążenie do ustanowienia właściwego kąta widzenia, którego jedną podstawą musi być sama twór-

czość nasza, drugą pojęcie i odczuwanie ogółu, a punktem zbieżnym krytyka, regulująca różnice tych dwóch dążeń. U nas jeden tylko Witkiewicz stanął na takim gruncie, zapoczątkowawszy tem samem właściwą wymianę pojęć, między artystami i ogółem. On jeden s t a r a ł s i ę odnaleźć i wyrozumieć i n t e n c y e twórcze i torować im dopływ we właściwe miejsca, a zarazem grunt do przyjęcia tych intencyi przeznaczony, ocenił i określił podług wartości.

Wszystkie ówczesne drobne pomyłki i błędy Witkiewicza, dla nas obecnie dostrzegalne, pochodziły nie z fałszywego założenia, ani z zasadniczo błędnego poglądu na sztukę, lecz z warunków terenu i epoki, z koniecznej nieraz przesady w przeciwstawieniu nowych a nieznanych jeszcze wartości, fałszywym starym, trzymającym się mocno jedynie prawem osiadania. Witkiewicz wykuł w skale szeroki tunel dla dopływu świeżego powietrza, dla świeżych prądów, i prądy te przyszły wraz ze świeżemi powiewami życia.

Lecz wymiany starych pojęć na nowe mają to do siebie, że towarzyszy im zawsze anarchia pojęć, a w chwilowo powstałe próżnie wciska się krzykliwa orgia dzikich i poplątanych opinii.

Więc też po świetnej epoce Witkiewicza, po jasnem sformułowaniu stosunku doraźnego, między twórczością a ogółem, zapanował znów chaos. Rozwój szkoły „narodowej“, ruch w kierunku odszukiwania swojskich motywów, „szkoła bronowicka“, a równocześnie wysubtelnione czucie na każdy podmuch z Zachodu i próby rozwiązania nasuwających się problemów przez prerafaelizm, przez Odrodzenie, przez symbolizm, ruskinizm i t. d. wywołały szereg dyskusyi, przeczeń i sporów.

To wszystko jest raczej rozproszeniem kwestyi, a nie dążeniem do usyntetyzowania jej. Czy znalazł się wśród nas człowiek, któryby zadanie takie sobie postawił? Sądzę, że nie!

Cóż my naprawdę rozumiemy pod wyrazem „Odrodzenie“, jeżeli rozumieniem nazwiemy wspólność masową ducha ówczesnego z dzisiejszym? Zaprawdę, nic, lub bardzo niewiele.

To, że wiemy, gdzie się znajduje „Sąd ostateczny“, albo „Madonna z rybą“, lub „Sybille“, że z uwielbieniem głosimy rozmach i głębię ówczesnej sztuki, to dowodzi tylko naszej erudycyi, albo mniejszej lub większej kultury artystycznej, kultury zresztą nie ogólnej i eklektycznej. Epoka ówczesna po zatem jest dla nas duchowo obca, nie umiemy odczuwać życia i siebie na miarę ludzi ówczesnych, a przeto sztuka tej epoki u c z u c i o w o jest dla nas obcą również. Julian Klaczko mówiąc swe znane: My, Słowianie, możemy być tylko

mistrzami słowa, pomylił się oczywiście, lecz pomylił o tyle tylko, iż źle sformułował myśl zasadniczą, która pod wpływem zestawień dwóch epok, w umyśle jego zapewne się zrodziła. Odrodzenie, to indywidualizm w tem najszczerszem i najszerszem znaczeniu słowa, którego ogół dzisiejszy pojąć nie jest w stanie, indywidualizm w życiu, myśleniu, odczuwaniu, indywidualizm wywołany potęgą wewnętrznej energii. Protest rzeczywistego, potężnego życia, które samo dla siebie jest celem, w zgodnem rozprężeniu się ducha i zmysłów do granic najdalej wyznaczonych przez naturę.

Ubóstwienie człowieka w ciele i duszy, kult dla wolności istnienia, kult tak wielki, że stanowi niemal oś twórczości artystycznej epoki. Narodziny potężnego, zmysłowego ideału człowieczeństwa w najwyższej jego skali—bohaterstwie. Duch i ciało przemieniają się w jednolitem spojeniu, podniesione do najwyższych szczytów piękności i potęgi. „Kiedy czytam Homera, to zdaje mi się, że urastam na dwadzieścia łokci“ — mówi Michał-Anioł, a Cellini delektując się pięknem ciała ludzkiego i podnosząc wdzięk składowych jego części, dodaje: „Pępek także jest piękny, linie jego są niewysłowionej wytworności“. Kobieta i walka, miłość i bohaterstwo, jest główną treścią ich istnienia. Uczucia ich są potężne, bo rozkosz i życie jest dla nich w potędze wrażeń i wzruszeń, żądza wyolbrzymienia się przez dzieła zewnętrzne zajmuje ich przedewszystkiem. Na tem tle powstaje bogata sztuka, która jest wyrazem i skrystalizowaniem epoki.

W zestawieniu ze wspomnianą epoką, dzisiejsi ludzie, brani nie pojedyńczo, lecz jako zbiorowisko, stanowią zgoła inny grunt dla sztuki.

Pomijając szczegółowe różnice, które się z zestawienia wysnuwają, zatrzymam się tylko na jednej. Oto dzisiejszej zbiorowej duszy ludzkiej, brak pierwiastku bohaterstwa. Zkąd to pochodzi? Przedewszystkiem z wytkniętych celów życia. Celem życia jest samo życie—zdaje się mówić skrystalizowany sens zamierzchłych czasów, a wszystko inne jest tylko środkiem do osiągnięcia tego celu jedynego. Teza ta, dziś wydaje się być, jak gdyby przedstawioną odwrotnie, t. j. że życie samo jest jakoby środkiem do osiągnięcia różnych celów. Jakich?—to już pytanie następne i bardzo złożone, kwestya tkwi w tem, czy każdy lub którykolwiek z tych celów może stanowić tak mocny motor istnienia, by mógł napięcie duchowe rozwijać do najwyższego punktu bohaterstwa. Z tego bowiem punktu konsekwentnie wypływa w następstwie natura samej twórczości

i sztuki, czy to jako misteryum duchowego, czy też jako rozrywki dla nerwów i mózgów znużonych.

Względność wszystkiego! To pojęcie względności w stosunku do życia, jako istotny dorobek myślowy XIX wieku, jest zarazem najogólniejszym wykładnikiem dzisiejszej duszy. Niema tak bezwzględnie wielkiej rzeczy, którąby można wypełnić całkowicie życie; natomiast wiele jest rzeczy mniejszych, dla których żyć jest warto. Stąd ogólny dyletantyzm i eklektyzm życia, stąd umniejszenie jego skali w tym celu, by kosztem umniejszenia tej skali, umniejszyć siłę jego bólu, a zwiększyć liczbę niewinnych radości. Ogólne dążenie do przerzucenia się od miary Fidyasza na miarę krawca. Jaki jest grunt na którym ma powstać nowa sztuka dzisiejsza, sztuka narodowa, o którą się dopominają liczne głosy? Jaki jest skład gleby pod nią przeznaczonej, i jaka żywotność absolutnej energii twórczej? — Jesteście apaszami!—mówił w swoim czasie Witkiewicz do naszego społeczeństwa; ja powiem, jesteśmy duszami pustemi, z których wyniesiono dawne bogi, dawne uczucia proste a silne, dawną wiarę, i nic jeszcze na tem miejscu nie postawiono wzamian. Wmawiamy w siebie wiele i to co wmawiamy, otulamy troskliwie, jako małe dziecko ostrożnie otula dłoń przymkniętą, mniemając, że trzyma jeszcze złapanego motyla, który już dawno zdołał się wysunąć i ulecieć.

— Gdzież jest Bóg duszy dzisiejszej? w kościołach!—A piękno? w muzeach i galeryach!—A poezya życia? w pieśniach piastunek!—A miłość? w kodeksie stanu cywilnego!—A urok przyrody? w zielnikach i ogrodach zoologicznych! I tak dalej przenikać mogą pytania po za obsłonki konwencyonalne, wszystko to znajdzie się na zewnątrz duszy dzisiejszej, trwożliwej duszy dzisiejszego człowieka-ofiary, która życie pojmuje jako troskę, lub jako pustkę, a w najwyższem już pojęciu — jako obowiązek. Potężna rozkosz życia, nawet jako ból i walka, przechodzi pojęcie dzisiejsze, które w najwyższej formie zna męczeństwo, a przedewszystkiem, przymus i obowiązek jako ofiarniki, na których najszlachetniejsze dusze spalać się powinny.

Jeżeli odrzucimy retoryczne obsłonki, to rzec trzeba, że sztuka tolerowaną jest tylko, jako motor społeczny, do spełnienia pewnych, nieokreślonych zresztą obowiązków. Pod tem tylko wezwaniem mówi się o niej, jako o rzeczy dobrej i potrzebnej, a nawet robi się coś dla niej. Po za tem toleruje ją się, jako jedną z form rozrywki i odpoczynku.

Mąż pewien „uczony w piśmie“, rzekł mi raz z powodu sztuki tak:—„Sztuka nam jest potrzebna do wykazania naszej wartości kulturalnej wobec Europy“. A więc „demonstracya“ sztuki, coś niby demonstracye flot mocarstw, które chcą zaznaczyć swoją potęgę. Innych celów sztuki „mąż“ ten nie znał i nie uznawał, a zdaje się, że cytowane słowa jego, są wyrazem, jeżeli nie ogólnej, to przynajmniej dość rozpowszechnionej opinii.

Lecz przypuśćmy, że są one tylko cząstkowem pojmowaniem sprawy, że wśród większości ludzi jej znaczenie reprezentacyjne zepchnięte jest na dalsze plany, na pierwszem zaś postawiony jest ogólny a bezpośredni pożytek. Jak się tedy pożytek ten przedstawia w formie konkretnej?

Jak powiedziałam wyżej, my wszyscy, w stosunku do innych epok, mamy niejako „odpreparowaną“ samorzutność indywidualną. Procesy duchowe określone, ponumerowane, i odpowiednio usankcyonowane w olbrzymiem gospodarstwie zbiorowej maszyny ludzkiej, rozwijają się z gotowych motków. To co się nazywa c z u c i e m i m y ś l e n i e m n i e z a l e ż n e m, wykluczone jest z buchalteryi duchowego życia gromady. Tem samem więc sfera istotnej sztuki, sfera bezpośredniego wyrazu duszy, zacieśniona jest obręczą w y r o z u m o w a n ą. W granicach tej obręczy rozwija się „sztuka“, lecz rozwój jej może być tylko zewnętrzny; staje się ona produktem rozumowanym i umiejętnością. Bez analizy, teoretycznie określa się to nazwą „sztuki“, sprawdza się jej wartość ilościowo i p o p i e r a, względnie utrzymuje, jako instytucyę społeczną. O b y w a t e l s t w i e r d z a jej istnienie, natomiast c z ł o w i e k, obojętnie odwraca się od niej, rozglądając się za czemś bardziej żywem i bardziej bliskiem swej duszy. I tu zarysowywa się nam wizya twórczości bezpośredniej, czyli sztuki przez bezpośredniość swą rodzimej. Pod wpływem pewnych zjawisk życiowych rozprasza się ona, albo też potężnieje i podnosi głowę A dzieje się to w chwilach najrówniejszego rytmu życia zewnętrznego, gdy mechanizm tegoż w udoskonalonem działaniu osłabił bodźce bezpośredniego czucia. Wówczas pod zewnętrzną maską zewnętrznego życia poczyna się odśrodkowa robota nieświadomych, a przez nieświadomość swą niezależnych sił duszy indywidualnej. I tak, gdy w jednem miejscu ślęczą mózgi w celu wyszukania realnych podstaw i prawd dla „swojskiej“ sztuki, ona sama w innem miejscu powstaje, pod wpływem skupionego procesu duchowego, niby ranne opary wód, wznoszące się ku słońcu. Podejmuje ona mnóstwo zaniedbanych uczuć, stłumionych nastrojów, usubtelnia się przez to, pogłębia i uduchownia.

Ta sztuka zbyt jest nieświadoma swych ostatecznych celów, by mogła budować sobie gotowe drogi. Zbyt bezpośrednia i szczera, by mogła mieścić się w przepisach ładu zewnętrznego życia. Moralność jej tkwi w jej niezależności.

* * *

Czy „swojskość" formy, ochrona przed wpływami obcemi, podsuwanie szczątków swojskiej sztuki, może mieć jaki wpływ na objaw tak niezależny, jak twórczość, i czy wogóle może być postawiona teza wychowawcza?

W swoim czasie, mówiąc na innem miejscu o sztuce i zdobnictwie ludowem, zaznaczyłem, jak przedziwnie szczery i bezpośredni, choć biedny wyraz posiada dusza ludu naszego w swojej sztuce, poezyi, wierzeniach i obyczajach. Tam nic nie jest na pokaz, nic nie jest towarem, ani reprezentacyą. Twórczość jest tam istotną twórczością, jest wyrazem duchowej potrzeby i duchowej energii, to też ta twórczość duchowa jest doskonałym wzorem sztuki wyrosłej z pnia rodzimego, czyli t. zw. sztuki swojskiej. Oczywiście, w z o r e m tylko, ale nie m a t e r y a ł e m, i dla tego też przesada w zwróceniu się do niej, bez zastrzeżeń, jako do materyału gotowego, jest bardziej modą, niż trafieniem na pewną drogę. Ładny jest kilimek, ładną i architektonicznie wytworną jest chata zakopiańska, miły w swoich jaskrawych ornamentacyach, prosty kadłub skrzyni bronowickiej, ale na tem prawie że kończy się materyał bezpośredni, a równocześnie ramy życia intellektualnego domagają się czegoś, jeżeli nie głębszego, to szerszego. Stąd też wydają mi się i dziwnemi i szkodliwemi, hasła, rozlegające się tu i owdzie w kierunku zepchnięcia intencyi twórczej do wiejskiego życia i wiejskiego ornamentu. A inaczej tych haseł rozumieć nie można, zwłaszcza, gdy spotykać się trzeba z obawami, by wszelkie wpływy sztuki zachodu, sztuki szczególnie odrodzenia, nie zachwaściły twórczości rodzimej.

T r e ś ć sztuki zależna jest od głębokości i skali uczuć, w y r a z, forma—od indywidualności pojmowania zjawisk, tak w rozumieniu osobowem, jak i plemiennem. Co zaś do indywidualności, to taka, którą

trzeba „podkarmiać“ i zarazem trzymać pod kojcem, by nie sfrunęła na obce podwórko, taka nie jest żadną indywidualnością, i dla istotnej twórczości nie ma żadnego znaczenia. Jedyny, jaki można stwierdzić, wpływ na twórczość, wywierać może samo otoczenie bezpośrednie, czyli grunt, na którym ta sztuka wyrasta, a wpływ ten wyrazić się tylko może ujemnie. To znaczy, że gdy grunt jest zbyt jałowy, zbyt suchy, zbyt mało uprawny, roślina karłowacieje i usycha. Po za tem, rzecz się ma odwrotnie, t. j., że może być mowa tylko o takim wpływie, który idzie ze sztuki na otoczenie. Ów wpływ ujemny, idący z otoczenia na sztukę, jest tylko mechaniczny, przygnębiający z zewnątrz, a szukać go należy w zbyt wielkiej różnicy między organizacyą duchową twórców i ogółu, w różnicy kulturalnej, i wreszcie obojętności. Twórczość jest nieustającą rewolucyą, walczącą ciągle o wolność żywych uczuć. Walczy ona nawet przeciw temu, co sama budowała poprzednio. Sztuka występuje, jako pobudka bojowa wolności, przeciw moralnemu zacieśnieniu gromady jako protest zwycięzki przeciw zaściankowej optyce małego kąta, lub jako druzgocące szyderstwo. Ten jest wpływ sztuki na przebudowę wiązań duchowych otoczenia i w tem zarazem tkwi ciężar, który ją przygniata. Tragedya łoskotu młotów, przykuwających łańcuchy do skały, tragedya krwawiącej wątroby, szarpanej przez sępa niemocy. Jakże śmieszną jest wobec tego wszelka „akuszerya“ sztuki, wszelkie „normalne“ powijaki i „odtłuszczone“ pokarmy.

Miarą twórczą jednostki jest jej moc odczuwania i moc wyładowywania uczuć. Miarą wewnętrznej mocy ogółu, jest sfera, zakreślona przez nią dla pojęcia piękna, i od granic tej sfery zależny jest grunt, na którym sztuka (rodzima oczywiście) ma się rozrastać.

Na początku już próbowałem określić skalę i naturę owej sfery i zaznaczyć jej zmienność w stosunku do epok. Mianowicie, podkreśliłem zewnętrzność dzisiejszej epoki, zewnętrzność w celach i w wyładowywaniu energii. To nie pozwala dzisiejszej epoce tworzyć wielkiej sztuki, choć nie przeszkadza mieć wielkich twórców. Ludzkość żyje na wielką skalę, stwarza nawet i spełnia wielkie zadania, ale nie może się zdobyć na wielkie ideały. Cokóły dla nich przeznaczone są puste, gdy stare zwietrzały i rozkruszyły się na pył. W sztuce zarysować się muszą nowe, nieuświadomione jeszcze ideały przyszłości. Przez sztukę odnajdą one swoje formy, swój symbol, w niezliczonych mieniący się kształtach. O takiej sztuce dopiero można powiedzieć, że stała się wyrazem zbiorowego ducha, że jest sztuką narodową.

Kultura artystyczna i rozwój sztuki wzrastają równolegle do pogłębienia duchowego ogółu, ale same przez się nie są w tym procesie przyczyną, lecz skutkiem.

I jeżeli sztuka nasza w perspektywie przyszłości, zarysowywa się w kształtach szerokich, to szukać przyczyn należy nie w szkołach i akademiach, nie w zmożonym obowiązku społecznym, lecz w powolnem może, ale stałem pogłębianiu się życia duchowego.

. . . . . .

Stef. Popowski.

PIŚMIENNICTWO.

HANS PAALTZOW. Zur Polenfrage. Der Gebrauch der polnischen Sprache in politischen Versammlungen. Die polnischen Post-adressen. Zwei Rechtsgutachten. (Berlin 1902).

Broszura Zorna, profesora berlińskiego uniwersytetu, skierowana przeciwko używaniu języka polskiego na zgromadzeniach publicznych oraz na adresach pocztowych, wywołała studyum Paaltzowa, nadbibliotekarza biblioteki królewskiej w Berlinie, w którem autor, odrzucając dowody i rozumowania swego poprzednika, dochodzi, na innej wprawdzie drodze, do tychże samych postulatów politycznych. Zorn, pragnąc usunąć język polski ze zgromadzeń publicznych i z adresów pocztowych, utrzymywał w sposób kategoryczny, że prawo pruskie i niemieckie obowiązujące, zaprowadziło w życiu publicznem jeden tylko język państwowy (Staats-sprache) niemiecki. Dotychczasowe panowanie języka polskiego na zgromadzeniach publicznych było jedynie ustępstwem prekaryjnem, a więc w każdej chwili odwołalnem, władz rządowych, i obecnie, gdy nadzór policyjny nad owemi zgromadzeniami domaga się używania wśród obrad języka niemieckiego, dawne ustępstwa należy cofnąć i uważać je w przyszłości za niemożliwe. Co się zaś tyczy kwestyi adresów pocztowych, to zwyczaj przeszło stuletni przyjmowania polskich adresów przez pocztę pruską, nie skłania prof. Zorna do żadnych ustępstw czy wyrozumiałości. Twierdzi on stanowczo, iż niemieccy urzędnicy pocztowi, zarówno jak i urzędnicy innych gałęzi administracyi państwowej, obowiązani są nietylko używać w służbie, ale znać w ogóle jeden tylko język państwowy niemiecki, i skutkiem tego obowiązani są przyjmować i doręczać listy czy pakiety tylko wtedy, jeżeli takowe są zaopatrzone w wyraźny adres niemiecki.

Odpowiedzią na powyższe wnioski Zorna jest studyum Paaltzowa, którego tytuł został na czele podany. W przedmowie jednak

autor uprzedza czytelnika, że jego polemika z Zornem będzie miała charakter doktrynerskiej szermierki. Broszurę swoją napisał bowiem na gorące wezwanie hakatystów (Ostmarken-Verein) a dla „polskiej agitacyi“ ma jedynie słowa potępienia. Zdaniem jego, skutkiem owej agitacyi powinno być uzupełnienie dotąd niedostatecznego prawodawstwa prusko-niemieckiego, co do używania mowy niemieckiej na zgromadzeniach publicznych i na adresach pocztowych. W jakim zaś duchu prawodawstwo owo winno być uzupełnione, przekonywują nas słowa kończące przedmowę, które brzmią jak następuje: „Na gruncie niemieckim winna jedna tylko narodowość wyciskać stanowcze piętno na całem życiu publicznem, a mianowicie niemiecka. Tej konieczności muszą uledz nasi współobywatele, mówiący po polsku“. Zakończenie powyższe nie jest pomyślną zapowiedzią dla polskiego języka. W każdym razie rozumowanie Paaltzowa jest oryginalne i nie pozbawione przenikliwości, zwłaszcza w tych ustępach, które są skierowane przeciwko kunsztownej, rabulistycznej interpretacyi Zorna.

W historycznym ustępie przypomina Paaltzow, że w r. 1876 poruszył Łyskowski w swej interpelacyi po raz pierwszy sprawę rozwiązywania zgromadzeń przez policyę, z powodu posługiwania się w dyskusyi polską mową. Najwyższy sąd administracyjny, na którego pogląd miał do pewnego stopnia wpłynąć Rudolf Gneist, zdecydował, że używanie obcej mowy na zgromadzeniu publicznem nie może być nikomu zabronionem i że jestto rzeczą policyi postarać się o urzędników znających polską mowę, aby należycie wykonywać prawo nadzoru. Przez dwadzieścia lat władze zastosowywały się do powyższego orzeczenia, dopiero w r. 1896, minister v. d. Recke, przyszedł do przekonania, że dłużej, podobne postępowanie jest niemożliwem. Przemawianie bowiem po polsku na zgromadzeniach publicznych, zakorzeniło się w prowincyach nadreńsko-westfalskich oraz na Górnym Szlązku, i to, jak minister twierdził, z tym wyraźnym zamiarem, aby policyi udaremnić wszelki nadzór nad niemi. Odpowiadając na interpelacyę Stephana, minister v. d. Recke zapewniał, że administracyi w zasadzie jest zupełnie obojętnem, czy na zgromadzeniach używaną jest mowa niemiecka, lub obca; administracya bowiem nie zajmuje się protegowaniem czy stłumianiem pewnej mowy lub języka. Jest-to jednak w każdym razie rzeczą wysoce nienormalną, gdy nadzorujący urzędnik nie rozumie języka, w którym się toczą obrady. Policya nie będzie się i nadal sprzeciwiała odbywaniu rozpraw w obcych językach na zgromadzeniach, o ile się to tylko okaże możliwem. Możliwem zaś to będzie tylko w tych okolicach, w których nietylko język niemiecki wyłącznie jest ludowym i gdzie jeszcze znaczna część ludności nie rozumie po niemiecku. Urzędnicy policyjni nie mogą jednak

w żadnym razie być poliglotami i wymagać tego od nich nie podobna, aby np. na górnym Szlązku rozumieli po morawsku i znali wszystkie wyrazy polskie (Wasser und Hoch-polnisch), tak samo jak nie można pozwolić na to, ażeby robotnicy przybywający z Belgii do Westfalii na zgromadzeniach używali wallońskiej mowy.

Orzeczenie sądu najwyższego administracyjnego z 1897 r. nie przyjęło w zupełności poglądów ministra. Podług najwyższego sądu, tylko wtedy może policya zabronić używania polskiej mowy na zgromadzeniu publicznem, jeżeli się to dzieje z wyraźnym zamiarem udaremnienia policyjnego nadzoru. Zamiar ów jednak powinien być wyraźnie podstępny i złośliwy (dolus), a przytoczone przez ministra wypadki, nie noszą na sobie cech owej podstępnej złośliwości. Większe prawdopodobieństwo przemawia za tem, że zgromadzeni używali dla tego mowy polskiej, ponieważ, jako mową rodzinną, władali nią lepiej, i dzięki onej właśnie, mogli się daleko prędzej porozumieć i daleko gruntowniej dyskutować. W roku 1902 policya rozwiązywała znowu zgromadzenia w Prusach Zachodnich i na Szlązku, z powodu używania obcej mowy a minister Hammerstein uzasadniał podobny krok, nowym, poprzednikom nieznanym motywem. W r. 1849 w drugiej izbie wystąpiono z wnioskiem równouprawnienia w odpowiednim zakresie mowy, narodowości nie rozumiejących po niemiecku. Wniosek powyższy odrzucony został znaczną większością i fakt ten dowodzi najdobitniej, iż milczenia konstytucyi nie należy sobie tłómaczyć w ten sposób, że obce mowy mają jakieś specyalne prawa w Prusach. Zdaniem Hammersteina należy też rozróżniać dzielnice o mieszanych mowach od dzielnic o jednej mowie niemieckiej. W tym drugim wypadku, jeżeli poddani pruscy używają na zgromadzeniach obcej mowy, pomimo, że wszelkie prawdopodobieństwo przemawia za tem, iż rozumieją po niemiecku, wtedy należy przypuścić, iż czynią to w celu rozmyślnym udaremnienia nadzoru policyjnego. W okolicach o mieszanej mowie, mają się rzeczy cokolwiek inaczej; zależy to od tego, czy polityczne zgromadzenia, poddane nadzorowi, są prywatne czy publiczne. Na prywatnych zgromadzeniach, wynika to z samej natury rzeczy, iż każdy może mówić tym językiem, jaki mu się podoba i że administracya obowiązana jest zaopatrzyć się w odpowiednie organa do wykonywania nadzoru. Inaczej się jednak mają rzeczy, gdy zgromadzenia są publiczne, wtedy bowiem tylko mowa niemiecka może być w użyciu. Posługiwanie się obcą mową w tym wypadku, ograniczałoby prawa prusaków, mówiących po niemiecku, którzyby nie byli w stanie występować w obronie swych projektów i poglądów. W końcu, Hammerstein powołał się na przepisy

w Saksonii, a nawet w Austryi, gdzie policya rozwiązywała zgromadzenia, z powodu używania języka polskiego zamiast niemieckiego.

W uzasadnieniu prawa pruskiego obowiązującego, Paaltzow objaśnia, że § 29 pruskiej konstytucyi, pozwalający wszystkim prusakom zgromadzać się, wytwarza tak zwane prawo zasadnicze (Grundrecht). Co się tyczy mowy, jaka powinna być na owych zebraniach używana, to brak jest absolutny jakichkolwiek w tej mierze przepisów. Rozumowania Hammersteina nie można jednak uważać za przekonywające. Jeżeli bowiem używanie polskiej mowy ma ograniczać prawa prusaków mówiących po niemiecku, to nawzajem używanie mowy niemieckiej krzywdzi obywateli polskich, nie rozumiejących po niemiecku. W tym wypadku należy też stanąć wyraźnie, nie dwuznacznie na gruncie konstytucyjnym, który nie zna żadnych zakazów odnośnie do używania mowy. Z natury rzeczy wypływa, aby na zgromadzeniach używano języka miejscowej ludności, a co najwyżej dodać można, że przepis obowiązujący nie nakazuje tego zwyczaju, nie czyni z niego publicznego obowiązku. W żadnym razie jednakże, nie wolno z milczenia konstytucyi wnosić, jak to Zorn czyni, iż mowa niemiecka winna być wyłącznie używaną na wszystkich zgromadzeniach. Paaltzow objaśnia również, że do owego dowodu historycznego z jakim Hammerstein wystąpił, nie należy przywiązywać zbyt wielkiego znaczenia, jeżeli bowiem w r. 1849 komisya odrzuciła wniosek równouprawnienia języków w Prusach, z jakim w drugiej izbie wystąpiono, to, uczyniła to w przekonaniu, że w Prusach poczuwano się należycie do obowiązku szanowania właściwości pozaniemieckich szczepów, a więc komisya uważa za niestosowne obarczać konstytucyę państwa pruskiego takim przymusowym serwitutem.

Co się wreszcie tyczy prawa nadzoru, to zdaniem Paaltzowa rozciąga się ono na całe życie narodu. Nadzorowanie jednak przeistacza się w pilne czuwanie jedynie w obec podejrzanych i niebezpiecznych przedsięwzięć. W żadnym razie nie można łączyć prawa czuwania, z użyciem mowy obcej na zgromadzeniach, usprawiedliwiając się tem, że używanie mowy obcej uniemożliwia wykonanie prawa nadzoru. Nie ma konieczności nadzorowania wszystkich zebrań, jak również nie ma policya obowiązku, słyszenia lub rozumienia tego wszystkiego, co na zgromadzeniu zostało powiedzianem. Gdyby wszystkie mowy na zgromadzeniach miały być dla nadzorujących organów zrozumiałe, to możnaby zawiesić wydawnictwa gazet polskich, za jednym zamachem i to z tej jedynie zasady, że policya pruska nie rozumie tego, co w nich jest drukowanem. Mowa niemiecka jest niewątpliwie przepisana wszystkim władzom prusko-niemieckim jako urzędowa, ale ludności w ustnem obcowaniu z władzami nie jest

bynajmniej przepisaną mowa niemiecka. Policya też jako władza nadzorująca nie może się wymawiać nieznajomością mowy polskiej Inna rzecz jest mówić, a inna rozumieć pewną mowę. Dopóki wychodzą pisma polskie, a nawet, dopóki ludność mówi na ulicach po polsku, policya musi mieć organa znające polską mowę, ażeby mogła należycie czuwać nad powyższemi objawami życia społecznego. Odkąd-że to istnieje przepis uwalniający policyę od rozumienia mowy polskiej? Raz też trzeba przyjść do tego przekonania, że policyjne czuwanie nie ma z mową nic do czynienia Mowa jest dla nadzoru policyjnego równoznaczna z jedzeniem, piciem lub spaniem; stanowi ona jedynie przedmiot nadzoru.

Paaltzow też przychodzi ostatecznie do przekonania, że rozwiązywanie zgromadzeń z powodu używania na nich obcej mowy, niema w obowiązującem prawie pruskiem żadnego uzasadnienia, więc orzeczenie najwyższego sądu administracyjnego było zgodne z poczuciem sprawiedliwości, oraz wypływało bezpośrednio z ducha prawodawcy. Niewątpliwie jednak obecny stan absolutnej wolności używania mowy, potrzebuje zmiany. Ze wszech miar jest też pożądanem, aby na wszystkich zgromadzeniach politycznych, jedynie mowa niemiecka używana była. Przepis powyższy nie obrazi słuszności, albowiem prusacy, używający polskiej mowy, zostali należycie w szkole ludowej przygotowani do zrozumienia mowy niemieckiej, tak, iż ostatecznie ów przymus językowy wyjdzie im tylko na dobre w przyszłości. W każdym razie nie odpowiada to ani tradycyi, ani naturze państwowości pruskiej, aby jakiejkolwiek obcej mowie przyznawano specyalne prawa. W zakresie życia publicznego winna niepodzielnie panować mowa niemiecka i jej tylko przystoi nadawanie stanowczego piętna narodowemu i państwowemu życiu. W celu zaprowadzenia pożądanej zmiany prawodawczej, nie potrzeba wcale tykać konstytucyi, wystarczy najzupełniej nowella do prawa z 1860 r. o zgromadzeniach i zebraniach. Przedewszystkiem jednak należy pamiętać o tem, że wszelkie ustępstwo na rzecz języka polskiego w tych częściach Prus, które należały niegdyś do Państwa polskiego, jest najniebezpieczniejszem i dla tego niemożliwem.

Druga część rozprawy Paaltzowa poświęconą została historyi sporu o adresy pocztowe. Do roku 1900, jak świadczy Paaltzow, pruska poczta przyjmowała polskie adresy bez żadnego kwestyonowania. Dopiero w r. 1900 wystąpił dziennik szląski z prowokacyjnym artykułem, w którym nawołuje ludność polską do wypisywania wszelkich adresów tylko po polsku, z zasady, że poczta jest obowiązana do rozumienia tychże. Istotnie liczba posyłek i listów z wyłącznie polskiemi adresami wzrosła znacznie, utrudzając niepotrzebnie

zarząd poczty i wpływając na opóźnienie jej funkcyonowania. Jakkolwiek sekretarz stanu Podbielski, uważał, że zakaz ogólny przyjmowania listów z adresami polskiemi, nie jest jeszcze na czasie, jednakże w roku 1901, wystąpił Głębocki w sejmie z interpelacyą, zapytującą rząd o wyjaśnienie, z jakich powodów poczta w licznych wypadkach odmawia przesyłania listów i pakietów zaopatrzonych w polskie adresa. Odpowiadając na interpelacyę, sekretarz stanu Podbielski zapewniał, że podczas swego urzędowania, nigdy polityki nie mieszał do pocztowej administracyi. Jedynym bodźcem, którym się kierował, były względy czysto technicznej natury; za tego rodzaju usprawiedliwienia się, spotkały sekretarza stanu, ze strony narodowców niemieckich gorzkie zarzuty.

Skutkiem skarg polskiej ludności, wydano jeszcze w r. 1901 dla poczty uzupełniające przepisy. Podług tychże przepisów, wszystkie przesyłki i listy wartościowe, za których doręczenie poczta była odpowiedzialną, powinny być adresowane w mowie ogólnie znanej, do której polska nie mogła rościć pretensyi. Nawet zwyczajne listy w obiegu wewnętrznym krajowym, winny być również tak samo adresowanemi. W przypadku jednak gdyby się w skrzynkach pocztowych znalazły listy adresowane w obcej mowie, to zarząd, jeżeli adres będzie możliwym do odczytania, postara się przesyłkę doręczyć odbiorcy. Prócz tego zarząd poczt urządza odpowiednie biura tłómaczeń adresowych, do których odsyłane będą listy z nieczytelnemi lub niewyraźnemi adresami. Gdyby i owe biura adresowe odczytać nie mogły, w takim razie listy będą uważane za niemożliwe do doręczenia. Poseł Jażdżewski, krytykując uzupełniające przepisy pocztowe, oświadczył, iż biur tłómaczeń nie może uważać w żadnym razie za koncesyę dla polskiej ludności, albowiem pruska poczta obowiązana jest mieć urzędników, rozumiejących po polsku. Nadsekretarz stanu odpowiedział, iż jest szefem zarządu pocztowego w cesarstwie niemieckiem i nic nie wie o obowiązku posługiwania się urzędnikami mówiącymi po polsku. W dodatku, poseł Głębocki utrzymywał, że urządzenie biur tłómaczeń, jest naruszeniem dotychczasowego stanu prawnego i to naruszeniem dla polskiej ludności bardzo dotkliwem albowiem biura tłómaczeń opóźniają doręczanie listów i są dla polskiej ludności prawdziwem udręczeniem. W odpowiedzi na to, sekretarz stanu Podbielski oświadczył, że niektóre adresa polskie były jakoby prowokacyą poczty pruskiej i dla tego ostrzegał, ażeby ludność polska powstrzymywała się od podobnego, wyzywającego zachowania, albowiem na tej drodze nie uzyska najmniejszego ustępstwa, i on będzie zmuszony przeciwstawić tej agitacyi stanowczy opór.

Prof. Zorn, uważając zarząd pocztowy za gałęź administracyi państwowej, wyraził w stanowczy sposób zdanie, że poczta prusko-niemiecka, czyli jej urzędnicy, obowiązani są do znania i używania jednej tylko mowy niemieckiej, a więc poczta w tym tylko języku adresy przyjmować powinna. Zastanawiając się nad powyższym poglądem, Paaltzow przedstawił dawniejsze poglądy nauki administracyi na zarząd pocztowy, które się na tę kwestyę zapatrywały, bądź to ze stanowiska prawa cywilnego, bądź to prawa publicznego. Zaznaczając że w zarządzie pocztowym jednoczy się do pewnego stopnia prawo publiczne z prywatnem, Paaltzow oświadcza, że z poglądami Zorna zgodzić się nie może i oddania listu na pocztę nie uważa jedynie za propozycyę, czy wniosek oddającego, lecz za żądanie spełnienia publicznego obowiązku. Wszystko, co tylko Zorn przytoczył o domniemanych poglądach i zamiarach prawodawcy prusko-niemieckiego, niema w danem położeniu i specyalnie w sporze o adresy pocztowe najmniejszej wartości. Nie chodzi bowiem w żadnym wypadku o domniemane poglądy prawodawcy, ale o wyraźną jego wolę, wyrażoną w przepisie prawa. Otóż Zorn nie wykaże tego aby w przepisach prusko niemieckich nakazanem było zarządowi pocztowemu posiłkowanie się w obcowaniu z publicznością jedynie mową niemiecką. Prawo zwyczajowe, które było w niektórych dzielnicach zastosowywane z górą przez wiek cały, poucza w sposób bardzo wyraźny, że poczta pruska używała niezmiennie języka niemieckiego w czynnościach urzędowych, ale zarazem przekonywa, że nie było zakazu rozumienia obcej mowy w adresowaniu pakietów czy listów. Prawo zwyczajowe dowodzi w stanowczy sposób, że poczta od wieku przyjmowała listy adresowane po polsku i dopiero od niedawna zaczyna się posługiwać biurami tłómaczeń. Wszelkie też dowodzenia Zorna, że z natury obowiązujących przepisów pocztowych wypływa zakaz używania polskiej mowy w adresowaniu listów, są zupełnie bezpodstawne i wpadające w sprzeczności.

Załatwiwszy się z wykrętnemi tłómaczeniami obowiązującego prawa, z jakiemi Zorn wystąpił, zastanawia się Paaltzow nad następującemi kwestyami pocztowego prawodawstwa: 1) w jaki sposób zmienić przepisy obowiązujące i 2) czy zmiana będzie rzeczowo usprawiedliwiona, a politycznie odpowiednia? Podług konstytucyi cesarstwa niemieckiego, wolno kanclerzowi, a nawet jego zastępcy, wydawać rozporządzenia dotyczące warunków, pod jakiemi poczta ma doręczać pakiety i listy. Niewątpliwie zatem rozporządzenie kanclerskie, ewentualnie sekretarza stanu, może decydować w sprawie mowy, która winna być używana do adresowania listów. Urządzenie dotychczasowe biur tłómaczeń, jest z wielu względów niepraktycznem, jako

przewlekające i opóźniające funkcye pocztowe. Kanclerz więc w wydaniu odpowiedniego rozporządzenia powinien się kierować jedynie interesem i dobrem państwa. Adresy polskie należy uważać za prowokowanie niemieckiej poczty i byłoby to ubliżającem dla godności narodowej, gdyby poczta w jakikolwiek sposób tej prowokacyi ulegała i dla tego ze wszech miar jest pożądanem, aby rozporządzenie kanclerza rozstrzygało wszelkie wątpliwości na korzyść języka niemieckiego. Gdyby uzupełniono w tym duchu przepisy pocztowe obowiązujące, odpowiadałoby to najzupełniej charakterowi narodowemu a przeciwko polakom nie utworzonoby żadnego specyalnego lub nienawistnego środka. Wszyscy bowiem cudzoziemcy, mieszkający w Niemczech, musieliby na listach wewnątrz kraju przesyłanych, adresy kłaść po niemiecku. Rozporządzenie, nakazujące wyłączne adresowanie listów po niemiecku, byłoby też godną odpowiedzią na owokacye polskie, a wreszcie w połączeniu z innemi środkami, posłużyłoby podobne rozporządzenie do utrwalenia niemieckiej kultury i narodowości niemieckiej, przyniosłoby niewątpliwie w przyszłości pożądane owoce.

Interesujące studyum Paaltzowa zakończonem zostało wnioskami niezbyt dla ludności polskiej wesołemi. Paaltzow pogardził wprawdzie środkami używanemi przez Zorna; odrzucił od siebie wykrętną i naciąganą interpretacyę przepisów obowiązujących i przyznał otwarcie, że ludność polska może się słusznie powoływać na obietnice królów, traktaty międzynarodowe i wiekowe prawa zwyczajowe, uznające polską narodowość. Gardzi jednakże wszystkiemi podobnemi środkami, godnemi rabulistycznych pokątnych doradców. Paaltzow wskazuje rządowi prusko niemieckiemu odpowiedni środek, załatwienia w swoim rodzaju godziwego, sporu narodowościowego. Nowella prawna w pierwszym wypadku, rozporządzenie kanclerskie w drugim i znika na zawsze język polski ze zgromadzeń publicznych i z adresów na listach. Nikt nie może narzekać lub uskarżać się na nielegalność powyższego środka, tak jak nikt nie może ograniczać prawodawcy niemieckiego i wymagać, aby się krępował względami na przeszłość i dawne zobowiązania państwa pruskiego. Środki proponowane przez Paaltzowa są jawne, logiczne, konsekwentne i nie pozostawiające żadnej wątpliwości dla ludności polskiej. Są one wydobyte z archiwum, czy arsenału tak zwanej „Stoss ins Herz", polityki, która porządek konstytucyjny podkopuje i zwyradnia, niszcząc najważniejsze prawa indywidualne swobody i utożsamiając państwo z jedną uprzywilejowaną narodowością.

A. R

MARYA KONOPNICKA. Drobiazgi z podróżnej teki. Warszawa, nakład Gebethnera i Wolffa, Kraków, G. Gebethner i Sp. 1903. 12-o, str. 196.

Po „Italii", grającej wszystkiemi barwami tęczy, całą gamą tonów, grzmiącej potęgą wielkości i natchnienia, miniaturowe „Drobiazgi", luźne notatki i wrażenia „Z podróżnej teki"—to jakby ktoś z hymnu zstąpił do prostej powieści. Poetka, nadając to miano nowemu zbiorkowi swych utworów poetyckich, z których znaczna część była drukowana w „Bibliotece Warszawskiej", jakby chciała przez to zaznaczyć, że nie przywiązuje zbytniej wagi do tych utworów i nie życzy sobie, aby je zestawiano z dawniejszymi.

Nie chcemy przez to powiedzieć, że „Drobiazgi" mniejsze są lub gorsze od „Italii". Bynajmniej! One są tylko—inne. Tamte przytłaczały duszę świetnością, przepychem, bogactwem barw, brały ją w jassyr potęgą obrazów natury, lub arcydzieł wiekopomnej sztuki włoskiej; te—czarują, nęcą pogodą i łagodnem światłem i błogością przepełniają wyobraźnię; wobec „Italii" duch się trwoży i klęka, przy „Drobiazgach" nurza się w błogości i cieple radosnem; w „Italii" nieraz grom rozgrzmiewa i oślepia wzrok błyskawica, w „Drobiazgach" zawsze jaśnieje ranek promienny, nie upalny jeszcze, lub owiewa duszę ciszą—ciepła noc letnia. Ale artyzm jest w obu zbiorach równie niedościgły.

„Drobiazgi" poetka rozłamała w ośm cyklów, z których pierwszy, z nad wód modrego Adryatyku, nosi tytuł „Gospa Regina". Kilka tu pięknych obrazów natury. Nie sposób ich wszystkich przytaczać, ale oto jeden z nich np., który zaczyna się od pięknego czterowiersza:

W mojej małej, nizkiej izbie,
Mam okienka dwa nieduże,
W jednem świeci szafir morza,
W drugim świt mi rzuca róże.

Albo taki np. nastrój ciszy nocnej:

Cisza wielka i szeroka,
Wiosło nawet nie zapluska,
Na granacie morza ciemnym
Drży miesięczna srebrna łuska.

Znajdziemy tu też kilka obrazów rodzajowych z życia rybaków dalmackich.

Drugi cykl p. t. „Drobiazgi włoskie“ przedmiotem swym najbardziej zbliża się do „Italii“: to jakby okruchy brylantów, pozostałe od szlifowania dyamentów „Sonetów włoskich“. Znajdziemy tu obok dawniejszych motywów, jak np. kontemplacye arcydzieł malarstwa włoskiego („Adoracya magów“, w „Parmie“) i nowe: sympatyczne typy ludu włoskiego, młodego rybaka, lub starego wiarusa, co stracił nogę w jednej z walk za niepodległość włoską.

Cykl: „Po drodze“ stanowi jakby ogniwo przejściowe. Ale i tu nie brak prawdziwych perełek poetyckich, jak np. taki drobny a tak czarowny wiersz:

Woda — taka cicha,
Jak sen . . .
Wiatr — lekuchno wzdycha,
Jak sen . . .
Łódka — tak ucieka,
Jak sen . . .
Myśl — taka daleka,
Jak sen . . .

Albo taki uroczy krajobraz górski:

Góry rozwarły ramiona,
By objąć cichą dolinę . . .
Noc schodzi srebrna, zroszona,
By objąć cichą dolinę . . .
W zadumie patrzy me oko,
W daleką, cichą dolinę . . .

Pozostałe pięć cyklów: „Sonety prowansalskie „Urbs Avinionensis“, „U Felibrów“, „Kartki prowansalskie“, „Na Alyscamps“, wspólny mają przedmiot i nastrój wspólny. Wszystkie wzięły za treść czary promiennej krainy prowansalskiej, wszystkie tchną żarem słońca, weselem, pieśnią i miłością, blaskiem i wonią, słowem, rozkoszą i słodyczą życia. Po pagórkach i dolinach tej ziemi błogosławionej „woła życie“, jak mówi poetka w jednym z przepięknych sonetów. A wszystkie te utwory są równie piękne, i chciałoby się wszystkie przytoczyć, zapamiętać.

Oto pierwszy z brzegu sonet p. t. „U wrót Awinionu“:

Szczęśliwe miasto! Od Romy króla,
Po dziś dzień bramy warownе je strzegą.
A ono życiu plastr miodu złotego,
Brzęcząc, wyrabia, jak pszczelny rój.
Tak biały powój kielichy swe stula,
By nie uronić nektaru wonnego...
Niech za murami prądy czasów biegą.

Niech za murami wieku mistral hula!
Do bram twych pukam, Awinionie stary,
Zamknięty z pieśnią i brzękiem gitary,
Za haszt łańcuchem i za wieńcem blanków...

Późna jest chwila i gwiazdy już świecą...
Otwórz mi! Duchem niechaj spocznę nieco,
Minstrelów twierdzo! Warownio kochanków

Tak mało tu powiedziano, a tak wiele zarazem; trudno w 14 wierszach więcej zamknąć treści, więcej zawrzeć uroków i czarów tej krainy wymarzonej dla kochanków i pieśniarzy!

I w tym sonecie zamyka się zarazem to wszystko piękno, wszystko co rozbryzguje się kroplami po wszystkich utworach z tych cyklów prowansalskich; nastrój zawsze ten sam, choć coraz inny jego wyraz i szata poetycka.

To natura. A ludzie, mieszkańcy tej ziemi słońca, miłości i pieśni? Ci dostrajają się w zupełności do swego otoczenia, nie stanowią na tle bogatej a przepięknej krainy, brzydkiej, szarej plamy. Szaty ich barwne i jaskrawe. Pełną czarą piją oni życie i jego najsubtelniejsze rozkosze; weseli, rozśpiewani, namiętni w swoich uczuciach, gorący w wierze naiwnej i dziecięcej, czasem dochodzącej do fanatyzmu, w swej miłości kraju rodzinnego sięgają szczytów samozaparcia, a przeniknięci są czarem poezyi i piękna. A przez poetkę odmalowani są z równym artyzmem, jak obrazy przyrody, z którą stanowią całość nierozerwalną. Na charakterystykę tego ludu szczęśliwego składają się utwory: „Mój trubadur“. „Jaquemard i jego żona“, „Na ulicy“, „Krzyż Guillermina“, „Most św. Benezeta“, „La Armana Provençau“, „Ze starej kroniki“. W tym ostatnim utworze poetka

przebiega w pięknej poetyckiej formie główniejsze wypadki dziejowe z życia Awinionu i Prowancyi.

„Drobiazgi“ to nowy listek wawrzynu do wieńca chwały poetyckiej, wielkiej pieśniarki „Pana Balcera w Brazylii“.

Henryk Galle.

KAZIMIERZ JULIAN JASIŃSKI: Stara gwardya, elegia rycerska, Warszawa, Gebethner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i Spółka, 1904, 8-o, str. 71.

Typy napoleońskie tak są już pospolite w naszej literaturze beletrystycznej i wierszowanej, że trzeba niemałego talentu, aby tu coś nowego powiedzieć i wykroczyć po za ramy starego szablonu.

Przed autorami, obierającymi sobie ten niewdzięczny, mimo całego czaru poezyi i rycerskości, przedmiot, otwierają się dwie drogi, albo nakreślić śmiałym pędzlem olbrzymie tło społeczno-dziejowe i otworzyć rozległe horyzonty, stwarzając w ten sposób wielki obraz historyczny, jak uczynił ostatnio Żeromski w „Popiołach“, albo zacieśnić ramy swego obrazu, przedstawić jeden typ i w drobnem naczyniu zamknąć jeden promyczek, jeżeli nie można odbić w swoim utworze całego słońca.

P. Jasiński obrał sobie tę drugą, łatwiejszą drogę w „Starej gwardyi“, którą nazwał „elegią rycerską“. Miano niezupełnie właściwe; elegią to nie jest, ale raczej „obrazkiem rodzajowym“, coś na wzór i podobieństwo „Dworca mojego dziadka“ Fr. Morawskiego.

Akcya, jak zwykle w obrazku, dość uboga, nie rozwija się nieprzerwanym biegiem, ale rozdrabnia się na kilka drobnych epizodów, poprzedzielanych nieraz znacznym przeciągiem czasu. Pomimo to, główna postać (stary pułkownik napoleoński), została tu odtworzona z dużą plastyką. W tym człowieku niema żadnych rozdźwięków, sposób życia harmonizuje z usposobieniem, teraźniejszość bytu ze wspomnieniami przeszłości, otoczenie—z wewnętrzną treścią ducha. Oto izba jego, zwana kancelaryą: na środku dębowego stołu kałamarz z Napoleonem z bronzu, dzwonek z orłem cesarskim na kart polskich talii, rejestra gospodarcze obok dzienników francuskich, nad łóżkiem strzelby i kord nad rycinami z Częstochowską Panienką, na kupferstychach Arcole i Marengo, a obok Jana Sobieskiego, Napoleon trzeci i Eugenia „srodze wydekoltowana“.

W kilku epizodach poeta charakteryzuje tę sympatyczną postać, widzimy starca, jak dogląda pracy w polu, która tu iść musi żołnierskim szykiem, według komendy i zegara; widzimy, jak na czele wnuków mknie konno przez pole, rzucając krótkie wyrazy komendy francuskiej. Przysłuchujemy się z uśmiechem jego gawędom ze starym proboszczem, dawnym towarzyszem broni, jedynym człowiekiem, co go rozumiał dokładnie, gawędom, które zawsze snują się około jednego wątka. A potem widzimy go, jak z niepokojem serdecznym, śledzi bieg wypadków historycznych i wojnę włoską Napoleona III i kampanię austryacko-pruską, znamy jego sympatje i—podzielamy je.

Ku końcowi utworu liryzm wzmaga się. Mamy tu piękną scenę ostatniego pożegnania pułkownika ze starym proboszczem, a dalej zawzięte, zgrzytające nienawiścią, spory starego wiarusa z nowym, nawpół zniemczonym plebanem.

Następują dwie najpiękniejsze sceny „Starej gwardyi“: pułkownik ze swoim stangretem, Grzelą Białym, niegdyś wachmistrzem, ostatnim z pod wspólnego sztandaru, modlą się na swoich własnych grobach, którym brak tylko—daty śmierci, modlą się za poległych towarzyszy...

Rozwichrzył się włos biały ich dumnego czoła
Jak pióra orlich czubów, jak dębów jemioła,
Muskając jak z marmuru rzeźbione profile...
Wzrok ich zagasły gorzał w jednej wiary sile
I jednym majestatem promieniały lica,
Wiernych tym samym hasłom, chłopa i szlachcica.

A potem scena jeszcze bodaj piękniejsza: pułkownik zasiada do starego klawikordu i zaczyna wygrywać dawne pobudki, a Grzela, stojąc w kącie, nie może powstrzymać się od płaczu; wtedy pułkownik huka na wachmistrza: „Czego beczysz, babo?!“ i obaj starcy zaczynają z ogniem w oku, wspominać dawne szarże, zwycięztwa i chwały.

Następuje chwila przełomu: ogłoszono wojnę Francuzów z Prusakami. Stary pułkownik sprowadza mapy polowe, dzienniki francuskie i wraz ze swym wachmistrzem śledzi z natężeniem bieg wypadków wojennych. Nakoniec przychodzi gromowa wieść: „Sedan kapitulował!—cesarz oddał szpadę!“ i zabija go jak piorun...

Skonał z bólu, lecz skonał z pogodą na twarzy,
Jak rycerz, co przed nikim na ból się nie skarży,
Jeno odszedł Zastępów użalić się Panu,
Że moc poszła przed prawem na polach Sedanu.

Na tych wyrazach kończy się ten obrazek, który nie może rościć pretensyi do miana epopei, ani nawet poematu, nie może być uważany za wielki obraz dziejowy, ale w skromnym zakresie spełnia należycie swoje zadanie, maluje ciekawy typ pokolenia, które dziś już wymarło, a w niektórych scenach wzrusza nawet serdecznie.

Dodać jeszcze należy, że książka, wydana wytwornie, z pięknemi ilustracyami, mile nęci oko.

Henryk Galle.

KRONIKA MIESIĘCZNA.

Omawiana już przez nas niejednokrotnie na tem miejscu sprawa krajowej wystawy powszechnej, weszła w nową fazę.

Zarząd oddziału warszawskiego Towarzystwa popierania ros. przemysłu i handlu, który wziął to w swoje ręce, na mocy otrzymanych wiadomości o przychyleniu się władz wyższych do wniesionego w tej mierze podania, przystąpił już do prac przygotowawczych, mających na celu bliższe omówienie wystawy, projektowanej na r. 1905.

Wystawa, jak wiadomo, ma być przemysłową, rolniczą i artystyczną, wobec czego w podaniu wyszczególniono następujących 38 jej działów: 1) górnictwo, 2) przemysł spożywczy, 3) tkacki i przędzalniczy, 4) białoskórniczy i garbarski, 5) inżynieryę miejską i ogólną, 6) drogi i komunikacye lądowe, wodne i powietrzne, 7) budownictwo 9 urządzenie domów, 8) wyroby szklane, porcelanowe i gliniane, 9) wyroby drewniane, słomiane i inne, 10) metalurgia i wyroby metalurgiczne, 11) przemysł maszynowy, 12) dział elektrotechniczny 13) puszkarstwo, 14) instrumenty i przyrządy, 15) cukrownictwo, 16) młynarstwo, 17) produkty chemiczne, 18) papiernictwo, 19) wyroby rękodzielnicze i rzemiosła, 20) instytucye rolnicze, 21) nasiona, 22) leśnictwo i torf, 23) maszyny i narzędzia rolnicze, 24) melioracye rolne, 25) ogrodnictwo, 26) hodowla, 27) organizacya rolnictwa, 28) pszczelnictwo i jedwabnictwo, 29) hygiena, 30) sport, 31) dobroczynność, 32) szkoły i podręczniki, 33) drukarstwo, litografia i t. d., 34) wydawnictwa i handel książkami, 35) fotografia, 36) sztuka stosowana, 37) muzyka, 38) sztuki piękne.

Wystawa ma być otwarta i zamknięta w granicach między 14 maja a 14 listopada 1905 roku. Na czele jej stanie komitet, złożony z kilkudziesięciu osób, powołanych przez prezesa oddziału. Do atrybucyi komitetu należy: 1) wybór miejsca i urządzenie wystawy, 2) wyjednanie ulg i środków pomocniczych, koniecznych do urządzenia wystawy, 3) oznaczenie ścisłego terminu otwarcia jej i zamknięcia, 4) zawiązanie i utrzymanie stosunków z osobami i instytucyami

5) urządzenie na wystawie koncertów, przedstawień, odczytów, widowisk i wszelkich atrakcyi, 6) wydawanie katalogów, prospektów, ogłoszeń i sprawozdań, 7) oznaczanie i pobieranie opłaty za miejsca i za wejścia, 8) zapewnienie wystawie odpowiednich środków komunikacyjnych, 9) powoływanie osobnych komisyi do różnych działów wystawy, 10) powoływanie sędziów konkursowych do przyznawania nagród, względnie funkcyonowania w charakterze instytucyi kasacyjnej wobec wyroków sądu konkursowego.

W chwili, kiedy to piszemy, komitet ten jeszcze nie powstał, życzyć sobie jednak należy, aby powołany został do bytu jaknajrychlej. Przemawiają za tem oprócz istotnie rozległych obowiązków, na których spełnienie potrzeba będzie możliwie jak najwięcej czasu, dwa bardzo ważne względy. Jednym z nich jest zajęcie określonego stanowiska wobec projektowanej wystawy elektrycznej, która ma się odbyć za kilka miesięcy, drugim—kwestya ewentualnego odłożenia wystawy, którą wysunął niespodziewanie na porządek dzienny, nagły wybuch wojny rosyjsko-japońskiej.

Co do pierwszego względu, to zdaje się nie ulegać żadnej wątpliwości, że wystawa elektryczna, jako taka, powinna być wcielona do przyszłej wystawy powszechnej, zarówno dla oszczędzenia próżnych kosztów, które przy oddzielnem jej urządzeniu stanowczo będą większe, jak i dla dodania świetności wystawie przyszłorocznej, na której może ona stanowić osobny, zamknięty w sobie dział, nawet pozostający w zawiadywaniu własnego komitetu.

Nie sądzimy tu, aby organizatorowie wystawy elektrycznej mieli jakiekolwiek względy, uzasadniające potrzebę oddzielnego traktowania tych dwóch wystaw. Daleko ważniejszą jest kwestya poważnego zastanowienia się nad ewentualnem odłożeniem wystawy.

Oto padł wielki wyraz „wojna“, z którego pojęciem łączy się cały szereg zagadnień ekonomicznych pierwszorzędnej wagi. Naturalnie, dziś jeszcze przewidzieć nie można, w jaki sposób sprawdzą się na państwie rosyjskiem obliczenia ś. p. Blocha, autora tyle cennego dzieła w przedmiocie, który jest obecnie aktualnym.

Ale—właśnie dla tego, że przewidzieć następstw wojny nie można — należy postępować bardzo ostrożnie. Gdyby bowiem wiadomo było, że wskutek wojny tętno życia ekonomicznego spadnie u nas do minimum, to w takim razie nie pozostawałoby nic innego, jak odrazu wystawę odroczyć. To tętno jednak może albo wcale nie osłabnąć, albo też wykazać tylko tak nieznaczne odchylenia od normy,

że nie odbiją się one na ogólnym dobrobycie i nie przeszkodzą wytężeniu naszych sił materyalnych w kierunku popisu kulturalnego.

Otóż ktoś musi nad tem czuwać, musi prowadzić baczną kontrolę zjawisk ekonomicznych, które zmieniać się teraz będą z szybkością bardzo znaczną, musi się oryentować w sytuacyi c o d z i e ń i baczyć, aby nie zaangażowano się zanadto pośpiesznie w przedsięwzięciach wystawowych, ani też bez powodu ich nie zaniechano. Takim organem, czuwającym i kontrolującym atmosferę chwili, powinien być właśnie K o m i t e t w y s t a w y, powołany do bytu niezwłocznie. Jeżeli nic na przeszkodzie nie stanie, to urządzi on wystawę w r. 1905, jeżeli zaś okaże się to z rozmaitych względów niemożliwe, to urządzi ją dopiero w r. 1906, 7, albo nawet i 8—ale przez cały ten czas powinien on istnieć.

Tyle co do tego.

Jednocześnie z wiadomością o wystawie, prasa codzienna sygnalizowała kłopoty, związane z wyborem pod nią miejsca Wskazywano ogród Saski (1), Frascati (1), plac konkursów hippicznych, plac Broni, plac na tyłach cmentarza powązkowskiego, Rakowiec, plac Szustra w Mokotowie, wreszcie - może najfortunniej, place hr. Miączyńskiego za rogatkami Belwederskiemi.

Wszystkie te place jednak nie wydają się nam odpowiedniemi, gdyż albo są za szczupłe, albo mają dojazd niewygodny i prowadzący przez najbrudniejsze dzielnice miasta.

Ale Warszawa jest wygodna. Chciałaby mieć wystawę tuż, blizko, niemal w obrębie swoim, zupełnie niepomna na to, iż zabudowała się tak szczelnie, iż o stu kilkudziesięciu morgach gruntu, o jakie chodzi, nawet marzyć nie można Bo i gdzie tu taką przestrzeń znaleźć? Chyba Łazienki lub pole Mokotowskie, ale i tu i tam wystawy urządzać nie można

Zdaje nam się więc, że prosta konieczność zmusi komitet do szukania miejsca na wystawę gdzieindziej i na jedno z takich miejsc radzibyśmy wskazać.

Miejscem tem jest S a s k a K ę p a. Położona na przeciwległym Warszawie brzegu Wisły, posiadająca bardzo ładny widok na miasto, zadrzewiona tak jeszcze, że z łatwością dałaby się przekształcić w bardzo wdzięczny park, przeżywa ona obecnie ostatnie swoje chwile. Za lat kilka, po wybudowaniu trzeciego mostu, rozpocznie się tam ruch spekulacyjno-budowlany, powstaną ulice, domy, powstanie jednem słowem miasto, które za lat kilkadziesiąt będzie może stało na równi albo i wyżej od niektórych dzielnic współczesnej Warszawy.

Dziś można jeszcze i należy z tej przestrzeni wolnej i pięknej skorzystać i wydzierżawić ją od kolonistów na jedno lato. Prawdopodobnie uczynią oni to chętnie, bo cały ich zysk obecny, to dochód z ogrodów owocowych i z podupadających już restauracyi letnich.

Za wyborem tego miejsca przemawia wiele względów. Wskażemy tu jednak tylko na najważniejsze.

A więc przedewszystkiem — obszar, który dowolnie, w miarę potrzeby, będzie można rozszerzyć; powtóre, blizkość Warszawy i możność zaprowadzenia łatwej i taniej komunikacyi lekkiemi parowcami, co będzie w pewnym stopniu ponętną dla wielu nowością i co z drugiej strony przyczynić się powinno do rozbudzenia u nas ruchu komunikacyjnego na Wiśle, tak mało dotychczas w tym kierunku wyzyskanej. Trzeci wzgląd to czyste i świeże powietrze, którego za Wisłą jest poddostatkiem. Już sam przejazd przez rzekę orzeźwiłby każdego, a kilkogodzinny pobyt na Kępie byłby przyjemnym i pożytecznym wypoczynkiem dla oddychających przez dzień cały pyłem ulicznym mieszczuchów. Czwarty wzgląd, to istnienie przygotowanego już oddawna planu parcelacyjnego Saskiej Kępy. Zgodnie z tym planem Zarząd wystawy mógłby przeprowadzić drogi, brukować ulice i kłaść chodniki betonowe, które mogłyby już pozostać na przyszłość. Piąty wzgląd — to możność przeprowadzenia do placu wystawy dojazdu kołowego z drugiej strony, od Pragi — możność przeprowadzenia specyalnej linii tramwajowej dla dowożenia materyałów budowlanych i eksponatów.

Na razie poprzestaniemy na wyliczeniu tych najważniejszych względów, aby z kolei przejść do jednego, który przemawia „przeciw“ wyborowi tego miejsca.

Tym względem jest możliwość wylewu. Gdyby tak się zdarzyło, że na rok wystawy przypadłby wylew Wisły, to w takim razie wystawa narażona byłaby na poważne straty. Czy jednak przeszkoda ta jest nie do usunięcia? Czy, biorąc pod uwagę liczne zalety tej miejscowości, która wprost w y j ą t k o w o nadaje się pod wystawę, nie opłaciłoby się w porozumieniu z miastem zabezpieczyć Kępę, a przynajmniej plac wystawy od ewentualnego zatopienia?

Czy to jest możliwe i czy nie pociągnęłoby za sobą zbyt wielkich kosztów, w to nie wchodzimy; ale sprawę tę polecamy uwadze przyszłego komitetu wystawy, o którym nie wątpimy, że dołoży wszelkich starań, aby z całą sumiennością i ku powszechnemu zadowoleniu wywiązać się z przyjętego na siebie obowiązku.

* * *

Ogień jest jeszcze ciągle jednym z największych żywiołowych nieprzyjaciół człowieka. Trawi on mienie ludzkie, rujnuje materyalnie tysiące rodzin, sieje trwogę, słowem, staje się prawdziwą k l ę s k ą. Więcej, niż gdzieindziej, klęską taką jest on u nas, gdzie pożary są na porządku dziennym i gdzie ilość ich w ciągu roku dosięga cyfry zastraszającej.

Oto mamy właśnie przed sobą tę smutną statystykę niedoli naszego kraju za r. 1902.

W roku tym w całem Królestwie Polskiem zdarzyło się *3,305* (!) pożarów, podczas których spaliło się 5,628 nieruchomości, a w tych 10,835 budynków, ubezpieczonych na sumę 2,850,250 rb. Ogólna wartość spalonych budynków stanowiła sumę 4,063,100 rb., rzeczywiste zaś szkody wynosiły rb. 2,538,567 rb. 81 kop. Z sumy tej na ubezpieczenia wzajemne rządowe przypadało rb. 2,121,729 kop. 43. Prócz tego zdarzyło się 178 pożarów w budynkach nieubezpieczonych; szkody, zrządzone w nich, wynosiły rb. 57,886 kop. 60. Zobaczmy teraz, jak się ta olbrzymia ilość pożarów rozkłada na poszczególne okolice kraju.

Najwięcej przypada ich na gub. Piotrkowską, bo aż 527, za nią idą: Warszawska — 456, Kielecka — 389, Kaliska — 363, Radomska — 314, Suwalska 304, Lubelska — 302, Siedlecka — 260, Płocka — 210, ostatnie wreszcie miejsce zajmuje gub. Łomżyńska — 180.

Co do ilości budynków spalonych, pierwsze miejsce zajmuje gub. Warszawska — 1,487 w 653 nieruchomościach; następnie Siedlecka (1,468 w 653 nier.); Lubelska (1269 w 719 n.); Piotrkowska (1,255 w 732 n.); Kaliska (1,107 w 599 n.), Kielecka (1,037 w 678 n.); Łomżyńska (958 w 410 n.); Płocka (798 w 344 n.); Radomska (761 w 462 n.) i Suwalska (699 w 378 nieruchomościach).

Największe szkody zrządziły pożary w gub. Warszawskiej: rb. 288,701; następnie w gub. Siedleckiej — rb. 278,031; w Piotrkowskiej — rb. 273,137; Kaliskiej — 235,061 rb.; Siedleckiej — 203,933 rub.; Płockiej — 179,934 rb.; najmniejsze w gub. Łomżyńskiej — 162,650 rb.; Suwalskiej — 159,728 rb. i Radomskiej — 115,889 rb.

W budynkach nieubezpieczonych najwięcej szkód zrządziły pożary w gub. Piotrkowskiej, gdyż spaliło się tam przy 26 pożarach budynków nieasekurowanych na sumę 16,901 rb.; tymczasem w gub. Lubelskiej spaliło się takich zabudowań już tylko za 8,960 rb. (27 pożarów), w gub. Płockiej za 6,156 rb. (17 pożarów); w gub. Kaliskiej za rb. 5,449 (27 pożarów), w gub. Kieleckiej za rb. 5,026 (25 pożarów), w gub. Siedleckiej za rb. 4,322 (8 pożarów), w gub. Warszawskiej za za rb. 4,008 (16 pożarów), w gub. Suwalskiej za rb. 3,338 (14 pożarów), w gub. Radomskiej za rb. 2,194 (12 pożarów) i w gub. Łomżyńskiej za rb. 1,330 (6 pożarów). Dodać należy, iż w gub. Piotrkowskiej najwięcej budynków nieasekurowanych spaliło się w samym powiecie Piotrkowskim (za rb. 11,470).

Na półrocze letnie przypadało najwięcej pożarów, a mianowicie: w czerwcu było ich 449, w maju 448, w lipcu 426, w sierpniu 326, we wrześniu 345, natomiast w kwietniu zdarzyło się 286 pożarów, w październiku 293 i w listopadzie 244, podczas zaś zimy liczba pożarów nie dosięgała 200 (w marcu 197, w styczniu 169, w grudniu 163 i w lutym 127).

Największe szkody zrządzone zostały przez pożary w maju (336,703 rb.), najmniejsze w lutym (56,616 rb.), średnio zaś p a l i ł o s i ę d z i e n n i e za rb. 5,813.

Co do przyczyny pożarów, najwięcej zdarzyło się przypadków z powodów niewyjaśnionych (1856), od podpalenia zaś 463, od pioruna 295, z powodu złego utrzymania kominów i pieców 352, nieostrożności 454 i swawoli dzieci — 63.

Wszystkie te cyfry są charakterystyczne i rzucają jaskrawe światło na jedno z największych naszych niedomagań. To niedomaganie stanowi wznoszenie budynków w sposób, niezabezpieczający je od ognia. Gdyby nasze wsie nie były tak skupione, nie ciągnęły się jedną ulicą, przy której strzecha dotyka strzechy, obejście łączy się z obejściem, gdyby zamiast chat stały murowane domki, kryte dachówką, lub papą chociażby, gdyby instytucya straży ochotniczych rozkrzewiła się po całym kraju i wciągnęła do swych organizacyi ogniowych każdą gminę, a nawet każdą wieś poszczególną, to niewątpliwie nawet przy tej samej ilości pożarów, co obecnie, straty nie byłyby tak znaczne i tak dotkliwe.

Dopóki jednak to wszystko nie nastąpi, dopóty będziemy płacili stały haracz ogniowi, a haracz to nie byle jaki. Dość pomyśleć tylko, że w kraju tak biednym, jak nasz, i tyle rozmaitych posiadającym potrzeb, pali się dziennie budynków, ruchomości, krestencyi i t. d. za *5,813* rub.

Klęskę tę łagodzą oczywiście ubezpieczenia, ale łagodzą tylko częściowo, zmniejszyć ją zaś i ograniczyć istotnie mogą tylko: oświata, wzmożenie się dobrobytu i postęp kulturalny.

*

* *

Ciężka jest walka ze skutkami powodzi zeszłorocznej. Niewątpliwie, uczyniono już wiele dla ulżenia doli zrujnowanym przez powódź włościanom, ale też i wiele jeszcze do uczynienia pozostało. A tu szybkiemi krokami zbliża się—przednówek, do przetrwania dla biedaków najtrudniejszy.

Oto, co w tej sprawie pisze w „Słowie" p. Jan Popiel, ziemianin z powiatu stopnickiego, jak wiadomo najsrożej dotkniętego powodzią:

„Przykro jest—czytamy—odzywać się o pomoc, choć nie dla siebie, ale więcej, niż raz. Wiemy, iż społeczeństwo nasze wiele już poświęciło na rzecz powodzian, a tu znowu na alarm trąbić nam wypada, i o pomoc, a o rychłą, wołać.

Posądzono nas o przesadę w przedstawieniu nędzy na naszem Powiślu, a pokazuje się, że malowaliśmy jeszcze zbyt różowo stan rzeczy. Oto, jaki on jest np. w jednej z więcej dotkniętych wsi, Kępa Bolesławska (od Bolesława Wstydliwego). Już dwa miesiące temu członek komitetu, Knothe, zrewidowawszy chałupę za chałupą, znalazł: na 35 numerów 17 sztuk różnego bydła, ani jednej świni, kury lub gęsi i około 3 korcy różnego zboża we wszystkich komorach, a po stodołach zboże, nawet dla bydła na paszę niezdatne. W podobnem położeniu są wsie: Raj, Podraj, Podzamcze, Zawodzie, a w najgorszem Łęka, i to tylko w okręgu, mnie oddanym; poniżej jest wsi w tym stanie jeszcze sześć. Inne, jak Oblekoń, 230 numerów, ma $^1/_3$ część blizko za wałem położoną, a więc wszystkie te grunta na s ą ż e ń, a chałupy literalnie pod dachy były w r. 1903 dwa razy w wodzie: raz w lutym, raz w lipcu. Wieś Pawłów, dość zamożna i nie bardzo dotknięta, ma $^1/_3$ mieszkańców bez żadnego zapasu, $^1/_3$ z zapasem do dnia 1 marca, reszta do dn. 1 kwietnia. Stan sprawdzony. Na wiosenny zasiew trzeba około 12,000 korcy ziemniaków, z których komitet ani 4,000 kupić nie potrafi, gdyby miał na to fundusze, a o całej ilości mowy niema, boć poprostu ani czas, ani środki transportowe nie wystarczą na wożenie z daleka. Jeśli dobrze pój-

dzie obsadzą włościanie $^1/_3$ część swojej potrzeby w ziemniakach. Zboże, tu i owdzie przechowywane u bogatszych, do siewu niezdatne, zjedzą sami, albo rozprzedadzą; lekko powiedziawszy, około 4,000 korcy zboża jarego potrzeba na siew.

Okolica tego zboża nie dostarczy, bo go niema. Sam, kupując wagon grochu dla powodzian, miesiąc na niego czekałem. Nasze punkty kolejowe: Kielce i Ostrowiec są po 10 mil od dalszych wsi położone, i co się dziś zamówi, ledwo za miesiąc potrzebujących dojdzie. O ziemniakach trudno mówić, bo fracht z dalszych stron koleją i wozem przeniesie 1 rb. 50 kop. od korca. Któż to zapłacić potrafi i kiedy to przywieść, gdy ani w mrozy, ani w roztopy nie można? Jedynie tylko zboże w naturze dalszy transport wytrzyma i o nie wołamy i prosimy.

A jakież wobec tego jest położenie finansowe komitetu powodziowego? Wydano na same tylko zapomogi w zbożu i pieniądzach około 15,000 rb., i to rozdając bardzo skąpo z obawy przed przyszłością i pozostaje około 18,000 rb. w kasie. Te 18,000 rb. muszą wystarczyć do dnia 1 kwietnia, a codzień więcej tych, których już nie wspomagać, ale żywić trzeba. Jest tego dziś około 4,000 głów, 240 rb., na dzień, czyli na 2 miesiące 15,000 rb., ale za miesiąc będzie już nie 4, lecz 7 do 8 tysięcy ludzi bez chleba, a na dzień 1 kwietnia o mało nie wszyscy; niéma więc mowy, aby komitet z dzisiejszych funduszów mógł zboże do siewu kupować, a gdy nadejdą one, lecz późno, wiosna przejdzie i role będą tylko w małej części obsiane.

A tu ratuje się tylko filantropijnie, nie zaś ekonomicznie, ratuje się często na ślepo, bo potrzeby prawdziwej sprawdzić nie jest się w możności, daje się w sposób demoralizujący, bo popierający niejako próżniactwo, tak, że chłopi zamożniejsi, którym nic nie dajemy, mówią nam: „Dobrze, panowie, my choć zbiedniejemy, ale się może przeżywimy, ale te łajdaki (u chłopa się tak mówi o bezrolnym) na drugi rok będą wały przekopywać, żeby stopiło, bo znowu wezmą zapomogi.“ Co na taką logikę powiedzieć, a jak głodnych nie ratować? Przyzna czytelnik, że to położenie nie jest do pozazdroszczenia.

Wreszcie komitet musi mieć coś w ręku i po dniu 1 kwietnia, aby wspierać daniem zarobku przy robotach wałowych i drogowych, a jednocześnie nie dać zamierać tylu do zarobku niezdolnym. Zarobek w okolicy zupełnie niedostateczny, znaczna część wsi o całe mile od folwarków, emigracya za robotą w dalsze strony tylko dla zdrowych i silnych możliwa, a takich nie będzie na wiosnę zbytku; wiemy zresztą, że i apatja głodnych, ubogich i opuszczonych ogarnia, a dla tego nie mogą ginąć pod płotami, jak to widywałem w r. 1845.

Ponury ten obraz niechętnie roztaczam; niechże będzie do nowego wysiłku pobudką."

Tak brzmi odezwa p. Popiela, odezwa o tyle niespodziewana, że społeczeństwo łudziło się, iż następstwa klęski są już zażegnane, potrzeby nieszczęśliwych zaspokojone, nędza i głód odpędzone. Tymczasem, jak widzimy, rzeczy mają się przeciwnie i potrzeba energicznej i wytężonej pomocy bynajmniej nie ustala.

Miejmy nadzieję, że ten alarm z powiatu stopnickiego rozejdzie się głośnym echem po całym kraju i trafi do serc wszystkich ludzi dobrej woli, którzy pośpieszą z datkami przeznaczonymi na zakup zboża do siewu, kartofli i chleba dla nieszczęśliwych.

*

* *

Przed kilku laty—najpierwsi bodaj—zaznaczyliśmy na tem miejscu pomyślny zwrot w naszych stosunkach wydawniczych, znamionujący się większą dbałością o wygląd estetyczny książki i dążeniem do zharmonizowania jej treści, druku, ilustracyi i okładki w jedną całość. Od owej pory pojawił się już cały szereg książek, wydanych mniej lub więcej ładnie, z których niejedna przynosi zaszczyt tłoczni, skąd wyszła i firmie, która ją w obieg puściła Niebawem też odezwały się głosy protestu. Zaczęto narzekać, że to podnosi niepotrzebnie cenę książki, że książka powinna być przedewszystkiem tania i dostępna dla szerokich mas, że przeznaczeniem jej nie jest zaspokojenie wybrednego smaku jednostek, wykształconych estetycznie, lecz—karmienie rzesz słowem i myślą zdrową. Zapewne—we wszystkiem tem jest trochę racyi, ale jak każda kwestya, tak i ta, może być wzięta z przeciwnej strony i oświetlona inaczej.

Przedewszystkiem więc zwrócić można uwagę na to, że każda książka, o ile tylko wydawca może rachować na szeroki jej zbyt—łatwo i bez wielkiej różnicy w kosztach da się puścić w świat w dwóch jednocześnie nakładach—tanim, zwyczajnym, c o d z i e n n y m. jeżeli tak wyrazić się można i—wytwornym. Niemcy np. oddawna już tego systemu się trzymają i bardzo często spotkać tam można obok „Volksausgabe" —„Luxusausgabe" jednej i tej samej książki. Pierwsze wydanie jest dla mas, pochłaniających książki, drugie—dla smakoszów, dla ludzi bogatych, dla bibliofilów. Pierwsi płacą 1 lub 2 marki za książkę, dru-

dzy chętnie dają 50 i 60 marek za papier czerpany, za lepiej wykonane rysunki, za ozdobną oprawę i t. d.

Zdaje się, że to samo byłoby możliwe i u nas, mimo znacznie szczuplejszych granic naszego rynku księgarskiego. Poniekąd nawet jest to już z niektóremi wydawnictwami klasycznemi i nikogo nie razi to, że Pana Tadeusza można kupić za kilkanaście kopiejek i za 25 rubli, że Quo Vadis sprzedaje się po 75 kop. i po 20 rub.

To jedno.

Drugim względem, na który należy przeciwnikom estetycznej książki zwrócić uwagę, jest nie ulegający zaprzeczeniu fakt, że szata zewnętrzna książki, dopasowana do jej treści, ogromnie przyczynia się do podniesienia jej uroku, oraz, że prawdziwe piękno, w każdej swojej postaci, a więc i w zewnętrznej formie książki, oddziaływa korzystnie na masy i kształci je estetycznie, będąc zarazem miarą poziomu, na który wzbiła się sztuka drukarska w dobie obecnej i uświadamiając pod tym względem szeroki ogół. I jedno, i drugie i trzecie nie jest bez znaczenia i po bliższej rozwadze przechyla szalę wątpliwości na niekorzyść przeciwników estetyki wydawniczej.

Zresztą, cały ten protest wydaje nam się mało przedmiotowym, gdyż wydawcy nasi, na ogół biorąc, nie są jeszcze wcale tak chętni do łożenia większych kosztów na papier, druk i okładki, a starają się liczyć zawsze tak, aby wydawnictwo wypadło im najtaniej. Skłonniejsi zatem są do szukania tanich efektów i jaskrawości, zwracających na siebie uwagę w witrynach księgarskich, niż do szukania współpracownictwa artystów, którym, naturalnie, trzeba za to płacić.

Wyjątek w tym względzie stanowią dotychczas dwie tylko firmy wydawnicze, mianowicie firma p. Stefana Demby'ego i „Tow. wydawnicze we Lwowie".

P. Demby w ciągu trzech lat wydał już kilkanaście książek, które mają trwałą wartość estetyczną i zapiszą się na czele budzącego się u nas w tym kierunku ruchu. Książka p. Wacława Sobieskiego w stylizowanej okładce z XVII wieku, z portretem Zygmunta III, cztery tomy młodzieńczych utworów Sienkiewicza z ornamentyką zakopiańską, „Noc lipcowa" p. Gorczyńskiego, wreszcie znakomicie pomyślane wydanie „Śniegu" Przybyszewskiego—to wszystko są wydawnictwa, na których oko zatrzymuje się z przyjemnością i które każdy chętnie bierze do ręki.

Równie duży powab mają książki, wydawane przez Lwowskie Towarzystwo wydawnicze. Nie przypominamy tu rzeczy dawniejszych, których jest już sporo, ale wskażemy na ostatnią książkę, któ-

ra przed dwoma miesiącami wyszła nakładem tej młodej, a już zasłużonej firmy. Jest to „Bajka“ Rydla „O Kasi i królewiczu“, utrzymana całkowicie w stylu swojskim i świetnie ilustrowana przez Stanisława Dębickiego, który złożył tu dowód swoich wyjątkowych zdolności ilustratorskich. Artysta, przy pomocy środków niezmiernie prostych, wydobył na jaw całe bogactwo swojej duszy, która doskonale wczuwać się umie w psychikę ludu i ludowy świat, zgodnie z jego pojęciami, odtwarza. Książka ta z pewnością zwróci na siebie uwagę krytyki artystycznej, pomijamy tu więc szczegółową jej ocenę. Dodajemy tylko, że całość jest czemś wyjątkowo utrzymanem w tonie i że ani jedna kreska nie odskakuje tam od przewodniej myśli autora, artysty ilustrującego i wydawcy. Okazuje się, że taka trójca, o ile zechce, może tworzyć doskonałe rzeczy.

A teraz pytamy się, co komu przeszkadza, że ludzie, miłujący sztukę, mają sposobność nabycia takiej książki i wcielenia jej do swej biblioteki?

*

* *

Paląca sprawa budowy odpowiedniego gmachu na pomieszczenie archiwów hypotecznych i kancelaryi rejentów, doczekała się nareszcie pomyślnego załatwienia.

Oto, jak donosi „Gazeta sądowa“ w numerze swoim z d. 13 lutego r. b., przed niedawnym czasem z ministeryum sprawiedliwości nadeszła do starszego prezesa izby sądowej warszawskiej wiadomość o zatwierdzeniu wniosku władz sądowych tutejszych w przedmiocie wzniesienia gmachu na hypotekę i kancelarye rejentów w głębi posesyi Sądu okręgowego (№ 493). Nie będzie to zaś bynajmniej jakaś ustronna oficyna dawnego Paców pałacu, lecz, przeciwnie, gmach frontowy przy nowej ulicy, nazwanej H y p o t e c z n ą, a połączyć mającej pod kątem prostym obecną ulicę od Teatru Nowości z tyłami posesyi Sądu Okręgowego. Na skraju tej właśnie nowej ulicy, której plan i kierunek są już zatwierdzone, a dla której przeprowadzenia i wyprostowania skarb z posesyi № 493 oddaje 693 metr. kwadr., otrzymując w zamian od właściciela placów przyległych, p. Stępińskiego, 718 metr. kwadr., stanie gmach hypoteki warszawskiej.

Wiadomo, jaka ciasnota, brak światła, niewygoda, wreszcie niebezpieczeństwo na wypadek ognia, dają się we znaki naszej hypotece w lokalu dotychczasowym. Księgi wieczyste z zapisami i dokumentami co do milionów mienia, piętrzą się tu nietylko na zapylonych półkach, lecz i zwalone wprost na podłogę; ciasnota i półmrok w kancelaryi; ciasnota nieznośna w dwóch lichych „ciupkach“ przy archiwum, gdzie tłoczą się liczni interesanci; ciasnota we wszystkich dziurach rejentalnych.

Wszystko to są rzeczy znane.

To też zdawna odczuto i rozważano potrzebę wzniesienia gmachu dla hypoteki, a przed dwoma laty zapadło już postanowienie, ażeby gmach taki wznieść na placu Krasińskich — obok Izby sądowej, w miejscu stojącego tam obecnie domu po b. Trybunale cywilnym, który to dom miał uledz zburzeniu. Przed rokiem atoli nastąpiła w tym względzie zmiana: zamiast zamierzonej pierwotnie budowy gmachu hypotecznego na placu Krasińskich, powzięto projekt, zaznaczony na wstępie niniejszej notatki.

Jako pobudki, przemawiające za przewagą nowego projektu nad dawniejszym, przytoczono, między innemi, i ocalenie, dzięki temu, od zagłady domu potrybunalskiego i oszczędzenie kosztu jego rozbiórki, możność rychlejszego przystąpienia do budowy i daleko lepsze położenie gmachu na placu przy nowej ul. Hypotecznej. Istotnie lepsze — tam bowiem ów gmach znajdować się będzie w blizkiem sąsiedztwie z sądem, mając przytem i prawidłową postać, i długą linię frontu i dziedziniec obszerny, gdy, przeciwnie, na placu Krasińskich byłby to budynek wązki, bez żadnego dziedzińca i ze wszystkich stron przylegający bezpośrednio do ulicy.

Powyższe orzeczenie Komisyi, ocenione przychylnie przez Izbę Obrachunkową, znalazło też posłuch u władz decydujących, i budowa gmachów przy ul. Hypotecznej, prawomocnie już zatwierdzona, przejść ma niebawem w sferę wykonania. Mandat do bezpośredniego zarządzania sprawą tej budowy; otrzymała wspomniana komisya specyalna miejscowa, pierwszym zaś jej krokiem ma być spisanie aktu rejentalnego zamiany gruntu z p. Stępińskim.

Tak więc w niedalekiej przyszłości Warszawa, nareszcie, posiądzie tyle niezbędny i tyle oczekiwany gmach hypoteczny.

Godzi się wszakże przypomnieć — zaznacza „Gazeta sądowa“ — że gmach ten winien być zaprojektowany i zbudowany „na wyrost“. Co rok przeszło 300 nowych ksiąg wieczystych przybywa do archiwum hypotecznego: trzebaż to mieć na względzie i nowe archiwum

trzeba tak zbudować i urządzić, aby w niem przez dłuższe lat szeregi nie było za ciasno. I jeszcze jedno. Oprócz wydziałów hypotecznych sądu okręgowego, w nowym gmachu znaleźć się też powinno pomieszczenie i dla hypoteki p o w i a t o w e j, która dziś tuła się po lokalach prywatnych, a dla której, zarówno w imię bezpieczeństwa publicznego, jak i gwoli wygodzie publicznej, warto stały i stosowny lokal urządzić.

Trafne te uwagi powinny być stanowczo uwzględnione, nawet w tym wypadku, gdyby ich uwzględnienie miało spowodować pewną zwłokę w wykonaniu tego pożytecznego dzieła. Miejmy jednak nadzieję, że nie wywoła to zwłoki i że gmach stanie tak rychło, jak tylko to jest możliwe przy przedsięwzięciach tego rodzaju.

W końcu wypowiadamy jedno jeszcze życzenie: aby nowe pomieszczenie hypoteki nie zasłużyło sobie w przyszłości na miano „koszar hypotecznych", ale, odpowiadając swemu celowi pod względem urządzenia wewnętrznego, było także i zewnętrznie miłe dla oka. Warszawa posiada bowiem tak mało pięknych budynków i tak jest przeniknięta nawskroś duchem spekulacyjno-budowlanym, że wobec tego na wielkich gmachach publicznych ciąży niezaprzeczony obowiązek liczenia się z estetyką, co znów przyjść powinno tem łatwiej, że tych gmachów budaje się tak mało...

*

* *

Trudno jest określić liczbę młodzieży polskiej, która na studyach bawi za granicą. To pewna jednak, że liczba ta nie zmniejsza się, ale wzrasta stale. Liczne zakłady naukowe specyalne, łatwość środków naukowych pomocniczych, jak laboratorya, znakomicie uposażone biblioteki, katedry dodatkowe, stanowią wielką siłę przyciągającą dla młodzieńców, poświęcających się rozmaitym gałęziom wiedzy. Kto może więc, wyjeżdża za granicę albo na cały okres studyów, albo przynajmniej na ich dokończenie i uzupełnienie. Czynią to zarówno przyrodnicy i lekarze, jak prawnicy, adepci nauk społecznych i filozoficznych.

Nieraz jednak słyszeć się dają głosy, z jednej strony powątpiewające o korzyści takich wyjazdów, z drugiej, wprost zarzucające

młodzieży, że, bawiąc za granicą, za mało czasu poświęca nauce, a zbyt łatwo daje się unosić albo falom polityki bieżącej, albo wesołemu życiu wielkich miast zachodnich.

Nie przesądzamy tej kwestyi, zdaje nam się jednak, iż na ogół zarzuty te są mało uzasadnione i mogą dotyczyć tylko jednostek, a jednostki takie są przecież i na naszym, domowym bruku. Znaczniejsza jednak część młodzieży poważnie myśli i poważnie przygotowuje się do przyszłych swoich obowiązków.

Że tak jest — poniekąd świadczy najnowszy ruch pomiędzy młodzieżą polską, uczącą się w wyższych zakładach naukowych za granicą, ruch, zmierzający do stworzenia własnemi siłami instytucyi naukowej, której zadaniem ma być dostarczanie potrzebnych informacyi wszystkim, pragnącym się uczyć. Instytucya taka pod mianem Komisyi naukowej powstała już w Paryżu przy tutejszem stowarzyszeniu studentów polskich (Société des étudiants polonais. „Koło", 53 rue Monsieur le Prince 53, Paris).

Zadanie swoje Komisya w nadesłanej nam odezwie określa w ten sposób: pragnie ona „dostarczać wszystkim, zwracającym się do niej, możliwie szczegółowych wskazówek w zakresie wszystkich dziedzin wiedzy, zaznajamiać ze stanem i organizacyą studyów na uniwersytetach zagranicznych, pomagać w przygotowywaniu rozpraw i referatów, zaopatrywać w potrzebne dzieła, ułatwiać ich rabatowe nabywanie i t. d. Dla osiągnięcia tych celów komisya weszła w stosunki z szeregiem przedstawicieli nauki polskiej, którzy obiecali jej swoje łaskawe współdziałanie, nadto rozpoczęła centralizowanie u siebie wiadomości z bibliografii naukowej, niemieckiej i francuskiej i t. d.

Jak widzimy, rzecz pomyślana jest dobrze i instytucya, w miarę rozwoju swojego, może oddać bardzo poważne usługi uczącej się młodzieży, bo o ileż łatwiej będzie każdemu przy jej pośrednictwie trafić w obcem mieście do tego, czego właściwie szukać przyjechał.

Jest to pożądane, zwłaszcza przy naszem usposobieniu, które nie pozwala nam na kreślenie wyraźnych i szczegółowych planów zawczasu. Mówimy z lekkiem sercem: „po skończeniu uniwersytetu, na rok, na dwa, wyjeżdżam do Paryża" — i tyle. Nikt jednak nie formułuje sobie jasno tego, że łatwiej jest w lesie obyć się bez przewodnika, niż w nauce. Wskutek tego, po przyjeździe do owego, wymarzonego nieraz Paryża, rozpoczyna się bieganie, pytanie, oryentowanie się, trwające nieraz pół roku czasu, zanim przed przybyszem otworzą się

laboratorya, szpitale, pracownie prywatne, gabinety profesorskie i biblioteki, zanim nauczy się on korzystać z tej nauki, którą tam ludzie w ciszy i zdala od gwaru miejskiego uprawiają, zanim na swoją drogę trafią. Otóż, gdyby Komisya naukowa w tym kierunku rozwinęła jak najszerszą działalność i stała się biurem informacyjnem dla wszystkich, informacyi naukowych potrzebujących, to wówczas pożytek jej będzie niezaprzeczony. Każdy młody człowiek, wyjeżdżający za granicę, powinien do biura tej Komisyi zwrócić się na kilka miesięcy przed wyjazdem, objaśnić je po co wyjeżdża, i otrzymać stamtąd wszelkie potrzebne wskazówki. Być może, że nieraz zwróconoby kogoś z drogi i wskazano mu inną marszrutę, nadano jego podróży naukowej praktyczniejszy i więcej korzystny kierunek. Uchroniłoby to niejednego od prób i doświadczeń na własną rękę, które, powtarzamy, połączone są zawsze z mitręgą drogiego czasu i ze stratą pieniędzy, tak trudnych dla niejednego do zdobycia na rok, lub dwa lata pobytu zagranicą.

Tę stronę działalności młodej instytucyi mając na widoku, życzymy jej szczerze pomyślnego rozwoju, zdobycia trwałych podstaw materyalnych i życzliwego poparcia ludzi nauki, bez których pomocy obyć się nie będzie mogła.

*

* *

Czy człowiek obłąkany jest wyjęty z pod prawa?

Według kodeksu obowiązkowego uznany on jest tylko za niepoczytalnego, według etyki za nieszczęśliwego, godnego pożałowania i współczucia, a według pojęć tłumu warszawskiego, istotnie jest on wyjęty z pod prawa.

Stwierdziła to tragiczna i budząca grozę sprawa hr. Włodzimierza Dąmbskiego.

Zbyt wielkiego nabrała ona rozgłosu, abyśmy mieli tu pisać o niej obszerniej, niektóre dzienniki uczyniły to zresztą w sposób, który może zupełnie zniechęcić do jej dotykania. Jesteśmy więc wytłómaczeni. Z obowiązku jednak kronikarskiego zamieszczamy tu komentarz do tej smutnej historyi, z której uczyniono u nas „bombę re-

porterską", a która domagała się poważnego rozbioru ze stanowiska społeczno-obyczajowej kultury naszej.

Ludzie, którzy tej nocy spali i nazajutrz dopiero z pełnych sensacyi artykułów dowiedzieli się o przebiegu tej obławy nocnej, nie mogli się na razie zoryentować, o co chodzi. Powoli rzecz im się wyjaśniła.

Obłąkany strzelał, zabijał, ranił, i nie umiano go obezwładnić, lecz wydano rozkaz strzelania, użyto ostatniego środka.

Istotnie, ten środek jest ostatnim, ale po wyzyskaniu wszystkich innych. Tutaj, niestety, był on pierwszym i jedynym, bo kiedy rodzina hr. Dąmbskiego, jak to ogłoszono później w dziennikach, chciała się dostać do niego — nie dopuszczono jej tam, bo nie spróbowano zwykle używanej w takich wypadkach ochrony z materaców, nie posłano po lekarza specyalistę, po dozorców z domu obłąkanych.

Nie dotykamy pytania, kto tu zawinił, zastanawiamy się tylko nad tem, jaki jest podkład etyczny całego tego postępowania i dochodzimy do wniosku, iż mamy tu do czynienia ze stępieniem moralnem, które w pewnych warunkach nie pozwala człowiekowi odróżnić tego, co mu wolno, od tego, czego nie wolno.

Spostrzeżenie to bardzo smutne, tem smutniejsze. iż wśród bohaterów i widzów owego igrzyska znajdowali się także ludzie „inteligentni".

Okazuje się, że i ci „inteligentni" nie wiedzą, co to jest obłąkany, więc czyż wobec tego można się dziwić warstwom nieoświeconym, stróżom, posłańcom, ulicznikom?

Tak. Całe społeczeństwo u nas nie wie, co to jest obłąkany. Bo, gdyby wiedziało, to mielibyśmy już dziś liczne przytułki dla chorych umysłowo, to taka D r e w n i c a nie potrzebowałaby latami czekać na fundusze dla siebie, powstające z powoli sączącej się jałmużny, to nie brakowałoby miejsca w naszych szpitalach dla obłąkanych.

Na ulicach nie otaczałaby ich gawiedź, nie drażniła swojem zaczepnem zachowaniem się, nie wywoływała ataków furyi, bo obłąkani znajdowaliby się wówczas w przytułkach, albo szpitalach, a nie chodziliby samopas, nie zwracaliby na siebie uwagi.

Niemożliwe też byłyby takie katastrofy, jak ta, którą wywołało szaleństwo hr. Dąmbskiego. Gdyby umiano się z nim obejść, gdyby go nie rozdrażniono i nie podniecono, gdyby nie gromadzono się przed jego oknami i na sąsiedniej ulicy, to z pewnością cała rzecz skończy-

łaby się na wybiciu kilku szyb i zgaszeniu jednej latarni ulicznej, a może i zupełnie na niczem. A takie zachowanie się tłumu spowodowało śmierć dwóch ludzi, cięższe i lżejsze poranienia dwudziestu i zranienie samego bohatera tej strasznej przygody.

Nie — naprawdę było to po buszmeńsku.

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

Z AKADEMII UMIEJĘTNOŚCI:

— Dnia 7 stycznia 1904 r. odbyło się posiedzenie *Komisyi do badania historyi sztuki w Polsce*, pod przewodnictwem prof. M. Sokołowskiego.

Przewodniczący zaznaczył naprzód, że w r. 1905 odbędzie się w Krakowie obchód ku uczczeniu 400-nej rocznicy urodzin Reja. W jubileuszu tym weźmie również udział Akademia przez wydawnictwo szeregu publikacyi, dotyczących XVI w. *Sprawozdania* komisyi za r. 1904 winny przeto także przyczynić się do lepszego poznania kultury i sztuki jagiellońskiej. W tym celu zwrócił się przewodniczący do Komisyi z prośbą, aby komunikaty jej współpracowników w r. b. o ile możności epoką tą się zajmowały.

Prof. Szajnocha zdał następnie sprawę z przeprowadzonych na prośbę Komisyi badań swych nad materyałem figury Władysława Łokietka w katedrze wawelskiej.

P. Tomkowicz odczytał z kolei rozprawkę swą o zameczku w Korzkwi pod Krakowem, za komorą Szyce. Zameczek ten, a raczej dom mieszkalny ufortyfikowany, stanowi interesujący przykład siedzib szlacheckich XVI wieku. Referent, streściwszy historyę wsi Korzkwi, przełożył fotografie i rzut poziomy zameczku, którego stan dzisiejszy dokładnie opisał. Wznosi się on na stożkowatym pagórku, oblanym z trzech stron przez płynącą dołem rzekę. Położenie zatem odpowiada zamkom średniowiecznym, zabudowania jednak zameczku pochodzą z końca XVI w. Platforma ma kształt nieforemnego wieloboku, a całą tę przestrzeń zajmują: mur obwodowy i budynek mieszkalny. Mur z dzikiego, łamanego kamienia posiada wyraźne ce-

chy obronne. Budynek mieszkalny zachował ciekawe szczegóły, jak: bramę wchodową, dalej sień i drzwi o bardzo szlachetnym rysunku. W sali, sklepionej na parterze, biegnie dookoła ława kamienna. Na pierwszem piętrze ocalał w komnacie, położonej nad parterową salą, drewniany strop z kasetonami i rozetami, jak nie mniej kominek z pińczowskiego kamienia.

P. Chmiel podał w dalszym ciągu nowe szczegóły, odnoszące się do historyi fabryk pasów w Krakowie, zebrane w aktach tutejszego archiwum miejskiego. Dowiadujemy się z nich, że w r. 1791 były w Krakowie dwie fabryki pasów. Jedną z nich była fabryka Masłowskiego, mieszkającego w tym roku przy ul. Grodzkiej l. 82 w kamienicy miejskiej i zatrudniającego kilkunastu robotników, drugą, nieznanego dotychczas Józefa Trojanowskiego, który mieszkał wówczas w kamienicy miejskiej l. 22 z córką i z jednym służącym.

Referent podał wreszcie daty przyjęcia w poczet obywateli krakowskich fabrykantów pasów Puciłowskiego i Chmielowskiego. Są to lata i 1790 i 1796, a daty te są ważne, gdyż od nich dopiero można liczyć czas powstania powyższych krakowskich fabryk, żaden bowiem rzemieślnik nie mógł wykonywać rzemiosła swego w Krakowie, nie będąc przedtem członkiem gminy miejskiej.

Sekretarz przełożył następnie dwie fotografie płyt z Opoczna o zagadkowej formacyi, czy też ornamentacyi, które za pośrednictwem ks. Bryk czyńskiego nadesłał Komisyi ks. Trybulski, wikary w Opocznie. Pokrywały one, jak z listu ks. T. wynika, ściany kurytarza w skale kutego.

Przewodniczący przedstawił wreszcie fotografię drewnianej figury „Chrystusa frasobliwego we wsi Płonce, gub. Łomżyńskiej (publik. już jednak w Glogera *Encyklopedyi Starop.*), nadesłaną z opisem przez G. Worobiewa.

— Posiedzenie *Wydziału Historyczno-Filozoficznego* odbyło się dnia 22 lutego z następującym porządkiem dziennym: 1) Członek Fr. Piekosiński: „Kilka szczegółów do historyi zagospodarowania Polski w XV wieku; 2) Czł. K. Potkański: „Ze studyów nad osadnictwem polskiem w wiekach średnich: Puszcza radomska“; 4) Sekretarz przedstawił referat d-ra Bujaka: „Typy układu gruntowego w powiatach Krakowskim i Chrzanowskim.

NOWE KSIĄŻKI:

— Nakładem księgarni Kazimierza Grendyszyńskiego w Petersburgu wyszedł tom drugi dzieła prof. Antoniego Karbowiaka, p. t.: „Dzieje wychowania i szkół w Polsce“ (str. VIII + 490). Obejmuje on okres trzeci

od r. 1364 do 1432. Znajdujemy tu treściwe i samodzielnie opracowane dzieje Uniwersytetu Jagiellońskiego, katalog doktorów i mistrzów tegoż uniwersytetu od r. 1400 do 1432, opis nauki w szkołach niższych i uniwersytecie. Osobny rozdział poświęcony jest życiu żaków i scholarzy. Ciekawą jest i pouczającą statystyka szkół dyecezalnych od r. 1364 do 1432 w Polsce (str. 441—443). Dokładny wyraz abecadłowy nazw osób i szkół ułatwia bardzo korzystanie z tej ważnej pracy.

— „Biblioteka dzieł Chrześcijańskich“ wydała *Kazania sejmowe Skargi* w opracowaniu Ignacego Chrzanowskiego. Tekst kazań wydany jest krytycznie z uwzględnieniem odmianek z pierwszych trzech wydań. Obszerna rozprawa „O kazaniach sejmowych Skargi“ (stron 136) podaje w jasnej i powabnej formie gruntowne badania p. Chrzanowskiego nad wielu ważnemi kwestyami społecznemi XVI wieku. Mamy nareszcie pierwsze *naukowe* wydanie Kazań sejmowych, tak niezbędnych zawsze dla ogółu naszego.

— Nakładem Księgarni H. Altenberga we Lwowie, ukazało się ważne i wspaniale wydane dzieło Kazimierza Mokłowskiego p. t. „Sztuka Ludowa w Polsce“. Część I. Dzieje mieszkań ludowych. Część II. Zabytki sztuki ludowej. (Lwów, 1903, str. nlb. 8 + 552). Autor, zastanowiwszy się we Wstępie nad znaczeniem nauki o chacie i nad dotychczasowemi badaniami Matlakowskiego, Karłowicza i Witkiewicza, rozbiera historycznie warunki otoczenia fizycznego dla formy mieszkania (Europa przedhistoryczna.—Jaskiniowiec europejski.—Namiotowiec stepowy. — Palowcy w dziejach kultury Europy i Polski i t. d.). W części drugiej p. Mokłowski wykazuje ścisły związek między dworami drewnianymi szlacheckimi, a chatą włościańską, mówi o dawnych dworach obronnych i zamkach, o kościołach, cerkwiach, dzwonnicach, kaplicach, meczetach i bóżnicach, budynkach gospodarskich i o sprzętarstwie. Kilkaset rysunków objaśnia i zdobi tę interesującą i z wielkim nakładem erudycyi dokonaną pracę. Na końcu dzieła znajduje się kwestyonaryusz dla badania kultury ludowej.

— Księgarnia Polska we Lwowie wydała pracę Witolda Schreibera: „Twórcy Bogów. Z tajemnic wierzeń ludów pierwotnych“. (Warszawa, E. Wende i Sp., str. 358, 78 ilustracyi w tekście). Jest to popularno-naukowe zestawienie wyników dotychczasowych badań antropologicznych w zakresie pierwotnych wierzeń, poczynając od zamierzchłej epoki ludów pierwotnych (fetyszyzm, wyobrażenia o duszy, sen, wędrówka dusz, obrzędy pogrzebowe, zjadanie zwłok, totem, animizm, kult ciał niebieskich i t. d.). Liczne ilustracye na doskonałym papierze i druk piękny tłoczni uniwersytetu Jagiellońskiego przyczynią się do poczytności książki, przepełnionej ciekawemi szczegółami.

— Nakładem Akademii Umiej. a staraniem Komisyi antropologicznej ukazał się pierwszy zeszyt wspaniałego wydawnictwa: „Ubiory ludu polskiego“. (8 tab. i 12 rycin, s. 16). Szczególną starannością i pięknością wykonania odznaczają się rysunki Józefa Zabagły. Chromotypie wytłoczyła znakomicie Drukarnia Uniwersytetu Jagiellońskiego. Okładka jest trochę za ciemna i niezbyt ludowa.

— Księgarnia Polska B. Połonieckiego wydała praktyczne książeczki: Edwarda Grajnerta: Artystyczno-informacyjny przewodnik po *Rzymie* z planem miasta (str. XVI + 231) i Przewodnik po *Wenecyi* i wyspach okolicznych z planem miasta (str. 208) (E. Wende).

— Z wydawnictwa M. Arcta: „*Książki dla wszystkich*“, ukazały się następujące tomiki: dr A. Bernstein: O obrocie ziemi dokoła osi (10 kop.). — Dr A. Herzen: Odezwa do męskiej młodzieży (10 kop). — W. Osterloft: Zarys historyi literatury niemieckiej. Część II. Od Klopstocka do Göthego. — A. Lange: Społeczeństwo i historya, podług teoryi G. Tard'a (15 kop.). — Dr J. Trump: Hygiena wieku dziecięcego (20 kop.). — H. Galle: O poematach Konopnickiej. (Prometeusz i Syzyf. Pan Balcer w Brazylii) (10 kop.). — St. Bouffałł: Krótki rys fizyki. II (15 kop.). — C. G. Salzmann: Wychowanie wychowawcy (25 kop.). — Dr Tom. Achelis: Ekstaza (20 kop.). — Fr. Łagowski: Historya literatury polskiej. Część IV (15 kop.). — Antoszka: Czechy i naród czeski (15 kop.). — Przyjacie zdrowia: Powietrze i słońce (15 kop.).

BIBLIOGRAFIA.

HISTORYA.

Dr Zygmunt Gargas: Poglądy ekonomiczne w Polsce XVII wieku. Wydanie drugie, znacznie powiększone. Lwów. Tow. wydawn., 1903. Skład gł. w księg. St Sadowskiego, Warszawa, Marszałkowska 116, str. XV + 253.

J. K. Kochanowski: Szkice i drobiazgi historyczne. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa.

POEZYA. — POWIEŚCI.

Artur Gruszecki: Pruski huzar. Powieść współczesna. Warszawa, 1904, str. 399.

Bolesław Prus: Ze wspomnień cyklisty. Powieść. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa, 1904, str. 258.

Wł. St. Reymont: Chłopi. Powieść współczesna. I. Jesień, str. 347. II. Zima, str. 384. Warszawa, 1904. Nakład Gebethnera i Wolffa.

Henryk Salz: Krzyk niewolnika (Wiersze). Kraków. Księgarnia D. E. Friedleina, 1902, str. 84. (Skład w księgarni Wendego).

REDAKTOR ODPOWIEDZIALNY I WYDAWCA
ADAM hr. KRASIŃSKI.

Konkurs na operę polską.

Zarząd Filharmonii warszawskiej ogłasza niniejszem z fundacyi *Konstantego Wołodkowicza* konkurs na napisanie opery, osnutej na tle poematu „Marya“ Antoniego Malczeskiego, pod warunkami następującemi:

1. Opera ma zapełnić cały wieczór, a więc składać się z trzech, czy czterech aktów.

2. Muzyka mieć powinna charakter swojski z możliwem zużytkowaniem motywów ludowych, przy zachowaniu cech, ściśle etnograficznych.

3. Libretto, którego plan wydrukowany będzie w „Echu muzycznem“ i w odbitkach złożony w księgarni Gebethnera i Wolffa, może ulegać modyfikacyom dowolnym, byleby większa część tekstu oryginalnego poematu była użytą bez zmiany. W miejscach, przedstawiających trudności zastosowania muzyki i śpiewu do poezyi — należy użyć deklamacyi z towarzyszeniem orkiestry. W tem miejscu fundator wyraża życzenie, by libretto, dla nieodbijania dorobionych wierszy od poezyi Malczeskiego, było raczej ułożone prozą rytmiczną.

4. Najlepsza z nadesłanych partytur otrzyma nagrodę w sumie rubli pięciu tysięcy, przyczem dzieło nagrodzone pozostaje najzupełniejszą własnością kompozytora wobec scen i osób trzecich.

5. Wyciąg fortepianowy nagrodzonej opery z tekstem wydrukowany będzie kosztem fundatora przez Zarząd Filharmonii Warszawskiej, również na wyłączną korzyść kompozytora.

6. Partytury orkiestrowe i fortepianowe, zaopatrzone godłem takiem, jak i koperta zapieczętowana, mieszcząca nazwisko i adres kompozytora, winny być nadsyłane pod adresem Zarządu Filharmonii Warszawskiej najdalej do dnia 1 lipca n. st. 1904 roku.

7. Sądowi konkursowemu służy prawo poczynienia na lepiej opracowanych partyturach uwag, dotyczących warunków scenicznych, instrumentacyi i t. p. Partytura, w ten sposób poprawiona, będzie mogła współubiegać się o nagrodę w konkursie następnym, który będzie ogłoszony, o ileby na pierwszym żadna z nadesłanych partytur nie zyskała absolutnej większości głosów.

8. Sąd konkursowy stanowić będą uproszeni przez fundatora panowie Antoni Dvorzak, Leopold baron Kronenberg, Emil Młynarski, Zygmunt Noskowski i Władysław Żeleński.

Biblioteka Śląska

SPIS RZECZY

ZAWARTYCH W TOMIE PIERWSZYM

Z ROKU 1904.

FILOZOFIA.

Str.

HERBERT SPENCER I JEGO SYSTEMAT FILOZOFII SYNTETYCZNEJ,—przez prof. Henryka Struvego 413

HISTORYA.

Z HISTORYI STANÓW GALICYJSKICH, — przez d-ra Bronisława Łozińskiego 201

ECHA Z WYSTAWY HERALDYCZNEJ W MITAWIE, — przez Gustawa Manteuffla 341

SPRAWY SPOŁECZNE, PRAWNE i EKONOMICZNE.

NACZELNICY ZIEMSCY W KRAJU PÓŁNOCNO-ZACHODNIM, — przez B. Z. Bouffałła 276

PRZEMYSŁ DOMOWY U WŁOŚCIAN, — przez Józefa Jeziorańskiego 504

LITERATURA.

A GDY W GŁĄB DUSZY WNIKNIEMY... Powieść współczesna, (ciąg dal.),—przez Gabryelę Zapolską 37, 226 i 455

Str.

Z NIEZNANYCH TRENÓW WACŁAWA POTOCKIEGO, — przez Franciszka Pułaskiego 105

STUDYA I SZKICE LITERACKIE I ARTYSTYCZNE.

GDZIE ARNO PŁYNIE, — przez Wojciecha Dzieduszyckiego . . . . . 1 i 287
ALFIERI (1649 — 1803), — przez prof. Szymona Askenazego 22
DRAMAT I OPERA, — przez W. Bogusławskiego . . . 76
WŁADYSŁAW SYROKOMLA, — przez A. Drogoszewskiego . . . . . 251 i 481
MAX NORDAU, — przez Władysława Jabłonowskiego 327
LITERATURA NIEMIECKA W ROKU 1903-cim, — przez d-ra Józefa Flacha 522
POGADANKA O SZTUCE. Kilka słów o stosunku społeczeństwa do sztuki,—przez Stefana Popowskiego 580

NAUKI PRZYRODNICZE.

HISTORYA WYNALEZIENIA I UDOSKONALENIA TERMOMETRU, — przez Stanisława Kramsztyka. 60
SEN, — przez d-ra Karola Rozenfelda 551

ROZMAITOŚCI.

Z dziejów Szekspira w Polsce. Przekład Hamleta J. N. Kamińskiego, — przez Ludwika Bernackiego. . 127

KRYTYKA.

Dr Wojciech Kętrzyński: O powołaniu Krzyżaków przez ks. Konrada. Kraków, 1903, — przez A. R. 145
„Dziennik Ludwika Szczanieckiego, pułkownika wojsk polskich". Warszawa, 1904, — przez A. R. 151
Zorn: Die Deutsche Staatsprache. Zwei Abhandlungen, Berlin, 1903, — przez A. R. 159
Julia Terpiłowska; Przystań. Powieść współczesna. Warszawa. Nakładem Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Ge-

Str.

bethner i Sp., 1903, 8-o, str. 313, — przez Henryka Gallego 166

Tadeusz Jaroszyński: Chimera. Powieść z życia artystów. Petersburg. Księgarnia K. Grendyszyńskiego, 1903, 8-o, str. 392, — przez Henryka Gallego . 169

Aleksander Kraushar: Towarzystwo Królewskie Przyjaciół Nauk. Księga III. Czasy Królestwa Kongresowego. Czterolecie drugie. 1820 — 1824. (Warszawa, 1904), — przez A. R. 366

General Szilder: Cesarz Mikołaj I. Jego żywot i panowanie T. I (z 252 ilustracyami), 1903, — przez A. R. . 372

Józef Wiśniowski: Współczesna liryka polska. (Sprawozdanie dyr. gimn. w Jaśle, r. 1903), — przez M. Mazanowskiego 380

El (Kazimierz Laskowski): Melodye. Warszawa. Gebethner i Wolff, Kraków, G. Gebethner i Sp., 1903, 12-o, str. 200, — przez Henryka Gallego . . 383

Wacław Gąsiorowski: Rok 1809. Powieść historyczna z epoki napoleońskiej. Tom I i II. Lwów. Nakł. „Słowa Polskiego“, 1903, 8-o, str. 364 i 268, — przez Henryka Gallego 385

Marya Konopnicka: Na jagody! Książeczka leśna. Warszawa. Nakładem J. Lisowskiej, — przez Z. D. . . . 387

Hans Paaltzow: Zur Polenfrage. Der Gebrauch der polnischen Sprache in politischen Versammlungen. Die polnischen Post-adressen. Zwei Rechtsgutachten. (Berlin, 1902), - przez A. R. 587

Marya Konopnicka: Drobiazgi z podróżnej teki. Warszawa. Nakład Gebethnera i Wolffa. Kraków, G. Gebethuer i Sp., 1903. 12-o, str. 196, — przez Henryka Gallego 596

Kazimierz Julian Jasiński: Stara gwardya. Elegia rycerska. Warszawa, Gebethner i Wolff. Kraków, Gebethner i Sp., 1904, 8-o, str. 71, — przez Henryka Gallego 599

KRONIKA MIESIĘCZNA.

STYCZEŃ:

Nowy rok. — Odczyty na prowincyi. — Oddział wyszukiwania pracy ubogim przy W. T. D. — Nowe pisma: „Przyroda“ i „Lekarz“. — Sprawa parków miejskich i zamiejskich. — Zwyrodnienie kultury umysłowej. — Towarzystwo Szkoły nauk politycznych 172

LUTY:

Ankieta „Kuryera Warszawskiego“. — Stulecie kodeksu Napoleona u nas. — Biblioteki prowincyonalne dla

Str.

Galicyi. — Z ruchu współdzielczego. — Sekcya im. Moniuszki. — Polska akademia artystyczna w Rzymie 389

MARZEC:

W sprawie krajowej Wystawy powszechnej. — Ogień i woda. Statystyka pożarów. — Odezwa p. Jana Popiela. — Książka estetyczna. — Nowy gmach hypoteczny. — Młodzież polska za granicą. — Komentarz do sprawy hr. Dąmbskiego 302

WIADOMOŚCI NAUKOWE, LITERACKIE I BIBLIOGRAFICZNE.

STYCZEŃ 188
LUTY 407
MARZEC 619

DYSKUSYA.

Replika d-rowi A. Karbowiakowi, — przez H. Mościckiego . . 198

